

P.N. / 92
H. St. - biogr



Album biograficzne ZASŁUŻONYCH POLAKÓW I POLEK WIEKU XIX,

WYDANE STARANIEM I NAKŁADEM

MARYI CHEŁMOŃSKIEJ

POD KIERUNKIEM KOMITETU REDAKCYJNEGO,

KTÓRY SKŁADAJĄ:

Szymon Askenazy, Bronisław Chlebowski, Samuel Dickstein, Wawrzyniec Benzelstjerna-Engeström, Bolesław Ercepi, Wojciech Gerson,
Zygmunt Gloger, Kazimierz Gliński, Józef Kallenbach, Stanisław Van der Noot Kijeński, Władysław Korotyński, Stanisław Kramsztyk, Antoni Małeck,
Maryan Massonius, Ks. Teofil Matuszewski, Józef Peszke, Henryk Piątkowski,
Roman Pleniewicz, Aleksander Poliński, Antoni Arkadyusz Puławski, Pius Weloński, Zygmunt Wolski.

Sekretarz Redakcji Jan Nitowski.

TOM PIERWSZY

z przedmową

STANISŁAWA KRZEMIŃSKIEGO.



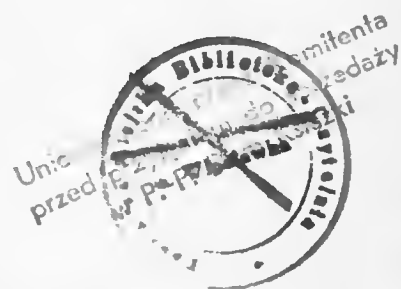
WARSZAWA.

Redakcja i Administracja Sienna 9 m. 17
1901.

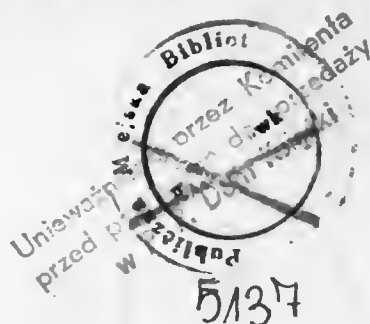


ALBUM BIOGRAFICZNE
Zasłużonych Polaków i Polek
WIEKU XIX.

1901.



92

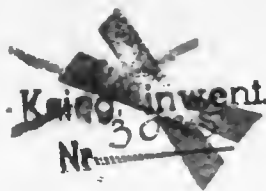


92
A/b
5137
I

Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Апрель 1900 года.



86930



Od Wydawnictwa.

Tom niniejszy Albumu biograficznego zasłużonych Polaków i Polek wieku XIX, obejmujący sto kilkadziesiąt życiorysów, stanowi pierwszą część dzieła, mającego opowiedzieć czyny i zasługi kilkuset znakomitych i wybitnych w naszej pracy narodowej osobistości. W zbiorze tym starać się będziemy nie pominąć żadnego z nazwisk, któremi słusznie chlubić się może społeczeństwo nasze. W treściowych pomieszczonych tu życiorysach dążyliśmy i dążyć będziemy do tego, aby każdej jednostce oddana była należyta miara uznania i wdzięczności potomnych.

Wyznajemy szczerze, że pod względem artystycznego wykonania niektórych portretów tom pierwszy, mimo dużego nakładu zabiegów i pracy, nie zupełnie może odpowiadać wysokim wymaganiom, jakie stawiać należy tego rodzaju wydawnictwom. Ale zechcą to łaskawi czytelnicy usprawiedliwić trudnościami, związanymi z warunkami podobnej pracy zbiorowej. Mamy wszakże nadzieję, że zdobyte doświadczenie pozwoli nam udoskonalić jej ciąg dalszy ku pełnemu zadowoleniu czytelników.

Pragniemy, aby dzieło to, w zaraniu wschodzącego stulecia wydane, miało nie przemijającą tylko wartość, lecz aby stać się mogło panteonem wielkich i zasłużonych imion, budzących w młodych pokoleniach cześć dla znakomitych zasług i czynów, krzepiących ducha, a skłaniających do podziwu i do naśladowania tych wzorowych przykładów życia.

Warszawa, w Grudniu 1900 r.





PRZEDMOWA.

Nie potrzeba się zagłębiać w dzieje, aby poznać, że społeczeństwa ludzkie za równo w swym bycie nazewnątrż, jak i w rozwoju wewnętrznym, żyją mniejszościami działającymi za całość i do działania potrzebującymi tylko jej oddźwięku, duchowego podłoża i mięśniowej siły. To ich przewodnie stanowisko wytwarza im w społeczeństwach pamięć uczuciową, która na najwyższym swym stopniu daje im sławę, sława zaś zapewnia ziemską nieśmiertelność.

Mniejszości te stanowią jedyną naturalną, jedyną prawowitą arystokrację Ludzkości, bo z niej jednej tylko naturalnie, w logice i w życiu nieprzeparcie wypromieniać się może wyższość, w samym fakcie pojawienia się swego przynosząca już swe powołanie.

Co Platon mówi o prawie Adrastei i kategoriach dusz, wcielających się w odpowiednie kategorie ludzi z samych funkcji swoich wybitnych, na co Carlyle ma nazwę artylerii niebieskiej, — to cichemu rozsądkowi pozwala się ująć w zasadę wyższości umysłowego uzdolnienia i uczuciowego napięcia, — wyższej sprawności, dzielniejszej pracy, silniejszego rozpędu.

Kto wyrzekł «wyższość», powiedział «i talent». Bez niego nie byłoby owych przewodnich mniejszości, nie byłoby wybitnych jednostek, które je składają. W najwyższej swej potędze, jako genjusz, jest on też najwyższą siłą świata człowieczego i zarówno w porządku natury, jak w porządku kultury, na tej ziemi nie ma dla siebie równoważnika. Im więcej społeczeństwo dostało od losu ludzi genialnych, tem silniej, trwalej i lepiej też żyje.

Odpowiednio do rozmiarów i kształtów, do tonów i barw umysłowości ludzkiej, ześrodkowanej w duszę, w indywidualność człowieczą — talent może tworzyć piękne i wielkie poemata, potężne i wiekotrwale państwa, wspaniałe symfonie, Partenony i katedry sztrasburskie, wzrok przykuwające rzeźby i obrazy, niespożyte odkrycia, podbijające rozum hipotezy naukowe, doskonałe dzieła wiedzy i umiejętności; może tworzyć i wielkie czyny i wielkie fabryki; błyska i z Danteskiego «Piekła» i z wynalazków i pomysłów cywilizacji materialnej i kultury obyczajowej, wprowadzających rozsądek i energię indywidualną i zbiorową, w pewnych obrębach gospodarstwa społecznego, na nowe zupełnie tory. Jest talent marzenia i piękna, wiedzy i nauki, woli i czynu. Są talenta rozumowe i uczuciowe. Ale jakkolwiek będzie ta siła sama w sobie i w promieniowaniu swoim, zawsze musi być i jest wyższą nad inne, pociągającą je za sobą twórczą energią, którą Bóg, natura, los obdarowuje społeczeństwa ludzkie. Takie ustawiczne obdarowywanie pokoleń żywych wyższymi wybitnymi siłami myśliciel angielski uważa za rdzeń rzeczywistości dziejów, zakreślanych promieniem wszechrozwoju, t. j. obejmujących wszystko to, czego człowiek w przeszłości dokonał i co się przez człowieka stało.

Można nazwę *bohatera*, nadaną jednostce wyżej do czynu, myśli, czy uczucia uzdolnionej, odrzucić, można *powodzenie*, jako warunek rzeczywistej wartości, zasilającej życie w ściślejszym zrozumieniu dziejowe odtrącić: samego pojęcia wyższej nad inne siły nie wygładzi nic. Bez indywidualności wybitnych, bez tej jakby żywiołowej indywidualizacji uzdolnień i powołań, dzięki której energia w przyjaznych warunkach się rozwija, a z nieprzyjawnymi walczy, społeczeństwo ludzkie nie mogłoby żyć, mogłoby tylko trwać. Dla kultury i postępu w kulturze znaczenie istotne ma tylko jednostka wyżej obdarowana.

Carlyle żąda dla bohaterów czci. Miały do niej niegdyś prawo bogi i półbogi ziemskie. Urok, którym pokolenia całe otaczały swych Usirych, Heraklesów, Zaratustrów, Odinów, był najpiękniejszą poezją. Lecz czasy takiego bohaterstwa i takiej czci minęły. Im dalej posuwa się człowiek zbiorowy w czasie, tem mniej jest zdolnym do czci; zastępuje ją chwałą, sławą, podziwem, uznaniem — rozumowo lub uczuciowo wyróżniczkowaniem wrażeniem od przedmiotu. My, ludzie dzisiejsi, czczyć możemy tylko wielkie dobro, wielkie uczucie i ofiarę i wielkie też nieszczęście. Geniusz czaruje nas i podbija, wstrząsa i rzuca, rozburza i łamie. Odczuwamy go jako potęgę nad siebie wyższą, i idziemy za nią z podziwem raczej, który wydaje z siebie nasza wyobraźnia odtwórcza, niż ze czcią, któraby musiała wytrysnąć nam z serca.

Rdzennym też pierwiastkiem tego uznania, które nas łączy z człowiekiem wybitnym, jest wdzięczność. Nie możemy jej nie mieć dla tych, którzy nas samych, zgola bez trudu i zasługi z naszej strony, wrażeniami wielkości, dobra i piękna obdarzają, a zbiorowości ludzkiej, do której wraz z nimi należymy, więcej nieskończenie dali, niż od niej wziąć mogli. Ta wdzięczność, z podziwem złączona, narastając przez czas i teżsame wrażenia coraz-to nowych pokoleń

kształtuje się w stosunek dłużników do wierzycieli. Każde nowe pokolenie bierze na siebie dług poprzedniego i przekazuje następnemu — znowu do spłacenia. W ten sposób spełnia się obcowanie żywych z umarłymi, — ważny moment logiczny życia, w którym każde *dziś* tworzyć powinno ogniwo, łączące dzień wczorajszy z jutrem.

Wdzięczność jest i prawem zasługi. Kategoria wybitnych, wpośród nich i rzetelnie wielkich, jest przede wszystkim kategorią dobrze zasłużonych, a w niej znów ludzie czynu przed ludźmi myśli i marzenia muszą mieć pierwszeństwo. Geniusz myśli działa z siłą nieprzepartą, żywiołową; geniusz czynu świadomie dąży do dobra. Siły, od nich niższe, idą za ich przykładem. Jak w Panteonie rzymskim obok *dii maiores* byli *dii minorum gentium*, tak i w panteonach narodowych obok rzeczywiście wielkich i zasłużonych stoją ludzie mniejszej miary, mniejszej zasługi, a nawet wprost tylko rozgłosem żyjący, o których najogólniej powiedzieć można, że wrazili się w pamięć potomnych samym tylko dodatnim lub ujemnym przejawem swej istoty! Do tych prowadzi prosta ciekawość, usprawiedliwiona przeważnie maksymą Andrzeja Maksymiliana Fredry: „cudze wiedzieć rzeczy ciekawość jest, a swoje potrzeba.”

Ludzie genialni, wybitni i dobrze zasłużeni — wogóle znakomici — nie tylko chwałą są, dobrem i siłą: samo to poczucie, że się ich ma, krzepić już musi. Każdy talent wyższy w dziedzinie kultury ogólnoludzkiej podtrzymuje jakby reprezentację w życiu międzynarodowym. Bo narody żyją nie tylko siłą zorganizowaną, do wzajemnego bronięcia się, a częściej do wzajemnego szkodenia sobie im służącą, ale i tą mocą, nieskończenie prawie różniczkować się zdolną, którą tylko dopomagać sobie wzajemnie mogą i dzięki której znoszą do wspólnego skarbcza Ludzkości dzieła pięknotwórstwa, wiedzy, umiejętności i nauki. Dla Ludzkości, jako jestestwa oderwanego od odrębnie w ilościowym jej ogromie zorganizowanych całości, nie to ma rzeczywistą i trwałą wagę, co się tylko przez wyodrębnienie i w niem dokonać mogło, ale to właśnie, co w danych formach odrębności całość w niej żyjąca wydała z siebie jako zbiorowość ogólnie-ludzka. Na wielkich liniach pochodzenia rozwojowego Ludzkość nie dba o indywidualne losy, dążenia, czyny i wypadki, wypełniające indywidualną historię pojedynczych zbiorowości ludzkich; nie polityki szuka, ale kultury.

Zwracając wzrok na siebie, bez upajania się sobą, widzimy, że ludzi genialnych mieliśmy stosunkowo mniej, niż inne narody. Natura nie była skąpszą, gdy nam miała dawać surowe genialności siły; tylko społeczeństwo tych sił surowych w doskonale już sprawne urabiać nie umiało, a warunkami swego rozwoju i uspołecznienia, w najobszerniejszym pojęciu, i swej umysłowości, najrozległej pojętej, je tłumilo. Wiele darów natury wcale nawet do rozwoju przeciwność ta nie dopuściła. Zakaz Olbrachtowy niejeden geniusz przyszły w ludzkie wiejskie umorzył. Najwięcej sił wybitnych w dawniejszych epokach, najwięcej *mężów* nazwy swej godnych, wydało życie ściślejsze dziejowe; nowszą rozjaśnia blask pierwszorzędnych, prawdziwych, na miarę ogólnoludzką, wielkości literackich, artystycznych i naukowych.

Przypomnienie sił czynnych a wybitnych w XIX-ym wieku, odświeżenie w pamięci dzisiejszej ludzi, wślawionych geniuszem, talentem, wiedzą, pracą i zasługą; przesunięcie ich przed oczyma dzisiejszego pokolenia w zwięzłych, treściwych zarysach, a o ileby talent piszącego dopomógł, to i w życiem tętniących obrazach — było zadaniem obecnego wydawnictwa, zadaniem niełatwym do spełnienia, a nawet znojnem. W dotychczas wydanym oddziale „Album” nasze czeka na krytykę z nadzieją uznania, a z pragnieniem wskazówek na dalszą drogę.

Album zasłużonych Polaków i Polek z konieczności stać się musiało przedewszystkiem księgą pamiątkową wszystkich wogóle sławnych, znakomitych, wybitnych, a nawet rozgłośnych. Czytelnik sam w przewijającym się przed oczyma orszaku rozpozna tych, których tylko doznany rozgłos przy pewnej wybitności darów wrodzonych, lub stanowisk w społeczeństwie zajętych, uprawnić mógł do przedstawienia progu tego przybytku pamięci, jakim „Album” z treści przeznaczenia swego stać się musiało. Niechaj każdy ma swą miarę: każdy znajdzie swą nagrodę, a najwięcej ze wszystkich wartą będzie zawsze prawda.


A teraz — idź, książko, w świat i bądź dobrym przyjacielem człowieka: ucz go, pocieszaj i krzep!

Stanisław Krzemiński.



Jenerał Dąbrowski

* 1755 † 1818.

an Henryk Dąbrowski ujrzał światło dzienne dnia 29 sierpnia 1755 r. w Winnogórze pod Środą w Wielkopolsce; wprawdzie sam jenerał w pamiętniku swoim mówi o «Pierzchowcu» pod Gdowem w województwie Krakowskiem nad Rabą, jako o miejscu, gdzie się urodził, ale wskazówkę tę za wątpliwą uważać należy: Pierzchowice były majątkiem matki jego, Zofii z Lettowów, kalwinki pochodzenia niemieckiego, w 1757 r. zmarłej. Zarówno ojciec Henryka, jak i jego dziad macierzysty, byli żołnierzami: Jan Michał Dąbrowski był kapitanem pułku Albrechta saskiej kawaleryi lekkiej, żołnierzem wojny siedmioletniej, — pułkownik Lettow służył w gwardyi konnej koronnej Miera. Kiedy Jan Michał Dąbrowski walczył przez lat dziewięć zdala od swej rodziny, dzieci jego wychowywały się u ciotki swojej, Aleksandry z Lettowów Kępińskiej w Plechowie i u babki Ludwiki z Allanów Lettowej w Pierzchowicach. Kiedy w roku 1766 wszczął się ruch przeciwko dysydentom — i wszyscy wyjechali na Szląsk, mały Henryk udał się do ojca pod Drezno na naukę; tu zaczął się kształcić i uczyć po niemiecku, z góry przez ojca do wojska saskiego przeznaczony. W r. 1770 był już chorążym w pułku przy ojcu, w 1772 został podporucznikiem bez pensyi, w 1777 otrzymuje nominacyę na porucznika. W tym czasie cała rodzina Dąbrowskich powoli ulega niemieczyźnie: siostra Henryka, Aleksandra, wychodzi za

mąż za protestanta i Niemca, oficera Barnera, sam zaś Henryk również zakochał się w Niemce, Gustawie Rackel. Po śmierci ojca (w dniu 28 sierpnia 1779 r.) Henryk Dąbrowski dziedziczy Pierzchowice i kapitały — i w dniu 23 marca 1780 r. żeni się z Gustawą Rackel.

Przeniesiony do gwardyi elektorskiej w stopniu porucznika do Drezna, Henryk Dąbrowski zaczyna się wszechstronnie w wojskowości rozwijać, okazując w tej mierze wielkie uzdolnienie. Przez dziesięć lat żył wśród żywiołu niemieckiego i zaczął już potrosze zapominać języka polskiego.

Komisya wojskowa w roku 1791 wzywa do kraju Dąbrowskiego, który nie waha się ani chwili, rzuca służbę na obczyźnie i do Warszawy przyjeżdża, wstępując w randze majora do sztabu dywizyi Byszewskiego. Później odbywa kampanię pod dowództwem ks. Józefa Poniatowskiego. Na nowem stanowisku pracuje z zapalem, choć widzi wszędzie rozstrój i nieporządek. W roku 1793 zwraca na siebie uwagę, jako wice-brygadyer; w roku 1794 dzielnie się spisuje pod Powązkami, mianowicie w dniu 28 sierpnia na linii Powązki—Marymont przyprowadza Prusaków o straty nader ciężkie i powoduje odstąpienie króla Wilhelma II od Warszawy, za co otrzymuje rangę jenerała-majora. W połowie września tegoż roku wyprawia się do Wielkopolski, pod Bydgoszczą bierze do niewoli Szekulego — w nagrodę zostając jenerałem-porucznikiem. W dniu 18 listo-

pada Dąbrowski pod Radoszycami dostaje się do niewoli, którą spędza na rozkaz Suworowa w areszcie domowym przez rok cały. W styczniu 1796 roku do Warszawy weszli Prusacy, i Dąbrowski w lutym tegoż roku wyrobił sobie paszport do Berlina, gdzie na audyencji u króla Wilhelma II otrzymuje od niego rangę generała dywizji, lecz stopnia tego nie przyjmuje. I od tej chwili zaczyna się nowa epoka w życiu Dąbrowskiego. Z Berlina przez Drezno udaje się do Paryża, dokąd przybywa w dniu 30 września, zawiązuje liczne stosunki — i w dniu 2-im grudnia 1796 roku przyjeżdża do Mediolanu w celu organizowania legionów.

Zadanie utworzenia legionów nie było tak łatwe, jakby się pozornie zdawało. Na pomoc moralną emigracji francuskiej (bo o materyjalnej myśleć nawet nie mógł) liczył niewiele. Wśród rodaków swoich na obczyźnie zastał niezgody, swary i kłótnie, które nie dawały wcale widoków szybkiego urzeczywistnienia projektu. Nie zraziło to jednak Dąbrowskiego, który postanowił szukać protekcji wśród obcych. Udało mu się w końcu pozyskać poparcie generałów: Jourdana, Championneta i Bernadotta; za ich to wstawieniem się polecił wreszcie Napoleon Dąbrowskiemu zawrzeć z nowoutworzoną rzecząpospolitą Lombardzką układ, dotyczący utworzenia «legionów polskich.» Ważniejsze punkta układu tego były:

- 1) Oddziały wojska polskiego, utworzyć się mające, nosić będą nazwę «Legionów polskich, pomocniczych Lombardyi.»

- 2) Zatrzymają organizację, mundur i komendę własną.

- 3) Nosić będą kokardę francuską i pobierać żołd taki, jaki wyznaczony jest dla wojska francuskiego.

- 4) Nominacje na stopnie zależne od rządu lombardzkiego, zatwierdzane będą przez generała Bonapartego.

- 5) Rzeczpospolita lombardzka uważać będzie legionistów za braci i udzieli im prawa obywatelstwa u siebie.

Układ ten zawartym został z początkiem 1797 r., a już w kwietniu tegoż roku niestrudzony generał stał na czele 5,000 legionistów w Palma Nuova na granicy austriackiej. Po zawarciu układów w Leoben otrzymał Dąbrowski rozkaz cofnięcia się z swoim oddziałem do Bono-

nii. W chwili zawarcia pokoju w Campoformio, liczyły legiony 7,146 żołnierza, a nowych przybywało ciągle, tak, że w końcu sformować musiano oddział drugi. Wiedząc, jak wielkie z legionami swymi oddaje usługi przyszłemu zdobywcy świata, zażądał Dąbrowski, ażeby w negocjacjach pokojowych w Campoformio, brał udział reprezentant polski, żądanie to spotkało się jednak z odmową.

Rok 1798 zastał jeden oddział legionów w Rimini, drugi w Medyolanie i Mantui. W kwietniu otrzymuje Dąbrowski rozkaz przyłączenia się z oddziałem pierwszym do armii, przeznaczonej do zajęcia republikańskiego Rzymu. W Rzymie pozostaje aż do połowy r. 1799, poświęcając wolne od rzemiosła wojennego chwile na organizację jazdy. W tym czasie oręż francuski zaczyna doznawać niepowodzenia w północnych Włoszech i Dąbrowski otrzymuje rozkaz pospieszenia z pomocą zagrożonej armii. Legiony przedzierają się przez Toskanię i biorą udział w zaciętej bitwie nad Trebią, w której tracą 1,500 ludzi. Sam dowódca cudów waleczności dokazywał. Koń jego raniony śmiertelnie, Dąbrowski dosiada drugiego i usiłuje przedrzeć się przez przeważające zastępy nieprzyjaciół, aż wreszcie sam ranny o mało niewolą nie przepłaca bohaterstwa swego. Uzupełniwszy o ile to w tak krótkim przeciągu czasu było możebne zdziesiątkowane kadry swego oddziału, podąża Dąbrowski na plac boju i bierze udział w bitwie pod Bosco. Niepomyślna dla armii francuskiej bitwa ta zadała legionom cios bardzo dotkliwy; połowa ich wyginęła, a szczątki, jakie uszły kul i głodu, wcielone zostały do armii Suchet'a. Sam Dąbrowski omal życia w bitwie tej nie utracił i tylko tomowi Szyllera na piersiach, zawdzięczał ocalenie od niechybnej śmierci.

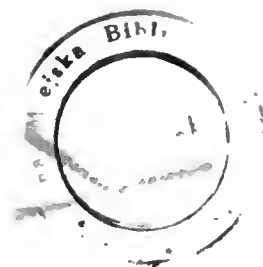
Niepowodzenia te nie zraziły jednak dzielnego generała, który spieszy do Paryża w celu uzyskania pozwolenia na organizację nowych oddziałów. W Paryżu zastał zmiany wielkie; konwencya upadła, a miejsce jej zajął Napoleon, zagarnawszy jako pierwszy konsul samowładnie rządu Francji. Dzięki usilnym staraniom udało mu się wreszcie dopiąć tego, że nowy rząd zniósł prawo wydane przez konwencyę, na mocy którego nie wolno było wojskowym w służbie francuskiej utrzymywać pułków zagranicznych.



33. 1780. WARSZAWA. W Drukarni Księżnej Ks. K. K.

Podług szkiców współczesnych.

Dąbrowski



W kwietniu 1800 r. otrzymuje Dąbrowski pozwolenie na utworzenie 7 batalionów piechoty i 1 batalionu artylerii, które pobierać miały żołd od rządu francuskiego. Legię włoską rozpoczęto organizować w Marsylii, a równocześnie generał Kniaziewicz formował z szczątków pozostałych po bitwie pod Novi legion t. zw. «naddunajski.»

Przy końcu roku 1800 liczyły legiony Dąbrowskiego 7,000 ludzi, aczkolwiek w bitwach pod Marengo i Montebello utraciły około 800. W roku 1801 odznaczyły się legiony polskie zaszczytnie przy zajęciu Casabianci pod Peschiera. Z początkiem 1801 r. liczba ich dochodzi 15,000! Wtedy Dąbrowski powziął zamiar przedarcia się do Morei, by tam na własną rękę rozpocząć kroki wojenne. Zamiar ten znalazł chętne ucho u głównego wodza armii włoskiej, Masseny. Napoleon jednak nie był wcale rad temu projektowi i odebrawszy dowództwo Dąbrowskiemu oddał je Chabotowi. Wkrótce potem Napoleon znalazł przeznaczenie dla legionów cudzoziemskich. Legion «naddunajski» Kniaziewicza posłał jako półbrygadę pieszą francuską na San Domingo, skąd kilkudziesięciu zaledwie żołnierzy powróciło cało, oddział zaś generała Dąbrowskiego, po rozdzieleniu go na dwie półbrygady, wcielil do korpusu cisalpińskiego. Był to bardzo wymowny dowód wdzięczności dla legionów polskich ze strony Napoleona, którym niedwuznacznie dał do zrozumienia, czego się po nim można było spodziewać. Generał Dąbrowski przeznaczony zostaje do służby w Rzeczypospolitej Cisalpińskiej w randze generała dywizji, na którym to stanowisku, pozostaje do roku 1806. W końcu tegoż roku otrzymuje wezwanie stawienia się w Berlinie, gdzie wówczas bawił Napoleon. Po kilkunastu dniach na radach towarzyszy Napoleonowi w podróży do Poznania. Ludność poznańska przyjmowała entuzjastycznie generała po tylu latach rozłąki. Tutaj to na balu, urządzonym przez municypalność miasta na cześć gościa, miał owdowiały generał sposobność widzieć po raz pierwszy panią Barbarę Chłapowską, z którą w rok później na ślubnym stanął kobiercu. Niedługo jednak spoczywać mógł na laurach, bo już w końcu stycznia 1807 r. wyrusza z 18 tysięczną armią na widowinę wojenną. W bitwie pod Tczewem został kontuzjowany, a spadłszy z konia omal że nie został stratowany przez własną konnicę. Na-

połcon, stojący wówczas kwaterą w Osterode, wyraził mu w liście pełnym życzliwości podziękowanie za dowody męstwa nieustraszonego, jakie dał w tej bitwie. Rana, otrzymana w bitwie pod Tczewem, trzymała go pewien czas zdala od gwaru wojennego; po wyzdrowieniu walczył z dywizją swą przy korpusie Mortiera.

Napoleon, który marszałków swych i wodzów umiał wynagradzać i hojnie szafował majątkami a nawet całymi księstwami w nowozdobytach prowincjach pruskich, nie zapomniał i o walczącym generale polskim. Dąbrowski otrzymał Winnogórę pod Środą wraz z tem miastem i Pyzdrami.

Po zawarciu traktatu tyłżyckiego w r. 1807 wchodzi Dąbrowski na czele dywizji swej do Warszawy.

W latach pokoju, które teraz nastaly, pomyśleć trzeba było o skonsolidowaniu rozrzuconych po rozmaitych miastach oddziałów wojsk. Napoleon, który zdolności organizacyjne Dąbrowskiego bardzo wysoko cenił, bo mu ich niejednokrotnie złożył dowody, korzystał i teraz z rad i pomocy doświadczonego generała. Tak przeszedł rok 1808. W r. 1809 groźne chmury zbierać się znowu zaczęły na horyzoncie politycznym i wojna z Austrią stawała się nieuniknioną. Dąbrowski opracował plan strategiczny, polegający na uprzedzeniu Austryaków przez wkroczenie do Galicyi.

Kiedy plan ten nie powiódł się i nieprzyjacieli nie dał się podejść, ułożył Dąbrowski plan inny, który został przyjęty.

Austriacy zajęli Warszawę, skutkiem jednak przegranej pod Łęczycą, do której przyczynił się Dąbrowski i niepomysłnych działań wojennych pod Sandomierzem, zmuszeni byli opuścić to miasto. Połączywszy się w lipcu z ks. Józefem Poniatowskim i generałem Zajączkiem w Radomiu rozpoczął wspólnie z nimi pochód pod Kraków.

I znowu ucichły trąby bojowe na lat trzy; pokój w Wiedniu zakończył niefortunna dla Austrii wyprawę.

W wielkiej wojnie 1812 r. widzimy Dąbrowskiego na czele dywizji V-go korpusu armii. Dywizji tej powierzył Napoleon obserwację Bobrujska. W czasie trwania kampanii miał Dąbrowski dwa razy zaledwie sposobność odznaczenia się, a mianowicie pod Mohylowem i pod Bo-

rysowem, zresztą dywizya jego tak podczas pochodu jak i podczas odwrotu stała prawie bezczynnie. W czasie przejścia przez Berezynę zajął stanowisko pod Studzianką; tutaj otrzymał postrzał, który mu zdruzgotał rękę.

Dzielny jenerał, aczkolwiek jako zdolny wojskowy nie mógł nie wiedzieć, jaki los czeka bohatera z pod Marengo, mimo to nie opuszczał go aż do ostatniej chwili.

W odwrocie przez Prusy brał udział w bitwach pod Grossbeeren, Lipskiem i Hanau. Pod Lipskiem dokazywał istnych cudów waleczności przy obronie przedmieścia Hallesche Vorstadt,

a po smutnej śmierci ks. Józefa objął po nim naczelne dowództwo.

Po zawarciu pokoju w Paryżu w r. 1814, towarzyszył wojskom, wracającym do kraju i przyłożył czynną rękę przy organizacyi nowego. Mianowany senatorem-wojewodą Królestwa Polskiego i jenerałem jazdy, przez pół roku zaledwie piastował tę godność, służąc radą i pomocą przy organizacyi wojskowej. Pod koniec 1815 r. przeniósł się na stałe do Winnogóry, gdzie dokonał strudzonego żywota dnia 6 czerwca 1818 r.

Adam Dobrowolski.



Jan Leon Hipolit Kozietaulski

* 1781 † 1821.

Kozietaulski urodził się w Skierniewicach d. 4 lipca 1781 r. z ojca Antoniego, starosty będzińskiego i Marjanny z Grotowskich, sędzianki rawskiej.

Ród Kozietaulskich, starodawny i w Rzeczypospolitej zasłużony, pisał się z Kozietaul w Czerskiem położonych, a pieczętował Habdankiem.

Po ukończeniu nauk w korpusie kadetów, Kozietaulski zaciągnął się w szeregi. Była to chwila właśnie, kiedy bitwa pod Jeną zgruchotała potężne dotychczas Prusy; Napoleon oderwał od nich prowincje polskie; Wybicki i Dąbrowski ogłosili proklamacyę do narodu (3 listopada 1806 r.), a w ciągu dwóch miesięcy niespełna 30,000 Polaków stanęło pod bronią.

W liczbie tej znajdował się Kozietaulski; został on mianowany podkomendantem gwardyi honorowej; oddział ów, przy-

łączony do korpusu marszałka Lannes, odznaczył się kolejno pod Nasielskiem, pod Pułtuskim, pod Hoffripsztad i pod Eylau.

Kozietaulski, walczący nieustraszenie we wszystkich wyżej wzmiankowanych bitwach, w nagrodę zasług mianowany został szefem szwadronu w pułku lekko-konnym szwoleżerów.

Pułk ten, utworzony przez Winc. Krasińskiego, ojca Zygmunta, był najpiękniejszym i najcelniejszym bodaj ze wszystkich pułków wojsk Księstwa Warszawskiego. Służył w nim kwiat młodzieży polskiej.

Część wojsk polskich na rozkaz Napoleona wyruszyła do Hiszpanii, pułk Krasińskiego należał do nich. Napoleon szedł do Madrytu, ale chcąc zająć stolicę Hiszpanii, potrzeba było przejść wprzód skaliste wąwozy Somosierra, obsadzone działami



Z portretu będącego w posiadaniu rodziny.

Jan Kozietaulski

i bronione przez 13,000 Hiszpanów, walczących z energią rozpacz.

Szedł pułk za pułkiem piechoty francuskiej i wracał odparty, zdziśniętowany. Wodzowie napoleońscy zwątpili o możliwości zdobycia wawozu; wtedy cesarz przywołał Berthiera i wydał mu rozkaz, aby na służbie będący szwadron polskich szwoleżerów ruszył do ataku.

Aczkolwiek Napoleon nie znosił żadnych uwag, Berthier ośmielił się zwrócić uwagę, że zdobycie tak silnej pozycji jest niepodobieństwem i że szwadron pójdzie na pewną zgubę.

«Zostaw to Polakom i rób swoje!» — odpowiedział cesarz.

Wtedy marszałek podjechał ku szwadronowi szwoleżerów:

«Cesarz powierza wam zdobycie tego wawozu i pewny jest, że go weźmiecie» — zawołał.

Kozietulski zakomenderował: Formuj się w czwórki i marsz! marsz! — ale nim szwadron rozwinął się w połowie, zasypał go grad kartaży; poległ oficer Rudowski. Kozietulski wówczas zakomenderował powtórnie i szwoleżery ruszyli jak burza. Szarża była tak gwałtowna, że Hiszpanie zaledwie jeden raz zdążyli dać ognia. Pod Kozietulskim zabito konia, ale już 12 armat było zdobytych. Dosiadł nieustraszony szef drugiego rumaka i dopiero silna kontuzja w lewą nogę zmusiła go, że zdał dowództwo Dziwanowskiemu.

Wawóz Somo-Sierra został zdobyty, ale zwycięstwo drogo kosztowało Polaków. Padł Dziwanowski, zginęli Rowiecki i Krzyżanowski. Niegolewski otrzymał 32 rany, z których się jednak wyleczył. Ze 125 żołnierzy pozostało przy życiu 37 jedynie.

Plaszczyz Kozietulskiego podziurawiony był jak rzeszoto; płaszczy ów, darowany później księżnie generałowej ziem podolskich, złożony został w Sybilli puławskiej.

Napoleon szarżę szwoleżerów nazwał atakiem tak świetnym, jakiego dotąd nigdy nie było. Kozietulski zaraz na placu boju otrzymał z rąk cesarza krzyż kawalerski legii honorowej, w trzy lata później nadał mu Napoleon tytuł barona cesarstwa francuskiego z przydaniem do rodzinnego herbu wieży kastylskiej, miecza i chorągwi.

Kozietulski z równem zawsze mężstwem walczył następnie pod Alcala, Gwadalachar i St. Cruz. Potem gdy cesarz wojska swoje przerzucił do Niemiec, Kozietulski w bitwie pod Wagram, raniony został pałaszem w głowę, za co otrzymał krzyż oficerski legii, a ks. Józef Poniatowski, minister wojny Księstwa Warszawskiego, posłał mu krzyż kawalerski polski orderu wojkowego wirtuti militari.

W słynnej kampanii 1812 roku Kozietulski dokazywał cudów waleczności. Pod Małym-Jarosławcem mianowany został pułkownikiem-majorem, otrzymał on wtedy dwie rany. Przy Napoleonie, jak całe zresztą wojsko polskie, wytrwał do końca.

Po wyleczeniu się z ran i po zmianie stosunków w kraju, Kozietulski otrzymał w 1815 r. dowództwo 4-go pułku ułanów. Nadwątłone jednak zdrowie nie pozwoliło mu pełnić długo służby. W 1821 roku dnia 3 lutego, zakończył życie, licząc zaledwie 40 lat wieku.

Umarł na Lesznie w domu oznaczonym dziś Nr. 10-ym.

Zwłoki jego przewiezione zostały do grobu familijnego w Belsku pod Grójcem.

Artur Cppman.



JOACHIM CHREPTOWICZ

* 1729 † 1812.

Jedną z najsympatyczniejszych postaci schyłku XVIII i początku XIX wieku był Joachim Chreptowicz, człowiek wielkiej nauki i szlachetnego serca, zapisany złotymi głóskami w dziejach oświaty naszej, jako twórca Komisji Edukacyjnej.

Urodził się on 4 stycznia 1729 roku w Jasieńcu, z ojca Marcyana, starosty werbelskiego i matki Reginy Wojnianki, podczaszanki nowogrodzkiej. Lata dziecińne przepędził u babki swojej, Teofili z de Raesów Kazimierzowej Nieśiołowskiej, kasztelanowej smoleńskiej, a następnie zabrany został przez rodziców do Szczors, majątku ich rodzinnego, gdzie ks. Adam Chmielowski rozpoczął z nim pierwsze nauki, wykładając mu zasady gramatyki łacińskiej. Po latach kilku wyjechał pod opieką nauczyciela swego do akademii wileńskiej. Tu uczył się w dalszym ciągu języka łacińskiego od Onufrego Korytyńskiego i Wyrwicza, a po upływie lat dwóch przeniósł się wraz z księdzem

Chmielowskim do Brunsbergi, gdzie uczęszczał do kolegium jezuickiego na wykłady retoryki i poetyki w ciągu lat trzech. Następnie uczył się jeszcze rok jeden retoryki w Nieświeżu i rok jeden logiki w Wilnie. Ukończywszy te nauki, za-

ciągnął się do wojska litewskiego pod znak husarski królewicza Ksawerego. W roku 1752 został stolnikiem nowogrodzkim po stryju swoim Janie Chreptowiczu i rozpoczął ożywione życie publiczne, prezydując na sejmikach i posługując na sejmy. Z przekonań należał do stronnictwa Czartoryskich. W roku 1764 mianowany został na sejmie koronacyjnym sekretarzem wielkim litewskim i wyznaczony do tak nazywanej kombinacji stanów, w roku zaś następnym otrzymał godność marszałka trybunału litewskiego



Portret olejny ze zbiorów Biblioteki Narodowej w Wilnie.

Chreptowicz.

i order Św. Stanisława.

Ożeniwszy się po śmierci ojca w roku 1766 z Konstancją Przeździecką, podkanclerzanką litewską, powrócił do Szczors i wycofał się

z życia publicznego, skupując wiele wsi przyległych i zaokrąglając znaczny już majątek ziemski. Pobyt jednak na wsi trwał niedługo, bo praca ta nie zaspakajała Chreptowicza, wyjechał więc w roku 1770 pod pozorem ratowania zdrowia za granicę, zwiedzając kolejno Niemcy, Francję, Anglię, Holandję, Szwajcaryę i Czechy. Wszędzie studiował naturę, badał rodzaj rządów, zawierał znajomości z najwybitniejszymi uczonymi, jednając sobie życzliwość i szacunek wszystkich. Podróż ta wywarła wpływ wielki na życie późniejsze Chreptowicza, ożywiła energię jego i ugruntowała te przekonania i zasady, które sobie poprzednio wyrobił.

W niespełna rok po powrocie do kraju (1773 r.) otrzymał po zmarłym teściu swoim, Antonim Przeździeckim, podkanclerstwo litewskie. Od tej chwili prawie rozpoczyna się najważniejsza praca jego dla dobra kraju, praca, która mu zapewniła nieśmiertelność w dziejach narodu polskiego.

W roku 1773 papież Klemens XIV skasował zakon Jezuitów. Dowiedziawszy się o tem Chreptowicz, poszedł do króla i «choć już znalazł uprzedzenia, które jezuickie fundusze w różny sposób przeznaczały na dystrybucję... żądał, prosił i domagał się, żeby zniszczenie zakonu nie stało się zarazem zniszczeniem sposobów, któreby edukację utrzymywały» ¹⁾. Po porozumieniu się z królem podał delegacji sejmowej d. 4 października 1773 roku projekt utworzenia «*Komisji nad edukacją młodzieży narodowej szlacheckiej dozorującej*». «Nie należy mnie — mówił — w tak godnym i oświeconym zgromadzeniu pokazywać i dowodzić potrzebę utrzymania narodowej edukacji; braliśmy ją sami, opatrzeni użytecznymi do tego funduszami, za pozwoleniem zawsze Rzeczypospolitej uczynionymi. Winniśmy zostawić ją tym, którzy po nas następują, a winniśmy to im również, jak wszystkie rozsądne ustawy. Zniesienie zakonu ks. Jezuitów, którym większa część edukacji krajowej z większą częścią funduszków na to zapisanych powierzona była, otwiera Rzeczypospolitej okazję do uczynienia potrzebnych ku

utrzymaniu i powiększeniu światła narodowego ustaw» ¹⁾. Sejm poparł projekt Chreptowicza i dnia 14 października zatwierdził go ostatecznie. Król wybrał sam komisję edukacyjną, do której weszli: Ignacy Massalski, biskup wileński, książę Michał Poniatowski, biskup płocki, książę August Sułkowski, wojewoda gnieźnieński, Joachim Chreptowicz, książę Adam Czartoryski, generał ziem podolskich, Andrzej Zamojski, kawaler orderu Orła Białego, Ignacy Potocki, pisarz litewski i Antoni Poniński, starosta kopanicki. Szczególna wdzięczność należy się od narodu inicjatorowi komisji, zasłużyła się ona bowiem wielce w dziejach oświaty naszej i była, według słów Stanisława Potockiego, «pierwszem w Europie ustanowieniem opieki rządowej nad wychowaniem publicznem». Na tym samym sejmie delegacyjnym przemawiał Chreptowicz gorąco za wolnością poddanych, potępiając surowo «to jarzmo poddaństwa, w którym zostają».

Na sejmach 1778 i 1780 r. obrano go konsyliarzem Rady Nieustającej. Na sejmie czteroletnim pobudzał wszystkich do reform, a po uchwaleniu ustawy został ministrem spraw zagranicznych. W r. 1792 przyłączył się do konfederacji targowickiej i otrzymał urząd kanclerza, ale w roku następnym przed sejmem grodzieńskim złożył go i wyjechał do Karlsbadu, skąd udał się do Włoch. W roku 1794 wrócił do kraju... oddał synom swoim majątek ziemski, a sam osiadł na stałe w Warszawie, gdzie należał do grona założycieli Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Umarł d. 4 marca 1812 roku, pochowany u Kapucynów. W życiu towarzyskim był Chreptowicz bardzo miłym, rozmownym i niewyczerpanym w opowiadaniach z czasów przeszłych, odznaczał się pomimo to wielką powagą. Zasługi Chreptowicza świetnie scharakteryzował Tadeusz Czacki w następujących słowach ²⁾:

«On pomagał do gruntowania szczęścia narodzi w odmianie opinii narodu, w przedmiotach

¹⁾ Według opowiadania naocznego świadka, Michała Zaleskiego. (M. Zaleski. Pamiętniki. Poznań. Żupański 1879, str. 64 i 65).

¹⁾ Protokół albo opisanie zasług czynności na delegacji od stanów Rzeczypospolitej na sejmie ekstraordynaryjnym warszawskim. Warszawa 1775—6.

²⁾ Wstęp do mowy na pochwałę Chreptowicza. (O życiu i pismach Tadeusza Czackiego p. X. Alojzego Osieńskiego. Krzemieniec, 1816, str. 403 — 405).

Rządu. On szczególnie sprawił tę wielką w umysłach rewolucję, która odmianą w wychowaniu, stawiała nowe pokolenie odległe o dwa wieki od poprzedniczego. On wśród spraw najwyższych szanował i kochał nauki i dodawał mocą swego geniuszu piękności temu językowi, który nam został wśród tylu przygód szanownem dziedzictwem.

On wskazał środki i przykład, jak rządne gospodarstwo z bogaci właściciela, nie uciśnie włościana, jak wolność osobista i bezpieczeństwo dają wzrost bogactwu. Życie takiego człowieka wpływało, iż tak rzekę, do życia politycznego kraju».

Stefan Demby.



Jędrzej Śniadecki

* 1768 † 1838.

Jędrzej Śniadecki, jeden z największych geniuszów naszej nauki, urodził się w Wielkopolsce, w powiecie Kcyńskim, d. 30 listopada 1768 r. Gimnazjum kończył w Krakowie, gdzie znakomity brat jego, Jan, wykładał podówczas na Wszechnicy matematykę i astronomię. W r. 1788 wstąpił na wydział lekarski uniwersytetu Krakowskiego, gdzie jednak nie ukończył nauk, — po trzech latach udał się dla dalszych studyów do dalekich krajów, przeważnie do Włoch i Anglii. Pięć lat spędził Śniadecki na tej naukowej wędrówce, a zdolnością niezwykłą i pracą tak się już odznaczał, że zawiązał z nauczycielami swoimi, pierwszymi mistrzami ówczesnej nauki, bliskie stosunki naukowe i towarzyskie. W tej podróży poznał się przedewszystkiem dokładnie z chemią, która pod wpływem odkryć i poglądów Lavoisier'a na zupełnie nową przetworzyła się naukę. Bardzo zajmowała go też naówczas nowa i głośniejsza teoria życia i chorób Browna; z całym zapalem stał się stanowczym teorii tej zwolennikiem, a choć następnie poznał jej błędy, zawsze ją cenił wysoko. To gorące zajęcie się teorią życia, rozmyślanie nad nią było niewątpliwie źródłem, z którego wypłynęła własna Śniadeckiego teoria, jego najważniejszy tytuł do nieśmiertelności.

Skoro powrócił do kraju, powołano go natychmiast na profesora Akademii do Wilna, gdzie przed stu laty, w r. 1797, rozpoczął wykłady

chemii. Z dwóch względów te wykłady bardzo ważne miały znaczenie. Przedewszystkiem uniwersytet Wileński był jednym z najpierwszych w całej Europie, w których chemię podług nowych zasad wykładać zaczęto. Drugą, ważniejszą zasługą tych wykładów było stworzenie języka chemicznego. Chemia ma swój język odrębny, ma nomenklaturę niezbędną, bez której wcale uczyć jej nie można.

W swoich wykładach i w «Początkach Chemii», która wydana została w r. 1800, stworzył Śniadecki i ustalił tę nomenklaturę. A że i przedmiot wykładów znał gruntownie i głęboko, i obejmował doskonale, a zarazem był mistrzem niezrównanym języka polskiego, stworzył więc dzieło wspaniałe i trwałe. Wykłady jego, pełne nauki, a jasne i piękne, wielkim darem wymowy porywkające, miały bardzo licznych słuchaczy nie tylko z grona studentów i bardzo prędko nazwisko młodego profesora sławnem uczyniły. Choć Śniadecki nie dokonał ważniejszych prac samodzielnych na polu chemii, ma jednak niespożyte zasługi i pierwszorzędne znaczenie dla rozwoju tej ważnej nauki w naszym kraju.

W kilka lat po rozpoczęciu wykładów w Wilnie, w r. 1804, ogłosił drukiem pierwszą część «Teorii Jestestw Organicznych». Dzieło to, bardzo prędko na obce języki przełożone, wielkie uczyniło wrażenie, a autorowi nieśmiertelną zapewniło sławę. Wygłasza w niej Śniadecki no-



Engraved by W. S. & Co. Lith. by H. K. & Co.

Z Albumu Wileńskiego.

Siaduch

Witno 14. Apr. 1835.

wą teorię, poglądy, które dotychczas stanowią podstawę nauki o życiu. Pierwszy raz usłyszał świat tę wielką prawdę, że najważniejszą cechą życia, istotą jego niemal, jest obieg materii. Każdy żywy organizm bezustannie materię z zewnątrz przyjmuje, przyswaja sobie, a następnie rozrabia znowu i wydziela: wszakże tylko nieznaczna część materii ziemskiej, tylko materia «ożywna», życie jestestw organicznych podtrzymać jest zdolna: «Życie w materii ożywnej w powszechności jest ciągłą przemianą materii». Słusznie nazywa Śniadecki tę prawdę «najważniejszą prawdą, do jakiej w nauce życia przyjść można było».

I wprost, bezpośrednio, z tej wielkiej myśli wypływają inne myśli ważne i zasadnicze. Przede wszystkim życie nie mieści się w jakimś pojedynczym organie, skąd cała, martwą zresztą, rządzi machiną, nie jest czemś, co od organizmu oddzielić można, jest tylko «pewnym exystowania materii sposobem»: «życie jest to samo w każdym indywiduum, w każdym organie, owszem w każdym punkcie żyjącym, jak w całym ogromie ożywionego świata; wszędzie jest ruchem ożywionej materii, wszędzie ustawiczną jej przemianą».

Każdy organ żyje, ale każdy ze względu na swą budowę żyje odmiennie, w każdym inaczej, we właściwy mu sposób, życie się objawia. W jakikolwiek sposób zmysł jaki do czynności zostanie pobudzonym, zawsze tylko jednym, zawsze tym samym sposobem tę czynność objawi. Bardzo tu jasno wypowiada Śniadecki teorię, która pod nazwą «specyficznej energii zmysłów», później dopiero i przez kogo innego wprowadzoną być miała do nauki.

Materię muszą naprzód niższe przyswoić sobie istoty, zanim ona stopniowo coraz wyższym służyć może za pokarm. Więc «formowanie się jednych jestestw organicznych będzie wstępem i przygotowaniem do formowania innych, a życie całej organizowanej jedności nie tylko ciągłym procesem organicznym, ale i ciągłą zamianą jednych części w drugie. Tak, że gdyby jestestwa organiczne całkiem zniszczone być mogły, i rozpoczynać się na nowo miały, tedy musiałyby się koniecznie rozpocząć od najpierwszych wielkiego tego szeregu członków, po

uformowaniu których następowałyby tuż z nich powstające, i tak dalej aż do ostatnich». Wszak w tem zdaniu wypowiada Śniadecki teorię stopniowego rozwoju istot organicznych, choć ten rozwój stopniowy raczej pod względem chemicznym, niż morfologicznym pojmuje. A przede wszystkim muszą rośliny przygotować pokarm dla zwierząt. Ten stosunek świata zwierzęcego do roślinnego genialnie uchwycił Śniadecki, choć my dziś, ze stanowiska obiegu sił w świecie organicznym, inaczej ten stosunek rozumiemy.

«Teoria Jestestw Organicznych» z dzisiejszymi naszymi poglądami nie zgadza się w bardzo ważnym punkcie, — nie zgadza się jednak więcej pozornie, niż w istocie swojej. Dla objaśnienia obiegu materii przyjmuje on dwie siły, jedynie do organicznego świata należące: siłę organiczną, tkwiącą w samym organie, i ożywność, która stanowi istotną własność materii ożywnej; pierwsza siła na materię ciągle wywierać się musi i zmusza organizm do ustawicznego przyjmowania materii, — dzięki drugiej materia ożywna dąży bezustanku do przyjęcia na się kształtów organicznych. Dziś tych sił odrębnych nie uznajemy. Zdaje się jednak, że już znowu przestają uczeni w to wierzyć, co za dogmat podawano wczoraj: że wszystkie zjawiska życia dadzą się rozłożyć bez reszty na sprawy czysto fizyczne i chemiczne. U Śniadeckiego wreszcie te siły własne świata organicznego nie działają nigdy samodzielnie; wszystkie zjawiska życia powodują istotnie siły zewnętrzne, chemiczne i fizyczne, pod kierunkiem tylko sił organicznych. «Słońce jest jedną z istotnych i koniecznie potrzebnych przyczyn życia, czyli jedną z sił, życie stanowiących, i powinno być uważane za przyczynę życia w ogólności».

W r. 1822, po 25 latach, opuścił Śniadecki, jako emeryt, katedrę chemii, wkrótce jednak, w r. 1824, rozpoczął na nowo wykłady na uniwersytecie, ale już zupełnie innego przedmiotu. Bo nie tylko chemią dotychczas zajmował się Śniadecki w Wilnie, — był on przede wszystkim lekarzem, a rozległa i głęboka wiedza lekarska, bystry dar spostrzegawczy i niezwykle przymioty charakteru wielkie mu na tem polu wyrobiły uznanie. To też, kiedy zawakowała katedra kliniki lekarskiej, powołano na nią Śniadeckiego, i już do śmierci na tem stanowisku pozostał.

Na nowem polu nową zyskał chwałę. Profesor kliniki musi dać umysłom młodym szerokie podstawy naukowe i filozoficzne, zasady ogólne, któreby w każdym pojedynczym przypadku kierowały lekarzem,—świetnie zadanie to spełnić umiał Śniadecki, a wielkie uznanie, jakie lekarze ze szkoły Wileńskiej zjednywali sobie powszechnie, świadczy najlepiej o wartości kliniki.

Z prac lekarskich ściśle naukowych pozostawił Śniadecki tylko dość liczne rozprawy pojedyncze. Ogólna teorya chorób miała stanowić ciąg dalszy «Teoryi Jestestw», ale to wielkie i na wielkie rozmiary zakreszone dzieło nie zostało ukończone.

Jak po obywatelsku pojmował Śniadecki obowiązki lekarza, świadczą liczne rozprawy popularne, pomieszczane w pismach ogólnych; najtrafniejszą, najpiękniejszą i najobszerniejszą z nich jest rozprawa «O fizycznym wychowaniu dzieci».

Ale i na zgoła odmiennem polu literatury pracował Śniadecki z wielkiem powodzeniem. Był on prezesem towarzystwa literackiego «Szubrawców», które za cel swój wzięło poprawę obyczajów przez ośmieszanie wad i złych nałogów społeczeństwa.

W «Wiadomościach brukowych», tygodniku wydawanym przez «Szubrawców», umieszczał

Śniadecki liczne artykuły, w których wyszydzał i ośmieszał piniactwo, cudzoziemczyznę, próżniactwo, wiarę w cudownych lekarzy i oszustów naukowych, jak magnetyzerzy; a tak się umiał nagiąć do tej humorystyki, że niewielu w literaturze naszej pisarzów pod tym względem równać się z nim może.

Te szerokie dziedziny, jakie obejmował jego umysł i jego działalność społeczna, szeroki zawsze, światły i samodzielny pogląd, ta dbałość o artystyczne opracowanie dzieł, umysł swobodny i pogodny: to wszystko świadczy o wysokim nastroju umysłowym, artystycznym i obywatelskim, jaki podówczas w Wilnie panował; wszak w tej atmosferze wyrosły najwspanialsze postacie naszej literatury, a Śniadeccy może najbardziej podtrzymywali ten nastrój wysoki. Nauka nasza, niestety, mało skorzystała ze Śniadeckiego. Daleko też mniej jest on znanym, daleko mniej czytane są jego pisma, niż na to dziś jeszcze zasługują ze względu zarówno na treść, jak i na język wzorowy, czysty i prosty a piękny.

Otoczony uznaniem i uwielbieniem powszechnem, umarł Śniadecki w Wilnie 11 maja 1838 roku; pochowany w majątku własnym, w powiecie Oszmiańskim.

Dr. Zygmunt Kramsztyk.



Euzebiusz Słowacki

* 1772 † 1814.

Euzebiusz Słowacki, jakkolwiek mu przypadło w udziale być ojcem niepospo-

litego syna, był sam ze wszech miar człowiekiem niepospolitym, co, jak wiadomo, nie o wszystkich ojcach wielkich poetów i artystów powiedzieć można... Pod tym względem poszczęściło się Juliuszowi Słowackiemu wyjątkowo: ojciec jego był także poetą; nie genialnym wprawdzie, ale także i nie tuzinkowym.

Była to natura szlachetna, wykwinna, pełna najwznioślejszych aspiracji: charakter prawy, nieskazitelny, a serce złote. Wystarczy spojrzeć na jego portret, malowany w Wilnie przez Rustema, a znajdujący się dziś w lwowskim Ossolineum, ażeby sobie wyrobić o nim przeko-

nanie, że taka twarz o rysach regularnych i ujmujących, o oczach czarnych, inteligentnych i peł-

nych jakiejś melancholii w spojrzeniu, może tylko być wyrazem dobroci i «łagodności duszy». Jakoż były to dwa przymioty, które Euzebiusza Słowackiego cechowały najwybitniej. Co także charakteryzowało go bardzo stanowczo, to smutek. Była to *une âme triste*. «Smutek jest towarzyszem moim od powicia»—pisał w swoim horacyuszowskim *Liście do Erazma* Słowackiego, swego młodszego brata.

Obdarzony «darem prawdziwym czy zwodniczym, dalszego widzenia», obserwujący trafnie, posiadając umysł przenikliwy i bystry, mimowoli zapatrywał się na życie i na ludzi sceptycznie



Podług portretu Pitschmanna, ze zbiorów E. Mitya.

Euzebi Słowacki

i nie bardzo im ufał. Więcej, aniżeli pocziwych
i zacnych, spotykał

nie bardzo przyjemnych,
Fałszywych, próżnych, srogich, zuchwałych, nikczem-
[nych.

A że własnymi nieszczęściami nieraz miał
sposobność «sprawdzić te wnioski», nie co inne-
go więc, tylko «cierpienia i kłeski, zamiary i tro-
ski»

Były i są przyczyną, że nigdy wesół
Myśl zoranego smutkiem nie wyjaśni czoła.

Stąd nie potrafił nigdy «i śmiać się i my-
śleć» jednocześnie, bo czemukolwiek przypatrzył
się bliżej, we wszystkim, pod najkorzystniejszymi
nieraz ukryte pozorami, dostrzegał obłudę, fałsz,
głupotę, wszędzie znajdował wzory,

które rada zbiera

Ta, co śmieszności ludzkie maluje, satyra.

Z takim poglądem na świat, poglądem umo-
tywowanym doświadczeniem życiowym, nie dziw,
że pomimo całej «łagodności duszy», którą się
odznaczał przede wszystkim, zbyt często może
w stosunkach z ludźmi był sarkastyczny, zgryźli-
wy, ironiczny, i że złośliwość ta, tem dotkliwsza
niejednokrotnie, że okraszona dowcipem, ośmie-
szającym przeciwnika, niemało tem samem mogła
mu z biegiem czasu narobić nieprzyjaciół: bo lu-
dzie nie lubią, żeby sobie z nich stroić drwinki,
zwłaszcza, gdy na nie zasługują.

Urodzony w Podhorcach, w Galicyi, d. 15
grudnia 1772 r., jako syn niebogatych — ale ze
stanu szlacheckiego — rodziców (Słowaccy pieczę-
towali się herbem Leliwa), w siódmym roku po-
stradawszy ojca, został z dwoma młodszymi brać-
mi, Erazmem i Józefem i dwiema siostrami pod
opieką matki i stryja. Oddany przez nich w bar-
dzo młodym wieku do szkoły w Krzemieńcu, dał
tutaj od pierwszej chwili dowody niepospolitych
zdolności, a rozwijającym się z rokiem każdym
coraz bardziej talentem pisarskim obudzał współ-
zawodnictwo w gronie swych rówieśników. Po
ukończeniu nauk wszakże, pozbawiony środków
utrzymania, zamiast — jak to było jego marze-
niem — pojechać dla dalszego kształcenia się na
który z uniwersytetów zagranicznych, a choćby
nawet i do Krakowa, wyjednał sobie przez przy-
jaciół w Warszawie patent na geometrę królew-
skiego i zaczął trudnić się prywatnem rozmiarza-

niem majątków obywatelskich na Wołyniu. Lecz
zawód ten, niestety, nie dawał mu zadowolenia
moralnego, nie dostarczał pokarmu dla duszy,
którą wyjaławiał raczej. Dusza zaś w tym mło-
dym geometrze była wrażliwa niezmiernie, szcze-
gólniej na rzeczy piękna, poezyi! Z natury obda-
rzona żywą wyobraźnią i nieprzepartą żądzą nau-
ki i wiedzy, a może i sławy, szamotała się wsku-
tek tego w narzuconych jej więzach najrealniej-
szej rzeczywistości, jak Pęgasz w jarzmie... Na
szczęście nie sądzono mu było, długo marnować
się w ten sposób: jeden z najbogatszych obywa-
teli na Wołyniu, Poniatowski, widząc, że pod
niepokądną figurą tego geometry ukrywa się nie-
powszedni umysł, powierzył mu wychowanie
swych dzieci. Pod dachem tego domu, gdzie ma-
jąc do swej dyspozycji piękną bibliotekę, zaopa-
trzoną w klasycznych pisarzy francuskich i rzym-
skich, mógł się w nich rozczytywać dowoli, prze-
konał się, co było jego właściwem powołaniem,
i zdecydowawszy się poświęcić wyłącznie nauce
i poezyi, zaczął tłumaczyć *Henryadę* Woltera.
Tłumaczenie to, przeczytane najbliższym, tak się
spodobało, że je bez wiedzy ani upoważnienia
autora ogłoszono w Warszawie w r. 1803. W czte-
ry lata później, gdy się organizowało gimnazjum
wołyńskie w Krzemieńcu, powołał go Czacki na
profesora literatury polskiej. Karyera profesorska
bardzo mu się uśmiechała, a że z włożonych na
się obowiązków miał zwyczaj wywiązywać się su-
miennie, więc, jak sam powiada, «nigdy się je-
szcze nie rzucił w pracowitszy zawód». Chciwy
nauki, znalazłszy w bibliotekach Poryckiej i Krze-
mienieckiej, tudzież w prywatnej Czackiego odpo-
wiedni materiał do nasycenia swej żądzy wiedzy,
zakopał się w studyach, doprowadzając nieraz
pilność swą aż do przesady, z uszczerbkiem dla
wątłego zdrowia. Po roku pobytu w Krzemień-
cu, ożenił się tu z panną Salomeą Januszewską.
Pomiędzy kolegami swymi, jak i pomiędzy
uczniami cieszył się niebywałą sympatją wszyst-
kich, z czem szło równocześnie w parze i naj-
wyższe poważanie dla pisarza, zarówno, jak i dla
wytwornego mówcy, który miał niemniejszy dar
wysławiania się, jak wypisania. Stąd prawie na
wszystkich uroczystościach otwarcia lub zamknię-
cia roku szkolnego, w których programie był
zwykle odczyt publiczny, na mównicę występo-
wał przysły ojciec Juliusza Słowackiego. Ten

ostatni urodził się w sierpniu r. 1809, we dwa miesiące po ogłoszeniu przez uniwersytet wileński konkursu na rozprawę *O sztuce dobrego pisania w języku polskim*, konkursu, którego laureat miał możliwość otrzymania w Wilnie wakującej katedry historii literatury polskiej, czyli, jak się mówiło podówczas, wymowy i poezji. Euzebiusz Słowacki, pomimo iż w Krzemieńcu «niepodzielnem cieszył się uznaniem uczniów i kolegów», postanowił ubiegać się o tę katedrę: raz dlatego, że mu zależało na większej pensji, a powtórnie, że, ambitny z natury, wolał mieć tytuł profesora uniwersytetu, aniżeli w dalszym ciągu poprzestawać na skromnym tytule nauczyciela gimnazjalnego. W tej myśli zabrał się do pisania rozprawy na rzeczony konkurs, w nadziei, że z tego turnieju wyjdzie zwycięzcą. I zwyciężył. Z nadejściem lutego 1811 r. otrzymał list z Wilna, w którym mu rektor uniwersytetu tamtejszego, Jan Śniadecki, pisze między innemi, iż po przeczytaniu jego rozprawy «Rada pełna uchwaliła, że WM. pan okazał się przez to pismo godnym placu profesora ordynaryjnego Wymowy i Poezji w uniwersytecie». W pół roku później, d. 15 września, Euzebiusz Słowacki miał swój pierwszy wykład na wszechnicy wileńskiej. Od pierwszej chwili miał ogromne powodzenie jako profesor. A jako człowiek? Odrazu podbił sobie serca wszystkich. Poznano się na nim, a jedyny zarzut, który go spotykał od całego grona znajomych i kolegów, był zarzut zbytnej pracowitości: zdaniem wszystkich, zbyt wielkie ciężary brał na swoje wątłe barki. On tymczasem, niebacznym na te życiowe przestrogi, «jakby dręczony przecuciem, iż kres jego żywota niedaleki, posuwał pracowitość swą aż do przesady i nie umiał naznaczyć jej granic». Poza godzinami wykładów uniwersyteckich, tudzież godzinami, poświęcanymi na przygotowanie się do nich, pracował nad krytyczną historią literatury polskiej, pisał, tworzył, tłumaczył... Nadto, żeby zwiększyć dochody, ustawicznie pomnażał swe zatrudnienia, pisując artykuły do «*Kuryera Litewskiego*» (sprawozdania teatralne w tem piśmie od września 1811 r. są jego pióra), aż w końcu podjął się roli redaktora tego pisma. Tak upłynęło trzy lata, na które również przypada przejście Napoleona z wielką armią przez Wilno w r. 1812 — fakt, który Euzebiusza Słowackiego natchnął do napisania wspaniałego

wiersza na cześć tego nowożytnego Cezara. Jednocześnie zaczął uczyć czytać swojego jedynaka... Lecz lekcye te, niestety, nie miały potrwać długo: ojciec 5-letniego «Julka», z którego z czasem miał wyrósć autor *Anhellego*, coraz bardziej zaczął podupadać na zdrowiu; wszystko wróżyło, że jego dni były policzone. Okazała się potrzeba zaniechania wykładów w uniwersytecie, a oddania redaktorstwa «*Kuryera Litewskiego*» komu innemu; w końcu przyszła choroba obłożna, suchoty, na które też, ku powszechnemu żalowi swoich kolegów i uczniów, chory zmarł d. 22 października 1814 r.

W przecuciu rychłej śmierci, napisał dla syna swoje pamiętniki (które, zdaje się, zaginęły), przed samym zgonem zaś, już stygnącą ręką, skreślił następujący wierszyk, głęboko przejmujący swoją prostotą i smutkiem:

Wędrownik, w życia drodze stargawszy mdłą siłę,
Wkrótce rzucę, co miłe i co mi niemiłe.
Bez trwogi, nie bez żalu, widzę kres zbliżony,
Który nagle w nieznane przeniesie mnie strony:
W tę uchronę spokojną, gdzie wieczność przebywa,
I którą chmura, pełna tajemnic, okrywa.

Wierszyk ten, po śmierci Euzebiusza Słowackiego, znaleziono na jego stoliku, przy którym pisywał zawsze.

Co pisywał? Na to pytanie odpowiadają cztery grube tomy jego *Dzieł*, które wyszły w Wilnie, nakładem księgarni Zawadzkiego, z przedmową Leona Borowskiego. Z nich okazuje się, że Euzebiusz był klasykiem najczystszej wody w duchu rzymsko-francuskim, klasykiem jednak, który, wolny od niektórych przesądów i stronniczości, właściwych innym jego współczesnym literackim, bardziej był umiarkowany od nich. Jeżeli tłumaczył utwory poetów obcych, to ze starożytnych wybierał Wergiliusza, z którego przełożył dwie sielanki, dwie księgi z *Ziemiastura* i kilka ksiąg — wierszem lub prozą — z *Eneidy*; albo Horacego, z którego wytłumaczył — prozą — cały list do Pizonów i kilkanaście Ód; lub Owidyusza, którego przełożył jedną księgę *Żalów*; z nowoczesnych poetów zaś, w których mniej, zdaje się, smakował, aniżeli w starożytnych rzymskich (z greckich nie przetłumaczył ani jednego), wybierał takie utwory, jak niektóre sentymentalniejsze pieśni z *Jerozolimy* Tassa, jak *Sielanki* Gessnera, jak Delille'a *Poema o imaginacji*. Two-

rząc oryginalnie, pisał tragedye w smaku francuskim, na wzór Kornela i Rasyna, wedle tego samego szablonu, jak pisał Feliński *Barbarę Radziwiłłównę*, jak pisał Wężyk *Wandę*, jak chciał, ażeby pisano tragedye, drewniany Ludwik, Ludwik Osiński. Pod tym względem nie wiele można zarzucić obu tragedjom Euzebiusza Słowackiego: zarówno *Mendogowi*, jak *Wandzie*; obie pisane są 13-zgłoskowym aleksandrynem, obie są podzielone na pięć aktów, u obu autor przestrzega jedności miejsca i czasu. Prace Euzebiusza Słowackiego historyczno - literacko - estetyczne, traktujące o *Teoryi wymowy*, o *Teoryi poezyi* lub rozbierające takie dzieła, jak Delille'a *Ogrody*, Junga *Sad ostateczny*, Pope'a wiersz *O człowieku* lub *Historya pukla włosów*, a nawet *Luizyady* Kamoensa etc. etc., świadczą o niezwykłym, jak na owe czasy, odczycaniu autora. Nadto posiadał gruntowną znajomość historii piśmiennictwa ojczystego. Jego rozprawy o *Pisarzach polskich dawnych i późniejszych*: o Kochanowskim, Skardze, Górnickim, Orzechowskim, Birkowskim, Krasickim

i wielu innych, należą do najlepszych rzeczy krytycznych, jakie u nas pisano podówczas, a choć pisane w duchu pseudo-klasycznym, nie brak w nich przecież gorących słów uwielbienia dla «autorów złotego dla nauk polskich Zygmuntów wieku». «O, jaka rozkosz dla Polaka — czytamy w jednej z tych rozpraw—gdy położywszy obok Teokryta sielanki Szymonowicza, waży się, zawieszony w zdaniu, któremu dać pierwszeństwo; gdy w *Trenach* Jana Kochanowskiego spostrzega ton elegii tkliwszy i naturalniejszy, niżli w Owidyuszu; gdy w mowach Orzechowskiego znajduje kawalki, godne Demostenesa i Cyncerona!»

Tak się przedstawia sylwetka Euzebiusza Słowackiego, który, gdyby nawet nie był ojcem przyszłego twórcy *Balladyny*, i tak nie przeszedłby zapomniany w dziejach naszego umysłowego rozwoju, zawsze bowiem należałby nietylko do najuczeńszych, ale i do najbardziej sympatycznych osobistości swego czasu.

Ferdynand Hösick.



Marceli Bacciarelli

* 1731 † 1818.

Z urodzenia Włoch, przyszedł na świat w Rzymie w r. 1731 d. 16 lutego. Zaproszony przez króla Stanisława Augusta do Warszawy, a w roku 1786 nobilitowany, zrósł się kilkudziesięcioletniem życiem z Polską i tyle wpływu na sztukę jej wywarł, bo, wedle Ciampiego, był pierwszym dziekanem wydziału Nauk i Sztuk Pięknych przy uniwersytecie Warszawskim, założonym w roku 1816, że niepodobna nam usunąć go z szeregu ludzi zasłużonych krajowi na początku wieku bieżącego. Utalentowany bardzo, zanim się w Warszawie osiedlił, był już znany w Dreźnie i Wiedniu jako malarz portretowy dworski. Z Włoch przyniósł umiejętność malarską dojrzałą, ale, niestety,

i zmanierowaną, zaprawną w dodatku indywidualną zamaszystością ręki. Komponował z łatwością, do-

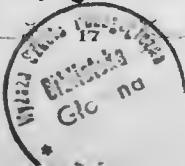
brze i składnie—lubo niezbyt oryginalnie. Wyrazistość postaci Bacciarellego była słodka i mało energiczna, a kolorysta jasny w bladej niemal wpadającej, ale bardzo harmonijny i przyjemny. Portrety, których Bacciarelli bardzo dużo wymalował, nie odznaczały się tożsamością rysów, ale tchnęły zawsze wielkim powabem wykonania, którego wytwornością zachwycali i do dziś dnia świętnieją wdziękiem wyrazu i zręcznością techniki pamięciowej niedbającej o prawdę przyrodzoną zupełną, niemniej jednak znakomitej.

Mimo wszystkie, wymienione tu, usterki, prace malarskie Bac-



Podług portretu własnoręcznego.

Marcello Bacciarelli



ciarelliego wywarły dodatni wpływ na rozwój sztuki w kraju, wpływ ten donioślejszy, że malarz dworski budził naokoło siebie ruch artystyczny, będąc dyrektorem budowli królewskich, ozdobionych rzeźbami i malowidłami ściennymi i stalugowemi. Ostatni wpływ nareszcie miał się na dłużej jeszcze rozciągnąć za pośrednictwem akademii Sztuk pięknych, dla zaopatrzenia której we wzory, Bacciarelli z rozkazu króla objechał Włochy i Francję południową, skupując odlewy posągów starożytnych. Wpływ bezpośredni musiał Bacciarelli wywierać na uczniów, których w swej zamkowej pracowni kształcił, ale nie znając ich nazwisk, za wyjątkiem Kotarskiego, mianego malarza, nie możemy sprawdzić, jak był doniosłym. Ślad wpływu pośredniego znajdujemy na układzie i stroju portretów Franciszka Lampiego, który jednocześnie ojca własnego był naśladowcą, programu zaś wydziału Sztuk Pięknych przy uniwersytecie warszawskim w aktach doszukać się nie mogliśmy.

Jako człowiek Bacciarelli wspominany jest przez współczesnych w wyrazach pełnych czci dla jego charakteru zacnego, pełnego zalet obywatelskich i ludzkich. Do ostatnich chwil życia zachował się w zdrowiu, czerstwości ciała i żywotności uczuć, schodząc ze świata d. 5 stycznia 1818 roku.

Przejdźmy teraz do faktycznej spuścizny artystycznej tego niezwykle czynnego, a wysoce uzdolnionego artysty. Ogółem utworzył obrazów olejnych około 200, w tej liczbie przeważają portrety — w mniejszej liczbie obrazy historyczne stalugowe i ścienne, ogromne alegoryczne a wyjątkowo tylko religijne. Zamek królewski w Warszawie i Łazienki zawdzięczają Bacciarellemu bardzo dużo i to nie tylko dlatego, że jego malowidłami były ozdobione, ale jako budowle — przy których budowie, przeróbkach i układzie wewnętrznym wpływał radą i smakiem artystycznym na szczególne zalety ich piękności.

W Zamku w sali marmurowej były 23 portrety królów polskich, od Bolesława Chrobrego aż do Stanisława Augusta, w tejże sali sufitowe malowidło wyobrażało sławę, głoszącą pamiętne czyny Monarchów Polskich, — w sali zaś koncertowej wymalowany był Jowisz, wyprowadzający świat z zamętu; ogromny ten obraz istnieje jeszcze.

Do sali rycerskiej wykonał sześć obrazów olejnych historycznych: Kazimierza Wielkiego, nadającego prawa, Władysława Jagiełłę, ustanawiającego Akademię Krakowską, Nadanie Prus w lenność księciu Albertowi przez Zygmunta I, Unię Litwy z Koroną za Zygmunta Augusta, Traktat Chociński i Oswobodzenie Wiednia przez Jana Sobieskiego. Trzeci sufit w dawnej sali tronnej przedstawiał rozkwit w pokoju sztuk, nauk i przemysłu. Wymalował też do zamku dziesięć portretów znakomitych zasłużonych ojczyźnie mężów. Byli w szeregu tym: Mikołaj Kopernik, Jan Tarnowski, Roman Sanguszko, Jan Karol Chodkiewicz, Stanisław Hozyusz, Rewera Potocki, Krzysztof Radziwiłł, Andrzej Olszowski, Marcin Kromer i Marcin Kącki. W liczbie obrazów stalugowych, wykonanych dla króla Stanisława Augusta, najpewniej do zamku, znajduje się jeszcze kilkanaście alegorycznych, mitologicznych, z starego testamentu i parę religijnych. Spisy wspominają na końcu o jednym jeszcze obrazie sufitowym owalnym, przedstawiającym Tryumf Amfitryty.

W Łazienkach, w tym klejnociku piękności architektonicznej i smaku wytwornego, oprócz obrazów olejnych rozmaitych mistrzów z wyboru Bacciarelliego, oprócz zmniejszonego wymiaru loggiów Rafaela, wstawionych w galerię nad arkadą kościoła, Bacciarelli sam ozdobił własnoręcznie salę Salomona malowidłami, wyobrażającymi na suficie Sen Salomona, a na ścianach: poświęcenie świątyni Jerozolimskiej, Ofiary składane przez Salomona, Sąd Salomona, Królową Sabę, Salomona z królem Hieram, tudzież cztery postacie alegoryczne: Sprawiedliwość, Mądrość, Łagodność i Siłę. W obrazie «Poświęcenie świątyni» portretowane są osobistości współczesne.

Najważniejszym obrazem religijnym Bacciarelliego z niewielkiej ich liczby było naśladowanie obrazu ołtarzowego z katedry Ś-go Jana, malowanego przez Palmę starszego i wyobrażającego N. Pannę z dwoma świętymi, Janem i Stanisławem, którą to pracę ofiarował artysta archikatedrze w chwili, gdy oryginalne malowidło było czasowo z ołtarza wyjęte i do Paryża przez Napoleona I zabrane.

Całą prawie resztę zawodu artystycznego Bacciarelliego, około stu trzydziestu rozmaitej wielkości malowideł, zapewniają szeregi portretów

nietylko licznej rodziny króla Stanisława Augusta, ale najznakomitszych rodzin magnackich polskich. Rastawiecki w *Słowniku malarzów polskich* podaje dokładny spis wszystkich prac Bacciarellego, całe katalogi ich i szeregi. Te portrety z natury malowane, stanowią najbogatszy i najpiękniejszy skarbiec pamiątek dziejowych, przechowując nam rysy postaci i wogóle cały wygląd ludzi ówczesnych, chociaż przywarty pospolicie do ust wyraz słodczy jest nietylko powtórzeniem dokładnem rysów osoby danej, ile rodzajem ozdoby, którą się wszystkie ówczesne portrety odznaczały.

Do portretów historycznych z wieków ubiegłych miał Bacciarelli niewątpliwie najlepsze materiały źródłowe, krytycznie przez Naruszewicza wybrane i objaśnione. Panująca w sztuce ówczesnej maniera w połączeniu z właściwem Bacciarellemu zacięciem zamaszystej ręki sprawiła, że portrety te wartości źródłowej nie posiadają—ale

są tylko pamiątką, która upiększała niegdyś Zamek Warszawski.

Współcześni wysoko cenili Bacciarellego; jego podróż zagraniczna, odbyta w celach artystycznych, najlepszym była tego dowodem: witany na dworze cesarskim — w Wiedniu, książęcym—we Florencyi, papieskim—w Rzymie, ozdobiony dyplomami akademickimi: Drezna, Berlina i Ś-go Łukasza w Rzymie, mianowany po powrocie do Warszawy członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, cieszył się sławą artysty dzielnego, doznając jednocześnie jako człowiek szacunku i poważania od współobywateli.

Pochowany został wraz z żoną Fryderyką z Rychterów, zdolną malarką miniatur, w kościele katedralnym Ś-go Jana w Warszawie. Portretami obojga małżonków ozdobiony grobowiec upamiętnia miejsce spoczynku zasłużonego i dzielnego artysty.

Wojciech Gerson.



Tadeusz Czacki

* 1765 † 1813.

Na chmurnym widnokregu umysłowości naszej z początków bieżącego stulecia, wyróżnić należy gwiazdę pierwszorzędnej wielkości, która, pomimo upływu lat, do dziś dnia jeszcze zachowuje blask swój pierwotny. Taką gwiazdą umysłowości polskiej był mąż nietylko słowa, lecz czynu, obywatel, który harmonijnie skojarzył w życiu swem — naukę, z praktycznem jej do potrzeb życiowych zastosowaniem — Tadeusz Czacki.

Jeżeli utwory fantazyi częstokroć przez długie wieki zachowują swój urok, dzięki warunkom niezmienności ducha ludzkiego, skłonnego zawsze do hołdowania ideałom piękna, to wyjątkowa owa trwałość niezawsze jest udziałem dzieł naukowych. Rozwój umysłowy i postęp w sferze badań, zwolna odejmują pierwotną doniosłość dziełom, które zdawały się być nieśmiertelnymi.

A jednak dzieła Czackiego, że wymienimy tylko tytuł jednego z nich:

«*O litewskich i polskich prawach*»,

bez względu na upływ lat kilkudziesięciu od chwili ich powstania, do dziś dnia jeszcze zachowały pierwiastkową swą doniosłość i do dziś dnia służą jako jedyna powaga w rozstrzyganiu wątpliwości, nastęrczających się przy ocenianiu stosunków prawnych społeczeństwa rodzimego stuleci ubiegłych.

«Nikt nam lepiej nad Czackiego prawa polskiego nie wyjaśnił — pisze o zasłużonym mężu taka powaga niezaprzeczona jak ś. p. dziekan

Szkoły Głównej prof. Walenty Dutkiewicz. — Dzieła Czackiego są dla każdego prawnika niezbędne. Kto tylko chce nabyć jakiegokolwiek znajomości dawnych praw polskich, temu nie wolno nie od czytywać Czackiego.»

Lecz nietylko w sferze umiejętności czystej zapewnił Czacki swym dziełom zasłużoną nieśmiertelność. Z każdym rokiem wzmagają się przekonanie o niespożytych zasługach tego męża, położonych w sprawie oświaty rodzimej.

Najnowszymi czasy godny następca i dziedzie zasług ojca swego, Michał Rolle, pięknym dziełem swym, wydanem p. t. Ateny Wołyńskie, przystroił pomnik Czackiego nowym wieńcem z niewiędnych liści wawrzynu, wykazawszy doniosłość prac jego w ufundowaniu i rozwoju byłego Liceum Krzemienieckiego. Do szacownych przeto badań w tym kierunku pisarzy specjalnych, między innymi i Chmielowskiego, który, w *Encyklopedyi wychowawczej* (Tom III) zdołał się na pierwszy, obfitszy w szczegóły i dokumenty, życiorys Czackiego, przybył nam w dziele Rollego nowy przyczynek do zrozumienia doniosłości owej pięknej i wpływowej w dziejach naukowości naszej postaci.

Tadeusz Czacki, syn Szczęsnego, znanego ze stałości zasad swych obywatela, urodził się w roku 1765 w Porycku, na Wołyniu.

Wychowanie odebrał domowe pod kierunkiem sędziwego księdza jezuita, Faustyna Gro-





TADEUSZ CZACKI

*Z 1790 wprawy i pracy nieść będą prawniki.
Dwie pamiątki nam: różnica: język i nauki.*

M. M.

DŁK P. 1. 1. A. D. B. 1. 1.

Portret portretu ze zbioru Węglu.

Tad- Czacki LB BSL Komuni praz.

dzickiego i już w młodzieńczym wieku wstąpił na pole zawodu publicznego jako członek sądów zadwornych koronnych. Z własnej ochoty zabrał się do porządkowania akt metryki koronnej, a z woli sejmu wstąpił do komisji skarbowej w r. 1788, gdzie zjednał sobie imię pracowitego i nieskazitelnego urzędnika.

Już pierwsze prace publiczne Czackiego ujawniły w nim dążność do praktycznego użytkowania bogactw krajowych.

Krzatając się około uregulowania żeglugi na Dniestrze i Dnieprze, starał się o rozszerzenie zbytu ziemiopłodów krajowych, zajmował się projektem szczegółowego pomiaru Polski, spisywaniem sum duchowieństwa galicyjskiego, reformą obywatelską żydów, słowem, owe pierwsze kroki na polu działalności publicznej ujawniły w Czackim zdolności finansisty, uczonego, ekonomisty-prawnika, historyka i pedagoga.

W pracach sejmu czteroletniego nie przyjmował Czacki udziału czynnego. Nie dzielił entuzjazmu ogółu dla ustawy majowej, lecz jako posłuszny prawu obywatel wykonał przysięgę na wierność ogłoszonym przez nią zasadom, a gdy zwyciężyła Targowica usunął się do zacisza domowego, by wspólnie z wybraną małżonką Barbarą Dembińską na innej drodze być użytecznym swym współobywatelom.

Wypadki 1794 r. zagroziły mu utratą majątku, lecz Cesarz Paweł polecił mu zwrócić Ostróg, klucz brusiłowski i Poryck. W tymże czasie imieniem obywateli czynił starania o ustanowienie sądu głównego dla gubernii południowych i o przeniesienie akt metryki koronnej do tychże gubernii. W trakcie tych zajęć, gorliwie pracował nad dziełem o *litewskich i polskich prawach*, a przeniosłszy się za rządów pruskich do Warszawy wraz z Albertrandym, Sołtykiem i Dmochowskim osnuł pierwsze podwaliny do zawiązania «Towarzystwa przyjaciół nauk» celem pielęgnowania naukowości polskiej w języku rodzimym. Jednocześnie wszakże utworzył i inne towarzystwo o celach praktycznych. W roku 1803 odpłynął z portu odeskiego do Tryestu okręt pod banderą Tadeusza Czackiego, którego zadaniem miało być ułatwienie zbytu produktom krajowym na odległych rynkach handlowych.

Liberalny kierunek rządów Aleksandra I powołał na stanowisko kuratora wydziału naukowe-

go wileńskiego światłego Adama ks. Czartoryskiego, który był podówczas towarzyszem ministra spraw zewnętrznych. Pod zawiadywaniem Kuratorstwa wileńskiego pozostawały sprawy oświaty wszystkich dawniejszych do Cesarstwa przyłączonych prowincji polskich. Pragnąc przeprowadzić reformę oświecenia w owych prowincjach w duchu ustaw komisji edukacyjnej, ks. Czartoryski wspólnie z ks. Hieronimem Stroynowskim, rektorem ówczesnym akademii wileńskiej, powierzył Czackiemu urząd wizytatora szkół w prowincjach; wołyńskiej, podolskiej i kijowskiej, przyczem zachęcił go, by osobistym wpływem obudził ofiarność na cele oświaty rodzimej między obywatelstwem.

Czacki gorliwie zabrał się do dzieła; wsparty radami bawiącego podówczas na Wołyniu ks. Hugona Kollataja, zapragnął zreformować powierzone swej opiece szkoły w duchu praktycznym, tak, by młodzież w nich kształcąca się nabywać mogła wiadomości użytecznych, między innymi z dziedziny: ogrodnictwa, mechaniki praktycznej i weterynaryi. Wszystkie powagi ówczesne powołanymi zostały do wynurzenia opinii w ważnej sprawie reformy szkolnictwa: Ignacy Potocki, Staszic, Jan Śniadecki, Linde, Chodkiewicz. Przedewszystkiem wszakże uznał Czacki za konieczne utworzenie gimnazjum nowego na Wołyniu w Krzemieńcu, któreby stanowiło zakład wzorowy i rozsądnik przyszłej oświaty na Rusi. Niezależnie od teoretycznych prac około przyszłej reformy, postanowił Czacki osobiście zająć się gromadzeniem między obywatelstwem funduszy na utworzenie upragnionej szkoły.

Wypracowane przy współudziale Kollataja ustawy szkoły Krzemienieckiej zyskały dnia 29 Lipca 1805 r. sankcyę Cesarską. Otwarcie owego zakładu naukowego nastąpiło w d. 1 Października t. r., urządzenie zaś pensyi żeńskich, konwikt dla ubogich uczniów, seminarium nauczycieli parafialnych, szkoły chirurgów, akuserek, weterynarzy i t. d., dopełniły dzieła z takim zaparciem się i poświęceniem przeprowadzonego.

Odtąd Czacki postanowił resztę dni swoich poświęcić ukochanej instytucji i sprawie oświaty. Zawieść współzawodników usiłowała zniweczyć w zarodzie samym kielkujące ziarna lepszej przyszłości młodszego pokolenia, lecz obywatelska cnota Czackiego pokonała te intrygi, dzięki bez-

granicznemu zaufaniu, jakie szlachetny minister Zawadowski żywił dla intencji reformatora. Dowodem owego zaufania było powierzenie Czackiemu zastępstwa obowiązków kuratora wydziału wileńskiego.

Nieustając w pracach około zabezpieczenia bytu zreformowanych szkół na Wołyniu, wyjednał Czacki w r. 1807 ustanowienie w Wilnie i Krzemieńcu dwóch komisji sądowo-edukacyjnych, celem wyświeetlenia stanu funduszów w dawnych czasach na oświatę przeznaczonych, rezultatem czego była możliwość powiększenia liczby szkół parafialnych na Wołyniu i lepsze uposażenie innych zakładów naukowych.

Raz jeszcze w r. 1810 usiłowała zawiść nieprzyjaciół podkopać fundamenta budowy Czackiego, lecz wyznaczona komisja do zbadania zarzutów duchowi wykładow w szkołach Czackiego uczynionych, bezgruntowność ich wykazała. Cesarz Aleksander I zezwolił obywatelom Podola, Wołynia i Ukrainy, uwiecznić zasługi Czackiego wybiciem medalu z jego popiersiem i stosownym napisem.

Chmielowski w pięknym swem studyum, poświęconem Czackiemu, przytacza słowa wielkiego meża skierowane na krótko przed zgonem do syna.

Malują one szlachetne dążności, cele i aspiracje człowieka, który owocnej pracy dla dobra współbraci życie całe poświęcił. «Los nigdy dla mnie nie uśmiechał się — pisał Czacki. Od kilkunastu lat publiczne i prywatne przygody ciągną idą kolejną. Opatrzność może położyć granicę nieszczęściom, może je zwiększyć. Szanujmy wyrok Nieba, a pracujmy, aby sumienie nasze zaświadczyło, że jesteśmy godni mieć pomyślność w udziale. Już zbliżasz się do tego wieku, gdzie będziesz poznawał te wszystkie przyczyny, które kraj wymazały z liczby narodów. Przekonasz się, że sama cnota jest wszystkim; ona towarzyszyć winna od pierwszych lat do grobu, ona jedna czyni, że człowiek nie może być zupełnie nieszczęśliwym. Pamiętaj, abyś ziomkom służył. Apatya niech nie ma w twoich oczach cechy cnoty obywatelskiej. Są ludzie, jest ta sama ziemia, która przodków twoich żywiła i ciebie żywi. Jest i będzie wiecznie ten sam Bóg, który wspó-

ludziom przynosić pomoc i nawzajem ją odbierać każe...»

Ostatnią czynnością publiczną Czackiego było otwarcie w r. 1812 gimnazjum Kijowskiego. W rok niespełna, d. 8 Lutego 1813 r. nagle, w sile wieku, zmarł w Dubnie. Pochowany w grobach przodków w Porycku.

Posiew, rzucony przez Czackiego na niwę naukowości i oświaty polskiej, wydał niespożyty owoc. Na polu nauki dzieła Czackiego, między którymi badania jego nad duchem praw polskich i litewskich, nad wpływem praw rzymskich i północnych na ustawodawstwo dawnej Rzplitej, nad ewaluacją monet, nad epoką Zygmunta Augusta, rozprawa jego o żydach, zdumiewające ogromem erudycji, do klasycznych w literaturze swojskiej zaliczyć się dadzą. Dosyć powołać się w tej mierze na świadectwa takich uczonych jak: Linde, Ignacy Potocki, Michał Wiszniewski, Daniłłowicz, Jekel, Gołębiowski i Dutkiewicz, by opinia tego rodzaju o pracach naukowych Czackiego prawie przed stuleciem ogłoszonych, nie była zdawkową monetą pochwały, faktami nie stwierdzonej.

Obok takiej zasługi zarejestrowanej na kartach dziejów literatury ojczystej, dostatecznie wymienić kilkanaście nazwisk uczniów krótkotrwałego niestety zakładu naukowego, energią Czackiego powołanego do życia, by ocenić doniosłość wpływu, jaki szkoła Krzemieniecka przez tych właśnie uczniów miała i ma dotychczas na losy oświaty rodzimej. Dzięki Czackiemu zasłynąć mogli w literaturze tacy koryfeusze, jak: Józef Korzeniowski, Karol Sienkiewicz, Tytus Szczeniowski, Juliusz Słowacki, Franciszek Kowalski, Antoni Malczewski, Olizarowski, Tomasz Padurra, Tymon Zaborowski, Stefan Witwicki, Maurycy Gosławski, Onufry Lewocki, Michał Budzyński, Aleksander Przeddziecki, Gustaw Olizar, Franciszek Sobieszczański, Waleryan Wróblewski, Leon Ryszczewski, Karol Podczaszyński, Teodozy Sierociński i wielu innych.

Oni to sławę Krzemienieckiej szkoły na chwałę jej inicjatora i piśmiennictwa krajowego dalszym przekazali stuleciom.

Aleksander Kraushar.

Maurycy Mochnacki

* 1803 † 1834.



Adala od rodzinnej ziemi, w rozkwicie lat młodzieńczych, zeszedł w r. 1834-ym

z widowni dziejów swego narodu, człowiek, w istocie tego określenia znaczeniu, *genialny*, który, pomijając nawet duchową zawartość arcydzieł, jakie po sobie był pozostawił, podniósł i urobił język rodzi- my, jego melodyj- ność, subtelność i bogactwo wyra- żeń do niedościg- łych wyżyn.

Mieliśmy niezaprzeczenie i mamy dotychczas w literaturze swojskiej pisarzy, celujących przepychem języka literackiego i mogących służyć jako wzór dla tych, którzy w do- borze wyrażen- jędrnych, dobit- nych, nie zakazo- nych naleciałościa- mi wpływów ob-

cych, w umiejętnym i harmonijnym układzie zwrotów stylowych upatrują jedno z ważniejszych

zadań drukowa- nego słowa.

Nikt jednak do dziś dnia — mówiąc to, pamięta- my dobrze o za- letach języka Mic- kiewicza, Słowac- kiego, Krasińskiego, Ujejskiego, Asnyka, Deotymy, Konopnickiej, Sienkiewicza, Świętochowskie- go, Tarnowskie- go i wielu innych, nie przewyższył w literaturze polskiej potęgą i piękno- ścią języka lite- rackiego arcydzieł pozostawionych nam w niewielkiej, lecz cennej spu- ściźnie, przez Mau- ryczego Mochnac- kiego.

Jest w rzeczy samej objawem wyjątkowej donio- łości — owo spo- tęgowanie się bo-



Podług portretu ze zbiorów Ordyn. Krasińskich

M Mochnacki

gactwa językowego w społeczeństwie naszym po jego politycznym upadku.

Już epoka Stanisława Augusta, spadkobierczyni czasów saskich, w których nic prawie godnego uwagi twórczość rodzima nie wydała była, ujawnia znaczący postęp na polu poprawności i piękności języka literackiego. Lecz doskonalenie się owego organu myśli występuje w całej pełni dopiero w czasach późniejszych i bądź dzięki wpływowi b. Towarzystwa przyjaciół nauk, a następnie dzięki powołanym do bytu katedrom wszechnicy warszawskiej w epoce Królestwa Kongresowego język ten dochodzi do doskonałości zupełnej, tak, że dziś nawet, w epoce, gdy piśmiennictwo rodzime zyskało ilościowo na rozszerzeniu granic swego wpływu, należałoby upatrywać postęp — w cofnięciu się pod zewnętrznym względem do ideału czystości i piękności stylu, przekazanego nam w pismach mistrza Mochnackiego.

Spuścizna to, ilościowo biorąc, niewielka. W pięciu tomach pism Mochnackiego, po doliczeniu kapitalnego dzieła historycznego p. t. *«Historja narodu polskiego w r. 1830 i 1831»*, opisującego epizod dziejowy, którego sam autor był uczestnikiem czynnym, i rozprawy magistralnej *«O literaturze polskiej w wieku XIX»* — reszta składa się z artykułów okolicznościowych, które dziś straciły już tę doniosłość, jaką miały w chwili swego pojawienia się, lecz nie straciły cech dokumentu pomocniczego dla odtworzenia postaci, która wspólnie z młodo zmarłym bratem Kamilem żywo przypominała wspaniałe rzymskie wzory Tyberyuszów i Cajusów Grakchów, zabłąkane na tle szarem nowoczesnym.

Jak dzieła Maurycego Mochnackiego wyróżniają się niezwykłością swoją, tak też niezwykłym było i życie ich autora.

Wyjątkowe jedynie, i to genialne postaci stwarzają pomnikowe dzieła czynu i myśli w młodzińczym wieku. Geniusz — który, jak to trafnie określił Goethe, jest cierpliwością — wymaga lat całych dla swego wyrobienia. Największe dzieła twórczości powstały w epoce dojrzałości męskiej pisarzy, gdy już nauka i doświadczenie życiowe przeżyły okres swego powolnego rozwoju.

Mochnacki swe pomnikowe dzieła utworzył przed trzydziestym rokiem życia i nic w nich

nie ujawnia młodzieńczej krewkości, chyba zapal, wiekowi właściwy.

Były one świadectwem wyjątkowej dojrzałości umysłu błyskawicznego, lotnego, przenikniętego na wskroś wzorami czynów i słów wielkich mężów klasycznej starożytności, które młodzieniec zapragnął wcielić we własne duchowe jestestwo i niemi się w życiu kierować.

Młodość Maurycego (ur. 1804) spłynęła w gnieździe, w którym głowa rodziny, Bazyli Mochnacki, szlachcic starego autoramentu, mówca i prawnik z zamiłowania po cofnięciu się z areny publicznej wszystkie chwile życia swego poświęcił kształceniu umysłu, serca i woli synów swoich. Obdarzony niepospolitą pamięcią i posiadając nauki encyklopedycznie, tak świetnie zdołał ich przysposobić, że Maurycy, nie uczęszczając do szkół publicznych, jedynie z domowej edukacji złożył egzamin dojrzałości w Warszawie w roku 1820.

Rektor Linde był wysoce zdumiony znajomością łacińskiego języka, jaką Maurycy okazał.

Rodzina Mochnackich, opuściwszy majątek dziedziczny Bojaniec, w Galicyi, w obwodzie Żółkiewskim położony, przeniosła się dla edukacji Maurycego, Kamila, Tymoleona i córek do Królestwa, gdzie Bazyli Mochnacki otrzymał posadę asesora w prokuratury, a następnie radcy prawnego w komisji oświecenia.

Nieszczęściem dla Maurycego i Kamila choroba piersiowa, której podlegał ich ojciec, przeniosła się i na nich dziedzicznie. Wszystkie siły żywotne ich organizmu skupiły się w umyśle, który wybujał jak cudny kwiat na słabej łodydze, nie rokując długiego istnienia wyjątkowo uzdolnionym młodzieńcom.

Maurycy, zapisany na kurs pierwszoroczny prawa, uczęszczał do Uniwersytetu Alexandryjskiego, marzył o karierze dyplomatycznej, grywał z bratem na fortepianie i zabawom właściwym wiekowi zupełnie się nie oddawał. Umysł jego zajęty był nieustannie ideałem bohaterów starożytności, których żywoty ciągle odczytywał i zasadami ich się przejmował. Towarzystwu nigdy udzielać się nie chciał.

— «Gdzie znajdę w towarzystwie — mawiał do matki (Maryi z Dembińskich) — owych wielkich ludzi, którzy w książkach sami się mnie nasuwają

przed oczy? Wolę z nimi obcować w duszy mojej, aniżeli drogi czas tracić na próżnych ukłonach i ceremoniach.»

Nie było sądzonem Maurycemu, by w warunkach normalnych ukończył studia uniwersyteckie. Zajście z komisarzem policyjnym, wywołane nietaktem tego ostatniego i krewkością młodzieńca, zakończyło się niedopuszczeniem Maurycyego do dalszych studiów i długotrwałą klauzurą u Karmelitów, skąd za protekcją radcy Szaniawskiego przeniesionym został na rekolekcje do biura owego dygnitarza.

Pracował następnie Maurycy w komisji spraw wewnętrznych w wydziale fabryk i przystąpił do redakcji pisma technicznego *Isyda*, gdzie niepowołany zupełnie układał artykuły z zakresu rolnictwa.

Trwało to wszakże niedługo. Praca wewnętrzna i usposobienie do zawodu literackiego oderwały Maurycyego od tego nieprodukcyjnego zajęcia. W owym to czasie ułożył głośny list pod formą wynurzeń *Obywatela z Księstwa Poznańskiego do Sądu Sejmowego* i przystąpił do rozprawy o *literaturze polskiej w wieku XIX*, która skutecznie przyłożyła się do ugruntowania nowej szkoły poetycznej — romantyzmu — w Polsce. Estetyczny rozbiór *Maryi* Malczewskiego odkrył nowe horyzonty badaczom ducha narodowego w utworach rodzimych, powołał do życia nowe pomysły i twórcom szerokie do oddziaływania na umysły społeczeństwa otworzył pole.

«Cobądź na podstawie historycznej nie jest założone — pisał młody estetyk i analityk — własną niemocą, prędzej, czy później, upaść musi; bo nie ma gruntu pod sobą. Poetycka literatura Stanisława Augusta nie była ugruntowaną na tej podstawie. Obcy zasiew wybujał; ale kłosa czcze były po większej części, ziarno nie ważne, lekkie, bo reszta to w łodygę, to w nać się rozrosła. Następni tej niwy uprawiacze, tej samej szkoły uczniowie, chwalczy tych samych przykładów, coraz dalej doskonaląc, z początkiem dzisiejszego wieku wierszopiski mechanizm coraz większego nieurodaju, coraz biedniejszego zbioru czynili nadzieję... Nie polska, nie z zapadłych czasów rycerskich, ni z czasów szlacheckiego gminowładztwa, lecz obca jakaś postać, zemdląca, omdlewająca, nie męzka w tem ich rymotwórstwie ukazała się. Czegoż chcieli *romantycy* na

ziemi Bolesława Chrobrego? Ojczystej poezji, związku z dawniejszą Polską i rozumem starego czasu. Nie mieli u siebie tego za rzecz dobrą i piękną, że wiarę pocziwych ojców cieśniły w literaturze poetyckiej swawolne pieśni, jakby całopalenia ze czcią tylko bożków marmurowego politeizmu nie przypadającego do miary z cywilizacją i duchem chrześcijańskiej Europy. Chcieli oni większej zapewne z wspomnieniami zgody, mniemając, że groby i rumowiska do życia należą i jakby samo zniszczenie było tylko atomem, jednym z pierwiastków rzeczywistości. Pokochali wyobrażenia i fantazję gminu dla tego, że w prostocie serca najwięcej poetyckiej prawdy i szczeroty. Oni to chcieli obraz malarski roztrąconego jestestwa w' zwierciadlanem pokazać przeczczu, żeby myśl prędką jak widzenie, a chęć dobrą, ognistą jak płomień, wzniecił, rozpalil. Nabijali romantycy w ucho ziomkom swoim, że przeminął czas, kiedy u nas pisano wiersze na cześć kształtnych stóp kobiecych i misternie trefionych kędziorów. Do górnieszego wzniesli się lotu! Ten gdzieindziej zmierzał. Do wyższych dźwięków, do wspanialszych tonów i piękniejszych akordów naciągnęli strunę. Zadrżała w ich rękę, zabrzmiała!..»

W chwili gdy Mochnacki pisał przedmowę do swojej pomnikowej rozprawy, zaszły wypadki roku 1830, które jej autora wytrąciły na zawsze z orbity stosunków krajowych. Przeniósł się Maurycy z bratem Kamilem do Francji. Zakreślił sobie zadanie dziejopisa bezstronnego, wyższego nad zmienne prądy opinii współczesnych, nad bezowocne walki i spory stronnictw politycznych. «Co innego działać, co innego pisać — były to słowa jego zwrócone do ojca, dożywającego ostatka dni swoich w Galicyi. W działaniu trzeba być koniecznie w jakiejś partyi, bo trzeba siły i wpływu. W opisywaniu trzeba być nad wszystkimi partyami, żeby zachować zimną krew i flegmę historyczną.»

Nie sprzyjały zamiarom dziejopisa warunki zewnętrzne i moralne, wśród których przystępował do dzieła.

Praca umysłowa wymaga spokoju i względnego dobrobytu, wymaga pewnego skupienia się i oderwania od trosk życiowych, które, jakkolwiek dla duchów silnych stanowią bodziec do walki z przeciwnościami, lecz dokuczliwością swo-

ją łamiał nieraz słabszym organizmom skrzydła twórczych i badawczych natchnień.

Emigracja ówczesna polska wybrała Francję jako miejsce przytułku, w nadziei, że kraj, który zaciągnął względem Polaków tyle długów wdzięczności, za krew przelaną w sprawie jej tryumfów bojowych, odpłaci to emigrantom gościnnością i pomocą materyjalną.

Dobrej woli w tym kierunku ze strony ogółu społeczeństwa francuskiego, stanęła na zawadzie polityka rządu Orleanów. Pragnąc sobie zaskarbić względy rządów europejskich, niechętnych przewrotowi lipcowemu, starali się doradcy Ludwika Filipa utrudnić wychodźcom polskim pobyt we Francji i zmusić ich do wędrówki do innych krajów.

Zaczęto od zmniejszania żołdu, pobieranego przez Polaków ze skarbu, do rozmiarów bagatelnych, od wypraszenia ze stolicy żywiołów najbujniejszych i najhałaśliwszych.

Działo się to właśnie w epoce, gdy Mochnacki, widząc gasnące życie chorego brata, usiłował je ratować zmianą klimatu i wygodami koniecznymi dla suchotników. Na domiar złego, usłyszał o smutnej doli ojca wśród rodaków w Galicyi. Pragnął go sprowadzić do Francji, zapewnić sędziwemu jego wiekowi spokój niezbędny, lepszą strawę i mieszkanie wygodniejsze. Na to wszystko brakło mu zasobów pieniężnych. Umyślił przeto koncertować w miastach prowincjonalnych, dawać lekcye gry fortepianowej, by zebrany groszem mózdz dzielić się z rodziną. Rzewne szczegóły o takich planach podaje w liście do ojca z kwietnia 1833 roku.

«Dzisiaj — pisał — ponieważ żołd nam zmniejszyli, ponieważ może go zupełnie odejmą dla przypodobania się innym, rzucam się tą drogą, która we Francji nietylko wielki zaszczyt czyni, ale przynosi wielkie zyski.

... Wszędzie człowiek młody i czynny, wszędzie *artysta* da sobie radę. Jestto kraj przemysłu, kraj sztuki, kraj zarobku; daję papie słowo honoru, że na miesiąc, w samych zaraz początkach, będę mógł mieć 100 do 150 franków z fortepianu, dając tylko lekcye po trzy franki na godzinę...»

Do takich niepomysłnych warunków materyjalnych przyłączyły się i zgryzoty moralne na

widok rozładu, jaki w początkach wygnania za panował między emigracją polską na obczyźnie.

Przybywszy do Francji pod wrażeniem wypadków krajowych, emigranci polscy zaczęli we wzajemnych oskarżeniach szukać ujścia dla politycznych namiętności. Potworzyły się stronnictwa, koła i kółka, miotające na siebie oskarżeniami. Ujawnił się zamęt w pojęciach politycznych i społecznych, a nawet religijnych wychodźców, ślepe naśladownictwo reformatorskich pomysłów St. Simona, Infantina i Chatela, chęć przeniesienia do sfery umysłowości polskiej wyobrażeń o demokratyzmie, arystokratyzmie, legitymizmie, socyalizmie, doktrynerów francuzkich. Zdawało się nieszczęśliwym marzycielom, że są powołani do przekształcenia budowy świata, że są podwaliną do gmachu urojonych reform, które uszczęśliwią ludzkość całą i poprowadzą ją na nowe tory.

Wśród zamętu owych pojęć, które się przerodziły w namiętne spory o zasady i środki działania, duch Mochnackiego, z natury swej ognisty i zapalny, szukał napróżno oparcia w refleksyi, w zastanawianiu się nad bezpośrednim powodem niedawnej klęski. Pomimo założenia, jakie miał na widoku, przystępując do opisu przebiegu ruchu z r. 1830, atmosfera namiętności politycznych, jaką oddychał, nie dozwoliła mu zachować krwi zimnej.

Dzieło jego, stało się zwierciadłem usposobienia większości wychodźców, przerodziło się w akt oskarżenia, zwrócony przeciw jednostkom, przeciw Lubeckiemu, Chłopickiemu, Adamowi Czartoryskiemu i wogóle przeciw trybowi rozpraw prowadzonych na sesjach rządu powstańczego.

Zarody choroby dziedzicznej piersiowej nie dozwoliły genialnemu historykowi doczekać się ukończenia całkowitego gmachu dziejów epoki, której sam tak wybitnym był działaczem. Skończyło się na podwalinach, dających jedynie wyobrażenie doskonałości, do której mógł autor dojść, o ileby Opatrzność dozwoliła mu zamierzone dzieło wykończyć.

Zgon brata Kamila przyspieszony szybkim rozwojem suchot, nastąpił 17 sierpnia 1833 r. w Hyères, w południowej Francji. Był to cios ostateczny dla Maurycego. Niepocieszony po

stracie najmilszej w życiu istoty, zasuwał się
zwolna w grób i w dniu 20 grudnia 1834 r.
w Auxerres otoczony troskliwą opieką przyja-
ciół, rodaków i lekarzy Francuzów wydał ostat-
nie tchnienie.

Dopiero w lat trzydzieści po jego zgonie,
ukazało się staraniem matki zbiorowe wydanie

pism Mochnackiego w pięciu tomach, opatrzone
przypiskami biograficznymi tej, której życie całe
było jednym długim pasmem niedoli i troski
macierzyńskiej o los najdroższych jej sercu istot.

Aleksander Kraushar.



Karol Kurpiński

* 1785 † 1857.

Karol Kurpiński urodził się dnia 6 marca 1785 r., we wsi Włoszakowice (dziś Luschwitz), leżącej w powiecie Wschowskim, w W. X. Poznańskim. Ojciec Kurpińskiego, Marcin, posiadając w pobliżu Włoszakowic folwark własny, pełnił zarazem obowiązki organisty przy tamtejszym kościele parafialnym, a że był uważany za nader biegłego w swej sztuce, chętnie przysyłało mu młodzież na naukę, z których wielu wykształcił na dobrych organistów.

Talent do muzyki objawił się w Karolu Kurpińskim bardzo wcześnie, a zarazem nadzwyczajne zamiłowanie do tej sztuki. Na szczęście dla muzyki polskiej, ojciec Kurpińskiego dostrzegłszy w synu i ów talent i to zamiłowanie, udzielił mu pierwszych wskazówek gry na skrzypcach i na klawikordzie, następnie

wyuczył go śpiewów liturgicznych na wszystkie uroczystości i obrzędy kościelne. W dwunastej wiosnie swego żywota, Kurpiński tak już biegle

grał na organach i tak wprawnie akompaniował orkiestrze i chórom, że postanowił pracować odtąd sam na siebie.

Ambitne jego zamiary spełniły się niebawem. Właśnie w owym czasie zawakowała posada organisty przy kościele parafialnym w miasteczku Sarnowie, pod Rawiczem, gdzie jego wuj, X. Karol Wański, był proboszczem. Kurpiński z łatwością otrzymał tę posadę, i w ciągu dwóch lat spełniał obowiązki organisty sumiennie, «śpiewając i grając jutrznie, wotywy, a co niedziela i święta, w czasie sumy, na organie bas cyfrowany z orkiestrą. Bo—trzeba wiedzieć, że w tamtych stronach, przy granicy śląskiej, *każde*



Podług portretu ze zbiorów A. Polińskiego.

*Karol Kurpiński
Mistrz Kapelli Dworu Krolensko-Polskiego
Dyrektor Opery Polskiej.*

miasteczko miało swoją orkiestrę, złożoną z mieszczan i ich synów, lub czeladzi¹⁾).

W 1799 r. przyjechał do Sarnowa wuj Karola, Roch Wański, mieszkający w okolicy Lwowa, dla odwiedzenia swego brata, proboszcza, dokąd też przybył wkrótce i Jan Wański. Obaj bracia, Roch i Jan, byli muzykami. Pierwszy z nich dobrym był wiolonczelistą, zaś Jan, skrzypkiem i kompozytorem wielu symfonii, mszy oraz polonezów, powszechnie, w swoim czasie, cenionych. «Przybywszy do Sarnowa²⁾ Jan skomponował w kilka dni trzy duety na skrzypce i wiolonczelę, które nasz Karol (Kurp. w całej autobiografii nazywa siebie albo «naszym Karolem», albo K. Kurpińskim») słysząc przez swych biegłych wujów z wysoką precyzją często wykonywane, doznał nadzwyczajnego wrażenia, aż do zawrotu głowy. Grywał on ci pierwszej duety Pleyela na skrzypce, ale w porównaniu z tem co teraz słyszał było tylko przykrem rzepoleniem. Otworzyły mu się też oczy: jakie to były owe *ruchawkowe* orkiestry z amatorów-mieszczan złożone, bo w nich smyczkowe instrumenta skrzypiały, a dęte wrzeszczały, sadząc się na przegłos drugich. Sprzykrzył też sobie szturkać na organach bas cyfrowany; odtąd nie chciało mu się dłużej być organistą.»

Z tymi zamiarami zwierzył się Kurpiński Rochowi Wańskiemu, ten zaś, pragnąc dopomóc utalentowanemu siostrzeńcowi w wydobyciu się na szerszą arenę działalności muzycznej, zabrał go z sobą (w początkach 1800 r.) do Galicyi, i umieścił, jako sekundaryusza, w kwartecie utrzymywanym przez starostę Feliksa Polanowskiego w Moszkowie, u którego sam pełnił obowiązki wiolonczelisty. Ów magnat wielkim był zwolennikiem muzyki pokojowej (kameralnej); szczególnie zaś uwielbiał kwartety Haydna i Mozarta. Biblioteka też jego obfitowała we wszystkie niemal tego rodzaju arcydzieła obu mistrzów niemieckich.

Zapoznanie się Kurpińskiego z temi arcydziełami błogosławiony wpływ wywarło na rozwój jego talentu. One zastąpiły mu — przynajmniej w części — naukę teoryi muzycznej,

oświeciły umysł, wyrobiły poczucie piękna, zaznałomiły praktycznie z zasadami harmonii, kontrpunktu i formy muzycznej; one stały się pierwowzorami dla pierwszych, młodzieńczych prób jego w dziedzinie kompozycji.

Starosta Polanowski, dostrzegłszy w młodym artyście zdolności niepospolite, często brał go z sobą do Lwowa, gdzie wówczas bawiła wcale dobra opera niemiecka. Tu Kurpiński poznał Mozartowskiego: «Don Juana,» «Flet czarnoksiężki,» «Łaskawość Tytusa» i «Wykradzenie z sejaru;» Cimososy: «Małżeństwo tajemne;» Zingarellego «Króla Epiru» oraz «Romea i Julię;» Paëra «Camille,» Cherubiniego «Lodoiskę» i wiele innych oper, cieszących się wziętością w ówczesnym świecie muzycznym. Zapoznanie się z partycjami tych dzieł podwójnie korzystne dla Kurpińskiego dało wyniki: wyrównało niektóre niedostatki w jego wiedzy teoretycznej i zbudziło w nim skłonność do muzyki dramatycznej. Pracować dla teatru ojczystego, zasilać go dziełami tworzonemi w duchu muzyki polskiej, wyswobodzić operę narodową z pod przemożnego wpływu muzyki włoskiej i francuskiej — stało się odtąd jedynym celem zabiegów Kurpińskiego.

Przyjazny los rychło ziścił wniosłe jego zamiary. Po śmierci Polanowskiego i Wańskiego (obaj zmarli w jednym tygodniu), Kurpiński opuściwszy gościnny dwór Polanowskich, przeniósł się, w charakterze «metra fortepianu» do domu baronostwa Rastawieckich. Tu jednak gościł niedługo. Nie mogąc już dłużej znieść tej bezczynności, na jaką skazywała go rola skromnego nauczyciela fortepianu, w początkach 1810 r. przybył do Warszawy, a w parę miesięcy później, 1 lipca t. r., za protekcją basisty Szczurowskiego, został przez Wojciecha Bogusławskiego, ówczesnego przedsiębiorcy teatru narodowego, przyjęty na dyrektora opery.

Odtąd poczyną się działalność Kurpińskiego, która tyle sławy i pożytku przyniosła sztuce ojczystej. Pierwszą jego pracą z zakresu muzyki dramatycznej była operetka do słów tłumaczonych z francuskiego, p. t. «Dwie chatki.» Po tej pierwszej próbie, dość szczęśliwej, napisał wielką, czteroaktową operę do słów Żółkowskiego, p. t. «Pałac Lucypera,» wystawioną w dniu 9 listopada 1811 r. z wielkiem powodzeniem. To powodzenie zawdzięczała opera Kurpińskiego

¹⁾ Autobiografia (rękopis) K. Kurpińskiego, nosząca prawdziwy tytuł: «Nekrolog Karola Kurpińskiego.»

²⁾ Tamże.

nietylę jakiemuś nadzwyczajnemu bogactwu melodyi, bądź rzeczywistej oryginalności stylu i formy operowej — była bowiem wzorowaną na dziełach Mozarta — ile tematów urobionym w duchu muzyki polskiej, niektórym aryom, osnutym na rytmach polonezów i mazurków, nadającym jej barwę oryginalności i swojskości. Ta właśnie barwa, tak odmienna od tej — jaka cechowała opery włoskie, francuskie i niemieckie — któremi scena warszawska wyłącznie swój repertuar zasilala, owo piętno narodowe, które wyodrębniało «Pałac Lucypera» z plejady oper mistrzów cudzoziemskich, na koniec duma plemienna, jaką wzbudziło w narodzie pojawienie się zdolnego kompozytora swojskiego, zapewniły operze Kurpińskiego, mimo liczne jej wady, powodzenie rzeczywiste.

Natchniony odtąd wiarą w siły własne, zachęcany do pracy przez wdzięcznych rodaków, Kurpiński z całym zapalem młodzieńczym zabrał się do uprawiania niwy kompozytorskiej; a uprawiał ją tak gorliwie, że w ciągu lat kilkunastu, niemal corocznie obdarzał scenę ojczystą kilkoma operami lub melodramatami, niezależnie od mnóstwa różnych kompozycji instrumentalnych, pieśni, utworów chóralnych, tanecznych i t. p.

W rok po «Lucyperze», Kurpiński wystawił melodramaty: «Obleżenie Gdańska», «Ruiny Babilonu» i «Marcinowa z Dunaju». W 1813 r. opery: «Szarlatan» (do słów Żółkowskiego) wystawioną w styczniu roku następnego; w 1814: «Łaska Imperatora» i «Jadwiga» do słów Niemcewicza oraz melodramat «Agar na puszczy». Z tych dzieł uznania najwyższego ze strony publiczności i krytyki dostąpiła «Jadwiga», opera szczerze natchniona, nawskroś poetyczna, obfitująca w piękną treść i piękną muzykę. Po niej nastąpiły: w 1815 r. «Aleksander i Apelles» i «Nagroda»; w 1816: «Mała szkoła ojców», świetne «Nowe Krakowiaki» — stanowiące niejako dalszy ciąg «Krakowiaków i Górali» Stefaniego, «Dziadek», «Jan Kochanowski» i melodramat «Hero i Leander». W następnym roku Kurpiński napisał jeden tylko melodramat «Bateria o jednym żołnierzu», a w 1818 r. operę «Czaromysł». W 1819 r. stworzył jedną z najcenniejszych pereł swego dyademum kompozytorskiego, sławną operę: «Zamek na Czorsztynie czyli Bojomir i Wanda», do słów Józefa hr. Krasińskiego, oraz operę «Zbigniew».

Do czasu pojawienia się «Zamku», Kurpińskiemu nie szczedzono wprawdzie różnych dowodów uznania, dopiero jednak po wystawieniu tej opery, objawiły się one w formach więcej obszernych i bardziej pozytywnych, a więc dla Kurpińskiego korzystniejszych. Dekretem dnia 23 listopada 1819 r. Cesarz Aleksander I mianował go «mistrzem kapeli Dworu Królestwa Polskiego», król saski obdarzył go pierścieniem brylantowym, a naród uczcił swego Orfeusza w tymże roku przez wybite medalu złotego z jego popiersiem. Dyplom, przy którym wręczono medal Kurpińskiemu, nosi podpisy najznakomitszych wówczas osób w kraju: S. Potockiego, X. Zajacza, Małachowskiego, Mierosławskiego, Chodkiewicza, Wybickiego, Roźnieckiego, Chłopickiego, Niemcewicza, Rastawieckiego, hr. Krasińskiego, Radziwiłła i wielu innych.

W 1820 r. Kurpiński napisał piękną operę «Kalmora» do słów Brodzińskiego; w następnym: «Cień ks. Józefa Poniatowskiego, czyli wprowadzenie go na pola Elizejskie» (obraz historyczny) i «Leśniczy w puszczy Kozienieckiej», a w 1829 r. «Cecylia Piaseczyńska».

Oprócz tych oper Kurpiński skomponował dwie komedyo-opery: «Mieszczanin i Czeladnik» i «Nasze przebiegi»; dwa balety: «Nowa osada» i «Mars i Flora»; dalej: «Te Deum» na chór i orkiestrę na uroczystość koronacji Cesarza Mikołaja I u św. Jana w Warszawie — w którym, obecny wówczas słynny Paganini, grał partję pierwszych skrzypiec — kilka mszy, z których jedna do słów Felińskiego: «Z odgłosem wdzięcznych pieni» stała się własnością ludu i przez długi czas była śpiewaną we wszystkich świątyniach polskich; na koniec parę kantat (jedna z nich na inaugurację pomnika Kopernika), wiele polonezów, pieśni i t. d.

Z całej tej bogatej spuścizny po Kurpińskim zaledwie parę uwertur i polonezów pojawia się na programach koncertowych, reszta należy już do historii.

Kurpiński posiadał niewątpliwie talent olbrzymi, nawet można o nim powiedzieć, że był geniuszem, ale niewyrobionym, dostatecznie niewykształconym, więc w części zmarnowanym. Nieukończywszy studyów gruntownych, przy tworzeniu licznych swych dzieł kierował się jedynie własną intuicyą, bądź też wzorował na arcydzie-

łach mistrzów obcych, czerpiąc z nich przykłady stylu dramatycznego, formy i kolorytu orkiestrowego. Oto jedyna szkoła, jaką Kurpiński ukończył. Został samoukiem i to, co umiał, sobie tylko samemu zawdzięczał. A jak bogatą posiadał intuicję, o tem świadczy fakt, że ile razy nią się tylko kierował wyłącznie, ilekroć szukał natchnienia w piersi własnej, tyle razy tworzył dzieła oryginalne, które, mimo liczne uchybienia względem technicznej roboty kompozytorskiej i stylu, niepospolitą przedstawiały wartość muzyczną. Wszystkie zaś inne, zwłaszcza opery z lat późniejszych, w których wyrzekłszy się prostoty, szczerości uczuć i wierności własnym ideałom, naśladował niewolniczo styl, formę i rysunek melodyjny Rossiniego, nigdy trwałem nie cieszyły się powodzeniem. Ów zgubny wpływ Rossiniego przejawiał się, acz nieznacznie, już w wielu pierwszych operach Kurpińskiego, w ostatnich wszakże przybrał tak wielkie rozmiary, że było już w nich więcej pomysłów twórcy «Cyrulika,» aniżeli Kurpińskiego. Sarkała na to krytyka, sarkali i przyjaciele Kurpińskiego, radząc mu, by otrząsł się ze szkodliwego wpływu i zerwał pęta, któremi dobrowolnie własną okułał muzę, ale napróżno.

Napróżno jeden z największych jego zwolenników i protektorów, L. A. Dmuszewski, w wierszu poświęconym mu z okazji imienin dnia 28 stycznia 1826 r. mówi:

*Skutkiem twojego gustu, skutkiem twojej pracy,
Już zgodnie Euterpie hołdują Polacy.
Wśród nas, tobą żyje Rossyni.
Lecz przebacz!... słusznie wielu cię wini,
Że modnego Orfeja poświęcony sławie,
Już o słowiańskiej lutni zapominasz prawie.
Nastroń ją!... wspomnij na ową porę,
W której wielbiono twoje: Jadwigę, Kalmorę!
Powróć do własnej gęśli, niech po smutnej dobie
Pierwsze radosne pienia będziemy winni tobie!*

Kurpiński pozostał głuchym na rady życiowe; wyparł się własnych ideałów, dobrowolnie zerwał struny na gęśli rodzimej i dostroił ją niebacznie do kamertonu liry Rossiniego, gwoździł do dogodzenia chwilowemu gustowi publiczności ówczesnej. Dla tego właśnie dzieła jego tak szybko zeszły z repertuaru operowego.

Ten smutny fakt, lubo wielką szkodę wyrządził muzyce ojczystej, nie obniża wszakże doniosłości wpływu dzieł jego na rozwój muzyki pol-

skiej i nie zmniejsza olbrzymich zasług Kurpińskiego.

A były one wszechstronne i w skutkach niebezowocne. Do jego czasów opera warszawska nie posiadała ani śpiewaków wykształconych, ani orkiestry należycie skompletowanej, ani nawet chórów stałych; te bowiem, w razie potrzeby, rekrutowano z grona artystów dramatycznych! «Jak trudno było dobrze przedstawić na widok jakie dzieło (mówi Pamiętnik sceny warszawskiej za rok 1839), kiedy artyści dramatyczni musieli być uniwersalnymi i wszędzie jednocześnie być gotowymi nawet do chórów. Dziś, każda gałąź sztuki scenicznej ma oddzielne indywidua i każdy artysta może przy pracy i talencie godnie jej odpowiedzieć. Miasto nie podniosło się tak olbrzymio, bogactwa nie przybyło, a nigdy widowiska nie miały cienia nawet tej wspaniałości i przepychu, jakie mają dzisiaj» etc.

Zasługę owej «wspaniałości i przepychu,» opera warszawska winna wyłącznie Kurpińskiemu. On to bowiem zorganizował chór stały, on skompletował orkiestrę, on wykołatał od dyrekcyi teatralnej zaopatrzenie magazynu opery w świetne kostiumy i przyrządy sceniczne — z których dotychczas jeszcze śpiewacy dzisiejsi korzystają — on postarał się o założenie szkoły śpiewu, sam kształcił w niej śpiewaków i z tak dobrze zorganizowaną falangą artystyczną wystawiał największe opery mistrzów obcych, jak np. «Robert diabeł,» «Żydówka,» «Niema,» «Koń śpiżowy,» «Cyrulik» i inne.

Niemale też zasługi Kurpiński położył na polu pedagogiki muzycznej. Do jego czasów nie było ani jednego podręcznika teoretycznego, na którymby kształcić się mogła młodzież ówczesna. Kurpiński zaradził złemu, wydawszy na początek szkołę na fortepian, «Zasady harmonii» i «Przykłady do zasad harmonii.» Następnie, w celu podniesienia poziomu muzykalności ogólnej i obznajmienia publiczności przynajmniej z zasadniczymi prawidłami estetyki, wydawał w 1820 r. własnym kosztem pismo peryodyczne p. t. «Tygodnik muzyczny.» Nie znalazłszy jednak poparcia, z trudem doprowadzić zdołał swe pismo do 26-iu numerów, poczem tak pożyteczne wydawnictwo musiał zawiesić. W następnym roku, niezrażony próbą nieudaną, wznowił dwukrotnie «Tygodnik,» ale i tym razem bez powodzenia.

Z dzieł literackich, wydał «Myśli urywkowe» (Warszawa 1819), w rękopisie zaś zostawił bardzo ciekawe «Wspomnienia z podróży w 1823 r.» po Niemczech, Francji, Włoszech i Austrii, oraz interesujący «Dziennik teatralny,» w którym skrzętnie notował wszystkie szczegóły działalności opery warszawskiej od 1827—1830, i «Myślochwyt,» w którym zamieszczał bezładnie swe myśli z dziedziny lingwistyki, filozofii, sztuk i nauk.

W 1842 r. czując się znużonym pracą i wiekiem, usunął się do życia prywatnego i nader już rzadko czynny brał udział w sprawach muzycznych.

Zmarł 18 września 1857 r. o godzinie 9-ej rano w Warszawie, w domu przy ulicy Żelaznej, pod Nr. 1133, pozostawiwszy owdowiałą małżonkę, Zofię z Brzowskich, niegdyś śpiewaczkę opery, z którą zawarł śluby małżeńskie 10 kwietnia 1815 roku.

Kompozytor i kapelmistrz tak wielkich zasług dla opery warszawskiej bardzo skromne pobierał wynagrodzenie. Najwyższa jego pensya, do jakiej doszedł w ciągu 32-letniej działalności w teatrze, wynosiła 7,560 złotych, z tem jeszcze zastrzeżeniem (według słów kontraktu z dnia 1 lipca 1834 r.), «iż takowa wypłata uskutecznią będzie sposobem *dywidendy*, w miarę każdomiesięcznej *percepty*, po zaspokojeniu nakładów przedgażowych, tymże etatem ustanowionych; niemniej, że wspomniana dywidenda nie będzie mogła przenosić wysokości gaży etatowej.»

Zdarzało się więc, że Kurpiński, jeśli powodzenie nie sprzyjało przedstawieniom operowym, musiał zadawalniać się płacą mniejszą od tej, którą mu ofiarowano... na papierze.

• Umarł też w biedzie. Smutne o tem daje świadectwo oryginalny «Wypis wierzytelny» z urzędowego opisu majątku, pozostałego po jego śmierci, stwierdzonego przysięgą wdowy i świadków. Według tego «Wypisu,» znaleziono w gotowni rubli 57; wogóle szacunek mebli, garderoby, biblioteki, pamiątek różnych i t. d., wyniósł rub. 632 kop. 60. Z tej sumy potrącono: kosztą kuracyi i pogrzebu oraz długi kupcom (w «Wypisie» wymienionym), razem rub. 795 kop. 87½, czyli, że długi przewyższyły masę czynną o rub. 163 kop. 27½.

Taki był wynik materyalny kilkudziesięcioletnich zabiegów Kurpińskiego około podniesienia z upadku sceny ojczystej, taka nagroda za stworzenie wielu dzieł wartości niepospolitej, za podniesienie poziomu muzycznego w naszym społeczeństwie, za rozbudzenie w niem zamięłowania do sztuki krajowej!

Pod tym względem Kurpiński podzielił los wielkiego pobratymcy swego w sztuce — Mozarta. Obaj nie zostawili po sobie majątku, obaj jednak dorobili się czegoś więcej cennego aniżeli złoto: nieśmiertelności na kartach dziejów muzyki ojczystej!

Aleksander Poliński.

Ks. Izabella z Flemingów Czartoryska

* 1746 † 1837.

Są ludzie, są postaci dziejowe, które nie ♣ minęła bezpowrotnie, a snąć i wspomnienie jej mogą się wprawdzie poszczycić wybi- || zacierało się w społeczeństwie, które w bezmyślnej zabawie i w uciechach światowych jedynie prawie cel życia swego widziało. Nie liczne wyjątki wspaniale występują na tem ponurem tle ówczesnym.

Rzeczpospolita Polska przedstawiała w drugiej połowie przeszłego stulecia obraz upadku zarówno w sferze życia publicznego, jak prywatnego. Złota doba epoki Jagiellońskiej, owa doba, w której od króla do ziemianina pełno było do Plutarcha kandydatów,



Podług portretu ze zbiorów A. Kraushara.

I. Czartoryska

Do rzędu nielicznych tych wyjątków należy księżna Izabella z Flemingów Czartoryska, żona księcia Adama-Kazimierza, generała ziem podolskich.

Urodzona dnia 31 marca 1746 roku, pochodziła z holenderskiej rodziny Flemingów. Dziad jej uzyskał indygenat saski, a następnie za panowania Augustów rodzinna ta nobilitowała się w Polsce. Ojciec Izabelli posiadał w Polsce bardzo rozległe dobra, bo oprócz sta-

rostw, majątki: Wołczyn, Włodawę, Izabellin i Terespol. Z dawniejszych czasów pozostawał nadto w posiadaniu rodziny Flemingów obszerny klucz w Holandyi, nazwany Getruidenburg. Do majątku tego przywiązane były bardzo liczne przywileje, między innymi prawo bicia monety. Księżna Izabella po dojściu do pełnoletności dobra te sprzedała.

Młodość swą spędziła Izabella w domu babki, z domu Wallenstein, pod której opieką zostawała, gdy ją matka w dzieciennym wieku odumarała. Jako przyszła i jedyna dziedziczka olbrzymiej fortuny Flemingów nie wiele dbać potrzebowała o duchową stronę wychowania swego, które zresztą nie różniło się wcale od tego, jakim poszczycić się mogła większość ówczesnych panien z rodów możnych. Musiał to jednak być umysł wyższy, skoro umiał w późniejszych czasach wynagrodzić sobie to, czego zaniedbał, a zaniedbał bardzo w młodości. Okoliczności zresztą złożyły się tak niepomysłnie, młoda Izabella tak wcześnie wejść miała w świat, że o gruntowniejszem wykształceniu i mowy być nie mogło. Ulegając woli babki, wychodzi Izabella w 15 roku życia za mąż za 27-letniego wówczas księcia Adama Czartoryskiego. Aczkolwiek książę, wojewoda ruski, jeden z najmajętniejszych magnatów w Polsce, słynął z przymiotów umysłu i serca, to jednak związek ten był czysto konwenansowy i skojarzony jedynie ze względów majątkowych. W dodatku psuła to dziecinne jeszcze serduszek młodzień, która tłumnie nawiedzała dwór w Przybysławicach, starając się o względy bogatej dziedziczki. W licznym zastępie kandydatów do ręki młodzianki Izabelli najwięcej szans posiadał książę Karol Radziwiłł, zwany «Panie Kochanku». Zamiary te i projekty rozbiły się jednak o fakt bardzo niewinny. Książę Karol zaprosił pewnego razu narzeczoną swą wraz z babką do majątku swego Biały. Podczas biesiady, prócz zwykłej służby, usługiwały niedźwiedzie, z których jeden takiego strachu nabawił młodą panienkę, że zemdląca i długo jej się docucić nie można było. Po zajściu tem uczuła taki wstręt do księcia Karola, że o małżeństwie nie mogło być mowy.

W r. 1762 odbyła młodzianka jenerałowa ziem podolskich w towarzystwie małżonka swego wjazd do Kamieńca. W owym czasie nie była

ona wcale ładna, a na krótko przed ślubem dostała ospy, która ją jeszcze bardziej oszpeciała. Już wówczas jednak zjednywała sobie serca wszystkich wdziękiem i dobrocią, które jej później zjednały taką sympatyę i sławę nie tylko w Polsce, ale i po za granicami kraju.

I trzeba oddać słuszość młodej małżonce, że starała się godnie odpowiedzieć nowemu swemu powołaniu, w czem niemałą usługę oddawał jej przykład cnót i przymiotów męża.

Książę Adam Czartoryski był synem ks. Augusta i Zofii z Sieniawskich, jedynej córki Adama, kasztelana krakowskiego i hetmana wielkiego koronnego. Wychowanie domowe otrzymał pod kierunkiem francuza de Mouet, poczem kilka lat poświęcił na podróż zagranicą pod dozorem Tomasza Prusaka. Od najmłodszych lat jaśniał przymiotami serca i umysłu, i z nieporównaną pamięcią i bystrym dowcipem łączył chciwą żądzę nauki. Nic dziwnego, że ciągle obcowanie z człowiekiem tak głęboko wykształconym, dodatnio wpłynąć musiało na młodzianki umysł księżny. Natura obdarzyła ją licznymi zaletami, do których rozwinięcia przyczyniła się w wysokim stopniu chęć dorównania mężowi. Pamięć posiadała niewyczerpaną, konwersacya, aczkolwiek zaprawiona nieco satyrycznością, posiadała bardzo wiele uroku. Mimo jednak pewnej skłonności do szyderstwa umiała być dobrą, umiała być przyjaciółką serdeczną, litością zaś i dobrocią współzawodniczyć z mężem. Była przytem dobrą i kochającą córką swego kraju, była Polką całą siłą żywych swych i namiętnych uczuć i tę miłość dla kraju, który przybyłej z obczyzny rodzinie jej tak gościnne otworzył podwoje, radaby była przelać na wszystkich. W jednym z listów z podróży po Anglii, dziwi się, że Anglicy pomimo bogactw i dobrobytu, jaki posiadają, wszyscy są tak posepni, smutni, milczący i jakby przyciśnięci ogromem nieszczęścia. List ten kończy wykrzyknikiem, który wymownie stwierdza uczucia jej dla kraju rodzinnego. «O ludzie,—pisze,—jakże nie umiecie korzystać z darów Opatrzności! Nasza Polska sto razy lepsza i przy całej swojej biedzie sto razy szczęśliwsza».

Pierwsze lata wspólnego pożycia młoda para książęca przepędziła we wsi Powązki, pod Warszawą. Piękną tę ustron księżna, ulegając ogólnie wówczas przyjętym zwyczajom i swoim

własnym najmilszym, upodobaniom, przystroiła ♀
pięknymi chatami; na pozór skromne, poszyte
słomą lub trzcina, wewnątrz wyglądały one jak
istne cacka i zachwycaly gości z zagranicy, któ-
rzy w przejeździe przez Warszawę chętnie na-
wiedzali Powązki, gdzie ich czekała gościnność,
godnie odpowiadająca dawnym polskim trady-
cyom. Tej ustroni książęcej poeta Stanisław Trem-
becki poświęcił oddzielny poemat p. t. «Pową-
zki», w którym wybornym językiem, z wielkim
zasobem i pomocą mitologii opisuje rezydencję
książęcą:

... Domek wielce miły,
Wart, by go lepsze rymy od mych uwieczniły.
Jego niewinna zdrada zadumienie czyni,
Wierzch podobien do chaty, środek do świątyni.

Od r. 1784 przenoszą księstwo Czartoryscy
rezydencję swą do Puław. Miejsowość ta stała
się wkrótce ogniskiem życia umysłowego i towa-
rzyskiego i wywierała przez pół wieku tak wy-
bitny wpływ na literaturę i obyczaje, że godzi
się wspomnieć o niej pokrótce, zwłaszcza że roz-
wój swój i powstanie zawdzięcza księżnie Izabelli.

Puławy, wieś w województwie lubelskim, by-
ła pierwotnie własnością rodziny Tenczyńskich, od
których drogą spadku przeszła do Lubomirskich,
a następnie Sieniawskich. Ostatnia z Sieniawskich,
Zofia, wniosła ją w posagu w dom Czartoryskich.
Księżna Izabella, zachwycona piękną położe-
nia, upodobała sobie wieś tę nad wszystkie inne
i w ciągu kilku lat pracy doprowadziła do tego,
że urokowi tej ustroni nikt oprzeć się nie zdołał.
Od wczesnego dzieciństwa księżna odznaczała się
wielkim zamiłowaniem piękną; w licznych po-
dróżach za granicę miała sposobność zamiłowa-
nie to rozwinąć jeszcze i ująć je w formy dosko-
nałości estetycznej. Wcieliwszy w Powązkach upo-
dobanie swe artystyczne, znalazła w Puławach
nowe i bardzo wdzięczne pole do rozwinięcia
znów działalności, nacechowanej zawsze i wszę-
dzie miłością kraju rodzinnego, poszanowaniem
wszystkiego, co swojskie. I to właśnie poszano-
wanie było najpiękniejszą stroną charakteru księ-
żny, chlubnie ją wyróżniającą z pośród kobiet
współczesnych, które w ślepem naśladowaniu Za-
chodu widziały jedyny cel swoich dążeń i pra-
gnień. Jej działalność była jasnym dowodem pra-
wdziwości zarzutu «cudze chwalicie, a swego nie

znacie», z którym się tak często spotkać można
było w owym czasie.

Ale bo też uroczne położenie i szczęśliwe
warunki, w jakich znajdowały się Puławy, prosiły
się niemal o taką opiekunkę, jaką była księżna.
Położone w nizinie nadwiślańskiej, pełne bujnej
roślinności, uderzały malowniczą różnorodnością
wzgórz i dolin. Sama już natura przybrała je
w kształty ustronia z bajki czarownej, które pod
zaklęciem wieszczki czarodziejskiej zmienić się
miało w rajske zacisze.

Prace swe rozpoczęła księżna od restauracyi
pałacu, który pierwotnie miał cechę zamku obron-
nego. Klejenie i uzupełnianie poniszczonych
przedmiotów rozwija w niej zamiłowanie do
starożytności. Wtedy to budzi się w niej myśl
zgrupowania w Puławach wszystkich pamiątek
narodowych, rozrzuconych w licznych jej wło-
ściach po całym kraju. Realizacją tego projektu
jest «Świątynia Sybilli», gmach imponujący pię-
knością klasycznych swych kształtów, położony
w wspaniałym parku, okalającym pałac książęcy.
W parku tym wzniosła nadto księżna kaplicę
w stylu klasycznym, której nadała nazwę Pan-
teonu.

Świątną tę całość uzupełniało urządzenie
wspaniałego parku. Jednem z najulubieńszych za-
jęć księżny było ogrodnictwo, oddawała się mu
też z całym zamiłowaniem, nie żałując często na-
wet pracy fizycznej. W ogrodzie sama szczepiła
i sadziła drzewka, pielęgnowała kwiaty, nakreśla-
ła plany trawników i klombów, zbierała nasiona.
A wszystko to czyniła z takim niewymuszonym
wdziękiem i naturalną prostotą, że przybysze za-
graniczni, których tu nigdy nie brakło, oczaro-
wani byli dziwaczniemi w ich pojęciu upodoba-
niami polskiej księżny.

Obszerne apartamenty pałacu mieściły w swych
murach licznych mieszkańców tak stałych, jak
i goszczących chwilowo, którzy przybywali tu
z dalekich stron kraju, ażeby złożyć hołd świa-
tłemu rozumowi księcia jenerała i rzadkim przy-
miotom duszy małżonki. Nawet i koronowani go-
ście zaszczytali odwiedzinami swemi rezydencję
książęcą. Między innemi, w r. 1810, goszczą tu
królestwo sascy po objęciu tronu warszawskiego.

W zabiegach swych około upiększenia rezy-
dencyi nie zapomina jednak księżna ani na chwi-
lę o zamiarze swym utworzenia w Puławach ży-

cia naukowego i obyczajowego. Holdując tradycjom dworów polskich z XVI w., przyjmują Czartoryscy z otwartymi rękami młodzież z rodów szlacheckich, przybywającą tu dla odbywania lub kończenia edukacji. Książę jenerał, który poważnie pojmował obowiązki wychowawcy, zakłada w Puławach dla młodzieży męskiej rodzaj szkoły, zostającej pod kierunkiem nauczycieli, których imiona zasłynęły później w dziejach literatury polskiej; w owej szkole młodzi książęta kształcą się wspólnie z synami ubogiej szlachty, nabierając zawczasu poszanowania dla pracy i zasług osobistych.

Z inicjatywy księżny powstaje w Puławach pensjonat dla ubogich panien przeważnie sierot. Zakład, liczący zwykle 30 uczennic, zostaje pod nadzorem Bernatowiczowej, matki autora «Pojały», duszą jego jednak jest sama księżna, którą żywo obchodzi los oddanych jej pieczy dziewcząt. Dla nabrania ogłady towarzyskiej biorą pensyonarki udział we wszystkich zabawach i rozrywkach, urządanych w pałacu. I niejedna, zawdzięcza bytności swej w Puławach całą swoją przyszłość, jaka przez bogate wyjście za mąż przypadła jej w udziale. A zadanie to nie było zbyt trudne, księżna bowiem dokładała wszelkich starań, aby uczennice pensjonatu nie opuszczały Puław bez dozgonnego towarzysza życia. Młodzieży chętnej nie brakło tu nigdy, zwłaszcza że zapobiegliwa protektorka nie zapominała i o wianie dla ukochanych swych pupilek. Uczennice ubóstwiały niemal księżnę, która na każdym kroku umiała zastąpić im matkę. W pensjonacie tym kształciła się matka Klementyny Tańskiej, a ojciec jej Ignacy jest po Książninie nadwornym poetą puławskim.

Oprócz młodzieży pałac w Puławach gości liczny zastęp pisarzy w rozmaitych gałęziach literatury, którzy żywy biorą udział w życiu tu-tejszem, a sławą i powagą swej wiedzy nadają całej siedzibie cechę ogniska życia umysłowego. A więc poeci: Książnin, którego pieśni i cała działalność poetycka jest wiernym odbiciem stosunków, obyczajów, zabaw, pojęć i uczuć towarzysztwa puławskiego; dalej Franciszek Karpiński, zasłużony komedyopisarz Zabłocki, ks. Piramowicz, ks. Woronicz i wielu innych, którzy w literaturze polskiej doby późniejszej zaszczytne zajęli stanowisko. Pokarmu umysłowego dostarcza

✧ bogata biblioteka i zbiory naukowe, którymi zarządza uczony filolog Groddeck, a następnie Karol Sienkiewicz.

W takich warunkach i w takim otoczeniu żyła księżna Izabella, z natury już bogato w przy-mioty umysłu uposażona. Wobec tego nic dziwnego, że wyrobiła się w niej skłonność do poważnego myślenia i poważnego na świat i warunki życiowe zapatrywania. Obowiązki swe jako matki i obywatelki pojmowała bardzo surowo i pojęciom tym nie sprzeniewierzyła się przez cały ciąg długiego swego żywota. Najwymowniejszy dowód tego złożyła w wychowaniu swych dzieci na godnych i kochających kraj obywateli.

A i lud wiejski w Puławach i wsiach okolicznych doświadczał na sobie szlachetności i dobroci jej serca. Włościan wszystkich знаła po imieniu i nazwisku, była ich opiekunką i przyjaciółką. Dotknięty nieszczęściem biedny włościanin szedł do swej pani z ufnością i otuchą, że nieszczęście jego znajdzie współczucie w szlachetnem jej sercu. Odczuwała ona dobrze smutną dolę tego ludu, krzywdy jego bolały ją, a uczucie to znalazło swój wyraz w podniesionym przez nią projekcie zamiany pańszczyzny przez oczynszowanie gruntów. Czasy nie były jednak potem i choć szlachetny projekt pozostał na razie w dziedzinie projektów, stanowi on mimo to wymowne świadectwo szlachetnych intencji projektodawczyń.

Dobro moralne tego ludu leżało jej również bardzo na sercu. Za inicjatywą księżny powstała w Puławach szkółka i ochronka dla dzieci wiejskich. Dla włościan, umiejących czytać, napisała «Książkę do pacierzy dla dzieci wiejskich», wydaną w Wrocławiu w r. 1815.

Potrzeba dokończenia edukacji synów zmusiła księżnę do przedsięwzięcia dłuższych podróży za granicę. W czasie podróży tych miała sposobność poznania bliżej wielu ówczesnych znakomitości francuskich, między niemi Rousseau'a i Delille'a, autora poematu p. t. «Ogrody». Znajomości te przynosiły jej niemałe korzyści moralne, wywołując w niej pragnienie poznania coraz to szerszych horyzontów wiedzy. Z Delille'm pozostawała przez szereg lat w korespondencji, pod której wpływem powstały później «Myśli różne o sposobach zakładania ogrodów», wydane w Wrocławiu w 1805 r. Praca ta charakteryzuje

dokładnie zamiłowanie księżny do ogrodnictwa. Prócz prac powyższych księżna Izabella ogłosiła nadto: «Poczet pamiątek zachowanych w domu gotyckim w Puławach» i dzieło, zawierające wskazówki praktyczne, dotyczące oświaty, p. t. «Pielgrzym w Dobromilu». Jak trafnie określa i pojmuje autorka zadanie popularyzacji oświaty świadczą najlepiej słowa następujące, z pracy tej wyjęte: «Początkowe oświecenie powinno być łatwe i zachęcające. Nie trzeba, ażeby odstręczało niejednych czytelników trudnem dla nich pojęciem, kiedy owszem w tem czytaniu zabawy szukać mają. Co zaś do smaku czyli gustu w pisaniu, zdało mi się, że dla każdego stanu jest język, który trafia do umysłu tych, co czytają; wypracowane zwroty, wyszukane słowa, niektóre

wyobrażenia nie byłyby przyjęte w chacie ubogiej tak chętnie, tak mile, jak wyrazy proste, które gospodarz, gospodyni, dzieci i sąsiedzi równie i odrazu zrozumieć potrafią». Praca ta spotkała się z bardzo przychylną oceną Lelewela.

Ostatnie lata życia swego spędziła księżna we Włoszech, a mianowicie we Florencyi, gdzie dokonała żywota w r. 1837. Z dzieci jej córka Maryanna, zaślubiona księciu Ludwikowi Wirtemberskiemu, wslawiła się jako autorka «Malwiny», którą utorowała drogę powieści polskiej, i «powieściami wiejskimi», które są pierwszą próbą na tem polu literatury ludowej.

Adam Dobrowolski.



Ksiądz Jan Paweł Woronicz

* 1757 † 1829.

Urodził się w Tajkurach, na Wołyniu, roku 1757, z ojca Jana, przydomku Paweża, z matki Maryanny z Kmitów. Nauki szkolne pobierał w Ostrogu u Jezuitów, a ukończywszy je, wstąpił do nowicyatu.

Po zniesieniu zakonu Jezuitów był nauczycielem przez pewien czas, następnie przeszedł do księży Misyonarzy w Warszawie i, ukończywszy u nich studia teologiczne, został w r. 1784 wyświęcony na księdza.

Podczas sejmu czteroletniego pracował w sprawach duchowieństwa przy kilku ówczesnych biskupach.

Stanisław August mianował go infułatem i dał mu probostwo liwskie; w r. 1795 objął probostwo w Kazimierzu; następnie Stanisław Potocki dał mu probostwo w Powsinie, w dobrach Wilanowskich pod Warszawą, gdzie też Woronicz przebywał najwięcej aż do swojej nominacji na biskupa krakowskiego. Za czasów Księstwa Warszawskiego został dziekanem kapituły warszawskiej i powołany do rady stanu.

W r. 1815 został mianowany biskupem krakowskim, a w r. 1827 arcybiskupem prymasem warszawskim, skoro właśnie po utworzeniu Królestwa Kongresowego arcybiskupstwo to powstało.

W powrocie z wód zagranicznych niespodziewanie w Wiedniu 4 grudnia 1829 r. zakończył

życie. Pochowany został w Krakowie na Wawelu.

O powierzchowności Woronicza Leon Dembowski we wspomnieniach pisze, że był niski, więcej otyły, niż chudy, twarz pełna, smętna, rysy regularne, nos mały, kształtny.

Najzupelniejszy zbiór pism Woronicza poezją i prozą wydał Józef Czech w Krakowie 1832 r. w siedmiu tomikach, z których dwa pierwsze są ozdobione portretem Woronicza.

Woronicz zajmuje wydatne w naszej literaturze stanowisko w dwóch kierunkach: w kierunku poetyckim i kaznodziejskim.

«Świątynia Sybilli,» największy, skończony jego poemat, jest pod pozorem opisu puławskich ogrodów i zbiorów pamiątek elegią o historii polskiej, w której każdy fakt dziejowy i każdy człowiek znaczący ma poświęcone sobie wspomnienie. Elegia «Zjawienie Emilki» napisana jest dla pocieszenia rodziców, którzy stracili małą córeczkę; dusza tej dzieciny, pomiędzy innemi pociechami, daje im i przepowiednię lepszych losów dla kraju.

W utworach tych, — zarówno, jak w «Lechu,» myślą wewnętrzną z niemi pokrewnym, — widoczne jest pod względem *formy* naśladowanie Naruszewicza; stąd słabe strony poezji Woronicza. Z drugiej strony atoli w poezji tej objawia



bioRxiv preprint doi: <https://doi.org/10.1101/151100>; this version posted May 11, 2017. The copyright holder for this preprint (which was not certified by peer review) is the author/funder, who has granted bioRxiv a license to display the preprint in perpetuity. It is made available under aCC-BY-NC-ND 4.0 International license.

Podtry akwardi_Bibl. ze zbiorów Cdyb. Krasniskich.

Wronicz Bp
Lpakiu 3. lut. 1861

się usposobienie bardzo uczuciowe i rzewne, bardzo religijne przym. ✧

Poezya Woronicza, jednocząc w sobie miłość Boga i miłość ojczyzny — jedyne uczucia jego duszy — niezawsze wprowadzie jest na wysokości uczucia, które ją zrodziło, umie się jednak niejedenkrotnie wyrazić z mocą porywającą.

Wzniosłym jest «hymn do Boga o dobrodziejstwach Opatrzności, narodowi polskiemu wyświadczonych.»

Maurycy Mochnacki, kreśląc obraz literatury sobie współczesnej, powiada: «Oto w tej dzisiejszej poetycznej literaturze naszej mamy westchnienie do Stworzyciela nieba i ziemi w hymnie Woronicza. On wyliczał dobrodziejstwa Opatrzności, narodowi polskiemu wyświadczone; kolejną przechodził dzieje nasze od początku do końca, jedną ale głęboką myślą rozerwanego przymierza Trójcy z miłym jemu ludem wszystkie swoje farbując utwory. Wziął na to zdaje się poświęcenie, żeby przy ołtarzu przeszłych czasów służbę sprawował i czuwał, żeby płomień, gorejący na nim, nigdy nie wygasł. Dobrze pełnił powinność swoją. Dla niego przeszłość nie była ani skorupą garncarską, ani dymem, gryzącym w oczy. Wówczas kiedy inni, szukając chluby z postronnego dowcipu, odstrychnęli się od prawdziwej prostoty i piękności, on sam jeden rozmyślał o narodowym pieśnioksięgu, a wzniosłszy ducha wysoko, na sam wierzchołek Libanu, Dawidową przestrajał arfę.»

Przez natchnione w poezji swej uczucia Woronicz odróżnia się od wszystkich współczesnych i zapewnia sobie osobne a szanowne w historii naszej poezji miejsce. Nawet w najgorętszej walce romantyków z klasykami uszanowano czcigodną postać autora *Sybilli* i przyznano zgodnie, że stoi on na stanowisku oddzielnym, otoczonym świętością, zdalą od wrzawy, jaka wówczas panowała w świecie literackim.

Uważano też Woronicza za wielkiego, natchnionego kaznodzieję i stawiano obok Skargi. Że między współczesnymi celował, że oddawna, bo od XVII wieku, był pierwszym u nas kaznodzieją z gorącym uczuciem religijnym i kaznodzieją wymownym, zdolnym — to prawda. Jednak uwielbienie współczesnych przebiegało miarę, kiedy go zbliżało do Skargi. W jego wymowie, zarówno jak w jego poezji, jest zawsze coś reto-

rycznego, co dziś wydaje się sztywnem i pedantycznym, niezdolnem porwać słuchacza. Zwykle jego niedzielne homilijne kazania poruszały serca szczególnie prostaczków mocą prostoty wykładu, nawet niekiedy wstrząsały zastygłemi sercami; kazania przygodne, w których starał się być bardzo wymownym i wzniosłym, nie czyniły potężnego wrażenia.

Od dawnych czasów Woronicz był pierwszym u nas biskupem prawdziwie kościelnego i apostołskiego ducha, z najszczerzem powołaniem kapłańskim, z wiarą gorącą, z pobożnością żarliwą i troskliwością wielką w pełnieniu biskupich obowiązków. Przez to godzien jest szczególnej naszej pamięci i wdzięczności, bo na społeczeństwo sam wpłynął szczęśliwie i skutecznie. Przyczynił się on bardzo do tego odrodzenia uczuć i przekonań katolickich, które zaczęło się i u nas wówczas objawiać.

Kajetan Koźmian w jego wizerunku w pamiętnikach tak się o Woroniczu wyraża: «Najzaczyniejszy, najgorętszy, najszlachetniejszy Polak i kapłan; umysł nakarmiony Pismem św., wzniosłemi proroków wróżbami, słodyczą ewangeliczną, ozdobiony głęboką znajomością dziejów narodowych, czerpał w źródle wymowy, w sercu — i na skutkach się nie zawiódł.»

Kiedy Woronicz został biskupem krakowskim, w rezydencji swojej w Krakowie ozdobił wszystkie ściany biskupiego pałacu freskami i malowidłami Stachowicza z historii polskiej, sam dając artyście wzory i motywy; komnaty pałacu przepelnione były drogocennymi zbiorami. Hojność Woronicza w tym kierunku zaiste musiała być wielką, skoro Leon Dembowski we wspomnieniach pisze, że biskup często wdychał i narzekał, iż roczny dochód jego 60 tysięcy złotych polskich nie wystarcza na zbiory, malowidła i freski. Niestety, nagromadzone w pałacu bogactwa artystyczne przepadły w straszliwym pożarze, jaki w r. 1850 nawiedził Kraków.

Należał Woronicz do rzędu najoświecieńszych ludzi swego czasu i przez szereg lat był ozdobą towarzystwa, które się tłumnie zbierało i całymi miesiącami gościło w Puławach, będących wówczas — dzięki właścicielowi, księciu generałowi ziem podolskich i jego małżonce, księżnej Izabelli z Flemingów — wydatnem ogniskiem życia umysłowego w kraju.

Pod względem oświaty, zamiłowania nauk, pokolenie ówczesne należy do najwyżej, najrzetelniej cywilizowanych w naszej historyi, a pod względem moralnej i obywatelskiej wartości godne jest służyć za wzór. Honor, prawość, duch publiczny i gotowość do poświęceń, przy rzadkim u nas zmyśle karności, porządku i zgody — to są właściwe cechy społeczeństwa ówczesnego, ✧

a jego wiernymi i pięknymi typami są ludzie tacy, jak książę Józef, Czacki, Marcin Badeni, Matuszewicz, Staszic, Linowski, Mostowski, Koźmian, Ignacy Sobolewski, w pierwszym zaś wśród nich i wśród innych rzedzie — Woronicz.

Stanisław Kijeński.



Franciszek Karpiński.

* 1741 † 1825.

Nazywano go «poetą serca» lub «kochan-
kiem Justyny,» bo śpiewał miłość

całe życie i wzdychał sentymentalnie do rozmaitych wcielonych ideałów, którym dla niepoznaki nadawał to imię przybrane, pragnąc zachować dyskrecję wobec świata i pani swoich uczuć nie wystawiać na pokaz gawiedzi. Kochał, jak nieodrodny syn XVIII-go wieku a śpiewał «jak ptaszek,» według wyrażenia Mickiewicza; kochał z tą przymieszką czułościowości, która wytwarzała jakąś miłość zmanierowaną, miłość Filonów sielankowych, wzdychającą i gruchającą przy świetle księżycy pod zielonym jaworem, przy brzęku gitary śpiewającą tkliwe piosenki i rozrzuwającą się własnym głosem.

Przez cały długi, bo przeszło 80-letni żywot, erotyzm wypełniał głównie duszę i twórczość Karpińskiego, stroił mu lutnię do śpiewu, rozmazał go i rozmazywał, czyniąc zeń dość często najnieznośniejszy typ kochanka w rodzaju tych mazgajów miłosnych, których uwiecznił Fredro w Albinie ze «Ślubów pańskich;» tylko Albin przy swojej romantycznej naturze jest idealniejszym, ma mniej praktycznej trzeźwości w chwilach refleksji nad samym sobą i tą, w której jest zakochany, a Karpiński, słodkie lzy wylewając przy swoich lubych bogdankach, umie obliczać, z którą «zyskowniejsze byłoby małżeństwo,» albo przy-
jąc 5,000 złotych na pocieszenie po straconych korzyściach sercowych.



Podług współczesnego portretu olejnego.

Franciszek Karpiński

Trzeba mu tę sprawiedliwość oddać, że nie rozprasza się w miłostkach i nie fruwa, jak motyl, ale raczej jak gąsiennica trzyma się jednego kwiatu, wierny, przytulny, stały i cierpliwy, dopóki go los nie straci swoim podmuchem, albo wyczerpany i senny sam nie odpadnie. W ten sposób trawi lat kilka najpiękniejszej wiosny młodzieńczego wieku przy ubogiej sierocie, Maryi Broeselównie, córce b. kapitana saskiego na Pokuciu, urodzonej z Turkułówny, której poświęca najpięwszą ze swych sielanek: «Tęskność na wiosnę do Justyny;» po całych dniach i nocach przebywa z nią, rozmawia, grucha i wzdycha miłośniczo, ale choć panna piękna, jak anioł, a czysta, jak sama niewinność, choć gotowa dla niego «prząść i grzędę kopać,» nie może się zdecydować na to, by ją zaślubić, bo chybaby mu przyszło pójść z nią na służbę i biedowanie, a tego obawia się przez całe życie i do dostatków wzdycha równie gorąco, jak do swoich Justyn. Wyrzeka się tedy w końcu swojej miłości na głodno i radzi pannie, by wyszła... za jego rywala, który jej lepszy los zgutować może, a sam postanawia zyskowniejszej poszukać sobie partyi.

Potem lat dziesięć kocha się w mężatce, skromnej i cnotliwej starościnie ostrowskiej, pani Ponińskiej, która jako światowa dama, rozumna i wykształcona, sawantka, lubiąca dysputy, zajmuje się jakby z macierzyńską trochę czułością protegowanym swoim poetą, dba o jego ogładę towarzyską, o jego edukację umysłową, ale niestety ma twarz «niewiele przyjemną» i jest o czternaście lat od niego starszą. Mimo to «więcej lat dziesięć trzyma go w szczęśliwych więzach,» nie pozwalając na żadną poufalskość, trzymając zawsze przy sobie, ale na długim sznurku, nie pozwalając mu się zbliżyć zanadto, nawet po swem owdowieniu; nie dowierzała snąć sobie i jemu dla tej różnicy wieku, a gdy dostrzegła, że ostyga z czasem w uczuciach, darowała mu fundusik na zabezpieczenie przyszłości i puściła z kwitkiem.

Serce poety jednak nie znosi próżni; w lat kilka obowiązkowo jest znowu zakochany w starościance olchowieckiej, Franciszce Koziembrodzkiej, która lubo ma narzeczonego, gotowa zerwać planowane przez ojca małżeństwo i «dać się wykraść;» ale poeta dzierżawi wieś u pana starosty na dobrych warunkach, szczyli się jego przyjaźnią i zaufaniem, nie wypada mu zatem korzy-

stać z miłości córki, woli więc znowu wyrzec się kochanki i widzieć ją żoną innego, z którym «nie ma być szczęśliwą.»

Serce jego prześladowe jakby fatalność, że musi się odkochiwać za każdym razem i to w połowie drogi, wiodącej do celu. Po rozmaitych innych epizodach niefortunnych, które są zawsze tylko fragmentem urwanym w najbardziej stanowczej chwili, przychodzi mu nareszcie chęć ożenić się na seryo, ale ma wtedy sam już lat pięćdziesiąt, a narzeczoną jego jest wdowa; spóźnione amory wydają się śmieszne najlepszym nawet jego przyjaciółom, a zwłaszcza siostrze królewskiej, pani Branickiej, u której przebywa, jako rezydent w owym czasie. Można i wpływową protektorką gwałtem przeszkadza mu popelnienie szaleństwa i gdy ma już wyjeżdżać na ślub z narzeczoną, zamyka mu powóz i konie i w ten sposób zatrzymuje u siebie.

Zostaje tedy wieczny kochanek Justyny starym kawalerem do końca życia.

Starość umilają mu wspomnienia, towarzystwo dzieci, z którymi bawić się lubi i pozostała rodzina siostry nieboszczki, którą się otoczył w braku własnej, cofnąwszy się od świata i ostatnich lat trzydzieści spędziwszy na własnym zagonie w dobrobycie obywatela ziemskiego, zanim spokojnie, cicho, łagodnie zasnął na wieki w r. 1825-ym.

Jak miłość jego bez wybuchów namiętności, bez walk i przejść dramatycznych, utrzymywana zawsze w średniej skali uczuć i pożądań, umiarkowana rozumem, przesłodziła czułością, a nasiąkła łzami sentymentalnego rozrzewnienia, tak i twórczość jego nosi te same cechy, trzyma się dość niskiego poziomu i najwłaściwiej może przysługuje jej tytuł: «Zabawek wierszem i prozą.»

A jednak swego czasu Karpiński należy do najulubieńszych poetów epoki i ma szeroką popularność wśród tych warstw średnich, niewybrednych, którejby mu nie jeden większy talent mógł pozazdrościć; umie on bowiem z prostotą i naturalnością, rzadką na swój wiek, wyrażać te przeciętne uczucia serc wrażliwych, ale niegłębokich i przez to staje się zrozumialszym, bliższym, ulubieńszym od wielu innych w tem «pokrewieństwie dusz,» zamkniętych w dość ciasnej sferze ideałów i pragnień.

«Śpiewa, jak ptaszek» pomiędzy papugami klasycyzmu, tym powszechnie zrozumiałym językiem, bez retorycznych ozdób, bez mytologicznych

porównań, bez naśladownictwa cudzego stylu książkowego, który uważa za napuszony i przesadny, a którego jest równym przeciwnikiem, jak fanatyzmu religijnego, lub «głupiej perypatetycznej filozofii,» której u OO. Jezuitów słuchał swego czasu w Stanisławowie; ma ten szczęśliwy instynkt, aby na długo przed romantyzmem zwrócić się do natury i źródła prawdziwej poezji w pieśni gminnej, «mieć serce i patrzeć w serce,» zerwać ze szkolarską teorią tworzenia na zimno i... śpiewać, jak ptaszek piosenki proste lecz rzewne i odczute.

Dostępuje też tego rzadkiego zaszczytu i nagrody, że zanim późniejsi jego następcy w liryce zaczną od ludu *brać*, on ludowi temu *dać* pieśni, które pod względem formy i treści, uczucia i natchnienia, języka i myśli, odpowiadają temu ludowi tak właściwie, tak przypadają mu do smaku, usposobienia i przekonania, że lepszych sam sobie nie potrafiłby utworzyć. Uderza to tembardziej, iż ten poeta, dzisiaj ludowy, nie pochodzi wcale z ludu, bo jest *natus et possessionatus*, kształcony od dzieciństwa w tradycjach szlacheckich, w szkołach jezuickich na filozofa i teologa, a później na palestranta; znaczną część swego życia spędza to na królewskich salonach w Warszawie, w atmosferze arystokratycznej, to na książęcym dworze Adama Czartoryskiego, jako jego sekretarz, to przy Romanie Sanguszcze, jako gubernier, to rezyduje na łaskawym chlebie u Branickiej; skłonność zaś i własny interes, który ówczesnym zwyczajem poetów zbyt często ma na widoku, ciągnie go bardziej ku wielkiemu światu, niż ku małuczkim i prostaczkom, z którymi przestaje o tyle, o ile musi, gdy zawiedziony w swoich widokach porzuca miasto, by na wsi przeboleć zawody serca lub kieszeni.

Te zawody może sprawiają właśnie, że zawieszony u pańskich klamek, nie zaprzeda się duszą i ciałem swoim mecenasom, że w głębi duszy chowa «zawsze niechęć szaraczkowego szlachcica ku mitrom i karmazynom,» jak trafnie wyraża się o nim A. Belcikowski.

Dokoła otacza go atmosfera pseudo-klasycyzmu i naśladownictwa francuszczyzny w życiu i literaturze, mimo to on jeden z całego grona poetów tej epoki nie hołduje żadnemu obcemu Bogu, nie obiera sobie żadnego obcego wzoru i nie przejmuje się cudzoziemczyzną, chociaż czyniąc ustępstwa smakowi wieku, z cudzego natchnienia tłumaczy «Ogrody» Delille'a, lub Mi-

chaud'a: «Wiare, prawa i obyczaje Indyan.» Poza tem wszelako zachowuje swoją odrębność i oryginalność, którym więcej, niż talentowi swemu zawdzięcza rozgłos i popularność.

Ma za sobą najdzielniejsze poparcie i najłagodniejszą wziętość w dwóch sferach jako śpiewak miłości—u kobiet, jako pieśniarz religijny—u prostaczków. Przez całe dziesiątki lat pieśni jego rozbrzmiewają przy towarzyszeniu tak różnych instrumentów, jak gitara i organy; pierwsza akompaniuje czułym sielankowym schadzkom Filona i Laury: «gdy miesiąc zaszedł, psy się uśpiły,» drugie prostym, ale głębiej od wszystkich innych odczutym pieśniom nabożnym: «Kiedy ranne wstają zorze,» lub «Bóg się rodzi.»

I ze wszystkiego, co w życiu swem napisał, z całej puścizny poetyckiej te utwory, jako najbardziej typowe i najbardziej charakterystyczne w twórczości Karpińskiego, przeżyły faktycznie wszystkie jego sielanki i pieśni, i dramatyczne próby, i rozprawy prozą pisane, o których wie się tylko z tytułów w podręcznikach literatury, z pochwał Mickiewicza, ze studyów Brodzińskiego, Kraszewskiego, Belcikowskiego, ale do których dzisiejszego czytelnika żadna już ciekawość nie ciągnie, jakby w przeczuciu, że mu się to wszystko bardzo mdle, zwietrzałe i przestarzałe wydać musi. Ani sielanki, ani elegie, z wyjątkiem może jednej: «Powrotu z Warszawy na wieś,» pełnej utyskiwania na nielaskę panów, którzy mu liści wawrzynowych pozłocić grubo nie chcieli, ani «Judyta królowa polska,» jako wczesna próbka oryginalnej tragedii, ani «Czynsz,» komedia z pewnym demokratycznym odcieniem, ani «Psałterz Dawidowy» zbyt śmiało i niepotrzebnie po Kochanowskim jeszcze raz wierszowany po polsku, nic z tego wszystkiego nie zajmie głębiej i żywiej dzisiejszego czytelnika. Za mało w tem wszystkim talentu większej siły, fantazyi i wyższego polotu; czas i oddalenie obniżyły w perspektywie wieku wysokość tych utworów. Stoją one, jak gruzi tych dworów szlacheckich, po których dzisiaj trudno poznać, że niegdyś uchodzić mogły za pałace.

Miewa jednak i Karpiński chwile, gdy w lutni jego nastrój się podnosi, gdy to tkliwe serce kochanka Justyny, co drżało dotąd, jak listek osiki pod powiewem miłosnych westchnień, wstrząśnie się mocniej i jęknie raz głębiej, boleśniej,

gdy w nie uderzy burza, co całem społeczeństwem zachwiała. Wtedy, już u progu starości, zaśpiewa jeszcze jedną pieśń, ale silniejszą od wszystkich innych, gdy rozpocznie zawodzić: «Żale Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta» i z goryczą zawoła: «Jakże ten wielki trup do żalu wzruszał... w tem ciele była milionów dusza.» Obywatelski ten głos odezwie się i w prozie u niego, gdy Szczęsnemu Potockiemu rozwijać spróbuje swoje poglądy zdrowe, postępowe, demokratycznie zabarwione na «Rzeczpospolitą.»

Religijność i patriotyzm, to dwa najszczerze i najgłębsze uczucia w sercu Karpińskiego.

Pozostał po nim jeszcze jeden zabytek oryginalny i zajmujący, ale trudno powiedzieć, aby sympatyczny; to jego: «Pamiętniki, obejmujące epokę czasu od r. 1741 do 1822 wraz z historią życia autora;» spowiada się w nich poeta szczerze i z prostotą ze wszystkiego, co widział, przeżył, doświadczył, kreśli swój własny wizerunek duchowy, nie zacierając rysów, które go dzisiaj w naszych oczach trochę szpecą. Te skargi, utyskiwania, stękania na los, na nieuczynność króla, który go tylko słodkimi słówkami karmi, a chleba skapi, na magnatów, którzy «mu nic nie dali,» na innych, co biorą biskupstwa, pensye dożywotne, królewszczyzny, dobra pojezuickie, albo kaduki, ta chciwość parweniusza i karyerowicza, który pragnie, aby mu za to płacili suto, iż jest poetą i kochankiem Justyny, że «zaszczyt robi panowaniu Stanisława Augusta, żyjąc wtedy, gdy król ten na tronie siedzi,» to ciągle niezadowolenie z tego, co się ma, bo chciałoby się mieć więcej i to dlatego tylko, że inni więcej dostali,—wszystko to razi i obniża moralną wartość człowieka w poecie. Ale na wytłumaczenie swoje może Karpiński powiedzieć, że jest dzieckiem swego czasu i podobnym do tych innych synów Apollina, pozostających «na garnuszku» u króla mecenasa i magnatów, naśladowujących hojnego monarchę.

Że go często odprawiają z niczem, to zapewne dlatego, iż jest natrętnym, że się naprasza i że szlachetka z galicyjskiego Pokucia, z jakiegoś zapadłego kąta w Stanisławowskim, urodzony w odległym Hołostkowie, zachowuje do końca życia typ i charakter prowincjonalisty, który przypadkiem zabłąkał się tylko na salony wielkiego świata, polecony przez same muzy, z tytułem poety. Brodziński, który go jeszcze widywał za życia, powiada, iż «był wzrostu miernego, z twarzą oznaczającą raczej uczciwego i pracowitego wieśniaka, niżeli czulego poetę i męża z wielkim światem obeznanego. W obcowaniu więcej wesoły, niż dowcipny, pożądany był w gronie przyjaciół, mniej odznaczający się w salonach. Wśród zaufanych miał tę serdeczną wesołość, dla której każdy go więcej kochał, niż chwalił z dowcipu. Wstrzemięźliwy przez całe życie, w starości aż do przesady skromne i regularne życie polubił. Poznawszy świat wielki, oddalił się od niego, nie przez to, żeby go znienawidził, lecz że nie był do niego zdatny.»

Trawiony ambycją dążył do odznaczeń wyższych nawet, niż zasługiwał, mimo to w rzeczywistości nie był pokrzywdzonym ani moralnie, ani materyalnie; dawano mu korzystne dzierżawy, wyrabiano intratne miejsca, trzymano na dworach, aż około r. 1792 za protekcją szambelana Badeniego otrzymał w puszczy Białowieskiej przywilej na kawał ziemi. Kraśnik nazwał Karpinem i tam się zagospodarował, wzięwszy niemal zupełnie rozbrat z poezją dla chleba. Na kilka lat przed śmiercią dokupił sąsiednią Chorowszczyznę i w niej życia dokonał. Na grobie swoim w parafii Łyskowskiej kazał położyć napis: «Oto mój dom ubogi;» jeszcze z poza grobu musiał poskarżyć się na ubóstwo, chociaż mu ono nigdy prawdziwie za życia nie dokuczało, jak Zabłockiemu, lub innym.

M. Gawalewicz

Józef Elsner

* 1769 † 1854.

Nazwisko Elsnera tak silnymi skojarzyło się węzłami z historią opery pol-

skiej, jego wpływ na rozwój naszej muzyki w pierwszych dziesiątkach wieku bieżącego był tak wielki, on sam tak wiernie przez długie lata służył polskiej scenie, dzielił z nią dobre i złe losy, nakoniec tak ściśle związał się stosunkami z naszym społeczeństwem, że lubo był Niemcem z pochodzenia, wszyscy pisarze polscy uważali go, dziś poczytują i niewątpliwie w przyszłości zaliczać go będą do grona kompozytorów polskich.

Tak chciało przeznaczenie, a raczej tak ślepy przypadek zrządził, że założycielami naszej opery narodowej byli nie Polacy, lecz trzej cudzoziemcy: Słowak — Maciej

Kamieński, Czech — Jan Stefani i Niemiec — Elsner. Może ów ślepy przypadek źle przysłużył

się naszej dumie narodowej, ale za to błogosławiony wywarł wpływ na dalsze losy opery polskiej. Tej bowiem trójcy cudzoziemskiej zawdzięcza ona niewątpliwie swe narodziny, rozwój, a więc i świetność dzisiejszą.

Józef Ksawery Elsner urodził się w Grotkowie, miasteczku śląskim, w dniu 29 czerwca 1769 roku. Jego ojciec był stolarzem z zawodu, zajmował się wszakże i wyrobem narzędzi muzycznych, głównie klawikordów, arf pojedynczych (bez pedałów), małych organów i t. p. Czy to że firma zakładu nie miała wziętości, że fabryka była małą, a może i sam wyrób instrumentów nieosobliwy,



Podług sztychu ze zbiorów A. Polińskiego.

Joseph Elsner

dość, że stary Elsner, lubo pracował od świtu do zmierzchu, nietylko nie dobił się grosza, lecz nawet skromnego utrzymania nie mógł zapewnić swej rodzinie. Dla zabezpieczenia przeto losu swemu ukochanemu synowi, postanowił przeznaczyć go do stanu duchownego. W tym celu umieścił go w klasztorze Dominikanów w Wrocławiu, gdzie młody Elsner obok innych nauk, udzielanych w szkole klasztornej, kształcił się również w śpiewie chóralnym, w grze na skrzypcach, a nawet zapoznawał z podstawowymi zasadami teorii muzycznej.

Jakkolwiek nauka muzyki, jako przedmiot dodatkowy do ogólnej nauki szkolnej, nie była prowadzoną ani systematycznie, ani gruntownie, jednakże Elsner przy wrodzonych zdolnościach tak szybkie czynił w niej postępy, że już w 13 roku życia był w stanie skomponować motet «Ave Maria», który zwrócił na niego uwagę Schöna, rektora chóru kościelnego. Lubo Schön nie był muzykiem gruntownie wykształconym, o tyle się jednak znał na muzyce, że zarówno wartość motetu Elsnera, jak i jego zdolności kompozytorskie, należycie ocenić potrafił. Za jego staraniem Elsner pobierał odtąd lekcje general-basu od zdolnego organisty Janischa, teorii kompozycji od Dreirittnera, zaś sposobu urządzania partytur orkiestrowych od Maara, dyrektora orkiestry wrocławskiej.

Nauka szła rażno, kompozycje sypały się jak z rękawa. Kilka z utworów religijnych wydał Elsner pod pseudonimem Lilietti, które nieskąpanych doczekały się pochwał ze strony znawców. Zachęcony powodzeniem, napisał symfonię i tę wykonał publicznie, już nie kryjąc się z autorstwem. Wyniki wykonania tego dzieła były nie-małe: dano mu wstęp wolny na przedstawienia operowe, wzywano na nauczyciela muzyki do zakładów i domów prywatnych, nakoniec ofiarowano mu posadę pierwszego skrzypka w orkiestrze kościoła dominikańskiego, która, choć skromna, zapewniła mu jakie takie utrzymanie.

Mając lat 19, Elsner, za radą jednego ze swych przyjaciół, postanowił zerwać zupełnie z teologią, a poświęcić się medycynie. Zapisał się nawet w poczet uczniów słynnego profesora uniwersytetu wrocławskiego, doktora Morgenbessera. Los jednak nie sprzyjał tym zamiarom.

Rychła śmierć Morgenbessera zagnała Elsnera do Wiednia w celu dalszego kształcenia się w nowoobranym zawodzie. Po kilku miesiącach pracy i ciężkiej walki o chleb powszedni, zapadł tam na zdrowiu. Choroba się przedłużała, szczupłe zasoby pieniężne wyczerpały; to też po wyzdrowieniu, Elsner znalazł się na bruku wiedeńskim bez dachu nad głową, bez grosza w kieszeni, a rozpaczą w sercu.

Ale opatrność czuwała nad przyszłym twórcą «Łokietka». W czasie jednej z takich wędrówek bezcelowych po ulicach Wiednia spotkał się z przyjacielem i kolegą z ławy szkolnej, Bundesmanem, który ofiarował mu przytułek w swym mieszkaniu, udzielił pomocy pieniężnej, a następnie namówił do poświęcenia się wyłącznie muzyce.

Elsner zdrowej rady przyjaciela usłuchał, wszedł w bliższe stosunki z przedstawicielami wiedeńskiego świata muzycznego, a następnie za jego pośrednictwem przyjął ofiarowane mu miejsce skrzypka orkiestry teatru w Bernie.

Ta posada, acz skromna, dobrą podała mu sposobność do uzupełnienia studyów muzycznych i praktycznego wyćwiczenia się w sztuce kierowania się orkiestrą.

Echo pochwał oddawanych Elsnerowi, jako kompozytorowi i dyrektorowi orkiestry, dotarło aż do Lwowa. Bull, energiczny przedsiębiorca teatru niemieckiego we Lwowie, dowiedziawszy się o niepospolitych zdolnościach młodego muzyka, a potrzebując dyrektora dla tej części swej trupy operowej, którą zamierzał wysłać do Warszawy, zawezwał Elsnera z Berna i ofiarował mu posadę kapelmistrza.

Ciężki mu wszakże warunek postawił: Elsner dopiero wtedy miał objąć godność dyrektora opery, gdy jego zdolności kapelmistrzowskie dostąpią uznania ze strony muzyków lwowskich.

Warunek został przyjęty. Elsner, kierując przedstawieniem próbnym, tak zaimponował zarówno muzykom zawodowym, jak i ówczesnemu rządcy Galicyi, hrabiemu Brigido, że ten polecił Bulłowi wysłać innego dyrektora do Warszawy, a Elsnera zatrzymać we Lwowie.

Elsner, żądaniu hr. Brigido zadość uczyniwszy, przez siedem lat pracował dla sceny lwow-

skiej, kierując orkiestrą, bądź komponując różne kantaty, wstawki do oper, balety i t. p.

W 1794 roku wystawił tam pierwszą swą operę: «Die seltenen Brüder», a w dwa lata później: «Der verkleidete Sultan».

Niebawem po wystawieniu tej opery, zjechał do Lwowa Wojciech Bogusławski, a oceniwszy zdolności Elsnera, namówił go do komponowania oper polskich.

Mysł podsunęta przez Bogusławskiego uśmiechała się wprawdzie do Elsnera, ale trudności przerażały go i odstręczały. Nie zbywało mu ani na dobrych chęciach, ani na zdolnościach, jeno choćby na jakiej takiej znajomości języka polskiego. Silna jednak wola, wsparta wytrwałą zachętą i pomocą ze strony Bogusławskiego, poważną tę przeszkodę usunąć zdołała. W krótkim przeciągu czasu Elsner o tyle przynajmniej wyuczył się po polsku, że mógł dobrze podkładać słowa tekstu polskiego pod muzykę. Na początek dostarczył mu Bogusławski libretta swego melodramatu: «İskahar, król Guaksary», a gdy się Elsner dobrze wywiązał z zadania,—libretta opery «Amazonki».

Powodzenie tych sztuk ostatecznie przekonało Bogusławskiego, że się na zdolnościach Elsnera nie zawiódł, niemniej w nadziei, że te zdolności dadzą się wyzyskać na rzecz sztuki ojczystej. To też wracając do Warszawy w 1799 r. zabrał z sobą Elsnera i ofiarował mu posadę kierownika opery polskiej.

Na tem pozostając stanowisku, Elsner olbrzymią rozwinął działalność jako pedagog i kompozytor muzyczny. Uprawiał odtąd wszystkie rodzaje muzyki, zwłaszcza operową, oraz religijną, i wogóle wzbogacił ubogą wówczas naszą literaturę muzyczną wielu dziełami wartości niepospolitej. Pierwszą operą, napisaną w Warszawie, była: «Mieszkańcy Kamkatal» (1804 r., do słów Dmuszewskiego). Następnie były wystawione: «Siedem razy jeden» (1804), «Stary trzpiot» (1805), «Wieszczka Urzella» (1805), «Andromeda» (1807, do słów Osińskiego); w 1808 roku: «Szewc i krawcówna», «Urojenie i rzeczywistość», «Echo», «Śniadanie trzpiotów» i «Żona po drodze» (pięć oper w jednym roku!); dalej: «Leszek Biały» (1809), «Benefis», «Wawozy Sierra Morena» i «Kabalista», napisane w ciągu lat

1810—1812; «Król Łokietek» (do słów Dmuszewskiego, w 1818 r.), «Jagiello w Tenczynie» (1820, do słów Chodkiewicza), «Sultan Wampun», oraz kilka baletów i melodramatów.

Ze wszystkich tych oper kilka tylko, mianowicie: «Leszek», «Król Łokietek», «Sultan Wampun», «Mieszkańcy Kamkatal» i «Siedem razy jeden» dłużej gościły na scenie; pozostałe rychło schodziły z repertuaru, bo nie trafiły do gustu publiczności warszawskiej, zepsutego na płynnych i wdzięcznych dla ucha melodyach Paisielli'ego, Salieri'ego, Dalayrac'a, Nicola i innych mistrzów cudzoziemskich.

Niemniej wszakże za wielką to zasługę poczytać należy Elsnerowi, że melodye urabiał na pieśniach ludowych polskich, że więc w kompozytorach naszych wzbudzał zachętę do tworzenia oper w duchu muzyki ojczystej.

Nader też ważną i w skutkach owocną była jego działalność pedagogiczna. W 1816 r. założył w Warszawie szkołę operową, w której wykładano naukę śpiewu i wymowy. Z chwilą założenia konserwatorium w 1821 roku ta szkoła została zwinietą, a Elsner, objąwszy dyrekcję nowej uczelni, wykładał w niej naukę kompozycji. Z jego szkoły wyszli: Chopin, Dobrzyński, Stefani, Nidecki i wielu innych.

Wraz z objęciem dyrekcji konserwatorium Elsner zmienił pole swej działalności kompozytorskiej: zamiast operze, poświęcił się odtąd wyłącznie muzyce religijnej, która najlepiej odpowiadała rodzajowi jego uzdolnienia i usposobieniu artystycznemu. A lubo, będąc wiernymi duchowi swego czasu, jego dzieła religijne, równie jak i tego rodzaju kompozycje Haydna, Mozarta i Schuberta, nie zupełnie odpowiadały wymaganiom czystego stylu muzyki kościelnej, wszystkie jednak były opracowane z wielką starannością, wszystkie były utrzymane w stylu szlachebnym.

Wogóle Elsner napisał przeszło sto utworów religijnych (mszy, kantat, motetów, nieszpórów, hymnów na głosy męskie i mieszane i t. d.) z towarzyszeniem organu bądź orkiestry, wśród których naczelne miejsce zajmuje jego arcydzieło: wielkie oratorium na głosy solowe, chóry i orkiestrę, pod tytułem: «Męka Jezusa Chrystusa, czyli tryumf ewangelii», które unieśmiertelniło jego imię na kartach dziejów muzyki polskiej

Z dzieł literackich napisał: «O zdolności do muzyki języka polskiego» i «Rozprawa o rytmiczności i metryczności języka polskiego, szczególnie o wierszach polskich we względzie muzycznym», z przykładami K. Brodzińskiego (Część 1-sza, Warszawa, u St. Dąbrowskiego, 1818 r.).

Józef Elsner był żonaty z Karoliną Drodowską, śpiewaczką. Dorobiwszy się grosza, ku-

pił niewielki mająteczek pod Warszawą, który nazywał Elsnerówką, i tu, w dniu 18 kwietnia 1854 roku, pracowitego żywota dokonał.

Ciało znakomitego muzyka spoczywa na Powązkach, gdzie ze składek publicznych wystawiono mu pomnik.

Aleksander Poliński.



Książę Józef Poniatowski

* 1763 † 1813.

Książę Józef Poniatowski pochodził z rodziny szlacheckiej, herbu Ciolek, wzrastającej dopiero pod koniec XVIII w. Ojciec jego służył w wojsku austriackim i był ożeniony z Teresą hrabianką Kińską; z tego małżeństwa w Warszawie d. 7 maja 1763 r. urodził się książę, któremu na chrzcie nadano imię Józef. Ulegając woli ojca i wrodzonemu swemu zamiłowaniu, postanowił poświęcić się służbie wojskowej, która, wobec zasług położonych na tem polu przez ojca, świetne na przyszłość przedstawiała widoki.

W r. 1764 stryj księcia Józefa obejmuje tron polski, jako Stanisław August. Młody książę przybywa w odwiedziny do koronowanego krewniaka i tu wkrótce, dzięki ujmującemu swemu obejściu i rzadkim przymiotom ciała i duszy, staje się wielkim jego ulubieńcem i nieodstępnym prawie towarzyszem. W r. 1787 czternastoletni podówczas książę Józef towarzyszy Stanisławowi Augustowi w słynnej jego podróży na Ukrainę, do Kaniowa.

Wkrótce wybucha wojna między Austrią i Turcyą; młody książę śpieszy na pole walki i tu, przy zdobywaniu miasta Sabacz, otrzymuje chrzest wojenny. Raport głównodowodzącego armią cesarską stwierdza wielką waleczność młodzieńca, który, pomimo ciężkiej rany, nie opuścił pola bitwy i do ostatniej chwili brał czynny udział w zdobywaniu miasta.

Tymczasem wielki sejm w Warszawie zajął się gorliwie powiększeniem i reorganizacją armii narodowej. Król bystrym swym umysłem poznał, że wielką mu w tym kierunku pomoc oddać może synowiec, jako obeznany dobrze z organizacją i z systemem administracyjnym, przyjeżdżającym w armii austriackiej; wzywa go tedy, by przybywał do Polski i oddał pracę swą i wiedzę na usługi kraju rodzinnego.

Uzyskawszy uwolnienie z armii austriackiej, przybywa do Polski, gdzie otrzymuje zaraz stopień generał-majora, a w rok potem generał-lejtnanta. Z zapałem zabrał się do powierzzonej sobie pracy; a praca ta była zgola niełatwa. Kraj nie posiadał właściwie armii regularnej, trzeba więc było użyć wielu trudów, ażeby nie zawieść położonego w sobie zaufania. Czas przeto niebardzo sprzyjał organizacyi, która wymagała ciszy pokoju. Ledwie też książę Józef rozpoczął swoją czynność, a już zaraz w r. 1789 wysłany zostaje dla objęcia dowództwa nad dywizją ukraińską, operującą pod Braclawiem, nad Bugiem. Nastąpił pamiętny rok 1791. Książę Józef powitał z zapałem doniosły akt zaprzysiężenia konstytucyi przez króla, widząc w tem zaatek jaśniejszej przyszłości. Niedługo jednak i teraz poświęcić się mógł swoim obowiązkom: nad krajem zawisła znowu burza wojenna. Książę otrzymuje naczelne dowództwo nad całą ar-

nią, która miała zająć stanowisko obserwacyjne wzdłuż brzegów Dniepru i Dniestru.

Król podpisuje konfederację targowicką; po kilku pomyślnie stoczonych bitwach składa naczelne dowództwo, a uzyskawszy zupełne uwolnienie, opuszcza granice kraju rodzinnego.

Niedługo jednak pozostawał książę Józef na obczyźnie. Przybywa śpiesznie do Polski, gdzie walczy przy boku głównego Naczelnika. Nie opuszcza jednak kraju; jako poddany pruski osiada w Warszawie, przy boku króla, osładzając stryjowi ostatnie chwile panowania. Po wyjeździe Stanisława Augusta do Grodna, zajmuje pałac zwany «pod Blachą» przy zamku królewskim. Teraz zaczyna się dla walecznego wodza długi, bo dziesięcioletni prawie okres zupełnej bezczynności. W szumnych zabawach i bardzo w owych czasach dostępnych miłostkach szuka książę zapomnienia bólu, który piersi jego rozsadza.

Z nazwiskiem księcia Józefa łączy się w owym czasie ściśle nazwisko hrabiny de Vauban, która zdołała opanować nietylko pałac «pod Blachą», ale i całe towarzystwo warszawskie, nad którym z niesłychaną tyranią panowała aż do r. 1813. Doprawdy, pojąć trudno, czem pani ta potrafiła do tego stopnia ujarzmić ulubieńca kobiet warszawskich. Nie była to miłość, boć do tego ani osoba, ani wiek jej nie były stosowne. Hrabina była,—w czem zgadzają się wszyscy współcześnie,—bardzo nieładna, a przytem w najwyższym stopniu nerwowa i grymaśna, mimo to jednak potrafiła bohatera naszego ować do tego stopnia, że z pod wpływu jej nie mógł uwolnić się do śmierci. Nie był panem ani swego domu, ani majątku, ani swej woli, ani swego czasu. Ona pobierała jego dochody, rozrządzała nim, a bywać mu wolno było tylko tam, gdzie ona mu pozwoliła.

Co dziwniejsza, że nietylko książę Józef, ale cała Warszawa stosować się musiała do jej woli i zachcianek. U nikogo nigdy z wizytą nie była, a wymagała, aby wszystkie panie po przybyciu do Warszawy jej się prezentowały. Towarzystwo warszawskie oburzało się wprawdzie na ten niczem nieusprawiedliwiony teroryzm, oprzeć mu się jednak nie chciało.

Po rozbiciu armii pruskiej wkroczył Napoleon w granice Polski. Na wieść o zbliżaniu się «zdobywcy świata» do Warszawy opuścili Pru-

sacy, tak wojskowi jak i cywilni, miasto, powierając władzę z wyraźnego polecenia królewskiego księciu Józefowi. Przyjął ją książę, z tem wyraźnem jednak zastrzeżeniem, że tylko do nadejścia Francuzów ją zatrzyma, że Warszawy nie opuści. Objąwszy dowództwo nad gwardią narodową, na jej czele przyjmuje wkraczającego do Warszawy z wojskiem francuskim Murata, który powierza mu organizację armii polskiej. Książę Józef zaczął też zaraz, — tak jak Dąbrowski w Poznaniu, a Zajączek w Kaliszu, — formować legie, a ochotnicy z pośpiechem zaciągali się pod sztandar ulubionego wodza.

Traktat tyłżycki stworzył Księstwo Warszawskie, nadając mu nową organizację. Rządy księstwa spoczywały w rękach pięciu ministrów, z których ministerium wojny powierzono księciu Józefowi. Na tem nowem stanowisku miał sposobność w r. 1809 okryć sławą imię swoje i złożyć dowód waleczności dowodzonej przez siebie armii polskiej. W roku tym arcyksiążę Ferdynand austriacki, korzystając z bezbronności Księstwa Warszawskiego, napada na nie z siłą 40,000 wojska. Książę Józef z armią 8,000 głów liczącą, zachodzi mu drogę dnia 19 kwietnia pod Raszynem, o milę od Warszawy. Siły były zbyt nierówne, to też książę ujrzał się zmuszonym po morderczej walce oddać Warszawę w ręce nieprzyjaciela, wkrótce jednak, dzięki zrecznie ułożonemu planowi, wyprzeć zdołał austriaków nietylko z Warszawy, ale i z granic Księstwa Warszawskiego.

Nie zadowolnił się jednak wódz tem dobrowolnem ustąpieniem nieprzyjaciela, lecz puścił się w ślad za nim, dotarł do Krakowa i obsadził go swoim wojskiem.

Rozejm zawarty dnia 15 sierpnia powstrzymał dalsze kroki wojenne. Dnia 15 października tegoż roku nastąpił pokój w Wiedniu, na mocy którego pewna część Galicyi przyłączona została do Księstwa Warszawskiego.

Napoleon cenił bardzo wysoko zdolności militarne i administracyjne księcia Józefa, to też, powziawszy myśl wyprawy przeciw Rosyi, wezwał go w r. 1811 do Paryża, ażeby osobiście od niego zasięgnąć rad i wskazówek co do projektowanej wyprawy.

Nadeszła wreszcie wiosna pamiętnego w dziejach Napoleona i całej Europy roku 1812. Ma-



DRUKI W. KLASAMIER I W. BANICKI WARSZAWA, 5-KA, 1908 11

Podług portretu Antoniego Brodowskiego. Ze zbioru Z. Wolskiego.

Łódź dnia 10 września 1908 r.

ly kapral ruszył na zdobycie świata na czele olbrzymiej armii i półtora tysiąca dział. Książę Józef otrzymał dowództwo piątego korpusu; składały się nań trzy dywizye piechoty pod generałami—Dąbrowskim, Zajączkiem i Kniaziewiczem, i lekka kawaleria pod dowództwem generała Kamińskiego. Korpus ten liczył ogółem 44 batalionów i 20 szwadronów.

Wiadomy jest smutny koniec zuchwałej tej wyprawy. Po kilku mniej lub więcej szczęśliwych utarczkach dotarł Napoleon z armią swą do Moskwy, która stać się miała grobem jego nadziei i wielkości.

Niefortunna przeprawa przez Berezynę, w której zginęły setki tysięcy żołnierzy i z której on sam ledwie z życiem ująć zdołał, dopełniły ogromu klęski. Na pochwałę żołnierza polskiego i prowadzących go generałów przyznać trzeba, że korpus piąty był jedynym, który w odwrocie tym najmniej ucierpiał i wszystkie niemal działa swoje przyprowadził do kraju.

Stanąwszy w granicach kraju, książę Józef zajął się gorliwie organizacją nowych sił zbrojnych; wyparty z księstwa przez napierającego nieprzyjaciela, cofać się musiał do Krakowa i dopiero w kwietniu 1813 roku połączyć się mógł z armią Napoleona, zwiększając ją o 13,000 żołnierzy. Z korpusem swoim zajął zrazu stanowisko obserwacyjne wzdłuż pasma gór czeskich, a następnie walczył na lewym brzegu Elby.

W październiku 1813 r. obszerne równiny pod Lipskiem zaroily się armią, jakiej nigdy dotąd nie oglądało żadne pole walki. Obie strony,—tak armia Napoleona, jak i armia sprzymierzonych,—czuły dobrze, że rozegrać się tu mająca «walka olbrzymów» stanowić będzie o losach Europy. Rozpoczęła się wreszcie trzydniowa mor-

dercza walka, która wykopała grób Napoleoni. Po pierwszym dniu bitwy, dnia 16-go października, przypadł księciu Józefowi najwyższy zaszczyt, jakim Napoleon obdarzał największych swych wodzów, bo oto w dniu tym wyniesiony został do godności marszałka Francji. Przerwana na jeden dzień walka zawrzała dnia 18 z siłą nierównie większą; Poniatowski, jakby odwdzięczając się za zaszczytne odznaczenie, nie żałował krwi swej i swoich żołnierzy, korpus jego obsadzał najtrudniejsze pozycje.

Nadszedł wreszcie dzień 19 października. Napoleon, widząc zupełną przegraną, cofnął się za Elbę; korpusowi Poniatowskiego przypadło wraz z dywizją Dąbrowskiego nadludzkie zadanie osłaniania tyłów własnej armii i powstrzymywania nacierającego całą siłą nieprzyjaciela, który upojony zwycięstwem skąpać je pragnął we krwi obficie. Nie mogąc się oprzeć przewadze nieprzyjaciela, sam począł się cofać ku jednemu mostowi na Elsterze. Zawiodła go ta ostatnia deska ratunku, bo francuzi wysadzili w powietrze most, zanim Poniatowski zdążył zbliżyć się do niego. Raniony dwukrotnie, czuł, że lada chwila siły odmówią mu posłuszeństwa, a wtedy stanie się łupem wroga, rzuca się więc w nurty spienionej Elstery. Trzeci strzał, otrzymany w chwili, gdy już znajdował się w rzece, powala go z konia i przecina pasmo życia bohatera.

Zwłoki jego sprowadzone zostały we wrześniu 1814 r. do Warszawy i złożone w kościele Świętego Krzyża, skąd je przewieziono następnie do Krakowa. Za trumną szła skromna garstka ocalałych z pogromu świadków bohaterskich czynów zmarłego, postępował koń, nieodstępny towarzysz walecznych zapasów.

Adam Dobrowolski.



D-r med. A. F. Ks. Dybek.

* 1783 † 1826.

Bywają wybrańcy losu, którzy podczas swej krótkiej wędrówki życiowej zdążyli czynami swymi zaskarbić sobie uznanie zasłużone u społeczeństwach, a zdobyć pamięć wdzięczną potomnych, pomimo że wtrąciła ich śmierć do mogiły przedwczesnej wtedy właśnie, kiedy będąc w sile wieku i w pełni rozwoju umysłowego, mogliby byli jeszcze długo i owocnie pracować dla dobra ogółu. Strata ich dla społeczeństwa jest bolesną podwójnie, bo razem z nimi zstępuje do grobu i nadzieja słusznie w nich pokładana.

Do mężów takich należał *Dr. Andrzej Franciszek Ksawery Dybek*, urodzony dnia 30 listopada r. 1783 w Poznaniu, gdzie ojciec jego *Jan* pełnił wtedy służbę lekarza siódmego pułku piechoty koronnej.

Lata chłopięce przeżył wśród wstrząsających kra-
jem wydarzeń, które w końcu Poznań i rodzinę

jego oddały pod panowanie pruskie. Odebrawszy w domu rodzicielskim wychowanie i wykształcenie staranne, gdy w 17 roku życia obrał sobie zawód ojca swego, a rodzice nie mogli łożyć na niego, jako stypendysta rządowy wysłany został w r. 1800 do Berlińskiej Akademii Medyko-chirurgicznej (*Pépinère*), mającej za zadanie kształcenie młodzieży na zdatnych lekarzy wojskowych. Ukończywszy chlubnie nauki w zakładzie tym w r. 1803, z obowiązku wstąpił do służby pruskiej jako lekarz trzeciego pułku artylerii pieszej, a będąc pracowitym, sumiennym i zdolnym, prędko posuniętym został na stopień chirurga starszego.



Podług portretu olejnego ze zbiorów Warszawskiego Towarzystwa Lekarskiego.

Franciszek Ksawery Dybek.

W pamiętnym dniu 14 października r. 1806, w którym pod Jeną runął odrazu cały gmach potęgi Prus ówczesnych, na pobojuwisku, opatrując ranionych, Dybek dostał się do niewoli francuskiej, ale jako Polak, niebawem z niej puszczony, mógł powrócić do ojczyzny i w dniu 20 grudnia w stopniu urzędnika zdrowia klasy pierwszej, przeznaczony był do trzeciego pułku ułanów wojsk narodowych, z którymi do zawarcia pokoju tyłżyckiego dzielił trudy bojowe. Po wojnie r. 1809, przeciwko Austrii prowadzonej, korzystając z pokoju, zapowiadającego trwałość dłuższą, w celu uzupełnienia wykształcenia zawodowego, wystarał się o czasowe uwolnienie od służby i w listopadzie r. 1810 wybrał się w podróż naukową do Niemiec. Podczas wędrówki tej w dniu 28 stycznia r. 1811 wydział lekarski we Frankfurcie nad Odrą, wysłuchawszy obrony rozprawy jego o t. zw. postrzałach mimobieżnych, jakoby wywołanych przez pociski działowe, blisko ciała przelatujące, przyznał mu godność doktora medycyny, w marcu zaś tegoż roku uniwersytet wittenberski udzielił mu nadto dyplomu na doktora filozofii. Na początku roku 1812 na wezwanie władzy wojskowej powrócił do pułku swego, stojącego wówczas w Krakowie, a gdy *Napoleon* wyruszył przeciwko Rosji, posunięto Dybka na stanowisko lekarza naczelnego dywizji straży przedniej, będącej częścią IV korpusu wielkiej armii. Wyprawę tę, tak pełną trudów i niebezpieczeństw, odbył wprawdzie szczęśliwie i cało, dostąpił nawet zaszczytu, że po wzięciu do niewoli *Leopolda de Lafontaine* protochirurga jeneralnego wojsk Księstwa Warszawskiego, jemu powierzono urząd tegoż, ale zdaje się, iż wskutek pracy nadmiernej i doznanych wtedy niewyczasów i niewygód wszelakich, zdrowie jego, niezbyt silne, podkopane zostało na zawsze. Gdy podążał za wojskiem, cofającym się do Niemiec, w pobliżu Kalisza, odcięty od swoich, ledwo sam uniknął niewoli; udało mu się jednak przedostać przez Śląsk do Saksonii, gdzie w korpusie generała *H. Dąbrowskiego* objął służbę lekarza naczelnego i na stanowisku tem pozostał aż do upadku *Napoleona*.

Wojnę r. 1813 w Niemczech odbył całkowicie i za odznaczenie się w służbie otrzymał d. 11 maja krzyż legii honorowej. Po morderczej bitwie pod Lipskiem pociągnął z wojskiem

do Francji i przebył tam do lipca r. 1814, po większej części w Paryżu, poświęcając się nauce, o ile tylko służba pozwalała na to. Powróciwszy do kraju ze sztabem korpusu swego, natychmiast powołany został na członka komisji sprawdzającej stopnie lekarzy wojskowych, w dniu zaś 25 lutego przeznaczonym był na lekarza drugiej dywizji jazdy Królestwa Polskiego.

«W tym czasie» — pisze ks. kanonik *T. Kiłiński* — «przez związki małżeńskie połączył się z szanownym domem z posług krajowych, z pomocy, niesionej cierpiącym, i w literaturze znane go sztuki lekarskiej weterana D-ra *Arnolda*. Czuła, troskliwa, słowem wzorowa małżonka, mężem na zdrowiu często zapadającym jedynie zajęta, obok pielegnowania jego, prócz wychowania dzieci, wszystkiego się w życiu wyrzekła. Jeżeli strata jego, przy tak skołatanem na usługach publicznych zdrowiu prędzej nie nastąpiła, jej to przypisać winniśmy.»

Komisya rządowa wyznań religijnych i oświecenia publicznego zajęta urządzeniem Król. uniwersytetu Aleksandryjskiego w Warszawie, oceniając słusznie naukę, zdolności i doświadczenie *Dybka*, powołała go na katedrę, wystąpiwszy zatem ze służby wojskowej, w dniu 8 listopada r. 1817 objął obowiązki profesora chirurgii teoretycznej i dyrektora kliniki chirurgicznej. Na stanowisku tem, niestety, zbyt krótko zajmowanem, wykazał równą dzielność, jak przedtem na licznych pobojuwiskach, tu jak tam, kierowało nim zawsze silnie rozwinięte poczucie obowiązku i niestrudzona chęć służenia rodakom; w uczniów swych gorliwie wpajać umiał słowem i przykładem zamięlowanie do przedmiotów, które im wybornie wykładał.

Obok zajęć profesorskich, nie szczędził też czasu swego na inne usługi społeczno-naukowe: był asesorem, a następnie radcą Rady ogólnej lekarskiej, członkiem Najwyższej Komisji Egzaminacyjnej, profesorem radnym i dziekanem wydziału lekarskiego (od r. 1819 do 1825). Zalety jego cenić umiano należycie, to też w r. 1817 Towarzystwo Naukowe Krakowskie powołało go na członka, toż samo uczyniło w r. 1819 Królewskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Warszawie, a w 1822 Cesarskie Towarzystwo Lekarskie w Wilnie. W r. 1820 należał do członków założycieli

Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego i z wyboru był pierwszym jego wice-prezesem.

Przy tak licznych zajęciach i tak czynnem i ruchliwem życiu nie starczyło mu z początku czasu na pracę literacko-naukową, a gdy czas się znalazł po temu, gdy stanowisko profesorskie wymagało jej nawet, było już zapóźno, bo brakło mu sił i życia. Pozostały po nim tylko dwie drukowane szczupłe prace, mianowicie: «O klini-

ce chirurgicznej Król. uniwersytetu w Warszawie» i «Uwagi nad niektórymi chorobami i operacyami chirurgicznymi.»

Zacny żywot swój zakończył *Dybek* d. 5 lutego r. 1826 ze stratą znakomitą zarówno dla kraju jak i dla nauki, której służyć zbyt krótko było mu danem.

Dr. med. Józef Peszke.



Franciszek Smuglewicz

* 1745 † 1807.

Stanowisko Franciszka Smuglewicza w malarstwie ostatnich dziesięcioleci zeszłego

wieku należy do pierwszorzędnych. Epoka to była walki i wyłamywania się sztuki z cechu. Zgromadzenia cechowe i warunki rozwoju malarstwa w organizacyi bractw średniowiecznych nie były w Polsce ani złe, ani zacofaniem technice—przeciwnie, dawały zupełnie wolne pole i sposobność, a nawet rygor w nabywaniu umiejętności fachowej,—przyszła wszakże chwila, w której nauczanie od węzłów towarzysko - społecznych odłączyć się zapragnęło i oderwało. Franciszek Smuglewicz, syn malarza, Łukasza, i brat dwóch, najpewniej cechowych malarzy, Antoniego i Lucyana, pierwszy na szerokie

✧ pole czystej, wielkiej sztuki, wyszedłszy z Akademii rzymskiej Ś-go Łukasza, rozwinął niezwykle

swe malarskie zdolności, — zasłynawszy zaś w młodzieńczym już wieku, na równi z późniejszym odrodzicielem malarstwa Dawidem (francuzem) w Rzymie, a następnie w domu, w Polsce, zatknął sztandar samodzielnych najwyższych kierunków w malarstwie: religijnego i historycznego.

Urodził się w Warszawie dnia 6 października 1745 r. w rodzinie artystycznej, bo matka jego Regina z Oleśnickich była siostrzenicą słynnego malarza Szymona Czechowicza, jego pierwszego po ojcu nauczyciela sztuki. Ukończywszy szkoły publiczne w 19 roku życia, wysłany kosztem ojca do Rzymu, w Akademii



Podług portretu własnoręcznego.

F. Smuglewicz

odznaczony nagrodą, rozwijał się dalej samodzielnie studiami nad sztuką starożytną. Sztuce powszechnej europejskiej przysłużył się pierwszy dokładnymi przerysami ozdób z termów Tytusa w Rzymie, tak zwanego *Wesela Aldobrandyńskiego*, z którego wszystkie późniejsze ryciny do tej pory są powtarzane, oraz wielu innymi. Był uczniem Rafaela Mengsa, ale nic od niego nie przejął, ani rysunku, ani kolorytu; w pierwszym od Mengsa silniejszy i bardziej męski, w drugim prostszy, mniej wytwórny. W czterdziestym roku życia powołany przez króla Stanisława Augusta do kraju, wykonał trzy wielkie obrazy do kościoła Bazylianów w Warszawie; te postaci olbrzymiej wielkości dają miarę dojrzałej umiejętności mistrza i noszą na sobie wszystkie cechy późniejszych, aż do końca życia tworzonych, malowideł Smuglewicza. W rysunku postaci ludzkich znać, że Smuglewicz miał przed oczyma ród tych silaczów, co jednym zamachem damascenki konie przecinali. Szczególnie budowa dłoni u bohaterów jego obrazów historycznych, a zwłaszcza zakończenia palców, szerokie, rozplaszczone, stanowią tę cechę charakterystyczną mimowiednie w malowidłach odwzorowaną. Rysunek postaci pamięciowy, na głębokich studiach proporcji oparty, koloryt nieco jednostajny, układ pomysłów wzorowy, oto cechy malowideł Smuglewicza. Z wybitnych zalet poznany już w Rzymie, miał propozycję udania się do Anglii, wrócił wszakże do Polski w r. 1785 i tu oprócz wzmiankowanych już prac i po ukończeniu w Wilnie w ciągu roku obrazów historycznych dla biskupa Massalskiego i dla innych magnatów, osiedliwszy się w Warszawie, za przykładem Czechowicza założył prywatną szkołę malarstwa. Uczucia jego narodowe w innej jeszcze formie niezwłocznie potem zakwitnąć poczęły. Łatwość tworzenia pomysłów obrazowych podsunęła Smuglewiczowi myśl wydania szeregu zdarzeń historycznych polskich w rycinach, których miało być początkowo 200, a następnie 100. Brak odpowiednich miedziorytników na miejscu sprawił, iż mała tylko liczba pięknych, tuszem i piórem skończonych, rysunków, doczekała się rozpowszechnienia.

Obrazów religijnych, historycznych, portretów i innych, wykonał Smuglewicz w ciągu czterdziestokilkuletniego okresu pracy samodziel-

nej przeszło 200. Setki rysunków ze zbioru króla i magnatów rozsypanych jest po całym obszarze kraju. Do najważniejszych prac Franciszka Smuglewicza, należą, oprócz wzmiankowanych już trzech obrazów («Wniebowzięcia N. Panny», «Śmierci Ś-go Bazylego» i «Ś-go Onufrego»), szereg obrazów w katedrze wileńskiej: «Dwunastu Apostołów», «Melchizedech», «Rozmnożenie chleba na puszczy», «Męczeństwo Ś-go Stanisława», «Ś-ty Jan Nepomucen», «Ś-ty Piotr w okowach», zaś w kościele Benedyktynów przy klasztorze na Lysej Górze siedem wielkich obrazów: w wielkim ołtarzu «Trójca Ś-ta», a po bokach po trzy z historii Krzyża Świętego i Ś-go Benedykta. Warszawa i Wilno posiadają najwięcej religijnych obrazów Smuglewicza, wszakże całe mnóstwo rozrzucone jest po innych miastach. Portrety po magnackich pałacach i zamkach wraz z obrazami historycznymi i alegorycznymi stanowią drugą połowę działalności tego tegiego artysty,—jedną z najprzedniejszych prac poważnie pomyślanych stanowi szereg obrazów na suficie biblioteki publicznej akademickiej wileńskiej: «Świątynia sławy, do której wchodzi sławni kraju Polskiego mężowie, wieńczeni przez Minerwę»; «Geniusz sławy, głoszący dobrze zasłużonych naukom»; «Praca i pilność gotują uczonym winnice»; «Tarcza mądrości zasłania poświęcających się naukom». Pomysły bardzo piękne jasno myśl wyrażają.

Liczny jest szereg obrazów Smuglewicza z historii polskiej, a jak wyraźnie był na tej drodze przewodnikiem, wskazuje samo wymienienie przedmiotów obranych, które następnie inni malarze polscy obrabiali: «Zgon Chodkiewicza pod Chocimem», «Powitanie cesarza Leopolda z królem Janem III po oswobodzeniu Wiednia», «Czyn bohaterski Chrzanowskiej przy obronie Trembowli», «Uroczyste przyjęcie hetmana Żółkiewskiego przez króla Zygmunta III po zwycięstwie».

Przedmioty do rycin wzięte były z pierwszych dwóch wieków dziejów naszych, od Mieczysława I do Bolesława II z starannem zachowaniem prawdopodobieństwa ubiorów ówczesnych polaków o tyle przynajmniej, o ile ówczesne skąpe badania i wiadomości starożytne do tego posłużyć mogły.

Liczne podróże po kraju sprawiły, że z wrażeń przelotnego z ludem obcowania powstały pod

jego pędzlem małe obrazki potoczne—«Wieśniacy i dzieci polskie», «Krakowiacy w karczmie», «Wieśniacy lubelscy», a z pobytu w miastach, szczególnie w Wilnie, fragmenty zajmujących widoków tego miasta, z których najpiękniejszy—kościół Ś-tej Anny, wykonany został przez Vogta w miedziorycie dużych wymiarów.

Obraz działalności Smuglewicza na niwie malarstwa polskiego przedstawia się tak wszechstronnie, potężnie i oryginalnie, a zwłaszcza samorzutnie ze względu na kierunek historyczny, że w nim uczyć musimy przede wszystkim siłę talentu w początkowaniu, opartą na wszechstronnym wyrobieniu.

Bogata i wielostronna twórczość w połączeniu z gruntownym wyrobieniem sprawiły, iż na przewodnika pragnącej poświęcić się sztukom

✧ młodzieży powołany do akademii wileńskiej w roku 1797, dziesięć lat pracy zawodowi profesor-skiemu z pożytkiem poświęcił i zszedł ze świata w Wilnie d. 18 września 1807 r. Świetniał Smuglewicz obok wszystkich zalet talentu i umiejętności artystycznej, gruntownym wykształceniem, głębokim na dzieje ludzkości i narodu swego poglądem, prawością i bezinteresownością. Tradycja zarówno prawdziwego kapłaństwa w sztuce, jak i metody, polegającej na studiach przygotowawczych i pośrednich głęboko przeprowadzonych, z odrzuceniem prawie zupełnem bezpośrednich, czyli metody idealistycznej, przetrwała do chwili najnowszej fazy odradzającej się u nas sztuki, to jest do r. 1850 i ówczesnemu młodemu pokoleniu malarzów jako punkt wyjścia służyła.

Wojciech Gerson.



Julian Ursyn Niemcewicz

* 1757 † 1841.

Są wyjątkowi ludzie, których życie wypełnia treść tak bogata, iż uosobiają niejako fragment dziejów swego społeczeństwa.

Jednoczą oni w sobie żywot czynu i żywot myśli, stanowią zwierciadło, w którym odbijają się promienie wszystkich prądów umysłowych i politycznych danej epoki. Opatrzność pozwala im w pełni sił duchowych cieszyć się sędziwą starością, a oni sami, siłą geniuszu, jakim w kolebce namaszczeni zostali, wypełniają długi żywot działalnością owocną we wszystkich duchowi dostępnych kierunkach.

Rzadko spotykamy w panteonie mężów zasłużonych osobistości takie — jak Niemcewicz, któreby jednocześnie i na polu czynu, słowa, myśli i twórczości zasługiwały na wyjątkowe odznaczenie, by, wyliczając znakomitych mówców, pisarzy, poetów, myślicieli i dziejopisów, do każdego z tych odrębnych czynników działalności umysłowej mózdz najzupełniej zasłużenie jednego i tegoż samego zaliczać człowieka.

Julian Ursyn Niemcewicz, urodzony w roku 1757, zakończył pełen chwały i zasług żywot dopiero w roku 1841, przekroczył zatem granicę wieku, rzadko kiedy jednostkom ludzkim dostępną; a jeśli zważymy, że w okresie od 1757 do 1841 r. rozegrały się najważniejsze wypadki dziejowe nowoczesne: wojna o niepodległość Stanów Zjednoczonych, wielka rewolucja francuska, epo-

ka rozbiorów Rzplitej, epopea Napoleońska, przywrócenie Bourbonów, walki o niepodległość Grecyi, rewolucya Lipcowa, i wiele innych epizodów stanowczych w rozwoju społeczeństwa europejskiego, nie będziemy mogli bez zadumy i podziwu wspominać o człowieku, który tych wszystkich wiekopomnych przewrotów dziejowych naocznym był świadkiem.

Niemcewicz przyszedł na świat 16 lutego 1757 r. w Skokach, pod Brześciem Litewskim, z Marcelego, podczaszego Mielnickiego i Jadwigi z Suchodolskich. Rodzina Niemcewiczów z przydomkiem Ursyn, od naddziadów odziedziczonym cieszyła się w kraju niepospolitą wziętością, stanowiąc ognisko, w którym starodawne cnoty rodzinne kojarzyły się z zasługami na polu obywatelskiej działalności.

Młodość Juliana Ursyna spłynęła w epoce przejściowej, gdy społeczeństwo — mówiąc słowami ks. Adama Czartoryskiego, biografa naszego bohatera — «w miejsce dawnych sarmackich obyczajów przybierało nowe kształty i odmienne zwyczaje. Widział jeszcze młody Niemcewicz cały tryb starodawnego polskiego życia, przepych i równie sutą, jak uprzejmą gościnność magnatów, pobożność i proste narodowe na wsi obyczaje szlachty, widział dawne sejmiki, zjazdy, zajazdy i uczty, krwawe kłótnie i zgody przy kielichu. To wszystko zakorzeniło w nim głębsze do polskości przywiązanie».



RAJCE, PŁACZĄCY I W. DUBICKI WYPOZAJĄ, 5-10-1914 11.

Podług portretu malowanego z natury przez Antoniego Brodowskiego. Zł. zbiorów A. Kraushara.

Michał

Zachował w duszy pierwsze silniejsze wrażenie scen, rozegranych na sejmie Czaplicowym z r. 1766 i na tle konfederacji radomskiej i należał do pierwszej generacji młodzieży, wykształconej według nowych zasad edukacji swojskiej.

Komisji Edukacyjnej,—pierwszej w Europie instytucji wychowawczej, która stała się wzorem dla zaprowadzonych następnie we wszystkich krajach ministerstw oświecenia publicznego, — zawdzięczał Julian Ursyn przyswojenie sobie na życie całe szerokich na zadania obywatelskie poglądów i zasad, ugruntowanych w sercach młodzieży przez takich profesorów i kierowników, jakimi byli: Naruszewicz, Piramowicz, Nagórczewski, Woronicz, Poczuob, Waga i Książnin.

Około r. 1770 wstąpił Julian Ursyn do korpusu kadetów pod opiekę księcia generała ziem podolskich. Po chlubnem ukończeniu kursów w tym zakładzie, został mianowany adjutantem swego opiekuna, który był szefem gwardii litewskiej i generał-inspektorem wojsk tamecznych.

W domu księstwa Czartoryskich w Puławach uzupełnił Niemcewicz swoje wychowanie światowe i obywatelskie; tam również w częstych rozmowach z poetą Karpińskim, z księdzem Piramowiczem, sekretarzem komisji do ksiąg elementarnych, z Zabłockim, komedyopisarzem, z Książninem, Ignacym i Stanisławem Potockimi, nabrał zamiłowania do literatury swojskiej, które mu od-tąd towarzyszyć miało w życiu i stanowić osłode w najsmutniejszych jego chwilach.

W latach 1783, 1784 i 1787 odbywał Niemcewicz podróże za granicę, zwiedzając Niemcy, Włochy, Sycylię, Francję i Anglię. Wrócił stamtąd z zasobem nauki i doświadczenia politycznego, ze smakiem artystycznym, urobionym na znajomości arcydzieł muzealnych, jakie zwiedził i na rozmowach poufnych z takimi ludźmi, jak Alfieri, tragik i pisarz włoski, jak Jefferson, późniejszy prezydent Stanów Zjednoczonych.

Zaszczycony zaufaniem obywateli, przyjmował Niemcewicz, jako posel inflancki, udział w obradach wiekopomnego Sejmu Czteroletniego i dał się wtedy poznać ogółowi z zasad przeciw-anarchicznych, z obrony w sprawie pokrzywdzonego ludu wiejskiego.

Wtedy to nazwisko Niemcewicza stało się rozgłosnem z powodu komedii politycznej *Powrót pośta*, jaką był napisał celem uwydatnienia

sprzeczności między zwolennikami dawnego *liberum veto*, a stronnictwem reform polityczno-oby-czajowych w Rzplitej.

Druga sztuka Juliana Ursyna—*Kazimierz Wielki*, wystawiona na scenie teatru narodowego, jakkolwiek mniejszego doznała powodzenia, jednak pamiętną jest z powodu odezwania się Stanisława Augusta do publiczności, w teatrze ze-branej, w słowach pełnych otuchy i wiary w skuteczność reform majowych.

Konfederacya Targowicka zagnęła Niemcewicza do opuszczenia kraju wraz ze wszystkimi współtowarzyszami Sejmu Wielkiego.

Odbiciem uczuć jego, na widok zgorzenia, które przeciwnicy reform i zwolennicy dawnej anarchii w społeczeństwie rozniecić usiłowali, była *Elegia do wiosny* napisana w r. 1793.

Zajęcia wojskowe nie stłumiły w Niemcewicu namiętnego do literatury przywiązania.

Jako objaw charakterystyczny w tej mierze może służyć to, że w przeddzień bitwy Maciejowickiej, Niemcewicz podczas kolacyi w zamku miejscowym najspokojniej zajęty był odczytywaniem starego manuskryptu, obejmującego opis elekcji Augusta II.

Również zajmował się Niemcewicz gorliwie pracami literackimi i wtedy to powstało wiele jego przekładów z francuskiego i angielskiego, oraz kilka utworów oryginalnych.

Po wstąpieniu na tron Cesarza Pawła w dniu 17 listopada 1796 r. wszyscy przywódcy ruchu 1794 r. odzyskali wolność. Niemcewicz postanowił przez Szwecję i Anglię udać się w podróż do Ameryki. We wrześniu 1797 r. wylądował w Filadelfii. Między cudzoziemcami znajdowała się tu i pani Kean, młoda wdowa po zmarłym przyjacielu wodza, z którą następnie Niemcewicz małżeńskie zawarł śluby i zamieszkał w domku wiejskim w stanie Wirginii. Zwiedzając Mount Vernon zawiązał stosunek przyjaźni z generałem Waszyngtonem. Przeniósł się następnie na stałszy pobyt do Elisabeth Town w Stanie New-Jersey, gdzie mógł żyć taniej w towarzystwie ukochanej małżonki.

W r. 1802, otrzymawszy wiadomość o śmierci ojca, wyjechał do Europy i po latach wielu mógł znowu powitać członków rodziny i dwór puławski, gdzie go Czartoryscy powitali z rado-

ścią i gdzie znowu miał sposobność zetknąć się z ludźmi, którzy w ówczesnej epoce stanowili ognisko umysłowego życia polskiego. Zimą roku 1802 spędził Niemcewicz w Warszawie i był przy zawiązaniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, zaliczony do pierwszych jego członków.

Spędziwszy półtora roku w kraju, wybrał się w powrotną podróż do Ameryki, lecz przedewszystkiem zatrzymał się w Paryżu, by być świadkiem powstającego cesarstwa Napoleońskiego i epizodów krwawych, które poprzedziły tryumf bohatera. Przy nim rozegrała się tragedia spisku Pichegru, Cadoudala i Moreau.

Powróciwszy do New-Brunswik, do domu swego, zastał Niemcewicz żonę, zajętą przygotowaniem syna do szkół i urządzaniem gabinetu do pracy dla męża. Przywiezione z Europy sprzęty posłużyły do wygodniejszego zagospodarowania się i tu znowu w zaciszu wiejskiem spędził Niemcewicz trzy lata, skąd go wiadomość o zwycięstwach Napoleona i o skruszeniu potęgi pruskiej pod Jeną odwołała ponownie do Europy.

Jako dawny poseł inflancki, powołanym został Niemcewicz do udziału w zarządzie nowo utworzonego Księstwa Warszawskiego. Mianowano go sekretarzem Senatu i członkiem Komisji Edukacyjnej, z obowiązkiem lustracji szkół. To mu dało sposobność do częstych wycieczek po kraju, czego owocem były *Podróże historyczne* i szereg prac literacko-naukowych.

Rok 1812 położył kres ambicyom Napoleona, jednocześnie wszakże podminował egzystencję polityczną Księstwa Warszawskiego. Niemcewicz z polecenia Fryderyka Saskiego udał się do Beyreuth i do Ratysbony, był również w Dreźnie podczas katastrofy lipskiej, która ostatecznie na losach Napoleona i jego sprzymierzeńców zawżyła.

Traktat wiedeński przywrócił Królestwo Polskie w szczuplejszych od dawnego Księstwa granicach, z powodu utraty Poznania, Krakowa, Gdańska i Torunia, lecz pozwolił dawnym rozbitkom powrócić do kraju i pracować nad odrodzeniem społeczeństwa, po przebytych krwawych wojnach napoleońskich.

Niemcewicz zajął dawne stanowisko członka Komisji Edukacyjnej i wtedy w okresie czasu piętnastoletnim rozwinął działalność twórczą i badawczą w szerokim zakresie, wydając ody, listy,

bajki, tragedye, komedye, pieśni, dzieła historyczne, romanse i podróże. «Chciał, jak niegdy Cicerone, mową rzymską dowieść, że język nasz nadaje się do każdego rodzaju piśmiennictwa» — pisze o tej stronie działalności Niemcewicza książkę Czartoryski.

Bajki Niemcewicza miały na widoku poprawę obyczajów społeczeństwa rodzimego przez dowcipne, a trafne wyśmiewanie wad politycznych i towarzyskich wybitniejszych osobistości, z którymi autor się stykał w stosunkach codziennych.

Lecz poważniejsze zadanie wziął na barki swoje Niemcewicz, tworząc z polecenia Towarzystwa Król. Warsz. Przyjaciół Nauk *Śpiewy historyczne*, z zamiarem utrwalenia w pamięci narodu ważniejszych szczegółów przeszłości jego dziejowej. Do «Śpiewów» przydał dodatki prozą, zawierające krótki zbiór historii polskiej, jakoteż «Uwagi nad upadkiem i charakterem narodu Polskiego». Przyjęcie «Śpiewów» było nader życzliwe. W krótkim czasie rozkupiono dwie ich edycje. Zrazu tylko wyższe sfery towarzyskie pojęły ich doniosłość. Utalentowane kobiety polskie ozdobiły je rysunkami i muzyką, mieszczącą melodye do każdego «Śpiewu». Powoli przeniknęły «Śpiewy» i do szerszych warstw społecznych i dotąd jeszcze uroku swego nie straciły, czego dowodem są nieustanne ich kosztowne i tanie wydania.

Równocześnie z popularyzacją dziejów drogą poezji, zabrał się Niemcewicz i do pracy kapitalnej nad *Dziejami Zygmunta III*, spełniając tym sposobem program Towarzystwa przyjaciół nauk, które pragnęło w szeregu dzieł, poświęconych oddzielnym epizodom dziejowym polskim, utworzyć całokształt historii, osnuty na źródłach dotąd niespożytkowanych, archiwalnych.

Upływ czasu i spotęgowanie się wiedzy historycznej przez wydawnictwa źródłowe, prowadzone przez szereg lat kilkudziesięciu, nie odjęły «Dziom Zygmunta III» ich istotnej wartości. Pozostaną one na długo, jeśli nie na zawsze, cennym dorobkiem naukowym w literaturze oczystej, jako oparte na skarbnicy faktów, po raz pierwszy przez Niemcewicza wydobytych na widownię historii i opracowanych z talentem pod względem literackim.

Niemniejszą zasługę na polu historii położył Niemcewicz przez wydawnictwo *Zbioru pu-*

niętników, w tomach sześciu, obejmujących nader ciekawe, ważne i charakterystyczne źródła, zaczerpnięte przeważnie z archiwum ks. Czartoryskich.

Z prac literackich, wydanych przez Niemcewicza w okresie czasu jego pobytu w kraju, wymienić należy dramaty historyczne i tragedye: *Kazimierz Wielki*, *Zbigniew*, *Chmielnicki*, oraz komedye *Dworek na gościnem*. Z romansów wielką cieszyły się poczytnością: *Draż*, *Sieciechowcie*, *Ten-czyński*, *Lejbe i Siora*,—pierwsza a śmiała na owe czasy w literaturze polskiej próba postawienia kwestyi żydowskiej na gruncie obywatelskiego zespolenia,—oraz kilka prac niedokończonych, między innymi: *Mniemana sierota*, *Panna Gaudralska* etc.

Nie licząc prac poważniejszych, między którymi *Podróże historyczne po ziemiach polskich* i *Pamiętniki*, stanowią ważny do historii czasów Niemcewicza przyczynek, widzimy, że nie było rodzaju literatury, którego by się autor nasz nie dotknął; we wszystkim zaś, co potomności pozostawił, tkwią ziarna pracy, talentu i zasług, wytrzymujące współzawodnictwo z zasługami najznakomitszych mężów w narodzie.

Jak dzieła Niemcewicza były odbiciem epoki porywu do odrodzenia społecznego i umysłowego narodu, tak też odzwierciedlają się w nich prądy umysłowe, które z rozkwitem romantyzmu dodały nowego bodźca do badań nad podaniami, nad owym skarbcem ducha rodzimego, kryjącym w sobie szlachetny kruszec poglądów jego na naturę, na świat, na społeczeństwo, na najważniejsze zadania narodu względem Boga i ludzi. Niemcewicz, trzymając się zdala od sporu klasyków z romantykami, duszą swą poetycką przeczuwał, iż w dźwiękach liry Mickiewicza spoczywa tajemnica potężnego oddziaływania poezyi na rozwój narodu, na krzewienie zamiłowania do swojszczyzny; tak samo odczuł doniosłość liry Słowackiego, zwracając baczną uwagę na odczytywany mu akt trzeciej tragedyi «Mindowe»; wiedział, że w sporze tym nietylko chodzi o smak i kierunek upodobań literackich, ile o dążenie do wyzwolenia ducha narodowego z pęt naśladownictwa i do wskazania mu nowych przestworów dla twórczości.

Po chwilach spokoju, spędzonych w uroczym Ursynowie pod Warszawą, nastąpiła znowu epoka w życiu Niemcewicza, w której mógł rozwijać

działalność wpływową i czynną. Zostawszy po śmierci Staszica prezesem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, miał to szczęście, że zapoczątkowany staraniem swego poprzednika posąg Kopernika dłuta Thorwaldsena uczcić mógł uroczystą przemową inauguracyjną; podejmował nadto w charakterze prezesa Towarzystwa głośniejszych cudzoziemców, między nimi Humboldta, który w podróży na Wschód zatrzymał się był w Warszawie.

Bawił w Londynie i miał tu sposobność do zawiązania stosunków z dyplomatami angielskimi: ks. Sussex, lordem Grey, Palmerstonem, oraz z pisarzami: Edwardem Bulwerem i Tomaszem Campbellem, których zachęcał do zajęcia się tematami z historii polskiej.

Powrócił następnie do Paryża, gdzie już do końca dni swoich miał pozostać, i tu znowu przykładem i radą zachęcał rodaków do użytecznej działalności na polu tworzenia zakładów wychowawczych, naukowych i filantropijnych. Przyjmował chętny udział w posiedzeniach Towarzystwa literacko-historycznego, wspierał Towarzystwo pomocy naukowej, tworzył Bibliotekę polską, zbierał rzadkie rękopisy z księgozbiorów obcych, związek z dziejami Polski mające; odbywał częste narady z ks. Czartoryskim, Kniaziewiczem, Tadeuszem Mostowskim i innymi rodakami, którzy jego rad i zachęty potrzebowali.

Opuściła go wreszcie i wierna jego towarzysza doli i niedoli, po której stracie, chociaż już lat kilkanaście osobiście się z nią, jako w Ameryce mieszkającą, nie widział, tem boleśniej odczuł swoje osamotnienie.

Tak zeszyły sędziwemu starcowi w rozpamiętywaniu nad długą, obfitą w wydarzenia przeszłością, ostatnie lata.

Zamknął powieki w dniu 21 maja 1841 r., w 83 roku życia, pozostawiwszy po sobie pamięć męża myśli i męża czynu, obywatela prawego, dla którego praca umysłowa nie była środkiem zabawy, lecz ofiarą najlepszych, najszlachetniejszych uczuć, składaną codziennie na ołtarzu dobro wspólności.

Póki tylko w dziejach i w literaturze światlane postacie znakomitych mężów będą przedmiotem czci i naśladowania—imię Juliana Ursyna Niemcewicza nie zaginie nigdy.

Alexander Kraushar.

Franciszek Ksawery Dmochowski.

* 1762 † 1808.



dawnej ziemi nurskiej, na granicy Podlasia, leżała osada szlachecka Dmochy, w której od wieków mieszkała rodzina Dmochowskich. W zeszłym stuleciu jeden z członków tej rodziny z przydomkiem Warda przeniósł się na Podlasie i osiadł w Oprawczykach, gdzie został szczęśliwym ojcem ośmiorga dzieci. Z pomiędzy nich Franciszek Ksawery odegrał z czasem wybitną rolę na polu politycznym, publicystycznym i literackim, przez co na zaszczytną kartę w dziejach narodu i piśmiennictwa polskiego zasłużył.

Urodził się 2 grudnia 1762 roku. Początkowe nauki odbył w szkole księży Pijarów w Drohiczyń, skąd w 17-tym roku życia wstąpił do głośnego nowicyatu pijarskiego w Podolińcu na Spizu. W r. 1783 ukończył stu-

dya i został nauczycielem języka polskiego i łacińskiego w klasie 1-szej szkoły pijarskiej w Radomiu, a że według słów prowincjała zakonu, był «zdatności nadmiernej, pilności wielkiej, obyczajów statecznych,» ¹⁾ zostaje więc wkrótce nauczycielem w klasie II-ej konwiktu warszawskiego, w r. 1786 wykłada prawo i wymowę w Łomży, w r. 1788 w Radomiu, a od roku następnego uczy w szkole wydziałowej w Warszawie prawa, dziejów, nauki moralnej i wymowy. Żądny wiedzy, studiował po za wykładami szkolnymi dzieła Locke'a, Condillaka, Bacona i innych filozofów, a jednocześnie z zamiłowaniem czytywał klasyków.

Mając lat 21, napisał treściwy życiorys



Podług sztychlu współczesnego ze zbiorów Z. Wolskiego.

F. Dmochowski

¹⁾ Smoleński Władysław. Kuźnica Kolańtajowska. Studium historyczne. Kraków, 1885, strona 139.

jednego z najwybitniejszych pijarów ks. Stanisława Hieronima Konarskiego i wykazał w pracy tej zasługi położone przez niego na polu oświaty.¹⁾

W r. 1784 wniósł się do polemiki pomiędzy ks. Michałem Krajewskim, autorem książki p. t. *Podolanka, wychowana w stanie natury, życie i przypadki swoje opisująca* (Warszawa, 1784, 8-ka, str. 159), a bezimiennym autorem *Listu paryżan-ki do podolanki* i napisał *List sandomierszanki do podolanki*. Ks. Krajewski w dziełku swem krytykuje formy sztuczne, w jakie cywilizacja obлека obyczaje ludzkie i umysłowość, Dmochowski zaś występuje przeciwko wychowaniu w stanie natury.

W r. 1784 wydaje tłumaczenie «Sądu ostatecznego» Edwarda Younga, a w r. 1787 rozprawę *O cnotach towarzyskich i występkach im przeciwnych*. W książce tej autor pozbawia naukę moralną podkładu religijnego i czyni ją świecką. «Pragniemy z natury dobrego, nienawidzimy złego — pisze Dmochowski — podobają się nam dobre postęпки, które cnotami zwiemy, nie lubimy złych i dajemy im imię występków... Człowiek nie rodzi się złym, ani dobrym, ale przez edukację, przykład i nałóg, albo tym, albo owym się staje. Najważniejszą więc jest rzeczą w edukacji człowieka prowadzić go do dobrego i przez częste w dobrem ćwiczenie, prawie mu je koniecznem i przyrozonem uczynić... Sprawiedliwość jest wszystkiego zasadą, z jej źródła wszystkie cnoty płyną.»²⁾

W tym samym roku wydaje książeczkę ku uczczeniu chorążego upitskiego Karpią, w której chwali go, że w czasie głodu na Żmudzi sprowadzał zboże i darmo lub po cenie bardzo niskiej ludziom je oddawał.³⁾

W r. 1788 drukiem ogłosił *Sztukę rymotwórczą, poema według Boileau*. Książka ta miała parę wydań i była uważaną przez współczesnych za jeden z najznakomitszych utworów literatury polskiej.

Tegoż roku występuje wraz z Siarczyńskim i Kopczyńskim przeciwko nieuctwu profesorów Szkoły Głównej Krakowskiej: Jackowi Przybylskie-

mu, Marcinowi Fijałkowskiemu i księdzu Andrzejowi Trzcieskiemu.

Przybylski, profesor starożytności, autor i tłumacz wielu dzieł, miał manię urabiania wyrazów nowych. On to zubożył piękny język ojczysty takimi neologizmami, jak; chwytopis, spodopismo, przypomka, zaciek, zakus i t. p.

Fijałkowski, zastępca profesora literatury, pisał ciężko i nieraz bez sensu.

Trzcieski, profesor fizyki doświadczalnej, pisujący również zawile i niezrozumiale jak dwaj poprzedni, zdradzał nieuctwo, a że był pyszałkowaty i intrygant, więc nie lubiano go.

Satyra, wymierzona przeciwko tej trójcy, nosiła tytuł ułożony z wyrazów przez Przybylskiego używanych: *Zakus nad zaciekami wszechniecy krakowskiej, czyli uwagi nad niektórymi tej akademii dysertacyami*. (Warszawa, 8-ka, str. 95).

Dotknięci tą satyrą trzej «uczeni» mężowie bronili się w broszurach specjalnie wydanych. Najwięcej drażliwy Przybylski odciał się wierszem p. t. *Heautoumastix czyli bicz na siebie samego*. (Kraków, 1789, 8-ka, str. 46), w którym ostro wystąpił przeciwko autorowi i zapowiedział jeszcze jedenaście dalszych pieśni. Dmochowski uprzedził go jednak, wydając bardzo dowcipny *Urywek z bicia kręconego w Krakowie z okazji Zakusu nad zaciekami wszechniecy krakowskiej*. (Warszawa, 1789, 8-ka, str. 18).

Na żądanie kasztelanowej krakowskiej Lubomirskiej i z polecenia Kolegium, tłumaczy i wydaje w tym samym roku, wbrew swoim poglądom, dziełko pani de Genlis, margrabiny de Sylle-ry — *O religii uważanej jako jedynej szczęśliwości i prawdziwej filozofii zasadzie*. (Warszawa 1789, 8-ka, str. 364).

Po latach trzech występuje Dmochowski z przekładem ośmiu ksiąg Iliady Homera, a w roku 1800 wydaje całość. Przekład ten uważany był przez współczesnych za arcydzieło, dopiero Mickiewicz w 1828 roku w znanym artykule: *O krytykach i recenzentach warszawskich* wartość jego znacznie obniżył. «Powstać przeciw Franciszka Dmochowskiego krytycyzmowi — pisze Mickiewicz — jest to, że powiem słowami Byrona, rozprawiać w Konstantynopolu, w meczecie sofijskim, o niedorzecznościach alkoranu, spuszczać się na światło i tolerancję ulemów. Zapewne, jako tłumacz poezji, Dmochowski niemałe położył w li-

1) Pochwała Stanisława Hieronima Konarskiego. W Warszawie, 1783. 8-ka, str. 134.

2) O cnotach towarzyskich i występkach im przeciwnych. Warszawa, 1787.

3) Pochwała dobroczynności jegomości pana Karpią chorążego upitskiego, W Warszawie, 1787, str. 23.

teraturze zasługi... Talent tłumacza Iliady, lubo pozbawiony mocy oryginalnej, zachował pewną śmiałość i życie; przynajmniej w tłumaczeniach puszcza się na obszerne i wielkie przedsięwzięcia. W ostatnich zwłaszcza pieśniach Iliady wiersze harmonijne, w wyrażeniach ściśle i lubo wszelkiej śmiałości poetyckiej pozbawione, nie zamieniają się w rymowaną prozę... Dmochowski ani historycznie, ani krytycznie poezji homerycznych nie rozumiał.»

«Tymczasem faktem jest—według słów prof. Chmielowskiego,— że pomimo licznych prób, dotychczas nie posiadamy lepszego *estetycznego* tłumaczenia wielkiej epopei greckiej.»

Zajęcia szkolne i literackie nie przeszkadzały Dmochowskiemu brać udziału czynnego w życiu politycznym narodu: pracował więc wraz z Kollątajem przy wydawnictwie znanych *Listów anonimów* układał mowy dla posłów, napisał wiersz: «*Do stanów z okoliczności uchwwały sto tysięcy wojska*,» i był jednym z najczynniejszych członków t. z. *Kuźnicy Kollątajowskiej*, do której przyjętym został po śmierci kanonika Franciszka Jezierskiego, zwanego «Wulkanem gromów kuźnicy.» Przedtem jednak wyjednał Kollataj u Pijarów uwolnienie Dmochowskiego od obowiązków zakonnych i wyrobił mu probostwo w Kole.

Wkrótce po wstąpieniu Dmochowskiego do «Kuźnicy» ktoś wydał bezimiennie *O konstytucji trzeciego maja roku 1791 do J.J.W.W. Zaleskiego trockiego i Matuszewicza brzeskiego litewskich posłów*. Na tę niedołącznie napisaną broszurę odpowiedział Dmochowski również bezimienną pracą: *Do J.J.W.W. Panów Tadeusza Czackiego, starosty nowogrodzkiego i Mikołaja Wolskiego, szambelana J. K. Mości z okoliczności wydanego pisma o konstytucji trzeciego maja, J.J.W.W. Zaleskiemu posłowi trockiemu i Matuszewiczowi posłowi brzeskiemu litewskiemu poświęconego*, myśląc, że autorami broszury byli: Czacki i Wolski. Ta mała, bo zaledwie o 31 stronach, książeczka wywołała protest Wolskiego i satyrę Trembeckiego. napisaną prozą p. t. *Sen czyli sąd*.

Po przystąpieniu króla do konfederacji targowickiej w r. 1792, wyjechał Kollataj a za nim Dmochowski zagranicę. Tam też wydana została znakomita praca p. t. *O ustanowieniu i upadku konstytucji 3-go maja*, którą Kollataj przy pomocy Dmochowskiego oraz Stanisława i Ignacego Potockich napisał.

Dnia 12 lutego 1794 roku jedzie Dmochowski wraz z Karolem Prozorem do Drezna, ... stamtąd powraca do Warszawy, gdzie wkrótce zostaje redaktorem *Gazety rządowej* oraz członkiem Rady Nieustającej.

Zmuszony powtórnie opuścić ojczyznę, udaje się w listopadzie 1794 roku do Niemiec, skąd przejeżdża do Włoch, a następnie do Paryża.

Po kilku latach pobytu zagranicą wrócił Dmochowski za namową Ignacego Krasickiego do kraju, gdzie stał się powiernikiem Arcybiskupa i pomocnikiem jego w rozbudzeniu wśród społeczności warszawskiej życia literackiego i zamiłowania do prac naukowych. Lubił go też Krasicki bardzo i powierzył mu wydanie dzieł swoich.

W kilka miesięcy po śmierci Arcybiskupa na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk d. 12 grudnia 1801 r. wypowiedział Dmochowski «*Mowę na obchód pamiętki Ignacego Krasickiego*,» w której obszerniej scharakteryzował go jako zacnego człowieka i działacza na polu literatury ojczystej. Wspomina również o udziale Krasickiego w założeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk. «Należy się od tego zgromadzenia — mówił Dmochowski—najwyższa wdzięczność zmarłemu, że imię swoje w registr jego najskwapliwiej zapisał, że w początkach zaraz, największą gorliwość względem jego ustanowienia, utwierdzenia i skutków okazał.»

W tym czasie porzucił Dmochowski stan duchowny i ożenił się w 39 roku życia z Izabellą Mikorską, co wywołało oburzenie duchowieństwa.

Należał również do założycieli Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie i był jednym z najczynniejszych jego członków. W r. 1801 zaczął wydawać w zeszytach miesięcznych *Nowy pamiętnik warszawski, dziennik historyczny, polityczny, tudzież nauk i umiejętności*.

Po powstaniu Księstwa Warszawskiego w r. 1807 liczył na to, że jako członek b. Rady Nieustającej, zajmie wybitne stanowisko i osiągnie wpływ na rządy kraju. Zawiedziony w nadziejach swoich, wyjechał z Warszawy do majątku swego Świesz, na Kujawach, dawnej posiadłości kasztelana Gąsiorowskiego i tu pracował nad tłumaczeniem *Eneidy* Wergiliusza. W maju 1808 roku pojechał raz jeszcze do Warszawy, lecz po ostrej wymianie słów z jednym z członków ówczesnego rządu, Józefem Wybickim, wyjechał i w drodze

pod Błoniem w dniu 20 czerwca 1808 roku nagle życie zakończył. Prócz Iliady i Eneidy przełożył także Dmochowski niektóre pieśni *Odyseji* Homera, *Nocy* Younga i *Raju Utraconego* Milтона. Tłomaczeniami temi i pracami publicystycznemi zjednał sobie popularność, a że pisał językiem poprawnym i potoczystym, zaszczepiał w narodzie zamiłowanie

do literatury i języka ojczystego i budził ruch umysłowy.

Jako człowiek niezmiernie przystępny, łatwy w obejściu i gorąco miłujący kraj własny, zasłużył sobie na przyjaźń i szacunek ludzi współczesnych i uznanie potomnych.

Stefan Demby.



Aleksander Orłowski

* 1777 † 1832.

Nazwisko Orłowskiego należy do najpopularniejszych wśród licznych szeregu nazwisk, zdobiących karty dziejów malarstwa polskiego.

Artysta ten, wysoko ceniony przez współczesnych, pozostał w pamięci potomnych, jako niezwykle zjawisko w dziedzinie sztuki, jako talent pierwszorzędny, samodzielnością swych dążeń torujący nowe drogi.

Aby ocenić stanowisko Orłowskiego w sztuce naszej, trzeba koniecznie siłą wyobraźni odtworzyć sobie w umyśle tło, na którym rozwijała się ta niepospolita organizacja twórcza. Tłem owem jest epoka wszechpotężnego panowania tak zwanego pseudoklasycyzmu i idącej z nim ręka w rękę rutyny akademickiej. Gdy się jasno w pamięci zarysuje stan ówczesnego malarstwa, kierunki i prądy, imiona uznanych koryfeuszów, dochodzi się bez trudu do przekonania, iż malarstwo polskie miało w Orłowskim pierwszego może oryginalnego swego przedstawiciela, szukał on bowiem podnie-

ty do kompozycji nie w gotowym, tradycyjnie urobionym materiale, lecz w samodzielnych studyach, opartych na rzeczywistości otaczającej go przyrody, na zrozumieniu tętn społecznego życia.

Przebiegając myślą nadzwyczaj liczny lecz rozproszony jego artystyczny dorobek, wynik długoletniej twórczej działalności, uderza przede wszystkim zmysł obserwacyjny, na każdym utworze widoczne pozostawiający ślady. Natura zajmowała go zawsze. Przemawiała ona do wrażliwej duszy Orłowskiego w najrozmaitszych swych przejawach: czy to jako skondensowany wyraz pewnych uczuć lub stanów psychologicznych na twarzy człowieka, czy jako linia ruchu w postaciach i grupach, czy wreszcie jako plastyczny obraz pewnych chwil i zdarzeń.

Rzeczywistość jest mu zawsze kanwą, na której snuje nić swoich pomysłów, mimo że w charakterystyce człowieka wkracza często w szarżę, a w pełnych werwy swych kompozycjach obrazowych w przesadę.



Podług portretu własnoręcznego.

18 B 20

Jedynym nauczycielem Orłowskiego był Norblin, lecz śladów wpływu akademickich teorii, których był on wyobrazicielem, daremniebyśmy szukali w utworach jego ucznia. Orłowski wyrobił w sobie samodzielność bardzo wcześniej; w szkicach i obrazach, z taką łatwością tworzonych, nie znajdzie się ani jedna linia, ani jedno pociągnięcie pędzla, któreby nie były wynikiem własnych spostrzeżeń, i to właśnie czyni go oryginalnym, to mu pozwala wśród falangi naszych malarzy początku XIX wieku, zajmować odosobnione bo własne stanowisko. Wszyscy, prawie współcześni mu artyści podlegają w mniejszym lub większym stopniu modnym ideom pseudoklasycyzmu, kierunek ten wypływał wprawdzie ze sztuki greckiej, to jest ze źródeł zdrowych, prawdziwego klasycyzmu, lecz przez coraz zacieśniające się granice jakie twórczości plastycznej zakreśliła szkolna rutyna, przez ciągle tamowanie porywów samodzielnych jednostek, przeinaczył się w manieryczny na komunalne oparty szablon, odpowiadający potrzebom chwili, lecz daleki od pierwowzoru.

Emancypując się z pod władzy panujących ideałów, Orłowski daje miarę siły swych wewnętrznych przekonań. Z wiarą w swój talent dąży śmiało przed siebie, związany z teraźniejszością upodobaniami człowieka i celami artysty, uzmysławia zajmujący go jedynie kalejdoskop ruchu i gwaru życiowego.

Mojem zdaniem, ta strona jego wewnętrznej organizacyi czyni z Orłowskiego najżywotniejszego malarza owej epoki, był on bowiem w dziedzinie sztuki szczerym tłumaczem czasów, w których żył.

Silniejszy wrodzonymi zdolnościami niż wiedzą zdobytą tworzy Orłowski dzieła, którym pod względem fachowym wiele można zarzucić, forma w nich zwykle zaniedbana, dorywczość i jak by gorączkowość w procesie twórczym pozbawia je głębokości i wyższego polotu. Braki te stokrotnie okupują: życie i wyraz, ruch i werwa, przymioty niespotykane prawie naówczas w produkcjach zimnych przedstawicieli oficjalnej szkoły.

Jeżeli kto koniecznie pragnąłby odgrzebać genezy istoty artystycznej Orłowskiego, jego celów malarskich a nawet środków, którymi się posługiwał, to pewną wspólność tendencji można by odnaleźć w działalności zmarłego na lat

13 przed jego urodzeniem Wiliama Hogartha. Rozsiane po całej Europie w sztychach obrazy angielskiego mistrza musiały być znane Orłowskiemu jeżeli nie w pierwszych chwilach samodzielnej pracy, to w każdym razie później, gdy, porzuciwszy szkołę Norblina, zaczął swą indywidualność rozwijać, coraz bardziej wkraczając we właściwą Hogarthowi sferę satyry i humoru.

Skala malarskich aspiracyi Orłowskiego jest niezwykle szeroką: figura ludzka, koń, krajobraz, morze, fantazja, karykatura wreszcie, są polem, które uprawia. Środki techniczne, służące mu do wyrażania pomysłów, są również rozmaite. Maluje olejno, akwarellą, sepją, gwaszem, rysuje pastelami, kredką, piórkiem, ołówkiem; sztychuje nawet własne swe obrazy. A zawsze praca ta jest gorączkową — spieszy, jakby pragnął cały olbrzymi materiał wrażeń i obserwacyi, zgromadzony w jego umyśle i oku, czempredziej uplastycznić, aby się nie rozwiały zapomniane.

Malarska działalność Orłowskiego, oparta na szczerości w odtwarzaniu tego, co widział lub czuł, — odtwarza z równą szczerością wewnętrzną jego istotę. Człowiek i artysta łączą się tu w nadzwyczaj ciekawy typ. Twórczość jego jest refleksem warunków egzystencyi; oryginalne, niespodziane rzuty jego pędzla znajdują wytłumaczenie w zygzakach i niespodzianych zwrotach, jakich pełnem było pasmo jego życia.

Talent Aleksandra Orłowskiego był samodzielnym; nie powstał on skutkiem atawistycznie powtarzających się upodobań, ani przekazanego przez przodków drogą dziedziczności zamiłowania do sztuki. Szczegółów o rodzinie jego brak zupełny — to tylko wiadomo, że rodzice przyszłego malarza byli to biedni ludzie, pracujący ciężko na chleb powszedni i że mieszkali w Warszawie, gdzie im w 1777 r. przyszedł na świat syn Aleksander. Wkrótce potem cała rodzina przeniosła się do Siedlec, majątności hetmanowej Ogińskiej, biorąc w dzierżawę zajazd publiczny.

Ściany oberży, utrzymywanej przez starego Orłowskiego, początkowo pobielone na białą prawdopodobnie, — zaroily się z biegiem czasu najrozmaitszymi figurami. Świat fantastycznych jakichś widziadeł, cudaczne postaci, straszne bitwy, naiwne pejzaże zamieniły skromne wnętrze izby dla gości i alkierza w niezwykle przybytek

o dziwnych obiciach. Piec nawet został przestrojony w węglowe rysunki.

W ten sposób bawił się mały synek oberzystów Orłowskich. Co miał tylko pod ręką zużytkowywał, jako materiał rysowniczy. Pchany wewnętrznym impulsem zaczynał już bezwiednie wchodzić w podwoje świątyni sztuki.

Podwoje te stały mu nareszcie otworem lecz dzięki tylko przypadkowi. Księżna jenerałowa Czartoryska, przejeżdżając przez Siedlce, wstąpiła do oberży Orłowskiego, a zdziwiona niezwykle dekoracją ścian, zapytała o dekoratora. Przyprowadzono chłopaka — podobał się księżnie, postanowiła zająć się jego losem.

Dzięki tej niespodzianej protekcji, wkrótce potem Aleksander Orłowski jest już wśród uczniów Norblina. Staje wobec świata, wobec sztuki. Oczy, które dotychczas szeroko roztwarte wpatrywały się w skarby natury, umysł, który w naiwnej dziecięcej prostocie czuł piękno, nie zdając sobie jasno sprawy z jego istoty, wchłaniają w siebie miliony wrażeń, nowych, nieznanych, niespodzianych. Niejasne pojęcia przebijają wyraźną formę, zasłyszane tony składają się na akord harmonijny, — natura przyszłego wielkiego artysty zaczyna się pomalu kształtować.

Orłowski robi nadzwyczajne postępy. W lat kilka po wstąpieniu do szkoły jest jednym z najzdolniejszych jej uczniów, mimo że wśród nich znajdują się ludzie niezwykle od natury obdarzeni, jak np. Michał Płóński, późniejszy europejskiej sławy sztycharz i rysownik.

Mając lat 17, t. j. w 1794 r. porzuca Orłowski pokryjomu pracownię Norblina, i zaciaga się do wojska. Odyseja ta trwa jednak niedługo, opuszcza wojsko z pod Łomży i piechotą dąży do Warszawy, nie dochodzi jednak do niej, gdyż, jak mówi Rastawiecki, «w młodzieńczej o jutrze obojętności» zatrzymał się w przydrożnej gospodzie za rogatkami wolskimi, «upodobał sobie to miejsce» i «swobodnie się tam zabawiał».

Tu go wynalazł Norblin i na powrót do szkoły namówił. Wycieczka ta bez wiedzy mistrza, nie była ostatnią. Zaledwie lat parę minęło, aż znowu awanturnicze usposobienie młodego Orłowskiego każe mu puścić się w świat. Tym razem zapewne miłość zamienia norblinowskiego ucznia na członka towarzystwa «hecarzy i skoczaków» niejakiego Chiariniego, Włocha. Za-

bawa ta trwa niedługo, życzliwi wydobywają go z budy cyrkowej i zawożą znowu do Norblina.

Wkrótce potem znajduje Orłowski nowego protektora w osobie księcia Józefa, który go ceni za talent, a lubi za wesoły humor. Młody artysta co wieczór zabawia zebrane «pod Blachą» towarzystwo rysowaniem karykatur obecnych, za co pobiera dukata ze szkatuły książęcej i ma prawo używania wierzchowych rumaków. Dzięki księciu Józefowi wchodzi on w ówczesny wielki świat, otrzymując zewsząd zaproszenia i zamówienia. W tym czasie tworzy mnóstwo rodzajowych scen z życia żołnierskiego, a to na zamówienie księżny Aleksandrowej Sapieżyńskiej.

W 1799 r. wraz z przyjacielem swym Płóńskim wyjeżdża Orłowski do Nieborowa na dwór wojewodziny wileńskiej, gdzie tworzy również gorączkowo.

Z rokiem 1802 kończy się pierwszy okres działalności Orłowskiego, poświęcony po większej części studiom u Norblina i zaledwie paroletniej pracy samodzielnej. Trwa on około lat 14, licząc od chwili opuszczenia ojcowskiego zajazdu w Siedlcach. Orłowski jest już wyraźną w sztuce swej indywidualnością, jasno zaznacza swe skłonności, swoją manierę, w następstwie cechy swego talentu rozwija tylko i potęguje. W życiu prywatnym jest on również zdecydowanym charakterem, upodobanie do cyganeryi artystycznej, do oryginalności, nie opuszcza go nigdy. Wchodząc do najpierwszych towarzystw, stykając się w codziennym obcowaniu z najznakomitszymi ludźmi swych czasów, Orłowski nie przestaje być wesołym kolegą, niedbającym o jutro artystą, typem cygana wielkoświatowego.

Talent Orłowskiego, aczkolwiek pozbawiony rysów oficjalnej akademickiej powagi, nie przestaje ciągle mu zjednywać wielbicieli. Modny artysta zaledwie nastarczyć może zamówieniom, sława jego zaczyna szeroko się rozchodzić. Artysta czuje, że Warszawa nie daje mu dostatecznego pola do rozwoju, ufny w siebie, pragnie większego towarzyskiego ogniska.

W 1802 r. z handlarzem rycin Fietti'm udaje się przez Gdańsk do Petersburga, mając w zanadrzu listy polecające do W. Ks. Konstantego.

Odtąd nie opuszcza nadnewskiej stolicy mieszka w niej przez ciąg lat trzydziestu t. j. do śmierci.

Rozpoczęte w Warszawie życie wielkoświatowe i na tle jego rozwijająca się artystyczna działalność trwały w Petersburgu w dalszym ciągu. «W towarzystwie wesoły — słowa Rastawieckiego — żartobliwy i dowcipny, lubiący uczty i biesiady, które stawiały się mu niejako w pośród prac rozrywką i wypoczynkiem» — Orłowski w prędkim czasie staje się ulubieńcem petersburskiej arystokracji. Książę Konstanty czyni go nadwornym swoim rysownikiem, obdaru go pracownią w «Zimowym Pałacu,» zasypuje obstalunkami, ambasador francuski, generał Caulaincourt, książę Vicenzy, kupuje u niego kolekcję typów wielkorosyjskich, hrabia Naryszkina bierze go na towarzysza wycieczek do Moskwy i Niższego Nowogrodu.

Orłowski nie przestaje tworzyć. Do galerii jego typów przybywają nowe okazy, jak kozacy, baszkiry, kałmuki, a także gmin rosyjski, których odtwarza, podkreślając ich cechy plemienne. W tymże czasie zaczyna coraz mniej malować olejno, dzięki czemu obrazy jego, jako wielka rzadkość, sprzedawały się na wagę złota. Wiele jego utworów za pośrednictwem księgarza Ruspoli'ego i handlarza Pluchart'a nabywane są do Anglii. Sława Orłowskiego, wzmagając się ciągle, otwiera mu podwoje Akademii Cesarskiej, której staje się członkiem honorowym.

«Orłowski, który życie strawił w Petersburku

— mówi Telimena Mickiewiczowska —

«Mieszkał tuż przy Cesarzu, na dworze, jak w raju»

sył zaszczytów i uznania, nie był jednak szczęśliwym. Wpadał często w stan melancholii, którą

rozpraszał trunkiem. Czy może dla tego, że, jak mówi w dalszym ciągu Telimena, tak

..... «tęsknił do kraju.

Lubił ciągle wspominać swej młodości czasy,

Wysławiał wszystko w Polsce: niebo, ziemię, lasy»,

czy też nieporozumienia rodzinne taki wpływ na niego wywierały, dość, że nałóg coraz bardziej rozwijał się w tej silnej naturze artysty. Gdy się nieco podochocił, lubił rysować, wiedzieli o tem znajomi, gdzie więc tylko zaszedł, znajdował zawsze ołówek, papier i pełną szklankę.

«Był wzrostu słusznego, budowy ciała atletycznej, zdrowia czerstwego, zarówno na pracę natężoną jak na przedłuższe biesiadowanie wytrwałego, — w rękach posiadał siłę nadzwyczajną... Miał on też różne szczególności i dziwactwa: lubił przestraszać się w ubiory wschodnich krajów i chodził u siebie jako pers. to jako czerkies, gruzyniec i tym podobne.» Temi słowami charakteryzuje Orłowskiego Rastawiecki w swym «Słowniku malarzy polskich.» Tenże Słownik podaje wyliczenie niektórych prac jego. Oprócz Rastawieckiego pisali o Orłowskim: Atanazy hr. Raczyński, Wincenty Smokowski, a w ostatnich czasach hr. Jerzy Mycielski w obszernym swym dziele o stuleciu malarstwa polskiego. Największą liczbę prac naszego artysty można było widzieć zgromadzoną na wystawie lwowskiej 1894 r. w dziale sztuki retrospektywnej.

Aleksander Orłowski zmarł w Petersburgu w pięćdziesiątym piątym roku życia — dnia 13 marca 1832 r.

Henryk Piątkowski.

Dr. J. Czekierski

* 1777 † 1826.

Smutny zaiste stan chirurgów był i jest u nas w Polsce, gdzie chirurgia całkowicie w zaniedbaniu zostawała; z tej więc przyczyny chirurgowie nasi są prawie bez żadnych początkowych nauk, których nie posiadając, nie mogli też dalej postępować; a czego się nauczyli u swych majstrów, zostawszy z czasem majstrami, wpajali to, co umieli w swych uczniów; ta zaś cała nauka zasadzała się tylko na goleniu, enem dawaniu, krwi puszczaniu, pijawek stawianiu, lecz i tego nawet żaden dokładnie zrobić nie umie. Widzimy zatem jak daleko nasi panowie chirurgowie zaszli. Chcąc nadal tak obrzydłe nazwisko golarzów zatracić i w wiecznej niepamięci zagrzebać, życzę każdemu, aby się jak najusilniej przyłożył do nauk chirurgicznych, w tym czasie kwitnących.»

Tak się wyraził w r. 1817 J. Czekierski, którego żywot w krótkości tu skreślić zamierzamy. Słowa powyższe, dziś wydające się nam tak dziwnymi i trudnymi do wiary, są jednak, niestety, prawdziwe zupełnie; stan chirurgii był bowiem u nas aż do początku wieku bieżącego

nad wszelki wyraz niedolęznym i po prostu opłakanym, pomimo że nie zbywało na ludziach światłych, pracujących nad jego naprawą i podniesieniem.

Dla zrozumienia gorzkiej skargi Czekierskiego, nadmienić tu jednak trzeba, chociaż widać to wyraźnie ze słów jego, iż nie mówi on bynajmniej o chirurgach w znaczeniu dzisiejszym wyrazu tego, ponieważ wtedy takich prawie nie było, a nieliczni lekarze nasi, ówczesni, z chirurgią praktycznie obeznani, za obrazę poczytaliby sobie byli miano chirurga, dawane pospolicie tylko cyrulikom cechowym, z pośród których wyszedł także Czekierski sam, znał ich zatem lepiej niż inni i umiał ich też słuszniej ocenić.

Przyczyna stanu takiego była dwojaka: naprzód usuwanie się lekarzy uczonych od wy-

konawstwa chirurgicznego, a powtórnie brak zakładów, w których młodzież, chcąc zapoznać się z chirurgią, mogłaby była znaleźć naukę odpowiednią. Wprawdzie za panowania Stanisława Augusta szczerze wzięto się do dzieła, zakładając szkoły zawodowe, ale te istniały zbyt krótko



Podług portretu olejnego, malowanego z natury.

Józef Czekierski

żeby mogły usunąć zło od wieków zakorzenione.

W r. 1775, dzięki staraniom Tyzenhauza, podskarbiego litewskiego, powstała w Grodnie szkoła weterynaryjna i ogród botaniczny, do których niebawem dodano szkołę lekarską, nawet pono dobrze urządzoną, a następnie w r. 1781 przeniesioną do Wilna. Posiadała ona gabinet i teatr anatomiczny, nad wejściem do którego król położyć kazał napis: «Tu się sama śmierć na korzyść ludzkości obraca.» Niestety, śmierć nie mogła zastosować się do życzeń królewskich, ponieważ, z powodu napaści pospólstwa, profesor Gilibert, z Montpellier sprowadzony, musiał zaniechać zupełnie wykładów anatomii praktycznej, bez której wykształcenia chirurgicznego osiągnąć nieposób. Szczęśliwszym od niego był R. Czerwiakowski w Krakowie, gdzie od r. 1779 istniała pierwsza klinika chirurgiczna, polska, albowiem, dzięki przydanej sobie straży policyjnej, mógł jako tako lekcye swe anatomiczne odbywać, nie będąc niepokojonym przez tłumy. Nareszcie w r. 1789 Warszawa otrzymała także szkołę chirurgiczną, która nie miała jednak czasu rozwinąć się należycie z powodu nękających kraj wypadków politycznych, a w r. 1795 zatoneła w potopie ogólnym.

Wszystkie wymienione szkoły, nie nazbyt licznie zresztą odwiedzane, miały za główne zadanie dostarczanie zdatnych chirurgów dla wojska, i pod względem tym do pewnego stopnia zadaniu swemu sprostały; na cyrulików zaś cechowych, krzywo na nie patrzących i trzymających się twardo wiekowej, ciemnej rutyny, wpływu większego mieć nie mogły.

Zważywszy to wszystko, zrozumiemy lepiej słowa Czekierskiego i nie będziemy już mogli odmawiać mu wiary, pojmimy też teraz snadniej, dla czego, doszedłszy z czasem do znaczenia i wpływów, tak gorliwym stał się krzewicielem wiedzy chirurgicznej.

Józef Czekierski urodził się dnia 19 marca r. 1777 w Warszawie, gdzie ojciec jego Stanisław zajmował się cyrulictwem. Gdy chłopiec podrośł, posyłał go ojciec przez czas niezbyt długi do szkół pijarskich, a potem chcąc sobie w nim przysposobić następcę, oddał go na naukę do kolegi po brzytwie, w Górze Kalwarii mieszkającego. Na szczęście jednak dla Józefa w r. 1792 «nauka»

ta przerwana została; ojciec sprowadził go z powrotem do Warszawy i umieścił w szkole chirurgicznej powyżej wymienionej; w niej uczył się aż do końca jej istnienia. Warszawa dostała się wtedy pod panowanie Prus, a ponieważ rząd państwa tego, w interesie własnym, ułatwiał wtenczas młodzieży kształcenie się w sztuce lekarskiej, więc też Czekierski, pojechawszy w r. 1796 do Berlina, przyjęty został do akademii medyko-chirurgicznej tamtejszej. Skończywszy chlubnie zakład ten w r. 1800, a nie zadawając się stopniem naukowym, tam otrzymanym, udał się do Frankfurtu nad Odrą, gdzie wtedy istniał jeszcze uniwersytet, przeniesiony później do Berlina, i po obronieniu rozprawy osiągnął dyplom doktorski. Będąc w Berlinie na koszcie rządowym, zniewolonym był po skończeniu nauk wstąpić do służby. Szczęśliwy dla niego traf zrządził, iż właśnie otwierano w Warszawie rządową szkołę dla akuszerki i młodego doktora do niej na wykładającego przeznaczono. Obowiązki nauczycielskie spełniał w zakładzie rzeczonym od r. 1801 do 1818, z przerwą wszelako w latach 1806—1809, w których zabudowania szkoły zajęte były na lazaret wojskowy, francuski.

Gdy pod opieką potężną Napoleona powstało Księstwo Warszawskie, z gorączkowym pośpiechem rzucono się do dźwigania z gruzów instytucji dawnych, doskonalenia istniejących, oraz tworzenia nowych a potrzebnych. Wtedy to w celu usunięcia dotkliwego braku lekarzy i chirurgów wojskowych, krajowców, pod przewodem Dziarkowskiego i przy pomocy Staszica, zakrzętał się doktorowie Czekierski, Brandt i Wolff wraz z aptekarzem Celińskim nad założeniem w Warszawie szkoły lekarskiej. Dzięki niestrudżonym zabiegom mężów tych, powołany został do życia i czynu *Wydział akademicki lekarski*, zatwierdzony w dniu 2 Października r. 1809 przez Izbę Edukacyjną. Czekierski otrzymał katedrę chirurgii i akuszerii, pełniąc, równie jak inni profesorowie, obowiązki swe bezpłatnie, a ponieważ same wykłady teoretyczne słusznie uważał za bardzo niedostateczne, więc podjął starania o urządzenie kliniki chirurgicznej, która też nareszcie w r. 1811 pod jego zarządem w szpitalu Ś-go Rocha zaczęła być czynną; klinikę zaś położniczą urządził w szkole akuszerki już wcześniej. W r. 1817 wcielono wydział lekarski do nowo-założonego

uniwersytetu, w którym Czekierski już tylko przez rok jeden był czynnym, stan zdrowia nadwątłego zmusił go bowiem do opuszczenia katedry, której był ozdobą prawdziwą; równocześnie wystąpił też z Rady lekarskiej, której członkiem był przez lat kilka.

Po za obowiązkami profesorskimi, Czekierski wiódł żywot bardzo czynny, jako praktyk wzięty i ceniony; nie uchylał się też od posług publicznych z zawodem jego związek mających, i tak: w r. 1809, po bitwie pod Raszynem rozwinął wielką gorliwość w niesieniu pomocy ran- nym, za co król Fryderyk August, książę warszawski, piśmienne nadesłał mu podziękowanie; w r. 1812, gdy Warszawa przepelnioną była zbiedzonymi rozbitkami, wracającymi z pod Mc- skwy, urządził szpital dla nich a za wzorowe za- wiadywanie nim obdarzonym został później złotym krzyżem «virtuti militari.» Nie brakło mu też innych jeszcze zaszczytów i odznaczeń, otrzy- manych na stanowisku lekarza nadwornego zam- kowego, najpiękniejszym wszelako wieńcem zasłu- gi przyozdobił sam swe skronie przez napisanie czterotomowej chirurgii (Warszawa 1817—1818).

Dzieło to, aczkolwiek do połowy tylko doprowa- dzone, było w swoim czasie podręcznikiem wy- bornym i zawiera w sobie ustępy, które i dziś jeszcze z korzyścią przeczytać można. Zatrudnie- nia, wypływające z bardzo rozległej praktyki, a bardziej jeszcze wada serca, rozwijająca się co- raz groźniej, nie dopuściły do wykończenia cało- ści, mającej podług planu autora, w przedmowie wyrażonego, obejmować także okulistykę i poło- żnictwo. Żalując szczerze, iż okoliczności nie do- zwoliły autorowi spełnić zamiarów swych w zu- pełności, winniśmy mu wdzięczność za wzboga- cenie literatury chirurgicznej naszej, tak ubogiej zresztą, dziełem na swe czasy bardzo użytecznem i pożądanem.

Zapadając coraz więcej na zdrowiu, udał się Czekierski na leczenie do Maryenbadu i tam, na obcej ziemi, dokonał pracowitego żywota w dniu 20 Czerwca r. 1826. *)

Dr. med. J. Peszke.

*) Rok śmierci podany podług S. Kościńskiego (Słown. lek. pols., str. 79); Gąsiorowski (Zbiór wiad., T. IV, str. 44) wskazuje rok 1827.



Piotr Antoni Steinkeller

* 1799 † 1854

Mało zapewne jest ludzi, o których czynach i życiu publicznem tak rozmaite, tak sprzeczne wydawanoby sądy, jak o działalności Steinkellera.

Wprawdzie głos powszechności, patrzącej zwykle na skutki, wnioskującej podług tego, co widzi i czego się dotyczy, oddawał mu zawsze sprawiedliwość, oceniając użyteczność licznych jego przedsięwzięć, lecz w pewnych sferach, szukających w przemyśle i handlu osobistej tylko korzyści, każdy jego pomysł przyjmowano z niedowierzaniem, nicowano, krzyczano na niepraktyczność i ślepe naśladownictwo wzorów zagranicznych, a namiętne te wrzaski, wywołane podszeptami zawiści, szerzone czynnie i usłużnie przez licznych owej partyi popleczników, sięgały zwykle daleko po za koło właściwego współzawodnictwa.

Dziś, kiedy namiętności przygasły, nadeszła pora, by wyrzec o Steinkellerze zdanie bezstronne, skreślić bieg jego działań publicznych i oddać cześć pamięci zasłużonego krajowi obywatela.»

Powyższemi słowy p. Jenike rozpoczął życiorys Steinkellera, pomieszczony w «Tygodniku Ilustrowanym» z roku 1859, a powtarzając je jako konieczne objaśnienie, przechodzimy do szczegółów żywota nieodżałowanego przemysłowca.

Piotr Antoni Steinkeller urodził się d. 15 lutego 1799 r. w Krakowie, skąd w r. 1826 przeniósł się do Warszawy i do r. 1853 przedsięwzięciami swemi wiele się przyczynił do podniesienia i utworzenia przemysłu krajowego w różnych kierunkach.

Bystry i przenikliwy w odgadywaniu istotnych potrzeb krajowych, stał się Steinkeller wkrótce duszą wszelkich przedsięwzięć, mających na celu dobro publiczne.



Podług sztuki współczesnego.

Piotr Antoni Steinkeller

Były Bank Polski podał rękę młodemu przemysłowcowi i otworzył mu u siebie kredyt.

Steinkeller wybudował dom Resursy Kupieckiej, zakupiwszy w tym celu zrujnowany pałac niegdyś Mniszchów przy ulicy Senatorskiej, potem sprowadzał do kraju sól z Anglii, szerzył zakłady przemysłowe, skupował rudę żelazną i zboże, produkował cynk, budował maszyny w Żarkach, założył cegielnię w Pomiechówku, wreszcie przeistoczył młyn parowy w Warszawie.

Sól, przed przybyciem Steinkellera do Warszawy, w wysokiej była cenie. Skarb bowiem Królestwa płacił rządowi austriackiemu po rs. 1 kop. 20 za centnar. Steinkeller zobowiązał się sprowadzać sól z Anglii i dostarczać ją rzeczywiście taniej o kop. 15 na centnarze. Wszedłszy następnie w układy z rządem o transport tego artykułu do różnych punktów Królestwa, przybrał dwóch spółników, którzy zajmowali się specjalnie budową statków transportowych i dopilnowaniem administracji, a Steinkeller objął ogólny kierunek przedsiębiorstwa.

Gdy w r. 1832 skończyła się konwencja wiedeńska o dostawę soli, Steinkeller zawarł z rządem austriackim dwa nowe kontrakty do r. 1842 trwać mające i konkurencją swą tyle dokazał, że Austria poprzestała na cenie 52 kop. za centnar. Na jednym tedy artykule odniósł skarb oszczędności przynajmniej 500,000 rubli.

W r. 1836 wziął w dzierżawę od rządu hutę cynkowe w Dąbrowie i wystawił własnym kosztem walcownię w Londynie. Pomysł ten, w zasadzie arcypożyteczny, przez złą wolę Anglików, stojących na czele administracji walcowni, został z początku zwichnięty, wpłynął on jednak przeważnie na podniesienie produkcji tego metalu a podskoczenie jego z dawniejszej ceny rs. 2 kop. 25 na rs. 13 kop. 19 za centnar, opartem było na trafnem ocenieniu jednego z najobfitszych źródeł bogactwa krajowego.

Młyn parowy w Warszawie Steinkeller nabył na publicznej licytacji. W r. 1835 Bank Polski wystawił go na sprzedaż dla pokrycia należności swych i zaliczeń danych b. Towarzystwu przetworów zbożowych. Odtąd zaczyna się szereg ulepszeń i zupełnych niemal przeistoczeń zakładu, które, znosząc monopol młynarzy i innych producentów, przyczyniły się tem samem do zniżenia ceny wielu artykułów codziennej potrzeby. Stein-

keller ustawił w młynie duże nowe maszyny, z których jedna o sile 80 koni; wybudował dwa wielkie spichrze, mogące pomieścić 130,000 korcy zboża; urządził olejarnię, fabrykę powozów i kuryerek, które dotąd Steinkellerkami są zwane, fabrykę kaffi i wyrobów fajansowych, maszynę do rżnięcia fornirow, windę nad Wisłą do dźwigania ciężarów, kolej żelazną konną od niej aż do młyna i t. p.

Wszystkie te połączone zakłady, mieszczące się w obrębie młyna parowego, powstawały kolejno aż do r. 1853 z inicjatywy Steinkellera.

Tyle i tak dobrze obmyślanych przedsiębiorstw, po większej części doskonale się процen-tujących, byłyby niezawodnie krajowi przyniosły pożytek i w krótkim czasie zbogaciłyby naszego przedsiębiorcę, gdyby Steinkeller osobiste swe zyski miał na widoku.

Upadek dwóch domów francuskich Lodame et Com. i d'Alincourt, z którymi Steinkeller wszedł w spółkę w celu kupna cynku, zachwiał silnie jego majątkiem.

W r. 1839 dla uniknięcia wysokiej taryfy pruskiej Steinkeller zaproponował Namiestnikowi Królestwa otworzenie bezpośredniej komunikacji z Bałtykiem za pomocą kolei żelaznej od Jurborga lub Kowna. Kolej ta dla przeszkód nieprzewidzianych nie przyszła do skutku, jakkolwiek wykonano już jej plany.

Wspierany przez Bank znacznymi zasiłkami, Steinkeller przez coraz nowe przedsiębiorstwa starał się powiększać swe dochody i pokrywać procenta od długów, dając wierzytelności bankowej odpowiednie zabezpieczenia.

Wszedłszy w stosunki z dyrekcją poczt, sprowadził w r. 1840 z Anglii maszyny, modele i zdolnych robotników i zaczął budować własnym kosztem kuryerki, które już od d. 1 października t. r. na trasie krakowskiej kursowały. W parę lat później rozpowszechnił je także na trasach: kowieńskim, brzesko-wileńskim, kalisko-pogranicznym i toruńskim.

Przedsiębiorstwo to było jednym z najlepszych pomysłów Steinkellera, bo aż do otwarcia drogi żelaznej Warszawsko Wiedeńskiej przynosiło przeszło 16,000 rub. czystego dochodu.

W r. 1841 udał się Steinkeller z prośbą do rządu o zwrócenie koryta rzeki Wisły ku brzegowi

lewemu, przez wybicie tamy na brzegu przeciwnym, płytkość bowiem wody brzegu lewego stawała na przeszkodzie statkom, dla młyna parowego przeznaczonym.

Rząd Królestwa zawarł z nim kontrakt na te roboty, przeznaczając na ten cel 18,000 rub. Steinkeller wykonał je ku zadowoleniu władzy.

Najtrwalszym jednak pomnikiem gorliwości obywatelskiej Steinkellera jest droga żelazna Warszawsko - Wiedeńska, zbudowana częściowo przez Steinkellera, przy współudziale byłego Banku Polskiego i domu handlowego braci Łubieńskich. Kapitał Towarzystwa oznaczony został na rs. 3,150,000 podzielonych na 5,000 akcji.

Aby ułatwić sprzedaż akcji, które Rząd poręczał na 4-y procent, Steinkeller udał się do Londynu, a p. Tomasz Łubieński do Niemiec.

Wkrótce jednak przekonano się, że suma 3,150,000 rs. na wybudowanie drogi nie wystarczy podług systemu angielskiego, a rząd gwarancyi procentów sumy powyższej nie przyjął na siebie. Mimo jednak to Towarzystwo zarządziło opracowanie planów i kosztorysów i w końcu r. 1839 rozpoczęto roboty ziemne pod kierunkiem naczelnego, wielce zdolnego inżyniera, Stanisława Wysockiego.

W r. 1840 Steinkeller wyjechał do Wiednia i zawarł tam w imieniu Banku Polskiego z domem handlowym Steiner et Comp. kontrakt. Wypadki wszakże polityczne, wstrząsające Europą skutkiem sprawy wschodniej, i tej operacji stały na przeszkodzie, a dom Steinkellera w połowie r. 1841 zawiesił swe wypłaty.

W takim stanie rzeczy założyciele drogi podali w r. 1842 na ręce dyrektora głównego skarbu przedstawienie o rozwiązanie Towarzystwa. Rozwiązanie to nastąpiło w maju 1842 r. i całe przedsiębiorstwo przeszło pod bezpośredni zarząd skarbu. Steinkeller jednak w latach 1844 do 1847 dostawiał rządowi sioდეł, powozów i węgla kamiennych na użytek drogi żelaznej.

Staraniom Steinkellera zawdzięcza Warszawa pierwszą próbę bruku drewnianego na Nowym

Świecie oraz wzorową fabrykę obić papierowych (Rohn et Vetter); z jego bowiem namowy przedsiębiorcy pomienionego zakładu przenieśli się z Wiednia do Warszawy. Dziś fabryka pomieniona jest własnością p. Franaszka.

Kosztom i pomysłem Steinkellera wypracowany został swego czasu projekt zaopatrzenia naszego miasta wodą wiślaną, tudzież oświetlenia ulic gazem, które w zabudowaniach fabryk żareckich istniało już w r. 1843.

Z tem wszystkiem stan interesów Steinkellera coraz bardziej się pogarszał. Passywa jego z nowym r. 1848 narosły do 2,390,000 rub., skutkiem czego w r. 1849 nastąpiła likwidacja i bank objął zarząd dóbr żareckich.

Znękany niepowodzeniem, Steinkeller przeniósł się napowrót do rodzinnego swego miasta Krakowa i tam d. 11 lutego 1854 r. zakończył życie.

Posiadając miliony i mogąc prowadzić życie bezczynne, wyrzekł się dobrowolnie rozkoszy używania bogactw, nie żałował trudów i zabiegów, ażeby wypłacić się krajowi z długu obywatelstwa takiego, jakim on je pojmował, i szlachetnemu celowi temu większą część mienia swego poświęcił.

Mówiąc o Steinkellerze, nie podobna pominąć Żarek, jako poła, na którym znakomity ten przedsiębiorca przez lat dwadzieścia kilka działalności swą rozwijał. W r. 1833 założył tam fabrykę maszyn, którą w r. 1837 powiększył, łącząc z nią kuźnię, kotłarnię, oraz odlewnię naczyń kuchennych i gospodarskich. Tu także wyrabiano maszyny i narzędzia rolnicze, znane powozy i słynne na kraj cały resory. W tychże dobrach zbudował młyn amerykański, założył dystrylarnię z nieznanym u nas alembikiem Falkmana, oraz browar wzorowy w folwarku Jaworzniaki. Hojności Steinkellera winny także Żarki przebudowanie z gruntu miejscowego kościoła parafialnego, dokonane w r. 1846.

Julian Heppen.

Jan Bogumił Plersch

* 1732 † 1817.

Oddajemy sprawiedliwość zasłudze, długoletniej pożytecznej pracy i talentowi dobrze

użytemu, wspominając obszerniej nieco to dziecię Warszawy. Prace Plerscha były przeważnie tego rodzaju, jak śpiew lub muzyka wirtuoza, po których talencie wspomnienie tylko pozostaje, był bowiem dekoratorem teatrów królewskich, a dekoracye w chwilowym po-kłasku nagrodę odbierają, to więc, co o talencie i umiejętności świadczy, to są portrety i niewielka liczba obrazów kościelnych i historycznych.

Plersch był synem rzeźbiarza. Urodził się w Warszawie w r. 1732, kształcił się w malarstwie w Niemczech, wrócił do ojczyzny dojrzałym i wyrobionym w sztuce i w Warszawie 85 lat życia do-czekał.

Z ważniejszych prac jego wzmiankowane są portrety królów polskich.

Religijne obrazy Plerscha są w kościele

Ś-go Ducha (po paulińskim), Ks. Pijarów i Bernardynów w Warszawie. Dla szpitala Bonifratrów, w którym pod koniec życia zamieszkał, zrobił obraz Samarytanina, portrety Fontany, Morsztyna i swój własny.

Z dekoracyjnych ściennych malowideł najważniejszym jest ozdobienie wielkiej sali balowej w Łazienkach, pałacu króla Stanisława Augusta w Warszawie, sufit w łazience królewskiej, w teatrze w pomarańczarni wszystkie malowidła ścienne, służące do ozdoby sali teatralnej r. 1786. Wykonał również dekoracye do teatru królewskiego, później w latach 1806 i 1809, gdy został dekoratorem głównym, wiele innych prac z tego zakresu. Rastawiecki w *słowniku malarzów polskich* wylicza jeszcze wiele malow-

ideł. Plersch był człowiekiem wielkiej prawości i dobroci.

Wojciech Gerson.




Podług portretu własnoręcznego.

Plersch.



Jenerał Karol Kniaziewicz.

* 1762 † 1842.

 zakątku cmentarza Montmorency pod Paryżem widnieją dwa pomniki grobowe mężów, skojarzonych za życia i po śmierci węzłem historycznych wydarzeń, które się rozegrały nie tylko w ich ojczyźnie, lecz i w całej Europie u schyłku minionego i w zaraniu bieżącego stulecia — Juliana Ursyna Niemcewicza i Karola Kniaziewicza.

Kiedy w roku 1841 oddawano ziemi śmiertelne szczątki autora *Śpiewów historycznych*, sędziwy Kniaziewicz odezwał się do obecnych w te słowa: «Znaliście nas i widzieliście, że nie było może dwóch bardziej różnych charakterów, a jednak dochowaliśmy sobie przyjaźni do grobu»...

To określenie starczy za wyczerpującą biografię człowieka, który, skromny i nieszukający sławy, mimo to rozgłosem swoich bojowych czynów wybiegł daleko poza granice swego kraju i prawością, cnotą żołnierską i animuszem zdobył sobie wieniec wawrzynowy między swoimi i na obczyźnie.

Biografia owego niepospolitego męża jest historią ostatnich czasów Rzeczypospolitej Polskiej, jest historią epepei Napoleońskiej, jest przypomnieniem owych walk tytanicznych, gdy, mówiąc słowami Mickiewicza, Kniaziewicz

...rozkazywał z Kapitolu

I zwycięzca wydartych potomkom Cezarów
Rzucał w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów!

Żywotowi Kniaziewicza poświęcili monogra-

fic oddzielne: Teodor Morawski, Stefan Witwicki i Bronisław Zaleski. Korzystamy z ich prac, by naszkicować zarys czynów jego.

Urodził się Kniaziewicz 4 maja 1762 roku w powiecie Piltyńskim, we wsi Asitten, z rodziny protestanckiej, lecz po kądzieli z szlachtą polską spokrewnionej. Z domowej edukacji przeszedł za wdaniem się jenerała Brühla w r. 1774 do korpusu Kadetów w Warszawie, gdzie, przyjąwszy wyznanie rzymsko-katolickie, przyswoił sobie karność i poczucie obowiązku, którymi się odtąd miał kierować, i tu również zawiązał na życie całe stosunek przyjaźni z towarzyszem szkolnym — Niemcewiczem.

Zamiłowanie do zawodu wojskowego wczesnie już obudziło się w młodzieńcu. Zdobywszy sobie, przy pomocy opiekuna Brühla, stopień oficerski w batalionie fizylierów cudzoziemskiego autoramentu i w tym charakterze objeżdżając za tak zwaną *delatą*, czyli poborem podatków i werbowaniem żołnierza, różne strony kraju, zawiązał liczne stosunki i znajomości, zwłaszcza na dworze Jana Klemensa Branickiego w Białymstoku.

Podczas kampanii 1792 roku odznaczył się w bitwach pod Zielcami i Dubienką, a gdy zaczęły się rządy Targowicy i król ogłosił do niej swój akces, Kniaziewicz, nie zgodziwszy się na redukcję armii, przystał do chorągwi Madałińskiego i miał udział w licznych walkach, którymi się odznaczyło wystąpienie Kościuszki na

arenę bojową. Pod Gólkowem, między Tarczynem a Piasecznem, za okazane męstwo awansowanym został Kniaziewicz na pułkownika, pełniąc zaś obowiązki naczelnika sztabu przy jenerale Zajączku, sam dosłużył się rangi jenerała. W bitwie pod Maciejowicami wzięty do niewoli wraz z Sierakowskim i Kamieńskim, wysłany został do Kijowa, skąd jednak, odzyskawszy za poręczeniem wolność, udał się do Francji, gdzie właśnie za staraniem emigracyi Dyrektoryat zgodził się na formowanie we Włoszech legionów posiłkowych polskich, celem użycia ich przeciw Austrii. Mocą układu zawartego przez naczelnego wodza armii włoskiej, Bonapartego, z ówczesną Rzeczpospolitą Cisalpińską, w styczniu 1797 roku, żołnierze polscy otrzymali tam prawo obywatelskie, komendę i barwy polskie. Legia Dąbrowskiego przypięła naramienniki z napisem: *gli uomini liberi sono fratelli* i wkrótce doszła do 5,000 żołnierza. Za przybyciem Kniaziewicza do Włoch, Bonaparte spotkał się z nim w Passignano i zachęcił do formowania dalszych legionów, lecz gdy wkrótce potem zawarty został w Campoformio rozejm z Austrią, Dąbrowski, Kniaziewicz i Rymkiewicz utworzyli w Rimini szkołę wojskową polską, by utrzymać karność między legionistami do czasu spodziewanego powrotu ich do kraju. Niezadługo wszakże rząd francuski wezwał Kniaziewicza, by wkroczył na czele legionistów do Rzymu dla uśmierzenia ruchu rewolucyjnego, jaki tam w początkach roku 1798 wszczął się między nieprzyjaciółmi Rzplitej francuskiej. Otrzymaawszy w Loretto błogosławieństwo od kardynała Chiaramonti (późniejszego Piusa VII), a od rządu francuskiego chorągiew Mahometa i szablę Sobieskiego, stanął Kniaziewicz 3 maja w Rzymie. Legia polska trzema kolumnami weszła na Kapitol.

Ludność, w przekonaniu, że widzi przed sobą obrońców Kościoła, życzliwie przyjęła legionistów w klasztorze Ara Coeli i wyznaczyła Kniaziewiczowi mieszkanie w Kapitolu.

Ogłoszono Rzplitą rzymską, zrazu powitaną z zapalem przez Rzymian, lecz niesnaski między legionistami i wzrastająca przeciw Francuzom niechęć, zmusiły Kniaziewicza do opuszczenia Rzymu, by z rozkazu Championneta pośpieszyć na odparcie zastępów neapolitańskich, które też niebawem poszły w rozsypkę. Pod Terracina, Fondi i Cobri rozbił Kniaziewicz wojska jenerała Ma-

cka i zmusił do kapitulacyi Gaëtę. Za te czyny bojowe spotkał Kniaziewicza zaszczyt, iż go jenerał Championnet wysłał do Paryża, celem złożenia Dyrektoryatowi zdobytych chorągwi. Dnia 8 marca 1799 r. odbyła się na dziedziń u pałacu Luxemburskiego owa rzadka uroczystość, na której i Kościuszko, niedawno przybyły z Ameryki, był obecnym. Barras miał mowę do zebranych, w której zaznaczył, że Francya uważać będzie Polaków za dzieci własne. Wkrótce potem otrzymał Kniaziewicz upoważnienie do utworzenia nowej legii pod sztandarami francuskimi i poprowadzenia jej pod Metz, a stamtąd w r. 1800 do Strasburga.

Tymczasem z Egiptu wrócił Bonaparte. Rząd Rzplitej zmienił się i Bonaparte został pierwszym konsulem. Powitawszy Kościuszkę i Kniaziewicza jako dawnych znajomych, zalecił ostatniemu energiczne przeciw Austryakom działanie, które też rozpoczęło się wyparciem ich z Hattersheim i z Höchst. Wkrótce potem zajął Kniaziewicz Offenbach, gdzie go bawiący tam Frankiści polscy z radością powitali.

Z okazji pobytu Kniaziewicza w Strasburgu musimy tu podnieść jeden szczegół, maulający humanitarne uczucia jego. W liście do Wybickiego z dnia 16-go czerwca 1800 roku, wzmiankując o pułkowniku Berku Josielewicu, który podówczas pełnił służbę legionisty w Strasburgu, i o niesnaskach, jakie między rodakami panowały, pisze: «Z żalem donoszę, że się tu wszystko tak dzieje, jak w dawniejszych legionach; też same osoby co tam zgodę i pokój trwały, tu zręcznie swój warsztat zakładają. Zazdrość rang, przesady stanu i urodzenia, wszystko tu się widzieć daje... Berek, co w Polsce był pułkownikiem, co dwie kampanie we Włoszech odprawił, tu przybywszy, tym dobrowolnie starszeństwa odstąpił, którzy tu żadnej kampanii nie odprawili; dla tego jednak prześladować go nie przestają, któremu jednak niczego więcej zarzucić nie można, jak to, że się nie szlachcicem urodził.» (*Listy znakomitych Polaków, wyjaśniające historię legionów polskich, Kraków, 1831 r. str. 90*).

Po uśmierzeniu niesnasek, wytworzonych przez szefa szwadronu Roźnieckiego między legionistami, pośpieszył Kniaziewicz na pomoc jenerałowi Moreau, który pod Hohenlinden przez dwie stutysięczne armie austriackie osaczony został i tu



Podług silychu współczesnego.

Ze zbiorów Adama Szpałkowskiego.

Władysław

również świetne odniósł zwycięstwo, poczem przebywszy In pod Mühlendorf, szybkim marszem dotarł do Strasburga, a stamtąd do Kremshüten pod Wiedniem, gdzie legioniści ujrzeni kamień pamiątkowy, wmurowany na pamiątkę odsieczy wiedeńskiej. Pokój Lunnewilski, zawiązanie stosunków przyjaznych między Rzplita francuską a cesarzem Pawłem, wreszcie rozpuszczenie legii naddunajskiej, stanowiły zapowiedź nowej w Europie ery, w której nadzieje legionistów, podsycane dotychczas złudnemi obietnicami Francji, doznać miały stanowczego zawodu.

«Ponieważ pokój przez Francję z zupełnem zapomnieniem mego kraju zawarty został — pisał Kniaziewicz do generała Berthiera w dniu 1 maja 1801 roku — osądziłem, iż ani chwili dłużej w wojsku francuskim pozostać nie powinienem».

Otrzymawszy pożądaną dymisyę, skorzystał Kniaziewicz z ogłoszonej przez Cesarza Aleksandra amnestyi i z uciulonym zasobem *stu ludorów* powrócił do kraju, gdzie mu książę Eustachy Sanguszkowski wypuścił na dogodnych warunkach wieś Zielenicę w dzierżawę. Tu zamienił szablę na lemesz i pióro i wydał staraniem swego przyjaciela Kołczyki w r. 1801 w Berdyczowie książkę gospodarską, pod tytułem: *Dwuletnie doświadczenia*. Tu również wznowił stosunek przyjaźni z szefem Drzewieckim i z innymi towarzyszami broni, tu wreszcie otrzymał nadesłany z Paryża krzyż komandorski legii honorowej.

Z cichego swego ustronia przyglądał się Kniaziewicz wielkim wypadkom bojowym, których świadkiem była ówczesna Europa. Napoleon wznowił aspiracje Polaków, zachęcił ich do wystawienia 40-tysięcznego korpusu. Cesarz Aleksander ze swej strony upoważnił Czartoryskiego do zawiązania rokowań z rodakami, by wystąpili przeciw uroszczeniom Napoleona do wszechwładzy w Europie. Powołał nawet do Taurogów Kniaziewicza i oddawszy hołd jego męstwu i cnocie, uściśnął mu rękę.

Po bitwach pod Jeną, pruskim Iłowem i Frydlandem powstało Księstwo Warszawskie i książę Józef Poniatowski został naczelnym wodzem wojska polskiego. Kniaziewicz w 1806 r. przybył do Warszawy, by na nowo wstąpić do służby wojskowej, lecz rozwijające się wypadki odwoływały go na Wołyń, gdzie pozostawał do 1812 r. i w trakcie tego połączył się ślubnym węzłem

w Porycku 10 września 1810 r. z Maryą z Morzynów Stecką.

Nie kosztował wszakże długo domowego szczęścia. Zaciągnawszy się pod sztandary wielkiej armii, dążącej do stolicy Rosji, otrzymał dowództwo na prawem skrzydle korpusu, którego wodzem naczelnym był brat Napoleona, król Westfalski. Korpus ten przeszedł Niemen pod Grodnem, a gdy Kniaziewicz wysłany do Szwarcenberga, dowódcy wojsk Austriackich, przekonał się o nieszczerych zamiarach owych rzekomych sprzymierzeńców i doniósł o tem królowi, a ten Napoleonowi, nie było już czasu na zarządzenie środków przeciwdziałania.

Po zadaniu dotkliwej porażki pod Mirem korpusowi króla Westfalskiego, generał rosyjski Bagration przeszedł Dniepr i za nim wysłano Kniaziewicza pod Smoleńsk, a po opuszczeniu tej twierdzy przez Rosyan podążył pod Borodino, Możajsk i Moskwę.

W dalszych spotkaniach pod Czarykowem i Woroneżem, w odwrocie wielkiej armii, gdy dowództwo korpusu polskiego powierzono mu zostało, starał się dodać ducha niedobitkom, pozbawionym odzieży i żywności. Raniony w rękę musiał oddać dowództwo generałowi Krasieńskiemu, który z całego korpusu polskiego 90-tysięcznego, zaledwie czterystu żołnierzy i 48 dział sprowadził do Warszawy.

Odstępstwo Prusaków i Austriaków zmusiło księcia Józefa do cofnięcia się z resztkami wojska polskiego do Galicyi. Tam, z niezagojonemi ranami, lecz z komandorskim krzyżem polskim połączył się z nim Kniaziewicz, lecz już pogrom Napoleona ostudził zapal mieszkańców i gotowość ich do nowych ofiar. Z drugiej strony, przystąpienie jawne Austrii do koalicji przeciw Napoleonowi i internowanie wojskowych polskich wszystkim widokom pomyślnego obrotu sprawy ostateczny kres położyły. Na domiar nieszczęść ogólnych Kniaziewicz utracił jedyną towarzyszkę życia i już do zakończenia działań wojennych przesiedlał w osamotnieniu w Tarnowie.

Podczas kongresu wiedeńskiego Kniaziewicz należał do komitetu wojennego, utworzonego w Warszawie w celu przyspieszenia organizacji wojennej dawnego Księstwa Warszawskiego, lecz usunął się z powodu niezgodności zdań z dawnymi towarzyszami broni i przeniósł się do Dre-

zna, gdzie przebył lat kilkanaście. Aresztowany i trzymany w twierdzy Königstein z powodu podejrzenia o udział w towarzystwach tajnych polskich, wypuszczony został dopiero na skutek wdania się rezydenta francuskiego de Rumigny. Gdy wybuchło powstanie listopadowe, przeniósł się Kniaziewicz do Paryża, a gdy tu w d. 9 sierpnia 1831 r. prezes Rady ministeryum uroczystie z trybuny oświadczył, iż Polacy niczego od Francyi spodziewać się nie mogą, usunął się zupełnie od spraw publicznych.

W serdecznym stosunku z przyjacielem młodości Niemcewiczem i księciem Czartoryskim zeszedł sędziwemu starcowi ostatnie lata życia. O przeszłości wspominać nie lubił, gdy potrącano o wypadki, w których brał udział, zrywał się z miejsca, mówiąc: «Już to wszystko minęło, nie chcę o tem gadać.» Wszakże dla drugich był wyrozumiałym i podnosił chętnie ich zasługi.

«We wzniosłej jego i rycerskiej postaci — mówi o tej fazie życia Kniaziewicza jego biograf, Bronisław Zaleski — w silnym głosie, w rzucie głowy, znamionującym wolę i nawyknięcie do rozkazywania, czuć było hetmana, spadkobiercę Czarneckich i Żółkiewskich. W pełnej słodyczy twarzy, poznawał każdy dobrego męża, wiernego przyjaciela, człowieka, któremu żadne ze szlache-tnych uczuć, zdobiących życie ziemskie, obcem nie było.»

Zmarł w dniu 9 maja 1842 roku w Paryżu, przy ulicy Godot de Mauroy pod Nr. 39. Zwłoki jego przeprowadzono około kolumny Vendôme w uczczeniu zasług męża, który zdobytymi w bojach wieloletnich a krwawych armatami do wzniesienia owej kolumny spiżowego dostarczył materiału.

Alexander Kraushar.

Dr med. Franciszek Antoni Ignacy Ludwik Brandt.

* 1777 † 1837.

...burzliwe są lata
Młodości—wiele ludzi w nich ginie.

Prawdzie słów tych *S. Garczyńskiego*, niestety, zaprzeczyć trudno, pocieszać się wszelako można myślą, że z licznych młodych rozbitków, porwanych w odmet rozhukanego życia, wypływają jednakże nie-raz, najczęściej może, jednostki wybrane, a byle im tylko podał kto dłoń pomocną, wyrrywają się z toni, która je pochłonać już miała na zawsze i otrząsnawszy się z metów i brudu, wstępują na drogę cnoty, na której z czasem prześcignąć zdołają tych, których życie od początku toczyło się zawsze po równym gościńcu, dzięki jedynie temu, że ani okoliczności nieprzyjazne, ani z ludzi nikt nie zepchnął ich na manowce.

Do jednostek takich, skazanych od kolebki, jakby się zdawać mogło, na zagładę niechybną

✧ w walce życiowej, a jednak w latach dojrzałych będących ozdobą i chlubą społeczeństwa swego, należał Dr. med. *Franciszek Brandt*, warszawianin, urodzony dnia 27 marca r. 1777 z ojca *Jana*, właściciela domu na Nowym Świecie i *Katarzynę z Gielhausenów*, mieszczan warszawskich.

Pod nieszczęśliwą gwiazdą rozpoczął dni swoje noworodek, albowiem matka, darząc go życiem, zapadła równocześnie na nieuleczalne pomieszenie zmysłów. Pozbawiony od urodzenia opieki matczyńskiej, mały Franciszek wzrastał pod okiem ojca; ale i to, niestety, nie trwało długo; w ósmym roku życia został sierotą. Umierający ojciec ustanowił opiekę nad synem i mieniem, uczynił jednak, jak się okazało, wybór nieszczęśliwy. Opiekunowie podobno ludzie uczciwi, ale prości, niewykształceni, nadto niedołężni



Podług portretu, znajdującego się w tomie I Pamiętnika Warsz. Towarzystwa Lekarskiego.

Brandt.

widocznie, dopuścili w krótkim czasie do zupełnego upadku majątku sierocego, a powierzonego sobie chłopczyńę używali do posług domowych, nie troszcząc się zgoła o jakiegokolwiek kształcenie go, chociaż mały ich wychowanek wdychał do nauki. W dziesiątym roku życia, na usilne prośby swe, został nareszcie oddanym do szkół publicznych. Jako uczeń pilny, bystry i roztargniony, szybkie czynił postępy i umiał postępowaniem swym zjednać sobie względy nauczycieli; nie wzruszyło to jednak ciemnych opiekunów, nieumiejących pojąć znaczenia i wartości nauki, a pieniądze wydane na nią za zmarnowane uważających. Gdy tedy Franciszek skończył cztery klasy, pomimo prośb i łez jego, oraz nie zważając na wstawienictwo za nim nauczycieli, odebrano go ze szkół i kazano myśleć o wyuczeniu się jakiego rzemiosła, mogącego mu kiedyś być zapewnić.

«Zmuszony do obrania stanu»—jak powiada A. Helbich ⁴⁾ — «zdawał się przeczuwać zawód, w którym kiedyś stać się miał dobroczyńcą cierpiącej ludzkości: w 14 roku życia wybrał cyrulictwo.» W owym czasie słynął w Warszawie ze swej biegłości niejaki Piotrowski, mistrz sztuki cyrulickiej, pryncypał otoczony zawsze licznym gronem uczniów; do niego też oddano w termin młodego Brandta.

Wykonawstwo chirurgii praktycznej spoczywało u nas aż do początku wieku XIX wyłącznie w rękach cyrulików cechowych, ludzi z nauką prawdziwą nic zgoła, albo, w najlepszym razie, mało co wspólnego mających, zwykle prostych, nieokrzęsanych, zabobonnych, goniących za lekkiem zarobkiem i nieraz w najbezzwzględniejszy sposób wyzyskujących nieszczęśliwych chorych, którym wogóle pomagali rzadko, a szkodzili bardzo często z powodu swego nieuctwa. Mistrz cechowy miał prawo przyjmować uczniów wedle uznania swego i wyzwalać ich po kilku latach na czeladników, a że sam najczęściej wyrósł z nieuka na mistrza kunsztu swego, więc też i od uczniów swych, nowo wstępujących przysposobienia naukowego, choćby najskromniejszego nie wymagał, ani też zwracał uwagę na ich wychowanie. Stan cyrulicki ówczesny wogóle nie należał do zawo-

dów, cieszących się wielkim szacunkiem u społeczeństwa, więc też oprócz synów cyrulickich, przystawali do niego najczęściej tylko młodzieńcy, stroniący od pracy cięższej w innych rzemiosłach, albo biedacy, zmuszeni do tego przez okoliczności. Wobec tego wszystkiego poziom moralny uczniów cyrulickich koniecznie musiał być bardzo niskim; nie możemy się zatem dziwić, czytając u Helbicha, że Brandt u Piotrowskiego «znalazł się w gronie kilkunastu młodzieży bez wychowania, zepsutej i rozpuście oddanej, a młody i bez doświadczenia, trzy lata z nią przestając, niedziw, iż nabrał nałogów, z których tylko żelazną mocą duszy, zdołał się od razu i na całe życie uwolnić.»

W r. 1794, właśnie gdy Brandt kończył trzeci rok «nauki» swej u Piotrowskiego, otworzono w Warszawie szkołę chirurgiczną, do której wszyscy młodzi cyrulicy uczęszczać obowiązani zostali. Szkoła ta powstała dzięki staraniom chirurga królewskiego Stanisława Stolla, skutecznie popieranego w usiłowaniach swych przez M. Bergonzoniego i W. Gagatkiewicza, a zarząd jej i przewodnictwo objął lekarz dywizyjny F. Spaeth, pod każdym względem do tego uzdolniony. Na Brandta wstąpienie do szkoły tej nadzwyczaj zbawienny skutek wywarło, obudziła się w nim znów chęć do nauki, uśpiona chwilowo przez życie nieporządne w otoczeniu złem; z zapalem więc jał się pracy i wkrótce pilnością i zdolnościami przyćmił wszystkich kolegów swoich i ściągnął na siebie uwagę i względy Spaetha, dzięki któremu też bardzo prędko znalazł posadę chirurga wojskowego. Uśmiech ten doli lepszej był jednak przelotnym tyłko.

Po rozwiązaniu wojska Brandt znalazł się od razu bez zajęcia, bez chleba; jednego i drugiego szukał długo nadaremnie to w Płocku, to w Warszawie, a borykając się wciąż z nędzą i rozpaczą, upadał coraz niżej. Wtedy to po raz drugi, a tym razem już na zawsze, wydobyła tonącego pomocna ręka zacnego Spaetha, który wtedy z ramienia rządu pruskiego został członkiem Rady lekarskiej.

W świeżo zagarniętych przez Prusy prowincjach brak lekarzy był wielkim, nowa władza postanowiła zatem ściągać do berlińskiej akademii medyko-chirurgicznej (Pépinère) młodzież krajową, chcącą się sztuce lekarskiej poświęcić i kształcić ją na koszt rządu, za co następnie stypendy-

⁴⁾ Wiadomość o życiu Brandta—Pamiętnik tow. lek. warsz. T. I. str. 513—526.

ści mieli odslugiwać się w wojsku, albo na innych posadach rządowych. Spaeth, któremu polecono zająć się wskazaniem kandydatów odpowiednich, przypomniał sobie wtenczas ulubionego ucznia z b. Szkoły chirurgicznej i znalazłszy go po długim szukaniu w nędzy najstraszliwszej, zarówno moralnej jak i materyalnej, wyrwał go z niej, pokrzepił na duchu słowem serdecznem i napomnieniem ojcowskiem, a opatrzywszy w pierwsze życia potrzeby, do Berlina wyprawił.

«Od chwili, w której opieki Spaetha doznał nieszczęśliwy młodzieniec» — są to słowa Helbicha — «spadła zasłona z oczu jego, spostrzegł przepaść, nad której stał brzegiem. Poprzysiągł w duszy być porządnym człowiekiem, a całe życia jego pasmo jest dowodem, jak święcie postanowienia dotrzymał. Kiedy się zastanawiam nad tą epoką życia Brandta, nie mogę przenieść na siebie, bym nie wynurzył najwyższego uwielbienia dla dwóch razem mężów: Spaetha, który umiał ocenić zdolność młodzieńca, podać nieszczęśliwemu dłoń pomocy i nie oburzać się jego zapomnieniem chwilowem, jako i Brandta, który, swe błędy poznawszy, przeszedł na drogę moralną, a synowską wdzięcznością wywiązywał się dobroczyńcy przez całe życie.»

W r. 1799 Brandt opuścił Warszawę, udając się do Berlina i przebył tam aż do r. 1802. Otrząsnawszy się z życia dawnego zupełnie, z zapalem niezrównanym oddał się pracy, która też przy wielkich jego zdolnościach wrodzonych wydała owoce najpiękniejsze. Ukończywszy bowiem nauki jako uczeń wzorowy, ciesząc się dobrze zasłużonem uznaniem i względami profesorów swych, pomimo wieku młodego, natychmiast otrzymał posadę profesorską w nowo utworzonym Zakładzie położniczym w Warszawie i przez dłuższy szereg lat pozostawał na niej ku pożytkowi uczących się. W r. 1804 wyjechał na czas krótki do Halli, aby, obroniwszy rozprawę, uzyskać dyplom doktora medycyny, powróciwszy zaś stamtąd, już do śmierci nie wydalął się z kraju rodzinnego, służąc mu do ostatniego tchnienia zawsze gorliwie i chętnie.

Od r. 1806, nie rzucając obowiązków dawniejszych, został członkiem oraz sekretarzem Rady Ogólnej Lekarskiej, od 1808 fizykiem miasta Warszawy i dyrektorem zakładu szczepienia ospy ochronnej. Liczne te obowiązki wypełniał gorli-

wie z sumiennością niezwykłą, pracując nieraz nad siły, obok nich bowiem zatrudniała go jeszcze praktyka rozległa i liczne uczynki miłosierne, z którymi się zwykle tał, nawet przed najzaufan- szymi przyjaciółmi.

W czasie wojny w r. 1809 był czynnym jako ochotnik w szpitalach stołecznych, a przekonawszy się przy sposobności tej, że w wojsku panuje wielki niedostatek lekarzy, należycie do służby przygotowanych, postanowił brakowi temu zaradzić. Zwierzywszy się ze swych zamiarów przyjaciołom serdecznym J. Czekierskiemu i A. Wolffowi i znalazłszy u nich chętne poparcie, zabrał się z nimi wspólnie do pracy nad skreśleniem planu założenia szkoły lekarskiej w Warszawie. Do trzech tych mężów przyłączyli się jeszcze równie chętnie: zasłużony Jacek Dziarkowski i Jakób Hoffman, lekarze, oraz aptekarz Józef Celiński. Zjednoczywszy starania swe, zacni obywatele ci, nietylko że wygotowali projekt dobrze obmyślany w bardzo krótkim czasie, ale umieli też pozyskać dla niego władze rządowe i dzięki ich zabiegom w dniu 9 października r. 1809 utworzony został w Warszawie Wydział Akademiczny Lekarski, który po kilkoletniej, bardzo owocnej działalności w r. 1817 przyłączono do nowo założonego Uniwersytetu Królewsko - Warszawskiego. Założyciele nowej szkoły byli też pierwszymi jej profesorami i przez lata całe nauczali w niej, nie pobierając za to żadnego innego wynagrodzenia, oprócz wdzięczności uczniów i zadowolenia, wypływającego z przeświadczenia, że służąc uczciwie krajowi i społeczeństwu, spełniają godnie obowiązki obywatelskie.

Brandt, obdarzony wielkimi zdolnościami pedagogicznymi i umiejący zarówno jasnością wykładu, jako też ojcowską dobrotliwością porywać słuchaczy, wykladał anatomię teoretyczną, medycynę sądową, policję lekarską, naukę o opatrunkach i weterynaryę, nadto przewodniczył ćwiczeniom położniczym, oraz wspólnie z Czekierskim prowadził klinikę położniczą.

Podjąwszy się wykładu anatomii, a widząc brak odpowiednich i dość dokładnych podręczników w języku ojczystym, pomimo aż nader licznych innych zajęć obowiązkowych, zabrał się do zaradzenia temu, i poświęcając na to chwile, wypoczynkowi właściwie przeznaczone, od r. 1810 do 1816 opracował dzieło pięciotomowe, całą

naukę o anatomii obejmujące, przez co się przysłużył niezmiernie uczącej się młodzieży.

W r. 1818 opuścił katedrę uniwersytecką, nie ustając wszelako ani w pracach naukowych, ani też w świadczeniu usług społecznych. Królewskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, uznając zasługi naukowe i obywatelskie Brandta już w r. 1815 wybrało go na członka swego. Zaszczycił ten umiał wprawdzie ocenić należycie, ale widząc, że w uczonej gromadzie, zajętej zagadnieniami wielorakimi, nauka, której sam był przedstawicielem, nie mogła liczyć na uwzględnienie dostatecznie rozległe, powziął wraz z kilkoma kolegami myśl założenia naukowego towarzystwa lekarskiego. Myśl tę, popieraną głównie przez przyjaciół swych, Czekierskiego i Wolffa, niebawem w czyn zamienił. W grudniu r. 1820 zawiązało się Towarzystwo Lekarskie Warszawskie, a w dniu 10 kwietnia roku następnego Książę Namiestnik Królewski ustawę jego zatwierdził. Brandt, który bardzo usilnie nad rozwojem naukowym towarzystwa pracował w latach 1824—1830 był jego wiceprezesem, a po usunięciu się w zacisze wiejskie pierwszego prezesa A. Wolffa, zajął z wyboru kolegów jego miejsce i do r. 1837 corocznie powoływany ponownie, na niem pozostawał.

W r. 1824 w nagrodę licznych zasług swych publicznych, z łaski monarszej zaszczycony został szlachectwem dziedzicznym, z nadaniem herbu «Przysługa».

Jako prezes Rady lekarskiej stanął w r. 1831 na czele komitetu, mającego podjąć walkę z cholera, wtedy jak wiadomo, poraż pierwszy kraj nasz nawiedzając i rozwiniął przytem działalność bardzo chwalebna.

Ostatnie lat kilka spracowanego żywota spędził w zaciszu domowym, oddany spełnianiu obowiązków lekarza i wychowaniu dorastających trojga dzieci, które obdarzyła go poślubiona w r. 1811 córka dobrodzieja i przyjaciela jego

F. Spaetha. Dom jego gościnnie otwarty dla przyjaciół, mogących zawsze liczyć nie tylko na zdrową i rozumną radę, ale i na pomoc czynną zanego gospodarza, zgromadzał przez długi czas liczne grono uczonych, starszych i młodszych, znajdujących w nim zawsze miłą rozrywkę i pouczającą rozmowę.

Błogi i spokojny ten wieczór życia przerwało Brandtowi ponowne zjawienie się cholery. Jako obeznany z nią z lat dawniejszych i doświadczony bojownik, powołany został do zwalczania zarazy. Poruczono mu urządzenie szpitali cholerycznych i w ogóle całej służby zdrowia, przeznaczonej do stłumienia groźnego niebezpieczeństwa. Pomimo wieku już podeszłego i sił pracą długoletnią stępanych, stanął na wezwanie i wiedziony poczuciem obowiązku i gotowością służenia współobywatelom, z zapalem młodzieńczym zabrał się do dzieła; widocznie jednak czynność ta nurząca na ustrój jego wrażliwy i trzydziestokilkuletnią służbę publiczną skołatany zły wpływ wywarła. Wśród zajęć gorączkowego umarł nagle, rażony apopleksją w dniu 21 września r. 1837, w sześćdziesiątym pierwszym roku życia, szczerze opłakiwany przez licznych przyjaciół i liczniejszych jeszcze biedaków, których był dobrodziejem i opiekunem.

A. Helbich zakończy żywot Brandta słowami następującymi: «Wszystko, co zdobi lekarza i obywatela, miał Brandt zespolone w sobie: moralny w życiu, niezmordowany w pracy, przykładny małżonek i ojciec, wzorowy nauczyciel, dobrodzieja ubóstwa, pocieszyciel nieszczęśliwych, a w nagrodę cnót i zalet (zdobył) miłość bliźnich, szacunek wyższych i poważanie uczonych.» Zaiste! godną czci jest pamięć męża tego, który w zaraniu życia wyrwany z głębin zepsucia i nędzy, umiał sobie w latach późniejszych zasłużyć na taką pochwałę pośmiertną, na prawdzie szczerzej, nie na pochlebstwie opartą.

Dr. med. Józef Peszke.



Antoni Brodowski.

* 1784 † 1832.

Nie miała sztuka malarska polska dotąd rysownika tak poprawnego i wybor- nego, jakim był Antoni Brodowski. Chwila, w której uczył się i pracował, sprzyjała wprawdzie kierunkowi, biorącemu sobie za zadanie otrząsnąć malarstwo z manieryzmu i niedouczoneści, atoli dobra sposobność była na usługi wszystkich, a skorzystali z niej tylko utalentowani, prawdę i pracę miłujący. Do takich należał Brodowski. Wykształcenie ogólne dało umysłowi jasność poglądu i krytycyzm pomiarowany, a stąd podporę do rozumnego zużytkowania wrodzonej zdolności. Nielatwo i nieszybko rozwijała się ta zdolność, ale za to głęboko i zasadnie.

Odbicie tej pracy spotykamy w rozprawie Brodowskiego z czasu, kiedy był profesorem malarstwa na wydziale sztuk pięknych przy Uniwersytecie Warszawskim: mówiąc tam o studiach

zwłaszcza malarza z natury, powiada, iż «stają się dlań nieprzebranym źródłem, w którym czerpie nieoceniony zasób postrzeżeń, stanowiący przyszłe bogactwo jego, tem szacowniejsze, im więcej pracy, wysień i czasu kosztowały.»

Dwa razy nawiedzał Paryż w tym celu, pierwszy raz w r. 1805 rozpoczął naukę malarstwa miniaturowego pod Augustinem, a drugi raz w r. 1809 wysłany przez izbę edukacyjną już na specjalną naukę malarstwa pod kierunkiem słynnego Girarda, odbył w ciągu lat pięciu gruntowne studia akademickie malarstwa figurowego historycznego. Skończona umiejętność zaleca też wszystkie prace Brodowskiego. Na obrazy jego patrzy się z tym miłym spokojem, z jakim słuchamy dobrego wirtuoza, pewni niezachwianej czystości jego intonacji.

W niewielkiej liczbie prac, dokonanych w ciągu dwudziestokilkuletniej ka-



Podług portretu własnoręcznego.

Antoni Brodowski
Profesor w Kr. War.
Uniwersytecie!

ryery artystycznej, bo w czterech obrazach i czterdziestu kilku portretach stale spotykamy się z temi pierwszorzędnymi zaletami, z rysunkiem pewnym i poprawnym, z kolorytem jasnym, świetniejącym barwami obecnie, w pięćdziesiąt lat po śmierci autora, tak, jakby ledwie lat kilka temu były na płótno położone.

Największy obraz Brodowskiego (5 łokci wysokości a 6 łokci i 16 cali długi), przedstawiający Saula, zrywającego się z oszczepem na Dawida, złożony jest z czterech figur naturalnej wielkości o układzie prostym a bardzo naturalnym. Rysunek postaci nieposzlakowanej doskonałości, a koloryt jasny zalecają to malowidło, nagrodzone na wystawie w r. 1819 medalem złotym. Drugi—mniejszy, złożony z dwóch figur naturalnej wielkości, to Edyp oślepiiony i Antygona. Ten obraz nie dorównywa poprzedzającemu ani w sile rysunku, ani w prawdzie kolorytu. Ostatni przedstawia wręczenie przez Cesarza Aleksandra I Rektorowi Szwajkowskiemu dyplomu nadawczego Uniwersytetu Warszawskiego (r. 1816). Jest to zbiór portretów w całych figurach, złożony z postaci osób niewielu, jak ministrów, Stanisława Potockiego i St. Staszica i kilku profesorów uniwersytetu.

Szereg portretów składa się z wizerunków rodziny Krasińskich i Mostowskich—do najciekawszych należy dwa razy powtórzony Juliana Ursyna Niemcewicza. Rastawiecki w *Słowniku malarzów polskich* wymienia wszystkie, a w ich liczbie dwa własne Brodowskiego.

Obowiązki nauczycielskie pełnił Brodowski z gorliwością istotną, a znajomością rzeczy zasadną—jak o tem świadczy mowa, którą czytał w r. 1824 na posiedzeniu publicznym Uniwersytetu a zawierająca cały programat nauczania. Obdarzony niezwykle zdolnościami umysłu, w sztuce wyrobiony zasadnie pracą niemałą, mógł wiedzieć i wiedział, że z kandydatów do zawodu malarskiego przedewszystkiem wybierać należy takich młodzieńców, którzyby «oprócz usposobień artystycznych, dobrego wychowania i zalet moralnych, które ostatnie zawsze są rę-

kojmią postępów ucznia, nie byli pozbawieni darów przyrodzenia fizycznych: bystrego oka, ręki pewnej i wiernej pamięci lokalnej!...»

Wiedział też i twierdził na podstawie praktyki najlepszej podówczas Akademii Paryskiej Sztuk Pięknych, że na profesorów z liczby członków akademii sztuk pięknych «wybór padać ma wyłącznie na artystów, którzy się dali poznać oryginalnymi kompozycjami historycznymi.» Miłość sztuki i miłość uczniów rozciągał Brodowski po za szkołę, po za gruntowną naukę, po za gorące zachęty do wytrwania w umiłowanym zawodzie, po za życzenia wyrażone w wspomnianej mowie w słowach końcowych: «czemuż i u nas nie mają zajaśnieć piękne dni sztuk nadobnych?», staraniami o wyjednanie uczniom możliwości odpowiedniego popisu w zdobieniu monumentalnych budowli pracami artystycznymi.

Wykształcenie ogólne i zdolności sprawiły, że Brodowski pełnił obowiązki jako urzędnik Komisji Sprawiedliwości, a następnie w Komisji Spraw Wewnętrznych przy ministrze Mostowskim dawał dowody «gruntownej nauki, umysłu objętego i wielkiej w językach biegłości,» które otwierały mu drogę do wywyższenia się, lubo odrywały od niemniej świetnych w sztuce malarzkiej prac. «W pożyciu łączył rzadkie przymioty duszy z łagodnością i obejściem, cechującym człowieka wyższego. Szczególną własnością jego było, iż rysował ręką prawą, a malował zawsze lewą.»

Oto najważniejsze daty biograficzne. Pochodził z starożytnego rodu szlacheckiego herbu Łada, osiedlonego już w wieku XVI w Ciechanowskiem—urodził się w Warszawie w r. 1784, w r. 1819 został profesorem malarstwa, w 1822 członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Umarł po długotrwałych cierpieniach d. 31 marca 1832 r. Miał dwóch synów artystów malarzy: Tadeusza, zmarłego w 1849 roku, i Józefa, żyjącego. Z uczniów Brodowskiego jeden tylko odznaczył się Rafał Hadziewicz, lubo zasad mistrza w dalszy byt sztuki polskiej nie wprowadził.

Wojciech Gerson.

Księżna Marya Wirtemberska.

* 1768 † 1854.

Jeżeli komu los zdawał się wróżyć szczęście od samej kolebki, to bezwątpienia || dej księżniczki popłynie równo, niezamącone żadną troską.

księżniczce Maryi Czartoryskiej, urodzonej w dniu 15 marca 1768 r. z ojca Adama Kazimierza, generała ziem podolskich i Izabelli z Flemingów. Nietylko ród świetny, koligacye, ogromne dostatki, wysokie wpływowe stanowisko, jakie ojciec w Rzplitej zajmował, lecz i osobiste przymioty, jak piękność niemal klasyczna, wdzięk wrodzony, podniesiony starannem wychowaniem, niepospolite zalety serca i umysłu rozwinięte przez edukacyę i otoczenie, na które składał się sam wybór ludzi głośnych naówczas w kraju, — wszystko to, mówię, dawało rękojmię, iż życie mło-



Podług portretu ze zbiorów A. Kraushara.

Maria Wirttemberg

Ks. Marya Czartoryska, po zgonie starszej siostry, Teresy, która w 1780 r. wskutek zajęcia się na niej sukni balowej zgorzała w płomieniach, była najstarszem dzieckiem w rodzinie. Brat jej bowiem Adam przyszedł na świat w r. 1770, po nim dopiero Konstanty i Zofia powiększyli grono rodzinne.

Wykształcenie księżniczki było w gruncie francuskie, lecz bynajmniej niepowierzchowne, jak większości panien ówczesnych. Ojciec jej bowiem miał wysokie pojęcie o znaczeniu w społeczeństwie kobiety, jako córki, żony i matki — wychowawczyń przy-

szłych pokoleń i w jednym z *Listów Doświadczynskiego* w r. 1783 wydanych, wypowiedział głębokie myśli o wychowaniu i rozwijaniu wrodzonych jej zdolności. Wkładając na ojców obowiązek kierowania edukacją i surowo karcąc tych, którzy cały ciężar wychowania na barki matek składali, nie mógł pod tym względem zaniedbywać własnych dzieci i sam układał programy nauk dla synów i córki, oraz czuwał nad wyborem osób, którym ich wychowanie powierzał. W tych usiłowaniach wspierała go dzielnie światła, a przezeń kierowana małżonka. To też oprócz ochmistrzyń cudzoziemek i metrów, pod których przewodnictwem księżniczka zdobywała znajomość języka i literatury francuskiej, oraz rozwijała muzykalny swój talent, niemniejszy. kładziono tu nacisk na znajomość rzeczy krajowych. Tak wiemy, iż z Franciszkiem Karpińskim dla zdobycia wprawy piśmiennej w mowie ojczystej tłumaczyła „Ogrody” Delilla. Tylko nie w Puławach, jak to zwykle jedni za drugimi podają, lecz w Warszawie, w pałacu Błękitnym, gdyż za pierwszą bytnością Karpińskiego w stolicy (1780—1783), miejscowość ta nie była jeszcze rezydencją książęcą. Teraz ulubionem zamiejskim siedliskiem księżny były Powązki, tyle przez Trembeckiego sławione.

Wiedząc nadto, jak współzawodnictwo ważną rolę w edukacji odgrywa, starali się oboje księstwo utrzymywać do towarzystwa na swym dworze młodzież żeńską dla córki, oraz męską dla synów. Tak ze zmarłą księżniczką Teresą, a następnie z Maryą pobierały wspólnie nauki naprzód w Warszawie, a potem w Puławach dwie panny Narbuttówny: Aleksandra i Konstancja. Do tej pory wszakże wpływ szerszego otoczenia nie mógł oddziaływać na umysł młodociany księżniczki. Śmierć jej siostry, Teresy, na długo bowiem okryła dom żałobą. Jeżeli książę otwierał dla swych przyjaciół salony, to księżna nieutulona w żalu, zupełnie odsunęła się od świata. W takim samem odosobnieniu pod okiem ochmistrzyni, oraz w towarzystwie dwóch sióstr Narbuttównie upływało życie księżniczce, nie bez wpływu na urobienie charakteru i nadania myślom poważniejszego kierunku.

Tymczasem przygotowywały się wypadki, mające ciężko w życiu jej młodocianem zaważyć. W r. 1782 umarł jej dziad ks. August, wojewoda ruski. Z śmiercią jego, ks. generał podwójną

otrzymał po nim spuściznę: ogromne dobra i niechęć do króla, który się zupełnie z pod wpływu rodziny usunął. Olbrzymia ta po ojcu odziedziczona fortuna, w połączeniu z dobrami Flemingów, wniesionemi przez żonę, stawiała księcia w rzędzie najpotężniejszych możnowładców w Rzplitej i dawała możność skupienia około siebie potężnego stronnictwa. Nie mogąc się godzić na politykę króla, Czartoryski zamierzył mieć swą własną i własną także stolicę, jak Poniatowski w Warszawie.

Na stałą rezydencję wybrano Puławy, gdzie wznosił się dawny zamek Sieniawskich, który należało tylko na pałac nowoczesny przerobić. Do tej siedziby około r. 1783 przeniosła się z Warszawy cała rodzina książęca, oraz ci wszyscy, którzy zaliczali się do stałych jej domowników. Do nich należał i Franciszek Dyonizy Kniaźnin, który od r. 1774 przy księciu obowiązków sekretarza sprawował. Był to niepośledniej miary poeta, z wysokim artystycznym poczuciem. Jeżeli talent jego nie zdobył szerszego polotu i głębi, winą to narzucanych mu przez księżnę prac poetycznych, które jedynie miały na celu uświetnienie festynów puławskich. W utworach wszakże w których mógł iść za własnem natchnieniem, okazuje się rzeczywistym poetą, trafiającym niekiedy na drogę, na jaką poezja u nas wstąpiła w pierwszej ćwierci XIX stulecia. Jego *Babia góra* (Oda XIV, ks. III) zarówno tokiem wiersza, jak i treścią zapowiada Mickiewiczowskie ballady; jego utwory dramatyczne, jak *Cyganie*, *Troiste wesela*, *Marynki* i *Julinki*, lubo zmanierowane, dają mu prawo do miana ludowego poety.

W chwili, gdy Czartoryscy osiedlili się w Puławach, Kniaźnin więcej nad lat 33 nie liczył. O nim to historycy literatury wygłaszają, «iż nieszczęścia krajowe i miłość zbyt śmiała i niebaczna», przyprawiły go o pomieszenie umysłu. Że przedmiotem jego miłości była księżniczka, to powszechnie wiadomo, ale żeby miłość ta była wzajemną, to nawet Dr. Piotr Chmielowski w studium o księżnie Wirtemberskiej (ob. Autorki polskie w. XIX) za niemożliwe uznaje.

Tymczasem Aër (Adam Rzążewski) w utworze zatytułowanym: *Pierwszy romantyk*, drukowanym w Przeglądzie polskim, sprawę tę w zupełnie innem oświeceniu przedstawia. Wprawdzie pracę tę może kto za poetyczną fikcję, nie za

poważne studium literackie uznawać; zważmy jednak, że jako wydawca Pamiętników Leona Dembowskiego pozostawał z ks. Władysławem Czartoryskim w bliskich literackich stosunkach; czy to więc w tradycjach, czy w archiwach rodzinnych książąt musiał natrafić na jakieś wskazówki, skoro o wzajemności księżniczki dla Książnina ośmielił się mówić publicznie. Faktem jest, że tak samo jak Karpiński, udzielał Książnin księżniczce lekcji literatury i historii. Było więc pomiędzy nimi pewne zbliżenie. Ale więcej, niż stolica, sprzyjały temu Puławy, zwłaszcza zima z r. 1783 na 1784. W ciągu niej bowiem oboje księstwo wyjechali na czas dłuższy do Warszawy, czy też do drugiej rezydencji w Sieniawie, pozostawiając dzieci pod opieką ochmistrzyni pani Petit. Długie jednak wieczory, w braku innych rozrywek, należało zapelnąć, zając czemś liczne grono dorastającej młodzieży. Otóż świeży wynalazek balonu, dokonany przez Montgolfiera i puszczenie go w powietrze w d. 26 sierpnia 1783 r. na Polu Marsowem w Paryżu, o czem szeroko rozpisywały się gazety, zrodził myśl w tem młodem gronie zrobienia podobnego doświadczenia w Puławach. Zawiązano więc towarzystwo balonowe, w którego skład weszły następujące osoby: piętnastoletnia ks. Marya Czartoryska, jako przewodnicząca; Marya Przebendowska, starościanka solecka, czasowo bawiąca w Puławach, dwie siostry Narbuttówny, z których Konstancja miała balon malowidłami ozdabiać, pani Petit, 14-letni ks. Adam, jenerałowicz, ks. Franciszek Sapieha, towarzysz jego w naukach, 9-cio letni ks. Konstanty, sprawujący urząd woźnego, który często na tych posiedzeniach zasypiał, dalej pułkownik Stanisław Ciesielski, major Józef Orłowski, Piotr Borzęcki, sekretarz księcia, Ludwik d'Auvigny guwerner książąt, Wincenty Lessel, metr muzyki, Wawrzyniec Schmuk doktor nadworny, wreszcie Szymon L'huillier, uczony matematyk, sprowadzony przez ks. jenerała na nauczyciela do synów z Genewy. Był on znany w Europie z różnych prac naukowych, a szczególnie z rozprawy *De cellulis apum*, w której zajmował się uzasadnieniem matematycznie - prawidłowej budowy komórek w plastrze miodu. On też głównie czuwał nad budową planu i nadał mu formę dodekaëdru, czyli bryły dwunastościennej.

Poeta w tych zajęciach nie brał czynnego udziału, ale bywał na posiedzeniach młodego gro-

na, «do którego był przyjęty, jak niegdyś Orfeusz do żeglugi Argonautów,» i miał tym pracom poświęcić całypoeam at. Ale służyć płci pięknej, być gotowym na każde jej skinienie, było także w obyczaju wieku i puławskiego dworu. Nawet wyraźnie składane hołdy przez Książnina księżniczce nie zadziwiłyby tu nikogo. Należały się jej bowiem, jako najstarszej córce rodu, którego początek od Gedymina się wywodził. Pod pozorami też galanterii zawiązywał się ten nieuchwytny, sympatyczny węzeł pomiędzy dwoma sercami, które później nieubłagana rzeczywistość rozciąć miała w sposób tak dla obojga bolesny. Młodziutka księżniczka nie zdawała sobie bezwątpienia sprawy z budzącego się w jej sercu uczucia, ale to miało w niej grunt dostatecznie przygotowany, by się roznieciło płomieniem. Wszak od dziecka rozwijano w niej *tkliwość*, jako jeden z najpiękniejszych kobiecej duszy przymiotów; w dziejach, czego pełno śladów w Malwinie, wystawiano jej czasy rycerskie, jako wzór wszystkich cnót i doskonałości, jako epokę, która wydawała nie tylko Arturów, Godfredów, Bayardów, lecz i pœtów, opiewających czyny bohaterskie i piękność i stałość dam, które ich miłością darzyły. Co dziwnego, że Książnin tak ujmującej postaci przedstawiał się jej wyobraźni, jako nowożytny trubadur, który jak teraz opiewał chwałę jej rodu, tak później miał opiewać wypadki, o których marzyła i do których tak żywo biło młode jej serce. Dodajmy wspólność ideałów, usposobienie sentymentalno-sielankowe i wyższe w obojgu nad pospolitość przymioty duszy i serca, a zrozumiemy, że księżniczka zapomnieć mogła o tej nieprzebytej zaporze, jaką oddzielało ją urodzenie od umiłowanego trubadura-poety!

Ale czy poeta mógł jej złudzenia podzielać? Nie, on się chyba nie łudził. W każdym razie walczył z ogarniającem go uczuciem. Przynajmniej ślady tego widzimy w Odzie I, ks. II. Tylko o tej walce wyraża się oględnie, jakby się lękał, by go papier nie zdradził. A przecież mimowoli się zdradzał!

Nie zna nikt mojej rany,
Którą łzami goję;
Na swe nawet *tyrany*
Oświadczyć się boję.

Rozumie się tymi tyranami—to oczy księżniczki.

Otóż, wobec nich walka była niemożliwa, zwłaszcza że każdy dzień do rozkwitających jej wdzięków, nowy jakiś powab, nowy urok dodawał.

Tymczasem puszczono balon, poczem księżniczka rozdawała nagrody wszystkim budownikom jego. Książnin, otrzymawszy z jej rąk lirę i wieniec laurowy, takim się uniósł zapalem, że napisał ognistą ode, w której oczy księżniczki na niebie obok włosów Bereniki umieścił (ob. Gała wielka, t. II, 171, wyd. 1787 r.) Tak zeszła zima i wiosna 1784 r. Aż na raz pomiędzy odwiedzającymi Puławy zjawiała się osobistość, która w to życie, płynące rozkoszną sielanką, miała straszny rozdzźwięk wprowadzić. Osobistością tą był Ludwik ks. Wirtemberski, idący z panującego domu i związany pokrewieństwem z najpierwszemi w Europie koronowanemi głowami. Obecnie pozostawał w armii pruskiej i przybył do Puław z żądaniem ręki ks. Maryi Czartoryskiej. Widocznie z tem małżeństwem stary król, Fryderyk II, łączył daleko sięgające widoki. Przez ks. generała, jako głowę licznego stronnictwa, chciał zdobyć wpływ na sprawę kraju i wyzyskać go dla własnej polityki. Dla Czartoryskich związek ten przedstawiał wielkie korzyści. Rozdwojeni z Poniatowskim znajdowali w nim silny punkt oparcia i polityce króla mogli w przyszłości przeciwstawić przymierze pruskie, które odrazu jako następstwo tego małżeństwa nasunęło się ich myśli. Ale można sobie wyobrazić, jakie wrażenie na księżniczce wywarło to postanowienie rodziców. Już sama osobistość niemieckiego księcia, była dla niej wstrętną nad wszelki wyraz; coż dopiero, gdy jego wystąpienie w roli konkurenta raniło ją najboleśniej w osobistych uczuciach, stawało napoprzek skłonnościom serca, burzyło to ciche szczęście, któremu przybytek wzniosła w tajniach swej duszy! Ale energiczna pra-pra-wnuka Gedymina, postanowiła bronić do upadłego praw swego serca i za nic nie przyjmować na siebie roli ofiary politycznej rachuby. Oświadczyła więc rodzicom stanowczo, że ponieważ zrobiła postanowienie nigdy nie wyjść za mąż, przeto nie może oddać ręki niemieckiemu księciu.

Opór córki, posłusznej dotąd na każde skinienie, nasunął im domysł, że serce jej było już kimś zajęte. W jej bowiem wieku i położeniu podobne postanowienie było nienaturalne i z jej usposobieniem niezgodne. Należało się więc do badać prawdy. I oto

według świadectwa Aëra, przyparta do muru księżniczka, a zanadto szlachetna i dumna, by się miała kłamstwem poniżać, wyznała matce do Książnina swą miłość. I tu znowu musimy zrobić uwagę, że w innym domu, los śmiałka, któryby się odważył tak wysoko sięgać uczuciem i tak plątał wszystkie, najwyższej wagi zamysły, byłby nie do pozazdroszczenia, jak tego w dziejach mieliśmy tyle przykładów. Ale Czartoryscy zanadto byli rozumni i, mając pewność, że między Książninem a córką nigdy do wyznania nie przyszło, zamiast wypędzeniem go z domu nadawać rozgłos sprawie, o której nikt nie wiedział, ani się jej domyślał, pozostawili go na stronie, a natomiast wywarli cały nacisk na córkę. Nie robiąc jej wyrzutów, że mogła o swem urodzeniu i stanowisku zapomnieć, ani poniżając w jej oczach Książnina, odsłonili przed nią swe polityczne widoki, których urzeczywistnienie przez jej zameęcie mogło przynieść szczęście krajowi. Dla jego więc dobra powinna, jak niegdyś Jadwiga, zrobić z własnych uczuć ofiarę. To znaczyło właśnie trafić w usposobienie księżniczki. Ale jakkolwiek była zdolną do najwyższych poświęceń, przecież serce ostrzegало ją instynktownie, że ta ofiara jej z siebie pójdzie na marne. Więc jeszcze jeden krok stanowczy postanowiła uczynić: odwołać się do uczuć szlachetnych ks. Ludwika i skłonić go, by od swego zamiaru odstąpił. Gdzie się ta rozprawa odbyła? nie wiemy; Aër twierdzi, że księżniczka bez wiedzy rodziców udała się do jego apartamentów. W każdym razie krok ten z jej strony jest faktem historycznym, którego echo odbiło się w późniejszym jej utworze—w Malwinie. Tylko ks. Ludwik dalekim był od tych uczuć rycerskich, jakie mu przypisywała. Na jej bowiem oświadczenie, «iż wprzód, nim ostatnie słowo wyrzeczę, winna mu wyznać całą prawdę, iż nie czuję do niego żadnego przywiązania i że jedynie odda mu rękę pod przymusem, spełniając wolę rodziców; on z najzimniejszą krwią jej odpowiedział, że mu to wszystko jedno, gdyż skoro żoną jego zostanie, przywyknie do niego i znajdzie szczęście w spełnianiu swych obowiązków.» Wobec tego, nie pozostawało upokorzonej, jak zrobić z siebie ofiarę. Wkrótce też, mając lat 16 za ledwie, wyszła za niego, tę jedyną mając osłodę, że jej dano za towarzyszkę pannę Konstancję Narbuttównę, która przez cały rok przy niej

bawiła, naprzód w Berlinie, następnie w Belgarde, gdzie książę stał załogą, w końcu w Treptau, w Pomeranii, majątku jej małżonka. A Książnin?... On niedość, że z nią wszystkie ułudy życia utracił, ale jeszcze musiał najstaranniej swój ból serdeczny ukrywać, układać oblicze odpowiednio do weselnego nastroju, nie mogąc nawet papierowi powierzać uczuć, które jego duszą targaly. Natomiast trzeba było przyczyniać się do uświetnienia weselnego obchodu i od koła panińskiego pisać wiersz, żegnający księżniczkę. W nim wszystko jest fałszem, poczynawszy od wyrażenia, że ją miłość z ich koła «wyprasza,» do czulej roli ks. Ludwika, który tu występuje pod imieniem Lindora. Jedyłą prawdą w tej odzie, to przyspiew (refrain), kończący każdą zwrotkę: «Już Amarylla nie nasza!» Poeta za każdym jego powtórzeniem, zapewne w samotności rzewnymi zalewał się łzami. Niedość na tem, musiał jeszcze pisać poemat aż w trzech pieśniach: *Rozmaryn*, na wieńiec ślubny księżniczki. I tu także poeta wynosi pod niebiosą czułość i szlachetność Lindora, który zaledwie obaczył Amaryllę, «westchnął i zginął!» Rozumie się, iż tego poeta sam z siebie nie pisał, lecz spełniał wolę księżny-matki, która się nad nim w ten sposób znęcała, iż śmiała podnieść oczy na córkę. Jedyne prace, odpowiadające obecnemu stanowi jego duszy, były przekłady pieśni Ossyana, *Dwie gałązki* (Oda XXI, ks. IV), w której alegorycznie skreślił dzieje swej miłości, wreszcie *Balon*, poemat w 10 pieśniach, w którym ożywiał się wspomnieniami chwil szczęśliwie przeżytych.

Do tych chwil zapewne nieraz i ks. Wirtemberska wracała, gdyż jak się łatwo domysleć, nie znalazła szczęścia w przymusowem małżeństwie. Brutalność męża zatruwała jej pożycie i to, co później napisała w Malwinie, jest wiernym obrazem tego, przez co przechodziła w rzeczywistości. «Mąż... ustawicznymi popędliwymi wyrzutami, że go nie kocha, truł młode lata, dnie i godziny wszystkie.» Czy zazdrość jego ściagała się do Książnina? Być może, choć w stosunku do księżny, było jeszcze coś innego. Nam się zdaje, że on padł również ofiarą polityki Fryderyka II. Kazano mu się z Czartoryską ożenić, bo z tego można było jakąś korzyść osiągnąć; małżeństwo to przeto, jak każde przymusowe, stało się dla niego jarzmem nieznośnem i stąd wynikały przeciw żonie objawy złego humoru.

Była przecież chwila, gdy zdawało się, że stosunek ten na lepsze się odmieni. Wskutek nalegania bowiem ks. jenerała, ks. Ludwik uwolniwszy się ze służby pruskiej, przeniósł się około r. 1788 do Polski i tu otrzymał stopień jenerała dywizyi. Wtedy to dla młodego małżeństwa oboje księstwo wznieśli w Puławach, za parkiem dolnym nad łąką prześliczny pałacyk, przypominający Łazienki królewskie. Były to tak zwane Marynki, zbudowane przez Aignera. Z przybyciem też młodej pary, jeszcze bardziej ożywiły się bale, festyny i przedstawienia sztuk Książnina w teatrze miejscowym: *Matki Spartanek*, *Temistoklesa*, *Cyganów*. Nadto w urządzonym pod Golebiem obozie, odbywały się rewie pod komendą ks. Ludwika, na które zjeżdżały całe Puławy; po ich ukończeniu zaś obie księżne przy zaimprovizowanych stołach ugaszczaly oficerów i żołnierzy. Ogólne zadowolenie powiększało i to, że w d. 29 marca 1790 r. zawarto z Prusami traktat odpor-no-zaczepty; tym sposobem ks. jenerał stawał się panem położenia i mógł święcić nad królem swoje tryumfy. Tymczasem złudzenia trwały krótko, i wypadki, następujące szybko po sobie, gotowały mu straszną porażkę. Pierwszą jej zapowiedzią było przejęcie listów ks. Ludwika, z których okazało się, iż ten zawiódł położone w nim zaufanie i na linii bojowej działał według wskazówek, przesłanych mu z Berlina. Wkrótce rozwiały się i nadzieje pokładane w przymierzu. Jedyłą korzyść, jaką osiągnięto z rozbicia, była możność otrzymania rozwodu. Po jego uzyskaniu księżna do rodziców wróciła. Ale do jej duszy nigdy już nie wróciło uczucie szczęścia, którego w zaraniu życia zakosztowała na chwilę. Naprzód majątek jej był zachwiany, następnie mąż, po otrzymaniu rozwodu, odebrał jej syna; wreszcie, gdy, po zniszczeniu Puław, osiadła z matką w Sieniawie, otrzymała wiadomość, iż Książnin zapadł na pomieszanie umysłu. Był to cios nie mniej dla niej bolesny. Czy mogła sobie wyrzucać, iż do tego przyczyniła się sama? Bynajmniej! i biografowie poety, poczynając od Fr. Ksaw. Dmochowskiego, popełniają błąd niezgodny z rzeczywistością. Zapominają, że od ślubu księżny upłynęło lat 10 i że w ciągu tego czasu Książnin niejedno dzieło utworzył, choćby «Matkę Spartanek» i «Temistoklesa.» Zameście jej było dla niego ciosem strasznym, ale na nie zapatrywał się tak samo,

jak ona. Osobiste szczęście złożył na ofiarę wyższej idei. Dusza jego nie mogła przenieść dopiero ostatniego wstrząśnienia i stała się rozbitą harfą, w której się wszystkie struny naraz porwały. Zresztą utrapionemu jego życiu położył koniec r. 1807.

Puławy od r. 1797 zaczęły przybierać nową i, co dziwniejsza, świetniejszą postać, niż ją miały w latach ubiegłych. Przybyło im wiele nowych budynków, z których Dom gotycki i Świątynia Sybilli, wzniesione przez Aignera, stanowiły celniejszą ich ozdobę. Również napływ gości o wiele się tu powiększył. Dla ks. A. Czartoryskiego, który dawny tytuł generała ziem podolskich na godność feldmarszałka wojsk austriackich zamienił, obecnie Wiedeń stał się punktem ciężenia, a ta okoliczność wpłynęła wielce na rozszerzenie jego stosunków. Obok rodów spokrewnionych, lub z Czartoryskimi dawną przyjaźnią związanych, przesunęło się tu jak w kalejdoskopie mnóstwo cudzoziemskich postaci.

Najznamienniejszym wszakże, bo stałym rysem ówczesnych Puław, to zogniskowanie w nich ludzi, nauce lub poezji oddanych. Jan Paweł Woronicz, Grzegorz Piramowicz, Fr. Zabłocki, Kajetan Koźmian, Ernest Groddek, Jan Kruszyński, Ignacy Tański, generał Ludwik Kropiński, wreszcie Julian Ursyn Niemcewicz, z Ameryki przybyły—oto zastęp mężów literaturze oddanych, nie mówiąc o znakomitościach obcych, jak np. pani Krüdener, wslawionej romansem *Walerya*—którzy tu pomiędzy r. 1797 a 1808 bawili.

Księżna Wirtemberska zwykle zimę przepędzała w Wiedniu, na lato zaś zjeżdżała do Puław, gdzie obok pomagania matce w gromadzeniu pamiątek, zajmowała się ludem i przewodniczeniem w zabawach dorastającej w domu jej rodziców młodzieży. Codzienne wszakże obcowanie z tylu znakomitymi mężami, jakich wymieniliśmy powyżej, sprawiło, że umysł jej od natury uposażony hojnie, pomimo zabaw i towarzyskich rozrywek, nie rozpraszał się jak u tylu innych kobiet na fraszki, ale zasilany czytaniem, zdobywał coraz szersze i poważniejsze na życie poglądy. Wreszcie od r. 1809 na zimę osiadała w Warszawie. Pomimo też czterdziestu kilku lat przeżytych, obdarzona bujną wyobraźnią i żywym uczuciem, zabrała się do napisania powieści, która pod pewnym względem ma epokowe w naszej literaturze znaczenie.

Utworem tym jest *Malwina, czyli domysłność serca*, wydana bezimiennie w r. 1816, w dwóch tomikach w Warszawie i do r. 1829 mająca 4 wydania. Pisząc ją, chciała księżna sfrancuziałemu społeczeństwu przypomnieć, «że niema tego rodzaju pisma, do którego język polski nie byłby zdolnym,»—innymi słowy: że w nim można wyrażać jak najtkliwsze uczucia.

Nowością w tej powieści było kunsztowne, acz nie bez naciągów, zawiązanie intrygi, opartej na bliźnięcym podobieństwie dwóch braci, jedno imię noszących, ale umotywowanej dobrze i stąd utrzymującej uwagę czytelnika w napięciu do końca niemal utworu. Takiego węzła nie umiał zadzierzgnąć ani Krasicki w *Doświadczyńskim*, ani Krajewski w swej *Podolance*, *Pani Podczaszynie* i w *Leszku Białym*, wzorowanym na *Telemaku* a tem mniej Jezierski w *Rzepisie*, oraz *Goworku*. To też pomimo nieprawdopodobnych nieraz zawiślań, powieść ta dziś jeszcze może być czytana z zajęciem, tchnie bowiem w szczegółach prawdą, braną wprost z rzeczywistości. Taki opis Krzewina, to najwierniejszy obraz Puław z ich pałacem, festynami, parkiem, łąką wiślaną i całem otoczeniem sielankowem. Co ważniejsza, że autorka umie odczuwać piękność natury i malować ją z wdziękiem i prawdą. Do tego nie był zdolny u nas żaden jeszcze z pisarzy. Również wiernie kreśli obraz ówczesnego społeczeństwa w stolicy. Wprawdzie, podobnie jak Krasicki, zamiast wykończonych wizerunków, daje tylko sylwetki, ale umie w nie włożyć zawsze charakter. Jakże wybornie np. naszkicowała taką wielko-światową jak Doryda kokietkę, albo majora Lisowskiego, pełnego bufoneryi zjadacza serc niewieścich i zawołanego walsera; albo jak zresztą subtelnie umie uwydatnić różnice pomiędzy tak bliźnięco-podobnymi do siebie braćmi jak Melsztyńscy, a którzy przecież zasadniczo różnią się charakterami umotywowanymi różnicą warunków, w jakich upływało ich życie. Wyborna także trzpiotowata Wanda, siostra Malwiny, a już ona sama, występując na plan pierwszy w powieści, traktowana jest najszerzej nie tylko co do charakteryzujących ją rysów zewnętrznie, lecz i pod względem różnych stanów duchowych. Ale prawdziwą galerię typów roztacza autorka przed nami, wprowadzając nas z kwestującą Malwiną do różnych domów warszawskich. Jakież to pyszny typ owego pana,

który anonsującemu ją kamerdynerowi, «że przyszła *tam jedna* po kweście,» odpowiada gniewnie: «Daj mi pokój! Już mi ci ubodzy kością w gardle stanęli!» A kiedy nareszcie dowiaduje się, że kwestarka ładna, wychodzi z gabinetu i z największą galanterią daje 50 dukatów. Albo i owa piękna pani, przymierzająca strój balowy, która prosi Malwiny, jako dobrej znajomej «by za nią dała dukata, gdyż sama nic przy sobie nie ma obecnie.» Rozumie się, z tym dukatem Malwina nie zobaczyła się nigdy. Natomiast, chciałoby się wyczuwać ową dziewczynkę na pensyi, która oddaje swą lalkę «dla biednych dzieci, co *mamów* nie mają,» a przed samą ochmistrzynią pokłonić. To też ta pani nasuwa Malwinie myśl, «że bezpiecznie zaniechaćby można sprowadzania z zagranicy cudzoziemek, by Polki wychowywać, gdyż we własnym kraju znaleźć można niejedną osobę podobną tej zacnej ochmistrzyni.» Jest to arcy zręczne scharakteryzowanie ofiarności klas średnich z ofiarnością wielkopańską.

Autorka nie ogranicza się na tych realistycznych wizerunkach, lecz z większą jeszcze lubością kreśli obrazy scen miłosnych przy blasku księżyca, rycerskich turniejów, fet z siurpryzami, które były dla niej chlebem powszednim w Puławach, a wszystko to zabarwia sielankowo-sentymentalnym kolorytem, który był całemu społeczeństwu właściwy. Nieodrodna zresztą córka swej matki, ukochawszy lud i zajmując się jego losem, nie zapominała i w «Malwinie» o jego przedstawicielach i wprowadziła do niej starą Somorkową z Krzewina wraz z wnuczką Julisją, młynarkę z Zienkowa i starego Dżegę, cygana. Szczególniej dwoje ostatnich odgrywają ważną rolę w losach braci Melsztyńskich. Ale ten Dżega jeszcze coś więcej nasuwa, bo «Cyganów» Książnina! Czyżby zapożyczenie z nich tego imienia było tylko prostym przypadkiem lub brakiem wynalazczości? Nie, w tem się coś innego ukrywa. Było to potrzebą serca kochającego, które w inny sposób nie mogło złożyć hołdu zmarłemu. Ona tym szczególnie chciała pamiętać Książnina nazawsze z swym utworem połączyć, boć każdy, czytając «Malwinę,» musiał sobie uprzytomnić Dżegę z «Cyganów.» I jeszcze jedna uwaga! Czy to także przypadek, że, zerwawszy nienawistny sobie związek, nikomu nie oddaje swej ręki? Przecież była jeszcze młoda, piękna i za łez tyle wylanych w pożyciu z na-

rzucenym jej mężem, miała prawo do szczęścia. Tymczasem, oświadcza się o jej rękę ks. Eustachy Sanguszko, ona mu jej z podziwem wszystkich odmawia. Ten sam los wielu innych spotyka. Czyżby jej żal było stracić nabytego nazwiska? Ależ ono ciężkiem na niej zaważyło brzemieniem. A więc to z jej strony jest poślibienie się pamięci zmarłego, którego jedynie w swoim życiu kochała, spełnienie postanowienia, którego nie mogła wykonać, gdy jeszcze nie rozporządzała swym losem. Rycersko-sentymentalne usposobienie księżny aż nadto upoważnia do tego przypuszczenia i zarazem stawia ją w oczach naszych w niezwykle idealnym uroku. Jeżeli też «Malwina» jako obraz towarzyskiego życia w Warszawie pomiędzy r. 1809—1815 ma dla nas historyczne znaczenie, to niemniej budzi zajęcie, jako wierne odbicie duszy autorki, która w niej śmiało w obronie praw niewieściego serca pióro, swoje skruszyła. Wszak je Malwina Ludomirowi oddaje, nie pytając ani o jego pochodzenie ani o nazwisko, co nawet powszechny na autorkę ściągnęło zarzut. Ale dla Malwiny dość, że Ludomir dowiódł swej *szlachetności* czynem, wynosząc z narażeniem życia własnego z palącej się chaty dziecko wieśniacze, więc za ten czyn miała go prawo pokochać. Ten Ludomir też stanowi wyborny *pendant* do Książnina. W nim autorka również uznawała wysoce szlachetną naturę poety i pozostała wierna jego pamięci.

O wrażeniu, jakie na współczesnych wywarła «Malwina», świadczy przedewszystkiem jej rozbiór przez męża takiej naukowej, jak Jan Śniadecki, powagi, który choć nie cierpiał romansów, jako fikcyi psujących obyczaje, a przecież utwór ten do czytania własnej synowicy Zofii, późniejszej Bałińskiej, zalecił. Nie ukrywa on wcale słabych stron tej powieści, owszem wytyka w niej błędy zarówno w kompozycji, jak i języku; ale obok tego podnosi jej zalety, ze względu, że jest całkiem narodową, że mówi o familiach, miejscach, zdarzeniach, towarzystwach wyższego rzędu i o obyczajach polskich (Dziennik wileński, luty 1816. List stryja do synowicy). Również wysokie jej znaczenie podniesiono w *Pamiętniku*, wydawanym przez Feliksa Bentkowskiego, co przy słabo rozwiniętej naówczas krytyce, znaczyło już wiele.

Po wydaniu «Malwiny», ks. Wirtemberska napisała jeszcze 4 powieści ludowe: «Rozyne, czyli

jarmark Ś-tej Małgorzaty w Jeziorowie», «Kula, czyli chłop sumiennego», «Wiejską wieczerzę, czyli traf przez Grzegorza Hoinę dzieciom opowiedziany» i na koniec «Ucieczkę Kasi»—wszystkie na zdarzeniach rzeczywistych osnute i tchnące zdrową moralnością. Po ich napisaniu jednak w r. 1818 nazawsze zamilkła. Zresztą po zgonie ojca w r. 1829 stale przebywała przy matce w Sieniawie, dopiero po jej śmierci w r. 1835 lato spędzała w dobrach swych Wysocku, na zimę zaś wyjeżdżała do Wiednia lub Neapolu. W Wysocku założyła szpital dla chorych, dawała nadto wychowanie córkom szlacheckim i zawsze opiekowała się ludem.

Pod koniec dopiero życia dobroczynność jej przybrała kosmopolityczny charakter. Bawiąc w Genewie, za namową Jezuitów szwajcarskich, oddała do Loretu bransolety, zdobne w solitery, wartujące 100,000 złp., które niegdyś otrzymała w darze od Fryderyka II, oraz kitę dyamentową do kołpaka i szlify, sadzone kamieniami od mundur ojca, które także kilkakroć sto tysięcy złp. kosztowały.

Zmarła w Paryżu 21 października 1854 r., bawiąc przy bracie ks. Adamie, do którego z Wiednia w r. 1848 przybyła.

Roman Plenkiewicz.



Kazimierz Brodziński

* 1791 † 1835.

„Gdybym miał śmiałość, byłbym użytecznym”—powiedział o sobie Brodziński. Przyjmując pierwsze zdanie jako charakterystykę usposobienia człowieka skromnego, nienarzucającego się nikomu, zaprotestować trzeba przeciwko drugiemu, gdyż śpiewak «Wiesława» i autor różnych rozpraw estetycznych położył istotne i wielkie dla literatury i społeczeństwa naszego zasługi.

Nie był twórcą świetnego i wspaniałego zwrotu w twórczości poetyckiej i w całym życiu duchowem narodu, jak Mickiewicz; ale wyśpiewał tyle serdecznych, wzruszających uczuć, wypowiedział tyle rozumnych i trafnych spostrzeżeń, że zarówno miłość jak i szacunek zjednać sobie potrafi u każdego, kto czeni prawdę i ceni szczerość, a jako krytyk literacki, wypowiedział jedną z najważniejszych zasad, wołając: «nie bądźmy echem cudzoziemców.»

Brodziński staje na przejściu od pojęć wieku XVIII, zwanego «oświeconym», do poglądów nowożytnych. Bardzo wiele przekonań swoich wiekowi owemu zawdzięcza; korzy się przed światłem rozumu, potępia fanatyzm, wielbi dążności wolnomularskie, występując przeciwko różnorodnym przesądom i zabobonom, wyśmiewa zarówno pedanterię jak lekkomyślność, zarówno obskurantyzm jak świętoszkostwo, ale obok tego jest szczerze wierzącym chrześcianinem i głęboko czującym człowiekiem. Ani z usposobienia, ani z wychowania nie mógł być suchym racjonalistą. Nosił smętną nutę w duszy swojej, a smutek głębiej przenikał

umysłowość jego, aniżeli radość. Nastroj zaś ogólny potęgował się jednostkowym położeniem biednego sieroty, który przy rzewnem wspomnieniu matki, mającem mu pozostać na życie całe aż do chwil przedzgonnych, musiał długo doświadczać codziennych objawów macoszej niechęci i nienawiści, musiał uciekać nieraz z domu na miejsca odludne, póki go wieśniaczki nie przygarnęły. Na miękkim, tkliwym i rzewnem usposobieniu sieroty nie odcisnęła wprawdzie niesprawiedliwość swego jątrzącego piętna, nie wyzwała uporu, wzdargy, wstrętu do ludzi, bo doświadczył on także dowodów przychylności wśród prostych wioski mieszkańców;—smutek się tylko w duszy młodej zagościł, ale smutek ten nie przeszkadzał widzieć jasno, goryczą nie zatruwał umysłu, jeno struny sercowe rozbudzał i od oschłości obronił młodzieńca.

Urodził się Brodziński 8 marca 1791 roku we wsi Królówce, w obwodzie bocheńskim (w Galicyi), z ojca Jacka i matki Franciszki z Radzikowskich, którą utracił, mając trzy lata. Powtórne ożenienie się ojca dało mu macochę, niecierpiącą go tak, jak i innych dzieci z pierwszego małżeństwa. W izbie czeladnej, na wsi najczęściej przebywał chłopiec, przypatrując się życiu krakowiaków, słuchając ich pieśni i opowiadań, nie zaznając uczucia pieczyoty macierzyńskiej. Brodzińscy mieszkali już wtedy w Lipnicy, stąd do miasteczka, Lipnicy murowanej, było staj kilkanaście. Tu, prawdopodobnie w r. 1797, zaczął Kazimierz uczęszczać do szkoły elementarnej;

w zimie stanowiło to już wyprawę na dzień cały. Szkołka budziła w malcu wstręt, zarówno ze względu na nauczyciela z ogromnym pudrowanym warkoczem, jak na stosunki ze współuczniami, co mu dokuczali jego szlacheckim pochodzeniem. W r. 1800 wysłał go ojciec do szkoły miejskiej, do Tarnowa, gdzie nauka odbywała się w języku niemieckim, prócz katechizmu w klasie pierwszej, wykładanego po polsku. Kazimierz nie rozumiał lekcji, kuł tylko na pamięć prawidła gramatyki niemieckiej. W r. 1803 przeszedł do gimnazjum w temże mieście i złączył się ze starszym bratem, Andrzejem, który zaopiekował się nim gorliwie, pomagając w naukach. W roku następnym pojechał z bratem, udającym się na uniwersytet, do Krakowa i zapisał się do drugiej klasy gimnazjalnej; ale uczył się mało, tylko ćwiczenia łacińskie starannie pisywał. Śmierć ojca zaskoczyła braci w ciągu trwania nauki szkolnej; ażeby wybyć do końca, Andrzej pracą u adwokata zarabiał na utrzymanie.

Cały rok 1805 przebył już to w Rajbrodzie, siedzibie macochy, już to w Wojniczu u stryja, proboszcza. Oddany był sam sobie. Znalazłszy na strychu dużo licznych druków, nabrał wielkiej chęci do czytania i sam pisać wiersze próbował, na wzór brata. Pierwszym jego utworem była elegia na cień matki, pisana «ze łzami w oczach, na oknie, przy świetle księżyca». Kreślił także «pioseneczki miłosne», chociaż do pań był bardzo nieśmiały, naśladował «dumki do żniwiarek śpiewane», układał projekta do «dużych poematów». Sielanki głośnego w swoim czasie Gessnera w tłumaczeniu Chodaniego zajęły go mocno, potem poezye Hallera, które mu brat z niemieckiego przekładał.

Prace te i zajęcia przyczyniły się do uświadomienia mu braków naukowych, zmusiły do rozważań nad sobą, wyrobiły myśl i charakter. Otrzymawszy szczupłą fundusz po ojcu, postanowił kształcić się dalej, zajmując się równocześnie korepetycjami. W r. 1806 wszedł do trzeciej klasy gimnazjalnej w Tarnowie. Czuł potrzebę przyjaciela serdecznego i tkliwego, doznawał czasem zawodu w tej mierze, ale tem się nie zrażał, z bratem, odbywającym studia we Lwowie, utrzymywał korespondencję, wedle jego wskazówek prowadził czytania swoje, przysyłał mu próbki wierszopisarskie; a Andrzej, wydając swoje «Zabawki

wierszem i prozą» (r. 1807-8), pomieścił tu sześć jego poezyjek.

W r. 1808 napisał Kazimierz «Żal na śmierć utonionego przyjaciela», który mu największą przyniósł radość, bo nie tylko uzyskał zań pochwały od kolegów i profesorów, ale i najmiłszy mu macierzyński uścisk matki zmarłego. Zajął się Brodzińskim profesorem wymowy, dając mu do czytania pisma Utza, Wielanda, Hagedorna, Kleista i Goethego. Goethe długo był ulubieńcem Kazimierza, który Kleista «pożerał», a Niemcy zaczął uważać za «kraj poezyi». Nie zaniedbywał jednak literatury polskiej, o ile dzieł jej mógł dostać. W r. 1809 otrzymawszy świeżo wtedy wyszłe, patryotyzmem austriackim prześlgnięte poezye Collina: «Landwehrlieder», przetłumaczył je częściowo; pochwalił te przekłady kapitan obwodowy i obiecał, że w Wiedniu na koszt cesarski w instytucie Terezyańskim dalsze nauki pobierać będzie. Wypadki uchroniły młodego poetę od zaustriaczenia. Ukończywszy gimnazjum tarnowskie, podążył do Krakowa, zajętego już wówczas przez wojska Księstwa Warszawskiego, wstąpił do artylerii w 12-ej kompanii, której kapitanem był przyjaciel jego brata, wielbiciel poezyi i sam poeta, Wincenty Reklewski. Prawdopodobnie, dopóki kompania ta stała w Krakowie, Brodziński uczęszczał jako wolny słuchacz przez półtora roku na wykłady w zreorganizowanym wtedy na nowo uniwersytecie. Poetycki wpływ Reklewskiego, drukującego swe «Pienia wiejskie», oddziaływał na wyrobienie smaku Kazimierza, który napisał niedochowany poemat «O świątyni ś. Salomei», oraz «Wiersz na pożegnanie Krakowianów», drukowany r. 1810.

W wojnie r. 1812 utracił Reklewskiego i sam był raniony, przeleżał kilka miesięcy w Wilnie. Zimą r. 1813 przybył znów do Krakowa jako oficer artylerii. W bitwie pod Lipskiem, dostał się do niewoli pruskiej; wypuszczony, udał się na odpoczynek do ciotki w Sulikowie, ale często nawiedzał też Kraków i parę nowych pieśni, mianowicie: «Wiersz na pogrzeb Księcia Józefa Poniatowskiego» tu drukował. Nie widząc jednak możliwości utrzymania się w podwawelskim grodzie, przeniósł się pod koniec r. 1814 do Warszawy, i tu już w biurach rządowych, już to w dyrekcyi teatru, już to w lekcjach prywatnych szukał zarobku.

Jako wolnomularz znalazł poparcie między innymi w znanym klasyku, Ludwiku Osińskim, mistrzu łoży Izydy; wszedł do grona literackiego i zaczął pomieszczać swoje utwory wierszem i prozą w «Pamiętniku Warszawskim» (od r. 1812). Z początku dawał sielanki, bajki, poezye dydaktyczne (wiele w duchu wolnomularskim), według form zupełnie klasycznych. Powoli dopiero wyższe zadania poezyi uwydatniały się w jego świadomości, a słynne dzieło pani Staël o Niemczech oraz odczyty Augusta Schlegla o poezyi dramatycznej ugruntowały w nim stanowczo prawdziwsze i głębsze na twórczość po-
glądy.

Nie można go wszakże nazywać Janem Chrzycielem naszej poezyi romantycznej. Ma on własne swoje, odrębne stanowisko.

Spokojna i lekliwa jego natura nie lubiła ostrych przeciwieństw, radykalnych przewrotów; stąd też dążyła do pojednania. Wobec zapalonych klasyków utrzymywał, że, chcąc należycie ocenić poezyę jakiegokolwiek narodu, potrzeba zbadać jego usposobienie, uczucie, pojęcie, charakter i zwyczaj, że zatem przykładanie jednej miary do poezyi wszystkich ludów świata jest niedorzecznością. Nie stawał on jako apostoł romantyczności u nas, ale jako tłumacz jej znaczenia i powodzenia w Niemczech i pod tym względem oddawał jej sprawiedliwość wszędzie, gdzie tylko przeciw rozsądkowi i pojęciom «wieku oświeconego» nie wykaczała jaskrawo. Z romantyczności przejął jedno ze znamienych zdań swoich, że «pieśni ludu są źródłem najpiękniejszej poezyi». Gorąco wzywał do hodowania tych «kwiatów zachwycenia», co wyrastają «na równinach słowiańskich»; ale religijność mistyczną, metafizyczne zagłębianie się w tajnie przyrody, uwielbienie dla rycerstwa średniowiecznego, malowanie gwałtownych namiętności, wprowadzanie świata czarów do poezyi nowoczesnej potępiał stanowczo i naśladować Niemców w tym względzie nie raził. Nie był on zwolennikiem ani ścisłego naśladowania Greków i Rzymian, ani niewolniczego wpatrywania się we wzory francuskie. Program miał inny. Rozważając ducha naszej dawnej poezyi, widział wszędzie miarkowanie w uniesieniu, imaginacyę swobodną, nie przerażającą, bez fantastycznych widziadeł, łagodną tklivość, nadzwyczajną prostotę, rolnicze obrazy wiejskości i ro-

dzinnego życia, moralność i skromność obyczajów. Zadaniem poezyi współczesnej powinno być oparcie się na dawniejszej, rozszerzając ją tylko i uzupełniając tymi pierwiastkami, jakich pieśń ludowa i najbliższa bolesna przeszłość narodu dostarczały, pod hasłem: «nie bądźmy echem cudzoziemców». Co do formy, domagał się Brodziński większej niż w klasycyzmie swobody, gdyż przepisy gustu francuskiego są częstokroć formalnością jedynie, której zachowanie może wytworzyć nienagannego w poezyi obywatela, ale za to tamuje mu drogę do rozwinięcia wyższych zdolności; geniusz umie swobodę swoją pogodzić z prawami; mierny talent potrafi tylko ściśle się do nich zastosować. Takie myśli rozwinął Brodziński w rozprawie: «O klasyczności i romantyczności», drukowanej po raz pierwszy w r. 1818. Rozprawa ta zagaiła u nas żywe, a niekiedy namiętne spory o te kierunki literackie.

Sam jej autor, wykonując postawiony przez siebie program, zaczerpnął z owych dwu źródeł, które odświeżyć miały poezyę naszą: z jednego takie utwory, jak: «Żal za językiem polskim», «Legionista», «Pole Raszyńskie», «Pobyt na górach Karpackich», «Powrót z Włoch» i t. p.; z drugiego takie, jak: «Oldyna», «Wiesław», «Czerniaków», «Pieśni rolników». Uczucie spokojne, niehałaśliwa radość, tklivy a łagodny smutek, żart niewinny, reguły praktycznej mądrości, obrazy sielskie, powszednie wypadki życia towarzyskiego, tęsknota za krajem, jasno i promiennie odzwierciadlały mu się w duszy i uidealizowane, uszlachetnione, oczyszczone ze śniedzi pospolitości, zjawiały się w odtworzeniu poetycznym. Brodziński nie zdumiewa ani bogactwem i rozległością wyobraźni, ani głęboką przenikliwością rozumu; ale ujmuje serdecznością, prawdą i szczerotą uczucia, które nigdy nie burzy się i nie pieśni namiętnie, lecz w cichym swoim rozwoju przynosi prawdziwe ukojenie. Ta cecha twórczości nie daje mu prawa do nazwy geniuszu, nie porwie i nie wprawi w zdumienie, ale każe kochać tego, co tak kochać umiał.

Brodziński był także pierwszym naszym prawdziwym historykiem literatury. Kurs swój w uniwersytecie warszawskim rozpoczął r. 1822 i prowadził go do r. 1831. Wykłady jego doszły do nas tylko w formie notat studenckich. Ale i w tym ułomnym stanie wykazują należyte pojmowanie

zadania. • Profesor nie tylko wszystkich znakomitszych poetów i mówców samodzielnie zgłębił i przedstawił, ale nadto wydobył z pyłu niepamięci wielu podrzędnych. Z gruntownością badania łączył zawsze sąd umiarkowany, uwzględniający wszędzie czas powstania utworu, a nigdy nie rządzący się wyłącznym jakimś, zamkniętym w sobie sprawdzianem piękna. Zwracał baczną uwagę na stan oświaty, religii, polityki i obyczajów, gruntując spostrzeżenia swoje na znajomości charakteru narodowego i warunków fizycznych, wśród których naród się rozwijał, wszędzie uwydatniał wpływy cywilizacji i literatur obcych. Wykłady swe doprowadził tylko do r. 1815.

W ocenie romantyzmu, o ile ją z paru artykułów poznać można, Brodziński, uznając wielki talent Mickiewicza, występował przeciwko przesadzie w malowaniu uczuć i naśladownictwu obcych literatur, szczególnie zaś przeciwko dziwacznym pojęciom o zadaniach poezji, jakie młodzi teoretycy romantyczni u nas głosili. Podobnież wysoko cenił Byrona, lecz jego naśladowców, sztucznie w sobie pielęgnujących nienawiść do ludzi i żar nieposkromionych namiętności, wyśmiewał i karmił w rzeczy: «O krytyce», a szczególnie w głośnej rozprawie: «O egzaltacji i entuzjazmie».

Oprócz dziejów literatury polskiej wykładał Brodziński w uniwersytecie, ale tylko przez dwa lata, kurs estetyki, który również przechował się tylko w notatach studenckich. W wykładzie nie zapuszczał się w metafizyczne badania o istocie piękna, jakkolwiek prace estetyków niemieckich znał dobrze i najczęściej z nich korzystał, szło mu o wdrożenie w umysły słuchaczy zasad dobrego smaku i faktycznych wiadomości o sztukach pięknych. Osobno opracował i ogłosił cztery rozprawy estetyczno-krytyczne: «O satyrze», «O elegii», «O idylli pod względem moralnym», «Piękność i wzniosłość».

W r. 1831 na publicznem posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk wypowiedział mowę «O narodowości Polaków». Radził, żeby pielęgnowano miłość, wytrwanie i czujność, strzegąc się ducha stronnictwa, próżnych sporów, wzajemnych obwinień. Pod koniec krótkiego życia ogłosił noworocznik «Jutrzenkę» (1834) i redagował założony w r. 1834 pierwszy u nas obrazkowy tygodnik p. t. «Magazyn powszechny».

Zdrowiem silnem się nie odznaczał, szukał środków polepszenia go w Karlsbadzie; wracając z tych wód, zgaśł w Dreźnie 10 października 1835 roku, a śmierć jego odbiła się bolesnym echem w przynębionem społeczeństwie. Żałowano człowieka i pisarza, który przez cały czas swej działalności, zarówno swoim nieskalanem życiem, jak słowy i pismami rozpowszechniał ideę uszlachetnienia i udoskonalenia. Pamiętano zapewne piękne jego słowa, streszczające jego duszę, wypowiedziane na jednym z odczytów uniwersyteckich: «Zawsze naprzód i naprzód! Upadające pokolenie niech następnemu drogę wskazuje. Godniej do czegoś tęsknić, niżeli żałować; śpieszyć do celu, niż dumać nad drogami niepowrotnymi... Żyć życiem ludzkości, a smutek twój będzie wzniosły i pociechy twoje nie doznają zwątpienia. Żyć w duchu ludzkości i w Bogu—to jest jedyne powołanie i jedyne sposób, aby prawdziwie żyć umysłowo; bez tego istota nasza jest samą tylko fizyczną; części jej przejdą w inne istoty, ale moralne jej życie nie przejdzie w ogólny skład świata moralnego. Ludzie umierają, ale ludzkość zostaje i jest nieśmiertelną. Jej głównym skarbem jest użycie sił, wydoskonalenie wszelkich zdolności. Wszędzie jest jej zasiew: tu on niszczy, ale tam wschodzi... Tem uczuciem przejmie się tylko ten, kto się czuje nie dla siebie tylko stworzonym, ale połączonym z wyższym światem i z ludźmi, i kto wierzy w postępujące doskonalenie, w tę sztukę życia ludzkiego.» Tak czuł, myślał i postępował Brodziński.

Piotr Chmielowski.

Książę Michał Kleofas Ogiński.

* 1765 † 1833.

99 **M** rzędzie narodów, które odznaczy-
ły się męstwem, cnotami i nieszczę-
ściami, Polacy zajmują niezaprzeczenie jedno
z pierwszych
miejsc... Dzieje
Polski przekazały
potomności imio-
na Tarnowskiego,
Zamoyskiego, Żół-
kiewskiego, Chod-
kiewicza, Czarnie-
ckiego, Sobieskie-
go i tylu innych,
pochodzących
z najwybitniej-
szych rodzin szła-
checkich, którzy
zdolnością wielką
lub czynami wo-
jennymi zasłużyli
się dobrze ojczy-
źnie w wiekach
dawniejszych.
A jakież hołd i uzna-
nie winniśmy mę-
żom, którzy, po-
cząwszy od epoki
sejmu konstytucyj-
nego aż do odno-
wienia Królestwa,
znosili wszelkie-
go rodzaju prze-
ciwności losu, wy-
rzekłszy się swego
stanowiska i mają-
tku, byle tylko słu-
żyć ojczyźnie!»

Słowa powyższe wypowiada we wstępie do
pamiętników *) swoich książę Michał Kleofas
Ogiński, który śmiało zaliczony być może do rze-
du tych wybitnych
jednostek, o któ-
rych wspomina.

Pochodził on
ze znakomitej i sta-
rej rodziny. Proto-
plasta jego, książę
Dymitr Hłuszo-
nok, otrzymał od
Aleksandra Jagiel-
łończyka, wielkie-
go księcia litew-
skiego, przywilej
na dobra Ogin-
ty, od których ród
cały nazwę swoją
bierze **).

Książę Mi-
chał Kleofas, syn
Andrzeja, referen-
darza wielkiego



Podług portretu olejnego ze zbiorów A. Kraushara.

Michał Kleofas Ogiński
Ernst J.

*) Mémoires
sur la Pologne et
les Polonais depuis
1788 jusque'à la fin
de 1815. Paris 1826.

**) Jankow-
ski Czesław. Powiat
Oszmiański. Mate-
ryały do dziejów
ziemi i ludzi. Pe-
tersburg, 1897. T.
II, strona 143.

litewskiego, kasztelana i wojewody trockiego, starosty oszmiańskiego, a synowiec znanego z konfederacji Barskiej wielkiego hetmana litewskiego, urodził się dnia 7 października 1765 roku w Guzowie.

Obdarzony zdolnościami niepospolitemi odebrał w domu rodziców troskliwe i staranne wychowanie, oddając się z zapałem studiom muzycznym, które odbywał pod kierunkiem słynnego kompozytora Józefa Kozłowskiego.

Mając zaledwie lat 19, rozpoczyna życie publiczne jako poseł na sejm 1784 roku. Po latach pięciu ponownie wybrany posłem, zostaje komisarzem skarbowym, a następnie miecznikiem litewskim. W tym czasie wstępuje w związki małżeńskie z Izabellą Lasocką, córką Antoniego, wojewody ciechanowieckiego, i zostaje wysłany przez sejm wielki jako poseł do Holandii.

«Po przybyciu do Hagi 18 lipca 1790 r. — pisze w *Pamiętnikach* swoich — zbliżyłem się do widowni rewolucji francuskiej i niderlandzkiej. Byłem zachwycony, spoglądając zblizka na wypadki, których opis zapalał mą głowę i budził mą ciekawość!... Wyznaję, że w zapale właściwym wiekowi i z wyobrażeniami liberalnemi, jakie mię przejmowały od dzieciństwa, winszowałem sobie, żem przyjął poselstwo do dworu, sąsiadującego z Francją, o której sądziłem, że mi powinna dostarczyć wzorów najczystszej patriotyzmu, podziwienia godnych czynów bohaterstwa i tej męskiej a wspaniałej wymowy, którą zamilowanie wolności czyni tak gwałtowną i tak przekonywającą *).

W grudniu tegoż roku udaje się młody poseł do Londynu, gdzie konferuje z ministrem Pittem w kwestyi propozycji króla pruskiego, co do ustąpienia mu Torunia i Gdańska, a następnie powraca do Hagi, żądając jednocześnie kilkumiesięcznego urlopu dla załatwienia spraw rodzinnych w Polsce. Po otrzymaniu go, zostawia w Hadze sekretarza poselstwa polskiego Middletona, jako pełniącego obowiązki ambasadora, a sam przez Hanower i Berlin jedzie do Warszawy.

Zatrzymawszy się w Warszawie dłużej aniżeli zamyślał, wyjechał na Białą Ruś, dokąd go

wezwał hetman wielki litewski, Michał Kazimierz Ogiński, stryj jego, który, chcąc się pozbyć na starość kłopotów, postanowił przelać na synowca przez kontrakt kupna wszystkie dobra swoje wraz z długami, na nich ciążącymi. Dobra te warte były 14,000,000 złp., a długów było na nich 8,000,000, sprzedane zaś zostały za 12 milionów złp. Jednocześnie nabywa miecznik litewski dobra radziwiłłowskie i staje się przeto właścicielem majątku, wartującego około 20,000,000 złotych polskich.

Po kilkotygodniowym pobycie na Białej Rusi i załatwieniu pomyślnem spraw rodzinnych, powrócił Ogiński do Warszawy, gdzie został bardzo serdecznie powitany przez króla, który skarżył się przed nim, że jest źle oceniany przez naród i dziwił się, że kiedy w Warszawie większa część najwybitniejszej szlachty przyjęła prawo obywatelstwa miejskiego, co było bardzo pochlebnem i zachęcającem dla mieszkańców miast, w Wilnie zaledwie kilka osób ze szlachty kazalo się zapisać do akt municypalności. Dlatego też zachęcał go król, aby pojechał na Litwę w celu obudzenia ducha patriotycznego.

Udał się więc niebawem Ogiński do Wilna, gdzie oznajmił swoim przyjaciółom cel podróży i pragnienie wstąpienia do korporacji obywatelstwa wileńskiego. Za przykładem jego przeszło 50 osób z pośród najwybitniejszych rodzin szlacheckich przyjęło prawo obywatelstwa miejskiego, on zaś został wybrany reprezentantem i deputatem municypalności.

W kwietniu 1792 roku powrócił miecznik litewski do Warszawy, gdzie zabawił czas jakiś, tymczasem nastala Targowica, a jednocześnie 100,000 wojska nieprzyjacielskiego wkroczyło w granice Rzeczypospolitej...

Wilno nie miało żadnej obrony, zostało więc bez wystrzału zajęte... Szymon Kossakowski ogłosił się hetmanem wielkim litewskim i zawiązał w Wilnie wraz z bratem swym, biskupem, konfederację litewską na wzór targowickiej. Marszałkiem jej został książę Aleksander Sapieha, kanclerz wielki litewski.

Rządy konfederacji litewskiej rozpoczęły się od rozpuszczenia wojska, ściągania podatków, składania z urzędów stronników konstytucyi i konfiskowania majątków ludzi źle do konfederacji litewskiej usposobionych lub do niej nie należą-

*) *Pamiętniki Michała Ogińskiego o Polsce i Polakach*. Przełożone z języka francuskiego. Poznań 1870 r. T. I strona 51.

cych. Położono więc sekwestr i na wszystkie dziedziczne i nowonabyte majątki litewskie Michała Kleofasa Ogińskiego na mocy następującego rozkazu hetmana uzurpatora:

«Szymon Kossakowski, wielki hetman litewski z *woli narodu* i t. d. i t. d. Nakazujemy niniejszem na mocy postanowienia konfederacji targowickiej wszystkim władzom cywilnym województw i powiatów, w których są położone posiadłości Michała Ogińskiego, miecznika litewskiego, kawalera orderów Orła Białego i św. Stanisława, aby położyć sekwestr na owe wszystkie posiadłości; aby powierzyć ich zarząd osobom, które na ten cel będą przeznaczone, a użyć nawet, gdyby tego było potrzeba, siły wojskowej w celu wykonania tych rozkazów» *).

«Osoby, którym powierzono zarząd» dóbr Ogińskiego, w okropny sposób je niszczyły. Widząc to, miecznik litewski zwrócił się z apelacją do Kossakowskiego, nic jednak nie zyskawszy prócz upokorzenia, pojechał do Petersburga, ale i to nie na wiele się zdało, spróbował więc ostatniego środka ratunku: przystąpił dnia 16 września 1792 r. do konfederacji, skutkiem czego sekwestr wkrótce z majątków księcia zdjęto. Jednocześnie—jak utrzymuje Mateusz Nielubowicz-Tukalski, od roku 1788 sekretarz księcia Michała Kleofasa, a następnie komisji skarbowej W. Ks. Lit. **)—zwrócił się Szymon Kossakowski do miecznika, ażeby wyjednał od stryja swego, Michała Kazimierza Ogińskiego, hetmana wielkiego litewskiego, rezygnację z tego urzędu, dopóki bowiem Ogiński piastował hetmaństwo, Kossakowski uważany był za uzurpatora. Za wyjednanie rezygnacji miecznik miał obiecany urząd podskarbiego. Hetman Ogiński po długich naleganiach zgodził się zrezygnować ze swego urzędu pod warunkiem sowitego wynagrodzenia. Michał Kleofas, któremu uśmiechał się tytuł podskarbiego, jak również dochody z urzędu tego płynące, zapłacił hetmanowi 300,000 złp., za co wkrótce, dnia 7 maja 1793 roku został przez Kossakowskiego mianowany podskarbim ***). Niedługo jednak pozostawał na tem stanowisku.

*) Pamiętniki, t. I, str. 140 i nast.

**) Kilka uwag nad dziełem pod tytułem «Mémoires de Michel Ogiński sur la Pologne et les Polonais».

***) Ogiński w «Pamiętnikach» (t. I, str. 185) pisze, że urząd podskarbiego litewskiego zmuszony był przyjąć mimo woli.

Nadszedł rok 1794, ruch Kościuszkowski ogarnął kraj cały. Dowiaduje się o nim Ogiński 30 marca w Nowogródku, gdzie bawił chwilowo w czasie kontraktów, pisze więc do żony, aby niezwłocznie opuściła Warszawę i wracała do Wilna, dokąd sam również się udaje. Po kilku dniach pobytu w tem mieście, chcąc uniknąć niebezpieczeństwa, ucieka wraz z żoną do Prus, zostaje jednak na granicy, w Szczecrze, zatrzymany przez zawiadowcę komory Huszczę i odstawiony pod strażą do Grodna, a stamtąd do Wilna. Za wstawiennictwem przyjaciół, a głównie wymownego i popularnego Dyzmy Lachnickiego, został uwolniony od wszelkiej odpowiedzialności i wypuszczony na wolność *).

Niezwłocznie po tej smutnej przeprawie złożył Ogiński urząd podskarbiego, zaciągnął się do ruchu rewolucyjnego i wkrótce został przez mieszczanństwo wileńskie obrany naczelnikiem oddziału strzelców, składającego się z 480 ludzi. Jednocześnie przeznacza 100,000 złp. na pułk kawalerii, formowany przez Jana Nagórskiego. Wkrótce wysłany zostaje przez generała Jasińskiego na czele oddziału swego pod Mińsk. Po drodze, w Iwieńcu, zmusza nieprzyjaciela do cofnięcia się i zabiera bogate łupy. Przeprawiwszy się jednak przez Bereżynę, zostaje pod Wiszniewem otoczony przez wojsko nieprzyjacielskie, i pomimo obronę bohaterską zmuszony jest z wielkimi stratami cofnąć się pod Krewę, skąd udaje się do kwatery głównej w Oszmianie, a następnie do Wilna.

Po objęciu dowództwa głównego przez generała Wielhorskiego, Ogiński wysłany został ze szczegółowym sprawozdaniem do Pragskiej Woli, odległej o 4 mile od Warszawy, dla porozumienia się z wodzem naczelnym. «Pobyt w obozie jego nie zatrze się nigdy w mej pamięci—pisze ostatni podskarbi litewski w *Pamiętnikach* swoich. Obecność wielkiego człowieka, który wzbu-

*) Nielubowicz. *Przyjaciół ludu* Nr 1, 1844 r. Ogiński w *Pamiętnikach* (t. I, str. 315) przedstawia fakt powyższy w innem oświetleniu. Utrzymuje on, że odprowadzał wzdłuż granicy żonę, która miała zamiar przepędzić czas pewien w Siedlcach, w gronie rodziny u hetmanowej wielkiej litewskiej Ogińskiej i został zatrzymany przez місцевого zawiadowcę komory, który mu darować nie mógł, że kiedyś Ogiński, pełniąc obowiązki komisarza, zwiedzającego komory — usunął go, jako niezdolnego, z zajmowanego stanowiska.

dzał uwielbienie całej Europy, który był postrachem nieprzyjaciół a bożyszczem narodu, który zachowywał zawsze postępowanie skromne, przystępne i słodkie, który nie nosił żadnej oznaki władzy najwyższej, jaką dzierżył; który poprzestawał na surducie ze złego, szarego sukna, a który miał stół równie skromnie zaopatrzony, jak każdy z jego prostych oficerów — nie mogła nie wzbudzać we mnie wszystkich uczuć szacunku, uwielbienia i czci, jakie wyznawałem szczerze dla niego w ciągu całego mego życia».

Po powrocie na Litwę, Ogiński wysłany został przez Wielhorskiego w ostatnich dniach lipca 1794 roku z wojskiem, liczącem 2500 ludzi ku granicom Kurlandyi. Pozostawiwszy w Dusiatach oddział, którym dowodził, wybrał 300 najdzielniejszych ludzi z kawaleryi i z nimi usiłował dobyć Dynaburga. Zamiar jednak nie udał się, spalwszy więc część miasta, odstąpił i powrócił, do Dusiat, gdzie go doszła wieść o zdobyciu Wilna.

Zrozpaczony Ogiński oddaje dowództwo nad swym oddziałem Morykoniemu, a sam jedzie do Warszawy, gdzie jest świadkiem odwrotu króla pruskiego z pod jej okopów, i odwiedza po raz ostatni króla Stanisława Augusta, a po dwutygodniowym tam pobycie, przejeżdża do majątku swego Sokołowa, odległego o 14 mil od Warszawy, skąd następnie udaje się do obozu Giedroycia pod Tarczynem.

Dowiedziawszy się o wzięciu Warszawy przez wojsko nieprzyjacielskie, emigruje pod nazwiskiem przybranem Michałowskiego do Wiednia, skąd udaje się do Wenecyi pod opiekę rezydującego tam ministra francuskiego Lallemanda, a następnie do Konstantynopola w charakterze pełnomocnika emigracyi. Dnia 4 listopada 1796 roku przejeżdża pod przybranem nazwiskiem kupca francuskiego Martina w kwestyi powierzonej sobie misyi do Bukaresztu, skąd przez Galicyę, Drezno, Berlin, Hamburg i Bruksellę udaje się do Paryża. Przekonawszy się wkrótce, że rząd francuski nie ma zamiaru popierania interesów Polski, korzysta z rady ministra Talleyranda, aby powrócić do kraju rodzinnego. Chcąc użyć protekcyi dworu pruskiego, jedzie naprzód w kwietniu 1798 roku do Hamburga, a następnie d. 15 listopada t. r. do Berlina, skąd wysyła do Cesarza Pawła podanie o możliwość powrotu do kraju rodzinnego, na które dnia 29 marca 1799 roku

otrzymuje odpowiedź odmowną. Dopiero w roku 1802, za wstawiennictwem ks. Adama Czartoryskiego uzyskał od Cesarza Aleksandra I-go pozwolenie powrotu do ojczyzny. Tegoż roku rozwodzi się z żoną i poślubia Maryę de Neri, wdowę po Kajetanie Nagórskim.

Z czasem zyskuje zaufanie dworu i zostaje senatorem. W roku 1815 zniechęcony i rozczarowany usuwa się z widowni publicznej i zamieszkuje na stałe w uroczej majątności swojej — Zalesiu, gdzie z zamięłowaniem oddaje się muzyce, której mimo liczne zasługi, położone na polu politycznem, w dużej mierze sławę i popularność nazwiska swego zawdzięcza.

Księżę Michał Kleofas Ogiński — według słów Aleksandra Polińskiego — uprawiał wszystkie niemal rodzaje kompozycyi, głównie jednak tworzył polonezy na fortepian, z których wiele zjednało sobie popularność, zwłaszcza dwa: F-dur, zwany dziwacznie przez francuzów *«La célèbre Polonoise d'Ogiński, qui a fait le tour du monde»* i najpopularniejszy ze wszystkich A-mol, grywany do dziś dnia. Polonezy Ogińskiego doczekały się licznych wydań w Paryżu, Berlinie, Wiedniu, Lipsku, Offenbachu, Brunświku, Monachium, Pradze, Moguncyi, Warszawie i Wilnie. Sześć najpiękniejszych wydań Moniuszko u Zawadzkiego w Wilnie, opatrzywszy je nową harmonią, odpowiadać wymaganiom nowszej teoryi muzycznej. Wszystkie te polonezy odznaczały się piękną melodyą, prostotą formy, łatwością układu i rzewnym nastrojem.

Mniejszym powodzeniem cieszyły się jego romanse do słów francuskich, oraz opera w 1-ym akcie p. t. *Zelis et Valcour, ou Bonaparte au Caire*, grana na dworze cesarza Napoleona *).

W roku 1822 opuścił Ogiński na zawsze Litwę, udając się za granicę w towarzystwie sekretarza swego, Leonarda Chodźki, przy którego pomocy skreślił *«Pamiętniki»* swoje, wydane w roku 1826 i 27 w Paryżu w 4-ch tomach, p. t. *«Mémoires sur la Pologne et les Polonais, depuis 1788 jusque'à la fin de 1815»* **). W roku 1845 zostały one przetłomaczone na język niemiecki i wydane w Lipsku w zbiorze pamiętników, no-

*) Za notatkę tę, łaskawie mi udzieloną przez p. Aleksandra Polińskiego, składam niniejszem serdeczne podziękowanie.

**) Editeur L. Chodźko, tom. I — str. XII i 511; t. II — str. 430; t. III — str. 320; t. IV — str. 359.

szącym tytuł *Bibliothek ausgewählter Memoiren des 18-ten und 19-ten Jahrhunderts von Friedrich Gleich*. Polski ich przekład wyszedł w Poznaniu w latach 1870 — 73 nakładem księgarni Jana Konstantego Żupańskiego, w zbiorze *Pamiętników z osiemnastego wieku*.

Książę Michał Kleofas Ogiński zakończył swe czynne i burzliwe życie dnia 18 października 1833 roku we Florencyi, gdzie mu córka jego, Emma, hrabina Brzostowska, postawiła pomnik w kościele Santa Maria Novella.

Stefan Demby.

Onufry Kopczyński.

* 1735 † 1817.

Otym samym czasie, gdy Stanisław Konarski, wielki reformator społeczny, pragnąc pod zrysowany gmach Rzplitej rzucić podwaliny bezpieczeństwa i ładu, wydawał tom III Voluminów legum, jednocześnie przyszedł na świat Onufry Kopczyński, jeden z przyszłych zaszczytów zgromadzenia kks. Pijarów i prawodawca języka ojczystego. Urodził się w dniu 30 listopada 1735 r. w Wielkopolsce, powiecie gnieźnieńskim, we wsi Czerniewo, dziś zamienionej na Schwarzenau, położonej nad Wrześnią. O jego latach dziecięcych i miejscowości, w której początkowe nauki pobierał, nie podaje żadnych wiadomo-

ści ks. Szymon Bielski, Pijar, jego biograf (ob. *Vita et scripta quorundam e congregatione clericorum scholarum piarum, Vars., 1812*); to pewna,

że w r. 1752, mając lat 17, wstąpił w Podolińcu, na Śpiżu, do Zgromadzenia kks. Pijarów, a więc w chwili, gdy Konarski, uzyskawszy od papieża Benedykta XIV za twierdzenie wielkopomnych *Ordinationes*, czyli ustawy, obejmującej zasady długoobmyślanej i przygotowywanej reformy szkolnej, wprowadzał naród na drogę europejskiej nauki i zadawał śmiertelny cios metodzie jezuickiej, która przez półtora blisko wieku mrokiem nad umysłami ciążyła.

Reforma ta, mająca na celu



Podług portretu ze zbioru S. Dembego.

Onufrius Kopczyński

przygotowanie młodzieży świeckiej do życia publicznego i przystosowania jej do pojęć ucywilizowanego zachodu, niemniejszy kładła nacisk na gruntowne wykształcenie alumnów, których wyższe uzdolnienie powoływało na jej naukowych kierowników w przyszłości. Więc i Kopczyński, po ukończeniu nauk świeckich i teologicznych głównie odłąd w kierunku dydaktycznym działalność swą rozwija. Jakoż przez długi szereg lat widzimy go na stanowisku nauczyciela w różnych miejscowościach przy szkołach pijarskich, jak w Radomiu i Piotrkowie, gdzie wykłada literaturę rzymską, jak w Rzeszowie i Złoczowie, gdzie alumnów uczy wymowy.

Wielki też reformator nie myślał Kopczyńskiego na prowincyi marnować, lecz chcąc w założonem przez siebie w stolicy *Collegium nobilem* co najwybitniejsze siły naukowe zgromadzić, zamierzył wysłać go za granicę dla dalszego kształcenia. Tylko środki, jakimi rozporządzało Zgromadzenie, nie zawsze starczyły na umieszczanie młodych alumnów w Kolegium Nazarejskiem w Rzymie lub innych naukowych europejskich zakładach. Przecież Konarski umiał i tym brakiem zaradzić: idąc za przykładem Jezuitów, korzystał z wyjazdów za granicę panów polskich, do których potrzebowano ochmistrzów i taką właśnie sposobność nadarzył mu wyjazd młodego Antoniego Wisłockiego, by przy nim w tym charakterze Kopczyńskiego umieścić. Czyim był on synem, nie mogliśmy się dowiedzieć. To pewna, że ród Wisłockich, osiadły w ziemi Przemyskiej, pieczętował się herbem Sas i miał w tym czasie dwóch przedstawicieli: Eliasza i Tomasza. Pierwszy był stolnikiem Żytomierskim, drugi podsejmem Bracławskim: ojcem więc jego mógł być jeden lub drugi, ale tego nie można twierdzić stanowczo. Cokolwiekby przyszły prawodawca języka, spędziwszy z nim lat kilka w Wiedniu, Paryżu, oraz innych ogniskach nauk, miał sposobność pogłębienia swej wiedzy i zdobycia szerszego na sprawy wychowania poglądu. To też po powrocie do kraju, naucza już nie na prowincyi, lecz w stolicy, w *Collegium nobilem*, gdzie wkrótce przez wykłady wymowy zwraca na siebie uwagę co najświatlejszych mężów w narodzie. Konarski bowiem, pragnąc przekonać ogół o zbawiennych skutkach zaprowadzonej w szkołach pijarskich reformy, a obok tego wykazać wyższość przyjętej w nauczaniu metody od sposobu, jakiego się

w nim Jezuici trzymali, urządzał z końcem każdego roku szkolnego egzamina publiczne, na których, wobec najpierwszych dostojników koronnych, a nierzadko nawet i króla, zarówno wychowawcy kolegium, jak i naukowcy ich przewodnicy dawali o swem uzdolnieniu świadectwo. Zwyczaj ten utrzymał się i po zgonie Konarskiego, który na rok 1773 przypada. Otóż, na takich popisach Kopczyński przez swą naukę i zdolności pedagogiczne wrażał się trwale w pamięć osób położonych wysoko. Prócz tego porządkował bibliotekę pijarską i w księżnicy Żałuskich spełniał obowiązki pomocnika bibliotekarza głównego, którym był Jan Daniel Janocki. Tym sposobem znalazł możność gruntownego poznania pisarzy polskich zarówno co do treści, jak języka, któremu, idąc za wrodzonym popędem, długie lata mozolnych studyów poświęcił. Wkrótce też powołany został do napisania dzieła, przez które zasłynął w narodzie i wdzięczną po sobie pamięć najdalszym pokoleniom przekazał.

Wiadomo, iż czego St. Konarski w zakresie kolegiów pijarskich dokonał, to Komisya Edukacyjna, z odpowiedniami zmianami rozszerzała na kraj cały. To też wraz z utworzeniem szkół wojewódzkich, wydziałowych i podwydziałowych i poddanie ich jednemu kierunkowi, okazała się gwałtowna potrzeba dostarczenia podręczników w języku ojczystym do wykładu różnych przedmiotów. W tym celu w d. 7 marca 1775 r. utworzone przy Komisyi Towarzystwo do ksiąg elementarnych, zajęło się oceną i wydawaniem dzieł tego rodzaju, odpowiadających wymaganiom najnowszej dydaktyki. Do napisania więc Gramatyki polskiej i łacińskiej na wniosek członka Komisyi Edukacyjnej, Ignacego Potockiego, pisarza W. Ks. Lit., wybrany został Kopczyński. Jak zaś gorliwie zajął się jej opracowaniem, widzimy stąd, że już w d. 2 października 1778 r. uznana została wraz z Przepisami, jako podręcznik na klasę I, II i III.

Tu jedną winniśmy zrobić uwagę. W przekonaniu ogółu Kopczyński uchodzi za pierwszego, bez poprzedników, gramatyka polskiego. Tak przecież nie jest. Zasługa bowiem w jej zapoczątkowaniu należy się innym: naprzód nieznanemu autorowi, który jeszcze w roku 1542 wydał w Krakowie *Institutiones grammaticae idioma polonico et germanico illustratae*, t. j. Prawidła grammatyczne, objaśniające mowę polską i niemiecką;

następnie: Franciszkowi Mesgnien (Menińskiemu) z Lotaryngii, który w r. 1649 dla użytku cudzoziemców napisał po łacinie gramatykę polską, obejmującą etymologię i składnię; wreszcie: Walentemu Szylarskiemu, który w r. 1770 wydał we Lwowie Gramatykę języka polskiego.

Kopczyński przeto był czwartym z rzędu mowy ojczystej badaczem.

Czegóż na tem polu dokonał? By wyjaśnić należycie jego zasługi, przedewszystkiem powiedzmy, że już w szkołach pijarskich, zreformowanych przez Konarskiego, uczono języka polskiego, ale wspólnie z łaciną. Dopiero Komisya Edukacyjna uznała go za przedmiot samoistny, oddzielny. Kopczyński jednak zanadto zżył się z metodą pijarską, by, jak Szylarski, mógł traktować gramatykę języka ojczystego niezależnie od łacińskiej. Wychodząc wszakże z tej samej zasady, iż język polski powinien być podstawą nauki obcych języków, odstępuje nieco od metody swego Zgromadzenia i, robiąc krok naprzód, powiada: «W gramatyce, dla Polaków pisanej, pierwsze ma miejsce polszczyzna, a drugie łacina, ponieważ pospolicie potrzebniejsza jest wiadomość (sic) ojczystego, niżli cudzoziemskiego języka: a reguły niepoznane wprzód na ojczystym języku jako znajomym, nie mogą być i łatwo i dokładnie poznane na cudzoziemskim.» (Przypisy do Gram., na kl. I, str. 8—9). Stąd i wzorce odmian polskich w jego Gramatyce stoją przed łacińskimi.

Kopczyński wszakże idzie dalej od Szylarskiego, bo gdy według tego, nauka gramatyki języka polskiego ma ułatwiać «pojęcie obcych języków, jako łacińskiego, francuskiego, niemieckiego, włoskiego i t. d.», Kopczyński uważa gramatykę za jedno z pierwszych ogniw całego łańcucha nauk, dopatrując najściślejszego jej związku z logiką i wymową. «Żeby myśl, *jako dusza mowy*, zgadzała się z rzeczami, które sobie człowiek maluje w głowie: dzieło to jest logiki; żeby słowa, *jako ciało mowy*, zgadzały się z myślą wewnętrzną i onę jak najjaśniej malowały, dzieło to jest gramatyki; żeby myślami w słowach zamkniętymi oświecać rozумы ludzkie i pociągać ich wolą do spraw użytecznych społeczności—dzieło to jest wymowy» (tamże, II).

Nadto Kopczyński uznaje dwa główne fundamenta gramatyki: naprzód, ogólną naturę ludzką, następnie zwyczaj pospolity w każdym naro-

dzie. W pierwszej tkwią własności, stanowiące podwalinę wspólną wszystkich języków, w czym wypowiada jakby niejasne przeczucie potrzeby gramatyki porównawczej; drugi narzuca prawa każdej pojedynczej mowie. Poza zwyczaj narodowy nie idzie też Kopczyński, a wskazówką nieomylną w tym względzie są dla niego pisarze dawni. Tylko nie wnika jeszcze w organizm języka, który swe funkcje opiera na przemianie dźwięków, wzajemnie oddziaływających na siebie. To dopiero po nim uzasadni Józef Mroziński (Pierwsze zasady gramatyki języka polskiego, 1822-r.). Źródło słów jedynie pojmuje, jako wyraz pierwotny, od którego tworzą się inne, pochodne i w odmianie imion widzi go w przypadku pierwszym, gdy rzeczywiście występuje dopiero w dopełniaczu. Słowa, na wzór łaciny, dzieli na cztery konjugacje według cechowych samogłosek: *a, e, i, y*, nie podejrzewając nawet, że w czasie teraźniejszym i przyszłym dokonany trzy składowe części odróżniać także należy: temat, spójkę i zakończenie, które, nie jak u niego w sposób mechaniczny, lecz z tematem organicznie się łączą. Więc też według niego mową rządzą nie prawa, lecz reguły. Prawa występują dopiero później, z wprowadzeniem nauki języka na drogę porównawczą, z wystąpieniem Dobrowskiego, Boppa, Schleichera, Miklosicza, u nas Cegielskiego, Małeckiego, Franciszka Malinowskiego i innych. Ale Kopczyński ze względu na zasadę wypowiedzianą przez siebie, iż jedynie zwyczaj narodowy jest panem i sędzią mowy, sam się jej sprzeniewierza i narzuca samowolnie językowi prawa, których on nie znał w przeszłości. Tak, gdy do jego czasów, zgodnie z naturą innych języków słowiańskich, wszyscy pisarze w przypadku 6 przymiotników męskich i nijakich używali formy jednostajnej: z dobrym ojcem, z dobrym dzieckiem, z dobrymi ojcami, z dobrymi dziećmi; w 7-ym zaś bez różnicy oba rodzaje kończyli na *em*, on, wbrew ich powadze, uświęconej wiekami, wyróżnił rodzaje, a pomieszał przypadki i pisać zalecił w przypadku 6—z dobrym ojcem, z dobrą dzieckiem, z dobrymi ojcami, z dobrymi dziećmi; w przypadku zaś 7—w dobrym ojcu, w dobrą dziecku, gdyż to według niego miało nadawać mowie wyższy stopień jasności. Już jednak ta okoliczność, że w rodzaju nijakim, w obu przypadkach zaleca *e* kreskować, czyli w wymawianiu

nadawać mu brzmienie pochylone, dowodzi, iż czuł, że się rozmija ze zwyczajem ustalonym powszechnie. Również do czasu jego wystąpienia imiesłów zaprzeszły powszechnie utrzymuje się w formie: splótszy, spadszy, zbiegszy i t. d. Tymczasem Kopczyński, mniemając, że imiesłów ten formuje się od osoby 3-ciej czasu przeszłego, kończącego się na *t*, wprowadził do swej gramatyki formy: splótszy, spadłszy, zbiegłszy, które pierwsi nikomu nie były znane.

Jeżeli jednak te zmiany sprzeciwiały się powszechnie przyjętemu zwyczajowi i powadze wszystkich pisarzów, to jakże je Towarzystwo do ksiąg elementarnych mogło uznawać, a Komisya Edukacyjna swą powagą zatwierdzać?

Pytanie to zapewne każdemu się nasunie.

Ale nie zapominajmy, że koniec wieku XVIII to epoka reform, racjonalizmu i burzenia wszystkiego, co się nie nadawało do miary pojęć ówczesnych. Co tylko można było uzasadnić logicznie, to uważano za prawdę. Że zaś Kopczyński wprowadzone przez siebie zmiany usprawiedliwiał koniecznością ze względu na jasność mowy, więc je uznano za objaw głęboko w istotę języka sięgającego rozumu, a jego samego poczytano za prawodawcę mowy ojczystej. Gdy zaś wielu z nauczycieli nie chciało tych nowości, jako niezgodnych z dotychczasowem użyciem, zaprowadzać po szkołach, Komisya zagroziła im dymisyą i przez wizytatorów surową nad nimi rozciągnęła kontrolę, by w nauce gramatyki jak najściślej trzymali się prawideł przez Kopczyńskiego wskazanych. Nic też dziwnego, że gdy kilka pokoleń wykształcono na jego gramatyce, nowość stała się z kolei zwyczajem narodowym i że dziś ludzie wzruszają ramionami na usiłowania nowszych gramatyków, by do form, używanych przed Kopczyńskim, powrócić.

Takie są obok wielu innych, które tu pomijamy, ujemne strony jego gramatyki. Zaznaczając je wszakże, nie mamy na celu zaprzeczać mu istotnych zasług, położonych względem uprawy ojczystego języka. Są one bowiem wielkie. Już to samo, że swą gramatyką obudził w swoim czasie w młodzieży umiłowanie mowy ojczystej, daje mu prawo do naszej wdzięczności. Ale on zdziałał coś więcej jeszcze, co i dla nas ma niepożyte znaczenie, a tą spuścizną, którą się dotąd po nim dzielimy, to terminologia, jakby intui-

cyjnie odczuta, zgodna z duchem i naturą języka. By się o tem przekonać, dość go porównać z Szylarskim. Ten ostatni wprawdzie nie zajmuje się gramatyką łacińską, ale natomiast swą terminologię bierze żywcem z gramatyki łacińskiej i tylko ją nieudolnie na język polski przekłada. Znajdujemy więc w jego gramatyce: imię, zaimek, słowo zupełnie jak u Kopczyńskiego; ale już z częściami mowy nieodmiennymi nie umie sobie radzić. Jakoż *participium* tłumaczy dosłownie uczestnictwem, *adverbium* przysłowiem, *conjunctio* przezłączenie, *praepositio* przekładanie; na oddanie zaś terminu *interjectio* nie może znaleźć odpowiedniego wyrazu. Tymczasem Kopczyński, nazywając te części mowy: imiesłów, przysłówek, spójnik, przyimek i wykrzyknik, nietylko nowymi wyrazami język wzbogacił, ale i w każdym z nich zawarł istotne tych części mowy znaczenie. Również Szylarskiego rodzaj męski, niewieści i ani męski, ani niewieści, oddaje krótko: męski, żeński i nijaki. To samo co do liczb: pojedynczą i wielką (!) przez pojedynczą i mnogą. Jeszcze większe dziwolagi w gramatyce Szylarskiego występują co do nazw przypadków. Są to znowu przekłady denominacyi przypadków łacińskich. A więc: mianujący, rodzący, dawający, oskarżający, wzywający, nazywający (?) i opowiadający (?) — dodajmy, że dwa ostatnie, najzupełniej chybione. Kopczyński, nie chcąc popaść w tak niewolniczą zależność, nie sili się nawet na wyszukiwanie nazw przypadków, ale poprostu oznacza je liczebnikiem porządkowym: przypadek pierwszy, drugi, trzeci i t. d., ale określając każdego z nich znaczenie (Gr. na kl. III, 43—44), potrzebuje zrobić tylko krok jeden napród, by im nadać przyjęte dziś nazwy. Tak według niego przypadek 2-gi «jest dopełnieniem, jakiejś rzeczy,» a więc dopełniaczem; 3-ci «wystawia rzecz w tym stanie, ile jest celem, czyli końcem czego,» więc celownikiem; 4-ty «wystawia rzecz w takim stanie biernym, ile ją kto czyni,» zatem biernikiem; 5-ty «wystawia rzecz, ile się na nią woła,» a więc wołaczem; 6-ty «wystawia rzecz w stanie, ile jest narzędziem,» przeto narzędnikiem. Z tych określeń skorzystali późniejsi i dorobiwszy nazwy, na przypadek 1-y: mianownik, na co już natrafiał Szylarski, oraz na 7-my miejscownik, nazawsze ustalili terminologię przypadków. Niemniej Kopczyński nazwanie stopni uprościł. Szylarski używa omówień: ani podwyższają-

cy, ani poniżający; trochę podwyższający; nade wszystko podwyższający (superlativus). Kopczyński zaś wyraża to krótko: stopień równy, wyższy i najwyższy.

Wogóle wszystkie terminy, jakich dziś używamy, oraz wiele określeń, powtarzanych stereotypowo przez późniejszych gramatyków, są Kopczyńskiego wytworem.

Niepospolite też zasługi, położone względem języka, zjednały mu nie tylko uznanie Komisji Edukacyjnej, lecz i króla, który go medalem złotym, z napisem *Merentibus patriae* zaszczycił. Odtąd jego gramatyka niemal rok rocznie w nowej ukazywała się edycji. W r. 1796 było ich już jedenaście. Kopczyński jednak nie poprzestał na Gramatyce dla szkół narodowych, lecz nadto w r. 1785 wydał jej *Układ*, w którym, opierając się już nie na powadze gramatyki łacińskiej, lecz na naturze mowy ludzkiej i logice, starał się właściwości języka ojczystego ze strony filozoficznej wyjaśnić. Rozumie się, że *Układ* gramatyki, wobec dzisiejszego językoznawstwa, ma już tylko historyczne znaczenie.

Niemniej znakomitą pracą Kopczyńskiego była Nauka czytania i pisania, pomieszczona w *Elementarzu własnym Komisji Edukacyjnej dla szkół parafialnych* (Warsz. 1784, 1830. Kraków, 1785, 1792, 1810. Wilno, 1799, 1808, 1820, 1830). Elementarz był pracą zbiorową, w której, oprócz Kopczyńskiego, wzięli udział: Grzegorz Piramowicz (Nauka moralna) i Andrzej Gawroński (Arytmetyka). Za tę pracę Komisja wyznaczyła autorom 1200 złp. nagrody. Kopczyński rozpoczyna naukę od pisania i to od liter mniejszych. Wypisuje na tablicy wyraz, znany dzieciom, np. *oyciec* i ten rozkłada na pojedyncze głoski, wypisując je pod sobą w kierunku pionowym. Następnie porównywa litery małe z pisanymi wielkimi, a w końcu jedne i drugie z drukowanymi, poczem przechodzi do wymawiania ich pojedynczo, z góry na dół, przeciwnie, wreszcie na wyrywki. Dopiero po zaznajomieniu dzieci z pojedynczymi dźwiękami, układał litery w sylaby, wypisując je znowu jedne pod drugimi. Gdyby bez zgłoskowania od razu był do czytania przystąpił, byłby o lat wiele wyprzedził Niemców, chlubiących się ową metodą głoskową (Lautlehre-Methode). Bez względu na ten brak, skutki zastosowania Elementarza były tak uderzające, iż przy-

mas, Michał Poniatowski, obecny na egzaminie i zdumiony szybkimi postępami uczniów, uważał za właściwe zawiadomić o tem króla, i do tego stopnia go zaniepokoił, iż ten zawiadomił Kopczyńskiego do Łazienek z piętnastoma nieumiejącymi czytać chłopcami i przez dwie godziny z wielkim zajęciem przysłuchiwał się jego wykładom.

W roku 1786 Kopczyński wydał: «Naukę chrześcijańską i obyczajową». Nie była to pierwsza praca w tym kierunku podjęta. Wiek bowiem filozoficzny rozprawami o moralności zastępował dzisiejsze katechizmy dogmatyczne. Czy z większą dla społeczeństwa korzyścią? Rostrzygnięcie tej kwestii należy do historii.

Oprócz tych prac tak pożytecznych dla kraju, Kopczyński układał nadto wiersze łacińskie, ale utwory te, lubo pisane poprawną łaciną, nie mogą chwały Kopczyńskiemu przysporzyć.

Z tej spokojnej kolei, jaką dotąd życie jego kroczyło, wytrąciły go wypadki 1794 r. Jak Kołłątaj w Ołomuńcu, tak on na rozkaz z Wiednia uwięziony był w Nikolsburgu. Następnie przez lat 5 przymusowo przebywał w Morawii i Czechach, gdzie czas swego internowania przeznaczył na naukę pobratymczego języka. Dopiero około r. 1800 za staraniem ks. Czartoryskiego i wpływem cesarza Aleksandra I, powrócił do Warszawy, zostającej pod panowaniem Prusaków. Tu właśnie trafił na chwilę nowo-budzącego się życia umysłowego, gdy zawiązane Towarzystwo Przyjaciół Nauk rozpoczynało prace, mające na celu przekazanie potomnym dziejów i skarbów języka ojczystego. Gdy różnych uzdolnień pisarze rozbierali pomiędzy siebie opracowanie pojedynczych panowań, by przerwaną na wieku XIV Historię Naruszewicza ukończyć, do ułożenia słownika powołany został Samuel Bogumił Linde, jedyny z członków Towarzystwa, który istotnie rzeczy wielkiej dokonał. Przecież zasługa w tem nie jemu wyłącznie się należy. W znacznej bowiem mierze spływa ona i na Kopczyńskiego. Już bowiem, układając Gramatykę dla szkół narodowych, odczuwał potrzebę takiego dzieła, rozbierał zalety Knapskiego i innych leksykografów, wykazywał ich braki i niejednokrotnie zasady ich opracowania podawał (ob. Przypisy do gr. na kl. I, str. 217—220; na kl. II, 5—6; na kl. III, 107, 247—249). Teraz więc, gdy został czynnym członkiem Towarzystwa, nie mógł

obojętnie odnosić się do rozpoczętej pracy Lindego i jako gruntowny znawca języka udzielał mu rad i wskazówek zarówno co do metody opracowywania pojedynczych wyrazów, jak i całego planu słownika.

Zarówno charakter, jak i niepospolita nauka, zwróciły nań w końcu uwagę rządu pruskiego, który go w r. 1804 do wykładu w Liceum Nauki chrześcijańskiej powołał. Kopczyński jednak tych obowiązków nie przyjął; natomiast zgodził się na urząd efora, czyli wizytatora szkół i na tem stanowisku mógł się dowodnie przekonać, jak wykłady niektórych przedmiotów prowadzone w języku niemieckim, wpływały pod względem składniowym na kaźenie mowy ojczystej. To dało mu pochop do napisania rozprawy «O duchu języka polskiego», którą drukiem w tym samym roku ogłosił.

Z ustanowieniem Ks. Warszawskiego nowe pole otworzyło się dla działalności uczonego pisarza. Stanisław Potocki, stanąwszy na czele Izby Edukacyjnej, która miała dawną Komisję zastąpić, powołał Kopczyńskiego do jej składu; Zgromadzenie zaś kks. Pijarów obrało go swym prowincyałem. Tak więc w 72 roku życia podejmował różnorodne prace, a obok nich, nie ustając w gorliwości szerzenia zasad mowy ojczystej znajdował jeszcze dość czasu do napisania podręcznika, który pod tytułem: «*Essai de grammaire polonaise, pratique et raisonnée pour les Français*», Napoleonowi w r. 1807 poświęcił. Ale właśnie, jeżeli kiedy, to z ustaleniem się wszechwładztwa Francuzów nad Wisłą poważne niebezpieczeństwo zaczęło mowie polskiej zagrażać. Teraz już nietylko w domach magnackich, lecz i po dworach szlacheckich nawet mniej zamożnych, na gwałt dzieci francuzczyzny uczono. Kopczyński też troskliwy o poprawność i czystość mowy, tem więcej teraz przez pisma i żywe słowo starał się jej skażeniu zapobiedz. Tak w r. 1807 ogłosił drukiem: «*Naukę o dobrem piśmie*», a w następnym: «*O poprawie błędów w ustnej i pisanej mowie polskiej*». Nie tracił z oczu i moralnych interesów narodu. W r. 1806 wydał: «*Prawidła przystojności i obyczajności*». Ostatniem jego pismem drukowanym za życia był «*Memoryał*», podany w roku 1814 na kongres wiedeński, w którym

w sprawie Polski przemawiał. Prawie zaś do ostatniego tchnienia opracowywał nowe wydanie gramatyki polskiej, przeznaczonej do użytku narodu. To też wdzięczni ziomkowie za tyle trudów, dla dobra oświaty podjętych, z inicjatywy Stanisława Potockiego, uczcili go medalem złotym, który mu wręczono w r. 1816 na ogólnem zgromadzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Przy jego zaś uroczystem oddaniu, Kazimierz Brodziński, będący jeszcze na dorobku poetyckiej swej sławy, wypowiedział prześliczny wiersz, który pomiędzy drobniejszymi jego utworami do najgłębiej pomyślanych należy. (Ob. Pisma K. Brodzińskiego, wydanie J. I. Kraszewskiego, Poznań, 1872, t. I, 201). W kilka miesięcy potem, mając lat 82, Kopczyński w d. 14 lutego 1817 r. pełne chwały życie zakończył. Pozostała po nim w rękopisie «*Gramatyka języka polskiego*», w tymże samym roku wydana, przez długi czas była powagą w rzeczach poprawności i czystości języka. Również Gramatyka dla szkół rządowych pojawiała się w licznych przedrukach, dopóki jej z użycia nie wyparły Gramatyki: Józefa Muczkowskiego, Tomasza Kurhanowicza, oraz Teodozego Sierocińskiego, rozwinięte według zasad przez generała Mrozińskiego wskazanych. Bez względu wszakże na zmieniające się systemy gramatyki, wprowadzona przezeń terminologia, zwłaszcza w Morfologii, dotąd pozostała bez zmiany; trafne zaś uwagi dydaktycznej natury, w trzech tomach Przypisów do Gramatyki dla szkół narodowych zawarte, dziś jeszcze przez nauczycieli mogą być odczytywane z korzyścią.

Wogóle, była to postać wielce popularna w Warszawie i powszechnym otoczona szacunkiem. Znała go nawet ulica. Nieraz bowiem opłacał chłopców, roznoszących obwarzanki na drążkach, by nie przeinaczali na *obarzanki* tej nazwy.

Późniejsze pokolenia wzniosły mu tablicę pamiątkową w kościele po-pijarskim w Warszawie; w Piotrkowie zaś w korytarzu po-pijarskiego domu, będącego dziś własnością miejscowego gimnazjum, przechowywano jego wizerunek odrobiony na płótnie olejnymi farbami. Co się z nim jednak stało? Nie wiemy.

Roman Plenkiewicz.

Michał Stachowicz.

* 1768 † 1835.

Michał Stachowicz urodził się w roku 1768 w Krakowie. Ojciec jego, drukarz, oceniając zdolności syna do rysunku, oddał go na naukę do malarza Piotra Molitora, a następnie do Młodzińskiego. Rok 1794 obudził w nim zapał, zaczął więc malować obrazy, przedstawiające ważniejsze zdarzenia historyczne tego czasu.

Można ubolewać nad zbiegiem stosunków rodzinnych i wydarzeń ogólnej natury, które nie pozwoliły Stachowiczowi rozwinąć zdolności malarzskich wrodzonych a wstrzymały technikę jego na punkcie mało co nad średnią wartość wzniesionym, ale nie można zaprzeczyć, że wyrastająca na tym gruncie, zupełnie swoim, daleka od jakiegokolwiek wpływu obcego samorodna zdolność — rozwinięta samodzielnie, jest wielkiej wagi świadectwem, jakie geniusz narodowy sobie daje, jest dowodem żywotności jego sposobień plastycznych. Szczególnymi też cechami wyróżniają się malarskie prace Stachowicza, przy usterkach w szczegółowym wyrobieniu postaci

ludzkich, proporcje ich wogóle są dobre, rzadka tylko w pobieżnych szkicach przesadnie długie i wątle, przy anachronizmach w ubiorach postaci historycznych typy narodowe wybornie pochwycane, ruchy pełne życia i wyrazu, układ pomysłów jasny i składny. Cechy to talentu wrodzonego, niezwyklej miary, jakóż wszyscy i dzisiaj oglądający prace jego w sto lat po ich wykonaniu i współcześni, nie tylko otaczający go dyktanci ale i artyści wyszkoleni, Smuglewicz pomiędzy nimi, zgodzili się na to określenie przymiotów krakowskiego malarza.



Podług portretu własnoręcznego.

Michał Stachowicz

Dzisiaj więc z żalem wspominamy nieszczęsny pożar Krakowa z roku 1850, który pozbawił nas możliwości ocenienia najważniejszej pracy Stachowicza: freskowych malowideł, którymi na żądanie Woronicza ozdobił był ten artysta ściany pałacu biskupów w Krakowie (r. 1816—1817). Drugi szereg freskowych malowideł, historyczne zdarzenia wyobrażających, wykonał Stachowicz na ścianach sali Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dotyczyły te obra-

zy historyi Akademii, poczynającej się od sceny, w której Jadwiga i Jagiełło upatrują w okolicach stolicy miejsca na wzniesienie nowych na kolegia akademickie murów. Na nieszczęście i z tych prac mało pozostało, zaledwie niewielkie ułamki i niemal okruchy płyt tynku, odjętego ze ścian podczas ostatniego przed laty czterdziestu odnawiania i przerabiania biblioteki Jagiellońskiej (przechowane są w bibliotece).

Oprócz tych najważniejszych, znalazłoby się niemało mniejszych, ściennych malowideł po pałacach magnackich w Krakowskim.

Olejne obrazy kościelne stanowią drugi, obfity szereg prac Stachowicza. Z tych podczas pożaru Krakowa w 1850 roku zgorzało w kościele księży Dominikanów pięć obrazów, a u Franciszkanów jeden — inne, w liczbie ośmnastu pozostały u Ś-tej Barbary, u Ś-go Mikołaja, u Karmelitów na Piasku, u Kapucynów, u Kamedułów na Bielanach i u Reformatów. W Pilicy u Reformatów oprócz czternastu stacyi są obrazy: Matka Boska, Ś-ty Jan i Ś-ta Magdalena, a w ołtarzu bocznym: Ś-ty Antoni i Zaślubienie N. Panny. Stacje i Ukrzyżowanie Chrystusa malował Stachowicz dla Wieliczki. Wszystkie tego rodzaju obrazy wymienione są dokładnie w *Słowniku malarzów polskich* Rastawieckiego.

Trzecią najważniejszą, a zupełnie samorodną drogą, jaką Stachowicz w twórczości swej obrał, było wprowadzenie do malarstwa polskiego żywiołu obyczajowego i potocznego. Nie wyjeżdżając nigdy za granicę kraju a nawet z Krakowa *), nie szukając popchnąć do poglądu na malowniczość świata, otaczającego nas, w przykładach, jakie mu rozkwit i życie artystyczne ówczesnej Warszawy podsunąć mogło, z siebie czerpał świat,

który go otaczał a zwłaszcza lud, który po raz pierwszy do sztuki wprowadził.

Pomiędzy obrazami historycznymi, zdobiacymi pałac biskupi w Krakowie, były sceny takie, jak *Targ na Kleparzu w Krakowie*, *Splaw wiślany na Kazimierzu*, *Sobótka*, *Konik Zawierzyński*, *Obchód strzelców krakowskich*, *Kopalnie marmuru w Dębniku*, *Kopalnie Wieliczki*, *Olkusza*, *Szostówkie*, *w Siewierzu*, *w Jawroźnie*, *w Miedzianej Górze*. Obchodziło go przedewszystkiem to, co swoje.

W historycznych obrazach, zdobiacych niegdyś bibliotekę Jagiellońską, wszystkie obszerniejsze kompozycje postaciami ludowymi zapelniał — wpłatając typy współczesne i ubiory w dziejowe wyobrażenia.

Pierwszy też wykonywał olejne malowidła potoczne, malując wesela krakowskich włościan, dożynki i różne sceny z życia ludu.

Niemało też przedmiotów dostarczały Stachowiczowi współczesne zdarzenia, które to olejno, to akwarelą lub gwaszem po kilkakroć powtarzał, jak *Kościuszkę w Krakowie w r. 1794*, *Wjazd biskupa Sołtyka na księstwo Siewierskie*, *Wejście do Warszawy księcia Józefa Poniatowskiego* i wiele innych.

Poza zajęciem nauczycielskiem w liceum Ś-tej Barbary, gdzie rysunku nauczał, miłość rzeczy krajowych pchnęła Stachowicza do podjęcia wielkiej pracy «*Starożytności*» (w r. 1814), to jest do przerysowania wszystkich pomników grobowych królewskich, wnętrza katedry i kaplicy Zygmuntońskiej, które sztychowane przez Langiera wyszły pod tytułem «*Monumenta Regum Poloniae Cracoviensia*».

Nakoniec przykładowy żywot Stachowicza jako człowieka prostego serca, bogobojnego a pracowitego, wieńczy dzieło trudów życiowych koroną zasługi obywatelskiej na każdym polu pracy przez niego położonej. Umarł w Krakowie w r. 1835.

Wojciech Gerson.

*) Raz tylko na krótko do Warszawy przyjechał.

Dr. fil. i med. Rafał Józef Czerwiakowski.

* 1743 † 1816.

Nastanowienie Komisji Edukacyjnej, do-
szłej na wniosek Joachima Chrepto-
wicza, podkomorzego lit. w r. 1775, było może
najdonioślejszym dla
narodu naszego czy-
nem działalności spo-
łecznej, zaszłym w cią-
gu całego wieku XVIII.
Wspaniała ta instytu-
cja, uposażona hojnie
majątkiem pojezuickim,
pomimo drapiestwa T.
Massalskiego, A. Poniń-
skiego, W. Gurowskie-
go, Młodziejowskiego
i innych, zawsze jeszcze
bardzo znacznym, i po-
pieraną gorliwie przez
mężów najświetlejszych
w narodzie, przez cały
czas istnienia swego
składała nieustannie do-
wody liczne dbałości
pieczołowitej o rozwój
nauki, tak potrzebnej
krajowi, w którym szkol-
nictwo średnie wpraw-
dzie już nieco wcześniej
przez S. Konarskiego,
Pijara, znacznie podźwi-
gniętem zostało, ale
w którym szkoły naj-
wyższe z imienia tylko,
rzec-by można, istniały.

Tak świetna niegdyś w wiekach XV i XVI wszech-
nica krakowska, przedstawiała obraz najsmutniej-
szy rozprzężenia, zaniedbania i ogłupienia, o które

wszelkie dobre chęci
jednostek, chcących
stan taki naprawić, roz-
bijały się zupełnie, albo
zaledwie czasami dro-
bne zmiany na lepsze
zaprorowadzić zdołały.
Komisya Edukacyjna,
rozumiejąc dokładnie
wielką ważność tej gło-
wy wszystkich szkół
krajowych, postanowiła,
nie szczędząc wysiłków,
przywrócić jej przyna-
leżne, dawne znacze-
nie. Do spełnienia nie-
łatwego zadania tego
powołano światłego
i energicznego ks. H.
Kollątaja, który też nie
zawiódł pokładanej
w nim nadziei i z chlu-
bą dla siebie a z po-
żytkiem wielkim dla
narodu reformę tę w r.
1780 przeprowadził.
dobierając sobie do te-
go, jako wytrawny znaw-
ca ludzi, pomocników
godnych siebie, tym
samym, co i on, du-



Podług portretu, dołączonego do tomu I Rocznika Wydż. Lek. w Uniwers. Jagiellońskim.

Rafał Czerwiakowski

chem ożywionych, a pod względem nauki wysoko stojących. W onej to dobie wystąpił na pole działalności publicznej mąż uczony a prawy, którego żywot rozpatrzyć teraz mamy, krzewiciel anatomii i ojciec chirurgii naukowej w kraju rodzinnym.

Rafał Józef Czerwiakowski urodził się w dniu 24 października r. 1743 *) na Polesiu, w okolicy Pińska, gdzie ojciec jego Daniel przemieszkiwał na wsi. Szczegółów bliższych o rodzinie jego i pochodzeniu jej nie znamy. Oddany do szkół pijarskich w Pińsku wielkie czynił postępy, szczególnie odznaczając się zdolnością do języków starożytnych. Ponieważ czuł w sobie powołanie do zawodu nauczycielskiego, po skończeniu nauk wstąpił d. 17 października r. 1762 do zgromadzenia Pijarów lubieszowskich, a w d. 23 czerwca r. 1765 został wyświęcony. Młody kleryk po niewczasie przekonał się, że pociąg jego do stanu duchownego był tylko przelotnym, nadto pracując jako pomocnik w aptece, utrzymywanej przez Pijarów w Lubieszowie, nabrał zamiłowania do sztuki lekarskiej i do wykształcenia wyższego niż dotąd posiadane. Zwierzchnicy jego, ludzie światli, umiejący cenić naukę i kochający ją, widząc przytem w młodzieńcu niezwykle zdolności wrodzone i coraz wzmagającą się niechęć do życia zakonnego, do którego się zbyt nierozważnie zobowiązał, oraz uwzględniając palącą go żądę oddania się nauce lekarskiej, nie tylko nie stanęli mu na zawadzie, lecz owszem postanowili użyczyć mu pomocy, by dotrzeć mógł do celu upragnionego. W roku tedy 1771 wyjechał do Rzymu w towarzystwie ks. Teofila Karolego, rektora szkół pińskich, a przybywszy do wiecznego miasta, całą duszą oddał się nauce, do której tak namiętnie tęsknił oddawna. Po pięciu latach pracy nieprzerwanej uzyskał w dniu 16 marca r. 1776 dyplom doktorski z filozofii i medycyny, nie spieszył jednakże zaraz z powrotem do kraju, ale kształcił się jeszcze dalej przez czas pewien w zakładach klinicznych szpitala Św. Ducha in Saxia, w których już jako student pracował, i gdzie S. Tonci był głównym przewodnikiem jego. Zda się, że w tym właśnie czasie został też zwol-

*) Tak podają powszechnie wszystkie życiorysy jego, K. A. Moszyński wszelako twierdzi, że urodził się dopiero d. 21 maja r. 1744 (Wizerunki i roztrząs. nauk. wil. T. VI r. 1839, str. 40).

nionym przez papieża Piusa VI od ślubów zakonnych; wnioskować o tem można z tego, że gdy w dyplomie doktorskim przed nazwiskiem jego spotykamy jeszcze dodatek «reverendus frater» albo «clericus regularis», w świadectwie z dnia 1 września tegoż roku, poświadczającym mu trzyletnie pilne uczęszczanie do klinik, już tego tytułu duchownego nie znajdujemy.

Wieści o zdolnościach i postępach młodego uczonego dotarły tymczasem do ojczyzny i spowodowały, że biskup Massalski wezwał go do zajęcia katedry chirurgii w Wilnie. Czerwiakowski wezwanie przyjął w zasadzie, ale przeniknięty ważnością swego powołania przyszłego, uznał wiadomości swe dotychczasowe za niewystarczające i dlatego postanowił uzupełnić je jeszcze, zanim przystąpi do nauczania innych. W celu tym, opuściwszy Rzym, zwiedził uniwersytety w Neapolu, Florencyi, Bolonii, Padwie, Turynie i Wiedniu, poczem udawszy się do Paryża, w słynnej na świat cały akademii chirurgicznej tamtejszej doskonalił się w nauce, której miał zostać profesorem. Wracając stamtąd do kraju, zatrzymał się jeszcze w Berlinie, gdzie ukończył kurs sztuki położniczej. Tak przysposobiony stanął latem r. 1779 w Pińsku, gotując się do objęcia katedry wileńskiej. Inaczej jednak postanowili: ks. Michał Poniatowski, wówczas jeszcze biskup płocki, przewodniczący w Komisji Edukacyjnej i ks. H. Kołłątaj, członek tejże, obaj dobrodzieje Czerwiakowskiego podczas pobytu jego za granicą. Odezwą Komisji z dnia 5 listopada roku 1779 powołany został do nauczania w Szkole Głównej Koronnej: anatomii, chirurgii i sztuki położniczej. Nie namysłając się długo, przyjął tak zaszczytne wezwanie i pospieszywszy do Krakowa, już w dniu 16 listopada tegoż roku rozpoczął działalność swą od lekcji wstępnej p. n. «Wywód o narzędziach cyrulickich» (tak!). Dnia 14 stycznia r. 1780 do praw i swobód profesorom służących przypuszczony, na mocy uchwały Komisji z d. 15 września tegoż roku mianowany był profesorem rzeczywistym w wydziale lekarskim krakowskim.

Nie rozkosznem było wtedy stanowisko profesora anatomii u nas, łączyło się nawet z niem niebezpieczeństwo wyrastające z ciemnoty i zaboru, niestety, nie tylko lud prosty ogarniającego. Doświadczył tego już wcześniej lekarz nadworny

Augusta III, Henryk Loelhoeffel von Loewensprung, dziad słynnego historyka Joachima Lelewela, który z polecenia królewskiego, założywszy w Warszawie na Podwalu pracownię anatomiczną, rozbiarał w niej z uczniami swymi ciała zbrodniarzy śmiercią ukaranych, czem tak oburzył na siebie ciemnotę, że pospólstwo, otoczywszy dom, chciało go zniszczyć, a samego wraz z uczniami ukamienować, co też byłoby się stało niewątpliwie, gdyby nie rychła pomoc marszałka nadwornego, przybywającego w sam czas jeszcze z siłą zbrojną na odsiecz. Zapobieżono wprawdzie dzielnemu wybrykowi podburzonej tłuszczy, lecz obawiając się ponowienia zajść podobnych, zaniechano dalszych wykładów anatomii praktycznej. Teraz, po czterdziestu kilku latach miał Czerwiakowski wznowić naukę anatomii, będącej główną podstawą wszelkiej wiedzy lekarskiej, a tak haniebnie u nas zaniedbaną, i natrafił na takie same usposobienie, jak niegdyś kolega jego w Warszawie. On to pierwszy «urządził i otworzył prosektornię anatomiczną w Krakowie, której tu dotąd nie było, i pierwszy zaprowadził w niej rozbiieranie zwłok człowieczych, którego tu przed nim podobno nigdy jeszcze otwarcie, a, być może, nawet skrycie nie uskuteczniano, o czem mieszkańcy miasta najmniejszego wyobrażenia mieć nie musieli, kiedy w pierwszych chwilach jego nauczycielstwa w anatomii ściągnął na siebie z tego powodu oburzenie gniewu, od kilku zawistnych sobie i zaślepionych zagorzalców do tego nawet stopnia wzniecone, że ten w swojej zapamiętałości życiu jego zagrażał tak dalece, iż niejaki czas, chodząc po ulicach miasta, strażą wojskową od napaści zasłanianym być musiał» (L. Bierkowski. Wstęp do anatomii. Kraków 1850, str. X).

Człowiek mniej w nauce rozmiłowany i niezagrany tyle szlachetną żądzą krzewienia oświaty wśród narodu swego, byłby się niezawodnie zraził początkiem takim i porzucił co prędzej zajęcie, narażające w tak wysokim stopniu osobiste bezpieczeństwo jego. Nie takim był jednak Czerwiakowski i dopiął swego. W wątem ciele jego mieszkała dusza wielka, pałająca miłością bliźniego, tchnąca chęcią rozumnego służenia współobywatelom, nie cofająca się przed lada przeszkodą, lecz usuwająca ją umiejętnie, by dojść do celu dobrego, a do innych przez całe życie swe

nie dążył nigdy. Postępując stanowczo i roztropnie, wyświadczać przytem liczne dobrodziejstwa ubóstwu i służąc wedle możliwości każdemu godnie i uczciwie, dokazał tego stopniowo, że nie tylko pokonał zwycięsko sprzeciwiające się mu przesady, ale pozyskał sobie szacunek, uznanie i miłość Krakowian. Stworzywszy, rzecz-by można, z niczego, wszystko co było potrzebne do prawidłowego nauczania anatomii i poskromiwszy występujące przeciw niej przesady, wykladał ją przez lat pięć, poczem tę część działalności swojej odstąpił profesorowi Wincentemu Szustrowi, godnemu siebie następcy, zachowując sobie nadal wykłady ulubionej chirurgii i położnictwa.

Obejmując katedrę, nie znalazł nic prawie z tych urządzeń, bez których wykłady tylko pozór wykształcenia zawodowego dać mogą. Brakowało nie tylko gabinetów, zbiorów, narzędzi, ale nie było przedewszystkiem tak koniecznej kliniki chirurgicznej. Nie zraził się tem jednak dzielny i zacny profesor, zastawszy pustkę, postarał się o jej wypełnienie w jak najkrótszym czasie, a przyznać trzeba, że Komisya Edukacyjna popierała chętnie usiłowania jego. Zaczął od rzeczy najważniejszej, to jest od założenia kliniki i opatrzenia jej w narzędzia i przyrządy najpotrzebniejsze. Udało się to względnie prędko, urządził w tym celu oddany sobie szpital Św. Łazarza; była to klinika maleńka, zaledwie kilka łóżek licząca, ale stał na jej czele przewodnik światły, biegły i gorliwy, umiejący zagrzewać do pracy uczniów swych, więc też pomimo szczupłości środków umiał z nich wyciągać korzyści wielkie dla uczących się.

Brak zupełny podręczników chirurgii wymowny profesor mniej dotkliwym czynił, zastępując je odczytami swymi umiejętnie i jasno ułożonymi, a żywym i serdecznym słowem wzniecał w słuchaczach zapał święty dla nauki, przez siebie z całej duszy ukochanej. Chociaż stale za główne zadanie swe poczytywał podźwignięcie chirurgii do godności nauki, w niczem nie ustępującej medycynie wewnętrznej, to jednak, jak już widzieliśmy, przez pierwsze lat pięć z równą starannością i dbałością zajmował się anatomią, powierzając jej wykład koledze dopiero wtedy, gdy mógł być pewnym, że jej istnienie i rozwój dalszy pracą swą zapewnił. Również troszczył się nieustannie o polepszenie sztuki położniczej, będącej w za-

niedbaniu strasznie i uprawianej wyłącznie tylko przez baby nieuczki, wyobrażenia o jej zasadach naukowych nie mające. Pomimo tylu i tak trudnych zajęć, niezmordowany profesor, zaraz po przybyciu do Krakowa, wziął na siebie nadto obowiązek lekarza ubogich studentów i spełniał go przykładnie przez lat 19.

Nie zadawałając się kształceniem uczniów dobrowolnie na uniwersytet przybywających, prze-myśliwał jeszcze nad tem, żeby ich liczbę pomnożyć, ponieważ gnębiła go myśl, że ilość lekarzów w kraju jest zbyt małą, i że zatem tylu chorych bez pomocy rozumnej cierpieć musi. W chęci zapobieżenia brakowi temu wypracował podanie do Komisji Edukacyjnej, które znalazłszy uwzględnienie wywołało dwa uniwersały królewskie, w latach 1784 i 1785 wydane, nakazujące, żeby wszystkie miasta i miasteczka koronne wysłały swoim kosztem w terminie oznaczonym do Krakowa po jednym, odpowiednio przygotowanym młodzieńcu, mającym kształcić się na lekarza albo chirurga; po ukończeniu zaś nauk mieli stypendyści ci osiadać w miastach, które na nich łożyły i wykonywać w nich swą sztukę. Pomysł ten, rzeczywiście bardzo dobry i rozumny, pomimo, że znalazł poparcie rządu, nigdy w całości swej urzeczywistnionym być nie mógł, stały się temu na zawadzie wypadki polityczne.

Król Stanisław August, umiejący cenić ludzi nauki i nagradzać ich zabiegi, udzielił Czerwiakowskiemu w dniu 18 kwietnia r. 1785 godność archiatra i konsyliarza nadwornego, a w r. 1791, wraz z listem bardzo łaskawym, ręką własną J. K. Mości pisanym, przesłał mu ustanowiony przez siebie złoty medal zasługi.

W czasie wojny r. 1794, przez Naczelnika siły zbrojnej narodowej mianowany lekarzem naczelnym w głównym lazarecie przy Św. Piotrze w Krakowie, prawdziwie po ojcowsku zajmował się licznymi rannymi, nie czyniąc różnicy żadnej pomiędzy swoimi a obcymi, widząc w nich tylko bliźnich, pomocy jego potrzebujących. Nie zapomniał też przy sposobności tej o słuchaczach swych, starając się, aby pomagając mu w pracy około ranionych, ćwiczyli się w chirurgii, nabierając w wykonywaniu jej wprawy większej.

Sterane wieloletnią pracą siły, zaczęły coraz częściej niedopisywać wiatłemu od urodzenia profesorowi, spełnianie obowiązków wielo-

rakich stawało mu się coraz trudniejszym, z żalem więc rozstać się musiał z zajmowaną przez lat 26 katedrą, ustąpił z niej d. 4 maja r. 1805, otrzymując emeryturę całkowitą.

Przywykły od lat tylu do pracy nieustannej, nie umiał inaczej zużyć stanu spoczynku, jak na pracę dalszą, w inny tylko sposób wykonywaną. Jako profesor obarczony tylu zajęciami i zupełnie oddany uczniom swym nie znajdował dawniej nigdy dosyć czasu do zabawiania się piórem, a przynajmniej do wykończania i wydawania prac swoich, dlatego też z okresu owego posiadamy tylko dwie rozprawy jego drukiem ogłoszone, okolicznościowe, krótkie, ale pełne treści. Teraz, mając czasu wolnego aż nadto, zajął się uporządkowaniem rękopisów dawniejszych i wykończeniem obszernego dzieła, wykład całej chirurgii obejmującego, chcąc w ten sposób trwać po sobie zostawić pamiątkę i dać w ręce młodzieży mniej biegłej w językach obcych możliwość uczenia się w mowie ojczystej. Poświęciwszy ostatnie lata życia pracy tej, rozpoczął druk części pierwszej p. n. «Narząd opatrzenia chirurgicznego». Gdy tom jej piąty opuszczał prasę, znakomity uczony i wielki obywatel zgasł d. 5 lipca r. 1816, tom szósty odbito w roku następnym. O dalszych sześciu tomach, mających objąć choroby chirurgiczne szczegółowo opracowane, rozumie się, już nie mogło być mowy, nawet zdaje się, że rękopis zaginął. Wydana część pierwsza w sześciu tomach, na 1992 stronicach zawiera: desmurgię, akiurgię w najszerszym słów tych pojęciu, oraz krótki wykład działania i skutków leków wewnętrznych; 36 tablic rytych na miedzi podług rysunków Wiktoryna Rybickiego i Jerzego Klimkego, uczniów autora, służyć miało do objaśnienia tekstu. Nakład, na koszt autora wytłoczony, obejmował 2000 egzemplarzy, a mimo to dzieło należy dziś do wielkich rzadkości bibliograficznych, ale, niestety, nie dlatego, że rozchwytnie zostało, lecz że po śmierci autora zapomniane leżało w drukarni uniwersyteckiej, i, jak powiada L. Bierkowski, «całkiem na widok publiczny nie wyszło, a później zupełnie prawie na makulaturę zniszczone zostało.»—Taki los spotkał znakomitą pracę jednego z najzasłużeńszych uczonych naszych.

Ktokolwiek miał sposobność przeglądania dzieła Czerwiakowskiego, na swe czasy rzeczywi-

ście wybornie napisanego, nie pojmie nigdy niedbalstwa, które spowodowało zmarnowanie jego. F. Skobel, wiedzący widocznie coś o tem, mówiąc z goryczą, tak się odzywa: «O przyczynach tej niczem niepowetowanej straty, tego niesłychanego zdarzenia w piśmiennictwie tegoczesnem przemilczeć wolę» (Roczn. wyd. lek. w uniw. Jagiel. T. I, 1838, Od. I, str. 73). Szkoda wielka, że znając ich, nie napiętnował sprawców tak wielkiej krzywdy, wyrządzonej zarówno ceniom zasłużonego autora, jako też licznyim lekarzom, mogącym z dzieła jego czerpać naukę prawdziwą.

Dziwna to rzecz: J. I. Woźniakowski uczcił zmarłego pochwałą rozwlekłą i napuszoną na posiedzeniu prywatnem Towarzystwa naukowego Krakowskiego, w d. 15 grudnia r. 1816 wypowiedzianą; małżonka, Maryanna z Małoszyńskich wystawiła nieboszczykowi nagrobek marmurowy z szumnym napisem łacińskim, ułożonym przez Jacka Przybylskiego, a o utrzymaniu wspaniałego pomnika, wystawionego samemu sobie przez Czerwiakowskiego nikt nie pomyślał! — jest to niesłychanie smutne i przygnębiające. Kogo za to obwiniać? dojsć trudno dzisiaj, to tylko jest pewnem,

że wina żadna nie ciąży na dwu synach, byli bowiem zbyt młodzi jeszcze w chwili, gdy ich ojciec osierocił, żeby mogli zapobiedz potwornemu wandalizmowi, stokrotnie gorszemu od postępów rozhukanej, ciemnej tłuszczy, występującej przeciwko zacnemu profesorowi w pierwszych chwilach jego działalności krakowskiej.

Oprócz wymienionego wielkiego dzieła pozostały po Czerwiakowskim jeszcze liczne rękopisy, stanowiące cały szereg podręczników: anatomii, chirurgii, położnictwa i innych części wiedzy lekarskiej—o wydaniu ich wtedy, kiedy było jeszcze na czasie, nikt niestety nie pomyślał. Bibliotekę swą, składającą się z przeszło 500 dzieł wyborowych i z górą 1000 rozpraw pomniejszych, w różnych językach, jako też zbiór narzędzi i przyrządów chirurgicznych zapisał uniwersytetowi, którego ozdobą prawdziwą był przez ćwierć wieku przeszło; zresztą po sobie majątku prawie żadnego nie pozostawił, ponieważ, chociaż cieszył się praktyką rozległą i dochodną, świadczył zbyt wiele dobrodziejstw ubóstwu, żeby mógł wiele dla siebie i swoich odłożyć.

Dr. med. Józef Peszke.



Leon Borowski.

* 1784 † 1839.

Każdy, kto czytał *Wspomnienia z przeszłości* A. E. Odyńca, pamięta z nich ten ustęp, w którym autor kreśli sylwetkę Leona Borowskiego, jako profesora literatury polskiej. Sylwetka to sympatyczna niezmiernie, świadcząca wymownie, że ten «najlepszy znawca i sędzia poezyi,» który na katedrze zasiadał «z twarzą surową jak Minos,» potrafił sobie zjednywać serca swych uczniów.

Jakoż tak było w istocie. Dość powiedzieć, że nie tylko Odyniec, który był ulubieńcem Borowskiego, ale i zgryźliwy ks. Stanisław Jundziłł, który w swych pamiętnikach o tylu osobistościach wyraża się ujemnie, Borowskiemu, jako człowiekowi i profesorowi wystawił nader chlubne świadectwo.

«Dowcip, rozległe w starożytnej i nowożytnej literaturze wiadomości, styl wykształcony, charakter niczem nieskażony, czyniły go — zdaniem Jundził-

ła — pożytecznym w rozkrzewianiu nadobnych umiejętności nauczycielem i przyjemnym w zgromadzeniu członkiem.» Rozmówiony w swym przedmiocie, na wykłady przychodził zawsze obładowany książkami, a choć nie odznaczał się darem wymowy, przyczem mówił cicho, szepleniąc, głosem niedźwięcznym, suchym, to jednak mówił z pamięci, nie posługując się żadnymi notatkami. Słuchaczy zawsze miał bardzo wielu, a szczęśliwy przypadek zdarzył, że w tej liczbie znaleźli się i tacy, jak Adam Mickiewicz, Tomasz Zan, Aleksander Chodźko,



Podług portretu, malowanego z natury, ze zbioru S. Dembego.

Leon Borowski profesor

E. A. Odyniec, Julian Korsak, a później Juliusz Słowacki, o których naród nie zapomni nigdy. Nie zapomni też i o ich profesorze literatury polskiej, który tak wielki wpływ wywierał i wywarł na ich młodociane umysły. Mickiewicz, na którego genialności Borowski poznał się pierwszy, zawsze opowiadał w późniejszych latach, kiedy już był sławnym poetą, że Borowskiemu zawdzięcza swoje przyzwyczajenie do ścisłości i jasności wyrażenia, zarówno w wierszu, jak w prozie, a swoje konferencje literackie, które, jako jeden z najzdolniejszych studentów, odbywał z Borowskim w jego mieszkaniu prywatnym, w ogóle zaliczał do swych najprzyjemniejszych wspomnień uniwersyteckich. Borowski bowiem, przewodnicząc młodzieży «doskonalej się w sztuce pisanja po polsku», miał we zwyczaju, że najlepszych uczniów, w których dostrzegał zarody literackiego talentu, zapraszał do siebie, ażeby tym sposobem skuteczniej oddziaływać na nich. Do takich, oprócz Mickiewicza, należał między innymi A. E. Odyniec, który w swych *Wspomnieniach z przeszłości* tak pisze o tych wizytach u Borowskiego: «Z tej tak wybrednej surowości względem samego siebie łatwo można wnioskować, jakim krytykiem był Borowski dla drugich, a mianowicie dla uczniów, dopełniając przez to zarazem obowiązku nauczycielskiego sumienia. Nie zadawał on sobie wprawdzie tej pracy względem wszystkich zwyczajnych ćwiczeń, na katedrze w sali składanych, ale kiedy już komu kazał z niemi prywatnie przychodzić do siebie, to ten ktoś musiał mieć mocne nerwy i niezłomną do autorstwa ochotę, aby wytrzymać i nie dać się odstraszyć przez torturalne próby, czyli raczej męki, na jakie go brał zwykle profesor. Nie uniknęli ich prozaicy, ale najbiedniejszymi ofiarami byli mianowicie poeci... Wytłómaczyłem był jakąś odę, czy raczej dytyramb, z J. B. Rousseau. Była tam rozmaitość miar wiersza, była harmonia naśladowcza, jednym słowem obszerne pole do popisu, i byłem najprzekonańszy, że mi się to dobrze udało. Przyniosłem to więc na pierwsze posiedzenie krytyczne, i nigdy nie zapomnę tej chwili. Profesor kazał mi najprzód odczytać to głośno, i wysłuchał cierpliwie do końca, żadnej zgody nie czyniąc uwagi. Że zaś z tonu tego czytania mógł wnosić, iż byłem zadowolony sam z siebie, sędzę, że chciał mi dać od razu nauc-

kę, abym tak bardzo nie ufał sam sobie. Nigdy już bowiem potem, w ciągu lat kilku, nie okazał się ani tak srogim, ani nawet tak wymagającym, jak wtedy. Zamknął najprzód drzwi na dwa spusty, wydobyl z szafy oryginał, kazał mi usiąść obok i zasiadł sam z powagą, jak sędzia na trybunale. Zaczęła się prawdziwa anatomiczna sekcja martwego ciała. Każdy wiersz pojedynczy, jak żyłka po żyłce, wyciągał się i ulegał oglądaniu, w porównaniu z oryginałem; przyczem nie tylko każde wyrażenie lub wyraz, ale każdy przyimek lub zaimek, sam nawet zbieg brzmienia głosek, dostarczał krytykowi wątku, tak do oceny właściwości ich użycia, jak i co do ogólnych uwag w tym przedmiocie. Nie mogłem wprawdzie powiedzieć, ażeby wszystkie one wypadły na moją niekorzyść; ale ogólny wszakże rezultat był ten, że to, co mi się zdało mojem arcydziełem, zmalało z przekonania w oczach moich własnych do rozmiarów studenckiego ćwiczenia. I w tem też to mianowicie była główna pedagogiczna zasługa i doskonałość metody krytycznej Borowskiego, że z pedancką na pozór drobiazgowością rozbierając szczegóły, musiał z nich zawsze wyprowadzić i wrazić w ucznia zasady ogólne, które sam on już potem w potrzebie mógł do wszystkich prac swoich stosować. I wtedy też to chyba dopiero mógł ocenić z należytą wdzięcznością tę znużającą i zapewne uciążliwą pracę, którą wszakże profesor dobrowolnie sam sobie zadawał, aby w ten sposób, oprócz obowiązku płatnego, spełniać zarazem i obywatelski względem przyszłej literatury ojczystej.» Na to jednak, ażeby być zaproszonym przez Borowskiego na takie konferencje literackie do jego mieszkania, wypadało wprzód zwrócić na siebie uwagę w Uniwersytecie jakimś wyróżniającem się wypracowaniem wierszem lub prozą, a to wobec wygórowanych wymagań profesora nie należało bynajmniej do rzeczy łatwych. Ćwiczenia te, pisane przez uczniów w domu, najczęściej na dowolny temat, brał Borowski do siebie, odczytywał je, poprawiał, i dopiero w sobotę, którą przeznaczył raz na zawsze na odczytywanie extemporalistów, również w sobotę składanych na katedrze, roztrząsał je publicznie wobec całego audytorium. Nie był to obowiązek konieczny, powiada Odyniec, lecz otwarta dla wszystkich droga, ażeby mogli w ten sposób względem prac swoich zdania profesora

zasięgnąć i o nim się nawzajem dowiedzieć. Co prawda, to poddanie się tej próbie było dość ryzykowne, zważywszy, że Borowski, jako publiczny krytyk z obowiązku, wcale się nie odznaczał łagodną pobłażliwością; przeciwnie, słynął z tego że choć sprawiedliwy, był nazbyt surowy niekiedy, a co gorsza, nie szczędził dowcipu i ironii, przez co nieraz ogólny śmiech budził w słuchaczach. Na szczęście, nie wymieniał nigdy nazwiska autora, gdy mu czyjaś pracę ujemnie krytykować wypadło.

«Nie wymieniał go nawet nigdy przy zwyczajnem roztrząsaniu ćwiczeń, chyba że które z nich w oczach jego zasługiwało na tak wysoką pochwałę, że jako największy jej dowód, po odczytaniu go w całości publicznie, głośno w końcu i podpis autora przeczytał. Ale zaszczyt to był tak rzadki, iż stanowił epokę w kursie i tradycją z roku na rok w pamięci uczniów przechodził.»

Takim był Borowski, jako profesor «wymowy i poezji» na Uniwersytecie Wileńskim, i jako taki, odznaczając się niepospolitem uzdolnieniem pedagogicznym, położył olbrzymie zasługi.

Urodzony 1784 roku na Pińszczyźnie, pierwsze wychowanie odebrał w domu swej matki chrześnej, wojewodziny Zofii z Tyzenhauzów Chomińskiej. Jej zawdzięczał, że pierwsze nauki pobierał w szkole wydziałowej w Postawach (w województwie wileńskim). Niestety, bardzo wczesnie stracił swą opiekunkę, tak, iż dalej musiał iść o własnych siłach. W roku 1801, za rektoratu Hieronima Stojnowskiego przybył do Wilna, gdzie się nim zaopiekował były rektor Szkoły Głównej litewskiej, Marcin Poczuobut, umieszczając go w kancelarii ówczesnego zarządu akademickiego «z tem zastrzeżeniem, żeby nie będąc zbytecznie obarczany pracą mechanicznego przepisywania papierów, miał czas do słuchania wykładów.» W takich warunkach zapisał się na wydział nauk moralnych, a już we dwa lata potem w r. 1803, w chwili właśnie, gdy dawna Szkoła Główna została przeobrażona w Uniwersytet, został kandydatem filozofii, w dalszym ciągu piastując swój dotychczasowy urząd w administracji uniwersyteckiej. W roku 1805 otrzymał posadę buchaltera, a w następnym roku wydał swój przekład komedii Molière'a p. n. *Skepski*. W roku 1807, w którym także zwrócił na siebie uwa-

gę dedykacją nowego wydania *Uwag księdza Baki o śmierci niechybnej*, otrzymał posadę nauczyciela «wymowy i poezji» w gimnazjum świsłockiem. Tu przebył lat cztery. W roku 1811 przeniesiono go do gimnazjum wileńskiego, gdzie tenże przedmiot wykładał w ciągu lat trzech. W roku szkolnym 1814—15, gdy wykładający na Uniwersytecie Euzebiusz Słowacki musiał z powodu ciężkiej choroby przerwać swój kurs, powołano Borowskiego, żeby go zastąpił tymczasowo. Po śmierci Euz. Słowackiego, zmarłego d. 29 października 1814 r., Borowski utrzymał się na katedrze wymowy i poezji, t. j. historii literatury powszechnej i ojczystej, na to jednak, ażeby uzyskać profesurę, musiał się starać o otrzymanie wyższych stopni akademickich. Nie zaniedbawszy tego, już w r. 1816 złożył egzamin na magistra filozofii, w r. 1818 został adjunktem, a wreszcie d. 21 stycznia 1821 r. za rozprawę p. t. *Uwagi nad poezją i wymową pod względem ich podobieństwa i różnicy*, został profesorem publicznym nadzwyczajnym. We dwa lata później znowu otrzymał nominację na profesora zwyczajnego, na którym to stanowisku wytrwał aż do roku 1832, t. j. aż do zniesienia Uniwersytetu wileńskiego. Na krótko przedtem został cenzorem dzieł treści literackiej *). Na tem stanowisku, «najbardziej był udęczany przez te elukubracye wiejskich dyletantów, które mu ze wszech stron nadsyłało. „Rad też (powiada Odynieć) wecował na nich swój *szubrawski* dowcip, pisując o nich często do *Wiadomości brukowych*, których, jako członek słynnego *Towarzystwa szubrawców*, czynnym był współpracownikiem. Obok bowiem surowej powagi krytyka i profesora, posiadał on rzeczywiście niepospolity sarkastyczny humor...»

W roku 1833, kiedy w Wilnie założono Akademię duchowną, otrzymał posadę profesora homiletyki teoretycznej i praktycznej, przyczem jednocześnie wykładał historię literatury polskiej. W roku 1842 otrzymał uwolnienie od służby. Umarł 4 kwietnia 1846 r. w Wilnie, otoczony cziłą powszechną, jako człowiek nieposzlakowanej czystości charakteru, jako sędziwy emeryt, w któ-

*) Ówczesna cenzura wileńska należała i zależała wprost od Uniwersytetu. Cenzorami byli profesorowie, wybierani przez Radę, każdy dla dzieł w jego przedmiocie.

rym młodsza generacja widziała i ceniła swego dawnego profesora języka i literatury ojczystej; i jako zasłużony pisarz i krytyk literacki, którego prace, bądź oryginalne, bądź tłómaczone, cieszyły się rzetelnem uznaniem całego społeczeństwa.

Jakież to były te prace? Mówiąc o nich, przedewszystkiem należy wymienić jego cenne *Uwagi nad poezją i wymową pod względem ich podobieństwa i różnicy*, o których można powiedzieć, że autor złożył w nich «swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty». Rozprawa ta, którą można i trzeba przeciwstawić słynnej rozprawie Brodzińskiego *O klasyczności i romantyczności*, wydrukowanej na dwa lata przed pracą Borowskiego, jest jego literackiem *credo* odnośnie do wszelkich zasadniczych kwestyi w rzeczach «wymowy i poezyi». Jest to krótki rys historii literatury powszechnej, począwszy od literatur starożytnych, hebrajskiej, greckiej i rzymskiej, a skończywszy na piśmiennictwach nowoczesnych europejskich, nie wyłączając polskiego. Zdaniem Borowskiego, «w świątyni smaku niema ślepego bałwochwalstwa i przesądów.» Smak bowiem, równie jak moralność, opiera się na jednogłośnej zgodzie ludzi. «Pomimo nieznacznych różnic, które z obyczajów i sposobu życia wynikają, pomimo rozmaitego stopnia tej lub owej zalety, stosownie do klimatu, natogów i rządów narodowych, powszechne wyobrażenie poezyi dla wszystkich wieków i ludów jest jedno.» Każdego, komu jest znana późniejsza teoria H. Taine'a, muszą uderzyć te słowa; głośny autor *Filozofii sztuki* mógłby się podpisać pod niemi. Bardzo być może, iż podpisałby się i pod tem również, co Borowski mówił o literaturze francuskiej. Według niego, Francya nie wydała wcale prawdziwego poety. «Tu utworzyło się to osobliwe mniemanie, że poezya jest piękną, jak proza; tu Akademia z niewątpliwą powagą prawodawców opisała wyrazy szlachetne, nieszlachetne i gminne; wskazała, co przystoi wyższym klasom w towarzystwie, co się godzi poetom i mówcom w dziełach dowcipu, podciągnęła pod nieodmienne przepisy ruch mowy, szyk i następstwo wyrazów, każdy spójnik, każde przejście; nic nie zostawiła talentowi pisarza, jego woli i śmiałości. Zbyt geometryczny porządek myśli i wyobrażeń uwięził swobodne skrzydła imaginacyi, ograniczył bystrość natchnienia i zniósł pa-

nowanie myśli nad mową... Tym sposobem poezya i proza ujrzały wytknięty sobie podobny zawód. Obie w postępie swoim zarówno stały się jasne, obie poprawne, obie pełne smaku; lecz poezya utraciła właściwe sobie prawa, mianowicie prawo władania mową, podług potrzeby i woli; czego ona tem szczęśliwiej używa, im wyższe i niezwykajniejsze są krainy, w które się imaginacya i czułość podnosi.» Co się tyczy literatury polskiej, to, zdaniem Borowskiego, jest ona nieodrodnem dziecięciem swego narodu, a «Polacy odznaczają się wszystkimi możliwymi zdolnościami, ale brak im wytrwałości w pracy i kształceniu się.» Ta okoliczność sprawiła, że poezya nasza, choć bogata, na nazwę *narodowej*—do roku 1821 włącznie — nie zasługuje, jakkolwiek ją Brodziński i inni krytycy uznawali za taką. Według Borowskiego «za rządu ostatnich Jagiellonów i pod panowaniem Stanisława Poniatowskiego dał się uczuć smak zdrowszy w narodzie, lubo go sumiennie *narodowym* nazwać nie można. W pierwszej, jak w drugiej epoce, pomimo niezwykajnej czujności umysłów wszystkimi sposobami ożywianej, pomimo upowszechnionych zbiorów starożytnych, talent rzetelnie twórczy w poezyi i wymowie nie doścignął wysokości, na jakiej w innych stanął narodach. W pierwszej i drugiej epoce, ogólnie mówiąc, więcej widać przyrodzonych zdolności, niż umiejętnego ich kształcenia, więcej zamiaru, niż skutku, więcej naśladowania, niż dzieł własnych. Polor narodu, przez nieszczęśliwe jego położenie, bezrząd domowy, niepokoje zewnętrzne, oświecenie zaniedbane, długo spóźniony, po swoim zabłyśnięciu rychło temież przygodami zatarty, naostatek od kilku dziesiątków lat nagłony skwapliwie, ledwie nam dotąd drugich tylko naśladować pozwolił.» Bezstronność nakazuje przyznać, że w słowach tych Borowskiego, choć brzmią one nieco przykro dla polskiego czytelnika, rozmiłowanego w Kochanowskim, Górnickim, Skardze, Szymonowiczu i Krasickim, jest dużo prawdy.

Na szczęście, w chwili, gdy Borowski pisał ten surowy, choć uzasadniony wyrok dla poezyi ojczystej, Mickiewicz drukował już pierwszy tomik swoich poezyi, a te miały stanowić epokę w dziejach naszego piśmiennictwa. Borowski odrazu poznał się na ich piękności, to zaś, jak wysokiego mniemania był o swym genialnym uczniu,

świadczy jego list do niego, pisany d. 7 listopada 1828 r. pod wrażeniem *Konrada Wallenroda* i *Sonetów*. «Sonety, które mi dawniej wdzięczny uczeń przysłał, są bardzo pięknym wiankiem jego poetyckiego czoła. Jaka natura uczuć, jaka świeżość kolorów, jak miły, mroczący nawet niekiedy zapach kwiatów, wschodnich raczej, niż południowych. O Wallenrodzie powiedziałbym ci, że nasza poezja nie ma nic podobnego w tym rodzaju; ale to małe zalety dla talentu twórczego, który musi być niepodobnym. Nie mówię o piękności języka poetyckiego i mowy polskiej, bo nasz język jest wybornym materiałem, a ty przedni majster. Możeby się życzyło więcej równości, akcji i harmonii między częściami, a mniej wyrzekań i przeskoków. Ale to smak wieku...»

Łatwo się domysleć, czytając taki sąd o Wallenrodzie, że w gruncie rzeczy Borowski nie przestał być klasykiem, że choć nie był ślepy na piękności romantycznej muzy Mickiewicza, to jednak wołałby, ażeby autor *Dziadów*, widocznie hołdujący «smakowi wieku», nie zrzekał się klasycyzmu. On w każdym razie, jakkolwiek odczuwał potęgę i czar «wyrzekań i przeskoków» Byrona (którego *Żale Tassa* i wyjątki z *Maxepy* przyswoił mowie ojczystej), przecież pozostał wierny klasycznej «harmonii między częściami». W tym duchu napisał swoją przedmowę do dzieł Euz. Słowackiego, w której wyraźnie daje poznać swe poglądy pseudo-klasyczne; w tym duchu skreślił swój rozbiór krytyczny komedii Niemcewicza p. t. *Samolub*, w której wyraźnie staje po stronie zwolenników jedności miejsca i czasu; w tym duchu pisał swoje sarkastyczne artykuły do *Wiadomości brukowych*, gdzie sobie drwił z romantyczności i romantyków; w tym duchu napisał swój poważny artykuł *O wpływie obcych wzorów starożytnych i nowych na ukształcenie smaku*, w którym kosztem utworów nowoczesnych podnosi «boskim prawdziwie duchem obdarzone pisma starożytnych»; i w tym duchu rozpoczął swoje niedokończone a cenne *Uragi nad Monachomachią Krasieckiego*, w których wyraźnie zaznacza swe stanowisko człowieka wieku oświeconego, nie tylko nie potępiając anti-duchowej tendencji komentowanego utworu, ale owszem, z niekłamaną lubością podkreślając trafność satyrycznych ustępów, gdzie mowa o «świętych próżniakach.»

To samo da się powiedzieć o jego kursie literatury polskiej, którą wbrew Łukasiewiczowi i Bentkowskiemu dzielił na dwie epoki główne, przedchrześcijańską i chrześcijańską, przyczem w ostatniej rozróżniał pięć okresów: pierwszy od roku 950 do połowy wieku XIV-go, jako chwili założenia Wszechnicy Krakowskiej; drugi do połowy XVI-go stulecia; trzeci do połowy XVII-go; czwarty do połowy XVIII; piąty do czasów najnowszych, t. j. do roku 1838, na który przypadają te wykłady Borowskiego. Rzecz charakterystyczna, że w kursie tym (przechowanym w notatach, a częściowo ogłoszonych przez Wójcickiego), więcej nierównie, aniżeli oryginalnymi płodami muzy polskiej, zajmował się przekładami, najobszerniej rozwodząc się o *Psalterzu Dawidowym* Kochanowskiego, *Diwaninie polskim* Górnickiego, *Jerozolimie wyzwolonej* Piotra Kochanowskiego; przekłady bowiem, według jego najgłębszego przekonania, stanowiły najważniejszą część literatury wieku złotego.

Z prac literackich Borowskiego, które umieszczał w czasopismach naukowych wileńskich i warszawskich, wyróżnia się jego artykuł historyczno-polemiczny *O Filipie Kallimachu Buonacorsim*, napisany z niezwykłym zacięciem, a nawet okraszony sporą szczyptą humoru, mnóstwem wyrażań śmiałych i dosadnych, po przez które doskonale widzi się siwobrodą postać tego «bezczelnego Włocha pędziwiatra.»

Nadto pozostawił kilka większych prac w rękopisie, przeważnie z zakresu literatury polskiej, oraz całkowity przekład *Don Kiszota*, nad którego spolszczeniem pracował długie lata. O tym przekładzie, który w końcu uległ zniszczeniu od pożaru, tak pisze A. E. Odyniec, który go przepisywał na czysto. «Samo to przepisywanie było już dla mnie niepospolitą nauką i szkołą; mogłem albowiem widzieć z brulionu, jak on surowo i ściśle sam siebie sądził i poprawiał, i jak przez te poprawki styl zyskiwał na jasności i wdzięku. Wprawdzie mógłbym tu dodać, że ta nadzbyt pedancka chęć doskonałości nie zawsze pożądana wydawała skutek, tak, że nieraz mnie nawet przepisującemu poprawka zdawała się być gorszą od tego, co było pierwiej, i zdarzało się niekiedy, że gdy ośmieliłem się zwrócić na to uwagę autora, on sam uprzedni wyraz albo wyrażenie przywrócił.»

Tym pedantyzmem odznaczały się wszystkie przekłady Borowskiego, które, choć wierne i oszlifowane pod względem stylistycznym, są pozbawione siły i plastyki. Są to tłumaczenia sumienne i pracowite, ale pozbawione poetyckiego patosu, czy to będzie przekład *Kobiet filozofek* Molière'a, czy *Allegro i Penseroso* Milтона.

Podobnie ma się rzecz i z wierszami oryginalnymi Borowskiego, z których okazuje się, że autor ich, choć pisać umiał, choć wiedział, jak pisać trzeba, i miał sporo poczucia piękna, to jednak sam, pomimo najszczerzych chęci i wysiłków w tym kierunku, ani poetą ani umysłem twórczym nie był. Zarówno jego «śpiewek oryginalny, o *Leszku i Goworku*, który jest poprawnym naśladowaniem *Śpiewów historycznych* Niemcewicza, bez ich poezji i wdzięku, jak i *Oda* z powodu jubileuszu Uniwersytetu wileńskiego, choć pisane wierszem gładkim i bez zarzutu, przecież poezją nie są, co i o jego wierszowanym

prologu i epilogu do komedyi Niemcewicza *Jan Kochanowski* powiedzieć można i trzeba. Względnie najlepszymi są jego wiersze żartobliwe, jowialne i satyryczne, które pomieszczał w *Wiadomościach brukowych*.

„Wogóle—jak pięknie o nim powiada Piotr Chmielowski — nie należy Borowski bezwątpienia do tych wielkich talentów, któreby wystąpieniem swoim na widowni ducha tworzyły choćby mały okresik w jego dziejach; policzyć go wszakże w każdym razie wypadnie do tych cichych i powolnie działających sił, co w szczupłym obracając się zakresie, nie gwałtownymi lecz stopniowymi rzutami sprawiają w umysłach i sercach najbliższego otoczenia pewne dobroczynne zmiany, ujawniające się następnie w życiu i postępowaniu, zwłaszcza w życiu i postępowaniu młodszej generacji”.

Ferdynand Hoesick.



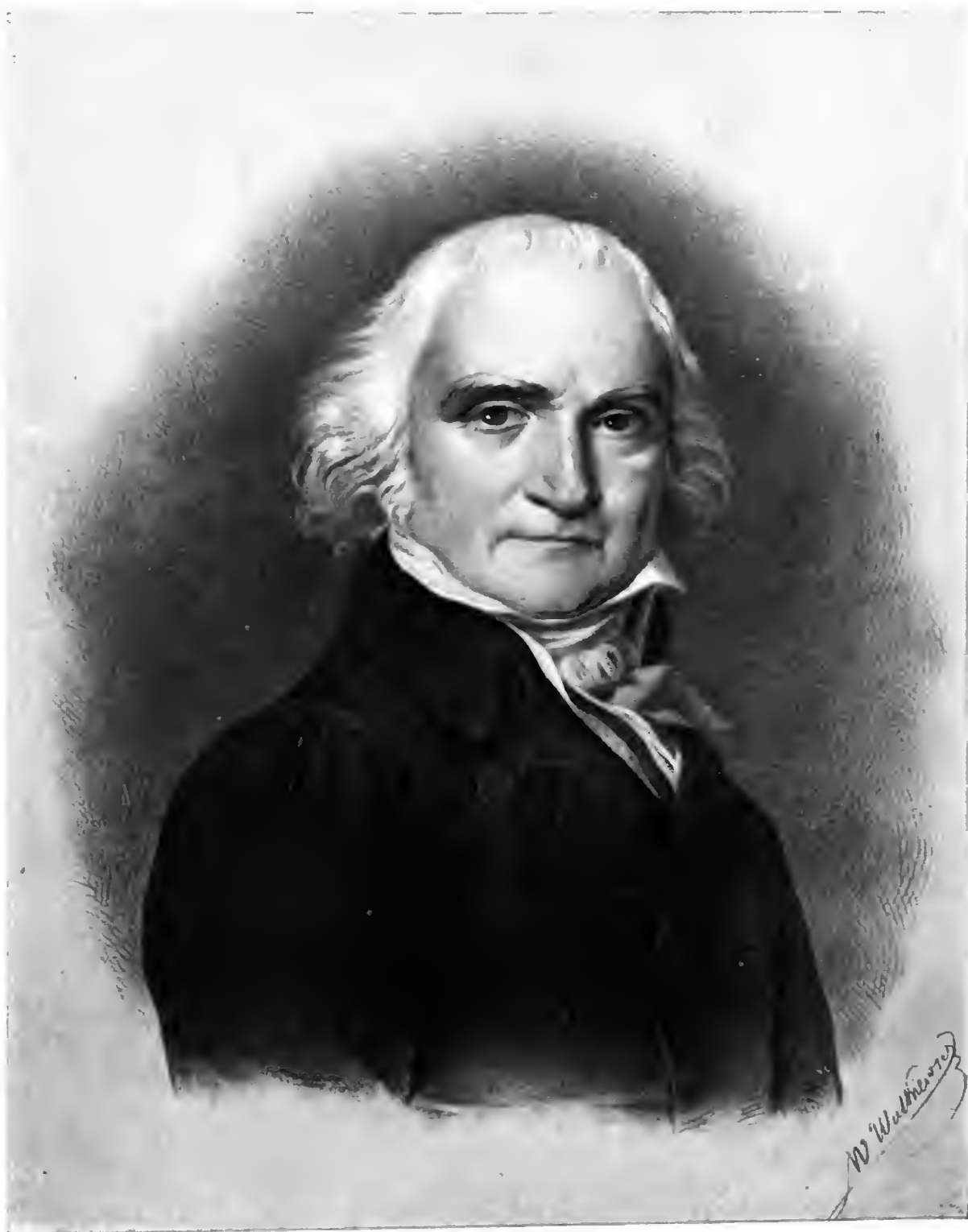
Jan Śniadecki

* 1756 † 1830.

Janowi Śniadeckiemu należy się jedno z pierwszych miejsc wśród wskrzesicieli nauki i oświaty w końcu zeszłego i na początku bieżącego wieku a najpierwsze miejsce, jako odnowicielowi nauk ścisłych w Polsce. Działalność jego młodzieńcza w Szkole Głównej. koronnej, w którą reforma Kollataja usiłowała wlać nowe życie, wykłady jego w tej wszechnicy, prace astronomiczne w założonej w Krakowie dostrzegalni, późniejsza doniosła działalność na wysokim stanowisku rektora wszechnicy wileńskiej i w obserwatorium wileńskim pozostaną na zawsze zaszczytnym świadectwem jego światłego umysłu, głębokiej nauki i poczucia obywatelskiego, taktu, rozsądku i wszelkich zdolności administracyjno-wychowawczych. Jego usiłowania dźwignięcia nauk matematycznych z upadku, w jakim się znajdowały u nas i zaszczepienia prawdziwej wiedzy z pomocą poważnych dzieł naukowych stanowią najpiękniejszą kartę w historii nauki polskiej.

Mąż rozległej i gruntownej wiedzy, doskonały matematyk i astronom, na najlepszych wykształcony wzorach, obdarzony talentem jasnego i pięknego pisania, nie mógł wśród niesprzyjających okoliczności krajowych poświęcić się wyłącznie samodzielnym badaniom naukowym, przez które pozyskałby zapewne większą sławę w nauce czystej. Z uszczerbkiem atoli dla kraju, domagającego się usług naglących, dla dobra szkoły zaledwie wstępującej na drogę normalnego rozwoju, oraz dla dobra ubogiej, wielce zaniedbanej literatury naukowej, zastój prawie zupełny zalegał na wszyst-

kich polach nauki, brakło pracowników i środków; wiedzę wyższą należało dopiero do kraju wprowadzić, język narodowy do niej przystosować, odpowiednimi dziełami wzmocnić słabo kielkującą oświatę. Nawoływanie ciągle do uprawy nauk wyższych, troski nieustające o te najpiękniejsze skarby ducha ludzkiego—oto prawdziwa zasługa Jana Śniadeckiego. «Nikt zapewne nie wątpi o wielkich matematyki pożytkach i przysługach—pisze on w przedmowie do swojej Trygonometrii kulistej,—ale z początkową tylko tej nauki znajomością, żaden kraj ani do tych pożytków nie trafi, ani do rzędu narodów gruntownie uczonych nigdy należeć nie będzie.» Ten pogląd był niejako osią całej długoletniej jego działalności naukowej. Już z licznych ustępów pierwszego dzieła, najobszerniejszego i może najpiękniejszego ze wszystkich p. t. «Rachunku algebraicznego teoria przystosowania do linii krzywych» (1783 r.) widać, że miłość nauki i zapał do świętej sprawy rozpowszechnienia jej wśród rodaków, stanowił główną pobudkę tej pracy. W tem dziele młodzieńcem—Śniadecki pisał je, jako młodzieniec 26-letni—występują już na jaw wielkie zalety jego umysłu i pióra. W przedmiotach, którym to dzieło jest poświęcone, u nas przedtem nie pisano, trzeba było samemu stwarzać niemal język matematyczny, i rzecz nieznaną przedstawić w szacie powabnej dla młodych adeptów nauki. Wykład Śniadeckiego nie jest suchem, dogmatycznym przedstawieniem rozległej dziedziny nowych pojęć i teorii, lecz toczy się żywo, barwnie i płynnie, pociągając czytelnika pięknym



Druc. P. LASKAUE4 - W. BASICKI WARSZAWA.

Ze zbiorów prof. W. Cieszyńskiego.

Jan Śniadecki

i jasnym językiem a zwłaszcza niezmiernie interesującymi spostrzeżeniami i uwagami natury filozoficznej. Jeżeli co do treści tego dzieła Śniadecki poszedł tu za wzorami zagranicznymi, a zwłaszcza za niezrównanym Eulerem, to w układzie i sposobie przedstawienia, był on pisarzem oryginalnym. Pierwszy tom dzieła jest wykładem algebry, drugi geometrii analitycznej; oba razem uważać można za wstęp do analizy. Żałować wypada, że Śniadecki nie znalazł później czasu ani na poprawienie niektórych niedokładności, jakie wśród pośpiesznej roboty do dzieła się wcisnęły, ani na napisanie dalszego ciągu, obejmującego analizę wyższą, t. j. rachunek różniczkowy i całkowity, jak to pierwotnie zamierzał.

Drugim większym jego dziełem jest «Jeografia czyli opisanie matematyczne i fizyczne ziemi» (1803 r.), w którym założył sobie «naprzód, wszystkie wiadomości, wynalazki i myśli do poznania ziemi ściągające się, rozrzucone po matematyce, astronomii i fizyce w ogólności, pod jeden widok zebrać, te w pewnym porządku, stosunku i związku wystawić, nie wdając się w to, co jest rzeczą historyi naturalnej, do której wszystkie tu wyłożone wiadomości być powinny przygotowaniem i wstępem; powtóre, wszystkie początki jeografii matematycznej wyciągnąć z fenomenów prawdziwych, t. j. z biegu dziennego i rocznego ziemi, które zazwyczaj dotąd w wszystkich książkach tłumaczyć się zwykły przez fenomena pozorne, t. j. przez bieg pozorny gwiazd i słońca.» Pomysł napisania takiego dzieła elementarnego był świetny a wykonanie jego odpowiedziało całkowicie założeniu. Książka doczekała się dwu jeszcze wydań, w których autor wprowadził nowe i ważne dopełnienia. Książka ta oddała wielkie usługi sprawie kształcenia młodych pokoleń i stała się niejako typem nauki szkolnej, znanej dziś pod nazwą «kosmografii.»

Niemniej pożyteczna w uniwersyteckich zwłaszcza wykładach była «Trygonometria kulista analitycznie wyłożona» (dwa wydania, drugie z zastosowaniem do rozmiaru ziemi i do zadań astronomicznych), pierwsza w tym przedmiocie w naszej literaturze, odznaczająca się wszelkimi zaletami dydaktycznymi, a w drugim swem wydaniu nader cenna dla młodzieży, poświęcającej się astronomii. Dziełko to i dziś jeszcze z pożytkiem mogłoby być używane w nauce.

Z rozpraw Śniadeckiego wielką cieszyła się, sławą rozprawa o Koperniku, napisana (1802 r.) na konkurs Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk i przełożona później na wiele języków. Zajmuje ona przeważnie miejsce wśród pierwszych prac historycznych z dziedziny nauk ścisłych w Polsce. Godnymi uwagi są również drobniejsze rozprawy, wygłaszane na sesjach literackich lub na posiedzeniach uroczystych Uniwersytetu wileńskiego, mianowicie: *O rubunku lasów* (1817), *Uwagi o języku narodowym w matematyce*, *O Jó:efie Ludriku de Lagrange* (1815), *Żyrot Porzobuta* (1810), *O rozumowaniu rachunkowem* (1818).

Jako astronom, Śniadecki dokonał wielu obserwacji tak w Krakowie, jak i w Wilnie. Obserwacje te posyłał do Roczników Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, do «Korespondencji» Zacha, do Efemeryd wiedeńskich, do Akademii Petersburskiej i paryskiej. One to zjednały mu imię i powagę w świecie naukowym zagranicznym.

Po za fachowem wykształceniem matematycznym i astronomicznym, posiadał Śniadecki rozległe wykształcenie ogólne, jak przystało na naczelnego kierownika oświaty. Niejednokrotnie też zabierał głos w sprawach historyi, literatury, a zwłaszcza języka ojczystego, którego niepospolitym był znawcą i którego czystości bronił z całym zapalem. (*Konkurs do katedry reymowej i poezji w Uniwersytecie wileńskim*, *Uwagi nad pismem konkursowem*, *O języku polskim*, *Listy Przemysławki*, *Listy Zygmunta Szczeropolskiego o literaturze*, *Malwina*, *O pismach klasycznych i romantycznych etc.*). Jego korespondencja z Kollatajem, ks. Czartoryskimi—ojcem i synem, Czackim i innymi, tak urzędowa jak i prywatna, oraz przemówienia jego na posiedzeniach uroczystych Uniwersytetu wileńskiego, będą świadectwem jego wszechstronności i rozumnego na sprawy publiczne poglądu a zarazem ważnem źródłem do historyi oświaty polskiej.

Człowiek takiej nauki i takiego wykształcenia nie mógł też nie interesować się filozofią. Już w pismach swoich matematycznych jest on, rzecz można, filozoficznym pisarzem, bo fachowa wiedza pogłębia i oświecla przez dociekania nad istotą metod nauki i ich związkiem wzajemnym, a w licznych pracach swoich okazuje znajomość kierunków filozofii całościowej. Skłaniając się w innych poglądach do empiryzmu szkoły szkockiej, był on

przeciwnikiem filozofii Kanta, uważał ją za szkodliwą, upatrując w niej pierwiastek mistyczny. W tym duchu napisał rozprawę polemiczną o filozofii, rozprawę o metafizyce, a nawet wystąpił z samodzielną pracą p. t. *Filozofia umysłu ludzkiego «czyli rozważny wywód sił i działań umysłowych»* (1819). Z cennych prac Śniadeckiego wymieniamy: *«Reflexions sur les passages relatifs à l'histoire et aux affaires de Pologne inserés dans l'ouvrage de A. Villers»* (broszura polemiczna), *Żywot literacki Hugona Kollataja* (1811), *Żywot P. Zawadzkiego* (Wilno, 1814).

Jan Śniadecki urodził się d. 29 sierpnia 1756 r. w miasteczku Żninie w Poznańskim. Początkowe nauki pobierał w Kolegium Lubrańskiego w Poznaniu, przytem uczęszczał na lekcye fizyki księdza Rogozińskiego w Kolegium jezuickim. W roku 1772 przybył do Krakowa i tu słuchał kursów fizyki i matematyki; w roku 1775 otrzymał stopień doktora i rozpoczął wnet w Uniwersytecie wykłady algebry po polsku. W roku następnym wykładał statykę, hydraulikę, logikę i ekonomię polityczną w klasie VI gimnazjum Nowodworskiego w Krakowie. W r. 1778 wyjechał za granicę. Przebył dłuższy czas w Getyndze, Lejdzie i w Paryżu, gdzie słuchał wykładów znakomych profesorów i zawiązał liczne stosunki naukowe. Wezwany przez Komisję Edukacyjną, powrócił w r. 1781 do Krakowa i objął lekcye matematyki wyższej i astronomii, sekretarstwo Akademii i począł krzątać się około założenia obserwatorium. W roku 1787 wyjechał powtórnie za granicę, zwiedzał obserwatoria astronomiczne w Anglii, we Francji i Niemczech. Za powrotem do kraju oddał się pracom w obserwatorium i wykładom, od których niejednokrotnie odrywały go na czas dłuższy sprawy wszechnicy, w których

jako delegat jeździł do Warszawy i Grodna. Trudną tę misję, wymagającą wielkiego taktu i poświęcenia, spełnił z wielkiem pożytkiem dla dobra nauki i instytucji.

Z tej epoki (1790) datuje obszerny projekt wydania pierwszej mapy krajowej, złożony Komisji Skarbowej za pośrednictwem Czackiego, chlubny ten zamiar spełził niestety na niczem z powodu wypadków krajowych.

Z powodu zaszłych zmian politycznych, ustąpił z katedry profesorskiej i w r. 1803 wyjechał znowu z kraju na czas dłuższy do Francji i Włoch, zamierzając po powrocie oddać się prywatnie nauce w obserwatorium astronomicznem. Czacki i Kollataj skłonili go wszakże do przyjęcia stanowiska obserwatora w Wilnie po Poczobucie, który skutkiem późnego wieku, podał się do uwolnienia. Przybywszy do Wilna w r. 1807 został prawie jednocześnie obrany na rektora wszechnicy, w której brat jego, Jędrzej, był już od siedmiu lat profesorem. Obowiązki rektora spełniał przez lat osiem z wielkim pożytkiem dla instytucji i pozostających pod jej kierownictwem licznych zakładów naukowych, a spełniał je wśród bardzo trudnych okoliczności, z których jedynie dzięki jego rozumowi Uniwersytet wyszedł bez szwanku. Po złożeniu z siebie godności rektorskiej w r. 1815 pozostał jeszcze na stanowisku obserwatora do roku 1824, poczem podawszy się do emerytury, spędził resztę zasłużonego żywota na wsi w Jaszunach u synowicy swojej Balińskiej, nie przestając się aż do ostatnich chwil życia interesować żywo sprawami nauki, a zwłaszcza instytucyj naukowych. Zmarł d. 21 listopada 1830 roku pozostawiając po sobie nie zagasłą pamięć znakomitego uczonego pisarza i obywatela.

S. Dickstein.

Józef Maksymilian Ossoliński.

* 1748 † 1826.

Józef Maksymilian hr. z Tęczyna Ossoliński, fundator Zakładu narodowego imienia

Ossolińskich, urodził się r. 1748 w Woli Mieleckiej; rodzicami jego byli Michał Ossoliński, kasztelan czechowski i Anna córka Józefata Szaniawskiego, podstolego koronnego, i Anny Ossolińskiej. Domowe jego wychowanie było stosownie do zasad ówczesnych surowe, co uczyniło go trwożliwym, skromnym i ulegającym, wskutek czego rodzice zamierzali początkowo poświęcić go stanowi duchownemu. Wykształcenie odebrał w konwiktach warszawskim OO. Jezui-

tów, pod okiem Adama Naruszewicza. Bawiąc po skończeniu edukacji w stolicy kraju, bywał u dworu, gdzie poznał

kwiat inteligencji ówczesnej Polski, gromadzącej się około króla Stanisława Augusta. Już wówczas zaczął próbować swego pióra, biorąc udział w wydawanych przez Naruszewicza i Albertandego »Zabawach przyjemnych i pożytecznych« oraz w redakcji »Monitora«. Po wróciwszy w rodzinne strony, ożenił się dnia 18 września r. 1785 z Teresą Jabłonowską, córką Rocha Michała kasztelana wiślickiego i Katarzyny Ossolińskiej. Małżeństwo to było bezdzietne



Podług współczesnego portretu ze zbioru Ad. Szpadkowskiego.

J. Ossoliński

i rozeszło się r. 1791. — Bawiąc w dobrach swoich, położonych w części kraju Austrii przypadł, brał żywy udział we wszystkich sprawach, które obywatelstwo polskie zajmowały. Niedziw więc, że współobywatele obrali go członkiem deputacyi, mającej się udać do Leopolda II, który świeżo po śmierci Józefa II wstąpił na tron, aby dla Galicyi wyjednać niektóre łaski i przywileje. Cztery lata (1790—1793) przebywa Ossoliński w Wiedniu w charakterze deputata i jego usilnym staraniami udało się wyjednać zmianę ustanowienia szlacheckiego, uzyskać pozwolenie, aby synowie szlachty galicyjskiej kształcić się mogli w Terezyaneum i w Akademii wojskowej w Wiener Neustadt na wojskowych i urzędników cywilnych, i nareszcie wyrobić dla Akademii lwowskiej katedry literatury i języka polskiego.

Spełniwszy chlubnie obowiązki delegata, zamiłowany w studyach naukowych, gdy nadto po rozwodzie z żoną nic go już nie ciągnęło do stron rodzinnych, postanowił nadal mieszkać w Wiedniu. Skłonił go do tego i ten wzgląd, że przebywając blisko dworu, miał nadzieję, że zawiązane stosunki, pozwolą mu działać nieraz na korzyść kraju. Tutaj w Wiedniu dojrzała w nim myśl zbierania biblioteki, obejmującej głównie rzeczy słowiańskie, zwłaszcza, że po kasacyi klasztorów za Józefa II, mnóstwo książek zalegało półki handlarzy. Miał bowiem zamiłowanie do książek i rękopisów już od młodości, czego dowodem okoliczność, że już podczas pobytu w Warszawie korzystał z manuskryptów biblioteki Stanisława Augusta, których kilka w latach 1781—1784 dla siebie kazał przepisać. Później jednak zaniechał zamiaru tworzenia biblioteki wyłącznie słowiańskiej, lecz zbierał także obce książki, oraz monety i medale, obrazy, ryciny, muszle, i t. p., a pomocnymi mu byli w wykonaniu tego dzieła znakomici bibliotekarze jego, jak Samuel Bogumił Linde, Józef Siegert, doktor Karol Józef Hüttner i inni. Nie zbierał atoli Ossoliński wyłącznie dla siebie, bo oddawna przyświecała mu myśl poświęcić zbiory swoje na pożytek narodu. Sam poświadcza to wyraźnie w piśmie do cesarza Franciszka I, mówiąc: »Już r. 1804 miałem zaszczyt złożyć u stóp tronu W. C. Mości projekt założenia biblioteki, którą przez całe moje życie zbierałem w tej myśli, aby utworzyć bibliotekę publiczną, wyłącznie na użytek mego narodu, a równocześnie ułożyłem się

z hr. Stanisławem ordynatem Zamoyskim, aby taż biblioteka stała w Zamościu... Wasza Ces. Mość raczyła nie tylko ustanowienie moje we wszystkim zatwierdzić, lecz także własnoręcznie wyrazić mi swoje zadowolenie.«

Usiłowania Ossolińskiego, skierowane z rzadką bezinteresownością ku celom szlachetnym, zjednały mu powagę w sferach rządowych i rozgłos w kraju i za granicą. Pierwsze wyraziły mu swoje zaufanie, mianując go r. 1808 tajnym radcą, a dnia 15 lutego r. 1809 przełożonym czyli prefektem biblioteki narodowej w Wiedniu. Roku 1847 odznaczył go cesarz krzyżem komandorskim orderu św. Stefana, r. 1819 obdarzył go godnością najwyższego marszałka koronnego dla Galicyi i Lodomerji. Ale nie tylko cesarz i rząd austriacki uznali zasługi Ossolińskiego, lecz także instytucje naukowe, zagraniczne i krajowe, poczytały sobie za zaszczyt policzyć go w poczet swych członków. Królewskie Towarzystwo naukowe w Getyndze, pierwsze pośpieszyło wyrazić mu swój hołd, przyjmując go do swego grona r. 1808, jako »sodalis honorarius.« W ślady Towarzystwa naukowego getyngskiego poszły r. 1809 Królewskie czeskie Towarzystwo nauk w Pradze, r. 1811 Królewskie Towarzystwo przyjaciół nauk w Warszawie, r. 1812 Cesarska Akademia austriacka sztuk wyzwolonych w Wiedniu, r. 1816 Akademia Jagiellońska w Krakowie, r. 1817 Uniwersytet Wileński, r. 1818 c. k. Towarzystwo gospodarskie w Wiedniu, r. 1824 Morawsko-szląskie Towarzystwo dla wspierania rolnictwa i krajoznawstwa, r. 1825 Towarzystwo Muzeum czeskiego w Pradze. Wszystkie te instytucje uczyniły go swoim członkiem honorowym lub rzeczywistym, a Uniwersytet lwowski nadał mu r. 1820 tytuł doktora filozofii.

Wśród zajęć urzędowych i trosk około powierzonej sobie biblioteki nadwornej, którą Francuzi, opanowawszy Wiedeń, ze skarbów ogłosić usiłowali, Ossoliński nigdy nie zapominał o celu swego życia, który sobie był wytknął.

Gdy umowa z hr. Stanisławem Zamoyskim dnia 17 sierpnia r. 1804 w Łańcucie zawarta a przez cesarza dnia 23 lutego r. 1809 zatwierdzona, wskutek zmian politycznych stała się niemożliwą, Zamość bowiem, gdzie biblioteka Ossolińskiego pierwotnie stanąć miała, został oderwany od państwa austriackiego i przyłączony do Księ-

stwa Warszawskiego, — obrał Ossoliński Lwów, stolicę Galicyi, jako siedzibę dla swoich zbiorów i dla zamierzonej fundacyi, i w tym celu nabył dnia 26 marca r. 1817 na licytacji publicznej klasztor po Karmelitankach trzewickowych za 23.710 złr. na swą własność. Statut dla fundacyi przez Ossolińskiego ułożony, potwierdził cesarz dnia 4 czerwca r. 1817. W temże ustanowieniu przeprowadza Ossoliński plan swojej fundacyi szczegółowo w 60 paragrafach, pamiętając o wszystkich jej potrzebach i zabezpieczając wszelkimi sposobami jej przyszłość. Na czele instytucyi miał stanąć kurator dziedziczny, który zarazem miał być właścicielem dóbr przez Ossolińskiego posiadanych, z których rocznie 6.000 złr. do kasy zakładowej na użytek biblioteki płacić powinien. Żeby ta suma nie stała się z biegiem czasu za szczupłą, miała być co lat pięćdziesiąt przeprowadzoną ewaluacya tej kwoty na podstawie cen zbożowych. Urzędników ustanawia trzech, dyrektora, kustosa i pisarza oraz dwóch posługaczy; dyrektora zaś zobowiązał, aby z przybraną liczbą pracowników wydawał dziennik pod tytułem »Wiadomości o dziełach uczonych,« na które to wydawnictwo otrzymał pozwolenie. Gdy zaś dnia 25 grudnia r. 1823 między Ossolińskim a ks. Henrykiem Lubomirskim, życzącym sobie poświęcić przy bibliotece lwowskiej im. Ossolińskich publicznemu użytkowi posiadane przez siebie, do nauk i sztuk ściągające się zbiory i przedmioty,« stanęła ugoda tej treści, że ks. Lubomirski zbiory swe wcieli do fundacyi Ossolińskiego, jako osobne, a pomimo to na wieczne czasy ściśle z nią połączone »Muzeum im. Lubomirskich« i gdy temuż księciu i całemu jego pokoleniu podług zasad mającej nastąpić erekcyi majoratu przeworskiego oddał kuratoryę literacką, okazała się zmiana pierwotnego statutu konieczną. Wyłożył ją Ossoliński szczegółowo w akcie dodatkowym do ustawy fundacyjnej, sporządzonym w Wiedniu dnia 15 stycznia 1824 r. w dwudziestu pięciu paragrafach: zamiast jednej i jednolitej kuratoryi, ustanowił dwóch kuratorów: literackiego i ekonomicznego, który ostatni z najbliższej familii Ossolińskiego pochodząc, ma być posiadaczem dóbr na fundusz ustanowienia literackiego przeznaczonych, płacić z nich ma do kasy bibliotecznej 6.000 złr., oraz procent 5 od sta z kwoty złr. 20.000 na owych dobrach zapisanych w celu

tworzenia funduszu rezerwowego, szczegółowo w paragrafie 5 opisanego. Ewaluacya zaś kwoty przez kuratora ekonomicznego rocznie płacić się mającej, ma następować nie co pięćdziesiąt, lecz co lat dwieście.

Szlachetna myśl Ossolińskiego znalazła przychylne uznanie w kraju, którego stany już r. 1822 kazały na cześć jego wybić medal, przedstawiający z jednej strony popiersie Ossolińskiego, z drugiej widok biblioteki od strony ogrodu według projektu wiedeńskiego architekta Nobilego z odpowiednim napisem.

Oddając się wyłącznie tylko swym obowiązkom i pracom naukowym, którym wiele czasu poświęcał, przerabiając kilkakrotnie każdą rzecz przez siebie napisaną, prowadził życie ciche i spokojne, znajdując dostateczne zadowolenie w towarzystwie uczonych krajowych i zagranicznych, którzy zwiedzając Wiedeń, nie omieszkali składać mu hołdu.

W r. 1823 Ossoliński utracił wzrok, który od młodości zawsze był krótki, a dnia 17 marca r. 1826 zakończył swój pracowity a dla nauki i ojczyzny pożyteczny żywot, zostawiając głęboką żalobę w sercach wszystkich, którzy go znali.

Z prac Ossolińskiego wyszły w druku następujące dzieła osobne:

Lucyusza Anneusza Seneki »O Pocieszeniu« ksiąg troje. Przekładania Józefa Maksymiliana Ossolińskiego. Warszawa, 1782. 4°.

Mowy Jerzego Ossolińskiego, kanclerza wielkiego koronnego. Przekładania Józefa Maksymiliana hrabi z Tęczyna Ossolińskiego. Warszawa. 1784. 8°.

O potrzebie nauki prawa w naszym kraju. Warszawa 1814. 8°.

Wiadomości historyczno-krytyczne do dziejów literatury polskiej o pisarzach polskich, także postronnych, którzy w Polskę albo o Polskę pisali, oraz o ich dziełach; z rozstrząśnieniem warostu i różnej kolei ogólnego oświecenia, jako też szczególnych nauk w narodzie polskim. Przez Józefa Maksymiliana hrabię z Tęczyna Ossolińskiego, komandora orderu św. Stefana, zaufanego radcę stanu J. C. K. A. Mci etc. Tom I i II. Kraków. 1819. 8°; tom III, część I—II. Kraków. 1822¹⁾; tom IV. Lwów. 1852. 8°.

1) Tom III wyszedł r. 1851 ponownie z tytułem zmienionym: *Żywot i sprawy Stanisława Orzechowskiego.*

O rozmaitem następcwie na tron za dynastji Piastów. Rozprawa z rękopisów Józefa Maksymiliana Ossolińskiego wyjęta. Lwów. 1833. 8°.

Tyta Liviusza »Dzieje rzymskie.« Przekład Józefa Maksymiliana hr. Ossolińskiego. Tom I, ks. I—V; tom II, ks. VI—X; tom III, ks. XXI—XXIV. Lwów. 1850. 8°.

Wieczory Badeńskie, czyli powieści o strachach i upiorach z dołączeniem bajek i innych pism humorystycznych Józefa Maksymiliana hr. Ossolińskiego. Kraków. 1852. 8°.

Prócz listów prywatnych i memoriałów urzędowych Zakład narodowy imienia Ossolińskich we Lwowie posiada 24 prace Ossolińskiego w rękopisach.

Liczne wyjątki, mianowicie z prac historycznych Ossolińskiego, umieścili Siarczyński i Słotwiński w czasopiśmie przez siebie wydanem w latach 1828—1834.

Dr. Wojciech Kętrzyński.

Dyrektor Zakładu narodowego im. Ossolińskich we Lwowie.






Dr. J. P. KRAUSZAR i W. BĄSIŃSKI WARSZAWA.

Portret portretu ze zbiorów Al. Kraushara.

Wł. Potłęg *S. P. B. Kraus*
z Warszawy Dnia 26. Marca 1789.

Ksiądz Hugo Kołłątaj.

* 1750 † 1812.

oko niepospolitej postaci reformatora Akademii Krakowskiej i oświaty ogólnej w dawnej Rzplitej zgrupowała się już pokaźna literatura broszur, rozpraw i studyów, podnosząca nietylko niepospolite zasługi obywatelskie Hugona Kołłątaja, lecz jednocześnie przekazująca potomności pamięć błędów i zboczeń jego charakteru.

Gdyby tu miejsce było na krytyczny rozbiór działalności owego kapłana i męża stanu, który w historii reform politycznych Rzplitej Polskiej tak wybitną grał rolę, iż stał się niejako nieodłączną postacią dziejów ogólnych kraju ze schyłku XVIII w. i to jednym z bardziej wpływowych czynników, możnaby wykazać między pierwszym potępiającym Kołłątaja pamfletem Linowskiego z r. 1795 i ostatnim kamieniem rzuconym w r. 1886 na grób księdza pondkanclerza, ręką autora *Sejmu Czteroletniego* (T. II, 370—401) duchową łączność stronnicych uprzedzeń, które przez życie całe przeciw Kołłątajowi walczyły, a które świadczą jedynie o trafności orzeczenia Jana Śniadeckiego, iż «ludzie zawistni i przygody polityczne,—wszystko to zmówiło się na udręczenie jednego człowieka!»

Zastęp przeciwników Kołłątaja jest liczny, niemniej jednak pokaźnym jest i zastęp jego apologetów.

Dostateczna wymienić szanowne nazwiska Ignacego Badeni'ego, który w *nekrologu Kołłątaja*, ogłoszonym w r. 1819 na posiedzeniu publicznym Towarzystwa Naukowego Krakowskiego podniósł niespożyte zasługi owego reformatora nauk

w Polsce i Jana Śniadeckiego, autora *Żywota literackiego Kołłątaja* (1813), Henryka Schmitta *Pogląd na żywot Kołłątaja* (1860) i *Kołłątaj i jego prześladowcy* (1873), Woyciecha Grochowskiego (życiorys K. w «Tygodniku Ilustrowanym», 1861), Leona Zienkowicza (*Wieczory Lacha z Lachów*, 1864), Władysława Smoleńskiego (*Kuźnica Kołłątajowska*, 1885), Tadeusza Korzona—by przeciwstawić faktom dodatnim przez pisarzy tych wyjaśnionym—fakta ujemne, ze zbytnią surowością i bezwzględnością w pismach Linowskiego, Wegnera, Siemieńskiego, *Pamiętniku anegdotycznym z czasów Stanisława Augusta* (J. I. Kraszewskiego) i w *Pamiętniku Generała Zajęckiego* (Poznań, 1862) i Kalinki o Kołłątaju ujawnione.

Potok zarzutów, pamięci owego męża czynionych, z jednego wypłynął źródła.

Jest niemal nieodzownem, a fatalnem następstwem działalności politycznej, jednostek historycznych, iż pozostawiają po sobie na długo ślad uprzedzeń i niechęci, jakby dalekie echo owej burzy, która się nad głowami im współczesnych srożyła. Ludzie uczeni, zajęci pracą umysłową, od interesów potocznych oderwana, mogą częstokroć budzić zawiść w tych, którzy im poziomem swej wiedzy lub charakterem, sprostać nie są w stanie, lecz wolni są bezwarunkowo od atmosfery nienawiści, która wyłącznie tylko polityków i mężów stanu otacza.

Gdyby Kołłątaj ograniczył sferę swego działania i wpływu tylko do nauki czystej i pozostał był po sobie pamięć reformatora edukacji

krajowej — nazwisko jego świeciłby jednogodny chór uznania i pochwał gorących. Jako mąż stanu, agitator, polityk i człowiek wielkiej ambicji, musiał wytworzyć przeciw sobie zastęp współzawodników, którzy wszelaką bronią wpływ jego zniweczyć się starali.

Niemniej znaczącym, a ujemnym w życiu Kołłątaja czynnikiem była dwoistość jego charakteru: jako kapłana i agitatora, który, przejawiając się naleciałościami zasad wielkiej rewolucji francuskiej usiłował krzewić te zasady w społeczeństwie, hołdującemu przeciwnie zasadom konserwatyzmu religijno-politycznego. Wyjaśnienie takiej sprzeczności między charakterem księdza polskiego i liberała, w nowoczesnym tego pojęcia znaczeniu, należałoby chyba szukać w owym przewrocie umysłowym, jaki nastąpił w społeczeństwie polskim z końca XVIII wieku, a który w znanym studium Wł. Smoleńskiego znalazł swego historyografa.

Nie zatrzymując się dłużej nad ogólnym poglądem na doniosłość i charakterystykę postaci Hugona Kołłątaja, przystępujemy do zarysu biograficznych o nim szczegółów.

Hugo Kołłątaj (urodzony w dniu 1 kwietnia 1750 r.) wywodzi swe pochodzenie z rodziny szlacheckiej, niegdy w b. woj. Smoleńskim osiadłej, która po przesiedleniu się do Korony trzymała dzierżawą wieś Niecisławice w Sandomierskiem. Szkoły początkowe skończył Hugo w Pińczowie, akademickie w Krakowie. Obrawszy stan duchowny, udał się do Rzymu, gdzie wydoskonaliwszy się w teologii i prawie kościelnym, otrzymał stopień doktora. Poświęcał się nadto z zamiłowaniem historii, literaturze i sztuce pięknej. Wrócił do kraju z tytułem uczonego członka instytutu bonońskiego i nauk wyzwolonych w Rzymie. Gdy, po zgonie Józefa Żałuskiego, biskupa kijowskiego, zaważowała kanonia krakowska, papież, od którego właśnie podówczas zależała nominacja następcy, udzielił prezenty Kołłątajowi, wbrew przeciwnym staraniom władzy biskupiej krakowskiej, która niechętnie *kortezanów* do swego grona przyjmowała. Było to pierwsze starcie Kołłątaja z władzą duchowną. Pociągnęło ono za sobą protest kapituły i późniejsze przesładowania młodego kapłana, które jednak zakończyło się dlań pomyślnie. Objąwszy kanonię, wyjechał do Warszawy, gdzie właśnie zawiązaną zo-

stała Komisja Edukacyjna, do której składu, dla uznanych zdolności swoich powołanym został, ze szczególnem przeznaczeniem do wydziału ksiąg elementarnych.

Jednocześnie otrzymał Kołłątaj misję do Akademii Krakowskiej dla ułożenia nowego planu nauk i projektu reformy tej instytucji.

Było to następstwem zadania, jakiego się podjęła Komisja Edukacyjna po zniesieniu zakonu jezuitów i obróceniu majątków nieruchomych i ruchomych tegoż na fundusz edukacji narodowej. W pierwszym rządzie postawiono Akademię Krakowską, która jako Szkoła główna miała objąć zwierzchni nadzór nad wszystkimi szkołami w Koronie. Kołłątaj podjął się trudnego, lecz nie nad siły zadania, przejął i uporządkował akta i fundusze Akademii, wypracował plan nauk i postawił jako zasadę naczelną, by wszelkie nauki, zamiast po łacinie, w krajowym były odtąd wykładane języku, a posady nauczycielskie wyłącznie krajowcom powierzano.

Aby ułatwić wszystkim stanom możność ukształcenia się do posług obywatelskich, odstąpił Kołłątaj od zasady podziału szkół na wiejskie, miejskie i szlacheckie, a przyjął natomiast podział ich na początkowe, powiatowe i prowincjonalne, ustanowiwszy nad nimi dwie szkoły główne w Krakowie i w Wilnie. Było to zatem uświęcenie jednoci zarządu szkolnego, na którą się dopiero znacznie później zdobyła Francja, a za nią i inne kraje Zachodu i to właśnie w historii oświaty, nie tylko krajowej, stanowi tytuł do ważnej zasługi Komisji Edukacyjnej, pośrednio zaś i Kołłątaja.

Zanim jednak reforma ta weszła w życie nastąpił w życiu Kołłątaja zwrot stanowczy, który go, skutkiem zatargu z władzą biskupią krakowską skierował na drogę kariery dworskiej i po odbyciu trzyletniego rektoratu w Akademii Krakowskiej, skłonił do ubiegania się w r. 1786 o referendację litewską, którą też otrzymał.

Wszedłszy do zawodu politycznego, miał dopiero Kołłątaj sposobność zużytkować te pomysły, które jego umysł, zastanawiając się nad najnaglejszemi ówczesnemi kraju potrzebami, ciągle się zaprzętał. Położenie stanu wiejskiego i miejskiego stało się głównym przedmiotem jego rozpamiętywań. Pierwszy krok do zbliżenia ku sobie owych stanów i wytworzenia tym sposobem

jedności sił, tak niezbędnej dla prawidłowego rozwoju społeczeństw, uczynionym już został w reformie wychowania ogólnego. Teraz, w epoce sejmku wielkiego, który miał za zadanie przeprowadzenie reform polityczno-społecznych w kraju, nastąpiła dla Kołłątaja sposobność wypowiedzenia w głośnych *Listach Anonima do Stanisława Małachowskiego* myśli, dążących do utrwalenia w narodzie przekonań o konieczności zmian stanowych w organizacji politycznej Rzeczypospolitej. Zasady dziedziczości tronu, porządku sejmowania, powołania miast i gmin wiejskich do udziału w życiu publicznym, przyznanie mieszcza-
nom praw obywatelskich, włościanom — cywilnych, — stanowią główną treść pamiętnych listów Anonima, zajmujących w literaturze politycznej polskiej także samo stanowisko, jak głośne ongi listy Juniusa w literaturze angielskiej.

Czasy sejmku czteroletniego pobudziły do żywego ruchu umysły polityków i wytworzyły obfitą literaturę broszurową.

Pisma Kołłątaja, wydane podówczas w odpowiedzi na broszury w sprawie *elekcji królów*, jak również obszerna rozprawa *o bekrólewniach w Polsce*, trafiły do przekonania większości sejmujących stanów i weszły następnie w głównych zarysach do tekstu konstytucji majowej, którą wypracowała najprzód w projekcie oddzielna deputacja przy udziale Kołłątaja. Nie zajmując jeszcze krzesła w senacie i nie mając mandatu posła, — umiał wszelako Kołłątaj oddziaływać na umysły sejmujących stanów podczas obradowania nad najważniejszymi działami prawodawstwa sejmku czteroletniego. Dzięki też jego wpływowi, ułożono projekt sądów asesorskich, pomnożono fundusze komisji spraw zagranicznych, uporządkowano prawa o miastach, sprawę podatków, starostw i osnuto podstawy do kodeksu cywilnego dla obojga narodów.

Do oddziaływania na opinię ogółu uciekał się Kołłątaj nie tylko do publikacji broszur, lecz idąc za wzorem agitatorów francuskich, sformułował stronnictwo «Kuźnicą» nazwane, w którym kuto groty i kierowano pociski przeciw konserwatystom.

«W «Kuźnicy» — pisze historyograf owego klubu, Wł. Smoleński, — rozprawiano o prawach człowieka, o potrzebie zrównania stanów i wyrzuceniu nawet wyrazu «stan» z narodowego słowni-

ka, z «Kuźnicy» sypały się pisma, polemizujące z ludźmi zasad odmiennych, chłoszcząc podłych lub głupich. W najrozmaitszej co do treści i formy wychodziły postaci, najróżnorodniejsze bowiem wśród zmieniających się ciągle okoliczności w upale tych czasów budziły się kwestye. Staje więc w jednym szeregu rozprawa naukowa z powieścią, satyrą, humorystką, epigramatem, pamfletem, a nawet paszkwilem i płacze się chłód ścisłych wywodów z ogniem gwałtownych uniesień, z wybuchem oburzenia, z dowcipem, drwinami i osobistą zaczepką.»

Działalność Kołłątaja związała się ściślej jeszcze z historią epoki Sejmu Czteroletniego, z chwilą, gdy król, zniewolony, pomimo oporu, zgodził się na prośbę klubu konstytucyjnego, aby Kołłątaj wszedł w r. 1791 do ministerium na urząd podkanclerza koronnego.

Przetrwał na tem stanowisku aż do upadku konstytucji majowej, dla której zabiegliwością swoją umiał przedtem zjednać najoporniejszych zrazu przeciwników.

Z chwilą jednak zawiązania konfederacji Targowickiej, działalność Kołłątaja, przedtem jednolita, jasna, stanowcza i nie wykazująca sprzeczności z duchem ustawy Majowej, zaczyna być dwulicową i chwiejną, czego wyrazem było zachowanie się Kołłątaja podczas pamiętnej sesji 24 lipca 1792 r., gdy radzono na przyłączeniu się do Targowicy. Zajęte wówczas przez Kołłątaja stanowisko dało asumpt do literatury polemicznej, wytworzonej przez rozprawy: Wegnera, Siemieńskiego (w przedmowie do wydania listów Kołłątaja), Henryka Schmitta («Ksiądz Kołłątaj i jego prześladowcy») i t. p.

Zwrot w przekonaniach księdza podkanclerzego wywołała zdrada Prus i uznana przez Kołłątaja konieczność przerzucenia się do ówczesnej polityki dworu rosyjskiego.

Był podówczas Kołłątaj gorliwym zwolennikiem projektu powołania na tron Rzeczypospolitej Wielkiego Księcia Konstantego Pawłowicza i nie zaprzestał agitacji w tym kierunku nawet po opuszczeniu Warszawy i usadowieniu się po krótkim pobycie u wód czeskich, w Lipsku, gdzie właśnie podówczas emigracja polska tworzyła środowisko zabiegów około pozyskania pomocy Francji dla swojej sprawy.

Konfederacja Targowicka nie oceniła w duchu dla swej polityki przychylnym przelotnego zwrotu w przekonaniach Kołłątaja, tem więcej, że wiadomem było, iż ksiądz podkanclerzy, oszołomiony zwycięstwami wojsk republikańskich, jawnie przylgnął do krańcowych poglądów wszechwładnego stronnictwa francuskiego.

Nie była to jednak faza stanowcza w kształtowaniu się pojęć i przekonań politycznych księdza podkanclerza. Rozpamiętywanie na obczyźnie nad dolą społeczeństwa rodzimego, nad wszystkimi przyczynami, które z winy organizacji wadliwej. Rzplitej katastrofę sprowadziły, dało asumpt do pomnikowego dzieła *O ustanowieniu i upadku uchwały Majowej*, stanowiącego zbiorowy wyraz poglądów twórców tejże ustawy.

Rolę Kołłątaja w czasie krótkotrwałego pobytu w Warszawie w roku 1794, wyjaśnia w *Listie do przyjaciela* Linowski. Była ona zgodna nie tylko z ówczesnym nastrojem umysłów ludności miejscowej, lecz i z ogólnym europejskim, sprosrowadzonym na manowce skrajnemi zasadami klubistów francuskich. Po upadku Warszawy dostał się Kołłątaj w ręce władz austriackich, które go przez lat ośm trzymały w więzieniu Josephstadt i Ołomuńca.

Tutaj to oderwany od zawichrzeń światowych utworzył Kołłątaj dzieło: *O porządku fizyczno-moralnym, czyli o nauce, o należyłościach i powinnościach człowieka*, przeznaczone następnie w Akademii Krakowskiej, jako podręcznik do wykładu prawa przyrodzonego.

Opuściwszy więzienie złamany na siłach, z zarodem choroby artrytycznej, która go do grobu doprowadzić miała, wrócił Kołłątaj do kraju i osiadł na Wołyniu, gdzie go odwiedził Czacki i zjednął do wspólnej pracy nad przygotowywaną podówczas pracą około zreformowania szkół w kraju.

W r. 1806, osiadłszy w pustkowiu Fetylwieckiem, pod Krzemieńcem zawiązał bliższe stosunki ze Śniadeckimi, Woroniczem, Lindem, Euzebiuszem Słowackim, Aloizym Osieńskim i innymi wybitnymi uczonymi.

Tutaj też zabrał się na nowo do prac swoich naukowych i do zaprowadzenia projektów szkolnych Czackiego w wykonanie. Uczestnicząc przy egzaminach rocznych w szkole Krzemienieckiej,

miał sposobność przekonać się o praktyczności nowego systematu edukacji krajowej.

Po zawartym w Tylży pokoju przeniósł się do Księstwa Warszawskiego i wtedy ogłosił dwa dzieła: *O politycznym stanie Europy* i *Uwagi nad teraźniejszym położeniem Księstwa Warszawskiego*. Krytyczne położenie jego majątkowe zmusiło go do starań o odzyskanie dóbr dziedzicznych i dożywnych, podczas zawieruchy wojennej utraconych, lecz nie doczekał się ziszczenia obietnic, jakich mu w tej mierze udzielił król saski, książę Warszawski. Umarł w Warszawie dnia 28 lutego 1812 roku.

Ważniejsze dzieła Kołłątaja ogłosił drukiem Kojsiewicz w Krakowie. Obejmują one: *Korespondencję z Czackim* w przedmiotach reformy szkół, tomów cztery,—*Rezbior krytyczny zasad historyi o początkach rodu ludzkiego*, tomów trzy.

Z innych ważniejszych dzieł księdza podkanclerza wymieniamy:

Pamiętnik o stanie duchowieństwa katolickiego polskiego w połowie XVIII wieku (Poznań, 1840).

Porządek fizyczno-moralny (Kraków, 1810).

Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III (Poznań, 1841).

O ustanowieniu i upadku konstytucyi, dwa tomy (1830 r.).

Uwagi nad teraźniejszym położeniem X. Warszawskiego (Warszawa, 1808).

Rozczarowaniu swemu i boleści, wobec niechęci przeciwników, która mu ostatnie lata życia zatruwała, dał Kołłątaj wyraz w rzewnych słowach swego testamentu.

«Grób stał się dla mnie pożądanym — pisał,—śpieszę się do tego domu wieczności, gdzie, wolny od niesprawiedliwości i niewdzięczności ludzkiej,—odpocznę na zawsze...

«Tak się podobało Opatrzności! Nie sarkalem na Jej wyroki, uważalem je, owszem, jako widome dobro. Było to gorzkie, ale skuteczne lekarstwo, które posłużyło do okazania przed światem mojej niewinności. Stan nędzy, w którym mnie śmierć zastaje, najwidoczniej każdego przekona, jak złośliwie mnie spotwarzano, rozgłaszając, że miliony publiczne ukryłem, że w momencie ogólnego upadku o sobie nie zapomniałem...

«Nienawiść i potwarz nie ma więcej potrzeby, krzywdzić moich popiołów, a jeżeli prawda nie

była wszystkim dotąd znana, stanie ona teraz na moim grobie i dowiedzie, że nie mam nic, co bym mógł nazwać swoim.»

Nie można godniej uczcić pamięci niepospolitego owego człowieka, jak powtórzeniem opinii Jana Śniadeckiego o Kollataju:

«Mąż przymiotów i mocy takiej mógł zaiste przewodzić i okryć się chwałą na spokojnem polu nauki i rozmyślania; ale wystąpiwszy na scenę, gdzie wszystkie wysilenia rozumu i serca rozbiły się o przeciwne żywioły, musiał się spotkać z wyrokiem twardego przeznaczenia, skazującego go na pastwę zemsty i zawziętości. Opinia światowa jest, jak owa bajeczna u poetów Circe, która swoich zwolenników potępia i wynosi, według tego, jak im co się nie uda, albo dopną swego. ✧

✧ Kto się puszcza na morze takich niebezpieczeństw, oddaje się tej nieuchronnej wypadków kolei...

«Kiedy w głębszej wypadków odległości umilkną namiętności, skonają uprzedzenia, utracą wiarę kłamstwa; kiedy naród, rozmyślając nad srogimi dla siebie ciosami, poznawać zacznie przyjaciół, nie w tych, co mu schlebiali, co tarli lub głaskali jego narowy, ale w tych, co mu śmiało i szczerze wytykali jego błędy i przewinienia, wtenczas świadomsze rzeczy usta dojrzałym i surowym rozsądkiem oddając wypadki i zawody, winy i zasługi, szkody i korzyści, naznaczą Kollatajowi właściwe miejsce i ocenią jego rzetelną wartość.»

Aleksander Kraushar.



Jenerał Dezydery Chłapowski.

• * 1788 † 1879.

Dnia 23 maja r. 1788, w dziedzicznej wsi Turwi w Wielkopolsce, panu staroście kościańskiemu, ożenionemu z Urszulą z Moszczeńskich wojewodzianką inowrocławską, przybył syn Dezydery. Matka odumarała dziecko wczesnie. Dezydery posłany do szkół pijarskich w Rydzynie, celował szczególnie w matematyce i do żołnierki okazywał chęć nieposkromioną. Bacząc na to, ojciec umieścił 14-letniego chłopca w pułku dragonów imienia jenerała Bruese-witza, którego kilka szwadronów stało załogą w Kościanie i Szmiglu, a zarazem wyrobił mu, że mógł jako kadet pułkowy uczyć się w Berlińskiej Akademii artylerji.

W początkach r. 1806, mobilizowano armię pruską. Jenerał Bruesewitz zapytał starostę kościańskiego, czy chce, by syn jego ruszył w pole. Ojciec przewidując wojnę z Francją, żądał, by syna

wykreślono z pułku. Dezydery pozostał jednak w Akademii aż do wejścia Francuzów, których skoro zoczył, siadł na konia i cwałem popędził do Poznania, gdzie nic jeszcze nie wiadano o bitwie pod Jeną i gdzie on pierwszy przywiózł ziomkom wiadomość, iż Francuzi są już w Berlinie. Napoleon przyjmując tam (19 listopada) uroczyste deputacyę polską, rzucił jej słowa wielkich nadziei, jeśli wystawią Polacy trzydzieści

do czterdziestu tysięcy żołnierza. Ogłoszono więc pospolite ruszenie i każdy siadał na konia a do Poznania zjechał jenerał Dąbrowski i rozpoczął niezwłocznie formacyę dwóch pułków jazdy i czterech piechoty. Ponieważ cesarz Francuzów miał przybyć do Poznania, Dąbrowski, utworzył przeto ze stu synów obywatelskich gwardyę honorową, do której wstąpił Chłapowski w której



Podług współczesnego portretu ze zbiorów Ad. Szpadkowskiego.

uczył musztry swoich kolegów. Cesarz trzy dni przepędził w Poznaniu, codziennie objeżdżając okolice, otoczony swą swoich oficerów i gwardyą honorową, wśród której zauważył komendującego nią młodziutkiego Chłapowskiego. Zdziwiony przytomnością jego umysłu i odpowiedziami, kazał mu raz pozostać we trzech z marszałkiem Berthier u siebie na obiedzie, a dzień ten stał się pamiętnym w życiu Dezyderego i wpłynął na całą jego przyszłość. Odjeżdżając do Warszawy, kazał Dąbrowskiemu mianować go porucznikiem a w pół roku później, po traktacie tylżyckim, dał z Paryża rozkaz, aby mu przysłano owego młodego Polaka do Francji. Toczyła się wówczas wojna. Dąbrowski odjechał do swych pułków pod Gnieznem, z kąd ruszył do Tczewa.

Była to mała forteczka na drodze do Gdańska, którą należało zdobyć i tutaj to miał młody żołnierz pierwszą okazję do wypróbowania się w ogniu. W kilka dni potem szef sztabu francuski przypisał Chłapowskiemu i trzynastu innym wstążeczkę legii honorowej, a generał Dąbrowski, ogłaszając ich nazwiska w rozkazie dziennym, nadmienił, że jeszcze żadna dywizja francuska nie otrzymała naraz tak wiele znaków zaszczytnych. Pod Gdańskiem dostał się młody porucznik do niewoli i wyprawiony został wśród dwustu jeńców do Rygi, ale gdy dnia 9 lipca r. 1807 stanął pokój w Tylży i jeńców z obu stron uwolniono, Chłapowski bezzwłocznie ruszył na Wilno do Warszawy, gdzie przedstawił się księciu Józefowi Poniatowskiemu i mianowany został kapitanem z krzyżem *Virtuti militari* za odbytą kampanię. Dąbrowski chciał go mieć swoim adjutantem, lecz Napoleon mianował go swoim oficerem służbowym i Chłapowski musiał ruszyć do Francji.

Od przyjazdu do Paryża, życie Chłapowskiego — powiada Kalinka — przy Napoleonie, wplecione było w koło wielkich wypadków europejskich. Być przy boku takiego bohatera, co świat cały porywał za sobą, było to szczęście, którego wielu musiało mu zazdrościć. Czuł jednak młody kapitan znaczne niedostatki w swojej wiedzy wojсковej i gdy cesarz przyjąwszy go łaskawie w Fontainebleau, zapytał: do jakiej służby chce wstąpić, prosił, aby mógł pozostawać czas jakiś w paryskiej szkole politechnicznej, świeżo przez cesarza zreorganizowanej.

Jeszcze rok szkolny nie był się skończył, kiedy Napoleon kazał Chłapowskiemu przyjechać do Bajonny i wejść w obowiązki oficera służbowego. Oficerowie służbowi Napoleona byli rzeczywiście jego adjutantami, chociaż tej nazwy nie nosili. W czasie pokoju oficer taki miał lekkie zajęcie szambelańskie, ale w czasie kampanii była to służba najtwardsza i oficer, który w tej szkole przebył lat kilka, wychodził uzdolniony na wodza. W Bajonnie zdał Dezydery egzamin ze szkoły politechnicznej przed generałem Bertrande, a że przewidywano wojnę z Hiszpanią, wziął się więc do nauki języka hiszpańskiego. Jakoż dnia 3 czerwca wieczorem, cesarz kazał mu jechać do Hiszpanii z depeszami do marszałków, którzy tam komenderowali. Kazał mu, aby nazajutrz o g. 4-ej z rana stanął w Wiktorii z depeszą u generała Verdiera, zamtąd żeby jechał bez zatrzymania do Bessiera w Burges i do Murata w Madrycie. Chłapowski zmieniając konie na pocztach i pędząc po dwie i pół mili na godzinę, ubiegł w ciągu pierwszej nocy dwadzieścia cztery mile. Nad ranem, wcześniej niż było naznaczone, stanął w Wiktorii, o południu w Burges, a nazajutrz w Madrycie. Lecz skoro tam przybył, nogi mu tak popuchły, że się na nich utrzymać już nie mógł i poprowadzić go musiano do marszałka. Aby ściągnąć buty, musiano je poprzeryzać. Murat zatrzymał go w Madrycie przez kilka tygodni, poczem odprawił z powrotem do Bajonny, gdzie Chłapowski złożył raport z tego, co widział, nie ukrywając przed cesarzem, że gdy Hiszpanie dowiedzą się, iż przysyła im Józefa swego brata na króla, wybuchnie ogólne powstanie. Wypadki bardzo prędko dowiodły, że Chłapowski się nie mylił, a Napoleon musiał użyć niemal całej armii, aby chwiejący się tron brata ratować.

W ciągu lata (1808), Chłapowski pełnił służbę przy Napoleonie, gdy ten jeździł do Erfurtu dla widzenia się z Cesarzem Aleksandrem, poczem powrócił z nim znów do Bajonny a w dniu 8 listopada przejechał z wielkim wodzem granicę hiszpańską. W Hiszpanii był nieustannie na jego posługach, bądź dla porozumiewania się z dowódcami korpusów, bądź w bitwach. Kilkakrotnie odbywał podróże w najtrudniejszych warunkach, bo Hiszpanie nie mogąc podołać Francuzom, w polu, prowadzili zaciętą wojnę podjazdową. I Chłapowskiemu nieraz się zdarzyło, że gdy przez

góry i wawozy jechał z rozkazami cesarza Francuzów, z poza krzaków padały strzały do niego wymierzone.

Dnia 15 stycznia 1809 r. w Walladolid, Napoleon kazał Chłapowskiemu jechać do Prymasa w Moguncyi, ztamtąd do króla westfalskiego w Kassel, dalej do króla saskiego w Dreźnie, z dreżna do Warszawy. W Warszawie miał sobie polecone przekonać się o duchu, jaki w Księstwie panuje, dowiedzieć się, co Austriacy robią w Galicyi i powrócić jak najspieszniej do cesarza. Puścił się tedy jak zwykle konno w powyższą podróż niezwłocznie, która od granicy hiszpańskiej do Warszawy trwała dni i nocy dziewiętnaście. Przez Romana Sołtyka wywiedział się Chłapowski o siłach austriackich w Galicyi, od generała Kniaziewiczza otrzymał wiele cennych informacji, które okazały się Napoleonowi bardzo przydatne. Opuszczał Warszawę nie bez żalu, bo właśnie odbywać się tam miała uroczystość otwarcia pierwszego sejmiku księstwa.

Niebawem nowa zaczęła się wojna z Austryą. Od 21 do 23 kwietnia r. 1809, przez trzy doby, armia francuska odbyła przeszło dwadzieścia mil marszu i stoczyła trzy bitwy zwycięskie. Nieprzyjacieli zdziesiątkowany i zdemoralizowany zostawiając otwartą drogę do Wiednia. Tak wielkie wysilenia cesarz szczególną chciał odznaczyć nagrodą. Davoustowi dał tytuł księcia d'Eckmühl. Oficerom każdego pułku kazał wybrać z pomiędzy siebie najwaleczniejszego, a gdy wybrani stanęli przed frontem, mianował każdego z nich dziedzicznym baronem z dotacją dożywotnią 4,000 franków rocznie. Podobny zaszczyt i bardzo zasłużony dostał się Chłapowskiemu, wówczas kapitanowi liczącemu 21-szy rok życia. On to bowiem wysłany z ważnym rozkazem do marszałka Masseny, który niewiadomo gdzie się wśród gór znajdował, odszukał go w sześć godzin w okolicy Pfaffenhausen i na rozstawionych koniach dwugodzinym galopem pomiędzy kręcącymi się oddziałami Austriaków, powrócił do Napoleona, co przyczyniło się do pierwszego zwycięstwa, podczas którego Chłapowski wożąc rozkazy cesarskie pod gradem kul, w nieustannym był ogniu. Po zwycięstwie Chłapowski wysłany do Davoust, w czterech godzin siedm mil upędził. Wśród najzaciętszej walki pod Wagram, gdy cesarz wysyłał Chłapowskiego z rozkazem i ten stojąc przed nim, powta-

rzwał (jak to było zwyczajem) dane sobie rozkazy, trzymając kapelusz ponad głową, wtem kuła działała, w biegu swoim już słabnąca, wyrwała mu go z ręki. »Dobrze, żeś nie wyższy« — rzekł, śmiejąc się Napoleon. Chłapowski zaś najspokojniej, jakby nic nie zaszło, mówił dalej, co miał powiedzieć.

Po podpisaniu zawieszenia broni w dniu 12 lipca, Chłapowski wysłany był przez Napoleona do księcia Józefa Poniatowskiego, którego znalazł w Krakowie. Z Krakowa przez Wiedeń powrócił do Schönbrunn, gdzie zdał cesarzowi pierwszą relację o wojnie Polaków z Austriakami. Po zawartym pokoju z Austryą, posłał Napoleon Chłapowskiego z instrukcją dla króla Józefa do Hiszpanii, gdzie wojna partyzancka wciąż się toczyła. Następnie Chłapowski wraz z innymi oficerami służbowymi cesarza został (w 22 roku życia) mianowany podpułkownikiem i przydzielony do gwardyi polskiej, szwoleżerów. W zimie z r. 1811 na 1812, gdy cesarz wraz z młodą małżonką objeżdżał Holandję, Dezydery dowodził eskortą w tej podróży.

Kampanię r. 1812 odbył Chłapowski razem z pułkiem szwoleżerów, a że Napoleon w tej wojnie gwardye, do których ten pułk należał, bardzo oszczędzał, więc i pułk do żadnej większej akcji nie był użyty. Po zniszczeniu tak olbrzymiej potęgi, jakiej dzieje jeszcze nie widziały, gdy książęta niemieccy ofiarowali Napoleonowi 2.000 koni na zremontowanie jego gwardyi, polecono Chłapowskiemu zreorganizowanie gwardyi konnej, do której wybrano 500 najlepszych ludzi z dywizyi Dąbrowskiego i gwardzystów litewskich Konopki, rozbitych pod Słonimem. W ten sposób podniesiono pułk szwoleżerów polskich do 10 szwadronów, a gdy Napoleon nadjechał do Paryża, wszystko już było gotowe. Czterem szwadronom kazał zaraz ruszyć z sobą, z których dwa oddał pod komendę Chłapowskiemu, dwa zaś Jerzmanowskiemu, ale Chłapowski jako starszy stopniem, nad wszystkimi dowodził. Po zwycięstwach Napoleona pod Lützen i Budyszynem w drodze do Görlitz dnia 23 maja (1813 r.) pod Reichenbach zaszła potyczka, w której Chłapowski na czele czterech szwadronów w pięciu szarżach wykonanych z szaloną odwagą rozbił i zmusił do ucieczki trzy pułki z kolei: dragonów, huzarów i kozaków i piechocie francuskiej otworzył wolną drogę. W osta-

tniej szarzy pękł granat obok niego i odłamem ranił go w ramię. Pomimo osłabienia dotrwał na koniu do końca bitwy, po której okrytego chwałą, przybyli uściskać: dowódzca całego pułku generał W. Krasieński i francuscy generałowie gwardyi: Walter, Lefevbre, Le Tort i inni.

Chłapowski z ręką obłożoną bandażami siedł dalej razem z armią ku granicy Księstwa Warszawskiego, ale dowiedziawszy się, że cesarz Napoleon odstępuje ten kraj stronie przeciwnej, oświadczył Chłapowski Soultowi w Dreźnie, że prosi o dymisyę. Cesarz, który lubił Chłapowskiego i ciągle się nim posługiwał, niemile tem był dotknięty. »Czy chcesz powrócić do ojca — rzekł udając, iż nie rozumie, o co Chłapowskiemu chodzi — tego nie możesz uczynić w tej chwili. Teraz zawrę pokój, ale mam nadzieję, że jeszcze raz zawitam szczęśliwiej do twego kraju.« I temi słowy go pożegnał, bez żadnej nagrody, bez żadnego uznania wielkich zasług, a d. 13 czerwca (1813 r.) polecił mu wydać żadaną dymisyę, ale w tym samym stopniu podpułkownika gwardyi, w którym Chłapowski służył już rok trzeci i odbył dwie wielkie kampanie. Razem z Chłapowskim zażądali uwolnienia kapitan Jordan i generał Chłopicki. Tegoż roku bitwa pod Lipskiem zwana »walką narodów«, w której znalazł śmierć książę Józef Poniatowski, położyła kres panowaniu Napoleona w środkowej Europie.

Z dymisyą otrzymaną z rąk Soult, Chłapowski pojechał do Paryża, gdzie zamieszkawszy w domu przyjaciół swoich Caramanów, rozchorował się na zgnilą febrę, która kilka miesięcy przetrzymała go w łóżku. Przyszedszy do zdrowia i nieprzyjawszy ofiarowanego mu dowództwa pułku gwardyi konnej królewskiej we Francyi, Chłapowski w jesieni r. 1814 wyjechał do Anglii, gdzie poraz pierwszy mógł przypatrzeć się narodowi używającemu w całej pełni konstytucyjnego i ekonomicznego życia.

Gdy w r. 1815 powrócił Chłapowski do dziedzicznej Turwi, zastał ojca już znacznie pochyłonego wiekiem, który się powtórnie ożenił. Życie nad stan starosty kościańskiego i wojny, przez które kraj przechodził, pociągnęły ruinę majątkową. Na dobrach Turwia i Rabin, oszacowanych na 1.200.000 złp. znajdowało się przeszło 1.000.000 złp. długów. Nic więc prawie nie pozostało Dezyderyemu z majątku ojcowskiego. »Otwierała się

przeto — powiada Kalinka — nowa przed Dezyderym epoka i nowa szkoła, jeżeli nie twardsza od tej, którą przeżył, to wprost przeciwna rodzajowi życia, jakie dotąd prowadził. Przez chwilę zawahał się, czy nie byłoby lepiej porzucić ten fikcyjny majątek, szukać chleba i dalej w służbie wojskowej. Ale Chłapowskiemu żal było porzucić majątek ojcowski. Postanowił więc osiąść na wsi i oddać się pracy żelaznej, aby uratować szmat ziemi. Chłapowski jał się pracy całą duszą, postawiwszy sobie, jako najgłówniejsze zadanie obywatelskie względem kraju: *oczyszczyć majątek z długów*; odprawił więc służbę zbyteczną, w życiu codziennem zaprowadził ścisłą oszczędność, zaprzestał kosztownych festynów, a charakterystyczną zapowiedzią nowego porządku domowego było to, że tarczę herbową nad głównymi drzwiami pałacu uprzął, a w jej miejsce kazał wstawić duży zegar. Wyższy bowiem jego umysł, nie troszczył się wcale o to, że ludzie miażdżących pojęć nazywali go dziwakiem i jakobinem.

Chłapowski na gospodarstwie jeszcze się nie znał, a przeczytawszy najlepsze dzieła rolnicze niemieckie, nabrał przekonania, że aby naukę agromonii zrozumieć, trzeba ją widzieć w praktyce. Gdy Thaer, który w Prusiech najwyższą był powagą gospodarczą, wyznał mu, że wszystkiego nauczył się od Anglików, Chłapowski wyjechał w lecie r. 1818 do Anglii i udał się tam do pana Cook, mieszkającego w hrabstwie Norfolk, mającego sławę niepospolitego agronoma. U niego to uczył się pułkownik napoleoński orać pługiem szkockim, doglądać chowu wszelkiego inwentarza, wstawał do dnia i nie wstydził się zabrudzić rąk i pracować zawzięcie razem z folwarczną czeladzią. Rozumny Anglik podziwiając dzielnego gentlemana polskiego, jego żądzę wiedzy i żelazną wytrwałość, namawiał go aby nie powracał do Polski. »Zostań tu z nami — mówił doń — tu się czego dorobisz, wśród Polaków zmarniejesz. Mili są oni i gościnni, ale nie umieją ani pracować, ani uczcić pracy. Ścisłości niema u was za grosz.« Chłapowski nie przeczył, że Polacy mają wielkie wady, ale dowodził, że mogą się z nich poprawić, że poprawiony Polak więcej wart od obcego, że on sam własną pracą i przykładem pragnie do poprawy ziomeków swoich się przyczynić. Od Cook'a pojechał do Szkocyi i tam najdłużej zabawił. Tam dopiero, jak

mówi, zrozumiał dokładnie plodozmian i wszystkie jego rodzaje wystudował. Poznał także Akademię rolniczą w Edyburgu. Kupował pługi i maszyny, i maszynistę szkodzkiego przywózł do Turwi, który się tam na Polaka przerobił.

Przebywszy półtora roku w Anglii i Szkocji, z bogatym plonem doświadczenia i nauki, powrócił napoleoński wojownik na zagon ojczysty. Tu zaczęła się dla niego prawdziwie herkulesowa praca, będąca walką z naszym nieporządkiem, lenistwem, nawyknięciami. Tu zaczęło się nowe jego życie, o którym pięknie wyraził się Paweł Popiel w nekrologu (*Czas*, 1879 r.), »że było przez lat pięćdziesiąt wzorem i szkołą dla całego ziemiaństwa polskiego.« Żołnierzem pozostał całą duszą, nawet jako rolnik. »Rolnictwo i wojna — mawiał — mają do siebie coś podobnego«. Jak na wojnie, sam rozstawiał placówki i do każdej zajrzał wedety, tak i na wsi wszędzie był, wszystkiego sam doglądał. »Kiedy kto kocha swój kraj — mawiał — to nietylko o tem myśli, aby z niego ciągnąć zysk, ale i o tem, jak go w granicach swojej działalności i pracy podnieść, upiększyć, ozdobić, uszlachetnić.« I tak się stało w majątkach Chłapowskiego, a jak każdy muzułmanin przynajmniej raz w życiu do Mekki, tak każdy ziemianin polski powinien był odbyć do Turwi pielgrzymkę. W ciągu dziesięciolecia rozumnej i żelaznej pracy a oszczędnego życia, Chłapowski majątek z długów oczyścił i parę mil kwadratowych kraju rodzinnego, które zajmowały jego dobrą, wzorowo zagospodarował i podniósł w trójnasób ich wartość i dochody. Polakom zarzucał w ogólności, że nie umieją kochać swego kraju, bo mało się uczą, mało czytają a wiele drogiego czasu marnotrawią lekkomyślnie na grę w karty i gadanie o rzeczach pustych. Gdy w r. 1823 przedsięwzięta została przez rząd pruski reforma zniesienia pańszczyzny, wszyscy reprezentanci szlachty wielkopolskiej za wpływem Chłapowskiego głosowali za tą reformą, a tylko miasta i gminy włościańskie były jej przeciwnie. Chłapowski kochając szczerze lud wiejski, uszczęśliwiony był z reformy uczciwie przeprowadzonej, na której wiele dla przyszłości kraju budował. Nie sądząc, aby ziemianin mógł usuwać się od spraw publicznych, należał do sejmów prowincjonalnych Księstwa, w r. 1830 był wicemarszał-

kiem sejmowym i przez wiele lat zasiadał w radzie Towarzystwa kredytowego.

W grudniu r. 1830 przybył Chłapowski z Turwi do Warszawy. W kwietniu roku następnego, w kilku potyczkach zwyciężkich zabrał wielu jeńców, w maju wykonał dzielną szarżę pod Długosiodłem, po której z polecenia Skrzyneckiego nastąpiła wyprawa na Litwę, co tyle ciężkich krzyżów przyniosła Chłapowskiemu. Wyprawa szła z początku bardzo pomyślnie. Czynny, energiczny i przezorny wódz, utrzymywał wzorowy porządek, ostatni szukał spoczynku, pierwszy opuszczał twarde posłanie ze słomy, stał się też zaraz duszą i bōżyszczem swego małego korpusu. Chłapowski zwyciężał większe od swego oddziały pod Bielskiem, Hajnowszczyzną, Lidą. W powyższych trzech bitwach zdobył trzy działa, 2.000 karabinów, wziął w niewolę 2.000 żołnierzy, to jest trzy razy więcej, niż miał ludzi pod sobą. Ale powodzenie wyprawy Chłapowskiego musiało ulegnąć zmianie od czasu, gdy otrzymał pod Żośłami rozkaz Giełguda, aby natychmiast przybywał do Kiejdan, dla obmyślenia dalszego sposobu działania. Od tej chwili Chłapowski utracił swoją samodzielność, bo jako generał najmłodszy musiał słuchać rozkazów generałów starszych, a mianowicie niedołęznego Giełguda, którego fatalne pomyłki dźwigał potem z rezygnacją na opinii swojej aż do zgonu. W Kiejdanach ułożył Chłapowski znakomity plan ataku na Wilno, a gdy ten został aprobowany przez Giełguda i Dembińskiego, wyruszył ze swoim oddziałem pod to miasto. Tymczasem chwiejny Giełgud zmienił swoje zamiary i wyprawił część swego wojska w przeciwną stronę pod Połagę. Mówiono o Chłapowskim, że oczekując przez sześć dni na Giełguda pod Wilnem, z niecierpliwości i rozpaczysy posiwał. Gdy oficerowie Giełguda oburzeni jego postępowaniem domagali się od niego, aby oddał komendę Chłapowskiemu, dopiero wówczas wyruszył Giełgud pod Wilno. Ale już było zapóźno. Przez dziesięć dni opóźnienia się Giełguda załoga Wilna wzmocnioną została z 3.000 do 15.000 wojska, pozycja doskonale okopana i uzbrojona 60 działami. Zdobycie więc już było niemożliwem, a jednak Giełgud nie chcąc, aby w razie powodzenia, chwała spłynęła na Chłapowskiego, trzymał tego najdzielniejszego oficera w oddaleniu, na tyłach. W niepomysłnym ataku na Szawle, Giełgud, nie

dał także Chłapowskiemu żadnego dowództwa. Wstrętne niedołęztwo rozkazów i działań Gielguda zmusiło Chłapowskiego do przejścia z kilkotysięcznym oddziałem przez granicę pruską i złożenia broni Prusakom. Aż do końca r. 1831 trzymali Prusacy Chłapowskiego z jego oddziałem w okolicach Kłajpedy, poczem kazano mu zdjąć mundur i wrócić do domu. Wrócił więc do Turwi, którą zastał pod sekwestrem. Rząd pruski zaproponował wówczas zamianę Turwi na znaczniejsze dobra królewskie w Brandeburgii, ale gdy Chłapowski słyszeć o tem nie chciał, skończyło się na zapłaceniu 22.000 talarów kary i odsiedzeniu półtora roku w twierdzy szczecińskiej, z której w ostatnich dniach r. 1833 pozwolono mu wrócić do Turwi, gdzie nowy i ostatni okres swego życia rozpoczął. Podczas pobytu swego w fortecy szczecińskiej napisał właśnie słynną swoją książkę o *Rolnictwie*, która doczekała się wielu wydań, i niewątpliwie w r. 1833 była najlepszą książką rolniczą w języku polskim i w literaturach słowiańskich.

Dobry taktyk, ilekroć jedna broń wypadła mu z ręki, zaraz chwycił drugą; zsiadłszy z konia, brał się do pługa i tym orężem nową walkę zaczynał, walkę bardzo długą, bardzo mozolną, ale w skutkach niezawodną. Próbował wrócić jeszcze do życia publicznego i podjął się obowiązków dyrektora w osuszeniu rozległych błot nadodrzańskich, nanowo studyował hydraulikę, ale gdy rząd pruski czynił mu różne trudności, po-

❖ rzucił tę służbę po dwóch latach i powrócił do Turwi i do dawnego trybu życia. Objeżdżał codzień wszystkie roboty na polach, pomimo wieku konno, rad wchodził w rozmowy z chłopami.

W życiu towarzyskiem dworactwa nie cierpiał i dworakami, tchórzami i fanfaronami gardził. Sądził ludzi po wojskowemu, uznając waleczność i subordynację za jedną z cnót największych. Gdy go zamianowano członkiem Izby panów w Berlinie, a posłowie z Księztwa chcieli go zaprosić na prezesa Koła polskiego, wymówił się, dodając żartobliwie: »ja nie rozumiem inaczej prezydencji, tylko iżbym mógł tych panów, co nie przychodzą regularnie na sesye, wsadzić na kilka dni do kozy.« Chłapowski rozpoczął zawód swój rolniczy od 11.000 morgów zadłużonych, a skończył na 32.000 zagospodarowanych, jak w Anglii i te między trzech synów rozdzielił. Przykładem i działalnością swoją przez szeroką wiedzę naukową, którą wszystkim udzielał, przez wykształcenie stukilkudziesięciu praktykantów na dzielnych ziemian i podniesienie ludu wiejskiego w swoich majątkach, wytworzył nową epokę w rolnictwie wielkopolskiem.

W 92 roku swego żywota zasnął jak dziecię, spokojnie, bez cierpień, 26 maja 1879 r., a zgon dzielnego niegdyś napoleonisty i zasłużonego krajowemu rolnictwu ziemianina, odbił się echem głębokiego smutku w całym kraju.

Zygmunt Gloger.



Jan Rustem.

* 1765. † 1835.

Najważniejszą zasługą życia i działalności Rustema było podniesienie poziomu nauki malarstwa w Wilnie, gdzie od r. 1798 został obok Smuglewicza ad junktem katedry malarstwa przy Uniwersytecie, a następnie po śmierci Smuglewicza w r. 1807 profesorem tego przedmiotu. Posiew był dobry i skuteczny a wyniki usiłowań uczniów jego trwają do dni naszych, w których dążenia estetyczne Wilna nie tylko w urządzaniu wystaw obrazów, od czasu do czasu odzywają się, ale i w stałej malarstwa i rzeźby uprawie.

Rustem był głównie portrecistą a droga nauki, jaką przeszedł, wpłynęła i na rodzaj malowideł jego i na sposób malowania. Akwarellą, której uczył się od Norblina w Warszawie, wykonywał miniatury zbliżone owem »centkowatem« cieniowaniem, bardzo do sposobu Norblina, w olejnym zaś malowaniu więcej samodzielny, nie był podobny do Bacciarellego, pod którego kierunkiem jakiś czas pracował, ani nawet do Smuglewicza, a raczej do panującej za czasów jego młodości szkoły francuskiej Dawida i Edwarda. Poprawność rysunku miał też tej ostatniej szkoły, wyższą stokroć od Norblina a nawet od

Bacciarellego i Smuglewicza, najbardziej zaś podobną do Antoniego Brodowskiego, do którego prac i sposób malowania, i koloryt bardzo miał zbliżony.

Pominawszy porównania, określić musimy malowanie Rustema, jako poważne, proste w środkach a wysoce poprawne, pewną ręką na płótno kładzione; w poprawności po Antonim Brodowskim pierwsze zajmuje też miejsce Rustem.

Pochodzenia był Rustem tureckiego, urodził się w Konstantynopolu około r. 1765 na przedmieściu chrześcijańskim Pera, nosił na głowie za-

wsze fez czerwony, zwyczajem wschodnim. W dziesiątym roku życia był wzięty przez ks. Czartoryskiego i do Warszawy przywieziony, tu ukończywszy szkoły, oddał się malarstwu, pracując naprzód pod kierunkiem Norblina a następnie Bacciarellego. Wszakże karierę samodzielną, artystyczną, głównie malowanie portretów, rozpoczął prawdopodobnie w Wilnie, gdyż jak to spis prac jego w *Słowniku malarzów polskich* Rastawieckiego wskazuje, osobistości znakomite Litwy na pierwszym są miejscu, jak: Tyzenhaus podskarbi nadworny litewski i Tyzenhaus Rudolf; Antoni Gorecki, poeta; Michał Ogiński, księżna



Podług współczesnego portretu.

J. Rustem.

Marya Radziwiłłówna z Wodzińskich; Sanader, profesor sztycharstwa przy uniwersytecie Wileńskim; Jan Śniadecki, profesor matematyki, później rektor Uniwersytetu Wileńskiego; Jędrzej Śniadecki i wiele innych, dochodzących liczbą do trzydziestu.

Istnieją też miniatury Rustema, akwarellowe, do których liczby należy profilowa miniatura Kościuszki dwa razy powtórzona, o wyrazie twarzy dobrotliwym i pięknem inteligentnem oku.

Do najcenniejszych należą: św. Jan Kanta w seminaryum przy kościele Augustyanów w Wilnie; Najświętsza Panna; Syn marnotrawny; Kapłan, pocieszający dziewczę; Dyogenes, pijący wodę z dłoni; Kąpiel Dyany i inne.

Obrazów zaledwie kilkanaście naliczyć można, są pomiędzy nimi religijne, historyczne, obyczajowe i krajobrazy.

Rysował dużo drobnych obrazków, które były reprodukowane nowo-wynalezionym wówczas i modnym sposobem litograficznym. Pod koniec życia zabawiał się drobnymi rysunczkami, pełnymi dowcipu a świadczącymi o wielkiej łatwości tworzenia. Łatwość tę ożywiało w nim czytanie i płynące z niego wykształcenie umysłu, które go czyniło miłym towarzyszem w obcowaniu społecznem.

Serca dobrego i miłosiernego, dla uczniów wyrozumiały i pełen poświęcenia, dbały o dobro ich rozwoju w sztuce, pierwszy w nauczaniu publicznem w Wilnie, wprowadził studia z odlewów arcydzieł starożytnej rzeźby i żywych wzorów ¹⁾.

Wojciech Gerson.

¹⁾ Patrz *Słownik malarzów polskich*, Rastawieckiego.



Fryderyk hr. Skarbek.

* 1792 † 1866.

Głęboka nauka i lekki satyryczny humor nie wykluczają się nawzajem; przykłady ich połączenia mamy i w obcych literaturach, i w naszej. W początkach XIX stulecia mieliśmy dwu wybitnych mężów, którzy poza swą pracą zawodową, poza dziełami ściśle naukowymi, odznaczyli się świetnym dowcipem i niemalą dozą wyobraźni: byli to Jędrzej Śniadecki i Fryderyk Skarbek: pierwszy obok fizjologii napisał swą «Podróż filozoficzno-próżniacką po bruku»; drugi obok dzieł z zakresu ekonomii politycznej utworzył cały szereg powieści.

Ojciec Fryderyka był hulaką, zmarnował dość znaczne dobra, a w końcu musiał przed wierzycielami uciec zagranicę. Matka dla ocalenia swego posagu zmuszoną była starać się o rozwód. Fryderyk, urodzony w 1792 w Toruniu, przebywał to u dziad-

ka, to w majątku rodzicielskim, Izbicy (na Kuja-wach), to w domu starościny Łączyńskiej, gdzie guwernerem jego był Mikołaj Chopin, ojciec wiel-

kiego kompozytora. Od r. 1805 kształcił się w świeżo wtedy przez Prusaków założonem Liceum warszawskiem, przyukończeniu którego odczytał pierwsze swoje wiersze na popisie publicznym. Wyższe studia odbył w Kolegium francuskiem w Paryżu, oddając się głównie ekonomii politycznej. Wstąpił potem do służby rządowej w Księstwie Warszawskiem. W r. 1814 pierwszy raz dał się chlubnie ogłowi poznać z przemowy publicznej przy wprowadzeniu do Łowicza zwłok księcia Józefa Poniatowskiego.

Od r. 1816 rozpoczynają się jego prace drukowane i to w dwu odmiennych rodzajach; tego samego bowiem roku wyszedł ładny jego



F. Skarbek
23 stycznia
1860

przekład pieśni wesołego poety greckiego Anakreonta oraz tłumaczenie dzieła ekonomisty francuskiego Ganiha: «O dochodzie publicznym». I tak już w całym późniejszym życiu przeplatać będzie Skarbek prace poważne lekkimi.

Pod pseudonimem Agapita Liziewicza ogłaszał w «Pamiętniku Warszawskim» swoje felietony satyryczne, występując jako rzecznik idei postępowych czyli, jak wówczas powszechnie mówiono, «liberalnych»; później w podobnym duchu umieszczał artykuły w «Orle Białym». W r. 1818 powołany do świeżo założonego Uniwersytetu Warszawskiego na profesora ekonomii politycznej i nauk administracyjnych, z wielkim pożytkiem słuchaczy pełnił te obowiązki aż do r. 1831. Jako podręcznik dla studentów, wydał wtedy w 4 tomach «Gospodarstwo narodowe» (r. 1820, 1821) oraz «Rys ogólnej nauki finansów» (1824); poglądy zaś swoje ekonomiczne rozpowszechnił w Europie po francusku, drukując: «Theories des richesses sociales» (Paryż, 1829); a pod koniec życia nanowo opracowawszy swe młodzieńcze dzieło, publikował: «Ogólne zasady nauki gospodarstwa narodowego» (Warszawa 1859). Prace jego ekonomiczne nie zawierały wprawdzie świeżych, oryginalnych myśli, ale w sposób jasny i przystępny rozpowszechniały zapatrywania zdrowe i z ówczesnym stanem nauki zgodne.

W belletrystyce poszedł początkowo za humorystami angielskimi, Wawrzyńcem Sternem i Fildingiem, miesząc z tymi wpływami obcymi pierwiastki jowialności swojskiej. Tu należą: «Chwila wesołości» (1822), «Pan Antoni» (1824), «Podróż bez celu» (1825 — najbardziej podobna do «Podróży sentymentalnej» Sterne'a). Nie pozostał jednak na tym stopniu rozwoju formy powieściowej, ale poszedł dalej i stworzył pierwszą naszą prawdziwą powieść *obyczajową* p. t. «Pan Starosta» (1826), w której nie jednostronny zamiar rozśmieszenia lub rozczerzenia, nie satyra i nie sentyment wyłącznie panują, lecz chęć odmalowania szczegółów życia powszedniego z całą wiernością obserwatora wyrozumiałego na słabości ludzkie, a dążącego do wszczepienia w duszę czytelnika pewnych prawd, do odstręczenia od pewnych przesądów i uprzedzeń. «Zaletę i wdzięk jego powieści — jak powiada Stanisław Tarnowski — stanowi wielka prostota w układzie i sposobie pisania, niepośledni dar obserwacji i jakaś rozlana

po tem wszystkim dość miła i ujmująca pogoda umysłu. Postaci nakreślonych po mistrzowsku, bardzo plastycznych a opartych na głębokich studiach i znajomości ludzkiej duszy, żądać od niego nie trzeba; ale chwyta przynajmniej i charakteryzuje bodaj ogólnie różne odmiany jednego i tego samego typu wiejskiego obywatela i różne objawy wiejskiego życia... Wszystko razem wzięwszy, jest to powiastka tak prosta i naturalna, że ma przez to jakiś wdzięk — i dziś jeszcze czyta się z przyjemnością, robi miłe wrażenie».

Nie można przyznać tych wysokich zalet dwom romansom historycznym Skarbka, skreślonym pod wpływem Walter-Scotta. Ani «Tarło», ani «Damian Ruszczyc» — oba ogłoszone w 1827 r. — nie posiadają zalet wiernego malowidła dziejowego i nie budzą wielkiego zajęcia.

W r. 1829 zwrócił się Skarbek do komedyo-pisarstwa i w przeciągu lat dwu napisał dla Teatru Rozmaitości sześć jednoaktówek, które w swoim czasie grywane były z powodzeniem, ale trwalszego znaczenia nie posiadały. Jest w nich zazwyczaj sporo trafnych spostrzeżeń, czasami zdarzy się niezły dowcip, lub komiczna sytuacja; lecz werwy i dobrego układu, wywołującego zainteresowanie widza, brak mu prawie zupełnie. Skarbek był naśladowcą Moliere'a, starał się tworzyć typy, w przeprowadzeniu intrygi posługiwał się środkami przestarzałymi, a ponieważ fantazji plastycznej w wyższym stopniu nie miał, to mimo dowcipu sztuki jego są dość suche i mało prawdopodobne. Zwłaszcza komedye większe, zebrane w dwu tomach p. t. «Teatr Fryderyka hr. Skarbka» (2 tomy. Warszawa, 1847), są słabe i w rozwoju naszej literatury dramatycznej nie zajęły wybitniejszego miejsca.

Po roku 1831 Skarbek, piastując różne wysokie urzędy w Królestwie Polskim, umiał zawsze zachować godność osobistą i narodową i wśród nader trudnych warunków przyczyniał się, o ile mógł, do dobra kraju, np. przez polepszenia zaprowadzone w szpitalach i więzieniach, przez założenie kas oszczędności. W r. 1858 opuścił służbę rządową i przebywał już to na wsi, już w Warszawie, gdzie umarł 25 września 1866 roku.

Działalność jego literacka w tej dobie nie ustała wprawdzie, lecz była mniej natężona, niż poprzednio. Z zakresu belletrystyki napisał i ogłosił «Życie i przypadki Faustyna Feliksa na Do-

doszach Dodosińskiego» (1838), rzecz z początku bardzo żywo i zajmująco prowadzoną, a uwikłaną potem w mało prawdopodobne i słabo rozwinięte awantury, «Pamiętniki Seglasy» (1845), wyborne malujące tak zwane «czasy pruskie», i kilka drobniejszych zarysów, pomieszczonych wraz z dawniejszymi utworami w 7-io-tomowym zbiorze p. t. «Powieści i pisma humorystyczne» (Wrocław, 1840—1847). Ładne są także opowiadania dla dzieci, wydane p. t. «Powiastki polskie» (1861). Ostatnia jego powieść historyczna: «Olim» musi być zaliczoną do tejże kategorii utworów, co dawniejsze.

Z pomiędzy innych prac Skarbka zasługują głównie na pamięć jego dzieła poświęcone dzieciom naszym w wieku XIX-ym. Mają one przede wszystkim tę niepospolitą wartość, że były pierwszymi i pozostały prawie jedynymi dotychczas książkami, z których czerpać możemy wiadomości o tak niedawnych a tak mało znanych wypadkach doniosłości historycznej. Naprzód opra-

cował Skarbek i wydał «Dzieje Księstwa Warszawskiego» (1860), które obudziły zajęcie ogromne i doczekały się niedawno trzeciego wydania w «Bibliotece dzieł wyborowych» (1897). Następnie w podobny sposób, tylko znacznie krócej, przedstawił «dzieje Królestwa Polskiego» przed rokiem 1831 i po nim, aż do r. 1863. Wreszcie napisał swoje «Pamiętniki», które z powodu czynnego uczestnictwa autora w życiu publicznym wiele ważnych zawierają szczegółów. Nie był Skarbek wielkim historykiem. Pisząc o społecznych sobie ludziach i wypadkach, nie mógł rozporządzać wielkim zasobem źródeł, musiał zatem pracom swoim nadawać charakter pamiętnikowy, ale ponieważ kochał prawdę i namiętnościom uwodzić się nie dawał, prace jego mają cechę szczerości i za dobre źródło informacyi służyć mogą.

I jako profesor, i jako beletrysta, i jako dziejopis pozostawił po sobie Skarbek sympatyczne wspomnienia.

Piotr Chmielowski.

Jerzy Chrystjan Arnold.

* 1747 † 1827.

Miało Leszno, w dzisiejszem W. Ks. Poznańskiem położone, niegdyś siedziba możnego rodu Leszczyńskich, potem własność Sułkowskich, może poszczycić się tem, że w ciągu wieków XVII i XVIII w murach jego bądź to na świat przyszło, bądź też w nich działało kilku lekarzów naszych, zajmujących stanowiska wybitne, zarówno w nauce, jako też w społeczeństwie, a do liczby ich należą: znakomity Jan Jonston ¹⁾ i biograf jego, Arnold, ojciec dziejopisarstwa lekarskiego u nas, mąż naukowy, zacny i wielce zasłużony. Przypatrzmy się jego życiu i czynom poniżej treściwie skreślonym.

Jerzy Chrystjan Arnold urodził się dnia 1 Lutego 1747

¹⁾ Ur. w Szamotułach d. 3 września r. 1603, najznakomitszy lekarz polski wieku swego, uczony sławy europejskiej, był naprzód wychowawcą, następnie lekarzem przybocznym *Bogusława Leszczyńskiego*. W czasie niepokojów i wojen kraj trapiących za panowania *Jana Kazimierza*, przesiedlił się do sąsiedniego Szlązka, gdzie nabył majątek Czobgirdów (dziś nm. Ziebendorf) pod Legnicą, tam też umarł d. 8 czerwca 1675 r. pochowany w Lesznie d. 29 września tegoż roku.



r. z Jana Godfryda i Anny Zuzanny z Gebhardów, małżonków Arnoldów. Rodzina jego oddawna w przemysłowem Lesznie osiadła, trudniła się rękodzielnictwem. Ojciec Jerzego, mieszczanin dość za-

możny, chcąc mu zapewnić w przyszłości stanowisko społeczne wyższe, niżeli zajmowane przez siebie, wcześniej już pomyślał o kształceniu odpowiedniem jednaka swego, którego w siódmym roku życia oddał do szkoły miejscowej. Chłopiec wyniósł ze szkółki tej, oraz z domu rodzicielskiego religijność głęboką, przenikającą duszę jego do końca wędrówki doczesnej. Gdy kończył właśnie naukę początkową, gdy czas było obmyślać sposoby i drogi dalszego kształcenia, spotkał

go cios niespodziany, a ciężki; utracił ojca. Na szczęście jednak niepowetowana strata rodzica nie wpłynęła ujemnie na dalsze koleje wykształcenia jego, znalazł bowiem w zacnym i światłym lekarzu leszczyńskim, *Erneście Jeremjaszu Neifeldzie* opiekuna, który, rzecz-by można, stał mu się nieomal drugim ojcem. Za poradą męża tego chłopiec wysłany był do Gdańska, gdzie kwitła wówczas szkoła wyższa, *Athenaeum* zwana. Był to zakład naukowy, na owe cza-

sy, znakomicie urządzony zakres jego przekraczał znacznie granice szkoły średniej i sięgał pod wieloma względami w dziedzinę uniwersytecką. W szkole tej *Arnold*, młodzian zdolny, pracowity i wiedzy chciwy, przykładął się pilnie do nauk przez lat kilka, czyniąc postępy znakomite i skończył ją chlubnie, osiągnąwszy w niej wykształcenie klasyczne i filozoficzne wcale dobre. Język grecki poznał dostatecznie, a łacinę posiadał tak gruntownie, że do śmierci władał nią również łatwo i biegle, jak językiem ojczystym, co prawdopodobnie przyczyniło się do tego, że większość prac swych naukowych zwykł był ogłaszać po łacinie. Za czasów szkolnych, chociaż po za szkołą, nabył nadto należycie języki: francuzki, niemiecki i włoski, a czytając dużo, przyswoił sobie mnóstwo wiadomości, w *Athenaeum* nie wykładanych. Tak przysposobionemu młodzieńcowi wypadło teraz wybrać sobie zawód na przyszłość. Żarliwi współwyznawcy jego (*Arnold* był ewangelikiem), oceniając w nim słusznie obyczaje wzorowe, a widząc zalety moralne i naukowe, starali się przywieść go do poświęcenia się powołaniu duchownemu, ale on, słuchając własnej skłonności, upodobał sobie naukę lekarską i w celu zdobycia jej udał się do Lipska, słynącego wówczas ze swego wydziału lekarskiego.

Wstępując na Uniwersytet liczył zaledwo lat 17, ale umysł jego, o wiele wyprzedziwszy wiek młodociany, już wtedy dosięgał prawie dojrzałości męskiej, a to nam wytłómaczyć może, zarówno szybkie ukończenie nauk tak trudnych, jako też kierunek, któremu się w nich poświęcił. W onych czasach gwiazda wielkiego *A. Hallera* jaśniała w całej pełni promiennego blasku, chociaż mędrzec znakomity już wtedy od lat kilku wykładów zaprzestał, kierunek wszakże naukowy, wskazany przez niego podbijał jeszcze wszystkich szczerych wielbicieli postępu i rozwoju sztuki lekarskiej. Pod sztandarem jego stanął też *Arnold* i do śmierci mu wiernym pozostał, będąc stale hołdownikiem postępu rozumnego, miarkowanego krytycyzmem, opierającego się nie na błyskotkach przelotnych, ale na pewnych i niezachwianych zdobyczach nauki prawdziwej.

Po czteroletniej, mozolnej pracy, poświęconej sumiennemu poznaniu nauki i sztuki, mających mu resztę życia zapłacić, w grudniu r. 1768, obroniwszy rozprawę p. n. «*De motu fluidi ner-*

vei per fibras medullares nervorum», — osiągnął *Arnold* dyplom doktorski i pożegnawszy Lipsk, pospieszył z powrotem do ojczyzny.

Gdy *Arnold* pod koniec grudnia stanął w mieście rodzinnem, nie było co robić w tej pustce. Spędziwszy zatem dni kilka z matką, która powtórnie zamaż wyszła, zwrócił kroki swe do Poznania, gdzie teraz przemieszkował opiekun jego, *Neifeld*. Zaczny przyjaciel z całą serdecznością przyjął dawnego wychowanka, a teraz już kolegę swego i ułatwił mu trudne zwykle początki zawodu lekarskiego. W trzecim roku pobytu poznańskiego, gdy już, dzięki zdolnościom i pracy sumiennej wywalczył sobie stanowisko niezależne, poślubił córkę jedynaczkę dobrodzieja swego, *Ernestynę Joannę*. W tym samym też czasie ziomkowie z dźwigającego się znów z perzyny Leszna, skłonili go do powrotu, zabrawszy więc młodą żonę, przeniósł się do rodzinnego gniazda i tam przez szereg lat służył uczciwie współobywatelom, niosąc im w chorobach pomoc umiejętną i pewną, nie zaniedbując przytem na chwilę pracy naukowej, bez której żyć poprostu nie umiał.

Lata spędzone teraz w Lesznie były najszcześniejszymi może w życiu *Arnolda*. W zawodzie, lekarskim cieszył się powodzeniem stałym, współobywatele szanowali i kochali go powszechnie, praca naukowa przyniosła mu zaszczyt nielada, albowiem w r. 1774 poważna Akademia badaczów natury (*Acad. Caesarea Leopoldino-Carolina naturae curiosorum*) powołała go do grona swych członków, nie bacząc na jego wiek młody. Najwięcej atoli szczęścia znajdował w zaciszu domowym, przy boku kochającej i ukochanej żony, którą uwielbiał dla niezwykłych jej zalet.

Niestesty, kruchą i nietrwałą jest pomyślność ludzka; boleśnie doznał tego *Arnold* na sobie. Pierwszy cios dotkliwy spadł na niego w r. 1773; dobroczyńca i przyjaciel jego najlepszy, *Neifeld*, przeżywszy zaledwo lat 52 zmarł niespodzianie. Stratę doświadczonego doradcy, który mu był drugim ojcem, odczuł głęboko, a zanim ją przeboleć zdołał, uderzył w niego grom stokroć straszliwszy jeszcze. W piątym roku pożycia małżeńskiego, tak nad wyraz wszelki szczęśliwego, małżonka obdarzyć go miała pierwszym, tak gorąco upragnionem dziecięciem, ale chwila, zapowiadająca szczęście nowe, wniosła w dom jego lzy i boleść, trudną do wypowiedzenia. Dnia 30 sty-

cznia r. 1776 tak czule ukochana *Ernestyna* opuściła męża na wieki, pozostawiając mu, jako jedyną po sobie pociechę, córeczkę nowonarodzoną. Nie na długo jednak pociechy tej starczyło, bo aż nazbyt prędko za matką i dzieciątko w grób zapadło, zostawiając biednego ojca na gruzach tak szybko, tak okrutnie zburzonego szczęścia.

Zgnębiony nadmiarem nieszczęścia *Arnold* był bliskim rozpacz; obroniły go przed nią religia i praca. Wychowany bogobojnie, w modlitwie umiał znajdować ukojenie, a czarne myśli, trapiące go ciężko odganiał skutecznie i zgłuszał pracą mozolną, drobiazgową, pochłaniającą i w naprężeniu ciąglem utrzymującą umysł pracownika. Wtedy to, gdy tyle cierpiał i bolał, gdy teraźniejszość zadawszy mu razy tak piekące, traciła dla niego powab wszelki, uciekał przed nią do przeszłości od dawna minionej, rozpoczynając odgrzebywanie skrzętnie z pod pyłu zapomnienia, pominiętych przez wszystkich, dziejów sztuki lekarskiej w kraju naszym. Zasmakowawszy w tego rodzaju pracy, i później, gdy dni pomyślne zabliźniły pomału rany sercowe, powracał jeszcze nieraz do niej i wzbogacił literaturę naukową ojczystą szeregiem rozpraw poważnych p. n. «O hojności królów i względach Panów Polskich dla rzeczy lekarskiej i lekarzów», będących podwaliną dziejopisarstwa lekarskiego naszego. Wspomniawszy o pracach tych, tu już pozwolę sobie wypowiedzieć o nich słów kilka, chociaż dokończone i ogłoszone były o wiele lat później, a, żeby nie wracać w innem miejscu ponownie do działalności historyczno-lekarskiej *Arnolda*, tu ją też w całości rozpatrzę. Dopiero co wymienione rozprawy, aczkolwiek obejmują dzieje sztuki lekarskiej u nas, począwszy od czasów najdawniejszych aż do końca wieku XVIII, i pomimo, że świadczą przychylnie o wielkiej pracowitości i uczoności światłego autora swego, cierpią jednak na liczne braki i niedokładności, zrozumiałe zresztą u autora, nie mającego poprzedników żadnych. Wobec wymagań krytyki nowoczesnej, jako całość ostać nie mogłyby się z pewnością, pomimo licznych zalet swych; razi panujący w nich nastrój nadzwyczaj panegiryczny, wpływający mniej może z usposobienia *Arnolda* samego, ile raczej z ogólnego pociągu do pochlebnego i kwiecistego przedstawiania wszystkich i wszystkiego, co swojskie, pociągu, ogarniającego za czasów jego większość piszących u nas. Przyznając

mu zatem cały ogrom zasługi za poruszenie rzeczy ciekawych i użytecznych, przedtem nie tkniętych przez nikogo, powtórzyć tu muszę słowa *L. Gąsiorowskiego*, że z żalem nadmienić wypada, «iż mąż, mający tyle zdatności, więcej się pochwałami, aniżeli samą rzeczą zajmował, i to pochwałami przesadzonemi». Zarzut ten nabiera jeszcze większej wagi przez to, że uczynił go autor sam nieraz do pochwał zbyt pochopny i szczerze niemi szafujący. Wszelako na obronę *Arnolda* przytoczyćby można, że *Paweł Czajkowski*, zięć jego, profesor wymowy i poezji w Uniwersytecie Jagiellońskim zapewnia nas, że: «Proëmium czyli przedmowa do tych pięciu rozpraw należąca nie jest dotąd (t. j. do r. 1829) ogłoszona drukiem... pięćset zaś nowych, wielce szacownych postrzeżeń, również *Arnold* zostawił w przypiskach, któreby koniecznie dla dobra nauk z języka łacińskiego przełożyć, a potem ogłosić należało».

Jest rzeczą możliwą, a nawet bardzo prawdopodobną iż przypiski te właśnie zawierały szczegóły faktyczne, opuszczone przez autora w rozprawach odczytywanych na posiedzeniach Towarzystwa Przyjaciół Nauk, na których, jak wiadomo, krasomówstwo aż do zbytku uprawianem bywało i to nieraz właśnie ze szkodą dla treści przedstawianego przedmiotu. Żałować wypada, że tych przypisków *Arnolda* nie ogłoszono zaraz po jego śmierci, jak do tego nawoływał *Czajkowski*; czy dziś jeszcze istnieją, powiedzieć nie umiem, ale wątpić muszę, niestety, bardzo, ponieważ *S. Kościński*, wyliczający sumiennie wszystkie dzieła *Arnolda*, nietylko drukiem ogłoszone, ale i rękopiśmienne, żadnej o przypiskach tych wzmianki nie czyni.

Bez porównania większe znaczenie dla dziejów medycyny naszej posiada kilka życiorysów lekarskich przez *Arnolda* napisanych, w nich albowiem nie przedstawia się nam, jako chwalcą z zasady, ale jako badacz poważny, jako skrzętny poszukiwacz źródeł dziejowych, jako obywatel prawy, starający się usilnie o przypomnienie ziomkom mężów dla kraju i nauki zasłużonych bardzo, a najniesłuszniej zapomnianych przez wszystkich. W życiorysach tych nie chwali gołosłownie, ale z dowodami niezbitemi w rękę, wykazuje zasługi rzeczywiste i zmusza do ich uznania. Nie zdołam lepiej przedstawić zasług *Arnolda* pod względem tym od *L. Gąsiorowskiego*, więc tu znów słowa

jego przytaczam, «Polska i w 17 wieku, tak nieprzyjaznym dla naszej oświaty, szczyti się mężem, którego sława naukowa głośną była po całej Europie, mężem tym nieśmiertelnej sławy, mającym wielkie zasługi w historii naturalnej i medycynie był *Jan Janston*, dr. med., przez obojętność swych ziomków prawie całkiem w niepamięć puszczony; gdyby albowiem nie dr. *Arnold* był się zajął opisem jego życia i dzieł, kto wie, czy byśmy byli dziś wiedzieli, że mąż, tyle sławy mający, kiedyś w naszej ojczyźnie się urodził, żył i literaturę wielu dziełami uczonemi z bogacił? Dr *Arnold* mający więcej przywiązania do rzeczy ojczystych, aniżeli inni polacy, pierwszy skreślił życie *Jana Jonstona* i wykazał jego zasługi literackie w rozprawie: «Wiadomość o życiu i dziełach *Jana Jonstona*, czytana na publicznem posiedzeniu Tow. P. N. W. r. 1805 ²⁾». — Gdyby *Arnold* nie był nic więcej napisał, już ta jedna praca byłaby wystarczającą zupełnie, żeby mu w dziejopisarstwie lekarskim naszem na zawsze zapewnić miejsce zaszczytne. Nie mniejszą wartość posiada życiorys *Macieja Littawera*, lekarza nadwornego króla *Władysława IV*, ³⁾ spisany podług źródeł archiwalnych, także do czasów *Arnolda* przez nikogo nie ruszanych. Biografię *E. J. Neifelda*, nazwałbym raczej pomnikiem wdzięczności synowskiej, wystawionym pamięci opiekuna zacnego i przyjaciela doświadczonego, chociaż i ona dla dziejów lekarskich w kraju naszym posiada znaczenie ⁴⁾. Skromne pod względem objętości, lecz bogate w treść są też prace następujące: «*Historiae antiquae medicae polonae prodromus*,» ⁵⁾ «*De monumentis historiae naturalis polonae literariis usque ad finem seculi XVI editis etc.*» (Warszawa 1818) i «*Physiker zu Lissa nach Johnstons Tode vom. J. 1675 bis 1775 etc.*» (Warszawa 1821).

Po zboczeniu tem w dziedzinę literatury, powróćmy znów do wątku opowiadania naszego. Gdy *Arnold*, przywalony nieszczęściem, opłakiwał najdroższe sercu osoby, zaszło zdarzenie, które

wywarło wpływ stanowczy na dalsze losy jego a które tu słowami *P. Czajkowskiego* opowiem: „Właśnie w ciągu tegoż okresu, zostało Leszno ogniskiem sypiących się z całej Polski różnowierców, dla wykonania uchwał na sejmie zapadłych. Powody i wrzawy w jednym narodzie, ducha obywatelskiego religijnymi mniemaniami dzielące, raczej głos dziejów na swem miejscu wyjaśni. Dla mnie dosyć jest nadmienić, iż odwieczne przesady, ta ciężka choroba z ciemnoty jeszcze wyssana, a między nieokrzesaniem obyczajów wzrosła, ona to, zaiste, klójących się jednym uciśnęła brzemieniem. Wtedy *Arnold*, jako Polak i członek wyznania augsburskiego nie omieszkiał dociekać czynności znakomitych mężów, na ten zбір zwołanych. Ale gdy w przedsięwzięcia wzniosłej osnowy wmieszają się ziemskie widoki, wnet ludzie łaknący doczesnych korzyści zobojętnieją względem przedmiotów wyższego przeznaczenia. I dla tegoż to o skutkach tak pamiętnego zjazdu tem mniej da się powiedzieć, że chwile do rady oznaczone albo płonnie ubiegały, albo je namiętna kłótnia strwoniła. — Bolejąc *Arnold* nad wypadkiem równie małą zaletę jego kolebce przynoszącym, poznawszy lepiej ludzi, rozmyślał w cichości o sposobach, któreby główne uchybienia sprostować mogły, i raz na zawsze przeniósł mieszkanie swoje do stolicy państwa”⁶⁾.

W roku tedy 1777 osiadł w Warszawie, ale niesnaski i zaburzenia dyssydenckie, które go ostatecznie z Leszna wygnały i tu nie dały mu spokoju. *Arnold* był mężem światłym, szlachetnym, gorąco kraj swój miłującym, przytem szczerze religijnym i do wyznania swego przywiązanym, ale dalekim od wszelkiego fanatyzmu stronniczego; usposobienie jego spokojne i pojednawcze, pełne wyrozumiałości i chęci służenia zawsze sprawie publicznej, czyniło z niego pośrednika nieocenionego w sporach religijnych, tak łatwo przekraczających granice walki godziwej. Nie dziwota zatem, iż pomimo niedawnego, a wcale nie zachęcającego doświadczenia, w Lesznie nabytego, dał się znów wciągnąć w wir spraw tych palących i wichrzących spokój krajowy. Postępowaniem swem rozumnem i pełnem godności przyczynił się niemało do dojścia w Siedlcach

²⁾ Roczniki Tow. Warsz. Przyjaciół nauk T. VII str. 132 — 151.

³⁾ Rocznik Tow. Naukowego z Uniwersytetem Krakowskim połączonego T. VIII, str. 29—114.

⁴⁾ Acta phys.-med. Acad. naturae curios. a, 1775.

⁵⁾ B. w. m. i r. (1815). Os. odb. z Miscellanea Cracov. 1814, fasciculus II. str. 28—34.

⁶⁾ Rocznik Tow. Nauk z Uniw. Krak. połączonego T. XIV str. 79.

1 Węgrowie *Jednoty ewangelickiej*, kładącej kres nieporozumieniom i sporom Luteranów z Kalwinistami; przez czas pewien pełnił urząd sekretarza, czyli jak wtedy mawiano notaryusza związku tego, następnie miał sobie powierzone czuwanie nad zaprowadzeniem i urządzeniem szkół w gminach protestanckich, nakoniec powołano go na radcę konsystorza i tym pozostał do śmierci.

W zawodzie lekarskim w Warszawie, zarówno jak poprzednio w Lesznie, cieszył się wciąż powodzeniem wielkim, należąc aż do późnej starości do praktyków najwięcej poszukiwanych i cenionych; przez dwa lata ordynował też w szpitalu ewangelickim, zaraz po przybyciu do stolicy. Król *Stanisław August* uznając zasługi jego społeczne, naukowe i lekarskie mianował go swym konsyljarzem nadwornym.

Po r. 1795, gdy Warszawa, dostawszy się pod panowanie pruskie, podupadła i stała się miastem prowincjonalnem, *Arnold*, usunął się od spraw publicznych zupełnie, szukając ukojenia w pracy zawodowej i naukowej, oraz poświęcając się wychowaniu swych dzieci. — Nadmienić tu wypada, że w r. 1786 zawarł śluby powtórne z *Rosalją Roeslerówną* która mu była wierną towarzyszką przez lat 40 przeszło i licznem go obdarzyła potomstwem. Na ten czas przypada właśnie opracowanie licznych materyałów dziejowo-lekarskich, poprzednio już częściowo zebranych, oraz rozległe badania nad numizmatyką polską, której *Arnold* był miłośnikiem i znawcą niepospolitym. Nicodżałowana jest rzeczą, iż z tej gałęzi wiedzy, tylko jedna jego praca niewielka drukiem ogłoszona została⁷⁾, inne zaś, bez porównania ważniejsze i obszerniejsze, pozostały w rękopisach, które niewiadomo, czy istnieją dziś jeszcze. *Kośmiński* dwie z prac tych wymienia, a, o ile sądzić można z obszernego i bardzo szczegółowego nadpisu drugiej z nich, obejmującej 114 kart in folio, musiała ona być nadzwyczaj ciekawą i w treść bogatą.⁸⁾ Co za szkoda, że skarby takie giną u nas aż nazbyt często, po prostu dlatego, że nie chce się nikomu roztoczyć nad nimi opieki!

⁷⁾ O rzeczy menniczej polskiej, w Roczn. Tow. kr. Warsz. Przyjaciół Nauk, T. VI, str. 292—307.

⁸⁾ Słownik lek. pols. str. 12.

Rok 1807 wyrwał znów *Arnolda* z tego życia spokojnego i powołał na nowo do służby publicznej. Rząd Ks. Warszawskiego powierzył mu opracowanie planu urządzenia służby zdrowia w kraju. Z nałożonego na siebie obowiązku wywiązał się umiejętnie i następnie jako członek Najwyższej Dyrekcyi, niebawem na Radę Lekarską przemianowanej, czuwał nad wykonaniem dzieła, obmyślonego przez siebie.

Towarzystwo Król. warszawskie Przyjaciół Nauk oceniając zasługi naukowe *Arnolda*, przyjęło go już w r. 1804 na członka, a później powołało na godność prezesa działu umiejętności. W kwietniu roku 1812 został członkiem czynnym Towarzystwa Kr. ekonomicznego, warszawskiego, nakoniec w r. 1816 Towarzystwo Naukowe z uniwersytetem Krakowskim połączone zaprosiło go do grona swego. Zaszczyty naukowe spotykające go, nie uchodziły w pojęciu jego bynajmniej za czcze tytuły, ani też za nagrody uwalniające od pracy dalszej; przeciwnie uważał za obowiązek swój odpłacać się za nie hojnie słowem lub piórem, dla tego też w wydawnictwach wszystkich wymienionych tu towarzystw napotykamy ślady działalności jego. — W dniu 18 grudnia r. 1818, po tyloletniej, zacej pracy dla dobra kraju i nauki, doczekał się rzadkiego obchodu 50 rocznicy otrzymania dyplomu doktorskiego. Jako najpiękniejsza pamiątka dnia tego uroczystego, pozostała mowa *Arnolda*, wypowiedziana wobec rektora uniwersytetu, członków wydziału lekarskiego i licznych innych słuchaczy. Mowa ta, wyrażona łaciną wytworną, pomimo swej krótkości maluje wiernie wszystkie cechy znamienne serca i umysłu sędziwego mówcy, świadcząc nam o szlachetnych uczuciach, gorzących w duszy jego. Kto chce go poznać dokładnie, niechaj ją odczyta z uwagą, a nie pożałuje tego z pewnością.

Dzień 19 listopada r. 1827 położył kres temu pocziwemu i tak użytecznemu żywotowi. ⁹⁾

Dr. med. Józef Peszke.

⁹⁾ Wyliczenie wszystkich znanych prac *Arnolda* podaje *Kośmiński* w Słown. lek. pols. str. 11 i 12; życiorys zaś obszerny, a raczej pochwałę pośmiertną, napuszoną i kwiecistą, ogłosił *P. Czajkowski* w Roczniku Tow. naukowego z uniw. krak. połączonego, T. XIV str. 38—105; tamże znaleźć można mowę jego jubileuszową (str. 110—118) oraz curriculum vitae przez *Arnolda* samego treściwie skreślone (str. 118—124).

Jenerał Grzegorz Józef Chłopicki.

* 1771 † 1854

Zołnierz ten, jeden z najwaleczniejszych, pochodził z rodziny szlacheckiej na Podolu gdzie urodził się d. 14 marca 1771 r. Oddany do szkół bazylikańskich w Szarogrodzie, mówią, że wstręt jaki miał do łaciny, osładzał sobie czytaniem polskich książek. Gdy Bazylianie czytać takich wzbraniał, żeby się od nauk szkolnych młodzież nie odrывała, Grzesz Chłopicki namówił ociemniałego bratczyska zakonnego Jędrzeja, aby wyjednał od superjora pozwolenie brania z księgozbioru klasztornej polskiej, a on mu będzie czytywał. *Żywoty Świętych* Piotra Skargi, które były pierwszą księgą czytana ociemniałemu Jędrzejowi, wywarły tak silne wrażenie

na Chłopickim, że zapragnął zostać księdzem. Wrażenie to jednak ustępowało miejsca wojownicemu zapałowi, jaki nawskroś przeniknął bohaterską duszę młodzieńca pod wpływem opowiadań brata Jędrzeja o staczanych przed kilkunastu laty walkach bar-
skich.

Tymczasem zaszła okoliczność, która zmusiła Chłopickiego do opuszczenia szkoły bazylikańskiej. Wogrodzie klasztornej w którym siadywał często czytając książki Jędrzejowi, spotykał Zofię, córkę ogrodnika miejscowego i rozgorzał pierwszą miłością do dorodnej dziewczyny. Nazbyt płomienny afekt dostrzeżony przez zwierzchność szkolną, ostudzony został boleśnie dozą dwudziestu plag, po otrzy-



manii których Chłopicki opuściwszy skrycie klasztor, zaciągnął się do wojska Rzeczypospolitej na Ukrainie, a mianowicie do piechoty w r. 1787, mając zaledwie lat 16.

Rozgniewany ojciec za taką samowolę syna, przez pierwsze cztery lata nie udzielał mu żadnej pomocy pieniężnej. Były to więc chwile dla młodocianego żołnierza bardzo ciężkie, głodem i niewygodami przeplatane, ale tem samem będące wyborną szkołą życia żołnierskiego.

Roku 1792 Chłopicki walczył jako chorąży w bataljonie Ilińskiego. W kampanii r. 1794 otrzymał mając 24 rok życia, stopień kapitana. Mianowany adjutantem generała Rymkiewicza miał w nim dzielny przykład owej niczem niezachwianej zimnej krwi i przytomności umysłu wśród najzaciętszego boju. Przy tworzeniu się legionów we Włoszech, został majorem w drugim bataljonie pierwszej legii, pod szefem Forestierem. Generał Dąbrowski w „Historji legionów polskich“, podnosi zadziwiające męstwo i talenta wojskowe Chłopickiego. Ale podobne świadectwa otrzymywał młody major nietylko od swoich. Generał Oudinot, w raporcie swoim, podanym do francuzkiego ministerjum wojny, nazywa Chłopickiego oficerem, który okazał największą odwagę i zimną krew we wszystkich potyczkach i atakach. Chłopicki dzielnie bronił przystępu do Modeny i przyczynił się do korzyści, odniesionych pod Pontremoli i Croce, odznaczył się d. 4 czerwca 1799 r. pod Busano i 15 stycznia 1800 r. przy zdobyciu Casabianca, oraz w bitwie pod Ponti.

Podczas kampanii r. 1807, Chłopicki dowodził pierwszym pułkiem nadwiślańskim i położył wielkie zasługi w bitwach pod Eylau i Friedlandem. Gdy w czerwcu r. 1808 Napoleon wysłał część wojsk polskich do Hiszpanii, Chłopicki miał sposobność rozwinąć za Pirenejami wysokie swoje zdolności militarne. Armia francuzka walczyła z narodem broniącym się dzielnie na każdym kroku. Po zwycięstwie pod Tudellą, które przeważył na stronę francuzów pułkownik Konopka, armia dowodzona przez generała Lefebre ruszyła ku Saragossie, przed którą zastąpiło jej drogę 5000 Hiszpanów. Pułkownik Chłopicki otrzymał rozkaz atakowania ich. Pierwsze uderzenie kolumny prowadzonej przez niego było tak gwałtowne, że Hiszpanie pomimo mocnego stanowiska i morderczego swego ognia, pozostawiwszy dwa działa, cofnęli

się w nieładzie do miasta. Chłopicki kompanie polskie dziesiątkowane ogniem kartaczowym Hiszpanów zebrał i dotarł pod bramy Saragossy. Znaczne straty zmusiły wprawdzie szturmujących do odwrotu, a generał Lefebre wysłał Chłopickiego, żeby zagrożony jego obóz zasłonił od napadu napływających licznie band gerylasów. Chłopicki z tysiącem Polaków i jednym działem uderza na 8,000 Hiszpanów mających 4 działa, a im ogień kartaczowy baterji hiszpańskiej był silniejszy, tem gwałtowniej leciały na nią polskie szeregi. Piechota nieprzyjacielska została złamana i baterja zdobyta a popłoch gwałtownością ataku polskiego wzniecony rozproszył resztę wojska hiszpańskiego które straciło około 3,000 zabitych. Wówczas to Napoleon przesłał dla piechoty nadwiślańskiej pierwsze dwa krzyże legii honorowej z których jednym ozdobił pierś pułkownika Chłopickiego, drugim porucznika Chojckiego. Bitwa pod Epilą rzuciła postrach na powstańców aragońskich i przyspieszyła rozpoczęcie szturmów do Saragossy. W ataku dnia 2 lipca polecono Chłopickiemu zdobycie klasztoru św. Józefa, co tenże po dwukrotnym szturmie dokonał. Cavallero, dowódca Saragossy w pamiętnikach swoich, z podziwem o tem zdobyciu warownych murów wspomina. W krwawym szturmie d. 4 sierpnia, raz Polacy, drugi raz Francuzi wpadali na szeroką ulicę Casso dziesiątkowani żwawym ogniem ze wszystkich domów. Każdy zaułek, każde piętro i piwnica, stawały się nową twierdzą, nową barykadą do zdobycia. Chłopicki po raz trzeci rzuciwszy się w ulicę Casso opanował kilka domów stanowiących najważniejszy posterunek, lecz ciężko ranny, zaledwie przez swoich wiarusów uniesiony został. Później (d. 27 stycznia 1809 r.) przypuszczono szturm w którym bohaterski atak Chłopickiego wzbudził podziw w najdzielniejszych żołnierzach napoleońskich. Marszałek Lannes widząc, że klasztor Santa Engracia stanowi punkt nader ważny i że zdobycie go jest w danych warunkach bardzo trudnem, powierzył to zadanie prawie niepodobne do wykonania Chłopickiemu. Gdy idący w awangardzie kapitan Nagrodzki z dwoma kompaniami legii nadwiślańskiej stanął pierwszy na wyłomie muru pod strasznym ogniem karabinowym, dwie kule przeszły mu piersi. Wówczas Chłopicki, na czele reszty swego pułku rzucił się w pomoc dzielnym żołnierzom poległego Nagrodzkiego i przez wyłom opanował

broniony zacięcie klasztor. Niezwłocznie zdobywa drugi klasztor zwany Encalzas z równem męstwem przez Hiszpanów broniony, jak również domy otaczające plac San Engracia wśród Saragossy i rzucający się w uliczkę z której miotano silny ogień kartaczowy na Polaków, zdobywa w niej dwa działka. W dniu tym w ogóle zdobyto 15 dział na Hiszpanach a marszałek Lannes ogłosił natychmiast męznego pułkownika dowódcą ataku w środkowym mieście. Walki jednak trwały jeszcze dalej i dopiero w dniu 20 lutego poddała się Saragossa w zupełności Polakom i Francuzom. Jenerał porucznik Brandt w wojsku pruskim, który pierw szej służył w Hiszpanii pod rozkazami Chłopickiego, przyznaje, że do zdobycia Saragossy tenże najwięcej się przyczynił.

Następnie przeszedł Chłopicki pod dowództwo marszałka Suchet, którego wyprawy w Aragonii, Katalonii i Walencji do najświetniejszych należą. Pod Mavią Chłopicki szedł do ataku na czele pierwszego pułku nadwiślańskiego, z bronią na ramieniu, bez wystrzału, drogą przepaściastą pod silnym ogniem nieprzyjacielskim i uderzył niezachwiany, gdy inne oddziały francuzkie zaczęły się wahać.

Mianowany jenerałem brygady, dowodził pułkami czwartym liniowym i drugim nadwiślańskim. Wysłany przeciw korpusowi Moliny, poraził go na głowę d. 12 październ. 1809 r. w okolicy miasta Daroca. Kiedy Suchet przenosił działania wojenne do Walencji, potrzeba było dla oczyszczenia linii pochodu, wypłoszyć z okolic korpus jenerała Villacampa. Jenerał Lawal wysłany w tym celu spotkał Hiszpanów w silnie obwarowanym stanowisku, niedaleko miasta Teruel. Gdy pułkownik Klicki wyrusza na opanowanie wyżyn okolicznych, jenerał Chłopicki wpada na nieprzyjaciela i zdobywa oszańcowane okopy z których rozbici Hiszpanie ratowali się ucieczką za rzekę Guadalawiar, pozostawiając bezpieczną drogę do Walencji. Głośnie się też stało i groźnem imię Chłopickiego w Hiszpanii. Na samą wieść o jego pochodzie, Hiszpanie cofali się pośpiesznie, a nie raz i broń rzucali w ucieczce. Jenerałowie Carabajał i straszny dla Francuzów jen. Franciszek Mina nie śmieli Chłopickiemu stawić czoła. Wodzowie francuzcy tak wielkie mieli w Chłopickim zaufanie, że gdzie potrzeba było największego pośpiechu i odwagi tam wysyłano Chłopickiego z legią pol-

ską, a marszałek Suchet mawiał, że jenerał ten godzien być wodzem naczelnym. W końcu r. 1811 pod murami Walencji, Polacy walczyli raz ostatni w Hiszpanii i niebawem wodzowie francuzcy z żalem spoglądali na oddalające się wojsko polskie od ich armii dla której synowie równin nadwiślańskich tyle mężnej krwi swojej przeleli i tyle przeważnych usług oddali. W styczniu 1812 około 6000 walecznych żołnierzy opuściło brzegi Ebru. W czerwcu ujrzeli ziemię rodzinną a w grudniu głębokie śniegi zawiewały wiele trupów z tego wojska bohaterów tak lekkomyślnie zagnanego przez Napoleona w mroźną północ. Chłopicki w r. 1812 jako jenerał brygady w dywizyi Clapareda w gwardyi cesarskiej, dowodził czterema pułkami nadwiślańskimi. Raniony pod Smoleńskiem, w ciągu zwycięstw i pogromu świetniał odwagą i zdolnościami wodza. Współczesny towarzysz broni, tak nam opisuje tego bohatera w owym czasie: „Postać jego rosła, twarz starożytnego zakroju, na której malowała się szlachetność obok surowości, wzrok jego orli, powierzchowność łącząca w dziwnej mieszaninie niby zimną obojętność, z pełnem otwartości wylaniem, grzeczność z niejakim odcieniem szorstkości. Sposób wyrażania się zwięzły i energiczny, jego umysł zwykle w najkrytyczniejszych chwilach spokojny, a przytem owa żywość jego w chwili stanowczej, oto są znamiona które w nim cechowały wyższego człowieka. Przymioty te przybierały nowego blasku w chwilach działania: w ogniu wśród największych niebezpieczeństw, w wirze nieodłącznego od walki nieładu, dostrzegłeś dopiero całą jego zimną krew, całą siłę wojennego natchnienia, całą nieustraszoność męstwa. Zdawało się, że w miarę rosnącego niebezpieczeństwa, potężniej władze jego duszy; wtedy to znajdował się w swym żywiole, wtedy prawdziwym był bohaterem. Szlachetne jego oblicze przybierając wyraz zapału i męskiej piękności, stawało się podziwem tych, co pod nim walczyli, wpajało w nich nieograniczone zaufanie i żądze poświęceń, pod jego wodzą byli oni pewni, że złamią wszelkie przeszkody, pokonają wszelkie niebezpieczeństwa. Zważywszy nareszcie, że Chłopicki prawdziwym był wyobrazicielem honoru i pomimo pozornej opryskliwości samą delikatnością, łatwo pojąć ów wpływ jaki ciągle wywierał na całe wojsko podległe jego rozkazom.“

R. 1814 wrócił ze szczątkami armii polskiej

z zachodu Europy do kraju i w nowej organizacji wojska Królestwa Polskiego postanowionej przez cesarza Aleksandra I mianowany został generałem dywizji. Generał Puzyrewski z którego dzieła *Wojna Polsko-Ruska* przytoczymy tu o Chłopickim dosłowne poniżej wyjątki, nie pochwała postępowania naczelnego wodza armii w Kongresówce, skutkiem którego znakomity generał strącony o uniform jakiegoś żołnierza, podał się do dymisji i zamieszkał w ustroniu gdzie go zastał koniec listopada 1830 r.

O Chłopickim temi słowami pisze generał Puzyrewski: „W powstaniu (1831 r.) zabłysło kilka zdolnych osobistości. Na czele ich postawić należy Chłopickiego. W chwili wybuchu miał on już lat 60, ale zachował w zupełności żwawość i energię. Postawę miał imponującą, charakter niezachwiany w wysokim stopniu, mężny z natury. Bitwa go rozplamiała, a wtedy myśl jego i słowo jasnymi się stawały. Pochodził z dawnego szlacheckiego rodu na Podolu. Służył naprzód w dywizji ukraińskiej, a w czasach konfederacji Targowickiej, uszedł do Kościuszki. Wstąpiwszy do wojsk polskich Napoleona, talenta swoje rozwinął w Hiszpanii. Za Aleksandra I dostał dowództwo jednej z dwóch pieszych dywizji, ale poróżnił się z Wielkim Księciem i wziął dymisję. Jermolow dziwił się, jak można było pozbawić się usług takiego generała, którego w dodatku powodem dymisji było bagatelne niezachowanie formy ubioru przez jednego z szeregowców. Rewolucyoniści znając zdolności wojenne Chłopickiego, przywiązanie do niego narodu, chcieli go postawić na czele armii. Pojmował on doskonale całe niebezpieczeństwo walki Polski z Rosją i jeżeli przyjął dowództwo armii i dyktaturę, to jedynie po to, aby ująwszy w ręce powstanie, wyjednać ustępstwa u cesarza Mikołaja I. Żadnej nie mając ufności do nowych pułków i do „ruchawki“, wierzył tylko w siłę wojsk regularnych i dla tego, gdy został dyktatorem, starał się wszelkimi siłami uniknąć wojny z Rosją, nie przedsiębrał kroków zaczepnych i nie pragnął dalszych uzbrojeń. To jego postępowanie było bardzo źle widziane przez stronnictwo rewolucyjne i dla tego musiał zrzec się dyktatury. Sam generał Puzyrewski, równie jak Dawydow, ruski uczestnik wojny z r. 1831, są zdania, że *z punktu wojennego* postępowanie Chłopickiego było błędne. „Powinien był wiedzieć, że monarcha rosyjski przy-

jąć jego propozycji ani traktować z nim nie może. Pięcioletnie postępowanie Mikołaja I nacechowane wybitnym hartem i nieugiętością, powinno było otworzyć oczy Chłopickiemu. Albo więc nie powinien był przyjmować rewolucyjnej godności dyktatora, albo przyjąć ją ze stanowczym zamiarem zwiększenia sił do wojny na życie i śmierć.“ Zaniedbanie środków szybkiego uzbrojenia z powodu wysłania Lubeckiego i Jezierskiego dla pertraktacji do Petersburga, zasługiwało ze stanowiska wojennego na surową naganą.

Po zrzeczeniu się dyktatury przez Chłopickiego, naczelnym wodzem został ks. Michał Radziwiłł, człowiek dobry ale słabego charakteru, nie wojak. Był on tylko tytularnym wodzem armii, bo we wszystkim radził się Chłopickiego. Gdy nastąpiła wielka bitwa pod Grochowem, faktycznym wodzem był w niej Chłopicki i złożył świetne dowody talentu i nieustraszonej odwagi. Prądyński twierdzi, że jeden tylko Chłopicki był odpowiedni na wodza gdyby się nie bawił w politykę i że drugiego takiego nie było w całym kraju. W szczegółowym opisie walki powyższej powiada, że „obaj z Chłopickim mieliśmy ubrania podziurawione kulami jak rzeszoto. Chłopicki zraniony już kulą w nogę, przebiega wzdłuż całej linii, zagrzewa żołnierzy i wydaje kilka nowych rozporządzeń. Udaje się następnie na chwilę do ks. Radziwiłła, aby przedsięwziąć odpowiednie środki względem korpusu Krukowieckiego. Podczas gdy zaczął mu zdawać relację z ostatniego wypadku, granat uderza w piersi jego konia, a był to już trzeci koń dnia tego pod nim zabity, i pęka we wnętrzu zwierzęcia. Chłopicki pada ciężko ranny w obie nogi. Złożono go na wozie na którym leżąc zakomunikował mi jeszcze z zadziwiającą przezornością i krwią zimną ostatnie rozkazy na resztę dnia. Strata Chłopickiego stała się największym nieszczęściem dla armii polskiej, której był duszą. Od tej chwili nie było już jedności w bitwie a każdy walczył oddzielnie i jakby na swój własny rachunek.“

Tym sposobem w d. 25 lutego generał Chłopicki w pierwszej wielkiej bitwie, zszedł z pola wojny, po której zakończeniu zamieszkał stale w Krakowie, zachowując do późnej starości wszystkie rysy charakteru i odwagi jako jeden z ostatnich a najświetniejszych i nieporównanych typów bohatera czasów napoleońskich.

W r. 1810 za zwycięstwo pod Epilą, mianowany był przez Napoleona baronem cesarstwa francuzkiego. Trzymając się jednak zasady i powtarzając nieraz: „Nie pytam co jego przodkowie zrobili, lecz co sam zdziałał,” pod baronowską koroną nie zamieścił na herbowej tarczy klejnotu rodziny Chłopickich, ale uderzający piorun. Mieszkając w Krakowie napisał swoje pamiętniki które 1846 r. sam spalił i tylko później Józefowi Mączyńskiemu pozostając w zażyłych z nim stosunkach, pozostawił opis bitwy pod Epilą.

Umarł w r. 1854, a zwłoki jego przewiezio-
ne do odległych o 3 mile od Krakowa Krzeszowic,
pochowane zostały stosownie do zlecenia zmarłego
wojownika na tamtejszym cmentarzu wiejskim.

O Chłopickim pisali: Józef Mroziński, Roman
hr. Załuski, Józef Mączyński, generał Prądkowski,
Kazimierz Wł. Wójcicki, ten ostatni w *Cmentarzu
Powązkowskim pod Warszawą* i *Encyklopedji Powsze-
chnej Orgelbranda*, oraz generał A. K. Puzyrewski,
z których to prac, żywot niniejszy streściliśmy.


Zygmunt Głóger.



Stanisław Wawrzyniec Staszyc.

* 1755 † 1826.

•>—<•

dy o latach młodości wielu znakomitych ludzi z końca XVIII wieku, skutkiem braku odpowiednich danych, najczęściej nic pewnego nie możemy powiedzieć; co do Staszycy, bez względu na to, że mu niemal połowa życia ubiegła po za ruchem ówczesnych politycznych wypadków, posiadamy jak najdokładniejsze wiadomości, dzięki autobiografii, którą w r. 1820, pisząc swój testament, nakreślił. I znowu niema może drugiej osobistości w dziejach naszych, któraby w tym stopniu, jak Staszyc, wydatniała życiem całem ten radykalny przełom, jaki u nas w pojęciach politycznych i prawnych z początkiem stulecia bieżącego nastąpił. Jeden z najgłębszych umysłów, jaki kiedykolwiek Polska wydała, w XVIII wieku niema możności zajęcia w społeczeństwie żadnego stanowiska, na którymby służyć mógł krajowi odpowiednio do swych zdolności i to wtedy, gdy kraj ten potrzebuje najwięcej ludzi rozumnych, a z czystymi rękoma; w XIX zdobywa najwydatniejsze godności, zużytkowyywa dla dobra społeczeństwa swe umysłowe zasoby i dochodzi, jak na owe czasy, do olbrzymiej fortuny, którą znowu na cele ogólnego pożytku po królewsku szafuje. Zaporą, która mu w młodości i wieku męzkim na drodze do działalności obywatelskiej stanęła, było jego pochodzenie mieszczańskie; dźwignią, która go pod koniec życia na stanowisko przodujące, obok zdolności i nauki wyniosła, była demokratyczna kodeksu francuzkiego zasada, która przyznawała równe prawa wszystkim mieszkańcom kraju.

Ród mieszczański, z którego Staszyc (właściwie Stasic, jak zapisano w księgach metrycznych) pochodził, do bardzo szlachejnych i dla kraju pożytecznych należał. Naprzód dziad jego, w ciągu lat 60 spełniając z wyboru obowiązki burmistrza w miasteczku wielkopolskiem Pile (dziś Sneidmühle) za Notecią, przez lat 20 stawiał czoło wdzierającemu się w prawa miasta staroście Cińskiemu, który samowolnie odjął mu prawa propinacyi i wyzuł mieszkańców z gruntów urodzajnych na rzecz starostwa, narzucając im nieużytki i piaski. Bez względu na zniewagi i napaści możnego pana, „doprowadził sprawę do szczęśliwego końca i odzyskał dekretem wydartą miastu własność.“ (Autobiografia).

Ojciec znów Stanisława, Wawrzyniec, spełniając ten sam urząd przez lat dziesięć, aż do pierwszego podziału, w którym Pila pod panowanie pruskie się dostała, z innego znowu względu narażony był na niebezpieczeństwa i zniewagi. W czasie konfederacyi barskiej, broniąc miasta od zdzierstw i kontrybucyi, jako sprzyjający rebelizantom, naraził się na pozbawienie kilkumiesięcznej wolności, przyczem nie mało zdrowia i pieniędzy utracił.

Znamiennym więc rysem charakteru Staszyców była odwaga cywilna. Dodajmy, że Wawrzyniec był nader wykształconym, jak na owe czasy, człowiekiem: obok biegłości w prawie rzymskim, posiadał znajomość i klasyków rzymskich.

Syn, Stanisław, przyszedł na świat w listopadzie 1755 r. i był najmłodszym z rodzeństwa. Że

zaś słabem odznaczał się zdrowiem, przeto matka, Katarzyna z Miętleckich, niewiasta wielce pobożna, od lat najwcześniejszych ubierała go w suknie duchowne, do kapłańskiego przeznaczając stanu. Ojciec, acz rozumny, nie stawiał jej przeszkód w tem narzucaniu przyszłego powołania synowi, ale starał mu się dać wykształcenie gruntowe i rozbudzić w nim zamiłowanie do nauk. Ukończywszy je też w kraju wyjechał za granicę i, kierując się radami ojca, uczęszczał naprzód na uniwersytety w Lipsku i Getyndze, następnie do Kollegium królewskiego (Collège de France) w Paryżu, gdzie przez lat dwa kształcił się w fizyce pod kierunkiem Brissona i w historii naturalnej pod Dubentonom, biorącym udział w układzie i uzupełnieniach pism Buffona. Przez niego też Staszyc wszedł w stosunek z tym wielkim przyrodnikiem-stylistą w chwili, gdy wydawał dzieło *O epokach natury*. Staszyc, porwany pięknosciami stylu i hipotezami Buffona, zamierzył dzieło to przyswoić literaturze ojczystej i rzeczywiście tego w roku 1784 dokonał. Wszakże już w powrocie do kraju, sprawdzając na budowie Alp, Apeninów, Etnie i Wezuwiuszu jego teorię, przekonał się, że niezupełnie była zgodna z naturą. W każdym razie, badanie tych gór dało mu podstawę do późniejszych badań Karpat i turni tatrzańskich.

Wykształcony gruntownie i wzbogacony rozległymi wiadomościami, nabytymi czytaniem i obcowaniem z ludźmi, stojącymi na czele ówczesnego ruchu filozoficznego we Francji, wracał do kraju z tem przekonaniem, że zdobytą na obczyźnie wiedzę, będzie mógł na korzyść jego obrócić. Tymczasem czekało go straszne rozczarowanie. Było to pod koniec sejmu delegacyjnego, gdy przybył do Warszawy. Przepaść, nad którą rzplita stanęła, przeraziła umysły, lecz nie obudziła w nich jeszcze świadomości istotnych przyczyn upadku; owszem, wśród powszechnego rozbicia, tem czulszemi robiła je na ochranianie przywilejów stanowych. W obec takiego położenia, Staszyc, ze względu na swe urodzenie, nie posiadający żadnych praw politycznych, uczuł się obcym wśród swoich. Nie tyle go wszakże bolało, że we własnym kraju z tego względu znalazł dla siebie wszystkie drogi do przyszłej kariery zaparte, ile pogarda okazywana mu powszechnie. »Urodzony z tak znacznych i cnotliwych rodziców, z ojca tak poświęcającego się... wstydić się musiałem mego uro-

dzenia, wszędzie je znalazłem odrzucone od czi, od urzędów, od ziemi.« (Autobiografia). Byłby też zapewne zmarniał, gdyby mu ręki nie podał Andrzej Zamoyski. Mąż ten, o całą głowę rozumem i zacnością charakteru przewyższający współczesnych, był pierwszy, który o poprawie losu włościan w dobrach swych biezuńskich pomyślał i od r. 1760 pracował stale nad zamianą w nich pańszczyzny na czynsze. Na sejmie znowu 1767/8, nie chcąc podpisać gwarancyi, złożył kanclerski swój urząd. On też jeden ocenił naukę i zdolności w młodym Staszycu i powołał go na nauczyciela przedmiotów polskich do synów: Aleksandra, Stanisława, Michała i Andrzeja, przy których obowiązki ochmistrza L'abbé la Chaise sprawował. Rok 1776 jakkolwiek się w dziejach nader smutnie zapisał, wlał jednak pewną otuchę w serce Staszycy. Sejm bowiem warszawski, mający zatwierdzić robotę konfederacyi radomskiej, zdobył się na dwie nader doniosłe uchwały: jedna z nich stanowiła, iż szlachcic za zabójstwo chłopą, ma być karan tak samo, jak za zabójstwo szlachcica; druga powoływała Andrzeja Zamoyskiego do ułożenia projektu nowego statutu, któryby odpowiadał nowoczesnym wymaganiom i potrzebom kraju. Do współpracownictwa w tem dziele, które miało lud z pod sądów patrymonialnych wyzwolić i zapewnić mu w pewnej mierze osobistą swobodę, eks-kanclerz kilku mężów powołał, a przede wszystkim Józefa Wybickiego, który mu się swemi *Listami patriotyckimi*, wydanymi w r. 1777 zalecił. Nie mniejszy udział w pracy tej przyjęli: Krzysztof Szembek, biskup płocki, Joachim Chreptowicz, podkanclerzy litewski, oraz prawnicy: Węgrzecki i Grochólski. Autor życiorysu Staszycy, Justyn Wojewódzki, nie bez słuszności przypuszcza, że i on do tych narad należał, lubo ze względu na swe stanowisko społeczne musiał w cieniu pozostać.

Przecież ani Staszyc, ani twórcy projektu nie przeczuwali, że trud ich pójdzie na marne. Wprawdzie sejm warszawski w r. 1780 urzędowo za podjętą pracę około ułożenia zbioru praw Zamoyskiemu wdzięczność wyraził; ale projekt jednomyślnie, z powodu owych artykułów, polepszających dolę ludu, odrzucił, ogół zaś, widząc w nim zamach na swe przywileje, bezwzględnie go potępił, uznając za nieprzyjaciela ojczyzny. Jeżeli Staszyc miał jakie co do społeczeństwa złudzenia, to mu



Stanislav Hapiec

Z portretu wspaniałego.

je wrogie jego usposobienie względem eks-kancelarza rozwiał.

Po tej porażce Zamoyski natychmiast opuścił Warszawę i w tymże czasie objawszy ordynacyą, osiedlił się na czas dłuższy w Zamościu. Z nim wyjechał i Staszyc, by się oddać wyłącznie swym obowiązkom i w pracy naukowej szukać ukrzepienia dla ducha.

Zdaje się jednak, że pomiędzy temi dwoma sejmami w życiu jego nastąpił przełom stanowczy. W r. 1779 wydał on poemat Ludwika Rasyna: *O Religii*, którego przekład prozą, »dla przypodobania się—jak powiada—matce« w 15 roku życia rozpoczął. Otóż, w nim, pod dołączonym przekładem wiersza Woltera: *O Lizbonie*, znajdujemy jego nazwisko z tytułem: *kancelarz kapituły zamojskiej*, co dowodziłoby, że przed rokiem 1779 przyjął święcenia kapłańskie. Czy z przekonania? rzecz wielce wątpliwa, skoro w woli matki, przeznaczającej go na księdza, widzi »przesąd i religijne uprzedzenie.« Przecież ją spełnia przez cześć dla jej pamięci.

Przyjęcie jednak święceń nie zapewniało jeszcze stanowiska w hierarchii kościelnej. Otrzymał bowiem wyższego beneficyum, któreby odpowiadało jego nauce i zdolnościom, stawalo znowu na przeszkodzie urodzenie mieszczańskie. Ale pobyt w Zamościu nastrecał mu sposobność zmycia choć w części tej zakazy ze siebie. Ponieważ stanowisko profesora w Akademii miejscowej dawało prawo do prelatur i kanonij przy kolegiacie zamojskiej; należało przeto zdobyć stopień naukowy doktora, a z nim i katedrę, coby już odpychanemu przez wszystkich plebejowi, nawet bez kościelnej hierarchicznej godności, pozwoliło zająć jakiś szczebel w drabinie społecznej. O ten więc stopień naukowy zaczął Staszyc robić starania. Jakoż w kwietniu 1782 r. za podkanclerstwa akademickiego Kochnowskiego, oraz rektoratu Wątróbskiego i dziekanstwa Rydułskiego, po odbyciu kilka dni trwających dysput i wydaniu kilku tysięcy złp. na podejmowanie doktorów Akademii, uzyskał wreszcie stopień doktora obojga praw, co dowodzi, że jak w Paryżu naukom przyrodniczym, tak w Lipsku i Getyndze, poświęcał się naukom prawnym. Zdawałoby się też, że po tej ogniowej próbie akademicy zamojscy szeroko otworzą ramiona, by w swe grono przyjąć tak znakomitą naukową siłę która instytucji wielkiego kanclerza

i hetmana, mogła dodać nowego blasku. Tymczasem nic z tego! Pomimo opróżnionych niektórych katedr, Staszyc nie otrzymuje żadnej. Luminarze akademii wyznaczają mu tylko podrzędne stanowisko profesora języka francuzkiego, zatrzymując jednak drugiego, już pełniącego tę funkcję, który, rozumie się, trzyma prym w tym duumwiarze, wytworzonym w tym celu, by w jakiś sposób uczynić zadość woli ordynata. Zarówno urodzenie, jak i zasady liberalne uprzedzały przeciw Staszycowi mędrców zamojskich. (Por. ks. Jan Ambroży Wapowski: *Anacephaleosis Professorum Academiae Zamosciensis*. Warszawa, 1898, 255—256.)

Staszyc też mógł w poemacie rozpoczętym w tym czasie pod tyt.: *Ród ludzki*, wypowiedzieć te słowa pełne goryczy:

Żaden z zwierzów (sic) nie niszczy własnego plemienia;
Człek tylko nienawidzi swój ród i wytepia.
Ci dzierżą wszystko, drugich od ziemi odpchnięto,
Większej wydziałem części praca i niewolstwo;
A rodzenie się rzuca na nich srom, haniebnosc...
Tak jedni zawsze dzierżą z potomstwem dziedziczą,
A drudzy zawsze cierpią, z potomstwem nędznieją.

(Ks. I, początek)

Poemat jednak miał dopiero ujrzeć światło dzienne po latach 40-tu; tymczasem niezasłużona wżgarda, jaką na niego urodzenie ścigało, a jeszcze więcej kataklizm, przez jaki naród przeszedł, właśnie z winy tych, którzy sobie do rządzenia nim z urodzenia wyłączne przyznawali prawo, nasuwały mu przedmiot do gorzkich rozmyślań i zaciekań głębokich, które, lubo wypowiedziane chaotycznie w *Uwagach nad życiem Jana Zamoyskiego*, wydanych w r. 1785, bez wymienienia autora i miejsca druku, miały jednak ten skutek, że obu, dziły sumienie narodu i przygotowały umysły do podjęcia na sejmie czteroletnim reformy. W dziele tym Staszyc zapuszcza sondę krytycyzmu w schorzone ciało rzplitej głęboko, i wykazując wszystkie w jej organizmie zboczenia, domaga się głosem wielkim radykalnej odmiany: w edukacji, prawodawstwie, we władzy wykonawczej, sądownictwie, obieraniu królów, wojsku, opodatkowaniu handlu i w. i. instytucjach zmurszałych. Wystąpienie jego cechuje śmiałość, niepodległość myśli i bezwzględność przekonań. Dla magnatów ma tylko wyrazy pogardy i nie do nich, lecz do szlachty zwraca swą mowę, radząc jej, by myślała sama

o sobie. To też jeżeli jakie dzieło w epoce Stanisławowskiej odbija wpływ literatury filozoficznej, francuskiej, to bez wątpienia owe uwagi o Życiu Jana Zamoyskiego, którym wszakże nie wiele się zajmuje. Nie znaczy to jednak, by domagał się reform według z góry na obczyźnie upatrzonego wzoru, gdyż owszem, przy każdej sposobności powtarza, iż wszelkie odmiany wynikać powinny z potrzeb rzeczywistych kraju; lecz że w świetle, przyniesionem z zachodu, wykazuje, jak dalekie od wymagań czasu były obecne jego stosunki. Bez względu, iż *Uragi* godziły w dumę, sobkostwo przemoc i przedajność magnatów, nie poszukiwano jednak autora sądownie o obrazę senatorskiego stanu, jak się to nie raz zdarzało. Co prawda na ewentualność podobnego rodzaju Staszyc zabezpieczył się dobrze, i nie tylko że w przedmowie położył nacisk na swe poddaństwo pruskie, ale nadto, kładąc pod nią datę 20 maja 1785 r., wymienia Heilsberg jako miejscowość, w której praca jego niby powstała.

Natomiast sprawy jego materialne szły nie ze wszystkiem pomyślnie, Przynajmniej benefitya przy Kolegjacie zamojskiej nie dopisywały. Dopiero, gdy po śmierci Kochnowskiego, sufragana i oficjała chełmińskiego, zawakowało trzymane przez probostwo turobińskie, Zamoyski z mocy patronatu dał mu na nie w d. 29 czerwca 1788 r. prezente, oraz na rektorstwo filii w Czarnęcinie—wsi, którą niegdyś dożywociem Szymon Szymonowicz posiadał. Do niej też zwykle na miesiące wakacyjne zjeżdżał Staszyc z synami ordynata, obowiązki zaś pasterskie w otrzymanem probostwie; wikaryuszowi poruczał.

Gdy w d. 6 października t. r. nastąpiło otwarcie wielkiego sejmku, pośpieszył nań do Warszawy, z ordynatem. Staszyc i tu pomiędzy arbitrami ukryty, mógł słyszeć w toku rozpraw wygłaszane te same zasady, które w *Uragach* rozwijał. To znaczyło, że posiew jego nie poszedł na marne. Ale, niestety, obok dobrego ziarna, zaczęły wkrótce występować i chwasty zakorzenione od dawna. Przeniknąwszy też manewr republikańskiego stronnictwa, które wykrętnem przedstawieniem rzeczy wprowadzało w pojęcia zamęt i do nieskończoności przedłużało nad każdą materią rozprawę, by izbę znużyć i obrady na inne tory sprowadzić: Staszyc uczuł całą grozę położenia i przejęty obawą, że sejm, tak dobrze zaczęty, zmarnu-

je czas na jałowych sporach i upuści jedyną może chwilę do przeprowadzenia reform sposobną, zabrał się gorączkowo do nowej pracy i w r. 1790 wydał *Przestrogi ostatnie dla Polski*. I teraz sejm nie poszukuje autora, choć wystąpienie jego równie jak w *Uragach* jest bezwzględne i śmiałe. Widocznie oburzenie jego szczere a szlachetne odbiera najzuchwalszym odwagę do wystąpienia z oskarżeniem, które przeciw nim samym mogłoby się obrócić. Rzecz tylko dziwna, że gdy *Uragi*, kreślone z całym rozmysłem, rażą nierównomiernym i chaotycznym układem, *Przestrogi*, choć pisane pośpiesznie, odznaczają się porządnym, systematycznym wyłożeniem zasad ustroju społecznego w duchu Monteskiusza i Rousseau'a pojętych.

W ciągu tych zajęć dokonywa aktu, który o jego charakterze daje wymowne świadectwo.

W kwietniu 1791 r. rezygnuje z posiadanych beneficyów, jak tylko Skaryszewski objął w zarząd chełmską dyecezyą.

Wreszcie z załimitowaniem sejmku w d. 29 maja 1792 r., wyjechał wraz z ordynatem do Zamościa, gdzie ten mąż znakomity w tymże roku życia dokonał. W nim tracił Staszyc nie tylko dobroczyńcę, lecz i przyjaciela, z którym, pomimo różnic urodzenia i stanowiska, od lat kilkunastu dzielił wszystkie uczucia i myśli. Łączyła ich wspólna miłość dobra powszechnego, więc rozumieli się i uzupełniali wzajemnie. Ze śmiercią jego nie zaszła jednak żadna zmiana w położeniu Staszycy. Gdy najstarszy z synów, Aleksander objął ordynacyą, on pozostał nadal przy wdowie jako jej doradca i wychowawca jej dzieci. Towarzyszy jej też do Wiednia, gdzie pomimo jej zgony, zaszłego w r. 1797, przez rok cały jeszcze przebywał.

Kilkoletni ten pobyt w stolicy naddunajskiej miał ważne dla Staszycy następstwa. Wywiózłszy z kraju niewielki kapitał, jaki ze schedy po rodzicach, z zaoszczędzonej pensyi, którą w domu Zamoyskich pobierał i z trzechletnich dochodów z probostwa turobińskiego uskładał, puścił się na spekulacye pieniężne i, grając szczęśliwie na giełdzie, w ciągu lat pięciu dorobił się znacznej fortuny. Nie brudna wszakże chciwość była mu do tego podniętą, lubo już dobrze za czterdziestkę przeszedłszy, mógł myśleć o zapewnieniu sobie niezależnego bytu. Ale on miał wyższe cele przed

sobą. W długoletnich rozmyślaniach nad tem, jaki Bóg miał zamiar w stwarzaniu człowieka i na czem się stałe jego szczęście zasadza, doszedł do przekonania, że mu je »tylko miłość bliźnich, ziszczana przez dobre czyny, zapewnia.« »Ten — powiada — kto przez swoje życie poprawi i udoskonalili los współczesnych lub całych plemion następnych, ten dopełnia całkowicie swego tu istnienia przeznaczenie, czyli te zamiary jakie najwyższe Jęstestwo w jego stworzeniu złożyło«... »Szczipły majątek — mówi dalej — jaki wziętem, i to, co przez całe życie zebrać mogłem z największą starannością, ku temu, raz powziętemu celowi, obra- całem nieprzerwanie« (Autobiografia). Ta to, nie inna myśl pobudzała go do szukania powodzenia w ryzykownych operacjach na giełdzie.

Nie od razu przecież obmyślił sposób urze- czywnienia swych filantropijnych celów. Po wy- jeździe z Wiednia, w 1798 r., wyrusza latem w Ta- try i oddaje się naukowemu ich zbadaniu. Prze- cież nie on pierwszy podejmuje to zadanie. Uprze- dzają go bowiem na tej drodze: francuz, Hacquet, który od r. 1788—1795 każdego lata odbywa tu naukowe wycieczki, i anglik, Robert Townson, któ- ry w 1793 mierzy wysokości niektórych szczytów (Die Hohe Tatra, v. Karl Koristka, 1864). Był więc Staszyc trzecim z kolei naukowym ich bada- czem, ale pierwszym pomiędzy uczonymi polski- mi. I on w Tatrach dokonywa barometrycznych pomiarów, bada ich układ, porównywa z ustrojem geologicznym gór, poznanych poprzednio, wróży o skarbach kruszcowych, ukrytych w ich łonie, zaznajamia z ich fauną i florą i w porostach, wy- stępujących na najwyższych szczytach skalnych, dopatruje pierwszych pojavów form roślinnych, które stopniowo, przeobrażając się w grzyby, mchy, skrzypy i t. d., dochodzą najwyższego rozwinięcia w jodłach masztowych i dębach. Przeczucie sto- pniowej ewolucji już wtedy nie jest mu obce. Że i przedtem badał inne części kraju, widać to z przypisów do *Epok natury*, gdzie Polesie i jezio- rzyste wybrzeża Bałtyku za dawny trzon morski uznaje. Wreszcie od 1801 r. zaczyna urzeczywi- stniać swe filantropijne zamysły, a do tego dopo- maga mu rząd austriacki, który, na prowadzenie wojen z Napoleonem potrzebując pieniędzy, wy- sprzedaje wszystkie starostwa, jakie się w tak zwa- nej Galicyi wschodniej znalazły. Wtedy to Staszyc za 100,000 zł. nabywa hrubieszowskie starostwo,

które, położone w gliniastej, pszenicznej glebie, obiecywało znaczne przy umiejętnej gospodarce korzyści. W niem to zamierzył on »udoskonaląc los współczesnych i całych ich plemion następ- nych.«

Jednocześnie zawiązane w 1800 r. Towarzy- stwo Przyjaciół Nauk zaprasza go na swego człon- ka. Wiadomo, iż w niem skupiły się wszystkie pracujące naukowo jednostki, które koniec stule- cia XVIII przeżyły. Na pierwsze też wezwanie Staszyc zabiera naukowe swe zbiory i z Hrubie- szowa przenosi się do Warszawy. Tu nie tylko wiedzę, lecz i pomoc pieniężną niesie Towarzy- stwu w ofierze. Dotąd ono, nie posiadając własne- go lokalu, odbywało swe posiedzenia w domach Stanisława Potockiego i eks-podstolego koronnego Sołtyka; otóż Staszyc wynajmuje na Kanonii dom z obszerną salą, w której na ogólnych zebraniach, oprócz członków, gromadzić się mogła i publicz- ność. Później on dla niego i gmach wspaniały wystawi.

Ponieważ Towarzystwo za główny cel wy- tknęło sobie przekazanie potomnym dziejów i ję- zyka, przeto na tych dwóch kierunkach ograni- czało swe prace. Linde rozpoczynał trud olbrzy- mi nad ułożeniem słownika, inni członkowie roze- brali pomiędzy siebie do opracowania dzieje po- jedynczych królów, by uzupełnić *Historję* Naru- szewicza na roku 1386 przerwana. Sam jego pre- zes i jeden z założycieli Towarzystwa, biskup Jan Albertrand, wziął prawdziwie lwia część na sie- bie. Panowania: Jagielly, Kazimierza Jagiellończy- ka, Jana Olbrachta, Aleksandra, Henryka Wale- zysza i Stefana Batorego, lubo nie dorównywały krytycyzmem i obrobieniem pracy Naruszewicza, wyszły z pod jego pióra. Staszyc z natury swoich studyów nie mogąc brać w żadnym z tych dwóch kierunków udziału, odczytuje z początku na po- siedzeniach swoje przekłady z *Iliady*, wreszcie ustępy z poematu: *Ród ludzki*, nad którym nieu- stannie pracuje. Ale każdorocznie powtarzane wy- cieczki w Tatry, dostarczają mu coraz obfitszego materiału. Zaczyna go opracowywać i od r. 1805 wnosi na te posiedzenia przedmiot zupełnie nowy, bo rozprawy *O ziemiorodztwie gór dawnej Sarmacyi*, w których przed słuchaczami nieznane światy od- słania.

Od tych zajęć spokojnych odrywają jego uwagę wypadki, rozgrywające się na europejskiej

widowni, a które zarówno w łosach kraju, jak i w jego życiu miały sprowadzić epokową odmianę. Z utworzeniem bowiem Ks. Warszawskiego powołany został przez Fryderyka Augusta na urząd referendarza stanu. Pierwszy raz więc w życiu, mając już lat 52, jako wyższej rangi urzędnik, rozpoczynał służbę publiczną, od której go usuwało pochodzenie mieszczańskie. Nic też dziwnego, że w konstytucyi nadanej Księztwu przez Napoleona »widział mniej wolności, a ludzkości więcej.« Znaczyło to, że ze zrównaniem w prawach obywateli kraju, otwierała drogę do wszystkich zawodów osobistym zdolnościom. Jakby też dla okazania, że je posiada do sprawowania wyższych funkcji państwowych, w tym samym roku wydał dzieło: *O statystyce Polski*. Że w niej, jak i w *Uragach*, przytaczane cyfry czerpał ze źródeł urzędowych, o tem wątpić nie można. Ale jeżeli dziś źródła te, skutkiem braku ścisłości, zawodzą, to coś dopiero za jego czasów, gdy podrzędne organa władzy jeszcze mniej pojmowały ważność statystyki. Błądność też cyfr Staszycy, zwłaszcza co do ludności, wykazał T. Korzon w swych *Wewnętrznych dziejach Polski*, ale to bynajmniej zasługi Staszycy na tem polu nie zmniejsza. Owszem, praca jego w swym czasie uchodziła za istotny obraz kraju i poniekąd miała urzędowe znaczenie.

W r. 1808 r. Staszyc otrzymał tytuł radcy stanu z przeznaczeniem służenia w Izbie edukacyjnej, w której prezesem był Stanisław Potocki; gdy zaś w tymże roku, w d. 10 sierpnia, Albertandy mając lat 77 życie zakończył; Towarzystwo Przyjaciół Nauk jednomyślnie powołało go na swego prezesa. Na obudwóch tych stanowiskach Staszyc wielu rzeczy nader dla kraju pożytecznych dokonał. Szczególniej jednak należy mu się wdzięczność za rewindykacją funduszków edukacyjnych. Wiadomo, że po upadku Jezuitów dobra ich sejm z r. 1775 na cele wychowawcze przeznaczył. Ale te, puszczone w dzierżawy wieczyste, nie przynosiły spodziewanych dochodów. Wielu bowiem tenutaryuszów, korzystając z okoliczności, w jakim kraj się znajdował, chciało je sobie prawem kaduka przywłaszczyć. Nie płacąc czynszów, liczyli na przedawnienie. Tymczasem z ustanowieniem Księstwa Warszawskiego Izba edukacyjna w porozumieniu z ministrem spraw wewnętrznych Łuszczewskim, zaczęła drogą administracyjną egzekwować czynsze zaległe. To wywołało krzyk w całym kra-

ju, zwłaszcza, gdy po stronie dłużników stanął minister sprawiedliwości, Feliks Łubiński, który, wychodząc z zasady, że wszelki dług tylko z wyroku sądowego podlega egzekucyi, nietylko egzekutorom administracyjnym stawiał przez swych podwładnych przeszkody, lecz nadto długom prywatnym, któremi nieprawnie tenutaryusze obciążyli te dobra, przyznał przed edukacyjnymi pierwszeństwo. Było to najfałszywsze tłumaczenie prawa, mające źródło w chęci wyniesienia sądów po nad inne władze krajowe. Owe bowiem czynsze zastępowały podatek, który na utrzymanie szkół należałoby uchwalić i rząd mocen był egzekwować je, skoro tenutaryusze do ich płacenia byli prawnie zobowiązani. Jak zaś groźne położenie ten spór wywołał, wystarczy powiedzieć, że Izba edukacyjna nie miała czem nauczycieli opłacać, że bieg oświaty krajowej mógł być lada chwila przerwany. Pomimo jednak słuszności sprawy, dyktatura Łubińskiego przetrwała całe trzy lata. Nawet gdy spór w r. 1812 przeniesiono do Rady Stanu, umiał on tak rzecz wymownie przedstawić, że niemal wszystkich członków na swą stronę pozyskał. Dopiero wystąpienie piorunujące Staszycy przechyliło szalę na korzyść oświaty krajowej.— »Cóż to ja widzę w Radzie Stanu?— zawołał.— Widzę targających się na świętość funduszu, który cnotliwi obywatele w r. 1775 wydarli łupieżcom. Ci sami łupieżcy odstąpili części swoich łupów, na wychowanie swych dzieci. Żli obywatele nie śmieli być złymi ojcami. A tu widzę ojców familij, poświęcających los i dolę swojego plemienia! I dla kogo? Dla marnotrawców i złoczyńców, dla wykrętaczów prawnych, co wiedzą jaka jest natura tych dóbr, podstępnie powciskali się do hypoteki. Znali oni prawa wyraźne. Są one w *Voluminach legum* i niewiadomością zastawiać się nie mogą.« Te jego słowa i kilka dobitniejszych argumentów, sprawiły, iż zawstydzeni członkowie Rady, odstąpili od zdania Łubińskiego i wnioszek Potockiego jednomyślnie przyjęty, pozyskał sankcyą Fryderyka Augusta. Tym sposobem Staszyc nietylko fundusze edukacyjne ocalił, lecz i zachwianą równowagę pomiędzy ministeryami przywrócił.

Jako znowu prezes Towarzystwa P. N. pod innym względem działalność swą zaznaczył. Obdarzony umysłem praktycznym, rozumiał, iż nauka winna bezpośrednio oddziaływać na życie. Obok więc rozpraw historycznych i językowych, wpro-

wadził także rozprawy, mające związek z naukami przyrodniczymi i technologią. Nadto ogłaszał konkursy na prace, dotyczące rolnictwa lub użyteczności społecznej. Dość wymienić tak ważną, jak: »O budowlach mieszkalnych włościańskich, do kraju naszego przystosowanych.« Z takimi pracami od r. 1808 można się coraz częściej w *Rocznikach Towarzystwa* spotykać. Słowem wlał nowe życie w instytucję, która miała dotąd czysto akademicki charakter.

Upadek Napoleona pobudził go do wystąpienia z pismem: *O równowadze Europy*; zamknięcie kongresu wiedeńskiego do napisania odezwy: *Ostatnie moje przestrogi*.

Z ustanowieniem Królestwa Polskiego, otworzyło się dla Staszycy jeszcze rozleglejsze pole działania. W roku 1816 zamianowany przez cesarza i króla Aleksandra I, radcą stanu, dyrektorem generalnym w wydziale przemysłu i kunsztów przy Komisji Spraw Wewnętrznych, na której czele jako minister, stanął Tadeusz Mostowski, oraz członkiem Komisji Oświecenia, której sterownikiem z tytułem ministra, pozostał nadal Stanisław Potocki, Staszyc znalazł się w swoim żywiole i całą zasób swej energii i wiedzy poświęcił górnictwu i oświacie krajowej. W obu tych kierunkach wspierali go dwaj ministrowie, dopomagając do urzeczywistnienia rozległych jego pomysłów. Przedewszystkiem należało zreorganizować z gruntu całe górnictwo, zaniedbane po przejściu jego od Austrii pod zarząd Księstwa Warszawskiego, w ciągu którego istnienia, nikt o jego podźwignięciu nie myślał. Staszyc więc ustanawia Dyрекcyą Główną górnictwa w Kielcach, i jej zarządowi poddaje Dozorstwa górnicze: Miedzianogórskie, Białogórskie, Suchedniowskie, Samsonowskie, Olkuskosiewierskie, Radoszyckie i Pankowskie. Wreszcie po zniesieniu zgromadzenia Cystersów: Wąchockie. Nadto, przy tejże Dyrekcyi w Kielcach organizuje Szkołę górnictwa. Główne zaś ognisko działalności wytwarza w Białogonie, osadzie o 5 wiorst od Kielc odległej, gdzie w 1817 roku powstaje huta Aleksandra, do topienia ołowiu, miedzi i odciągania srebra od obu tych metalów, do których otrzymania dostarczają rudy szyby, bite na Karczówce pod Białogonem, Kolejówce pod Czarnowem, Machutorska Szpara pod Miedzianą górą, Górki Szczutowskie pod Olkuszem i Jaworznią. Nadto urządza tu hamernię, walcownię,

probiernię dla oznaczenia wydajności rud, gisiernię mosiężną, do której modele sprowadza z Berlina i Głowie, wreszcie laboratorium, w którym głównie wyrabiano kwas siarczany obok innych przetworów chemicznych. W tej miejscowości też uczniowie Szkoły górniczej, po ukończeniu kursów dwuletnich, odbywali praktykę, przygotowując się do zajęcia różnych stanowisk w służbie górniczej. Słowem, potężny umysł Staszycy stwarza w ciągu lat kilku wielkie ognisko górniczego przemysłu, którego wzrost w całym kraju podziw obudza. To też Białogon, poczynając od namiestnika, zwiedzają wszystkie niemal ówczesne znakomitości i w Księdze zapisowej, utrzymywanej tu od chwili puszczenia w ruch fabryk górniczych, zapisują swoje nazwiska. Jest między nimi i Staszyc. Przybył on tu w d. 29 lipca 1819 r., by się naocznie przekonać, jak myśl jego urzeczywistniona została i ślad swej bytności w tych upamiętnił słowach: »Zwiedzając wszystkie zakłady górnicze, przy murowaniu walcowni i przy sprowadzaniu do niej wód potrzebnych, byłem tu przytomny. Radca stanu Staszyc.«

Zdawałoby się, że oddany tak całą duszą górnictwu, nie znajdzie już ani siły, ani czasu do zajęć na innych polach pracy społecznej. Tymczasem z równą gorliwością, jako dyrektor w wydziale przemysłu i kunsztów, popiera fabryki sukna w Ozorkowie i Zgierzu, oraz bawełniane w nowo powstającej Łodzi; wreszcie zakłada Konserwatorium w Warszawie i na jego dyrektora powołuje w r. 1821 Elsnera. W charakterze znowu członka Komisji Oświecenia, bierze czynny udział w organizacyi Uniwersytetu, Szkół wojewódzkich, wydziałowych i Elementarnych, jak równie w założeniu Instytutu głuchoniemych, dla którego pozyskuje ks. Józefa Falkowskiego. Gdy bowiem ten, niedowierzając swym siłom, wzbrania się podjąć jego organizacyi i kierownictwa, Staszyc jednym wyrzeczeniem łamie jego opór, Potockiemu stawia: »Pamiętaj, że jako ziomek—krajowi, chrześcianin—bliźniemu, kapłan—dobru niedołężnych twoje życie poświęcić winienesz.«

W tem samem stopniu spełnia gorliwie obowiązki prezesa Tow. P. N., i, budując gmach na jego pomieszczenie, zamierza przed nim posąg Kopernika umieścić. O oddaniu czci w ten sposób genialnemu mężowi, powziął on myśl jeszcze w czasie swej bytności w 1808 roku w Toruniu

i zamówił u Thorwaldsena model, według którego posąg miał być odlany w Warszawie. Ale pomysł ten, którego urzeczywistnieniu 36,000 zł. poświęcił, dopiero po jego śmierci, za staraniem Juliana Niemcewicza, trzeciego z kolei prezesa Towarzystwa, w 1829 r. doszedł do skutku.

Natomiast jeszcze za życia doprowadza do pożądanego końca inny, długo żywiony zamiar: »poprawy i udoskonalenia losu nie tylko współczesnych, lecz i najdalszych pokoleń.« Nabyte hrubieszowskie dobra, w ciągu ubiegłych lat 20, podniósł on staranną gospodarką do niebywalej świetności. Nie dla siebie przecież podejmował trudy i nakłady. Temi dobrami miał on teraz obdarzyć całą gminę hrubieszowską i w tym celu nakreślił głęboko obmyślaną ustawę, która, jak się zdawało, powinna być wśród obdarzonych na zawsze dobrobyt ustalić. Oprócz bowiem oddania gruntów członkom gminy na własność, założył jeszcze kasę, ze znacznym kapitałem zakładowym, z której ci, w razie klęsk losowych lub dla przebudowania domów drewnianych na murowane, mogli zaciągać pożyczki. Gdyby gmina przyszła do stanu takiego dobrobytu, iżby z kasy niepotrzebowała korzystać, kapitał ma rość z procentami, a gdy tym sposobem kapitał nowy się wytworzy, wówczas, nie naruszając zakładowego, gmina obowiązana jest wieś sąsiednią zakupić, wcielić do swego obrębu i na nią przelać wszystkie dobrodziejstwa zapisu, z których sama korzysta. Te zakupy miały się do nieskończoności rozszerzać; nad ścisłym zaś wykonywaniem Ustawy, czuwać miał odpowiednio uposażony prawnik, oraz inni urzędnicy, nadani gruntami. Tak samo Staszyc uposażył Szkołę wydziałową, nauczycieli i doktora. Zapis ten i ustawa zatwierdzone w r. 1822 przez cesarza i króla, wywołały niezadowolenie, zwłaszcza wśród obywateli sąsiadujących z Hrubieszowem. W projekcie bowiem wykupu wsi dopatrywali zamachu na wywłaszczenie ich z posiadanych majątków, jak gdyby to można było zmusić kogo do sprzedaży, jeżeli sam przez odłужenie nie podkopie swych praw własności. Krzyki więc na radcę stanu, *Jakóbina*, nie miały żadnej podstawy, zwłaszcza, że sam projekt skupu był wielce problematyczny. W ogóle ustawa Staszyc zdradza filantropa-ideologa, który się nie liczy z naturą ludzką, lecz ją do swych pomysłów przykrawa. I w w. XVIII byli podobni mu filantropi;

ale ci swoje projekta chcieli przeprowadzać stopniowo. Naprzód w dobrach swych pańszczyznę zamieniali na czynsze, by następnie przez nie, wykup samej ziemi ułatwić. Tym sposobem poddani pracą zdobyć mieli prawo własności. Tymczasem nadanie Staszyc było darłem, bez ograniczeń i warunków. Obdarzeni otrzymywali wszystko bez własnej zasługi i wysiłków; więc też dar nie zapewnił im dobrobytu, lecz przeciwnie, zniechęcił do pracy. Hrubieszowianie nie tylko nie przykupili żadnej wsi, lecz zmarnowali i fundusze, które miały wzrastać z latami. Tego jednak nie doczekał Staszyc, gdyż dopóki żył i czuwał nad własnym dziełem, gmina rozwijała się pomyślnie. Ale pod koniec życia z innej strony dotknął go cios nader bolesny, który odczuł głęboko. Było to następstwem sporu, który się wywiązał pomiędzy nim, a ministrem skarbu, ks. Lubeckim, uznającym gospodarkę górniczą Staszyc za zbyt kosztowną, a za mało w stosunku do nakładów dla skarbu przynoszącą korzyści. Istotnie Staszyc całą swą działalność skierował ku wydobywaniu miedzi, ołowiu i srebra, którym pokłady miedzianogórskie, nigdy nazbyt obfite, lada chwila wyczerpaniem groziły. Tymczasem północne podgórze gór Ś-to-Krzyżkich zawierało nieprzebrane bogactwo rudy żelaznej, której eksploatacja mogła przynosić daleko większe dochody. Zarzut był słuszny; ale Staszyc, uważając się za twórcę krajowego górnictwa, nie chciał go uznać i, ulegając złudzeniom, że wyczerpujące się pokłady w Miedzianogórze w dalszym polu kopalnianem znaleźć się muszą, obstawał uparcie przy raz obranym kierunku. Tymczasem ks. Lubecki, w sprawozdaniu złożonem cesarzowi na ręce ministra sekretarza stanu, wykazawszy straty, spowodowane przez zbyt jednostronne prowadzenie robót górniczych, wyjednał dekret, na mocy którego górnictwo w r. 1824 oddane w zarząd Komisji Skarbu zostało. Ugodziło to, jak piorun, w Staszyc. Oburzony podstępem działaniem Lubeckiego, zażądał natychmiast dymisji, postanawiając na zawsze usunąć się od spraw publicznych. Namiestnik wszakże, nie chcąc pozbawiać kraju usług tak znakomitego męża, dołożył wszelkich starań, by cios zadany mu, o ile można złagodzić i powzięte przezeń w rozżaleniu postanowienie odmienić. Jakóż, wyjednał dla niego order Orła Białego i tytuł ministra stanu z prawem zasiadania w Radzie

Administracyjnej, gdzie mógł również z pożytkiem dla społeczeństwa pracować.

Jakkolwiek Staszyc odstąpił od powziętego zamiaru i przyjął ofiarowane mu godności, przecież w duszy żywił to przekonanie, że zawód jego skończony.

Wkrótca też, bo w d. 21 styczni 1826 r. tknięty apopleksją nerwową, dokonał pełnego chwały żywota. Gdy otwarto jego testament, który jeszcze w r. 1820 sporządził, okazało się, jak wielką miłością, pomimo krzywd doznanych, było zawsze dla społeczeństwa to serce szlachetne. Zapisy, poczynione w nim, zdumiewały hojnością. 200,000 zł. na Szpital Dzieciątka Jezus, tyleż na założenie Domu Zarobkowego, 60,000 na utrzymanie z procentów nauczyciela w Szkole wydzielonej hrubieszowskiej, 44,000 na pomieszczenie przy klinice uniwersytetu warszawskiego osób dotkniętych pomieszaniem umysłu, wreszcie 45,000 na Instytut Głuchoniemych i Ociemniałych, a wszystko to zdobyte własną pracą, oszczędnością, odmawianiem sobie najpierwszych potrzeb, które za zbytek niegodny siebie uważał. Jedyną przyjemnością, na jaką sobie czasem pozwalał, był teatr; ale, nie chcąc uszczuplać fundusów, gromadzonych dla innych, chodził na miejsca stojące na najwyższej galerii i tu, ukryty w cieniu, otulony w wytarty płaszcz szaraczkowy, w kapeluszu z ogromnem rondem, nasunionem na oczy z krzaczystemi brwiami, wsłuchiwał się z rozkoszą w grę artystów, pewny, że go nikt ze znajomych nie widzi. Tymczasem akademicy, trącąc się łokciami, wskazywali go sobie, i o jego wycieczkach na galerię cała Warszawa wiedziała. I takiego człowieka wylanego dla dobra bliźnich, okrzyczano za masona, ateistę, nie pomnąc, że miarą ewangeliczną wartości każdego — to owoce, które z siebie wydaje! Że zajęty w różnych gąłziach służby publicznej, nie zawsze mógł spełniać obowiązki kapłańskie, to pewna; ale Justyn Wojewódzki przytacza aż nazbyt wiarogodne świadectwa, by obalić fałsz, jakoby je lekceważył i zaniedbywał. Owszem, nie raz widywano go w kościele św. Krzyża, jak o 6 rano odprawiał mszę, zwykle przy bocznym ołtarzu.

W każdym razie, ani życiem niemoralnem, ani pismami nie gorszy, choć się w nich duch wieku oświeconego odbija. Jako człowiek zresztą, miał swe wady. Doznawszy w młodości tyle nie-

zasłużonej pogardy, zraził się w ogóle do ludzi, i jak w całym życiu unikał ich towarzystwa, tak i po śmierci chciał zdala od nich spoczywać. Objawił też wolę ostatnią, by go pochowano w ustronnym zakątku cmentarza klasztornego na Bielanach, gdzie całą ozdobę jego grobowca stanowi prosta płyta z piaskowca z napisem:

STANISŁAW STASZYC.

Słowem, kochał świat, sprzyjał mu, ale zdaleka, a jak umiał innym dobrodziejstwa świadczyć, tak umiał za otrzymane być wdzięcznym.

Najwymowniejszy głos, jaki się podniósł nad grobem Andrzeja Zamoyskiego, była jego pochwała, skreślona piórem Staszyc. Zresztą, jako pisarz, stylistą nie był. Język jego pełen zwrotów dziwacznych i wyrazów nie zawsze trafnie utworzonych, i dobranych, za wzór dobrej polszczyzny służyć nie może; ale jest głębokim myślicielem i gorącym czcicielem prawdy. *Vitam impendere vero* — było niezłomną jego zasadą.

Wydawszy w r. 1815 dwanaście rozpraw: *O ziemiorodztwie Karpatów (sic) i innych gór i równin polskich* z tablicami i mapami odrobionemi w Paryżu, zajął się od 1819 r. zbiorowem wydaniem dzieł swoich i zawarł je w 9 tomach in 4-o. Jest to bardzo piękna i poprawna, a dziś już do rzadkości należąca edycja, w której sam poemat *Ród ludzki*, napisany w XVIII księgach, wierszem białym, trzy tomy grube wypełnia. Na nim Staszyc głównie tytuł swój do nieśmiertelności opierał. Tymczasem dziś, prócz historyka literatury, wątpić należy, czy kto inny miałby odwagę zapuścić się w ten las wywodów, wysnutych na temat: *praw człowieka*. A jednak w utwór ten Staszyc włożył całą swą duszę i bez jego poznania niepodobna nawet jego charakteru właściwą miarą ocenić. Wszak pisał go przez lat 40; wszystkie więc jego wrażenia w nim skryształizowane zostały. Powiadają, iż pisząc go, dla podniecenia poetyckiej weny, zwykł był okręcać sobie głowę serwetą, zmaczaną w gorącym winie czerwonym. W takim przybraniu miał go znaleźć odwiedzający go, jeśli się nie mylimy, Badeni. Innym razem, opowiada w swych pamiętnikach Kajetan Koźmian, że chcąc sprawdzić doświadczeniem, jak ród ludzki, żyjąc na łonie natury, zdobywał środ-

ki do życia, wyruszył przed wschodem słońca na Bielany z gromadką dzieci, które pod fartuchem odwiecznej swej landary pomieścił. Dzieci, przybywszy do pustelni, rozbiegły się po lesie, uszczęśliwione swobodą; ale wkrótce, jedne pogubiły się w zaroślach, drugie, wróciwszy zgłodniałe, zaczęły się domagać jeść natarczywie. Tego nie przewidywał filozof, gdyż właśnie one same miały szukać pożywienia dla siebie. Musiał więc odnajdywać zbłąkane, wypraszać dla nich posiłek w eremie i wrócił do Warszawy z tem przekonaniem, że ród ludzki tak się już od natury oddalił, że na-

wet instynkt zachowawczy w sobie zatracił. Słowem, w poemacie tym ideolog występuje na każdej niemal stronie. To też byłby źle wyszedł, jako pisarz, gdyby po sobie ten jeden tylko utwor zostawił. Również talent poetycki, w którego posiadanie wierzył, był tylko jego złudzeniem. Natomiast »Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego,« »Przestrogi dla Polski, i monografia,« »O ziemiorodztwie Karpat,« pozostaną w literaturze wieczno-trwałym po nim pomnikiem.

Roman Pienkiewicz.

Władysław Oleszczyński

* 1808 † 1866.



Historia rzeźbiarstwa naszego aż do wieku XIX nie zapisała ani jednego imienia Polaka, odznaczającego się wybitniejszym talentem i przerastającego choć trochę tłum zwykłych rzeźbiarzy-rzemieślników. Sławny Norymberczyk Veit Stoss, u nas na Wita Stwosza spolszczony i długie czasy mylnie uchodzący za Polaka, wcale nie przyczynił się do rozbudzenia sztuki rzeźbiarskiej naszej, która wówczas i do niedawna jeszcze uważana była za wyłączną własność «zamorskich» krajów. Królowie do budowania i przyozdabiania pałaców i kościołów sprowadzali najczęściej z zagranicy cudzoziemskich artystów, którzy po dłuższym lub krótszym pobycie na ziemi polskiej wracali do swej ojczyzny, nie zostawiając po sobie następców i uczniów polskiego nazwiska.



Władysław Oleszczyński

W epoce Stanisławowskiej nawet, kiedy nie jedno już imię polskie zapisało się chlubnie na kartach dziejów sztuki naszej w dziale malarstwa

i rytownictwa, daremnie szukalibyśmy rzeźbiarza-artysty miejscowego pochodzenia.

W początkach dopiero ubiegającego wieku wzrost twórczości narodowej ożywczo wpływa na rozbudzenie się poczucia i potrzeby najstarszej sztuki plastycznej—rzeźbiarstwa, do czego utworzenie wydziału Sztuk Pięknych w świeżo założonym podówczas Królewsko-Aleksandryjskim uniwersytecie w Warszawie, znakomicie się przyczynia. Jednym z najwybitniejszych

uczniów wydziału tego był Władysław Oleszczyński, urodzony w r. 1808 w lubelskim i wychowanie szkół Pijarskich na Zoliborzu, brat chlubnie znanego rytownika Antoniego. Wyjątkowe zdolności i szybkie postępy w studiach zjednały

mu stypendyum rządowe Królestwa Polskiego, za które wysłany został za granicę w celu wydoskonalenia się w medalierstwie, jako przyszły medalier mennicy warszawskiej.

Od roku 1825 studjuje w Paryżu pod kierunkiem sławnego Dawida d'Angers i w królewskiej mennicy. W pracowni mistrza swego wykonał Oleszczyński pierwszą większą pracę, której treścią była «Scena z życia Stanisława Trepi, posła króla polskiego Zygmunta I» i medal na pamiątkę odsłonięcia pomnika Mikołaja Kopernika w Warszawie. Będąc jako stypendysta obowiązany do objęcia posady medaliera w mennicy Królestwa Polskiego, w roku 1830 przybywa do kraju, ale wkrótce wraca do Paryża.

Uznanie talentu i duże materyalne powodzenie stale mu sprzyjają na obczyźnie, dochodzą jednak do większych znacznie rozmiarów w roku 1850, kiedy Napoleon III mianuje Alfreda Nieuwerkerke dyrektorem Muzeum Sztuk Pięknych, a rodak nasz na zamówienie jego wykonuje wielkie konne posągi Napoleona I, przeznaczone do miast południowej Francji, i pracuje nad figurami grobowca pierwszego cesarza do kościoła Inwalidów. Niektóre posągi w Luwrze są dziełem jego i ustalają sławę Oleszczyńskiego nad Sekwaną. Największą pracą dla kraju przeznaczoną jest pomnik Adama Mickie-

wicza, stojący w Poznaniu, ukończony w r. 1856. Następnie z pracowni artysty wychodzą grobowce na cmentarz w Montmorency, grobowiec Klementyny z Tańskich Hoffmannowej i wiele innych. Przybywszy do Warszawy w r. 1859, dostaje w zamku królewskim jedną z pracowni, niegdyś dekretem króla Stanisława Augusta dla nadwornych artystów przeznaczonych. Z pod dłota jego wychodzą tu między innymi: Ołtarz gotycki z figurą Bogarodzicy do kościoła Kapucynów lubelskich, pomnik Śniadeckiej w Wilnie, pomnik Wronicza w archikatedrze warszawskiej, dalej grobowce: Stan. Jachowicza i L. Łubieńskiego, posąg Kaź. Brodzińskiego u Wizytek w Warszawie i wreszcie portrety: Wincentego Pola, Fr. Wężyka, Józ. Korzeniowskiego, J. I. Kraszewskiego, Juliana Bartoszewicza, prof. Lipińskiego i wiele innych. Otrzymane w r. 1863 zamówienie wielkiego grobowca do Krakowa zmusza artystę w celu ułatwienia strony technicznej zaprojektowanego dzieła do wyjazdu do Florencji, skąd po trzyletnim pobycie przyjeżdża na krótko do Warszawy. Było to, niestety, pożegnanie na zawsze ziemi ojczystej, bo postanowiwszy wyjechać do Włoch, przybył do Rzymu i tam w bardzo nie długim czasie życie pracowite zakończył.

Leopold Wasilkowski.

Jenerał Józef Dwernicki.

* 1778 † 1857.

Swiatło dzienne ujrzał Dwernicki w dniu 14 marca 1778 roku; na pewno jednak nie wiemy: czy w Warszawie, gdzie rodzice jego często przebywali, czy na Podolu, gdzie posiadali majątek i gdzie do ziemian za-
możnych należeli. W wieku młodym służył pod Henrykiem Dąbrowskim w legionach włoskich, z kąd powróciwszy do kraju wysztytował własnym kosztem szwadron kawalerii z 50 jeźdźców złożony i stanowiący z nim pod wodzą ks. Józefa Poniatowskiego w Księstwie Warszawskim, odbył w r. 1809 świetną kampanię galicyjską przeciw arcyksięciu austriackiemu Ferdynandowi, za co otrzymał stopień szefa szwadronu i krzyż oficerski *Virtuti*

militari. Wcielony ze swymi ochotnikami do 15-go pułku ułanów, Dwernicki odbył z tym pułkiem wielką wojnę 1812 roku. Po potyczce pod Mirem (9 lipca) wcielony do korpusu Dąbrowskiego, otrzymał

zlecenie prowadzenia na Białej Rusi partyzantki, w której odznaczył się szybkością pomysłów i ruchów. W pamiętnym d. 28 listopada, był w odwrocie przez Beresynę, z kąd powróciwszy do Warszawy otrzymał wraz ze stopniem podpułkownika dowództwo nad zreorganizowanym tymże 15 pułkiem ułanów i jako jego dowódca w korpusie Poniatowskiego walczył podczas odwrotu wielkiej armii w latach 1813 i 1814 aż do pierwszego oblężenia Paryża.



Po bitwach pod Lipskimi Hanau został mianowany oficerem legii honorowej, a pułkownikiem pod murami Paryża za świetny szereg czynów bohaterskich, dokonanych w wojnie kilkoletniej. W r. 1815 powrócił do nowoutworzonego Królestwa kongresowego, gdzie w formującym się z polecenia cesarza Aleksandra I wojsku polskim dostał dowództwo drugiego pułku ułanów, który doprowadził do najwyższego stopnia doskonałości. Podczas koronacji cesarza Mikołaja I w Warszawie, jako najstarszy pułkownik, mianowany został generałem brygady.

Z wybornego dzieła «Wojna Polsko-Ruska 1831 r.», opracowanego przez A. K. Puzyrewskiego generał-lejtnanta sztabu głównego, a nagrodzonego przez cesarską akademię nauk w Petersburgu, jak również z zaleconego i cenionego wysoko przez tego generała «memoryału» Prądzyńskiego, podajemy następujące o Dwernickim wiadomości, Jenerał ten organizując piąte i szóste szwadrony dziewięciu starych pułków jazdy, do których powołano wysłużonych kawalerzystów i które stanowiły wyborną konnicę, zebrał około siebie cały nowy korpus z którego utworzono trzecią dywizję jazdy. Czynności tej dokonał z takim pośpiechem, że już w początku lutego stanął na czele 15-tu szwadronów kawalerii. Kiedy gen. Klicki objął dowództwo lewego brzegu Wisły, Dwernicki przeszedł pod jego rozkazy; kiedy zaś armia zaczęła koncentrować się pod Serockiem i gen. Żymirski sam zostawiony w Siedleckim, polecono Dwernickiemu, dla wsparcia go, przejść na prawy brzeg Wisły. Dwernicki 11 lutego po łodzi przeszedł rzekę i tu spotkać się musiał z gen. Geismarem, który szedł przez Seroczyn dla okrążenia Żymirskiego. Dwernicki z nieustraszonem mężstwem, sam na czele swojej konnicy rozproszył pod Stoczkiem korpus jenerała Geismara. O bitwie pod Stoczkiem pisze jenerał Puzyrewski, iż d. 14 lutego z rana Dwernicki mając trzy bataliony piechoty, 15-cie szwadronów jazdy i 6 dział, stanął w tej miejscowości. Jenerał Geismar ufny w siebie, odwagi niepohamowanej i dumny ze sławy nabytej w kampanii tureckiej 1828 — 1829 r. w której wygrał świetną bitwę pod Bojeleszti, traktując wojsko polskie z pogardą jako coś w rodzaju ruchawki, nie postarał się o dokładne zbadanie pozycji a troszczył się tylko o to, aby mu nie uszło. Bitwa pod Stoczkiem, wyraża się jenerał Puzyrewski wywarła ogromny wpływ moralny na Polaków. «Dwer-

nicki odrazu stał się bohaterem i zbiegać się do niego zaczęły masy ochotników.» Nazajutrz po bitwie ruszył z pod Stoczka ku Górze Kalwaryi i w d. 17 lutego przeprowił się na lewy brzeg Wisły, gdzie pod Nową Wsią w Czerskiem, znaczne odniósł korzyści nad jenerałem Kreutzem. «Pojawieniem się niespodzianem swoim uratował Puławę od spalenia przez ks. Wirtemberskiego. Awansowany na jenerała dywizji, wysłany został na Wołyń. Po potyczce pod Kurowem zajął Lublin a następnie udał się na Krasnystaw, Zamość i Kryłów za Bug. Wysłanie Dwernickiego na Wołyń było błędem. Tam potrzeba było partyzanta, a on mając 3 do 4 tysięcy regularnego żołnierza, zdobywszy sobie sławę zdolnego jenerała, pragnął dowodzić korpusem armii, w obec zaś czterokrotnie liczniejszych wojsk jenerała Rüdiger'a, nie mógł utrzymać się w tej prowincyi, tem bardziej w porze roztopów wiosennych, gdy czarnoziem wołyński rozmiękły do głębi, obezwładniał działalność kawalerii Dwernickiego. W nocy z 10 na 14-ty kwietnia przeszedł na prawy brzeg Bugu. Dzień 11 i 12 spędził w Porycku, gdzie stoczył małą potyczkę. Dnia 16 stanął w Boremle nad Styrem. Nazajutrz przeszedł Styry pod Michałówką i zajął na prawym brzegu las. Dnia 18 kwietnia ukazały się wojska jenerała Rüdiger'a w sile 12,000 ludzi. W zaciętej walce tego dnia utracił Dwernicki pozycję na prawym brzegu Styru, a poznaawszy, że się w obec znacznie przeważnych sił i niesprzyjającego terenu ostać nie może, zwinął obóz pod Boremlem i ruszył ku Radziwiłłowu, aby ztamtąd wzdłuż granicy Galicyi przerznąć się ku południowi na rodzinne Podole. Dnia 22 kwietnia na Wiszniew i Kołodne zmierzał do Krzemieńca, ale dowiedziawszy się o zajęciu tego miasta przez wojska jenerała Rüdiger'a, zmienił zamiar i dnia 24-go zajął obronną pozycję pod Lubińcami. Tutaj dnia 27 zrana zaczęły go przeważające siły oskrzydlać, tak, że pozostało mu tylko przejście suchej granicy do Galicyi. Jakoż tego samego dnia oddział jego nie liczący 2,000 ludzi przeszedł kordon graniczny i stanął na terytorium galicyjskiem pod Chlebanówką. Wezwany przez władze austriackie do złożenia broni, uczynił to dopiero w dniu 1 maja. Internowany do Steyr w Austrii Wyższej, potem do Lublany, otrzymał w 1832 roku pozwolenie wyjazdu do Francji.

Nie biorąc żadnego udziału w walkach stronnicych emigracji polskiej, bo nawskroś rycerski duch bohatera, budził w nim wstręt do takowych, przebywał lat kilka we Francyi, z kąd jeszcze przed 1840 rokiem przeniósł się do Anglii. Około tego czasu, licząc już przeszło 60 lat wieku, ożenił się z francuzką p. Brock, z którą w 1849 roku, przeniósł się na mieszkanie do Lwowa, nie przyjąwszy naczelnego dowództwa wojsk lombardzkich, ofiarowanego mu z Mediolanu od Rządu prowizorycznego, który był stanął na czele rewolucyi przeciw Austryakom.

Licząc 79 rok życia umarł w miesiącu grudniu 1857 roku w Łopatynie w Galicyi.

Jako znakomity instruktor wydał 1814 roku w Warszawie *»Zbiór ogólnych komend dla jazdy.«* Surowa krytyka jego obrotów wojskowych na Wołyniu, wydana w 1837 r. w Brukselli, przez Karola Różyckiego, skłoniła Dwernickiego do ogłoszenia bardzo szczegółowej obrony p. n.: *»Odpowiedź na pismo p. t.: Uwagi Karola Różyckiego nad wyprawą generała Dwernickiego na Ruś«* Londyn 1837 r. str. 118, gdzie dla zmniejszenia własnych win, od których nie był wolny, wszystką odpowiedzialność za niepowodzenie wyprawy na rząd i wodza naczelnego zwała, powołując się przytem na świadectwa osobiste i pamflety emigracyjne, lecz bez powołania instrukcyi, które od rządu otrzymał, ani też raportów które mu posyłał, co tej apologii odbiera znaczenie źródłowego przyczynku.

W kilkanaście lat po zgonie Plagowski ogłosił u Wilda we Lwowie (1870) *Pamiętniki generała Józefa Dwernickiego*.

«Generał Dwernicki, dobry patriota, rzutki i zdolny do korda, ale słabego charakteru—taką jego charakterystykę daje świadek naoczny—nominacya jego (na wyprawę wołyńską) nieszczęśliwa raz dla samego Dwernickiego, powtóre dla sprawy publicznej; pozostawiony przy armii jako śmiały generał jazdy, mógł znaczne posługi oddać, wyprawa zaś do ziem ruskich przechodziła jego siły i nie odpowiedział też swemu powołaniu.»

Bezstronny sąd wydał w ostatnich czasach o Dwernickim, generał Puzyrewski, pisząc o nim w te słowa: »Generał ten dał dowody niepospolitej zdolności i znajomości sztuki wojennej w swoich działaniach. Znajdując się w Zamościu, zdołał zręcznie ukryć swoje zamiary, potem mylnymi ruchami na Zwierzyniec wprowadził w błąd nieprzyjaciela co do prawdziwego planu swych działań.«


»Kiedy generał Rüdiger zebrał znacznie liczniejsze siły (na Wołyniu), Dwernicki dzięki swej osobistej odwadze w boju, energii w działaniu i znajomości sztuki, potrafił uniknąć ostatecznego rozbicia.«

Zygmunt Głóger.



Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

* 1798 † 1845.

 początkach XIX stulecia było u nas wiele ruchu i bardzo dużo gorliwości na widowni wychowawczej, ruchowi jednak temu brakowało skupienia i jedności, brakowało skutecznego wpływu na ogół, już to z powodu ciągłych, a niepomyślnych zmian w Kraju, już też dla tego, że się nie zjawiał żaden wybitny talent pedagogiczny.

Zarówno trochę szczęśliwszy układ stosunków politycznych, ułatwiających pracę nad wszystkimi szczegółami dobra powszechnego, jak i rzeczywisty talent pomogły Hofmanowej do pewnego zogniskowania rozstrzelonych usiłowań w sprawie wychowania kobiet, oraz skutecznego oddziaływania na umysły rodziców i na uczucia dzieci. Hofmanowa kochała społeczeństwo swe duszą całą, zadaniem swoim przejęła się serdecznie. Uspokojenie jej najzupełniej harmonizowało z ówczesnymi wyobrażeniami ogółu; przemówiła do rodaków zrozumiałą dla nich mową serca, zyskała też posłuch, poważanie i uwielbienie. Odczuła życzenia wszystkich lepszych wtedy umysłów, wypowiedziała je z umiarkowaniem i powagą; wskazała błędy w wychowaniu kobiecem jej doby i podała środki do ich usunięcia; dostarczyła działwie obfitość pokarmu duchowego, pobudziła innych do działania w tymże kierunku, stała się niezmordowaną propagatorką zdrowych myśli edukacyjnych, które przez kilka pokoleń wpływem i żywotem były rzeczywistością.

Od lat już wczesnych skłonność i zdolność pedagogiczna objawiła się w naszej niezapomnianej autorce. Urodzona dnia 23 listopada 1798 r. w Warszawie z ojca Ignacego Tańskiego i Maryanny z Czempińskich, rozwijała się z razu nie tyle pod okiem macierzyńskim, ile wśród obcych, co prawda bardzo życzliwych osób. W czwartym roku życia powierzona została opiece pani Szymanowskiej, mieszkającej w Izdebnie, niedaleko Warszawy.

Dom to był pobożny, skromny, patryotyczny, lubiący pracę i gospodarność, ale obok tych zalet panowała tu wada, silnie wówczas u nas rozpowszechniona, przekonanie o niezbędności francuszczyzny w wychowaniu. Sama pani Szymanowska czysto i niemal zawsze mówiła po polsku, lecz jej córki mówiły, pisały, korespondowały, modliły się po francuzku wraz z dwiema przyjaciółkami, mieszkającymi w bliskim sąsiedztwie. Czytały nadzwyczaj dużo, zwłaszcza sentymentalne romanse, ale nigdy po polsku. Tańska dzieliła naturalnie ten tryb wychowania; przez całe dziesięć lat nie miała w ręku więcej nad dwie lub trzy książki polskie poważnej treści, z których mało co rozumiała; jedynym wyższym ćwiczeniem w języku ojczystym było ciche tłumaczenie na polski modlitw, zawartych w »*La journée du Chrétien*,« dla skrócenia sobie zbyt długich nieraz chwil, jakie przesiadywać musiała w kościele.

A nie tylko czytanie, lecz i nauka szła po francuzku. Dorota Szymanowska, najstarsza córka pani z Izdebna, z największym mozołem tłumaczyła »Historję narodu polskiego« Naruszewicza, na język francuzki i dopiero w tej obcej szacie przedstawiała je młodszym siostrą i Tańskiej. Kończąc rok czternasty, dostała się Klementyna znowu do matki, do sióstr, do rodziny.

Matka jej, obracając się ciągle wśród doborowego towarzystwa (np. w Puławach u książąt Czartoryskich), umiała, oczywiście, po francuzku, ale jako wychowana w staropolskim domu, jako żona dobrego obywatela i literata, mówiła i pisała chętnie w języku ojczystym; przytem mieszkała wraz z nią jej matka staruszka, Prowidencja Czempińska, pamiętająca wybornie czasy Augusta III i wcale nie rozumiejąca francuszczyzny. Prócz tego Klementyna musiała uczyć młodszą od siebie o lat sześć siostrę, do tej nauki używała dzieł francuzkich, ale wykladała po polsku, gdyż inaczej zrozumianaby nie była. Towarzystwo

przyjaciół matki, księdza Wóronicza i Michała Wyszkowskiego, nie mówiących z zasady po francuzku, pobudziło wychowankę Izdebną do czytania książek polskich i wprawiania się w pisanie po polsku. Wymowny i rzewny »żał za polskim językiem« Kazimierza Brodzińskiego, zwrócił stanowczo Klementynę do polszczyzny,

Atoli i pod względem pojęć, dom matki ważne sprowadził odmiany. »Matka mię nauczyła powiada Klementyna, słowami, obejściem, przykładem, całą sobą, że można być pobożną a razem wesołą, przyjemną, podbijającą; bo nie samo wieczne, ale i ziemskie szczęście jest w cnotach; ona mię przekonała, że staranność koło powierzchowności naszej jest obowiązkiem, bo od Boga mamy duszę i ciało, że można lubić i uprawiać nauki, ale będąc kobietą, nie trzeba kłaść nigdy na pierwszym miejscu, ani nie módz wyżyć dnia jednego bez książki, a nareszcie ona mi zaręczyła że wszystkie romanse to istne bajki, któremi wolno niekiedy się bawić, ale wierzyć im w czemkolwiek, broń Boże!»

Tym sposobem wpływ francuzczyzny i sentymentalności został zrównoważony wpływem otoczenia polskiego, i zdrowej treściwej atmosfery duchowej. Naturalna czułościowość przemieniła się w uczuciowość, miarkowaną rozsądkiem; świat romansowy usunął się na plan drugi, a może i dalszy, ustępując pierwszego miejsca praktycznej ocenie potrzeb i wymagań życia rzeczywistego. Wymarzeni bohaterowie zstąpili ze swych piedestałów pod działaniem rozsądnego poglądu.

Nie podobna jednak przypuszczać, żeby w umyśle 20-letniej panny zaszła zupełna zmiana na korzyść wychowania staropolskiego. Naprzód, i otoczenie rodzinne, z wyjątkiem babki, należało już do pokolenia, wykształconego pod wpływem francuzkim, pod wpływem »wieku oświeconego;« a powtórę dziesięć lat wrażeń najwcześniejszych, nie mogło zniknąć bez śladu, choćby po siedmiu latach oddziaływania w kierunku wprost przeciwnym.

Dla tego to, gdy w r. 1819 wystąpiła z pierwszym swym dziełem p. t.: »Pamiętnik po dobrej matce«, Tańska nie popiera bynajmniej wsteczności, lecz owszem wymagania postępowe czasu tego umiała w takiej wyrażać formie, że nie wywołała protestu ze strony starszego pokolenia, a wśród młodszego zyskała poklask powszechny.

»Pamiętka« odrazu zapewniła autorce swojej uznanie ogólne i stała się dziełem epokowym w historii wychowania niewieściego w kraju naszym.

Drugim, niemniej od »Pamiętki« epokowym dziełem Tańskiej są »Rozrywki dla dzieci.« Były one najzupełniejszą nowością w piśmiennictwie naszym, gdyż były pierwszym wydawnictwem periodycznym dla wieku młodocianego. Układ ich odznaczał się wybornym zrozumieniem potrzeb tego wieku. Tańska nie goniła za zbyt wielką różnaitością i słusznie, bo nie należy przyczyniać się do rozpraszania uwagi dzieci, owszem skupiać ją trzeba, o ile się to da bez uszczerbku w ich zainteresowaniu do pisma. Zajmowała młodych swych czytelników przedmiotami najwięcej ich obchodzącymi, wszystkie niemal artykuły dotyczyły kraju, jego literatury, dziejów, obyczajów. Według dewizy, powtarzanej na każdym zeszytzie, starała się wzbudzać w sercach ochotę do czynów szlachetnych, zapełniać wyobraźnię malowidłami ludzi zacnych, wypadków podnoszących duszę. Przez pięć lat spełniała sumiennie i umiejętnie ten obowiązek; obudziła wielkie zajęcie i wywołała naśladowców, którzy poszli wskazanym przez nią torem.

Trzecią wielką zasługą Tańskiej, jest stworzenie naszej belletrystyki dla dzieci. Dzisiaj, kiedyśmy już przywykli do tylu pięknych i artystycznych, nawet w tej dziedzinie, utworów, kiedy nam francuzkie i angielskie, a w pewnej mierze i polskie dziełka wskazały powabny sposób rozwijania wszystkich władz duchowych dziecka, kiedy malcy mogą się rozkoszować ślicznie ilustrowanymi piśmami, w których moralność, fantazja, rozsądek i rozum; plastyka i zdolność kombinacyjna łączą się najściślej, dziś łatwo nam wykazywać braki, jakie w całości powiastek Tańskiej się znajdują. Ale kiedy potrzeba było dopiero stwarzać czytelną dzieciną, kiedy wzory nowego kierunku wychowania jeszcze nie istniały, kiedy szło przede wszystkim o zachętę do czytania i o wpojenie najważniejszych zasad moralności i narodowości; niepodobna było wymagać więcej po nad to, co Tańska dawała. Ona rozszczerpiła w serce młodych pokoleń uęzucia zdrowe, serdeczne, czysto ludzkie; ona wymownym głosem mówiła o chwale przodków i zachęcała do poznania kraju, języka i literatury własnej, ona wytworzyła ten ruch na polu

piśmiennictwa dla dzieci, jaki do dziś dnia pomyslnie się rozwija. A pod względem czysto artystycznym nie należy zapominać, że pomiędzy jej powieściami dla młodzieży, znajdują się tak piękne, jak »Listy Elżbiety Rzewuskiej« i »Dziennik Franciszki Krasińskiej«.

Jeżeli do tych trzech wielkich zasług Tańskiej, dodamy jedną mniejszą, ale nader wpływową, jaką położyła przez ogłoszenie »Wiązania Helenki« (1826), początkowej książki do czytania, mogącej zarazem służyć za przygotowanie do niego, to będziemy mieli w skróceniu obraz tego, co w dziełach naszej znakomitej autorki było nowością w stosunku do istniejących u nas wtedy zasobów i środków pedagogicznych, służących do wykształcenia młodych pokoleń w ogóle, a dziewcząt w szczególności.

W uznaniu tych zasług, Komisya Oświecenia powołała Tańską r. 1825 na »eforkę« czyli damę honorową dozoru szkół i pensyi żeńskich w Warszawie.

W roku następnym wezwała ją na nauczycielkę do Instytutu guwernantek, świeżo wtedy założonego; wykładała tu przez lat sześć naukę obyczajową dla kobiet.

Wyszedłszy w początkach roku 1829 za mąż za znanego ze swych prac historycznych i publicystycznych, Karola Hofmana, zaprzestała wydawnictwa »Rozrywek« i w ogóle pisała z razu niewiele. Gdy atoli nie doczekała się dzieci i zmuszona była opuścić Warszawę, chęć do tworzenia obudziła się w niej na nowo. Podczas pobytu w Dreźnie i przejazdu przez Niemcy nabierała spostrzeżeń, które miały posłużyć jej następnie do opracowania dzieł, zaznajamiających ogół ze skarbami sztuki nagromadzonemi w stolicy Saksonii (»Drezno i jego okolice«), oraz z obyczajami, zwyczajami, krajobrazami różnych ziem niemieckich (»Opis przejazdu przez Niemcy«).

Osiadłszy na stały pobyt w Paryżu, zamierzyła wskrzesić »Rozrywki« ale zaczęła je wydawać, nie zeszytami miesięcznemi, jak poprzednio w Warszawie, tylko tomami kwartalnymi. Nowe te »Rozrywki« paryzkie pod niektórymi względami były wyższe od dawniejszych, szersze w nich bowiem rozwinęła autorka widnokreśli, lecz pod względem żywotności ustępowały warszawskim. Hofmanowa potrzebowała żyć wśród dzieci, ażeby pisać dla nich; a temu warunkowi niepodobna

było zadość uczynić w obcym mieście. Próbowala ona wprawdzie założyć pensjonat dla dzieci polskich, ale zamiar się nie powiódł, nie wielką jeno liczbę wychowanek i to starszych, miała przy sobie. Dla nich to układała niektóre dziełka dydaktyczne, jak npp.: »Próbki dobrej literatury wieku XVI«, »Historia Powszechna dla płci żeńskiej«, »Encyklopedia doręczna dla panien i t. p.

Nie mogąc pisać dla dzieci, zaczęła Hofmanowa pisać powieści dla osób starszych i tak powstały trzy jej utwory tego rodzaju: »Karolina« (1839 r.), »Krystyna« (1841) i »Jan Kochanowski w Czarnolesiu« (1842 r.). Najpiękniejszą z tych trzech powieści, najwięcej prawdy i życia w sobie mającą jest »Krystyna«, w której na tle życia własnego wystawiła siebie samą w owej chwili kiedy, nie spodziewając się wyjść za mąż, tworzyła sobie ideał starej panny, nie śmiesznej i kapryśnej, ale pożytecznie działającej, kochanej i poważanej.

Do roku 1833 Hofmanowa cieszyła się doskonałym zdrowiem i pomimo wątłej budowy ciała, odznaczała się pełną twarzą i dostatkiem sił. Dopiero w dacie wymienionej utworzył się jej po raz pierwszy gruczoł w prawej piersi, który trzeba było wyciąć. Operacja powiodła się szczęśliwie, lecz ją powtórzyć musiano w r. 1841, a rezultaty okazały się wtedy mniej pomyslnymi. Hofmanowa doznawała coraz częstszych bólów gardła, i coraz wyraźniejszych symptomatów astmy. Ponieważ cierpienia znikwały w porze letniej, a wracały zwykle w porze zimowej, lekarze radzili zmianę klimatu. To było jednym z powodów przedsięwzięcia w czerwcu w roku 1844 podróży do Włoch.

Wróciła do Paryża w maju 1845 r. wielce osłabiona.

W końcu lipca przeniosła się na wieś do Ossy, gdzie w dniu 19 września zgasła na ramieniu ukochanego całą duszą małżonka, nie okazawszy najmniejszego znaku boleści.

Ciało spoczęło w Paryżu na cmentarzu Père Lachaise naprzeciwko grobów Lafontaine'a i Moliere, gdzie wdzięczność spółrodaków wystawiła jej pomnik.

Trwalszym i wspanialszym od niego jest ta cześć i miłość, jaką zostawiła w sercach, które tak gorąco ukochała, wszystkie dzieci polskie stały się jej dziećmi.

Piotr Chmielowski.



Z portretu współczesnego w litografii Villain'a w Paryżu. Ze zbiorów A. S. podkourskiego.

Clementine Hoffmanová z Tanského

Marcin Poczobut Odlanicki.

1728 † 1808.

Wśród mrowiska gwiazd na niebie, a w otoczeniu pięknych i od dawien dawna znanych konstelacyi, jak Lutnia, Herkules, Wążownik, Tarcza Sobieskiego i Orzeł, świeci świeższego nieco imienia mały gwiazdozbiór «Ciołek Poniatowskiego». Nieliczna to gromadka, bo złożona tylko z 16 gwiazd drobniejszych, a nazwana tak przez astronoma polskiego, znanego w nauce pod nazwą Poczobuta, którego żywot czytelnikom naszym choć w krótkości skreślić tu zamierzaliśmy. Był to z jego strony akt wdzięczności dla protektora i mecenasa nauk, jakim był król Stanisław Poniatowski, który mało jeszcze wówczas praktycznie uprawianą umiejętność

rad widział sprowadzoną na tory już znacznie udeptane, zwłaszcza przez Francuzów i Anglików, i pozbywającą się szczychu astrologicznego, którym ją przez dłu-

życzą, astrologiją, — nią głowy na uniwersytetach zaprzątano, kontentując się materyalem, jaki starożytność po sobie pozostawiła, a nie dbając nie-

tylko o jego praktyczne powiększenie, ale i sprawdzenie jego wartości. I zbyt długo, bo aż do połowy zeszłego wieku wlokły się u nas niemowlęce i naiwne lata tej nauki, lata płonne i bezowocne i aż dotąd rej wiodła astrologia i jej kapłani, o astronomach prawdziwych, prócz nieśmiertelnego Kopernika i Heweliusza w Gdańsku, o ich obserwacyach wzbogacających naukę, nic nie słyhać ani w prastarej szkole Jagiellońskiej, ani w Warszawie, ani w Poznaniu. Ale bo też aż po te czasy brakowało dla niej

prawdziwych opiekunów i mecenasów, brak jej było pomocy kraju i społeczeństwa, brak jej było, krótko mówiąc, odpowiednich dla jej rozwoju licznych a kosztownych narzędzi.

Rzecz pozostawiona niemal zupełnie prywatnym troskom, zabiegom i kieszeniom, dopiero po daniu znaku prawdziwego, poważnego życia,



Martinus Poczobut Universitatis et Academiae Vilnensis Rector, Eques Ordinis Regii S. Stanisłai Mart. mp.

wywoływała chętnych, choć nielicznych protektorów. Tem większa więc zasługa takich, jak Poczobut, mężów, że jako pionierzy w pochodzie oświaty i umiejętności, nie szczędzili trudów i swych zasobów materialnych, aby tylko dościsnąć na tem polu ościenne narody, a przynajmniej zrobić tego początek; a choć ich praca nie była tak donośną i w owoce bogatą, jakby tego wymagał dzisiejszy stan nauki, to przecież, bacząc na ówczesne czasy i mechaniczne środki, zapewniła ich imieniu trwale i poczesne miejsca w historii tej wzniosłej umiejętności. Cześć im!

Ksiądz Marcin Odlanicki, od Poczobudzia, majątku rodzinnego, Poczobutem zwany, urodził się w Słomiance, w powiecie Grodzieńskim, 30 października 1728 r. z ojca Kazimierza herbu Bożędarz, oboźnego grodzieńskiego, i z matki Heleny z Hlebowiczów. W 10 roku życia swego oddany został na nauki do szkół jezuickich w Grodnie, a po 7-io letnim tu pobycie, czyli w 17 roku, czując w sobie popęd do pracy naukowej i stanu duchownego, wstąpił do zakonu Jezuitów w Wilnie i to wbrew życzeniu rodzica swego, który nim inaczej zamierzał pokierować. Tu przez pierwsze 6 lat poświęcał się głównie filozofii i retoryce, tudzież językom klasycznym, sposobiąc się do zawodu nauczycielskiego.

Pierwsze kroki na tem polu, mając dopiero lat 23, zaczął stawiać w Płocku, gdzie przebywał przez 2 lata, przez 3-ci zaś rok w szkołach wileńskich.

W r. 1754 Ks. Michał Czartoryski, wielki Kanclerz litewski, a również wielki i hojny protektor nauk, ofiarował ze swej szkatuły kilkoletni fundusz i oddał go przełożonym zakonu Jezuitów na stypendya dla młodych ludzi, odznaczających się pilnością i zdolnościami, z warunkiem wysłania ich za granicę, celem dalszego wykształcenia, głównie w przedmiotach ścisłych i przyrodzonych. Wybór zakonu padł szczęśliwie na Poczobuta, który też rzeczywiście wysłany został do Pragi, dla gruntownego przede wszystkim poznania języka greckiego, matematyki i astronomii. W Pradze zabawiał atoli Poczobut tylko 2 lata, wojna bowiem 7-io-letnia zmusiła go w r. 1756 do powrotu do Wilna, gdzie przez następnych lat 4 ucząc języka greckiego, sam równocześnie zajął się odbyciem kursów teologicznych, które też wyświęceniem na kapłana w r. 1760 zakończył.

Ta sama, co i przed 7 laty, hojna ręka Ks. Czartoryskiego ułatwiła znowu Poczobutowi chęć poznania obcych krajów. W r. 1761 wyjechał na zwiedzenie Niemiec, Włoch i Francji. Zwiedził teraz Wiedeń, Wenecję, Ferrarę, Bononię, Medyolan, Genuę, — a puściwszy się morzem do Francji południowej, osiadł na dłuższy czas w Marsylii, aby tu w obserwatorium, będącem pod kierunkiem X. Pezenasa, członka T. G. i hydrografa królewskiego, wyćwiczyć się w astronomii praktycznej. Jakoż wziął się z zapałem do wymarzonej przez się pracy, po raz pierwszy niemal spotkawszy sposobne ku temu przyrzady, wzniecona atoli przeciw zakonowi Jezuitów burza, która i Pezenasa zmusiła opuścić Francję, stanęła znów Poczobutowi, po 2-u letniem blisko tu pobycie, w poprzek jego zamiarom. Zniewolony szukać spokojnego schronienia, znalazł je w Avignonie, należącym jeszcze wówczas do stolicy apostolskiej, gdzie wraz z Pezenasem w r. 1763 się udał i w tamecznem obserwatorium, acz nie tak zasobnem, jak marsylijskie, przez 8 miesięcy nad dalszym ciągiem swych obserwacji pracował. Niektóre z tych ostatnich ogłosił w dziele Ks. Pauliana «*Traité de la paix entre Descartes et Newton par Aimé Henri Paulian*; 2 vol in 8-o, Avignon 1763».

Ponieważ prześladowanie Jezuitów we Francji, wzmagające się coraz bardziej, nie dozwoliło Poczobutowi ani myśleć o zwiedzeniu Paryża i jego sławnych astronomicznych zakładów, w październiku więc 1763 r. popłynął do Neapolu, gdzie w kolegium jezuickim znalazłszy znaczny zasób angielskich narzędzi astronomicznych, niedawno przez rząd zakupionych, prędko się z nimi zapoznał. Przy samym końcu tegoż roku pojechał na czas zimowy do Rzymu i tu zajął się studjami architektonicznymi, do których mu odwieczne miasto tysiące monumentalnych wzorów stawiało, ale tylko chwilowo, bo nadchodzące dnia 1 kwietnia 1764 r. zaćmienie słońca pociągnęło go znowu z powrotem do Neapolu. Na wyjazd ten z wielką tylko trudnością dostał Poczobut pozwolenie od generała zakonu, który, aby uniknąć podejrzeń i coraz więcej srożących się prześladowań jego członków, stanowczo zabraniał im wszelkich zmian miejsca pobytu. Przełamawszy szczęśliwie tę trudność, udało się Poczobutowi ostatecznie obserwować to zaćmienie w Nea-

polu, ale tylko w jego początku, bo na resztę chmury nie pozwalały, a wynik tej jego obserwacji pomieścił w Efemerydach swoich na rok 1795 astronom wiedeński, Ksiądz Maks. Hell, członek T. J.

Tu się kończy przygotowawczy okres życia Poczobuta, a zaczyna drugi, dwa razy dłuższy i o wiele mozolniejszy, okres służenia krajowi i społeczeństwu, spożytkowania zdobytej swą pracą wiedzy na ich i nauki pożytek. Odtąd także zaczyna się świt pożyteczniejszej dla młodego obserwatorium wileńskiego działalności, które pod wprawą już ręką Poczobuta stosunkowo dość prędko jak na ówczesne czasy i stosunki, przy znojnym jego zabiegach i wytrwałości na zajętej przezeń placówce, doszło do sił męskich. Nim atoli o tem opowiemy, wspomnimy wprawdzie pokrótce, jaka była geneza tego obserwatorium i jakich tam miał Poczobut poprzedników.

Słynna na swe czasy Akademia Wileńska, której pierwszym opiekunem i kanclerzem był X. Waleryan Protasewicz (1504 — 1580) biskup wileński, powstała ze szkółki katedralnej, przezeń po sprowadzeniu tam Jezuitów założonej. W r. 1579 akademia ta przywilejami Stefana Batorego zatwierdzona i Jezuitom w zarząd oddaną została. Po 2-ach blisko wiekach, w ciągu których przez różne przechodziła koleje, Jezuiti, rywalizując z Akademią Krakowską i szkołami pijarskimi, postanowili zbudować tam obserwatorium. Pochop do tego dał X. Tomasz Żebrowski, T. J. profesor matematyki, wyjednałszy w r. 1753 na ten cel u Elżbiety z książąt Ogińskich Puzyninej, kasztelanowej mścisławskiej, znaczną sumę. Budowę gmachu rozpoczął on tegoż roku i niemal zupełnie ukończył, dla braku atoli dalszych funduszy wstrzymać się musiał z wewnętrznym urządzeniem obserwatorium. Przy ciągłym jego kołataniu do możnych protektorów i miłośników nauki, zaczęło się ono jednak powoli zapelniać narzędziami astronomicznymi, z prywatnych darów pochodzącymi, jak od Księcia Michała Radziwiłła, biskupa Józefa Sapiehy, biskupa Massalskiego i t. d. Prócz matematyki wykładał Żebrowski i astronomię wraz z przywiązanymi do niej obserwacjami. Po nim zarząd obserwatorium i wykłady matematyki objął X. Jan Nakcyanowicz, śladów jednak owej działalności żadnych po sobie nie pozostawił.

Na taką to więc spuściznę wrócił Poczobut

do kraju w r. 1764, i zaraz objął w Akademii wykłady matematyki i astronomii, kładąc sobie zarazem na serce wzbogacenie narzędzi obserwatorium i wyprowadzenie systematycznych obserwacji. Jakoż na jego nalegania i prośby, już w rok po jego powrocie do Wilna sprowadzili Jezuiti z Paryża sekstans 6-cio stopowy Canniveta, który mu posłużył do licznych obserwacji, tudzież wyznaczenia położenia geograficznego Wilna. Prace te zjednały mu powszechny szacunek, ze strony zaś króla Stanisława otrzymał tytuł astronoma królewskiego. Tak ustaliwszy sobie imię, zaczął myśleć nietylko o uniknięciu groźnej dla obserwatorium przyszłości wobec spodziewanej lada chwila katastrofy zakonu Jezuitów, który też rzeczywiście na mocy bulli papieża Klementa XIV w r. 1773 zniesiony został, ale nawet i o zabezpieczeniu dlań pewniejszych i stalszych podstaw materyalnych. Idąc za radą Żebrowskiego, plany te Poczobuta wsparła donośnie wspomniana już powyżej księżna Puzynina, zapisując na utrzymanie obserwatorium 6 tysięcy dukatów, które, oddane w depozyt biskupa Massalskiego, przynosiły 420 czer. złotych rocznego procentu; prócz tego zaś ofiarowała znaczną sumę na zakupno w Anglii dalszych narzędzi.

Aby spełnić upragnione przez się dobroczynne zamiary tej szlachetnej fundatorki, wyruszył Poczobut w podróż do Anglii w r. 1768, a zwiedzając po drodze obserwatoria w Kopenhadze, Hamburgu, Amsterdamie i t. p., z końcem sierpnia zawitał do Londynu; tu u sławnych mistrzów optycznych, Dollonda i Ramsdena, zamówiwszy potrzebne narzędzia, aż do marca następnego roku pracował w najbogatszym już podówczas obserwatorium w Greenwich, poczem, zwiedziwszy jeszcze Paryż i jego obserwatoria, wrócił do Wilna. Wkrótce po swoim przyjeździe wybrał się wraz z pomocnikiem swoim X. Jędrzejem Strzeckim do Rewla, celem obserwowania przypadającego w d. 3 czerwca 1769 r. rzadkiego zjawiska przejścia Wenera przez tarczę słoneczną, a które się dopiero w r. 1874 powtórzyło. Daremną atoli była ta podróż, bo słońca na żadne obserwacje nie dozwoliła, czem się zgryzł bardzo, wiedząc, że tego zjawiska w życiu swoim już nie zobaczy. W tym samym czasie zamianowany został członkiem Towarzystwa naukowego królewskiego w Londynie.

Zamówione przez Poczobuta narzędzia w Londynie nadeszły do Wilna w r. 1770. Niepo-
mierna wielkość niektórych z nich zmusiła go
przedewszystkiem do stosownej rekonstrukcji
głównej sali obserwatorium, co przeszkodziło
obserwacyom jego aż do końca 1772 r. Czas
ten spożytkował natomiast na przetłumaczenie
geometrii Clairant'a, którą wydał tegoż roku
p. t. «Początki geometrii etc.» w drukarni
akademii.

Wraz z X. Strzeckim zabrał się zaraz Po-
czobut z początkiem 1773 r. do regularnych ob-
serwacyi, których, nawiasem mówiąc, nabierało mu
się 34 tomów, przechowanych do dziś w Bibliotece
wileńskiej. Ale nastały dlań równocześnie także i bo-
lesne czasy, bo zniesienie zakonu Jezuitów i od-
danie ich majątków, jako też zapisu księżnej
Puzyninej w ręce Komisji Edukacyjnej, zagrozi-
ły bytowi obserwatorium. Nie opuścił atoli rąk
Poczobut, lecz szukał ratunku u możnych. Na
swoje prośby do króla Stanisława, otrzymał w da-
rze od tegoż drukarnię pojezuicką, której przed-
tem zrzekli się byli Jezuici, w przewidywaniu swej
kleski, na rzecz króla; dochód z niej miał posłu-
żyć Poczobutowi na dalsze utrzymanie zakładu,
na swoje własne i swych pomocników. Wsparty
opieką królewską, rozpoczął nawet jeszcze w tym
roku druk swych obserwacyj za rok 1773 i wy-
dał je p. t. «Cahiers des observations astrono-
miques faites à l'Observatoire de Vilna en 1773»,
za którą pracę król polecił w r. 1775 wybić me-
dal z jego popiersiem.

Na gruzach powalonego zakonu Jezuitów i na
jego uratowanym od grabieży majątku, powstała
Komisya Edukacyjna, której zadaniem było rato-
wać wszystko, co piękne i szlachetne. To też i ona,
oceniając należycie pracę Poczobuta, udzieliła mu
w r. 1777 zapomogi 2 tysiące dukatów na dal-
sze zakupno narzędzi, za które też zamówiono
w Londynie u Ramsdena t. z. kwadrans murowy
8-io stopowy z lunetą południkową na 6 stóp
długą, prócz kilku innych mniejszych instrumen-
tów. Nadszedł jednakże niebawem czas, kiedy nasz
astronom pofolgować musiał swym pracom astro-
nomicznym, za które i Akademia paryska w r. 1778
nawet swoim członkiem korespondentem go zamia-
nowała. W r. 1780 bowiem zostawszy wybranym
na rektora Akademii wileńskiej, zajął się gorliwie
sprawami tej szkoły, a w r. 1782 wezwany wraz

z Kollatajem do Warszawy, pracował tam przez
7 miesięcy nad nową ustawą edukacyjną, równo-
cześnie zaś także i nad odwróceniem planów dą-
żących do zniesienia Akademii wileńskiej i zamia-
ny jej na liceum, co mu się też udało przy pomo-
cy Joachima Chreptowicza, podkanclerza W. Ks.
L. a jego wielkiego protektora.

Ukończywszy te mozolne prace w Warszawie,
wrócił stęskniony za swem obserwatorium Poczo-
but do Wilna, uradowany, że oprócz utrzymania
dawnej szkoły na stopie akademickiej, udało mu
się jeszcze wydobyć fundusz 10 tysięcy zł. p. na
wykonanie nowych zmian, niezbędnych w obser-
watorium do ustawienia oczekiwanych narzędzi.
Do tego dolożywszy drugie tyle z własnej kiesze-
ni, przy starym budynku postawił nowy, co ukoń-
czywszy w r. 1788, osadził tam nadeszłe tymcza-
sem z Londynu narzędzia i rozpoczął niemi swo-
je obserwacje. Krótco przedtem, t. j. 15 czerw-
ca 1787 r. obserwował on zaćmienie słońca, co
spożytkował Laland, astronom paryski, przy obli-
czaniu długości g. różnych punktów ziemi, liczne
zaś obserwacje Merkurego — do poprawienia pier-
wiastków biegu i obliczenia nowych tablic tego
planety. Lecz ciągle prace jego w obserwatorium
przerywane były publicznemi sprawami. Je-
szcze w r. 1788 wezwano go znów wraz z Pira-
mowiczem, Śniadeckim i innymi, do Warszawy,
dla powtórnej rewizyi ustaw szkolnych, którą do-
piero w r. 1790 ostatecznie ukończyli. Zaledwie
stąd wrócił do Wilna, wezwany znów został na
sejm do Grodna, gdzie przez 7 miesięcy wraz ze
Śniadeckim pracował nad uregulowaniem fun-
duszów szkolnych, co wymagało wielkiej pracy
i trudów wobec wielu przeciwności i dolegliwej
słabości, która trapiła jego zdrowie.

Jeszcze w r. 1785, chcąc uwiecznić i na nie-
bie zaznaczyć imię tak życzliwego na każdym
kroku dla jego projektów króla, do kilku gwiazd,
wyznaczonych przedtem przez Flamsteeda, dołożył
inne, przez siebie wyznaczone, a których położe-
nie w efemerydach berlińskich z r. 1785 ogłosił,
i nazwał tę gromadkę Ciołkiem Poniatowskiego
według jego herbu, za ogólną na to zgodą innych
astronomów europejskich, chociaż przeciw woli
królewskiej, objawionej w tym względzie w listach
do Naruszewicza pisanych. Swoją drogą Poczo-
but odznaczonym został w tymże roku orderem
Św. Stanisława, do którego po sejmie grodzień-

skim król w nagrodę tyłu jego prac i kłopotów dodał mu order Orła białego.

Po przejściu kraju pod panowanie monarchów rosyjskich wypadło w r. 1795 Poczobutowi stanąć w Grodnie w obronie zagrożonej ponownie Akademii wileńskiej i innych szkół wraz z ich funduszami, co wymagało wielkiej przezorności i należytego przedstawienia rzeczy. Po blisko rok trwających zabiegach i staraniach udało mu się też rzeczywiście nie tylko to, co dotychczas było, utrzymać i zabezpieczyć, ale nawet uzyskał wyrok najwyższy na całość i nietykalność funduszu edukacyjnego. Znekany pracą i wiekiem, rozgoryczony potwarzami, które rzucano na jego nieposzlakowane imię i uczciwość, po powrocie z Grodna do Wilna utracił jeszcze do tego w lutym 1797 r. najlepszego swego przyjaciela i towarzysza prac swoich naukowych, Jędrzeja Strzeckiego, z którym go dola i niedola łączyły tak długo. I odtąd zaczęły się już jego nalegania na Śniadeckiego, zajętego wówczas przy Akademii krakowskiej, aby się przeniósł do Wilna i zastąpił go w dalszych pracach astronomicznych, co też w parę lat potem nastąpiło.

Po wstąpieniu na tron Pawła I witał jeszcze Poczobut w murach Akademii tego monarchę zwiedzającego swoje kraje, a który, ujęty sławą i zasługami sędziwego rektora, polecił, aby Akademia została w swym bycie i zaopatrzeniu nienaruszoną. Tę przychylność monarszą zostawił w spuściźnie po sobie Poczobut, sam bowiem, przez wzgląd na jego wiek i stargane siły, uwolniony został w r. 1799 od zarządu Akademią, aczkolwiek jeszcze nieraz wypadło mu ją reprezentować, jak np. w r. 1801, gdy w zastępstwie nowego a nieobecnego rektora przyjmował cesarza Aleksandra I, również wielkiego protektora nauk, od którego pierścień w darze po dwakroć otrzymał.

Tak więc po 19 letnich trudach przy zarzą-

dzie Akademią, oswobodzony od kłopotów administracyjnych, odetchnął 71-letni już starzec, znalazłszy się wśród tylko swych lunet i ukochanej przez się pracy. Wyrzekłszy się stanowczo wszystkich nowych dostojęństw, bo nawet wyrobionego sobie w Rzymie biskupstwa nie przyjął, wziął się z młodzieńcami i jakby odżytemi siłami jeszcze do obserwacji astronomicznych. Z tego to peryodu jego działalności czysto już naukowej, pochodzą liczne obserwacje planet Merkurego, Cerery, Pallady i Junony, które wykonał wspólnie z profesorem astronomii Reschką w latach 1802, 1803 i 1805. Są one pomieszczone w geograficznych efemerydach Zacha, a z jaką pilnością on je robił, dość przytoczyć słowa Zacha drukowane w roczniku za r. 1802, gdzie tenże pisze: «Dyrektor Poczobut, czcigodny starzec, jest jeszcze ożywiony takim zapalem dla swej umiejętności, że nie spoczął, póki Cerery nie odszukał. Mimo niepogody, która mu ciągle w pracy przeszkadzała, z taką wytrwałością i wysiłkiem szukał za tą nową gwiazdą i niezmordowanie obserwował, że kilkakrotnie mdlał przy pracy.»

Prócz tych prac na obserwatorium, napisał jeszcze Poczobut na zakończenie pracowitego życia i wydał w r. 1803 rozprawę w języku polskim i francuskim p. t. O dawności Zodyaku niebieskiego w Denderach.» Napadany przez częste a niebezpieczne zawroty głowy, oddał wreszcie w r. 1807 cały zakład Janowi Śniadeckiemu, a po roku dolegliwych cierpień, wśród których zrywał się jeszcze do obserwacji świeżo odkrytej w październiku komety, zmarł dnia 20 listopada 1808 r. w Dynaburgu, gdzie na parę miesięcy przed śmiercią, czując się już dla społeczeństwa nieprzydatnym, schronił się w zacisze klasztorne.

Cześć jego pamięci!

D-r D. Wierzbicki.



Franciszek Armiński.

* 1789 † 1848.

Nazwisko Armińskiego do głośnych bynajmniej nie należy, a ogółowi zgoła prawie jest nieznane, jakkolwiek sam wznosił sobie pomnik widoczny, który, jak mówi biograf jego Józef Belza, «w późne czasy z dziełczynem wspomnieniem przekaże następcom imię jego założyciela».

Pomnikiem tym jest obserwatorium astronomiczne w Warszawie, obok którego tyłokrotnie przechodzimy, które budzi w nas zawsze ciekawość dalekich stref niebieskich. Nie był to wprawdzie pierwszy w kraju zakład, badaniu nieba poświęcony, ale to nie zmniejsza bynajmniej zasługi Armińskiego, w epoce bowiem, kiedy żył i działał, Warszawa stawiała się dopiero nowym ogniskiem naukowem, którego rozbudzanie i podsycanie troskliwej pieczy i niestrudzonej wy magało gorliwości.

Niegdyś kwitła niewątpliwie astronomia w Polsce. Było to w czasach, gdy po piętnastowiekowym zatamowaniu budziła się na nowo myśl

naukowa w Europie i do wielkiej gotowała przyszłości. Astronomia, jakby unieruchomiona od czasów Hipparcha i Ptolomeusza, zaczęła się odradzać do świeżego życia i do dalszego rozwoju, a wtedy właśnie, według świadectwa jednego z kronikarzy niemieckich, w całych Niemczech nie było sławniejszej nauki astronomii, aniżeli w akademii krakowskiej, której najwyższą chwałą był wielki jej uczeń, Mikołaj Kopernik; reformator i prawdziwy twórca nowej astronomii helio-

centrycznej. Na tak wysokim poziomie nie utrzymała się wszakże odtąd astronomia w Polsce, a nauka Kopernika w innych już krajach dalej się rozwijała.



Po tym upadku astronomii u nas, w wieku siedemnastym i ósmym, pierwsze jej rozbudzenie dostrzegamy dopiero, gdy w roku 1745 kosztem dawnego zapisu matematyka Brózka, sprowadzoną została do Krakowa nowe przyrządy i nową książki; w kilka zaś lat później, w r. 1753, powstało istne już obserwatorium w Wilnie, wzniezione szczodroblivością księżnej Puzyniny, w którym Marcin Poczobut z pożytkiem dla astronomii gorliwie prowadził dostrzeżenia. Od r. 1765 istniało też pod kierunkiem jezuitów obserwatorium w Poznaniu, z którego po zniesieniu zakonu narzędzia przewiezione zostały w r. 1783 do Krakowa, gdzie nad podniesieniem astronomii pracował Jan Śniadecki, zanim pamiętną swą działalność rozwinął w Wilnie.

Gdy więc w ten sposób, w drugiej połowie ósmego wieku, w Wilnie i Krakowie rozwijały się pomyślnie ogniska wiedzy astronomicznej, Warszawa, prócz drobnej dostrzegalni Stanisława Augusta na zamku królewskim, nie posiadając w ogólności wyższej instytucji naukowej, nie miała też i zakładu astronomii poświęconego. Okazał się on potrzebnym dopiero, gdy ustanowiony został uniwersytet w stolicy nowego królestwa, powstanie zaś swe zawdzięcza jedynie zabiegom, wytrwałości i pracy Armińskiego.

Franciszek Armiński urodził się w drobnym miasteczku karpackim, w Tymbarku, dnia 2 października 1789 r., a początki życia jego w trudnych przebiegły warunkach. Rodziców stracił w niemowlęctwie i wychowywał się w domu wuja swego, gdzie nauczył się wprawdzie od podstarościgo czytać i pisać, ale zagrożony chłostą za dziecinne przewinienie, w dziewiątym zaledwie roku życia umknął do Krakowa, a znalazłszy tam przytułek w klasztorze Pijarów, kształcił się w szkole normalnej i w gimnazjum, gdy zaś mógł sam się utrzymywać daniem lekcji prywatnych, ukończył też pierwszoletnie kursy filozofii i matematyki. W ówczesnych wszakże warunkach, pod rządami austriackim, Kraków nie przedstawiał mu pola do dalszego doskonalenia się w warunkach, pociągnęło go bujniejsze życie księstwa warszawskiego i podążył do Warszawy, gdzie znalazł opiekę w domu kasztelana Linowskiego, niegdy posła na sejm czteroletni, a czerpiąc znowu dochody z lekcji prywatnych, mógł uczyć się dalej matematyki w szkole inżynierów, oraz u Liveta

profesora szkoły aplikacyjnej, dawnego ucznia szkoły politechnicznej w Paryżu. Ale dla żadnego wiedzy młodzieńca i widnokrąg naukowy w Warszawie rychło zbyt szczupłym się wydał, skoro więc zdobył drobny fundusz zaoszczędzić, podążył w r. 1812 do Paryża, który w owej epoce jaśniał nie tylko polityczną swą potęgą, ale i chwałą nauce przodujących mężów. Tam, cudzoziemiec nieznan, zdolnościami swymi i wytrwałością jedynie, zdołał zyskać poparcie Delambre'a i Araga, którzy mu ułatwili dostęp do obserwatorium paryskiego, a rychło tak dalece udoskonalił się w astronomii teoretycznej i praktycznej, że w r. 1814 rząd francuski ofiarował mu stanowisko dyrektora założonej właśnie dostrzegalni na wyspie Isle de France.

Zawód naukowy stał odtąd dla Armińskiego otworem, urzeczywistniały się marzenia jego i zamiary, mógł służyć nauce, którą umiłował, nad jej rozwojem pracować. Ale w tym czasie nastąpiła mu się inna jeszcze służba. W kraju jego własnym, tak klęskami dotąd skolatanym, rozpoczynał się okres dzieł pokojowych, potrzebni byli pracownicy, do wznoszenia gmachu oświaty przygotowani, a ówczesna dyrekcja wychowania narodowego, za pośrednictwem Adama Czartoryskiego i Kalasantego Szaniawskiego, wezwała młodego astronoma, by owoce wiedzy swej ziemi rodzinnej złożył. Propozycja ta w znacznej mierze zmieniała widoki Armińskiego, swobodną bowiem pracę naukową zastępowała jedynie zawodem nauczycielskim, nie wahał się on wszakże i »nie bez wewnętrznego z tej okoliczności najmocniejszego zadowolenia« zrzekł się natychmiast zaszczytnej w kraju obcym posady, a uzyskawszy od władzy edukacyjnej w Królestwie Polskim zasiłek 300 złotych polskich, przez rok jeszcze pozostał za granicą, zwiedzając obserwatoria w Anglii i w Europie południowej.

W r. 1815 wrócił Armiński do Polski, gdzie ówczesny Wydział Oświecenia Narodowego przeznaczył go tymczasowo do wykładu matematyki w wyższych klasach liceum warszawskiego i w kolegium księży Pijarów. W następnym roku mianowany został profesorem astronomii na mającym się utworzyć wydziale filozoficznym uniwersytetu, tymczasowo zaś rozpoczął wykłady dla kandydatów, których władza edukacyjna zamierzała wysłać za granicę dla wykształcenia się w matema-

tyce, a przy tej pierwszej sposobności ujawnił już gorliwość swoją, podwajając dla korzyści uczniów bezpłatnie liczbę godzin na wykład przeznaczonych. W uniwersytecie, oprócz wszystkich części astronomii, wykładał różne działy matematyki wyższej, rachunek różniczkowy, całkowity, wariacyjny, wynagradzając nadmierną swą pracą początkowy brak profesorów w nowej wszechnicy, prócz niego bowiem był jeden tylko jeszcze profesor matematyki, ksiądz pijar Dąbrowski, który zresztą nauczał jeszcze w szkole wojewódzkiej.

Przedewszystkiem wszakże zajął się Armiński gorliwie sprawą założenia w Warszawie obserwatorium, a natarczywa jego w tym celu zabiegliwość nieraz na nieprzewidziane narażała go przykrości; niczem jednak niezrażony, doczekał się wreszcie pociechy, że wyznaczono fundusz na wybudowanie gmachu i na zakup niezbędnych narzędzi. Pierwsze przyrządy, jak koło południkowe lunetę paralaktyczną, heliometr, już w r. 1816—1817 zamówione zostały w słynnych warsztatach monachijskich Reichenbacha, Utzschneidera i Fraunhofera, zegary zaś i chrometry u doskonałego zegarmistrza warszawskiego Gugenmusa, ale dopiero w r. 1820 rozpoczęto budowę gmachu, który żądaniom Armińskiego niezupełnie zresztą odpowiadał, budowniczowie bowiem, Kado i Eigner, stosować się musieli do wymagań artystycznych ministra oświecenia, Stanisława Potockiego, oraz do istniejących już w tem miejscu zabudowań dawniejszych. Do umieszczenia narzędzi przystąpić można było dopiero w r. 1824, a w braku biegłych w kraju mechaników, uciążliwą tę pracę wykonać musiał sam Armiński, po całych dniach i nocach prowadząc roboty rzemieślnicze, w czem dopomagali mu, naprzód Józef Belza, którego wszakże wkrótce pochłonęła zupełnie chemia, a następnie adjunkt obserwatorium, Stanisław Janicki.

W r. 1825 przygotowania tak daleko już były posunięte, że można było rozpocząć dostrzeżenia prawidłowe, a do obserwatorium przybyły narzędzia dalsze, jak nowa luneta achromatyczna, teodolit, mikrometry, przyrząd do pomiarów zboczenia magnetycznego, oraz narzędzia meteorologiczne. Miejsce adjunkta po Jasińskim, który wyjechał za granicę w celu przygotowania się do katedry mechaniki w szkole politechnicznej, objął Jan Baranowski. W r. 1826 uregulował Armiński ostatecznie zegary, wymierzył zgięcie, ja-

kiemu ulegała luneta południkowa przy ukośnem względem poziomemu położeniu, a wreszcie oznaczył szerokość geograficzną Warszawy, $52^{\circ} 13' 5''$. W r. 1828 oznaczoną została długość geograficzna Warszawy, która okazała się względem Paryża równą $18^{\circ} 48' 7,5''$, czyli w czasie 1 godz. 15 min. 12,5 sek.; pomiary późniejsze Baranowskiego, dokonane na podstawie przewożenia zegarów do Pulkowy, wydały rezultat nieco odmienny: $18^{\circ} 41' 24,75''$ czyli w czasie 1 g. 14 min. 45,65 sekund. W tymże czasie ukończono ustawianie na wieżach bocznych lunet paralaktycznych, co umożliwiło dostrzeżenia poza linią południkową, na obszarze sklepienia niebieskiego. W r. 1829 wszystkie więc narzędzia były już ustawione i uregulowane, a spostrzeżenia astronomiczne ze wszelką dokładnością zapisywane; tym sposobem zakończył się najmoźolniejszy okres życia Armińskiego.

Na tle tej pracy ciągłej i jednolitej wybijały się i zajęcia inne, do których Armiński był powoływany, on bowiem najlepiej mógł je spełnić. Tak w r. 1824—1825 ustawił i uregulował narzędzia w małej, ale wcale dobrze zaopatrzonej dostrzegalni, którą założyli w konwiktie swym na Żoliborzu księża pijarzy, by wykład astronomii udostępnić i bardziej dla uczniów zajmującym uczynić. Obserwatorium to, mieszczące się w umyślnie zbudowanej wieży, istniało do roku 1830, a dostrzeżenia w niem prowadził pijar Ksawery Wręczycki, w młodym wieku zmarły, który ślady swej działalności pozostawił w kilku rozprawach, drukowanych w programach szkolnych konwiktów.

Większej doniosłości była inna praca Armińskiego, dokonana w r. 1828 i 1829 na zlecenie ministra skarbu, a mianowicie pomiar położenia geograficznego kilku miejsc województwa sandomierskiego, w okolicach górniczych, a między innymi Łysicy, stanowiącej najwyższą wyniosłość Królestwa Polskiego. Rezultaty tych dochodzeń, p. t.: »Opis góry Ś-to Krzyskiej z uświadomieniem o czynnościach astronomicznych, dotyczących się pomiarów powierzchni fabryczno-górniczej,« podał w tomie II wychodzącego podówczas »Pamiętnika Sandomierskiego.«

Po zamknięciu uniwersytetu i zmianie pomników krajowych prace Armińskiego ograniczały się do dostrzeżeń w obserwatorium, którego dyrektorem pozostał do śmierci. Rezultaty tych obserwacji przechowane są w obserwatorium, nie-

które ogłosił w wydanem przez paryskie «biuro długości» piśmie «Connaissance de temps». W Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk zamieścił rys historyczny rozwoju astronomii starożytnej, oraz kilka rozpraw, tyczących się aberacyi światła, nutacyi czyli wżenia się osi ziemskiej, oraz paralizy gwiazd stałych.

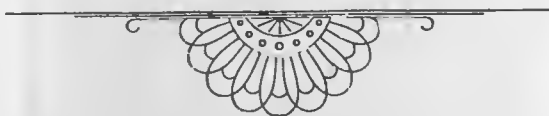
Dla uzupełnienia tego rysu naukowej i publicznej działalności Armińskiego, poznać należy jeszcze charakter jego, wartość jego moralną. Tu wszakże odwołać się musimy do naocznego świadka jego życia. «Nie dzielimy wcale zdania, mówi Józef Belza, że o zgasłych albo nic się nie mówi, albo tylko chwalić wypada; bo głównym warunkiem historyi, chociażby i w najmniejszym jej zarysie, jest prawda; zaszczytne zaś wspomnienie, tą drogą zmarłemu oddane, jest dopiero największą nagrodą jego pamięci uczynioną. Wreszcie Armiński dopiero co ubył spośród nas, i zbyt wielu pozostaje znających go, aby w razie potrzeby piszący przez poezję śmiało ubarwić rzeczywistość. Do sądu więc ogólnego odwołujemy się, utrzymując, że Armiński był jednym z najgodniejszych ludzi, a charakter jego prosty, otwartość, szczerłość, niczem niewzruszona prawość jednały mu powszechny szacunek. Pomnąc na krótkość życia ludzkiego, żył ze wszystkimi

w zgodzie, i nigdy podła zawiść lub nikczemna złośliwość życia jego nie splamiła; z pominięciem względów nawet na własne widoki, szedł zawsze drogą prawdy, a święta jej pochodnia wszędzie, nawet wobec wysokich osób, zawsze jego słowa oświecała, stąd też doczekała się jego pamięć tej najśłodszej nagrody, że w uznaniu jego prawości nie ma zdań różnorodnych.»

Dotknięty chorobą serca, zmarł Armiński dnia 14 stycznia 1848; zwłoki jego złożone zostały w pieczarach powązkowskich. Pomnik, jaki sam sobie wznosił, stanowi obserwatorium warszawskie, które pomimo skromnych środków, jakimi rozporządzał, umiał postawić na wysokości nauki ówczesnej; jeżeli zaś okoliczności późniejsze nie dozwoliły instytutowi temu oddać nauce usług, jakich po nim oczekiwano, nie jest to już zapewne winą jego założyciela.

Żywot Armińskiego stanowi ustęp z dziejów astronomii w Polsce. Bujnemu rozrostowi nauk okoliczności mało u nas sprzyjały, astronomia wszakże miała w różnych czasach wybitnych przedstawicieli, a ze wszystkich gałęzi wiedzy ścisłej najdzielniej się rozwijała. Dowody tego najstaranniej zebrał Feliks Kucharczyński w pracy, zamieszczonej w II tomie «Pamiętnika towarzystwa nauk ścisłych w Paryżu.»

Stanisław Kramsztyk.



Michał Płoński.

* 1782 † 1812.

Sztuki plastyczne w okresie czasu, sięgającym ostatniej ćwierci zeszłego i pierwszej obecnego stulecia, nie odegrywały ważniejszej roli w ruchu społecznym Polski. Polityka na plan dalszy usuwała budzące się zaledwie na naszym gruncie idee piękna, ideom zaś tym hołdujące osobistości zadawały się sztuką importowaną z Zachodu w osobach malarzów, sprowadzanych z zagranicy przez Króla i możnych panów. O możliwości istnienia malarstwa rodzimego ledwie śniło się wówczas dalej sięgającym umysłom. Brak potrzeb estetycznych wśród szerszych mas, oraz na cudzoziemskich wzorach oparty gust, panujący wśród nielicznej garstki amatorów i protektorów sztuki, wytwarza oryginalną sytuację w dziedzinie piękna. Gdy już

w końcu XVII wieku słynie we Francji rodowity polak Aleksander Ubielecki, gdy niemiecka sztuka z dumą zalicza do swych przedstawicieli Daniela

Chodowieckiego, a na dworze Ludwika XVI i w krwawe dni rewolucji polak Kucharski zbiera laury — u nas osiadają obcy artyści, nie związani ani rasą,

ani duchem z krajem, rozwijają tu swą działalność i sztucznie wytwarzają w Polsce malarstwo, które wcale polskiem nie jest.

Największą, a można rzec śmiało, jedyną zasługą obcych żywiołów wprowadzonych do Polski, jest oddziaływanie ich na siły miejscowe. Za ich pomocą mnożą się artyści odpowiednio wyrobieni i zaczynają siać ziarno na glebie ojczystej. Z początku większość tych wykształconych w kraju malarzy nie przekracza miary mniej więcej użytecznych pracowników pendzla: ozdabiają kościoły, malują portrety rodzinne, tworzą obrazy alegoryczne lub okolicznościowe.

W sławie wśród swoich prześciga ich jednak zawsze wzmagająca się falanga, osiadających na stałe lub chwilowo tylko przebywających w Polsce, cudzoziemców. Społeczeństwo, a raczej ta jego część



M. Płoński.

której nie obcą była sztuka, popierała zagranicę; dla polskiego artysty warunki były przykre, nie więc dziwnego, że ludzie obdarzeni większym zasobem talentu i czujący swą wartość, w atmosferze tej z trudnością oddychać mogli.

Najzdolniejsi przedstawiciele polskiego malarstwa z początków tego wieku: Aleksander Orłowski i Michał Płoński, opuszczają kraj, aby sobie zdobyć sławę zagraniczną. Płoński rozpoczyna w dziejach naszej sztuki poczet artystów, wykształconych w kraju, a uznanych wśród obcych, należy do tych, którzy pragnęli wywalczyć sobie znaczenie w sztuce ogólnieuropejskiej.

W oświetleniu właściwym epoki w której żył, Michał Płoński występuje z pierwszych kart dziejów sztuki naszej współczesnej, jako zjawisko niezwykłe, jako postać wysoce pociągająca. Krótkie swe życie, tych kilka zaledwie lat swej pracy samodzielnej, wypełnił on blaskami rzeczywistego talentu, opromienił porywami samodzielnej duszy.

Rastawiecki, któremu należy się zasługa pierwszej biografii Płońskiego, — gdyż przed tem krótkie tylko o nim pisali wzmianki: I. Łęski, G. Pawlikowski i J. Piwarski, — tak zaczyna jego życiorys w «Słowniku Malarzów Polskich»: «Sławny sztycharz, rysownik i malarz, artysta wyborny, przyszedł na świat wedle udzielonej przez rodzinę wiadomości d. 15 stycznia 1782 r. z rodziców szlacheckiego stanu Jana i Konstancyi Płońskich; ojciec jego posiadał kamienicę na Nowem Mieście Nr. 276 w Warszawie. W dzieciennym wieku okazał już szczególne do rysunków zamiłowanie, co skłoniło ojca, iż go oddał na naukę do I. P. Norblina, pod którym z wielką pilnością lat kilka pracował».

Wstąpienie do szkoły Norblina musiało nastąpić około 1794 r., chłopak nie miał więcej nad lat dwanaście naówczas. Znane są rysunki jego, już dużą wprawę techniczną posiadające, oznaczone monogramem M. Płon. fecit 1795. Szybkie postępy w nauce zjednały mu przychyłność mistrza, który Płońskiego wraz z Rustemem i Orłowskim do najlepszych swych uczniów liczył. W częstych do Nieborowa wycieczkach towarzyszyli mu oni, pomagając w pracy jego nad udekorowaniem komnat w greckim stylu i nad projektami upiększenia Arkadyi. Kolekcye Nieborowskie, jak pisze obecny ich właściciel ks. Michał

Radziwiłł, posiadają kilkaset rysunków Płońskiego. Wykonywał je w latach od 1795 — 99.

Od początku swego zawodu Płoński przygotowuje się na znakomitego rytownika, jakim miał zasłynąć w lat kilka potem. Rysuje on i szkicuje ciągle, zaniechawszy natomiast olejnego malarstwa. Kreska jego, pewną kładzioną ręką, jest coraz to poprawniejsza, coraz posłuszniejszą jest oku, które z młodzieńczym zapalem notuje skwapliwie widziane efekta.

Niezwykłe uzdolniony uczeń, opuszcza szkołę Norblina w siedemnastym roku życia. Uważał go zapewne Norblin za dostatecznie przygotowanego, gdyż sam namawia na wyjazd za granicę. W końcu 1799 r. młody Płoński opuszcza kraj, udając się przedewszystkiem do Danii, gdzie po raz pierwszy znajduje się w obec płodów sztuki europejskiej. Galerye Kopenhagi dają mu przedsmak wrażeń, których zażył wkrótce potem wyjechawszy do Holandyi w zwiedzaniu tamtejszych zbiorów. W Holandyi, a przedewszystkiem w Amsterdamie, Płoński przebywał od 1801 do 1806 r. — i tu zaczął, korzystając z poprzednich studyów robionych z natury, rytować na miedzi. Wprawny w rytowaniu piórkowym artysta z łatwością przyswaja sobie technikę rylca i igiełki, i dochodzi do mistrzostwa w krótkim czasie w tej nowej specjalności, iż przybywszy w 1806 r. do stolicy Francyi puszcza w świat «Zbiór» 19 akwafortowych plansz, z francuzkim tytułem. Zbiór to wielce rozmaity, składają się nań kopie z Rembrandta, głowy, jak: starca z brodą, typ polaka, staruszki... dalej typy uliczne Holenderskie: wyrobnika, żyda, żebraczki, rysowane z natury — studyum psa, wreszcie malutkie figurki w charakterze pogartowskich karykatur. W rzadkim obecnie tym zbiorze Płońskiego uderza na pierwszy rzut oka potęga wyrobienia technicznego, siła rysunku, oraz przejęcie się duchem utworów praojca wszystkich akwaforzystów, Rembrandta.

Pojawienie się w świecie artystycznym Paryża talentu tej miary, co Michał Płoński, nie mogło przejść bez wrażenia: zasypywany był robotą dla wydawców. Po wykonaniu oryginalnego «Koszykarza», zmuszony on jest robić akwaforty kopie z obrazów holenderskich mistrzów, które mają pokup na paryzkim rynku. Słynny gabinet rycin w Luwrze, który w swych wydawnictwach zamieszcza utwory tylko uznanych mistrzów rylca,

zalicza do swych współpracowników Płońskiego, płacąc mu «dziesięć luidorów dziennie», jak pisze Rastawiecki. Gdy w lecie, zmęczony życiem stolicy, wyjechał Płoński do wód w Pyrmoncie na odpoczynek, pozostawiony w Paryżu rylce zamienia na pendzel, blachę miedzianą zastępuje papierem i tworzy wielce cenione portrety akwarelowe, rozchwytywane przez Anglików.

Wśród ciągle wzrastającego powodzenia, osypywany zamówieniami, mieszka Płoński w Paryżu przez lat cztery. W 1810 r. opuszcza Paryż i śladami wielu artystów piechotą puszcza się w drogę. Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że już naówczas zdradzał pierwsze objawy choroby umysłowej, której we dwa lata później padł ofiarą. Cytowana przez Rastawieckiego anegdota o sprzedaniu ciężących mu na plecach blach rytowanych za 8 fr., zdaje się potwierdzać prawdziwość tego przypuszczenia. Tak ceniony jak Płoński artysta, mógł z łatwością w zwykłych warunkach o wiele dro-

żej sprzedać swe oryginały wydawcom, z którymi był w stosunkach. Powróciwszy do Warszawy, oddał się specjalnie malowaniu portretów akwarelowych. Sława zagraniczna uczyniła zeń artystę wielce poszukiwanego. Powodzenie to trwało jednak niedługo. W dniu 26 października 1811 r. zabierają go do szpitala o.o. Bonifratrów. «Z podróży swoich — pisze księżna Michałowa z Przeździeckich Radziwiłłowa — wrócił waryatem i bez grosza przy duszy... Odwiedzałam go w szpitalu. Siedzi spokojny wśród trzydziestu innych jak i on spokojnych waryatów».


Niepospolity ten artysta, który jak świetny meteor zabłysnął na chwilę na widnokręgach sztuki, zasnął snem wiecznym dnia 2 czerwca 1812 r. — Utwory jego rylca posiadają zbiory ks. Czartoryskich w Krakowie. — Większość jednak pozostała za granicą.

J. Piątkowski.



ADAM MICKIEWICZ.

* 1798 † 1855.

 Rodził się 24 grudnia 1798 roku, po-
dług nowego stylu, z ojca Mikołaja,
komornika mińskiego i adwokata nowogródzkiego,
i matki Barbary Majewskiej, mostowniczanki miń-
skiej.

Był on drugim z rodzeństwa, które składali:
najstarszy z braci Franciszek, oraz młodsi: Ale-
ksander, Jerzy i Antoni.

Rodzice poety szczupły posiadali majątek:
naprzód niewielki folwark w Zaosiu, po ustąpieniu
zaś z niego na rzecz dalszej rodziny, dom muro-
wany w Nowogródku.

W tych miejscowościach poeta przejmował
pierwsze wyobrażenia o świecie; ruiny zamku No-
wogródzkiego przemawiały do niego odgłosami
przeszłości; głęboka religijność, wpojona weń przez
matkę, stanowiła nawet w czasach indyferentyzmu,
w jaki zapadał, główną podstawę moralnej jego
istoty.

Wśród odgłosów wielkich dziejowych wypad-
ków, które ówczesną Europą wstrząsały, poeta ze
starszym bratem Franciszkiem rozpoczął w roku
1807 nauki w miejscowej szkole, utrzymywanej
przez ks. Dominikanów, w której przez lat ośm
zostawał, okazując: «pilność w naukach dobrą,
a obok skłonności do psot, usposobienie marzą-
ce. W ciągu tego okresu trzy wypadki, następu-
jące po sobie, silnie młodą jego duszą wstrząsnę-

ły: śmierć ojca, przypadająca na maj 1812 roku,
pochód armii Napoleona, która pod dowództwem
Hieronima, króla Westfalii, w końcu czerwca t. r.
na północ przez Nowogródek ciągnęła, i nakoniec
odwrot jej, tylko zdziesiątkowanej i rozbitej w po-
rażkach.

Obraz świetnego sztabu, jaki poeta podziwiał,
gdy król Hieronim stał w domu matki kwaterą,
odtworzy w Panu Tadeuszu; widok szczątków, ko-
piącej się w powrocie przez śniegi armii, dostar-
czy mu rysów do obrazu wojny w Konradzie
Wallenrodzie.

Po ukończeniu klasy VI poeta w roku 1815
wstąpił na uniwersytet wileński, na którym mu
daleki krewny ks. Józef Mickiewicz, profesor
i dziekan na wydziale matematyczno-fizycznym,
wyrobił nauczycielskie stypendium. Że jednak stu-
dya tego rodzaju nie odpowiadały naturze jego
umysłu, widzimy stąd, że już w następnym roku
przeszedł na wydział literacki i sztuk wyzwolo-
nych.

Uniwersytet wileński, zreorganizowany w ro-
ku 1803 z dawnej akademii przez ówczesnego ku-
ratora ks. Adama Czartoryskiego w duchu usta-
wy Komisji Edukacyjnej, acz nieliczny co do skła-
du profesorów, posiadał jednak kilku ludzi euro-
pejskiej nauki. Jak na wydziale matematyczno-fi-
zycznym jaśnieli nią: Stanisław Jundził, Jan i Je-
drzej Śniadeccy, na medycznym: Józef Frank i Mia-

nowski; tak na wydziale literatury i sztuk przodowali: Ernest Grodek, obejmujący w swych wykładach cały niemal obszar wiedzy klasycznej, Joachim Lelewel, znany już z gruntownych badań dziejowych, i Leon Borowski, który w wykładach literatury i estetyki pod wpływem Lessynga, Kanta i Herdera zbliżał się do stanowiska, jakie później w rozprawie: *O klasyczności i romantyczności* zajął Kazimierz Brodziński. Przecież uniwersytet wileński nie tylko dawał wiedzę, ale i kształcił etycznie. Tylko zasługa pod tym względem nietylko spływa na przewodników młodzieży, ile na jednego z jej przedstawicieli, który przez swą wyższość umysłową i nieskazitelny charakter, zajął wśród niej tak wpływowe stanowisko, że nietylko ton jej nadawał, ale całe współczesne pokolenie uniwersyteckie na swą modłę urobił. Tą osobistością był Tomasz Zan, w tym samym roku, co i Mickiewicz, na uniwersytet przybyły. Tylko starszy wiekiem i doświadczeniem od razu przeniknął ujemne strony życia młodzieży i rozbitą na różne odłamy i więcej rozrywkom, niż poważnym studiom oddaną, umyślił zjednoczyć w idei cnoty, braterstwa i rzetelnego zamiłowania nauki. W tym celu, zrobiwszy wybór z samego czoła młodzieży, zawiązał w dniu 1 października 1817 r. nieliczne kółko, które nazwę Filomatów (miłośników wiedzy) przyjęło. Składali je pierwsiastkowo: Franciszek Malewski, Józef Jeżowski, Onufry Pietraszkiewicz, Adam Mickiewicz i Jan Czeczot, jego nowogrodzki współluczeń. Później przyłączyli się do nich: Jan Sobolewski, Wincenty Budrewicz, Maryan Piasecki, Józef Kowalewski, Ignacy Domejko, wreszcie ks. Chlewiński i Kozakiewicz.

Na posiedzeniach Filomatów odczytywano naukowe rozprawki, roztrząsano różne kwestye z wykładami związane, zajmowano się artykułami treści literackiej, wreszcie uprzyjemniano sobie te posiedzenia poezją, którą uprawiano w tem gronie. Sam bowiem twórca koła, Zan, obok studyów matematyczno-przyrodniczych, dla własnej i towarzyszków przyjemności układał miłe swą prostotą wierszyki. Inni, jak Jeżowski, Pietraszkiewicz, pomieszczali swe prace poetyczne w Dzienniku i Tygodniku wileńskim. Tylko ten, co poezję polską wynieść miał na niedosięgnię dotąd wyżyny, milczał, nieświadomy potęgi, która w jego piersi drzemała. Ale i w nim iskrę geniuszu miało «oko niebianki zapalić.»

Z nadejściem wakacyj, z namowy Zana Mickiewicz wszedł w stosunki z domem, który wśród ziemian nowogrodzkich wydatne stanowisko zajmował. Był to dom Wereszczaków z Tuhanowicz, osierociały po ojcu, który za życia sprawował godność marszałka, a składający się z matki, dwóch synów: Michała i Józefa, oraz córki Maryi, zaręczonej z bogatym Wawrzyńcem Puttkamerem, który w 1817 r., popierając na sejmiku grodzieńskim sprawę uwłaszczenia włościan, oburzył na siebie ogół obywateli i miano Jakóbina pozyskał. Tylko Puttkamer, pomimo 24 lat wieku, był zdaje się w obejściu chłodnym, w zapatrywaniach zbyt trzeźwym; Maryla zaś panną 18-letnią, samowolną, jak każda jedynaczka, nastrojoną poetycznie czytaniem sentymentalnych romansów i za jakimś nieuchwytnym ideałem goniącą. Nic przeto dziwnego, że ją zajął młodzieniec, który z jej *Lorencem*, jak nazywała Puttkamera, tworzył przeciwieństwo rażące. Skupiony w sobie, marzący, z tem spojrzeniem głębokiem, które wnika do duszy, a nie pozwala własnej głębi wymierzyć, był dla niej niepowszednią istotą, którą przeniknąć, zbadać, stało się palącą jej ciekawości potrzebą. Przecież z ogniem nie igras się bezkarnie. Zajęcie się 20-letnim młodzieńcem bezwiednie obudziło w niej uczucie, które potęgowało i drażniło samo zachowanie się jego, pełne nieśmiałości i panowania nad sobą. Czuł bowiem przedział, jaki istniał pomiędzy nim, a panną już zaręczoną. Sami zresztą Wereszczakowie o swym rodzie trzymali wiele i o tem, by Maryla mogła się zająć kandydatem do skromnej nauczycielskiej posady, nikomu z nich do głowy nawet nie przyszło. Z tego jednak zaślepienia wynikło, że samowolna panna odbywała z poetą sam na sam pie szo i konno spacer, że oboje czytali książki, grali w warcaby, a tymczasem uczucie niestrzeżone wzmagalo się w ich sercach, ściągając burzę na ich głowy w przyszłości.

Z końcem wakacyj Mickiewicz wrócił do Wilna, unosząc w duszy obraz Maryli. Następstwem tego było nagłe przebudzenie się w nim twórczości, a pierwszym jej objawem: *Wiersz o zadaniach i obowiązkach Filomatów*. Forma w nim czysto klasyczna, ale napisany tak jędrnym językiem, że przypomina Trembeckiego, którego z zamiłowaniem studyował poeta. Drugim utworem, ogłoszonym w «Tygodniku wileńskim,» była *Zima miejska*, ułożona również w formie klasycznej.



DRUK. P. LAUKNER I W. BABICH, WILNO

Portret ze współczesnego dagerotypu, wykonany przez K. Mordasewicza.

Adam Mickiewicz

I w niej poeta nie jest jeszcze sobą, nietylko ze względu na przeciążające ją metafory i omówienia, tak, iż nigdy właściwem mianem nie oznacza przedmiotu, ale i stąd, że malując przyjemności tej pory roku, występuje jako światowiec, biorący udział w balach i innych wielkomiejskich rozrywkach. W tym samym roku powstały nadto dwie powiastki, lubo drukowane w następnym. Jedna z nich *Żywila*, skreślona językiem, zapożyczonym od pisarzy XVI stulecia, zawiera szczegół znamieny. Występuje w niej rycerz litewski, Poraj, a więc noszący nazwę herbu Mickiewiczów. Widocznie poeta chciał Wereszczakom przypomnieć, że co do starożytności rodu i on z nimi zrównać się może. Nadto, imię Żywila brzmieniem do Maryli zbliżone. Ona, córka udzielnego księcia, tajemnie kocha Poraję i miłość dla niego życiem przypłaca. Druga powiastka *Karylla*, jeszcze więcej brzmieniem przypominająca Marylę, choć trzymająca w tonie sielankowym, kończy się równie tragicznie. Najciekawsza, że jak mówi poeta, pamięć o niej przechowała «pieśń ludu». Jest to wpływ dwóch rozpraw: Adama Czarnockiego *O słowiańszczyźnie przedchrześcijańskiej* i Kazimierza Brodzińskiego *O klasycyzmie i romantyczności*. Obie w r. 1818 wydane, wykazywały ważność pieśni ludowych. Nie znaczy to, by się już wtedy poeta na stronę romantyzmu przerzucił. Gdy odczytana w gronie koleżeńskim ballada Żukowskiego *Ludmiła*, naśladowana z Leonory Bürgera, pobudziła Zana do napisania *Neryny*; Mickiewicz w styczniu 1819 r., drukuje w «Pamiętniku warszawskim» *Uwagi nad Jagiellonidą* Dyzmy Tomaszewskiego, w których ten utwór ocenia według poetyki Laharpe'a. Dopiero gdy Zan na odjazd z pensyi jakiejś uczennicy, wiersz pożegnalny napisał; Mickiewicz, przeczytawszy go, nie mógł ukryć zdziwienia, iż wypadek tak zwyczajny, tyle w sobie stron poetycznych zawiera. To było pierwszą dla niego wskazówką, że poezya na prawdzie, z życia branej, polega. W obec jednak egzaminów na stopień magistra, poezya musiała iść na stronę.

Egzamina o tyle wypadły pomyślnie, że wskutek nich poeta otrzymał posadę nauczyciela przedmiotów filologicznych w szkole powiatowej kowieńskiej. Rok ten 1819 upamiętnił się nadto zorganizowaniem związku «Filaretów», miłośników cnoty. Związek Filomatów był dla nich tajemnicą;

wybierając jednak z pośród jego członków prezesów do różnych wydziałów, bezwiednie ulegali kierunkowi, jaki Zan wszystkim nadawał.

Po odwiedzeniu matki w Nowogródku, Mickiewicz na resztę wakacyj znowu do Tuhanowicz wyjechał, gdzie powtórzyły się te same spacery i zabawy, które zadzierzgiwały tem silniejszy węzeł pomiędzy nim, a Marylą, że dziś wobec ujawnionego powołania poety, przyszedł magister czuł się o wiele śmielszy pewniejszy siebie. Do wyznania uczuć może jeszcze nie przyszło; ale spojrzenia, półsłówka, a może i pamiątki, dane mu na nową drogę życia, przekonały go o wzajemności. Wyjechał też do Kowna, pewny uczuć Maryli. Samo odkładanie ślubu z Puttkamerem, podtrzymywało jego nadzieje.

Przecież Kowno, pomimo uroczego położenia nie mogło odpowiadać potrzebom duszy poety. Koledzy w nowym jego zawodzie, z rektorem Dobrowolskim na czele, byli to ludzie starsi i choć wychowawcy tej samej wszechnicy wileńskiej, nie dostrajali się do pojęć, jakie z niej wyniósł poeta. Rdza prowincyi zubożniała ich umysły na prądy, które dziś płynęły z tego ogniska. To też poecie czas w samotności upływał. Przechadzki w dolinę, która później przybrała jego nazwisko, listowanie z przyjaciółmi, studia literackie, a głównie wczytywanie się w Schillera, Goethego i Jean Paul'a wypełniały mu chwile wolne od zajęć. Czy pisał co wtedy? Może tłómaczył *Don Carlosa*, ale przedewszystkiem badał, rozważał nowe kierunki, ścierające się z dawnymi pojęciami i smakiem. Życie to jednak samotne, zaprawne tęsknotą, stało się dla niego w końcu nieznośnem. Z nadejściem więc świąt Bożego Narodzenia, wyruszył do Wilna, gdzie go bratnie koło przyjęło. Tu obchodzono jego imieniny uczcżą, na której, bodaj, czy nie powstała pieśń: «Hej użyjmy żywota, wszak żyjemy tylko raz,» a mająca odtąd rozbrzmiewać na wszystkich filareckich zebraniach.

Rok 1820 Mickiewicz w Kownie rozpoczął, ale pobyt wśród uniwersyteckich kolegów, acz krótki, oddział nań ukrzepiająco. Na wiosnę tego roku, przypada nowe rozbudzenie się w nim twórczości, tylko już w kierunku, mającym stanowić o całej przyszłości poezyi polskiej. Z pierwszym ocknieniem się ze snu zimowego natury, z pierwszym odezwaniem się w górze skowronka, na samotnej wycieczce do podmiejskiego lasu,

zrodził się w jego duszy ów klejnocik, który nazywał *Pierwiosnkiem*. Że w nim można dopatrzeć pewnej analogii pod względem formy z utworem Goethego: *Das Blümlein Wunderschön*, to pewna; ale treść była własną poety, z tęsknoty za Marylą wysnuta. To już zupełnie co innego, niż *Zima*.

Drugim utworem w tym samym może roku powstałym, to *Romantyczność*. On tyle się naczytał o tym nowym kierunku (w r. 1820 wyszedł *Wiesław* Brodzińskiego, *Uwagi nad poezją i wymową* Borowskiego), tyle zresztą przemyślał, że na koniec, w szczęśliwej jasnowidzenia chwili, pojęcie to ostatecznie skryształizowało się w jego umyśle. Tylko, jako poeta, uchwycił je nie w oderwanej teorii, lecz w konkretnym obrazie. Romantycznością więc w nim, to owa małomiasteczkowa Ofeilia, dla której rzeczywistość obecna niema żadnego znaczenia, która w dzień biały rozmawia z duchem zmarłego kochanka, wierząc, że ją noc ciemna otacza. Dalej, romantycznością to ów tłum ludu, który ducha nie widzi, lecz wierzy, że on z obłąkaną rzeczywiście przebywa, skoro ta czuje jego obecność przy sobie. Romantycznością wreszcie, to sam poeta, który o tyle wiarę ludu podziela, iż za prawdę uznaje halucynacje dziewczyny i, rozumiejąc jej boleść, żywi dla nieszczęśliwej współczucie. Słowem, lekceważenie rzeczywistości, wiara w zagrobowe życie człowieka, umiłowanie tego, co już zniknęło z powierzchni ziemi, wyniesienie uczucia ponad naukę, oderwaną od życia, a którą zaprezentuje Starzec ze szkiełkiem w oku, wreszcie wprowadzenie do poezji żywiołu ludowego: oto główne cechy romantyzmu, jak go ówczesnie pojmował poeta.

W owym Starcu, daje on ciętą odprawę Janowi Śniadeckiemu, jako przedstawicielowi zmysłowej filozofii XVIII w.

Po odbytych w szkole z uczniami egzaminach, Mickiewicz wyjechał na wakacje do Wilna, skąd znów niebawem do Tuhanowicz podążył. Że przez swe utwory poetyckie wysoko stanął w oczach Maryli, o tem mówić zbyteczna; ale matka, ale brat starszy Michał, który do rodowych prozapij tyle przywiązywał znaczenia, iż umiał Niesieckiego na pamięć, czyżby się zgodzili na jego związek z Marylą? Pod tym względem nie mógł się łudzić. A jednak widocznie liczył, iż działając na próżność głowy rodziny, zdoła go dla swej sprawy pozyskać. Okazuje się to z dwóch

ustępów w balladzie *Świtez*, w których nie tylko sam, ale i przez usta, wyłowionej niewodem z toni jeziora dziewicy, uznaje w Michale Wereszczace w prostej linii potomka mitycznego Tuhana, księcia na Świtezi, a Mendogowego lennika.

Ów rodowód «pana na Płużanach» wraz z imiennem przypisaniem mu ballady, ma nadto inne jeszcze znaczenie. Poeta z Puttkamerem nie mógł iść pod względem majątkowym w zawody, ale widocznie chciał dać do zrozumienia, iż przez swój talent, niemniej jak on mógł, ród Wereszczaków uświetnić. Że nie trafił tem do przekonania Michała, wiadomo. Jeżeli ten z grzecznością przyjmował dynastyczne wywody, to zapewne udawał, że celu ich nie rozumie. Są natomiast pewne wskazówki, że poeta w tym czasie miał niemiłą jakąś przeprawę. Czy mu dano uczuć ze strony rodziny panny niewłaściwość jego zabiegów, czy też Puttkamer przyspieszenia ślubu zażądał, dość, że Mickiewicz przed końcem wakacji, Tuhanowicze opuścił, udając się do Wilna, gdzie go choroba skutkiem moralnego wstrząśnienia powaliła na łóżko i naraziła na poważny zatarg z władzą uniwersytecką z powodu niestawienia się w Kownie na czas określony urlopem. Niedosć na tem, w kilka tygodni po powrocie na swe stanowisko, odebrał o zgonie matki wiadomość. Słowem, grom po gromie spadał na głowę poety.

Czy aby pewny był uczuć Maryli?... Z ballady *To lubię*, powstałej niewątpliwie z końcem roku 1820, a obejmującej już te wszystkie motywy, które później w *Dziadach* rozwinął, okazuje się, iż właśnie co do tego w dręczącej wątpliwości zostawał.

Jakoż Maryla pod naciskiem rodziny oddała w d. 2 lutego 1821 r. Puttkamerowi swą rękę, stawiając pomiędzy poetą a sobą nieprzebytą zaporę. Wrażenie też wywołane tą wiadomością było piorunujące i przygnębiło go tem więcej, że osamotniony, z nikim nie był w stanie swej boleści podzielić. Dodajmy, że stosunek jego do Maryli pod bardzo wielu względami przypominał Werthera, że utwór ten stanowił wprzód ulubioną lekturę poety, a zrozumiemy, jaki jego myśli mogły przybrać kierunek. W tem położeniu bez wyjścia, samobójstwo nasuwało mu się jako jedyny środek zakończenia sercowego dramatu. Jeżeli się nie targnął na własne życie, to przypisać należy głęboko wpojonym weń zasadom religijnym. Cios wszakże był za silny, by przemiął bez śladu.

Tylko, gdy innemu możeby złamał skrzydła na zawsze, dla niego stał się bodźcem do ich rozwinięcia i wzlotu w tak idealne krainy piękna, do jakich się nie wzniosł u nas żaden jeszcze poeta. Odskok też pomiędzy utworami, powstałymi przed wyjściem zamąż Maryli, a utworami chwili obecnej, widoczny. W pierwszych, utrzymywanych w charakterze przedmiotowym, panuje myśl swobodna, niekiedy żartobliwa. Drugie, obok wielkiego mistrzostwa w wersyfikacji, są albo czułościowo-sentymentalne, albo odznaczają się kolorytem poępnym, przybierającym, jak np. w *Żeglarsu* odciśnięcie ponurego tragizmu. Wiadomo, iż utworem tym odpowiedział poeta Filomatom na zarzuty, iż do siebie myśl samobójstwa dopuścił.

Tak więc w bólach serca zranionego głęboko, rósł i potężniał gieniusz poety. Ale zajęcia szkolne, ściągaly wciąż jego umysł z wyżyn poezji do gramatycznych subtelności i drobiazgów, by niemi, jak się wyraził, polerować «twarde łby żmudzkie.» To też wyrwać się z tak ciasnych warunków, było gwałtowną jego ducha potrzebą.

Tymczasem w Wilnie, po zorganizowaniu związku Filaretów, Zan utworzył nowy: *Promienistych*, których działalność polegała na wspieraniu uboższej młodzieży, oraz przyjmowaniu udziału we wspólnych majówkach, na których Filomaci najłatwiej poznawali charakter i skłonności każdego. Taką właśnie majówkę miano wyprawić w miejscowości Markucie, w drugi dzień Zielonych Świątek i na nią zaproszono Mickiewicza. Chciano na niej wręczyć pierścień pamiątkowy Zanowi, noszącemu teraz przydomek *Arcy*, i tego miał dokonać poeta. Wręczenie miało charakter nader serdeczny; poczem bawiono się ochoczo. Nikt tylko nie przeczuwał, że to miała być ostatnia filarecka majówka. Na niej Mickiewicz poznał Odyńca, z którym go łączyć miał kilkunastoletni stosunek. Ogólne zaś wrażenie, jakie z niej wyniósł, było tak silne, iż wtedy to, prawdopodobnie napisał *Ode do młodości*, natchniony zespoleniem serc tylu, ożywionych jednym uczuciem — braterstwa.

Ale też po tej wycieczce tem ciężiej w Kownie płynęło mu życie. Ratowały go tylko pozamiejskie spacery, z nadejściem zaś wakacyj dalsze wycieczki do Połagi i Nowogródka, gdzie „nawiedził dom nieboszczki matki,» przerażony tym stanem zniszczenia, jakie w Dziadach później opisał. Stąd dotarł do Płuzyn i nad brzegiem Świtezi napisał

w d. 12 sierpnia jedną z najpiękniejszych i pod względem architektonicznym najlepiej ułożoną balladę — *Świteziankę*.

Tymczasem z nadejściem jesieni w położeniu poety nastąpiła odmiana. Podanie, jakby na próbę na ręce rektora Malewskiego, złożone, zrobiło swoje. Kurator nadesłał mu żądany urlop roczny i poeta pośpieszył do Wilna, gdzie trafił na chwilę najwyższego ożywienia pośród młodzieży. Lelewel, który w r. 1819 ustąpił z zajmowanej katedry, nie mogąc się doczekać zatwierdzenia na niej w stopniu profesora zwyczajnego; teraz powracał na nią w tym charakterze wskutek napisanej i przyjętej konkursowej rozprawy i właśnie z początkiem nowego roku 1822 miał swe wykłady rozpocząć. Otóż młodzież zamierzyła nietylko zgromadzić się tłumnie na jego wstępną prelekcję, ale i uczcić go objawem pełnym znaczenia. Wybrała więc Mickiewicza na tłumacza swych uczuć, a ten napisał ów sławny wiersz: «Do Lelewela,» w którym z głęboką znajomością dziejów, skreślił zadanie historyka i podniósł te wysokie zalety, które ulubieńca młodzieży, jako uczonego zdobiły. Wiersz ten staraniem jej wydany, nabył szerokiego rozgłosu, i zjednał Mickiewiczowi tem większe względy «koronnego historyka,» że się nim mógł słusznie, jako swym uczniem pochlubić.

Pod wpływem też dawnego otoczenia, zwołana w usposobieniu poety zaczęła się dokonywać odmiana na lepsze. W Kownie był niemal odludkiem; obecnie, zachęcony przez Odyńca, zaczął do kilku domów uczęszczać.

Przecież nietylko stosunki towarzyskie zajmowały go w tym czasie. Pojawiające się od r. 1820 przekłady poematów Byrona, lubo dalekie od wernego odtworzenia piękności oryginału, zachęciły go do bezpośredniego ich poznania i rozpoczęcia nauki języka angielskiego. Prócz tego, dla wydawcy dzieł Trembeckiego, Neumana, dorabiał komentarze do *Zofiówki* i obmyślał wydanie własnych utworów. To wszakże nie było łatwem. Na próżno Czeczot obchodził księgarzy, aby znaleźć między nimi nakładcę: żaden nie chciał się zająć ich wydaniem. Nie pozostawało, jak prenumeratę ogłosić.

Nim jednak tomik pierwszy wyszedł z pod prasy, przybył do Wilna Puttkamer z Marylą, co stało się dla poety źródłem nowych udręczeń. Miał ujrzyć tę, którą uważał za umarłą dla siebie,

tymczasem nie mógł widzenia się z nią odmówić, gdyż Maryla z wiedzą męża podtrzymywała dawny stosunek, dowiadując się listownie już to o jego zdrowiu, już zasięgając zdania, co do różnych przez nią czytanych książek. Tymczasem z relacji Zana, który ją w Bolciennikach odwiedzał, poeta miał jak najdokładniejsze wiadomości o jej pożyciu z Wawrzyńcem. Maryla, uważając się za ofiarę, trzymała się zdala od niego, ubierała czarno na znak żałoby serca, układała w ogrodzie z kamyków różne emblematy, odpowiadające obecnemu stanowi jej duszy, co wszystko miało oznaczać, że pomimo ślubu z narzucenym jej Lorenцем, duszą do poety należy. Wobec takiego zachowania się Maryli, stosunek do niej i Puttkamera stał się dla poety nader drażliwym. Jako człowiek uczciwy nie chciał pogłębiać przepaści, dzielącej młodych małżonków; tymczasem wzywany, nie śmiał jej odmową na upokorzenie narażać. Nigdy też nie odwiedzał jej, jak w towarzystwie Zana i Czczota.

Tak pełne delikatności postępowanie zjednało poecie wysoki ze strony Puttkamera szacunek. I on również w tej sprawie zostaje bez zarzutu i nietylko z wyrozumiałością znosi obojętność Maryli i w niczem nie krępuje jej woli, ale darząc Mickiewicza swem zaufaniem, podejmuje go w swym domu i w gościnę do Bolciennik zaprasza. Być może, iż tym sposobem chciał zapobiedz plotkom, które kosztem wszystkich trojga obiegały okolicę. Poeta istotnie odwiedził Puttkamerów w ich rezydencji w Zielone Świątki, lecz i tym razem w towarzystwie kolegi, Piaseckiego.

Nareszcie pierwszy tomik poezyj z końcem maja 1822 r. opuścił prasę. Krytyka jednak przeciw nim nie od razu ostrze swoje zwróciła. Owszem pokup na nie, oraz skwapliwość, z jaką pisma warszawskie przedrukowywały pojedyncze ballady, dowodzi, jak żywe zajęcie budziły. Tylko wśród starszych arystochów panowało rozgoryczenie. Szczególniej Jan Śniadecki uczuł się *Romantycznością* osobiście w Starcu dotkniętym i na zebraniu w domu pp. Becu, gdzie się i poeta znajdował, zaczął rzucać na niego gromy, jako na kającego smak i zarozumiałego młodzieńca, udając, jakoby nie wiedział, że ten znajduje się w salonie. Nadomiar zniewagi profesor Becu zamiast powstrzymać ów wylew żółci starca przeciw jednemu z swych gości, zaczął jeszcze poddawać Śnia-

deckiemu coraz to dowcipniejsze nad romantyzmem uwagi. Mickiewicz pokrył milczeniem urazę, ale chwila ta odbija się później w *Dziadach*. Powrócił też do Kowna z przyznanym sobie, po złożeniu wymaganej rozprawy, stopniem magistra, lecz trawiony smutkiem nawianym w duszę, wskutek widzenia się z Marylą, co wszystko odbiło się w chorobie piersiowej, która zaczęła groźne symptomy przybierać. W tym stanie prawdziwą opatrnością stali się dla niego państwo Kowalscy. On był doktorem medycyny, więc gorliwie zajął się leczeniem ciała poety; ona niewiastą niepowzedniego serca, więc zapragnęła jego duszę uleczyć. Znalazł też w niej opiekę i przyjaźń prawdziwie siostrzaną, której dowody każdodziennie w świadczonych mu przysługach odbierał.

Nic więc dziwnego, że pod gościnnym dachem obojga odzyskiwał dawny humor chwilowo. W gruncie jednak był rozstrojony i smutny. Do tego przyczyniało się samo tworzenie *Dziadów*, w których zawarł dzieje swojej miłości. Co prawda, gdyby ją miał jedynie na celu, utwór ten jeszczeby nie posiadał tak doniosłego znaczenia. Lecz właśnie gienialność polega na tem, że umie łączyć w doskonałą całość czysto-osobiste uczucia z treścią wyższą, ogólną. Treścią tą zaś w *Dziadach* są wierzenia ludu w najobszerniejszym znaczeniu. Całość dzieła poety na cztery części zakreslił. Obecnie jedynie II i IV miały się w druku ukazać. Bez poznania wszakże części I, nie wiedzielibyśmy dlaczego bohater nosi imię Gustawa. Tymczasem monolog Dziewczyny w scenie I wtajemnicza nas w intencje poety. Ona tylko co przeczytała romans pani Krüdener: *Walerya* i, monologując: «Waleryo! Gustawie! anielski Gustawie!» skarży się, że tak pięknej duszy nie spotkała na swojej drodze, że ją otaczają same poziome istoty. Dziewczyna uosabia Marylę; więc i poeta daje swemu bohaterowi imię Gustaw, gdyż sam żywił dla niej równie głębokie, jak Linar dla Waleryi uczucia. Dziewczyna ta wystąpi w Części II jako *Pasterka w żałobie*.

Przecież *Dziady* w tej części niczem na początku nie zapowiadają miłosnego dramatu; przeczuwamy go tylko, czytając *Upiora*—tę uwerturę pełną posępnych barw i ponurego nastroju. On zjawi się dopiero pod koniec obchodu *Dziadów* Tymczasem z rozpoczęciem ich Guślarz, stosując się do natury wzywanych duchów, różnych za-

klęć używa, a w tem kolejnem ich występowaniu poeta po mistrzowsku posługuje się prawem kontrastów. Więc naprzód urocze postaci dwójga dzieci-aniołków, następnie potępieniec, któremu chór ptaków drapieżnych broni dostępu do wnętrza kaplicy. On, niegdyś pan tej wioski, skazany jest na straszne męczarnie głodu, gdyż innych morzył i katował za życia. Ale owe kruki, pułhacze, sowy wydzierają mu z gardła każdą okruszynę chleba, podaną z litości. Są to jego słudzy i poddani, którzy teraz mszczą się za swe krzywdy i mścić się będą przez wieczność całą.

Poeta do tego stopnia przejął się duchem ludu, że nie zapomina o najcharakterystyczniejszym z jego rysów, mianowicie o zakorzenionych w nim instynktach komunistycznych. Oto opowiada Kruk, iż raz wszedł do ogrodu pana zgłodniały i kilka jabłek oberwał; ten zaś kazał go tak srodcie oćwiczyć, że mu aż ciało odpadało od kości. *I o co chodziło? O owoce z lasu, które na wspólną wygodę Bóg dał, jak ogień i wodę.*

Jeszcze cięższe zarzuty robi potępieńcowi Sowa. Ona, owdowiawszy za życia, przyszła w wigilią Bożego Narodzenia do dworu, błagając o wsparcie dla dzieci i matki chorej, których wyżywić nie mogła. Lecz pan, biesiadując z gośćmi, kazał ją hajdukowi wypędzić z dziedzińca. Wskutek też głodu i zimna, nie doszedłszy do chaty, skostniała w śniegu wraz z dziećmi.

Dlaczego jednak ten lud poeta pod postacią ptactwa drapieżnego wprowadził? Wynika to z oparcia się na pojęciu ludowem metempsychozy, której ślady odnajdujemy w pieśniach i baśniach.

I znowu, po ustąpieniu widma potępieńcy, zjawia się na zaklęcie Guślarza młoda dziewczyna, której rysy i postać przypominają Boga-Rodzicę z *Hymnu na Zwiastowanie*. Czemże jednak zawiła ta urocza istota? Oto, że nad przyszłe obowiązki żony i matki, przenosząc płochę, choć niewinne rozrywki, nie spełniła na ziemi przeznaczenia kobiety. W przeciwieństwie jednak do potępieńcy, który odchodzi bez żadnej pociechy, Guślarz nieszczęśliwej odsłania przyszłość, że za dwa lata skończy się jej pokuta.

Ponieważ północ minęła, przeto zdawałoby się, że uroczystość Dziadów skończona. Tymczasem

z pod zapadłej podłogi blade widmo powstało i z piersią przebitą przed Pasterką, siedzącą na mogile, stanęło. Ten upiór — to Gustaw, który w części IV główną rolę odegra.

Ktokolwiek poraz pierwszy czyta dzieje Gustawa, ten z trudnością tylko polapać się może z przebiegiem początkowej akcji między Księdzem, Dziećmi i Pustelnikiem, który napół nieprzytomny, w dziwacznym «jak strach ubiorze», z gałęzią jedliny, którą przyjacielem nazywa, i ze słowami, na pozór nie mającemi związku, posiada wszystkie cechy człowieka z obłąkanym umysłem, gdy później, jako Gustaw, choć wpada w ton patetyczny, przemawia jednak rozsądnie. Czyżby poeta nadał mu ten charakter dla osiągnięcia większego tylko efektu? Bynajmniej. Charakter to obmyślany głęboko. Należy tylko pamiętać, że Dziady zrodziła myśl samobójstwa. Przerażony wszakże jej następstwami, poeta zrozumiał, że już sam zamiar był grzechem, za który należało odbyć pokutę i zadośćuczynieniem jej dopełnić; że zresztą nikt, mający świadomość wysokich przeznaczeń człowieka, nie podnosi ręki na siebie. To też zapewne już w pierwszej części poeta miał zamiar przedstawić Gustawa, jako obłąkanego w skutek zawiedzionej miłości i wypadkiem samobójstwa ją zakończyć. Lecz jak wiemy, tej części I nie rozwinął. W drugiej jest on już upiorem, przybyłym z tamtego świata na ziemię, by odbyć za swą zbrodnię pokutę, ale poeta z wielkim taktem pozostawia go przy rozstrojonym umyśle, któremu tylko wtedy powracają *lucida intervalla*, gdy jest zajęty dziejami swej miłości.

Myśl wreszcie zasadniczą utworu wypowiada poeta w scenie, gdy Gustaw wobec księdza po trzykroć topi w swej piersi żelazo, mówiąc za pierwszym razem, że to godzina *kary*, za drugim *pokuty*, za trzecim *przestrogi*, którą chciał dla innych zostawić. Mickiewicz głęboko pojmował karę i ekspiacyę za grzechy: rozumiał, iż niema straszniejszej męki dla potępieńcy, jak przypomnienie zbrodni, która go na wieki oddaliła od Boga. To też Gustaw przechodzi przez tę męczarnię, ale, że samobójstwa dopuścił się w nienormalnym stanie umysłu, przeto wierzy, iż winę swą przez pokutę zmaże i że za śladem lubego anioła, jako cień błędny, wkradnie się do nieba.

Jeżeli jednak co dowodzi genialności poety, to napisanie bezpośrednio po *Dziadach* poematu

Grażyna. O ile pierwszy z tych utworów jest wybuchem wulkanicznego uczucia, o tyle drugi owocem spokojnego, artystycznego rozmysłu. Poeta nazwał Grażynę powieścią litewską, choć mógł ją był nazwać i historyczną w tem znaczeniu, jak ją Walter-Scott pojmował. Zachodzi tylko pytanie, co w niej stanowi żywioł dziejowy? Rozumie się nie osoby działające, gdyż te wymyślił poeta. Jakoż, bohaterka miała pierwotnie nościć imię: Karyna; Litawora w rękopiśmie zastępował Korybut, rzeczywisty książę Nowogródzki, ale który miał zatarg z Kiejstutem, nie Witoldem; nazwę zaś Rymwid wziął poeta z przydomku, który służył jednej gałęzi Mickiewiczów. Tak w tabeli funduszów edukacyjnych, ułożonej po zniesieniu Jezuitów, spotykamy się z nazwiskiem Leona *Rymwida* Mickiewicza, starosty rudnickiego. Wobec tego, cóż właściwie historycznego w tej powieści zostanie? Oto stosunek lenny do W. książęcia, ogólne tło religijno-społeczne i wiązanie się księcia-Litwina przeciw swoim z krzyżactwem. Zwykle W. książęta podejrzliwie na wzrost potęgi książąt lennych patrzali i, gdy się dla nich ci okazywali niebezpiecznymi, usuwali ich zdradą. Nic przeto dziwnego, że gdy Witold każe Litaworowi przybyć do Lidy, która mu przypada posagiem za żoną, by go wwziąć w jej posiadanie, jako swego lennika; ten, wietrząc w tem zdradę, łączy się przeciw niemu z Zakonem. Zaślepiony nienawiścią ku Witoldowi, który go swą wielkością zaćmiewa, głuchy na zdrowe rady Rymwida, oraz łzy żony, która go pragnie odwieść od czynu, mogącego ściągnąć nań hańbę, robi wrażenie rozhukanego żywiołu. To też nic naturalniejszego, iż Grażyna przez miłość ku niemu i dla ocalenia jego czci pragnie go własnem poświęceniem na tej niebezpiecznej drodze powstrzymać. Ale wbrew jego zamysłom, odprawiając z niczem posłów krzyżackich i stając przeciw rajtarom i knechtom Zakonu w mężowskiej zbroi na czele hufców litewskich, podejmuje zadanie przewyższające jej siły i ginie, ponosząc karę za przekroczenie granicy, jaką jej płeć zakreśliła w działaniu. W każdym razie osnowa poematu nader prosta. Poeta wszakże, idąc za przykładem Walter-Scotta, który swych bohaterów lubił otaczać urokiem tajemniczości, rozmyślnie rzecz całą zagmatwał tak, że aż w końcu potrzebował dodać epilog, by przez usta giermka, świadomego wszyst-

kich zawikłań, wyjaśnić to, czego z treści poematu należało się domyślić. Bez tego jednak zawiązania, nie mógłby się być pojawić w stanowczej chwili Rycerz czarny, który ostatecznie los walki rozstrzyga na stronę Litwinów. Jest to efekt nieco teatralny, gdyż Litawor, śpieszący na pomoc żonie, nie mógł myśleć o dobieraniu konia, hełmu, zbroi i płaszcza w jednostajnym kolorze. Tego nie usprawiedliwia nawet przypadek.

Bez względu na to, Grażyna jest jednym z najpiękniejszych i najartystyczniej obmyślanych utworów poety. Przedewszystkiem forma jej, wzorowana na przekładzie *Jerozolimy Wyzarolonej*, dokonany przez Piotra Kochanowskiego, stanowić miała dowód, że poeta nietylko romantyzmowi hołdował, lecz że uznawał i kierunek klasyczny. To też rozsiał on w tym utworze hojną dłońią niezliczone piękności. Prześlicznym jest na samym wstępie obraz Nowogródzkiego zamku w oświetleniu pełni księżyca, oraz opis przybycia posłów krzyżackich; dramatyczną w całym znaczeniu rozmowa Litawowa z Rymwidem, wreszcie po mistrzowsku skreślony przebieg walki Litwinów z Krzyżakami, a już najplastyczniej odtworzona postać samej Grażyny, łączącej w sobie siłę męskiego ducha z niewieściami powabami ciała. Jest ona istotnie imponująca, wspaniała. Powiadają, że prototypem jej była dla poety p. Kowalska.

Oba powyższe utwory, wyszły z druku na początku 1823 roku, Mickiewicz osobiście doręczył bawiącej w Wilnie Maryli.

Tymczasem, wróciwszy do Kowna, oczekiwał ze strony krytyków potępienia lub uznania dla siebie. Niestety! o ile młodzież zachwyciała się jego utworami, o tyle powagi literackie pragnęły je zabić pogardliwym milczeniem. Jedyny głos wyszedł z Warszawy, a podniósł go Franciszek Grzymała w redagowanej przez siebie *Astrei*. Inni milczą, nawet Brodziński. Natomiast wśród literatów, jacy się w domu gener. Krasieńskiego zbierali, panowało przeciw Mickiewiczowi takiesamo uprzedzenie, jak wśród starszego pokolenia literatów wileńskich. Tu Kajetan Koźmian nazywał go poetą smorgońskim. Ludwik Osiński zaś, mówiąc o jego poezjach, nie wahał się w sposób wiadomy strawestować chór w Dziadach, a balladę. «To lubię» nazwać pieśnią dzia-

dowską, dla tego, że się kończy słowami: »Proszę za dusze w czyśćcu bolejące, zmówić trzy Zdrowaś Marya.»

Ale jeżeli sądy te mają dziś jedynie historyczne znaczenie, to przy zamknięciu pierwszego okresu działalności poety, należy zaznaczyć, w jakim zostaje do Brodzińskiego stosunku i dla czego ten nie jest za przedstawiciela romantyzmu uznany, kiedy nań pierwszy zadzwonił. Istotnie Brodziński w rozprawie: *O klasycyzmie i romantyczności* określił jak najdokładniej istotę jednego i drugiego kierunku i przyznając ostatniemu z nich uduchowione pierwiastki, stworzył dla poezji w nieskończoność sięgające widnokręgi. Nadto uświęcał w niej żywioł narodowy, jako warunek nieodłączny od istoty poezji. Ale wygłosiwszy te zasady w teorii, nie miał odwagi zastosować ich w praktyce. W poezji ograniczył się do odtwarzania czysto ziemskich stosunków, w *Wiestawie*, wprowadzając lud, zaznajomił nas jedynie z zewnętrzną stroną jego bytu. Z tego, co ten lud działa, mówi, poznajemy wprawdzie jego uczucia; ale jak się ukształtowały jego pojęcia o Bogu, świecie, o życiu przyszłym, to dla nas tajemnicą zostaje. Wogóle Brodziński, domagając się od poezji polskiej malowania jedynie uczuć sielskich, tkliwych, łagodnych, zakreślił dla niej nader szczupłe granice; co ważniejsza, zapomniał, iż tysiąc lat istnienia i wiekowe z germanizmem, Mongołami i Turcyą zapasy, wyświęciły Polaków na naród rycerski, dla którego nie mogły wystarczać sielanka, duma i dumka, gdyż umysłem daleko szersze widnokręgi ogarniał. To też tak zacięśnione stanowisko postawiło Brodzińskiego z samym sobą w sprzeczności. Przepojony w dzieciństwie pieśniami i baśniami ludu, nie umiał z nich zrobić właściwego użytku i w swych utworach ani razu nie potrafił o tak zwane przesady i wierzenia, z obawy, by nie razić niemi umysłów oświeconych filozofią XVIII stulecia. Słowem, on, który pierwszy istotę romantyzmu określił, w gruncie rzeczy pozostał klasykiem.

Otóż Mickiewicz jest jego odwrotnością pod wszystkimi tymi względami. W balladach nie tylko obrabia podania, wzięte żywcem z ust ludu, ale nadto wypełnia je szczegółami, które z jego wiarą i przesadami jak najściślej się wiążą. W *Dziadach* jeszcze w wyższym stopniu posługuje się niemi, a wprowadzając do nich widma i Gustawa-

upiora, łączy świat doczesny z wiekiistością, rzuca rękawicę filozofii XVIII w., która jedynie świadectwu zmysłów wierzyła. Wreszcie w *Grażynie*, na zamierzchłą przeszłość daleką perspektywę odsłania. To też on jeden tylko rozwiązuje u nas kwestyę romantyzmu w sposób wyczerpujący, a odmienny od romantyków angielskich, niemieckich i francuskich. Gdy Niemcy zatapiają się w wiekach średnich, gdy Francuzi przestarzałe formy pseudo-klasycyzmu druzgocą, on snuje poezję z ducha i potrzeb własnego narodu i swe pomysły ujmuje w formy tak plastyczne, jakby je wykuwał z granitu. To też Brodziński, z postępem czasu, tracił swój wpływ na młodsze pokolenie, on ujawniał coraz wyższą geniuszu potęgę.

Poeta opuścił na zawsze Wilno 24 października 1824 r. i w stolicy Rosyi, z ust ministra, oświaty, Szyszkowa, powziął wiadomość, iż wraz z dwoma towarzyszami przeznaczony został do Odessy, gdzie w Liceum Richelieugo wszyscy mieli otrzymać nauczycielskie posady.

Za przybyciem jednak na miejsce, czekało poetę rozczarowanie. W Liceum wszystkie posady były zajęte. Ówczesny jednak kurator, Witte, okazał się nader względny dla niego: wyznaczył mu bowiem mieszkanie w gmachu licealnym, stół wspólny z innymi profesorami, nie obowiązując do żadnego zajęcia. Nadto, zaprosił go raz na zawsze do swego domu i zaznajomił z rodzinami polskimi, przebywającymi w Odessie. Składali je: Hermanowie Sobańscy, Bonawenturowie Zalescy, Aleksandrowie Potoccy, oraz Henryk Rzewuski, brat Sobańskiej, który później, jako twórca romansu historycznego zasłynął. Wśród tych osób najczęściej okazywała mu zajęcia Karolina Sobańska. Do niej to odnoszą się wszystkie pieśni, sonety i elegie, oznaczone literami: D. D.

Pobyt poety w Odessie, do połowy listopada się przeciągnął, i upamiętnił jego podróżą do Krymu.

Owocem jej były sławne Sonety Krymskie.

Przybywszy do Moskwy, poeta pragnął umieścić się przy Archiwum spraw zagranicznych, ale otrzymał odmowną odpowiedź. Natomiast dano mu posadę w kancelaryi generał-gubernatora, którym był naówczas ks. Golicyn. Tu znalazł kilku kolegów, pomiędzy innymi Onufrego Pietraszkiewicza, lecz wogóle trzymał się na uboczu, przez

dziewięć miesięcy, nieznany w szerszym świecie nikomu. Na ten czas przypada też wykończenie i ogłoszenie drukiem Sonetów (1826 r.)

Ale krytyka nie była i na nie łaskawa. To nic, że taki Fr. Sal. Dmochowski, wytyka mu w nich użycie wyrazów: namaz, minaret, Allah; ważniejsza, że Brodziński, który o jego utworach zachowywał dotąd milczenie, o Sonetach odezwał się z przekąsem. Jakoż w artykule: *O recenzentach i estetykach*, powstając na poetów, każących język, między innymi powiada: «Trzebaż jeszcze, ażeby w każdym poecie, tak, jak w Sonetach Mickiewicza, więcej było wyobrażeń, jak rymów (sic!), więcej uczuć, jak słów.» I w końcu, jako przykład niejasności, przytacza zakończenie sonetu XV:

Tam — widziałem, com widział, opowiem po śmierci,
Bo w języku żyjących niema na to głosu.

(art. *O recenzentach i estetykach*)

Poeta, wyczytawszy to, cofnął egzemplarz, który miał posłać Brodzińskiemu od siebie; za doznaną zaś chwilę goryczy, zapłacił mu wprowadzeniem go jako Literata w «Dziadach.»

Natomiast ze strony obcych spotkało go najniespodzianie uznanie. Do Moskwy przybył z Warszawy jakiś oficer sztabowy, który znał literaturę polską, cenił Mickiewicza i wiedząc o jego tu pobycie, zachęcił braci Polewowych, wydawców i redaktorów Telegrafu Moskiewskiego, do zawiązania z nim stosunków. Jakoż ci wprowadzili go w koło literatów, do którego należeli: Puszkina, Dimitryewa ks. Wiaziemski i inni. Przez tego ostatniego poeta wszedł w stosunki z ks. Zeneidą Wołkońską, która przez długie lata dawała mu dowody swej życzliwości i przyjaźni. Do niej to w Moskwie wiersz: *Na pokój grecki* napisał.

Wśród tych stosunków poeta obmyślał nowy poemat, o którego treści nie zwierzał się nawet przed najbliższymi z przyjaciół. Utworem tym był Konrad Wallenrod. W wykonaniu wszakże tego nowego pomysłu, poeta niemałe znalazł trudności. Do Grażyny miał źródła historyczne pod ręką, w Moskwie mu na nich zbywało. Stąd koloryt epoki w nim chybiony. Również pod względem architektoniki, utwór zadawałać nie może. Wynikło to stąd, że poeta, zabierając się do pisania, inny plan początkowo sobie nakreślił, a według innego poematu swój wykończył. Naprzód miał on być w całości napisany hegzametrem i to, co później

✧ nazwał *Powieścią Wajdeloty* stanowić miało jego początek. Ustęp zaś zatytułowany *Pieśń Wajdeloty* miał tworzyć wstęp, wypowiedziany od samego poety. Opatrzył się jednak rychło, że wstęp taki byłby za nadto jaskrawy. Zastąpił go przeto innym, w którym po mistrzowsku scharakteryzował stosunek Litwy do Zakonu, wreszcie dodał Obiór w. Mistrza, Uczę i dopiero po nich pomieścił to, co miało rozpoczynać poemat. Tym sposobem *Pieśń* i *Powieść Wajdeloty* znalazły się we środku. Również opis wojny, która złamała potęgę Zakonu, poeta nakreślił tylko szkicowo, wystawiając jedynie skutki walki, bez dania nam jej obrazu. To też to, co w poemacie widzimy, przypomina raczej odwrót armii Napoleona, po pogromie 1812 roku, niż wojnę Litwy z Zakonem. Najbardziej zaś rażącym anachronizmem w poemacie są sceny pomiędzy Wallenrodem i Aldoną. Ona przypomina Marylę, Wallenrod samego poetę, a to przeniesienie uczuć i stosunków własnych w sytuację osób, należących do końca XIV stulecia, tem bardziej zaciera starożytny charakter poematu, że i sam Konrad nosi piętno bohaterów byrońskich. Bez względu wszakże na anachronizmy, utwór ten jest arcydziełem wszechświatowej poezji. Szczególniej Wstęp, *Pieśń z Wieży*, *Pieśń Wajdeloty*, *Trybunał tajemny*, a przede wszystkim sama *Powieść*, są to klejnoty najczystszej wody, które mogłaby się każda literatura pochwalić. Nawet rozmowa Konrada z Pustelnicą i *Pożegnanie*, wzięte niezależnie od epoki, do której się odnoszą, obfitują w niepospolite piękności.

Wallenrod był już w końcu r. 1827 przygotowany do druku i poeta zamierzył go oddać do cenzury w Petersburgu, a wydać w Warszawie. Tymczasem wyjazd z generał-gubernatorem do stolicy, oba te zadania mu ułatwił. Pozwolenie cenzury już 9 grudnia uzyskał, niebawem i druk w oficynie Kraja rozpoczął. Tymczasem odnawiał dawne i zawiązywał nowe stosunki. Jakoż grono jego znajomych nad Newą powiększyli: Aleks. hr. Chodkiewicz, Leon hr. Sapieha, Wańkowicz, kamerjunker Dziekoński, Linowski, Aleks. Orłowski, Tad. Bułharyn, Postumiusz Prószyński, obok starych z Wilna znajomych, jak Mikołaj Malinowski, Adam Rogalski, Hajdatel i Sobolewski. Tu zadziwiał zdolnością improwizowania, szczególnie, gdy na uczcie wigilijnej, urządzonej w mieszkaniu Rogalskiego, wygłosił całą tragedję: *Samuel Zborow-*

ski, której pojedyncze sceny jednocześnie ołówkiem illustrował Orłowski.

Mickiewicz w orszaku ks. Galicyna, z początkiem lutego 1828 r., znów powrócił do Moskwy. Ale nie było mu danem pozostawać tu długo. Za staraniem osób wpływowych, otrzymał pozwolenie na stałe zamieszkanie nad Newą, z widokiem na pomieszczenie się w ministerium spraw zagranicznych.

Wkrótce też, bo w kwietniu na zawsze Moskwę opuścił, nie bez żalu jednak za tymi, którzy mu w ciągu dwuletniego pobytu dawali dowody życzliwego uznania, a i teraz w chwili odjazdu ciepłą żegnali go dłońmi. Jakoż literaci moskiewscy wyprawili dla niego ucztę i wręczyli mu puchar srebrny, z odpowiednim napisem.

Wróciwszy do Petersburga Mickiewicz, wszedł w te same stosunki, w których się obracał przed wyjazdem do Moskwy. Ale w głębi duszy trawił go smutek. Świetne nadzieje, jakie mu zrobiono, zawiodły. Żałował Moskwy, myślał nawet o podróży na Kaukaz. Tymczasem spotkała go niespodzianka. Naraz bowiem otrzymał wiadomość, aż o dwóch wydaniach swoich poezyj, przeznaczonych na jego korzyść. Na pierwsze, drukowane w Paryżu, pod kierunkiem Leonarda Chodźki, dała nakład hr. Ostrowska; drugiego dokonał w Poznaniu prof. Józef Muczkowski, drogą prenumeraty, z potrąceniem kosztów nakładu. O ile też poeta wdzięczny był ostatniemu za wyświadczoną mu koleżeńską przysługę, o tyle znalazł się w kłopotcie, gdy mu przesłano pieniądze za wszystkie egzemplarze paryskiego wydania. Wydanie to i pod innym względem zadowolić go nie mogło. Przedrukowano w nim bowiem utwory nie znajdujące się w dotychczasowych wydaniach, dokonanych pod jego okiem. Były to przekłady Byrona, ogłaszane w czasopismach bez jego wiedzy, a stąd w formie niewykończonej należycie, mającej wszystkie cechy pierwszego rzutu pióra tłomacza. Otóż, jakby dla ustalenia *kanonu* tekstu swoich utworów, poeta, pomimo dwóch jednocześnie dokonanych wydań, zamierzył zrobić jeszcze jedną edycję. Była ona, podobnie jak wileńska, dwutomowa, tylko powiększona dodaniem Sonetów, Konrada Wallenroda, oraz utworów powstałych pomiędzy rokiem 1824 a 1829. Do nich należały: Sen, Ciemność, Pożegnanie Childe Harolda, Popas w Upicie, Elegie i Wiersze do D. D., Can-

zonetta z Petrarki, przełożona pod Moskwą w Ostafiewie, majątku książąt Wiaziemskich, oraz powstałe w Petersburgu; ballady: Trzech Budrysów i Czaty, kassyda Farys, w której odmalował tę samą potęgę woli, pokonywającą rozhukane żywioły natury, jaką w Odzie do młodości, w pokonywaniu trudnych zadań życia ujawnił, oraz dwa orientalne utwory: Szanfary i Almotenabbi.

Ale edycja petersburska z r. 1829 jeszcze z innego względu zasługuje na uwagę.

Mickiewicz czytywał pilnie krytyki, dochodzące go z Warszawy i nieraz wzruszał ramionami, spotykając w nich sądy, wykazujące najzupełniejszą nieznajomość literatur obcych, oraz potrzeb umysłowych własnego narodu i pod tym względem musiał przyznawać wyższość literatom rosyjskim. Nadto z listów Odyńca, który bywał na obiadach u gen. Krasińskiego, mógł się dowiedzieć, że Koźmian Aldonę nazywał pomywaczką litewską, a Konrada Wallenroda pijakiem; ale wszystko to poeta przyjmował z uśmiechem politowania i swemu korespondentowi zalecał, by w sporach z klasykami zachowywał jak największe umiarkowanie. W końcu jednak przekonał się, że nie tylko klasycy lecz i rzekomi obrońcy romantyzmu obalamucają umysły. Dopóki jednak zdawało się, że Malinowski uzyska pozwolenie na wydawnictwo pisma, poświęconego krytyce, nie kwapił się z wypowiedzeniem swego *Quos ego*. Gdy jednak stracił co do tego nadzieję, zaciął ostro swe pióro, by się zarówno z klasykami, jak i pseudo-romantykami rozprawić. Tak powstała przemowa: *Do czytelnika o krytykach i recenzentach*, która krytyków warszawskich, niewiedzących, co odpowiedzieć na jego cięte zarzuty, w straszne zamieszanie wprowadziła. Miała zaś ten dobry skutek, że poruszyła umysły i wywołała jednego z największych u nas krytyków, bo Maurycego Mochackiego, który swym dziełem: *Literatura Polska XIX w.* rozstrzelone pojęcia o istocie i zadaniu poezji do jednego mianownika sprowadził.

Obok prac literackich, wypełniały teraz poecie czas zajęcia w Kollegium spraw zagranicznych, w którym na początku r. 1829 jakiś urząd otrzymał i zwiększone wskutek tego towarzyskie stosunki. W najbliższej zażyłości pozostawał z Puszkinem, ale najmilej czas przepędzał w domu Maryi Szymanowskiej, pianistki nadwornej, z którą jeszcze w Moskwie, jako z koncertantką, zabrał

znajomość. Miała ona dwie córki: starszą Helenę i młodszą 13-letnią Celinę. Nikt wówczas nie przeczuwał, iż ta Celinka kiedyś żoną jego zostanie.

Teraz, zebrawszy fundusz z wydawnictw, Mickiewicz zapragnął urzeczywistnić dawne swoje marzenia i zażądał paszportu za granicę, który otrzymał z pochlebnym dodatkiem: *celibre poète polonais*. Czekał tylko na przybycie z Wilna Odyńca, mającego mu towarzyszyć w podróży. Przyjaciele bowiem poety, znając jego niezaradność, lękali się, by, puszczając się sam za granicę, nie stał się ofiarą wyzysku, lub nie zgubił całego podróznego zapasu. Odyniec przeto miał być jego aniołem stróżem. Ponieważ jednak wprzód musiał jakieś sprawy majątkowe załatwić, przeto dopiero w Karlsbadzie miał się z poetą połączyć.

Tymczasem ten, wypłynawszy z Kronsztadu 26 maja, dotarł przez Lubekę i Hamburg do Berlina, gdzie go powitało grono młodzieży polskiej, której czoło stanowili: Karol Libelt, Wojciech Cybulski i Stefan Garczyński. Stąd po całomiesięcznym niemal pobycie w pierwszych dniach lipca wyruszył do Drezna, poczem przez Pragę udał się do Karlsbadu, gdzie w dniu 10 sierpnia połączył się z Odyńcem. W Marienbadzie zetknął się z panią Becu, która mu poezye swego Julka do oceny oddała, stąd przez Egier, Franzensbad, Jenę dwaj poeci dotarli do Weimaru, uświęconego pobylem Goethego, u którego doznali bardzo uprzejmego przyjęcia. Tu zatrzymali się do 28 sierpnia, w którym całe Niemcy miały obchodzić 80-letnią rocznicę sędziwego poety. Na tę uroczystość, oprócz przedstawicieli miast, uniwersytetów i dworów niemieckich przybył Dawid d'Angers, znakomity rzeźbiarz, który tak pysznie wymodelował w płaskorzeźbie wizerunek naszego poety. Z Weimaru, w towarzystwie Dawida, Mickiewicz wraz z Odyńcem wyruszyli w dalszą podróż. Z Bonn odbyli przejażdżkę Renem. Echa skał Lurleyu nasunęły później Mickiewiczowi ustęp: *Granie na rogu Wojskiego*.

W Strasburgu poeci rozstali się z dotychczasowym towarzyszem podróży i przez Szwajcaryę, zmierzali do Włoch. Na wysokości Splügen Mickiewicz ułożył wiersz do Maryli, w Campo Dolcino po raz pierwszy stopę na ziemi Włoskiej postawił. W Medyolanie i Wenecyi, podróżnicy zatrzymali się dłużej; poczem wyruszyli do Rzymu, z zamiarem przepędzenia w nim zimy. Tu

przedstawili się ks. Gagarynowi, posłującemu przy Watykanie i za jego pośrednictwem weszli znowu w rozległe koło towarzyskich stosunków. W jego domu zabrali znajomość z rodziną Klustinów, przybyłą z Rosyi, a składającą się z matki, dorosłego syna Szymona i córki Anastazyi, panny wysoce wykształconej, dowcipnej, zostającej w stosunkach listownych i osobistych z wielu znakomitościami literackimi i artystycznymi, pozującej pod względem politycznym na osobę wielce liberalnych przekonań, a przede wszystkim pragnącej się bawić i podobać. Osobistość ta olśniła na czas jakiś poetę. W gościnnym domu posła, poznał także Thorwaldseną, Horacego Vernet'a i Camucciniego, oraz rodzinę hr. Ankwiczów, przybyłą z Galicyi, a złożoną z ojca, matki, córki Henryety-Ewy i towarzyszek jej panny Marceliny Łempickiej. Wobec wszelkie uroku, jaki nań wywierała p. Anastazyja, nie wiele zwracał uwagi na dwie młode rodaczki. Szczególniej 18-letnia Henryeta nie mogła z tamtą porównania wytrzymać. Wątpiła, nieśmiała, nie rzucała się w oczy. Starsza od niej Marcelina, żywiąca zamiar wstąpienia do klasztoru, tem mniej mogła zająć poetę. A jednak zapraszany na *via Mercede* z Odyńcem, gdzie Ankwiczowie mieszkali, zaczął z wolna pewien powab w towarzystwie Henryety znajdować. Ujmowała go przede wszystkim szczerść dziewiczej duszy, gołębiej niemal prostoty. Pomiędzy innemi zrobiła mu wyznanie, że się zawsze modli za niego, od chwili, gdy poznała jego poezye, że wyjazd jego na wschód, rzewnemi opłakiwała łzami, że wreszcie zawsze wyobrażała go sobie takim, jakim go w rzeczywistości po raz pierwszy ujrzała. Dla takiego znawcy serc niewieścich, jak Mickiewicz, nie trudno było znaczenie podobnych zeznań odgadnąć. Ta czysta, niewinna dusza, zwracała się ku niemu, jak kwiat do słońca, żądając ożywczych promieni. Nie dość na tem. Poety i w Rzymie nie interesowały dzieła sztuki w pierwszych chwilach pobytu. Gród Romula budził w nim jedynie pod względem historycznym zajęcie. Dopiero gdy z Ankwiczami zaczął zwiedzać muzea, galerie, zmysł odczuwania piękna plastycznego i w nim się pod wpływem Henryety przebudził. Bo ta panna, zakrawająca niby na trusiątko, w obec tych antyków stawiała się, jakby inną istotą. Ona, uczennica Viscontego, umiała o każdym z nich coś powiedzieć, w każdym właściwe mu piękno i cha-

rakter odnaleźć, słowem, w tym świecie bronzów i marmurów obracała się, jakby wśród swych sprzętów domowych. Więc co dziwnego, że i poeta na te rzeźby innemi zaczął patrzeć oczyma, skoro je wszystkie w blasku jej oczu oglądał? Ale on coś więcej jeszcze przeniknął. Zrozumiał, że pod tymi skromnymi pozory, Henryeta ukrywa skarby w swej duszy, ale które ocenić mogą tylko ci, którzy mają możność sięgnąć wzrokiem w jej głębie, a wtedy zestawienie jej z Anastazją, może i niekoniecznie na korzyść tej ostatniej przechylało szalę w umyśle poety. Że to nie próżny domysł, świadczy wiersz, zatytułowany: *Do mojego eicerone*, który jej wpisał do albumu. Ostatnie jednak wyrażenie: «Ty może zgadniesz i przyszłość pielgrzymy» wywołało niezadowolenie ze strony hr. Ankwicza. Nie zmieniło to na pozór dawnego stosunku poety do całego domu, ale było wskazówką, iż z podobnymi objawami należy mu być ostrożnym. Odtąd pomiędzy nim, a członkami rodziny wywiązał się dość dziwny stosunek. Matka, panna Marcelina, całem zachowaniem się i półsłówkami, zdawały się ośmielać poetę do otwartego starania się o rękę Henryety; ojciec zaś wysadzał się na grzeczności dla niego, a mimo to był zimnym i odpychającym. Mickiewicz coraz rzadziej uczęszczał na ulicę Mercede, a natomiast w innych towarzystwach przebywał. A koło jego znajomych było dość liczne w Rzymie. Bawiła tu bowiem ks. Zeneida Wolkońska, oraz wielu z rodaków, jak Wojciech Stattler z Krakowa, Ks. Parczewski, Strzelecki, ochmistrz ks. Aleksandra Czaratoryskiego i inni.

Święta wielkanocne znowu zbliżyły do Ankwiczów poetę, a więcej może śmierć ks. Parczewskiego, który w tym czasie zgaśł na chorobę piersiową. Była to piękna dusza, która na Mickiewicza wielki wpływ, pod względem religijnym wywarła.

W początkach maja Ankwiczowie opuścili Rzym, udając się do Paryża; z poetą jednak zegnali się tylko «do widzenia», gdyż na zimę mieli znowu do wiecznego miasta powrócić. Tymczasem Mickiewicz z Odyńcem pozostali na miejscu, mając zamiar dotrzeć do Neapolu i dalej. Tu Mickiewicz pod wpływem tęsknoty za Henryetą napisał ów cudny wiersz: »Znasz-li ten kraj?« parafrazując śpiew Mignony Goethego.

Po miesięcznym pobycie w Neapolu, zwie-

dzeniu Wezuwiusza i wycieczek Odyńca do Sy-cylii, dokąd nie chciał jechać Mickiewicz, dwaj poeci wrócili na czas krótki do Rzymu, by wziąć udział w obrzędzie ślubnym Stattlera z Klementyną Zerboni, poczem w d. 1 lipca wyruszyli do Szwajcaryi na Florencję, Genuę i Medyolan, tak, że dopiero w sierpniu, przeszedłszy Simplon, stanęli w Genewie. Tu pierwsza, mianem proroka, powitała Mickiewicza Anastazyja Klustin. Przepowiadał bowiem nieunikniony upadek Burbonów—i oto rewolucya lipcowa, wymiotła ich z Francyi. Na Mickiewicza wieść o lipcowych wypadkach wywarła niepokojące wrażenie. W Paryżu przebywali Ankwiczowie i myśl, że wśród zaburzeń ludowych mogli uleść jakiej przygodzie, przeraziła go, tysiączne w nim budząc obawy. I teraz dopiero zmierzył głębie uczucia swego dla Henryety.

Do osób przebywających w Genewie należał wtedy młody Zygmunt Krasiński, który z Mickiewiczem zabrał pierwszy znajomość. Sądząc z tego, co słyszał w Warszawie, był przekonany, że znajdzie w nim samochwalcę, zarozumialca, pomiatającego zasługami innych. Jakże się zdziwił, gdy ujrzał człowieka, odznaczającego się nietylko prostotą i skromnością, ale i wielkim rozumem. To też pierwszy list, jaki do ojca wyprawił, pełen był szczegółów o Mickiewiczu. Ten ich przyjazny stosunek jeszcze bardziej wzmocniła dwutygodniowa wycieczka na Rigi, Jungfrau i do Jezior Czterech Antonów, którą z Odyńcem i Jakubowskim, ochmistrem Zygmunta, odbyli. Ale właśnie gdy Mickiewicz z tej wycieczki powrócił, zastał już w Genewie Ankwiczów zdrowych i całych.

Z jesienią wszyscy z kółka poety, zaczęli się gotować do wyjazdu z Genewy. Do odlotu pierwszy dał hasło Odyniec, który po 10-miesięcznem towarzyszeniu poecie, miał do Paryża wyjechać. Po nim wyruszyli Ankwiczowie do Rzymu, za nimi dopiero podążył Mickiewicz i dogonił ich w Medyolanie. Ale tu pomiędzy małżonkami zająć miała gwałtowna scena, Ankwicz bowiem, widząc zajęcie się sobą dwojga młodych ludzi, zaczął robić wyrzuty żonie, iż dopuściła do tak poufalego stosunku i oświadczył, iż woli widzieć Henryetę na marach, niż żeby rękę jakiemuś poecie oddała. Czy Mickiewicz był powiadomiony w jakibądź sposób o tem, co zaszło, czy też wyrozumiał tylko z zachowania się względem niego Ankwiczów, że coś niedobrego się święci; dość, że on, co miał

zamiar towarzyszyć im w dalszej drodze, wyjechał wprzód z Medyolanu i, przybywszy do Rzymu przez długi czas trzymał się od nich zdaleka i dopiero na usilne zapraszania Ankwicza, wybrał się na via Mercede, by panie po podróży powitać. Odtąd jednak w stosunku do Henryety, zachowywał się niemal chłodno i coraz rzadziej bywając, widocznie dążył do zupełnego zerwania. Natomiast czytywał wiele, tak, iż Dante, Lamennais, Winkelman, Niebuhur nie wychodzili z jego ręki.

Zwolna Rzym zaczął się nowymi przybyszami' zapełniać. Oprócz ks. Wołkońskiej, zjawił się tu Stefan Garczyński, głównie dla Mickiewicza przybyły, wreszcie ks. Stanisław Chołoniewski i znany nam z Odessy hr. Henryk Rzewuski. Pierwszy z nich, późniejszy autor: *Śnu w Podhorcach i Dwu wieczorów u pani starościny Wolbromskiej*, był kapłanem wielkiej pobożności i niepospolitej nauki i na poetę wywierał wpływ wielce dodatni; drugi opowiadał mu różne historye z czasów konfederacji barskiej, które od swego dziada, kasztelana witebskiego, zasłyszał. Poeta zachwycony oryginalnością typów, udatną charakterystyką, takich postaci, jak ks. Radziwił «Panie Kochanku», jak pan Karol Ryś, Sawa i wielu innych, radził Rzewuskiemu, by te swoje wspomnienia spisał, zachowując im tę dosadność i barwność, jaką im w opowiadaniu nadawał. Rzewuski spełnił to życzenie poety, ogłaszając w r. 1838 w Paryżu: *Pamiętniki Soplicy*, które jak wiemy, sprawiły zupełny przewrót w romansie historycznym polskim, i na napisanie Pana Tadeusza wpłynęły.

W tym czasie też nastąpiła stanowcza zmiana pod względem religijnym w duszy poety. Przygotował grunt do niej w roku zeszłym ks. Parczewski, w obecnym Chołoniewski. Pod ich wpływem powstały wiersze: *Rozum i wiara*, *Rozmowa wieczorna*, *Arcy-Mistrz* i *Młdrecy*. Wreszcie poeta, nie mówiąc nic nikomu, w d. 2 lutego 1831 r., a więc w dziesiątą rocznicę ślubu Maryli, udał się do oddalonego za murami miasta kościołka, odbył spowiedź i przystąpił do Stołu Pańskiego. Jakież jednak było jego zdumienie, gdy, zaszedłszy wprost do Ankwiczów, usłyszał z ust Henryety, że minionej nocy, dwa razy widziała go w białej długiej szacie, piastującego białego baranka! Wtem podnieceniu, w jakim się obecnie znajdował, ów sen wydał mu się istotnie cudownym zdarzeniem i stał się przyszłego mistycyzmu zarodem. Miał on tak

że ważną rolę odegrać i w jego późniejszym do Towiańskiego stosunku.

Mickiewicz pozostawał w Rzymie do 19 kwietnia 1831 r. Po otrzymaniu, wypożyczonych Garczyńskiemu pieniędzy, natychmiast zaczął się do wyjazdu gotować. W przeddzień udał się do Ankwiczów na pożegnanie, ofiarował Henryecie tomik poezji Byrona i, wychodząc stąd z sercem rozdartem, temi słowy pożegnał ją na zawsze: «Niech cię Bóg chowa w swojej opiece!» Na drugi dzień był już w drodze do Paryża, następnie udał się w Poznańskie, skąd znowu po ośmiomiesięcznym pobycie, wyjechał w marcu 1832 r. do Drezna. Tu spotkał wielu ziomków, ale swe stosunki ograniczył do bardzo szczupłego grona. Należeli do niego: Klaudya z Działyńskich Potocka, Odyniec, Tomasz Olizarowski, Wincenty Pol, wreszcie Górecki i Domeyko. To wycofanie się z szerszych kół towarzyskich, wywarło wpływ wielce dodatni na twórczość poety. Czując na nowo pociąg do pracy, zajął się przekładem Giaura, który jeszcze w Wilnie rozpoczął, ale znów przerwał go na spowiedzi Kajlora, party wewnętrzną potrzebą wypowiedzenia idei, która domagała się przyobleczenia w ciało. Tak powstała *Dziadów* część III, nader luźnie z poprzedniami związana. Występują w niej dwa pierwiastki uosobione w Konradzie i ks. Piotrze. Konrad, to wcielenie genialnej potęgi słowa, a oraz opętania przez pychę. W nim poeta odmalował sam siebie i różne stany swej duszy. Wiadomo, że od czasu wyjazdu z Wilna, utracił dawną młodzieńczą wiarę, a jednocześnie, upojony potęgą swej twórczości, wzniósł się na takie wyżyny, na których przy braku pokory, łatwo dać dostęp uczuciu pychy. Wpływy jednak rzymskie nawróciły go do uczuć religijnych, szczerzych, głębokich — i oto, jak niegdyś za zamiar samobójstwa odbył w osobie Gustawa, w części IV pokutę, tak obecnie zamierzył dać zadośćuczynienie za uczucie pychy i przez pokorę podnieść się i oczyścić. Poemat rozpoczyna się prologiem, w którym z głową, opartą na oknie zasypia Gustaw, snem przerywanym dręczącymi widziadłymi. Bo nad jego głową wznosi się Anioł-Stróż, walcząc o jego duszę z szatanem. Tę walkę Gustaw odczuwa wewnętrznymi, ale w przebudzeniach nie

zdaje sobie jasno z niej sprawy. W poczuciu tylko potęgi swego geniuszu ma on świadomość swoich wielkich przeznaczeń, wobec których winien na wieki pogrześć swą miłość ku niewieście, jako czysto osobiste uczucie. I w tem to znaczeniu pisze sobie nagrobek, a jednocześnie zaznacza na ścianie urodzenie się w nim Konrada, pod którego imieniem występuje już w całym poemacie. W pierwszej scenie spotykamy się ze wszystkimi przyjaciółmi poety: Sobolewski, Frejend, Żegota, Suzin, Józef, Feliks, ks. Lwowicz i wielu innych występują tu ze wszystkimi cechami indywidualności. Wszyscy zajęci są ożywioną rozmową, tylko Konrad posepny, milczy. Dopiero, gdy Jankowski rozpoczyna pieśń bluźnierczą, w której używa imienia Maryi, on występuje z silnym protestem, oświadczając, że choć sam dawno wiarę utracił, nie pozwoli jednak nikomu bluźnić Boga-Rodzicy. Wreszcie śpiew Feliksa usposabia go do improwizowania. I zdaje mu się, że jest orłem, szybującym nad dziejami rodu ludzkiego i bystrą źrenicą dostrzegającym przyszłość narodów. Ale te rozległe, nieskończone widnokęgi nagle przesłania mu kruk czarny olbrzymimi skrzydłami i wzrokiem swoim mąci jego źrenice. Ten kruk — to pycha, rzucająca mrok na duszę Konrada. Tymczasem obecni rozchodzą się, a Konrad pod wrażeniem widzenia pada zemdlony; gdy zaś przyjdzie do siebie, wypowie dalszy ciąg swej myśli w improwizacji, *i zamknie nią cały okres romantyzmu nazawsze*. W niej, owo poczucie pychy występuje w całej potęgze. Pijany nią Konrad, znając się być mistrzem nad mistrze, depce wszystkich mędrców, proroków i czuje się tak wielkim, tak potężnym, że jedynie z Bogiem zrównać się może.

Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę,
Cóż, Ty, większego kiedy mogłeś zrobić Boże?

Jest to ta sama myśl, to samo poczucie tytanicznej siły, które zarodkowo tkwią w Odzie i Farysie, tylko posunięte do ostatecznych granic. Konrad czuje się nadto przedstawicielem milionów, bo żyje ich życiem i cierpi ich cierpieniem i teraz już nietylko z Bogiem się równa, ale wyzywa Go na uczucie do walki, domaga się rządu dusz, które chce uszczęśliwić, a kiedy nie odbiera odpowiedzi na swe wyzwanie, występuje z zarzutem, że On nie jest nieskończoną dobrocią, lecz tylko zimnym rozumem. Kończy wreszcie strasznym bluźnierstwem

i pada bezprzytomny na ziemię. A więc znowu uczucie, jakie niegdyś w Romantyczności buntuje, się przeciw rozumowi. Tylko, jakież tu odskok straszliwy! To też rozbija się o wyższą, wszechmocną potęgę i, jako jednostronność, doprowadzona do ostatnich granic, bankrutuje na uczuciu nazawsze. Jestto kulminacyjny punkt całego utworu.

Teraz ks. Piotr występuje na scenę — i tu poeta nie waha się wprowadzić na nią w duchu czyisto katolickim obrzędu egzorcyzmowania Szatana pychy, który opętał Konrada. Ów Szatan tak potężny i olbrzymi w improwizacji, teraz dziwnie się kurczy i maleje wobec modlitwy i świątobliwości kapłana. A jednak wyteża wszystkie siły, by go w swe sidła ułoić. Ale ks. Piotr, niezachwiany w swem posłannictwie, wypędza go z duszy Konrada i wtedy w myśl ewangelicznej paraboli o radości w niebie z powodu nawrócenia grzesznika, następuje najpiękniejsza scena, w której aniołowie i archanioł śpiewają w sąsiednim kościele hymny radosne. Poeta uznał swą pychę i łaskę bożą, wymodloną dla niego przez Henryetę-Ewę. Widzenie, jakie ma ona w dworku wiejskim pod Lwowem, to najwymowniejsze świadectwo niewinności jej duszy, co miewała sny tak czyste, tak pełne anielskiego uroku. Natomiast przez usta ks. Piotra poeta po raz pierwszy wypowiada swe idee mesyaniczne, a streszczają się one w mistycznej liczbie 44, której znaczenie nazawsze tajemnicą dla nas zostanie. Powstała ona zapewne w umyśle poety pod wpływem apokaliptycznej liczby 666, a mogła mu się nasunąć tak imperatywnie, że uwierzył, iż powstała w skutek wyższego z góry natchnienia.

Niepodobna przytaczać tu wszystkich scen, obmyślanych zawsze głęboko, odznaczających się świetną charakterystyką, humorem, lub obrazami rozzierającymi duszę do głębi. Powiemy tylko, że przy drugim spotkaniu Konrada, ks. Piotr rzuca mu jeszcze raz przepowiednię świetnej przyszłości i daje wskazówkę, po jakim znaku poznać ma wysłannika Pańskiego. «Będziesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie» — powiada, a kto cię pierwszy w Imię Boże powita, ten nosić będzie namię posłannictwa na czole.

Szczegół ten stał się dla Towiańskiego jednym z środków pozyskania dla swej doktryny poety. Nie możemy także pominąć ostatniej sceny, wiążącej tę część *Dziadów* z innemi. W niej znów, jak w części II, lud na cmentarzu w kaplicy obcho-

dzi święto umarłych. Około północy kobieta w żalobie, błaga Guślarza, by wywołał *tego*, «co przed laty wielu, zjawił się po jej weselu». Guślarz jednak choć używa całej zaklętej potęgi, wywołać go nie może. A więc wśród żywych być musi. I oto nagle w jasnowidzeniu, dostrzega go w czarnym płaszczu jadącego gdzieś daleko z innymi. Raz tylko rzucił okiem za siebie, jak gdyby chciał całą przeszłość ogarnąć i unieść ją w dalsze życie ze sobą. Powiada nadto, że pierś miał krwią zbroszoną, że w nim tkwiło mieczów tysiące, ale obok tego miał i ranę na czole: «Tę ranę sam sobie zadał, — Śmierć z niej uleczyć nie może». A więc to aluzja do owego zamiaru samobójstwa, za które Gustaw odbywa w części IV pokutę. «Milion», uosobiony w Konradzie, pomimo spotkania na swej drodze Henryety-Ewy, nie może zapomnieć tej, która w zaraniu żywota była jego duszy światłem i życiem. Po ukończeniu tej pracy poeta opuścił Drezno w końcu czerwca 1832 r. i w towarzystwie Ignacego Domejki wyruszył do Paryża gdzie za pośrednictwem Lelewela umieścił się tymczasowo w mieszkaniu Bohdana Zaleskiego.

W sierpniu na uczcie, wyprawionej dla Dwer-nickiego, zetknął się Mickiewicz ze Słowackim, który tylko co, dwa tomiki swych Poezyj ogłosił. Ale ów Julek, który już dzieckiem zazdrościł Mickiewiczowi sławy poety, teraz, gdy ten zaczął z nim o wielkich czasach rozmowę, nie miał nic lepszego do powiedzenia, jak przypomnieć mu zajście w salonie matki z Śniadeckim. Mickiewicz, nie podejrzewając złośliwości w Słowackim, który niedawno jeszcze przesyłał mu do oceny swe wiersze, śmiał się dobrodusznie z tego zdarzenia. Gdy jednak Juliusz, zdobywając się niby na komplement, powiedział mu, że go uważa za pierwszego w Polsce poetę, a ktoś, stojąc z boku, zaczął wciąż powtarzać: Nadtoś skromny! półgłosem, wówczas Mickiewicz widząc, że to rzecz ukartowana, wydał dumnie swe usta i od Słowackiego odstał. Powiadają, że ten był urażony na Mickiewicza, iż się o jego poezjach wyraził, że są świątynią bez Boga; ale zachodzi pytanie, czy to nie po tem spotkaniu poeta nasz do *Dziadów* ojczyma Juliusza wprowadził?

Mickiewicz zajmował się dokończeniem przekładu *Giaura* i druk *Dziadów* rozpoczął. Do tych zajęć przybyło nowe: od Stefana Garczyńskiego otrzymał rękopism: *Dziejów Wacława* z prośbą, by

się zajął jego wydrukowaniem. Nim jednak mógł zadość temu życzeniu uczynić, otrzymał wiadomość, że Garczyński zapadł nagle na chorobę piersiową i pod opieką Klaudyi Potockiej jedzie przez Szwajcaryę do południowej Francji. Poeta odłożywszy wydawnictwa na stronę, natychmiast podążył na jego spotkanie, ale znalazł go już umierającym. Zgryziony jego śmiercią, wrócił do Paryża, by zająć się na nowo wydawnictwem *Dziadów* i *Wacława*. *Dziady* wywarły wielkie wrażenie, ale oburzyły w najwyższym stopniu Słowackiego, który wprowadzenie Doktora poczytał za zniewagę wyrządzoną swej matce, jako noszącej jego nazwisko. W pierwszej chwili chciał wyzwać Mickiewicza na pojedynek, i zaledwie go od tego zamiaru odwiódł przyjaciel jego Skibiński; ale pobyt swój dłuższy w Paryżu uznał za niemożliwy i z końcem roku do Genewy wyjechał. Tymczasem Mickiewicz otrzymał list od Niemcewicz z Londynu z wielkimi pochwałami dla *Dziadów* i z usilną zachętą, by następne akty, jak najprędzej wykończył. Ale nosił się już z innym pomysłem: miał pisać *Pana Tadeusza*.

W twórczości naszego poety to jest godnem uwagi, że po utworach wulkanicznych, podmiotowej natury, następuje zwykle ewolucja w kierunku wprost przeciwnym. Tak po *Dziadach* (część II i IV) pisze Grażynę; po tytanicznym zaś *Konradzie*, utwór, rozwijający się nurtem tak spokojnego natchnienia, iż wielu z wielbicieli poety nie mogło uznać na razie olbrzymiego w nim postępu twórczości i miało mu za złe, iż z wyżyn orlego wlotu zstąpił na poziomy powszednich spraw ludzkiego żywota. Tymczasem było to naturalne zjawisko. I po pierwszej burzy «chmurnej» młodości i po okresie piorunowych trzaskawic wieku męskiego, poeta czuł potrzebę zawinięcia do jakiejś zacisznej przystani, by w niej dla ducha znaleźć choćby chwilę wytchnienia. Obecnie zaś była inna jeszcze tego przyczyna. Poeta dojrzał. Wszystkie jego władze duchowe rozwinęły się w pełni, dostroiliły do zupełnej harmonii, słowem, geniusz jego znalazł się w tem stadyum rozwoju, na jakim niegdyś znajdował się ród grecki, gdy swą cielesną i duchową naturę doprowadził do równowagi zupełnej i uwydatnił ją w dziełach wiekuistej piękności. Przez takie apogeum przechodzi twórczość każdego wielkiego artysty. W epoce młodości, po pierwszych próbach klasycznego zakroju, poeta wszedł na dro-

gę zupełnie nową, na której nie miał poprzedników i form gotowych we własnej literaturze. By odrodzić poezję, należało jej nadać wszechświatowy charakter i z literatur obcych przyswoić jej wszystkie formy, jako jedynie zdolne wyrażać ten nowo-obrany przezeń kierunek. I oto, ulegając kolejno wpływom literatur: niemieckiej, angielskiej, włoskiej i oryentalnej, przyswaja literaturze własnej: balladę, romanse, canzonettę, kassydę, odnawia zapomnianą w niej formę sonetu, wreszcie, druzgoce ocieźżałe formy pseudo-klasycyzmu, a natomiast wprowadza swobodne formy fantastycznego dramatu i powieści, w której tok zdarzeń równie się w tępie dramatycznym rozwija. Aż gdy w improwizacji Konrada wszystkie jego dążenia ostatecznego kresu dobiegły, wówczas w jego geniuszu nastąpiła nowa, ale już ostatnia ewolucja: przejście do poezji w duchu czysto narodowym pojętej.

Skąd poeta wziął do swego poematu ośnowę? Rozumie się, że znalazł ją nie na bruku paryskim, ale właśnie uciekając od niego myślą w strony dawno niewidziane, rodzinne. Tylko w tej pielgrzymce myśl jego szukała nie dróg, któremi kroczyła jego młodość «chmurna, a dumna» — nad nią on krzyż już położył; lecz puściła się śladami wydeptanymi przez jego stopy pacholeńce, zbiegła w «wieki sielski, anielski», gdzie go otoczyły dobrze znane, typowe, a dawno znikłe z oblicza ziemi postaci. Czemżby jednak one na świadectwo tego, co było nie miały ożyć pod jego piórem, jak w opowiadaniach Rzewuskiego ożyły barszczan postaci? Wprawdzie żyły i działały one w innych, zmienionych już z gruntu warunkach; ale jeżeli Goethe na tle emigracyj, spowodowanych odwołaniem edyktu nantejskiego, mógł rozwinąć wspaniały epos mieszczański, dla czegożby on, na tle olbrzymich zapasów 12-go roku, nie miał stworzyć epopei szlacheckiej?... Myśl ta, jak wichur uniosła w przyszłość poetę i już 8 grudnia 1832 r. mógł te słowa przesłać Odyńcowi do Dreźnie: «Piszę teraz poemat szlachecki w rodzaju Hermana i Doroty Goethego; już *ukończyłem* tysiąc wierszy».

Poeta miał zawrzeć Pana Tadeusza w 6 pieśniach; tymczasem dzieło urosło do ksiąg XII, z których każda swą objętością może porównanie nie z jednym poematem wytrzymać. A jednak pomimo to, wielu z czytelników nie domyśla się nawet, jak szczupły przeciąg czasu dziesięć ksiąg pierwszych objęły. Toż opowiadanie rozpoczyna się przyby-

ciem Tadeusza do Soplicowa w sobotę w wieczór, a kończy śmiercią Jacka Soplicy we czwartek nad ranem, gdy dwie ostatnie znów księgi obejmują tylko opis uczty, wyprawionej dla Dąbrowskiego i zaręczyn trzech par: Zosi z Tadeuszem, Telimyny z Rejentem i Tekli Hreczeszanki z Asesorem.

Czemże więc tych ksiąg dziesięć zapełnił?... Przedewszystkiem opisem uczt, śniadań, różnego rodzaju rozrywek, łowów, sporów, bijatyk i zajazdów, które tu odzywają się niby echem dalekiem po dawnym, burzliwym życiu szlacheckiem i prowadząc katastrofę, która wpływ wyroczny na los wszystkich osób działających wywiera. Obok tego, jakąż to rozmaitość typów i charakterów poeta do poematu wprowadził, i jak je w swych opisach wyrzeźbił! Tu każda postać uosabia jakiś stan, jakąś warstwę społeczną; każda ma chwilę, w której ujawnia właściwy sobie charakter, swoją wartość moralną. Oto Podkomorzy — typ dygnitarski, baczny w każdym słowie na zachowanie swej wielkopanńskiej powagi; obok niego Sędzia, typ urzędnika z wyboru, przedstawiciel poważnej magistratury, gospodarz wielce dbały o oddanie każdemu należnych względów, według wieku, stanu i urzędu. Wojski — to znowu typ przyjaciela domu, niby rezydenta, potrosze totumfackiego, który bawi gości i zarządza domem według wskazówek Sędziego. Oni dwaj uzupełniają się wzajem i zarazem tworzą przeciwieństwo. Podobnie, jak oni inne typy występują również parami, stanowią żywe antytezy ze sobą. Więc Asesor z Rejentem — reprezentant władzy policyjnej i niższy urzędnik sądowy z wyboru. Tadeusz, natura prosta, silna, prawa i szlachetna, uosabiający całe ówczesne młode pokolenie, które miało przyszłość kraju stanowić i Hrabia, typ scudziemczalego pana, angłoman, romantyk, szukający w życiu nadzwyczajnych wydarzeń, bo nie widzi wyższego celu przed sobą, ale zmieniający się z chwilą, skoro ten cel jasno przed nim zabłyśnie. Dalej: Protazy z Gerwazym — sługa woźny, przechowujący tradycje trybunalskie, i dawny sługa magnacki, strzegący tradycji rodowych swych panów; wreszcie major Plut i kapitan Rykow — pierwszy, mimo pozorów oglądzonego człowieka, do szpiaku kości zepsuty, drugi mimo rubasznego powierzchowności i ograniczonego umysłu natura poczciwa i prawa. A obok nich, ileż się jeszcze innych postaci przed okiem czytelnika przesuwają! Ów Robak, bernardyn, który jak Opatrzność skrycie wszyst-

kiemi wypadkami kieruje, Jankiel, arendarz-artysta, prawa ręka Robaka, a przedewszystkiem cały zastęp szlachty z zaścianka Dobrzyńskiego z Maciejem Rózczką na czele, toż to cała galerya żywych posągów, ręką genialną mistrza wykutych. Bez wątpienia brak pomiędzy nimi typów tak powszechnie znanych jak księdza proboszcza dobrodzieja, mieszczanina i chłop. Też same braki występują i w typach kobiecych, a może jeszcze w sposób bardziej rażący. Poeta właściwie dał nam dwie tylko postaci: Telimeny, kokietki, z marką obcą, a lichą, usiłującej na przekwitłe wdzięki, jak na lep, męża za jakąbądź cenę pochwycić i Zosię, miluchny typ polskiej dziewczki. Ale gdzie typ poważnej matrony, który miał jednak w pani Podkomorzynie gotowy, gdzie wreszcie młodej mężatki i niewiasty wiejskiej?—to już o te nie pytaj, bo braki te okupuje mistrzostwem w rzeźbieniu i malowaniu wprowadzonych do poematu postaci. I nie tylko postaci. Rzeźbi on i dłutuje wszystkie szczegóły otoczenia, odtwarza, niby w wypukło-rzeźbie zajęcia domowe i sceny domowego pożycia, a co ważniejsza umie oddać słowami i grą na rogu wojskiego, i nocne żabie chorały. A cóż mówić o tem bogactwie natury z całą rozmaitością barw i tonów, z całą magią oświecenia w najrozmaitszych porach dnia i nocy, co wreszcie o kniejach litewskich, o sadzie soplicowskim, o zamku Horeszków na pół we mgle rannej tonącym, o gaju brzoźowym i grzybach, o niebie włoskiem i litewkiem i o niebie gwiazdami zasutem, w którym Wojski czyta, jak w otwartej księdze i swą wiedzę astronomiczną budzi podziw w słuchaczach, na przyzbie soplicowskiego dworu siedzących. A oważ ucztą ostatnią, rozbrzmiewająca serdecznem: «kochajmy się!» przy stole uwieńczonym serwisem, którego opis może iść śmiało z tarczą Achillesa w paragon! Wszystkie te obrazy, jak nić z motka snują się nieprzerwaną koleją, całe opowiadanie toczy się i rozwija z wolna, niby na wałkach w pleoranie malowane płótno wzorzyć się, płynie, jak rzeka olbrzymia spokojnym wspaniałym nurtem, ledwie dla oka dostrzegalnym w swym biegu i, odbijając wciąż w zwierciadlanej fali napotykaną na wybrzeżach, a z każdą chwilą zmieniającą się przedmioty, utrzymuje płynącego z jej biegiem w niekończącym się nigdy podziwie.

W tym poemacie poeta wyczerpał całą plastykę kraju, wszystkie piękności swojej ziemi rodzinnej.

Że Pan Tadeusz nie może być za epopeję uznany, krytyka dawno odpowiedziała twierdząco. W epopei występują wszystkie siły narodu w celu dokonania wielkiego czynu od którego jego byt i przyszłość zależy. Otóż czynu, takiego w Panu Tadeuszu niema — są tylko do niego aspiracye. Jedyne cel, jaki poeta w zakończeniu osiąga, to uwłaszczenie włościan przez Tadeusza i Zosię, mające na przyszłość programatowe znaczenie. Jeżeli jednak Pan Tadeusz nie jest epopeją, to jest *par excellence* poematem eposowym w tem znaczeniu, jak Herman i Dorothea. Poeta, który tak silnie uwydatniał swój indywidualizm we wszystkich poprzednich utworach, tu schodzi na stanowisko czysto przedmiotowe, maluje ludzi i rzeczy, jakimi byli i tego stanowiska nie opuszcza, nawet, gdy odtwarza sytuacye najściślej z osobistymi wspomnieniami związane. Tak opis pokoiku Zosi na początku ks. pierwszej, to reminiscencye pokoiku Maryli, do którego Zan, po przybyciu do Tuhanowicz przypadkowo go wprowadził. Stosunek znowu Jacka Soplicy do stolnika Horeszki, to odtworzenie stosunku poety do hr. Ankwicza. Nawet stolnikównie nadał imię Ewa, które, jako drugie, Henryeta nosiła.

Czy jest wszakże jakie podobieństwo pomiędzy ostatnim zajazdem na Litwie, a utworem Goethego, jakby to z listu pisanego do Odyńca należało wnioskować? Kto szuka podobieństwa, niech Hermana zestawia z Wiesławem, a odnajdzie je zarówno w charakterach osób, jak i samej osnowie. Ale w Panu Tadeuszu go niema — są tylko uderzające różnice. Utwór Goethego pod względem architektonicznym jest więcej ustosunkowany w sobie — to mu przyznać należy. Na takie długie opisy, jak np. Puszczy litewskiej, Goethe nie pozwoliłby sobie, gdyż to popsułoby mu cały stosunek części do całości i rozrywało uwagę czytelnika zamiast ją skupić na głównej osnowie. Utwór jego nadto obfituje w wielkie bogactwo prawd życiowych, czerpanych zarówno z doświadczenia, jak i filozoficznych refleksyj, które temu poematowi o treści tak prostej, nadają głębokie, ogólnoludzkie znaczenie. W Panu Tadeuszu podobnych refleksyj nie wielebyśmy znaleźli. Natomiast, jeżeli idzie o bogactwo obrazów, to Mickiewicz o wiele Goethego przewyższa. Słowem, cechą poety niemieckiego obok wielkiej siły uplastycznienia, jest filozoficzna refleksja; cechą naszego wieszczka nie-

zrównana potęgą fantazyi, obok równego w uplastycznieniu mistrzostwa. Pana Tadeusza ukończył on w połowie lutego 1834 r. i, rozstawszy się z tem najmłodszym dziećciem, uczuł straszną pustkę w swej duszy. Nie mogąc godzić się z rzeczywistością, zaczął marzyć o wyjeździe do Ameryki, gdzie nowemi wrażeniami spodziewał się umysł odświeżyć. Wtedy to przyjaciele zaczęli mu podsuwać myśl ożenienia, ale ich rady poeta zbywał milczeniem. Dopiero, gdy raz od niechcenia wyraził się, że gdyby w Paryżu była Celina Szymanowska, to możeby się i zgodził na ożenienie; zawiadomieni o tem jej krewni, sprowadzili ją z Petersburga, gdzie od śmierci matki przebywała w domu siostry Heleny, którą przed kilkoma laty poślubił Malewski i wkrótce potem, bo już 22 lipca t. r., Celina została żoną poety. Tak więc spełniło się proroctwo, które w czasie swego pobytu w Petersburgu zapisał w albumie młodzieńckiej naówczas Celiny: «że pomimo ciżby pieszych, ułanów i huzarów, cisnących się do niej w skutek ogłoszonego werbunku, on zawsze wspominać będzie, iż na prawym flanku był pierwszym grenadyrem w tej armii». Poeta wchodząc w związki małżeńskie, mniemał, że jak dawniej tak i teraz dopisywać mu będzie natchnienie, że puszczając w świat coraz to nowe utwory znajdzie środki utrzymania rodziny. Tymczasem natchnienie nie dopisywało, a potrzeby z przyjściem na świat córki Maryi (wrzesień 1835), coraz się bardziej wzmacniały. Należało na innej drodze szukać środków do życia. W pierwszym rzędzie nasuwało mu się dziennikarstwo, w którym, jak mniemał, najłatwiej można była wyzyskać swoje zdolności. Tymczasem wkrótce przekonał się, iż nie mógł liczyć na powodzenie na tem polu, nie należąc do żadnego stronnictwa. Następnie, zamierzył poświęcić się historii ojczystej i w tym celu rozpoczął studia nad kronikarzami piastowskiego okresu. Owocem tego kierunku były: *Pierwsze wieki historii polskiej*, lecz pracę tę, prowadzoną z wielkim mozolem przerwał na wstąpieniu na tron Leszka Białego. Żądanie jednak Jelowickiego, by zebrał drobne utwory dla wydania ich w osobnym tomiku, pobudziło go do podjęcia nowej poetyckiej pracy, którą chciał uzupełnić zamierzone wydanie. Jakoż w r. 1836 przełożył *Złania i uwagi* z pism Jakóba Böhme (Anioła Szląska), oraz Saint-Martin'a, które odpowiadały temu mistycznemu nastrojowi

ducha, jaki się w nim w Kole Braci zjednoczonych rozwinął. Zajęcie się przekładem Uwag, oddało Mickiewiczowi wielką usługę. Uczuł nanowo potrzebę pisania, tylko swą twórczość na inne tory skierował i, wiedząc, że utwory dramatyczne największe autorom honorarya przynoszą, napisał dramat *Les Confédérés de Bar*, oraz tragedję, zatytułowaną: *Jacques Jasiński*. Sztuki te zjednały sobie najzupełniejsze uznanie takich nawet powag, jak George Sand i Alfred de Vigny; ale oddane do teatru *Porte Saint Martin*, nie okazały się odpowiedniami dla sceny. Co gorsza, przechodząc z rąk do rąk poszytami, w większej części zaginęły. Z ocalałych wszakże fragmentów widzimy, że za wiele miały w sobie liryzmu, za mało akcji, by odpowiadały upodobaniom publiczności paryskiej. Słowem cały okres czasu pomiędzy rokiem 1834 a 38 — to ciągle łamanie się poety z potrzebami życia i utrzymania rodziny, która w tym ostatnim roku powiększyła się przybyciem syna, Władysława. To też poeta powziąwszy wiadomość z gazet o wakującej posadzie profesora literatury rzymskiej w Akademii Lozańskiej, postanowił robić o nią starania. Ale właśnie, gdy wyruszył na miejsce i przy pomocy Sismondiego, de Candolle'a, dawnych z r. 1830 znajomych, i nowo poznanego Olivier'a przełamywał w Lozannie jako cudzoziemiec i katolik nasuwające się trudności, nagle otrzymał wiadomość z Paryża o chorobie żony, której stan wymagał bezzwłocznego powrotu. Był to najsmutniejszy okres w życiu poety. Choć żonę w domu zdrowia umieścił i dzieci przyjaciółom oddał w opiekę, nie mógł jednak opuszczać Paryża, pomimo iż z Lozanny dochodziły wciąż naglące wezwania. Zaledwie w czerwcu mógł do Szwajcaryi wyruszyć, by na nowo porwane nici nawiązać. Upłynęło jednak wiele wody, nim po przebyciu egzaminów i napisaniu rozprawy, pożądaną katedrę otrzymał. Jakoż zaledwie w październiku wystąpił przed Szwajcarami z pierwszą prelekcją. Mickiewicz nie pozostawił na piśmie swych kursów akademickich, ale wiemy, iż na wykłady jego uczęszczała młodzież bardzo licznie. Sprowadziwszy też żonę i dzieci czuł się tu zupełnie zadowolony ze swego losu. Lecz nie było mu danem pozostawać długo w Lozannie. Ks. Adam Czartoryski oddawna u rządu francuskiego robił starania o utworzenie w Paryżu katedry literatury polskiej i na nią, jako najodpowiedniej-

szego kandydata Mickiewicza przedstawił. Ówczesny jednak minister oświaty, Cousin, nie zgadzał się w zupełności na ten projekt ze względu na polityczne stosunki, a natomiast objawił gotowość utworzenia w Collège de France katedry literatur Słowiańskich i na nią obiecał Mickiewicza powołać. Ponieważ zaś dzienniki paryskie rozgłosily o tem przedwcześnie, przeto ten, nie mając w ręku nominacyi, znalazł się w nader trudnem położeniu wobec zwierzchniej władzy w Lozannie. Przysłano mu ją zaledwie w końcu września 1840 r. i wtedy dopiero wystąpił z żądaniem uwolnienia go od dotychczasowych obowiązków. Nie obešlo się to, bez dających się łatwo pojąć przykrości. Szwajcarzy mieli żal do niego, że ich dla Paryża porzuca, on zaś mógł się względem nich do niewdzięczności poczuwać. W Lozannie bowiem, po tylu burzach znalazł przystań spokojną, i zapewnienie na resztę życia kawałka chleba, który mógł spożywać bez troski. Tymczasem na drodze, jaka przed nim otwierała się obecnie, czekały go wielkie trudności. Znał literaturę polską i rosyjską, ale o czeskiej, serbskiej, słowiańskiej, chorwackiej, bułgarskiej zaledwie słabe miał wyobrażenie. — To też przybywszy do Paryża zażądał zwłoki, by się mógł odpowiednio przygotować do wykładów, które miał nie już wobec młodzieży, ale ludzi, należących do arystokracji umysłowej całego świata prowadzić. Nie dość na tem. Na tej samej katedrze z której on miał w Collège de France przemawiać, zasiadali: Ampère, profesor literatury francuskiej, Edgard Quinet, filozof, oraz Juliusz Michelet, historyk, czarujący pięknoscia swoich wykładów. To też nic dziwnego, że przyjaciele poety żywili słuszną obawę, czy, przemawiając cudzoziemskim akcentem, porównanie z nimi wytrzyma. Tymczasem pierwsza prelekcyja, z jaką w dniu 22 grudnia wystąpił wykazała te obawy płonnemi. Otwierając kurs wśród przepelnionej sali, z początku wyrażał się z trudnościami; ale wkrótce zapanowawszy nad przedmiotem, zdołał do swego wykładu przykuć słuchaczy. Nie zapalił ich jeszcze, jak to często później bywało; w każdym razie przekonał wątpiących, że stoi na wysokości swego zadania. O wrażeniu dodatniem, jakie sprawił tym pierwszym występiem świadczyły zresztą sprawozdania dzienników: *Messenger*, *Siccle*, *Courrier*, oraz *Constitutionnel* wyraziły się o nim z uznaniem. Tem skwapliwiej przeto ziomkowie

pragnęli uświetnić ten pierwszy występ poety. Urządzono więc na jego cześć szereg uczt, a pierwszą z nich w klubie polskim w dzień jego imienin, zapraszając na nią i żonę wraz z pięcioletnią Marynią. Pomiędzy wielu innymi przybył i stary Niemcewicz. Brakło tylko Bohdana i Witwickiego, co dotknęło bardzo poetę. Nastroj jednak panował serdeczny. Na drugi dzień 25 grudnia dał wieczór także na cześć poety Eustachy Januszkiewicz, księgarz, na który się do 40 osób zebrało. Był na nim i Juliusz Słowacki, który po ośmioletniej nieobecności i podróży na wschód nanowo osiedlił się w Paryżu. Jak wytłomaczyć sobie jednak jego przybycie na wieczór poświęcony uczczeniu Mickiewicza? Powiadają, że po przeczytaniu Pana Tadeusza zmienił względem niego swe usposobienie, że po nocy spędzonej u Grobu Chrystusa i odbytej z całego życia spowiedzi, wyrwał z serca wszelkie do niego urazy. Więc też pierwszy wystąpił dziś z improwizacyą i, zwróciwszy się w niej do Mickiewicza złożył hołd jego geniuszowi. Na to przemówienie odpowiedział również improwizacyą Mickiewicz, która miała obejmować z półtorasta wierszy. Co było jej treścią? z mętnych sprawozdań wyrozumieć trudno. Miał w niej jakoby oświadczyć, że niepowodzenie Słowackiego na polu poezyi jest skutkiem braku w nim miłości i wiary. Gdyby tak było, Słowacki, który nigdy nie grzeszył pokorą, nie przeniósłby podobnego upokorzenia. Tymczasem bierze udział i w drugiej uczcie noworocznej, wyprawionej przez Januszkiewicza. Niedość na tem, wręcza Mickiewiczowi wspaniały puhar, który mu obecni w darze złożyli. Dopiero sprawozdania o tej uczcie pism poznańskich, a głównie *Tygodnika literackiego*, który się wyraził, iż tym hołdem, złożonym Mickiewiczowi, Słowacki uznał się jego wazalem, miało wywołać w nim oburzenie, z którym w Bieniowskim przeciw «bogowi litewskiemu» wybuchnął.

Tymczasem w dalszym ciągu trwały wykłady. Już na drugiej prelekcyi Mickiewicz zajął silnie Francuzów oświadczeniem, że ich pisarze, zajmujący się sprawami socyalnemi, mogliby znaleźć rozwiązanie ich w urządzeniach dawnej gminy słowiańskiej. Wprawdzie idealna jakoby jej organizacya okazała się mrzonką tamtoczesnych uczonych Słowian; ale twierdzenie to poety, wypowiedziane w dobrej wierze, miało dla Francuzów urok nowości. Rozpatrując też kolejno pomniki

literatur różnych ludów słowiańskich rzucił na ich znaczenie głębokie, genialne poglądy i przed zdumionymi słuchaczami coraz nowe, nieznane dotąd światy odsłaniał. A nie byli to ludzie zwykłej miary, przychodzący na wykłady dla uprzyjemnienia sobie czasu. Były pomiędzy nimi takie znakomitości, jak Montalembert, Sainte-Beuve, Ampère, Salvandy, Michelet, George Sand, de Loménie, którzy za rozwojem myśli profesora-poety, z uwagą nateżoną zdążali. Ściśle rzecz biorąc, prelekcje jego były tylko świetnemi, porywającymi improwizacyami, w których rzucił poglądy apodyktycznie, nie popierając ich naukowym balastem, a jednak nie jeden z nich usprawiedliwiły późniejsze badania uczonych. Było to wynikiem jego zdrowego rozsądku, wrodzonej mu, a zadziwiającej intuicji, którą najzawilsze kwestye orłem spojrzeniem rozstrzygał. Dopiero gdy fałszywe doktryny obalamuciły jego umysł, gdy zaczął je na własnych niby, naukowych badaniach opierać (wywód pochodzenia słowian od Asyryjczków—badania etymologiczne), wtedy dopiero stracił grunt pod sobą i zszedł na manowce. Gdyby nie to, nawet przestając tworzyć, byłby na swej katedrze niepospolitem zjawiskiem. Pogłębiając swój wykład z latami stałby się był najdzielniejszym pośrednikiem pomiędzy zachodem, a tak mało znanym dotąd światem słowiańskim i przy swej bezstronności w przyznawaniu każdemu, co mu się słusznie należy, najwierniejszym jego ducha tłumaczem.

Ale złym jego duchem był Jędrzej Towiański, który stanął przed nim jako wysłannik boży w chwili, gdy umysł jego wskutek ponownego obłąkania żony wyszedł z równowagi i najmniej był zdolny przyjmować rzeczy krytycznie. Było to 17 lipca 1841 r., gdy poeta umieściwszy Celinę w domu zdrowia, znalazł się bez grosza, bez nadziei w możliwość jej wyleczenia—słowem w stanie najstraszniejszego moralnego ucisku. Wtedy to, stanawszy przed nim Towiański, *powitał go w imię Boże*, objawił swe posłannictwo, i na znak prawdy tego, co mówi, opowiedział mu sen Henryety w Rzymie i oświadczył, że Celina za łaską Bożą w tej chwili uzdrowioną została. Wobec takich rewelacyj najpozytywniejszy umysł byłby się zachwiał, a cóż dopiero skolatany umysł poety, zwłaszcza, gdy przybywszy do zakładu z Towiańskim, znalazł istotnie żonę, pomimo kanikularnej pory, zdrową i przytomną, tak, że ją mógł na

tychmiast zabrać z sobą do domu. Od tej chwili Towiański w Mickiewiczu najgorliwszego prozelitę dla swej doktryny pozyskał, a wyrazem ekstazy, w jaką umysł jego wprowadził, to sławny wiersz do Bohdana Zaleskiego: «Słowiczku mój!» w którym wypowiedział wiarę i nadzieję, jaką złożył w nowym proroku.

Co powiedzieć o cudownem wyzdrowieniu Celiny? Jest to fakt, którego wytłomaczyć inaczej nie można, jak chyba dziwnym jakimś przypadkiem. To pewna, że ona nigdy nie mogła wzbudzić w sobie wiary w posłannictwo mistrza, który ją zawsze za «bezowocną» uznawał. Natomiast rewelacja snu była prostym podstępem. O nim bowiem, jak i o wielu okolicznościach, wywiedziało się od Odyńca, którego zręcznie w przejeździe przez Drezno wybadał. Na czem zaś polegała głoszona przezeń doktryna, można się przekonać z jego pisma: *Biesiada* (Paryż, 1841) oraz z Filozofii i Krytyki Libelta (Poznań 1845, 290—291). Towiański, wyruszając z Litwy na zachód w celu szerzenia balamutnej doktryny, upatrywał przede wszystkim osobistości, któraby ją swą powagą poparła. W Brukseli chciał wyzyskać religijność generała Skrzyneckiego, ale go ten odepchnął od siebie. Wtedy przybywszy do Paryża, zwrócił na poetę uwagę i ze szkodą dla literatury oplatał i zwichnął genialny jego umysł na zawsze. Odtąd poeta poświęca wszystkie zasoby swego ducha, by tryumf jego nauce zapewnić. Wprawdzie nie od razu zaczął ją z katedry wygłaszać. Przynajmniej do połowy maja 1842 r. wykłady swe prowadzi w czysto naukowym kierunku. Dopiero w czerwcu występuje poraz pierwszy z nazwą *Mesyanizmu*. Co rozumieć przez nią należy? Nic innego, tylko posłannictwo w dziejach świata narodów Słowiańskich, które z kolei po ludach romańskich i germańskich, miały w nich zająć przodujące stanowisko i w odrodzeniu świata przez doktrynę Towiańskiego, czynną odegrać rolę. Sama nazwa messyanizmu nie była jednak własnością poety. Stworzył ją Hoene-Wroński. Mickiewicz tylko ją zastosował do Towiańskiego nauki. Cały kurs trzecieletni ma na celu uzasadnienie jej przez wykład starożytności Słowiańskich; w czwartoletnim odrzuca już wszelkie osłony, mówi jawnie o posłannictwie Towiańskiego i zajmuje się krytyką panującego kościoła, który urzędowym nazywa. Ten to Kościół ze swemi

przeżytemi formami, wytwarzający jedynie duchy ciemne i powstrzymujący udoskonalenie ludzkości, ma nowa nauka odrodzić!

Rzecz naturalna, iż propaganda szerzona raz przez Towiańskiego po kościołach paryskich, wreszcie przez poetę w Kolegium, musiała na siebie zwrócić uwagę zarówno władz duchownych, jak świeckich. W lipcu, 1842 Towiański otrzymał rozkaz opuszczenia Francji; następnie przeciw wykładom poety zaczęły się podnosić liczne ze strony duchowieństwa protesty. Z dalszych stron nadchodziły również potępiające głosy. Tak Br. Trentowski wystąpił przeciw nim w *Demonomanii*, Wojciech Cybulski w *Roku poznańskim*, Lucyan Siemieński w poemacie *Dwa Akty*. Tylko rząd Ludwika Filipa ze względu na popularność poety postępował z nim oględnie. W końcu przecież i jego zniecierpliwilo ciągle podnoszenie idei napoleońskiej i gdy w dniu 28 maja poeta w czasie wykładu podniósł okrzyk na cześć Napoleona, Villemain, ówczesny minister oświaty postanowił koniec propagandzie położyć i pod pozorem udzielenia urlopu, usunął Mickiewicza z katedry, назначając jednocześnie Cypryana Roberta jego następcą. Tym sposobem poeta nazawsze grunt do dalszej propagandy utracił. Przecież nietylko z rządem francuskim, nietylko z własnem społeczeństwem, ale i z mistrzem, który po chwilowym w Belgii pobycie, obecnie osiadł w Szwajcaryi, znalazł się on w rozterce. Towiański, choć wydalony z Francji, nie uważał za przepadłą swę sprawę, dopóki w Mickiewiczu, zajmującym katedrę, miał posłuszne narzędzie. Teraz jednak po utracie stanowiska, widocznie zmalał w jego oczach. Zaczął bowiem coraz ostrzejsze napomnienia mu przysyłać, zarzucając brak woli w zrzuceniu z siebie dawnego człowieka i podniesienia *tomu*. Mickiewicz, chcąc stosunek zaostrzony wygładzić, postanowił osobiście rozmówić się z mistrzem i mimo ograniczonych środków materialnych (obecnie pobierał tylko pół pensyi), wyjechał do Szwajcaryi. Ale odbyte konferencye wykazały jedynie głębokie, nie dające się usunąć pomiędzy nimi w pojmowaniu swęj misyi różnice.

Od r. 1848 położenie poety z każdym dniem kłopotliwszem się stawało. Rodzina jego składała się z trzech synów: Władysława, Aleksandra i Jana, oraz dwóch córek: Maryi i Heleny (najmłodszy Józef przybył na świat dopiero w 1850 r.)—

wszystko to zaś potrzebowało chleba i nauki. Tymczasem prócz 3000 fr. poeta nie otrzymywał z innych źródeł dochodów. Drukowane wykłady nie rozchodziły się, sprzedaży utworów, wydawanych w Paryżu, szkodziły przedruki dokonywane poza obrębem Francji; to zaś skłoniło go znowu do rzucenia się jeszcze raz na drogę dziennikarską. Jakoż z pomocą Ksawerego Branickiego założył *La Tribune des peuples*, pismo barwy demokratycznej, w którem obronę interesów wszystkich ludów za główny cel sobie postawił. Pierwszy numer Trybuny, ukazał się 14 marca 1849 r., ale już po powstaniu ludowem wybuchem 13 czerwca w Paryżu i Lugdunie wydawnictwo to zawieszone zostało. Odtąd poeta, niepowodzeniami zrażony, zamknął się w swej rodzinie i w kole towiańczyków, uznających go za swego mistrza. Z osób, które go z kraju odwiedzały w tym czasie, wszystkie dają świadectwo, iż zarówno swym umysłowym nastrojem, jak i otoczeniem wywierał przygnębiające wrażenie. Wreszcie w d. 12 kwietnia 1852 r. minister oświaty, Fortoul, dał mu formalne uwolnienie jako profesorowi Collège de France i całego utrzymania pozbawił. Dopiero, gdy poeta w wystosowanej do niego odezwie przypominał, z jakiego powodu rząd Ludwika-Filipa usunął go z zajmowanej katedry; wtedy zaledwie i to po półrocznem milczeniu przesłano mu nominacyę na skromną posadę bibliotekarza przy Arsenale, z pensyą 2000 fr. i mieszkaniem. W marcu 1855 r. utracił żonę i śmierć jej odczuł głęboko. Potrzebował czemś ból swój zagłuszyć i wojna wschodnia, której przebieg zajmował go oddawna, nasunęła mu myśl szukania nowych wrażeń na wschodzie. Po długich zabiegach udało się ks. Adamowi Czartoryskiemu wyrobić mu u rządu francuskiego specjalną misyę, polegającą pomiędzy innemi na zagodzeniu sporów wynikłych pomiędzy Michałem Czajkowskim (Sadykiem-Paszą), dowódcą kozaków otomańskich, a gener. Władysł. hr. Zamoyskim. Pozostawiwszy więc dzieci pod opieką Zofii Szymanowskiej, późniejszej Lenartowiczowej, wyjechał we wrześniu do Marsylii, a stamtąd morzem do Konstantynopola w towarzystwie Henryka Służalskiego i Armanda Lewy. Tu, stanąwszy na Jeni-Szeri, puścił się do Burgas, pod którym znajdował się obóz kozacki, z zamiarem wybadania prawdy, co do sporu na miejscu. Wkrótce jednak przekonał się, że do zgody nie doprowadzi i dał po-

kój wszystkiemu. Natomiast, zachwycony życiem obozowem, przez czas dłuższy przy Czajkowskim pozostał. Potrawy żołnierskie i niewygody zapewne już wtedy rozstroiły jego organizm. Ale na to nie zważał.

Nagle w d. 26 t. m. o godzinie 10 rano, zaniemógł. Okazały się symptomata cholery, tak gwałtowne, że pomimo starań sześciu lekarzy poeta o godzinie 9 w wieczór ducha wyzionął. Ostatniej duchownej posługi udzielił mu ks. Ławrynowicz. Przerażonym towarzyszom tym nagłym zgonem nie pozostało nic więcej, jak oddać ostatnią posługę zmarłemu w sposób, w którymby mogli wywiązać się godnie względem społeczeństwa i rodziny. Zabalsamowane przeto zwłoki postanowiono odesłać do Francji. Miesiąc wszakże upłynął, nim zdołano pokonać nasuwające się trudności. Zaledwie 30 grudnia można było przewieźć ciało do portu Top-Hana, by je stąd na statku *Eufkrat* do Francji wyprowadzić. Nic też nie można by wymyśleć bardziej wzruszającego nad ten kondukt żałobny w dzień ponury i dżdżysty, przebiegający się przez błotne ulice padyszaha stolicy, nad ten ubogi, ciągniony parą wołów karawan i ową prostą trumnę, co kryła zwłoki jednego z największych mocarzów słowa i wielkiego duchem człowieka. Naprzód postępowało duchowieństwo z ks. Ławrynowiczem na czele; za nimi muzykanci włoscy, którzy sami ofiarowali się z swą posługą, dalej oddział piechoty, a za trumną garstka Polaków, Francuzów, Ormian, Włochów, Niemców i Żydów, oraz przedstawiciele wszystkich narodowości słowiańskich półwyspu bałkańskiego. Po odbytej mszy żałobnej, w stojącym przy drodze, którą postępował orszak, kościele, złożono zwłoki na statku, a następnie po przywiezieniu do Paryża, na cmentarzu w Montmorency, gdzie niepełna rok temu zwłoki Celiny spoczęły.

Teraz dopiero umilkły wszystkie niechętne głosy, które od chwili objęcia przezeń katedry w Collège de France aż dotąd, nie przestawały się przeciw niemu podnosić.

Dla ogromnej jednak większości ziomków, pozostających w kraju, był on mitem, poetą, którego twórczość znano jedynie w zakresie petersbur-

skiego z r. 1829 wydania. Gdy się wieść o jego zgonie rozeszła, dopiero odczuto ogrom tej straty. Istotnie, był on zarówno w naszej, jak i w wszechświatowej literaturze niepospolitem zjawiskiem. Zasługą jego nietylko to, że poezję rodzimą na nowe tory wprowadził, lecz że nie uległ niewolniczo prądom ożywiającym literatury zachodniej, ale samoistnie wysnuł poezję narodową z tych pierwiastków i zasobów, które były złożone w duszy nietylko klas wykształconych, ale całego narodu. Gdy romantyzm zachodni występuje nieraz wrogo przeciw chrystyanizmowi, on odrazu uderza w strunę religijnego uczucia, wierząc po staremu, jak wierzy lud, którego ducha jest najwierniejszym tłumaczem. Wprowadzając do poezji, pogardzane dotąd żywioły i podnosząc sprawę uwłaszczenia budował złoty pomost, który mógł klasy uprzywilejowane z klasą upośledzoną połączyć i znieść ten rażący przedział, jaki pomiędzy nimi wytworzyły stulecia. Wielki zresztą ożywiającą go ideą, którą ogarniał wulkanicznym uczuciem, podniósł ją i wyszlachetnił naród, jak żaden z dotychczasowych poetów. Jako mistrz, potężny twórca, niewyczerpaną fantazją, nie rozprasza się w malowaniu rozplynnych, eterycznych widziadeł, ale nawet gdy do swych utworów wprowadza nadprzyrodzone zjawiska stwarza z nich rzeczywiste postaci. Tę niezrównaną plastykę z każdym nowym utworem w coraz wyższym stopniu osiąga, aż w Panu Tadeuszu doprowadza do najwyższej doskonałości i nazawsze dla wszystkich poetów naszych i pisarzy niedoścignionym staje się wzorem. A obok tego, jest on prosty, szczerzy, miłujący, daleki od sztucznego nastroju lub pozowania na wielkość. Takim okazuje się w stosunkach z obcymi, takim z rodziną i przyjaciółmi, z którymi w niedoli dzieli się ostatnim groszem i to najczęściej w chwili, gdy sam nie opływa w dostatki. Więc też postać tę, wzniosłą w swej prostocie, społeczeństwo otacza nietylko czcią geniuszowi należną, ale i miłością wielką i, dając dotykalny wyraz, wznosi mu posagi, które być mają czci synowskiej oznaką.

Roman Plenkiewicz.



Antoni Edward Odyniec.

* 1804 † 1885.

Poeta, którego żywot tu kreślimy, urodził się d. 25 stycznia 1804 r. w gubernii Wileńskiej, w powiecie Oszmiańskim, we wsi Giejstunach należącej do ojca jego Tadeusza, wice-marszałka powiatowego, i matki Teresy z Gnatowskich. W notatce własnoręcznej autobiograficznej, przesłanej w r. 1857 Kazimierzowi Władysławowi Wóycickiemu do Warszawy (później znajdującej się w zbiorze autografów p. Władysława Górskiego w Kotużanach na Podolu), Odyniec pisze o sobie następujące słowa: «Nauki szkolne odbyłem w powiatowej szkole u księży Bazyljanów w Borunach w latach

1814 — 1820, uniwersyteckie w Wilnie (1820 — 1823). Od r. 1826 — 1829 mieszkałem w Warszawie,



gdzie zajmowałem się przygotowaniem artykułów do dziennika, który ordynat Stanisław Zamoyski miał wydawać własnym kosztem przy szkole Szczębrzeszyńskiej, przeznaczając go mianowicie dla młodzieży, która, po ukończeniu szkół, nie mogła mieć sposobności odbywania nauk uniwersyteckich, a w której to pracy poprzednikiem moim był p. Józef Korzeniowski, nim katedrę profesora w liceum Krzemienieckim otrzymał. Tu z p. Waleryanem Krasińskim ułożyli-

Antoni Odyniec
1887. kw. 30.
wilno

my pierwszy projekt wydawania «Encyklopedyi Powszechnej», ku czemu on właściwie drukarnie stereotypową założył, a ja miałem być jej redaktorem po odbyciu podróży zagranicę. Od lipca 1829 r. do października 1830 podróżowałem z Adamem Mickiewiczem po Niemczech, Włoszech i Szwajcaryi, w której to ostatniej podróży piechotą, trzecim towarzyszem naszym był Zygmunt Krasiński. Potem sam jeden byłem w Paryżu i Londynie, a od początku 1831 r. do października 1837 r. mieszkalem w Dreźnie. Tu, jako korespondent, byłem jednym z trzech pierwszych założycieli i wydawców *Przyjaciela Lulu*, wychodzącego w Lesznie u Günthera (dwoma drugimi byli Ks. A. Tyc i P. Popliński), i dopomagałem, o ile mogłem, p. Bobrowiczowi w wydawnictwie *Biblioteki Klasyków Polskich* w Lipsku, pisząc między innymi wiadomości o życiu niektórych autorów, jak np. Drużbackiej, Szymonowicza, Zimorowicza i innych, na czele ich dzieł umieszczone. Jednocześnie z powrotem do Wilna w końcu r. 1837 objąłem redakcją «Encyklopedyi Powszechnej», wydawanej przez Glücksbergów, i w ciągu roku 1838—1839 wydałem w Wilnie dwa jej tomy, zawierające litery B i C. Od roku 1840 jestem redaktorem *Kuryera Wileńskiego*, wydawanego przy Szlacheckim Instytucie Wileńskim i będącego własnością Instytutu.

Spis ramot moich jest następujący: 1) *Poezye*, dwa tomiki, wydawane naprzód w Wilnie w latach 1825 i 1826, a potem przedrukowane w Poznaniu w *Parnasie Polskim*. 2) *Melitele*, Noworocznik, 3 tomy, — dwa pierwsze wydane w Warszawie 1829 i 1830, trzeci w Lipsku 1835 r. nakładem Bobrowicza. 3) *Lora*, dramat w 3-ach aktach, Warszawa 1829 r., przedrukowany w Poznaniu w *Parnasie Polskim*. 4) *Tłomaczenia*, tomów sześć: Tom I, *Dziwica z Jexiora*, poema Waltera Skotta, Lipsk 1838 r. Tom II, *Naręczona z Abydos*, Byrona; *Czeiciele ognia*, Tomasza Moora, Lipsk 1838. Tom III, *Korsarz i Niebo i Ziemia*, Byrona. Lipsk 1841 r. Tom IV, *Pieśń ostatniego Minstrela*, poema Waltera Skotta. Wilno 1842 r. Tom V, *Mazepa*, Byrona, *Peri i Raj* Moora. Ballady i Baśnie. Tom VI, *Dziwica Orleańska*, tragedia Szyllera, Wilno 1843. 5) *Felicyta, czyli męczennicy kartagińscy*, dramat w pięciu aktach, Wilno 1849. 6) *Troje rymów Incei pana Inocentego Staruszkiewicza*, Wilno 1849 r.

Prócz tego jestem wydawcą książki do nabożeństwa p. t. *Ołtarzyk Rzymsko-Katolicki* (Lipsk 1846 r. i drugie wydanie r. 1856). Czy zaś sprawiedliwie rozumiem — pisze Odyniec — że ta książka (której wzorem i podstawą był Ołtarzyk Polski wydany przez Witwickiego), jest dotąd kompletniejszą i systematyczniej ułożoną od innych, o tem chciej się najlepiej sam przekonać.»

Tyle, co powyżej, napisał Odyniec na żądanie Woycickiego sam o sobie w r. 1857. Od owej chwili do zgonu poety upłynęło jeszcze lat 27. W ciągu tego czasu, wydawszy w r. 1865 swoją jedyną córkę Teresę za doktora Stanisława Chomętowskiego mieszkającego w Warszawie, sam też przeniósł się na stały pobyt do tego miasta. Tu, po chwilowem objęciu redakcyi «Kuryera Warszawskiego», pióro swoje poświęcił najpierw «Kółku domowemu», następnie «Kronice Rodzinnej», chętnie obok tego udzielając się i innym pismom, jak np. «Tygodnikowi Ilustrowanemu» i «Kłosom». Kronika zawdzięczała Odyńcowi, oprócz wielu pięknych poezyi, dwie najcenniejsze ozdoby swoje, a mianowicie «Listy z podróży» i «Wspomnienia z przeszłości», których początek (czasy szkolne) pierwotnie ukazał się w «Wieku», redagowanym wówczas przez Lewestama.

Pisma Odyńca, które wyszły w druku w tem ostatniem 27-mio-leciu w wydaniach książkowych, są następujące: 1) *Felicyta* wydanie drugie, w Poznaniu r. 1858. 2) *Poezye*, wydanie trzecie, pomnożone, 2 tomy w Wilnie r. 1859. 3) *Jerzy Lubomirski*, dramat historyczny w dwóch częściach z prologiem, Wilno 1861 r. 4) *Poezye*, wydanie czwarte pomnożone, 2 tomy, r. 1875. 5) *Listy z podróży*, 4 tomy, Warszawa r. 1875. Tychże listów drugie wydanie warszawskie w r. 1884. *Felicyta*, trzecie wydanie w Warszawie i *Wspomnienia z przeszłości*, Warszawa, r. 1884. 6) *Barbara Radziwiłłówna*, poema dramatyczne w sześciu aktach z prologiem, Wilno, 1858 r. 7) Drugie wydanie *Tłomaczeń* wyszło w Warszawie w czterech tomach r. 1874. Wiele utworów A. E. Odyńca tłomaczonych było na język czeski (np. przez Sztulca) i na niemiecki (np. przez Wojcickiego), nie możemy wszakże dla szczupłości miejsca wyliczać tu wszystkich szczegółowo.

We «Wspomnieniach z przeszłości» zajmujący ustęp poświęcił Odyniec opisowi przyjęcia swego do grona tak zwanych Miłośników cnoty, czyli Filaretów. Po przybyciu do Wilna na uni-

wersytet r. 1820, zaznajomiony przez Frejenda z Zanem, Czeczotem i Domejką, a przez Domejkę z innymi starszymi kolegami: Jeżowskim, Kowalewskim, Malewskim i t. d., obserwowany pierwco do swojej konduity przez Czeczota, gdy został do tegoż wezwany, oświadczył mu zbieracz pieśni ludowych, pan Jan, że dostąpi przyjęcia do grona Miłośników cnoty czyli «Filaretów». Przyjęcie to nastąpiło 1 listopada t. j. w dzień Wszystkich Świętych 1820 r., który ważnym był i pamiętnym nie tylko dla samego Odyńca, lecz zarazem i dla całego «Grona Błękitnego», raz jako dzień pierwszego zebrania się w roku szkolnym, w którym Odynieć wstąpił do uniwersytetu, a powtóre jako dzień prawie epokowy w dziejach romantyczności. Na tem bowiem zebraniu — po dopełnieniu przyjęcia dwóch młodzieńców, a mianowicie: Antoniego Edwarda Odyńca i Mikołaja Malinowskiego; po publicznem zdaniu sprawy z posiedzeń Gron innych, które się już były otwarły; po przeczytaniu przez Jeżowskiego rozprawy o pożytkach i potrzebie znajomości języków starożytnych i po złożeniu w myśl jej deklaracyi, tak przez samego referenta, jak przez Józefa Kowalewskiego, że w przeciągu całego roku szkolnego, dla ułatwienia swym kolegom nauki łaciny i greczyzny, miewać będą bezpłatnie po dwa razy w tygodniu korepetycje lekcyi Grodka, a dla użytku szkół wydziałowych wydadzą z ułożonemi przez siebie komentarzami wybór pism Horacyusza i Owidyusza, po zobowiązaniu się wreszcie Malinowskiego, że w tenże sposób skomentuje Eneidę Wergiljusza — Czeczot zasiadł na miejscu Jeżowskiego, trzymając w ręku kilka ćwiartek zapisanego papieru.

Był to list, odebrany świeżo od Mickiewicza z Kowna, zawierający nowe jego poezye, a mianowicie trzy: «Kurhanek Maryli», «Świtez» i «Świtezianka». Czeczot odczytał je z takim uczuciem, iż nawet, czytając *Kurhanek Maryli*, musiał przerwać na chwilę czytanie, aby własne wzruszenie pokonać. Ale jak opisać wrażenie, jakie ogarnęło słuchaczy po przeczytaniu «Świtezianki»? Bez przesady i literalnie powiadam — pisze Odynieć — że bicia serc słyhać było, taka cisza i takie wrażenie zapanowało między obecnymi. Każdy dzielił zachwyt bohatera ballady, gdy przed nim «ponad srebrzyste Świtezi błonie dziewicza piękność wytryska», i że się każdy z obecnych młodych klasyków przeniewierzył odrazu

uwiellbianemu do ostatniej chwili ideałowi poezyi klasyczno-francuskiej, jak on swojej «dziewczynie z pod lasku.» Do owego dnia bowiem, prócz kilku piosnek, śpiewanych na majówkach przez Promienistych, nikt z młodszych nie znał jeszcze innych poezyi Mickiewicza. A i ci nawet ze starszych, najbliżsi przyjaciele, którym on za czasów koleżeństwa dawne swoje utwory czytywał, nie znali właśnie najnowszych, które pisał, będąc już w Kownie nauczycielem szkół tamtejszych.

W pierwszym roku pobytu swojego w uniwersytecie wileńskim młody Odynieć nie miał jeszcze stosunków towarzyskich poza gronem Błękitnem i murami *Almae Matris*, z wyjątkiem domu profesora Szpitznagla, gdzie go jak syna kochano. W tymże jednak domu poznał całe grono niewiast wykształconych i dystygowanych, jak panni Salomea Becu z domu Januszewska, *primo voto* Słowacka, matka Juliusza, i dwie jej pasierbice: Aleksandra i Hersylia, oraz dwie córki Jędrzeja Śniadeckiego: Zofia Balińska i młodsza jej siostra Ludwika. Stawszy się codziennym gościem w ich domu, w obcowaniu w ich towarzystwie, w ciągu lat kilku, odniósł pod każdym względem wielką korzyść moralną i aż do końca życia z czcią i wdzięcznością o nich wspominał. Panna Hersylia (opowiada pan Antoni) oduczała go od komplementów i uniesień w rozmowie, a panna Aleksandra szczególniejszą bacność zwracała na ułożenie i zachowywanie się jego w salonie, a nawet i na toaletę niekiedy.

W tym to okresie — jak się wyraża Adam Pług — etycznego i estetycznego kształcenia się młodego poety, przypadł też najważniejszy moment w jego życiu, który stał się punktem wyjścia dla całej jego działalności literackiej. Momentem tym było pierwsze spotkanie się jego z Adamem Mickiewiczem w maju r. 1821, drugiego dnia Zielonych Świątek. Dzień ten był przeznaczony na wielką fetę filarecką, podczas której miano ofiarować Zarłowi, w dowód czci, miłości i wdzięczności Gron wszystkich, złoty pierścień z napisem: «Przyjaźń zasłudze», a doręczycielem tego daru miał być Mickiewicz, który umyślnie na tę uroczystość przyrzekł przyjechać z Kowna. O czwartej po południu wszyscy już zebrani byli za miastem w górach pod Markuciami, ucztą przygotowana, brakło jedynie Mickiewicza, na którego Malewski oczekiwał na pocztę, aby go pro-

sto stamtąd przywieźć na miejsce zgromadzenia «Starsi wyszli na jego spotkanie (opowiada Odyniec) i mnie Czeczot kazał iść z sobą. Ujrzeliśmy wnet drażki pędzące cwałem i Malewski powiewał białą chustką w powietrzu na znak, że wiezie pożądanego gościa. Płaskowzgórze od strony miasta kończyło się stromą pochyłością, u stóp której szła droga, gdzie zatrzymały się drażki, i obaj przybywający wspinali się bez drogi prosto pod górę, gdzieśmy stali, czekając na nich. Mickiewicz machał czapką w powietrzu na znak powitania; ale choć już był blisko i chociaż wzrok wyteżałem, twarzy jego z góry dojrzeć nie mogłem. Czeczot przyjął go pierwszy w objęcia i długo ścisкали się nawzajem. Z kolei dawni znajomi witali go niemniej serdecznie. Ja, najmłodszy i nieznajomy, stałem na stronie i byłem ostatni, którego mu Czeczot przedstawił. Rzucił na mnie wzrok przenikliwy, ale wnet uśmiechnawszy się łagodnie, zwrócił się do Czeczota i spytał: «Czy to jest Benjaminek-Telemak?» a gdy Czeczot, śmiejąc się, potwierdził, podał mi uprzejmie rękę i także z uśmiechem zapytał: «A Mentor czy zawsze tak gderze?» Nie odpowiedziałem ani słowa, tak byłem strasznie zmieszany i tak mię wzrok jego przeniknął».

Po wręczeniu daru Zanowi i po uczcie, pośród wesolej pogadanki, musiał «Telemak», na żądanie Jana Czeczota, deklamować Mickiewiczowi swoje szkolne elukubracje, których on słuchał z pobłażaniem, a zachęcał młodzieńca do uczenia się łaciny i do wczytywania się w Kochanowskiego i Trembeckiego. Przez cały swój kilkodniowy pobyt w Wilnie okazał mu tyle dobrotliwej uprzejmości, iż nie tylko jako poeta, ale i jako człowiek zniewolił go i przywiązał serdecznie, i już odtąd w marzeniach i myślach młodzieńca stał się prawdziwie człowiekiem przeznaczenia, jakim mu na całe życie pozostał.

Jakoż w tymże (1821) roku nawiązał się bliższy pomiędzy wieszczem a jego młodym wielbicielem stosunek. Powróciwszy po wakacjach do Wilna z Giejstun od rodziców, Odyniec dowiedział się z wielkiem uszczęśliwieniem, że Mickiewicz przyjechał do Wilna i ma tam na urlopie przez cały rok przebywać. Że zaś zamieszkał u Czeczota, więc Telemak, korzystając z łaskawości swego Mentora, starał się jaknajczęstszym bywać tam gościem, aż nareszcie przytulił się całkiem pod jego skrzydła, zamieszkawszy w celi przyległej do tej, którą

✧ Czeczot podówczas zajmował w nieistniejącym dziś klasztorze poseminaryjnym, obok katedralnej dzwonnicy.

Pobyt Odynca w uniwersytecie wileńskim od roku 1820 do 1823 był okresem najświetniejszego rozwoju Szkoły Głównej wileńskiej, kiedy to właśnie gorliwość obywatelska najzdolniejszych profesorów zbiegła się z gorliwością studentów i ich zapalem do nauk w wysokim nastroju duchowym i z obyczajami bez skazy, co było głównie dziełem koleżeńskich i przyjacielskich stowarzyszeń pod przewodnictwem Zana i Czeczota. W nich to obu tkwił ten pierwiastek romantyczny, który pobudził Mickiewicza do szukania nie tylko prawdy w poezji, ale i poezji w prawdzie.

W epoce owej wychodziły w Wilnie, prócz «Kuryera Litewskiego» oraz kilku pism specjalnych, dwa literackie: «Dziennik» i «Tygodnik Wileński», oraz satyryczne a głośnie i wpływowe swego czasu «Wiadomości brukowe», wydawane przez kółko literackie, które nazwało się «Towarzystwem Szubrawców», a do którego, pod prezydencją Jędrzeja Śniadeckiego, należeli między wielu innymi profesor Leon Borowski, Ignacy Chodźko, Ignacy Szydlowski i Michał Baliński. Leonowi Borowskiemu, profesorowi literatury polskiej, poświęca autor «Wspomnień z przeszłości» długi ustęp, składając mu hołd wdzięczności osobistej za podjętą i zachętę do pracy, a podnosząc wielkie jego zasługi, jako żarliwego kierownika młodych talentów, którym i w wykładach z katedry, i w godzinach prywatnych w domu, z prawdziwym poświęceniem udzielał rad pożytecznych i krytycznych swoich poglądów. To też wszyscy uczniowie Borowskiego, jak: Mickiewicz, Ignacy i Aleksander Chodźkowie, Julian Korsak, Michał, Baliński i Mikołaj Malinowski, Odyniec i Hołowiński przypisywali mu tę ścisłość i jasność stylu jaką się cała Szkoła Wileńska, zarówno w prozie, jak mowie wiązanej, odznaczała.

Szerokim rozgłosem cieszyli się w owej dobie, jako rymotwórcy, dawniejsi wychowawcy Uniwersytetu Wileńskiego: współpracownik «Wiadomości Brukowych» i zdolny redaktor «Tygodnika Wileńskiego», gimnazjalny profesor literatury polskiej Ignacy Szydlowski i pełen gorącego entuzjazmu doktor Rosołowski. Jeszcze większą od tych obu miał wziętość Antoni Gorecki, który, lubo nie mieszkał w Wilnie i więcej swych poe-

zyi w pismach warszawskich, niż wileńskich, drukował, urodzony jednak w Wilnie i wychowaniec tu-tejszego Uniwersytetu, słusznie był zaliczony do poetów litewskich i wysoko ceniony za swe bajki i dумы historyczne.

Odyniec we «Wspomnieniach z przeszłości», dawszy poznać głównych przedstawicieli starej czyli klasycznej szkoły Parnasu litewskiego, opisuje następnie pierwszy zawiązek szkoły romantycznej, której przedstawicielami w *Gronie Błękitnem*, t. j. literackim, byli dwaj filareci: Zan i Czeczot. Grono to wszakże wówczas, kiedy się w niem znalazł Odyniec, nie z samych tylko złożone było romantyków. Byli w niem i żarliwi zwolennicy klasycyzmu, bądź starożytnego, jak np. Józef Kowalewski, Józef Jeżowski, Feliks Kułakowski, Jan Wiernikowski, Jan Zahorski i Julian Korsak, którzy przekładali prozą lub wierszem, albo komentowali greckich i łacińskich pisarzy — bądź klasycyzmu nowożytnego, francuskiego, jak Ksawery Turski, który jednak później, oddawszy się gorliwie rolnictwu, zarzucił swój talent pisarski, a stał się wzorem postępowego gospodarza i zacnego ziemianina w życiu wiejskiem.

Grono Błękitne (jak się wyraża Odyniec), było jakby ogniskiem poezji żywej, na podobieństwo elektrycznego stosu Volty, w którym każdy pojedynczy krążek, przez samo zetknięcie się z drugimi, siłę prądu ogólnego pomnaża. Wszelakoż przy tym wzniosłym nastroju serc, przy poważnym kierunku myśli, zebrania koleżeńskie Błękitnych nie ograniczały się do samych tylko poważnych i naukowych dyskusji, lecz owszem nie brakło im swobody, wesołości i pustoty młodzieńczej, a żartobliwa Muza ożywiała je improwizacyami, tryskającymi staropolskim dowcipem. Celowali w tej mierze i rej wodzili Frejend i Kułakowski. Czeczot (który pracował w biurze Komisji Radziwiłłowskiej) zbierał i tłumaczył śpiewy ludowe i sam pisywał piosenki. Odyniec opisuje jego mieszkanie w klasztorze po-seminaryjnym, ubożuchne, z prostem i skromnem, prawie wieśniaczem, urządzeniem. Jednym z najżarliwszych po Odyńcu adeptów szkoły romantycznej, jak również tak zwanej «teorii promionkowej» był Aleksander Chodźko, ulubiony uczeń i pupil Zana, któremu Mickiewicz, w jednej ze swoich improwizacji, świetną przyszłość jako poecie wróżył. Odrazu też w kierunku romantycznym tworzyć poczęli, wprowadzeni

później do Grona Błękitnego przez Odyńca i Al. Chodźkę, Ludwik Spitznagel i Józef Massalski.

Walka klasyków z romantykami znaną jest naszemu ogółowi z dzieł Chmielowskiego, Tarnowskiego i wreszcie wszystkich podręczników do dziejów literatury polskiej. Gdy młody Odyniec od r. 1826 przemieszczał w Warszawie, starsi pisarze, jak: Koźmian, Ludwik Osiński, Morawski (potem z klasyka romantyk) składali osobne niejako towarzystwo zwolenników dawnej szkoły, obok którego występowało inne, złożone z młodszych literatów, a mianowicie: Odyńca, Kicińskiego, Gąszyńskiego, Brodzińskiego, Jana Karola Sienkiewicza, Józefa Korzeniowskiego, pisarzy postępowych, jakkolwiek różniących się pomiędzy sobą w zdaniach i dążnościach. Ogniskiem, łączącym niejako w sobie te przeciwne stronnictwa, był dom Wincentego Krasińskiego, gdzie się zbierali popołu starsi i młodzi, zarówno przyjmowani i ceni. Tam to, szczególnie między Osińskim a Odyńcem, toczyły się żwawe spory o przymioty poezji klasycznej i romantycznej, w których brali udział i inni obecni, a odgłosem tych turniejów były czasopisma, w dość znacznej liczbie wychodzące już wówczas w Warszawie.

Na rozbiór krytyczny dzieł i utworów Odyńca nie może być miejsca w biografii niniejszej, której zadaniem jest tylko treściwy życiorys autora. Jednak sam już stosunek jego z Mickiewiczem, z którego wynikło pomieszczenie biografii Odyńca w niniejszym zeszycie *Albumu*, skłania nas do przytoczenia mało znanego listu, w którym jest mowa o *Felicycie*, celniejszym z oryginalnych utworów pana Antoniego Edwarda. Oto w czerwcu roku 1850 tak pisał autor Pana Tadeusza do przebywającej w Dreźnie ze swoją matką wykształconej panny Dobrzyckiej: «Dzieło naszego przyjaciela Edwarda, było dla mnie źródłem wielkiej pociechy. Czytałem je raz pierwszy z uczuciem radosnego zdumienia; bo chociaż ostatnie pisma Edwarda okazywały ciągły i nie-mały postęp, nie spodziewałem się jednak, aby siła jego tak się prędko i szeroko rozwinęła. Dusza naszego przyjaciela weszła w sferę, z której jedynie spływa wszelka prawda, tak życia, jako i sztuki. Dzieło jego i stąd dla mnie jest radosnym zjawiskiem, że nie mogę go uważać za utwór wyjątkowy, gdzie jest człowiek, będący w stanie dzieło podobne wykonać».

Pragnąc zestawić tu przedewszystkiem głosy poetów o poecie, przypominamy zdanie Pługa, który za prawdziwe arcydzieło Odyńca i największą jego zasługę dla poezji, uważa tłumaczenia z obcych poetów. Leonard Sowiński tak znowu pisze o «Listach z podróży»: «Jest to prawdziwe okno kryształowe, na rzadkiej piękności widowie, którą przeszłość przegrodziła już od nas nieprzejrzaną zasłoną. Czasy odrodzenia się piśmiennictwa naszego w sposób niemal bezprzykładowy w dziejach, czasy ludzi tak rzadko pojawiających się, jak: Mickiewicz, Krasiński, Zaleski, czasy stosunków tak oryginalnych, jak między młodzieżą uniwersytecką w Wilnie, już samą swoją treścią muszą budzić zajęcie każdego ukształconego człowieka. Tembardziej to zajęcie potęgować się musi, kiedy rzecz opisuje świadek naoczny, z głęboką wrażliwością poetyczną przyjmujący wszelkie wypadki, a po mistrzowsku odtwarzający je w obrazach, nacechowanych zarówno dokładnością rysunku, jak i żywością kolorytu. Przymioty te jednomyślnie przyznają «Listom» Odyńca najwytrawniejsi sędziowie. Czytając je, Lenartowicz «nacieszyć się nie może dowcipem i fantazją polską» i twierdzi, że «jest to w swoim rodzaju arcydzieło, jakiemu równego nie posiada nasza, ani żadna literatura». Ze swej strony synowa Goethego, odczytawszy przekład niemiecki części listów o pobycie Mickiewicza i Odyńca w Wejmarze, pisze do tłumacza: «Szczерze mogę panu powiedzieć, że pomimo tylkokrotnych opisów naszego domu i kółka, żaden inny nie daje tak wiernego wyobrażenia o rodzaju ich towarzyskości». Wszystkie te listy poświęcone są opisowi podróży do Włoch w towarzystwie Mickiewicza. Lubo na pozór są one spowiedzią autora z wrażeń i wydarzeń, jakie mu się przytrafiały, głównym atoli bohaterem mniej jest sam autor, niż Mickiewicz. Od niego zaczyna on prawie każdy swój list, do niego nawraca myśl w każdym opowiadaniu i na nim też zazwyczaj kończy. To też wartość tych listów dla nas jest podwójna: obok artystycznych zalet, zapewniających im niepoślednie miejsce w naszej literaturze, dostarczają one tak ważnych wskazówek do wyrozumienia charakteru i moralnego usposobienia Mickiewicza, że za ich pomocą niejedną będzie można rozwiązać zagadkę pod względem duchowego rozwoju naszego wieszczą, tudzież całej działalności jego na polu literatury i życia oby-

watelskiego. Znajdujemy w nich oprócz tego rozrzucone szczegóły, które pod niejednym względem przyczyniają się do wyjaśnienia charakteru takich ludzi, jak Juliusz Słowacki, Stefan Garczyński i inni».

Zamieszkawszy od roku 1865 powtórnie w Warszawie, Odyniec na kilka lat przed zgonem (który nastąpił dnia 15 stycznia 1885 r.) stracił ukochaną swoją małżonkę *). Po tej ciężkiej stracie, mieszkając osamotniony (w domu Zamojskich przy Zielonym placu), wyprosił był sobie u córki (pani Chomętowskiej) trzyletnią wnuczkę Zosię, którą wziął do siebie i przywiązał się do niej całym sercem. Lecz, niestety, i ta pociecha krótko trwała!.. W papierach zgasłego poety znaleziono «Treny», na których manuskrypcie położony był własnoręczny napis: «Do ogłoszenia po mojej śmierci». Treny te zostały wydrukowane w małej liczbie egzemplarzy i, ze względu na uczucia osobistej boleści, przeznaczone zostały przez rodzinę na upominek tylko dla krewnych i najbliższych przyjaciół zmarłego, a nie do rozpowszechnienia wśród szerszego ogółu. Składają się one z Trenów: «Ku pamięci Antoninki», którą była jego córka, i «Ku pamięci Zosi», wnuczki, mającej rozpromieniać dni sierocy owdowiałego starca. Do niej to temi słowy rozpoczyna złamany bolem poeta tren III-ci:

Żle mi bez ciebie, Zulu! i daremnie
Rozbieram w myśli, by cieszyć sam siebie,
Że ci tu gorzej było-by bezemnie,
Że ci tam lepiej z aniołami w Niebie;
Że i ja wrychle pośpieszę za tobą,
Że na to może byłaś mi zesłana,
By, tą ostatnią doświadczonej próbą,
Duch w ślad twój łacniej zwrócił się do Pana i t. d.

Na kilka dni przed zgonem, na łożu, z którego już sam powstać nie miał, 81-letni starzec zaimprovizował prawdziwą łabędią pieśń poety, którą z ust jego przeniósł na papier lekarz przy nim będący, a na której on własną drżącą ręką dopisał jeszcze kilka słów serdecznych, przekazując ją w ostatnim upominku córce swojej najmil-

*) Poeta ożeniony był z Zofią Mackiewiczówną, której rodzona siostra była małżonką Ignacego Chodźki, Mickiewicz znał podobno Zosię jeszcze podlotkiem i postać Zosi z Pana Tadeusza z niej odwo-
rował.

szej. Wiersz ten prześliczny, mający obok prywatnego ogólniejszy, wyższy charakter, a tak pięknie malujący w ostatnich myślach i uczuciach duszę chrześcijanina-poety, brzmi w tych słowach:

Coraz jaśniej i wyraźniej
Czuje, że nmieram,
I z ufnością bez bojaźni
O krzyż się opieram.

Lecz nikt-że z was, moi mili,
Z wieczności podwoi
Nie znijdzie do mnie w tej chwili
Ku pociesze mojej?

Wywołuję was myślami,
Wierzę, że żyjecie;
Lecz będę ja razem z wami
Żyć na tamtym świecie?

To wiedzenie już byłoby
Jak świtem zbawienia;
Lecz ja widzę tylko groby
Wasze i wspomnienia!

I żał w sobie tu na ziemi
Po was tylko wznawiam,
Żegnając się z najmilszymi,
Których sam zostawiam!

Pan Antoni Pietkiewicz, jeden z najbliższych serca zgasłego poety, podał najobszerniejszy jego życiorys w «Kłosach», z którego sporo tu czerpałiśmy. On też (gdzieindziej) pisze o autorze Barbary Radziwiłłówny, jakiemi jaśniał niezrównanymi przymiotami w powszednich swych stosunkach, jako człowiek, ojciec, przyjaciel i towarzysz, który tyle wylewał na otaczających swojej tklivości i nie-

porównanej słodczy charakter. «Wskazówek o jego przymiotach towarzyskich pozostała po nim wielka obfitość, każda bowiem uroczystość domowa dawała mu natchnienie do jakiegoś wierszyka, bądź pełnego ujmującej prostoty i serdeczności, bądź okraszonego żartem wesołym».

Któż z nas, widujących go częściej, nie podziwiał w nim tej olbrzymiej pamięci, w której, jak w skarbnicy nieprzebranej, przechowywały się niezliczone wiersze dawnych kolegów i przyjaciół, utwory nowoczesne poetek polskich i całe poematy wieszczów, które z pamięci sypał, jak z rękawa, co mogłoby zebrane razem, zappełnić kilka tomów drukowanych. Jedna tylko była okoliczność, która psuła Odyńcowi dobry humor w towarzystwie i wywoływała potem sarkazm i żal nad głupotą narodową, oto, gdy w salonie w obecności poety paplaniną francuską rugowano mowę ojczystą.

A. E. Odynieć nie przestał być nigdy ziemianinem powiatu Oszmiańskiego, gdzie posiadał rodzinny swój majątek Giejstuny, w którym ujrzał światło dzienne i który dopiero po jego śmierci z powodu braku męskich potomków przeszedł w obce ręce. Czesław Jankowski w opisie powiatu Oszmiańskiego podaje zdjęty z natury widok typowego staropolskiego dworu w Giejstunach (t. I str. 67) i poświęca całą kartę opisowi tej miejscowości i zniszczenia, jakiemu obecnie uległa, gdzie już tylko w wyciętym sadzie znalazł resztkę altany, pod której cieniem stał niegdyś wózek dziecięcy autora «Barbary» i «Felicity».

Zygmunt Gloger.



Klaudyna Potocka.

* 1802 † 1836.

Hołdy uznania i czci najgłębszej, składane przez potomność zasłużonym zmarłym, są zazwyczaj udziałem geniuszów myśli i czynu, rzadko zaś otaczają pamięć jednostek, które, dzięki jedynie wyjątkowym zaletom serca, zaznaczyły trwalszemi ślady ziemskie swoje istnienie. Klaudyna Potocka nie była geniuszem myśli i czynów; napróżnobyśmy szukali jej wśród owych gwiazd, które blaskiem swoim kraszą firmament umysłowości narodu i ku którym po wszystkie wieki zwraca się wzrok myślicieli. Nie pozostawiła po sobie widomych śladów działalności na polu twórczości literackiej, lub artystycznej. A jednak indywidualność jej była tak wpływowa i potężna, że otoczyła ją już za życia aureola czci ogólnej, że pociągnęła ku sobie nietylko bezkrytyczne tłumy, lecz nawet najwybrańsze serca i umysły tych, którzy stanowili i stanowić będą po wieki ozdobę i zaszczyt narodu.

«Ta kobieta — pisał o Klaudynie Potockiej Mickiewicz — *godzi z rodzajem ludzkim i może natchnąć znowu wiarą w cnotę i dobroć na ziemi*».

Składając hołd sercu Klaudyny, podnosi wieszcz i zalety jej umysłu w słowach:

«Ileż to kobiet naszych jak np. Klaudya Potocka, było zdolniejszych *tak rozumem, jak i siłą ducha* do zasiadania w radach, w rządzie, od wielu mężczyzn!»

Odyniec w dedykacji przekładu «Czcieli ognia» zwraca się do Klaudyny z następnym czterowierszem:

Tyś w moich oczach wyższą od ziemianki,
Wyższą duszą kobiety, Polki, chrześcijanki,
Blask Twój ziemską mych myśli rozproszył ślepotę,
Wiem dziś, jak kochać Boga, kraj, ludzi i cnotę.

Poświęcając *Barbarę Rudziwiłłównę* pamięci Adama Mickiewicza i Klaudyny, śpiewa Odyniec:

Na grób Wasz składam ze czią od Was wzięte dary,
Z Ciebie—treść ducha dziejów, z Ciebie—wzór Barbary,
W Was — geniusz i świętość serce me pojęło,
Z Was światło i natchnienie. Pieśń ma — Wasze dzieło.

Klementyna Hofmanowa uznaje w Klaudynie «prawdziwy wzór miłości bliźniego».

Wincenty Pol we wspomnieniach o Klaudynie pisze:

«Legendarna ta postać tak się wyróżnia od ogółu ludzi i tak się w każdym kierunku po nad zwyczajny ich poziom podnosi, że w legendzie też chyba lub poezji mogłaby ująć odrazu za prawdziwą, jako ideał»,

Stefan Garczyński, któremu Klaudyna siostrzaną swą opieką ostatnie osładzała chwile, przypisywał jej posłannictwo anioła.

Plug w życiorysie Odynca nazywa ją «promienną, idealną, szczytną».

Powołane tu najwybrańsze nazwiska czcicieli Klaudyny same już starczą za najpiękniejszą oprawę do portretu owej niezwyklej kobiety.

W gronie pierwszych spędziła Potocka najważniejszą niedługiego swego życia epokę, ich to myślami i uczuciami koła cierpienia niedoli nieszczęśliwych; nawzajem, wzorem i przykładem bogobojnych, miłosiernych swych czynów, kazała im wierzyć w ludzkość, cnotę, w lepszą dla wszystkich na tej ziemi przyszłość.

Pani arystokratycznego rodu, otoczona od kolebki widokiem doczesnej szczęśliwości, wystąpiła dobrowolnie z owej sfery uprzywilejowanej, by w skromnej sukience siostry miłosierdzia spieszyć tam, gdzie mogła koić cierpienia chorych i umierających. W wątlę jej, od zarania młodości na śmierć rychłą przeznaczonem ciele, tkwił duch poświęcenia bezgranicznego dla istot słabych, opuszczonych, dla wszystkiego, co cierpiało, co tęskniło, co potrzebowało wiary i otuchy, by nie uleść, nie złamać się moralnie pod brzemieniem przeciwności.

Zdawać by się mogło, że postać tak wyjątkowo piękna, powinna była zaznaczyć się w literaturze wydatniejszymi pracami biograficznymi, dla wytłómaczenia przed potomnością tajemnicy owego wpływu, jakim spromieniowała umysły współczesnych i swego poetyckiego otoczenia.

Jak dotąd wszakże, tylko podania przekazują pokoleniom pamięć Klaudyny, podania, co prawda, wyjątkowo cenne, bo pochodzące od świadków bezpośrednich działalności doczesnej owej promiennej postaci. Z tych zatem kamyków barwnych, oszlifowanych przez mistrzów słowa: przez Mickiewicza, Odyńca, Pola, nadto ze wspomnień zanotowanych przez bezimiennego autora we *Wiadomościach* z r. 1860, wreszcie z różnych kilku notatek, użyczonych mi łaskawie przez Wawrzyńca hr. Engeströma, postaram się odtworzyć zarys życia owego «anioła-kobiety», owego ducha, który mógł natchnąć Mickiewicza «wiarą w cnotę i dobroć na ziemi».

Klaudyna Potocka, córka Ksawerego Działyńskiego, wojewody kaliskiego, i Justyny Modesty regimentarzówny, z hrabiów Działyńskich, urodziła się w roku 1802 w Kórniku, w Wielkim księstwie Poznańskim. Dziecięce lata i młodość spędziła w otoczeniu, które ją zawczasu przygotowało do roli niewiasty bogobojnej, pełnej poświęce-

nia dla ideału cnoty i miłosierdzia, jaki w życiu swem ukochała. Otoczona troskliwą opieką rodziców i kształcona na wzorach obywatelskich swych przodków, z zapalem oddała się książkom, rokując nadzieję, że pozostawi po sobie pamięć umysłu głębokiego i twórczego na polu piśmiennictwa. Wychowywana surowo i niemal po spartańsku, nigdy nie korzystała ze zbytku i wygod swego otoczenia arystokratycznego. Prostota, otwartość, abnegacya i pokora — stanowiły cechę jej charakteru i uczyniły ją wytrzymałą na trudy siostry miłosierdzia, którym się z czasem poświęcić miała z istotnem powołaniem. Uzupełnił jej zasoby umysłowe dłuższy pobyt w Paryżu, w gronie ludzi uczonych i wśród salonów wybrańszego towarzystwa nadsekwąńskiej stolicy.

Wstąpiwszy w związki ślubne z człowiekiem gorącego serca i wyobraźni, Bernardem hr. Potockim, synem słynnego podróżnika i uczonego, Jana Potockiego, mogła była Klaudyna prowadzić żywot wymarzony wśród rówieśniczek, oddanych blichtrowi zabaw i rozrywek; lecz dusza jej, namaszczona chryzmatem poświęcenia się usługom miłosierdzia, zapragnęła innych, wznioślejszych warunków działalności.

«Jako dowód, — świadczy hr. Engeström — ile wszelkie blichtry i okazałości światowe były jej obojętne, służyć może fakt charakterystyczny, iż na ślub jej, odbyty za zezwoleniem biskupa w pałacu Konarzewskim, nikt zaproszonym nie był. Zaniechano wszelkiej ostentacyi. Konie osiodłane stały przed domem, czekając na nowożeńców, którzy zaraz po ślubie w zwyczajnem ubraniu codziennem odjechali do majątku młodej pani, do Trzebawia, na wyspę, na której Tytus hr. Działyński, wystawił dla ukochanej siostry prześliczny zameczek, dziś w uroczą, pamiątkową zamieniony ruinę».

Gdy w trzecim dziesiątku wieku bieżącego pojawiła się nad Wisłą cholera, dziesiątkując ludność, wtedy właśnie, gdy zaburzenia wojenne w kraju i brak środków sanitarnych tamowały możliwość natychmiastowego ratunku, Klaudyna przywdziała wełnianą, szarą sukienkę, z którą się już nie rozstała i obciawszy bujne sploty włosów, by jej nie zawadzały i czasu niepotrzebnie przy trudach szpitalnych nie zabierały, pośpieszyła do Warszawy, by tu, wspólnie z towarzyszkami, zrekrutowanymi z dam arystokracji: Benigną



Klara Potoka

Malachowską, Emilią Szczaniecką, Sowińską, Klementyną Hofmanową, Anną z Rejtenów Gieryczową, Teresą Kicką, Rozalią Biszpingową, zorganizować służbę ratunkową szpitalną i oddać się z poświęceniem bezgranicznem sprawie miłosierdzia.

«Jej ręką udzielane leki — pisze cytowany bezimienny autor — przędszą i pewniejszą czyniły ulgę cierpiącym. Na jej to rękę niejeden jadłem boleści trawiony, lżej oddawał ostatnie tchnienie gasnącego życia. Chorzy mieli ją za istotę, nadludzką siłą obdarzoną. Niejeden na łożu boleści konającym głosem powtarzał: «Gdybym ją ujrzał, umarłbym spokojnie.» Klaudyna przychodziła wtedy, siadała przy łożu umierającego, jego rękę wpółmartwą i chłodną ująwszy w swe dłonie, śledziła każde spojrzenie niknącego wzroku i zostawała do chwili, gdy konające usta z ostatnim tchnieniem wyjęczeć jeszcze mogły jej imię, aż ścięte śmiertelnym chłodem zamilkły na wieki.»

Po uśmierzeniu kłęski powróciła Klaudyna z mężem do stron rodzinnych, lecz reakcja polityczna w W. Ks. Poznańskim zagnęła Potockich do przeniesienia się do Drezna.

Nadwątłone wysiłkiem zdrowie nie rokowało Klaudynie długiego życia. Wiedziała o tem dobrze sama i dlatego nie mogąc już czynnie dla dobra ludzkości cierpiącej pracować, postanowiła całe swoje mienie oddać utworzonemu pod prezydencją pani Dobrzyckiej komitetowi dobroczynności. Spieniężyła wszystkie klejnoty rodzinne, wyzuła się ze wszystkich uprzyjemniających życie wygod, by takim przykładem zachęcić rówieśniczki swoje do czynów abnegacyi i poświęcenia.

Tu, w Dreźnie, w roku 1833 zawiązany został, niestety, już nie na długo, związek serdeczny Klaudyny, z tem, co umysłowość polska wydała kiedykolwiek gienialnego i szlachetnego, z postaciami takimi, jak: Mickiewicz, Garczyński, Witwicki, Pol, Odyniec, Klementyna z Tańskich. W gronie takim, gdzie po trudach dni, spędzanych na niesieniu pomocy nieszczęśliwym, Mickiewicz odczytywał ustępy z *Diadów*, gdzie Pol śpiewał *Pieśni Janusa*, gdzie Garczyński snuł *Dieje Wacława*, dojrzewała dusza Klaudyny i znajdowała nową podniecie do poświęcenia ostatka życia swego tym, którym się również niewiele od życia należało, i tu dostąpiła uroczystego hołdu

ze strony czcicieli jej cnót, w formie symbolicznego daru, składkowemi ofiarami ziomek jej poświęconego.

Gdy Mickiewicz wyjechał do Paryża, Klaudyna towarzyszyła umierającemu na suchoty Garczyńskiemu w podróży do Szwajcaryi. Tam nie zadługo w miejscowości Bex znalazł się przy łożu chorego i Mickiewicz. Widok poświęcenia się Klaudyny dla gasnącego przyjaciela przejął serce wieszczą istotnym podziwem. «Ta kobieta — pisał do Domejki — życia ma tylko na parę godzin, a przecież znajduje zawsze siły na służenie innym».

I w duszy Klaudyny wzmogło się dla Mickiewicza uczucie zachwytu, gdy widziała w nim serdeczne współczucie i żal nad dołą przyjaciela. «Mickiewicz dzień i noc nie odstępował Stefana — pisała do Odyńca. — Duszę jego w geniuszu przečułam a z podziwieniem, ze łzami na niego patrzę. Wyższy jest od nas wszystkich sercem, cnotą, duszą, jak jest i geniuszem wyższym od wybranych».

Nie rozluźniły się serdeczne stosunki Klaudyny z rodziną Mickiewicza i po śmierci Garczyńskiego, który stanowił tak piękną między owymi wyjątkowemi istotami spójnię.

20 września 1833 r. zamknął Garczyński powieki. «Takiej straty nic nie zastąpi — pisała Klaudyna — a przecież za nagrodę liczę, że mi Bóg pozwolił go poznać, zasłużyć na zupełną jego przyjaźń i nie jedną ciężką osłodzić mu chwilę. Dziś mimowolnie w górę patrzę, kiedy się sądu jego lękam, w górę, za nim, kiedy mi tęskno, zimno między ludźmi».

Przed końcem 1834 r. wybrała się Klaudyna do Avignonu i pomodliwszy się na grobie Garczyńskiego, zerwała listek na intencję Mickiewicza i zawinawszy go w ćwiarkę papieru, przysłała poecie do Paryża. Wieszcz dar ów przyłączył do pamiątek, które przechowywał do zgonu.

Niezadługo, jakby w przeczuciu bliskiej śmierci, wybrała się Klaudyna z mężem do Mickiewicza, by w gronie wieszczą i jego rodziny zaczerpnąć sił do walki z trawiącą i nierokującą już długiego życia chorobą. Duch jej koł się wzniosłemi myślami Mickiewicza i krzepił otuchą lepszej doli. Uległa namowom życzliwych i wybrała się do Szwajcaryi pod łagodniejsze niebo. W czerwcu 1836 roku zatrzymała się w Genewie.

Tu jednak niewygody podróży podkopały do reszty nękane, podtrzymywane jedynie wysiłkiem ducha, siły fizyczne chorej. Dnia 8 czerwca zamknęła Klaudyna oczy do snu wiekuistego.

Gdy zwłoki jej złożono na cmentarnem pustkowi, grono zebranych rodaków postanowiło wzniesć pomnik spiżowy dla uczczenia pamięci owej niepospolitej kobiety. Zamiar ów nie został urzeczywistniony. Cmentarz genewski obrócono na inne cele publiczne, a zwłoki Klaudyny przewieziono do Paryża staraniem Zdzisława Czartoryskiego i złożono w grobowcu generała Zamoyńskiego w Montmorency. Pamiątką zamiaru rodaków stała się jedynie akwarella, wyobrażająca ów pomnik, znajdująca się obecnie w Poznaniu, w kaplicy grobowej panny hrabianki Cecylii Działyńskiej. Czciociele cnót zmarłej otrzymali pierścienie z napisem: «Klaudyno, módl się za nami!»

Trwalszą nad brzozy i spiże zbudowała sobie Klaudyna pamięć w instytucji dobroczynnej «*Czci i chleba*», do dziś dnia z funduszów przez nią zapisanych istniejącej w Paryżu, i we wdzięcznych sercach potomności, która otacza i otaczać nie przestanie nigdy czią nazwiska tej, której niedługi żywot był pasmem cnót niewieścich i czynów miłosierdzia i poświęcenia dla dobra nie-szczęśliwych.

Wyrazem czci ze strony Mickiewicza dla Klaudyny było między innemi powierzenie jej na krótko przed zgonem rękopisu III Części *Diadła* oraz zamiar ofiarowania jej swego popiersia. Zanim to stać się mogło, nastąpił zgon Potockiej. W liście do Dawida d'Angers z roku 1836 wspomina poeta o swoim zamiarze i kończy słowami «Znałeś ją, wiesz wielkość naszej struty».

Na wiadomość o zgonie Klaudyny pisał Odyniec do Mickiewicza 23 Czerwca 1836 r.

«Wiesz i pamiętasz, czem była dla mnie Potocka... Oprócz Ciebie jednego, z nikim nigdy w życiu nie spotkałem się tak duszą, nikogo oprócz Ciebie nie widziałem tak wysoko nad ludzi i tak świętym. Ona mi była gwiazdą moralną, na którą w każdym kroku patrzałem z sercem, podług której wszystkie swoje postęпки i uczucia sądziłem. To też nie wiesz, Adamie, jak mi nagle *smutniej na świecie*. Twoje to jest wyrażenie w Rzymie, które po każdej nowej stracie coraz okropniej powtarza się w mojej duszy».

Nie podobna rozstać się z anielską postacią Klaudyny bez przytoczenia jej charakterystyki, skreślonej przez Wincentego Pola:

«Z niezachwianą stałością i mocą bohater-skiej duszy i charakteru łączyły się w niej zarazem słodycz, łagodność, cierpliwość i pokora siostry miłosierdzia. Rozum jasny, trzeźwy, praktyczny w okolicznościach codziennego życia, przybierał wszystkie tęczowe barwy poezyi, ilekroć sam, jak tęcza podniósł się nad ziemię i szerszy widnokrąg bgarniał, albo się w tajemniczy świat ducha zagłębił. A wszystko to było owiane takim urokiem wdzięku i uczuć niewieścich, takim blaskiem estetycznego i towarzyskiego wykształcenia, że połączenie w jednej osobie tych tak sprzecznych napozór rzeczy, nie śmiem powiedzieć, przymiotów, czy zalet, nie da się ani pojąć, ani wytłómaczyć przez nic innego, jak chyba przez ten cudowny stan duszy, którą strata najdroższych uczuć i nadziei ziemskich tak nagle i tak całkiem zwróciła ku Niebu, że bezwiednie dosięgła do tej wyżyny, gdzie się już tajemniczy wpływ Łaski zaczyna i wybranych jakby widomą aureolą otacza».

Alexander Kraushar.

Stefan Garczyński.

* 1805 † 1833.

Do wyższych rzeczy wdychać przyuczony z młodego p. t. *Wacława dzieje* i garstki drobnych wierszy, atoli, jakkolwiek są to ledwie pierwociny naszego autora, znać już w nich niezwykłą siłę myśli, głębokość uczucia i niekiedy oryginalność pomysłów.

I zazdrościłem chmurom,
wiatrom, nocy całej:
Chmurom ich błyskawicy,
wichrom pędu jazdy.
I ja tam chciałem gonić,
skąd te wichry wiały,
I chwycić błyskawicę, i
z gwiazdy do gwiazdy
Wyciągnawszy ramiona,
skrzydłem fali płynąć,
I w chmurach, wiatrach,
gwiazdach, w światach,
w niebie zginąć!

Powyższe wiersze doskonale charakteryzują młodego poetę, który w piersiach swych nosił zadatki wielkiego talentu poetyckiego, chciał — wedle słów Odyńca — nazbyt wysoko dojść o ludzkiej sile, chciał stać się doskonałym, a któremu jednak śmierć zbyt wczesna nie pozwoliła należycie skrzydeł rozwinąć. Cała spuścizna literacka po Garczyńskim jest wogóle bardzo szczupła, bowiem ściąga się do jednego poemaciku niedokoń-



Wykonany według współczesnej litografii.

Stefan Garczyński.

czzonego p. t. *Wacława dzieje* i garstki drobnych wierszy, atoli, jakkolwiek są to ledwie pierwociny naszego autora, znać już w nich niezwykłą siłę myśli, głębokość uczucia i niekiedy oryginalność pomysłów.

Stefan Garczyński urodził się w r. 1805 w Kosmowie pod Kaliszem; w dziesiątym roku życia utracił rodziców, znalazł troskliwą opiekę u ciotki swej hrabiny Skórzewskiej, która usiłowała dać mu staranne wychowanie. Z tych lat dziecięcych jego wiemy o jednym tylko fakcie, który głęboko utkwiał w umyśle wrażliwego dziecka; był to mianowicie powrót Prusaków do księstwa Poznańskiego po upadku Napoleona, o czym poeta opowiadał później Mickiewiczowi; fakt tego powrotu wywarł tak wielkie wrażenie na jedenastoletnim wówczas chłopcu, że pod jego wpływem poprzysiągł on wieczną

nienawiść ku Niemcom. Pierwsze nauki pobierał w Bydgoszczy, a potem kształcił się dalej w Trzemesznie i Warszawie, zaś wykształcenie uniwersyteckie otrzymał w Berlinie, dokąd pociągnęły go w owym czasie wykłady Hegla, który wywierał ogromny wpływ na młode umysły, niezdolne jeszcze do krytyki samodzielnej. Wpływowi temu uległ i Garczyński tem łatwiej, że przybywszy już do Berlina z mocno zachwianymi podstawami religijnymi, szukał wtedy materiału do nowej budowl, którą usiłował zastąpić spekany gmach wiary młodzieńczej. Takim materiałem wydała mu się idealistyczna filozofia Hegla, w której na razie upatrywał on najwyższy wykład idei chrześcijaństwa; wszakże trwało to bardzo krótko: ubóstwienie siły rozumu w filozofii Hegłowskiej i całkowita jego przewaga nad uczuciem, a stąd apoteoza polityki Niemiec, nie mogły się podobać młodemu poecie, na którego, obok prądów społecznych, poczęło w tym czasie powoli oddziaływać tchnienie romantyzmu. Trudno nam dziś dla braku materiałów określić bliżej, w jaki sposób przetwarzały się pojęcia jego pod wpływem czytanego w tym czasie Bajrona, Mickiewicza i poetów niemieckich; twierdzić tylko można napewno, że ostatnie lata pobytu w Berlinie, a następnie czas podróży po Włoszech (w r. 1829 i 1830) były chwilą przełomową w dziejach umysłowego rozwoju poety; od tej pory pojęcia jego ostatecznie się krystalizują i staje się on romantykiem zdecydowanym, gdy woła: «Bóstwo zapału tylko ujrzysz okiem», a nawet odzyskuje równowagę w dziedzinie wiary, prawdopodobnie dzięki Mickiewiczowi przeważnie, z którym się poznał w Rzymie i ścisłą zawarł przyjaźń. W tym czasie w głowie jego powstał plan *Wacława*, mającego być wyrazem i odzwierciedleniem świeżo przebytej walki duchowej naszego autora.

Z początkiem suchot wyruszył zagranicę najpierw do Drezna, a następnie z polecenia lekarzy do południowej Francji, gdzie w Awinionie zmarł 20 września r. 1833 na rękę nieodstępnych swych przyjaciół: Mickiewicza i Klaudyne Potockiej.

Dotychczas jeszcze, pomimo krytyki profesora Tarnowskiego, istnieje przekonanie, jakoby najcenniejszym utworem Garczyńskiego były *Wacława dzieje*, którym pierwszy Mickiewicz w prelekcjach swych o literaturach słowiańskich nadał szerszy rozgłos i zbyt pochlebną opinię o tym

utworze powagą swoją ustalił. W czasach późniejszych Stanisław Tarnowski w rozprawie swej: «Stefana Garczyńskiego *Wacław i drobne poezye*» (1872) wygłosił o utworach tego poety wręcz odmienne zdanie, przechylając się atoli w drugą ostateczność: przytem potępiwszy *Wacława*, ledwie mimochodem napomknął o wierszach drobnych, nie kładąc należytego nacisku na ich zalety. Pomimo to, porównawszy obie te krytyki, zniewoleni jesteśmy więcej słuszności przyznać Tarnowskiemu. *Wacława dzieje* są niewątpliwie utworem słabym, nadto przechwalonym przez wielkiego poety, który podnosząc główną jego ideę i olśniony nią, nie uważał za potrzebne zwrócić baczniejszej uwagi na jego stronę artystyczną, na samo przeprowadzenie tej idei.

Dzieje Wacława są właściwie dziejami ducha samego Garczyńskiego, który najpierw ukazuje nam swego bohatera w oświeceniu dość efektownem, jako niedowiarka filozoficznego i wątpliwego w istnienie Boga. Wacław — to człowiek nieszczęśliwy, któremu ani filozofia, ani religia nie dały rozwiązania najważniejszych zagadnień życiowych wogóle i narodowych w szczególności. Stąd zrodziło się w nim zwątpienie w sprawiedliwość najwyższą nie tylko pod wpływem książek, filozofii, ale i skutkiem warunków wyjątkowych bytu społecznego. Widząc w religii hołdowanie tylko czczym formułkom i sparodyowanie idei miłości, a w filozofii usprawiedliwienie gwałtów i przemocy siły brutalnej, przytem przewagę bezwzględną chłodnego rozsądku nad wszelkiem uczuciem, bohater nasz staje się czemś nakszałt Manfreda lub korsarza bajronowskiego, staje się jednym z tych marzycieli-bajronistów, których cały zastęp wśród społeczeństw europejskich stworzyli poeci angielscy i niemieccy, a których najrozmaitsze wizerunki spotykamy w licznych utworach naszej literatury od czwartej części «Dziadów» aż do »Powieści bez tytułu« Kraszewskiego. Wacław w rozterce z samym sobą staje wkońcu nad brzegiem przepaści i, kto wie, czy nie skończyłby samobójstwem, gdyby nie uratowała go scena w karczmie. W scenie tej niepomniernie nas razi zbyt słaby czynnik w stosunku do wielkiego wpływu, który wywiera na Wacława; a nieprawdopodobieństwo psychologiczne jest tu zbyt widoczne. Jest to błąd rażący wprawdzie, ale na częściowe usprawiedliwienie Garczyńskiego należy zaznaczyć,

że takie właśnie sposoby sprowadzania nagłych zmian w duchu bohaterów, były w owym czasie niejako w modzie i najwięksi poeci europejscy ich używali, co prawda, z mniejszem lekceważeniem psychologii człowieka.

Wacław od tej pory pożąda czynu i, podobnie jak Kordyan Słowackiego, wchodzi na pole działalności publicznej, wszakże, jak i ten ostatni, nie uwydatnia potrzebnej potemu energii i siły woli. Jak i Kordyan, jest on człowiekiem najlepszych chęci, nawet pełny zapału, nie ostudzonego wpływem sceptycyzmu i pesymizmu, ale obok tego jest istotą słabą, chorobliwie nerwową, a więc niezdolną do czynu, umiejacą tylko pozować i rozprawiać, posługując się szumnemi frazesami, ale nigdy działać. Na wyjeździe jego za granicę bez jasno zresztą wypowiedzianych powodów urywa się poemat, złożony z dwóch części. Jakie byłyby dalsze losy bohatera, trudno przewidzieć.

W utworze tym Garczyński zamierzył skreślić bohatera, jako człowieka niezwykłego, uderzającego czytelnika tragizmem swego ducha na wzór bohaterów Bajrona lub może i Konrada z trzeciej części «Dziadów»; atoli nie sprostał temu zadaniu,

skutkiem czego Wacław raczej komiczne w niektórych razach sprawia wrażenie, a wogóle wzbudza nie podziw, jak chciał autor, jeno litość, jako istota nienormalna i słaba duchowo, jako objaw patologiczny. To jest właściwie największy błąd w poemacie, obniżający bardzo jego wartość; jeśli przytem zwrócimy uwagę i na słabe wogóle wykonanie szczegółów, mianowicie na brak plastyki i szerszego traktowania epizodów, co zazwyczaj zdarza się u autorów początkujących, zmuszonych na każdym kroku łamać się z formą, musimy pójść za zdaniem profesora Tarnowskiego i przeznaczyć temu utworowi miejsce podrzędne w dziale poetyckim okresu romantycznego.

Natomiast o wiele wyżej stoją pod względem siły uczucia, obrazowości, prawdy i formy nawet drobne wiersze Garczyńskiego. To też owe utwory, jakkolwiek drobnych rozmiarów, świadczą chlubnie o niepospolitym talencie poetyckim Garczyńskiego, który umiał w nich wznieść się na szczyty prawdziwej poezji, porywając czytelnika nie siłą myśli, ale potęgą uczucia przede wszystkim.


J. Nitowski.



Joachim Lelewel.

* 1786 † 1861.



 Henryk Laelhoeffel de Loewensprung, lekarz nadworny Augusta III i konsyliarz JKMcI (ur. 27 paź. 1703, um. 1763 d. 11 marca) oświadczył się o rękę Konstancyi Jauch, 18-letniej, posażnej córki generała artylerji koronnej, dyssydenta Sasa i Maryanny z Münichów, katolickiej Szwajcarki. Podobał się rodzicom lepiej, niż inni konkurenci i zaślubił pannę w 1741 r. Był też dla niej dobrą partją: zamożny, dobrego serca, poważny, należał do wyższego towarzystwa w stolicy. Żona jego mogła wytańczyć się na balach dworskich i otrzymywała zwykle bilety na operę lub komedye, grywane w pałacu Saskim. Była rządna, oszczędna, pracowita. Wyszywała pełą pokrycie na meble i ornaty, hodowała jedwabniki i wysyłała na sprzedaż do Lionu jedwab własnej produkcji, a przytem starannie chowała dzieci, których urodziła trzynaścioro. Na planie m. Warszawy, zdjętym w r. 1762 przez podpułkownika inżyniera Ricaud de Tirregaille'a, przerysowanym na mniejszą skalę przez Lannoniego, jest zaznaczony «palais Lelheyle». W istocie doktor nabył przy ulicy Miodowej duży dom modrzewiowy, przed stu laty zbudowany, a tak mocny, że istniał jeszcze w 1850 roku; dziś miejsce to zajmuje posesya Lessera. W ogrodzie rosły wyborne drzewa owocowe i morwy. Od ulicy zaczął budować kamienicę okazałą, ale budowy dokończyła już po jego śmierci wdowa, wynajęła na mieszkanie nuncyuszowi papieskiemu i przeprowadziła się na ulicę Święto-Jańską, na róg Ptasiej, czyli Zapiec-

ka (Nr 9). Oprócz owego «palacu» dzieci jej otrzymały w darze kamienicę na ulicy Długiej Nr 540 (przedostatnia od rogu Freta) zapisem testamentowym od przywiązanego do rodziny nauczyciela Korsoniaka—wypadek niezwykle, świadczący o niezwyklej też przymiotach szanownego stadła. Joachim Lelewel był wnukiem jego wcale niewdzięcznym i niesprawiedliwym. Bo czyż powiedział nam kiedykolwiek, że dzięki dziadkowi znalazł się w wyższej warstwie społeczeństwa krajowego i że babka wzorowo opiekowała się dwoma pokoleniami potomstwa swego w ciągu 42-letniego wdowieństwa, aż do śmierci, która nastąpiła d. 29 września 1805 r. On, historyk, nie podał żadnych wiadomości, nie zapisał dat z ich życia, jak to uczyniła jego cioteczna siostra*). Dziadka nie znał, bo się urodził we 23 lata po jego zgonie (d. 22 marca 1786); ale od babki niezawodnie odebrał przynależny mu udział troskliwości, a wspominał o niej w znanej nam korespondencji tylko dwa razy na emigracji i to z przekąsem. Miał do obojga urazę, że nie dali mu «ani kropki krwi Lecha», że byli niemieckiego pochodzenia: «Prusak i Saksonka, choćby w Warszawie

*) Antonina z Cieciszowskich Netrebska: «Wspomnienia rodzinne» spisane w r. 1845 podług opowiadań i notatek babki, oraz własnych wrażeń, opatrzone dopiskami jej siostrzeńca Wacława Łuszczewskiego, zostały mi łaskawie udzielone w rękopisie przez jej wnuczkę cioteczną, p. Jadwigę Łuszczewską, t. j. Deotymę. Tu znaleźliśmy poprawnie napisane nazwisko: Jauch, gdy w «Listach» J. J. Poznańskie Zapisy 1879, t. II st.—61) mylnie wydrukowano: «Jazich».

urodzeni, ale z Sasa, a do tego z Szwajcarki Münich. To prawda, że jej krewniak Münich za Augusta III uchodził w Warszawie za najgorliwszego patriotę polskiego: ale zawsze był to Szwajcar, a nie szlachcic polski». I dziad nie brzydził się przecież polszczyzną: magistrował się w Wilnie, pisał się po polsku w aktach sądowych. Ale kota swego ulubionego i bardzo mądrego, nazywał z niemiecka: «Katzerle» i synów wyprawił na naukę za granicę: Henryka (który tam umarł) do Bononii, Karola do Getyngi. Ten Karol-Maurycy, ojciec Joachima, po powrocie z za granicy w 1768 roku, wszedł do gwardyi koronnej w stopniu kapitana (zakupionym dla niego podobno jeszcze przez ojca), potem urzędował w Komisji Edukacyjnej przez cały czas jej istnienia 1775—1795, jako kasyer generalny, kupił wieś Cygowską Wolę (4 mile na wschód od Warszawy), a więc został ziemianinem-posesyonatem 1786 *); ożenił się z Ewą Szelutówną, córką cześnika rzeczyckiego (1783), a więc dał dzieciom kroplę krwi polskiej. Jednakże Joachim jeszcze nie był zadowolony ze swego rodowodu; «To prawda, że ojciec i matka byli mazurskiego urodzenia, ale matka z ojca Szeluty». Tak się zapędzał, czy zaślepiał w prowincjonalizmie swoim, że nieraz w druku dodawał do swego nazwiska: «Mazur», wiedząc, że krwi mazurskiej w żyłach swoich nie miał. W listach wszakże od r. 1808 znajdujemy zwykle dopisek: «Babuni Dobrodziejce rączki i nóżki całuję». Stosują się te słowa oczywiście do starej Szeluciny, która w owym czasie mieszkała przy Karolostwie. Pomijając kwestyę krwi, należącą właściwie do antropologii, Lelewel urodził się i wychował w otoczeniu nawskość polskiem. Ciotka jego Teresa była zameżną za Adamem Cieciszowskim, sekretarzem sejmowym z r. 1771., pisarzem w. kr., komisarzem Skarbu Koronnego, wreszcie, regentem kancelaryi J. K. M. pokojowej, czyli dyrektorem gabinetu Stanisława Augusta od r. 1780. Umarł młodo, w 40 roku życia, dnia 10 maja 1783 r.; wdowa otrzymała 12,000 dukatów za jego zasługi od króla i objęła w posiadanie nabytą (za 180 złp.) od krewnego część dóbr Okrzeja, Wolę Okrzejską, dokąd jednakże sprowadziła się z Warszawy razem z matką swą, Konstancją z Jauchów Lelewe-

*) Zaszczycony był urzędem ziemiańskim cześnika litewskiego (1790).

lową, dopiero w 1798 r. na Wielkanoc. Kacper Cieciszowski, brat Adama, sufragan od 1776, następnie rzeczywisty biskup kijowski (1784—1796), pińki (1796—1798), ostatnio łucko-żytomierski, (1798—1831) używał wielkiego poważania, jako światły, dobrotliwy i dobroczynny pasterz. Z Cieciszowską ożenił się Pius Kiciński, szef gabinetu królewskiego (1783—1792), wymowny poseł na sejmie czteroletnim, a za królestwa kongresowego senator-kasztelan, jeden z najzacniejszych i najzdolniejszych ludzi swego czasu. Z Kicińską znów, siostrą Piusa, był żonaty Józef Dessert, jego zastępca w gabinecie, pierwszy sekretarz królewski, człowiek poczciwy, dobry obywatel kraju. Wreszcie od nich wszystkich Jan Paweł Łuszczewski zaślubił Aleksandrę Cieciszowską, córkę Teresy, a siostrę cioteczną Joachima Lelewela w r. 1790; będąc sekretarzem sejmu czteroletniego w pierwszym składzie, a posłem sochaczewskim w drugim; w 1794 przyjął obowiązki członka Administracyi Pożyczek Skarbowych. Po ustąpieniu prusaków z Warszawy wysłany do Napoleona, otrzymał od niego nominację na sekretarza generalnego Komisji Rządzącej, a potem niebawem został ministrem spraw wewnętrznych Księstwa Warszawskiego i sprawował ten urząd aż do śmierci (1807—1812 *). Wszystkie wymienione osoby zachowały serdeczny, a nigdy niezachwiany stosunek familijny. Nawet po upływie lat kilkudziesięciu syn Łuszczewskiego, Wacław, i wnuczka jego, od lat młodocianych uwielbiana wieszczka Deotyma, odwiedzali Joachima Lelewela, już starca dwukrotnie (1855—1860) w imię pokrewieństwa **). Pierwsze nauki pobierał Joachim w domu rodzicielskim od wzywanych na lekcye prywatne XX. Pijarów — Urnera, Dąbrowskiego i Konkowskiego; z tych drugi słynął jako dzielny matematyk. Ale podupadł majątkowo pan Karol; stracił urząd kasyera, a więc i pensyę, gospodarował na Woli Cygowskiej nieumiejętnie, kamienica zaś Korsoniaka, przeznaczona dlań z działu familijnego, dawała

*) W takim gronie można było zebrać najlepsze informacje do panowania Stanisława Augusta, żeby napisać jego dzieje.

**) Wiadomości o stosunkach służbowych, rodzinnych i majątkowych Cieciszowskich, Kicińskich i Dessertów, obficie dostarczają nie badane dotychczas teki papierów Piusa Kicińskiego, znajdujące się w jednej z większych bibliotek warszawskich. Stwierdzają się one i uzupełniają «Wspomnieniami» A. C. Netrebskiej i drukowanemi listami Joachima Lelewela w wydaniu 1897 r.

mały dochód. Nie starczył tedy na wychowanie pięciorga dzieci (trzech synów i dwu córek). Dobra siostra, Teresa Cieciszowska, chcąc mu ulżyć ciężaru, zabrała do siebie Joachima. Miała pod ręką pijara X. Moroza, który dawniej uczył jej dzieci, był szczerym przyjacielem rodziny i zawdzięczał jej protekcyi probostwo w Okrzei. Udzielał też lekcyi Joachimowi, o ile pozwalały mu na to obowiązki względem parafii.

Tu jednak, w Woli Okrzejskiej, objawiło się już w 13-letnim malcu nadzwyczajne zamiłowanie i zdolności do historyi, obok samodzielności umysłu. Z listów, pisywanych do brata Prota w ciągu 1799 i 1880 roku, widzimy, że chociaż nie znał jeszcze «gramatycznych, językowych reguł» na klasę trzecią, to «historye państw wszystkie» miał spisane, oprócz Zangwebaru, Monomatopy i innych afrykańskich, a w Ameryce brakowało mu imion kacyków. Potem załatwiwszy się z «historią hiszpańską, portugalską, francuską i z cesarzami Meksyku, pisał historię polską do Kazimierza Wielkiego, życie Goworka, Zamoyskiego, Orzechowskiego, Tarnowskiego, Chodkiewicza, Żółkiewskiego, a co najdziwniejsza — czuł potrzebę objaśnienia wielu rzeczy z prawa cywilnego i politycznego (d. 14 października 1800 roku, w 15 r. życia).

Musiał czerpać wiadomości i pojęcia z książek, jakie się znajdowały w bibliotece domowej, jako to: Rollin, Naruszewicz, kroniki polskie, podręczniki pijarskie, Biblia. Krewny Konst. Szeluta darował encyklopedyjkę małą.

Po tej domowej nauce dostał się Joachim do szkoły publicznej, do warszawskiego konwiktu Pijarów. I tu wszakże nie znalazł kierownika do ulubionych swych zajęć; mógł wszakże swobodnie sam pracować w swojej «klatce» czyli izdebce, odgradzonej kratą od wielkiej wspólnej sali. Zaczął formować własną bibliotekę, kupując książki historyczne i geograficzne. Nabral zamiłowania do map: nie tylko wpatrywał się w zakupowane, ale przerysowywał całe atlasy. Zasad kartografii i używania farb nauczył go ojciec. Plon jego samodzielnej pracy był niezwykle, gdy na egzaminie wprawił w «podziwienie» kolegów i rektora Kamińskiego. Ten wyświadczył młodzieńcowi zaszczyt nie lada, ofiarując mu do wykonania rozpoczęte, czy zamierzone przez siebie samego uzupełnienie faktami z historyi polskiej słynnych

tablic chronologicznych Blaiza. Była to duża księga, tłumaczenie francuskie z oryginału angielskiego, wydane i uzupełnione przez «obywatela» Chantreau w roku IV Rzeczypospolitej, czyli 1795. Miała przewyższyć wielką pracę Benedyktynów: *L'art de vérifier les dates*, rozszerzeniem granic czasu. W istocie chronologia ta mieści pod numerem 1 daty stworzenie świata: 23 października, niedziele w roku 4004 czy 5872, czy 4700 przed Chrystusem, i stworzenie Adama i Ewy w piątek 28 października. Polska posiadała swoją rubrykę aż do trzeciego rozbioru, ale świecącą tylko imionami królów pod rokiem wstąpienia ich na tron. Lelewel poczynił podobno żądane dopiski, lecz te nie ukazały się w druku. Przedwczesnym też byłby występ publiczny dla piątoklasisty.

Na studia wyższe 18-letni młodzieniec obrał sobie nie Królewiec, lecz Wilno, przez obawę, by mimowolnie nie zniemczał. Odwiózł go sam ojciec, polecając profesorom. Husarzewski, Narwojsz, Malewski, Jundziłł i młodszy znali i ze czcią powitali dawnego kasyera Komisji Edukacyjnej: Poczubutt i rektor Stojnowski uprzejmie przypominali dawniejsze z nim stosunki i wspólne usługi publiczne. Joachim został niezwłocznie zaliczony do kandydatów stanu nauczycielskiego, a jako taki otrzymał stypendyum 1,000 złp. rocznie. Z myślą wolną od troski o chleb powszedni uczęszczał Joachim od jesieni 1804 r. na prelekcyę, a najbardziej szukał historyi. Wykładał ją X. misjonarz Husarzewski, sympatycznie, lubo nie bardzo uczenie. Ale po ukończeniu kursu w połowie 1805 r. wyszedł na emeryturę. Lelewel chodził na pogadanki do jego mieszkania, aliści d. 13 grudnia 1807 roku staruszek 74-letni umarł. Nie pozostawił żadnej pracy wybitnej, historycznej, ani w druku, ani w rękopisach, jednakże jego «Cieniom» Lelewel poświęcił swoją pierwszą «Historykę». W koleżeńskim życiu objawiło się wówczas dużo zapалу do kształcenia się umysłowego: więc zapisał się Lelewel do «Towarzystwa doskonałej się młodzieży» w naukach i umiejętnościach (Filomatów) i często składał rozprawki do czytania na posiedzeniach. Nie zrażał się nawet niemiecką narodowością profesora Grodka: samowtór chodził na jego wykłady w uniwersytecie i do jego mieszkania, na prywatne zasięganie «niemieckich i francuskich erudycyjnych nowostek». Godfryd



DRUC. P. LABEKAUER I W. BABICKI WARSZAWA

Podług współczesnej litografii jaryskiej Villain'a ze zbioru Adama Szadkowskiego.

Ernest Grodeck stał mu się «niesłuchanie pożytecznym» doradcą i przewodnikiem, chociaż zajmował katedrę filologiczną i nie był historykiem z fachu. On to zachęcił Lelewela do badań nad dziejami geografii w świecie starożytnym i zwrócił uwagę na pierwsze wydanie krytyczne Nestora, przez Schlözera nieudatnie wykonane. Tem cenniejszymi były takie przysługi naukowe, że uniwersytet wileński, niedawno zorganizowany (od r. 1803), nie miał wcale profesora historii po Husarzewskim. Powtarzał wprawdzie Lelewel swoją maksymę, że człowiek «zdolności swoje rozwija sam, uczy się sam»; niemniej wszakże miał do pokonywania zdwojone trudności w poznawaniu ogromnego obszaru nauk historycznych i wynajdywaniu metod. Nie dziw, że pierwsza jego wydrukowana praca, *Edda* (1807), zawierała fałszywą hipotezę, że Skandynawowie pochodzą od Scytów tak samo, jak Słowianie. Pomimo to książeczka ta wyrobiła pewną wziętość autorowi, jeśli uczony Czacki powierzył mu korektę drukowanej wtedy w Wilnie rozprawy swojej o Żydach, a księgarz-wydawca Zawadzki zgłosił się do niego z propozycją napisania dziejów ojczystych. «Zamiar za wielki», odpowiedział na to Lelewel. Zasób jego wiedzy wówczas pozwalał tylko na prace przygotowawcze, jak «Rzut oka na dawność litewskich narodów i związki ich z Herulami... przeciw Naruszewiczowi» (Wilno 1808). Zawdzięczał przytem Lelewel uniwersytetowi wiadomości prawnicze i filozoficzne, czerpane z wykładów wydziału nauk moralnych i politycznych, oraz rysunek techniczny, udzielony przez wybornego malarza Rustema, i znajomość rytownictwa, nabytą pod kierunkiem Saundersa w takim stopniu, że mógł sam robić blachy do map i wizerunków numizmatycznych, lub archeologicznych. Z wielkim tedy pożytkiem, a zapewne i z przyjemnością spędził trzy lata wśród Litwinów, z którymi przekomarzał się zwykle, wysławiając przymioty Mazurów. We wrześniu 1808 r. wrócił do domu. Został tu nowe rządy: Księstwo Warszawskie; otwierały się dla ojca widoki polepszenia losu, bardzo dotychczas ciężkiego, skoro w liście z dnia 27 września t. r. ofiarował swój frak z dziurami na łokciach i pod pachami do przerobienia na «nowy frak elegancki» dla Jasia, młodszego brata. Po kilku miesiącach wypoczynku musiał wybierać się w drogę na posadę nauczycielską. Stypendyum (3-letnie) nakła-

dało na stypendystę obowiązek służby w szkołach rządowych przez lat sześć: więc też uniwersytet przeznaczył go na służbę do gimnazjum, a raczej liceum Krzemienieckiego na żądanie Tadeusza Czackiego, który obiecał mu katedrę historii i numizmatyki. Kurator okręgu, ks. Adam Czartoryjski, w życzliwym liście wytknął mu zadanie, zastosowane do potrzeb owoczesnych społeczeństwa: zaniechać dociekań pochodzenia ludów, wzniesć się ponad kronikarską robotę do «filozoficznej części dziejów, aby zostać dziejopisem... pierwszym w tym rodzaju (w Polsce) i wzorem dla przyszłopiszących». Pojechał tedy Lelewel do Krzemieńca w 1809 r., ale obie katedry zastał zajęte przez dawniej mianowanych profesorów, a w rozmowach z Czackim uraził go żądaniem samodzielności, sprzeczką o wartość różnych dzieł zalecanych i uchYLENIEM SIĘ OD CZYTANIA jego seksternów. Więc nie dostał ani pensyi, ani mieszkania; pozwolono mu tymczasowo wykładać kurs wolny, nadprogramowy i — bezpłatny. Miał czterech «bardzo pilnych i miłych słuchaczy». Szczęściem, wuj Cieciszowski, biskup łucki, rozciągnął nad nim czułą opiekę i nie tylko zasilał jego kieszeń w kosztach powszedniego życia, ale ofiarował spłatę całego funduszu stypendyalnego. Wyzwolony tym sposobem z zależności urzędowej, Lelewel przesłał do Czackiego podanie o dymisyę i wrócił do rodziców w czerwcu 1811 roku. Taką tylko z Krzemieńca odniósł korzyść, że w pobliskim Porycku przejrzał bogaty zbiór manuskryptów i numizmatów, więc posyłał do Warszawy wiadomości o najdawniejszych dziejopisach polskich (drukowane częściowo w r. 1809) i przygotował «Pisma pomniejsze geograficzno-historyczne», które pomimo skromnego tytułu, zostały z czasem uznane za wielkie dzieło w nauce europejskiej, zalecone do uwagi we Francyi przez *Revue encyclopedique* (1821 r.), zaszczycone pochwałami najwyższych powag owoczesnych: Ryttera i Aleksandra Humboldta, przetłumaczone na język niemiecki przez Karola Neu (1836) i nazwane «skarbem nieocenionym» przez nowoczesnego, niedawno zmarłego specjalistę geografa, Stanisława Warnkę, ponieważ «nikt przed Lelewalem, ani po Lelewelu nie pokusił się o odtworzenie systemów geograficznych wszystkich znakomitszych pisarzy starożytnych». Pisał je Lelewel częściowo w Łucku, a kończył w Warszawie. Tu przeniósł się ojciec ze wsi, otrzymawszy urzędowanie w Dy-

rekcyi Edukacyjnej. Przywiązana do tego urzędu pensja o tyle poprawiła jego położenie materialne, że mógł dać synowi fundusz na wydrukowanie części tekstu (1814); dopiero w 1818 znalazł się wydawca Zawadzki, który wydał całkowitą część naukową (I) p. t. «Badania starożytności we względzie Geografii», z tablicami i 1 atlasem, rysowanym i rytowanym na dwudziestu płytach przez samego autora.

Przywiózł też Joachim w tłumoku gotowe już «Uwagi nad Mateuszem herbu Cholewa», które tegoż 1811 roku w listopadzie wyszły z druku w Wilnie nakładem Zawadzkiego. Jest to krytyka kroniki Kadłubka czyli mistrza Wincentego, zadziwiająca przenikliwością i ścisłością spostrzeżeń, usprawiedliwiających ostre zarzuty, poczynione Szlōżerowi we «Wzmiance o najdawniejszych dziejopisach polskich» (Warszawa, 1809). Czytelnik polski dowiedział się teraz, skąd powstały bajki o Lechu, Leszkach, Krakusie, smoku i t. p.

Wstąpił Joachim do ministerium spraw wewnętrznych na aplikanta, lecz po śmierci Łuszczewskiego, nie znajdując upodobania w służbie administracyjnej, opuścił posadę i powrócił do swych projektów nauczycielstwa. Zmarł właśnie Czacki (8 lutego 1813), zdawało się tedy, że można starać się ponownie o katedrę w Krzemieńcu. Tymczasem zaczął przysposabiać sobie materiały do przyszłych wykładów. Napisał *Historię polską* aż do śmierci Stefana Batorego z właściwą sobie a trudną do uwierzenia szybkością pracy, bo w ciągu trzech niespełna miesięcy 1813 roku. Nie oddał jej do druku, lecz gdy ją wydano z papierów pośmiertnych w r. 1863, pokazało się, że zappełniła 677 stronic. W przedmowie, wspomniawszy o upadku państwa Polskiego, określił swoją dążność naukową następnymi słowy: «Radbym na chwilę swego za swoje nie znać; życzyłbym sobie, pnąc się niebacznym na szczeble Robertsona, Gibbona, choć zrodzony Polakiem, z wychowania chrześcijanin rzymskiego wyznania, pisząc w czasach, gdzie stan duchowny ze szlacheckim, schodząc z przeszłego znaczenia, jeszcze czule (= drażliwie) przyjmuje swych czynności wyłuszczenie; nie szczędząc ich wad... radbym tak pisać, aby Polak i cudzoziemiec, chrześcijanin i niechrześcijanin, przyjaciel i nieprzyjaciel, wszelki stan zarówno bezstronność widział i przekonywał się o szczerej prawdzie».

Obmyślał od pierwszych lat swego pobytu na uniwersytecie, od czasu rozmów z Husarzewskim, i pisał powoli, małą, ale bardzo ważną książeczkę, «*Historykę, czyli teorię historyi*» *) dzieląc ją na trzy części: krytykę, etyologikę (dochodzenie przyczyn i skutków spraw ludzkich, badania kombinacyjne), i historyografię, t. j. sztukę pisania historyi. W ciągu swego życia wracał do tego przedmiotu razy kilka, przerabiał, uzupełniał i drukował nanowo z odmianami w tytule: «*Historyka, tudzież o łatwym i pożytecznym nauczaniu historyi*» (1815) «*O historyi, jej rozgałęzieniu i naukach, związek z nią mających*» (1826). Przeróbki w wykładzie dziejów powszechnych w wydaniu wrocławskim Schlettera (1850) i w wykładzie *Historyi Powszechnej* wyd. Orgelbranda (1850 r. Warszawa), nie licząc pomniejszych artykułów, które się znajdują w wydaniu pośmiertnym Aleks. Lewińskiego (Warszawa 1862). Odczytał z czasem wszystkie dzieła, traktujące o pojęciu, zadaniach, metodzie i klasyfikacji nauk historycznych, jakie wyszły we Francji od XVII w. (de la Popelinière, St. Evremont, de la Mothe de Vayer, Lenglet du Frénoy, Voltaire, Mably), w Anglii (Hume, Bolingbroke, Moore, Hill, Richardson, Blair, Priestley), w Niemczech (Hederich, Kraus, Ruchs, Wachsmuth). Ogarniał on myślą filozoficzną cały obszar dziejznawstwa i dosięgał do szczytowych zagadnień nauki, a chociaż przy pierwszym opracowaniu znał i miał do pomocy jeden tylko ustęp z encyklopedyi Krausa 1809 r., przedstawiający w krótkim wykładzie «etyologikę», to jednak potrafił już ująć i zrozumiale wyłożyć główne elementy metody historycznej.

Jeśli dodamy, że nauczył się kilkunastu języków, nie cofając się nawet przed wschodniemi, to już każdy przyzna mu niepospolitą energię umysłową w wyzyskaniu wszelkich zasobów naukowych, jakich dostarczyć mogły wówczas szkoła i społeczeństwo, oraz pierwszorzędne zdolności do pracy badawczej i twórczej w historyi już to narodowej, już powszechnej. Otrzymał nareszcie pożądaną od tak dawna katedrę—nie w Krzemieńcu, lecz w uniwersytecie Wileńskim. Jan Śniadecki,

*) List do ojca, pisany d. 7 lipca 1809, zawiera wskazówki, że już wtedy Lelewel miał «na wsi» napisaną «*Naukę dziejów*», t. j. niewątpliwie *Historykę*; że donosił o niej kuratorowi księciu Czartoryjskiemu i pokazywał Czackiemu, który powiedział: «niezłe i może być dobre».

rektor owoczesny uniwersytetu, poznał się na jego wartości, chociaż gniewał się na niego za «styl chropawy, niesmaczny, a w wielu miejscach ciemny», za tabele miar podane bez objaśnień, a najbardziej za wprowadzenie «joty ogoniastej» do pisowni. Zachodziły trudności ze strony formalnej, gdyż Lelewel nie posiadał stopnia doktora i nie nadesłał rozprawy konkursowej, a posiadał tylko dyplom świeżej daty na członka Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Mimo to wszystko, Śniadecki uzyskał od rady i wyjednał dla niego u ministra w Petersburgu nominację na zastępcę profesora historii z płacą 600 rs. rocznie. Wezwanie do stawienia się datował 5 Lutego 1815 r.

Przyjechawszy w kwietniu, Lelewel dostał dodatkowo mieszkanie w kamienicy uniwersyteckiej z czterema oknami na ulicę Zamkową (cztery pokoje z kuchnią, wszystko na drugim piętrze). Wkrótce zaopatrzył się w meble i sprzęty, sprawił sobie «potężny płaszcz z kołnierzami wiszącymi i inne stroje pomniejszych», miał służącego Stanisława Obolowicza etc.

Cenniejszą nad materyalne dogodności była życzliwość i wrażliwość cywilizacyjna, jaką napotkał dokoła siebie. Grodeck pochwilił przywiezioną w rękopiśmie «Historykę» i zachęcił do ogłoszenia jej drukiem, a natychmiast znalazł się i nakładca Żółkowski, który odbił ją szybko w drukarni XX. Piarów (1815). Tenże Aleksander Żółkowski okazał się chętnym do podjęcia nakładu na «Tygodnik Wileński», który zaczął wychodzić od d. 20 listopada 1815 i drukował liczne artykuły a nawet całe rozprawy Lelewela, jak «Zdobycze Bolesława W-go» z mapą własnoręcznie rysowaną i rytowaną; nie zamykał swoich łamów i przed polemicznymi zaczepkami pod adresem Jezuitów połockich z powodu zdań o Husie, Koperniku, Galileuszu. Czasopismo, wychodzące małymi zeszytami, ale co tydzień zasilane współpracownictwem wielu osób, wzniesiło wśród publiczności zainteresowanie sprawami naukowymi i społecznymi, a Lelewel był podobno głównym kierownikiem w redakcyi. Wnosił do Wilna dużo wiedzy, ruchu i życia, a te przymioty torowały mu drogę do powodzeń na katedrze. Na lekcję wstępną w końcu kwietnia zgromadziło się już ze sto osób, oprócz senatu uniwersyteckiego; gdy zaś rozpoczął swój kurs roczny od 1 września, zapisało się w pierwszym semestrze 51, w drugim

80 stałych słuchaczy, a przygodnych zbierało się «półtorasta, może i więcej». Przychodzili księża i profesorowie szkół różnych, którzy «sami już po lat kilka historii uczyli».

Bo też wielce pouczającymi i powabnymi były jego wykłady, gdy przy nadzwyczajnej swej energii umysłowej i sprawności pedagogicznej umiał w krótkim stosunkowo czasie podać słuchaczom i metodykę, i zarys nauk pomocniczych, i jakiś wielki dział historii naracyjnej, po kolei przechodząc od jednego do drugiego w każdym nowym kursie rocznym. Z czasem, w 1850 r. ukazał się «Wykład dziejów powszechnych» w dwu wydaniach—Schlettera i Orgelbranda—lecz żadne nie może nam dać wyobrażenia o prelekcjach wileńskich. Mam przed oczyma dwa grube rękopiśmienne tomy, złożone z notat akademickich, i widzę, że Lelewel nie powtarzał się, nie czytał z przygotowanego tekstu, lecz mówił swobodnie. Stosował się niezawodnie do zasady, którą sam w Historyce wygłaszał: «Niech notaty leżą przed okiem, ale uczeń niech czuje, że słucha nauczyciela, a nie seksternu jego; niech razem czuje, że słyszy go mówiącego z pamięci, a nie na pamięć». Jeśli badania swoje pisał stylem zbyt zwięzłym, upstrzonym cudzoziemskimi cytacjami i neologizmami językowymi, tak że ściągał na siebie zarzuty i Śniadeckiego, i Daniłowicza, i Lindego: to w pismach, przeznaczonych dla publiczności lub uczniów, starał się o największą jasność i prostotę, umiał zwykle pochwycić główne elementy historycznego faktu i charakterystyczne przymioty człowieka, zawierał ogrom wiadomości i głębokie myśli w najskromniejszej formie, wymagającej od czytelnika jak najmniej czasu i trudu. Opowiadanie jego było miłe, ożywione nieraz żartem, ogrzane zapalem.

Po trzech latach doskonalenia się w nauce razem ze słuchaczami swymi Lelewel ogłosił jeden kurs p. t. «Dzieje starożytne». Wilno. Nakładem Józefa Zawadzkiego (1818). Książka ta o 505 stronicach tekstu okazuje nam, jak wszechstronnie, głęboko i żywo pojmował historię; wynałazał w nielicznych wówczas wydawnictwach archeologicznych wizerunki gmachów egipskich, indyjskich, staroperskich, greckich, rzymskich, które przerysował, stosując wymiary do formatu książki; dodał 48 mapek na 16-tu tablicach, zużytkowując dla oszczędności każdy cal wolnego pola; ułożył

ogromne spisy chronologiczne wedle wszelkich er starożytnych; zebrał rodowody nie tylko królów każdego kraju, ale nawet patrycyuszów rzymskich; w przytoczonym wykazie dzieł pomocniczych znajdujemy najznakomitsze monografie tak do dziejów politycznych, jako też do literatury, nauk, sztuki i handlu. Ofiarował to wszystko «Litwinom część trzyletniej pracy Joachim Lelewel», a jak tylko się załatwił z drukarnią, zaraz wyjechał do Warszawy, gdzie miał nadzieję otrzymać katedrę profesorską w świeżo założonym uniwersytecie Aleksandryjskim, gdy w Wilnie wymagane były stopień doktora i rozprawa konkursowa.

I w Warszawie brak tych kwalifikacji podobno stanął na przeszkodzie do urzeczywistnienia nadziei. Profesorem historii zamianowanym został literat, bibliograf Feliks Bentkowski, a Lelewelowi dano tylko urząd podbibliotekarza biblioteki jeszcze nieskatalogowanej, pod zwierzchnictwem Lindego, który otrzymał tytuł jej dyrektora. Uczci i przyjazną przysługę wyświadczyć Lelewelowi zdolni byli tylko dwaj bracia Bandtkowie, gdy za wpływem Wincentego, a na wniosek Jerzego Samuela uniwersytet Jagielloński w Krakowie na posiedzeniu dnia 10 czerwca 1820 r. nadał mu stopień doktora filozofii honoris causa, bez dopełnienia zwykłych formalności, bez tych łacińskich sporów i peror, które budziły w nim «odrazę». Że taki zaszczyt był zupełnie zasłużony, widzimy dziś dowodnie z ogłoszonych w tymże roku znakomitych dzieł, jakich Polska dotychczas nie posiadała: «Dzieje Indyi», napisane ze znajomością najświeższych prac instytutu angielskiego w Kalkucie, Zendawesty w tłumaczeniu Klenkera i gramatyki sanskryckiej Skorochoła Majewskiego, oraz «Historyczna paralela Hiszpanii z Polską».

Teraz już i uniwersytet warszawski zaproponował Lelewelowi wykłady najprzód jakiejś szczegółowej części historii, następnie obowiązującego kursu bibliografii; zawsze jednak traktował go nie po koleżeńsku, gdy nie wzywał na posiedzenia swoje i nie udzielał głosu nawet przy ocenianiu tych rozpraw premiowych, których ocenę jemu był zlecił. Uczniowie też okazywali mu gorszą obojętność, zapisywali się w liczbie kilku, kilkunastu, a najwięcej 29 i jeszcze ostrzegali się wzajemnie «donośnym głosem», że kurs nie obowiązuje, więc chodzić nie warto. Zraziło to Lelewela tak, że pomimo swego mazurskiego prowin-

cyonalizmu i chęci mieszkania z rodzicami, braćmi i siostrami, zapragnął powrócić do Wilna. Przewyciężając swą dumę, «rzucił się w konkurs» t. j. przesłał rozprawę. Niezwłocznie tegoż 1821 roku otrzymał nominację na aktualnego profesora z płacą 10,000 złp. i 8 grudnia był już w Wilnie.

I znalazł serdeczne przyjęcie: mieszkanie o sześciu pokojach z izbą na dole przygotowane i opalone; wizyty profesorów i różnych obywateli z miasta, objady zapraszane; słuchaczy taki tłum, że na pierwszą prelekcję trzeba było otworzyć aulę. Z każdym półroczem zwiększała się liczba stałych uczniów w uniwersytecie; u Lelewela, zapisywało się po 200, a bywało po 300 i 400 osób. Między młodzieżą ukazywały się siwe głowy i damy z arystokracji. Najchlubniejszym wszakże hołdem dla niego był «Wiersz do Lelewela» przygotowany zawczasu przez Adama Mickiewicza i wydrukowany dnia 6 (18) stycznia 1822 roku. Nie masz tu retorycznej napuszystości, ani czczych komplementów; uwielbienie zasadza się na zaletach, jakie sam autor i jego towarzysze wynaleźli w kursach, wysłuchanych między 1815 a 1818 rokiem: żywość charakterystyk, tłumaczenie związku przyczynowego między faktami i cześć dla prawdy.

Wśród takiej atmosfery Lelewel pracował gorliwie i produkcyjnie, mając po sześć godzin tygodniowo na wykłady i drukując ciągle nowe dzieła, aż do chwili, kiedy dnia 14 sierpnia 1824 roku został z uniwersytetu usunięty. Opuścił na zawsze Wilno dnia 17 października tegoż roku i znakomita jego działalność profesorska zakończyła się na zawsze.

Ale pióra nie wypuścił z ręki przez całe swoje długie życie (um. d. 29 maja 1861 r.). Zajmując jeden pokój w swojej kamienicy przy ulicy Długiej w Warszawie do dnia 8 września 1831 r., tułając się następnie po Francji do listopada 1833 roku, wreszcie przy ulicy du Chêne i des Eperonniers w Brukselli znosząc najsroższą nędzę, lubo dobrowolnie, tworzył dzieła, zdumiewając ogromem trudu, wiedzy i przenikliwości. Dwudziestotomowy zbiór Żupańskiego p. t. «Polska, dzieje i rzeczy jej» nie zawiera pisanych po francusku prac numizmatycznych, geograficznych, a nawet historycznych, Polski dotyczących. Spis tytułów w Bibliografii Estrejchera zajmuje przeszło 17 szpalt drobnego druku. Na tem

miejscu możemy wymienić tylko epokowe dwutomowe dzieło wydane w 1835 roku p. t. «Numismatique du Moyen-âge depuis sa naissance jusqu'à l'apparition du gros argent» i w latach 1850 — 1857 pięciutomową «Géographie du Moyen-âge. Towarzystwo numizmatyczne belgijskie uczciło go medalem w roku 1847 i do dziś wymienia imię jego na swych posiedzeniach, jako

✧ swego twórcę, mistrza i prezesa honorowego. Społeczeństwo belgijskie, ministrowie, rada miejska Brukselli, a nawet uliczny tłum okazywał mu niejednokrotnie sympatyę i uszanowanie. Kilka dzieł tłómaczyli też Niemcy. Świat naukowy uznał w Lelewelu pierwszorzędnego badacza historii nie tylko polskiej, ale i powszechnej.

Tadeusz Korzon.



Aleksander Chodźko.

* 1804 † 1891.

Aleksander Chodźko urodził się 18 sierpnia*) 1804 roku w Zahorzu (w gub. wileńskiej), dziedzicznych dobrach ojca swego Jana, ożenionego z Klarą Korsakówną. Jan Chodźko należał do ludzi szeroko znanych i wpływowych na Litwie.

Był prokuratorem masy Radziwiłowskiej, wielkim mistrzem litewskiej loży masonskiej, czas jakiś pełnił z wyboru urząd prezesa sądu apelacyjnego w Wilnie, kilkakrotnie też obierano go wizytatorem szkół. Wszelkstronnie będąc wykształcony, odznaczał się też dążnościami literackimi, napisał był dzieło treści obywatelsko-ludowej p. t: „*Pan Jan ze Świsłoczy*”, drukował kilka powie-

ści, a jakieś dwie, czy trzy jego tragedye w rodzaju francuskim krążyły w rękopisach. Wszędzie wkóło siebie szerzył on życie literackie, a zwłaszcza zamiłowanie do sztuki dramatycznej, szczególną bowiem znajdował przyjemność w urządzaniu teatrów amatorskich.

Wychowany w takiej atmosferze, zaprzyjaźniony ponadto w Wilnie w czasie studjów uniwersyteckich z literacko wykształconym domem Spitznagłów, tem łatwiej zapalił się młodziuchny Aleksander do nowych haseł w poezyi. Pod wpływem zaś Tomasza Zana, pod opiekę którego był oddany w Wilnie, sprzyjał gronu *Promienistych* i sam do ich stowarzyszenia wstąpiwszy, siedział w więzieniu w 1824 roku, wszakże zdołał uniknąć kary zesłania.



Aleksander Chodźko

*) Szczegóły biograficzne czerpane w znacznej mierze z cennych artykułów Adama Pługa w *Kłosach*, 1881 r.

Odyniec opisuje go jako młodzieńca wysmukłego, kształtnego, z delikatną paniąską cerą i ładną twarzą. Od niego miał raz pierwszy w życiu usłyszeć wyraz *romantyzm*. Wczesne próby swego pióra umieszczał wówczas Chodźko w *Dzienniku Wileńskim* i w *Dziejach Dobroczynności*.

Po ukończeniu uniwersytetu ze stopniem kandydata filologii, wysłany został przez ojca do Petersburga do szkoły języków wschodnich. Odbывая tam studia pięcioletnie i wzbogaciwszy swą wiedzę gruntowną znajomością perskiego i arabskiego języka, otrzymał posadę dragomana przy poselstwie rosyjskiem w Persyi w r. 1830, następnie został sekretarzem konsulatu w Gilanie, na południowych brzegach morza Kaspijskiego. Przebywał tam do r. 1840. W r. 1829 wyszły jego poezye w Peterburgu ¹⁾. Świadczą one, że wysokością lotu wzniosł się Chodźko ponad wszystkich innych poetów, rówieśników Mickiewicza; płomienne bowiem, a nieskończone w rozpędzie swoim uczucia, które wrzały w wielkiej duszy wieszczą, gdy tworzył *Odę do młodości* i *Farysa*, stanowiły zwykłą treść natchnień Chodźki, serce swoje porównał on z kielichem pełnym nektaru, który Hebe podaje bogom ²⁾. Serce to znękanе «w sobie noszonym ciężarem», czuje ogromną jakąś potrzebę wylania się, podziału, chciałoby rozproszyć się, rozwiać, wnikać do wszystkiego, ukochać wszystko jedną wielką miłością... Oczywiście, ujściem dla uczuć w tem wielkiem, tak młodzieńczem rozręsknieniu miłosnem, staje się wkońcu urocza postać kochanki i miłość swoją umie poeta pięknie powiązać z uczuciem [religijnem: «Dwa liczę nieba» — woła on w wierszu *Do Emmy*. W jednym Bóg mieszka, i jak z barw tego nieba, nad wodospadem wśród oparów rodzi się tęcza, tak w duszy jego rodzi się drugie niebo, promieniące od blaskami tęczowych marzeń i myśli, to Olimp, i w niem króluje jego boska kochanka. Liściem młodości wieńczy mu ona skronie, więc nie niesie z sobą owej goryczy, zawodów, zniechęceń i upodleń, które zatruwają natchnienia innych poetów. Wprawdzie spłaca Chodźko miłości tę danię smutku, którą jej winni wszyscy poeci, żali on się w jednej z elegij (*Elegia perska*), że kwiat uczuć skruszył się właśnie w chwili rozwicia i od-

▲ tął smutno mu w sierocej duszy, i w drugiej (*Do Fanny*) porównywa siebie z żeglarzem, którego burze zanosły na mroźny Szpicberg, tam z pod bryły lodu wyłoniła się raz róża — symbol miłosnych upojen niepowrotnej przeszłości, myślą uleciał wtedy żeglarz w dal snów minionych, ale nie na długo: «Kwitnij, ma różo, na dzikim brzegu, wkrótce cię żeglarz porzuci». Porzuci — bo mu nie swojsko w tej atmosferze smutku: skrzydła młodości porywają go w nieskończoność szczęśliwych polotów i woli poeta opiewać te skrzydlate pierwiastki swego uczucia, niż smutek rozczarowań.

Wiem chciałby on w łódce samotnej (Łódka) unieść się wraz z kochanką po falach morza, «rozcinać ich wierzchołki pienne pierś i czołem spotykać chłodne wód cienie, bujać nad groźnym żywiołem, myślą w przeszłości zaginać — i płynąć, płynąć... z tą szczęśliwą pewnością w duszy, że gdzieś w dali znajdują wysepkę odludną, gdzie jak w maju, wiecznie płacą kwiaty słońcu dań barwy, wdzięku i woni. I upojenie to podnosi pierś poety radością zachwytu, nie umie on spocząć, pędzi w objęcia nieskończonej natury, kocha się w rumianych połyskach przedświt, w tęsknotach zmroku, błądzi po polach, «nie czując chłodu spóźnionej nocy», wpatrzony w cudne widoki nieba po zachodzie, w te cienie i półcienie, w te «barwy i zmian tysiące, co jak fala kwiatów na majowej łące, co chwila inne, palą się, tleją i mroczą na niebios kole»... I szuka potem czaru zachodów i wschodów zadumy na «łzawych, sennych od marzenia» oczach kochanki, na cichem, melancholicznem jej czole, na rubinie ust; chciałby szczęście swoje wylać w harmonii dźwięcznych rymów, lecz «o wrzące serce, o zimne słowa!» daremnie ściga on «rozpierzchłe w duszy obrazy»; piórem skreślone świecą one jak «marne kwiaty na obiciu» (*Zamyślna*). Nie opuszcza go jednak radość, błogosławi on namiętność swoją, która zamiast rozżarzać i spopielać, «rozjaśnia i chłodzi» mu serce, zawczasu bowiem umiał uchronić się od jej skwarów, pijąc «ze studni wiary i cnoty», i szczęśliwy porównywa siebie z tym szczęśliwym pielgrzymem, który wędrówkę swą zdołał odbyć z rana, gdy jeszcze z łąk wiały wonie, a chłód z lasów, Nie zapanuje więc nad nim ta, ze zgryzot i jadów namiętności zrodzona boleść, co, jak słońce Jozuego, nie zna zachodu i skwarem ziejąca, wy-

¹⁾ Wydanie to zostało przedrukowane w Poznaniu w 1832 r.

²⁾ Por. *M. Zdzichowski: Byron i jego wiek*, t. II, str. 348—9.

sysa zdrowie, rozkosz i wesele (*Namiętność*). Wolny od jej pocisków, kreśli poeta elegię «*Smutek*», która uderza subtelnością uczucia, przeniknięciem jego ukrytych głębin; gdy smutny przyszedł raz do kochanki, ze słów pociechy, którymi go przywitała, z jej oczu takie szczęście powiało na czarne myśli i na mgłę losu, że zapomniał o bólu i oddał się rozkoszy chwili. Ale innym razem przyszedł smutniejszy jeszcze, jej pocieszenia nie zdołały już wyrzeć wrażenia, «jej głos, nie odbity w mej duszy, omdlał jak świerk w niepogodę», więc poczęła kochanka mówić o rzeczach obojętnych... I właśnie wtedy, w tej obojętnej, na pozór nic nie znaczącej rozmowie, uczuł on żywiej niż przedtem tę harmonię, co jego duszę nierozłącznie z nią wiązała, bo przestał myśleć o sobie, o tem, co go gnębiło, a sercem i myślą zatonał w jej duszy, wrócił domu smutny,

...lecz już bez cierpienia,
Bo smutek w cichą złagodził tęsknotę
I wlał do duszy nadzieję, marzenia...

Tłem do tych marzeń miłosnych była natura; kochał się w niej poeta całą siłą swej młodej duszy i wypływem tego związku natury i miłości było «nieskończone jakieś, od świadomości mocniejsze, a ze snem graniczące upojenie sił ducha, skupionego w żądy przeniknięcia czuciem wszystkich sfer i wszystkich tajemnic wszechświatowego życia». Wyraz temu uszczęśliwionemu nastrojowi nadał w *Endymionie*, najpiękniejszym z utworów jego. Oczywiście nie znał Chodźko Schelleya, ale mimowoli przy czytaniu *Endymiona* staje przed nami: ten sam szal zachwytów nad cudami przyrodzenia, to samo szukanie głuchych ustroni, wędrówki po górach, rozmowy z falami, bujania «myślą podroźną po niezmiernym archipelagu nieba». Ale gdy w tęsknotach Alastora przeważa smutek, Endymiona ogarnia szczęście upojenia. I w końcu przychodzi «chwila uroczą», chwila najwyższego zachwytu: rozlegają się w powietrzu dźwięki liry «półciche, mdlejące», niby fontanna tonów sennych, spadających deszczem z pereł, fale zadrżały szmerem miłosnym, z nad głębin morza powstała ukochana Selene i obdarza Endymiona wieczystym, rokosznym snem, bo «rozkosz, jak wino, gdy pierwsze lube chwile odurzenia miną, póty w nas cięży, póty swym tchem na nas

dysze, aż zmordowane zmysły do snu ukołysze»...¹⁾).

I w tem upojeniu natury nie było nic chorobliwego, żadnej nuty zniechęcenia, smutku, wstrętu do życia; gorąca duszy poety rwała się w dal nieskończoną, a natura była nektarem, krzepiącym jej siły²⁾.

W obec tego nie mogła mu przemawiać do usposobienia melancholia bohaterów Byrona, wołał on iść w zawody z Mickiewiczem i stworzył *Derara*, jedyny swój poemat większych rozmiarów, wyglądający pod względem pomysłu i treści, jakby pogłębienie *Farysa*. Nie wiemy wprawdzie, który z tych utworów był wcześniejszy. Znacznie później, w r. 1868 pisał Chodźko w liście do Zaleskiego, że «ideę *Farysa* natracił Mickiewiczowi, a on ubrał ją w nieśmiertelne ciało». Jeśli te niejasne słowa tłómaczyć w ten sposób, że właśnie *Derar* dał początek *Farysowi*, to wypadłoby uznać, że Mickiewicz, stworzywszy rzecz pod względem formy bez porównania lepszą, nie dał jej jednak również bogatej i głębokiej treści. Jak *Farys*, dumnie cwałuje *Derar* po pustyniach Arabii, ale tem się od *Farysa* różni, że natura nie wystarcza mu, szuka miłości i kocha się w pięknej *Azzie*, lecz bez nadziei posiadania jej. Nieszczęśliwe uczucie nie wtrąca go jednak, jak bohaterów bajronowskich, w szeregi pokłóconych ze światem samotników, korsarzy lub zbójców. Zapewne pamięta poeta o tem, że napił się «ze studni wiary i cnoty» i że przeto namiętność rozjaśnić go powinna i chłodzić, nie zaś wyniszczać. Przewycięża też *Derar* nie uczucie swoje, lecz boleść, opuszcza *Azzę*, a za pociechę starczy mu—(i w tem właśnie jego oryginalność), szczęśliwa świadomość, że tak kochać, jak on, nie potrafi nikt inny, bo miłość uczyniła go zdolnym do zaparcia się siebie i do bohaterstwa. Po jakimś czasie, ostatecznie zwolony od gnębiącego ucisku boleści, zjawił się znowu przed *Azzą*, ale nie poto, aby rozmarzać się i wdychać: wybawia ją i jej karawanę od napaści zbójców; pytany przez wdzięcznego szejka karawany o imię, nie zaspakaja jego ciekawości, tylko w żartobliwym zwrocie każe należną mu część ze zdobyczy po zbójcach zanieść do namiotu *Azzy*. Potem znika. Pomysł wspaniały i cał-

²⁾ Zb. str. 551.

¹⁾ Obszerniej o *Endymionie* w dziele: «Byron i jego wiek», t. II, str. 550).

kowicie samoistny, świadczący o mocy uczuć i zdrowiu duszy poety.

Obok licznych zwrotów i obrazów znajdujemy w *Derarze* całe piosnki, zaczerpnięte nieraz wprost i tłómaczone z poezji wschodu, a liczne przypiski świadczą o erudycji młodego autora. I w rzeczy samej z zapałem do twórczości łączył Chodźko zamięszanie do pracy naukowej, a romantyzm pociągał go nie tylko, jako poezja indywidualności, wznoszącej się ponad poziom ogółu, ale też jako zwrot do zamierzchłej przeszłości, do źródeł narodów. Zgodnie z tem usnuł on na motywach rodzimej poezji ludowej szereg, mniej niż jego elegie udatnych co do formy piosnek i ballad, z których jedna *Maliny*, nasunęła Słowackiemu pomysł Balladyny, następnie przełożył sporo z pieśni nowogreckich, wydanych wówczas przez Fansiela, w elegii zaś *Wanda* żalił się nad tem, że «niemasz już, niema polskich bardów i gęślarzy, co z druidami sąsiadów spór wiedli:

Ich pieśni znikły we wnuków pamięci,
I harfę niemą zapomnienie rdzawi,
Lub wiatr kołysze na jodłowym sęku,
Gdzie zawieszona długie lata drzemie,
Aż ją wieszcz który zdejmie i nastroi.

Niestety, nie umiał jej nastroić Chodźko sam. Wprawdzie natchnienia unosiły go tak wysoko, że nie dziwimy się wcale, iż Mickiewicz porównał go w znanej *Improwizacji* do sokoła, który tak pojął tajnie orlego lotu, że mu sam orzeł zazdrości.

Pomysły miewał samodzielne i piękne, a w naturze i w miłości natrafiał na pierwiastki nie podnoszone przez innych poetów. Z wielką twórczością artystyczną nierozdzielnie kojarzy się myśl o nieskończoności, występująca zwykle w postaci tęsknoty do Boga, czy do bytu jakiegoś doskonałego, którego świat dać nie może. Otóż o Chodźce można powiedzieć, że nieraz umiał on wznieść się nawet ponad tę tęsknotę, zdawało się, że już żył w nieskończoności, że rozlewał się w niej i jak orzeł dumnie ze swych szczęśliwych wyżyn panował nad boleścią, która treść ziemskiego życia stanowi. A jednak pomimo świetnych początków nie zdołał stanąć w pierwszym szeregu pieśniarzy — nie zdołał zawładnąć formą, muzykę najpiękniejszych ustępów zbyt często psuły rymy i nawet całe wiersze niedźwięczne, niezgrabne, ciężkie. Czuł to Chodźko, czuł całą wyższość Mickiewicza i wysyłając wieszczowi swoje wiersze z Petersburga,

zaraz po ich wydaniu w 1829 roku, z pokorą je oddawał pod jego sąd: «czekać będę niecierpliwie — pisał — twojego zdania i rad o kierunku, jakibym powinien dać na przyszłość moim elukubracjom poetycznym»¹⁾. Bądź co bądź wiersze te zyskały uznanie nawet klasyków warszawskich. Poetyze Chodźki — pisał Lelewel do Malewskiego 3 lutego 1830 roku — podobały się, umie je na pamięć Dmochowski, smakuje w nich Kamiński, Witwicki, Brodziński (lubo czegoś więcej wymaga, niż znajduje) i wielu innych²⁾. Nie zaniechał też Chodźko swej twórczości w czasie pobytu w Persyi; przywiózł z sobą sporo utworów rękopiśmiennych, między innymi *Króla Saula*, dramat biblijny, który znajdował się w r. 1881 w ręku Adama Pługa, jak się o tem dowiadujemy z jego życiorysu Chodźki, ale zapewne ze szkodą dla literatury naszej, dotąd ogłoszony drukiem nie został, pomimo obietnicy w owym życiorysie zawartej. Co się tyczy innych utworów poety, to i te również nie ujrzały światła dziennego, może nawet zniszczone zostały pod wpływem stanowczego zwrotu w życiu wewnętrznym autora, po powrocie z Persyi w r. 1841. Otrzymawszy urlop i przybywszy do Paryża w końcu 1841 r., znalazł tam Mickiewicza, kolegów szkolnych, wreszcie trzech braci swoich; zachwiał się, czy ma wracać do kraju, pomimo nęcących go dalszych powodzeń w karierze dyplomatycznej. Mickiewicz jednak nie namawiał przyjaciela do pozostania; przeciwnie, zachęcał do głębszej rozważy; zrazu też Chodźko wyjechał do Londynu i tam wydał swoje *Specimens of the popular poetry of Persia*.

Ale im dalej, tem bardziej utwierdzał się w zamiarze pozostania. Sądzę, że główną tu pobudką była sprawa Towiańskiego, do której Chodźko zapalił się natychmiast. Wprawdzie samego mistrza poznał on dopiero w kwietniu 1843 r., gdy umyślnie w tym celu jedździł do Brukseli³⁾, ale zato ślepo ufał Mickiewiczowi. Miłość jego i cześć dla wieszczka nie znała granic. Już w r. 1829 Piotr Pruszyński, przyjaciel Lelewela, a świadek życia Mickiewicza w Petersburgu, żalił się w liście do Lelewela, że pochwałami swemi «psują go najmocniej Malewski i Chodźko»⁴⁾.

¹⁾ Korespondencja Ad. Mickiewicza wyd. IV t. III, str. 107.

²⁾ *Wz. Mickiewicza: Żywot Adama Mickiewicza* t. II, str. 83.

³⁾ *Wz. Mickiewicza* t. III str. 230.

⁴⁾ Ob. t. II str. 345.

Teraz z Londynu pisał Chodźko do wieszcz: «Twoje rozmowy budziły we mnie jakiś ruch moralny, dziś znowu śpię; ratuj, gdy możesz». Do jakiego zaś stopnia przejmował się rozmowami temi, o tem najlepiej świadczą słowa jego, przytoczone przez X. Kajsiewicza: «Będę tem, czem mnie zechce mieć Mickiewicz, katolikiem, czy niekatolikiem» ¹⁾, więc chyba nie omylimy się, twierdząc, że pod wpływem wiary w nieomylność Mickiewicza, postanowił wejść do grona wyznawców Towiańskiego i nie wracać do kraju. »Kość rzucona,— pisał w liście następnym — zostaje z wami».

Wróciwszy do Paryża, zaprzął się ze zwolennikami Towiańskiego do wspólnej pracy. Z prośbą o dymisyę ociągał się długo i podał ją dopiero po dwu latach. W bliższe wszakże stosunki z samym Towiańskim nie wszedł, jak się zdaje, nigdy; na naukę jego zapatrywał się przez pryzmat poglądów Mickiewicza, we wszelkich zatargach wewnętrznych stawiał po stronie wieszcz, ²⁾ gdy zaś w r. 1848 nastąpiło poróżnienie między Towiańskim, a Mickiewiczem z powodu odmiennych zapatrywań na sprawę legii polskiej we Włoszech, Chodźko zraził się do mistrza: «Nie czuję w sobie chęci wrócić do niego,—pisał—widzę obok potęgi ducha słabości człowiecze u Mistrza; urok, jaki miałem dotąd dla osoby jego, skruszył się; z robotami braci o tyle będę się spolił, o ile rozumem, że są na drodze chrześcijańskiej i polskiej» ³⁾. Odtąd nie posiadamy świadectw o stosunku Chodźki do sprawy Towiańskiego. Po dwudziestu latach w r. 1868 w liście do Br. Zaleskiego wyraża się o nauce jego z sympatją, ale nie z zapalem, lub przekonaniem wyznawcy: «teozofia Towiańskiego zrazu za nadto ubóstwiana, może już dziś za nadto poniewierana» ⁴⁾. Ale tem ściślej jednoczył się z Mickiewiczem. Obcując z nim często, skrzętnie, z nabożeństwem zapisywał każdą z nim rozmowę, każde niemal słowo i z notatek takich powstał cały pamiętnik, który w ręku Wł. Mickiewicza stał się cennym źródłem do skreślenia życiorysu wieszcz. W 1849 roku należał do wydawnictwa *Tribunes des peuples*. W r. 1855, oczywiście znowu pod wpływem swe-

go wielkiego druha, postanowił wziąć udział w kompanii wschodniej.

Wniósłszy stosowne podanie, otrzymał posadę nie przy wojsku, jak się tego spodziewał, ale w ministerjum spraw zagranicznych ¹⁾. Zmuszony więc pozostać, miał na pożegnalnej uczcie na cześć odjeżdżającego Mickiewicza gorące przemówienie ²⁾. Ale właśnie te stosunki z wieszczem wpłynęły ujemnie na jego literackie pomysły i zamiary. Po powrocie z Londynu, więc jeszcze w 1842 roku dał był wiersze swoje do przejrzenia Mickiewiczowi, który w kilka dni potem powiedział, że przed rokiem godne były druku, ale dziś, t. j. po przyjeździe Towiańskiego, wybiła godzina wyższej poezji. Posłuszny Chodźko zamilkł odtąd na zawsze, zato w r. 1844 wydał w Paryżu własnym nakładem dzieła Mickiewicza, w przedmowie zaś wygłosił, że wieszcz tworzyć więcej nie będzie, bo poezya, jak ją dotychczas pojmowano, powinna być zarzucona.

Słowem wygórowane pod wpływem Mickiewicza i Towiańskiego pojęcie o posłannictwie sztuki stało się przyczyną milczenia Chodźki. Zdałoby się jednak, że twórca *Endymiona* i *Derwara*, człowiek, obdarzony tak skrzydlatą wyobraźnią i tak wyjątkowem, poetycznem uczuciem, potrafi tę poetyczność swego usposobienia wyzyskać na innem polu—np. w dziedzinie krytyki lub publicystyki, albo oddając się badaniom Wschodu, potrafi odczuć ducha jego ludów i unieśmiertelnić się dziełem tej wartości i tego polotu, co np. Herdera o duchu poezji hebrajskiej, lub Fr. Schlegla o języku i duchu starych Indyan. Ale nie. I w tym względzie osoba Chodźki jest niełatwą do rozwiązania zagadką psychologiczną: nie brak mu pilności, a jednak nie dał, co mógł dać, sądząc po tym wzniosłym zapale, który ożywiał młodzieńcze próby jego pióra. W świecie nauki zyskał sławę skrzętnego szperacza i wydawcy rzeczy perskich, ale nie człowieka, torującego nowe drogi. Pierwszy owoc jego pracy z pobytu na Wschodzie: *Specimens of the popular poetry of Persia*, wydane w 1842 roku w Londynie, zawierał zbiór podań i pieśni ludów Persyi północnej. Praca ta obudziła powszechne zajęcie i przełożoną była w tymże roku na język niemiecki, jeden zaś z zawartych w niej utworów

¹⁾ Ob. III str. 97

²⁾ Zb. III 422.

³⁾ Zb. IV 172—3.

⁴⁾ List ten, napisany z powodu pracy Małeckiego o Towiańskim, wydrukowany został w Roczniku. Tow. Hist. Lit. w Paryżu 1868 roku.

¹⁾ Wł. Mickiewicz IV 379.

²⁾ Zb. IV, 420.

p. t. *Kurruğlu* George Sand przetłómaczyła na język francuski. Znacznie później, bo dopiero w 1878 roku wydał Chodźko dzieło p. t. *Théâtre persan*, w którym dał w przekładzie francuskim pięć teatry, czyli dramatów, a raczej misteryj perskich. Dzięki temu stał się on odkrywcą nieznanej przedtem w Europie literatury dramatycznej w Persyi ¹⁾. Uznanie świata uczonego zyskała również jego *Grammaire persane*, (1851), za którą otrzymał krzyż legii honorowej od Napoleona III. Prócz tego ogłosił studia nad językiem kurdzkim (*Etudes sur la langue kurde*), praktyczny podręcznik rozmów tureckich (*Le Drogman ture*), opis Gilanu (*Le Ghilan ou le marais Caspien*) — wreszcie dla użytku rodaków słownik angielsko-polski i polsko-angielski. Pragnąc otrzymać katedrę literatur słowiańskich w *Collège de France*, wydał w 1857 roku rozprawę o starosłowiańskich zabytkach (*De la littérature sacrée chez les slaves*). Życzenie jego zostało w tymże roku spełnione i katedrę zajmował w ciągu 27 lat aż do 1884 roku. W przeciągu tego czasu ogłosił szeregię tyczących się Słowiańszczyzny prac gramatyczno-etnograficznych, ale w nowej dla niego dziedzinie wiedzy zorientować się nie umiał i wszystkie te prace są, zdaniem specjalistów, pozbawione wartości naukowej. Jako profesor, nie umiał również zabłysnąć zaletami wykładu, słuchaczy pociągnąć nie umiał, audytoryum było nieraz pu-

ste. Ten szkic pobieżny kończymy żalem, że nie zrobił Chodźko tyle, ile można się było spodziewać po nim. Przeszkodą, jak zauważyłem, była wrodzona skromność, którą jeszcze zwiększyło uczucie pokory religijnej, rozwinięte po powrocie ze Wschodu pod wpływem nauki Towiańskiego i ciągłego obcowania z Mickiewiczem. Przejęty ogromem posłannictwa i obowiązków pisarza i czując swą słabość wobec takiego olbrzyma, jak Mickiewicz, nie miał Chodźko tyle odwagi, by bezpośrednio działać piórem na umysły i dusze rodaków, i dlatego w swej pracy naukowej poprzestał na oderwanym od świata zakresie czysto filologicznych badań. Natomiast wzniosłe jego zasady prześlicznie odbiły się w życiu rodzinnem i towarzyskiem. Chrześcijańską słodyczą, serdecznością, gorącym przywiązaniem do kraju i gotowością do usług dla rodaków pociągał wszystkich, którzy mieli sposobność zbliżyć się do niego. Ożeniony w 1847 roku z Heleną Jundziłłówną, doczekał się z nią trzech synów, którzy pokończyli nauki i zdobyli sobie zaszczytne stanowisko w marynarce i inżynierii francuskiej, i córki, wyszłej zażamąż za doktora Millot, ale zmarłej w kwiecie wieku. Umarł Chodźko 27 Grudnia 1891 roku. Przysłużyłby się literaturze, gdyby prace jego poetyckie, o ile ocalały w rękopisach, ogłosił drukiem.

M. Zdziechowski.

¹⁾ Patrz o tem artykuł p. Juliana Świącieckiego w *Ateneum*, t. IV, 1879 r.



Jan Czeczot.

* 1794 † 1847.



Ugnacy Domejko, cioteczny brat Maryli Wereszczakówny, w obszernym liście o młodości Mickiewicza, pisanym z Sant-Jago dnia 16 października 1869 r.

do Bohdana Zaleskiego, tak pisze o Czeczocie: «Prawdziwy kolega szkolny Mickiewicza z kolegium O. O. Dominikanów nowogródzkich, jedyny, coby dokładnie mógł być opisać jego lata szkolne, był Jan Czeczot. Oba tegoż samego wieku, w jednym czasie ukończyli szkoły i pojechali na uniwersytet wileński. Rodzice Czeczota mieszkali w Nowogródku, czy też jego okolicach, a Jan był od dzieciństwa poetą, jak Mickiewicz. Jednakże choć związani jakby jedną duszą, znacznie różnili się z powierzchowności, w charakterze

i, jak to u nas mówią, w temperamencie. Mickiewicz nie ukrywał odrazy do ludzi nienaturalnych, fałszywych lub skłonnych do uniżenia się przed

siłą lub majątkiem, był nielitościwym biczem na przechwalców, nie był zbyt łagodnego i słodkiego ujęcia.



J. Czeczot.

«Towarzysz od czubów szkolnych, Czeczot, jedyny może, któremu wolno było gderać, przestrzegać i napominać Mickiewicza, był nawet z powierzchowności dziwnie łagodnego, utulnego charakteru. Nizki, okragłej twarzy, zarówno pobłażający dla wszystkich, jak surowy dla siebie i dla Mickiewicza, był prawdziwie uosobioną czułością i miłością bliźniego. Z otwartem sercem dla wszystkich, był też pospolicie weselszym od Mickiewicza i garnął ku sobie i do niego tych nawet, których z razu wyższość i genialność poety nie ośmielały zbli-

żyć się do niego z całą poufałością.

«Owóż dwaj nasi studenci szkoły Nowogródzkiej, od najrańszych lat znali dobrze lud litewski,

polubili jego pieśni, przejęli się jego duchem i poezją; ku czemu zapewne przyczyniło się i to, że małe miasteczko Nowogródek niewiele się różniło od wsi, dworów i zaścianków naszych.

Życie szkolne było raczej wiejskie, miasteczkowe, niż miejskie. Przypatrywali się kiermaszom, targom i odpustom, bywali na weselach chłopskich, dożynkach i pogrzebach. Stąd też za szkolnego jeszcze życia uboga strzecha i pieśń gminna roznieciły w obu pierwszy ogień poetycki. Mickiewicz prędko wzniósł się do wyższej sfery swoich cudownych utworów; Jan aż do śmierci pozostał wiernym poezji ludowej: pisał, zbierał i śpiewał wioskowe pieśni i wydawał potem ich zbiory i tłumaczenia.

«Obaj studenci na święta i wakacje wyjeżdżali często do rozmaitych obywatelskich dworów, gdzie zarówno, jak we własnych rodzicielskich domach, przejęli się owym szlacheckim życiem i obyczajami, które tak żywo odbiły się w «Panu Tadeuszu».

Inni znajomi i współcześni Jana Czeczota opowiadali o nim, że był wątłej budowy, żywy, tkliwy, łatwo się dawał powodować chwilowemu uczuciu i łatwo przechodził z oburzenia w rozczylenie, z wesołości w zadumę. Była to dusza czuła, wylana dla innych, skutkiem zbytku wrażliwości z trudem utrzymująca się w równowadze i rzadko też zażywająca spokoju wewnętrznego. Gotowy do zacnych usług i poświęceń, lubił roztaczać opiekę nad kolegami, mianowicie młodszymi, i nadawać im kierunek moralny. Ale im bardziej kogo kochał, tem więcej doskonałości od niego wymagał i tem silniej raziły go w osobie ukochanej najmniejsze usterki, skutkiem czego gderał często na tych, których kochał najserdeczniej, a stąd gderał i na samego Mickiewicza.

Jan Czeczot urodził się w r. 1794, a jak inni podają w 1797, we wsi Rzepichowie w powiecie Nowogródzkim, był więc nieco starszy od Mickiewicza i tem się poniekąd tłumaczy, dlaczego na ławie szkolnej wolno mu było zrzedzić i przestrzegać Mickiewicza. Na uniwersytet wileński, być może, iż Czeczot wyjechał rokiem pierwszej, a lubo uczęszczał na wykłady wydziału nauk moralnych i politycznych, sercem Ignął do poezji, zwłaszcza ludowej, i w jej nastroju tworzył pieśni studenckie, z których dwie: jedną w narzeczu białoruskiem, drugą polską, przechował Ignacy Domejko i podał

w pracy swojej: «Filareci i Filomaci» (r. 1872) Razem z Zanem i Jeżowskim był założycielem towarzystwa filomatycznego w uniwersytecie wileńskim i wogóle brał nader czynny udział w ówczesnym życiu społecznym.

W r. 1824 Czeczot wyjechał do Orenburga, potem do Tweru, gdzie do roku 1833 przebywał, utrzymując serdeczne listowne stosunki z kolegami, a mianowicie z Mickiewiczem. Bawiąc w Ufie, przetłumaczył na język polski angielskie dzieło Waszyngtona: «Rysy moralności i literatury anglików i amerykańców», które wyszło w 2-ch tomach w Wilnie r. 1830. Z Tweru był przysłany na sekretarza biura inżynierskiego przy Berezynskim kanale w Leplu w gub. Witebskiej.

Za powrotem do Nowogródka, otrzymał posadę bibliotekarza w Szczorsach u Adama Chreptowicza. Wówczas to zajął się gorliwie zbieraniem pieśni ludu i tłumaczeniem ich z narzecza białoruskiego na język polski. Najprzód wyszły u Zawadzkiego w Wilnie: *Piosnki wieśniacze z nad Niemna*, w dwóch częściach. Część I w r. 1837 i część II p. n.... z *nad Niemna i Dźwiny* w r. 1839. Trzecia książeczka tych piosenek wytłoczoną została r. 1840. W r. 1844 ukazał się czwarty tomik ze wstępem, w którym Czeczot podał bibliografię dzieł o poddanych (t. j. włościanach) w Polsce. W roku następnym wyszły *Piosnki wieśniacze z nad Niemna, Dniepru i Dniestru*, a w r. 1846 ukazały się aż trzy prace Czeczota, mianowicie: *Pieśni ziemianina* (poczet pieśni historycznych), dalej tomik pieśni z nad Niemna i Dźwiny, a także niektóre przysłowia i idyotyzmy w mowie słowianokrewickiej ze spostrzeżeniami nad nią uczynione mi We wstępie znajdujemy rys gramatyczno-historyczny dyalektu krewickiego i o podobieństwie języka słowiańskiego do Sanskrytu. Trzecią wreszcie pracą były: «Niektóre uwagi, szczególnie pod względem stylu nad pieśnią trzecią Anafielas: Witolowe boje, utworem J. Ig. Kraszewskiego». Jest to surowa ocena tego poematu, pierwotnie drukowana ze zmianami w «Tygodniku petersburskim». Polskie przekłady pieśni ludowych odznaczają się prostotą i wiernością. W utworach oryginalnych, jakimi są «Pieśni ziemianina», Czeczot nie okazał wyższego talentu poetyckiego. Uderza w nich wszakże wdzięk słowa, szlachetność uczuć i prawość charakteru, które stanowiły wybitne cechy duszy autora. Chwilami rwał się Czeczot

i do powieści, a nawet do powieści humorystycznej. Mieliśmy w ręku podobny jego utwór rękopiśmien-ny p. n. «Litwa i Żmudź w karykaturze», ale niedo-kończony. Rzec dzieje się w Królewcu około r. 1829, a przedmiotem jest życie hulaszce kilku przybyłych tam bałagulów nadniemeńskich.

Czczot należał do ludzi bardzo pracowitych. Mamy pod ręką rodzaj *Silva rerum* w postaci książki rękopiśmiennej, zatytułowanej: «Wypisy z książek czytanych wiadomością o nich. Notatki do historii narodu polskiego». W zbiorze tym znajdujemy moc notatek z pamiętników francuskich, historii polskiej dotyczących, z dawnych dzieł niemieckich, zawierających wzmianki o rzeczach polskich, z kronik i dawniejszych poetów polskich, oraz rękopisów biblioteki Chreptowiczowskiej. A wszystko to wypisane starannie, gęstem i drobnym, czytelnym pismem, z wielką oszczędnością papieru, na stronicach numerowanych, a w końcu opatrzone «Spisem rzeczy, zawartych w tej książce», z której widać, że wszystko, co dotyczyło dziejów, obyczajów, statystyki krajowej, rolnictwa, ludu wiejskiego, języka, filantropii, poezji i muzyki, obchodziło zarówno i było blizkiem serca zacnego nowogrodzianina.

Obok zajęć obowiązkowych bibliotekarza wielkiej księżnicy w Szczorsach (położonych nad Niemnem w powiecie Nowogródzkim), i obok prac literackich, a głównie zbierania i tłumaczenia pieśni ludu, pan Jan zajmował się serdecznie ludzką niedolą, mianowicie zaś Towarzystwem dobroczynności w Nowogródku. Z listu jego, pisanego ze Szczors w r. 1841, a zaczynającego się od słów: «Kochany panie Pietrze», dowiadujemy się, że posiadał własną bryczkę, którą na rzecz biednych sprzedać polecił, ubolewając przytem, że do kompletu w Towarzystwie nowogródzkim brakuje jeszcze siedmiu członków. Wzmiankuje przytem o sobie, że opiekuje się biednymi, sam najuboższy.

Po śmierci Adama Chreptowicza Czczot osiadł u przyjaciela swego, obywatela Rafała Śliźnia we wsi Wolnej. Tu zachorowawszy, udał się na kurację do Druskienik, gdzie po ciężkich i długich cierpieniach szlachetny swój żywot w d. 11 sierpnia 1847 r., a 53 wieku swojego zakończył. Bawiący podówczas w Druskienikach R. Wilczyński na kilkanaście dni przed jego zgonem (d. 27 lipca) wykonał akwarellę, przedstawiającą druha

Mickiewiczowego na łożu boleści, z której podobnie przy niniejszym życiorysie dołączamy ¹⁾).

Obecnym był wówczas u wód Druskienickich i Józef Ignacy Kraszewski, a lubo czuł się boleśnie zadraśniętym przez Czczota wydrukowaną w roku poprzednim przez tegoż surową oceną «Witoldowych bojów», to jednak dał dowód prawdziwej podniosłości ducha, pisząc nad niezastygłymi jeszcze zwłokami (w dniu 11 sierpnia) rzewny wiersz «Na śmierć Jana Czczota»:

W ubogiej chatce, na prostym tapczanie
Trup leży martwy, z powieką zapadłą,
A boleść ciężka i długie konanie
Uśmiechem wieńczę twarz wybladłą.
Pusto; troje ich tylko nad ciałem zostało:
Ta, co go strzegła do życia ostatka,
Której skonanie jego resztę łez zabrało,
Obca mu, ale razem siostra, żona, matka,
I biedna jakaś stara, co umarłych strzeże,
Zimnemi wargi martwe szepcząca pacierze...
I żebrak wpół zdrzemany z gałęzią zieloną,
Jako palma zwycięstwa nad zmarłym zwieszoną.
Pusto... ledwie ktoś zajrzy i do bladej twarzy
Wzrokiem się przełęcznionym przybliżyć odważy.
My staśmy, na zwycięzcę popatrzyć zdaleka,
Zapłakać nad poetą, westchnąć za człowieka!
W tej skroni bladej, w której myśl jaśniała,
W snem spojonych powiekach, w nstach uśmiechnio-
[nych,

Jak się odbija przeszłość jego cała!
Ile w obliczu martwem wiary i miłości!
Uczmy się żywi — bo żaden z nas nie ma
W licu tego spokoju, w obliczu świętości;
Żaden żywemi nie powie oczyma,
Co ten trup niemy i co ta twarz blada
Milcząc o swojej przeszłości powiada.
W ubogiej chatce klękniij na modlitwie!

A kto umierał z licem tak pogodnem,
Ten umarł pewien, że za znanym światem,
Zadatek pracy zniwem wróci się bogatem.

Śmiertelne szczątki Jana Czczota pochowane zostały na wiejskim parafialnym cmentarzu przy

¹⁾ Akwarella powyższa znajduje się w zbiorach Aleksandra Jelskiego w Zamościu.

kościółku w Rotnicy o pół mili od Druskienik
(w powiecie Trockim). W kilka lat później posta-
wiono na jego grobie dotąd istniejący krzyż że-
lazny i wryto na nagrobku piękny wiersz Odyń-
ca, napisany w dziesięć lat po zgonie Czeczota:

«Młodość poświęcił pracy dla nauk i cnoty,
Wiek męski przetrwał mężnie w próbach i cierpie-
niu;
Miłość Boga i braci—treść jego istoty,
Cały ciąg życia jego — droga ku zbawieniu.
Imię jego w ojczyźnie jest wiecznie związane
Z Adamem Mickiewiczem i Tomaszem Zanem.

Kto wiesz, czem oni byli — schył skroń przed tym
[głazem!
Pomyśl, westchnij i módl się — za wszystkich
[trzech razem!..¹⁾

Zygmunt Głóger.

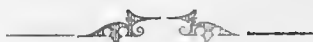
Jeżewo, w listopadzie 1898 r.

¹⁾ Niektóre szczegóły z życia Czeczota są w życiorysie An
Ed. Odyńca.



Walenty Wańkowicz.

* 1799 † 1842.



dyniec w swoich «Wspomnieniach z przeszłości» powiada, iż za jego czasów w uni-

z których niniejsze wspomnienie zaczerpniętem zostało.

wersytecie wileńskim (1820 — 1823), w «Gronie Błękitnem» czyli towarzystwie literackiem uczącej się młodzieży, było tylko dwóch muzyków i jeden malarz Walenty Wańkowicz, uczeń Rustema. Przy tej wzmiance autor »Wspomnień« nie podaje więcej szczegółów biograficznych o młodym malarzu, mamy jednak takowe, lubo nie wyczerpująco zebrane, w życiorysach Wańkowicza, które pojawiły się w czasopismach polskich po zgonie znakomitego artysty (Smokowski i inni), a



Malarz litewski urodził się r. 1799 w majątności rodziców swoich Kałużycy, położonej w powiecie Iłumeńskim gubernii Mińskiej, to jest w stronach, gdzie Wańkowiczowie do gniazdowych ziemian zdawna należeli. Do 12-go roku życia chował się w domu rodzicielskim i przygotowywał do szkół pod dozorem nauczycieli domowych, ujawniając wczesnie zamiłowanie i zdolności do rysunków. Około roku 1812 odwiedziony został do słynnych wówczas szkół jezuickich w Połocku, po których ukończe-

niu, w r. 1817 przybył do uniwersytetu wileńskiego, gdzie szkoła malarstwa szeroko na Litwie słynęła, a po śmierci Smuglewicza katedrę malarstwa zajmował «pocziwy» Rustem.

Rysunki własnoręczne, przywiezione przez młodzieńca do Wilna z Połocka, obudziły podejrzenie, że musiały być raczej ręką nauczyciela połockiego Grubera, niż samego Wańkowicza wykonane. Niebawem jednak przekonano się naocznie, że młody rysownik był człowiekiem dziwnie skromnym, prawdomównym i nie uciekałby się nigdy do podobnego samochwalstwa. Będąc pobożnym, zwykł był chodzić bardzo rano do kościoła, gdzie przypatrzywszy się modlącym przy stoczkach woskowych, odmalował kilka scen mszy roratnej, jak starcy i kobiety przy świetle podobnym różaniec śpiewają. Rysunki te zrobiły Wańkowiczowi pierwszy rozgłos w Wilnie, a odtąd jak tylko brał ołówek do ręki, zwykle stawała tuż za nim gromadka kolegów, przypatrująca się z za pleców jego pracy, sposobowi rysowania i przysłuchująca się uwagom młodego artysty.

Pomimo gorliwości, z jaką wykładał Rustem swoje lekcje, stan szkoły rysunkowej był jeszcze początkujący. Po raz pierwszy wprowadzono wówczas rysowanie ciała z żywych modeli. Dotąd studyowano tylko gipsy: Laokona, Apollina i kilku innych. A i teraz pomimo że Wilno było ludnem, nie można było w mieście i na wsi wyszukać biednego człowieka, któryby zezwolił nagość swego ciała modelować, tak że dopiero znalazł się jeden z malarzy, który się w tym kierunku dla dobra uczących poświęcił, ale, niestety, sam był tak chudy i niekształtny, że bez wstretu rysować jego postaci nie było podobna.

Wańkowicz uczęszczał w uniwersytecie na oddział nauk fizycznych, studyował optykę i działanie światła i był już trzy lata na tych studiach, gdy dziekan wydziału literatury i sztuk pięknych, profesor literatury greckiej i łacińskiej G. E. Grodek nazначzył za przedmiot do rysunku Filokteta z Neoptolemem; rysunek Wańkowicza wszystkich widzów do siebie pociągnął i jemu pierwszeństwo i nagrodę przyznano. Ciągłe postępy skutkiem studyowania dobrych wzorów ośmieliły Wańkowicza do malowania portretów, a pierwszymi próbami były podobizny członków jego rodziny i przyjaciół, które tak uderzały podobieństwem i znajomością sztuki malarskiej, że je za pierwsze

w Wilnie po robotach Rustema uważano. Wykształcenie przytem naukowe posiadał już gruntowne, skutkiem czytania się zarówno w autorach łacińskich, jak i polskich.

Roku 1826 Wańkowicz kosztem uniwersytetu wysłany do petersburskiej Akademii sztuk pięknych, gdzie już po kilku miesiącach otrzymał mniejszy medal srebrny i do najlepszych uczniów zaliczony został. W 8 miesięcy później jednomyślnie przyznano Wańkowiczowi medal srebrny wielki. W trzecim roku pobytu swojego w Petersburgu otrzymał Wańkowicz jeden z trzech medalów złotych za obraz treści historycznej (oblężenie Kijowa), którą to treść poraz pierwszy naznaczono wówczas w Akademii petersburskiej, dotąd bowiem dozwolone były tylko tematy z Pisma świętego. Wówczas to, korzystając z pobytu w Petersburgu Mickiewicza, z którym go koleżeństwo wileńskie, równość wieku i uwielbienie dla poety łączyło, wykonał słynny portret wieszczą, przedstawiający go w górach Krymu. Współcześni znawcy czynili tylko portretowi temu drobne techniczne zarzuty, a mianowicie, że lira, położona na murawie, nie miała należytej perspektywy i że obłoki poniżej wierzchołków Czatyrdahu, bliskością zbyt czarną robiły wrażenie dymu.

Po czterech latach cichej, mozolnej pracy w Petersburgu, powrócił Wańkowicz na Litwę do gniazda rodzinnego i w zaciszu domowym, daleki od zgiełku światowego, oddawszy się malowaniu głównie portretów, zamiłowany namiętnie w pendzlu i w czytaniu książek, został ziemianinem-malarzem. Ze wsi Ślepianki, gdzie mieszkał i miał swoją pracownię, odwiedzał często Mińsk pobliski, gdzie miał drugą pracownię i gdzie mieszkał przyjaciel jego, także malarz, Dammel, a niekiedy bywał i w Wilnie, z którym łączyły go wspomnienia uniwersyteckie i liczne stosunki. Do roku 1830 malował wiele miniatur, które wówczas zastępowały dzisiejsze fotografie. Od roku 1830 zarzucił miniatury i malował już tylko portrety olejne, a niekiedy i obrazy treści religijnej. Opowiadano wiele w owym czasie o obrazie Maryi Panny z dzieciątkiem Jezus, naturalnej wielkości, także o wizerunku Napoleona I w całej figurze, grzejącego się przy ogniu, przed bitwą pod Waterloo. Wykonał także wielki krajobraz, przedstawiający widok ukochanego Wilna, w którego murach około ośmiu lat pracowitej młodości prze-

pędził. Wańkowicz nie był kompozytorem, ale znakomitym naśladowcą szczególnie dzieł Rafaela, którego był fanatycznym wielbicielem. Był też wielce chwalony małych rozmiarów obraz jego rodziny, wzorowany z Rafaela «Świętej rodziny». Inny obraz przedstawiał wnętrze jego pracowni i w niej malującego artystę, jego ojca i żonę z dzieckiem.

Portretów wykonał Wańkowicz na Litwie kilkadziesiąt, odznaczających się, jak twierdzili współcześni, podobieństwem i prawdą oraz harmonią światła i cieniów. Do więcej znanych należały: Portret *Antoniego Goreckiego*, poety, szwagra malarza, w postawie siedzącej, wielkości naturalnej, *Adama Mickiewicza*, wspartego na skale; portret, jak wzmiankowaliśmy powyżej, malowany w Petersburgu, znajdował się u p. Aleksandra Moniuszki w Śmiłowiczach. Z niego wykonana jest litografia paryska. Portret *Maryi z Wołowskich Szymanowskiej*, sławnej fortepianistki, malowany także w Petersburgu, znajdował się w Wilnie u Wilczyńskiego. Świetny portret *Karola Lipińskiego*, trzymającego w ręku skrzypce i smyczek, wieńczonego przez sławę, był prawdopodobnie malowany w r. 1838, w którym znakomity artysta odwiedził Wilno i Litwę. W Wilnie w domu marszałka słonimskiego *Wojciecha Pusłowskiego* (zmarłego w r. 1833) malował Wańkowicz portret jego, tudzież jego żony i trzech synów. Portret własny malarza znajdował się w Wilnie u p. J. K. Wilczyńskiego i z niego to była robiona litografia do albumu wileńskiego. Znajdujący się obecnie także portret w bibliotece ordynacji Krasieńskich w Warszawie, zdaje się, że jest tym samym ze zbiorów Wilczyńskiego.

Najgłośniejszym ze wszystkich obrazów Wańkowicza stał się *Staruszek litewski* modlący się, studium z natury. Artysta nasz tyle miał skromności w pojęciu o swoim talencie, iż zezwoliwszy na zrobienie sztychu z pomienionego obrazu, uważał za stosowne napisać w «Orędowniku» odezwę, tłumacząc się z tego, że «po raz pierwszy ośmiela się wydać swoje dzieło na widok publiczny». Piękny sztych, wykonany przez G. Lüderitz'a, upowszechnił «Staruszkę Litewskiego» (a jak na Litwie nazywano, «Starego szlachcica Soplicę») i zarazem imię Wańkowicza po całej Europie. Oryginał znajdował się w galerii Aleksandra Moniuszki w Śmiłowiczach, a później w zbiorach Emeryka Czapskiego w Stańkowie.

Umysł Wańkowicza skłonny był zawsze do pewnego mistycyzmu. Marzył o podróży za granicę nie tylko w celach artystycznych. W roku 1839 opuścił kraj i rodzinę, a zabrawszy kilka cenniejszych swoich obrazów, udał się nasamprzód do Dreżna, gdzie około roku przesiedział, kopiując arcydzieła w galerii królów saskich. W roku 1840 udał się do Monachium, a następnie do Paryża. Tutaj mistycyzm coraz silniej umysł jego opanowywał, ku czemu sprzyjało nadwątłone zdrowie i utrata sił fizycznych, skutkiem bezgranicznego zamięłowania w pracy, której przez ćwierć wieku po całych dniach się oddawał.

Z ogólnym żalem ziomeków zgasił w Paryżu d. 12 maja 1842 r., dobiegając zaledwie zwykłej połowy dojrzałego wieku męskiego. Pochowany na cmentarzu Mont-Martre.

Zygmunt Głogier.



Feliks Bernatowicz.

* 1786 † 1836.

Kiedy Walter-Scott czarodziejstwem wyobraźni swojej wskrzeszał zamierzchłą przeszłość Szkocji z jej rycerzami, zamkami, obyczajami; kiedy każdy zakątek ojczyzny swojej opromieniał wszystkimi blaskami entuzjastycznego ukochania: wszystkie narody zapragnęły posiadać podobne obrazy swoich własnych krain. Powstały więc tłumnie powieści historyczne, które z powodu ich zależności od wzoru nazwano «walterskotyzacyami». Były one mniej lub więcej udatne, chociaż żadna wówczas nie mogła się mierzyć z twórcami inicjatora całego kierunku.

I u nas również prąd ten objawił się silnie. Równocześnie trzech pisarzy niezależnie od siebie zaczęło uprawiać powieść historyczną w duchu Walter-Scotta: Aleksander Bronikowski, Julian Ursyn Niemcewicz i Feliks Bernatowicz. Pierwszy z nich był najpłodniejszy, ale pisał po niemiecku, drugi poprzestał na jednym utworze, przecenionym w swoim czasie («Jan z Tęczyna»), trzeci pisał wprawdzie także niewiele, ale posiadał niepospolity talent plastyczny i utworzył najcelniejszą naszą «walterskotyzację», której tytuł *Pojata, córka Lezdejki*.

Feliks Aleksander Gejsztowt Bernatowicz przyszedł na świat w Kownie 18 maja 1786 roku. Rodzicami jego byli: Jakób, rotmistrz województwa trockiego, i Wiktorya z Baranowiczów. Dzieciństwo spędził we wsi Opuszcze (w powiecie Maryampolskim). Oddany do szkół w Wilnie, przed ukończeniem jeszcze nauk został sierotą. Feliksa za-

* wezwał stryj Tomasz i umieścił go dla dokończenia edukacji w świeżo założonym przez Czackiego gimnazjum krzemienieckim. Tu się młodzieniec zapoznał gruntownie z literaturą łacińską, francuską i polską, oraz nabył oglądy towarzyskiej. Zwiedziwszy następnie część Litwy, Pińszczyzny i Podola, wszedł na dwór starego księcia Adama Czartoryskiego, generała ziem podolskich, w Sieniawie, gdzie miał sobie powierzony obowiązek sekretarza do listów polskich i francuskich. W licznych i różnorodnych sprawach księcia wysyłany, był kilkakrotnie w Wiedniu, Monachium, Dreźnie, kształcił swój smak, rozszerzał znajomość ludzi i świata. Sam zresztą pobyt w Sieniawie i Puławach, gdzie się tyle znakomitości wszelkiego rodzaju znajdowało stale lub czasowo, gdzie zamiłowanie w sztukach, literaturze i naukach było tak gorące, gdzie tak szczerze zajmowano się sprawami kraju, mógł się stać źródłem i wyższego wykształcenia i przyzwyczajęń artystycznych. Bernatowicz prawie połowę życia spędził na tym dworze, przejmując się jego wyobrażeniami i duchem. Kolegami jego i przyjaciółmi byli tutaj: Ksawery Prek, Adam Kłodziński, Łukasz Gołębiowski i Adolf Dobrowolski.

Księżę generał lubił wyznaczać dworskiej młodzieży różne prace literackie, wybierając celniejsze dzieła w obcym, najczęściej francuskim języku i dając je do tłumaczenia na polski, niekiedy naznaczał tematy do rozpraw lub żądał sprawozdań z książek poważnych. Prace te zazwyczaj przeglądał i niekiedy udzielał rad i napomnień. Takie

roboty były też pierwszemi próbami pióra Bernatowicza. Potem pisywał komedye prozą i zabierał się do dramatów historycznych. Następnie zwrócił się do powieściopisarstwa i, mając lat 34, ogłosił drukiem pierwszy swój utwór p. t. *Nierozsądne śluby* (1820). Z nazwisk i zdarzeń dziejowych, tu zawartych, była to niby powieść historyczna, jednak w gruncie rzeczy malowała wypadki i uczucia w smaku sentymentalnym i odbijała w sobie nastrój umysłów współczesnych autorowi.

Dopiero wpływ Walter-Scotta oderwał Bernatowicza od malowania osobistych uczuć zawiedzonego serca i pobudził do przedmiotowego traktowania przeszłości.

Mając osnuty plan powieści o połączeniu Litwy z Polską przez małżeństwo Władysława Jagiełły z Jadwigą, wyjechał na Litwę, zwiedził rodzinne swoje Kowno, potem Krewę, Kiernowo, Troki i inne miejscowości, które zamierzał odmalować; odbywał pieszo dalekie wycieczki, badał podania ludu, śledził zabytki przeszłości, kreślił widoki okolic pamiętnych w historii. Za powrotem osiadłszy w Puławach, gdzie miał sobie poruczony zarząd księgozbioru i starożytności, zabrał się do pisania i z wielkim rozmysłem artystycznym, starając się o wykończenie stylowe w smaku wówczas jeszcze panującym, stworzył *«Pojatę»*, wydrukowaną po raz pierwszy w r. 1826, uznaną odrazu za rzecz znakomitą, przedrukowywaną wielokrotnie, tłamaczoną na rosyjski, francuski, niemiecki i angielski.

Jakkolwiek koloryt dziejowy tej powieści nie może być dzisiaj uważany za trafny, jakkolwiek główny wątek romansowy jest zupełnie fantazyjny: tyle jednak mamy tu plastycznych obrazów, tyle prawdy psychologicznej w malowaniu uczuć, że czytając, gotowiśmy prawie uwierzyć, iż tak było rzeczywiście, jak autor opowiada. Przytem stylowe opracowanie jest tak staranne, że *«Pojata»*, jako dzieło pisarskie, niełatwo pójść może w zapomnienie.

Mniej tych zalet widzimy w drugim romanse historycznym Bernatowicza, wydanym r. 1828 p. t. *Natę*.

Rzecz ta jest osnuta na tle panowania Kazimierza W. Autor widocznie nie tak gruntownie i szczegółowo wystudował epokę, jak w *«Pojacie»*, a przytem pisał trochę pośpiesznie, przez co nie uniknął wielu błędów językowych i stylowych. Powieść ta miała jednak dla zwykłych czytelników wielką zaletę: akcja w niej szybciej się rozwijała, aniżeli w *«Pojacie»*. W roku bieżącym przedrukowuje ją jedno z pism galicyjskich. Niemcy i ten romans na język swój przełożyli.

Rok 1831 przepędził Bernatowicz w Warszawie, a w dwa lata potem przebiegł Niemcy, bawił czas jakiś w Poznaniu, Dreźnie i Paryżu. Wówczas niał w dziennikach francuskich pomieścić kilka artykułów treści historycznej i opisać społeczne sobie wypadki polityczne. Powróciwszy r. 1834 do Warszawy, objął redakcyę *«Dziennika Powszechnego»* rządowego i ogłosił dwie krótkie, ale ładne powiastki: *Powódź* i *Reginka z Sieciechowa* pod ogólnym napisem: *«Powieści z podań ludu i obyczajów krajowych»*. W chwilach wolnych od zajęć redakcyjnych zajmował się pisaniem powieści historycznej p. t. *Madonna albo Niemcy zakochani*.

Nie dokończył wszakże tego utworu z powodu cierpienia umysłowego, któremu uległ podobnie jak niegdyś Książnin. Dusza jego nader rzadko i chwilowo tylko wychodziła z obłądzenia; nieraz pograżał się w głuchej apatii, najczęściej zaś błąkał się pomiędzy światem rzeczywistym a urojonym i przybierał sobie imiona historyczne lub obdarzał niemi otaczających; na odgłos muzyki wpadał w zachwyt lub melancholję; niekiedy widziano go wesołym i zabawnym, a zawsze posłusznym.

Umarł 7 września 1836 roku, tknięty apopleksją. Pochowano go na cmentarzu w Łomży, gdzie u brata swego ostatnie chwile przepędził. Na grobie jego wznosi się skromny pomnik z ciosowego kamienia; napis na nim krótki, ale wymowny: *«Tu leży autor Pojaty»*. Streszczona w nim główna i niezapomniana zasługa autora.

Piotr Chmielowski.

Maurycy Gosławski.

* 1802 † 1834.

Kraina, której powietrzem poraz pierwszy Maurycy Gosławski odetchnął, była ziemią, mlekiem i miodem płynącą, obdarzoną wszystkimi bogactwami przyrody; epoka, w której żył i pisał, była epoką wielkich ludzi.

Maurycy był synem ubogich rodziców. Urodził się we Frampolu, w karczmie żydowskiej, gdzie znużona podróżą matka Gosławskiego na chwilowy zatrzymała się odpoczynek. Ojciec Maurycego po stracie niewielkiej fortuny był generalnym rządcą dóbr u hr. Branickiej, hetmanowej W. K.

W r. 1812 Maurycy został oddany do szkoły kamienieckiej. Zdolności malca i łatwość wierszowania zwróciły na niego uwagę profesorów i zyskały mu przyjaźń kolegów. Było to tak: odbywał się popis publiczny uczniów,

kilkonastoletni chłopak, zamiast wykonania zadanego przez profesora ćwiczenia, odczytał wiersz, pełen zapału i ognia, napisany przez siebie. Nie-

zadowolone i zdziwione nauczyciele skończyło się zachwytem. Publiczność osypała Gosławskiego oklaskami i od tej chwili pozyskał nazwę mówcy i poety okolicznościowego.

W roku 1819 starszy brat Maurycego, Albin, odwiózł go do liceum krzemienieckiego. Łatwy w obejściu się, serdeczny przyjacielski, z pozyskaną już sławą pomiędzy kolegami dawnymi — Gosławski zaskarbił od razu serca nowych towarzyszków nauk. Został dozorcą uczącej się młodzieży w klasach niższych, którym przyświecał dobremi obyczajami i pilnością w naukach. Z mało nam znanych szczegółów życia Gosławskiego w Krzemień-



Podług sztychu ze zbiorów Z. Wolskiego.

Maurycy Gosławski

cu, zapisany tylko został wypadek pewien, świadczący tak o humorze poety, jako też o chęci wyłamywania się z pod prawideł ogólnie przyjętych. Przy szkole krzemienieckiej istniało «Towarzystwo uczniów ćwiczących się w dobrym mówieniu i pisaniu». Do niego należeli: Karol Sienkiewicz, Adolf Dobrowolski, Jan Januszewski, Sierociński, Andrzejowski (Detiuk) i inni. Ażeby być przyjętym do «Towarzystwa», potrzeba było odczytać rozprawę treści naukowej. Jak niegdyś w Kamieńcu zamiast zadanego tematu Gosławski wystąpił z wierszem własnym, tak i teraz, nie chcąc się poddawać przez statut przepisany warunkom, zamiast rozprawy naukowej, odczytał na zebraniu koła ody «Do węża», zaczynając się od słów: «Ach, nie rośnij, wężuś luby!» Humor, zawarty w wierszu, podobał się ogólnie; Gosławski jednogłośnie został zaproszony na członka «Towarzystwa»; zwrócono tylko autorowi ody uwagę na krótkość utworu, składającego się z czterech strofek. W odpowiedzi Gosławski na następnej posiedzeniu odczytał wiersz sążnisty «Do Łokcia», gdzie uprasza tego łokcia o wstawienie się za nim i o wytłómaczenie go przed zgromadzeniem.

Z czasów pobytu w liceum pozostało w rękopisach u rodziny Gosławskiego dużo wierszy ulotnych, pełnych humoru i dowcipu, jak np. trawestacye mówek profesorów; w wesołych tych żartach jednak nie masz drwin, ani docinków uszczypliwych.

Po opuszczeniu Krzemieńca wrócił Gosławski na swoje piękne Podole, gdzie ciężkie warunki życia zmusiły go do zajęć nauczycielskich. Był więc nauczycielem u Trzecieckich w Berezówce, później w r. 1824 widzimy go u Wilamowskich, następnie wykłada nauki młodym Michalskim z Kordyszówki, braciom Melanii, do której silnie zabiło serce poety. Dwa lata przepędzone w Kordyszówce były latami prawdziwego szczęścia dla Gosławskiego. Niebo podolskie, Miodoborskie góry, Smotrycz, srebrnym pierścieniem skalisty opasujący Kamieniec, wreszcie miłość wzajemnością odpłacona — były to czynniki, oddziaływujące dodatnio na talent poetycki. Z lasów litewskich dolatywały potężne Mickiewicza pieśni, z równin ukraińskich kozackie dumy Bohdana Zaleskiego; wrzała już walka pomiędzy klasykami a romantykami, wytwarzały się szkoły: litewska i ukraińska, odtwarzano podania, wierzenia i zabobony ludu. Bez trosk o jutro, które

mu wróżyło dni piękne życia, Gosławski zaczął przysłuchiwać się pieśniom ludu podolskiego i — jeżeli nie myślał o wytworzeniu w poezji nowej podolskiej szkoły — serdecznie pragnął, ażeby i jego Podole zaznaczyło się w pieśni. I oto po za obrębem Podola nie widział już nic; zdawało się, że wszystkie piękności i bogactwa na jedno tylko Podole się zwały. Ta miłość do zakątka, do tej ojczyzny, ograniczonej Smotryczem i górami Miodoborskimi, nie dozwoliła Gosławskiemu objąć widnokręgu szerszego i rozpostrzeć dalej nieco skrzydeł swojej fantazyi. Pod koniec krótkiego swojego życia wyrzekł się tej «powiatowszczyzny», ale zabrakło mu już czasu do uderzenia silniejszego w struny narodowej pieśni.

Podczas walki klasyków z romantykami Gosławski, jak sam powiada, żadnego kierunku nie uznawał. W liście do P***, służącym za przedmowę do poezyi, wydanych w r. 1864 mówi: «Zechcesz pan wiedzieć, czy jestem wyznawcą szkoły klasycznej czy romantycznej? Szczerze odpowiem: żadnej! nie wiem nawet, czy mogą te szkoły istnieć lub nie». Źródłami, w których szukał natchnienia, były: natura, umysł, serce. — «Serce nie może czuć romantycznie, równie jak wyobraźnia działać — mówi dalej. — Ani jednemu, ani drugiej prawideł narzucać niepodobna. I poezya więc, co do istoty swojej, pod żadne nazwisko podchodzić nie może. Równie ona, jak miłość, sama stwarza siebie, bez naszej woli i wiedzy, bez woli i wiedzy rozpiera natchnioną pierś wieszczą, wydobywa się i w biegu swoim niepowstrzymana unosi wszystkie nasze władze».

Widzimy stąd, że Gosławski nie uznawał prawideł żadnych, które mogłyby natchnienie jego krępować. Stąd też w utworach większych Gosławskiego brak artystycznej jedności, rozumnej harmonii. Jako liryk, stoi o całe niebo wyżej od epika. Jakkolwiek nie uznawał szkół żadnych, bądź co bądź był romantykiem czystej wody. Jak Bohdan Zaleski, zwrócił się i on do przeszłości kozackiej, podnosząc nieraz czyny watażków ukraińskich.

Jak w pieśniach Zaleskiego, dumach Padury, pisanych, mówiąc nawiasem, z węgierska po ukraińsku, widzimy ubóstwienie niemal kozaczyzny, skrzywienie niejednokrotnie prawdy historycznej, tak i w pieśniach Gosławskiego kozaczyzna w nadto pięknych barwach występuje. Powiedzieliśmy, że była to chwila rozbudzenia się sumie-

nia narodowego, choć w pieśni wynagrodzenia krzywd dziejowych tym, którym w życiu sprawiedliwości odmawiano.

Dwuletni pobyt w Kordyszówce, opromieniony wzajemną miłością Melanii, był najpłodniejszą epoką w twórczości Gosławskiego. Wówczas to powstał poemat w 4-ch częściach p. n. *Podole, Dumka o Nyczaju, Leszek*, kawał powieści poetyckiej: *Zygmunt Kordysz* czyli *Oblężenie Niemirowa, Urojenia* (wolny przekład *Die Ideale* Szyllera), *Odjazd* i wiele innych okolicznościowych i humorystycznych wierszy.

Pisząc i marząc, nie spodziewał się Gosławski, że — mimo wzajemności Melanii — rodzina bogatej panny przeciwną będzie najserdeczniejszym zamiarom jego. Opuścił więc Kordyszówkę i zaciągnął się do korpusu litewskiego. Po upadku powstania i odsiedzeniu więzienia wyjechał do Galicyi. Melania dochowała wierności kochankowi, odnowiły się znowu projekty połączenia z ukochaną. Gosławski bawił u wód siarczanych w Korobkówce, gdzie uśmiechały się do niego różowe kobiety usteczka. Modrooka panna Elżbieta R. zrobiła wrażenie na poecie. Wieść o tem na Podole doszła. Urażona w dumie swojej, Melania po 9-iu latach oczekiwania, odesłała Gosławskiemu pierścień, zwalniając go z danego słowa. Nie pomogło tłumaczenie się; winy nie przebaczone.

Po ostatniem zerwaniu z tą, której zawdzięczał najpiękniejsze chwile swojej młodości, której niejedno wspomnienie poświęcił, która, jako duch dobry, towarzyszyła mu w myśli podczas wyprawy zadunajskiej wojsk cesarskich — Gosławski żył tylko 10 miesięcy. W listopadzie r. 1834, doglądając w Stanisławowie chorego na tyfus przyjaciela, zaraził się i umarł po krótkiej walce z życiem. Pochowano go w Stanisławowie w Galicyi.

Z tych lat burzliwych pozostało po Gosławskim dużo piosenek żołnierskich, które dotąd w pamięci podolan przechowywały się. W r. 1833 w Paryżu wyszły *Poezye Ułana* (2 t.), gdzie znajdujemy wiersze sporej objętości, jak: *Mogily, Do Adama Mickiewicza, Majdanek, Podolanka, Sep, Zaręczenie, Wiersze Ukrainy i Wędrówka*. Krom tego utwory mniejszych rozmiarów. W r. 1859 Leon Zienkiewicz wydał w Paryżu z życiorysem i portretem autora dwa obszerne poematy: *Renegat* i *Banko*.

Gosławski niezbyt wybitne miejsce w literaturze zajmuje. Po rozwiązanych snach miłości talent jego wzmógłby się na siłach, a obdarzony bujną fantazją, niejedną rzecz piękną w puściźnieby zostawił. Krótkość życia nie pozwoliła na to. Narodowym poetą Gosławski nie jest; — myśl jego krążyła tylko nad Podolem i w pamięci podolan dotąd żyje, a niedawne to czasy, gdy dwory szlacheckie i dworki ekonomiczne rozlegały się piosnkami autora Nyczaja. Przy wtórze gitary lub klawikordu śpiewają dziś jeszcze ulubioną piosnkę: «Gdyby orłem być, Lot sokoli mieć», a któż nie zna tęsknych lub ognistych mazurków: «Nie mam swego nic na świecie» «Lazła z pleców nieraz skóra» i t. p.

Z większych utworów najwięcej znany jest poemat *Podole*, składający się z 4 pieśni: 1) Piękności Podola, 2) Wesele, 3) Klęski i 4) Pożegnanie. — Przeceniony dawniej, dziś żadnego zajęcia nie budzi. Opisom ziemi podolskiej brak poetyczności, całości, harmonii, a ubóstwo fabuły nie przyciąga na długo uwagi czytelnika. Rzecz osnuta na uduszeniu w pieczarach smotryckich gromady ludu, który się tam ukrył przed napadem Tatarów. Opowieść psują zwroty do ukochanej Melanii, choć te ustępy największą tchną poezją.

Więszego literackiego znaczenia jest *Banko*, poemat na poły poważny, na poły satyryczny. Jest to opis pocziwego hulaki, kochającego się w dwóch kobietach naraz, lecz nie wiedzącego, którą szczerzej kocha. Wplatają się tu i wypadki z r. 31 satyrycznie odmalowane.

Znamieniami cechami charakteru Gosławskiego były: wielka prawość, silne przekonania demokratyczne i miłość kraju. Pierwsze wydanie poezyi swoich poświęcił generałowi hr. Wincentemu Krasińskiemu, nie wiedząc, że imię hrabiego nie było wcale popularne w narodzie. Dowiedziawszy się o tem, zaczął egzemplarze wycofywać z obiegu i palić, nie chcąc, by jego nazwisko łączyło się z postacią, której naród miał wiele do zarzucenia. Jest to rys piękny, tem bardziej, że Gosławski bawiąc w Warszawie, cieszył się przyjaźnią i życzliwością generała. Dużo jeszcze jest prac poety niewydanych, a kto wie, czy nie znalazłaby się tam perełka jaka, która by odświeżyła wędniejący wawrzyn jego sławy.

Kazimierz Gliński.

Adam Jerzy ks. Czartoryski.

* 1770 † 1861.



Aldrodzony w Warszawie (14 stycznia 1770 r.), Księcia generała ziem podolskich i Fleminżanki najstarszy męski potomek, od kolebki zdawał się do najwyższych być powołanym przeznaczeń. Po wojewodzie ruskim, już niegdyś cichym do tronu kandydacie za przedostatniego bezkrólewia, po ojcu, za ostatniego wprost dezygnowanym do korony, on w trzecim pokoleniu duchowej dostąpił udzielnosci. Nie szukać w nim rysów ducha rodowych. Po pradziadzie przez matkę, kanclerzu litewskim, jeśli wziął rozum stanu i senatorską powagę, nic nie wziął z dumy, zaciętości, ani prywaty; po rodzicach, jeśli żywą swoją tradycję i uczuciową wrażliwość, nic ze zmysłowej gorączki, ani lekkomyślnego sceptycyzmu doby oświecenia. Wychowanie, jakie odebrał w pierwszych zwłaszcza latach dzieciństwa, najdoskonalszem nie było. Kochała go bardzo matka, księżna Izabela, lecz ówczesnym na modłę «Emila» miłości macierzyńskiej sposobem egzaltowanym i nierównym, ówczesnym oraz pojęciem kobiety politycznej, skłonnej w synu najstarszym oglądać nasamprzód naczelnika rodu i stronnictwa. Powierzone dziecko opiece kamerdynera Francuza, w zacisznej Różance nad Bugiem, w starym Wołczyńskim podkanclerskim, dość samotnie pierwsze spędzało lata; później dopiero, w Warszawie w Pałacu Błękitnym, w sielankowym powązkowskim przybytku, pod okiem rodzicielskim chowane, a więcej bawione. Dwunastoletni generałowicz doznał niebawem pierwszej i ostatniej łaski królewskiej, kiedy po

śmierci księcia wojewody ruskiego, wziął opróżnioną chorągiew kawalerii narodowej, z patentem rotmistrzowskim (1782 r.). Jednak już wtedy dobrze był świadom rozbratu między swoją rodziną, a Stanisławem Augustem, a nawet aż do zbytku miał sobie wpojone tak wcześnie urazy i uprzedzenie rodowe i stronnictwo, z których jemu samemu później otrząsnąć się wypadło.

Zabrany przez ojca dla objazdu obszernych włości, zostawionych w spadku przez księcia Augusta, zobaczył Wołyń, Podole, Ukrainę. Po powrocie, w Puławach porządniejszym już trybem kształcony w naukach, od Książnika wprowadzony do ojczystego piśmiennictwa, do klasyków od Grodka, przecież na ogół i nadal pod cudzoziemskich przeważnie metrów zostawiony kierunkiem. Wszakże, wszelką w tym względzie jednostronność wychowania znosił i zbawiennie dopełniał wysoki nastrój swojskiego i obywatelskiego ducha, nasycający powietrze puławskie. Zdrowy to i silny był duch, hodowany tutaj z coraz głębszą i czystsza świadomością przez księżnę Izabelę, odzywający się jednogłosem echem w codziennych sprawach, rozmowach, nawet rozrywkach puławskich, widomie wcielony w łagodnej Karpińskiego, żywej Niemcewicz, poważnych Potockiego Stanisława i Ignacego i w tylu innych szanownych i niezapomnianych postaciach. Niezatarte nigdy wrażenia wyniosła z takiego środowiska młoda dusza księcia Adama Czartoryskiego. Dla rozejrzenia się w nowym świecie wyprawiony za granicę



Adam Szpakowski

(1786 r.) odwiedził siostrę, księżniczkę Maryę, od niedawna z najnieszczęśliwszego wyboru poślubioną księciu Wirtemberskiemu, objechał Niemcy, poznał osobiście najcelniejsze ich umysły: Herdera, Wielanda, Goethego. Po dwóch leciech, zawieszony przez matkę do Paryża, w gościnę do ciotki, marszałkowej Lubomirskiej, spotkał się tam z człowiekiem niemałego wpływu na późniejsze własne i kraju losy, a mianowicie z księdzem Piatolim. Wtedy też po raz pierwszy tknął się roboty politycznej, głównego swego w przyszłości powołania. Następne dwa lata w Anglii spędzone (w kraju nie obcym Familii, skąd niegdyś stolnikowi litewskiemu przyszła niefortunna Wiliamsa protekcja), liczne w towarzystwie Londynu i Edynburga nawiązane stosunki utrwaliły w księciu Adamie szacunek i ufność dla tego państwa, ważny w następstwie czynnik jego pojęć i działań politycznych, niezawisze pomyślny i niejednokrotnie omylny, bo jednostronny a przez doświadczenia późniejsze znacznie zubożony i sprostowany. Rosnące raptownie sejmu Czteroletniego wypadki młodego podróżnika sprowadziły z powrotem do kraju, gdzie utworzył własny szwadron, w dywizji małopolskiej, sam mianowany ordynansem do boku jej dowódcy, a swego szwagra, księcia Ludwika Wirtemberskiego.

Od maja 1792 roku w randze podpułkownika przedniej szarży uczestniczył w kampanii Litewskiej; świadek porażki pod Mirem, odwrotu na Grodno, brał udział w wielu drobniejszych potyczkach, aż do ostatniej pod Grannem, gdzie krzyż *Virtuti Militari* sobie zasłużył (lipiec). Po przystąpieniu króla do Targowicy do dymisji się podał (sierpień). Wówczas to nadeszła stanowcza chwila w jego młodym życiu. Dla poratowania skonfiskowanych dóbr rodzicielskich wypadło mu z młodszym bratem Konstantym jechać do Petersburga.

W lutym 1795 roku przybył do Grodna, gdzie zabawił aż do kwietnia, serdecznie przyjęty od księcia Repnina, który tymczasem swemi wpływami przyjazne gotował przyjęcie w stolicy młodym książętom. Opatrzni w jego polecenia, prowadzeni przez życzliwe rady jego siostrzeńca, Kurakina, radzili sobie, jak mogli, na śliskich posadzkach petersburskich (od maja 1795 r); zaliczeni do gwardyi, łaskawie na audyencyi powita-

ni od cesarzowej Katarzyny, niebawem mieli sobie wydany ukaz nadańczy, powracający na ich imię, nie rodziców, zabrane majątki w liczbie czterdziestu kilku tysięcy dusz chłopskich, jedynie z wyjątkiem starostw: Latyczowskiego i Krzemienieckiego (20 sierpnia). Tak minął rok cały na petersburskim bruku. Wtem z wiosną 1796 r. zaszedł wypadek przełomowego znaczenia dla całej przyszłości księcia Adama Czartoryskiego.

Był on swego czasu przedstawiony najstarszemu wnukowi cesarzowej, Wielkiemu Księciu Aleksandrowi Pawłowiczowi, od którego zawsze doznawał łaskawego obejścia, nie mając zresztą sposobności ani poznać, ani zejść się z nim bliżej. Pewnego razu Wielki Książę, spotkawszy Adama Czartoryskiego przypadkiem, kazał mu stawić się oznaczonego dnia i godziny w pałacu Taurydzkim, gdzie przemieszkiwał z młodą małżonką, Wielką Księżną Elżbietą. «Od tego dnia i rozmowy—powiada w pamiętnikach swych książę Adam Czartoryski—rozpoczęło się moje serdeczne oddanie się Wielkiemu Księciu, mogę powiedzieć, że się rozpoczęła przyjaźń naszą, jej pobudki i cały szereg szczęsnych i nieszczęsnych wypadków, których łańcuch trwa dotąd i przez długie lata da się spostrzegać.

Rozmowa trwała godzin trzy. Wielki Książę powiedział mi, że moje i brata postępowanie nasze poddanie się trybowi życia, który dla nas najnieprzyjemniejszym być musiał, spokój i obojętność zjednały nam jego szacunek i zaufanie, że miał sympatyę dla uczuć naszych, odgadywał je, podziwiał i twierdził, że czuł potrzebę odkrycia nam swojego rzeczywistego sposobu myślenia; że nie mógł znieść tej myśli, iż moglibyśmy sądzić inaczej, niż na to istotnie zasługiwał. Powiedział mi wtenczas, że najlepsze nosi życzenia w duszy dla Polski. Przebiegając podczas tej rozmowy wzdłuż i wpoprzek ogród Taurydzki, spotkaliśmy kilka razy Wielką Księżnę. Powiedział mi, że żona była powiernicą jego myśli, że ona jedna znała i podzielała jego uczucia, że oprócz niej. ja byłem pierwszą i jedyną osobą, której mówił o tem, że mogę więc pojąć, jak to rozkosznie mieć kogoś, z kim można mówić otwarcie z zaufaniem zupełnem.

Rozmowę tę przerwały wtedy słowa przyjaźni z jego, a zadziwienia i wdzięczności z mojej strony, obok zapewnień zupełnego poświęcenia

Odszedłem wzruszony do głębi, nie wiedząc, czy to był sen, czy rzeczywistość. Podbił mnie łatwy do zrozumienia urok. Wielki Książę zdał mi się być jakąś uprzywilejowaną istotą, zesłaną na ziemię przez Opatrzność dla szczęścia rodu ludzkiego i mojej Ojczyzny. Powziąłem dla niego przywiązanie bez granic, które we mnie nie zgasło.»

Ośmnastoletniego Wielkiego Księcia z dwudziestosześcioletnim Adamem połączył od tej chwili węzeł najściślejszej przyjaźni. Czy jednakże młodszy przyjaciel odsłonił przed starszym w tych nawet chwilach uniesienia wszystkie ciężary, jakie wówczas przysłały mu duszę? Raczej powątpiewać należy, skoro w tych wszystkich rzeczach niezmiernej wagi, odkrytych w najnowszych dopiero czasach przez badaczy rosyjskich, nie zostało ani śladu we wspomnieniach ks. Adama. Bądźco bądź serdeczna przyjaźń Wielkiego Księcia znacznie ułatwiła i osłodziła Czartoryskiemu dalszy jego pobyt nad Newą. Tak doczekał się objęcia rządów przez cesarza Pawła, który przyjacielowi syna wyraźną z początku objawiał życzliwość; był przy koronacji w Moskwie obecnym; z radością widział uwolnionych przez Pawła rodaków; był świadkiem oplakanego końca Stanisława Augusta w Petersburgu. Często i zawsze z jednakową serdecznością obcował z W. Ks. Aleksandrem. Nie goniąc bynajmniej za wyłącznością wpływu, w tym to czasie podczas koronacji cesarza Pawła w Moskwie, za zezwoleniem Wielkiego Księcia do sekretu jego wspaniałych i liberalnych zamysłów przypuścił dwóch młodych przyjaciół Rosyan: Pawła hr. Strogonowa, głowę istotnie zapaloną i szlachetną, i Mikołaja Nowosilcowa, duszę wielce ambitną. Razem we czworo odbywano narady i «konferencye», na których najwyższe zagadnienia społeczne, państwowe i międzynarodowe roztrząsano sposobem zgola akademickim. Przerwał te niewinne ćwiczenia nagły rozkaz cesarza Pawła (1798), wyprawiający Czartoryskiego z poselstwem do króla sardyńskiego Karola Emanuela II.

Wyraźna niełaska, upozorowana misją do monarchy, wygnanego z własnej stolicy, dobrodziejstw podobno była dla księcia Adama. którego dłuższy w Petersburgu pobyt z rozlicznych względów nie był do zazdrości. We Florencji posłowi cesarskiemu od króla i królowej

✧ Klotyldy najlepsze zgotowano przyjęcie; lata, tutaj nasamprzód, potem na południu Włoch spędzone, a nie bez żywszych niektórych wrażeń, nie do najpiękniejszych zapewne, lecz może najpogodniejszych w życiu księcia Adama Czartoryskiego należą. W Neapolu zniecka zaskoczyła go wiadomość o zejściu cesarza Pawła i pisany w tydzień potem list cesarza Aleksandra, krótki, gorączkowy, wzywający do natychmiastowego powrotu do Petersburga (29 marca 1801). Książę niezwłocznie pośpieszył w drogę. Nad Newą zastał położenie nie wyjaśnione jeszcze, nie utrwalone. Jak mógł, uspokajał monarchę, podnosił go nad ucho i towarzyszył cesarzowi na koronację do Moskwy.

Po powrocie do Petersburga na życzenie cesarza wznowił przerwane konferencye poufne dotąd. Oprócz Czartoryskiego, Nowosilcowa i Strogonowa, przyjęty był niebawem Wiktor hr. Koczubej, człowiek uczciwy i pewny. Nie były to już dawniejsze rozprawy wielko-księżęce, platoniczne i bezcelowe, lecz rodzaj prywatnej rady przybocznej, «komitet ocalenia publicznego», jak żartobliwie wyrażał się cesarz Aleksander. Zebrania te odbywały się regularnie dwa do trzech razy w tygodniu; na nich roztrząsano sprawy pierwszorzędnej wagi dla całego kierunku spraw państwowych a nawet europejskich przy tej robocie czysto już politycznej, nie nauczycielskiej, jak dawniej, niesłychanie trudnem i drażliwem stawało się położenie księcia Adama. jakkolwiek miał on za sobą takich ludzi, jak Koczubej i Woroncowowie, patryoci rosyjscy, samego cesarza Aleksandra najzaszczytniejsze świadectwa, a przede wszystkim zachowane całkowicie piśmienne pomniki całej swojej w Petersburgu nieskazitelnej działalności politycznej. Działalność ta nasamprzód sposobem nieurzędowym w tej radzie prywatnej wyraziła się pod postacią rozumnego udziału w zbawiennych pracach w dziedzinie administracji, prawodawstwa i oświaty. Jednak po zaprowadzeniu ministrów przez ukaz wrześniowy 1802 roku Czartoryski długo wahał się wstępować do rządu; ofiarowaną sobie zrazu od cesarza tekę spraw zagranicznych odstąpił Koczubejowi; dopiero w 1803 roku po objęciu przez tego ostatniego spraw wewnętrznych poddał się usilnym naleganiom Aleksandra i został towarzyszem ministra spraw zagranicznych przy kanclerzu A. R.

Woroncowie, po którym niebawem z początkiem następnego roku, lecz i nadal w roli towarzysza, objął zarząd naczelny tegoż ministerium. Dwa przecież za zgodą cesarską kardynalne położył warunki: iż będzie zwolniony od pobierania pensyi i orderów i że zachowa osobistą swobodę postępowania. Obecnie obok obowiązków ministra i inne jeszcze, bliższe swemu sercu, miał sobie powierzone. Mianowany kuratorem okręgu naukowego Wileńskiego (15 kwietnia 1803), ujął w swoje ręce ster wychowania publicznego w ośmiu guberniach zachodnich, to jest na całej przestrzeni przyłączonych podówczas do Rosyi ziem dawnej Rzeczypospolitej. Zarazem szereg dobroczynnych uchwał Monarszych, pamiętne ukazy edukacyjne z tegoż roku ustalały organizację władz i zakładów wychowawczych na Litwie i Białorusi. Językiem wykładowym we wszystkich bez wyjątku szkołach ogłaszały język ojczysty i podawały je wszystkie jednolitej opiece akademii Wileńskiej. Czartoryski mógł na takich zasadach rozległą a owocną działalność rozwinąć, mając nadto przydanego sobie nieoszacowanego pomocnika w osobie Tadeusza Czackiego, wizytatora szkolnego dla trzech gubernii południowych: Kijowskiej, Podolskiej i Wołyńskiej. W rzeczy samej z dwudziestoletniego jego kuratorstwa kraj obfitego doczekał się plonu. Pomnożono na tym obszarze liczbę szkół okręgu Wileńskiego do czterystu pięćdziesięciu, uczących do tysiąca, ilość uczniów doszła do dwudziestu kilku tysięcy; otwarto takie zakłady, jak szkoła Krzemieniecka, gimnazjum Podolskie, a nadewszystko niezapomniana akademia Wileńska, wyniesiona na nieznany dotychczas stopień blasku i świetności i będąca z nauki i, co główna, z ducha koroną zaiste całej budowy szkolnej i duchową macierzą Mickiewiczowskiej generacyi. Po wszystkie czasy we wdzięcznej pamięci swoich ziomeków utrwalił się tych dzieł niepożytych sprawca, a co dziwniejsza, nawet od obcych wiał później hołd zasługi; z ogłoszonych dzisiaj suchych dokumentów urzędowych jego postać z taką wyłoniła się powaga, iż przez wszystką prasę rosyjską doby dzisiejszej ogłoszony został za jedyny, godny naśladownictwa wzór rzetelnego opiekuna nauk i szkolnictwa. W tym samym atoli czasie, kiedy obszerne pole płodnej pracy domowej otwierało się przed naszym kuratorem wileńskim, trudniejsze nieskończenie zada-

nia czekały petersburskiego ministra spraw zagranicznych.

Wstępując do rządu, «znalazłem się — powiada Czartoryski — w położeniu żołnierza, który, rzucony przez przyjaźń i przypadek do obcych szeregów, gorliwie pełni swą służbę, dla honoru: dla swego towarzysza albo pana.» Zresztą wyznaje z prostotą, która czyni zaszczyt jego szczerości, choć bynajmniej nie podnosi męża stanu, zaś Walenrodowej legendzie z przeciwnego znów końca odbiera podstawę, «nie miałem wówczas żadnego jasnego pojęcia, żadnego określonego planu, co do rodzaju usług, jakie na nowem mojem stanowisku mógłbym wyświadczyć Polsce.» Nie było jednak bez wpływu na jego decyzję ówczesne położenie europejskie. Zawiodły pokładane pierwotnie na Rzeczypospolitej francuskiej nadzieje; dokonał w jej imieniu nowy rząd konsularny niespodziewanego zwrotu ku Rosyi w ostatnich latach panowania Pawła; doszła konwencya francusko-rosyjska (1801 r.) wydająca legiony; rozbita druga koalicja; pokój Lunewilski zawarty.

Miał Czartoryski już dawniej z tradycyi swego domu zaszczerpioną głęboką dla Francyi nieufność; teraz pod wpływem rokowań paryskich i lunewilskich, na widok armat, wymierzonych na wysyłane do S. Domingo szczątki legionów, zrodziło się w nim nieuleczalne uczucie wstrętu i niewiary dla osoby i dążeń Bonapartego. Było to uczucie zrozumiałe, lecz w pewnej tylko mierze słuszne i rozumne, bowiem zaostrome do zbytku i jednostronnie uogólnione, nie pozwoliło księciu Adamowi zrozumieć wielkiego człowieka w Napoleonie, nie pozwoliło mu w kilku stanowczych momentach natrafić na właściwy punkt ciężkości narodowego i europejskiego położenia. Przez walkę z Francją konsularną służyć razem Rosyi, Polsce i Europie — to była pierwsza jego myśl przewodnia, odkąd objął zarząd spraw zagranicznych w Petersburgu. Wtedy myślał cesarza Aleksandra uczynić «arbitrem pokoju powszechnego,» a oswobodzenie Greków i Słowian bałkańskich, związek z Anglią, polubowne z Austrią porozumienie się i wiele innych jeszcze rzeczy znajdowało miejsce w tych obszernych marnieniach raczej niż planach, które z samego swego założenia zwracały się nietylko przeciw Francyi, lecz i w wyższej mierze przeciw Pru-

som. Niebawem te nieokreślone pomysły zaczęły staczać się z dziedziny spekulacji na grunt polityki bieżącej. Rozstrzelanie księcia d'Enghien'a dało Czartoryskiemu pobudkę do zerwania stosunków dyplomatycznych z Francją. Własna jego inicjatywa, a więc i odpowiedzialność w tej sprawie nie była jednak bynajmniej tak wyłączną, jak możnaby sądzić z jego własnego memoriału w tym przedmiocie na radzie ministrów (5-go kwietnia 1804 r.), oraz z jego pamiątnikarskiej relacji; przeciwnie, z późniejszego jego pisma do cesarza Aleksandra (kwiecień 1806 r.) niewątpliwie wynika, iż ten krok tak stanowczy był przede wszystkim dziełem samego cesarza.

Bezpośredni, nieunikniony tego kroku następstwem była trzecia koalicja. Już w listopadzie 1804 roku wyprawia Czartoryski Nowosilcowa do Londynu z najobszerniejszą, wielce znamienią instrukcją; w kwietniu następnego roku podpisuje w Petersburgu traktat sprzymierzeńczy z Anglią, do którego w sierpniu przystępuje Austria. Rozpoczęła się tedy walka ogromna, a nieunikniona. Czartoryski nie był zgoła ani jej sprawcą, ani podżegaczem, przecież jej konieczności zawczasu świadomy, zawczasu też umyślił na wielkie skierować ją tory i wielkie z niej wyciągnąć konsekwencje nieodmiennie w tem samym głębokim przekonaniu, znów omylnem może, lecz znów najrzetelniejszem, iż wyświadcza nieobliczoną przysługę zarówno swemu monarsze, jak i swojej ojczyźnie. Odrobić narzucone dzieło Fryderyka II i Józefa II, zespolone odłamy połączyć pod berłem cesarza Aleksandra; od Gdańska aż do Karpat stworzyć jedną wysuniętą awangardę, wznieść jedną tamę nieprzystępną, osłaniającą bezpiecznie odtąd żywiołowe siły Rosyi, wykuć pierwsze ogniwo łańcucha, który kiedyś dokoła Rosyi skupi wszystkie rozstrzelone szczepy starożytnej rodziny słowiańskiej, uczynić wreszcie cesarza rosyjskiego z tytułu «protektorem Słowian i Wschodu,» z istoty panem Europy i świata,—to były w liniach wytycznych wspaniałe plany, wspaniałe marzenia księcia Adama w przededniu Austerlitz'u i Tylży. Obliczone na pomoc Anglii odbudowanie Austrii i porażka Francji przedewszystkiem mierzyły swoim ostrzem w Prusy.

Wszakże rozliczne ważne błędy, a z nich dwa kardynalne, mieścił ten rachunek; nie oce-

niał potęgi Napoleońskiego geniuszu i przeceniał możność cesarza Aleksandra. We wrześniu 1805 r. opuścił Czartoryski Petersburg w towarzystwie cesarza, śpiesząc na zachód za armią. Jeszcze po drodze w październiku, siedząc przez dwa tygodnie w Puławach, nigdy łaskawszego, jak wówczas, momentu dla swych planów nie widział. Z Puław groźną zapowiedź przemarszu wyprawiał do Berlina i nawiązywał stanowcze z Wiedniem rokowania (do Razumowskiego pisał 9 października). Atoli po kilku dniach nagle nastąpiła odmiana.

Oddawna już rosyjską wogóle, a szczególnie politykę księcia Adama długoletni w Berlinie poseł rosyjski Allopeus zdradzał. Teraz nadto do stanowczej misji berlińskiej wbrew życzeniu Czartoryskiego wybrany został młody Dołgorukij, który, krzyżując razem z Allopeusem zamiary ministra nienawistnego, ostrzeżenie zamiast ultimatum znosi do Potsdamu. Uprzedzony król pruski, dotknięty jednocześnie pogwałceniem granicy zachodniej przez Francuzów, dobrowolnie otwiera wschodnią Rosyanom (Fryderyk Wilhelm do Cesarza Aleksandra 9 października). Natychmiast z serdeczną wdzięcznością i wylaniem się zapowiada cesarz rychły swój przyjazd do Berlina (cesarz Aleksander do Fryderyka Wilhelma 19 października), gdzie zaprzysiężono dozgonną przyjaźń nad trumną Fryderyka Wielkiego, utworzono tajną konwencyę potsdamską i Prusy do koalicji zostały przypuszczone (3 listopada).

Najfałszywszem było oczywiście temi dniami położenie Czartoryskiego w stolicy pruskiej, dokąd musiał podążyć za Aleksandrem. «Minister spraw zagranicznych — są słowa przenikliwego naocznego świadka ówczesnego w Berlinie, posła austriackiego Metternicha, — odgrywał rolę urzędowego tłumacza, kiedy istotną negocyacyę prowadził cesarz.» Od tej chwili właściwie pierwotne plany księcia Adama doznały śmiertelnego ciosu; on sam od tej pory z zachowaniem jeszcze przez czas jakiś pozorów władzy, w rzeczywistości został zupełnie odsunięty od steru. Klęska austerlicka (w grudniu) dopełniła miary; beznadziejnym jej świadkiem był Czartoryski; a chociaż, będąc jednego w tym względzie zdania z Kutuzowem, aż do końca najusilniej wydania bitwy był odradzał, przecież główną winę nie-
szczęścia sobie, dalszemu niby autorowi całej wy-

prawy, ma przypisaną, a skutkiem tego doznaje najdotkliwszych dowodów niełaski i nieufności Monarszej. Kilka jeszcze miesięcy przy udziale Piotłego prowadzi Czartoryski pertraktacye z Berlinem; jednocześnie z rzadką otwartością i odwagą w obszernych pismach do cesarza (kwiecień 1806) dobitnie odsłania widoczną sprzeczność postanowień Monarszych, wykazuje logikę i czystość własnego postępowania; usilnie wreszcie domaga się dymisyi, którą dopiero po długiem wahaniu cesarza otrzymuje zaledwie w czerwcu, zastąpiony przez Budberga. Ze smutkiem bezgranicznym przypatruje się Tylży, gdzie swoje własne pomysły widzi połowicznie urzeczywistnione przez Napoleona. Na wyraźne życzenie cesarza przesiaduje odtąd w Petersburgu w głębokiem rozdwojeniu wewnętrznem, odcięty od prac i oczekiwań Księstwa Warszawskiego. To są lata jedyne w jego życiu, kiedy fatalność położenia najwięcej podrażniła w nim czujny zmysł psychologiczny.

W zapisce, osobiście doręczonej cesarzowi (8 lipca 1808), ostrzegał go przed niechybnem w przyszłości zerwaniem z Francją, a nawet «przed odbudowaniem Polski przez Napoleona.» Następnego roku czasu kampanii austriackiej nie był zdaje się obcy przedstawieniom, napróżno przez Sanguszkę czynionym księciu Józefowi Poniatowskiemu. Radował go a niepokoił, podnosił a przytłaczał obraz rosnącego Księstwa, jak otwarcie wyznawał cesarzowi Aleksandrowi w poufnych rozmowach (listopad, grudzień 1809 r., kwiecień 1810 r.), gdzie przecież najwidoczniej cesarz mniej mówił, więcej słuchał. Po ostatniej z tych audyencyi opuścił Czartoryski Petersburg, dokąd już więcej nie miał powrócić.

Niebawem ciężko dotknęło go zaczęte śledztwo przeciw Czackiemu i spowodowało prośbę o dymisję z kuratorstwa Wileńskiego (27 listopada 1810 r.). W odpowiedzi odebrał najnie spodziewanej najzaufańsze, najlaskawsze pismo cesarskie ważnego dziejowego znaczenia (7 stycznia 1811 r.), gdzie z nadzwyczajną otwartością odsłania przed nim cesarz niewzruszone postanowienie śmiertelnej z Napoleonem rozprawy, spowiadał się z sił swoich i planów strategicznych, żądał zaś natomiast najobszerniejszego współdziałania w ziemiach podbitych, a w szczególności w Księstwie Warszawskim.

Nadszedł wielki rok 1812.

W chwili, gdy, jak się zdawało, nie podobna było wątpić o tryumfie Napoleona, książę Adam w szlachetnem piśmie do Matuszewicza (10 czerwca 1812 r.) piękny dał wyraz swoim podniosłym pobudkom. «Gdyby — pisał tutaj — przeznaczenia mojej ojczyzny były jeszcze niepewne, gdyby dla jej zbawienia trzeba było poświęcić najwięcej szanowane względy, nie powinienbym się wahać. Któż nie widzi, że wszystkie prawdopodobieństwa geniuszowi zwycięstwo rokuja, przeciwnie cesarzowi Aleksandrowi wszystkie grożą nieszczęścia. Byłoby więc szlachetnie i byłoby do usprawiedliwienia przydawać niepewnym pospiechem do tyłu klęsk gorycz, jakaby uczul. na widok niewdzięczności człowieka, którego szczególniejszemi obsypywał względy?» Nie przestawał zarazem kołatać o dymisję w Petersburgu. Stale odmawiał jej cesarz, lecz z zupełnem uznaniem dla nieskazitelnego charakteru przyjaciela, w tych nawet chwilach krytycznych oświadczał się «oddanym mu do zgonu całą duszą i sercem.» (Cesarz Aleksander do Czartoryskiego 13 kwietnia 1812 roku).

Z przymusowej bezczynności wkrótce wyrwała Czartoryskiego katastrofa Napoleńska. Natychmiast z Sieniawy podniósł głos za nieszczęśliwym krajem, nasamprzód ofiarując koronę Wielkiemu Księciu Konstantemu, albo też dziedzictwo najmłodszemu W. K. Michałowi, potem już bez tych zastrzeżeń (do cesarza Aleksandra 21 października i 18 grudnia, do Nowosilcowa 24 grudnia). Odebrał odpowiedź w punktach głównych z wyjątkiem sprawy dziedzictwa niezmiernie przychylną, choć wogóle nader rozważnie skreśloną (5 stycznia 1813 r.), poczem pospieszył na spotkanie cesarza do Kalisza (w lutym), na krótko wrócił do Warszawy, gdzie rozejrzał się w położeniu i nastroju ogółu, i stąd wymowne ponawiał przedstawienia (4, 7 maja); powtórnie złączywszy się z cesarzem (w czerwcu), towarzyszył mu w tryumfalnym pochodzie ku zachodowi. Przed samem wkroczeniem do Paryża w obszernym memoryale (19 marca 1814 r.) wyluszczył szczegółowo swoje poglądy na przyszłe urządzenie kraju, mianowicie oświadcza się za instytucją namiestnictwa oraz sekretarza stanu przy osobie Monarchy, zaleca środki, przywracające powagę duchowieństwa, podnosząc zarazem jego oświatę i przywiązanie do rządu; zaleca inne dla podźwi-

gnienia edukacji publicznej, skarbowości, przemysłu i handlu, dokładniejszego zabezpieczenia własności prywatnej; zaleca wreszcie zniesienie kodeksu Napoleona i zastąpienie go tymczasem przez dawniejsze prawa krajowe.

Nacechowane te rady serdeczną o dobro publiczne troską, nie wszędzie już jednak dotrzymują kroku współczesnym ducha publicznego nabytkom; wskazywały też już z góry przyszłą nieuniknioną w niektórych punktach różnorodność ich autora i opinii krajowej. Podczas kongresu Wiedeńskiego Czartoryski, mianowany członkiem Rządu tymczasowego warszawskiego, w charakterze półurzędowego niejako przedstawiciela księstwa był powołany do boku cesarza do Wiednia wobec najdrażliwszych, najzawilszych najtrudniejszych stanu zagadnień.

W przeciągu ubiegłych lat dziesięciu położenie zmieniło się z gruntu. Dzieło wielkie, którego przed laty dziesięciu był umyślił dokonać przy pomocy Anglii, za zgodą Austrii, wbrew Prusom, podejmował obecnie przy pomocy Prus, wbrew Austrii, przeciw Anglii. Powrót Napoleona z Elby, walki stu dni i powtórna do Paryża wyprawa, przyłożyły się do ułatwienia, lecz i do umniejszenia tego dzieła.

W naszym Królestwie Polskiem obdarzony godnością senatora, wojewody i członka rady administracyjnej, aczkolwiek przygotowany raczej na objęcie władzy namiestnikowskiej, z gorliwością, bynajmniej nieostudzoną doznany może zawodem, przykładał się wielostronnie do spraw i potrzeb publicznych. W częstych pismach do Monarchy, zawsze jednakowo otwarty i śmiały, dawał mu wierny obraz uczuć i usposobień narodowych. Rychło sobie uświadomił i odczuł dotkliwie głęboką zmianę, dokonaną około 1819 r. W dawnym towarzyszu dążeń i nadziei młodzieńczych, komisarzu cesarskim Nowosilcowie spotykał na każdym kroku nieubłaganego wroga. Skutkiem misyi Nowosilcowa do Wilna ostatecznie podał się do dymisji z kuratorstwa, którą nareszcie nie bez zwłoki otrzymał 1823 roku. Najczęściej odtąd, zamknięty w kole rodzinnem, przemieszkiwał w Puławach. Tutaj zastał go list Niemcewicza 17 listopada 1830 r., donoszący o ujawnionem w stolicy wzburzeniu umysłów, i do Warszawy sprowadził księcia na dni kilka przed wypadkami 29 listopada. Wówczas przewodniczył

* Czartoryski w wydziale wykonawczym Rady Administracyjnej (1 grudnia), potem w Rządzie tymczasowym (4 grudnia), uczestniczył w rokowaniach z W. K. Konstantym w Wierzbnie (2 grudnia), obejmuje wydział spraw zagranicznych w Radzie Najwyższej (21 grudnia), obrany prezesem nowego Rządu (30 stycznia 1831 roku), trwa na tem stanowisku do wypadków sierpniowych, poczem składa władzę (17 sierpnia), skutkiem czego nie okazał się mężem, jakiego wymagało położenie, jakkolwiek po wszystkich strasznych tego roku przejściach występował jako obywatel najlepszej wiary i woli.

Przecież boleści najdotkliwszej nie oszczędziły mu losy, kiedy, opuszczając konno Warszawę (22 sierpnia), na Elektoralnej ulicy słyszał świst ścigających go kul polskich.

W Paryżu, w oddalonej dzielnicy miejskiej, w starożytnym pałacu Lambert zamieszkał z małżonką Anną z Sapiehow, poślubioną 1817 roku, z dwojgiem młodych synów i małą córką. Wypadki 1846 roku spowodowały czasową konfiskatę jego dóbr galicyjskich, odwołaną dopiero za wstawieniem się rządu francuskiego. O monecie, z jego wizerunkiem wybitej, rozgłosnie wówczas Metternich obwieszczał (do Apponijego 18 marca 1846 r.).

Wolniejszego na obczyźnie czasu chętnie używał dla prac naukowych i literackich, których część po dziś dzień w rękopisach spoczywa.

W ogłoszonych różnych pracach politycznych przejrzystą i umiarkowaną ujawnia wymowę; «W pochwalę Woronicza» (1830) nie wznosi się po nad poziom zwykłej prozy warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk; «w Żywocie Niemcewicza» (1830 r.) nie tyle treścią rzeczy, ile doborem przyłączonych dokumentów zajmuje. «Essai sur la diplomatie» ukończone w 1823 roku, ogłosił drukiem w 1830 r. (w drugim zwiększonym wydaniu w zbiorze «Bibliothèque diplomatique» w r. 1864); spotykamy tu obok słusznych zapewne, lecz ogólnikowych rozmyślań moralnych najwięcej urywkowych z kongresu wiedeńskiego wspomnień. Ale najtrwalszy pomnik piśmienny w pośmiertnych dopiero «Pamiętnikach» niedokończonych, niestety, i ułomkowej korespondencji (1865—1887, wydanie angielskie 1888 r.) sobie wystawił.

Umarł 15 lipca 1861 r., w 91-ym roku życia. Był wzrostu niskiego, lecz imponującej postawy, twarzy ściągłej, okolonej noszonym z angielska zarostem, o rysach regularnych, za młodu niewieściej miękkości, a później, jak gdyby skamieniałych, rozjaśnionych do końca wyrazem łagodnego zadumania w niezwykle pięknym, głęboko osadzonem oku. Z temperamentu raczej


✧ w sobie skupiony, niż udzielający się na zewnątrz, wrażliwy bardzo, nieraz nadczuły, lecz wstrzemięźliwy i spokojny, z umysłu raczej rozważny niż bystry, trafnego, lecz powolnego pojęcia, z jasnym o ludziach i rzeczach, wszakże często spóźniającym się sądem.

Szymon Askenazy.



Tytus Działyński.

* 1797 † 1861.

ytus hr. Działyński jest jedną z najznakomitszych i najwspanialszych postaci narodowych, jakimi poszczycić się może Wielkopolska dzielnica nasza w dziewiętnastym wieku.

Postać to charakterystyczna i prawdziwie typowa, która, po nad inne górując i świecąc rodakom przykładem rozumu, pracy niezmordowanej wielkiego serca i cnoty obywatelskiej, przedstawia nam jednocześnie we wszystkich niemal kierunkach świetlany obraz obywatela, we czci i sławie duchem i sercem zasłużonego.

Przystępując do podjętego zadania pobieżnego chociażby skreślenia życiorysu hr. Działyńskiego i przeglądając kronikę dziejów jego rodzinnych i narodowych, a zaglądając, że tak powiem, w tajniki tej wzniosłej duszy, spostrzegam przede wszystkim rzadko kiedy w kronikach naszych rodowych napotykaną objaw rzeczywistego dziedzictwa ducha, które z ojców płynie spuścizną, opromieniając cześć i zasługę rodowego imienia.

U nas w Polsce, niestety, wśród warstw wyższych taką spuściznę ducha rzadko napotykamy; częściej pokolenia dzisiejsze dziedziczą nietyle cnoty ojców, ile raczej rozstrój rodzinny i narodowy i tego rozstroju konsekwentne następstwa.

Myśl takiego rodowego dziedzictwa cnoty uderzyła mnie przede wszystkim w żywocie Tytusa Działyńskiego, gdzie niepodobna nie zauważyć podobieństwa szczególnych rysów charakterystycznych, odziedziczonych po najbliższych krewnych z otoczenia rodzinnego. Pomijam już rodzinne tra-

dycje i przykłady znakomitych przodków zacnego i czystego, a tak zasłużonego krajowi rodu Działyńskich, które same już z siebie w duszy spadkobiercy imienia tradycyjnie się rozwijały, a przechodząc raczej do wpływów rodzinnych i najbliższego a najserdeczniejszego otoczenia, które w Tytusie Działyńskim tak niepospolity wyrobiły charakter. Przeglądając wspomnienia dziada Tytusa po matce, regimentarza Tadeusza Dzieduszyckiego, ojca wojewodziny Justyny Działyńskiej, i czterech sławnych jego wujów: Antoniego, Waleryana, Wawrzyńca i Józefa Dzieduszyckich, oraz babki jego Salomei z Trembickich, regimentarzowej Dzieduszyckiej, o której napisał swojego czasu Karpiński, «że była sławną w tej tu ziemi cnotami i dziećmi dobrymi»,—w każdym niemal rysie odnajdywałem to podobieństwo ducha, wedle którego zarysowuje się konsekwentnie ten charakter podniosły, po przodkach Dzieduszyckich odziedziczony.

Nie możemy w tem krótkim wspomnieniu rozwodzić się obszernie nad tą kroniką rodzinną, ale niechaj wolno nam będzie zaznaczyć, że ona jest rzeczywistym kluczem do tajników serca i duszy i rozświetleniem tego pięknego charakteru a olbrzymiej wielostronności hr. Tytusa.

Dziad jego Tadeusz Dzieduszycki całkowicie poświęcił się służbie kościoła, kraju i społeczeństwa, jaśniejąc niezliczonemi dobrymi uczynkami i cnotą obywatelską w całym znaczeniu tego wyrazu. Wspomnienie i przykład takiego dziada powtarza się i widnieje w osobie Tytusa Działyń-



Z portretu Leona Kaplińskiego, ze zbiorów hr. Wawrzyńca Benzelstjerna-Engeströma.

Wawrzyńca

skiego w nadzwyczajnej hojności jego dla kościołów i klasztorów, których kilka własnym pobudował kosztem, a inne hojną ręką wspierał, podtrzymywał i uposażał. On pierwszy w kraju otwierał ochronki i szkoły dla ludu wiejskiego, a zwłaszcza w dobrach swych Bleszczyckich w Galicyi, i był nadto niewyczerpanym dobroczyńcą młodzieży rzemieśniczej, opiekunem uczącej się młodzieży i księży, z których, gdy się do Kórnik na jego pogrzeb 70-ciu zjechało, nie znalazł się ani jeden, któryby dobrodziejstwa jakiegoś od niego nie doświadczył, co wszyscy jednogłośnie wobec trumny dobrodziejstwa swojego uroczyste wypowiedzieli.

Wuj Tytusa, Waleryan Dzieduszycki, odznaczał się wielką zdolnością i zamiłowaniem do nauk matematycznych i inżynierskich; zajmował się gorliwie kwestyą spławności Dniestru i w tym celu wielkie dla kraju i sprawy publicznej ponosił ofiary, a poza tem urządził szkoły praktyczne dla dorastających włościan i szerzył oświatę narodową we wszystkich kierunkach. To samo spotykamy i u Tytusa Działyńskiego, który ujawnia również wielkie zdolności matematyczne i rozwija energiczną działalność na polu oświaty narodowej.

Po drugim wuju, Antonim, dziedziczy w całej pełni uczoność niepospolitą, zdolności filozoficzne, gruntowną znajomość języków, nieskażoną cnotę i sławę obywatelską i spotęgowaną wytrwałość w niezmordowanej pracy, którą odznaczał się do końca życia.

Trzeci wuj Działyńskiego, Walery Dzieduszycki, adjutant Kościuszki, odradza się duchem rycerskim w adjutancie Skrzyneckiego i Romariny, młodym Tytusie, na którego walecznej piersi świeci godło *virtuti militari* i który następnie powraca do pluga i obowiązków domowych i z dziedzicznym zamiłowaniem pożytecznej pracy poświęca się administracyi majątku, agronomii, botanice, ogrodnictwu, a zwłaszcza pomologii, uosabiając tu również zasługi i usposobienia przodków.

Czwarty wuj, a jednocześnie szwagier Tytusa, Józef, ojciec znanego dziś powszechnie marszałka, Włodzimierza Dzieduszyckiego, a najbliżej przez niego znany, kochany i ceniony, najwięcej ma też łączności ducha i wspólności cech z hr. Działyńskim, którego był pierwowzorem. Dwa te duchy pokrewne sobie, jednym i tem samem sercem i skłonnościami uposażone, w jednolitym przedsta-

wiają się charakterze, stanowiąc całość niemal nie-rozerwaną.

Obaj po za służbą publiczną i obowiązkami obywatelskimi oddani duszą całą nauce, obaj zamięłowani w bibliografi ojczyściej, zbierają zatracone skarby dziejowe, gromadzą biblioteki narodowe, wspierają uczonych, wyszukują i wychowują zdolne zastępy ubogiej młodzieży i bogacą historię i literaturę ojczyzną wspaniałymi wydawnictwami dzieł kosztownych i uczonych; te prace były głównem zadaniem i najświetniejszym uzupełnieniem żywota właściciela Kórnik, tego rzeczywistego pana i mecenasa polskiego, poświęcającego całe mienie i wszystkie siły duchowe dla kraju.

Wedle tradycyi wspomnień rodzinnych, które są zajmującą skarbnicą domową, znajdujemy tysiączne poszlaki, dowodzące, że jeżeli duch dziada i czterech wujów odradzał się i w jednolitym obrazie koncentrował w sercu, działalności i charakterze Działyńskiego, to po nad tem wszystkim odziedziczył on w całej pełni duszę i serce matki, która pierwowzorem mu była.

Na jej modłę i podobieństwo urabiała się i rozwinęła wrażliwa dusza młodzieńca i przez całe życie zachowała podniosły i prawy charakter, takż sposób myślenia, zamiłowanie prawdy, cnoty i pracy wytrwałej.

Pod tym względem bardzo zajmującym i poważnym, a wielce pouczającym obrazem dla takiego duchowego studium są listy tej dostojnej matki chrześcijańskiej do syna pisane, w których wygłoszone zasady, zwroty językowe, poglądy i przekonania przez nią stawiane, dążności ducha i wielkiego serca porywy odzwierciedlają nam jasno charakter Tytusa Działyńskiego.

Pod tchnieniem takiej kobiety, takiej matki polki i chrześcijanki, urabiają się duchowo dzieci: Kładyna Potocka i zasłużony krajowi i społeczeństwu Tytus Działyński.

Szczęśliwy, kto taką spuścizną, nie rodowego klejnotu, ale cnoty rodzinnej poszczycić się może, a stokroć szczęśliwszy ten, kto w niej jest poczęty, bowiem ze czcią w pamięci i sercu rodaków żyć nie przestaje.

Podniósłszy w tem słowie wstępnem tę tak widoczną ideę duchowego dziedzictwa rodzinnego, którego przedstawicielem jest Tytus Działyński, przystępujemy teraz do możliwie krótkiego streszczenia żywota tego wybitnego obywatela, który

zaszczytne miejsce zajmuje w rzędzie najzasłużeńszych rodaków dziewiętnastego stulecia.

Tytus Działyński, potomek prastarej rodziny «z Kościelca», której gałąź do Działyńia sięgała i dlatego nazywała się: «Działyńscy z Kościelca», a pochodziła z dawnych Jagiellońskich czasów, poczuwał się do obowiązków, jakie na niego przodkowie tradycją rodzinną i stanowiskiem majątkowym złożyli, to też uprawiał zagon rodzinny, broił kraju i światłem nauki jego cześć podnosił.

Urodził się 24-go grudnia 1797 roku w Poznaniu, w rodzinnym pałacu Działyńskich, w którym w nocy z 11-go na 12-ty kwietnia 1861 r. załuzonego dokonał żywota.

Ojciec jego, Ksawery Działyński, wojewoda kaliski, ożeniony z Justyną Dzieduszycką, posiadał w Wielkopolsce obszerne dobra Kórnickie, Konarzewskie i Granowskie, w Prusach zachodnich dobra Złotowskie, w województwie lubelskiem—Sarnowskie i Gniewoszewskie. Pierwszem wychowaniem Tytusa pod kierunkiem wzorowej i zacnej matki zajmował się ks. S. I. Miszewski w ówczesnym duchu francuskim. Uczony ten pedagog był zamiłowany w klasycyzmie starożytnym, obeznany przedewszystkiem z autorami łacińskimi, to też zaraz na wstępie zaszczerpił w wyjątkowo zdolnym uczniu miłość do literatury starożytnej i do języka łacińskiego, w którym ten ostatni był później mistrzem niepospolitym. Burzliwe czasy ówczesne i stanowisko ojca zawiodły go wcześniej do Paryża, gdzie pobierał wychowanie w kolegium i przyswoił sobie temsamem język francuski, którym również biegle władał jak i ojczystym.

Pojętność nadzwyczajna i zamiłowanie do książek, pamięć wyjątkowa i prawdziwie zadziwiająca od lat niemal dziecinnych zwracały na niego uwagę powszechną. Czytał nadzwyczajnie szybko, pochłaniając niemal książki, i dzięki wielkiej pamięci, ze wszystkimi literaturami obeznany był szczegółowo i miał dokładne pojęcie o każdej gałęzi nauki i wiedzy ludzkiej. W Berlinie, gdzie pewien czas z rodzicami przebywał, kształcił się pod kierunkiem Anciliona i Therancyana, którzy urabiali z wielkiem zamiłowaniem materiał umysłowy wychowanka swojego.

Po powrocie do kraju żył z rodzicami w pięknym majątku Konarzewskim, we wspaniałej rezydencji, w której ojciec jego wielkim kosztem i z zamiłowaniem prześliczny ogród w stylu francuskim

złożył i utrzymywał go ze znajomością prawdziwie uczonego amatora i znawcy. To zamiłowanie do ogrodnictwa i do nauk botanicznych wogóle przeszło dziedzictwem na syna, który w późniejszych latach na tem polu w utworzonej przez siebie rezydencji Kórnickiej olbrzymiego niemal dzieła dokonał. Przygotowany do wyższych studyów, z wielkiem zamiłowaniem poświęcał się matematyce, naukom przyrodniczym i architekturze, odbył i ukończył studia politechniczne w Pradze, gdzie złożył egzamin na inżyniera cywilnego «cum maxima laude», i miał wyjeżdżać do Wiednia, aby tam przy budowie mostu wprowadzić się do praktycznego zawodu, ale nagle w roku 1819-ym z przyczyny choroby ojca zmuszony był powrócić do domu.

Po śmierci wojewody i ukojeniu pierwszych wrażeń żaloby udał się w towarzystwie Józefa Muczkowskiego, późniejszego bibliotekarza uniwersytetu Jagiellońskiego, celem poszukiwania źródeł historycznych polsko-szwedzkich do Szwecyi. Zwiedził gruntownie biblioteki w Stockholmie, Lundzie, Upsali, Skokloster i wiele innych, z których wielkie dla kraju zdobył korzyści naukowe.

W roku 1824 ożenił się z Celestyną hr. Zamojską, córką ordynata Zamojskiego w Warszawie, i tym sposobem wszedł w ściślejsze stosunki rodzinne z Zamojskimi, Sapiehami, Czartoryskimi, rozumem i sercem zdobywając sobie stanowisko i przyjaźń w całym społeczeństwie warszawkiem. Zaprzyjaźniony z gronem uczonych tamtejszych, mianowany został członkiem warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk, które, oceniając zdolności jego, poleciło mu opracowanie czasów panowania Michała Korybuta; do tej pracy rozpoczął poszukiwania, gromadząc bogate materiały, wszakże wypadki polityczne, które nad krajem zawisły, przeszkodziły mu w jej dokonaniu. Stosunki z całym światem uczonym rozszerzały coraz więcej znajomości jego bibliograficzne i pobudziły go przedewszystkiem do utworzenia jak najobszerniejszej publicznej biblioteki literatury i historii polskiej i wszystkiego, co się do niej odnosiło; odtąd było to głównem jego życia zadaniem. Wszystkie niemal dochody swoje temu namiętnemu celowi poświęcał, nie pytając o cenę i nie umiając ukryć wrażenia, jakie na nim znalezienie jakiego ważnego rękopisu lub druku czyniło. Nadużywali go też bardzo często korzystający z tej namiętności jego

antykwaryusze i handlarze książek, którym odwzajemniał się wszelako nie raz, górując nad nimi znawstwem niepospolitem, z którym się mierzyć nie mogli. W taki sposób wywiózł z Warszawy skarby nadzwyczaj bogate, których publikowanie na czas późniejszy odkładał.

W tym czasie objął w dziale rodzinnym obszerne dobra Kórnickie, które, nie będąc rolnikiem zawodowym, w rozumny i pewny zarząd oddał, a sam przebywał po większej części w Poznaniu, pracami naukowemi zajęty.

Stosunki ówczesne nie były jeszcze tak nieznośne i dokuczliwe, jak za późniejszych czasów Flotwella i jego podrzędnych kreatur urzędniczych, nie było jeszcze tego rasowego rozdziału towarzyskiego. Książę Antoni Radziwiłł, namiestnik królewski, przyjmował u siebie zarówno Polaków, jak i Niemców i przyczynił się przeto do wzajemnego znoszenia się z sobą obu narodowości; wprawdzie stosunki te nie odznaczały się serdecznością, jak między ludźmi jednego rodu lub szczepu, wszakże były przynajmniej oparte na wzajemnym szacunku, poszanowaniu prawa i przyzwoitości towarzyskiej. Działyński przypominał później często owe czasy przyzwoitego życia i uczciwych stosunków z Niemcami, godnymi szacunku i poważania, z którymi, jak np. z Willzenem i Brandtem zachował i nadal bliższe stosunki; nie mając zasadniczo nienawiści w sercu, życzliwy bez różnicy pochodzenia dla wszystkich, otwarty i prawy, szanował i kochał ludzi uczciwych, a od niegodnych szacunku karyerowiczów i kreatur rządowych ze wstrętem się odwracał. Dla narodu niemieckiego, jakim go w owych czasach poznał, miał szacunek i rzeczywistą sympatię, duchowo z całym światem niemieckich uczonych zaznajomiony; wszakże Prusaków, co prawda, całem sercem i duszą nie lubił, a w duchu, przekonaniu i w dążnościach swoich nawet do Słowiańszczyzny się przechylając, na zasadach szczepowego braterstwa marzenia możliwej przyszłości budował.

Brzemienna w następstwa burza wojenna 1830 roku zelektryzowała całe społeczeństwo Wielkopolskie. Działyński, z największym pośpiechem uregulował swoje stosunki; z ciężkiem sercem sprzedał hr. Raczyńskiemu niektóre z najkosztowniejszych manuskryptów za kilka tysięcy talarów, aby mieć gotówkę i uzbrojony w dobre pistolety, puścił się cwałem z Poznania tego samego wieczora

i przemocą przedarł się przez pruskie kordony, zostawiwszy opatrzenie rannego żandarma pruskiego i potrzebne na to fundusze towarzyszącemu sobie w tej podróży d-rowsi Marcinkowskiemu, i stawiał się pierwszy w Warszawie. Wstąpił jako prosty ułan do formującego się szwadronu poznańskiego, ale wkrótce awansował i był zamianowany adjutantem przy generale Skrzyneckim, a odznaczając się w kampanii męstwem wzorowym, uzyskał zaszczytną oznakę «pro virtute militari» i rangę majora.

Po ukończeniu tego krwawego dramatu, musiał uchodzić z kraju.

Z czasów tej podróży przypominał często z wdzięcznością i rozrzewnieniem szlachetne przyjęcie i braterską sympatię, jakich doznawał w ówczesnem społeczeństwie niemieckiem i w świecie urzędniczym nawet, w którym uczucie sprawiedliwości i szlachetna idea braterstwa ludów żyły jeszcze niepokalane.

Majątek Działyńskiego obłożony został sekwestrem, a on sam dopiero po dziewięciu latach uzyskał pozwolenie wrócenia do kraju i objął w posiadanie zwrócone dobra.

Powróciwszy do domowego ogniska, przejął się przekazany mu w dziedzictwie przez przodków obowiązkiem zajęcia się zagonem rodzinnym, tem rzeczywistem uosobieniem kraju, i podtrzymywania jego duchowego rozwoju, kultury i oświaty publicznej.

Od tej chwili, mniej więcej od roku 1840, rozwija się w jednolitym obrazie pracowity żywot wzorowego obywatela i mędrca, jednego z ostatnich rzeczywistych magnatów i mecenasów polskich, którym się cześć ojczystego wspomnienia należy. Wspaniały, w gotyckim stylu, na gruzach prastarej siedziby Górków wzniesiony zamek wiekopomnym pozostanie pomnikiem zachodów i pracy niezmordowanej rzeczywistego znawcy i estetyka, który w każdym podjętem przez siebie zadaniu ducha swojego wcielał, głębszą myślą powodowany.

Rzeczywisty ten magnat polski magnacką tutaj utworzył rezydencję.

Zamek kórnicki wedle intencji mistrza dwudziestokilkuletnią pracą i zachodami wznosił się i wyrastał na rezydencję narodową, na bibliotekę polską i skarbnicę ojczystą, która pod strażą dziedziczną Działyńskich narodową instytucją być miała.

Olbrzymia biblioteka, pod której ciężarem dawne mury starego zamku się zrysały, była wedle jego mniemania własnością narodową, której on twórcą i stróżem ojczystym zarazem się mienił. Wielkich rozmiarów wspaniały park zamkowy, który z niczego na pustce i bagnach stworzył i do kolosalnych doprowadził rozmiarów, w odrębnym zupełnie stylu, pojedynczymi grupami gatunków drzew jednolitych, według systemu botanicznego przeprowadzony, nie był fantazją pańską, ale czysto naukowem myśliciela zadaniem, gdyż Działyński zamierzał założyć tu z czasem akademię rolniczą i leśną, oddając cały zakład na użytek publiczny. To było myślą przewodnią i zasadniczem postanowieniem Działyńskiego, ale równie rozumny, jak i przezorny, patrząc w przyszłość uważnie, nie ufał ojcowskim rządóm pruskim, nie ufał godłu «*sum cuique*», do którego po cichu, ironicznie «*rapuit*» dodawał, i nie popełnił pomyłki Raczyńskiego, którego instytucja narodowa Poznaniowi oddana, wpadła, niestety, w macoszą rękę niemiecką. Kórnik pozostał więc jako własność prywatna, od tej pruskiej opieki zabezpieczona, pozostając moralnie rzeczywistą instytucją narodową w całym znaczeniu tego wyrazu.

Potężny zamek, wzniesiony bez wyjątku prawie ręką artystów i rzemieślników polskich, wychowanych i wykształconych przez Działyńskiego, jest dziełem polskiem całkowicie, a najbogatsza w kraju biblioteka, zawierająca nieprzebrane skarby druków i manuskryptów naszych, jest rzeczywistą nauki polskiej świątynią, której arcykapłan i strażnik zarazem drogocennymi wydawnictwami cześć oświaty narodu w serca rodaków przenosił.

W tej idei najlepiej zarysujemy charakter Działyńskiego, cytując z przedmowy pierwszego tomu «*Lites ac res geste inter Polonos ordinemque Cruciferorum*» własne dostojnego wydawcy wyrazy: «Wiem, że okurzając z pyłu pomniki, stawiane zasługą naszych ojców, nie zapracuję sobie na literacką sławę, a jeszcze mniej zyskam materialnie; ale właśnie ta pewność kołysze we mnie, w starym szlachcicu polskim, to poczucie, że daję, a nie biorę. Składam więc z radością grosz wdowi w skarbnicę Polski, bo ta jest i będzie nieśmiertelnym celem miłości i poświęcenia prawych jej synów».

Nie brał, ale pełną ręką składał do tej skarboxy polskiej rok rocznie grosze ofiary, niewy-

✓ czerpane grosze, któremi do ostatniej godziny życia i z poza grobu jeszcze ręką i sercem nieodrodnego syna, ojczystej służył nauce.

Jakie to były skarby te wydawnictwa jego wspaniałe, wie Polska cała. Zbytecznemby tu było w tak ściśle określonych łamach naszego albumu wypisywać kilkadziesiąt tytułów i wartość, a znaczenie tych cennych pomników przypominać publiczności, która zna już oddawna niepożyte zasługi, olbrzymie znaczenie, naukową powagę i stanowisko narodowe zasłużonego mędrca i wzorowego obywatela, przed którym w uczuciu czci i wdzięczności serdecznie i kornie uchylamy czoła. Więc poprzestaniemy tylko na wyliczeniu najważniejszych pomników naszej literatury, wydanych kosztem i staraniem Działyńskiego.

Pierwszem doniosłego znaczenia wydawnictwem jego był «Statut litewski, zbiór praw od r. 1389 do 1529 i rozpraw sejmowych nad niemi od r. 1544 do 1563»; potem następują: «*Liber geneleos familiae Schidloviciae*» z r. 1531; «*Acta Tomicianae*», jedno z najważniejszych wydawnictw naszych; Tytus Działyński wydał tylko 8 tomów tego ogromnego materiału historycznego, 9-ty i 10-ty wyszedł po jego śmierci nakładem syna; «*Lites ac res gestae inter Polonos ordinemque Cruciferorum*» Długosza, wydane z rękopisu; «*Źródłopisma do dziejów unii Korony polskiej i W. ks. litewskiego*», «*Herby Korony, ziem i szlachty polskiej*» i t. d.

Dodać nam tu jeszcze należy, że oprócz tego głównego zadania i stanowiska pracy naukowej, Działyński w rodzinnej dzielnicy swojej przodował we wszystkich zadaniach społecznych służby obywatelskiej. Posłował w Erfurcie i Berlinie, imponując tam zarówno w izbie, jak i u dworu powagą rozumu i charakteru, a także niepospolitemi zdolnościami prawdziwego męża stanu i myśliciela.

Przyjaciół od serca arcybiskupa Wołickiego i Karola Marcinkowskiego, sprawował najrozmaitsze dostojeństwa i urzędy obywatelskie.

Był jednym z pierwszych założycieli poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, które, uposażone niepożytą ofiarnością hr. Seweryna Mielżyńskiego, powołało Działyńskiego na pierwszego prezesa swego. Tej instytucji naukowej był on du-

szą i zaszczytem zarazem; był członkiem Dyrekcyi Towarzystwa naukowej pomocy, Dyrekcyi spółki bazarowej, radcą Towarzystwa kredytowego ziemskiego, a po za tem po wszystkie czasy wszechstronnym ojcem i opiekunem ubogich, obok którego czuwała przez całe życie błogosławionej pamięci żona, Celestyna Działyńska, która równie,

jak hr. Arturowa Potocka w Krakowie, ks. Sapieżyna we Lwowie, szafarką biednych i stróżem aniołem była w Poznaniu, duchem i sercem wspierała postać Działyńskiego uzupełniając.

Benzelstjerna Engeström.



Ignacy Domejko.

* 1802 † 1889.



Któż nie zna pełnej staropolskiego humoru opowieści Wojskiego, tego niewyczerpanego gawędziarza, z IV księgi «Pana Tadeusza» o sporze Domejki i Dowejki, sporze, który rozpoczął się pod tak groźną wróżbą, a zakończył w sposób tak pokojowy? Któż nie rozkoszował się tą gawędą szlachecką, tak piękną w swej prostocie i wdzięku naiwności?

Znamy ją wszyscy. Ale nie wszyscy wiedzą zapewne, skąd wziął wielki Adam Mickiewicz pomysł do tej gawędy; nie wszyscy wiedzą, że jeden z jej bohaterów nosi nazwisko serdecznego druha poety z ławy szkolnej, Ignacego Domejki.

Z Domejką, w stosunkach przyjacielskich zwanym Żegotą, spotykamy się nieraz w poezji jego genialnego przyjaciela. Jego to pod imieniem Żegoty przed-

stawił Mickiewicz w I scenie III części «Dziadów» w gronie kolegów, chwalcącego się swemi postęпами w dziedzinie agronomii, bo choć pierwszej nie wiedział, «co owies, co słoma,» teraz — «ma sławę najlepszego w Litwie ekonomia;» on to w tej scenie pociesza przyjaciół, przytaczając im znaną bajeczkę Gorreckiego o Bogu, dyable i zbożu. Imię Żegoty figuruje w jednym z wariantów «Pana Tadeusza;» on wreszcie dał myśl twórcy «Dziadów» do wyżej wymienionej gawędy.

A stało się to tak. Domejko w jednej ze swych książek szkolnych położył dwuwiersz własnej kompozycji: «Z tej książki uczył się Ignacy Domejko, a po nim bracia jego kolejką,» chwalcąc się, że drugiego rymu do jego nazwiska nie dobrać. Mickiewicz, chcąc dowieść swemu przy-



Ignacy Domejko

jacielowi, że ma o wiele większe zdolności do nauk przyrodniczych, niż do poezji, na nazwisku jego osnuł żartobliwą opowieść, rymując w niej cały szereg wyrazów: *Domejko—Dowejko—Rupejko—Wilejką—taradejką*, i *Dowejki—kirejki*.

Ignacy Domejko przyszedł na świat 22 sierpnia 1802 roku, we wsi Niedźwiadce, nad rzeką Uszą, w powiecie Nowogródzkim. Wszystkie powyższe nazwy nie są nam całkiem obce: znamy je z ust Wojskiego, unieśmiertelnione przez wielkiego poetę. Syn Hipolita, prezesa sądów ziemskich nowogródzkich, i Karoliny Ancutówny, kształcił się nasz Ignacy zrazu w domu, potem zaś, w roku 1810, oddano go do szkoły podwydziałowej OO. Pijarów w Szczuczynie litewskim, gdzie jednym z jego nauczycieli był upamiętniony w «Dziadach» ks. Lwowicz.

W 6 lat później widzimy Domejkę w Wilnie, pełnemi dłońmi czerpiącego wiedzę i oddającego się z całym zamięłowaniem i z całym zapalem młodzieńczym ulubionym studiom przyrodniczym pod okiem takich mistrzów, jak Jędrzej Śniadecki, Jundził, ks. Filip Golański i inni. Że tacy ludzie mogli rozbudzić żądzę wiedzy i poświęcenia dla nauki, o tem wątpić nie wolno.

Prócz profesorów i koledzy na rozwój duchowy Żegoty okazali wpływ nielada. Domejko należał do wszystkich ówczesnych stowarzyszeń studenckich: Filomatów, Promienistych i Filaretów. On był jednym z tych, do których wołał poeta: «Razem, młodzi przyjaciele!» i wołał nie napróżno. Jak wielkie wrażenie otoczenie koleżeńskie musiało wywierać na przyszłego profesora sant-jagoańskiego, o tem świadczy jego «List o Filaretach i Filomatach,» spisany w pół wieku później, a pomimo to pełen jak najżywszych i jak najbardziej szczegółowych wspomnień.

W roku 1822 opuszcza Domejko ławę uniwersytecką ze stopniem magistra filozofii i osiada na czas dłuższy w rodzinnym Zapolu, w powiecie Lidzkim, hodując «merynosy, woły» i zyskując «sławę najlepszego w Litwie ekonoma.»

W 1832 roku widzimy go, internowanego przez rząd pruski w Gerdauen, obok Królewca, potem zaś w Pilawie i Rastenburgu; a w kilka miesięcy potem Żegota znalazł się w Dreźnie, obok Mickiewicza i innych wiernych swoich przyjaciół. Odtąd pomiędzy poetą i geologiem związała się szczerą i serdeczną przyjaźń, której

ani odległość tysiąca mil, ani dzielący ich ocean rozerwać nie zdołał, aż katastrofa 1855 roku stargała nić długoletniej, ciepłej korespondencji.

Z Mickiewiczem udał się Domejko do Paryża. Tam on należał do tego szczupłego grona przyjaciół, z którymi zasiadał poeta przy kominię, «drzwi od Europy zamykał hałasów» i «dumał, marzył o swojej krainie;» on był jednym z owych bajecznych żorawi, co «słyszac zakłętego chłopca skargę głośną,» rzuciły mu po piórze, «on zrobił skrzydła i do swoich wrócił;» on wreszcie prowadził poetę do ślubnego ołtarza.

W Paryżu Domejko oddał się tym samym studiom, do których jeszcze w Wilnie zapalał się jego młodociany umysł; zapisał się do słynnej *École des mines* i w kilka lat później ukończył ją z odznaczeniem, zyskując uznanie wśród profesorów pracowitością, inteligencją i zdolnościami.

To wyróżnienie, jakiego się doczekał, zdecydowało o całej jego przyszłości. Niedługo pozwolono mu oddawać się zmuśnionej pracy zarobkowej w jednym z większych zakładów fabrycznych w Alzacyi. Sami profesorowie *École des mines* wystarli się dla niego o miejsce profesora chemii w nowozałożonym instytucie w Coquimbo, czyli Serena, w Chili. Radosną tę wieść zakomunikował mu Mickiewicz, pisząc: «był u mnie właśnie dzisiaj Polak, Jastrzębski, który widział Francuza Dufresnoy. Kto jest ten Dufresnoy — nie wiem. Owóż on powiada, że jest dla ciebie miejsce w Chili. Masz być profesorem chemii i metalurgii. Dadzą ci pieniądze na drogę i trzy tysiące dolarów.»

Po krótkim wahaniu przyjął Domejko poenną propozycję. Dnia 2 lutego 1837 roku rozwinął żagle okręt, unoszący byłego Filomata na drugą półkulę, skąd nieprędko miał powrócić.

Odtąd odległe od Wilna i Nowogródka Chili stało się dla niego drugą ojczyzną. Całym sercem pokochał on ten młody kraj i naród i cały oddał się na jego usługi. Można powiedzieć, że były uczeń Jędrzeja Śniadeckiego nie stracił ani chwili na ładzie amerykańskim. Zorganizował kursy fizyki i chemii w Coquimbo, założył laboratorium chemiczne i górnicze, muzeum mineralogiczne, petrograficzne i paleontologiczne, bibliotekę, zbiory meteorologiczne i t. d., on wreszcie wprowadził do szkolnictwa chilijskiego organizację uniwersytetu wileńskiego z doby jego rozkwitu.

I nie było gałęzi nauk przyrodzonych, na którejby nasz Żegota nie zapisał chlubnie swego nazwiska tak w teoretycznych dociekaniach, jak i w praktycznym zastosowaniu. Sześć razy przebiegał Andy i Kordyliery, szukając nowych zdobyczy naukowych, odkrył mnóstwo minerałów, skamielin, roślin, odnajdywał bogactwa naturalne kraju bez żadnego dla siebie zysku, badał źródła i wody mineralne, stwierdził linię wiecznego śniegu w Andach Zachodnich, odkrył pokłady formacji jurasowej w Chili, dowiódł, że łąd chilijski podnosił się w epoce trzeciorzędowej, przez 46 lat prowadził badania meteorologiczne i t. d. By wydrzeć naturze jej tajniki, nie wahał się podjąć największych trudów: wdzierał się na najniebezpieczniejsze szczyty, badał wulkany, przebywał całe miesiące wśród dzikich szczepów tubylczych Araukanów, których życie, zwyczaje i obyczaje, nędzę i ucisk ze strony *conquistadorów* spisał w oddzielnem dziele, które zrobiło w Chili wielkie wrażenie i dobroczynnie wpłynęło na stosunek Europejczyków-kolonistów do tubylców; dzieło to wyszło w polskim przekładzie p. t. «Araukania i jej mieszkańcy,» przełożył je Jan Zamojski (Leonard Rettel) w Wilnie, 1860 roku.

Nic więc dziwnego, iż Chilijczycy pokochali Domejkę, który tyle im dobrego wyświadczył, i żywili względem niego jaknajgłębszy szacunek. Co tylko Don Ignacio doradził, wszystko przyjmowano w lot i wykonywano natychmiast z jak największą dla kraju korzyścią: czy to w sprawie szkolnictwa, czy reformy mennicy, czy wyboru miejsca na kopalnię, zawsze radę jego uważano za jedynie zbawienną. To też na niewdzięczność Chilijczyków nie mógł narzekać nasz Żegota; obdarzono go zaszczytnem stanowiskiem rozjemcy sporów górniczych, a w 10 lat po przybyciu na łąd amerykański, otrzymuje on katedrę chemii i metalurgii w Instytucie narodowym w Santjago.

Ani uznanie jednak, ani zaszczyty nie mogły zadowolić naszego uczonego. Wśród przepysznej przyrody zwrotnikowej, na szczytach niebotycznych Kordylierów tęsknił on, jak i wielki jego przyjaciel, «do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych, do tych pól, malowanych zbożem rozmaitem.» Nie pomogło i to, że nasz profesor zadzierzgał jeszcze silniejsze węzły z krajem przybranym, zawarłszy związek małżeń-

ski z 15-letnią Enriquetą Sotomayo (1850 r.), która dla miłości męża nauczyła się po polsku i w rodzinnej jego mowie przemawiała do dziecka; nie pomogło i to, iż w roku 1867 profesor Domejko został mianowany rektorem i na tem stanowisku pozostawał przez lat kilkanaście—serce jego rwało się do stron rodzinnych...

Wreszcie nie mógł już oprzeć się temu popędowi, pomimo nalegań Chilijczyków zrzekł się wszystkich godności i powrócił do kraju po półwiekowym pobycie na drugiej półkuli. Mieszkańcy Chili, pełni uznania dla jego zasług, wyznaczili mu 6,000 piastrów rocznej renty, a dziennik oficjalny «Ferrocaril» wystawił mu takie chlubne świadectwo: «Niewiele przykładów można by przytoczyć życia tak pracowitego, pełnego zaparcia się, tak całkiem poświęconego wykształceniu młodzieży i postępowi nauki. Chociaż p. Domejko nie był jedyną osobą, która się poświęciła w Chili studjom i wykładom nauk przyrodniczych, to jednak nikt inny nie wpłynął tak dalece, jak on, na ich rozwój i postęp. Pan Domejko nie poprzestawał na nauczaniu młodzieży, ale był bodźcem, a zarazem towarzyszem dla tych, którzy po skończeniu nauk w uniwersytecie, poświęcali się zawodowi naukowemu. Pan Domejko był więcej, niż profesorem; on był apostołem nauki w Chili.»

W 1888 roku widzimy naszego uczonego w kraju, otoczonego należnemi mu hołdami, jako ostatniemu z Filomatów, a w rok później przychodzi z za oceanu wiadomość o zgonie męża wielkiej nauki, żelaznej wytrwałości i nieskazitelnej cnoty...

Działalność naukowa Domejki zawiera się w tych 130 dziełach i artykułach, które wyszły z pod jego pióra. Są pomiędzy niemi i artykuły naukowe, ogłaszane w «Annales des mines,» «Comptes rendues,» «Journal für praktische Chemie,» «Araucaro,» «Zeitschrift für Erdkunde,» «Annales de l'université de Chili,» «Neues Jahrbuch für Mineralogie,» są również i wyborne podręczniki w języku hiszpańskim, jak: «Zasady fizyki doświadczalnej i meteorologii,» «Zasady mineralogii,» «Traktat probierczy» i t. d.

Wreszcie, są tu artykuły, napisane w języku polskim i przeznaczone dla szerszych warstw publiczności, jak «Chili,» w *Wędrowcu* 1871 roku (pierwszy polski utwór Domejki), «O młodości

Mickiewicza,» list do Bohdana Zaleskiego w *Przeglądzie Polskim* (1872 r.), «Filareci i Filomaci» w *Kronikach Towarzystwa historyczno-literackiego* w Paryżu (1870—1872), «Rzut oka na Kordyliery chilijskie» w *Rozprawach Akademii Umiejętności* (1874), wreszcie luźne notatki podróżnicze w *Kronice Rodzinnej*: «Odpust w Andacollo w Kordylierach» (1876), «Chili» (1882), «Z życia wiejskiego w Ameryce,» «Urywki z podróży do kraju Araukanów» (1884) i «O początku świata» (1885).

Nazwisko Domejki upamiętnione zostało w systematyce nauk przyrodniczych. Imieniem je-

go Alcides d'Orbigny nazwał jedną ze skamielin małżów *Nautilus Domeykus*, Dufresnoy — jeden z ammonitów jurasowej epoki chilijskiej *Ammonites Domeykanus*, Claudio Gay — odmianę fiołka *Viola Domeykana*, wreszcie Haidinger odkrytemu przez naszego uczonego arsenianowi miedzi dał miano *Domeykit*.

Takie to orlęta wychodziły z wielkiego filareckiego gniazda...

Henryk Galle.



Cyprian Godebski.

* 1765 † 1809.

Któż nie był żołnierzem w owe czasy burzliwe, na przełomie dwóch wieków.

kiedy cała Europa stała pod bronią, a wielki zdobywca świata jednym uderzeniem miecza przemazywał dawne i kreślił nowe kraje?

W tem ogólnem wrzeniu nasi rodacy brali także udział niemający, walcząc w legionach na usługach Francji.

Znaleźli się pośród legionistów i poeci, których utwory niczem nie są podobne do wyperfumowanej muzy Naruszewiczów i Trembeckich, a którzy odegrali pewną znamienną rolę w dziejach przełomu w naszej literaturze od klasycyzmu do romantyzmu. Antoni Gorecki, Tomasz Kantorbery Tymowski. Jakób Jasiński, Józef Wybicki, Wincenty

Reklewski, obaj Brodzińscy mogą być zaliczeni do owych poetów - wojaków, co swojemi bezpretensyj-

nalnemi piosenkami przyczynili się do zachwiania wiary w ideały klasyczne.

Do nich należał i Cyprian Godebski, który po ukończeniu nauk u Pijarów, w Dąbrowicy, był zrazu urzędnikiem sądowym, w 1795 zaś roku udał się do Włoch, gdzie wtedy właśnie tworzył się zaczątek legionów. Walczył pod wodzą generała Rymkiewicza, jako jego adjutant, na zlecenie zaś Dąbrowskiego, wraz ze swym zwierzchnikiem prowadził korespondencję legionową. Brał również udział w wydawnictwie peryodycz-

nem p. t. «Dekada legionowa», którą czytano wojsku przy dziennych rozkazach; pomieszczał tam prze-



Godebski

kłady wyjątków z dzieł treści wojskowej, wiadomości polityczne i utwory literackie, służące ku pobudzeniu ducha żołnierskiego.

W 1798 r., ciężko ranny w bitwie pod Weroną, wystąpić musiał z szeregów i w randze porucznika odbył, jako inwalida, ciężką podróż z Mantui do Paryża.

Wyleczywszy się, znowu stanął do apelu, służąc, jako kapitan, w legii Naddunajskiej pod Kniaziewiczem. Offenbach, Hochstädt, Philipsberg, Hohenlinden, Wasserburg, Jun, Lajbach—oto widownie jego męstwa i sławy. Wreszcie okryty ranami w tyłu bitwach, powraca do kraju i oddaje się pracom literackim; 17 listopada 1805 r. Towarzystwo Przyjaciół Nauk mianuje go swoim członkiem.

Rok 1806 powołał go znowu pod broń, jako komendanta twierdzy Modlina, gdzie znowu złożył dowody żelaznej wytrwałości i talentu wojskowego. Z chwilą zaś wydania wojny Austrii, ku wielkiej swojej radości wyruszył w pole — po raz ostatni. 19 kwietnia 1809 roku nastąpiło słynne spotkanie pod Raszynem, gdzie polacy opierali się pięćkroć liczniejszemu nieprzyjacielowi. Godebski w randze pułkownika walczy na czele dwóch batalionów 8-go pułku piechoty, wślawionego męstwem w licznych bitwach. Koń pod nim pada. Przesiada się spokojnie na drugiego i rzuca się w ogień. Wtem otrzymuje postrzał w nogę, co nie zniewala go jednak do opuszczenia pola boju. Druga kula ugađa go w piersi i powala o ziemię. Wierni żołnierze unoszą go na płaszczu w miejsce bezpieczne, zasłaniając własnymi piersiami. Trzecia kula trafia go w lewe udo, wywołując bolesny okrzyk umierającego: «Więc i ty mnie także nie mijasz!»

To były ostatnie jego wyrazy. W godzinę potem już nie żył...

Spuścizna literacka Cypryana Godebskiego zamyka się w dwóch tomach, wydanych przez syna jego, Ksawerego, w 1821 roku, w Warszawie, a poprzedzonych «pochwałą» pióra Józefa Kalasantego Szaniawskiego.

Prócz kilku pomniejszych utworów, drobnych wierszy, bajek i przekładów, między innymi urywków z «Wyprawy Igora na Połowców», przekładu wierszem i prozą, dokonanego z tłumaczenia francuskiego, a pierwszego w naszej literaturze, zbiorok powyższy zawiera i kilka dłuższych, oryginalnych utworów, pomiędzy którymi znajduje się «Wiersz do legionów».

Opowiadanie prozą p. t. «Grenadyer-filozof» jest to opis własnej podróży poety z Mantui do Paryża w roku 1799, kiedy ciężko ranny uchodzić musiał z terenu walki. Trudną tę i niebezpieczną podróż odbywał Godebski wraz z jednym jeszcze towarzyszem niedoli, polskim inwalidą. Opis prawdziwych zdarzeń przeplata opowieść o pewnym grenadyerze francuskim, który zrazu wydawał się nieczułym i nieludzkim egoistą, nie chcąc ustąpić miejsca na wozie choremu oficerowi, potem zaś daje dowody najszlachetniejszej wspaniałomyślności, okazując naszym podróżnym skuteczną pomoc przy trudniejszych przeprawach, wspomagając ich w krytycznych chwilach pieniędzmi, gdy żołdu nie mogli się doczekać i t. d. Tak wzruszyła go i odmieniła z gruntu szlachetność polskich oficerów. Opowiadanie dość żywe i zajmujące.

Nie można powiedzieć, by Godebski zupełnie zerwał z klasycyzmem. Owszem, «złoty wóz Feba», Tytus, Trajan, Kserkses, Minerwa, Mars, Kocyt i «Trójzęby», przypominają najlepsze czasy wszechwładnego panowania Apollina i Muz, ale pomimo to jest w tym utworze coś świeżego, coś, czego byśmy daremno szukali u Koźmianów, Osińskich i innych prawodawców estetyki klasycznej—to pełnia uczucia, gorejącego wielkim płomieniem i nieprzysłoniętego dymem górnych frazesów.

Inne wiersze Godebskiego mniejszej są wagi. «Listy o wsi» np. nie przedstawiają nic osobliwego. Wzorem «Bukolik» Wergiliusza, wychwala w nich poeta pracę rolnika, która jedna tylko może dać pociechę i zadowolenie, daje przepisy uprawy pola, ogrodu, hodowli owoców i kwiatów, a wkońcu rzuca szkicowo kilka ładnych krajobrazów, oraz kilka sylwetek ludzi, którzy żyć się z wsią nie potrafili. Poemacik—krótszy od «Ziemianstwa polskiego» Kajetana Koźmiana, ale nie mniej jałowy.

Poezya Godebskiego, jak i wszystkich wogóle legionistów, prosta jest i niekunsztowna: nie miał czasu wygładzać wierszy ten, którego trąby do boju wzywały. Są to wiersze dość chropawe i kulawe, ale w dziejach naszej literatury zajmują miejsce poczesne, gdyż one przekazały jej te hasła, które rozbrzmiewały później w poezji romantyków. Formą więc poezya ta zbliżona jest do klasycyzmu, ale duch z niej wieje młody.

Henryk Galle.

Tomasz Zan.

* 1796 † 1855.

¶ Ile razy piszemy lub mówimy o młodzień-
czych latach Mickiewicza, zawsze spotyka-
my się z nazwiskiem człowieka, którego ze czcią
wspominać musimy, a tym człowiekiem jest—To-
masz Zan.

Zasługi czysto lite-
rackie Zana bardzo nie-
wielkie: kilka ballad,
które miały poprzedzić
Świtez i *Ucieczkę* Mic-
kiewicza, kilka piosenek
okolicznościowych —
oto wszystko, co zna-
my z jego utworów;
bogata zaś jego spu-
ścizna pośmiertna do-
tychczas nie ukazała
się na światło dzienne.
A pomimo to ten czło-
wiek o duszy stalowej
tak ważną odegrał ro-
lę w dziejach naszej
umysłowości, że imię
jego zawsze pozostanie
pamiętnem.

Bo też nie piórem
oddziaływał on na spo-
łeczeństwo, ale żywym
słowem i czynem, ży-
ciem przykładnem i nie-
poszlakowanym, nie-
zwykłym hartem du-

¶ szy i niepospolitą energią, oraz tem czemś, co
trudno daje się ująć w słowa, ale co odczuwa się,
gdy się zbliżamy do człowieka wyższego du-
chem i charakterem i mimo naszej wiedzy i woli
ulegamy jego wpły-
wowi.

Imię Tomasza Za-
na znanem jest nasze-
mu myślącemu ogóło-
wi nietylko z przyja-
źni, jaka go łączyła
z wielkim naszym poe-
tą, jak to się nieraz
dzieje z umysłami i cha-
rakterami względnie po-
spolitemi, co świecą—
światłem pożyczanem.
Nasz *Arcy-promienisty*
własnym blaskiem przy-
świeca; przeciwnie na-
wet, nie ulega wątpli-
wości, że jeżeli podzi-
wiamy w życiu Mic-
kiewicza wielkość cha-
rakteru, to przyczynił
się do tego w znacz-
nej mierze Zan, pod
którego wpływem Gu-
staw, szalony kocha-
nek Maryli, wyrastał
na pełnego potęgi du-
chowej Konrada.



Tomasz Zan

Ten, który jest tak wybornym przedstawicielem pewnej chwili przełomowej w dziejach naszej myśli, był synem ubogiego, a rozgałęzionego rodu szlacheckiego. Rodzice jego Karol Zan i Katarzyna z Dylewskich, w ogólnej zawierusze przy końcu ubiegłego stulecia straciwszy swój majątek, czas jakiś tułali się po obczyźnie. W tym właśnie czasie, 21 grudnia 1796 roku, w prostej gospodzie, Miasocie, pod Mińskiem przybył im syn, któremu dano imię Tomasz.

Ułożyło się życie Zanom lepiej trochę z chwilą, gdy osiedli na ekonomii u pułkownika Trębickiego, w dzierżawionym przez niego majątku, Wiażynie. Stąd datują się pierwsze wrażenia dzieciństwa Tomalka, tu pobierał pierwsze nauki od dyaka cerkiewnego Oleszkiewicza. Utrwały się również w jego umyśle wspomnienia z pobytu w miasteczku Uzdzie, u babki Dylewskiej, gdzie słuchał nauk ks. proboszcza Kamińskiego w miejscowej szkółce parafialnej; służenie do mszy, trochę łaciny, śpiew kościelny — oto cały plon umysłowy, który wyniósł z Uzdy.

Oddano wreszcie Tomalka do szkół mińskich, gdzie odznaczał się wzorowem prowadzeniem i postępami w naukach: odznaczano go zawsze, jako celującego i zapisywano do złotej księgi. Doszedłszy do szóstej klasy, zachorował na febrę i nie mógł przez czas dłuższy korzystać z wykładów.

Tymczasem stan majątkowy jego rodziców poprawił się o tyle, iż mogli wreszcie pomyśleć o własnym zagonie; gorącym ich chęciom stało się zadość: około 1810 r. p. Karol Zan ujrzał się właścicielem małego folwarczku Wiewióry, pod Mołodeczną.

W Mołodecznie osiadła wraz z wnukami babka Dylewska; Tomasz, którego tylko silna wola ojcowska powstrzymała od zaciągnięcia się w szeregi wojsk napoleońskich w 1812 roku, w Mołodecznie ukończył nauki szkolne.

«Rok wojny» nie pozostał bez echa w wyobraźni 16-letniego chłopca; jak przyszłemu jego przyjacielowi scena przeciągania wojsk francuskich przez Nowogródek utkwiała w pamięci, tak on do śmierci nie zapominał tej chwili, jak Eugeniusz Beauharnais w Mołodecznie spożywał skromną wieczerzę, przyrządzoną przez babunię Dylewską.

Już w szkołach uwydatnił się u Zana duch organizatorski, który ożywiał zawsze przyszłego twórcę Filaretów; utworzył on już w Mołodecznie korporacje koleżeńskie, zwane wojskami Marsa i Apollina, ku wspólnej zabawie. Tutaj również powstały pierwsze wierszyki Zana, po większej części okolicznościowe.

Wkrótce Zan znalazł sposobność rozwinięcia swej działalności na szerszym terenie. Ze strachem i błogosławieństwem wysłano go w roku 1815 do Wilna, w nadziei, że Tomasz, dzięki swym wrodzonym zdolnościom i pracowitości zda egzamin konkursowy i zostanie przyjęty do uniwersytetu na koszt rządowy.

Dzieje owego pamiętnego egzaminu zbyt są znane, ażeby je tu powtarzać; dość, że Zana ubiegł szczęśliwszy i bogatszy w poparcie ks. dziekana Mickiewicza. Ta chwila, zamiast rozdzielić, związała ich na całe życie nierozzerwalnymi węzły przyjaźni.

Bądź co bądź, projekt umieszczenia się na koszt rządowy upadł, trzeba więc było biegać po lekcijkach, by i siebie utrzymać i młodszym braciom pomóc; — ciężkie zaczęły się kłopoty. Wyprowadził z nich biednego studenta zacny Kontrym, bibliotekarz uniwersytetu, znany w dziejach naszych, jako jeden z założycieli słynnych *Szubrawców*, powierzwszy mu kształcenie swego bratanka. Odtąd zjednywa sobie w Wilnie sławę zdolnego pedagoga, znajduje lekcyi coraz więcej w domach prywatnych i na pensyonatach.

Zajęcia zarobkowe nie przeszkadzają Zanowi oddawać się ulubionym studjom przyrodniczym i matematycznym; *physica* jednak nie pochłaniają go całkowicie i nie odrywają od *metaphysica* — owszem, stara się połączyć oba światy wspólnym łańcuchem. Stąd bierze początek teoria «promionków», którą Zan chciał wytłómaczyć nie tylko zjawiska fizyczne, ale i duchowe.

Jakkolwiek teoryi tej wiele można zarzucić ze strony ścisłości naukowej, przenosi ona bowiem żywcem zjawiska ze świata przyrody w świat psychy bez żadnej realnej podstawy, jakkolwiek nabożeństwo «promionkowe», msza, pacierz i Wierzę wydają nam się obecnie dziecinną zabawką, zasługującą omal że nie na skarcenie, jednego nie można odmówić «promionkom», co właściwie jest zasługą nie tyle teoryi, ile jej twórcy: niesłychanej czystości moralnej i podniosłej at-

mosfery ducha, jaka otaczała *Arcego* i jego wyznawców. Jeżeli kochali się, to miłość ta miała charakter czysto platoniczny, jak np. uczucie, jakie żywił Zan do pięknej «Feli» (Felicji Micewiczówny), uniesmiertelnionej w *Pieśni Filaretów* Mickiewicza; jeżeli używali jakich napojów, to tylko mleka, narażając się na drwiny ze strony kolegów, zwolenników *Wein, Weib und Gesang*, którzy zwiąawszy się w towarzystwo *Anti-promienistych*, wypowiedzieli wojnę wodzie i trzeźwości.

Taka sama atmosfera czysta i zdrowotna panowała we wszystkich stowarzyszeniach studenckich, które zakładał lub do których rękę przykładał nasz Arcy: Filomatów, Promienistych i Filaretów, łączących liczne koła kolegów poczućmi jedności i wytwarzających cieplarnianą temperaturę ducha, w której wzrósł i rozwinął się geniusz Mickiewicza. *Pieśń Filaretów* i bardziej jeszcze *Oda do młodości* są natchnionym wyrazem tych uczuć i tych wzniosłych aspiracji, które napępiały te serca szlachetne i te głowy zapalne.

A Zan był duszą wszystkiego. On był przewodnikiem, po którym idea zrzeszeń od Masonów, Szubrawców i dawnych Filomatów nie bez współudziału Kontryma zapewne przeszła na Promienistych i Filaretów; on organizował wspólne majówki, zebrania, pisał ustawy, wydawał tajne polecenia, roznoszone przez szambelanów, on wreszcie ze swą duszą promienną był przyczyną tego, iż stowarzyszenia owe po za wspólną zabawą i wspólnem przepędzaniem czasu miały cele wyższe, wysoce moralne, które rozżarzywszy się w ogniu romantycznego uczucia, przyjęły artystyczną formę *Ody do młodości*.

Smutny epilog sprawy Filaretów jest również aż nadto znany. Zan, przyjąwszy na siebie odpowiedzialność za wszystkich, osiedlony na Uralu, w gubernii Orenburskiej, pozostawał tam przez lat 15.

Odtąd zaczyna się dla niego nowy okres życia, niepodobny zgoła do poprzedniego; poznać go możemy z listów, pisanych do miłych sercu kolegów i przyjaciół.

«Abdragan Mulla,» jak siebie w tych listach nazywa, zamieszkuje bądź w Orenburgu, bądź w Uskałyku, majątności generała Cieszkowskiego; ucząc syna jego, Piotrusia, czyta, uczy się, stu-

dyuje nauki najrozliczniejsze od geognozyi do gramatyki porównawczej, pisze, tłómaczy dzieła naukowe dla księgarzy wileńskich, by powiększyć swe skromne zasoby, kolekcjonuje zbiory naukowe entomologiczne i geognostyczne, przez 10 lat prowadzi obserwacje meteorologiczne, a jednocześnie nie zapomina i o kraju: zachwycają go *Sonet*y Krymskie, choć znajduje w nich to i owo do poprawienia, a o *Konradzie Wallenrodzie* pisze z prawdziwym entuzjazmem.

Wiedza przyrodnicza przysłużyła się Zanowi niemało. Władza miejscowa poleciła mu zbadanie gór Uralskich i ich bogactw, z czego wywiązał się świetnie, odkrywając nieznane pokłady złota, za co też za wstawiennictwem gubernatora miejscowego, generała Perowskiego, otrzymał zezwolenie zamieszkania, gdzie zechce. Owocem jego kilkunastoletniego pobytu na Uralu jest szereg prac naukowych, wyszczególniony w liście do Franciszka Malewskiego z Orenburga, w 1836 roku: «najpełniejsze wiadomości zebrane: — pisze tu Zan — 1) O górach Uralskich, t. j. o skałach, składających grunt gubernii Orenburskiej i o bogactwach, należących do każdej kamiennej formacji; 2) Wiadomości, dotyczące się wód, w wapieniach wytryskać mogących; 3) O kopalniach złota i platyny, jako najnaturalniejszym przemyśle kraju tutejszego; 4) O możliwości znachodzenia dyamentów po całym zachodnim pasie gór Uralskich; 5) O muzeum w Orenburgu, cel i sposoby zakładania muzeów prowincjonalnych; 6) Meteorologiczne zapisy w Orenburgu; 7) Dziennik Kozi; 8) O charakterach; 9) O dobroci; 10) Widzimię gramatyczne; 11) Rośliny i owady tutejsze; 12) Okręg wód siarczanych w Sergiejewsku.» Widzimy z tego, że rzutka natura Zana nie znosiła bezczynności, czy to nad Wilią, czy też nad Uralem.

W 1837 roku na Kazań, Moskwę jedzie Zan do Petersburga, gdzie zajmuje urząd bibliotekarza w instytucie inżynierów górniczych. Dopiero w 1841 roku ujrzał Wilno, twarz dawną nie widzianą i miejsca, z którymi łączyło go tyle wspomnień młodości. Serdecznie podejmowany przez rodziny Malewskich, Puttkamerów, Śliżniów, były wódz Filaretów zaznał po raz pierwszy od lat kilkunastu ciepła rodzinnego.

Rok jeszcze, a Zanowi zaświtała nadzieja szczęścia rodzinnego w osobie panny Brygidy

Świętorzeckiej, w której sercu odnalazł odpowiednik do promionków swej własnej duszy. Ale narzeczony był bez stanowiska i bez majątku, posag narzeczonej także mocno zakwestyonowany. Rozsądek nakazywał czekać, życzyła sobie tego i matka panny Brygidy—więc czekano. Tymczasem pan Tomasz przyjął skromną posadę lustratora poduchownych majątków w powiecie Lepelskim, czekając cierpliwie cudu. Cud nie omieszkiał się objawić: w roku 1846 zaproponowano mu kupno majątku Kochaczyna z klucza ks. Sanguszeki, na tak dogodnych warunkach spłaty, iż nie płacąc zgóry ani szeląga, po 10 latach mógł majątek zupełnie z długów oczyścić. Tak więc ów Kochaczyn, nabyty za «srebrny złoty» panny Brygidy, staje się podwaliną szczęścia ich obojga.

29 października 1846 roku pobłogosławiono w Lebedziewie ich związek małżeński, poczem nastąpiło «liczne i śliczne» wesele.

Odtąd życie byłego Filomaty upływa spokojnie i szczęśliwie na łonie ukochanej rodziny, wśród szczerze wielbionej żony, «kochanki, małżonki, matki, przyjaciółki, gościudarczyni» i trzech synów, którzy stanowili nadzieję jego na przyszłość: Wiktoryna (ur. 26 lutego 1848 r.), Abdo-

na (ur. 30 lipca 1849 r.) i Klemensa (ur. 23 listopada 1852 r.); czwarty synek, Stanisław, zmarł w niemowlęctwie.

Listy pana Tomasza z tego okresu tchną wewnętrznym spokojem i błogością człowieka, który nic już więcej nie żąda od życia i losu. «Bóg mię obdarzył dozągonną towarzyszką i miłemi działkami, — pisze do Józefa Chodźki 18-go czerwca 1851 roku z Wilna — jakich i tobie życzę. I to też łasce Bożej winienem, że w uczuciu, myślach, przedsięwzięciach i czynnościach naszych, nic inszego nie szukamy, jak królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, przekonani i doświadczeni, że wszystko inne samo się z Opatrzności Jego przydaje. Nie zazdrościmy bogatszym że sami ubożsi jesteśmy, bo komuż na czemkolwiek nie zbywa, i czyli nie to najbardziej dolegać zwykło?»

Umarł w Kochaczynie 7 lipca 1855 roku, otoczony rodziną i przyjaciółmi. Na grobie jego ks. Władysław Lubomirski położył krótki, lecz wymowny napis: «Miły Bogu i ludziom Tomasz Zan, którego pamiątka jest w błogosławieństwie.»

Henryk Galle.



Wojciech Bogusławski.

* 1757 † 1829.

Dużo dat składa się na życiorys Bogusławskiego, a każda prawie wpisa-

na jest gdzieindziej, tak, że liniami łączącymi te punkty, rozproszone po rozległych przestrzeniach, możnaby objąć cały prawie obszar dawnej Rzeczypospolitej.

Łatwiej jednak mapę wykreślić z tego graficznego rysunku, aniżeli naszkicować sylwetkę działacza, któremu zbyt pilno było dokonać zamierzonego dzieła, ażeby miał kiedykolwiek i gdziekolwiek na posterunku dla potomnych pozować.

Założycielem sceny polskiej nazywają Wojciecha Bogusławskiego wszyscy i zdaje się, że nie znalazł się dotąd nikt, ktoby mu prawa do te-

go zaszczytnego miana odmawiał. Istnieje fakt, t. j. teatr, z całą tradycją sztuki i literatury dra-

matycznej i żył człowiek, przed którego pojawieniem się tego teatru nie było; ale jakim sposobem dzisiejszy teatr wyszedł z rąk owego człowieka, jakimi ojcowskimi staraniami z chłopięcia, nawykłego do przymusowych wędrówek, stał się osiadłym na miejscu, poważnym zasobnym czcicielem szlachetnej sztuki, ile rodzic w tem wychowaniu swego ukochanego wyekspensował tkliwej miłości, stanowczej energii i nieustającej pracy, o tem skąpe są zaledwie wiadomości.

Na progu biografii trzeba się zaraz potknąć. W druku, jako data urodzenia Bogusławskiego po-



Wojciech Bogusławski

dany jest rok 1760; tymczasem tablica na kościele powązkowskim wskazuje 9-go kwietnia 1757 r. Wyraźniejsze już informacje, dotyczące miejsca urodzenia, wymieniają wieś Glinno pod Poznaniem. O latach dzieciństwa zupełny brak szczegółów, z pacholęcego i młodzieńczego wieku doszły dwa: nauka w konwikcie pijarskim w Warszawie i zaopiekowanie się chłopcem przez księcia siewierskiego biskupa krakowskiego, Sołtyka, którego uderzyły zdolności wychowanka Pijarów.

Ta opieka musiała stanowczy wpływ wywrzeć na dalsze losy Bogusławskiego. Znalazszy się na dworze dostojnika kościoła, wśród najwykwintniejszego towarzystwa, młodzieńcem przyswoił sobie od najwcześniejszych lat wszystkie przymioty obyczajów i obcowania z ludźmi, które do późniejszych jego stosunków, zawieranych z konieczności we wszystkich warstwach społeczeństwa polskiego, miały być nieocenionym nabytkiem.

Skorzystał też z nich i przyszły aktor, nabrawszy w chodzie, w postawie, ruchach owej szlachetności i elegancji, którą mu, jako artyście, przyznawali nawet cudzoziemcy, wybredni w wymaganiach, zaostrzonych widokiem najwykwintniejszych scen.

U księcia Siewierskiego urządzano amatorskie przedstawienia w języku francuskim, a podobno nawet grywano kiedyniekiedy po polsku. Nie ulega wątpliwości, że Bogusławski stawiać tam musiał pierwsze aktorskie kroki i że odgłos pierwszego okłasku zapadł głęboko we wrażliwą duszę młodego chłopca.

Pod innym też względem wyrobić się musiała u księcia biskupa indywidualność Bogusławskiego. Pobyt tam był prawdopodobnie pierwszą szkołą, gdzie zaczął się kształcić obywatel kraju; z niej zapewne wyniósł te zadatki, które później stanowiły zasadniczy rys jego charakteru i rozsnuły się jedną nieprzerwaną nicią w barwnym wątku publicznej działalności. Niestety, spadające na księcia biskupa, rozproszyły dwór jego. Bogusławski, znalazłszy się bez opieki, nie zdając sobie z tego sprawy, co miał nadal robić, usłuchał rad doświadczonych ludzi i wstąpił do gwardyi; tylko, że doradcy nie powiedzieli mu jednej rzeczy, którą doświadczenie powinno mu było podyktować: «Nie spodziewaj się dojść do czegoś bez protekcji.» Nie doszedł też młodziutki gwardzista, bo jakieś pominięcie w awansie tak

uraziło jego ambicję, że bez namysłu rzucił służbę wojskową.

Według powszechnie podawanej wersji, którą zresztą usprawiedliwia poniekąd sam Bogusławski paru ogólnikowymi wzmiankami w swoich «Dziejach teatru narodowego,» to rozdrażnienie miłości własnej w połączeniu z brakiem wszelkich widoków, miało go popchnąć na scenę.

Trzeba jednak przypuszczać, że przyszły twórca polskiej sceny, pisząc słowa: «Wyrządzona mi niesprawiedliwość w innym stanie, w którym ojczyźnie mojej w młodości służyłem, była przyczyną rozpacz, która mię do teatru wtrąciła,» — a pisząc je na lat parę przed śmiercią, kiedy wiek przytępił już władzę przywoływania wrażeń młodości z pierwotną ich siłą, nie był w stanie uprzytomnić sobie procesu, odbywającego się podówczas w jego duszy. Kto «z rozpacz» tylko ima się jakiegoś zawodu, nie stanie się w nim nigdy tem, czem był w swoim Bogusławski, nie dokaże tego, czego on dokazał. Łatwo to dziś powiedzieć: «nie mam co robić, wstąpię do teatru!» ale nie przed stu laty, kiedy przedewszystkiem sceny nie było, kiedy obierając ją sobie za pole działalności, trzeba było naprzód stworzyć samo pole.

Kto się na to ważył, ten musiał powodować się czemś więcej, prócz dotkniętej dumy, lub nawet zranionego poczucia słuszności, temu snuć się musiały uparcie przed oczyma duszy widziane niedawno postaci fikcyjnych bohaterów, ten czuć musiał w sercu granie poetyckich instynktów, temu już w głowie świtała może myśl posługiwania się teatrem, jako tłumaczem wielu idei i uczuć, które potrzeba było rozpowszechniać.

Bądźco bądź, jeżeli błogosławić należy, ze względu na losy polskiej sceny, te lub owe pobudki, które Bogusławskiego wydobyły z rycerskich szeregów, niema powodu skarżyć się na krótki czas, spędzony przezeń w służbie wojskowej. Dał on Bogusławskiemu jeden jeszcze przymiot, niezbędny i dziś dla kierownika teatru, a cóż dopiero wtedy, gdy wszystko trzeba było wydobyć z odmętu, — dar utrzymania najniespokojniejszych, bo aktorskich, żywiołów w karności i posłuszeństwie.

Ten rys, kojarząc się z pewnem arystokratycznym znamieniem, z wrodzoną łagodnością w obcowaniu i z ogólnym jakimś pogodnym wy-

razem, charakteryzuje od najmłodszych lat fizyognomię duchową Bogusławskiego, nacechowaną jednocześnie energią i giętkością, powagą silnych postanowień i darem wyzyskiwania najgorszych okoliczności na korzyść ukochanej idei. Takim go przedstawił współczesny malarz, rzuciwszy na płótno głowę, w której, wśród miękkich na pozór rysów, wśród delikatnych linii pociągłej twarzy, przypominających nieco kolorem oczu, konturem dużego, spadzistego nosa, wreszcie wytwor-nym ust rysunkiem oblicze Stanisława Augusta, uderza jakaś nieprzeparta stanowczość; tak się też rysuje jego portret moralny każdemu, kto uważnie czyta «Dzieje teatru narodowego.»

I oba wizerunki nie kłamią, oba odtwarzają rzadki pod koniec XVIII-go wieku dodatni typ człowieka, który, żyjąc na pograniczu dwóch stuleci, potrafił zatrzymać wykwintny wdzięk ustępującej doby i przejąć się twardą abnegacją nowej, brzemiennej ciężkimi losami; który umiał godzący te sprzeczności zmysł praktyczny, oddawany zwykle w służbę prywacie w epokach nacechowanych sceptycyzmem, spożytkować dla dobra idei.

Taka fizygnomia towarzyszy nam w myśli nieodstępnie, kiedy zdążamy za dyrektorem królewskim do różnych miast polskich; gdy śledzimy każdy moment szamotania się jego w Warszawie, to z przywilejem, to z trupą francuską, to z aktorami niemieckimi, to z operą włoską; gdy patrzymy, jak jednych zwycięża, z drugimi z potrzeby pakuje; jak wyrывa się z twardych szponów biedy, zostawiając w nich strzępy własnego mienia, lub wymyka się z aksamitnych rąk intrygi, nie uroniwszy nic z godności, co mu nie przeszkadza tłómaczyć, pisać, grać, angażować aktorów; tu zbudować teatr, tam podnieść ducha okolicznościowem widowiskiem, a wszędzie spełniać herkulesowe prace, które dotąd czekają swego dziejopisa.

Ten przyszły historyk strzedz się będzie musiał przede wszystkim przeniesienia dzisiejszych pojęć o kierownictwie teatru do ówczesnej epoki. Ktoby w Bogusławskim chciał widzieć jednego z nowoczesnych intendentów subwencyonowanej przez rząd sceny, bawiących się z amatorstwem szambelańskiej wszystkowiedzy w sztukę i literaturę dramatyczną; albo nawet osiadłego na jednym miejscu rozgłośnego pisarza, któremu

dano w ręce gotowe środki materyalne, aktorskie i literackie do swobodnego przeprowadzania rozległych planów artystycznych,—ten popełniłby grubo anachronizm. Na Bogusławskiego patrzeć trzeba nie tylko w Warszawie, ale wszędzie, gdzie dla teatru polskiego było coś do zrobienia; sfera jego wpływu i energii przenosi się z miejsca na miejsce; ciągłość pracy przerywa się, jeżeli ją z jednego tylko ogniska obserwować; nabiera natomiast spoistości, rozjaśniona myślą, która nigdzie pracownika nie opuszczała: dźwignąć teatr, gdzie będzie można, grać na nim po polsku, o ile się da; grając powiedzieć, co trzeba i kiedy trzeba, a pamiętać zawsze, że się wyszło z Warszawy, do Warszawy godzi się powrócić.

W Warszawie bowiem stał się fakt, który wynagrodził Bogusławskiemu moralnie owo nie-szczęsne pominiecie w awansie wojskowym. W dniu 1-ym maja 1789 roku zaciągnął niespodzianie na straż do bram teatralnych szwadron czarnych huzarów z trupiami głowami, co przeraziło zdziwionych mieszkańców. Niebawem jednak wszystko się wyjaśniło, wezwanym do sal reutowych artystom oznajmiono, że przedsięwzięciem widowisk polskich, niemieckich łącznie z baletem, został książe Marcin Lubomirski, dyrektorem zaś wszystkich razem artystów Bogusławski, przed którego mieszkanie stanęła też warta z dwóch huzarów złożona.

Rzecz szczególna! Trupie głowy nie dały spokoju Bogusławskiemu. Przywitany ich widowiskiem na samym wstępie swego zawodu, spotkał je w piętnaście lat później we Lwowie, przy restauracyi miejskiego teatru w kościele po-Franciszkańskim, kiedy pod oderwaną podłogą ukazało się kilkanaście trumien, bądź zamkniętych, bądź otwartych, z resztkami zbutwiałych ludzkich kości, jakby zapowiedź nieszczęsnych wypadków, mających zaciążyć fatalnie na losach polskiej sceny.

Bogusławski nie ułakł się horoskopów. Miał w sobie zdrowy optymizm i więcej wagi przywiązywał do innej zapowiedzi przy pierwszym przedstawieniu w letnim teatrze lwowskim swego «Iskahara,» upamiętnionem wdaniem się samej natury, która, gdy widowisko z powodu trudnej sceneryi przeciągnęło się do rana, powitała publiczność w trzecim akcie prawdziwym wschodem słońca. Jutrzenka wtedy silniejsze na Bogusławskim wywołała wrażenie, niż cmentarne mroki. Tak był usposobiony dojrzwały kierownik teatru polskiego,

cóż dopiero, gdy, jako dyrektor, rozpoczynał 26 rok życia.

Miał wtedy na prawdę jednego tylko króla za sobą.

— Mości Bogusławski, — powiedział mu Stanisław August na posłuchaniu, wyrobionem przez stolnika koronnego Moszyńskiego, — widzę, że wacpanu przeznaczono stworzyć teatr. Wielki masz talent — rodzimy, boś go wziął sam z siebie.

Gdzie chodziło o sztukę, tam król miał bystre oko i dowiódł tego w tym razie.

Bogusławski stanął przygotowany na przeznaczone sobie stanowisko. U księdza biskupa krakowskiego nauczył się sztuki obcowania z ludźmi i spożytkowania jej w sprawach publicznych; wojsko wyrobiło w nim poczucie obowiązku, zmysł karności; trzeci wreszcie niemniej ważny nowicyat odbył Bogusławski u francuskiego aktora Montbruna, który przedtem miał jakiś czas miał w antrepryzie teatr polski wraz z baletem i przedstawieniami niemieckimi.

Wprowadzony do niego przez szambelana dworu Wojnę, przyszedł twórca sceny polskiej, musiał korzystnie odrazu wywrzeć wrażenie, skoro Montbrun, zajmując się naprzód z życzliwością, później z przyjaźnią losem młodzieńca, nie tylko dopomógł mu materyalnie, ale własnymi wskazówkami w sztuce dramatycznej i w muzyce, a następnie nauką opłacanego z własnej kieszeni aktora Denvilla tak go wykształcił, że w r. 1788 Bogusławski mógł już pierwszy raz wystąpić w przełożonej przez siebie z francuskiego komedyi «Falszywa niewierność».

Przeznaczonem mu było dać się wkrótce poznać w charakterze autora, jeżeli nie odrazu samoistnego, to przynajmniej okazującego już zmysł sceniczny. Na propozycję Montbruna przerobił jednoaktową komedyjkę Fr. Bohomolca «Nędza uszczęśliwiona», na dwuaktowy utwór, który, wsparty skomponowaną przez Kamińskiego łatwą i prostą muzyką, stał się niewątpliwie pierwszym opery polskiej zarodkiem. Nowość tę przyjęto z zapalem; debiut Bogusławskiego, że użyjemy tu dzisiejszej formuły, powiódł się na wszystkich polach, trzeba mu było tylko obszerniejszych szranek, teatru samoistnego, niezależnego od pańskiej łaski, lub magnackiej fantazyi. Nie upłynął rok, a i to się spełniło: scena polska zdobyła własną, stała siedzibę.

Teatr był dotąd zabawką, możliwych, traktowaną z cudzoziemską; mieli go w Nieświeżu Radziłłowie, w Sławucie Sanguszkowie, w Dubnie Lubomirscy, w Siedlcach hetmanowa Ogińska, w Rożanie Sapiehowie, w Rydzynie Sułkowsy, w Puławach Czartoryscy. W Warszawie mieścił się przez lat 14 w pałacu księcia Karola Radziwiłła, wojewody wileńskiego, osiedlonego po konfederacyi barskiej w Paryżu; gdy jednak z powodu spodziewanego powrotu księcia do Warszawy, rozkazano wyprzątnąć teatr w ciągu 48 godzin, gdy aktorska rzesza poszła w rozsypkę, a miasto zostało bez teatru, musiano pomyśleć o własnym dla sztuki dramatycznej przybytku i na rozkaz króla stanął w r. 1779 na placu Krasińskich teatr, w którym grywać miano przez 54 lata (1833) i gdzie Bogusławski przez trzydzieści kilka lat «pisał, grał, i grających na czas późny tworzył». Hasłem tej niezmordowanej działalności, rozpoczętej zwycięstwem nad monopolem kamerdynera królewskiego Ryxa, była inicjatywa, impulesem ruchliwość; a owocem w chwili usunięcia się strudzonego kłopotami pracownika — gotowy teatr z poważnym zastępem talentów aktorskich, z bogatym repertuarem dzieł scenicznych, od tragedyi do krotchwili, od opery do baletu. Obejmując dyrekcję, znalazł Bogusławski jako skromny materyał dramatyczny i muzyczny, oprócz innych utworów, sześć oper (z których pięć przetłumaczył dyrektor, a jedną przerobił z Bohomolca), pięć komedyi tłumaczonych i jeden również przełożony dramat. Grono aktorskie składało się z 16 osób, grywających wybitniejsze role. Z tym szczupłym zastępem puściwszy się, jako sternik, na niedość sobie jeszcze znane, szerokie wody sztuki, Bogusławski zmuszony jest po roku pod naporem konkurencyi opuścić Warszawę i próbować szczęścia na prowincyi. Jedzie do Grodna. W Wilnie buduje i otwiera oryginalną sztuką pierwszy publiczny w stolicy Litwy teatr, zawadza o Lwów i cieszy się już teraz taką popularnością, że kiedy w r. 1788 w przeprawie przez Bug do Dubna, bryki całej trupy zapadły się pod załamanym lodem, zatapiając wszystką garderobę, zgromadzeni pierwszego wieczoru w teatrze dubieńskim obywatele wołyńscy, podolscy i ukraińscy, zażądali po skończonej sztuce podwyższenia ceny biletów, co też wynagrodziło koszt zatopionej garderoby.

Powróciwszy z rozkazu króla do Warszawy, przebudowywa Bogusławski od fundamentów teatr

na placu Krasińskich, wystawia na nim z nadzwyczaj-
nem powodzeniem „Powrót posła” Niemcewicz; pisze
„Henryka VI na łowach”, komedję, która na sejmie
dała powód do gorących sporów, wreszcie
przed wielką nawałnicą w kraju, gra swoich
„Krakowiaków i górali”, komedyo-operę, która
istny entuzjazm w wówczas publiczności obu-
dziła i której wspomnienie związane jest nie roz-
różnając z 1794 rokiem, podobnie jak przedsta-
wienie „Powrotu posła” należy do historii sejmu
Czteroletniego.

Po niepowetowanych klęskach krajowych szuka
Bogusławski schronienia w Galicyi. Powitany we
Lwowie z zapalem bawi tam przeszło cztery lata,
buduje letni amfiteatr w ogrodzie Jabłonowskich,
ale wojenne konjunktury zmuszają go wracać z gru-
bą materialną stratą do Warszawy, gdzie wśród
zmienionych z gruntu stosunków rozpoczyna trze-
cią i ostatnią, a najdłuższą, bo czternaście lat trwa-
jącą antreprzyę. Przystąpił do niej z repertuarem
o tyle wzbogaconym i z personelem tak wzmoc-
nionym, że mógł, kształcąc w ten sposób nieustan-
nie aktorów i zasilając literaturę, stworzyć naresz-
cie i publiczność, na której oparłaby się pomyśl-
ność polskiej sceny.

Z Warszawy promieniuje dalej w wycieczkach
działalność Bogusławskiego. W Poznaniu niezmor-
dowany dyrektor buduje najpierw w rajszuli
Geizlera scenę i widownię na podobieństwo lwow-
skiego amfiteatru, a później przyczynia się swe-
mi staraniami u króla pruskiego do dźwignięcia
obszernego murowanego teatru; w Kaliszu stawia
teatr na 1000 osób, liczną ściągający publiczność;
grywa też dwukrotnie w Gdańsku, który pomimo
powodzenie towarzystwa miał się stać punktem
zwrotnym ku ostatecznej ruinie finansowej antre-
przy. Nim ta nastąpiła, powodzenie ważyło się
na fali wypadków. Z wejściem wojsk Napoleona
do Warszawy, teatr francuski wziął chwilowo w sto-
licy przewagę; wprowadzie pokój Tyłżycki popra-
wił nieco pieniężny stan polskiego przedsiębiorstwa,
w rezultacie jednak straty, poniesione przez antre-
przyę skutkiem dwuletniej wojny, pomnożyła je-
szcze trzecia wojna, którą przeprowadzić musiał
Bogusławski z niemiecką trupą Döbelina.

I przyszła chwila, kiedy Bogusławski, poczuw-
szy, iż chwieją się materialne teatru podstawy,
złożył ówczesnemu prefektowi departamentu Na-
kwaskiemu, projekt utrzymania widowisk narodo-

wych na rzecz skarbu, podając dwa do urzeczy-
wistnienia tej propozycji warunki: ustanowienie dy-
rekcyi rządowej i założenie szkoły dramatycznej.
Było to już drugie przecucie jasnego organiza-
cyjnego umysłu. Nakłaniając aktorów lat temu
kilka bez skutku do spółkowej antreprzy, Bo-
gusławski wyprzedził był myślą autonomiczne
urządzenie teatru francuskiego, które wkrótce mia-
ło być uregulowane dekretem Napoleona, datowa-
nym z Moskwy 1812; domagając się dla teatru
poparcia od rządu, przewidywał taką dobę dla
teatrów wogóle, kiedy żadna scena, doprowadzo-
na do wyższego poziomu artystycznego, nie zdoła
się na nim utrzymać siłami pojedynczego przed-
siębiorcy. Projekt Bogusławskiego uzyskał w głów-
nych punktach zatwierdzenie króla saskiego. Wy-
znaczono dyrekcję rządową z Niemcewiczem na
czele, teatr zostający nadal pod kierunkiem Bogu-
sławskiego otrzymał 30.000 zł. stałej subwencji,
a w rok później otwarto zaprojektowaną i zorga-
nizowaną przez Bogusławskiego szkołę dramaty-
czną. Na tem wszystkiem moralnie zyskał teatr
bardzo wiele; materialnie nie polepszyło się nic,
bo zapomogę pochłaniać koniecznie musiały no-
wo nałożone ciężary, tak że cztery ostatnie lata
subwencyonowanej antreprzy Bogusławskiego by-
ły tylko odwlekaniem ostatecznej katastrofy w po-
staci długu wynoszącego 108.000 zł. Pozostał
tylko jeden środek ratunku: sprzedać antreprzyę
innemu przedsiębiorcy, co też stało się w 1814 r.
aktem urzędowym, na mocy którego Bogusławski
odstąpił przedsiębiorstwo zięciowi swojemu Lu-
dwikowi Osińskiemu. Wykwintny tłumacz klasy-
ków francuskich objął po swoim teściu komplet dra-
matyczny i operowy z pięćdziesięciu kilku osób zło-
żony z takimi artystami, jak: Nacewicz, Szczurowski,
Szymanowski, Żółkowski (ojciec), Dmuszewski, (póź-
niejszy dyrektor) Bogusławski, Zdanowicz, Damse
(ojciec), Ledochowski, Drozdowska, Elsnerowa, Zda-
nowiczowa; repertuar wzbogacony dziełami Niemce-
wicza, Kropińskiego, Brodzińskiego, Osińskiego, Żół-
kowskiego, Słowackiego (Euzebiusza); przekładami
z Szekspira, Moliere, Rasyna, Kornela, i operę
pod kierunkiem Elsnera i Kurpińskiego, którzy
publiczność obznajmili z utworami starych mistrzów
i z dziełami francuskich kompozytorów: Gretaego,
Mehnlą, Cherubiniego. Sam Bogusławski przeka-
zuje teatrowi narodowemu w spuściźnie 80 dzieł
oryginalnych i przetłumaczonych, a wychowawszy

całą plejadę talentów, snujących dalej jego tradycję, rzuciwszy ziarno polskiej sztuki w Wilnie, Grodnie, we Lwowie, Krakowie i Poznaniu; dźwignąwszy tu i ówdzie dla tej sztuki przybytki, spędziwszy większą część tego znojnego, trzydziestoletniego okresu na wędrownościach, gdzie go spotykały raz otwarte do entuzjastycznego uścisku ramiona, to znów zbrojne pogonie; doświadczwszy wreszcie i tego, co musi być udziałem każdej wyższej indywidualności: „że gdy już przestał być użytecznym publicznej sprawie, znaleźli się dowodzący, iż nim wcale nie był” — pożegnał sceniczny swój zawód słowami: „Szlachetniejszem powodowany uczuciem, wszystko, co w pomyślnych czasach wziętem od publiczności, oddałem jej w krytycznych, w równej zawsze świetności utrzymując scenę ojczystą. Nie utyskuję na mój niedostatek, bo nigdy nie szukałem bogactw. Ubóstwo moje ani wstydzi, ani mnie zasmuca. Dla kilku pozostałych dni życia mało potrzebuję. Niosę ja w moje ustronie dwa nieocenione skarby: spokojne sumienie i to najdroższe przekonanie, że (ile w mocy mojej było) dopełniłem obowiązków stanu, w którym mię przeznaczenie umieściło. Sławę moją zostawiam zdaniu potomności, a jeżeli w sercu jednego choć prawdziwego polaka pozyskam wdzięczne staran moich wspomnienie, jeszcze na tamtej stronie grobu szczęśliwym będę.” Zobowiązany kontraktem do grywania jeszcze w ciągu lat pięciu antrepryzą Osiń-

skiego, wystąpił ostatni raz dnia 20 listopada 1827 roku w roli Fryderyka Wielkiego w komedii „Koszyk wisien”, zdobywając już jako 70-letni starzec niesłychany entuzjazm publiczności.

Dwa lata, oddzielające go od śmierci, spędza na kompletowaniu swoich dwunasto-tomowych „Dzieł dramatycznych;” snuje w wyobraźni urzeczywistnione obecnie według jego myśli projekty trzech teatrów: tragicznego, operowego i komicznego, pisze nie wydaną dotąd część swej „Dramaturgii,” w której traktując mimikę i wymowę, na kilka dziesiąt lat wyprzedza Chrenekka i głośną dziś zasadę Meiningenczyków. W dniu 23 listopada 1829 r. o godzinie 7 z rana, w dworku na Nowolipkach kona aktor, którego francuzi porównywali do Talmy, a Niemcy do Ifilanda; umiera dyrektor, który na swoim niepozornym skrzypiącym wózku Thespisa zajeżdżał tu i ówdzie, to z hałasem i ostentacją, to znów po cichu przemykając się między obcymi przybyszami, zdobywał odrazu wstępnym bojem pierwszorzędną miejsce; a gdziekolwiek się zatrzymał przyjmowano go z radością, bo zwiastował zwycięstwo polskiego słowa.

Całe szlachetne życie, cała owocna działalność Wojciecha Bogusławskiego streszcza się w dwóch prostych wyrazach, wyrytych na jego grobowcu: „tu spoczywają zwłoki *dobrego obywatela*”

Władysław Bogusławski.



Antoni Malczewski.

* 1793 † 1826.



Krótkim, chwilowo tylko szczęśliwym i błyskotliwym, przeważnie zaś smutnym było życie autora «Maryi,» najpopularniejszej z pomiędzy naszych powieści poetyckich, lecz dopiero po zgonie jej twórcy. Dziedziczne wpływy najciężej zaważyły na szali losów przyszłego poety.

Matka Antoniego Malczewskiego była jedną z pięciu panien Bleszyńskich, tak pięknych, wesołych, miłych i powabnych, że niepodobieństwem się okazywało przyznać którejkolwiek z nich palmę pierwszeństwa. Imieniem Konstancya, wielbiciela i męża znalazła roku 1779 w kapitanie Filipie Haumanie, słynnym w Warszawie z niepospolitej urody. W początkach roku 1790 został Hauman podpułkownikiem w regimencie, którego szefem był Jan Malczewski, szlachcic herbu Tarnawa, dziedzic Radziwiłłowa i Miropola, posiadacz Kniahinina w Dubieńskim (na Wołyniu), oraz współposiadacz Mazepiniec i Ksawerówki. Szefowi podobała się wielce żona podpułkownika, która, choć miała już pięcioro dzieci, należała przecież wciąż jeszcze do najpiękniejszych kobiet w Warszawie; lubiła się bawić i przyjmować gości. Pani Konstancya Haumanowa, z usposobienia kochliwa, chętnem okiem patrzyła na hołdy szefa, prowadziła jednak romans z wielką ostrożnością, dbając wielce o unikanie nawet pozorów. W roku 1791 wyruszyła z mężem na Ukrainę, gdzie zbierały się wtedy wojska polskie, mające prowadzić kampanię. Kwatera Haumana znajdowała się w osadzie Jasnohorodku, o cztery mile od Kijowa. Służba wymagała nieustannej czujności w strzeżeniu posterunków, rozciągniętych na znacznej przestrzeni, oraz luk przejezdnych i samego

granicznego od Rosyi pasa. Hauman, teraz już pułkownik, bawił często po za domem w ciągłych rozjazdach, z których powracał nieraz dopiero późną nocą. Pułkownikowa tymczasem używała zabaw, spacerów i wycieczek w liczne gronie wielbicieli, a między nimi znajdował się i sam szef regimentu. Gdy pewnego razu mąż wrócił do Jasnohorodka, nie zastał ani żony, ani kilku ludzi ze służby, ani zasobów domowych, ani własnych nawet rzeczy niektórych, ani wreszcie... kasy, lubo niebogatej. Stało się to w samym początku lata roku 1791. Haumanowa pojechała do Warszawy, a w znacznej części podróży eskortował ją Malczewski. W stolicy zatrzymawszy się niedługo, podążyła do Szewny w Sandomierskie, gdzie mieszkała jej siostra Maryanna, która wykradła się była z domu matki z rotmistrzem Toczyskim. Z Szewny napisała «piorunujący» list do męża, żądając rozwodu. Ciagle jeszcze zakochany mąż o rozwodzie nie myślał, sądząc, że przyjdzie do porozumienia z awanturnicą, i dlatego starał się ją uspokajać listami. Omylił się jednak. Haumanowa nastawała na rozwód, rozpoczął się proces; ona osiadła w klasztorze wizytek w Warszawie. Tymczasem zwyciężyła w kraju Targowica. Jan Malczewski podpisał akt targowicki, chcąc ochronić znaczne, posiadane na Wołyniu majątki. Otrzymał wtedy stopień generał-lejtnanta z dodatkiem niemałej pensyi oraz wielu wstęg i orderów. W końcu marca 1792 roku stanął wreszcie ostatni dekret rozwodowy, a Haumanowa, donosząc o tem byłemu mężowi, zawiadamiała, że zaraz nazajutrz bierze inne «przezvisko,» równocześnie zaś zapewniała o swojej «przyjaźni» i nawzajem prosiła, żeby były mąż nie

odmawiał jej — swojej... Hauman wyzwał Jana Malczewskiego na pojedynek dopiero pod koniec roku 1793, ale król Stanisław August sam wdał się w tę sprawę i polecił pułkownikowi odstąpić od zamiaru. Ten, mając na uwadze los trojga dzieci żyjących, które mógł wychować jedynie z pensji, pobieranej w wojsku, puścił rzecz w odwłokę i do pojedynku już nie przyszło, tem bardziej, że dalsze wypadki krajowe całkiem pochłoneły i czas i uczucia Haumana. Dzieci jego odziedziczyły po matce niestały jej charakter i burzliwe usposobienie. Syn Edward po niespokojnej młodości przepadł gdzieś bez wieści w Ameryce wraz z przyrodnim bratem swoim Konstantym Malczewskim (rodzonym bratem poety); córka Filipina, wyszedłszy za Sobolewskiego, niedługo z nim żyła, puściła się na bezdroża, włóczyła się po całym świecie, straciła wszystko, zmarniała i w ostatnich latach życia zesłała do torby żebraczej, w miasteczku posługując żydom; jedyna jej córka Eudoksya w młodych latach spadła do najniższych warstw miejskiego motłochu i znikła gdzieś na bruku warszawskim. Najstarsza tylko córka Haumana, nosząca imię matki, wychowana w domu Kickich, wyszedłszy za Walentego Markowskiego, normalnie, jak się zdaje, przepędziła życie.

Haumanowa, wyszedłszy za Malczewskiego, miała dwóch synów: Antoniego i Konstantego, i zmarła w roku 1800. Konstanty się zmarnował, Antoni, urodzony w roku 1793, stał się następnie wielkim poetą, w którego życiu miały się powtórzyć niektóre szczegóły z dziejów jego matki.

Wychowanie początkowe odebrał Antoni w duchu i języku francuskim, modnym natenczas u nas wszędzie, a szczególnie na Wołyniu, gdzie znajdowały schronienie liczne rodziny emigrantów francuskich, co opuścili zrewolucjonizowaną ojczyznę. Od zcudzoziemczenia uratował chłopca «wielki jałmużnik oświaty», Tadeusz Czacki, zdolawszy z własciwą sobie natarczywą gorliwością skłonić Jana Malczewskiego, by oddał syna do świeżo w roku 1805 otwartego gimnazjum w Krzemieńcu. Sześć lat przebył tu Antoni za najświetniejszych czasów tego zakładu pod okiem samego założyciela. Przykładał się szczególnie do matematyki, okazywał pilność znaczną, pozyskał miłość przełożonych i kolegów. W r. 1811 z listem polecającym Czackiego pojechał do Warszawy, by wejść do szeregów wojska polskiego w stopniu podporucznika inżynierii. Czynami wojennymi nie zasłynął, gdyż udziału

w wielkiej wyprawie Napoleońskiej roku 1812 nie wziął; przeznaczono go bowiem do służby garnizownej w Modlinie. Podobno napisał wtedy projekt umocnienia tej twierdzy. W nowo zorganizowanem wojsku polskiem za czasów Królestwa Kongresowego bawił bardzo krótko; w końcu grudnia 1815 roku miał już dymisyę na własne żądanie. Przygód w ciągu tego czasu doświadczył sporo. Odznaczając się pięknością, błyszczał w salonach, kochał się i pojedynkował. Miłość do słynnej w swoim czasie Fryderykowej Lubomirskiej (z domu Żaluskiej), która w roku 1815 wyjeżdżała za granicę, spowodowała go, jak się zdaje, do opuszczenia kraju z początkiem roku 1816, by, goniąc za swem ukochaniem, zwiedzać Austryę, Niemcy, Francję, Szwajcaryę, Włochy. W roku 1818 odbył wycieczkę na szczyt południowy Montblanc i opisał ją po francusku w czasopiśmie, wydawanem przez Bonstetтена p. t. «Bibliothèque universelle de Genève.» W opisie tym znać wpływ modnego wtedy stylu Chateaubrianda: zachwyt nad pięknem przyrody, wyrażony w sposób retoryczny i w lekką gazetę melancholii spowity. W Wenecyi miał podobno poznać osobiście największego poetę Anglii Byrona i poddać mu pomysł do «Mazepy;» w każdym razie sam się przejął mocno jego nastrojem i rodzajem twórczości, chociaż nie od razu poszedł za nim w tem, co pisał.

Wycieczki po Europie wyczerpały fundusze Malczewskiego. Znaczny niegdyś majątek ojca, stopniał w krótkim stosunkowo przeciągu czasu. Na Wołyn powrócił nasz podróżnik ubogim, ledwo mógł zadzierżawić jakąś wioseczkę (Hrynów). Ponieważ najbliższem stąd ogniskiem literackiem był Lwów, Malczewski zaczął w lichem pisemku tamecznem «Rozmaitościach» pomieszczać swe drobne utwory. Wiersze drukowane w roku 1821, mają całkowicie charakter pseudo-klasyczny; są to zazwyczaj «ucinki» czyli epigramaty. Powiastki, kreślone prozą i ogłoszone w tym samym roku, odznaczają się nastrojem sentymentalnym i grzeszą ogromną ilością galicyzmów («Ifigenia», «Atenais», «Podróż»). Z tych drobiazgów niepodobna było wywróżyć wielkiego talentu, bowiem znajdowały się na poziomie ówczesnej mierności.

Przygoda, w części podobna do ojcowskiej, przerwała dalsze stosunki ze Lwowem i zmusiła Malczewskiego wyjechać do Warszawy. Żona jednego z sąsiadów, Zofia Rucińska, podobno kuzynka Antoniego, kobieta nerwowa, czuła się zdrowszą,

gdy przy niej był dzierżawca Hrynowa, obznajmiony z modną natenczas kuracją magnetyczną. Niebawem obecność magnetyzera okazała się tak niezbędną, że Zofia opuściła dom męża i oddała się całkowicie w opiekę Malczewskiemu. Ten, nie odczuwając może nawet prawdziwej miłości dla swej natrętnej pacjentki, musiał się zapożyczyć na podróż wraz z Zofią do stolicy Królestwa w roku 1823. Żyli tu samotnie, unikając towarzystw. Poeta, dawniej zawsze elegant, zaniedbał się w ubiorze; w długim angielskim surducie wyglądał jak pastor. Obmyślał i tworzył poemat. Może trochę liczył na jaki taki z niego dochód, duma bowiem nie pozwalała mu prosić krewnych i przyjaciół o pożyczkę; więcej atoli chodziło mu pewnie o sławę. W roku 1825 ogłosił drukiem *Maryę* — i doznał srogiego zawodu. Krytyka wyraziła się o poemacie chłodno a niepocholebnie; publiczność go nie kupowała. Malczewski rozgoryczony zmarł 2 maja 1826 roku, najmniejszego nie pozyskawszy rozgłosu. Gdy komisya sądowa zjechała do jego mieszkania przy ulicy Elektoralnej w celu opieczętowania rzeczy, nie zastała już Rucińskiej, nie znalazła też ani rękopismów, ani pieniędzy. Była tu tylko sofa, dwa prześcieradła, wałek, derka, stół, szafa i łóżko ordynarne. Rucińska pogodziła się potem z mężem i długie jeszcze lata żyła na Wołyniu.

Dopiero po śmierci doczekał się Malczewski uznania, dzięki głównie wymownym słowom Maurycego Mochnackiego, który w roku 1830 dał pierwszy świetny rozbiór «*Maryi*.» Odtąd z każdym rokiem popularność poematu rosła i choć krytyka późniejsza wytykała w nim różne wady, ogół wielbić go nie przestawał. Przeszło pięćdziesiąt wydań od miniaturowych do arkuszowych, ilustrowanych, świadczy wymownie o jego poczytności.

Potrącenie zewnętrzne do utworzenia poematu dał Malczewskiemu wypadek rzeczywisty, w przeddzień pierwszego podziału Rzeczypospolitej zaszły. Franciszek Salezy Potocki, niezadowolony z tajemnego małżeństwa syna swego Szczęsnego z Gertrudą Komorowską, kazał ją porwać nadwornym kozakom swoim, a ci utopili ją w stawie. Mówiono o tem dużo na Wołyniu w czasach dziecinnych i młodzieńczych Malczewskiego; a jeden z przyjaciół, nawiedzających dom jego ojca, Chrzęszczewski, wystawiał zawsze Szczęsnego w świetle jak najlepszym. Okoliczność ta mogła wpłynąć na wyidealizowanie bohatera poematu, Wacława, za czem poszło także

uidealizowanie Komorowskich, ojca i córki; tak, że ujemną postacią pozostał tylko ojciec Szczęsnego, ponury Wojewoda.

Oceniając «*Maryę*,» niema zresztą zgola potrzeby porównywania postaci rzeczywistych z temi, jakie wytworzyła wyobraźnia poety, gdyż sam wypadek dał jeno pobudkę zewnętrzną do osnucia wątku powieściowego; wyobraźnia zaś zupełnie swobodnie przetworzyła ten wypadek, odrywając go od właściwej daty dziejowej i przenosząc w czasy odleglejsze, oraz przerabiając postaci według wymagań tak zmienionego pomysłu.

Czy jest to poemat historyczny? Tak i nie. *Tak*, o ile odmalował w nim poeta stosunki, możliwe jedynie w czasach istnienia psującej się już Rzeczypospolitej, w której jednakże było jeszcze wiele dzielnych osobistości. *Nie*, o ilebyśmy chcieli utwór związać z pewną ściśle określoną datą i wymagać od niego, by wszystkie stosunki, a więc i sposób wyrażania uczuć, mianowicie miłosnych, nosiły barwę, odpowiadającą rzeczywistości w danej chwili dziejowej. Najlepiej chyba oznaczymy ogólną cechę «*Maryi*,» jako całości artystycznej, gdy ją nazwiemy powieścią poetycką w stylu Byrona. Od takiej powieści, która pomimo pozorów przedmiotowości, jest nawskroś przeniknięta pierwiastkiem podmiotowym, indywidualnym, nie wymaga się ścisłej wierności w charakterystyce czasu, gdyż rzecz jej dzieje się w dobie nieoznaczonej dokładnie, a chodzi też w niej nie tyle o wypadki zewnętrzne, ile o wnętrze duszy ludzkiej. Pewna tajemniczość i zagadkowość w sposobie rozwijania wątku, pewne niedopowiadanie myśli i zaznaczanie przełomowych tylko sytuacji, zerwanie z opowiadaniem, prowadzonem systematycznie od jakiegoś obranego punktu aż do ostatecznego rozwikłania, będące wynikiem niespokojnego, w różne strony rozrywanego nastroju poety, działają na czytelnika sugestyjnie, budzą do czynności jego wyobraźnię dopełniającą i potęgującą tym sposobem ogół wrażeń, dostarczonych przez dzieło. «*Marya*» była u nas pierwszą powieścią poetycką w tym rodzaju; czytelnicy, a nawet krytycy nie umieli sobie zrazu zdać sprawy z tajemniczości w roztoczeniu osnowy, zadawali sobie ciągle pytanie, w jakim związku zostaje jeden ustęp względem drugiego, czemu katastrofa nie została odmalowana, lecz zagadkowo tylko napomknięta, co znaczy owo pacholę smętne, co jadło zatrute świata tego kołaczce, i t. p. Gdy się umysły oswoiły z takim trybem twór-

czości, tajemniczość przestała razić, a praca wyobraźni dopełniająca zwiększała rozkosz duchową.

Ale czy od Byrona przejął także Malczewski cechy wewnętrzne nastroju? Zazwyczaj mówi się o pesymizmie, bijącym z kart «Maryi,» a zwłaszcza z rozmyślań bohaterki o śmierci, ze śpiewu tajemniczego pacholęcia i z pieśni masek; a pesymizm ten utożsamia się z Byronowskim. Jest to powierzchowne tylko podobieństwo. W pesymizmie Byrona czujemy rozpacz, gdy u Malczewskiego kończy go rezygnacja; u Byrona ani ufność w rządy Opatrzności ani pociecha z nadziei życia pośmiertnego nie łagodzą rozdzwisku, wywołanego straszną rozterką duszy wyższej ze zwykłym tokiem spraw wśród ludzi powszednich; u Malczewskiego jeżeli Marya tęskni do śmierci, to w tem przekonaniu, że na tamtym świecie każda łza otartą zostanie, że nic tam kępować nie będzie swobodnego dusz związku, że nad biegiem rzeczy na ziemi czuwa wszechwiedzące a miłosierne oko opatrne. Stąd głęboka, przejmująca melancholia Malczewskiego podobniejsza jest raczej do melancholii Chateaubrianda w «Renem,» chociaż niema cech naśladownictwa, lecz się przedstawia jako wynik analogicznego usposobienia, zmodyfikowanego żywym uczuciem religijnym. Wykazano poszczególne przypomnienia z Byrona, znajdujące się w «Maryi,» mianowicie w rozmowie Wacława z żoną, w niektórych obrazach natury, w opisie zachowania się bohatera podczas bitwy, w przedstawieniu myśli nieszczęśliwego małżonka, gdy, spodziewając się znaleźć żonę roztesknioną, znajduje jej trupa, i w innych jeszcze drobniejszych okolicznościach; wszystko to wszakże są szczegóły, świadczące wprawdzie o silnem przejęciu się Malczewskiego utworami angielskiego poety, lecz nie dowodzące, iżby był jego naśladowcą w nastroju zasadniczym. Smutek wielki, ale nie beznadziejny, wynikał u Malczewskiego nie z naśladownictwa, tylko z doświadczeń życiowych; jakkolwiek czytanie podobnie nastrojonych utworów; mogło się przyczynić do spotęgowania go; a siła i oryginalność wyrażen Byrona mimowoli wrażała je w pamięć i sprawiała, że tkwiły w niej głęboko.

A jak w ogólnem znamię melancholii, mającej urok niewypowiedziany, nie można dopatrzeć tożsamości z bezwzględny pesymizmem autora «Kaina,» tak w kreśleniu poszczególnych charakterów, pomimo pewnych reminiscencji, samodzielność Malczewskiemu przyznać należy. Przedewszystkiem

✧ jest u naszego poety więcej względnej przedmiotułości w malowaniu osób, aniżeli u Byrona. Ten wybierał w swych powieściach jeden główny charakter, odpowiadający własnemu jego usposobieniu w pewnej fazie rozwoju, i przedstawiał go szczegółowo; Malczewski zaś, obrawszy sobie cztery postaci, nadał każdej z nich odrębną cechę wybitną i tę krócej lub szerzej uwypatnił w poemacie. Wojewoda, Miecznik, Wacław i Marya żyją naprawdę życiem własnym, indywidualnem i nie są symbolami tylko uczuć i po, głądów autora.

Wojewoda, ukazujący się nam tylko na chwilę, zamknięty w sobie, o wzroku orlim, surowym, przysłoniętym «pomarszczoną powieką,» z uśmiechem chytrze przywołanym na usta, lub z myślą, żarzącą się skrycie w jego głowie, depcący w portretowej sali przodków «burzliwym krokiem po ciemnościach nocy, jakby w jej czarnem tchnieniu chciał gdzie znaleźć rękę krwawej zgubnej przyjaźni, lub zgasić swą mękę,» najbardziej przypomina tajemniczego Larę Byronowskiego, co równie zimny i zamknięty w sobie, «wzrokiem bystrym, któremu żaden wzrok nie sprostał, drugich myśli do razu aż z głębi wy dostał i nieraz wielkim krokiem, kiedy wszystko spało, po ciemnych korytarzach błakał się noc całą, gdzie jego przodków długi szereg malowany, żalobny na podłogę rzucał cień ze ściany.» Lecz i Wojewoda kopią bynajmniej nie jest. To typowy przedstawiciel oligarchy, nie cierpiącego sprzeciwienia się swojej żelaznej woli, gotowego chwycić się środków najniegodziwszych, obłudy, zdrady i mordu, byleby na swoim postawić. Wie on, że dumny szlachcic czuje mu się równym, więc chcąc go pozornie dla siebie pozyskać, chcąc uspić jego ostrożność, nie szczędzi słów miodowych w liście, bo tylko za ich pomocą może dojść do zamierzonego celu. Nie twierdząc goła, iżby ten rys był szczególną właściwością magnata polskiego, bo wszędzie znaleźć go można, gdzie obłuda walczy ze szczerością; w każdym jednak razie jest to rys wyróżniający Wojewodę od nieugiętego Lary, który okazuje się łaskawym tylko z dobrej woli, a raczej z wyrachowania.

W Mieczniku nie dopatrzeć się śladów bajronizmu. Jest to szlachcic dumny ze swego stanu, poczytujący się za równego wojewodzie, według znanego przysłowia, rycerz kresowy, gotów zawsze do walki z bisurmanami, chrześcianin, silnie przejęty zasadami wiary i w religii szukający ulgi i pociechy. W poczuciu godności własnej nierad on związków

córki z synem magnata, boć przecie w Polsce nie brak dzielnych młodzieńców, coby za zaszczyt poczytywali sobie otrzymanie jej ręki. Nie ma też nic przeciw zabiegom Wojewody w Rzymie, by rozwód uzyskać, gdyż wtedy i on uwolniony zostanie od więzów i będzie mógł mignąć Wojewodzie święcącym obrazkiem na swej szabli. Ale on kocha gorąco swą córkę i choć mu rozum każe się domyślać wykrętów w słodkim liście Wojewody, pozbywa się dla szczęścia córki uprzedzeń i zaczyna wierzyć w szczerą uczuć dotychczasowego wroga, co jego dziecięcia ani razu do serca nie przycisnął. Spotyka go straszny zawód. Podstępnie wywabiony z domu, bije się dzielnie z tatarami, a pokonawszy ich i wróciwszy do dworku, zastaje w nim córkę utopioną. O zemście nie myśli, dni jego nie długie i światło ich zagasło wraz ze śmiercią ukochanego dziecięcia; na Boga zdaje ukaranie winnych, sam szuka ukojenia w modlitwie, dopóki go zgon nie połączy z najdroższymi dla niego istotami. Prześliczny to, rzetelnie polski rycerz-chrześcianin! Zarówno w uczuciach, sposobie postępowania, jak i w słowach jego najwięcej jest polskości w porównaniu z innymi osobami.

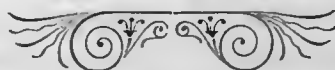
Para małżeńska, która w poemacie ma wszystkie znamiona kochanków, wielu rysami przypomina postaci Byrońskie, ale ma też rysy sobie właściwe. Wacław jest jakby młodym Miecznikiem: w boju nieustraszony, spełnienie obowiązku stawia na pierwszym planie; czułość jego i serdeczność jawią się w każdym słowie, a jeszcze bardziej w pośpiechu, z jakim po bitwie dążył do swej łubej; Marya jest smutną i marzycielską; jakby w przeczuciu rychłej śmierci, myśli i mówi o zgonie nietylko jako o wyzwobodzeniu od cierpień, ale także jako o przejściu do lepszego życia. Niema w naszej poezji drugiego obrazu równie pięknej, a śmiertelnie smutnej kobiety... Rozmowa Wacława z Maryą wydaje się nam dzisiaj zanadto sentymentalną, ale nie była taką na dobie pojawienia się poematu. Złożyły się na nią najpiękniejsze wyrażenia Byrona oraz własny Malczewskiego sposób wyrażania uczuć. Po gwałto-

wnych, namiętnych wybuchach Gustawa w IV części «Dziadów» był to spokojniejszy, rzewniejszy, lecz niemniej poetyczny wylew serc szlachetnych, gorąco do siebie przywiązanych, ale miłości swej pewnych. Marya całą duszą kocha Wacława, okropne przeżucia dręczą jej serce, pragnęłaby z nim być ciągle, lecz nie chce go powstrzymywać od spełnienia obowiązku, zaleca mu tylko rozagę i roztropność taką, coby skazy na jego męstwo i dzielność nie rzuciła. Jakże śliczny jest obraz modlącej się Maryi po odjeździe hufców! Takie pomysły i takie wyrażenia mają tylko genialni mistrze.

Tak, wyrażenia, bo połowę uroku poematu styl jego stanowi. Styl Malczewskiego jest głębią uczucia i rozwagi uduchowiony. Jak brudu unikał poeta wszelkich spospolitowanych sposobów mówienia i oklepanych myśli. Najprostszy nawet stosunek, przezeń wyrażony, przybiera jakiś szczególny, nigdy przedtem w poezji naszej nie spotykany odcień, nadający świeżość całemu obrazowi. Porównanie czerpie zarówno ze zjawisk przyrody, jak z dziedziny sztuki i z zasobów myśli. Plastykiem we właściwym znaczeniu nie był, ale umiał nadać wybitność postaciom, sytuacyom, widokom natury, przez zestawienie wrażeń wzrokowych i słuchowych, przez malarski rozdział światła i cienia; można go nazwać posępnym kolorystą. W budowie zdań napotyka się niekiedy zawilść i niepoprawność; w języku rażą czasami galicyzmy; lecz te drobne usterki znikają niemal wobec czaru dykcji, zdumiewającej swoją oryginalnością i niespodziewanemi połączeniami słów i pojęć. Byron i w tym względzie dał mu przykład, ale również świetnie go zużytkować mógł tylko tak genialny talent, jak Malczewskiego. «Marya» jest jednym z tych utworów, z których dumną być może każda, najświetniejsza nawet literatura. ¹⁾

Piotr Chmielowski.

¹⁾ Portretu Malczewskiego nie podajemy, ponieważ autentyczność jedynej znanej podobizny poety jest mocno zakwestyonowana.



Stanisław Fiszer.

* 1770 † 1812.

Szlachetna postać generała Fiszera znana jest bardzo mało i zgoła nie podług zasługi. Przez losy kraju i własne stawiony tuż obok świetniejszych niezrównanie postaci Kościuszki, Kniaziewicza, Dąbrowskiego i księcia Józefa, stały ich przyjaciel i wierny podwładny, sam on pod ich blaskiem pozostał w cieniu. Wszakże choć niewątpliwie znacznie niższy wzrostem duchowym od tamtych, przecie kryształową czystością charakteru, głębokiem poczuciem obowiązku i honoru, przedewszystkiem zaś niezmiernem dla kraju przywiązaniem, za żadnym z nich nie pozostaje w tyle. Piękne jego życie i śmierć piękna zasługują na to, aby je wydobyć nareszcie z zupełnego zapomnienia. I gdy ten człowiek niepospolity nie ma dotychczas w piśmiennictwie żadnego zgoła pomnika, tem chętniej i tem szczegółowiej we wspomnieniu niniejszem pragnęlibyśmy utrwalić jego rysy.

Z rodziny niemieckiego pochodzenia, lecz z ciała i duszy spolszczonej, wielkopolanin, syn pułkownika artylerji koronnej, Fiszer od pierwszej młodości sposobił się do zawodu wojskowego. Oddany do szkoły kadetów, po ukończeniu w niej nauk, bardzo jeszcze młody, wstąpił do regimentu pieszego Gorzeńskiego w dywizji wielkopolskiej. Tutaj dostał się do brygady generał-majora Kościuszki. Ścisły z niemiecka na służbie, rozczytujący się w rzeczach wojskowych z zamiłowaniem wrodzonym przyszłego sztabowca, niepowszedniego zresztą ogólnego ukształcenia i ogłady, a zamknięty w sobie, małowówny, na punkcie honoru bardzo drażliwy, młody podporucznik wcześniej zwrócił uwagę swego generała. Zalety człowieka i oficera ocenił w młodzieńcu Kościuszko, wziął go do swego boku i odtąd ulubionego «Fiszerka» nie przesta-

wał zaszczycać swoją przyjaźnią i opieką. Niedługo wszakże trwało spokojne życie obozowe. Nadeszła Targowica. Wojska rosyjskie od Litwy i Ukrainy wkroczyły do Rzeczypospolitej. Razem ze swoją dywizją pod bezpośredniem dowództwem Kościuszki, a komendą naczelną ks. Józefa odbył kampanię 1792 roku przeciw potężnej armii Kachowskiego. Wspólnie ze starszym od siebie porucznikiem Kniaziewiczem używany bywał do rekonesansów; w ogniu okazał zimną krew i rozwagę; był pod Polonnem i Dubienką i tutaj w boju z nieprzyjacielem dosłużył się rangi porucznika i medalu za waleczność. Kampania acz nie bez sławy zapewne, wzięła przecie w końcu obrót, jaki z góry można było przewidzieć. Przed przeważającemi siłami nieprzyjaciela szczupłe wojsko polskie, zmuszone do coraz raptowniejszego odwrotu pod Warszawę, wtem uderzone zostało, jak gromem, wieścią o przystąpieniu króla do Targowicy. Bez zwłoki z obozu w Sieciechowie ks. Józef, Kościuszko i paruset oficerów, a w ich liczbie Fiszer, podali do króla prośbę o uwolnienie od służby. Co dalej było robić, nikt nie wiedział. Powszechny zamęt był w wojsku, jak i w całym kraju. Dla wybadania położenia pośpieszył z obozu do Warszawy Kościuszko i zabrał z sobą nieodłącznego Fiszera.

«W Warszawie — opowiada Fiszer ¹⁾ — stanęliśmy w Błękitnym Pałacu; Orłowski, major, marszałek księcia generała, ²⁾ wyznaczył natychmiast ekwipaż dla generała na cały czas, póki tu zabawi. Wkrótce po nas przyjechał Kniaziewicz za urlopem. O piątej pojechałem z generałem do

¹⁾ Dzień. własnoręczny Fiszera 2 sierpnia 1792 r.

²⁾ Ks. Adama Czartoryskiego.



Według w. p. ówczesnego olejnego portretu ze zbiorów W. Kłobuckiego.

Stanisław Fiszer.

Łazienek. Król bardzo pięknie generała przywitał, mówiąc mu, że sam i cały kraj winien mu na zawsze wdzięczność. Potem zaraz zaczął generała męczyć, żeby ze służby nie wychodził; ale ten stale zawsze oświadczał, że póki komenda zostanie przy królu i póki z honorem służyć będziemy mogli, póty żaden z nas z wojska nie wyjdzie; skoro zaś królowi komenda będzie odebrana, albo też wojsku każą wykonać przysięgę, pierwotnej przeciwną, natychmiast ze służby wraz z innymi wyjdzie. Gdy król nic od niego wskórać nie mógł, nasadził kobiety: wojewodzinę podolską.¹⁾ panią krakowską,²⁾ Sewerynową Potocką i Grabowską, ale i te nic więcej nie wskórały, jak i król. Generał potem mnie królowi prezentował. Król widząc, że mam medal, mówił do generała: «Znać po tym znaku, który mi jest najmiłszy, że musiał być przy WPanu.» Kazał generałowi przyjechać do zamku i wypadł do pojazdu. Wtem kazał mnie wołać; gdy przyszedłem do niego, pytał się mnie, czy ja pułkownika Fiszera syn; odpowiedziałem: Tak jest, Najjaśniejszy Panie. «To ty byłeś u kadetów i jesteś mój wychowanek.» Wziął mnie pod brodę, jam go pocałował w rękę i na tem się skończyło. Z Łazienek pojechaliśmy do Zamku; tu generał znów bawił z pół godziny u króla, który kazał mu być na kolacyi. Pojechaliśmy do księżnej kanclerzyny;³⁾ tu przyjechała starościna małogoska⁴⁾ i wiele innych dam. O dziewiątej pojechaliśmy do Zamku na kolację, która na dole była; wkrótce nadszedł król, dwie siostry królewskie, Morski, co był posłem w Hiszpanii, generał Gorzeński i inni; o północy powróciliśmy do siebie.» Po paru dniach inny już obraz. «Rano⁵⁾ stanął Kossakowski, generał lejtnant wojsk rosyjskich, a hetman polny lit. z własnego wyboru, w 5,000 wojska rosyjskiego obozem pod Pragę, naprzeciwko samego Zamku; piękny widok z okien królewskich! Będąc u małogoskiej, widzieliśmy go w licznej świcie oficerów i kozaków do 50 koni przejeżdżającego z Pragi do Bułhakowa; wkrótce stanął szwadron karabinierów na dziedzińcu u Bułhakowa na eskortę. Po obiedzie przysłał król paza po generała. Skoro

¹⁾ Zamojską, siostrę królewską.

²⁾ Drugą siostrę, Izabelę Branicką.

³⁾ Sapieżyny.

⁴⁾ Dembińska.

⁵⁾ Dziennik Fiszera, 5 sierpnia.

generał do niego przyjechał, mówił mu, że abizyty już podpisane, jednak to tylko zrobił «provisorie» i prosił bardzo generała, aby sam jeszcze zaczekał i drugich do tego namawiał, oraz położył kondycję, aby swą dywizję zaprowadził wprzód na lokację». Wojsko ciągle stało w kupie, właściwie nie pobite jeszcze, ani rozbite, owszem podniecone i wzburzone w obozie pod Kozienicami. Nowa dyzlokacja, według myśli Targowiczana, a wskazówek sztabu Kachowskiego, miała je uczynić nieszkodliwym, rozrzucić cztery dywizje w czterech kierunkach: w poznańskie, kaliskie, sandomierskie i krakowskie, zdała od stolicy, gdzie ciągle obawiano się jakiegoś rozpaczliwego wojskowego zamachu porwania króla i prawowitych władz sejmowych do armii a nawet powszechnego porwania się do broni. Nie ulega też żadnej wątpliwości, że wtedy już pod uległem z pozoru poddaniem się, tliły się zwłaszcza w szeregach armii koronnej te same czynniki zapalne, które po dwudziestu miesiącach miały wybuchnąć szerokim, niestłumionym pożarem. Na razie jednak nic nie było do roboty. Stosownie do życzeń królewskich, Kościuszko w towarzystwie Fiszera udał się do obozu w Kozienicach.

Jego dywizya według nowego planu dyzlokowaną była w sieradzkim, wieluńskim i radomskim, aż po Wisłę z kwaterą główną w Radomiu. Odprowadził ją do Radomia generał, pożegnał się w Puławach z przyjacielskim domem Czartoryskich, a także z wiernym Fiszerem, zdał komendę generałowi Wielowiejskiemu i wrócił do Warszawy, aby gotować się do opuszczenia kraju któremu w obecnych okolicznościach dłużej służyć nie mógł, któremu służyć w najbliższej przyszłości mocne miał postanowienie. Został w Radomiu zasmucony Fiszer, krzepiąc się jednak nadzieją, że wolno mu będzie towarzyszyć do Francji ukochanemu wodzowi. Ale już po kilku dniach odebrał od niego pismo wieloznaczące: «jest jeszcze nadzieja, że może kiedyś być dobrze w kraju, przeto jeszcze z wojska nie wychodź». ¹⁾ Usłuchał tej rady Fiszer i zastosował się do zawartego w niej rozkazu. Pozostał i czekał.

Ciężkie to było czekanie. Coraz cięższe chmury zbierały się nad nieszczęśliwym krajem. Targowica obejmowała rządy, od ściany zachodniej zaś

¹⁾ Kościuszko do Fiszera, 25 sierpnia.

zbrojna potęga pruska już sięgała po upatrzoną zdobycz, Wielkopolskę, oraz po upragnione od dawna klucze miasta Gdańska. Fiszer cichy, ważny postanowił na własną rękę choć tylko skromny porucznik zbadać wartość obronną jedynego portu Rzeczypospolitej. Jesienią tegoż roku wybrał się za urlopem do Gdańska. Trafił do rajców, do oficerów artylerii miasta. Obejrzał starannie fortyfikacje i arsenał. Wszystko znalazł w najlepszym stanie. Z młodymi gdańszczanami pił i bratał się, wylewał łzy w teatrze gdańskim, dokąd go zaprowadzili na «Kabale und Liebe». Jego dusza zamknięta i sentymentalna polaka z krwi niemieckiej, czuła się dobrze w poważnym, starym mieście polsko-niemieckim. Dobrze to jeszcze było miasto, które dzisiaj jest klejnotem Niemieckiego Cesarstwa, a powinno być stanowiąc klejnot Rzeczypospolitej. Ci młodzi gdańszczanie, z którymi przyjaźnił się Fiszer, ci ludzie z nazwiskami na us, ożywieni byli jak najlepszym duchem, doskonale pamiętali dobrodziejstwa i przywileje Rzeczypospolitej, laski króla Zygmunta, pobyt króla Stanisława i kule działowe Münnicha, nade wszystko zaś pamiętali chciwą, żelazną, duszącą ich handel i dobrobyt rękę wielkiego Fryderyka. Cóż z tego, kiedy o nich na długo zapomniano, kiedy teraz bronić ich nie było komu, kiedy sam naturalny ich obrońca stał bezbronny naprzeciw własnej zguby. Tutaj też w Gdańsku, za krótkiego swego pobytu, uproszony przez świeżych swoich przyjaciół, wstąpił Fiszer do miejscowej łoży wolnomularskiej. Po powrocie do Warszawy zastał nowe odmiany, nową dyzlokację armii koronnej, obliczoną na większe jeszcze jej rozproszenie. Sam przeniesiony do dywizji drugiej z kwaterą główną w Pyzdrach już w stopniu kapitana objął obowiązki adjutanta przy dowodzącym naczelnie tą dywizją, generał-poruczniku Byszewskim. Stary, siedemdziesięcioletni Byszewski, figura pospółta, generał od salonowych i przedpokojowych awansów, pamiętający jeszcze czasy saskie, kreatura Stanisława Augusta, dworak i pasorzyt wszlifach, amator polowania i dobrej kuchni, lichy żołnierz, tym właśnie zaletom zawdzięczał zaufanie Targowicy. Na szczęście w kwaterze głównej znalazł Fiszer niebawem innego, a godnego jak Kościuszkę opiekuna i kierownika. Przybył tu w styczniu 1793 r. były rotmistrz służby saskiej, od niedawna na własne żądanie

przeniesiony do polskiej, vicebrygadyer, Henryk Dąbrowski. Obaj, Dąbrowski i Fiszer, wnet zbliżyli się i poznali na sobie. Razem czytali Szyllera, razem radzili nad sposobami uratowania kraju. Obadwaj oni stanowili rzadkie, nauuczające przykłady najpiękniejszego naturalnego doboru, jaki zdolne są wytworzyć na bogatej swojskiej glebie przeszczepione najpiękniejsze cechy kulturalne, nie drapieżcze krwi sąsiedzkiej. Ale już w tej chwili nie kultura, lecz bagiet niemiecki wchodził do Rzeczypospolitej: spełniło się przewidywane, nieodwołalne nieszczęście z końcem stycznia. Prusacy z liczną armią przekroczyli granice i wtargnęli do Wielkopolski. Wysłany Fiszer do Poznania, stąd przebrany za felczera, przedostał się za kordon, dotarł aż do Frankfurtu nad Odrą z niebezpieczeństwem życia, pierwszy zre-kognoskował dokładnie siły, pozycję i etapy wkraczających już prusaków. Naciskana przez przemagającą armię pruską feldmarszałka Moellendorfa, szczupła dywizja wielkopolska pośpiesznym krokiem cofnęła się za Bzurę i Pilicę aż do Łowicza. Najgorsze było, że nie miało amunicji, ani artylerii, która zawczasu zaraz po objęciu władzy przez ostrożną Targowicę, zabrana była do arsenału warszawskiego. Tymczasem groziło zupełne otoczenie przez prusaków, a potem przymusowe wcielenie całej dywizji do armii pruskiej. W tem rozpaczliwym położeniu śmiałą myśl powziął Dąbrowski, przerzucić się forsownym marszem pod Warszawę, zająć arsenał, zaopatrzyć się w działa, ściągnąć kilkutyśięczny garnizon warszawski, uderzyć na prusaków i prze-rznąć się do Gdańska. Tutaj zaś, wedle relacji Fiszer, można było trzymać się długo, a w każdym razie dyktować prusakom warunki. Ale Byszewski wystraszony nic nie chciał brać na swoją odpowiedzialność. Wtedy Fiszer podjął się jechać z Łowicza do Warszawy, przedstawić rzecz królowi i, co główna, porozumieć się z oficerami całej załogi stołecznej. Z tymi łatwa była sprawa. Wszyscy na ręce Fiszer, złożyli natychmiast przysięgę działać łącznie z dywizją wielkopolską, podług planu Dąbrowskiego. Natomiast Stanisław August i generałowie Gorzeński i Ożarowski dwuznacznymi słowy zbywali Fiszer, a jednocześnie o wszystkim ostrzegli ambasadora von Sieversa i generała Igelströma. Fiszer zdradzony wrócił z niczem do Grodziska, dokąd tymczasem

Dąbrowski podsunął dywizję; tutaj niezwłocznie przybyli Ożarowski i Gorzeński z nakazem od Byszewskiego, aby natychmiast oddalił się od stolicy i z całą dywizją pomaszerował w sandomierskie na lokację. Zawczasu od Igelströma były przewidziane wszelkie środki ostrożności, potężna bateria ustawiona na Woli, uruchomione wojska okupacyjne. Nie było rady, wypadło uleść. Fiszer, oburzony do żywego postąpieniem w tej sprawie Byszewskiego, wymówił się od obowiązków jego adjutanta i udał się do swego pułku do Radoszyc, gdzie objął dowództwo nad swoją kompanią. Kwaterując kolejno w rozmaitych miejscowościach w sandomierskim i lubelskim, w marcu 1794 roku w Parczewie odebrał wiadomość o wypadkach krakowskich i po raz pierwszy od rozstania się ujrzał własnoręczne pismo Naczelnika. Pośpieszył do niego natychmiast, zastał go jeszcze w obozie pod Krakowem i objął z powrotem służbę przy jego boku. U jego też boku znalazł się pod Maciejowicami. Tutaj to, jak z żołnierską prostotą sam objaśnia w swoim zeznaniu: «raniony w prawy bok piką, razem z wolnością utraciłem wszystko, oprócz jedynie honoru. Razem z Naczelnikiem i Niemcewiczem, wieziony drogą okolną na Kijów, Mohylów, Wielkie Łuki, w początku grudnia przybył do Petersburga. Tutaj się rozstali, każdy na oddzielnym statku przewieziony do fortecy. Na trzeci dzień przyniesiono Fiszerowi wypisane pytanie od prokuratora generalnego Samojłowa, na które miał odpowiedzieć: «Napisalem po wojskowemu (ob. «Cztenija Mosk. obszcz. Ist. i DREW. 1866 IV; Fiszer do Kniaziewicza 29 marca 1797) krótką treść mojego życia i służby, nie wzmiankując ani słowa o żadnych interesach politycznych, do których, jako oficer, bynajmniej się nie wtrącałem.» Obok godnego, rozumnego zeznania Kościuszki, które przecież jest nacechowane pewnem wyraźnem wyczerpaniem, jedna tylko uczciwa i energiczna odpowiedź Fiszera na właściwem jest miejscu, jaszkrawo odbijając od przykrych Wawrzeckiego przeciw Dąbrowskiemu, a dla własnej osłony zażalenie, albo od teatralnych, twórczych i pokornych Niemcewicza zaklęć i denegacji. Skutek był taki, że kiedy tamci pozostali na miejscu, Fiszer po paru tygodniach przeniesiony został do Niżnego Nowogrodu. Podróż bez okrycia wśród najcięższego mrozu o ciężką przyprawiła

go chorobę. Od tego czasu nigdy zupełnie mocy w nogach nie odzyskał. W nowym miejscu ciężki był dla niego pobyt. Kilkanaście miesięcy wypadło spędzić w jednym pokoju. Od jesieni 1796 r. po przybyciu nowego generał-gubernatora, ks. Wiaziemskiego, poprawiły się warunki. Wtem nastąpiła śmierć cesarzowej Katarzyny. Obejmujący rządy cesarz Paweł I rozpoczął panowanie od wspałałomyślnego aktu obdarowania wolnością wszystkich uwięzionych Polaków. W samą uroczystą Bożego Narodzenia ukaz uwalniający odczytany został Fiszerowi. Upewniony od ks. Wiaziemskiego, że Naczelnik i wszyscy bawiący w Petersburgu towarzysze już zaprzysięgli nowemu monarsze, złożył przysięgę Fiszer. Nazajutrz puścił się w drogę do Petersburga, pędził dniem i nocą, koniecznie chciał zastać jeszcze Naczelnika, by towarzyszyć mu w dalszej tułaczce. Spóźnił się nieborak. Znalazł tylko dowód czulej jego pamięci; bowiem wiedząc o zupełnym niedostatku Fiszera, zostawił dla niego Naczelnik u Mostowskiego sto dukatów. Ale Fiszer nie przyjął datku, choć wśród tak niezwykłych warunków i od takiego dobroczyńcy. «Pokazałbym się Jego niegodnym, gdybym w tych okolicznościach ofiarowaną mi przez J.W.P.D. pomoc przyjął. Niezmierzona rozległość, którą podług wszelkiego podobieństwa od J.W.P.D. rozdzielonym będę, nie pozwoliłaby mi nigdy wypłacić się Jemu jakimkolwiek bądź sposobem. Znaleźć miejsce w pamięci i szacunku J.W.P.D. jest to, o co zawsze usilnie starałem się i gdybym dosyć był szczęśliwy nie zupełnie uchybić tego celu, nic więcej do życzenia mi nie pozostanie.»¹⁾ Z największą biedą dostał się do swoich w Sieradzkę, gdzie miał brata dzierżawcę dwa ubogie wójtostwa. Tam długo starał się na próżno o jakąś skromną dzierżawę, aż wkońcu zacny Madaliński przypuścił go w polowie do wioszczyzny, którą sam dzierżawił w Sandomierskiem. Warto w pamięci zachować te szczegóły; malują one ciężką dolę ówczesną tyłu wojskowych, wyrzuconych ze swojej kolei przez powszechną krajową katastrofę. Niedługo, miesiąc za ledwo gospodarował Fiszer. Niebawem doszła go wiadomość, jakoby sejm odnowiony miał zgromadzić się z woli Dyrektoryatu francuskiego na dalekiej ziemi włoskiej, zdobytej przez włoskie le-

¹⁾ Fiszer do Kościuszki 8 stycz., 1 lut. 1797 r.

giony w lombardzkiej stolicy, Medyolanie. Natychmiast niedoszły dzierżawca rzucił wszystko i pobiegl do Paryża. Tutaj nowe czekały go zawody. Pogłoska była z gruntu fałszywą. Być może puszczoną była rozmyślnie, dla ułatwienia gotującej się już pacyfikacji. W rzeczy samej, już w kwietniu podpisane między Francją a Austrią preliminarze pokoju w Leoben. Ciężki to był cios dla legionistów, a razem i dla spieszącego do legionów Fiszer. Jeszcze czas jakiś próbowano łudzić się nadzieją. Wkrótce znikły ostatnie złudzenia: odebrał podpisany w październiku formalny traktat pokoju w Campo-Formio. Fiszer w Paryżu w rozpaczliwym znalazł się położeniu. Ale niezadługo znowuż dokonał się przewrót zupełny stosunków politycznych. Zrywała Austria podpisany pokój, tworzyła się druga koalicja, wstępowała do niej Rosja. Kościuszko ze Stanów Zjednoczonych w lipcu 1798 r. przybył do Paryża. Postanowiono stworzyć nową legię naddunajską pod komendą generała Kniaziewicza. Do jej urządzenia użyto organizatorskich talentów Fiszer. Urządził on zakład legii w Pflzburgu, organizował bataliony i wysyłał do punktu zbornego w Metz. W krótkim czasie stanęła silna legia naddunajska z czterech batalionów piechoty, pułku jazdy i dwóch kompanii artylerji: pieszej i konnej; niezwłocznie też wystąpiła do boju przeciw austryakom. Jako szef batalionu naddunajskiej legii pod dowództwem Kniaziewicza, dawnego kolegi, a komendą naczelną generała Moreau, Fiszer wyruszył w pole. Odznaczył się odrazu, posunięty niebawem na szefa brygady; wszakże ciągle prześladowany był przez fatalność: już w jednym ze najpierwszych pod Offenburgiem w potyczce na forpocztach wzięty do niewoli przez austryaków (czerw. 1800 r.), nie mógł brać udziału w świetnej kampanii, ani w świetnym pod Hohenlinden zwycięstwie, gdzie tak znakomicie miała się odznaczyć zorganizowana przez niego legia. Zamknięty w twierdzy Königgratz, z rozkazu austriackiego generała en chef, Kraya, wielkiego nieprzyjaciela Polaków, «był bardziej, jako niewolnik stanu, niż jako niewolnik wojenny uważany.» Przyczyniła się do tych obostrzeń ta jeszcze okoliczność, że w obozie austriackim ułani polacy służby austriackiej poznali zaraz w Fiszerze byłego adjutanta Naczelnika i zaczęli najgoręcej objawiać mu swoje współ-

czucie.¹⁾ Rozjątrzyło to do tego stopnia generała austriackiego, iż nie chciał zgodzić się nawet na zamianę jeńca, i dopiero dzięki wstawieniu samego Morreau, po długich jeszcze trudnościach, dopiero w lutym następnego roku Fiszer wolność odzyskał. Było już jednak zapóźno; już jej nie miał sposobu użyć, jak zamyslał. W tydzień potem podpisany był traktat pokoju lunewilski między Austrią i Francją bez żadnej oczywiście wzmianki o Polsce. Cios to był dla legii straszniejszy, niż kiedykolwiek. Legii naddunajskiej rozkazano udać się do Włoch, dla połączenia się w Medyolanie z Dąbrowskim. Był to wstęp do zupełnego zniesienia legii w służbie francuskiej. Już myśl pierwszego konsula pochłaniały ugodowe rokowania z cesarzem Pawłem I. Już była postanowiona zupełna legii zatura, bądź przez wcielenie ich do korpusów francuskich, bądź przez śmiertelną na San Domingo wyprawę.

Fiszer tymczasem, po uwolnieniu z austriackiej niewoli, znalazł się z towarzyszymi na ziemi włoskiej i objął w Livorno swoje obowiązki szefa brygady i dowódcy piechoty legii. Trudne, rozpaczliwe było położenie legionistów. Przestając być sługami kraju, stawali się najemnym żołnierzem. Tylko wyższa nad wszelkie względy dusza Dąbrowskiego mogła wznieść się po nad taką nawet ostateczność; wódz powinien był pozostać na stanowisku w imię wyższej nad wszystko zasady: *salus populi*. Inni w imię honoru czuli się w obowiązku ustąpić. Był w ich liczbie Fiszer. Już w kwietniu 1801 roku, w imieniu oficerów swoich, dwóch batalionów i swoim, podał przez Sokolnickiego na ręce Kniaziewicza, jako dowódcy legii, gremialną prośbę o uwolnienie. Ale rząd francuski, jeśli pragnął pozbyć się legii, nie chciał przecie pozbyć się wypróbowanych żołnierzy. Owszem, karesował, starał się ich ugłaskać; zdolniejszych wyróżniał; sam Fiszer w tym czasie mianowany komendantem Livorna. Kiedy zaś te sposoby na nic się nie zdaly, wystąpiono z surowością wojskową: tłumne prośby o uwolnienie uznano za akt niesubordynacji, odmówiono stanowczo żądanych dymisji, z wyjątkiem generałów. Postawił jednak na swoim Fiszer, usunął się za urlopem i udał się do Paryża. Pokrzepiał

¹⁾ Fiszer do Kniaziewicza, do Moreau z więzienia, 1 vendém.; do Kościuszki 17 frim. an IX).

się tutaj widokiem Naczelnika, choć ciężko strapionego fatalnym obrotem spraw publicznych, towarzystwem dymisyonowanego Kniaziewicza i wielu towarzyszków niedoli. Korzystał, jak mógł, z wolnego czasu, z zapalem oddał się studjom naukowym, słuchał chemii u słynnego Fourcroy, mineralogii u Haiiy, fizyki u Charles'a, nawet na anatomie chodził do szkoły medycznej. Zachęcił do tych studyów innych legionistów, samego Kniaziewicza zabierał na wykłady. Z tem wszystkim cierpiał straszną nędzę, z czem starannie ukrywał się przed towarzyszami. Odkrył dopiero przypadkiem sekret Drzewiecki, kiedy razu jednego na ulicy idąc z nim na przechadzkę, Fiszer omdlał z osłabienia; okazało się, iż od dłuższego czasu żył okruszynami chleba i wytłoczynami z winogron. Zawiadomiony Kościuszko przeznaczył zaraz dla Fiszera zasiłek (100 talarów), lecz nauczony doświadczeniem petersburskiem nie podejmował się doręczyć mu tych pieniędzy; posłał je bezimiennie Drzewiecki i nazajutrz zastał oburzonego Fiszera, jak wybierał się odnieść pieniądze na cel dobroczynny; z wielkim dopiero trudem udało mu się skłonić go do przyjęcia choć drobnej części zasiłku, dzieląc go porównie między towarzyszy broni. Dobrze ten drobny szczegół maluje charakter tych ludzi, jednakowo hartownych i na honor drażliwych w rzeczach nie tylko wielkich, lecz i małych, kiedy nieraz o hart najtrudniej.

Wisiała już w powietrzu groźba morderczej na San Domingo wyprawy. W ostatniej chwili z niemałemi przeszkodami udało się Fiszerowi zyskać, nie dymisję jeszcze, której ciągle z zasady nie udzielał Bonaparte oficerom polskim lecz przynajmniej równający się jej urlop nieograniczony i paszport zagraniczny. W maju 1803 r. odprowadzony do rogatek Saint Denis przez Kościuszkę i Kniaziewicza, opuścił Paryż. Udał się naprzód do Anglii, stąd przez Holandję na Berlin i Poznań do Warszawy powrócił, gdzie już wielu legionistów i samego Kniaziewicza zastał. Dobrze przyjęty od księcia Józefa Poniatowskiego, przypomniał mu się z kampanii 1792 r. i utrwalił to zaufanie, które w następstwie miało go bardziej jeszcze zbliżyć do ministra wojny i naczelnego wodza armii Księstwa. Bawił w Warszawie kilku nawrotami do lutego 1803 r. dużo bywał w towarzystwie wielkoświatowem, dokąd ciągnęły go dawniejsze, serdeczne związki. Na wiosnę

t. r. osiadł znów w stronach rodzinnych w Poznaniu na dzierżawie, wypuszczonej mu przez panią Kwilecką. Ale niebawem wielkie wypadki europejskie i krajowe wyrwały go z wiejskiego zacisza i powołały napowrót do służby publicznej. Sprawdziły się przewidywania Dąbrowskiego. Pokój trwał niedługo. Nastąpiła trzecia koalicja i Austerlitz. Nastąpiła czwarta i Jena. Napoleon stanął w Berlinie. Tutaj stawili się przed nim dobrze myślący wielkopolanie, wzywając go do marszu na Poznań, do Wielkopolski, czekając już tylko hasła dla wyzwolenia się od rządów pruskich. W liczbie tych wysłańców wielkopolskich w Berlinie znalazł się Fiszer. Użyty przez Dąbrowskiego i Wybickiego do urządzenia siły zbrojnej w Wielkopolsce, objawił dawną czynność i talenty organizatorskie. W stworzonej niebawem legii wielkopolskiej Dąbrowskiego objął dowództwo brygady. Uczestniczył w oblężeniu Gdańska przez marszałka Lefebvre'a; miał szczęście odebrać Prusakom to miasto, które był opuszczał przed piętnastu laty, ze smutną świadomością, iż oni je zabiorą. Był pod Friedlandem. Po zorganizowaniu ostatecznem armii Księstwa Warszawskiego w 1808 roku, otrzymał rangę generała brygady. Niezadługo przez ks. Józefa Poniatowskiego powołany na szefa swojej kancelaryi woj-skowej i naczelnika sztabu głównego, Na tem stanowisku był w swoim żywiole, ścisły, metodyczny, rozważny, pracowity i pod względem wojskowym wysoko ukształcony. Zdaje się jednak, że to zaszczytne wyróżnienie ze strony naczelnego wodza spowodowało pewien chłód w stosunkach Fiszera z Dąbrowskim, który, jak wiadomo, nigdy nie był w harmonii z księciem Józefem.

Organizacyjna działalność Fiszera na czele sztabu głównego armii Księstwa dzielną była pomocą niestrudżonym usiłowaniom księcia Józefa, Dąbrowskiego i Zajęczka. Już po upływie dwóch lat armia we wszystkich broni, a zwłaszcza w artylerji, postawiona w stanie wzorowym, liczyła 32,000 ludzi. Tutaj przypadła piąta koalicja. Austriacy wtargnęli do Księstwa i podstąpili pod Warszawę. Zaraz w pierwszej krwawej utarczce pod Raszynem (kwiec. 1809). Fiszer raniony, był zmuszony czasowo ustąpić zarząd sztabowy Rautenstrauchowi lecz już po kilku dniach wrócił do obowiązków. W czerwcu pod Pniewem, za chwilowej nieobec-

ności księcia Józefa, miał sobie powierzone zastępczo dowództwo naczelne, wszakże nieosobliwie spisał się w tej okazyi, nie zdobył się na żadne stanowcze poruszenie, aby uwolnić generała Sokolnickiego, który z drugiej strony Wisły oblegany był w Sandomierzu przez przeważające siły austriackie i który też pozostawiony bez pomocy, zgodzić się musiał na kapitulację. Okazało się i tym razem, że najlepszy sztabowiec bywa nieraz lichym generałem. Fiszer niczem też więcej jak doskonałym sztabowcem nie był, szerszej inicjatywy, ani samodzielnego, strategicznego polotu nie posiadał zgoła. Przy zajęciu Krakowa (w sierpniu) miał do spełnienia trudną i drażliwą misję pośredniczenia przy ostrych zatargach ze sprzymierzeńczym korpusem ks. Golicyna. Po rozmaitych przeszkodach ułożył z Golicynem konwencyę tarnowską, warującą ustąpienie wojsk rosyjskich z Sandomierza i Opatowa na prawy brzeg Wisły i ustalającą zarazem ścisły pas demarkacyjny pomiędzy dwiema sprzymierzonymi armiami. Po powrocie do Warszawy ze szczęśliwej kampanii galicyjskiej, razem ze zwiększeniem Księstwa i armii zwiększyły się obowiązki Fiszera. Od 1811 roku zaczęła się

już wprost gorączkowa działalność w przewidywaniu nieuniknionej dłuższej wojny z Rosyą. Nadszedł rok 1812. Wyruszył na wyprawę do Rosyi Fiszer, jako naczelnik sztabu piątego korpusu księcia Józefa. Był pod Borodinem i w Moskwie. Przy odwrocie z Moskwy, w pierwszej bitwie z przechodzącym teraz do ataku Kutuzowem, ranny w rękę, w parę chwil potem, ugodzony śmiertelnie kulą działową, na miejscu skonał. W pożyciu rodzinnem szczęśliwy nie był, żonaty dwukrotnie, drugi raz ze wspomnianą panią starościna Kwilecką.

Do życia Fiszera rozrzucone są szczegóły w koresp. Kościuszki, Kosińskiego, pamięt. Dąbrowskiego, Drzewieckiego, Dziewanowskiego, Bignona, Seaffta i innych. Mosk. Tow. Hist. 1866 IV; Soltyk, Operat. de 1809, i t. d. Niniejszy życiorys oparty jest głównie na zachowanej korespondencyi Fiszera, oraz jego dzienniku własnoręcznym, który stale z dnia na dzień prowadził, i stąd dochowały się pełne ustępy: sierp. 1792, sierp. 1793; 1795—6; 1802—6; 1809 r.

Szymon Askenazy.



Tomasz Święcki.

* 1774 † 1837.



*Z*asłużony badacz na polu naszej geografii historycznej przyszedł na świat we wsi Kostkach powiatu węgrowskiego. Początkowe wykształcenie odebrał w szkole węgrowskiej; po ukończeniu zaś szkół, zapragnąwszy poświęcić się zawodowi prawnika, pracował czas jakiś przy palestrze drohickiej, zdobywając sobie sympatyę i uznanie swym charakterem nieskazitelny.

Na sejmikach 1794 roku zaszczycony został przez współobywateli wyborem na asesora koła rycerskiego, a wkrótce potem został zaliczony do palestry w Lublinie. Niebawem widzimy go w wojsku, walczącego wraz z innymi.

Po złożeniu oręża powraca do swych studiów zawodowych, uczęszczając na kursa prawne we Lwowie i oddając się nauce z prawdziwym zamiłowaniem. Złożywszy w Krakowie przepisany prawem egzamin na urzędnika sądowego, obejmuje stanowisko sędziego, na którym pozostaje przez lat cztery (1800 — 1804 r.).

Za czasów Księstwa Warszawskiego pełnił obowiązki adwokata przy sądzie apelacyjnym; z chwilą zaś przetworzenia Księstwa na Królestwo, zostaje mecenasem przy sądzie najwyższym, zażywając zasłużonego rozgłosu, jako człowiek wielkiej cnoty i szerokiej nauki.

Święcki u-



Tomasz Święcki

miera w Busku, dokąd udał się w celu poratowania zdrowia, roku 1837, żegnany powszechnym żalem tych, którzy mieli sposobność ocenić jego zasługi.

Ale nie tylko w dziedzinie praktyki życiowej zapisał się sympatycznie Świącki w pamięci współczesnych; na polu nauki pozostawił on prace, nietyle wprawdzie rozgłośnie, ile cenne i poważne.

Świącki wraz z Teodorem Wagą, Franciszkiem Siarczyńskim, oraz słynnym autorem *Śledzenia początków narodów Słowiańskich*, Wawrzyńcem Surowieckim — był jednym z pierwszych naszych badaczy na polu geografii tak krajowej jak powszechnej; oni przygotowali glebę, z której następne pokolenia miały zbierać plon obfity.

Pierwszem usiłowaniem naszego uczonego na tym nietykanym dotychczas gruncie była rozprawa monograficzna, wydana w 1811 r. pod tytułem: *Historyczna wiadomość o ziemi Pomorskiej, mieście Gdańsku i panowaniu polaków na morzu Bałtykiem*.

Pięć lat zaledwie upłynęło od ukazania się tej pierwszej pracy, gdy Świącki wygotował nowe dzieło, najcenniejsze wśród jego literackiej spuścizny, które dało mu niepoślednie miejsce w szeregu badaczy naszej narodowej przeszłości. Jest to dwutomowa praca p. t.: *Opis starożytnej Polski* (Warszawa, 1816).

Wielkiej wartości dzieła tego dowodzi choćby ten fakt wymowny, iż doznało ono nader życzliwego przyjęcia wśród publiczności. Po wyczerpaniu pierwszego wydania w ciągu trzech lat, zaszła potrzeba drugiego, które też ukazało się w r. 1828. Trzeciego dokonał Turowski, wcielając *Opis starożytnej Polski* do wydanej przez siebie «Biblioteki». Wziąwszy za punkt wyjścia dobę największego zewnętrznego rozkwitu Rzeczypospolitej, panowanie Zygmunta III, Świącki zamierzył dać obraz, o ile można jak najpełniejszy, stanu geograficznego i etnograficznego ówczesnej Polski. Podzieliwszy więc kraj na prowincye, kreśli oreografię i hydroografię każdej z nich, charakteryzuje zamieszkujące je szczepy i narody, wreszcie wylicza ważniejsze miasta w poszczególnych województwach, powiatach i ziemiach.

Takim jest ogólny plan i układ pomnikowej pracy Świąckiego; co zaś do wypełnienia tego planu, to nie obeszło się tu bez usterków, których

✧ należy szukać nie w braku odpowiednich studyów i przygotowania autora, ile raczej w stanie owoczesnej nauki historycznej, która nie zdążyła jeszcze przekroczyć granic, nakreślonych jej przez rozległy umysł Naruszewicza. Do takich wad należy zaliczyć powtarzanie baśni przedhistorycznych o sarmatach, niedostateczne wyzyskanie źródeł, bezkrytyczne częstokroć cytowanie poprzedników, bez względu na ich wiarygodność historyczną i traktowanie narówni tych, co w różnym stopniu zasługują na wiarę; a wreszcie i styl ciężki i nieprzystępny, uwarunkowany zresztą suchością i bezbarwnością samego przedmiotu.

Bądźco bądź podziwiać musimy wytrwałą pracę autora, który, sam torując sobie drogę, sam zbierając rozproszone materiały, zdobył się na takie dzieło, na jakie pozwalała współczesna mu nauka. On wytknął nowe tory; śladem jego poszli inni. W liczbie pierwszych Tymoteusz Lipiński i Michał Baliński, którzy na podstawie pośmiertnych jego papierów utworzyli wielkie trzytomowe dzieło w tym samym zakresie pod tyt. *Starożytna Polska*.

Inne dzieła Świąckiego historyczne i geograficzne pomniejszej są już wartości. Dla ścisłości bibliograficznej wymienimy *Opis Podlasia*, umieszczony w *Pamiętniku Warszawskim* z r. 1813, dalej rozprawę, zawierającą wspomnienia znakomitych uczonych w Polsce za panowania domu Jagiellońskiego, drukowaną w *Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk* (tom XIX).

Z drobniejszych przyczynków wymienimy rzecz o marynarce polskiej i dwie rozprawki, drukowane w *Dzienniku Warszawskim*, a mianowicie: *O Kurpiach* (1827) i *O biskupstwie lubelskiem* (1828). Pracował również Świącki i nad heraldyką polską, ale na tem polu nie ujawnił wielkich zdolności historyczno-krytycznych: za główne źródło obrał sobie wątpliwej wiarygodności Nieścieckiego i na nim oparł swe studia. Pracę tę jego nad historią rodzin w Polsce śmierć mu przerwała; dopełnioną i poprawioną wydał ją J. Bartoszewicz już po śmierci autora p. t. *Tomasza Świąckiego historyczne pamiętki znakomitych rodzin i osób dawnej Polski* (Warszawa, 1858, dwa tomy).

Tomasz Świącki zasłużył się w naszej historyografii nie tyle należytem oświetleniem faktów i wyciąganiem z nich wniosków zgodnie z zasa-

dami ścisłej naukowej krytyki historycznej, ile nagromadzeniem materiału surowego dla przyszłych pracowitych badaczy. Niestrudzona pracowitość, żelazna wytrwałość i nieposzlakowana sumienność—oto przymioty, które cechują go, jako człowieka i jako pisarza. Zbывало mu tylko na samodzielności i twórczości umysłu, która potrafi z drobnego ułamku odtworzyć całą strukturę.

Pomimo to Święcki, jako jeden z pierwszych wyobrazicieli nauki geograficznej u nas, zapisał się dodatnio i w dziejach naszej historyografii. A ktokolwiek zechce wstąpić w szranki tej tak mało u nas uprawianej gałęzi wiedzy, musi o jego *Opis starożytnej Polski* potrącić.

Henryk Galle.



Józef Gołuchowski.

* 1797 † 1858.

Kto się już dziś szczerze przeświadczył o konieczności poznania rozwoju filozofii naszej, polskiej w całej jej dzisiejszej rozciągłości i komu są drogie imiona Śniadeckich, Kremera, Trentowskiego, Cieszkowskiego, Libelta, Tytzyńskiego,—tego w rzędzie najznakomitszych myślicieli doby wczorajszej niechybnie uderzy i Gołuchowskiego niezwyklej indywidualności imię.

Gdy myśl, znudzona w zgiełkliwej epoce walk filozoficznych, zapraagnie wypoczynku i pokrzepienia, jakąż karm i otuchę dziś jeszcze znajdzie łącno w spuściźnie duchowej Gołuchowskiego. Gdy charakter ugnie się pod naciskiem wpływów grze-

znącego w materyalizmie otoczenia, jakiegóż hartu woli i równowagi obyczajowej będzie przykła-

dem żywot nie-skażony tego wielkiego męża. Tak; Gołuchowski zawsze przyświecać nam będzie, jako jeden z najpiękniejszych wzorów człowieka i obywatela, którego potęgą słowa tak harmonijnie zawsze się godziła z niezłomną czynu potęgą. Narodową ambycją naszą jest ze czcią głęboką i poszanowaniem imię to powtarzać, a z miłością i przekonaniem szczepiać co wznioślejsze Gołuchowskiego zasady, krytycznie do wymagań życia dzisiejszego je zastosoowywać. W słynnych swych «Dumaniach» utrzymując, iż «wszelka myśl musi być wygrzana



Józef Gołuchowski

w ognisku serca,» jakże pięknie rozwinął tam Gołuchowski na tle religijnem najszczytniejszą zasadę swojej etyki—miłość! A znów co do rozpraw o społecznem znaczeniu filozofii, którzyż z myślicieli nowszych czasów dał gruntowniejszą?

Świadczymy się nietylko zapewnieniem szanownego autora «Wstępu krytycznego do filozofii,» profesora p. H. Struvego, lecz i takim pochlebnem zdaniem jednego z biografów Gołuchowskiego: «Książka ta zrobiła w Niemczech i w kraju ogromne wrażenie. Dziś jeszcze nikt przeczytać jej nie potrafi bez korzyści, pociechy i zapału, jeżeli dusza do zapału zdolna; czytali ją Niemcy z podziwem, my z dumą» (słowa Pawła Popiela w «Duniach») ¹⁾.

Józef Gołuchowski przyszedł na świat w Łączkach pod Tarnowem w Galicyi, 11 kwietnia 1797 r., z rodziców Jana Nepomucena, b. majora wojsk narodowych za Stanisława Augusta, i Eufemii z Radziłowskich. Ojciec odumarał go r. 1808; wybitne jednak zdolności 11-letniego wtedy chłopięcia skłoniły matkę do wysłania go do akademii Terezyańskiej w Wiedniu. Tam się wpraw odznaczył napisaniem 1815 r. rzeczy «O znaczeniu historii,» a w rok potem już na wydziale filozoficznym, drugą rozprawą niemiecką «O wpływie matematyki na wykształcenie człowieka,» drukowaną w Wiedniu, a przełożoną w 1828 r. przez Mochnackiego w «Dzienniku Warszawskim.» Później powstały rozprawy «O filozofii moralnej» i «O rzeczypospolitej Platona,» za ostatnią pozyskał doktorat uniwersytetu heidelberskiego. Wróciwszy do kraju po ukończeniu studiów akademickich w r. 1817, młody doktor wstąpił na wydział prawa i administracyi w uniwersytecie warszawskim, gdzie w r. 1820 otrzymał stopień magistra, a po napisaniu rozprawy filozoficznej po polsku, prawnej i teologicznej po łacinie, za te dwie ostatnie dostał medale złote; był jednocześnie profesorem w Liceum, gdzie dość krótko wykładał Prawo natury.

Dziedzina umiłowanej filozofii, w której królowały wówczas Niemcy, dokąd Gołuchowski po-

¹⁾ »Die Philosophie in ihrem Verhältnisse zum Leben ganzer Völker und einzelner Menschen» (Erlangen, 1822). Oceniał ją Skarbek w «Pamiętniku Warszaw.,» przełożył na język polski Ksawery Bronikowski, na francuski—ze Śliżniów ks. Czetwertyńska, na rosyjski—akad. D. Wellanskij, (Peterb., 1834).

nownie się udał, znęciła go ostatecznie, zajrzał i do Paryża, lecz w towarzystwie Szellinga najchętniej w Erlangen w latach 1821—1822 przebywał, obcował również z Heglem, Steffensem, Hillebrandem, Krugiem i t. d. Największy wpływ wywarł na polskiego myśliciela Szelling, którego systemem jednak Gołuchowski nie przejął się tak dalece, ażeby nie być oryginalnym; uwielbiał tego idealistę, który głoszone zasady usiłował wcielać w życie praktyczne. Doniosła praca Gołuchowskiego «Filozofia w stosunku do życia» była odbiciem nauki genialnego jego przyjaciela, gdy się w studium teizmu znajdował. Na krótko przed pozyskaniem dziełkiem rzeczonym rozgłosu w nauce europejskiej, spotkał Gołuchowskiego nowy zaszczyt: gdy w r. 1820 uniwersytet wileński ogłosił konkurs na rozprawę «pro venia legendi,» wysłał nasz aspirant swoje «Zasady logiki, matematyki i filozofii moralnej,» którym Jan Śniadecki przyznał pierwszeństwo przed elaboratami innych. O palmę tę ubiegał się Michał Wiszniewski, ale Gołuchowskiego popierał Armiński, który zalecał go, jako biegłego w matematyce, literaturze, filozofii, w językach: łacińskim, greckim, niemieckim, angielskim, francuskim i włoskim. Nie protekcya atoli, lecz rzetelna wartość rozprawy przemówiła za jej uwieńczeniem. Od końca r. 1821 do końca 1823 oczekiwano w Wilnie na zatwierdzenie urzędowe Gołuchowskiego w charakterze profesora filozofii, bo choć w maju 1823 r. tam przebywał, dopiero 27 października faktycznie objął katedrę ¹⁾. W stolicy Litwy Gołuchowski odrazu zapanował w sercach i umysłach wszystkich. Wielka sala chemiczna nie mogła pomieścić tych tłumów, cisnących się po światło pięknie, z elokwencyą rzadką głoszonej nauki; wśród nich wielu księży, nawet kobiet i starców widziano. Sluchacze wprost się upajali czarem wymowy Gołuchowskiego, w której jasność i polet myśli walczyły o lepsze z potoczystością i obrazowością stylu, pięknnością samej polszczyzny. Sam Jan Śniadecki, tak niechętny dotąd filozofii niemieckiej, uczęszczał regularnie na wykłady. Żaden z profesorów takiego uroku i wpływu, jak Gołuchowski, nie wywierał. Zarówno on sam, jak i uwielbiający go uczniowie z największem rozrzewnieniem

¹⁾ Gołuchowskiego «Otwarcie kursu filozofii,» lekcję wstępną, czytaną w uniwersytecie wileńskim r. 1823, ogłosiła «Biblioteka warszawska» w r. 1842 (tom drugi, str. 255—258).

wspominali potem te czasy studyów i zobopólnej harmonii ¹⁾.

Życiowy idealizm Gołuchowskiego i jego charakter pelen przymiotów niezwykłych budziły podziw, również najkorzystniej oddziaływając, jak i jego filozofia, na szerokie koła towarzystwa wileńskiego. Powodzenie świetnych prelekcji Gołuchowskiego zgubnie jednak oddziało na jego losy: nadzór ścisły, a wkrótce, bo w dniu 29 stycznia r. 1824, ostateczne zawieszenie wykładów, 14 sierpnia t. r. nakaz opuszczenia Wilna — były zresztą wynikiem ówczesnego systemu rządów uniwersyteckich. Helcel w obszernym, bardzo sympatycznym życiorysie Gołuchowskiego (N-ry 20 i 21 «Tygodnika ilustrowanego» z r. 1860) utrzymuje, że «jako jedyny ślad z tej najświetniejszej jego życia publicznego epoki pozostała wstępna mowa, którą kursy swoje rozpoczął (w «Bibliotece Warszaw.» w 1842 r. wydrukowana) i ułamki mowy na zakończenie roku akademickiego 1824.» Całość tej ostatniej w istocie nie jest znaną dotychczas bibliografom i historykom literatury. Szczęśliwym przypadkiem wyłowiliśmy cenną tę pamiątkę — wśród rupieci szpargałowych na bosackowskim rynku wileńskim; nie oryginał wszakże, lecz odpis z niego ówczesny, całkowity. Wiadomo jest, że ks. Ad. Stan. Krasieński (późniejszy biskup wileński), autor «synonimów», bez wiedzy autora część tej mowy wydrukował w «Noworoczniku literackim» (Petersburg, 1838); zajrzawszy tam, przekonamy się, iż nawet lwią jej część zużytkował, zatytułowawszy rozprawę «O cierpieniach ludzkich» i podznacząc ją tylko literami J. G. Tytuł posiadanego przeze mnie manuskryptu brzmi: «Mowa na publicznym posiedzeniu Cesarskiego wileńskiego uniwersytetu dnia 30 Junii 1824 r., przez W-go Gołuchowskiego, profesora filozofii tegoż uniwersytetu, miana» ²⁾. Nadto ks. Krasieński, nie przestrzegając indywidualności autorskiej w formie, w wielu miejscach zwięźlejszą tę ostatnią uczynił:

¹⁾ Jak Gołuchowski nie przestawał głodu swej wiedzy wszechstronnej nasycać, dowodzi to, że jeszcze przed objęciem katedry uczęszczał na anatomię i już jako profesor słuchał wykładów rozmaitych gałęzi przyrodoznawstwa.

²⁾ Rękopis in 4-o o 26 i pół stronicach, 800 wierszy małego, lecz dosyć kształtnego i czytelnego pisma, z tego 155 wierszy początku mowy Krasieński w artykule nie zużytkował.

stąd niefortunnie pozbawił rzecz dokładności retorycznej, nie darował nawet zdaniu, które mowę zamyka, obciął je po swojemu... Wśród wielu pięknych zdań opuszczonego przez Krasieńskiego wstępu mowy wileńskiej jest np. o nauce filozofii taki znamienity ustęp: «ona nigdy większego nie wywiera wpływu i na indywidua i na całe narody, nigdy więcej powszechniejszego nie przynosi pożytku, jak kiedy się zatrzymuje w okolicach najbliższej życia położonych i w nich się najwięcej rozpościera. W naszym mianowicie narodzie, w którym łaknienie życia ciekawość spekulacji przewyższać się zdaje, filozofia to szczególnie na względzie mieć powinna.»

«Do r. 1830 — pisze jeden z biografów — Gołuchowski mieszkał stale w Warszawie; w grudniu 1830 r. miał odczyty publiczne, poświęcone zagadnieniom chwili bieżącej; dług czynu spłacił za siebie uczciwie.» Po r. 1831, oderwany od szerzej działalności naukowej i społecznej, poświęcił się z konieczności agronomii, lubo nie dla filozofa to był żywioł, poczucie obowiązku przewyciężyło zniechęcenie moralne, brak doświadczenia... Wkrótce nawet stał się Gołuchowski doradcą wielu najzawołanych w kraju gospodarzy, a niejednego z nich znajomością rzeczy znakomicie prześcignął. Słynny zasługami fizyograf polski Wojciech Jastrzębowski młodzież swą przyprowadzał z Marymontu do Garbacza (wioski dziedzicznej naszego filozofa w Sandomierskiem), aby okazać na żywym przykładzie, czego silna wola, praca gorliwa, wsparta doskonaleniem się w umiejętności życia, dokonać mogą. A Gołuchowski chętnie przyjmował na praktykę wychowalców powyższego instytutu. Ile stąd moralnej i umysłowej korzyści wynosiła młodzież, świadczy jej miłość i wdzięczność serdeczna, żywiona dla tego filozofa — gospodarza.

W Garbaczu Gołuchowski stale mieszkał od r. 1846. W tymże roku pomimo choroby udał się do Berlina na obchód 71-letniej rocznicy urodzin Szellinga, do którego był bardzo przywiązany, i wygłosił tam na uczcie mowę charakteryzującą działalność mistrza, a później jeszcze wystosował: «Sendschreiben an Schelling.» Kilkakrotnie podówczas wyjeżdżał do Prus, Francji, Anglii i Holandii dla studyów agronomicznych. Badawczy umysł Gołuchowskiego bądźco bądź nie próżnował. Wglądając w potrzeby społeczne,

gorąco współczuł czcigodny nasz rolnik-filozof ludowi, za którego uwłaszczeniem obstawał, ale pod warunkiem splacenia gruntów robocizną. Przez ten punkt wyjścia stał się wyobrazicielem nowoczesnych prądów agrarnych i pierwszy usiłował zażegnać widmo klęsk przyszłych.

Rzeź galicyjska była impulsem najżywszym do wyłożenia poglądów przez Gołuchowskiego na lud i stan ziemski w rozprawach «O kwestyi włościańskiej» (w 1849—1850 r.). Za szerzeniem oświaty, wolnemi prawami myśli obstawał Gołuchowski zawsze, umiając pogodzić to z zachowawczością form.

Do prac filozoficznych z tej samej epoki należy list do Fr. Morawskiego «O wierze i wiedzy» (w Bibl. warszaw.), tudzież znakomita rozprawa (z 1856 r.) podana w «Wiązance» Wilkońskiej, w «Czasie» i osobno, a wyłożona barwnie i jasno, p. t.: «Światowość, w stosunku do obyczajów uważana.» Przecistawiając światowość zdrowemu rozwojowi życia towarzyskiego, niezbędnego i dla prawdziwego myśliciela, nazywa ją «maską moralną» ukrywającą zepsucie.

Pomnikowem polskiem dziełem filozoficznym Gołuchowskiego są głębokie i piękne jego «Dumania nad najwyższemi zagadnieniami człowieka» (dwa tomy, Wilno, 1861); autor zabrał się w r. 1856 do pracy usilnej i we dwa lata napisał książkę kapitalną, w której zawrzeć umyślił najważniejsze wyniki intelektualnego swego życia. Druk się tylko nie doczekał, bo zmarł w pół roku po

napisaniu przedmowy do «Dumań» swoich. Tom pierwszy poświęcił krytyce systematów i dziejom filozofii niemieckiej (począwszy od Kanta), tom drugi zaś stanowią właściwe «dumania» natchnionego filozofa. «Najwyższe zagadnienia» rozstrzyga Gołuchowski ze stanowiska chrześcijańskiego, pojmując wiarę jako «posłannicę najwyższego rozumu ograniczonego.» W dociekaniach swych podaje surową naukowość filozoficzną kultowi religijności. Dzieło cechuje szczere odczucie prawdy i pierwszorzędne zalety stylistyczne ¹⁾.

Niezmiernie wzruszającym był stosunek Józefa Gołuchowskiego do żony Magdaleny z Gołuchowskich, poślubionej w r. 1830 i zmarłej w dzień dni po śmierci męża, która nastąpiła 22 listopada 1858 r. Niewiasta ta, kochając bezgranicznie i współczując ideom męża, nietylko ubłogosławiała dom jego zaciszny na wsi, lecz i ułatwiła mu społeczną działalność w mądrze, bez zbytków zagospodarowanym Garbaczu. Oboje spoczywają przy kościele w Mominie.

Lucyan Uziębło.

¹⁾ «Złota przędza poetów i prozaików polskich» (tom trzeci, 1886 r.) przy wybornej charakterystyce Gołuchowskiego, jędrnem, pięknem piórem p. St. Krzeńskiego skreślonej, pomieściła cenniejsze wyjątki obszernie z tomu drugiego «Dumań»: «Jak ducha pojmować należy» i «Na czem opiera się pewność nieśmiertelności człowieka.»



Stanisław Małachowski.

* 1736 † 1809.

Stanisław Nałęcz Małachowski, drugi syn Jana, kanclerza w. k., i Izabeli z Humieckich, wojewodzianki podolskiej, urodził się w Końskich dnia 24 sierpnia 1736 r. Wcześniej rozpoczął zawód publiczny od urzędu starosty sandeckiego, którym został około roku 1754. Obierany posłem na kilka niedoszłych sejmów za Augusta III, wystąpił na szersze pole dopiero w czasie ostatniego bezkrólewia na sejmie konwokacyjnym w r. 1764. Jako poseł województwa krakowskiego, dopominał się wtedy ściślejszego określenia władzy hetmanów koronnych, żądał, aby izba poselska przedstawiała królowi do zatwierdzenia po trzech kandydatów na wakujące urzędy, wskazywał zgwałcenie praw pod przeszłym panowaniem, przypominając, iż najpierwszem i najważniejszem zadaniem konwokacji jest: «gojenie ran Rzeczypospolitej i wprawienie nadwziętych praw do swych ostoj», wkońcu w gorącej przemowie potępił projekt posłów wielkopolskich, ażeby koronacja przyszłego króla odbyła się w Warszawie, nie zaś, jak dotąd, w Krakowie. To też kładąc swój podpis na akcie konwokacji, zastrzegł sobie protest w sprawie miejsca koronacji, oraz wolnego głosu. Widać z tego wystąpienia Małachowskiego, że nie należał do żadnego stronnictwa, skoro stawał zarówno przeciw interesom hetmańskim, reprezentowanym wówczas przez hetmana w. Branickiego, jako też przeciw interesom Poniatowskiego, dobijającego się koronacji w Warszawie; widać, że szedł prosto za głosem swego przekonania. Widać atoli zarazem, że to przekonanie było jeszcze wtedy zwykłym krótkowidzającym przekonaniem szlacheckiem,

skoro objawiło się przeciw zbawczym konwokacji ustawom, krępującym swawolę «liberi veto». Od województwa krakowskiego posłował następnie na sejmie 1766 roku, ale ważniejszej roli na nim nie odegrał. Obrany w r. 1774 marszałkiem trybunału koronnego, obejmując urząd, w pięknej mowie do zgromadzonych sędziów i palestrantów wyraził wysokie pojęcie o obejmowanej godności; w samej rzeczy, pod laską Małachowskiego trybunał zmienił swą postać. Marszałek przez osobną «ordynację» przepisał trybunałowi porządek zasiadania i sądzenia, ujął w karby rozzuchowaloną palestrę, oddawszy rozpanoszonych mecenasów pod władzę trybunału, ukrócił krętactwa, wygnał nadużycia i protekcyę i nadał spaczony ostatniemi czasy instytucji jej pierwotną sprawność i uczciwość. Wkrótce zdołał ukończyć wiele zadawnionych sporów; wszelkiemi siłami starając się wypełnić zakorzenione pieniaństwo, nieraz własnym groszem dokupywał się pojednania stron zwaśnionych. Odtąd zasłynął jako mąż nieugiętej prawości i uczciwości i zyskał sobie imię Arystydesa polskiego. W roku 1776 został wybrany do Rady Nieustającej, w której zasiadał przez lat cztery, poczem otrzymał urząd referendarza wielkiego koronnego. Przywiązane do tego urzędu obowiązki opieki nad poddanymi dóbr królewskich przez sądownictwo najwyższe w sprawach pomiędzy nimi a starostami, pełnił z właściwą sobie godnością i powagą. Pewnego razu wydał dekret, który, jak się później okazało, nie był słuszny, odszukał więc pokrzywdzoną stronę i z własnej szkatuły zapłacił kilkadziesiąt tysięcy złotych. To samo głębokie poczucie uczciwości i czujna

świadomość obowiązków obywatelskich zniewoliła go do przywrócenia mieszkańcom dziedzicznego miasteczka Białaczowa ich dawnych praw i korzyści, które im z mocy przywilejów królewskich przysługiwały, a które z biegiem czasu byli utracili.

Uwolnił ich zatem od uciążliwych powinności wiejskich, nadał im 19 włók gruntu i przepisał nader rozsądną organizację, odznaczając się dbałością o dobrobyt materialny mieszkańców, ich stan moralny i umysłowy. Czynił to, jak sam zeznaje, «dogadzając użyteczności krajowej, która z pomnożeniem osiadłości miast i manufaktur rzemieślniczych powiększa się, a razem czyniąc ulgę w uciążeniu, oddając własność, jaka komu należy.»¹⁾ Nie dziw więc, że powszechnie ubiegano się, aby takiego męża mieć swym polubownym sędzią, że najzawikłańsze i najdawniejsze sprawy oddawano dobrowolnie pod jego wyrok. Nie dziw też, że powołano go jednogłośnie do przewodniczenia sejmowi, w którym tyle pokładano nadziei. Podczas pamiętnego sejmku Czteroletniego Małachowski wystąpił na szerszą widownię polityczną.

Już na kilka miesięcy przed sejmem kwestya, kto będzie jego marszałkiem, żywo zajmowała umysły. Kiedy projektowany przez króla Michał Granowski dał do zrozumienia, że się obowiązków, połączonych z tak ciężką odpowiedzialnością, nie podejmie, poczęto mówić głośno o Małachowskim. Stanisław August, jak zdawało się, podzielał opinię ogółu. Przyznawał, iż «najpozorniejszym i z wielu cnót, przymiotów, z popularności osobistej i imiennej, zdalby się najprzystojniejszym Małachowski, referendarz koronny.» Ta szeroka popularność «osobista i imienna» przeważała pewną niechęć króla do Małachowskiego, który z zasady trzymał się zdala od dworu i od wszechwładnego posła Stackelberga. Po odbytych w maju r. 1788 sejmikach Małachowski obrany został posłem od województwa Sandomierskiego. Obiór jego na marszałka zdawał się być pewnym. Wówczas Kołłątaj zaczął pisać swoje znakomite «Do Stanisława Małachowskiego o przyszłym sejmie anonima listy», w których rozwijał program podźwignięcia Rzeczypospolitej. Projektowany marszałek nie zgadzał się jednak z królem co do zasadniczej kwestyi sposobu zawiązania przyszłej konfederacyi. Król i po-

seł rosyjski żądali, ażeby konfederacya zaczęła się przed sejmem i żeby ją zawiązała Rada Nieustająca. Chciano w ten sposób już z góry oddać sejm pod dyktando Rady i zabezpieczyć sobie przeważny wpływ na jego czynności. Małachowski był temu wręcz przeciwny. Według jego zdania, konfederacyę miał zawiązać sam sejm już po swem ukonstytuowaniu się i po obiorze marszałka dla tem lepszego zachowania sobie zupełnej prawowitości i niezawisłości. Pomimo nalegań a nawet groźb Stackelberga, Małachowski ani na krok nie odstąpił od tej zasady i tylko pod tym warunkiem obiecywał przyjąć łaskę marszałkowską. Wtedy zaczęto mu szkodzić od dworu i ambasady Stackelberga i szukano już innego kandydata, atoli bezskutecznie; 6-go października zebrał się sejm, tegoż dnia jednogłośnie obrano marszałkiem Małachowskiego. Następnie sejm zawiązał się w konfederacyę. Małachowski już w tytule marszałka sejmowego został marszałkiem konfederacyi koronnej. Wielki sejm nie mógł być zaiste lepszego uczynić wyboru. Znakomitszy od niego mówca mógłby zapewne z ławy poselskiej większe uczynić wrażenie, uczeńszy polityk mógłby i po za sejmem wpływać piórem na opinię ogółu, wszakże u steru potrzebny był człowiek przede wszystkim prawy, uczciwy, niezłomny. Takim zaś był Małachowski. Takim go znano przed sejmem i takim się okazał marszałkiem. «Dążenie moje do tej chlubnej w narodzie usługi nie mocą dumy powziąłem, lecz szczerością ducha usługi mej ojczyźnie, którą nad własność istności mojej przekładam», — rzekł, otwierając obrady sejmowe, i odtąd tej «szczerej usługi duchowej» przez lat cztery ciągle składał dowody. Praca szła opornie. Trzeba było zwalczać prywatę u góry, wiekowe uprzedzenia u dołu. Pomnażał sobie trudności marszałek, wszelkiemi siłami dążąc do jednomyślności uchwał: nieraz po kilka godzin trawił na jednaniu i przekonywaniu zaślepionej opozycyi. Odzywały się w nim tutaj dawniejsze z przed ćwierć wieku tradycye zaszczerpionego szacunku dla «wolnego głosu», który był szanował ongi w swoim proteście na sejmie konwokacyjnym. Zagrzewając naród do ofiarności, sam pierwszy dawał jej przykład. Pracował bezpłatnie a gdzie mógł, tam własnym majątkiem przychodził z pomocą skarbowi. Tak np. dla ułatwienia pożyczki u bankierów krajowych, ofiarował hy-

¹⁾ Acta maj. canc. Reg. A., 1788.

potekę we własnych dobrach do wysokości 800,000 zł. W r. 1790 przesłano z jego szkatuły 180,000 zł. do Berlina za broń, której bez gotowizny nie chiano wydać. Gdy w 1792 r. król oświadczył zamiar przystąpienia do Targowicy, a ubóstwem skarbu tłumaczył niemożność dalszego prowadzenia wojny, wówczas własnym milionem próbował ratować ojczyznę i dobre imię króla. W krótkich przerwach pomiędzy całodziennymi sesjami nie dawał sobie spoczynku. Brał czynny udział w wyznaczonej przez sejm deputacyi do interesów zagranicznych, w tajnym Komitecie do spraw galicyjskich, na swoje barki wziął starania o armię, wypracowanie projektu o komisaryacie wojskowym, a po jego uchwaleniu, zajął się projektem rozlokowania i opatrzenia wojska. Nareszcie wspólnie z Ignacym Potockim, ks. Piatolim i Kołłątajem przystąpił do zamierzonej poprawy rządu. Ustawa 3-go maja 1791 r. była tej pracy koroną. W szczególności popierał gorąco Małachowski dążenia mieszczan do rozszerzenia swych praw politycznych. Po śmierci Dekierta, który schodząc ze świata, polecił mu niedokończoną przez siebie sprawę, Małachowski jeszcze gorliwiej zajął się skrzywdzonym stanem; jakoż za jego gorącym poparciem 18-go kwietnia 1791 r. stanęło prawo o «miastach», nadające mieszczanom nieetykalność osobistą i prawo nabywania gruntów. Wówczas Małachowski dla zwalczania tlejących jeszcze u szlachty uprzedzeń, pierwszy wpisał się w księgę mieszczan warszawskich i, jako obywatel miasta, przyjął prawo miejskie. «Stając przed waszmość panami, — odezwał się do zgromadzonych w ratuszu urzędów miejskich — żądając być przypuszczonym do społeczeństwa miasta Warszawy, w którym skład pierwszeństwo w magistracie poważając, winną mi oddaję cześć. Gdy prawo obecnie otwiera mi drogę dopraszać się u W.W.P.P. pozwolenia wpisania się w księgę obywatelstwa miasta tutejszego, chcę dopełnić tego prawa, którego w części byłem twórcy. Dzisiaj w posłuszeństwie jemu przystępuję do W.P.P. w chęci łączenia się z nimi nie tylko obywatelstwem z posesyi, lecz oraz z ich gorliwością ku wspólnej ojczyźnie, której widoczne dawaliście dowody». Ustawa majowa nie obdarzyła włościan wolnością osobistą, otoczyła ich tylko opieką prawa i ograniczyła samowolę szlachecką, resztę pozostawiając jakby dobrejwoli

dziedziców. Małachowski natychmiast spełnił ten moralny obowiązek. Odezwą do urzędników stych ośmiu wsi dziedzicznych, datowaną 29 kwietnia 1791 r., znosi poddaństwo włościan w swych dobrach, a pobudki, które go zniewoliły do tego, tak tłumaczy: «Najwyższa Opatrzność gdy mnie raczyła obdarzyć losem umieszczenia w tym stanie urodzenia, do którego przydała majątek, składający się z dóbr, osadzonych ludźmi stanu chłopskiego będących, których z mocy religii, jako bliźnich, a z czułości serca, jako pracujących, mając za uczestników do majątku mego, powziąłem myśl w wywiązaniu się im nadaniem wolności w mych dobrach zostającym, chcąc wskazać, iż szcząc się być ich panem, nie zapominam być ich ojcem». Zniósłszy poddaństwo, zawarł z włościanami umowę co do wzajemnych praw i obowiązków, nadto obmyślił dla nich kilka pożytecznych urządzeń, jak np. kasę gromadzką, do której składać miano kary pieniężne, przeznaczone następnie dla najuboższych włościan. Pamiętał o nich i w testamencie swoim, zapisując na każdym kluczu swych majątności po 60,000 zł, od których procenty iść miały na utrzymanie w tych wsiach «aptekarzy i chirurgów», oddanych na usługi ludu. Po upadku sprawy krajowej Małachowski zaniósł do ksiąg ziemskich warszawskich energiczny manifest (25 lipca 1792 r.) przeciw aktowi targowickiemu, poczem opuścił kraj i udał się do Saksonii, razem z Ig. Potockim, Tad. Mostowskim, Kołłątajem i innymi, bawiąc kolejno w Lipsku i Dreźnie. Po kilku latach pobytu we Włoszech powrócił do Galicyi i osiadł na wsi. W 1798 r. obwiniono go o knowanie spisków tajemnych w Medyolanie, oddano pod ścisły nadzór policyjny razem z Potockim Ignacym, Stanisławem Sołtykiem i innymi, a w końcu uwięziono i przewieziono do Krakowa, gdzie go trzymano przez ośm miesięcy. Pod koniec rządów pruskich mieszkał w Warszawie. W grudniu 1806 roku, na czele szczupłego grona dawnych uczestników sejmu witał Napoleona w murach Warszawy; 14-go stycznia 1807 r. został mianowany przez niego prezesem tymczasowej komisji, mającej rządzić w imieniu cesarza częścią ziem polskich, zajętych przez francuzów. Po ustanowieniu Księstwa Warszawskiego został umocowany do odebrania Księstwa w imieniu Fryderyka Augusta z rąk umyślnego komisarza francuskiego. Je-

dnocześnie otrzymał nominację na prezesa rady ministrów nowo-utworzonego Księstwa. Wiek i nadwątłone zdrowie nie pozwoliły mu długo zajmować nowego urzędu. Choć zrazu chciał «poświęcić spokojność, jakiej wiek jego i słabość nakazno wymagały,» jednakże w kilka miesięcy musiał prosić o uwolnienie go od ciężkich obowiązków. Mianowano go wtedy prezesem senatu (1808 r.). W tych czasach raz jeszcze dał dowód swego obywatelskiego serca, kiedy ratując skarb księstwa, który nie był w stanie zapłacić dworowi wiedeńskiemu za sól, zapisał na własnym majątku milionową kaucję sum należnych. Dnia 2-go grudnia 1808 roku sędziwy prezes senatu witał w Warszawie elektora saskiego, którego ongi przed siedemnastu laty w tych samych murach za wolą narodu do tronu polskiego powoływał. 10-go marca 1809 r. rozpoczął się pierwszy sejm księstwa. Głos zasłużonego męża po raz ostatni obył się o mury sali sejmowej. W kilka miesięcy potem zachorował ciężko i 29-go grudnia zmarł w 74-m roku życia. Miłość powszechna, jaką zaszczerpił w narodzie, znalazła wyraz w licznych, tchnących uwielbieniem mowach pogrzebowych i poświęconych jego pamięci obchodach żałobnych we wszystkich miastach Księstwa. Najwymowniejszym dowodem tego, jakie poważanie i szacunek wzbudzał nawet w cudzoziemcach i jaką miarą oni cenili jego zasługi — jest list, pisany z powodu jego zgonu przez ówczesnego rezydenta francuskiego w Warszawie, barona Serre do Niemcewicz: «Zgon tego męża — pisze Serra — jest dla

ojczyzny waszej ciężką stratą, byłby nią nawet i wtenczas, kiedyby wiek i słabość nie były mu dłużej pozwoliły być pożytecznym; bo obecność męża sprawiedliwego jest podniętą do czynienia dobrze, hamulcem do wstrzymania od złego. Jest to żyjący ster, który kieruje rządzącymi, jest to magistratura dobroczynności, która zasłania i broni rządzonych. Życzyć należało, żeby Stanisław Małachowski mógł być dłużej sprawować tę wielką władzę, którą mu wyższość cnót nadawała.»¹⁾

Ob. ogł. drukiem: 1) «Mowa Sandeckiego na sejmie convocationis 19 Juni 1764»; 2) Mowa, przy reasumpcyi trybunału koronnego dnia 1-go 7-bris r. 1774 w Piotrkowie miana», i «Mowa Małachowskiego przy powitaniu palestry». (Zabawy przyjem. i pożytn., t. X, str. 257). «Głos przed przyjęciem prawa miejskiego na d. 29-go kwietnia 1791 r. miany.» «Mowa w kościele św. Krzyża dnia 3-go maja 1792 r.» «Manifest przeciw związkowi Targowickiemu 25-go lipca 1792 r.» «Wzór dobrej ekonomiki» (Pamiętnik Świtkowskiego 1791 r.). X. Ad. Prażmowski: «Kazanie w czasie obchodu pogrzebowego St. Małachowskiego 3-go stycznia 1810 r.» (Warszawa 1812 r.) An. Lipiński: «Kazanie na uroczystych egzekwiach za Stan. Małachowskiego» 1810 r. J. U. Niemcewicz: «Śmierć Stanisława Małachowskiego» (Gaz. Warsz. 1810 r.)

Józef Bojasiński.

¹⁾ Gazeta warszawska, 31 grudnia 1809 r.



Aloizy Feliński.

* 1771 † 1820.



Nie posiadamy dotąd historyi poezyi polskiej, nic więc dziwnego, iż w podręcznikach, podających treściwe zarysy dziejów literatury, nie są uwzględnione należycie zasługi licznych zastępu pisarzy, którzy w ostatniej ćwierci zeszłego wieku i pierwszej obecnego, a więc niemal przez pół wieku pracowali wytrwale nad podniesieniem piśmiennictwa polskiego na tę wyżynę doskonałości formalnej i bogactwa treściowego, jakie przedstawiały literatury zachodnie, francuska przede wszystkim.

Podczas gdy Bohomolec, Naruszewicz, Krasicki, Zabłocki, walcząc z ustępującą powoli ciemnotą, mu-

sieli być przede wszystkim pisarzami-pedagogami, wychowawcami, dbającymi głównie o szerzenie w formie przystępnej prawd moralnych, idei poli-

tycznych, rozwijanie samowiedzy ludzkiej i narodowej, to w miarę szerzenia się oświaty i znajomości obcych literatur, zaczęło się w kręgach inteligencji budzić z uspienia poczucie estetyczne, «dobry smak», jak się wtedy wyrażano.

Zestawienie utworów polskich z francuskimi, uwidoczniło czytelnikom rażące różnice w układzie i stylu, pozwalało dostrzegać liczne wady i błędy literatury ojczystej. Krasicki, który wyrzekł: «szczęśliwy, kto wdzięk wraz z



Aloizy Feliński

pożytkiem złączył», umiał być treściwym, lekkim i dowcipnym, lecz pisząc dużo i szybko, stara się przede wszystkim zadość uczynić rozlicznym potrzebom ówczesnych czytelników, stąd często zaniedbuje wymagania formy i porywa się na przedmioty, nie odpowiadające jego uzdolnieniu.

Młodsze pokolenie, wykształciwszy smak swój na utworach literatury francuskiej, nie gustuje już w utworach Bohomolca i Naruszewicza i umie krytycznie oceniać dzieła Krasickiego. Brak uczuciowości w duszy i pismach twórcy «My-szeidy» nie pozwoli mu pozyskać gorętszego uznania w kołach inteligencji, skupiającej się na dworze Czartoryskich i gustującej za przykładem księżny Izabeli w eleganckiej tkliwości sielek i romansów francuskich. W tych to kołach, w chwili najświetniejszego rozwoju twórczości księcia biskupa warmińskiego, ogłaszają za arcydzieło poezji polskiej cklew, lecz wymuskaną w formie przeróbkę drobnej powiastki Monteskiusza: «Świątynia Wenery», wydaną w Warszawie r. 1778, a dokonaną przez Józefa Szymanowskiego, domownika Czartoryskich. Pod wpływem pobytu na dworze Czartoryskich tłumaczy Karpiński «Ogrody» Delille'a (1783) i pisze rozprawę o wymowie w prozie albo wierszu (1787).

Nieliczne, ale świetne pod względem formy utwory Trembeckiego, budząc podziw w kołach inteligencji ówczesnej, podnosiły poziom wymagań estetycznych, których wyrazem będzie żywsze zapoznawanie się z literaturami obcymi i dążność krytyczna odnośnie do pldów ojczystego piśmiennictwa.

Przedstawicielem tych dążeń będzie Franciszek Ksawery Dmochowski (1762—1808), który w r. 1787 ogłosił swe przekłady angielskich poetów (Milton i Young) a r. 1788 wydał «Sztukę rymotwórczą». Podniecająca atmosfera epoki sejmu czteroletniego pobudzi do działalności literackiej cały zastęp młodych rymotwórców, których data urodzenia przypada około r. 1770. Kropiński, Tymieniecki, Feliński, Wyszkowski, Koźmian, Słowacki Euzebiusz, Osiński, będą wśród tego grona przedstawicielami dążności do podniesienia poezji polskiej przez ściśle przestrzeganie wymagań formalnych. Do najzdolniejszych i najgorliwszych w tem dążeniu należy niewątpliwie sympatyczny twórca «Barbary» Aloizy Feliński.

Syn dość zamożnego ziemianina wołyńskiego, właściciela Wojutyna i Osowy, przyszedł na świat r. 1771 w Lucku, gdzie ojciec jego, jako sędzia ziemski, spędzał większą część roku. W okolicy Lucka mieszkali Czaccy, Olizarowie, Platerowie. Sędzia utrzymywał stosunki z Poryckiem, stąd Aloizy zaprzyjaźnił się ze starszym o 6 lat Tadeuszem Czackim. Nauki szkolne pobierał w Dąbrowicy (własność Platerów) u Pijarów. Stosując program Konarskiego, wprowadzili oni do planu nauk język francuski, którym Feliński władał lepiej, niż łaciną. Wcześniej także zaznajamia się z językiem angielskim i niemieckim. Utraciwszy ojca, udaje się przed r. 1788 na praktykę sądową do palestry lubelskiej, gdzie koleguje z młodym Kajetanem Koźmianem. Przysłuchując się napuszonym a bezsensownym mowom mecenasów, przy których byli dependentami, młodzieńcy nabierają wstrętu do zawodu obrończego, a natomiast rozczytują się w poetach francuskich i sami próbują swych sił na przekładach, przeróbkach, lub okolicznościowych wierszykach. Tadeusz Czacki zabiera ze sobą Felińskiego r. 1789 do Warszawy, gdzie 18-letni młodzieniec zetknie się z prądami idei reformatorskich, uczuć patryotycznych i sympatycznie odbijającymi się w duszach młodych echemi wypadków paryskich. Uwielbienie swe dla Trembeckiego wyraził w wierszu mu poświęconym. W domu Stan. Małachowskiego zapoznaje się z przedstawicielami ówczesnego piśmiennictwa. Poznaje tu: Naruszewicza, Trembeckiego, Dmochowskiego, Kopczyńskiego, Wyszkowskiego. Ten ostatni z Tymienieckim i Rudzikiem są najbliższymi przyjaciółmi Aloizego. Wyszkowski, jako poeta, nie posiada wyższego uzdolnienia, ale natomiast ma rozległe wykształcenie i smak wytrawny. Tymieniecki góruje uzdolnieniem. Za pośrednictwem Czackiego Feliński podejmuje się obowiązków nauczyciela przy młodym Janie Tarnowskim. Stąd przebywa w latach od 1791 do 1794 to w Krakowie, to Dzikowie. W r. 1794 pełni przy Kościuszcze obowiązki sekretarza do korespondencji francuskiej. Po upadku powstania przybywa do Dzikowa, gdzie szukać będą czasowego schronienia także Wyszkowski i Tymieniecki. Wróciwszy r. 1795 na Wołyń do rodziny, rozczytuje się w «Emilu» Rousseau'a. «Tysiąc rzeczy znajduję w nim wybornych, tysiąc myśli nad nim mi przychodzi», powiada w jednym ze

swych listów. Poezya i filozofia francuska są przedmiotem gorącego uwielbienia, jakie wyraża Feliński zarówno w listach do przyjaciół, jak i w nielicznych utworach wierszowych, a zwłaszcza w wierszowanym liście do Wiśniowskiego, pisanym roku 1799. Skreśliwszy tu dość krótko i chłodno uczucia, wywołane wspomnieniami sejmku Wielkiego i późniejszych, smutnych wypadków, winszuje przyjacielowi, że nie zaciekać się z Platonem nad początkiem i celami wszelkiego bytu, woli «używać życia», nie wierząc w uszczęśliwienie ludzkości przez stosowanie systemów różnych doktrynerów i szczęścia tego szukać raczej w przyjaźni i cichej pracy życia ziemiańskiego, któremu się sam oddaje od r. 1795, objawszy w dzierżawę aż trzy wioski wołyńskie: Wojutyn, Osowę i Klepacze. We wspomnianym powyżej wierszu wypowiada Feliński uczucia, jakie w nim budzili ulubieni pisarze: Rousseau, Voltaire, Racine, Pope, Sterne, a z rzymskich: Wergili i Horacyusz.

Autora «Zairy» i «Mahometa» uważa za «wieczny wzór gustu, dowcipu i pisania.» O twórcy «Emila» powiada, że «dusza zachwycona» znajduje w nim «wymowę Peryklesa i cnotę Platona», że, oczarowany postaciami «Nowej Helizy», «twórcę tych pięknych marzeń czci, jak bóstwo.»

Poślubiwszy r. 1800 siedemnastoletnią Józefę Omiecińską, osiedla się w wygodnie urządzonej Osowie. W niedalekiem sąsiedztwie, w Horochowie mieszkającego uczeń, Jan hr. Tarnowski. Pogodne dni życia zamąca chwilowo zgon siostry poety Emilii, pięknej, wysoko wykształconej i utalentowanej osoby.

Sława, którą pozyskał w salonach arystokratycznych Europy, a u nas za wpływem dworu puławskiego Delille swemi poematami sielankowo-dydaktycznymi, pobudziła Karpińskiego do przekładu jego «Ogrodów», a Felińskiego do spolszczenia świeżo w r. 1800 ogłoszonego utworu, «L' homme de champs», nazwanego po polsku «Ziemianin.» Wyjątki z tej pracy pomieścił «Nowy pamiętnik warszawski» Dmochowskiego z roku 1802, a całość ukazała się dopiero w wydaniu zbiorowem pism Felińskiego roku 1816 w Warszawie.

Przekład ten, dokonany przez rozmiłowanego w powabach życia wiejskiego poetę-ziemianina blizkiego bardzo Dellile'owi nastrojem uczucio-

wym i dobrym smakiem, przedstawia w rozwoju naszej poezyi pojaw, nieoceniony dotąd należycie pod względem piękności wiersza 13-to zgłoskowego, płynącego w licznych ustępach ze swobodą, prostotą, wdziękiem i szczerością uczucia. Nikt przed Felińskim, a po nim Mickiewicz dopiero, nie potrafił takim językiem mówić o przyrodzie i życiu wiejskiem. Zarówno w «Zimie miejskiej», jak w «Dziadach» i «Panu Tadeuszu» znajdziemy nieraz jakby echa bezwiedne «Ziemianina», znanego niewątpliwie wielkiemu poecie. Rozbudzenie się życia narodowego po wypadkach r. 1807 podnieci Felińskiego do podjęcia pracy nad utworem oryginalnym, pozwalającym na wypowiedzenie uczuć żywiej bijących serc. Za przykładem Kropińskiego, którego «Ludgardę» odczytywał w rękopisie r. 1809, bierze za bohaterkę bliższą sercu królowę i, zapoznawszy się z tłem dziejowym, w ciągu lat dwu tworzy ze zwykłą całemu kolu klasyków starannością i powolnością swe arcydzieło: «Barbarę», ukończoną latem r. 1811. Wierny zwyczajom koła, posyła rękopis przyjaciołom poetom do oceny i dopiero w r. 1815 wyjeżdża do Warszawy z zamiarem ukazania światu «Barbary» wraz z innemi do druku przygotowanemi tworami.

W r. 1816 ukażą się wreszcie «Pienia własne i przekładania wierszem Aloizego Felińskiego. Tom pierwszy, Warszawa. W drukarni rządowej.» Na stronie odwrotnej karty tytułowej czytamy: «Wolno drukować. Julian Ursyn Niemcewicz» Śpiewak «Śpiewów historycznych» wystąpił tu w obcej mu roli cenzora, może przez życzliwość dla twórcy «Barbary», która odczytywana w rękopisie po salonach warszawskich, wywoływała nieopisane wrażenie. Wystawienie na scenie warszawskiej (23 lutego 1817 r.) spotęgowało entuzjazm.

Do powodzenia teatralnego i rozgłosu literackiego tragedyi przyczynił się, obok zalet pięknego, miejscami podniosłego wysłowienia, potocznego, harmonijnie brzmiącego wiersza, zarówno nastrój ówczesnego społeczeństwa, podnieconego w uczuciach i nadziejach przez wstrząsające wypadki, jak i sama ośnowa utworu, wprowadzającego na scenę świetną przeszłość w tych zidealizowanych zarysach i obrazach, jakie przy braku krytycznej znajomości dziejów stanowiły cały zasób wiedzy historycznej ówczesnej inteligencji.

Patryotyzm, górujący w duszach postaci dramatu nad innemi uczuciami, choć sprzeczny z prawdą dziejową i psychologiczną, odpowiadał gorączkowemu podnieceniu chwili. Też same warunki utoryją drogę «Śpiewom historycznym» Niemcewiczowi do serc ówczesnych i późniejszych pokoleń.

W czasie bytności w Warszawie przejęty uczuciem wdzięczności dla cesarza Aleksandra I, napisał Feliński głośny tak później hymn, który przez pewien czas był w użyciu, jako urzędowy.

Hymn ten pomieścił «Pamiętnik warszawski» z r. 1818 p. t. «Hymn na rocznicę ogłoszenia Królestwa polskiego, z woli naczelnego wodza, wojsku polskiemu do śpiewu podany z muzyką Jana Kaszewskiego.» Wyrazem zaszczytnego uznania, jakie pozyskał w Warszawie, była uczyniona mu propozycja oddania katedry literatury przy świeżo zakładanym uniwersytecie, z uposażeniem, dochodzącym do 12.000 złp. rocznie.

Feliński, nie czując się odpowiednio uzdolnionym, odmówił przyjęcia. Powróciwszy do domu, otrzymał niezadługo nową propozycję od ks. Adama Czartoryskiego, jako kuratora szkół, co do objęcia stanowiska profesora literatury i dyrektora zakładu w liceum krzemienieckim Czartoryski dla dodania powagi nie mającemu stopnia naukowego poecie, przysłał mu dyplom na członka honorowego uniwersytetu wileńskiego. We wrześniu 1818 r. Feliński zgodził się na przyjęcie tych zaszczytnych, lecz trudnych obowiązków, ale dopiero 1 września 1819 r. odbyła się urzędowa instalacja.

Nowy kierownik wziął się z wielką żarliwością do podniesienia chylącego się ku upadkowi

zakładu, starając się wzmocnić ducha karności i pracy wśród młodzieży, zaprowadzić ład w administracyi, ale zabiegom tym położył kres zgon przedwczesny a nagły w dniu 23-go lutego roku 1820. Wyrazem żalu ogólnego był okazały pogrzeb i uczczenie pamięci zmarłego przez złożenie znacznego funduszu na stypendya dla uczniów szkoły krzemienieckiej.

Po śmierci poety pozostała wdowa przy pomocy hr. Gustawa Olizara, przyjaciela i sąsiada Felińskiego, wydała w Wilnie nieogłoszone dotąd utwory p. t. «Pisma własne i przekładania wierszem Aloizego Felińskiego.» Wilno, 1822 r. W jednym tomie mieści się tu «Barbara,» po raz pierwszy drukiem ogłoszona, tudzież przekłady dwu tragedyi: «Radamist i Zenobia» Crebillona i «Virginia» Alfierego. Przekłady te powstały już po napisaniu «Barbary» między r. 1812 a 1816.

Pomimo gorącego uznania dla «Barbary,» nikt nie zajął się wydaniem całkowitego zbioru utworów Felińskiego, który położył przecie niepoślednie zasługi dla języka i poezyi polskiej zarówno przekładem «Ziemianina» Delille'a, wnoszącym do literatury pełne wdzięku i żywej uczuciowości obrazy życia wiejskiego, jak i «Barbarą,» wprowadzającą w majestacie podniosłości klasycznej, ożywionej gorącym patryotyzmem, szereg świetnych postaci z wielkiej epoki naszych dziejów. Życie i działalność Felińskiego przedstawił w pięknym i zajmującym zarysie Klemens Kan-tecki w pracy: «Dwaj Krzemieńczanie.» Lwów 1879 roku.

Bron. Chlebowski.





August Cieszkowski.

* 1814 † 1894.

August Cieszkowski pochodził z rodziny szlacheckiej, osiadłej na Podlasiu. Urodził się 14 września 1814 roku. Gdy doszedł wieku 5-0 letniego, dostał za wychowawczynię baronową La Haye, która wtedy właśnie opuściła swego poprzedniego pupila, 7-0 letniego Zygmunta Krasińskiego. Po raz pierwszy, zdaje się, poznały się wówczas te dzieci, które później urosły na znakomitych mężów i związali się w wieku dojrzałym szczerą przyjaźnią.

Mało wiadomo o latach dziecinnych Augusta. Młodzieńcem będąc, podążył na uniwersytet do Berlina, dokąd licznych słuchaczy ściągali wówczas głośny profesor filozofii Michelet, uczeń słynnego Hegla. Zostając pod wpływem nauki tego filozofa, nie szedł Cieszkowski ślepo jej śladem. Wcześniej dojrzały umysł krytycznie i samodzielnie ją przetapiał. Mając zaledwie lat 24, ogłosił on po niemiecku dziełko pod tytułem: *Wstęp do filozofii dziejów* (*Prolegomena zur Historiophilie*, Berlin, 1838), w którym zgodnie z duchem filozofii polskiej przeciwstawiał *myśli*, podniesionej na najwyższy szczyt przez filozofię niemiecką, *czyn*. Filozofia myśli, tłumaczył on, spełniła zadanie swe przez Hegla; teraz przyszedł czas na filozofię woli. Jak sztuka, osiągnąwszy kształt klasyczny, wyszła poza siebie i rozwiązała się w formy romantyczne, a jednocześnie władztwo swoje wszechświatowe odstąpiła filozofii, tak i filozofia znajduje się na tym punkcie, w którym sama siebie musi przekroczyć i ustąpić miejsca panującego życiu społecznemu. Myśl powinna wcielić się w czyn, przekształcając ludzkość.

Szukając owych krajów czynu, udał się Cieszkowski do Francji i Anglii. W r. 1839 ogłosił w Paryżu dzieło *O kredycie i obiegu* (*Du crédit et de la circulation*), które zwróciło na młodego autora uwagę ekonomistów. Myślą jego zasadniczą jest stworzenie *warantów realnych*, t.j. papierów obiegowych, zastępujących pieniądze, a opartych na własności nieruchomości i procentujących. W ten sposób wytworzyłby się środek obiegowy, nie wymagający ogromnego nakładu pracy dla swego wytworzenia (jak złoto i srebro), a pozwalający uruchomić i zastosować do produkcji wszystkie kapitały, jakie naród posiada. Myśl, zbliżoną bardzo do tej, podjęło niedawno stronnictwo papierowych pieniędzy w Stanach Zjednoczonych Ameryki.

Bawiąc przez pół roku we Włoszech (w r. 1840), odnowił tu Cieszkowski znajomość z Zygmuntem Krasińskim, który przejął wiele z jego poglądów filozoficznych i filozoficzno-dziejowych i wcielił je w utwory swoje poetyckie. Tu zaznajomił się z dziełami sztuki. Spędzał często ranne godziny wśród ruin Kolizeum lub na Forum, odczytując dawnych lub nowych historyków Rzymu.

Powróciwszy po tych wędrówkach i studiach do kraju, spotkał się młody uczonec z uznaniem ziomeków, ale i z wyrzutami, że dotąd jeszcze nic po polsku nie wydał. Jakoż niebawem przystąpił do pracy na niwie ojczystej.

W 1841 r. zorganizowała się redakcja *Biblioteki warszawskiej* i podzieliła się na sekcje według rozmaitych gałęzi wiedzy. Cieszkowski zo-



Według współczesnej litografii

August Liebowitz

stał członkiem redakcji i pracował w kilku sekcjach. Ogłosił niebawem w tem piśmie *Rzecz o filozofii jońskiej, jako wstęp do historii filozofii*, w której surowiej niż w pierwszym z pism swoich krytykował Hegla, zarzucając mu, że niewłaściwie w logice swojej podnosił kategorię *ilości* po nad *jakość*. W r. 1842 wydał pismo niemieckie o *Bogu i palingenezie* (*Gott und Palingenesie*. Berlin), w którym broni osobowości Boga i nieśmiertelności duszy przeciwko swemu profesorowi Michelet'owi. Obok tego ogłosił Cieszkowski szereg artykułów o zagadnieniach praktycznych: *O ochronach wiejskich* (Bibl. warsz. 1842); *Uwagi nad obecnym stanem finansów angielskich* (tamże); *Organizacya handlu drzewem i przemysłu leśnego* (tamże, 1843); *O wystawie berlińskiej* (tamże, 1844); *O skojarzeniu dążeń i prac umysłowych w W. Ks. Poznańskim* («Rok», 1843). Wydał także po francusku mowę swą niemiecką, wygłoszoną na zebraniu Tow. rolniczego pruskiego *O środkach polepszenia losu ludności wiejskiej* (*Sur les moyens d'améliorer le sort de la population des campagnes*. Paryż, 1845; toż samo po niemiecku w Berlinie, 1846). Zaleca on w niej ochrony wiejskie, dbałość o zdrowie i podeszły wiek robotników ze strony właścicieli ziemskich, oraz przypuszczenie do udziału w zysku (tantiemę) robotników i oficyalistów.

Zajmowały go również i zagadnienia polityczne. W rozprawie o *Lordowstwie i arystokracji współczesnej* (*De la Pairie et de l'Aristocratie moderne*. Paryż, 1844) zajmuje się reformą izby wyższej. Występuje przeciw przyjętej we Francyi zasadzie *wyborów*; uważa *dziedziczność* za dobrą w Anglii, gdzie szlachta sama wytworzyła konstytucyę, ale potępia ją we Francyi, a zaleca natomiast zasadę *kooptacyi* czyli przybierania nowych członków przez samą izbę. Przez wybór taki ludzi utalentowanych i zasłużonych, pochodzących ze wszystkich warstw narodu, wytworzy się nowy patrycyat ludowy, który zastąpi dawną arystokrację, opartą na przywileju.

Rozprawka *O romansie nowoczesnym* (w Bibliotece warsz. 1836 r. i osobno) zajmuje się spóskcznem znaczeniem powieści. Domaga się Cieszkowski, aby przeprowadzana była w każdej myśli głębsza i wejrzenie w potrzeby społeczne chwili. Podobne traktowanie powieści nie tylko nie sta-

nowi ujmy dla jej estetycznej wartości, lecz ją podnosi, pogłębiając wpływ na czytelnika.

W r. 1847 przeniósł się Cieszkowski do W. Ks. Poznańskiego i brał czynny udział w miejscowem życiu społecznem. Po ogłoszeniu w roku 1848 głównego dzieła swego pod tytułem: *Ojciec nasz* wydał szereg broszur o rzeczach tej dziedziny dotyczących. W 1849 roku ogłosił broszurę o *Źródłach prawa państwowego i międzynarodowego, dotyczących stosunku W. Ks. Poznańskiego do korony pruskiej* (po niemiecku); w r. 1852 kołatał w sejmie pruskim o założenie uniwersytetu w Poznaniu. W 1855 roku w broszurze niemieckiej *O ochronkach, jako podstawie wychowania ludu* zalecał zakładanie ochronek wiejskich. Już w roku 1843 poruszył myśl założenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a w r. 1857, kiedy myśl ta została urzeczywistnioną, był jednym z jego założycieli. W rocznikach tego towarzystwa ogłosił ostatnią swoją pracę filozoficzną p. t.: *O drogach ducha* (1863), którą później wydał osobno (1869). Założył wreszcie szkołę rolniczą w Żabikowie, która pomyślnie rozwijała się do r. 1878, kiedy pod naciskiem rządu Bismarkowskiego zamknięta została.

Doczekał się Cieszkowski 50-lecia pracy swej naukowej i społecznej, uczczonej przez ogół w roku 1893. W następnym 1894 r. 12 marca umarł w Poznaniu. Życiorys jego i ocenę prac umieścili pp. P. Chmielowski i J. B—r w *Ate-neum* (1894, kwiecień). Zaznaczyliśmy już treść i myśli przewodnie pomniejszych rozpraw znakomitego filozofa i ekonomisty. Zostaje nam teraz poświęcić kilka słów głównym jego pracom historyzoficznym: *Ojciec nasz* i *O drogach ducha*, w których rozwija, zmieniając je po części, myśli, rzucone już w niemieckich *Prolegomenach do historyzofii*.

Hegel, który w całej swojej filozofii przyjmował troisty typ rozwoju — od *twierdzenia* ku *przeczeniu*, czyli przeciwności twierdzenia i następnie połączenie krańcowości w *kojarzeniu*, uchylił się od niego w filozofii dziejów. Całość dziejów rozdzielił on na cztery okresy: wschód starożytny (wiek dzieciństwa ludzkości), grecki (wiek młodości), rzymski (wiek męski) i chrześcijańsko-germański (świadome pogodzenie woli bezwzględnej z wolą jednostki). Cieszkowski przyjął zasadę ogólną rozwoju dyalektycznego (ze sprzeczności),

Zboczenie od niej w dziejach uważał za słabą stronę nauki Hegła, a przytem zarzucał mu pominięcie przyszłości. Przyszłość tę można określić trojako: *uczuciem*, t. j. przewidywaniem, jak to czynili prorocy; *myślą*, jak czynią filozofowie dziejów, lub *wolą*, jak czynią wykonawcy dziejów, ci, którzy spełniają ideał. Całość dziejów dzieli Cieszkowski na trzy okresy. Pierwszy do Chrystusa charakteryzuje się przez panowanie prawa czyli przymusu zewnętrznego, jest to twierdzenie; drugi od Chrystusa do naszych czasów; cechuje go panowanie moralności, więc świata wewnętrznego; jest to przeciwność pierwszego okresu, czyli antyteza; wewnętrzny przymus pasuje się w nim i poskramia potęgę zmysłowości. Okres trzeci jest przyszłością, czyli kojarzeniem obu poprzednich przeciwności. Cechą jego będzie zakon woli, czyn. Filozofia czynu zastąpi filozofię spekulacyjną. Będzie to rodząca się filozofia słowiańska. I przyjdzie wtedy «królestwo Twoje», królestwo Boże na ziemi. Takie znaczenie ma tytuł dzieła «Ojcie

nasz.» Inne prośby, wypowiedziane w tej modlitwie, miały być filozoficznie wytłómaczone w następnych tomach dzieła, które, jak się zdaje, są w rękopisie, lecz dotąd nie wydane. «Drogi ducha» zajmują się środkami urzeczywistnienia celów dziejowych. Są niemi: sztuka, wiedza i urządzenia polityczne. Wielki nacisk kładzie autor na znaczenie warunków ekonomicznych. W biegu rozwoju dziejowego nastąpił rozbrat między sztuką a wiedzą. Jest to wszakże zjawisko przemijające. Pojednanie wszystkich czynników cywilizacyjnych, niezbędne dla osiągnięcia celów dziejowych, stanowi powołanie szczepu słowiańskiego. Te głębokie rzuty, to ujęcie przeszłości i program przyszłości, w ogólnym zarysie nakreślone, każą spodziewać się wiele po utajonych dotąd rękopisach sławnego myśliciela, każą pragnąć, aby jak najrychlej światło ujrzały.

Wł. M. Kozłowski.



Elżbieta z Krasińskich Jaraczewska.

* 1792 † 1832.

Rodziny społecznej powieści polskiej przypadają na czas ukazania się utworu Ignacego Krasickiego p. t. «Pan podstoli» (1778 — 1784), w którym autor, wzięwszy rozbrat ze wszelką cudownością, charakteryzującą dotychczasowe, z rzadka ukazujące się powiastki, po raz pierwszy w naszej literaturze oparł swe opowiadanie na gruncie rzeczywistym i skreślił szereg postaci, wziętych z codziennego życia szlachty polskiej, dając przytem wizerunek idealnego obywatela wiejskiego. Po Krasickim, uznanym słusznie za pierwszego powieściopisarza naszego, występuje w początkach XIX wie-

ku szczupłe zrazu grono autorów, z których Bernatowicz i Bronikowski, naśladując Walter-Scota, piszą powieści historyczne, inni zaś, jak: Julian Ur-

syn Niemcewicz, Fryderyk Skarbek (także w niektórych utworach mniejszego znaczenia naśladowcy pisarza angielskiego), Marya ks. Wirtemberska, której powieść «Malwina» (1817) cieszyła się niebywałem u nas dotychczas powodzeniem, Klementyna Tańska, wreszcie najznakomitsza z nich Elżbieta Jaraczewska — uprawiają w dal- szym ciągu powieść współczesną. Wszyscy powyżsi pisarze tworzą pierwszą fazę rozwoju powieściopisarstwa naszego, trwa-



jącą do czasu ukazania się utworów Kraszewskiego, który wpływ i znaczenie powieści znacznie rozszerzył i uczynił ogromny krok naprzód w jej udoskonaleniu artystycznym.

Elżbieta z hr. Krasieńskich Jaraczewska, urodzona w roku 1792 prawdopodobnie w Zegrzu z ojca Kazimierza Krasieńskiego (z linii oboźnińskiej Krasieńskich), wielkiego oboźnego koronnego, i matki Anny z hr. Ossolińskich, dzieciństwo swe spędziła bądź w Zegrzu, dziedzicznym majątku ojca, bądź w Warszawie, a następnie w Galicyi, dokąd rodzice jej udali się po rozbiórce kraju (r. 1795). Po śmierci ojca (1802) zamieszkała z matką i bratem starszym, Józefem (późniejszym adjutantem generała Kniaziewiczza) w Radziejowicach (o 6 mil od Warszawy). Tu rozpoczęła się edukacja 10-cio letniej dziewczynki, która wogóle otrzymała wykształcenie, jak na owe czasy, bardzo staranne, wszakże, zgodnie z rozpowszechnioną wtedy modą, napóły francuskie. Mając wybitne zdolności wrodzone i umysł otwarty, żądny wiedzy, młoda hrabianka ku zadowoleniu matki i nauczycieli czyniła szybko wielkie postępy w naukach, wykładanych jej w języku francuskim. Ponieważ najważniejszym przedmiotem, którym karmiono wówczas umysły młodociane, była literatura francuska, przeto i Jaraczewska przede wszystkim w niej się rozmiłowała i hołdowała jej później przez całe życie, a chociaż znała również dobrze literaturę niemiecką, a nawet współczesną sobie angielską, zawsze pierwszeństwo oddawała klasykom francuskim, uważając ich utwory za jedyny wzór godny naśladowania. Budzący się w jej czasach do życia romantyzm nie znalazł, jak się zdaje, w młodej autorce większego uznania; współcześni jej klasycy: Osiński, Koźmian, Kropiński i inni, uznawani byli przez nią za talenty pierwszorzędne, z romantyków zaś jeden tylko Brodziński zasługiwał na wyróżnienie, jakkolwiek wtedy już były w druku poezye Mickiewicza i stanowcze zwycięstwo w walce dwóch kierunków na jego przechylało się stronę. Taką wielbicielekłą klasyków pozostała Jaraczewska do śmierci, dzięki przedewszystkiem kierunkowi wykształcenia swojego, a następnie dzięki owym literackim powagom wówczas, które ośmieszały romantyzm i nawet na tak poważne, samodzielne i postępowe w wielu razach umysły, jak umysł naszej powieściopisarki, nie miały wpływu wywierały.

Wszakże natura, obdarzywszy młodą dziewczynę niezwyklei zdolnościami umysłowemi, poskapiła jej całkowicie wdzięków powierzchownych; hrabianka była brzydka, a prócz tego szpecił ją niemiłosiernie garb, nabyty skutkiem nieszczęśliwego przypadku. Raz bowiem, płynąc promem przez Narew pod Zegrzem, odprowadzała przyjaciółkę swą, która następnie przesiadła się do łodzi; chcąc ją raz jeszcze pożegnać, zeskoczyła do niej tak fatalnie, iż upadła na krawędź łódki i nadwreżyła sobie kolumnę pacierzową, a prócz tego złamała żebro.*) To kalectwo i brak urody był prawdopodobnie przyczyną, że Jaraczewska, unikając stale wszelkich liczniejszych towarzystw i przenosząc nad nie samotność wśród książek w domu rodzicielskim, postanowiła wreszcie wstąpić do kanoniczek w Warszawie; wszakże zamiar ten do skutku nie przyszedł, gdyż niebawem, ulegając namowom rodziny i przyjaciół, wyszła za mąż za dymisyonowanego oficera wojsk polskich, Adama Jaraczewskiego, człowieka, który «był wzorem prawości, rzetelności i wszelkich przymiotów, cechujących prawdziwie polską duszę.» Po ślubie osiadła z mężem w Borowicy w Lubelskiem, gdzie, stroniąc, jak i za lat panieńskich, od wszelkich zabaw towarzyskich, spędzała czas na czytaniu, urozmaicając je muzyką, przytem poświęciła się gorliwemu spełnianiu obowiązków obywatelskich. Wziąwszy sobie prawdopodobnie za wzór Czartoryskich, roztoczyła pieczołowitą opiekę nad włościanami, usiłując wytworzyć pomiędzy dworem i chatą stosunki przyjazne. W domu założyła apteczkę, zaopatrzoną we wszelkie środki lekarskie dla włościan, zobowiązała lekarza do stałego odwiedzania chorych w razie potrzeby, wreszcie sama często odbywała przechadzki do chałup wiejskich, nie odmawiając potrzebującym rad i pomocy. W tym właśnie okresie swego życia Jaraczewska występuje na polu literackiem, ogłaszając drukiem szybko po sobie następujące powieści: *Zofia i Emilia* (1827), *Wieczór adwentowy* (1828) i *Pierwsza młodość, pierwsze uczucia* (1829); prócz tego, idąc prawdopodobnie śladami Tańskiej, napisała książeczkę dla wieku młodocianego p. t.: *Upominek dla dzieci*

*) Teodor Żychliński, autor «Złotej księgi szlachty polskiej», utrzymuje, że Jaraczewska była ułomną od urodzenia.

(1828), zbiór krótkich powiastek moralnych, i na tem zakończyła zbyt krótką, ale, jak na owe czasy, dość wybitną działalność w zakresie literatury pięknej. Wypadki, które wkrótce potem zaszły, oderwały ją od pracy literackiej tembardziej, że mąż, do którego przywiązała się całą duszą, wziął w nich udział. Wówczas wyjechała do Krakowa, gdzie po kilku miesiącach otrzymała przerażającą wiadomość o śmierci męża, który umarł nagle na cholere; od tej pory, złamana tym ciosem, wiodła smutne, pełne przytem cierpień fizycznych życie, skutkiem rozwijającego się w piersi raka i niebawem 28 września 1832 roku umarła w zupełnem osamotnieniu.

Pierwszym utworem Jaraczewskiej była powieść dwutomowa p. t. *Zofia i Emilia*, w której autorka z niepospolitą odwagą uderzyła na wadliwe wychowanie kobiet w owym czasie, występując temsamem przeciw ogólnemu przekonaniu szlachty zamożniejszej i arystokracji, nie dopatrującej w niem żadnych zgoda braków. Właśnie widok owych karykatur społecznych, ofiar wadliwego wychowania, był jednym z najsilniejszych bodźców, które pobudziły Jaraczewską do tworzenia. Możemy bez wahania nazwać ją pierwszą u nas autorką, która uznała potrzebę racjonalnego kształcenia kobiet, zwróciła baczniejszą uwagę na tę najważniejszą kwestję społeczną i w poglądach swych na emancypację kobietą okazała się nierównie radykalniejszą i bardziej postępową, niż współczesna jej Tańska. We wstępie do powyższej powieści, Jaraczewska daje rzut oka na ówczesne wychowanie i stanowisko kobiety, «którą w nadto poetycznym względzie za piękną płeć uważając, jak płonny kwiat troskliwie tylko pielęgnowa, mało starając się nadać tej roślinie mocy i użytku; tak, jakby tylko do bukietu lub nie-trwałego wieńca przeznaczona, do użytecznych krzewów nie należała rzędu... Tym sposobem wychowane u nas kobiety, uważane z dzieciństwa, jak miłe cacka, potem jak istoty, przeznaczone iść niewolniczo jednym śladem, nie mając nigdy *samoistnienia* (samodzielności); później nareszcie w wieku ułudzeń, uważając się same jako heroiny wdzięcznego młodości romansu, niezdolnemi się stają wypełnić istotnego swego posłannictwa. Tworzą dla nich albowiem z życia ludzącą komedję, spuszczając zasłonę na właściwy jego cel i obowiązki i czyniąc je obcemi całej rozciągłości

szczęścia i cnót, zawartych w zawodzie dobrej żony, matki, pani i obywatelki; w smutnej je stawiają konieczności odrabiania przez drugą połowę życia odebranego w pierwszej wychowania.» Po przeczytaniu tych słów mimowoli nasuwa się nam porównanie Jaraczewskiej z Orzeszkową; zdania powyższe co do istoty swej niczem się zgoła nie różnią od tych, które spotykamy w «Panu Grabis» lub w «Pamiętniku Wacławy», chyba tem tylko, że są wypowiedziane z mniejszym nierównie talentem. Jaraczewska i tem także zbliża się bardzo do swej genialnej następczyni, że na dnie jej poglądów na stanowisko kobiet spoczywa idea ich samodzielności, którą ona pierwsza u nas wygłosiła, gdy tymczasem współczesna jej Tańska jakkolwiek nawoływała gorąco do reformy wykształcenia płci swojej, ale mimo to zawsze pragnęła widzieć kobietę zależną przez całe życie od mężczyzny. W powieści «Zofia i Emilia» autorka dla wykazania, co może z człowieka uczynić wychowanie, wyprowadza na scenę trzy kobiety: Delfinę Sławińską i dwie jej córki: Zofię i Emilię. Pierwsza z nich — to okaz kobiety wielkoświatowej, salonowej lalki, nie mającej najmniejszego pojęcia ani o pracy, ani o jakichkolwiek obowiązkach względem rodziny lub społeczeństwa; w gruncie kobieta dobra i uczciwa, ale zwichnięta przez wadliwe wychowanie, dzięki któremu stała się kobietą prózną, przestrzegającą pilnie konwenansów salonowych, niezdolną do spełnienia swych obowiązków jako żony i matki. To też wychowywana przez nią córka Zofia, pomimo bardzo starannej, jak na owe czasy, edukacji, staje się pod wielu względami podobną do matki, uważając siebie za istotę, przeznaczoną tylko do błyszczenia w salonach warszawskich. Natomiast całkiem inną jest siostra jej Emilia, wychowana na wsi przez rozsądnego ojca, dzięki czemu stała się wzorem kobiety rządnej, energicznej, pracowitej i pożytecznej dla społeczeństwa. W drugiej z kolei powieści Jaraczewskiej p. t. *Wieczór adwentowy* spotykamy również tu i ówdzie ujawniającą się kwestję wychowania i wykształcenia kobiet, dla których autorka pragnęłaby tych samych nauk, co i dla mężczyzn; jedna z jej bohaterek, jako typ dodatni, nietylko zna wyższą matematykę, ale nawet posiada doskonale język łaciński i tłumaczy klasyków rzymskich. Właściwie powieść tę możnaby nazwać bez-

tendencyjną, ponieważ kwestya kobieca jest w niej tylko ubocznie potrącona, a całość wypełnia obojętne opowiadanie o przeszłości własnej kilku osób, zgromadzonych wieczorem przy kominku. Wartość tego utworu polega właściwie na trafnem odmalowaniu przez autorkę kilku charakterów (najczęściej ujemnych), istniejących w owym czasie, a dziś już nie spotykanych, jak np. postać pani prokuratorowej, kobiety ograniczonej i przeziębłej na wskrós mianą francuszczyzny.

Najważniejszym utworem Jaraczewskiej ze względu na myśli przewodnie jest ostatnia jej powieść czterotomowa p. t. *Pierwsza młodość, pierwsze uczucia*, w niej bowiem obok licznej galerii różnych typów i charakterów owoczesnych (np. wizerunek starego kawalera, skąpca, pana, popisującego się swem bogactwem, ograniczonych i lubiących się stroić kobiet i t. d.) widzimy i tendencję, ujawnioną w poruszeniu dwóch nader doniosłych zagadnień społecznych. Pierwszem z nich jest kwestya wychowania wogóle zwłaszcza mężczyzn, które Jaraczewska uważa również za wadliwe, wytykając w niem przewagę francuszczyzny i lekceważenie mowy ojczystej, powierzanie edukacyi dzieci guwernerom francuzom, zwykłe ludziom bez wykształcenia, nie mającym najmniejszego pojęcia o pedagogice, i wykazuje skutki takiego wychowania, którego ofiarą w powieści staje się jeden z głównych jej bohaterów, Henryk Klonowski, młodzieniec, posiadający w głębi ducha najzaczniejsze pierwiastki, ale rozpieszczony i wydelikacowany, pełen zmiennych uczuć, sentymentalizmu, którego nie tłumiono we właściwym czasie, i nie posiadający najmniejszego pojęcia o obowiązkach człowieka. Rzuciwszy się w wir życia, nie mógł dla braku woli powściągnąć swych namiętności, jakkolwiek doskonale rozumiał i oceniał swoje postęпки, i wkońcu zginął w sile wieku zdala od ziemi rodzinnej. Drugiem ważnem bardzo zagadnieniem społecznem, poruszonem w powieści powyższej, jest kwestya włościańska, która od czasu sejmu Czteroletniego żywiej zajmowała wykształcone jednostki. Autorka w osobie Klonowskiego, jednego z głównych bohaterów utworu, daje wzór rozumnego obywatela, który w rozmowie z synowcem swym, Henrykiem, wygłasza szereg myśli obywatelskich, tyczących się stosunku dworu do chaty i myśli te czynem stwierdza. Tu Jaraczew-

ska przez usta swego bohatera najpierw zbija racjonalnie rozmaite zarzuty, czynione chłopom, a istotne ich wady tłumaczy złem obchodzeniem się z nimi nietyle samych właścicieli, którzy za zwyczaj przesiadują w wielkich miastach, ile ich rządzców i ekonomów, wyzyskujących lud bez litości. W dalszym ciągu szczegółowiej mówi, jak należy obchodzić się z chłopami i jakie są względem nich obowiązki obywatela; tu autorka wylicza to wszystko, co w niektórych miejscowościach zrobiono już za jej czasów i co sama uczyniła podczas swego kilkoletniego pobytu na wsi po zamążpójściu; a więc każe obchodzić się z ludem po ojcowsku, mieć na względzie jego konieczne potrzeby i czynić im zadość, zakładać po wsiach szkółki i apteki, utrzymywać lekarza i t. d., wogóle daje szereg rad i wskazówek, świadczących chlubnie o humanitarnych jej dążnościach, o poczuciu sprawiedliwości względem poddanych, wreszcie o istotnem zrozumieniu potrzeb społecznych.

Wszakże powieści Jaraczewskiej nie tylko ze względu na zawarte w nich myśli posiadają wartość niezwykłą; i pod względem artystycznym zajmują również wybitne miejsce w rozwoju naszego powieściopisarstwa. Wogóle sposób tworzenia widzimy w jej utworach taki sam, jak i u współczesnych jej autorów, t. j. spotykamy brak dialogu i żywszej akcji, a natomiast mamy całkowitą przewagę opowiadania bądź pochodzącego bezpośrednio od autorki, bądź włożonego w usta którejkolwiek z występujących osób. Idąc śladami Krasickiego, Jaraczewska opowiada sama nietylko o faktach, ale i daje bezpośrednio od siebie charakterystykę osób i wygłasza sąd o nich, zamiast, jak się to dziś dzieje, ukazać je w czynach przed oczyma czytelnika; skutkiem takiej podmiotowości powieść jest pozbawiona plastyki, tej najważniejszej zalety każdego utworu powieściowego. Mimo to w opisach przedmiotów spotykamy tu i ówdzie większą obrazowość, której nie posiada żaden z utworów tej pierwszej doby rozwoju powieściopisarstwa naszego. Mamy, zwłaszcza w ostatniej powieści Jaraczewskiej, doskonale nieraz opisy, np. opis jarmarku, przypominający styl Kraszewskiego, opis karczmy zajezdnej, pokoju starego kawalera i t. d. Oprócz spotęgowania obrazowości w opisach, zasługą Jaraczewskiej, jako powieściopisarki, jest wykluczenie

wszelkiego nieprawdopodobieństwa w przebiegu akcji, a natomiast tworzenie sytuacji naturalnych i prostych, wreszcie większa staranność w kreśleniu duchowej strony bohaterów, na którą do tego czasu mało zwracano uwagi. Obok zalet powyższych, utwory Jaraczewskiej odznaczają się wielką różnorodnością scen (branych zawsze z życia codziennego) i charakterów, skreślonych

naturalnie, bez widocznych błędów psychologicznych; wyjątki w tej mierze są bardzo nieliczne i bynajmniej nie przeszkadzają uważać naszej autorki wobec wyżej wymienionych zalet jej utworów za najwybitniejszą powieściopisarkę w pierwszej fazie rozwoju polskiej literatury nadobnej.

J. Nitowski.



Jan Nepomucen Kurowski.

* 1783 † 1866.



zgodnie do ogólnej liczby druków polskich, będących przedmiotem handlu księgarskiego w latach 1830—1860, książki

treści agronomicznej przedstawiały większy stosunek, aniżeli dzisiaj. Pośród nich zaś największą popularnością i płodnością autorską odznaczało się w owym czasie imię Jana Nep. Kurowskiego.

Zasłużony ten rolnik i pisarz zarazem urodził się r. 1783 we wsi Chaławach w Wielkopolsce z ojca Ignacego i matki z domu Suskiej. Szkoły początkowe ukończył w Poznaniu, a później kształcił się czas jakiś w Krakowie, w Halli i Paryżu. W r. 1806 już był

* dzierżawcą wioski Wilkowa pod Lesznem w Poznaniu, ale niebawem rząd księstwa Warszawskiego, oceniając jego zdolności, dał mu po-

sadę asesora ekonomicznego w prefekturze Poznańskiej. Wówczas to (r. 1812) zadzierżawił od tegoż rządu dobra Starołęki, złożone z pięciu folwarków i zaprowadził w nich pierwszy płodozmian w Polsce. Tutaj to Jan Nep. Kurowski przeżył całe lat 20, wiodąc żywot pracowitego ziemianina, i tak zasłynął jako wzorowy rolnik, że na miastnictwo poznańskie (na miastnikiem był wówczas książę Radziwiłł), wyjednano mu u rządu pruskiego wieczystą dzierżawę fol-



Jan Nepomucen Kurowski

warku Pławce w powiecie Szredzkim, jako nagrodę za wzorowe gospodarstwo w dzierzawionej obszernej królewskiej. Nie mając dzieci, Kurowski odstąpił prawo swoje do Pławców w r. 1823 Piotrowi Maciejewskiemu, swemu szwagrowi, i odtąd poświęcił się wyłącznie piśmiennictwu rolniczo-przemysłowemu.

Pragnąc spożytkować piórem dla ziomeków doświadczenia z dwudziestokilkoletniej praktyki zawodowej, Kurowski postanowił przenieść się do miasta, a że Warszawa stała zawsze na czele ruchu wydawniczego, opuścił więc Wielkopolskę i, osiadłszy w Warszawie, zaczął wydawać z początkiem r. 1834 «Pamiętnik» a później «Tygodnik rolniczo-technologiczny», obejmujący rolnictwo, gospodarstwo domowe, leśnictwo, ogrodnictwo, technologię miejską, chemię, fizykę i mechanikę rolniczą. Kurowski stał się autorem bardzo pracowitym, sumiennym i płodnym. Nie było żadnego nowego wynalazku, żadnej nowszej zasady w urządzaniu rolnictwa, żadnego odkrycia w technologii, którychby zaraz nie podnosił, bądź w artykułach swego czasopisma, bądź w oddzielnych broszurach, obszerniejszych traktatach i dziełkach. Nie ubiegał się za oryginalnością autorską, ale chętnie korzystał i z obcych autorów, zwłaszcza niemieckich, i prace takich pisarzy, jak: Dombas, Mateuf, Elsner, Kausche, Knigge, Pfeil, Müntz, Peterka, Rohlwe, Wagenfeld, Magne, Sachs i innych wcielał do polskiego piśmiennictwa agronomicznego, stosowując umiejętnie do naszych potrzeb, klimatu, stosunków i poziomu wykształcenia czytelników.

Oprócz 16-u tomów rocznych «Tygodnika rolniczo-technologicznego» (1835 — 1850 r.), Kurowski wydał jeszcze oddzielnie około 40 prac oryginalnych i tłómaczonych. Z tych, o ile wiemy, pierwsza tylko: *O uprawie żyta egipskiego i innych roślin zagranicznych, z dodaniem gospodarstwa płodozmianowego*, wyszła w Poznaniu (roku 1820), wszystkie zaś inne drukowane były w Warszawie; wymienimy je tu w chronologicznym porządku, a mianowicie: *O urządzeniu gospodarstw wiejskich* (r. 1826), *Przyczyny ciężkich czasów i środki zapobiegania onym* (r. 1828), *Opis gospodarstwa trójpolowego Elsnera* (1829 r.), *Gorzelnictwo podług najnowszych zasad* (r. 1830), *O wychowaniu dzieci* (r. 1830), *O leczeniu zwierząt domowych* (r. 1832), *O gryskowaniu jęczmienia na wód-*

kę (r. 1832), *Wykład systematyczny zarazy bydła w jej rozmaitych stopniach* (r. 1833), *Poznaki, przyczyny i leczenie wścieklizny u psów* (r. 1833), *Krótką nauką hodowania owiec, z uwagami nad uszlachetnieniem zwierząt domowych* (r. 1834), *O wyrozmowionej uprawie kartofli, z dodatkiem krótkiej nauki wypalania z nich wódki, warzenia piwa, wyrabiania mączki i syropów* (r. 1835). W r. 1836 wydrukowano aż pięć książek Kurowskiego, a mianowicie: drugie wydanie *Nauki leczenia chorób zwierząt domowych*, *O możliwości i potrzebie zaprowadzenia u nas jedwabnictwa*, drugie wydanie *Opisu gospodarstwa trójpolowego Elsnera; Wiadomości gospodarzom, szczególniej oficyalistom gospodarskim niezbędnie potrzebne i O owadach, lasom i ogrodach szkodliwych*. W r. 1837 wydał *O warzeniu piwa podług najnowszych odkryć*, a w roku następnym *O wyrabianiu cukru z buraków i O uprawie konieczyny*. W r. 1842 wyszły: *Weterynaryja popularna* i w dwóch tomach *Sztuka urządzania gospodarstw wiejskich*. W roku 1846 także dwie prace: *O poznawaniu zewnętrznych oznak mleczności krów* (tłómaczenie z Gue-nona) i *O odrodzeniu kartofli*. W r. 1847 również dwie: *O nowopojawionej chorobie kartofli* i drugie wydanie *Weterynaryji popularnej*. Następnie ukazały się: *Dodatek do dzieła: Sztuka urządzania gospodarstw* (r. 1853), *O różnych surogatach pod względem gorzelnictwa* (r. 1854); Drugie wydanie *Opisu poznawania mleczności krów* (r. 1854), *O różnych chorobach kartofli* (r. 1855), *Wypalanie spirytusu z buraków* (r. 1855), *Hygienu gospodarską weterynaryjną* (r. 1857), *O poznawaniu ludzi* (r. 1857), *Owczarstwo popularne* (r. 1858), *Weterynaryja popularna* (w trzecim wydaniu r. 1858), *O oszczędzaniu ziarna do siewu* (r. 1859).

Nadmienić tu jeszcze musimy, że niestrudzony nasz agronom wydawał w czterech latach kalendarze rolnicze i że wydawany przez niego do r. 1850 *Tygodnik rolniczo-technologiczny* w pierwszych dwóch latach swego istnienia, t.j. w roku 1834 i 1835 nosił tytuł *Pamiętnika rolniczo-technologicznego*, który tak został wyczerpany, że musiano oba roczniki powtórnie przedrukować. Kurowski pierwszy u nas pisał o uprawie łubinu w szerszym zastosowaniu (r. 1855), a jako prawdziwy żołnierz, nie opuszczający swego stanowiska społecznego prawie do ostatniej chwili życia, wydał jeszcze w roku 1861, mając już 78

lat wieku, książkę *O urządzaniu gospodarstw be-
pańszczyźnianych*.

Największą zasługą Kurowskiego było to, że, jako autor dzieł agronomicznych, nie gonił za oryginalnością własnych pomysłów, ale poświęciwszy racjonalnie pracę całego życia swego dla dobra kraju i ziemian, stał się u nas pierwszym na szeroką skalę popularyzatorem najlepszych współczesnych pisarzy i uczonych niemieckich z dziedziny agronomii, weterynaryi i przemysłu rolniczego, uwzględniając oczywiście różnice warunków miejscowych. Aby służyć pożytecznie ogółowi, jako redaktor i pisarz na tem polu, ziemianin wielkopolski porzuca swój niezależny, wiejski, cichy żywot i przenosi się na bruk Warszawy, będącej środowiskiem ruchu wydawniczego i rolniczo-przemysłowego. Ziemianstwo polskie umiało też zasługę jego ocenić, czego najlepszym dowodem są tak liczne wydania cenniejszych dzieł i tłumaczeń Kurowskiego.

W naturalnym biegu rzeczy ludzkich i Kurowski się zestarzał, a zagranicą każdy rok zaznaczał się w rolnictwie, w przemyśle rolniczym i piśmiennictwie tej dziedziny świetnym postępem, którego już nie mógł popularyzować człowiek, pracą półwiekową wyczerpany. Gdy w Krakowie, Lwowie, Poznaniu i Warszawie zaczęły wychodzić inne czasopisma rolnicze, bardziej miejscowe warunki swoich dzielnic uwzględniające, gdy *Gazeta Warszawska* i *Codzienna* zaczęły przyłączać bezpłatne dodatki oddzielne treści rolniczo-przemysłowej — Kurowski zaprzestał w r. 1850 wydawania *«Tygodnika rolniczo-technologicznego»*. Ci, których on wykształcił elementarnie i dla których był pierwszym bodźcem w ich postępie,

stali się teraz z konieczności jego następcami więcej postępowymi od niego.

Umarł jako starzec 83-letni w Warszawie dnia 22 sierpnia 1866 r., ledwie że nie w niedostatku, nie zostawiwszy żadnego zasobu majątkowego, oprócz kilku dzieł już wydanych i kilku do druku przygotowanych, które nabył przed zgonem autora Unger, ówczesny wydawca *Tygodnika ilustrowanego*. Do ziemian na prowincyi wiadomość o śmierci Kurowskiego doszła z pism warszawskich już po jego pogrzebie, nikt więc z rolników na takowy nie przybył. Miasto zaś, jak zwykle, śpieszy tłumnie tylko na pogrzeby ludzi możnych albo głośnych w codziennem życiu miejskiem. To też Hipolit Skimborowicz, pisząc wspomnienie pośmiertne o Kurowskim w *Tygodniku ilustr.*, zaznaczył, że śmiertelne szczątki zasłużonego krajowi pracownika odprowadziło na wieczny spoczynek dwóch tylko literatów, dwóch wydawców pism zmarłego i kilka jeszcze osób z rodziny jego i przyjaciół. Następcy po piórze ś. p. Kurowskiego widocznie zapomnieli o jego cichych cnotach i o jego wielkich dla społeczeństwa rolniczego zasługach. W piśmie, poświęconem rolnictwu, którego zmarły był tak silną podporą, nie zdobyto się nawet na świeży zgasłego męża życiorys, ale przedrukowano tylko wiadomość o nim z *«Rolnika polskiego»*, pomieszczoną jeszcze w r. 1861. Wyjątek stanowili tylko młodzi wydawcy wzmiankowanego *«Rolnika»*, panowie G. i K., którzy pracę swoją przypisali zmarłemu, jako *«Nestorowi polskiego rolnictwa»*, a następnie umieścili jego wizerunek i życiorys.

Zygmunt Gloger.



Kajetan Koźmian.

* 1771 † 1856.



Kajetan Koźmian urodził się dnia 31-go grudnia r. 1771 w Gałęzowie w województwie Lubelskiem. Po ukończeniu szkół w Lublinie poświęcił się służbie sądowiczej. W czasie powstania Kościuszki 1794 r. był urzędnikiem przy komisji wojewódzkiej, z którą emigrował do Galicji. Wkrótce powrócił i osiadł we wsi Piotrowice w Lubelskiem. Tutaj poświęcił się gospodarstwu i pracy literackiej. W roku 1802 ożenił się z Anną Mosakowską, a utraciwszy ją niebawem, pojął w małżeństwo jej siostrę Maryannę. Z pierwszego małżeństwa urodził się ukochany syn, Andrzej, autor pamiętników i

tlómacz «Makbeta». Gdy dnia 14 maja r. 1809 książę Józef Poniatowski wkroczył do Lublina, Koźmian napisał *Odę na zawieszenie orłów w Lublinie*, która jest początkiem jego sławy poetyckiej. Jednocześnie został zastępcą przewodniczącego w miejscowym rządzie lubelskim. W roku 1810 otrzymał nominację na referendarza w Radzie stanu Księstwa warszawskiego, skutkiem tego zamieszkał w Warszawie; we dwa lata później szanowany i ceniony, jako poeta i jako członek Towarzystwa przyjaciół nauk, objął obowiązki sekretarza w «Konfederacji generalnej» Królestwa pol-



Kajetan Koźmian

skiego». Po upadku Napoleona wraz z konfederacją emigrował do Krakowa, gdzie napisał swą słynną satyrę: *Na tańcujący Kraków*. W Królestwie kongresowem piastował godność kasztelana i zasiadał w senacie. Po upadku rewolucji, w której udziału nie brał, skończyła się jego kariera polityczna. Koźmian opuścił Warszawę i osiadł już na stałe w Piotrowicach. Umarł w podeszłej starości d. 7 marca r. 1856.

Był czas, kiedy Koźmiana, jako człowieka, sądzono bardzo surowo; taki sąd wszelako tłumaczy się jedynie ówczesnem roznamiętnieniem umysłów, które trzeźwo sądzić nie umiały i nie chciały. Dziś z oddalenia lat kilkudziesięciu postać Koźmiana przedstawia się nam w świetle równie jasnem i czystem, jak postać Franciszka Morawskiego, z którym Koźmian do śmierci pozostawał w stosunkach najściślejszej przyjaźni.

Jako poeta, Koźmian był również bardzo ostro sądzony. Naturalnie. Był on przecież zapamiętałym klasykiem, a aż do niedawnych czasów krytyka, oślepiona brylantowym blaskiem poezji romantycznej, nie przyznawała poezji klasyków XIX wieku żadnej wartości. Nadto co do Koźmiana przez długi czas nie mogła krytyka zapomnieć, że w listach swych do Morawskiego oburzał się on na romantyków, śpiewających o wieźmach, wisielcach i «brudnej Kaśce» że z całych sił wymyślał na sonety Mickiewicza, że porównywał go z lichym wierszokletą Jaksą Marcinkowskim, że oburzał się na «Konrada Wallenroda», mówiąc, iż Mickiewicz w tym poemacie «opisał rymem waryata, dla tem lepszego uświetnienia nadawszy mu postać bezecnego zdrajcy», że w swych (bardzo pięknych i silnych) listach poetycznych do syna Andrzeja i do generała Morawskiego zbyt gwałtownie i bezwzględnie rzucał się na młodych. Wszystko to prawda: w swych napaściach na poezję romantyczną i na życie polityczne przebrał Koźmian miarę, ale czy z tego wynika, aby nie był poetą, aby nie posiadał talentu i natchnienia? A jego ody na cześć Napoleona? Przecież o jednej z nich *Na pokój w r. 1809* sam Mickiewicz wyraził się, że Koźmian jest w niej prawdziwym poetą. A od tej wyższą jeszcze natchnieniem i siłą uczucia jest *Oda na pożar*. Miał Koźmian niewątpliwie talent, mianowicie talent liryczny i szkoda tylko, że, nie mając widocznie świadomości natury swe-

go talentu, zarzucił lirykę a wziął się do epiki i zaczął pisać utwory większe w nadziei, że zdyskredytuje muzę romantyków wogóle, a Mickiewicza w szczególności. Nie zdyskredytował i zdyskredytować nie mógł; jego *Ziemiaństwo* ukazało się w roku 1839, a więc w lat pięć po «Panu Tadeuszu», jego *Stefan Czarniecki* wyszedł w roku 1858, a więc już po śmierci Mickiewicza i w przededniu końca poezji romantycznej. Obydwa te utwory przeszły bez żadnego wrażenia; ale nie idzie za tem, aby one nie posiadały prawdziwej wartości z punktu widzenia poetyki klasycznej. Bo Koźmian wzorował się przede wszystkim na starożytnych. Wprawdzie wpływ J. J. Rousseau'a w odach, Delille'a w «*Ziemiaństwie*,» Voltaire'a w «*Stefanie Czarnieckim*» nie da się zaprzeczyć, nie francuzcy jednak poeci byli głównymi mistrzami Koźmiana, lecz rzymscy: Horacy i Wergiliusz, a stąd jego poezja jest w całej naszej literaturze pseudoklasyczną, najmniej pseudoklasyczną, bo najbardziej zbliża się do prawdziwego klasycyzmu. Dlatego to «*Ziemiaństwo*» jest najpiękniejszym opisowym poematem w naszej dawnej literaturze, a «*Stefan Czarniecki*», wyższy od «*Wojny Chocimskiej*» i «*Henryady*,» najpiękniejszym poematem klasycznym u nas i jednym z najpiękniejszych w literaturze powszechnej.

Prawda, że składające się z czterech pieśni «*Ziemiaństwo*» zawiera w sobie bardzo wiele reminiscencji z «*Georgik*» Wergiliusza, oraz z «*L'homme des champs ou les géorgiques française*» Delille'a, prawda, że ustępy, zawierające opis zajęć rolniczych, są suche; z tem wszystkim są miejsca i oryginalne, i prawdziwie poetyczne, a więc: opisy natury, uroczystości wiejskich, pożar lasu i t. d. Tu i ówdzie widocznym jest nawet wpływ nowych prądów poezji (bezwiedny i z pewnością wbrew woli autora, któryby to poczytał za śmiertelną obrazę); tak np. opis borów w pieśni trzeciej przypomina opis puszczy litewskich w «*Panu Tadeuszu*». Jest nadto jedna jeszcze rzecz w «*Ziemiaństwie*», dodająca mu niezaprzeczonego uroku, to pierwiastek liryczny pod postacią szczerego i serdecznego uczucia do ziemi i natury rodzinnej (w ustępie np. «*Nie winuj przyrodzenia skargami zuchwale*»), do cichego życia na wsi i do ludu wiejskiego, który Koźmian kochał gorąco i prawdziwie. Forma wreszcie poematu jest bardzo piękna, wolna od najmniejszych usterek stylo-

wych, nie wiele ustępująca niepokalanej w swej czystości formie «Barbary» Felińskiego.

«Ziemiaństwo» nazwał Koźmian «ostatnim śpiewem na grobie klasyczności» i powiedział sobie, że lutni swej już nigdy nie nastroi. Jednak nie dotrzymał słowa i w roku 1832 jeszcze wziął się do pisania największego swego dzieła — epepei, jak ją nazwał, p. t. *Stefan Czarniecki*. Genezą tego utworu jest «Wallenrod» Mickiewicza. Koźmian oburzał się na niemoralność (pozorną) tej powieści z dziejów Litwy, oburzał się na poetę, że do wizerunku bohaterstwa podniósł postać «bezecnego zdrajcy». Otóż temu «zdrajcy» chciał Koźmian przeciwstawić bohatera prawdziwego, na którego to miano ten tylko według niego zasługuje, kto dla ojczyzny poświęca wszystko — prócz cnoty i wiary; takim właśnie jest Stefan Czarniecki.

Nie będziemy streszczać poematu, obejmującego 12,580 wierszy, tem więcej, że uczynił to sam autor w przedmowie. do swego arcydzieła; zapytajmy się raczej, jak się on przedstawia w świetle dzisiejszej krytyki. Treści dostarczyły Koźmianowi, oprócz książki ks. Krajewskiego, kroniki Kochowskiego i Rudawskiego, oraz pamiętniki Paska; a za wzór do pisania epepei posłużyły mu: «Henryada» Woltera i «Eneida» Wergiliusza. Wpływ Woltera widocznym jest przede wszystkim w kompozycji; jak Wolter, i Koźmian starał się zachować, o ile można, konieczne w owych czasach trzy jedności: akcji, miejsca i czasu; sam powiada w przedmowie, że «czyn jest jeden, wielki, świetny, zupełny, przez jednego bohatera dokonany; miejsce działania jedno: Polska w swoich granicach, i raz się tylko bohater z niej oddala, jak to uczynił Eneas i Henryk IV; czas jeden, ciągły, nieprzerwany w pięcioletnim zakresie, bo bohater, jak dosiadł konia w Czarncy, nie zsiadł z niego aż po tryumfie w Warszawie.» Lecz nie tylko zasady estetyczne przejął Koźmian z Woltera, ale nadto niektóre pomysły i szczegóły. A więc np. starzec, wróżący bohaterowi przyszłe losy, epizod miłosny (uczucie króla ku Elżbiecie Radziejowskiej), opis cudownych ogrodów królewskich i t. d.; w tem wszystkim pokutuje autor Henryady. Machine epiczną zapożyczył Koźmian u Woltera (albo też może u Tassa); są zatem w «Czarnieckim» i aniołowie, i postaci alegoryczne: jędze, widma, uosobione występki, jak na przykład: zazdrość, «pol-

skiego rodu wieczna wada». Silniejszy jeszcze wpływ wywarła na poemat Koźmiana «Eneida», o czym świadczą opisy natury, porównania, przenośnie, poważny styl i ton, rozmowy w czasie bitew, opisy pułków i wódzów i t. d. Głównymi wadami poematu ze stanowiska estetycznego są: brak plastyki i zbyt ściśle trzymanie się historii, zamały polot fantazyi. Wady to niewątpliwie istotne i ważne. A jednak jak objaśnić, że Krasiński, który znał się chyba troszeczkę na poezyi, wyraża się o «Czarnieckim» tak: «Przyznaję prawdę całą: zrazu z uprzedzeniem, dalej z zajęciem, później z rosnącym uwielbieniem, wreszcie z miłością słuchałem i czytałem «Czarnieckiego». Bo miłość — to stosunek ducha do piękności, a «Czarniecki» jest pięknym.» Tak; jest pięknym przez piękność bohatera i przez widoczną wszędzie miłość autora do ziemi rodzinnej, przez jego nienawiść złego, przez wzniosłość i szlachetność uczuć, przez gorącą miłość ludu wiejskiego, wreszcie przez niektóre świetne i wymowne ustępy. Wartość tego utworu pseudoklasycznego wówczas dopiero można poznać w całej pełni, kiedy porównamy go z Henryadą: ta ostania jest sztywna, chłodna, retoryczna, tamten zaś mimo klasycznej powagi ma przecież śmiałe, niekiedy gorące uczucie. A i myśl przewodnia «Czarnieckiego» niemało dodaje mu uroku; myślą tą jest, że nie-szczęścia, jakie spadają na naród, są karą Bożą za jego grzechy i że Bóg wtedy dopiero zlituje się nad narodem, kiedy on swe grzechy z serca i czynów strząśnie. W pięknej przedmowie do tej pracy znajdujemy słowa następujące: «W ciągu całego tego poematu okazaną jest i uosobioną w Czarnieckim ta niezaprzeczona, a doświadczeniem ludzi i wieków poparta moralna prawda, że tylko mocna wiara w słuszość sprawy, ufność w Boga, wielka i religijna miłość cnoty i honoru rycerskiego, wreszcie brzydząca się wszystkimi od Boga potępionymi środkami nieugięta prawda... zdolne są wydać bohatera.»

Głównem źródłem do poznania życia Koźmiana są jego «Pamiętniki», bardzo ciekawe i pisane pięknym językiem. Z prac o Koźmianie wymieniamy szkic St. Tarnowskiego (poprzedzający wydanie «Różnych wierszy», Kraków, 1881), oraz monografię Konstantego Wojciechowskiego p. t. «Kajetan Koźmian» (Lwów, 1896).

Ign. Chrzanowski.

Jan Działyński.

* 1829 † 1880.



D skutek pogromu politycznego, jakim w końcu ośmnastego wieku rozstrzygnęły się losy Polski, wiek dziewiętnasty był przełomową w następstwa epokę przejścia i zasadniczych przeobrażeń we wszystkich niemal warstwach społeczeństwa polskiego.

Jan Działyński, syn Tytusa, urodzony w Kórniku, wychowany pod okiem rodziców i pod wpływem rodzinnego otoczenia, od lat dziecięcych rozwijał ducha w tradycyjnym kierunku prawd i zasad najświętszych, do przyszłego się sposobu życia, a rozumiał i ukochał już od kolebki niemal wszystko, co święte i drogie dla uczciwego człowieka: dom

i ołtarz rodzinny, rodzinną ziemię, pracę uczciwą i tę cześć gniazdową, która mu była do ostatniej chwili kapłaństwem ducha i namaszczeniem żywota.

Pod kierunkiem światłego profesora Ry-markiewicza uczęszczał do gimnazjum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu, w którym, jako pilny i niepospolitych zdolności uczeń, przodował rówieśnikom swoim. Kochany i szanowany od kolegów, był im rzeczywiście bratem serdecznym, ducha i serce im swoje oddając. Niedorostkiem prawie już na ławach gimnazjalnych wstępował w ślady rodzica i poczuwał się do obowiązku braterskiej ofiary i poświęcenia. Z całą serdecznością i poczu-



Działyński

ciem delikatności koleżeńskiej wspierał niezamożnych towarzyszy i nawet założył i uorganizował w gronie koleżeńskim «Towarzystwo bratniej pomocy uczniów gimnazjalnych,» które przez ojca popierane i ręką jego kierowane, stało się dobrodziejstwem społecznym i zapowiedzią przyszłego kierunku pracy i myśli żywotnej Jana.

Zamiłowany w naukach oddawał się im z zapałem, a przejęty przykładem ojca, zawczasu rozumiał i dzielił całym sercem kierunek pracy jego duchowej, światła dla siebie, światła dla społeczeństwa i dla kraju swojego szukając.

Po ukończeniu nauk gimnazjalnych i złożeniu świetnego egzaminu dojrzałości studiował nauki wyższe przez lat kilka na uniwersytecie berlińskim, poświęcając się prawu, naukom przyrodniczym i matematyce. Po kilku latach przeniósł się do Paryża, gdzie z podwójnym zapałem oddawał się już wyłącznie naukom matematycznym, balistyce i inżynierii, w której okazywał zdolności niepospolite.

W roku 1856 zaślubiwszy księżniczkę Izę Czartoryską, córkę księcia Adama, powrócił do kraju, do służby i pracy obywatelskiej, oświatą i dobrobytem ludu, a także pracą naukową wyłącznie zajęty. Zjednał sobie niebawem i schwycił za serce całe społeczeństwo wielkopolskie, gorącym i prawem sercem, powagą słowa i czynu zwracając na siebie uwagę powszechną. Wkrótce przeniósł się na stałe mieszkanie do Paryża. Tutaj widzimy Jana Działyńskiego w najdonioślejszej epoce samoistnej pracy duchowej; na każdym stanowisku umiał on stosownie i pożytecznie zaznaczyć odpowiedni zakres działania.

Działyński nie należał do żadnego stronnictwa, krom czci dla ojców; arystokratycznej urodzenia nie hołdował idei, przyjmując li tylko spuściznę prastarej cnoty i dobrze zrozumianych obowiązków rodowych, do obecnej epoki zastosowanych. W zasadach i przekonaniach swoich był liberalny, ale nie na modłę dzisiejszej abstrakcji nowoczesnych teoretyków; był liberalnym prawdziwie, w rzeczywistości, w duchu chrześcijańskim i polskim.

Po nad wszystkie stronnictwa górując, a potępiając waśnie i namietności chwilowe, w każdym uznawał brata, braterskie serce mu otwierając bezstronnie i z pobłażaniem. To też pobyt w Paryżu staje się najpiękniejszą kartą jego żywota.

Skupiwszy około siebie ludzi myślących i wykształconych, wytknął sobie od razu pole działania, które też było epoką najpożyteczniejszej, a najwięcej nateżonej jego czynności. Zaraz na wstępie zwrócił uwagę na założone tam «Towarzystwo pomocy naukowej,» któremu przewodniczył podówczas Aleksander Chodźko.

Zadaniem Towarzystwa było nie tylko wspieranie uczącej się młodzieży, lecz i pielegnowanie nauk i umiejętności. Działyński do tego Towarzystwa przystąpił niebawem, a stanawszy poraz pierwszy w gronie rodaków i wyraziwszy uznanie swoje dla podjętej pracy, odezwał się z uczuciem do przedstawicieli tej instytucji: «Działanie Towarzystwa naukowej pomocy i szeroka jego organizacja bardzo mi się podobają. Każdy służy narodowi tem, co mu Pan Bóg dał. Mnie dał dobre chęci i majątek. Chcę niemi służyć, wspólnie z wami pracując. Bierzcie jedno i drugie, jeżeli uważacie, że pożyteczne będą dla Towarzystwa.» Z wdzięcznością przyjęto ofiarę. Wkrótce po złożeniu urzędu przez Chodźkę Działyński został prezesem Towarzystwa, które pod jego kierunkiem i opieką rozwinęło się świetnie. Działalność Towarzystwa coraz szersze i poważniejsze przybierała rozmiary, rozbudziła życie umysłowe, dając mu uorganizowany, pożyteczny i światły kierunek. Zaprowadzono naukowe odczyty i publiczne zgromadzenia literackie, podnosząc wszystkie działy umiejętności ścisłej, literatury i sztuki pięknej. Pod natchnieniem takiego inicjatora wywiązała się w dalszym ciągu stała «Komisya matematyczna,» która zorganizowana oddzielnie, przybrała nazwę: «Towarzystwa nauk ścisłych.» Towarzystwo to nadspodziewanie się rozwinęło i przybrało wkrótce znaczenie pierwszorzędnej instytucji naukowej, zapisanej w historii oświaty polskiej wiekopomną zasługą.

Wspaniały rozwój tego Towarzystwa, jego tak liczne i tak bogate wydawnictwa, są wyłączną Działyńskiego zasługą. Ludzi pracy, światłych i zdolnych talentów nie zabrakło pomiędzy polakami w Paryżu, ale praca naukowa bez zachęty i bez pomocy w walce życia o chleb powszedni jest niemożliwa. Zrozumiał to Działyński, a podejmując swoje zadanie, umiał wyszukać i zgromadzić ludzi kompetentnych, umiał zachęcić ich do pracy, ofiarując im nie tylko sowite honoraria, ale zapewniając nakłady dla prac podjętych.

W ojczyźnie Kopernika i Śniadeckich nauki ściśle w ostatnich czasach podupadły; prace poważne naukowe nie znajdują nigdzie nakładców chętnych, ponieważ nie zapewniają im zbytu odpowiedniego. W innych krajach jest to zadaniem rządów i akademii umiejętności. U nas w chwili upadku Działyński ofiarą serca i mienia podjął się tego apostołstwa czci i oświaty narodu.

Owoce tego poświęcenia się sprawie publicznej zadziwiająco poszczycić się mogą rezultatami. Naród polski dzięki staraniom i ofiarności Działyńskiego w kierunku nauk ścisłych ogromny krok uczynił naprzód, zbliżając się w tym względzie do bogatych narodów. Nie możemy tutaj w zakreslonych nam ramach tego wspomnienia historycznego wypisywać encyklopedycznie całego katalogu zasłużonych autorów i dzieł obszernych, jakimi wzbogaciła się w ten sposób literatura polska nauk ścisłych, zaznaczamy tylko, że oprócz kilkunastu obszernych tomów peryodycznie wydawanego «Pamiętnika Towarzystwa nauk ścisłych» publikacje tego Towarzystwa przedstawiają nam cały szereg kilkudziesięciu obszernych dzieł naukowych we wspaniałych i bardzo kosztownych edycjach, które równając się z pierwszorzędnymi wydawnictwami zagranicznymi, cześć nauce i imieniu polskiemu przynoszą. Po za tem we wszystkich kierunkach pożytecznej pracy humanitarnej i naukowej, na polu oświaty ludowej, literatury pięknej, uorganizowanej opieki nad starcami i sierotami, a w całym ustroju towarzyskim ówczesnego społeczeństwa, wpływ Działyńskiego i dostojnej jego małżonki Izy z Czartoryskich był rzeczywiście gwiazdą przewodnią, duchową podporą i świetlanym kierunkiem uorganizowanego życia i pracy polskiej w Paryżu, którego punktem centralnym był hotel Lambert.

Takim bogatym płonem rzeczywistej zasługi zapisaną jest karta życia tego męża w złotej księdze pamięci i uznania narodowego.

Ale zasługi pracy i poświęcenia w Paryżu nie wyczerpują jeszcze błogosławionej działalności tego myśliciela polaka, który życie i mienie składał na usługi społeczeństwa, ukochanego przez siebie. Zdanie zgasłego ojca świętą mu było spuścizną, a rzeczywista macierz jego duchowa, narodowa biblioteka Kórnicka, była dalszym celem żywota. To też wydawnictwa wiekopomne biblioteki Działyńskiego nie ustawały; jedno po drugim w dal-

szym ciągu pojawiały się księgi monumentalne pod kierunkiem d-ra Zygmunta Celichowskiego, przy współudziale Ignacego Zakrzewskiego i wielu innych, bogacąc nawet po śmierci jego jeszcze historyczną skarbnicę polską dziejów naszych ojczystych. Tak w Paryżu, jak i w Kórniku wydawano tysiące i wszystkie niemal dochody szły na ofiarę sprawy publicznej, po za którą dopiero wielkiem sercem i duszą podniosłą wiedziony mecenas i dobroczyńca społeczeństwa polskiego skromną zaledwie ich dziesięciną opatrywał potrzeby własne, zaoszczędzonym chlebem z ubogą bracią dzieląc się w imię Boże. W roku 1869 powraca Działyński do ziemi swojej rodzinnej, zajmuje w społeczeństwie stanowisko czynne, we wszystkich niemal kierunkach pracą i ofiarnością przodując jasnym przykładem.

Wszystkie instytucje nasze obywatelskie zawdzięczają mu silne poparcie i zapisują z wdzięcznością w kronikach swoich zaszczytne Działyńskiego wspomnienie. Jak dawniej z Paryża o Poznaniu, tak obecnie z ziemi swojej rodzinnej o wytworzonym przez siebie na obczyźnie kierunku pamiętał, dwoistą zawsze pracą, nakładem i poświęceniem myśli i czyny swe rozwijając. Paryż rokrocznie prawie odwiedzał, zagrzewając do pracy stęsknionych.

Po za rozwojem ducha naukowego, po za zadaniami «Towarzystwa nauk ścisłych» i organicznej pracy rodaków swych na obczyźnie, po za dziedziczną pracą wydawnictw biblioteki Kórnickiej, jednym z najwspanialszych pomników jego żywota jest myśl przewodnia opieki nad włościanami, którą sercem prawdziwego myśliciela polskiego we wszystkich kierunkach moralnych i materialnych rozwijał. Pomnikiem dziełem jego jest założenie banku włościańskiego w Poznaniu celem popierania uczciwym kredytem mniejszej własności ziemskiej i osłonięcia jej przed rozpanoszoną podówczas lichwą żydowską. Myśl założenia takiej instytucji kredytowej istniała już oddawna, ale dla braku kapitału przyjść do skutku nie mogła. Podjął ją dopiero szlachetny dziedzic Kórnika, składając na ten cel poważną ofiarę: 80,000 talarów, a gdy ta niedostateczną jeszcze się okazała, do 140,000 ją podnosząc. To też śmiało zaznaczyć możemy, że jeżeli oświata i dobrobyt ludu wielkopolskiego, jego samowiedza, poczucie godności osobistej i narodowej innym dzielnicom dzisiaj przoduje, zawdzięcza-

my to w przeważnej części ofiarności i poświęceniu Działyńskiego, który nie słowem, lecz czynem służył sprawie publicznej

I w Imię Boże stał u wylomu
W rodzinnej ziemi i rodzinnym domu.

Wśród pracy niezmordowanej dla wielkiej idei, której życie poświęcił, z nadwątłonym zdrowiem, ale duchem niezachwianym stał on na stanowisku pod dziedziczną banderą czci i sławy rodowej; umarł nagle padając na posterunku w podwojach narodowej biblioteki Kórnickiej w chwili, gdy w przedsionku zamkowym jałmużnę rozdawał ubogim.

Przedsionek ten zamku Kórnickiego, nazwany przez hr. Tytusa «Babińcem,» przeznaczony był na przyjęcie ubogich, którzy po pomoc, radę i dobre słowo garnęli się tu gromadnie. Była to rzeczywista przystań ubogich i nieszczęśliwych, nad którymi czuwało serce ojca i syna z kolei, a gospodarzył w niej duch anioła opiekuńczego w osobie matki Jana, hr. Celestyny Działyńskiej, której wspo-

mnienie legendową w społeczeństwie naszym pozostać pamiątką, modlitwą ubogich i nieszczęśliwych opromienioną.

Dnia 31 marca 1880 roku, wchodząc do tego «Babińca,» w którym oczekiwali nań okoliczni włościanie, rady i nauki potrzebujący, i całe grono ubogich i chorych, łaknących pociechy i zapomogi; witając ich serdecznie imieniem Chrystusowem, z groszem jałmużny w ręku dla żebraka przygotowanym, upadł na ziemię, rażony atakiem paralitycznym. Odniesiono go do zamku, zwołano lekarzy, ale ani pomoc medyków, ani troskliwe pielęgnowanie matki i żony nie mogły mu zachować życia: zgaśł na gnieździe rodzinnem ostatni z rodu Działyńskich.

Prastarym obyczajem łamano nad grobem rodzinnym pierścień, miecz i tarczę rodową, ale duch jego żyje nieśmiertelnym wspomnieniem we czci i sławie ojczystej!

Benzelstjerna Engeström.



Dominik Moniuszko.

* 1788 † 1848.

*A*nakomity ten obywatel filantrop, człowiek *
wyjątkowej całkiem cnoty, nauki, miło-

ści kraju, iście wielkiego charakteru, śmiało może być porównany ze Staszicem, Kościuszką, Ignacym Potockim i innymi mężami, stanowiącymi po wszystkie czasy chlubę narodu i najwznioślejszy jego zaczyn duchowy.

Urodzony 6 lipca 1788 r. w Śmiłowiczach (wgubernii Mińskiej, w powiecie Iłumeńskim) był drugim z rzędu synem Stanisława Moniuszki¹⁾ herbu

¹⁾ Braci było 6-ciu: Ignacy, Dominik, Józef, Czesław (ojciec kompozytora), Kazimierz (doktor obojga praw) i Aleksander (członek tow. Szubrawców wileńskich, współ-

Krzywda, sędziego wojskowego W. Ks. Litewskiego, i Ewy z Wojniłowiczów, rotmistrzówny

nowogródzkiej. Tej miary ludziom bywa zwykle duszno i niewesoło wśród swoich, bo serca ich i umysły, przerósłszy tłumy o całe niebo, nie mogą być na razie przez nie pojęte i cenione, więc za życia pracując dla dobra ziomków, miewają dużo goryczy i rozczarowań, aż dopiero następne pokoleniego-

pracownik «Brukowca» i głośny meloman). Ojciec dorobiwszy się z niczego olbrzymiej fortuny, zostawił każdemu synowi po 100 chat poddanych i po 100,000 rub. gotówki. Wszyscy oni byli niepospolitego wykształcenia i sercem obywateli.



Dominik Moniuszko

towe wznosić im beznamiętnie posągi z marmuru i miedzi!... Taką właśnie igraszką kapryśnego losu (bardzo pospolitego w naszym szczególniej społeczeństwie) był Dominik Moniuszko, więc tembardziej godzien najwyższej uwagi potomnych.

Obdarzony od natury świetnymi zdolnościami i rzadkimi przymiotami serca, pobierał początkowe nauki w domu pod okiem ukształconego ojca, potem w konwiktzie szlacheckim księży Misyonarzy w Śmiłowiczach ¹⁾, wreszcie we wszechnicy wileńskiej, którą zdaje się już po stracie ojca (1807) ukończył bodaj około roku 1810 ze stopniem doktora obojga praw i, osiadłszy w wydzielonych sobie z masy Śmiłowickiej dobrach: Radkowszczyźnie i Pocieczole ²⁾, jak prawdziwy humanista w całym znaczeniu tego słowa, oddał się z zapalem polepszeniu radykalnemu bytu włościan swoich, z myślą też oddziaływania na otoczenie.

Moniuszko, dostrzegłszy wcześniej głęboką przyczynę upadku społeczeństwa w gnębieniu ludu, które teraz w dzielnicy, gdzie żył, doszło istotnie do zjawisk wprost potwornych, by lud podźwignąć ze strasznej niedoli i zdziczenia, gotował się do tego z namaszczeniem myśliciela i z zaparciem się nawet własnego szczęścia do takiego stopnia, że kochając nadobną pannę Prószyńską ³⁾ i mając jej wzajemność, postanowił sobie dobrowolny celibat, z myślą nie ulegania nigdy żadnej pokusie życia wygodnego, jakie się powszechnie praktykowało wśród obywatelstwa, i nie zależenia od rodziny, byle mózgi poświęcić cały czas i wszystkie środki polepszeniu bytu i oświacie włościan.

Co prawda, były już przedtem piękne przykłady starań około podniesienia oświaty i zamożności ludu, ujawnione przez takich czcigodnych mężów, jak Stanisław Małachowski z Końskich, Joachim i Adam Chreptowiczowie ze Szczors, Karp z Johaniszkiel na Żmudzi, Tadeusz Rejtan (synowiec posła) ze Sławkowicz na Polesiu bobrujskiem i inni, lecz Moniuszko sięgnął głębiej, myślał i sercem oddając się bezgranicznie idei uoby-

watelenia włościan w duchu szczerze chrześcijańskim.

W toku tych rozpoczętych świetnych projektów zastał naszego reformatora pamiętny rok 1812; nie mogąc oprzeć się popędowi szlachetnego ducha, zwłaszcza gdy brat jego starszy Ignacy stanął na czele uformowanego przez siebie 21-go pułku konnego, Dominik Moniuszko, wstąpiwszy też do 3-go pułku jazdy strzelców, odbył całą kampanię Napoleońską i dopiero w roku 1816, otrzymawszy dymisyę pod datą 22 lutego w stopniu majora, wrócił do ojczyzny, by rozwijać zamierzone dzieło, tembardziej, że pobyt za granicą przygotował go do tego, gdyż tam się oddawał pilnie zwiedzaniu zakładów pedagogicznych większych, badając szczegółowo tę sprawę wychowawczą.

Przedewszystkiem, chcąc swych włościan uczynić ludźmi zasad moralnych, zniósł karę cielesną i ustanowił sądy wiejskie z karami, odpowiadającymi godności człowieka (kary pieniężne, praca przymusowa, wynagrodzenie krzywd), z prawem jednak apelacyi do dziedzica. Jednocześnie rozparcelował cały swój znaczny majątek na kolonie osobne, obejmujące po 3 włóki ziemi z lasem i łąkami włącznie, a jeden tylko taki folwarczek zostawił do użytku własnego, pobierając zresztą od włościan drobny czynsz za wydziały, które przeznaczył całkowicie na duchowe potrzeby gminy, mianowicie na szkoły wzorowe, założone około roku 1824 w Pocieczole dla dziewcząt według metody Pestalozziego i w Radkowszczyźnie dla chłopców według metody Lankastra ¹⁾. Oba te zakłady były urządzone według ostatniego słowa nauki jak może nigdy przedtem i potem w kraju; duszą ich był sam założyciel, obcujący po ojcowskiu nie tylko z uczącą się młodzieżą, ale i z jej rodzinami. Przy obu szkołach założono piękne ogrody, zawierające plantacye roślin leczniczych i wzniesiono szpitalik z apteką pod zarządem d-ra medycyny Dominika Poźniaka (potem praktykującego w Mińsku litewskim). W męskim oddziale w Radkowszczyźnie znajdowało się laboratorium chemiczne pod kierunkiem uczonego przyrodnika i farmaceuty Ściborowskiego ukształconego fachowo w Paryżu (następnie właściciela apteki w Mińsku). Istniały nadto przy szkole Radkowskiej: doborowa biblioteka, gabinet fizyczny, zbiór globu-

¹⁾ Konwikt ten, założony przez superiora klasztoru, ks. Michała Grodzkiego, w drugiej połowie w. XVIII, przestał istnieć razem z tym klasztorem po roku 1835.

²⁾ Ob. «Słownik geograficzny.» Tom VIII, 349, T.IX, 541.

³⁾ Zdaje się córkę Stanisława z niezbyt odległej Łoszycy pod Mińskiem litewskim.

¹⁾ Wioski te odległe są od siebie o wiorst 35.

sów i map. Dzieci całkiem początkujące uczono pisać na piasku w ogrodzie patyczkiem, a następnie piórem na papierze. Klas w obu wydziałach było po dwie z programem dość szerokim, wykładano bowiem oprócz religii: rachunki, języki polski i ruski, nawet geometryę wraz z miernictwem praktycznem, geografję, tudzież historję krajową, nauki przyrodnicze, uczono nadto gimnastyki, sztuki felczerskiej, ogrodnictwa, pszczelarstwa, hodowli zwierząt domowych, gospodarstwa i różnych rzemiosł pożytecznych, jak: stolarstwo, koszykarstwo, powroźnictwo, kołodziejstwo, rymarstwo i t. d. Dobór nauczycieli był nader staranny, przyczem sam Moniuszko prowadził różne wykłady osobiście w szkole i na przechadzkach z dziećmi, rozniecając światło myśli dokoła. Zadaniem jego było tak ukształcić swych kmiotków, aby umieli sobie dać samodzielnie radę w życiu, to też istotnie wieś jego cała zmieniła się w dobrobycie i oświacie do niepoznania, stanowiąc niby oazę żyzną wśród nędznego otoczenia. Ludzie dobrej woli na Litwie jeszcze w latach 1817—1818, idąc za przykładem baronów prowincyi nadbałtyckich, podnieceni nadto działaniem dzielnego towarzystwa «Szubrawców» wileńskich, czynili starania u rządu względem zniesienia poddaństwa, gdy jednak projekt upadł, szerzyła się dalej swobodnie reakcja i ucisk w sposób przerażający. Przeciwno temu śmiało i bezwzględnie występowali wprawdzie pamiętni «Szubrawcy», mając na czele najznakomitszych ludzi w kraju, np. Jędrzej Śniadecki, a ich organ, «Brukowe wiadomości», istniejący od roku 1816—1832, jest nieocenionem źródłem do historii obyczajów ziemianstwa i doli smutnej ludu; jednak nie wszystko mogło być naprawione od razu, przeciwnie, zło się nawet pogarszało. Nic tedy dziwnego, iż w tak mrocznej dobie Moniuszko nie miał miru u swoich, że się śmiano z niego głośno, przypisując mu chłopomanję, bodaj bzika, więc znikąd nie miał współczucia oprócz garstki tych myślicieli, którzy, nie mając środków, dopomódz reformatorowi nie mogli. Tymczasem zakłady Moniuszki poczęły wydawać ukształconych wieśniaków do takiego stopnia, że jednym z najzdolniejszych nauczycieli w Radkowszczyźnie został włościanin Andrzej Klinicki. Czcigodny ten starzec żył jeszcze w ósmym dziesiątku lat b. s. i zostawał na stopie przyjaciela całej rodziny Moniuszków; był on żywą kroniką działalności obywatelskiej p. Dominika, który przez swą fenome-

nalną dobroczynność dla ludu, wyzbywszy się z fortuny prawie, cierpiał często niedostatek. Rzecz stała się tak głośna, że wreszcie zwrócił uwagę rząd i z rozporządzenia Cesarza Mikołaja został wydelegowany generał Strogonow dla obejrzenia zakładów Moniuszki.

Wizytator ten, będąc zachwycony zarówno zakładami, jak i osobą samego założyciela, dał o Moniuszce świadectwo najchlubniejsze. Atoli w roku 1838 polecono szkoły zamknąć, w roku zaś 1840 «Tygodnik petersburski» podał opis zakładu pocieczolskiego, wychwalając myśl wzniosłą założyciela (ob. str. 535). Ciężkim odtąd był żywot Moniuszki, rozczarowanego w nadziejach swoich i nieuznanego, bo chociaż piastował niby godność z wyboru podkomorzego Ihumeńskiego, szlachta, nie dorosła do pojęć jego, nie przyznawała mu nawet położonych zasług dla idei wyższej.

Środki jego teraz zeszcupwały; w roku 1840 przeboleć musiał zgon najlepszej matki (5 maja) w Radkowszczyźnie i wreszcie w roku 1848, bawiąc chwilowo w Mińsku w czasie grasującej tam cholery, zmarł prawie nagle 24 sierpnia¹⁾ i po- grzebiony całkiem cicho za przedmieściem Komarówka na cmentarzu cholerycznym, gdzie mu wdzięczny lud położył skromny kamień z krótkim, lecz wymownym napisem:

«Od wiernych włościan poddanych.»

Kamień ten, istniejący do ostatnich czasów, łatwo jednak może uleść zniszczeniu, przeto obowiązkiem jest społeczności utrwalić pamięć o niepospolitym obywatelu przez wzniesienie mu pomnika, odpowiedniego zasłudze, i to tembardziej, że Moniuszko, będąc zapomnianym przez współbraci, zwykł mówić proroczo i z goryczą pewną: «Teraz mię nie rozumieją, lecz przyjdzie czas, że zechcą odgrzebywać kości moje.»

Tylko w narodach ulegających rozkładowi taki obywatel kraju, jak Dominik Moniuszko nie doczekał się obszernej, wyczerpującej biografii; wzmianki bowiem Kuczyńskiego, Walickiego, lub Żeligowskiego (Antoniego Sowy) w drugiej nie-

¹⁾ Alojzy Kuczyński kładzie datę śmierci 24 października (Wiel. Enc. Orgel., t. XVIII str. 493), co jest pomyłką; wtedy już prawdopodobnie epidemia ustała w Mińsku; data zaś, którą podałem, wzięta jest z notat familijnych, tudzież Aleksandra Walickiego, biografa Stanisława Moniuszki, kompozytora.

wydanej części «Jordana,» zostającej w rękopismie, ani też niniejszy życiorys krótki nie odpowiadają zgoła chwale wyjątkowego zaprawdę męża w narodzie. Na zakończenie podaję kilka jeszcze uwag. Według świadectwa mieszkańca Mińska ś.p. Alojzego Kuczyńskiego, bliższego czasów działalności Dominika Moniuszki, spisywał on pamiętniki życia swego, które miały po jego śmierci zostawać w ręku brata Ignacego w Pobereżu (pow. Iłumeński). Gdy umarł Ignacy Moniuszko, czynilem zaraz poszukiwania na miejscu (1883), lecz mi się nie udało rękopismu wydostać od rodziny po kądzieli niepoczytalnej, choć sądzę, że tam się znajduje i może ktoś szczęśliwszy ocalić je zdoła dla potomności, a musi to być wartości nieoszacowanej źródło do dziejów głównie miejscowości, gdzie mieszkał i działał Moniuszko, tudzież do doby Napoleońskiej. Co do losu humanitarnego dzieła Moniuszki zaznaczyć wypada, iż po jego śmierci dobra odziedziczyli bracia: Czesław (ojciec kompozytora) i Aleksander, głośny meloman, a chociaż obaj byli ludzcy, jednak gdy przestały istnieć zakłady pedagogiczne Dominika, prawne zaś zapisy nie istniały i dochody, przeznaczone niegdyś na oświatę ludu, teraz stosowanemi być nie mo-

gły, wróciły dawne porządki pańszczyźniane. Obecnie Pocięzoło przez wiano Pauliny, córki Aleksandra Moniuszki, przechodzi do rodziny Wańkowiczów, Radkowszczyzna zaś sprzedana za długi w roku 1844, od tego czasu zmieniła już kilku właścicieli obcoplemieńców; jedyną zaś pamiątką świetnej przeszłości miejsca pozostaje kamienny obelisk z odpowiedniami napisami, wzniesiony przy rozstajnych drogach na cześć Dominika Moniuszki przez brata jego Czesława. O tym zabytku powinni myśleć przynajmniej krewni, by nie zginął marnie gdzieś w fundamentach gorzelni jakiej, lub gdzieindziej.

Podana tu wierna podobizna jest zdjęciem fotograficznym z wybornego portretu pendzla Walentego Wańkowicza, znajdującego się w ręku jednej z gałęzi rodziny Jelskich spokrewnionej z Moniuszkami, a podobizna to tem ciekawsza, iż nieznana wcale naszemu ogółowi, chociaż rysy tak znakomitego myśliciela i koryfeusza obywatelstwa powinien by znać dawno każdy rodak jego. Z podwójną tedy przyjemnością *po raz pierwszy* rozpowszechniamy w tem miejscu tę prawdziwą pamiątkę.

Aleksander Jelski.



Kazimierz Bujnicki.

* 1788 † 1878.

Na mrocznem wogóle przestworzu naszym społecznem, w cyklu dziejów mieliśmy zawsze ludzi Opatrznościowych, którzy swą cnotą, nauką lub ofiarnością znacząc szlaki życia, byli chlubą narodu i rozwijali nieprzerwany łańcuch ideałów podniosłych, bez których społeczność stałaby się beznadziejną.

Właśnie do rzędu takich chlubnych przodowników narodu zaliczyć można bez przesady Kazimierza Bujnickiego, którego życiorys w krótkości podajemy. Szlachecki ród Bujnickich, nie będąc senatorskim, kwitł jednak na Litwie i w województwach białoruskich oddawna; na początku zaś stulecia bieżącego, gdy kasztelanowa Platerowa z Brzostowskich pragnęła wyzbyć się z majątku swojego Dagdy w obrębie dawnych Inflant, nabył te piękne w malowniczej pozycji nad dużem jeziorem

dobry podkomorzy Andrzej Bujnicki, którego jednym z synów był Kazimierz, urodzony 15 lipca 1788 r., znakomity potem obywatel i luminarz.



K. Bujnicki

Gruntowne wykształcenie otrzymał w sławnej szkole naówczas księży Misyjonarzy w Krasławiu nad Dźwiną w Inflantach, gdzie kolegował jako przyjaciel z niemniej potem godnym i wybitnym nauką starożytnikiem Adamem hr. Platerem.

Wcześniej, bo zdaje się od roku 1812 Bujnicki rozpoczął czynny zawód obywatelski, będąc z kolei wybieranym: na prezydenta Sądu sumiennego, kuratora honorowego szkół gubernii Witebskiej, podkomorzego i wreszcie marszałka powiatów: Rzeczyckiego i Dynaburskiego. Wszystkie te posługi publiczne, spełniane z wielką gorliwością, bynajmniej nie przeszkadzały Bujnickiemu do ścisłego wglądania w sprawy majątkowe, zajęcia się dolą ludu i do badań naukowych, do czego miał zapał szczególny. Dla włościan wówczas poddanych będąc wylanym serdecznie, dbał o ich byt i oświatę i, jako pan bardzo miłośny i rozsądny, dawał wzór całemu obywatelstwu. Dagda, którą odziedziczył po ojcu, stała się prędko przybytkiem zaszczytnej pracy ziemiańskiej, środkowiskiem i świecznikiem życia umysłowego stron tamtejszych, a wpływ to był zbawienny na szeroką połać kraju; pełen bowiem szlachetnej inicjatywy Bujnicki, imponując wychowaniem starannem, wiedzą gruntowną, tudzież pewną zamożnością, stosunkami w świecie umysłowym i w sferach arystokratycznych, odznaczał się przytem nadzwyczajną skromnością i prostotą obyczajów, nie cierpiał zgola żadnego zbytku, życia nad stan, obcomanii, absenteizmu i wogóle tych wszystkich wad, które zmarnowały już tyle duchowo i materialnie ziemian, obowiązanych z natury rzeczy przodować uczciwie społeczności, skoro w ich posiadaniu są zagony ojczyste. Dagda, jakby urocza oaza jaka, przypominała pod każdym względem ową sadybę «Pana podstolego», gdzie wszystko tchnęło porządkiem, prawdą, miłością chrześcijańską; duszą zaś i dźwignią wzorowego całokształtu był sam gospodarz starej daty, odznaczający się cnotą chrześcijańską, gościnnością, bogobojny i uczony zarazem.

Taki człowiek nie mógł nie wywierać wpływu na szerokie otoczenie, zwłaszcza że po długim studyowaniu dziejów i warunków życia chwili przez częste rozjazdy i szperanie po kraju, jał się celowo pióra. W roku 1841 ukazały się w druku pierwsze prace Bujnickiego pod tytułem: *Wędrówki po mułtych drogach i Moje przygody*; tem wystąpieniem autor zainteresował odrazu umysły, potrzebujące

pobudek wzniosłych¹⁾. Wkrótce działalność jego wydała owoc dojrzały, w roku bowiem 1842 poczęło wychodzić pod redakcją Bujnickiego pismo zbiorowe *Rubon*²⁾, a organ ten, wychodząc w ciągu lat ośmiu, był ogniskiem myśli całej dzielnicy, odtwarzając przeszłość jej i stan ówczesny, nazwiska zaś takich współpracowników, nie licząc samego redaktora, jak: Adam i Józef hr. Platerowie, Józef Wyżycki, Aleksy Horodzieński, Aleksander i Sylwester Grozowie, M. Borch, Michał Grabowski, Jan Chodźko, Tadeusz Łada-Zabłocki, Leon Janiszewski, Władysław Strzelnicki i inne, zapisały się w «Rubonie» sympatycznie, ożywiając szlachetne pragnienia do zaniechanego krajoznawstwa, do naprawy szwankujących obyczajów i do koniecznego oświecenia się głównie w kierunku narodowym.

Bujnicki, biorąc najczynniejszy udział w «Rubonie», nie zaniedbywał oddzielnych wydań prac swoich, jakoż wychodziły kolejno następne dziełka jego, zawsze pełne tendencji obyczajowo-krajowej: gawęda p. t. *Siostra Gertruda* (1842 r.), *Stanowisko poety* (1848 r.), *Pamiętniki ks. Jordana* (1849—1852), drukowane w *Rubonie*. Rok 1852 przyniósł *Nowe wędrówki*, rok 1854 powieść p. t. *Stara panna*, a w roku 1862 ukazała się bodaj najdojrzalsza praca Bujnickiego p. t. *Burko*. Tu muszę zauważyć, że chociaż skutek swego ultra-konserwatywnego wychowania i stosunków Bujnicki pierwiej wyrażał ducha bardziej pańsko-kastowego, atoli badanie głębsze swego społeczeństwa i zjawisk życiowych wytworzyły w nim bezstronny sąd o rzeczach; dojrzawszy w poglądach na przyczyny ówczesnego smutnego stanu rzeczy, począł w satyrach ulotnych, niedrukowanych, szerzyć myśli postępowe bardziej, a w owym *Burku* napiętnował stanowczo i bez ogródek arystokratyczne narowy społeczności swojej, wiodące, jak wiadomo, szlachtę przez szczyble próżności do życia hulaszczego, próżniactwa, karciarstwa i poniżenia.

¹⁾ W tym czasie i potem różne artykuły Bujnickiego zamieszczało wiele pism, jak: *Tygodnik petersburski*, *Athencum* Kraszewskiego, *Pielgrzym* Ziemieckiej i *Kronika rodzinna*.

²⁾ Dawna nazwa rzeki Dźwiny, zraszającej rodziną Białoruś wydawcy. *Rubon*, czasopismo pocciwie i rozumnie redagowane, skupiwszy w sobie inteligencyę miejscową i stron dalszych, przetrwało do roku 1849 włącznie.

Ten niezmiernie ważny przełom w duchu autora podnosi go tem wyżej, świadcząc, że z wiekiem umysł jego badawczy, zamiast słabnąć, spotężniał w imię prawdy i umiał się wyłamać po za ciasne szranki ustalonej rutyny, która, kalecząc pojęcia, stała się przyczyną tylu moralnych zbroczeń i upadków w łonie obywatelstwa.

To fatalne tolerowanie naleciałości nie swoich, które się uczepliły jaźni naszej, daje się widzieć i dziś jeszcze, niestety, pomimo, że pocziwa literatura nasza zerwała na ogół z przesądem poważania wszelkich firm uprzywilejowanych, gdy ich nie zdobi prawdziwa zasługa człowieka. Przed pół wiekiem, zaprawdę, powstawanie śmiało przeciwko zakorzenionym wadom możnowładztwa nie było łatwem, oznaczało niemalą odwagę cywilną, więc należy się cześć Bujnickiemu za nią od wdzięcznego społeczeństwa. Znając wybornie języki nowożytnie, gardził otwarciem powszechną francuzomanią i występował przeciwko tej pladze otwarciem, a jednocześnie zaszczeptał miłość dla mowy i literatury ojczystej; całe zachowanie się jego było szkołą moralności narodowej, a doborowa biblioteka w Dagdzie stała otworem dla żądających swojskiego światła i ciepła. Po roku 1863, który ciężko dotknął strony, gdzie mieszkał Bujnicki (mia-

nowicie wskutek wzburzenia starowierczej ludności), nestor inflancki, usunąwszy się z widowni życia publicznego, nie ustał jednak w szlachetnej pracy: zbierał materiały do dziejów ojczystych, spisywał notaty i nawet przed samym zgonem w roku 1878 wydał *Psalterz Davidowy*, przyjęty przez krytykę niedość przychylnie, gdyż kierunek piśmiennictwa zaakcentował się wtedy odmiennie, nie podzielał podnoszenia kwestyi bardziej oderwanych. Zmarł Bujnicki w Dagdzie 14 września, mając lat 90, i tam pochowany wśród powszechnego żalu społeczeństwa, które istotnie traciło w nim najszanowniejszego i najświatlejszego obywatela.

Wszystkie pisma krajowe zaznaczyły z ubolewaniem ten zgon zasłużonego luminarza, a «Tygodnik ilustrowany» w № 140 zamieścił podobiznę nieboszczyka, którą tu podajemy w wiernym artystycznym przerysie, wraz z podobizną autografu jego, znajdującego się w zbiorze autora tego życiorysu. Nieboszczyk zostawił dwóch synów: Bolesława i Kazimierza, przekazując im w spadku wraz z rodziną Dagdą, świętą spuściznę duchową, przechowywaną ze czcią przez spadkobierców.


Aleksander Jelski.



Tymon Zaborowski.

* 1799 † 1828.



aborowskiego zaliczyć można do szeregu poetów z pierwszej ćwierci XIX wieku, których należy postawić na przelomie pomiędzy dwoma kierunkami naszej literatury: zatęchłym, strupieszalym, broniącym się tylko siłą wiekowej tradycji klasycyzmem i młodym, ufnym w swe siły, poszukującym dróg nowego romantyzmem. Należał on do tego pokolenia, które wydało Reklewskiego, Brodzińskich, Morawskiego, wogóle ludzi na rozdrożu, ludzi, których romantyzm zaskoczył znienacka, nie odwiódł w zupełności od manieri klasycznej, ale też i na umysłowości ich zostawił ślady niestarte. «Wieszcz Miodoboru,» jak nazywali Zaborowskiego współcześni, ujrzał światło dzienne we wsi Liczkowcach nad Zbruczem, u samego podnóża gór Miodoborskich, urodzony z Józeta i Julianny Zaborowskich.

Otrzymał początkowe wykształcenie w domu, potem uczył się w jednej ze średnich szkół we Lwowie; niewiele tam jednak skorzystał wobec fatalnego systemu wykładowego, jaki w szkołach ówczesnych galicyjskich panował. Jak współczesny mu Kazimierz Brodziński, darmo ślęczał nad niemieckimi książkami, bez żadnego pożytku dla głowy, a tem mniej dla serca.

Widząc bezowocność tej nauki, rodzice oddali go do słynnej szkoły krzemienieckiej, która pod rozumnymi rządami Czackiego dosięgała wówczas swego zenitu. Tu dopiero rozwinęły się zdolności młodego poety, tu zbliżył się do kilku przyjaciół kolegów, których imiona miały się potem pochlebnie zapisać w naszej literaturze i wspólnie z którymi miał się puścić wkrótce na burzliwe fale pracy piśmienniczej.

I puścił się. Po ukończeniu szkół zamieszkał w Warszawie, prowadząc przy współpracownic-

twie kolegów-krzemieńczan organ literacki p. t. *Ćwiczeniu naukowe*; i sam Zaborowski, i wszyscy współpracownicy «Ćwiczeń» byli to klasycy najczystszej wody; taki też był kierunek nowego czasopisma. Sam redaktor w wielu artykułach gromił wszelakie inowacye w wersyfikacji i stylu, trzymając się uporczywie dawnych formulek; tak n. p. w studyum *O zewnętrznej budowie wiersza polskiego* powstawał przeciw rymom męskim i wierszom miarowym.

Dwulecie pobytu w Warszawie (1817—1819) było najważniejszą epoką życia i działalności Zaborowskiego. Tu znajdował się on u samego źródła życia umysłowego i ruchu literackiego, u samego wstępu do nowej epoki, tu zaprawił się do pióra, tu wyrobił w sobie gusty i upodobania pseudoklasyka.

Rok 1820, w którym Zaborowski, pożegnawszy Warszawę, zamieszkał w rodzinnej wiosce, jest punktem zwrotnym w życiu naszego poety. Młodzieńcze utwory Mickiewicza (nie mówiąc już o romantykach zachodniej Europy), nie mogły nie oddziaływać na wyobraźnię równego mu wiekiem «wieszczu Miodoboru» i zachwiały w nim wiarę i przywiązanie do dotychczasowych ideałów.

Do tego zwrotu przyczyniła się kontemplacja pięknej górskiej przyrody, której poczucie miał wysoko rozwinięte, miłując ją szczerze i prawdziwie, a także zapewne i nieszczęśliwa miłość do jakiejś osoby, nierównej mu stanem majątkowym, z którą rodzice nie pozwolili mu się ożenić. Stąd rozpacz i ból długotrwały, stąd smutek niezmierny, który poeta wylewa w korespondencji z serdecznymi przyjaciółmi.

Nie sądzonem było naszemu poecie przeżyć swej straty; dnia 20 marca 1828 roku utonął w Zbruczu, do grobu unosząc z sobą swą boleść i serce złamane.

Pierwsze próby literackie Zaborowskiego datują się jeszcze z czasów krzemienieckich; wtenczas już ułożył poemat w kilku pieśniach p. t. *Klub piśmienny*, dotychczas nie drukowany.

W Warszawie, jako szanujący się klasyk, zaczął od przekładu wierszem tragedji Woltera p. t. *Tankred*, która nawet kilkakrotnie była przedstawiona na scenie warszawskiej i przyjęta nader życzliwie, pomimo pewnych niedokładności, które odczuwali już współcześni.

Oryginalnym utworem Zaborowskiego, który zapewnił mu wielką wziętość w kołach warszawskiej publiczności, był poemat pseudoklasyczny p. t. *Bolesław Chrobry, czyli dobytej Kijowa*, zwany także *Bolesłaidą*, nieodrodne dziecię teoryi Boileau, z licznej rodziny płodów, okrytych smutną sławą śmieszności, jak *Stanislaida* niezapomnianej pamięci Molskiego, lub *Jagiellonida* D. B. Tomaszewskiego.

Bolesłaidą (drukowana tylko urywkami w *Cięczeniach naukowych* i w innych czasopismach) niewiele jest lepszą od wyżej wspomnianych elukubracji. Treść do niej autor wziął z «Historyi» Naruszewicza, niewolniczo idąc za źródłem; dodał tylko pierwiastek fantastyczny znowu według recepty pseudoklasycznej: spłowiałe marynetki Parnasu, Olimpu i Hadesu, które nawet w takim, najlepszym z tego rodzaju utworów, jak *Stefan Czarniecki* Kajetana Koźmiana, nują niewymownie czytelnika.

Niezaprzeczonem dowodem wierności, jaką zachował Zaborowski względem obozu klasycznego, jest jego wiersz dydaktyczny p. t. *Parnas we śnie*, drukowany w *Tygodniku polskim i zagranicznym* w r. 1818. Autor we śnie widzi się przeniesionym na Parnas, na którym spotyka przedniejsze duchy XVIII wieku w literaturze francuskiej i naszej.

Jak Wergili Danta, tak naszego poetę Wolter oprowadza po «Parnasie nowożytnym» (starożytnego nie czuli już poeci pseudo-klasyczni) i pokazuje wszystko godne widzenia: więc grote «Krebiliona ponurego», więc trzy wyniosłe góry: Kornela, Rasyna i Woltera samego, gdzie poeta doznaje zaszczytu oglądania duchów tych kory-

feuszów poezji dramatycznej francuskiej, otoczonych tłumem stworzonych przez nich postaci, więc «wesołego Moliera, srogiego Boala, dobrego Lafontena bez żadnych przymusów (!), Kinolta śpiewliwego i obudwu Rusów.»

Wreszcie dostają się nasi wędrowcy na wierzchołek polskiego Parnasu; tu Zaborowski kreśli szereg sylwetek polskich autorów tak zmarłych, jak nawet żyjących, sylwetek mniej lub więcej pochlebnych; przewijają się tedy tłumem: Krasicki, Szymanowski, Dmochowski, Książnin, Trembecki, Karpiński, C. Godebski, dalej J. U. Niemcewicz, K. Koźmian, Fr. Wężyk, L. Osiński, A. Feliński; o dawniejszych pisarzach ani słowa!

Wiersz kończy się przemową Woltera, który zachęca naszego poetę, a wraz z nim i innych do naśladowania tych «wielkich wzorów» i «pięknych przykładów.» Wtem poeta budzi się — to wszystko było tylko snem, wprawdzie, jak na sen, nader trzeźwym i mało fantastycznym.

Ten wiersz najlepiej, najwymowniej świadczy, jakim Zaborowski hołdował zasadom w pierwszej połowie swego życia.

Wiemy już, jaki przewrót w wyobrażeniach poety dokonał się wkrótce; wiemy, jakie przyczyny go spowodowały. Że jednak z dawnym kierunkiem stanowczo nie zerwał, tego dowodzi jego praca nad wykończeniem *Bolesława Chrobrego*, stworzenie nowych do niego epizodów, jak np. *Bojan*, trzymany w dawnej manierze sentymentalnej.

Świadczą o tem również jego dramaty pseudo-klasyczne, jak np. *Umwit* (1823), tragedia, osnuta na tle walki chrystyanizmu z prastaremi wierzeniami pogańskimi Słowian w czasach «ciemnoty pogańskiej» Bohaterem jest Umwit, arcykapłan pogański, wchodzący w ciężką kolizję z własnym synem Jermilim, który, dziecięciem zabrany przez chrześcian i wśród nich wychowany, jest gorliwym wyznawcą krzyża.

Węzeł dramatyczny płacze się jeszcze bardziej przez miłość Jermilego do Leliny, córki księcia Mistywoja, którego Umwit przez zamach stanu chce strącić z tronu, osadzając na nim rycerza Stybora; aby uprawomocnić ten gwałt, Umwit zmusza Lelinę do oddania ręki Styborowi. Akcję rozwiązuje przybycie wojsk chrześciańskich pod wodzą Cydebora, brata Mieczysława.

Rzecz — bez psychologii, bez charakterów, bez akcji skupionej i zaciekawiającej, słabo zbu-

dowana, ze sztucznem rozcięciem węzła dramatycznego w końcu,—nie dorzuca ani jednego listka do chwały poety.

Jeszcze słabszym jest dramat niby historyczny p. t. *Bohdan Chmielnicki*, tem tylko chyba wyróżniający się, że przedstawia w niepochlebnem świetle polaków (1823 r.).

Rok następny przyniósł nam ostatni ze znanych dramatów Zaborowskiego p. t. *Tajemnica, czyli Borys i Mitwiana*, osnuty na wątku dzielnym: niezgody pomiędzy braćmi Świętopełkiem, Jarosławem i Borysem, synami W. Ks. Włodzimierza. Akcyę urozmaica niezbędny w tragedyi pseudoklasycznej pierwiastek erotyczny: miłość Borysa do Mitwiany, córki Bolesława Chrobrego.

O wszystkich tych dramatach jedno można powiedzieć: skłcone na modłę Kornelowską, ale bez talentu Kornela, bez należytego przygotowania historycznego, nie mogą być zaliczone do najlepszych utworów Zaborowskiego: brak ścisłości dziejowej walczy w nich o lepsze z brakiem ścisłości psychologicznej. Czasem tylko zdarzają się autorowi sceny, bardziej przemawiające do serca, resztę zagłuszają górne i bezduszne frazesy.

Nowy kierunek literacki odbił się w drobniejszych utworach Zaborowskiego z tej epoki, swym tonem sentymentalnym przypominających

pokrewne im duchem poezye Brodzińskiego; są to utwory po większej części okolicznościowe lub też miłosne; poeta wylewa w nich wezbrane uczucie, któremu na zewnątrz wylać się nie było wolno.

Że zaczął się skłaniać na stronę romantyzmu, o tem świadczą dwa przekłady z Goethego, między innemi i słynnej pieśni Mignony, tak po mistrzowsku oddanej przez Mickiewicza; świadczą wiersze na cześć Byrona, którego nazywa «Hommerem północy»; świadczą wreszcie najlepsze z całego dobytku literackiego naszego poety *Dumy podolskie za czasów panowania tureckiego* (1823), na których znać wpływ wyraźny *Pieśni irlandzkich* T. Moora; nazwaliśmy je najlepszymi ze wszystkich utworów Zaborowskiego, gdyż nigdzie uczucie nie brzmi tak szczerze, tak donośnie i czysto, jak w tych dumach.

Nie do pierwszych duchów należał Zaborowski, nie był obdarzony wielką siłą talentu, za życia nie doczekał się popularności, a po śmierci uległ zapomnieniu. W każdym bądź razie należy się przedwcześnie zgasłemu a sympatycznemu młodzieńcowi ciepłe wspomnienie w dziejach tej przełomowej chwili w naszej literaturze.

Henryk Galle.



Aleksander Kokular.

* 1793 † 1846.

Dobrzeby było na świecie, gdyby każdy obywatel kraju tyle zrobił dobrego w życiu, ile mu pozwalają jego zdolności i jego wewnętrzna siła robocza; gdyby każdy, uprawiając swą glebę, wydostał z niej dla społeczeństwa plony możliwe. Takim pracownikiem pożytecznym na niwie sztuki malarzkiej był Aleksander Kokular.

Była chwila w życiu kraju i Warszawy, wypełniona prawie zupełnie w zakresie malarstwa usiłowaniami, talentem i pracowitością Kokulara. Jego miłością sztuki ogrzewali się młodzi adepci, jego zabiegami nasyceni byli starsi.

Urodzony w Warszawie

d. 9 sierpnia 1793 r., tu kończył liceum, gdzie początki umiejętności rysowniczej otrzymał od Vogla, dobrego krajobra-

zisty. W 17-tym roku życia wyjechał do Wiednia i w tamtejszej akademii sztuk pięknych kształcił się pod słynnym portrecistą Lampim.

Stan dostatni rodziców pozwolił mu zwiedzić Rzym i Paryż, skąd w 1818 roku wróciwszy do Warszawy, został nauczycielem rysunków najprzód w konwiktach pijarów na Żoliborzu, apotem w liceum Warszawskim. Od roku 1824 do 1826 bawił kosztem rządu w Rzymie i tam wykonał «Edypa, prowadzonego przez Antygonę», obraz o wybitnych



Aleksander Kokular

zaletach artystycznych, dobrze pomyślany, wykonany energicznie i świadczący o dojrzałości artystycznej młodego malarza; postaci naturalnej wielkości dobrze wypełniają daną przestrzeń i robią na widzu istotne wrażenie. Nie dziw więc, że skutkiem tej pracy został członkiem akademii św. Łukasza w Rzymie i że następnie w r. 1828 otrzymał pochwałę na wystawie Sztuk pięknych w Warszawie. W tym czasie powróciwszy do rodzinnego miasta, objął posadę nauczyciela rysunków w liceum i był na niej aż do jego zamknięcia w 1832 r. Od tej chwili zaczyna się najbardziej czynne i żywotne działanie Kokulara. W roku tym zmarł dzielny artysta i profesor Antoni Brodowski, słynny portrecista, a jednocześnie zwinięty został uniwersytet ze swym wydziałem Nauk i Sztuk pięknych. To otworzyło trzydziestokilkolcletniemu w pełni sił i życia Kokularowi obszerne pole pracy. Widziano go też czynnym na wielu polach. Peryodyczne wystawy Sztuk pięknych nie wystarczały mu, więc jednocześnie prawie z rządową wystawą, urządzoną w Ratuszu w r. 1841, całe mieszkanie swoje na Krakowskim-Przedmieściu (dzisiaj Nr. 5) na pierwszym piętrze, w lewym skrzydle od ulicy, zamienił na wystawę prac portretowych własnego pendzla. Był jednym z dwóch najwięcej wziętych malarzów portretowych Warszawy, sławę swą dzieląc z Franciszkiem Pfanhauserem, bardziej odznaczającym się w malowaniu jasnego, przezroczystego, delikatnego ciała kobiecego, gdy Kokulara malowanie było barwne, silne, energiczne. Jednocześnie z pracami artystycznymi i malowaniem licznych portretów, z których kilkanaście wymienia Rastawiecki w «Słowniku malarzów polskich» (a nie wymienia wszystkich), pracował Kokular nad obrazami kościelnymi. Najlepszą miarą jego uzdolnienia w tym zakresie jest zdjęcie z krzyża Chrystusa Pana, w ołtarzu lewej nawy bocznej kościoła katedralnego Ś-go Jana w Warszawie. Na innem atoli polu jeszcze znaczne zasługi położył Kokular, otwierając w pracowni swojej przy Krakowskim-Przedmieściu na 2-m piętrze szkołę rysunku i malarstwa, która młodzieży ówczesnej w sztuce zamiłowanej, po zamknięciu

wydziału Sztuk pięknych przy uniwersytecie po r. 1832, dała możność kształcenia się w malarstwie. Wyszedł też ze szkoły tej cały szereg uzdolnionych artystów, z których jedni, jak Murzynowski, Polkowski, Mielnicki, Dąbrowski, z pracami swymi wystąpili na wystawach warszawskich w latach 1841 i 1845, inni, jak Stankiewicz i Kamiński, na dalsze studia wyjechali do Akademii Sztuk pięknych do Petersburga, a następnie do Rzymu, inni nareszcie, jak Drewaczyński, Piechaczek, Celiński i Cegliński, weszli na drugi kurs szkoły Sztuk pięknych, w roku 1844 założonej. Ostatnie dwa lata życia Kokulara były dla malarstwa i sztuki wogóle w Warszawie najżywotniejsze.

Otworzenie szkoły Sztuk pięknych, jego w znacznej mierze staraniem dokonane, jej uorganizowanie i półtoraroczne w niej wykłady, budzące zamiłowanie do sztuki u młodzieży, były dalszym ciągiem domowego kształcenia. Jego staraniem urządzona w 1845 roku wystawa publiczna Sztuk pięknych, ostatnia z szeregu odbywających się peryodycznie od 1819 r., dała dokładny obraz ówczesnego stanu sztuk zwłaszcza malarskiej i rzeźbiarskiej w kraju, a szczególnie w Warszawie; w tym też roku Kokular z uczniami swoimi odbył podróż do klasztoru Ś-to Krzyskiego na Łysej górze dla odnowienia znajdujących się tam obrazów Smuglewicza. Posiew Kokulara był dobry, na czystych zasadach naśladowania przyrody oparty. Uczniowie, jego te zdrowe pojęcia wprowadzili w życie z głębokiem o nich przekonaniem, wpojonem im przez nauczyciela, umiającego w imię miłości sztuki nad umysłami młodzieży panować całkowicie. Zdolności umysłowe były w tem Kokularowi pomocne: był on bystry, dowcipny i z łatwością mówił nawet mową wiązaną, którą się w wesołym towarzystwie przyjaciół posługiwał. Umarł w 53 roku życia z żalem uczniów, przywiązanych do niego i ze szkodą sztuki krajowej, dla której ważne położył zasługi, świecąc przytem dobrym przykładem.

Wojciech Gerson.



Samuel Bogumił Linde.

* 1771 † 1847.

Niema chyba wykształconego polaka, który nie obijało nazwisko znakomitego twórcy najbogatszego skarbcza mowy polskiej. Nazwisko *Linde* stało się u nas taką samą niemal powagą i wyrocznią w dziedzinie języka naszego, jak w całym świecie cywilizowanym biblia w dziedzinie etyki praktycznej, a niegdyś Arystoteles w dziedzinie filozofii. Powagi tej Linde, t. j. słownik jego dotychczas nie utracił i nie prędko jeszcze zapewne utraci. Taka popularność i taka powaga jest udziałem tylko dzieł pomnikowych.

Twórca jego Samuel Bogumił Linde był potomkiem rodziny pochodzenia szwedzkiego osiadłej w Toruniu.

Tu się urodził 24 kwietnia 1771 roku z ubogich rodziców wyznania ewangelicko-augsburskiego. Nauki początkowe i gimnazjalne odbywał w mieście rodzinnem, poczem udał się w 1789 na wyższe studia do Lipska, gdzie wstąpił do uniwersytetu, na wydział teologiczny. Ponieważ jednak do filologii «najwięcej czuł skłonności», uczęszczał i na wykłady filologiczne. Za poradą profesora Dathe'go postanowił wreszcie poświęcić się studiom nad językami wschodnimi, inny jednak profesor uniwersytetu, sławny filolog August Wilhelm Ernesti, skierował go gdzieindziej i zdecydował mu przyszłe jego powołanie; za staraniem mianowicie Ernestiego otrzymał Linde katedrę języka i literatury polskiej w uniwersytecie. Było to niespodzianką dla Lindego, nie czuł się bowiem przygotowanym do wykładów.

Zabrał się więc usilnie do pracy i począł studiować polszczyznę na gramatyce *Monety*, na

książce do czytania *Voglu* i na słowniku francusko-polsko-niemieckim *Trotza*, «bo to jedyne były książki polskie, na które się wówczas w Lipsku zdobyć mogłem.» Po obronie rozprawy w języku łacińskim i otrzymaniu stopnia doktora filozofii w 1792 r., rozpoczął w uniwersytecie wykłady Platona i Cyncerona i jednocześnie otworzył kurs języka polskiego.

Niebawem szczęśliwa okoliczność dopomogła Lindemu w pracy nad przyswojeniem sobie gruntownie języka polskiego.

Pracował właśnie (w tym samym roku 1792) nad przekładem «Powrotu posła» Niemcewicza na język niemiecki, gdy wchodzi do niego dwóch znakomitych polaków, którym leżący na stoliku «Powrót posła» obok próbki przekładu natychmiast wpadł w oczy. «Na zapytanie moje, — powiada Linde — czy może nie jest im znany osobiście autor tak dowcipnego dzieła, usłyszałem z wielkiem mojem ukontentowaniem z ust jednego odpowiedź: «Jam to pisał» — i od tej chwili, która w życiu i przedsięwzięciu mojem była stanowczą, swoją mnie zaczął zaszczycać przyjaźnią znakomity nasz ziomek Niemcewicz.»

Wprowadzony przez niego i przez Weissenhofa do domów najznakomitszych polaków, podówczas w Lipsku przebywających: do Ignacego i Stanisława Potockich, do Kołłątaja, Kościuszki, «żył w Lipsku jak w Polsce.» «Przez takowe miłe i uczące obcowanie postępowałem w jednej godzinie więcej w języku, niżeli przez półroczną mozolną pracę nad Trotzem, Voglem i Monetą. Niemcewicz odczytywał ze mną tłumaczenie moje «Powrotu posła», objaśniając miejsca dla mnie wtenczas ciemne, nietyl-

ko co do języka, ale jeszcze więcej co do rzeczy i stosunków krajowych.» Zapoznał się niebawem z «Gramatyką narodową» Kopczyńskiego, która jeszcze bardziej pobudziła go do głębszych studyów nad polszczyzną. Praca ta stała się dla niego, jak sam przyznaje, «po ukończonych akademickich kursach niemieckich drugim niejako kursem polskim.» «Nieraz—opowiada dalej—Ignacy i Stanisław Potoccy raczyli próby moje polskie własną ręką poprawiać, w potrzebne do tego dzieła, nie szcędząc kosztów, mnie opatrywać, a tak nietylko z językiem, lecz i z literaturą jego mnie obeznawać. Z uczonym podkanclerzym Kołłątajem nie jeden rozdział Tacyty i Liwiusza tłómaczyłem, jak mogłem, na polski, korzystając ze światłych i gruntownych tego męża uwag nietylko co do języka, ale i co do samej treści; z nim niektóre nawet Kanta pisma czytając, usiłowałem najważniejsze myśli, ile można było, w polskim języku wyrażać.»

W tym samym czasie zawarł Linde w Lipsku znajomość, która wkrótce przeszła w ścisłą przyjaźń, z autorem «Sztuki rymotwórczej» Franciszkiem Ksawerym Dmochowskim. Otrzymałszy od niego rękopis dzieła «O ustanowieniu i upadku Konstytucji polskiej 3 maja» (napisanego wspólnymi siłami przez Kołłątaja, Ignacego Potockiego i Dmochowskiego), przetłómaczył je na język niemiecki. Przekład ten wyszedł jednocześnie z oryginałem (1793).

W czasie tych prac i stosunków z polakami w Lipsku powziął Linde zamiar ułożenia słownika języka polskiego. Gdy więc Kołłątaj i jego współpracownicy wyjechali z Lipska do Polski dla przygotowania powstania, podążył wkrótce za nimi i Linde. Chciał albowiem pogłębić swoje wiadomości w dziedzinie polszczyzny i zebrać potrzebny materiał do swego dzieła. Wśród pracy w bibliotece Załuskich przetrwał Linde całe oblężenie w 1794 r. Wypadki polityczne przerwały jego prace, opuścił więc Warszawę i udał się za radą Ign. Potockiego do Wiednia, do Józefa Maksymiliana Ossolińskiego.

Tu przy boku tego uczonego bibliofila pracował w dalszym ciągu nad słownikiem. Ossoliński nie szczędził mu rad i pomocy, zrobił go swoim bibliotekarzem i wspierał go w przedsięwzięciu, jak mógł. Linde porządkował mu bibliotekę, z polecenia jego odbywał częste wycieczki po

kraju i zbierał wszędzie rzadkie książki, które zwoził do Wiednia. W tym celu przetrząsał biblioteki klasztorne i prywatne, tropiąc, gdzie mógł białe kruki. Zwiedził w ten sposób, jak sam pisze, «siedmiokrotnie różne strony dawnej Polski.» Przyzwyczajony do pracy systematycznej i wytrwałej, nie tracił ani chwili czasu nawet podczas tych podróży. «Miałem co czytać, miałem skąd robić wyciągi. Czytałem w drodze, na popasach, na noclegach.» Zachęcał go też ciągle Ossoliński.

Zasługi Lindego około pomnożenia zbiorów biblioteki Ossolińskiego są wielkie, chociaż sam on skromnie i zlekka tylko napomyka o tem. W przerwach pomiędzy temi wędrowkami opracowywał w Wiedniu swój słownik i przygotowywał go do druku. W stolicy Rzeszy Niemieckiej żył «jak wśród Polski, bo prawie z samymi ziomkami.» Obcował ze Stanisławem Małachowskim, ze Staszycem, z generałem ziem podolskich Adamem Czartoryskim i wielu innymi polakami, w Wiedniu podówczas bawiącymi, którzy wspierali go swemi radami i pomocą.

Najsukuteczniej dopomógł mu Czartoryski, przeznaczając pewien fundusz «na utrzymanie pomocnika w pisaniu.» Nietylko z ziomkami, wszedł tu Linde w stosunki z uczonymi słowianami różnych narodowości, przede wszystkim z «naczelnikiem całej literatury słowiańskiej», znakomitym sławistą Józefem Dobrowskim. Znajomości te bardzo mu się przydały, ułatwiły mu bowiem zapoznanie się bliższe z różnemi narzeczami słowiańskimi, z czego nie omieszczał skorzystać w swym słowniku.

«Pobyt w Wiedniu—powiada Linde—był dla mnie trzecim w życiu kursem naukowym, t. j. polsko-słowiańskim.» Przygotowawszy już znaczną część słownika do druku, ogłosił w kilku czasopismach naukowych plan jego i zamierzał już rozpocząć w Wiedniu wytlaczanie swego wiekopomnego dzieła, gdy niespodziewanie otrzymał od rządu pruskiego propozycję urzędu zakładowego w Warszawie liceum i przyjęcia jego dyrekcji.

Po pewnem wahaniu się, za naleganiem Ossolińskiego i Czartoryskiego przyjął wezwanie i wyruszył do Warszawy. Stał tu, poraz wtóry w życiu, w końcu 1803 roku i zabrał się gorliwie do skutecznego powierzonego sobie zadania. Nad liceum ustanowiono zwierzchność, t. zw. «eforat», czyli radę nadzorczą, w której skład weszli sami polacy ze Stanisławem Potockim na czele. Po

upływie niespełna roku liceum zostało urządzone i uroczyste otwarte na początku roku 1805-go.

Obowiązki dyrektorskie przeszkadzały Lindemu w oddaniu się wyłącznie słownikowi, niemniej cały swój czas wolny od zajęć pedagogicznych, poświęcał staraniom około wykończenia i wydania swego dzieła. Postanowił teraz drukować je w Warszawie pod swoim okiem. Potrzebny na rozpoczęcie wydawnictwa fundusz wkrótce się zebrał, dzięki staraniom miłośników języka i przyjaciół Lindego. Czwartą część kosztu pokrył Czartoryski; nadesłali też hojne zasilki Ossoliński i Stan. Zamojski, ordynat. Nietylko osoby prywatne, ale i rządy: pruski i austriacki poparły wydawnictwo, cesarz zaś Aleksander I przesłał Lindemu 500 czerwonych złotych na druk słownika.

Sprowadziwszy czcionki, papier i zecerów z zagranicy, Linde rozpoczął druk słownika w drukarni księży pijarów 1806 r., lecz wkrótce «dla bliższego dozoru i dla większego pośpiechu» poświęcił część własnego mieszkania na drukarnię, gdzie też już od połowy pierwszego tomu słownik się drukował. W korekcie pomagali mu zacni księża pijarzy. Tom I wyszedł już w końcu 1807 roku. Całość drukowała się w przeciągu lat 8-miu, tom VI-ty i ostatni ukazał się w r. 1814-ym. Przez ten czas słownik był razy kilka zagrożony i druk jego przerywany czy to z powodu wypadków politycznych, czy z braku funduszy na dokończenie druku rozrastającego się nad zamiar dzieła. Tak w r. 1806, gdy francuzi weszli do Warszawy, Linde o mało co nie został wyrzucony z rozkazu Napoleona z pałacu Saskiego wraz z liceum, biblioteką i drukarnią i tylko wdanie się Stanisława Potockiego przeszkodziło temu.

Podczas następnych wojen w 1807, 1809 i 1812 roku odrywano mu zecerów do wart, do okopów.

Ostatecznie zmuszony był znowu przenieść swój warsztat słownikarski do drukarni ks. pijarów. Wyczerpały się nareszcie fundusze wydawnicze i dzieło miałoby już utknąć na połowie ostatniego tomu, gdyby nie czynna pomoc Jana Śniadeckiego, ówczesnego rektora wileńskiego uniwersytetu, który wyjednał od Wincentego hr. Tyszkiewicza, referendarza litewskiego, sumę potrzebną na dokończenie druku. W roku 1814 *Słownik języka polskiego* szczęśliwie doprowadzony został do końca.

Już w ciągu druku Słownika i po ukończeniu jego spotykały Lindego w uznaniu jego pomnikowej pracy i zasług różne odznaczenia i szczyty. Akademia i towarzystwa uczone w kraju i zagranicą obrały go swoim członkiem: między innymi akademia praska, getyngeska, berlińska, królewiecka, Instytut francuski w Paryżu, później Akademia Nauk w Petersburgu, która, przesyłając Lindemu dyplom na członka swego, uczyniła to po raz pierwszy cudzoziemcowi. Uчени cudzoziemcy przesyłali mu listownie słowa uznania i podziwu z powodu «Słownika.» Namiestnik Królestwa Polskiego Zajączek wręczył mu wielki medal złoty z napisem: *Za Słownik polskiego języka xiomkowie 1816.* Przedtem, w r. 1810, po wyjściu trzech pierwszych tomów Słownika obdarzył go medalem złotym z napisem: *Virtuti et ingenio*, król Sakski i zarazem książę Warszawski.

Za Księstwa Warszawskiego Linde był na-przód członkiem Izby edukacyjnej, zmienionej niebawem w Dyrekcyę edukacyi narodowej, a później jej dyrektorem. Jako dyrektor nadzorował wszystkie szkoły w księstwie. Za Królestwa Polskiego należał do urządzieli uniwersytetu warszawskiego (założonego w 1817 r.)¹⁾ i czas jakiś wykładał w nim psychologię i gramatykę powszechną. Wielkie zasługi położył około urządzenia biblioteki uniwersyteckiej. W r. 1819 pomnożył jej zbiory o 40,000 tomów, sprowadziwszy je osobiście ze zniesionych podówczas klasztorów.

Pomimo tych prac i zajęć nie zaniedbywał Linde swych obowiązków jako rektor liceum. Spełniał je gorliwie i systematycznie. Pod tym względem zasługi Lindego, jako kierownika zakładu naukowego i pedagoga, nie zostały należycie ocenione. Wiadomo, że liceum pod kierunkiem Lindego było zakładem wzorowym i wychowało wielu zasłużonych obywateli. Między innymi uczniem jego był, jak wiadomo, Zygmunt Krasinski.

W r. 1831 zasiadał Linde, jako deputowany miasta Warszawy, na sejmie. W r. 1833 był dyrektorem gimnazjum, prezesem komitetu, czuwa-

¹⁾ Bielowski (w «Żywocie S. B. Lindego») mylnie nazywa Lindego pierwszym rektorem uniwersytetu warszawskiego; pierwszym i zarazem ostatnim rektorem tego uniwersytetu był ks. Wojciech Szwejkowski, pijar (zm. 1838 r.).

jącego nad zakładami żeńskimi, i członkiem Rady wychowania publicznego. W r. 1835, zmęczony uciążliwą pracą, uwolnił się od obowiązków publicznych i oddał się wyłącznie pracy naukowej. W r. 1842, gdy obchodzono 50-tą rocznicę jego doktoratu filozofii, otrzymał Linde od Rady edukacyjnej w Królestwie polskim medal złoty, na cześć jego bity.

Umarł d. 8 sierpnia 1847 roku w Warszawie, pozostawiając bez majątku kilkoro dzieci. Pochowany na cmentarzu ewangelicko-augsburskim pod Warszawą.

Oprócz głównego swego dzieła *Słownika języka polskiego* ogłosił Linde kilkanaście prac pomniejszych, przeważnie w języku polskim. Z tych najważniejsze są: *Prawidła etymologii, przystosowane do języka polskiego* (1806), przedrukowane na czele «Słownika» i rzecz *O Statucie literackim* (1816). Niektóre rozprawy swoje pomieszczał w programach liceum, jako zaś członek warsz. Towarzystwa Przyjaciół Nauk od samego jego założenia w r. 1801, ogłosił parę rozpraw i sprawozdań w «Rocznikach» Towarzystwa. Ostatnie lat kilkanaście swego życia pracował nad słownikiem porównawczym języków słowiańskich, ale nie zdążył go wykończyć.

Głównem jednak dziełem Lindego, które na wieczne czasy imię jego potomności przekazało, jest pomnikowy *Słownik języka polskiego*. Przed ukazaniem się jego żaden naród cywilizowany nie mógł się poszczycić podobnym skarbem mowy swojej.

Słownik Lindego był pierwszym słownikiem w literaturze europejskiej, na taką skalę i taką metodą naukową opracowanym. Linde pierwszy z leksykografów europejskich zastosował w słowniku me-

todę historyczną i porównawczą, zestawiając formy językowe z różnych okresów rozwoju języka i porównując je z odpowiednimi formami innych języków pokrewnych. Planem więc i układem swego słownika wyprzedził o pół wieku przynajmniej późniejsze stanowisko językoznawstwa i nawet Niemcy i Francuzi w lat kilkadziesiąt dopiero po nim zdobyli się na podobne słowniki (Grimm, Littré). W naszej literaturze przed Linde istniały tylko glosariusze i słowniki praktyczne, bez metody naukowej układane (Mączyńskiego 1564 r. łacińsko-polski, Knapskiego 1632 polsko-łacińsko-grecki, Szyrwida 1629 polsko-łacińsko-litewski, Trotza 1779 polsko-niemiecko-francuski). Dziś wprawdzie słownik Lindego pod pewnymi względami jest już nieco przestarzały, autor bowiem uwzględnił tylko druki i pisarzy z w. XVI, XVII i XVIII, rękopisów i języka z przed XVI w. nie tknął wcale, pisarzy zaś wieku XIX wyzyskać nie mógł, ale pomimo to słownik jego pozostanie zawsze dla bogactwa przykładów i cytat nieocenionem dziełem dla każdego miłośnika mowy ojczystej ¹⁾.

Najtrafniej ocenił sam Linde znaczenie i wartość swego dzieła: «Tuszyć sobie mogę, iż słownik mój będzie pierwszą przyczyną i zasadą doskonalszego zbioru i rozbioru języka naszego i po-bratymczych, a może i nie bez wpływu na ogólną naukę zgłębiania mowy ludzkiej.»

¹⁾ Po wyczerpaniu pierwszego wydania «Słownika» Zakład Narodowy imienia Ossolińskich we Lwowie, dla którego biblioteki Linde tyle się zasłużył, sporządził wydanie jego drugie (1854—1861), zużytkowawszy poprawki i notaty autora, w rękopisie pozostałe.

Gabryel Korbut.



Konstanty Gaszyński.

* 1809 † 1866.

Gaszy, w których zjawił się Gaszyński i piosnkami swojemi zwrócił na siebie uwagę czytającego ogółu, były dobrymi dla poezyi czasami: nie potrzeba było ani wielkiego wysiłku pracy, ani talentu potężnego, żeby w danem kółku przyjaciół i życzliwych na zaszczytne miano poezyi zasłużyć. Zręcznie sklecony wierszyk przebiegał z rąk do rąk, z ust do ust, a skoro tylko kobietom się podobał, czułą strunę ich potracił, zaciekał, rozmarzył: mało znane dotąd nazwisko rymotwórcy na świat już szerszy wybiegało, piosnka miłośna lub żarcik krotchwilny stawały się wypadkiem dnia, osoba zaś pisarza była pożądaną w salonach jako *persona grata*, łatwo zdobyty liść laurowy wienczył czoło szczęśliwca, a choć trwałej nie przyniósł musławy, dość mu było tego błysku przelotnego, tego chwi-

lowego uznania, które bądźco bądź, darzyło w chwili danej upojeniem i szczęściem. Z epoki owej pozostało mnóstwo piosnek, które dziś jeszcze powta-

rzamy, aczkolwiek z falami lat, w morze niepamięci spłynęły nazwiska ich twórców; są one jednak dowodem niezbitym ówczesnej popularności autorów, o których za ledwie historyk literatury cośby powiedzieć nam umiał.

Potężny rozwój piśmiennictwa naszego, wysunięcie się na czoło takich potentatów, jakimi byli: Mickiewicz, Słowacki i Krasiński, przygłuszyły kwilenie ptasząt o tonie niższym i głosie słabszym. Było to wspaniałe olśnienie trzech słońc, które rzuciły takie snopy promieni, że poza nimi nie można już było żadnych prawie gwiazd dojrzeć, pięknych nawet i w swoim zakresie stanowiących prawdziwą ozdobę firmamentu. Zmalały więc, zbladły i niemal znikły zupełnie.



Konstanty Gaszyński

Z całą pewnością twierdzić można, że wykształcony nawet nasz ogół, powtarzając nazwiska Garczyńskich i Gaszyńskich, Olizarowskich i Jabłońskich, jako też i wielu innych, do tej plejady gwiazd mniejszych należące, niewiele będzie umiał powiedzieć o ich stanowisku w literaturze naszej, a jeżeli coś nie coś o tem dowiedział się z pierwszego lepszego podręcznika, to czasu nie strwoził na przeczytanie pierwszego lepszego ich utworu. Jeżeli Zaleski i Goszczyński nie ulegli takiemu, jak wyżej wspomniani, zapomnieniu, to nie koniecznie zawdzięczają swą pamięć dłuższą po sobie doniosłości swojego talentu lub większej jego sile poetyckiej, lecz odrębności stanowiska, jakie zajęli, potrąceniu nieznaney dotąd struny. wyprowadzeniu z mroków przeszłości, częstokroć mglistych, historycznie nieprawdziwych nawet lub stanowczo błędnych w rysunku (Zaleski) postaci dziejowych i przypomnieniu krwawych walk Zaporozża i krzywd popełnionych, do których sumienie narodu przyznawać się zaczęło. Wytworzenie się *s:koły Ukrainskiej* utrwaliło pamięć jej założycieli.

Mniej szczęśliwsi byli ci, którzy pomimo niemniejszego poetyckiego talentu, stanęli na gruncie czysto polskim. Tu ich przytłoczyła posagowa wielkość Adama Mickiewicza, zaćmiło bogactwo fantazyi Juliusza Słowackiego, przyniósł ogrom idei Zygmunta Krasińskiego. Rozmach skrzydeł tych trzech mocarzy poezyi naszej zawielki był, ażeby kolibrzy lot tamtych mógł czyjąkolwiek uwagę dłużej na sobie zatrzymać. Potrzeba było pewnego *oswojenia* się z temi wielkościami, ażeby mózdz o tych mniejszych pomyśleć.

Zamąło znany, zamąło ceniony był u nas dotąd Gaszyński. Talent to jednak duży i gdyby dziś się zjawił, wybitne miejsce zająłby wśród pisarzy doby obecnej. Zanim jednak po oswojeniu się z wielkościami zwróciliśmy się ku niemu, przyszli nowi i myśl naszą zajęli. Gaszyński pozostał w zapomnieniu, a ten cień zapomnienia jest tak smutny, jak smutnem było życie żołnierza-tulacza.

Konstanty urodził się d. 10 marca 1809 r. w ziemi Czerskiej w województwie Mazowieckiem w Małej-wsi. Matką jego była Tekla z Bzowskich, ojcem Antoni, niegdyś wice-brygadyer w wojsku Rzeczypospolitej, później radca województwa Mazowieckiego.

Gaszyński wyniósł z domu ogladę towarzyską i umiejętność podobania się ludziom. Łatwość

obejścia się jednala mu serca kolegów gimnazjalnych i uniwersyteckich w Warszawie, gdzie zapoznał się z Zygmuntem Krasińskim, z którym niewzruszona zawsze przyjaźń do deski grobowej dotrwała. Krasińskiemu też zawdzięcza wejście do «towarzystwa», w którym spotkał się z ludźmi uczonymi i mógł swój pogląd na świat i stosunki ówczesne rozszerzyć. Wprowadzony do domu hr. Wincentego Krasińskiego, widziany tam dobrze, jako kolega Zygmunta, zyskiwał przyjaźń i szacunek otoczenia. Łatwość wierszowania zjednywała mu względy kobiet, niemało też ku temu przyczyniły się: powierzchowność powabna, dobre wychowanie, umysł bystry i dowcip tak ceniony ówczesnie, który, choć kłuł, kłuł nieszkodliwie, dodawał zaś uroku każdej rozmowie towarzyskiej, każdemu towarzyskiemu zebraniu. W domu hr. Wincentego spotykał znakomitych wówczas ludzi, do których należeli: Osiński, Kajetan Koźmian, Franciszek Morawski i Niemcewicz. Zamłody był, ażeby mógł wziąć czynny udział w walce, pomiędzy romantykami a klasykami prowadzonej; nie narażając się zaś żadnej ze stron bojujących, posiadał ów złoty środek, który od wielu przykrości ochrania i jakkolwiek jest cechą pewnej słabości, źle nie wychodzi się na tem. Wyborem przedmiotów i formą dogadzał klasykom, barwnością stylu i świeżością kolorytu przechylał się ku stronie przeciwnej. Romantycy nie odtrącali go od siebie, klasycy uważali za swego.

Pierwsze próby pisarskie Gaszyńskiego pojawiły się w «Rozmaitościach», dodawanych do gazety: «Korespondent warszawski.» Znany dotąd w zamkniętem kółku przyjaciół i znajomych, przemówił teraz słowem drukowanem i podobał się. To go zachęciło do pracy dalszej. Utwory jego wierszem i artykuły prozą pisane zaczęły się coraz częściej w różnych pismach pojawiać. Wychodzący ówczesnie «Pamiętnik dla płci pięknej» zaprosił Gaszyńskiego na stałego współpracownika. Tu przeważnie umieszczał tłómaczenia z autorów obcych: Byron, Moor, Szyller byli jego ulubieńcami. Największy jednak rozgłos dały mu pieśni sielskie, wydane w r. 1830. Pochwycony tam doskonale nastrój pieśni ludowych podobał się ogólnie. Jak Zaleski ukraińską, tak on wielkopolską nutę uchwycił i stworzył siedm piosenek prostotą i rzewnem uczuciem prześlicznych. Z tej liczby najpiękniejszem jest *Pocałowanie*, gdzie poeta we

śnie i na jawie marzy o pocałowaniu ust dzie-
wiczek.

Gaszyński nie był zaślepiony co do utworów
swoich. W późniejszych wydaniach, które sam
przezierał, poddawał je ostremu sądowi swojego
rozu. W ten sposób w zupełne zapomnienie
poszedł utwór lat młodzieńczych, wydany w r.
1820 p. n. *Dwaj Śreniawie*, romans historyczny
z czasów Łokietka.

Do r. 1831 spory już był dorobek literacki
młodego pisarza, składał się bowiem z dwóch to-
mów poezji, z jednego romansu historycznego
i z krotkowili: *Waryat z potrzeby*, grywanej dość
często w Teatrze Rozmaitości.

Wybuch powstania listopadowego w inną
stronę odwrócił umysł poety, który pióro na sza-
blę zamienił i znalazł się w szeregach gwardyi
akademickiej; przy zbliżeniu się zaś wojsk rosyj-
skich do stolicy, wstąpił w regularne szeregi ba-
talionu saperów, który kilkakrotnie zaszczytnie
w boju się odznaczył.

Były to chwile dużego zapалу, wielkich na-
dziei i zawodów. W takich chwilach żołnierz-
poeta wydobywa najpiękniejsze tony z lutni swojej.

Po przejściu do Prus rozpoczyna się nowa
karta jego życia.

Paryż przyciągał do siebie rozbitków ówczes-
nych. Pośród nich znalazł się i Gaszyński. Po-
byt w stolicy Francji miły mu nie był. Zamiast
skupienia się w nieszczęściu, grono rodaków na
tysięczne rozbiło się obozy. Obwiniano się wz-
ajemnie, żółć zawodu nie wątroby, lecz serca prze-
gryzała. Od duchowej rozterki i moralnego upad-
ku uratowała Gaszyńskiego—poezja.

W r. 1833 musiał opuścić Paryż z powodu
zaszłych zmian w zapatrywaniu się nowego rzą-
du na emigrantów. Udał się do Prowancyi do
Aix. Piękność jednak przyrody, ozłoconej słoń-
cem wspaniałem, nie kołał smutków poety. Mary
wspomnień, wśród których płatał się i obraz ko-
chanki, nie dawały mu spokoju. Pisał dużo, po-
trzącał o struny różne, lecz najgłośniejsze ze wszyst-
kich odzywała się struna tęsknoty.

W Prowancyi Gaszyński osiadł na stałe,
a choć kilkakrotnie udawał się w podróże dalsze,
choć zwiedzane miejscowości upamiętniał zawsze
prawie wierszem przygodnym: Prowancia i ludzie
ją zamieszkujący, wśród których znalazł gościnę
i przyjaźń serdeczną, nęcili go. W Aix jednak

było wszystko, co mogło oderwać myśl od smu-
tków gnębiących i umysł zająć. Uniwersytet i ucze-
ni dawali mu możność do pogłębienia wiedzy,
muzea i zabytki architektury zatrzymywały jego
uwagę na sobie. Ziemia trubadurów wzywała go
do poznania jej przeszłości.

Po dziesięciu latach pobytu w Aix (do 1844
r.) Gaszyński dał się poznać jako człowiek wiedzy
niemal. W *Memorial d'Aix* zrazu pracował jako
pisarz, świetnymi artykułami swoimi zasilający
pismo, po trzech latach jednak powierzono mu
naczelną redakcję dziennika. Historia Prowan-
cyi dawała mu sporo materiału do pracy. Pisał
życiorysy ludzi zasłużonych na polach różnych,
opisywał pamiętniejsze okolice Prowancyi z przy-
wiązaniami do nich legendami i podaniami, nie za-
pomniał także o osobistych wspomnieniach, które
rzucił w artykułach: *Une causerie de bivouac* i *Les
deux prisonniers d'Etat*. Wiele też sonetów jego,
pisanych doskonałą formą a zawsze mających
myśl podniosłą, wypełniało dziennik. Poza temi
jednak dorywczymi pracami, wydał trzy rzeczy,
które zwróciły uwagę Francji całej. Jako niepo-
spolity znawca sztuki okazał się w dziele powa-
żnem: *Les cabinets de tableaux et collections artisti-
ques de la ville d'Aix*, a także w cennym studyum
o kościele aixańskim *Saint-Sauveur* i *Nord et midi*.
Prócz tego przetłómaczył dwa poematy Krasin-
skiego: *Le dernier* (Ostatni) i *L'Aube* (Przedświt).

Tak więc spędzone lata w Prowancyi, którą
«drugą ojczyzną» nazywał, nie dozwoiliły zmarnieć
tułaczemu duchowi poety. Pozyskał serca takich
ludzi, jakimi byli: Scypion du Roure i Wiktor de
Laprad, jeden z najzacniejszych poetów francu-
skich.

Nadeszła jednak chwila, w której opuścił tę
drugą ojczyznę swoją. Pożegnał ją pięknym wier-
szem: «Ty będziesz dla mnie po ziemi ojczystej
najmilszą zawsze krainą» i gdy powrócił do niej,
to po to, by prochy swoje w niej złożyć.

Teraz do Paryża pociągnęła go dawna przy-
jaźń Zygmunta Krasieńskiego. Zajął się tam wy-
dawnictwem pism przyjaciela. Porzucał jednak
często Paryż i udawał się nad brzegi Reni i do
kąpieli morskich, a to dla widzenia się z Krasin-
skim, który był jedynym łącznikiem pomiędzy
nim a krajem.

W r. 1846 wydał w Paryżu obrazek z życia
emigrantów p. n. *Pan Dezydery Boczeko i służa jego*

Pafnucy. Jest to utwór o lekkiej ironii, nie za-
prawnym goryczą żółci. Doskonale są w nim scha-
rakteryzowane ówczesne kluby, komitety i stowa-
rzyszenia, klótnie i swary ich członków i zdania
tak przeraźliwie radykalne, że bohater opowieści,
szlachcic litewski, któremu zrazu to sejmikowanie
podobalo się, za łeb się chwycił i przeniósł się
do «Zjednoczenia», które nie zjednoczyło się nigdy.
Pafnucemu zaś zasmakowała równość obywatelska,
ale nie chcąc się narażać nikomu, do żadnego sto-
warzyszenia nie przylgnął. Pana swojego opuścił,
nazwał się Pafnuckim i w białych rękawiczkach
bywał na balach u prefekta.

Główną wadą tego obrazka jest właśnie to,
że jest tylko obrazkiem. Wielkość ram nadawała
się do potężnej powieści, którą wykonać mógł
tylko taki znawca miejscowych stosunków, jakim
był Gaszyński.

Słabszą znacznie jest druga książka, w roku
następnym wydana (1847) p. n. *Reszty pamiętników
Macieja Rogowskiego, rotmistrza konfederacji Barskiej.*
Charakterystyka epoki jest błada, jako też działa-
jące postaci źle zrozumiane i odczute.

W r. 1847 zapadł na zdrowiu. Miejsca lecz-
nicze podtrzymywały opadające siły, lecz już ich
mu nie wróciły. Pracował wciąż jednak i po la-
tach czterech (1851) wydał zbiór powiastek p. t.
Kontusze pogadanki i obrazki z szlacheckiego życia,
które nie mają na sobie cechy prawdy życiowej.
Prawdę zastąpiło wyobrażenie. Obrazki te i dziś
jeszcze mogą być mile czytane, ale głębszego
wrażenia nie wywierają.

Pod koniec tegoż roku zwiedził Włochy,
o których marzył, i w szaty poetyczne ubrane
obrazy z tej podróży zostawił. W ciągu pięciu
miesięcy przebiegł Florencję, Rzym i Neapol;
wszystkie kościoły, galerie i muzea tych miast,
o których cenne wspominki w listach jego mamy.
Pod względem jednak twórczości literackiej naj-
szczęśliwszym dla niego był rok 1855, w którym
dla poratowania zdrowia wyjechał do Baden.
Tam to napisał na wiosnę swoją *Sielankę młodo-
ści*, która poprzedziła tomik poezji, wyszłych na
początku roku następnego.

W tomiku tym znajduje się dużo nowych, pięk-
nych rzeczy, pisanych zawsze językiem poprawnym,
ubranych w wytworną formę poetyczną. Prześli-
czną jest elegia na śmierć dziewięcioletniej dzie-
wczynki; mimo to jednak *Sielanka* przewyższa wszy-

stkie i świeci najczystszej wody brylantem. Skry-
stalizowało się w niej najpiękniejsze wspomnienie,
bo najszcześniejszych chwil życia, kiedy serce ma-
rzy, kocha i wierzy, kiedy muśnięcie ustami wło-
sów ukochanej jest szczytem rozkoszy. *Sielanka
młodości* jest jednym z najpiękniejszych utworów
Gaszyńskiego, nieśmiertelnym liściem sławy poety.
Napisał ją po kilkunastu latach tułaczki i dlatego
może tak pięknie napisał. Przeszłość usuwała się
coraz dalej, opromieniona poezją miłości i wiary
młodzieńczej—przyszłość nie miała barw żadnych.
Zawezwał więc wspomnienia najszcześniejszej chwili
życia i ono przyszło i do nóg mu się położyło.
I wysnuło się marzenie ciche, proste, rzewne, nie-
zmącone żadną nutą fałszywą. Takim je chciał
mieć poeta, bo takie tylko łało balsam na serce
stęsknione, bo takie tylko miało orzeźwiającą woń
kwiatów, senną a promienną wizją było niepo-
wracających nigdy lat młodości. *Sielanka* jest tak
prawdziwą i piękną w swej prostocie, że choć od
napisania jej dzieli nas pół wieku prawie, mimo
to nic na swojej świeżości, na swoim wdzięku nie
traci. «Panna była prześliczna»—to dość, by
wiedzano, kto od słów tych poemat zaczął.
Wszystkie sonety i elegie Gaszyńskiego mogą
niejednego ze zwyczajnych czytelników, gdyby go
zapytano o autora, w kłopot wprowadzić, ale
o twórcy *Sielanki młodości* wie każdy i ustęp nie-
jeden z pamięci by wypowiedziano.

Późniejsze utwory Gaszyńskiego, mimo zawsze
myśli obywatelskiej, nie dorównują temu wspo-
mnieniu.

W r. 1857, zachęcony konkursem, ogłoszo-
nym w Poznaniu przez hr. Heliodora Skórzew-
skiego, na napisanie satyry odpowiedniej czasowi,
posłał wiersz p. t. *Gra i karciarze*, za który otrzy-
mał nagrodę; następnie napisał satyryczny obra-
zek dramatyczny p. n. *Wyścigi konne w Warsza-
wie.* Obie te rzeczy mogłyby być i dzisiaj z po-
żytkiem odczytane, bo ani karciarstwo nie upadło,
ani bezmyślność wyścigów nie zmniejszyła się.

Gra i karciarze po *Sielance* jest najlepszym
utworem Gaszyńskiego. Obrazki są wzięte z na-
tury, ogromny spokój i powaga w traktowaniu
przedmiotu. Poeta wie, że namietności nie wy-
rugowują się jednym pociągnięciem pióra, nie
rozdrażnia więc karconych nieumiejętnie użytym
a ostrym biczem satyry, lecz przemawia do serca
i rozumu z tym spokojem mędrca, który rozumie,

że złe być musi, lecz nad wykorzenieniem jego choć w części pracować potrzeba.

Śmierć Zygmunta Krasińskiego, brata po pieśni i przyjaciela lat młodszych, była wielkim ciosem dla Gaszyńskiego. Usunęła się młodość, usunęły się nadzieje, dziś usuwali się ludzie, z którymi go nieś serdeczna łączyła. Czyniąc zadość coraz silniej tłoczącym się wspomnieniom, napisał ogromne dzieło, poświęcone pamięci nieodżałowanego przyjaciela. Jest niem: *Zygmunt Krasiński i moje z nim stosunki*. Następnie spełnił długo marzony zamiar odwiedzenia swej matki, zamieszkałej w Częstochowie. Zjawił się w kraju jako gość pasportowy, odetchnął powietrzem ojczy-
stem, wspomnieniami się orzeźwił i pociągnął do swojej Prowancyi.

W r. 1864 wydał w Paryżu kilka pieśni, a we dwa lata, po trzydniowem konaniu ciężkiem, do lepszego świata się przeniósł.

W utworach Gaszyńskiego przeważa uczucie ciche nad porywami namiętności; wulkanicznej siły tam niema, ani piorunów druzgocących. Smutny spokój panuje wszędzie, łzy i skargi są tym smutkiem cichym nabrzmiałe. Czystość życia i myśli przelała się w kryształ jego pieśni. Żółci nie widać nigdzie i dlatego jego satyry nawet tchną tym spokojem niezmiernym, który mu pozwala panować nad otoczeniem i z pewnej wyżyny przemawiać. Nie dziw tedy, że *Sielanka młodości*, w której tylko serce swe włożył, jest najpiękniejszym kwiatem wiosennym, nie więdnącym nigdy i nie tracącym nigdy swej świeżości i woni.

Kazimierz Gliński.



D-r med. Walenty Gagatkiewicz i D-r med. Józef Filipecki.

* 1750 † 1805.

* 1757 † 1810.

Sztuka i nauka lekarska, wykładana ongi w Krakowie z powodzeniem i pożytkiem, już za panowania Zygmunta III podupadać zaczęła u nas, a od drugiej połowy wieku XVII aż do końca rządów saskich znikczemniała niesłychanie. W owym smutnym okresie dziejowym nie posiadaliśmy prawie wcale lekarzów swojskich, zasługujących na to—miano; wyjątki nieliczne na palcach policzyćby można. Sztuka lekarska, o ile się nią nie zatrudniały osobistości, z nauką zgoła nic wspólnego niemające, znajdowała—się przeważnie, jeśli nie wyłącznie, w rękach cudzoziemców: włochów, francuzów i Niemców, szczególnie tych ostatnich, zwłaszcza za dwu królów Sasów; czasem przybłąkiwał się też do nas jaki Anglik albo Szwajcar. O ile lekarze ci byli sprowadzeni do kraju przez dwór królewski, albo przez panów możnych, posiadali zwykle wykształcenie i uzdolnienie należyte, ale pomiędzy tymi, którzy przybywali sami, nieproszeni i niewołani, napotkać można było licznych nieuków, ba, nawet mataczów i szalbierzy, którym beczelna pewność siebie stała za naukę i wiedzę. Wtedy to niejeden golibroda, albo posługacz szpitalny zagraniczny, umiający zaledwo trochę pisać, uchodził u nas nieraz i to nie w oczach gminu tylko, za doktora i leczył z powodzeniem, rozumie się dla własnej kieszeni tylko. Naczytać się można o tem u Lafontaine'a rzeczy dziś trudnych do uwierzenia, a jednak prawdziwych, niestety ¹⁾; ale inaczej dziać

się nie mogło w kraju, nie troszczącym się o kształcenie lekarzy własnych.

fend.», (Wrocław, 1792, str. 179—196). W podobny sposób wyraża się też M. Brodowicz w «Roczniku wyd. lek. w uniw. Jagiellońskim» (t. II, str. 102 i 103).—Wspomniawszy tu Lafontaine'a, cudzoziemca wprawdzie, ale dla kraju i społeczeństwa naszego męża bardzo zasłużonego, uważam za konieczne wtrącić słów kilka o życia jego kolejach. Leopold de la Fontaine urodził się r. 1756 w miasteczku Biber w Szwabii początkowo do stanu duchownego przeznaczony, następnie do nauk lekarskich przykładał się w Strasburgu i Wiedniu; w r. 1773 wstąpiwszy jako lekarz do wojska austriackiego, dostał się z pułkiem swym do Tarnowa. Porzuciwszy po latach kilku służbę, osiadł w Krakowie i prędko doszedł do wziętości i sławy, zajmował się też wtedy urządzeniem zdrojowisk w Krzeszowicach. Od r. 1787 do 1795 był konsyliarzem i chirurgiem nadwornym króla Stanisława Augusta, który zawsze był bardzo łaskaw dla niego. W r. 1807 mianowany był protochirurgiem generalnym wojsk Ks. Warszawskiego i w tej roli brał udział w wyprawie wojennej r. 1812; wyczerpany pracą nadmierną, a nadto wycieńczony niewygodą życia obozowego i strasznymi przejściami pamiętnego odwrotu z pod Moskwy, dostawszy się do niewoli, umarł d. 12 grudnia w Mohilowie. Cieszył się sławą bardzo biegłego i zręcznego okulisty, był członkiem Towarzystwa literackiego getyngieńskiego (od r. 1802), warszawskiego Przyjaciół Nauk (od r. 1804), Szkoły lekarskiej paryskiej (od r. 1806), Ces. towarzystwa lek. wileńskiego, oraz członkiem honorowym uniwersytetu krakowskiego. Obszerniejszy życiorys jego znaleźć można w Rocznikach Tow. warszawskiego Przyjaciół Nauk, t. X, str. 173—193, wykaz zaś prac naukowych w Słowniku lekarzów polskich S. Koźmińskiego (str. 261 i 262).

¹⁾ F. L. de la Fontaine. «Chirurgisch medicinishe Abhandlungen verschiedenen Inhalts Polen betref

Wydział lekarski krakowski, dorównywający w wiekach XV i XVI dobrym nawet zagranicznym i wielokrotnie wtedy przez cudzoziemców odwiedzany, nie posiadał wówczas już nawet cienia swej dawnej świetności; przez lata całe niejednokrotnie stanowił go tylko jeden, jedyny profesor, nie mogący oczywiście, chociażby nawet był posiadał zasób naukowy nadzwyczajny, zastąpić całego grona nauczającego¹⁾.

W Zamościu wydział lekarski, nie kwitnący nigdy, już około r. 1700 przestał istnieć zupełnie²⁾; w Wilnie wprawdzie w r. 1641 przez króla Władysława IV ustanowiony został wydział taki, ale jezuita, którym akademia tamtejsza powierzona była, nie śpieszyli się z urządzeniem go do tego aż stopnia, że dopiero w lat kilka po zniesieniu ich zakonu, w r. 1781 w mieście tem zaczęto wykłady nauk lekarskich³⁾.—Wobec takiego stanu rzeczy kształcenie się w kraju na lekarza stawało się niemożliwem, a szukanie nauki zagranicą było kosztowne i dla niewielu dostępne. Zamożniejsza młodzież szlachecka, posiadająca środki na wyjazd, byłaby wtedy uważała za ujmę czci swej oddanie się zawodowi lekarskiemu; mieszczaństwo ówczesne zabawiało się albo rzemiosłem, albo handlem i synów swych na kosztowne uniwersytety nie zwykło było posyłać; zdarzały się wprawdzie wyjątki, ale bardzo nieliczne tylko; o włościanach nie masz nawet co i mówić, chociaż i pomiędzy nimi wyjątkowo zdarzali się ludzie nauce oddani⁴⁾. Dopiero za panowania Stanisława Augusta stan rzeczy tych zaczął się mieć ku lepszemu. Nieśmiertelne zasługi Konarskiego już za poprzedniego króla podniosły w oczach narodu znaczenie nauki wogóle i zachęciły do ubiegania się o nią, a zamknięcie szkół jezuickich, jak zmoza dławiających wszelki rozwój oświaty prawdziwej, stało się dla niej dobrodziejstwem nicocenionem, wydobywając ją z niewoli wiekowej. W tym to czasie, gdy zasiew Konarskiego już kłosić się zaczynał, gdy brzask jutrzeńki przebiegał i rozganiał pomalu zatęchły mrok gnuśnej przeszłości, przy-

szedł na świat mąż, w którego żywocie teraz rozpatrzeć się mamy. Dojrzał w pierwszych latach panowania Stanisława Augusta, a zmężniawszy, sam niemało przyczyniał się do niccenia światła, któremu służył przez życie całe.

Walenty Gagatkiewicz urodził się d. 10 lutego r. 1750 w Warszawie, gdzie ojciec jego, mieszczanin warszawski, był chirurgiem, czyli, jak wówczas mówiono, cyrulikiem; odumarł syna w pierwszych latach dzieciństwa, a matka po krótkim wdowieństwie wyszła powtórnie za mąż za Filippeckiego, kolegę pierwszego męża swego, człowieka zamożnego i widocznie pod względem naukowym wyżej stojącego od ogółu naszych cyrulików ówczesnych. Pasierb znalazł w ojczymie pełnego serca i rozumu opiekuna, który się wychowaniem jego zajmował z pieczołowitością prawdziwie ojcowską.

Odbyszy nauki początkowe w szkołach jezuickich, Gagatkiewicz oddany został następnie do konwiktu ks. pijarów, tak chlubne miejsce zajmujących w dziejach oświaty naszej. Chłopiec bardzo zdolny i pracowity, z najgorliwszą pilnością ćwiczył się tam we wszystkich naukach, mogących mieć związek z przyszłym stanem jego, zdradzał albowiem już w dzieciństwie wielki pociąg do zawodu lekarskiego, a zacny ojczym umacniał go w tem zamilowaniu. Szkoły ukończył jako uczeń wzorowy w wieku tak młodym, że nie można było myśleć o wysłaniu go bezpośrednio na uniwersytet, żeby jednak nie tracić czasu, oddano go tymczasowo na dwa lata do apteki Wasilewskiego, słynącego wtedy w Warszawie ze swej uczoności zawodowej. Pod okiem tego światłego męża młody Gagatkiewicz wyuczył się początków chemii, zapoznał się z botaniką i nabył wiadomości z dziedziny farmacji, co wszystko w czasie późniejszym bardzo mu się przydało. Ponieważ o dalszem kształceniu się w kraju nie było co myśleć, posłał go więc ojczym do Paryża, gdzie przez lat sześć przykładał się do nauk lekarskich, uczęszczając na wykłady i kliniki najslynniejszych wówczas profesorów. Z zapałem i pilnością niezwykłą pracował szczególnie nad anatomią i fizyologią pod przewodnictwem Sabatiera, a w medycynie klinicznej był ulubionym uczniem Antoniego Petita, dla którego też do śmierci żywił zawsze uszanowanie najgłębsze i wdzięczność najczulszą.

¹⁾ Rocznik wyd. lek. w uniw. Jagiel. t. II str. 58 i 109.

²⁾ L. Gąsiorowskiego: «Zbiór wiadomości do historii sztuki lekarskiej w Polsce» t. II, str. 36.

³⁾ Tamże, str. 45 i 67.

⁴⁾ Tamże, str. 2.

Skończywszy naukę całkowicie, udał się Gagatkiewicz do Reims i tam po złożeniu egzaminów, oraz po obronieniu rozprawy p. n. «De fistula ani» otrzymał godność doktora medycyny. Dobiegłszy tak do upragnionego celu, nie śpieszył się wszelako z powrotem do ojczyzny. czuł bowiem, że wiadomości zdobyte na uniwersytecie aczkolwiek rozległe, nie są wystarczające dla lekarza, chcącego być czemś więcej niż rzemieślnikiem, zajmującym się tylko leczeniem podług jednostronnie wyuczonego wzoru. Nim wróci, postanowił sobie wprzód zwiedzić, o ile się da, jak najwięcej szpitali, odznaczających się urządzeniem dobrem, jako też zapoznać się z lekarzami słynnymi różnych narodów, obiecując sobie z tego słusznie korzyści wielkie. Wyruszywszy tedy z Reims, zboczył raz jeszcze do Paryża dla pożegnania się ostatecznego z profesorami i kolegami, a potem zwiedził Brest, L'Orient, La Rochelle, Bordeaux, Lyon, Montpellier, Marsylię i Tulon, zatrzymując się w każdym z miast wymienionych póty, póki dobrze nie obejrzał i nie poznał ich szpitalnictwa, oraz lekarzy niem zawiadujących. Objechawszy Francję, udał się do Włoch. Zabawiwszy czas pewien w Turynie, zwiedził Bononię, Pawię, Rzym i dotarł do Neapolu. Podczas tej wędrówki nie zajmowała go wyłącznie nauka lekarska, ale i sztuki piękne: malarstwo, rzeźba i budownictwo. posiadał albowiem dużo smaku artystycznego i nie mało zamilowania do wszystkiego, co nadobnością swą pociąga ku sobie. W drodze powrotnej zatrzymał się dłużej w Wiedniu, w owe czasy szczytującym się najznakomitszym wydziałem lekarskim niemieckim, nie pominął też innych słynniejszych zakładów naukowych w Niemczech i nakoniec w r. 1776 stanął znów w mieście rodzinnem tak znakomicie przysposobiony do zawodu swego, że śmiało mógł się ubiegać o pierwsze miejsce w szeregu lekarzy krajowych; zajął je też niebawem rzeczywiście¹⁾.

«Tu wyznać należy, że Gagatkiewicz był jednym z tych ludzi, których niestała szczęścia bogini, jeśli nie zawsze na swem pieści łonie, tedy przynajmniej bardzo rzadko z pod oka swojego

¹⁾ Lafontaine w «Mowie na pochwałę Gagatkiewicza» (Rocz. warsz. Tow. Przyj. Nauk, t. VII, str. 46) podaje rok 1770, zgodnie z nim czynią toż samo: L. Gąsiorowski (l. c., t. III, str. 214), K. Wł. Wójcicki

wypuszcza²⁾. W samej rzeczy zaprzeczyć trudno, że szczęście mu od kolebki do grobu wciąż prawie sprzyjało, ale przyznać też koniecznie trzeba, że zasługiwał na to zaletami swemi. Powierzchność miał przyjemną, usposobienie wesołe i towarzyskie, wymowę łatwą i przekonywającą, dowcip wykwintny, zachowanie się ujmujące, w obcowaniu z ludźmi wszelkich stanów był gładkim i zręcznym, naukę i biegłość zawodową posiadał w rozmiarach niezwykłych, a łączył je z poczuciem obowiązku nigdy nie słabnącem, obywatelem był prawym, gorąco kraj miłującym, a dobrocią i zacnością serca trudno mu było dorównać. «Wszedłszy w świat lekarski, nieustannie coraz to nowych nabywał wiadomości i, przez 30 lat trudniąc się praktycznie leczeniem, nigdy wstecz się nie cofnął, ale owszem coraz do wyższego stopnia doskonałości w swej nauce postępował»²⁾.

Mąż tyloma i takimi zaletami zdobny musiał mieć powodzenie i znaleźć uznanie powszechne u całego społeczeństwa swego. Jako lekarz był nadzwyczaj ceniony w Warszawie i w kraju całym, a chociaż sławą swą przyćmiewał wszystkich kolegów współczesnych, umiał sobie jednak ich przyjaźń i uznanie zaskarbić. Król Stanisław Au-

(Cmentarz powązkowski, t. I, str. 139) i S. Kościński (l. c., str. 129), trudno jednak uwierzyć, żeby data owa była prawdziwą, raczej przypuścić należy, iż do mowy pochwalnej Lafontaine'a wkradła się omyłka druku, i że zamiast 1770 powinno stać tam 1776. Gagatkiewicz urodził się w r. 1750, ta data jest pewną zupełnie, więc w r. 1770 skończył lat 20; jeżeli zatem po ukończeniu szkół spędził dwa lata w aptece, sześć lat na naukach uniwersyteckich i przynajmniej także ze dwa lata na podróżach naukowych (ponieważ wtedy podróżowano bardzo powolnie, a dokładne zwiedzenie tyłu szpitali i zakładów uniwersyteckich w różnych krajach też czasu nie mało pochłonać musiało), więc wypadłoby, że miał lat dziesięć, kończąc szkoły w Warszawie, a dwanaście wstępując na uniwersytet paryski, czemu przecie uwierzyć nie można; dla tego też w tekście podałem powyżej jako rok powrotu do kraju 1776, pomimo, że mam przeciwko sobie wszystkich znanych mi żywociarzy Gagatkiewicza, odpisujących widocznie bez krytyki wszelkiej od Lafontaine'a, którego pomyłka jest aż nazbyt widoczna, żeby jej przy odrobinie uwagi nie dojrzeć.

¹⁾ Słowa Lafontaine'a l. c., str. 47.

²⁾ Lafontaine l. c., str. 51.

gust cenił go bardzo, w r. 1784 zamianował go swoim lekarzem poradniczym i konsyliarzem nadwornym, we dwa lata potem ozdobił medalem złotym «Bene merentibus», w r. 1788 przez wzgląd na wielkie zasługi, za zgodą Stanów sejmujących szlachectwem go zaszczylił. Później nawet, gdy już tron postradał, nie zapomniał o nim i jeszcze na dwa lata przed śmiercią przysłał mu pierścień z portretem swym, zapewniając go o najwyższej swej łasce i przychylności.

Chociaż zajęcia zawodowe pochłaniały Gagatkiewiczowi prawie wszystek czas jego, zamożni bowiem i ubodzy, szukając pomocy, ustawicznie cisnęli się do niego, umiał zawsze znaleźć chwil kilka wolniejszych, ażeby je poświęcić usłudze publicznej, albo pracy naukowej. Znając aż nadto dobrze niski poziom umysłowy i naukowy cyrulików ówczesnych, sam bowiem z ich stanu był wyszedł, »z niewypowiedzianym zapalem obstawiał za utworzeniem szkoły chirurgicznej w Warszawie. Piewsze lekcye, które tu w anatomii, chirurgii i fizyologii dawano, jego były dziełem, a oprócz starań, podejmowanych około wydoskonalenia młodych tutejszych chirurgów, sam z własnego majątku potrzebny na to fundusz wyznaczył»¹⁾. Gdy w r. 1795 szkoła ta istnieć przestała, bolał nad tem niewymownie, a pragnąc brak jej zastąpić choćby do pewnego stopnia, zabrał się do opracowania podręcznika, zawierającego wszystko to, co według pojęć ówczesnych niezbędnem wydawało się dla cyrulika należycie wykształconego. «Rękopis ten już był skończony; nie wiem, co jego wydrukowanie wstrzymało»²⁾. Dziś prawdopodobnie zaginął już niepowrotnie; podobny

los spotkał też inne prace Gagatkiewicza. Zwyczajem jego było opisywać dokładnie wszystkie ciekawsze przypadki z rozległej swej praktyki, oraz opatrywać je uwagami; w ten sposób powstał prawdziwy skarb rzadkich i ważnych spostrzeżeń. Lafontaine, który je znał dobrze, z największem o nich wyraża się uznaniem¹⁾. Po śmierci Gagatkiewicza papiery jego przeszły na własność d-ra J. Filipieckiego, brata jego przyrodniego, a gdy i ten w kilka lat potem umarł, nie wiadomo, co się z niemi stało dalej; przepadły prawdopodobnie na zawsze, jak tyle innych prac lekarzów ówczesnych, przez niedbalstwo i nierozum ich spadkobierców.

Gagatkiewicz był człowiekiem na wskroś szlachetnym i dobrym, a obywatelom prawym, nie cofającym się nigdy przed ofiarą dla dobra publicznego; z dóbr swoich, pracą własną zdobytych, czynił użytek najchwalebniejszy. Chorzy biedacy znajdowali w nim dobrodzieja niezwyklego; «dla nich on nietylko poradniczym lekarzem, ale też nader uprzejmym okazywał się dobroczyńcą. Wiedział dobrze, że zapisana recepta nie ma czarodziejskiej mocy do uleczenia tych wszystkich dolegliwości, których ubogi człowiek w swej chatce doznawał. Jedną ręką podawał przepis, a drugą to dobroczynne wsparcie, które czę-

stokroć więcej, niż sama recepta, zwykło ulgi przynosić. Prócz tego, płacił corocznie znaczną sumę za lekarstwa, których dwojako nieszczęśliwi kupić sami sobie nie mogli»²⁾. O hojności jego dla szkoły chirurgicznej wspomniano już wyżej; w r. 1794, oprócz gotówki wszystkie swoje srebra znacznej wartości oddał na potrzeby kraju. «Życzenia, które temu towarzyszyły darowi, przewyższały ofiarowany kruszec»³⁾.



Walenty Gagatkiewicz.

Podług obrazu Bacciarelego.

Ze zbiorów Zygmunta Wojskiego.

¹⁾ Tamże, str. 52. O szkole tej i jej założeniu ob. L. Gąsiorowski, l. c. t., III, str. 45.

²⁾ Lafontaine l. c., str. 53.

¹⁾ Tamże.

²⁾ Lafontaine, l. c. str. 53 i 54.

³⁾ Tamże, str. 58.

Gdy w r. 1800 zawiązało się w Warszawie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Gagatkiewicz był pierwszym z lekarzów, do tego uczonego grona powołanych, i gorliwie przyczyniał się do jego rozwoju naukowego, zagrzewając współników do pracy i krzewienia wiedzy. Dnia 2 stycznia r. 1805 znajdował się poraz ostatni na posiedzeniu Towarzystwa, pozornie zdrow i pełen zapału, a dnia następnego, po krótkich cierpieniach zgasł przedwcześnie, pograżając w żalu rodzinę, przyjaciół i licznych biedaków, którym tyle świadczył dobrodziejstw. «I to także jest dowodem wielkiej jego w nauce lekarskiej biegłości, iż przewidział nagłą swą słabość i śmierć, która wkrótce po niej nastąpiła. Umarł tak, jak żył, wesół i spokojny. Bliskie rozstanie się swoje ze światem wyobrażał sobie jako cel właściwego objaśnienia zebranych przez siebie wiadomości. Śmierć poczytywał za wezwanie do tej świątnicy, gdzie duch jego uwolniony od więzów ciała najwyższy cel miał ujrzyć. Wyobrażenia jego religijne, na zdrowej zasadzone filozofii, nie dopuszczały nigdy, aby niewolnicza bojaźń spokojnością duszy jego zachwiała. Wiedział, iż za zasłoną, przedzielającą wieczność od doczesności, dobroczynny Stwórca z otwartymi na niego oczekiwał rękoma»¹⁾.

Gagatkiewicz był dwukrotnie żonaty; w bardzo młodym wieku poślubił Elżbietę z Mainonich; miał z nią ośmioro dzieci, z których sześcioro zmarło w dzieciństwie, z dwojga pozostałych synów poświęcił się nauce prawa, córka zaś, zameżna Dulfusowa, zmarła w kwiecie wieku, gdy poraz pierwszy matką zostać miała. Po dłuższym wdowieństwie ożenił się powtórnie w r. 1803 z wdową z Grabskich Łuszczewską, niewiastą, odznaczającą się zarówno wdziękami ciała jak i duszy; żył z nią bardzo szczęśliwie, ale, niestety, bardzo krótko.

Mając skreślić życiorys męża, o którego wartości i zasługach jest się przekonany, ubolewać nieraz przychodzi, widząc, że nie jest się w możności zgromadzenia materiałów, wystarczających zupełnie do należytego uwydatnienia dobrego o nim mniemania. Czytelnik, spotykając w długim szeregu życiorysów obszernych taką krótką stosunkowo wzmiankę, łatwo wpaść może

¹⁾ Tamże, str. 57.

na domysł, iż człowiek, o którym nie umiano wiele napisać, niewiele też prawdopodobnie zrobił, a zatem, że może o nim nie warto było i pisać; przypuszczenie takie jednakże częstokroć byłoby mylnem stanowczo. Nie zapominajmy o tem, że o szczegółach życiowych bardzo wielu ludzi zasłużonych wiemy nadzwyczaj mało, nie zmniejsza to wszelako bynajmniej doniosłości i użyteczności ich czynów. Nie trudno wprawdzie dodać żywotowi rozciągłości, zastępując brak treści właściwej wtrącaniem ustępów postronnych, albo nadmiernem rozwodzeniem się nad szczegółami wiadomości i pewnemi; ale postępując tak, nie oddajemy przysługi ani czytelnikowi, ani mężowi, o którym się pisze; więc lepiej nie silić się na sztuczki podobne, jeno poprzestać na zużytkowaniu chociażby szczupłego tylko materiału biograficznego, nie rozwadniając go niepotrzebnie. Tak też i uczynię. Filipceki był na końcu wieku minionego i na początku bieżącego jednym z przedniejszych lekarzy warszawskich, cieszył się uznaniem i szacunkiem ogólnym, niewiele jednak o życiu jego będzie można powiedzieć, ponieważ jedyne źródło, z którego wiadomości o nim zaczerpnąć można, więcej zajmuje się chwałą i uwagami ogólnikowemi, niżeli kolejami życia pełnego cichych, ale rzetelnych zasług¹⁾.

Józef Filipceki, syn zamożnego cyrulika warszawskiego, brat przyrodni znakomitego lekarza W. Gagatkiewicza, od którego był młodszym o lat siedm, urodził się w r. 1757. Oddany do szkół publicznych miasta rodzinnego, ukończył je chlubnie w r. 1774, a idąc za przykładem brata starszego, poświęcił się także zawodowi lekarskiemu. Prawdopodobnie stosując się do wskazówek Gagatkiewicza, który przed niedawnym właśnie czasem miał sposobność poznać osobiście znakomity wówczas skład wydziału lekarskiego w Wiedniu, udał się Filipceki do tego miasta i tam po ukończeniu nauk, w dniu 31 maja roku 1781 obroniwszy rozprawę p. n. «*Observationes circa naturam plantarum*», dyplom doktorski otrzymał. Chcąc zapas wiedzy swej powiększyć, oraz wydo-

¹⁾ Ks. Ksawerego Szaniawskiego, kanon. katedr. warszawskiego, «Rys życia Józefa Filipcekiego» w *Rocznikach Tow. król. warszaw. przyjaciół Nauk.* t. X. 1817, str. 352—360. U L. Gąsiorowskiego i S. Koźmińskiego także tylko wiadomości od Szaniawskiego zapożyczone spotykamy.

skonać się lepiej jeszcze w sztuce lekarskiej, podróżował następnie przez dwa lata; zwiedził Niemcy, Francję i Włochy, gdzie zabawił najdłużej w Bononii, posiadającej wtedy bardzo dobry wydział lekarski. Gdy do Warszawy powrócił, brat jego Gagatkiewicz zajmował już stanowisko pierwszego lekarza stolicy, mógł mu zatem ułatwić stawianie pierwszych kroków na ciernistej nieraz drodze praktyki lekarskiej. Stosunek między braćmi przyrodniemi był nadzwyczaj serdeczny przez całe ich życie; kochali się czule i szli zawsze ręka w rękę, łączyła ich bowiem silniejsza może niżli związki krwi tożsamość przekonań i dążenie do tych samych celów szlacheckich; potężna jednak osobistość Gagatkiewicza przyćmiewała nieraz Filipeckiego, który pomimo zalet swych rozlicznych nie zdołał mu dorównać, aczkolwiek starał się wciąż o to, aby stać się podobnym do niego pod każdym względem. Jeżeli pomiędzy nimi istniało współzawodnictwo jakie, to chyba tylko pod względem szlachetności uczuć i czynów, innego z pewnością nie było. W szkole chirurgicznej warszawskiej, do której założenia podczas sejmu Czteroletniego staraniem i pieniędzmi Gagatkiewicz przyczynił się głównie, Filipecki wykladał przez cały, niestety, zbyt krótki czas jej istnienia fizyologię i zjednał sobie sławę wyborczego a przez uczniów uwielbianego profesora. Obowiązki te pełnił bezpłatnie, jak również przez lat 16 bez żadnego wynagrodzenia pieniężnego ordynował w szpitalu Dzieciątka Jezus, oraz leczył darmo mnichów i zakonnice w licznych wtedy klasztorach warszawskich; znano go też powszechnie z dobroci serca dla ubogich chorych, otrzymujących od niego często hojne wsparcie.

Król Stanisław August, oceniając słusznie zasługi Filipeckiego, zaszczycił go wielkim medalem złotym «Bene merentibus.» Za czasów księstwa Warszawskiego Filipecki był naczelnikiem wydziału policyi lekarskiej. Jako członek czynny Towarzystwa warszawskiego królewskiego Przyjaciół Nauk, pracował w niem z gorliwością stateczną; wiele pism jego pozostało w archiwum tego uczo-

nego ciała, a na jednym z posiedzeń publicznych czytał rozprawę p. t. «Rada dla starych względem utrzymania ich zdrowia.» Należał też do tłumaczenia na język ojczysty nagrodzonej przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk rozprawy Lerneta o zarazie morowej¹⁾. Życie przestał ze szkołą wielką dla społeczeństwa i nauki w r. 1810. Książd Szaniawski, kończąc życiorys jego, odzywa się w te słowa: «Nie będę tu wchodził w wykazywanie wszystkich przymiotów i cnót domowych i publicznych Filipeckiego, powiem tylko powszechne zdanie o nim, że przywiązanie najwyższe do nauk, do ojczyzny, do ludzkości, dla których liczne osobiste i majątkowe najchętniej czynił ofiary, kierowało bezprzestannie całą jego istotą.» Kto schodząc ze świata, taki sąd ogółu zostawia po sobie, musiał być z pewnością mężem zacnym i zasłużonym.

D-r med. Józef Peszke.

¹⁾ Praca ta, posiadająca wartość naukową wcale niepoślednią, drukiem ogłoszoną została p. t. *Rozprawa o morze* w Rocznikach Tow. król. warsz. Przyjaciół Nauk, T. XI, 1817, str. 1—272; głównym tłumaczem był d-r Karol Soczyński. Oryginał napisany po łacinie wyszedł w Krzemieńcu r. 1814 p. t. *Ad propositiones de peste a regia Societate Scientiarum varsoviensi prolatae respondens dissertatio*. Tłumaczenie jest bogatsze w treść od oryginału, ponieważ autor opatrzył je dopełnieniami i przypiskami. Jan Nepomucen Lernet, chociaż cudzoziemiec, oddał nam wiele przysług podczas długoletniego swego w kraju pobytu. Był doktorem filozofii i medycyny, konsyliarzem nadwornym króla Stanisława Augusta, członkiem honorowym uniwersytetu wileńskiego; członkiem przybranym Tow. Przyj. Nauk i Cezarskiego Tow. lekarskiego wileńskiego; nadto od r. 1806 sprawował urząd dyrektora szkół gubernii Wołyńskiej. Umarł w Krzemieńcu d. 22 maja r. 1820. Liceum krzemienieckiemu zapisał swą bogatą bibliotekę, nadto przeznaczył 250,000 złp. na stypendya dla czterech uczniów przy gimnazjum wołyńskim z tem zastrzeżeniem, aby na wypadek śmierci jedyne go syna jego, małoletniego wówczas, i pozostała reszta majątku jego obróconą była na ustanowienie dwu jeszcze stypendyów. Por. S. Kościuskiego: «Słownik lekarzów polskich», str. 273.



Józef Bohdan Zaleski.

* 1802 † 1886.



«Ura - ho!... ura - ho!... ura!»
Kto dziś zrozumie ten okrzyk, do czyjego on serca wpadnie i czyją krew poruszy? Przez limany ku morzu Czarnemu nie płyną czajki zaporoskie; ognie Synopy i Trebizondy nie rzucają postrachu na Wschód muzułmański; sultan spokojnie używać może rozkoszy haremowych, Konaszewicze w grobach, przez stepy przeciągnął i znikł w nierozwianych tumanach, złożony na marach «Łach serdeczny;» — nawet echo wolań Bohdanowych w ciszę wsiąkło i umilkło, rozwiało się — na wieki!

Dziś pięknościami tych dum i szumek zaledwie wielki znawca formy zachwycać się może; przedmiot jest obojętny zupełnie; dziś zaledwie wrażliwa dusza poety i to zrodzonego tam, zatonię w mroku tych wspomnień, odtworzy obszary zielenią traw kołyszącego się stepu, nieznównaną pieśń fal Dnieprowych, ten okrzyk, który, że się powtórzy, był wiarą ostatniego piewcy Ukrainy.

O ile ta wiara przed pół wiekiem ogólną była, o tyle w dobie obecnej jeden jaskrawy okrzyk z niej nie został. Co umarło w rzeczywistości, odżyło w pieśni, ale że pieśń zamknęła się w szczupłych granicach wspomnień miejscowych; że ze strun wielu wciąż o jedną tylko strunę potraçała, nie rozszerzyła skrzydeł, nie ogarnęła społeczności całej; stała się więc dziś niezrozumiałą prawie, dogorywającą w odosobnieniu, posągami pięknymi, lecz o kształtach niewyraźnych, barwach spłowiałych, dzwoniącym pustką wnętrza swojego. I nie znajdzie się już pieśniarz, któryby nawiązał zerwane struny gęśli Bohdanowej; — słuchaczów zabrakłoby. Bo nie dość dźwięków rozwiewnych, nie dość formy misternej; z nich powinna wyzierać twarz prawdy, dusza żywa, a tej już tam niema! «Ura - ho!» oddźwięku nie znajdzie, rumak Mazepy niespostrzeżony przeleci; innem korytem potoczyła

się fala dziejów, rzeczywistość złotą maskę uludy zdarła już z oczu.

W takich warunkach, w jakich żył i wychowywał się Bohdan Zaleski, żaden już pieśniarz ani żyć, ani wychowywać się nie będzie. Dumy lirników ukraińskich, będące zabawkami dawnej, rycersko-ludowej poezji, ustąpiły miejsca psalmom i wogóle małej wartości pieśniom religijnym albo wyuzdanym śpiewkom, wzbudzającym śmiech gruby w słuchaczach. Przed kilku laty zmarł na Ukrainie ostatni z jej bandurzystów Werysaj, umiejący z tem narzędziem muzycznym obchodzić się, a wraz z nim i wspomnienia znikły o dawnej sławie kozackiej, o miłości czy nienawiści do łachów. Stoją jeszcze «chutory» po jarach i rozdolach, osłonięte puchem śnieżystym kwieciami wiśniowego; mieszkają w nich znachory i znachorki, warzą zieleń, odczarowują choroby różne, ale nie znajdziesz wśród nich Zuja, któryby wychował «paniątko», by krew własną, i karmił je «mlekiem dum i mleczem kwieciami.» Tu i tam błędzą jeszcze wspomnienia niepewne, upiory coraz bardziej zacierającej się przeszłości; ale choć cię uderzy na chwilę pieśń dawna o «wojewódzkim synu.» nie ludź się!... to tylko dźwięk pusty pozostał — uleciała z niej dusza.

Ze zmianą czasów, ze zmianą dróg, jakimi rydwan dziejów się potoczył, zmieniły się pojęcia, zmieniło się życie na dawnej, Bohdanowej Ukrainie. Nie siedzą już tam zbitą masą dwory starszalsze, przeredzają się, nikną, uchodzą a z nimi pękają nadwątłając się wciąż nici tradycji, nowe wytwarzają się stosunki, nowi rodzą się i przychodzą ludzie, w których sercach oddźwięku nie znajdzie «kwinta» Bohdana.

Obco nam dziś z jego pieśniami, choć tak niedawno tak swojsko brzmiała ich nuta. Ażeby

dzisiaj je zrozumieć (o odczuciu przez ogół mowy prawie być już nie może), potrzeba rozwiać mgłę przeszłości, zmysłami wszystkimi w niej utonąć i powiedzieć z Petrarcią:

Sento l'aura mia antica.

Tem powietrzem żył i oddychał Zaleski.

Urodzony we wsi Bohatyrce nad Sobem, który większymi zakrętami przez równiny stepowe przepływał, jasnym okiem ku podaniowej mogile Soroki spogląda, ociera się o Kalnik, sławny swym pułkiem za czasów Chmielniczeński, dowodzonym przez rycerskiego Bohuna, — Zaleski wokół siebie miał żywą historię czasów bohaterskich; otaczały go pamiątki i wspomnienia, do snu kołysały pieśni, takie od dzisiejszych odmienne, a co kazeł do uszu pacholęcia wpadło, jakie ślady na wrażliwej duszy dziecka wyryły one, mówią o tem długie dzieje jego twórczości, to ukochanie tego zakątka ziemi, który stawiał nad wszystko i przedewszystkiem, a choć z wielką całością go łączył, wyolbrzymiał go tak jednak w marzeniach swoich, że całość malała, nikła, rozpływała się niemal w stepach szerokich Ukrainy kozackiej. Wspominając nieraz o tej «jedynej między narody,» jakby się lękał przeniewierstwa dla dawnej miłości i dodawał, wraz:

Teśknę odkupić w pieśniach dawne winy,
Ale w głos zawždy *Matki* Ukrainy.

Podkreśliliśmy ten wyraz — *matki*.

Rodzice Bohdana Zaleskiego nie narzekali na błogosławieństwo boże, jeżeli błogosławieństwem nazwać można rojowisko dzieci, jakimi nieba szczerze ich obdarzyły.

Tego maku było dusz trzynaście.

Przysłowie powiada, że Pan Bóg, dając dzieci, daje i na dzieci.

Nie wszystkie przysłowia są mądrością narodów, a przytoczone wyżej najmniej zdaje się, ma prawo do tego. Ojcu Bohdana, Wawrzyńcowi, dopóki z nim troski i kłopoty wychowania dzieciarni dzieliła jego małżonka, Marya Bukatówna, z Mołdawii rodem, działało się jako tako, ale gdy Pan Bóg ją odwołał do świata lepszego, zatrudno mu już było samemu dać rady z tem mrowiem, poumieszczał więc dzieci u krewnych, a sam na Litwę się przeniósł, zaledwie listownie dowiadując się o nie.

Śmierć matki i choroba, jaką wtedy dotknięty został mały Bohdanek, skutkiem której oddany był

opieczce starego znachora, zda się, zdecydowały o jego przyszłej twórczości poetyckiej, a co najmniej wyryły na niej to znamię tak odrębne i szczególne, tak niepodobne do cech, jakimi się odznaczali jego rówieśnicy po pieśni. Przecie twórcą tak zwanej «Szkoły ukraińskiej» był nie kto inny, jeno Bohdan. Przypisywano wprawdzie przodownictwo w tej szkole Antoniemu Malczewskiemu, jako autorowi «Maryi,» pierwszej powieści ukraińskiej, ale po bliższem rozpatrzeniu się w tym poemacie uczucia, owianym przesłiczną mgłą sentymentalizmu — twierdzenie powyższe upaść samo przez się musi, a na czoło wysunąć się Bohdan Zaleski, jako pierwszy i najcharakterystyczniejszy przedstawiciel tej szkoły. «Marya» o tyle jest ukraińską, o ile wypadki w niej przedstawione na Ukrainie się odgrywają. Lecz nieby ze swojego charakteru nie straciła, gdyby je przenieść na piaszki mazowieckie lub w bory litewskie. Nie widzimy tam ludu, nie słyszymy nic o wierzeniach i zabobonach jego; ani jedno podanie, ani jedna nuta rozwiewnej piosenki małoskiej nie przypomina nam czasów tej starej hołdownicy baszów, śpichrza Rzeczypospolitej, a może i głównej przyczyny jej grobu. Nawet opis przyrody jest pobieżnie traktowany, a już nie wspomnimy o formie poematu, o jego rytmice, która w niczem nie przypomina owej rytmiki, właściwej dumom i pieśniom ukraińskim. Malczewski nie znał Ukrainy, nie znał jej przynajmniej tak dobrze, jak Bohdan; w kurnej nie przemieszczał chacie, nie błądził po jarach i czaharach, po stepach i wertepach; z żórawianem nie rozmawiał stadem, nie dał się opłatywać zaczarowanemu kołu rusalek. A Bohdan lata dziecinne przepędził w chacie znachora Zuja, gdzie go rodzic umieścił, by chorowite ciało «paniątką» nabrało sił, jagody rumieńców, duch krzepkości, a umysł sokolego lotu.

To umieszczenie dziecka u znachora, jako lekarza, charakteryzuje doskonale ludzi ówczesnych. Czy warzeniem ziół i szeptaniem pomógł słabowitemu paniczowi Zuj stary — wierzyć lub nie wierzyć można, ale najlepszym lekarzem był step, powietrze kryształowe, woda Dnieprowa i słońce złote a ciepłe.

Mały Bohdanek, bawiąc się z psem, zaraził się. Dostał choroby skórnej, która trapiła dzieciaka i słaby niszczyła organizm. Może byli, a może nie było doktorów wówczas; wierzono, nie

wierzono im może; bądźcobądź, ufano doświadczeniu znachorów i ich umiejętności leczniczej.

Przywiązał się Zuj stary do pacholecia lackiego, przywiązało się i «ptaszę lasze» do Zuja. Pieścił je i syn chutornika i córki, znachorówny. Na dobrych snadź ludzi natrafił, którzy nie tylko chlebem, lecz i sercem z nim się dzielili. Nie wrogię im było «lasze ptaszę» i nie czuł Zuj nienawiści do szlacheckiego dziecka, gdy w jego domu rosło «przybłądne pachole, Zozuleczka z laszego narodu, Co je sobie odkochał za młodu.»

We *Fragmentach większej całości* (Bohdan Zaleski, Dzieła pośmiertne. Kraków, r. 1891) poświęcone są strofy prześliczne tej chwili pamiętnej, tego szczególnego pobytu w chacie Zujowej. Nie mamy lepszego nad nie dokumentu, któryby nam mówił o tym serdecznym stosunku paniątka do znachora i znachorówny; o tem pierwszym rozbudzeniu się uczuć i powolnem zanurzaniu się w świat marzeń; o tym rozwoju duszy dziecięcej i lotu naprzód do przeznaczeń niepewnych, do przyszłości zamglonej, zjawiającej się w kształtach widziadeł uroczych.

Zuj bywało lubystek. sen ziele,
Różne kwiecie pod młodziak miesiąca
Zbiera w polu na wonne kąpiele,
Sam je swemu laszkowi przyrządza.
Syn i córki na laszka posłudze,
Tak miłował pachole to cudze.

Lasze ptaszę, jak w chacie go zwano,
Lasze ptaszę rączkami za szyję
Pieści Zuja, całuje w kolano,
To Zujównom od ocząt blask pije.
Jak z siostrami potulne, ochocze
Gładzi kosy i piosnki szczebiocze.

To pierwsze zetknięcie się z ludem niezatartemi głoskami wyrzyło się w pamięci dziecięcej, przetrwało lata długie i w dniach szczęścia zachwytem było, w dniach niedoli pociechy balsmem. Poznał lud i ziemię, która go «mleczem dum i kwiecie» hodowała, nie z opisów i nie z opowiadań, ale wszystko własnymi oczyma widział, ale pędzi każdej własną stopą dotknął. Nieraz się zanurzał w burzany i bodziaki, nieraz przez łan pszeniczny za przepiórką śmignął, «szelęsnął w prosie, niewidomy a znany po głosie»... Z Iwanhory przypatruje się bajdakom po Dnieprze płynącym, a dokoła step szumi, mogiły gwarzą, po nad którymi unosi się zaklęty świat baśni.

✧ A wieczornice i doświtki u Zuja, a zasłyszane kazki o Zaporozu czy nie położyły tajemniczej pieczęci na młodą duszę dziecka, które, co tylko zasłyszalo «z prawdy czy nieprawdy,» to już na zawsze przechowało w swem sercu.

Lasze ptaszę zaledwie podrostek,
A nielada już bystry rozumek;
Niema w siole dlań tajnych miłostek,
Niemasz dumy nieznanej, ni dumek.
Niebylice, co z wiatru podsłucha,
Wleje ludziom przez serce do ucha.

Z tych paru ustępów, wziętych z fragmentu *Ptaszę lasze*, ustępów bez żadnej przesady poetycznej, widzimy, w jakim otoczeniu przeszły pierwsze lata Bohdanka, na co patrzył i co i jak wpłynęło na rozbudzenie się fantazyi poety.

Z fragmentem tym łączy się i drugi *Kwiat paproci*, którego milczeniem nietylko pominąć nie możemy, lecz przeciwnie wysuwamy na czoło, nie ze względu na jego zalety artystyczne, bo pod tym względem przewyższają go daleko wcześniejsze utwory, lecz że przez usta poety dowiadujemy się o paru szczegółach życia chłopięcia, oraz o wizjach, jakie nawiedzały umysł dziecka. Wprawdzie Zaleski pisał te słowa, gdy już był w latach podeszły, nie zmyślał jednak, nie okłamywał sam siebie, poddawał się tylko wrażeniom wspomnień dawnych, żył niemi, odczuwał żywo i zostawił część prawdy o pierwszym rozbudzeniu się twórczości swojej.

W chacie Zujowej przeżył około dwóch lat. Urosł, zmeźniał, zakochany w czarach stepu i kaskach ludowych.

Razu pewnego zniknął.

W chacie żal i trwoga, a on «rucianem wybrzeżem Sieniuchy, po nad Rosią, wśród białych konwalii wzdłuż Taśminy» w step poszedł, gdzie wał Żmii swym grzbietem wyniosłym ten step na dwoje przecina i zabłąkał się w pustkowiu dzikiem. Lecz się nie uląkł: szedł dalej i dalej, bo zmysły mu zapach kwiatów odurzył, bo «śpiewał dumę ojców» step rodzony. Tak idąc dni i noce, zaszedł na pole paprociane strzeżone przez żorawie. Widząc go, żoraw stary mrugnięciem oka zbliżyć się do siebie kazał, a gdy lasze ptaszę podeszło, ptak dał mu kwiat paproci i oto moc dziwna weszła w dziecko, coś w rodzaju objawienia; ✧ otworzyły się przed niem tajniki przyrody, a ru-



J. B. Zaleski

Podług fotografii Walerego w Paryżu.

salki płas zawiodły i poprowadziły go do zielonego gaju.

Łatwo tu odróżnić rzeczywistość od zmyślenia, ale napewno umysł dziecka, obdarzonego od natury siłą twórczą, przyzwyczajonego już w chacie znachora do patrzenia na świat przez pryzmat nadzwyczajności, oswojony z duchami i upiorami — przy spotkaniu się ze stadem żórawianem, na polu porośniętem paprocią doznał widzenia i w to widzenie uwierzył.

Jeżeliś, czytelniku, miał umysł bystry a odrobinę fantazyi, przypomnij swoje własne lata dziecięce, a sam przyznasz, że blaski i kolory widzeń twoich, były stokroć piękniejsze od tego wszystkiego, na co dziś patrzysz. A jakkolwiek w przytoczonym tu fragmencie brak tej prawdy, co w ustępie poprzednim, poeta nie mógł inaczej przedstawić rozbudzenia się twórczości, jak przez cudowność. Zresztą, cudownością to nawet nie było: step rozbudzał wyobraźnię, a zjawiska fantazyi są nie mniej od rzeczywistości prawdziwe. Równie dobrem zjawiskiem mogą być wytwory wyobraźni naszej, jak cały świat zewnętrzny, a kto wie zresztą, czy i on nie jest zjawiskiem z nas wyłoniem.

Teraz łatwiej nam pójść śladami twórczości Zaleskiego, zrozumieć, dla czego tak, a nie inaczej śpiewał, gdy wiemy, jakie wpływy oddziaływały na wrażliwy umysł dziecięcy w tych chwilach życia, w których się wszystko wchłania, a nie wydaje się nic jasno. «Pieśń połknąłem,» powiada Zaleski w jednej z dum swoich — i dobrze powiedział. A pieśń to była jak step bujna, jak kazki Zuja tajemnicza. Stary znachor nie tylko kochał przeszłość.

Milszy bez wątpienia Zaleskiemu był pobyt u niego, niż u popędliwej ciotki Kundziczowej, u której na krótko przedtem umieszczony został. Gderliwa niewiasta trzymała w ostrym rygorze chłopca, a Zuj pieścił; ze sprawek swoich musiał ścisły egzamin zdawać przed ciotką, podczas gdy u starego znachora swobodę miał zupełną i step szeroki przed sobą.

Mając lat dziewięć, opuścił chutor i przeniósł się do Jerczyk, do drugiej ciotki swojej, pani Jasieńskiej, u której na wychowaniu dwa lata przebył (1811 i 1812). O pani Jasieńskiej mile wspomnienia przechowały się w sercu Bohdana. Była

to matrona cnót staropolskich, która matczynem postępowaniem swoim osładzała sieroctwo wychowanka. Na figle i psoty Bohdanka patrzano tam przez szpary, a chłopak był krewki i, Bóg wie, co roilo się w głowie malca. Pewnego razu pozazdrościł lotu ptakom. Zrobił więc skrzydła, do ramion przypiął i trzasnął się z dachu o ziemię. Bez wielkiego obył się to szwanku, bo stary dom Jerczykowski, po dziś dzień na wzgórzu stojący, miał dach wysoki wprawdzie, ale ściany niskie, a Bohdanek z okapu dachu na ziemię skoczył. Jerczyki dziś jeszcze są w posiadaniu Jasieńskich, znam je dobrze. Przed laty dwudziestu kilku, kiedyś odwiedzał, nie ciotkę Bohdana, lecz jej syna Cezarego Jasieńskiego, pokazywano mi miejsce na dachu, skąd malec skoczył. Pamięć o autorze *Dumy o Kosińskim* była tak świeża, jakby lata żadnej nad nią władzy nie miały, jakby nic się nie zmieniło i nie zszarzało.

Wspomniałem, że Jerczykówki dom stoi; wiemy, że w nim wychowywał się Bohdan Zaleski. My niby kochamy wielkich naszych i radziłyśmy mieć przechowane o nich pamiątki wszystkie. Czy nie godziłoby się podobizny domu tego przechować? Czy nie piękniejszą ozdobą ilustrowanych pism naszych byłby ten dom, to miejsce pobytu Zaleskiego, niż widoki obojętnej nam Parany, albo fantastyczne obozowiska boerów? Ten odskok od przedmiotu głównego uczyniliśmy ku uwadze panów wydawców pism obrazkowych; a teraz powracamy do rzeczy.

Nadszedł rok 1812-ty, rok niezapomniany w dziejach świata. Zwycięstwa Napoleona wielkiego, rozpalające umysły wszystkich, miałyby przejść bez śladu przez wrażliwy umysł pacholęcia lackiego? Rozbudzone nadzieje i rozmowy, prowadzone w domu Jasieńskich, nie należały do rzędu uśmierzających fantazyę, więc i nasz Bohdanek postanowił wziąć czynny udział w wypadkach. Nie nowiną mu było daleko w step się posunąć, w komyszach się ukryć i liczyć gwiazdy na niebie. Malec powziął tedy zamiar ucieczki z myślą dostania się do bratnich szeregów. Umknął więc cichaczem niespostrzeżony przez nikogo, noc spędził w zbożu i kierował się na Różyn, majątność Kalinowskich, ale tu go przyłapał oficer Iskrzycki i niefortunnego zbiega lamentującej ciotce oddał.

Ale zbliżał się czas nauki.

Teraz Bohdanem zajął się brat jego starszy Eliasz i oddał go do szkół humańskich. Waka-cye przepędzał u brata w Krzywcu, nie zaniedbu-jąc wycieczek swoich w stepy i dumań na mogi-łach. Korepetytorem Bohdana był Józef Jeżow-ski, dusza kryształicznej czystości, przyjaciel Mic-kiewicza, a taki umysł i serce mogły jeno doda-tni wpływ wyrzeć na ucznia i kazać tylko pra-wdę a piękno ukochać. W tych czasach zapoznał się także nasz poeta z Józefem Zaleskim, ofice-rem wojsk Napoleońskich, który nie zapomniał o za-wartej z nim znajomości i w dniach tułaczki ser-decznie nim się opiekował.

W szkołach bazylikańskich w Humanu czas przepędzał pomiędzy nauką a rozrywkami. Do tych należały wycieczki do Grekowa i Zofiówki, pięknej niegdyś siedziby smutnej pamięci Szczęs-nego, która do rozmyślań posepnych skłaniała u-myśl młodzieńczy. Wycieczki te odbywał z kole-gami i przyjaciółmi: Michałem Grabowskim, Se-werynem Gałęzowskim, Józefem Mianowskim i Se-werynem Goszczyńskim, który, będąc zadzierży-stej natury, czubił kolegów, za co nazwę *Nerona* otrzymał. Bohdana zwano *Amamensem*.

Tu jest miejsce do poprawienia błędu, który dość często a bezkrytycznie się powtarza, że ja-koby i Tomasz Padura należał do kolegów i przyjaciół Bohdana. Nie w humańskich, ale winnickich szkołach był Padura, następnie prze-niósł się do Krzemieńca. Rozgłos, jaki w swoim czasie uzyskał «Tymko,» był bańką sztucznie wy-dętą, bo Padura koszałwił język małoruski, polszczył go i tem schlebiał ówczesnemu szlachectwu. Nie wspominał też o nim Zaleski, a i Mickiewicz po-minał go milczeniem. Jedyną zasługą Padury było zwiedzanie «chutorów» w celach wiadomych, ale pieśni jego nie przeszły do ludu, bo nie były one z ludu, ani z życia wziętemi.

W roku 1817 Zaleski zobaczył się z ojcem. Czytał mu swoje prace, bardzo młodzieńczem pió-rem kreślone i zachwycał dumnego z syna ro-dzica. Szczególnie podobała się ojcu *Oda na śmierć Kościuski*, którą jednak później Bohdan spalił, uważając ją za plód poroniony.

W tych czasach szkolnych zapoznał się z *Ja-giellonidą*. Poemat Tomaszewskiego wielkie wraże-nie na umyśle młodzieńca zrobił. Zaleski był gnie-wny na Mickiewicza za ostrą krytykę tej epepeii, tak, że z tej racji tylko, gdy mu przyszło wybie-

rać po skończeniu szkół humańskich między Wil-nem a Warszawą, wybrał tę ostatnią, ażeby z o-krutnym oprawcą Jagiellonidy się nie spotkać. W r. 1820 widzimy już Zaleskiego w Warszawie.

Jak na owe czasy, zaopatrzony był nieźle w materyalne środki do życia. Miał młodość, zdro-wie, umysł świeży, serce gorące, wiarę w przy-szłość i 200 dukatów w kieszeni; czegoż jeszcze chcieć było można? To też według sił swoich po-magał uboższym kolegom; gdy razu pewnego za-brakło mu grosza, Goszczyński zaś w wielkiej po-trzebie się znajdował, sprzedał koldrę, byleby tylko pomódz przyjacielowi.

Chwila, w której Zaleski znalazł się na bruku warszawskim, była chwilą rozpoczynającego się przełomu w pojęciach i smaku. Brodziński rozpo-czywał wykłady literatury i kończył *Wiesława*, Mickiewicz przygotowywał swój dwutomowy zbio-rek poezji do druku.

Trudno zrazu było oswoić się Zaleskiemu z ruchem i gwarem miasta, znajomości nie miał, o stosunki było trudno, to też często wspo-mina o swojej tęsknocie za czasami minionemi. Mógłby się wprawdzie zbliżyć do Niemcewicza, ale tego nie mógł bez protekcji uczynić, zwrócił się więc do Lelewela i Brodzińskiego, ale całem sercem przylgnął do zestarzałego przedwcześnie, schorowanego i potępionego autora «Maryi.» Mię-dzy Malczewskim więc a Zaleskim zawiązała się szczerą przyjaźń i jakkolwiek Mochnecki wykazał pierwszy publicznie piękności «Maryi», Zaleski ją w milczeniu odczuł i tem bardziej go gnębił smu-tek i opuszczenie jej twórcy.

Stosunek z Brodzińskim nie pozostał bez wpływu na twórczość Bohdana. Autor «Wiesława» zachęcał go do umiłowania ludu, do zwrócenia się do jego życia, wierzeń i podań. Obracając się zresztą w gronie takich ludzi, jak Witwicki, Moch-nacki i Szopen, rwał się do pracy, która miała wieniec nieśmiertelny na czoło jego złożyć. Wczy-tywał się więc w Homera i ubóstwiał Kochanow-skiego. Do niego piękną apostrofę czytamy w *Prze-chadzce po za Rzymem* (t. II, str. 41, r. 1877), gdzie przed oczyma poety staje gladyator konający, w którym widzi obraz słowianina. Przechodzą po-staci różne, zjawia się i Jan Kochanowski, do któ-rego poeta zwraca się z uczuciem prawdziwie sy-nowiskiem. Jemu to zawdzięcza, że został piewcą

polskim, że ten stepowy strumień wpłynął «do lackiego morza.»

Obok wieszcz z Czarnolasu mistrzami Bohdana byli: Nestor i zagadkowy pieśniarz «Słowa o pułku Igora.» Z Nestora dowiedział się o wspólnym pochodzeniu szczepowen Rusi; ze «Słowa o pułku Igora» o Bojanie, który odtąd stał się gwiazdą przewodnią w twórczości Zaleskiego. Nie pozostały też bez wpływu i kózacze pieśni Nauma, przyjaciela lachów, o którym zasłyszał od starców i lirników. W dumce «Teligola» starał się odwzorować te pieśni Naumowe.

Zachęcany przez Brodzińskiego i przyjaciół, rozteskniiony przytem za swoją Ukrainą, poczuł potrzebę wylania się na zewnątrz, skrysztalizowania uczuć swoich w misterną formę wiersza. nadania żywego ciała wszystkim niłościom swoim i tęsknotom. «W Pamiętniku warszawskim» i «Meliteli» Odyńca zaczęły się ukazywać drobne utwory Bohdana, które od razu zyskały uznanie. *Ludmił, Trzeci szturm do Stawiszcza* były to rzeczy dobre, ale niczem tak bardzo nie odznaczające się, natomiast *Śpiew poety, Duma o hetmanie Kosińskim, Czajki, Śpiewające jezioro, Duma o Marcepie, Co mi tam, Rusalki, Rojenia wiosenne* upoiły Polskę całą i postawiły Zaleskiego w rzędzie niemal najpierwszych poetów. Mochnacki wysoko go stawia, szczerzy poklask od Mickiewicza odbiera. Lekkość i łatwość w tworzeniu znamiowały niepospolity talent; skończenie artystyczna forma łączyła się z prostotą nieporównaną, podbijała zaś czytelników świeżość uczuć i motywów. Zaleski łamał i wyginał formę, która wszelkim zachceniom jego posłuszna była, ale to robił bez trudu i wysiłku, poddawała się sama woli poety-mistrza. To też żaden z poetów ówczesnych nie miał tylu naśladowców, co Zaleski. Podobał się im ten rozmach ukraiński, ten rozruch stepowy i okrzyk nieogładający się na nic i na nikogo; zaczęli tworzyć dumy na wzór dum Bohdanowych, pobrali pojedyncze wyrazy i okrzyki, mniemając, że nimi zastąpią brak talentu. Ta bezmyślność wywołuje gniew Mochnackiego i Mickiewicza, który powiedział: «Ci nasi naśladowcy wzięli tylko hop-hop i cup-cup Zaleskiego.»

Mickiewicz obdarzył swoją przyjaźnią autora «Rusalek», cenił go bardzo, a czyż nie było pochwałą najwyższą, gdy, mówiąc o poezjach Gosławskiego, powiedział: są strofy godne Zaleskiego; w liście zaś

do Żukowskiego, poety rosyjskiego, poezye Bohdana arcydziełami nazywa; a w wykładach w Collège de France zwie go «pierwszym poetą słowiańskim.»

Na poezyi poznają się najpierw kobiety. «Duma o hetmanie Kosińskim» podobała się rycerskością swoją i pocałunków odgłosem; śpiewna forma tego wiersza o muzykę prosiła się sama, a mniejsza, że kozacy Zaleskiego są «wymuskani,» jak Chmielowski mówi, mniejsza, że tam, w dumach nie zawsze dopatrzeć można ścisłej prawdy historycznej; ta pewna salonowość rubachów, ta rycerskość barbarzyńców, ten pocałunek miękki ludzi krwi i żelaza — pobudzał do marzeń i rojeń i zwracał oczy piękne na nowowschodzącą gwiazdę.

Zwróciły się na poetę i czarne oczy panny Róży Żukowskiej, która uchodziła za najpiękniejszą w Warszawie. Szalała za nią młodzieź i młody Bohdan zapłonął miłością ku niej. Była to jednak miłość marzyciela, który wybraną swojego serca ubierał w tęczę i kwiaty, nie myśląc jeszcze wcale o założeniu ogniska domowego, o przywiązanych do niego troskach i kłopotach. Prawdopodobnie, że i serduszko panny Róży w motyli romans z poetą zabawiło się. Ze wszystkich wspomnień Zaleskiego o «Zorynie,» jak ją z ukraińska w pieśniach swoich nazywał, widzimy tę miłość najbardziej obłoczną, tęczową, marzycielską. Ignął ku niej wspomnieniami złotych chwil z nią spędzonych, czarem przeszłości, nie przedstawiając sobie obrazu swojej kochanki inaczej jak na tle pól ukraińskich, w fantastycznym otoczeniu świata rusalczanego. Z chabra polskiego stepowy kwiat wykwił; syrena warszawska przemieniła się w boginkę fal dniewprowych. W miłosnych nawet uroczach poety czuć wpływ Zuja, wpływ wieczornicy, to wszystko, czem oddychał chutor i jego mieszkańcy. Panna Róża czarowała postacią i śpiewem, a «śpiewała, jak słowik», mówi poeta.

Pod jej to niewieścim urokiem powstał jeden z najpiękniejszych poematów serca, owiany takim bogactwem fantazyi, że zdaje nam się, czytając ten utwór, iż jesteśmy przeniesieni do zaczarowanego świata bogiń, niby na ziemi, a tak od ziemi dalecy. gdzie spotykają się ludzie nie ludzie, kwiaty nie kwiaty, drzewa nie drzewa. *Rusalek* nie czytać, lecz śpiewać potrzeba, taka powiewność formy, taki niezrównany czar poezyi. Miłość—to główna oś poematu, to kąpiel wód kryształiczna, w któ-

rej się nurza duch poety, a serce i pierś oddycha powietrzem, srebrzystymi blaskami przesyconem. Dobrze mu jest, jak żórawiowi wśród pola paprociowego, ale miłość nie wszystkim jeszcze, nie jest alfa i omegą dusz, do lotów wyższych stworzonych. To też Zoryna przepowiada, że ją porzuci, ale tego czego szukał nie znajdzie.

Miłość nawet, stróż ten święty,
Jakby anioł mój skrzydlaty,
Wskazywała wyższe światy,
Wyższe męskich dusz ponęty.

Idziesz na świat, Bóg wie, po co.
Czego pragniesz, nie pozyskasz,
Tę utracisz, co dziś ściskasz,
Smutki młodość zakłopotą.

Przepowiednia się sprawdziła i oto poemat kończy się przedziwną rezygnacją:

Cały jednak szczęścia watek
Składa jakaś cudów chwilka,
Jakiś obraz, uczuć kilka,
Kilka z młodszych lat pamiątek...

Jeżeli charakterystyka kozaków i atamanów niekoniecznie jest w zgodzie z prawdą, jeżeli w opisach przygód, napadów i rzezi nie masz tak posępnego, a tak prawdziwego obrazu, jaki widzimy np. w «Zamku Kaniowskim» Goszczyńskiego — za to jak zdumiewająco pochwyciona nuta pieśni ukraińskiej, prześliczne malowidło obszarów stepowych, to coś nieuchwytnego, a tak właściwego tym stepom, po których wicher buja, rozpasany, hulaszczy gdzie duch wieje od fal czarnomorskich, gdzie szumkami i dumkami grają ogrody wiśniowe. Poeta tak przejął się tym światem, który wchłonął całem jestestwem swoim, że przenosząc barwy swojej palety na pola inne, gdzie obraz Ukrainy powinien całkiem zaginać, nie zdołał i tam jej pozbyć się i, choćby galilejskiego obrazu, jak w «Przenajświętszej Rodzinie», nie potrafił nie podmalować kolorami swojej Ukrainy.

Jednak, pomimo to wymuskanie i salonowość tych bohaterów, znajdujemy i ich prawdziwe typy, jak np. w *Dumie o Mazepie*. Dosadnie tam autor wskazuje pychę przewódców kozackich, którzy drwią z panów. Taki pan Mazepa woli być kniaziem na Rusi, niż paziem u króla jegomości, a Sobieską i Wiśniowiecką nie pogardzi.

W *Czajkach* widzimy szeroki opis wyprawy pod przewodnictwem Konaszewicza. Tu Zaleski był już u siebie. Szeroką pierśią oddychał, sokołem okiem za liman, ku Czarnemu morzu sięgał.

W poemacie niedokończonym a zatytułowanym *Damián, książę Wiśniowiecki*, przedstawia życie możnowładców polskich na Ukrainie i ich stosunek do ludu.

Lat dziesięć przepędzonych w Warszawie, towarzystwo, w jakim się obracał, gorąca walka pomiędzy romantykami a klasykami, którzy sprawę przegrywali, wszystko to podniecało poetę do pracy na tak wdzięcznym dla niego polu. Oprócz przyjaciół wyżej wymienionych, do rzędu nich zaliczał Odyńca i Mochnackiego, który okrom literatury uprawiał też i muzykę. Mochnacki był dobrym muzykiem i dzielnym wykonawcą znakomitych utworów Mozarta, Beethovena i Webera; a cóż dopiero powiedzieć o Szopenie, którego pieśni podbudzająco oddziaływały na Zaleskiego, poddając duszę jego uczuciom rzewnym, to zmuszając do porywów podniosłych. Te wszystkie czynniki nie pozwalały usypiać muzie; coraz częściej myślą unosił się do stepów rodzinnych, do tej skarbnicy poezji, a miłość ślicznej panny Róży dodawała ognia do płomienia. Zbliżająca się wojna połączyła Zaleskiego z Mochnackim ściślejszym węzłem przyjaźni. Służyli w 1-y pułku strzelców pieszych, gdzie też poznali i pokochali Augusta Bielowskiego.

Środki materialne Zaleskiego niezawsze wystarczały na życie w stolicy; czas wolny od nauk poświęcał dawaniu lekcji w domach prywatnych, co pozwalało mu zaopatrywać się w najkonieczniejsze potrzeby życia. W r. 1825 był nauczycielem w domu pułkownika Górskiego w Leszczynku, gdzie stał pułk strzelców konnych załogą, następnie trudnił się nauczycielstwem u pułkownika Szembeka, w którego też pułku odbył kampanię roku 1831-go.

Nastała Listopadówka; działa zagrzmiały; pieśń musiała umilknąć.

Zaleski opuścił kraj i błąkał się tu i tam po świecie, wreszcie osiadł w Paryżu, do którego ścigali się rozbitkowie zawieruchy listopadowej. Przed osiedleniem się w stolicy Francji zwiedził Włochy. Z tej epoki mamy kilka sonetów bardzo pięknych, p. n. *Nawiedzenie grobu Laury*. Sonet pierwszy, zaczynający się od słów: «Dycham powietrze dawne,» jest tłumaczeniem z Petrarci.

Paryż zbliżył Bohdana do Adama Mickiewicza. Poznali się i pokochali szczerze. Wiemy, jak go cenił Mickiewicz; poznanie się bliższe nie rozwiało uroku, przeciwnie, czytał z zajęciem każdy nowy utwór Zaleskiego, coraz większe znajdując w nich piękności. Dość nam przytoczyć jeden wyjątek z listów Mickiewicza z Lozanny pisanych, ażeby mieć wyobrażenie, jaki był sąd o nim największego z wieszczów naszych.

«Ale, ale,—pisze w styczniu r. 1840 — twój ów wiersz senny, dziwna to, dziwna i arcydziwna rzecz. Bo uważ, że ja kiedyś w augustie czy wrześniu napisałem albo rzuciłem na papier kilkadziesiąt wierszy, w celu robienia pierwszej części *Diadów*. Owóż rzecz ta sama. Chłopiec tuła się między mogiłami. Tylko u mnie fantastyczniej, bo śpi, a chórem nad nim nucą piołuny siwe i lebioda i ślimaki etc. etc. Inspiracja mnie opuściła i przestałem pisać. Twój ułamek aż mnie przestraszył, tak jest ładny. Kto wie, czy ty teraz nas nie okradasz przez sen z wszelkiej poezji? kto wie, czy mocą teraz silniejszą nie ciągniesz do siebie całego ciepła i światła poetycznego? I widzisz, dla czego my nie piszemy»...

W dniu zaś 28 czerwca 1842 r., w odczycie mianym w Kolegium francuskim wypowiedział te słowa:

«Zaleski niewątpliwie jest największym ze wszystkich poetów słowiańskich. Rzucił on pęk kwiatów na zakończenie igrzyska poetycznego słowian i będzie zawsze wprawiał w rozpacz tych, co by jeszcze chcieli miłować sztukę dla sztuki samej, *wyczerpał* bowiem wszystkie *sposoby*, wszystkie *rytmy*, *wszystko*, co jest najświetniejszego w *kolorycie*, najdelikatniejszego w *odcieniach*.»

Niektóre wyrazy powyższe podkreślone przez nas umyślnie. Bo jeżeli Mickiewicz omylił się, zaliczając Zaleskiego do *największych* poetów, nie omylił się, twierdząc, że on *wyczerpał* wszystkie *sposoby*, *rytmy*, *koloryty* i *odcienie*, tak, że po roku 1840 muza Zaleskiego jałowuje, brak jej świeżości i rzewności i, jeżeli nie widzimy zaniku twórczości, to twórczość ta ogranicza się do powtarzania dawnych barw, rytmów i odcieni, jeno bez dawniejszej siły i potęgi. Wyczerpał wszystko i—wyczerpał się.

W r. 1840 Zaleski z bratem swoim nawiedził Mickiewicza w Lozannie, gdzie bawił przeszło miesiąc; razem odbyli wycieczkę na Mont-Blanc i po innych okolicach szwajcarskich.

Twórczość Bohdana Zaleskiego możemy podzielić na dwie epoki: od r. 1820-go, t. j. od chwili przyjazdu poety do Warszawy, do r. 1840 i od r. 1840 do chwili, kiedy pieśń Bojanowa z zamknięciem powiek ukraińskiego wieszca zamilkła na wieki.

Rok 1840 jest przełomowy w twórczości Zaleskiego. Co tylko było można wyśpiewać, wyśpiewał; zużył wszystkie barwy i tony i już do nowej pieśni o dźwięku potężnym sił zabrakło.

Pierwszy zbiór poezji Zaleskiego ukazał się w r. 1838 we Lwowie. Są to najpiękniejsze pieśni Bohdanowe, które tak czarowały Mickiewicza i zwracały ku niemu serca Polski całej. Oprócz utworów wydanych w Warszawie, mieści się tu smętnego nastroju wiersz p. t. *U nas inaczej* tudzież *Wiośniarki i Pyłki*. Przebywanie na obczyźnie i tęsknota za krajem wylała się w poemacie większych rozmiarów *Duch od stepu* (1841), gdzie egzaltacja poety do szczytu doszła w apoteozie Ukrainy. Nieudatny to jednak utwór z powodu ubóstwa treści i dziwaczności pomysłu. Sowiński tak go charakteryzuje:

«Jest to rodzaj lirycznej epopei, w której poeta niby w życiu nadziemskim unosi się wiekami ponad Ukrainą i całą Słowiańszczyzną, opowiada charakter i powołanie słowian i w widzeniu proroczem odsłania przyszłe ich losy. Idealna sfera, do której wieszcz podnosi ten dziejowy świat rzeczywistości i kędy osadza swój żywot bezcielesny, nawet przedziwny, od pierwotnego współnictwa z aniołami. wypielegnowania swej duszy przez rusalkę i jej wcielenia, aż do chwili obecnej—czyni poemat cały nieco mistycznym i niezrozumiałym. Obraz czasów, od epoki rajskiej roztoczony przez wieki starożytne i chrześcijańskie, obejmuje dzieje powszechne w związku z historią Ukrainy, gdzie się poeta urodził i dokąd ustawicznie wraca pamięcią, bo w cud uwikłana zagadka jego bytu leży na tym szlaku stepowym, kędy wałyły się hordy azyatyckie do Europy. Podług Zaleskiego poeta rodzi się na to, aby narodowi swojemu objawiał myśl bożą, jaka na nim spoczywa. Przyczynę wszystkich nieszczęść widzi w pysznym, bun-

tującym się przeciwko wierze rozumie, oraz w po-
żądliwościach ludzkich.»

Atylla, «bicz boży,» jest u poety pierwowzo-
rem przyszłej kozaczyzny. Duch Zaleskiego od
wieków unosi się nad życiem Ukrainy i ziem
słowiańskich. W poemacie tym poeta hołduje
wierze filozofów pogańskich, że każdy człowiek za-
nim zstąpi na ziemię, już od wieków istnieje, gdzieś
w sferach wszechświatowych, jako pierwiastek ży-
jący. Ta myśl gmatwa poemat i, mimo tu i tam
rozsypane piękności językowe, zawiłym i niezro-
zumiałym go czyni.

Wpływ Towiańskiego i na Zaleskim się od-
bił, połączony zaś z tęsknotą, kazał pocie nastroić
lutnię do utworów religijnych. Towianizm zwichnął
niejeden potężniejszy talent, ujemnie też podział
i na Zaleskiego, którego mistycyzm przejawiał się
w zbiorze *Wieszczce Oratorium*, wydanym w Po-
znaniu r. 1866.

Zaleski czuł, że mu brak czegoś, że jakaś
struna pękła, że dźwięki gęśli przytłumione i ści-
szone zostały. Oddziaływała źle na niego i samot-
ność życia w Paryżu; zatęsknił więc do ciepła
kobiecego serca, myśląc, że ono ogrzeje i roz-
pali do pieśni nowej wyczerpanego ducha.

W *Synowskim żalu* błaga Ukrainę o przysła-
nie mu czarnobrewy; obiecywał za to sto dum
rocznie; lecz się omylił. Przy sercu ukochanej
żony, Zofii z Rosengardtów, rozgrzał pierś potrze-
bującą rodzinnego ciepła, ale pieśni nie rozgrzał.
Przychodziły dumy, lecz niosły z sobą coś dawno
wyśpiewanego, ponawiały się wciąż dawne obrazy
i światła, barw nowych na palecie nie było. Nie
złamało go jednak życie ani nieszczęścia. Klęski
ogólno krajowe nie tylko jego dotknęły, w stosun-
kach domowych i zetknięciu się ze światem zewne-
trznym szczęśliwy był, gdzież przyczyna tego zaniku
talentu? «W wyczerpaniu wszystkich sposobów,
wszystkich rytmów, wszystkich kolorów i najdeli-
katniejszych odcieni.» Powtarzał się. Ratowała go
tylko wiara. Wszystkie utwory z ostatnich lat dwu-
dziestu, gdzie żali się przed Bogiem na marzeń
swych rozwianie, mają jeszcze gdzie niegdzie moc
dawną i barwność poetycką. Z obiecanych stu
dum nie wiele ich widzimy. Są to przeważnie
wiersze krótkie, z wyjątkiem niedokończonego po-
ematu *Wigilia godów tysiącolecia*.

Klęski kraju, rok rzezi galicyjskiej, utrata
przyjaciół, jak Zygmunta Krasińskiego i Józefa Za-

leskiego, rzucają go do stóp krzyża, w którym
szuka pociechy w utrapieniach życia. Teraz pra-
wie przeklina pieśń swoją, łagodność jej, tklivość,
gdy krew bratnia się polała, gdy lud, pokładane
w nim nadzieje zawiódł. Z rozpaczyny zapragnął
starości i ciszy.

Za zło, com widział bezdusznie oczyma,
Za zło, com usty świegotał nikczemnie,
Za zło, com nie klął, odpuszczenia niema,
Na wieki wieków niema!... Zły duch we mnie!

Ale religia go dźwiga z tego upadku, po-
wstaje mężny i pieśni swoje oddaje na chwałę Panu.

Tobie samemu śpiewać chcę do zgonu.

W utworach z tych czasów, jak: *Cedr*, *Chwała
Boju*, wzywa ziemię swoją, do której wciąż tęsknił,
do pokuty, wiary i umiłowania *wszystkich* braci.
Dużo uczucia religijnego i skargi bolesnej znaj-
dujemy i w *Paralifyku*. Paralifykiem jest kraj, który
bił Osmanów, a teraz jak Łazarz biblijny jęczy po-
walon o ziemię. On, sługa Maryi—kaleka! Niech
więc pod krzyż ściele się, «bo idzie Pan w wiel-
kiej chwale»—woła poeta.

Ta sama nuta dzwoni i w utworach, pisanych
w r. 1861-ym: *Do wtóru*, *Św. Wincenty á Paulo*,
Eucharystya, czuć tylko znużenie większe, słabość
formy i goryczy więcej w patrzeniu na świat
grzeszny, a stąd i pokory więcej. Poeta grozi
karą bożą «niewiernym i leniwym», a w wyzna-
niach swoich był szczery. Nigdzie jednak szamo-
tania się i rozpaczyny nie masz, jest tylko rezygna-
cja i ta wiara w prawdę bożą, nie opuszczająca
go na chwilę.

Wniebogłosy także nie odznaczają się ni-
czem. Widzimy tu tylko uczucie religijne, za-
pomnienie zupełne o sobie, a zwrócenie się do
kraju z radą, pociechą albo groźbą. Kapłaństwo
to pokonywa nas!

Wracały jednak czasami wspomnienia z lat
dawnych, z którymi ostatecznie rozstać się nie mógł.
Chciał lata pobytu swojego u Zuja upamiętnić
w poemacie dużych rozmiarów, ale natchnienia
mu zabrakło. Zostały urywki tylko i fragmenty,
z których można sądzić, jaką miała być całość
i w jakim tonie i duchu rzecz miała być napisana.
Do tych na większą skalę zakrojonych utworów na-
leży *Plaszc lasce*, *Kwiat paproci*, wspomniany wy-
żej a do tego samego cyklu należący; *Pasieka*

Nieszpor, Fata-morgana. Ostatnie dwa urywki są poświęcone wspomnieniu czasów humanistycznych i przyjaciół z lat szkolnych. Wspomnienia te krzepiły ducha, wiały smutkiem łagodnym i tęsknotą kojącą; przeważają jednak utwory treści religijnej.

Ta wybujała religijność Zaleskiego nie pozwoliła mu być bezstronnym w sądach o poetach. Uwielbiał Dantę dlatego, że «w kościele leżały boskie jego tajemnice;» Dawida nazywał «królewskim wieszczem,» bo «kajał się przed Bogiem, a więc duch boży był z nim.» Ale wprost wstrętny dla niego był Goethe, «pogański Jowisz,» a i Szyllera nie lubił dla jego ogólnoludzkich poglądów i motywów psychologicznych.

Zaleski uczucie kładł przed rozumem. W poezji to jest słuszne. Nie rozum, lecz uczucie jest jej matką, ono porywa tłumy, ono jest siłą twórczą; jeżeli zaś rozum, zimny rozum tylko nada moc poezji, może w zdumienie nas wprowadzić, ale siły żywiącej nam nie da. Stąd obojętność poety dla Goethego i Szyllera. Jednak w zbiorach pism Zaleskiego znajdujemy parę przekładów z autora «Fausta»; prawda, że one były drukowane w pierwszej dobie twórczości Bohdana. Tłumaczył także pieśni serbskie, gdy sercem jeszcze zwracał się ku Słowiańszczyźnie.

Po wielu latach i rozsypywaniu się na drobniaki Zaleski zamarzył o wielkim poemacie. Zbliża się tysiącolecie chrztu narodu polskiego. W r. 1861-ym wziął pióro i zaczął pisać *Wigilię golińską tysiącleciu*, ale rok sześćdziesiąty trzeci przerwał pracę i pióro się złamało. Zaleski zdławił natchnienie, które gdzieś wdał wionęło. A miał zamiar odtworzenia dziejów Polski, odmalowania stanowiska słowian w przeszłości i przyszłości.

Ulubionem dziecięciem poety była *Duma złota*, jako dalszy ciąg *Księżnej Hunki* o dużych trzech

pieśniach. Marzył wciąż o niej, lecz na marzeniu się skończyło. Z pozostałych sporych ułamków nie widzimy doskonałości ani w opracowaniu, ani w przeprowadzeniu akcji.

Najlepszym dziełem rozmiarów większych pozostanie *Potrąba Zbaraska*, napisana potoczystym wierszem czternastozgłoskowym, w którym przebija się dawny rozmach Bohdana, dawny lot sokoli w stepy i nad stepy.

Z późniejszych drobniaków, dumek i szumek najwięcej do uczucia przemawia wiersz p. t. *Hej, hej, ojcze atamanie!*... Wieje z nich smutek bezgraniczny, że śpi wszystko, że czasy się zmieniły...

Pomimo chęci do pracy i rwania się do pióra, natchnienie nie powracało.

Czuł to dobrze Zaleski i o tem tak mówi w wierszu p. t. *Dzisiejszość*:

Dusza mi w łonie na śmierć się osmutnia,
Zapał już czucia z czuciem w rytm nie skleja,
W rozstroju ludzkość i w rozstroju lutnia,
Bo z wiarą tęchną miłość i nadzieja.

Bądźcobądź Zaleski zawsze pozostanie twórcą formy, w chwili rozkwitu literatury naszej zjawiskiem niezwykle, żyjącym dokumentem w pieśniach swoich, jakie się sny roily, a kłutwą na ludzi, czy na bogi, że im nie można było dać ciała.

Ostatnie lata życia Zaleskiego były cichem dogorywaniem lampy o świetnym niegdyś połysku.

Otoczony kochającą go rodziną zmarł w Villepreux pod Paryżem, odstały od czasów swoich, istny żóraw, odłączony od stada, które się rozpierzchło, rozwiało i znikło.

Kazimierz Gliński.



Ludwik Osiński.

* 1757 † 1838.



Są w pewnych dobach literatury ludzie ♣
głośni za życia, których imię wszystkie ||
powtarzają usta, ku którym zwracają
się jak do wyroczni, bo co z wyżyn
swej nieomyłności wyrzekną, to o lo-
sach dzieła i pisarza stanowi. Ale
to tylko do czasu, dopóki ogół nie
zacznie odnosić się do ich wyroków
krytycznie. Gdy się od ich hypno-
tyzującego wpływu wyzwoli, wpa-
da w drugą ostateczność: za wy-
wieraną nań przez czas jakiś umysłową
tyranię odpłaca później lekcewa-
żeniem, szyderstwem, a niekiedy
najstraszniejszym z ostracyzmów —
zapomnieniem bezwzględem.

Taki właśnie los spotkał jednego
z koryfeuszów literatury z czasów Księstwa War-
szawskiego i Królestwa kongresowego. Był nim ♣

Ludwik Osiński, trzymający ówczesnie berło kry-
tyki w swej dłoni, a dziś znany jedynie nowemu
pokoleniu jako trawestator chóru
z «Dziadów», co, zdawałoby się, je-
dyny tytuł jego do nieśmiertelno-
ści stanowi.

Przecież do
historii należy
każdemu sprawie-
dliwość według
miary właściwej
wymierzać i, ro-
biąc porachunki
z przeszłością,
przekonać się, czy
ten ośmieszony,
jako krytyk, Osiń-
ski nie pracował
na innych polach
dla społeczeństwa
z pożytkiem i nie
zdobył prawa, by
go w gronie za-
służonych mężów
pomieścić. A trze-
ba wiedzieć, że za-
kres jego działal-
ności był nader
rozległy. Poeta,

pedagog, urzędnik wyższy sądowy, mówca, redak-
tor, dyrektor Teatru narodowego, profesor uni-



wersytetu i członek Towarzystwa przyjaciół nauk był najrzutniejszą i najgłośniejszą w swoim czasie osobistością.

Urodzony w Kocku z ojca Jana i matki Barbary z Markowskich, dość wcześnie ukończył szkołę księży pijarów w Radomiu i w 14-m roku życia wstąpił do ich zgromadzenia, gdzie w dalszym ciągu, jako kleryk, obok studyów teologicznych, nauki wyższe pobierał. Było to już po reformie Konarskiego, w przeddzień ustanowienia Komisji edukacyjnej.

Zakłady naukowe pijarskie na prowincji dla młodzieży świeckiej nie stały na wysokości *Collegium nobilium*; ale studia, które przechodzili alumni, były równie gruntowne, jak w Warszawie. Na nich bowiem kształcono nauczycieli, z których zdolniejsi dostawali się do stołecznego *Collegium*. Wszak w Radomiu uczył przez czas pewien Kopczyński. Po ukończeniu też wyższych studyów pełnił tu obowiązki nauczyciela i Osiński. Nie czując wszakże w sobie powołania do stanu duchownego, pomimo wykonanych w zgromadzeniu ślubów i otrzymania święceń mniejszych, uwolniony od nich wyrokami dwóch instancji sądów duchownych, przywdział suknię świecką i, osiedliwszy się w Warszawie, udzielał w dalszym ciągu lekcji po domach prywatnych, oraz na pensji Badera; wreszcie, połączywszy się z Konstantym Wolskim, założył własny pensjonat, oddając się obok prac pedagogicznych i literaturze. Jakoż, pomiędzy rokiem 1801 a 1804, oprócz *Zbioru zabawek mierzem*, wydał przekłady: *Alziry* Woitera, oraz *Cyda* i *Horacyuszów* Kornela i wobec panującej w literaturze posuchy, od razu zajął w niej przodujące stanowisko. Właściwie on i Fr. Ksawery Dmochowski, tłumacz *Iliady*, *Nocy* Yunga, autor *Sztuki rymotwórczej*, były to naówczas jedyne lumina poetyczne w Warszawie. Przewyższający ich o całe niebo Woronicz, zajmował jeszcze skromne stanowisko proboszcza w Powsinie; Niemcewicz dopiero wracał z Ameryki. W tym braku też twórczych talentów Osiński czerpał przekonanie o swej wyższości. W każdym razie przyznać mu należy, że jako tłumacz Kornela nie miał sobie równego. Przejął się on jego duchem i umiał go przelać w formę, odpowiadającą pierwowzorowi.

Z utworzeniem Księstwa Warszawskiego Osiński wypływa na szerszą widownię działalności społecznej.

Po ustąpieniu prusaków należało wszystkie władze zorganizować nanowo, a przedewszystkiem sądownictwo, które według nadanego Księstwu wraz z konstytucją kodeksu Napoleona miało w duchu zupełnie obcym dotychczasowemu prawu swą procedurę prowadzić.

Otóż Osiński już w dniu 3 marca 1807 roku wstępuje jako sekretarz do nowo utworzonego ministerium sprawiedliwości i od razu rozpoczyna w niem prace doniosłego znaczenia: z jednym z radców ministeryalnych zwiedza i organizuje sądy w departamencie kaliskim (Akta stanu służby). W następnym roku obejmuje stanowisko sekretarza generalnego w temże ministerium i prowadzi «redakcję urzędzeń, form i wzorów w przedmiocie aktów stanu cywilnego,» a jednocześnie należy do komitetu, któremu powierzono «rewizję i przekład kodeksu Napoleona.» Szło o wykazanie różnic pomiędzy nim, a zasadniczymi podstawami prawa polskiego.

Wreszcie w roku 1809 otrzymuje pisarstwo przy sądzie kasacyjnym. Mimowoli pytamy, skąd ten człowiek, nie odbywszy studyów prawnych, czerpał wskazówki przy spełnianiu tylu ważnych czynności? Tymczasem, podobnie jak on, wielu innych, powołanych do różnych funkcji społecznych, nie miało również specjalnego przygotowania, a pomimo to spełniało je z pożytkiem dla społeczeństwa i chlubą dla siebie. Niedość na tem. Gdy w roku 1809 arcyksiążę Ferdynand wkroczył w granice Ks. Warszawskiego, Osiński wśród powszechnego popłochu w stolicy otrzymuje zlecenie zabezpieczenia akt ministerium sprawiedliwości. Widocznie ceniono w nim nie tylko urzędnicze zdolności, lecz i prawy charakter. Od zachowania bowiem tych akt w całości los tysięcy rodzin zależał.

Rok 1809 przydał nadto dwa listki do jego dobrze dotąd zasłużonej chwały. Oda na cześć wojska, wracającego do stolicy po zwycięskiej pod Raszynem bitwie, wysoce jego imię popularnem zrobiła. Wprawdzie piękności jej są raczej krasomówczej, niż poetycznej natury; ale ożywia ją zapał prawdziwie męski, który mógł zelektryzować podniecone wypadkami umysły. Nadto zasłynął on jeszcze, jako niepospolity mówca, występując przed sądem wojennym w obronie pułkownika Siemianowskiego, obwinionego o rozmyślne przebicie szpadą szeregowca w czasie pa-

radę na Krakowskim-Przedmieściu. Osiński przytoczył tak przekonujące dowody zarówno faktycznej, jak psychicznej natury i z tak głębokim przekonaniem za niewinnością podsądnego obsta-
wał, iż sąd śmierć Orczykowskiego uznał, jak było w istocie, za czyn przypadkowy, spowodowany osłabieniem tylko co wyszłego ze szpitala żołnierza i natknięciem się na ostrze szpady, skierowanej wprost ku łamiącym swoją linię szeregom, i Siemianowskiego od wszelkiej odpowiedzialności uwolnił.

Obrona ta, mało komu dziś znana, należy do najpiękniejszych mowy sądowej zabytków. Osiński ogłosił ją w *Pamiętniku warszawskim*, którego redakcyę objął po zmarłym w roku 1808 Dmochowskim i do roku 1810 prowadził.

W roku 1814 uwolniony ze stanowiska, zajmowanego w sądzie kasacyjnym, wszedł do składu Rządu tymczasowego.

Obok nowych zajęć, po zrzeczeniu się przez Wojciecha Bogusławskiego kierownictwa teatrem, które go, jako przedsiębiorcę prywatnego, narażało na ciągle straty i po upaństwowieniu tej instytucji, Osiński powołany został na członka ustanowionej tymczasowo nad nią dyrekcji i zastępcę prezydującego; w dniu zaś 1 stycznia 1817 roku poruczono mu organizacyę i kierunek Szkoły dramatycznej, w której do roku 1824 wykładał język polski i literaturę. Wreszcie, w kilka miesięcy po urządzeniu Szkoły, Komisya spraw wewnętrznych powołała go na dyrektora Teatru narodowego, który pod jego zarządem do 15 grudnia 1833 roku zostawał.

Na tem stanowisku oddał on rzetelne usługi scenie krajowej.

Bez wątpienia, jako zięć Bogusławskiego, mógł korzystać z jego wskazówek. Obejmował nadto teatr ze świetnym zastępem artystów, wykształconych przez niego i mających za sobą długoletnie doświadczenie i wpojone poszanowanie sztuki; ale w każdym razie umiał go na dawnem stanowisku utrzymać, a nawet podnieść odpowiednio do środków materialnych, które rząd Królestwa kongresowego scenie zapewnił. Nie poprzestając na dawnym składzie artystów (ob. Życiorys Bogusławskiego, «Album» zeszyt VIII, str. 276), uzupełniał go wciąż nowemi siłami. Tak, w r. 1815 przybywają do ich grona małżonkowie Aszpergerowie, odznaczający się w rolach zarówno tragicznych,

jak komicznych; później Szkoła dramatyczna urabia dla sceny co raz nowe talenta. Dość wymienić: Piaseckiego, Zawadzkiego, Żuczkowską, późniejszą Halpertową; panny: Nacewiczównę, trzy siostry Palczewskie, Stefaniównę i kilka jeszcze mniej wybitnych talentów. Nadto rozwija balet, prze-
ważnie z cudzoziemców złożony. Należą do niego z mężczyzn: Urbani, Bernardelli, Damse, Maurice Quesnot, Thierry, Bretel, Debray, Krzesiński, Świegocki i Jastrzębski; z kobiet—panie: Bretel, Thierry z córką; panny: Bizo, Reppa, Pawłowska, Mierzyńska, Polichnowska i mała Krzesińska. Ponieważ jednak balet rzadko był dawany, przeto artyści i artystki polscy najczęściej występują w komedyi.

Z tym zastępem, wynoszącym przeszło sto osób, wliczając w to chórzystów i *corps de ballet*, Osiński dawał naprzód co trzy dni: niedzielą, wtorek, piątek, następnie co dzień drugi tragedye, melodramaty, komedye, opery, balet i żywe obrazy. I rzecz dziwna, on, klasyk czystej wody, wielbiciel i tłumacz Kornela i Woltera, przez cały rok 1815, w którym właściwie swą działalność dyrektorską rozpoczął, wystawia same tragedye Szekspira. Niedosć na tem, sam tłumaczy przeróbkę «Króla Lear'a» Ducis'a. To też Makbet, Hamlet, Otello i Król Lear nie schodzą z repertuaru. Są to tak samo tłumaczenia z przeróbek Ducis'a, niektóre wprowadzone jeszcze przez Bogusławskiego na scenę, w których Lady Makbet nosi nazwę Alfrydy, Desdemona Heldemony, a grywane wzorem Talmy z całym patosem i deklamacyą sztukom pseudo-klasycznym właściwą, ale które bądź co bądź duchem i formą różnie od tragedji francuskich. Ledóchowska, jako żona Makbeta, w scenie somnambulizmu, Aszpergerowa w roli Ofelii wprawiała w zachwyt ówczesną publiczność.

Ze swojskich tragedji poraz pierwszy w tym roku ukazał się na scenie *Bolesław Śmiały* Wężyka.

W następnych latach, obok Horacyuszów, Cyda, Cynny, Mahometa, Sieroty chińskiego, Alzyry, Atalii w przekładzie Niemcewicza, Abufara, Machabeuszów, Essex, Templaryuszów, Wirginii Alfieriego i różnych melodramatów — przynajmniej raz do roku pojawia się Szekspira na scenie. Nadto repertuar wzbogacają: «Inez de Castro» Sode-
na, «Fiesco» i «Dziewica Orleańska» Szyllera, w przekładzie Andrzeja Brodzińskiego. Ze swojskich zaś tragedji daje stale Osiński: Barbarę Felińskiego,

Ludgardę Kropińskiego, Jadwigę, Wandę i Rokiczanę. Natomiast z komedią, zwłaszcza w początkach, mniej mu się wiedzie szczęśliwie. Oprócz komedij z dawniejszego repertuaru (Fircyk w zalotach, Henryk VI na łowach) i nowych: «Szkoda wasów» Ludwika Dmuszewskiego—sztuki, w której występowali tacy artyści, jak: Kudlicz, Szczurowski, Żółkowski (ojciec), Rywacki i sam Dmuszewski, oraz drugiej, wierszem, p. t. «Państwo Dochrapscy», nieznanego autora, która po pierwszym przedstawieniu nie powtarza się więcej; teatr narodowy żywi się przeważnie tłumaczeniami i przeróbkami komedij francuskich i niemieckich. Servin, Destouches, Dubois, Collin d'Harteville, Duval, d'Aubigni, Merville, Joubert, Etienne, Ségur, Mercier, Scribe i wielu innych, dziś w samej Francji zapomnianych komedyopisarzy, oraz Iffland i Kotzebue składają obfity haracz scenie polskiej w tym czasie. Sam Osiński przekłada «Rywali samych siebie» Pigaulta-Lebrun'a.

Zauważyć tu jednak trzeba, że w przyswajaniu tych obcych płodów nie zawsze troszczono się o zachowanie charakteru oryginału. Owszem, jakby chcąc zamaskować brak talentów swojskich, nadawano im koloryt czysto miejscowy. Tak w komedii Scribego i Poirsona: «Wieśniak w Paryżu» nie tylko zmieniono tytuł na «Wieśniak w Warszawie», ale i wchodzącym do niej osobom nadano nazwy na sposób Zabłockiemu właściwy, a więc: Miłosz, Lubosz, Wdziękosz i t. p. W «Obiadku z Magdusią» zaś, również na bruku paryskim zrodzoną, występują typy czysto ludowe, jak: Powala, drwal z za rogatek Czerniakowskich, Jan Rychtel, młynarz z za rogatek Marymonckich, a w innej jeszcze jednoaktówce francuskiej spotykamy się ze «Starą Kownacką», która jej nawet tytuł nadaje. Farsa ta była tak popularną, że stała się przysłowiową: *Wygląda, jak stara Kownacka*, mówiono o damach, które się mody przestarzałej trzymały lub cudacznie stroiły. Inna znów z komedij Ségur'a ma tytuł «Panna Przypiekalewiczówna». Nie należy stąd jednak wnosić, iż Osiński karmił współczesnych płodami mniej wybrednego smaku i dowcipu; obok nich bowiem daje komedye Goldoniego, Moliera («Szkolę kobiet», «Doktora z musu», «Mieszczanina szlachcica», wreszcie «Précieuse ridicules» pod tytułem: «Panny Wzdrygalskie»). Co najważniejsza, iż się poznał na geniuszu Fredry i z «Geldhabem», granym po raz pierwszy w roku 1821,

wprowadził jego komedye na scenę warszawską: «Cudzoziemszczyzna», «Damy i huzary», «Zręczność i przekora», «Mąż i żona», «Pierwsza lepsza», «List», «Odludki i poeta», wreszcie «Nikt mnie nie zna», za dyrekcyi Osińskiego ujrzały światło kinkietów i dość często pojawiały się na afiszach.

Co do opery, to zaznaczyć należy, iż nie miała samoistnego składu śpiewaków. W najpierwszych pod względem muzycznego znaczenia sztukach, jak «Flet zaczarowany» Mozarta, «Cyrulik Sewilski», «Szczęśliwe oszukanie» (L'inganno felice) «Tankred» Rossiniego; dalej w «Kalifie Bagdadu» Boieldieu'go, w «Operze włoskiej w podróży» Fioravantego, «Precyozie» Webera i wielu innych, występują te same artystyczne siły, które w tragediach i komediach główne odgrywają rolę. Artyści musieli być wszechstronni. O specjalizacji talentów jeszcze wtedy nie można było myśleć. Tu jedną należy zrobić uwagę. Zarzucano Osińskiemu i Elsnerowi, jako dyrektorowi opery, iż nad swojskie przenoszą obce, a przede wszystkim Rossini'ego twory. Zarzut był jednak niesłuszny. Bez wątpienia: «Wiśliczanki», Zbigniew, «Bojomir i Wanda», wreszcie «Krakowiacy i górale» mogły miłsze być sercu, jako na motywach swojskich osnute; skala wszakże muzyczna była w nich nadzbyt szczupłą, by wykształcić artystycznie słuchaczy i zaszczerpić w nich zamiłowanie do muzyki na stopę wielką pojętej. Tego dokonać mogli tylko mistrzowie europejskiego znaczenia i zaznajamianie z nimi stanowi raczej obu dyrektorów zasługę.

Należy jeszcze rzec słowo o żywych obrazach, stanowiących jedno z uniowań ówczesnej epoki: wybór bowiem tematów da nam miarę o estetycznych poczuciach, jakimi, trafiając w smak publiczności, kierował się Osiński. Bierzemy za przykład jedno z takich widowisk. Rozpoczynała je uwertura Kurpińskiego p. t. «Walna bitwa», po czem następowały obrazy: I. Piast z aniołami, II. Ogród miłości, podług Albana, III. Aleksander W. w namiocie z Daryuszem. Była to część pierwsza. Następną rozpoczynał koncert. W niej obraz IV odtwarzał: Kuźnię miłości, podług obrazu Albana, V. Karcznię polską, podług rysunków Norblina i Żwana. Część trzecią poprzedzała uwertura z opery «Leszek Biały» Elsnera, kończyły zaś widowisko obrazy: VII. Śmierć Tippo Saiba, VIII. Kazimierz W., przedstawiający Lokietkowi Aldone, i IX. Biesiada z tańcami, podług obrazu Teniers'a.

Jak widzimy, Osiński dbał wiele o urozmaicenie widowisk, a jako dyrektor, podtrzymując tradycję szkoły Bogusławskiego, czuwał nad czystością języka i wyraźnym wymawianiem i akcentowaniem myślowym wyrazów. Z tej to tradycji pochodziło, że najznakomitsi z późniejszych naszych artystów, jak Żółkowski (syn), Królikowski i inni, wymawiali: kobiéta, mléko, chléb, zachowując właściwe im pochylenia, gdyż takie brzmienie miały w dobrej polszczyźnie. Przedewszystkiem zaś przestrzegał, by artyści wyuczali się dobrze swej roli, tak, iż nigdy nie zdarzało się, by widź wprzód słyszał słowa suflera, niż grającego aktora. I gdyby Osiński przestał być na tem, co zdziałał jako tłumacz, mówca, urzędnik sądowy i dyrektor sceny krajowej, niewątpliwie posiadałby niezaprzeczone prawa do sławy. Ale już jako członek Towarzystwa przyjaciół nauk, w którym od r. 1801 pełnił obowiązki sekretarza, zaznacza swój wpływ ujemnie, przyczyniając się do odrzucenia rozprawy Fr. Wężyka o tragedyi, w której ten na lat siedm przed K. Brodzińskim dla poezji dramatycznej szersze widnokregi otwierał. Później los, zbyt szczodry dla niego, postawił go na stanowisku, na którym jeszcze w wyższym stopniu wykazał brak naukowego przygotowania. W r. 1818 powołany jako zastępca profesora na katedrę literatury, miał już lat 61! Było to więc zbyt późno, by się sam czegoś nauczył lub o wielu rzeczach zapomniał, skoro przez życie całe, począwszy od zdobytego w szkołach pijarskich wykształcenia, do środowiska, w którym się rozwijał i działał, wszystko utrzymywało jego umysł w ciasnych wyobrażeniach francuskiego klasycyzmu. Tą drogą jednak krocząc, zdobywał coraz wyższe uznanie. W r. 1821 zostaje już profesorem rzeczywistym, w r. 1824 profesorem radnym, a w marcu 1830, jako doktor filozofii, dziekanem na wydziale nauk i sztuk pięknych. Wobec tego więc co mogły go obchodzić jakieś prądy nowe w literaturze, o których rozpisywał się 27-letni Brodziński, co reforma, dokonana w niej w Niemczech, lub wreszcie przewrót, jaki w Anglii sprawili Burns, Lakiści, Byron i Shelley, kiedy on z «Listem do Pizonów,» z «l'Art poétique» Boileau w zanadrzu, wygłaszając z katedry teoryje Laharpa tym dźwięcznym, metalicznym głosem, jaki mu był właściwy, i deklamując ustępy z Eneidy, Ziemiaństwa, z Sztuki rymotwórczej lub tragedyj Kornela, wprowadzał w zachwyt piękne panie w sto-

licy i zdobywał sobie poklask mężów posiwiałych w boju lub na polu pracy społecznej. Na scenie wprawdzie, jako dyrektor, wystawiał tragedye Szekspira, Szyllera, gdyż należało urozmaicać widowiska, by teatr nie świecił pustkami; lecz na katedrze w poważnej profesorskiej tocie, drwił sobie z ich smaku i oburzał się brakiem trzech jednostki. Wprawdzie bruździł mu nieco młody kolega Brodziński; ale z nim nie potrzebował się liczyć: nie odcigał mu swemi wykłady pachnących i udekorowanych słuchaczów: zaledwie młodzież około swej katedry gromadził, a zresztą i on swym bohaterom ludowym nadawał formę do klasycznej zbliżoną.

I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie grom, co spadł z pogodnego nieba. W Wilnie wyszły dwa tomiki «Poezji,» przez jakiegoś Adama Mickiewicza wydane. Obejmowały one utwory nie nowe pod względem ducha i formy dla zachodu, ale, jako romantyczne, wyklęte przez klasyków warszawskich. Poeta był nieznany, ale miał odwagę urzeczywistnić to, co K. Brodziński w r. 1818 zapowiadał w swojej rozprawie, lecz czego sam nie śmiał w praktyce dokonać. Zuchwałstwo więc młodego poety oburzyło wszystkie powagi, które wygodne miejsce dla siebie na Parnasie znalazły. Zzachnął się i Osiński, ale w poczuciu swej wielkości gardził przeciwnikiem. Dotąd nie było w literaturze przykładu, by jakiś młodzik śmiał jej nadawać nowy kierunek. Wszyscy w niej wiodący rej byli to mężowie posiwiali w usługach kraju, zajmujący wysokie w społeczeństwie stanowiska, mile widziani w najarystokratyczniejszych salonach stolicy. Gdyby któremu z nich przyszło do głowy reformować poezję, Osiński poczytałby to za klęskę, bo człowiek taki, miałby za sobą powagę wieku, urzędu i swym przykładem mógłby pociągnąć wielu za sobą. Ale na uroszczenia wychowawca uniwersytetu wileńskiego mógł tylko lekceważąco wzruszyć ramionami. On, wyrocznia dobrego smaku, uznany za pierwszorzędnego krytyka, na którego sąd zdawały się takie, jak Koźmian, wielkości i z niepokojem oczekiwały wyroku, czy wiersze ich znajdzie dość utoczone i gładkie, nie miałaby dość powagi, by poskromić, a nawet w proch zetrzeć śmiałka, który w swej preumpcyi targał się na uznane przezeń i ogół oświecony poetyckie prawidła?... To też z wysokości katedry wygłosił znaną parodyę z «Dziadów:»

Ciemno wszędzie, głupio wszędzie,
Nic nie było, nic nie będzie —

i, przeszedłszy do porządku dziennego, sądził, że poetę zabił śmiesznością. A tymczasem młody orzeł rósł, potężniał, coraz szerzej skrzydła rozciągał i budził nowe talenta, które, jak on Litwę, malowały Ukrainę, nadając stworzonym przez się obrazom właściwy swej indywidualności koloryt. Zjawisko to na prawdę zasepiło pogodnie zwykle czoło krytyka, jak i wszystkich jego współpracowników. Oni tyle pracowali nad ujednolicieniem języka, nad zatarciem w nim wszelkich cech indywidualnych pisarza i nadaniem mu tej koncentracji, której wzór widzieli w poetach i prozaikach francuskich; tak zresztą oczyszczali go ze wszystkich wyrazów, któreby popospolitością trąciły, że istotnie zrobili z niego jakieś abstrakcyjne myśli narzędzie, nie mające nic wspólnego ze zwykłą mową śmiertelnych. Tymczasem ci nowi poeci nie tylko posługiwali się prowincjonalizmami, nie tylko używali wyrazów gminnych, ale jeszcze do owych utworów obierali przedmioty, którychby się żaden klasyk dotknąć nie ważył. Zamiast tematów greckich i rzymskich lub bohaterów, którzyby mogli na ich sposób przemawiać, występuje litewszczyzna w balladach i orientalizm w «Sonetach», kozaczyzna w dumkach Bohdana, hajdamactwo w «Zamku kaniowskim» i jakaś ukraińska «Marya», której nikt nie mógł zrozumieć. Jeżeli tak pójdzie dalej, — mówili — to jedność literatury rozpadnie się na powiatowszczyzny, a język wróci do pierwotnego prostactwa. Czuli też wszyscy konieczność przeciwstawienia tym nowym dążnościom czegoś, co by urok klasycyzmu podniosło. Ale daremnie oczy na Osińskiego zwracano. Ostatni utwór, jaki wyszedł z pod jego pióra, była «Oda o Koperniku», deklamowana w roku 1818 w teatrze narodowym przez Dmuszewskiego, z towarzyszeniem muzyki Elsnera. Odtąd nie zdobył się na żaden już utwór w formę poetyczną ujęty, tem bardziej w chwili obecnej, gdy się w nim ufność we własne siły zachwiała. Kajetan Koźmian wreszcie, którego «Ziemiaństwo» mogło być, jak mniemano, wschodzące gwiazdy pogasić, nie kwapił się z jego ogłoszeniem w całości, z przyczyn zarówno osobistych, jak i niezależnych od niego. Jedyną więc nadzieję pokładano jeszcze w generale Franciszku Morawskim, który oddawna przygotowywał «Listy o klasykach i romantykach polskich.» Jakoż, ukazały się one w druku w 1829 roku, ale

✧ interesowanym przyniosły gorzkie tylko rozczarowanie. Morawski bowiem, choć wzrosły na klasycyzmie, miał głębokie poczucie poezji i umysł niezależny. Jeżeli też w jednym z Listów wytknął śmieszności zaciętrzewionych romantyków, to w drugim jeszcze bardziej nie oszczędzał klasyków, zarzucając im brak oryginalności i okradanie poetów rzymskich. Co zaś ważniejsza, że oba te Listy przypisał Julianowi Niemcewiczowi, *jako bezstronnemu sędziemu*, czem do obozu klasyków rozdwojenie wprowadził. Tak zamiast spodziewanej odsieczy doznali najstraszniejszej porażki. Jakby zaś niedość było tego upokorzenia, w tym samym roku Mickiewicz, znudzony krytyką i przekasami powag warszawskich, rzucił im przy zbiorowym wydaniu swych dzieł w Petersburgu rozprawę «O krytykach i recenzentach.» Nie uderzał on w niej wprost w Osińskiego, gdyż celem jego pocisków był głównie Fr. Salezy Dmochowski; wszakże się i jemu dostało. Przedewszystkiem daje mu miano «przyzwoitego sędziego,» gdyż w swych krytykach nie wypowiada nic takiego, co by mogło być przykre dla ówczesnych powag uznanych. Dziwi się jednak, że on, profesor literatury, godzi się na zdanie Stanisława Potockiego o Homerze, o którym ten nie miał żadnego naukowego pojęcia. Wszystkim zaś przypomina wiersz Krasickiego: «Trzeba się uczyć, upłynął wiek złoty» i porównywa ich z przyczyn doraźnych sądów, wypowiedzianych o Lessyngu, Goethem, Byronie, do polityków mało-miasteczkowych, którzy, nie czytając gazet zagranicznych, wyrokuja o tajemnicach gabinetów. Jeden tylko Niemcewicz wyszedł z grona ówczesnych literatów i krytyków obronną ręką. To też można sobie wyobrazić, jak ta rozprawa dotknęła Osińskiego, który dotąd w przekonaniu wszystkich i własnem za wyrocznię w rzeczach smaku i literatury uchodził. Zarzut nieuctwa, uczyniony profesorowi radnemu i wieloletniemu członkowi Towarzystwa przyjaciół nauk, był albo beczelnem zuchwalstwem, albo miał rzeczywistą podstawę. Pomiędzy tem dwojgiem nie mogło być nic trzeciego i sądzimy, że, jakkolwiek miłość własna podsuwała mu pierwsze, przecież to drugie musiało go kłócić z własnem sumieniem, podkopywać wiarę w siebie, podawać w wątpliwość wszystkich prac jego owoce. W każdym razie, gdy Dmochowski kruszy kopię w obronie własnej i ojca, on, dotąd tak wymowny i mający dowcip na zawołanie, milczy, posepnieje,

czuje się upokorzonym w swej dumie. Los wszakże, tak dla niego dawniej łaskawy, teraz nie szczędził mu rozczarowań i goryczy. Zaledwie rozprawa Mickiewicza przebrzmiała, gdy w rozprawie M. Mochnackiego «O literaturze polskiej wieku XIX» (1830) romantyzm ostatecznie zatryumfował nad niedobitkami klasycyzmu. I gdybyż ten tryumf tylko u nas święcono!... Ale, niestety, i w samej Francji wszystkie Osińskiego bożyszczą padły pod ciosami «Kromwela», «Hernaniego...» bankructwo klasycyzmu było zupełne. Więc też i schyłek życia dawnego ulubieńca publiczności warszawskiej bardzo był smutny i godzien pożałowania. Od roku 1833 odsunięty od kierownictwa sceny, jako referendarz w radzie stanu, przeżywał ostatnie dni w żalobie serca, rozczarowaniu i goryczy. Śmierć

wreszcie syna, jedynej a ostatniej nadziei 83-letniego starca, przyspieszyła zgon jego, który w dniu 27 listopada 1838 r. nastąpił. Osiński przeważną część pism swoich umieszczał w «Pamiętniku warszawskim», wydawanym przez F. S. Dmochowskiego; pozostawił także w rękopismach przekłady komedyj francuskich i libretów włoskich, oraz «Kursa uniwersyteckie». Wydaniem tych ostatnich najgorszą oddano mu przysługę. Cały urok bowiem jego wykładów, podtrzymywany tradycją, rozwiął się w jednej chwili i wykazał płytkość jego poglądów. A jednak nie był to człowiek miary zwyczajnej. W każdym razie dla teatru położył wielkie zasługi i te nigdy odjęte mu nie będą.

Roman Pienkiewicz.



Karol Mecherzyński.

* 1804 † 1881.

Wśród badaczy, zajmujących się dziejami piśmiennictwa naszego, Mecherzyński zajmuje wybitne stanowisko, jako historyk wymowy polskiej, co pierwszy z wielką sumiennością, z wielkiem przejęciem się a nie bez talentu dziedzinę tę rozpatrzył i umiał ją czytelnikowi w sposób wolny od przesady i pedantyzmu przedstawić. W obec tej głównej jego zasługi, nie można wszakże zapominać ani o jego rozprawach, wyświetlających różne inne strony literatury naszej, ani też o długoletnim wykładzie tego przedmiotu w uniwersytecie Jagiellońskim.

Tak miejscem rodzinnem, jak i wyłącznym polem działania Karola Mecherzyńskiego był Kraków. Tu przyszedł na świat w r. 1804, tu początkowe i wyższe odebrał wykształcenie, tu otrzymał w r. 1825-ym stopień doktora filozofii, napisawszy po łacinie rozprawę o początkach filozofii, zawartych w poezji najdawniejszej; tu naprzód u św. Barbary, potem u św. Anny uczył języka polskiego i łacińskiego aż do r. 1850-go; tu od roku 1851-go do 1867-go był profesorem historii litera-

tury polskiej w uniwersytecie, a potem zarządzał biblioteką uniwersytecką; tu od r. 1830-go działał jako członek Towarzystwa naukowego, które w r. 1873-im przekształcone zostało na Akademię umiejętności; tu wreszcie umarł w r. 1881.



Karol Mecherzyński

Pracę piśmienniczą rozpoczął od rozpraw czysto erudycyjnych, takich, jak: *Ściśnięta uczonych krajowych i postronnych o kwitnącym stanie nauk w Polsce w wiekach dawniejszych* (1828), *Historia języka łacińskiego w Polsce* (1833), *Historia języka niemieckiego w Polsce* (1844), *O magistratach miast polskich, a w szczególności miasta Krakowa* (1845), *O rządzie radzieckim, O mieszczańskich krakowskich* i t. p.

Na pole literatury w ściślejszem znaczeniu przeszedł dopiero w r. 1835, pisząc do «Kwartalnika naukowego» artykuł

p. t. *Filozoficzne pojęcie historii literatury ojczyźnej*. Pod wpływem panującej ówczesnie dążności społecznej, zapuścił się trzydziestoletni badacz w bardzo rozległe uogólnienia, poczynając od aforyzmu, że «życie jest celem najwyższym życia», a zmierzając do wykazania, iż wszystkie objawy ducha ludzkiego,

a więc i literatura, powinny pozostawać w najściślejszym związku z tym najwyższym celem. W każdym społeczeństwie dostrzegał «własną moc, zdolność kształcenia się i doskonalenia;» stąd społeczność każda «kwitnie i wzrasta według wzrostu krzewiących się w niej sił i żywiołów przyrodzonych; a oświecenie jest rozwinięciem się, kwiatem i najpiękniejszą koroną jego życia.» Był mocno przekonany, że każdy naród ma swoją «myśl społeczną,» wywijającą się «w pasmie różnokształtnych obrazów i zjawisk» i urozmaicającą «barwę polityczną i umiejętną narodu.» Twierdził, że «nie przyjmie się żaden obyczaj w narodzie, żaden smak obcy, albo przynajmniej słabe i chwilowe tylko może mieć panowanie, jeżeli nie wypływa z tej głównej myśli, z której się rodzi wszelka właściwa tej społeczności swojska myśl i czucie.»

Jak te poglądy ogólne zastosował Mecherzyński do dziejów literatury polskiej, nie wiemy, gdyż w drukowanym ciągu artykułu jego znajdujemy zaledwie początek zwrotu do «czasów przedhistorycznych Lechii;» dalsze ustępy tej rozprawy już się nie pojawiły nigdzie, a sam autor w późniejszej działalności nie wrócił do owych najwyższych filozoficznych uogólnień, gdyż się poświęcił wyłącznie badaniu i przedstawieniu szczegółów, dotyczących piśmiennictwa i wykształcenia naszego. Rozpatrywał je z tego «narodowego» punktu widzenia, którego najlepszym u nas rzecznikiem był Kazimierz Brodziński. Mickiewiczowski romantyzm bardzo słabo nań oddziałał, tak dalece, że mówiąc r. 1851-go o jego wpływie, nie wahał się wyrzec, że «górujący talent pisarza (t. j. Mickiewicza), zbaczając w pierwszym polocie, nadał błędny kierunek poezji pociągnięciem za sobą mnogiej rzeszy naśladowców.» Rozumiał on piękność wielkich dzieł Mickiewicza, lecz mówił o niej chłodno i nie bez licznych zastrzeżeń. Geniusz piewcy *Dziadów* przedstawiał mu się w postaci «niszczącego wszystko meteoru.» O wiele cieplej, serdeczniej mówił o Brodzińskim, widząc w nim niewątpliwie pokrewną sobie duszę, której przeważną zdolnością jest «cichy, badawczy rozum, co uważnie stąpa po nowej i nieprzechozonej jeszcze drodze, rozgląda się wokoło, radzi własnych przeczuć i umiejętnie z cudzych doświadczeń korzysta.» Nic też dziwnego, że ze wszystkich studyów literackich, jakie napisał Mecherzyński, a napisał ich dużo, najpiękniejszą, najlepiej odczuta i najstaranniej nakreśloną jest rzecz

✧ *O pismach Kazimierza Brodzińskiego*, pomieszczona w «Bibliotece warszawskiej» z r. 1859-go.

Jako profesor historii literatury polskiej w uniwersytecie Jagiellońskim, Mecherzyński nie zasłynął ani zapalem, ani świetnością krasomówską wykładu; lecz się odznaczał spokojem, niekiedy w chłód przechodzącym, sumiennością i jasnością. Chociaż rozpatrywał oczywiście wszystkie rodzaje literackie, najchętniej atoli zatrzymywał się nad wymową, której dzieje były u nas bardzo mało obrobione. Temu zamięłowaniu do mówców zawdzięczamy najznakomitszą pracę naszego autora: *Historję wymowy w Polsce* (1856—60 trzy tomy). Jak pojmował swoje zadanie, widać to ze słów wstępu: «Pierwszym tu obowiązkiem dziejopisa jest pogląd uważny na te psychologiczne, społeczne i polityczne warunki, od których zawisła wymowa, już jako zdolność przyrodzona, już jako sztuka umiejętnie kształcona i doskonalona. Bada on wewnątrz i zewnątrz naród, jego charakter, uprawę społeczną, tudzież język, jako narzędzie powszechne i organ umysłowości; zważa rozmaite objawy w życiu domowym i publicznym, świeckim i religijnym, i z ich zarysów układa swój obraz, scenę historyczną, z głównym jej działaczem—wymową. Stąd postępując do szczegółów, ocenia stanowisko każdego z osobna mówcy, zbiera z ich życiorysów główniejsze barwy i znamiona i roztrząsa ich dzieła, zważając, co w nich było własnością geniuszu, a co owocem działających nań wpływów; co wyniknęło z potrzeb krajowych dla życia rzeczywistego, a co z wyłącznego powołania—dla sztuki. Dwojaką bowiem w swym historycznym obrazie ma ukazać stronę: praktyczną i teoretyczną, t. j. wymowę i jej naukę, mówców i ich szkołę.»

Jest to dokładny opis tego, co Mecherzyński dał w swej książce. Program tu zakreslony spełnił w zupełności sposobem, nie budzącym wprawdzie żywszego zajęcia, lecz nie odstręczającym suchością i nadmiernymi drobiazgami. Dzieło jego może być istotnie nazwane «obrazem» dziejowego rozwoju wymowy naszej, bo autor nie poprzestał w niem na charakteryzowaniu poszczególnych osobistości i ich utworów, lecz dawał uogólnienia, odnoszące się nietylko do wielkich okresów, na które historję wymowy podzielił, ale i tych faz poszczególnych, jakich w obrębie tych okresów dopatrzeć umiał. Zbliżył się tym sposo-

bern bardziej niż inni dziejopisowie literatury do metody prawdziwie historycznego opowiadania; szkoda jenó, że, dawszy charakterystykę faz rozwojowych, nie uszeregował mówców według tychże faz, lecz obrabiał ich w ramach całego okresu. Znajomość przedmiotu miał wielką; wielu mówców on pierwszy odczytał i ocenił, przysparzając dużo przyczynków do poznania naszej oświaty i twórczości. Szczególną jego zasługą było, iż zwrócił uwagę na niewłaściwość ryczałtowego potępienia literatury naszej XVII wieku i przekonywającemi dowodami pogląd swój poparł.

Całości pracy zamierzonej nie wydrukował. Z pięciu okresów, na jakie podzielił «Historję wymowy w Polsce,» dał nam tylko cztery, sięgające do r. 1750. Niewielka pokupność dzieła zraziła go,

jak się zdaje, od dokończenia wydawnictwa. A jednakże ono stanowi największą zasługę badawczą naszego pracowitego autora. Zasługą jego wtórną, że tak powiem, jest przyswojenie językowi naszemu znakomitych *Dziejów polskich*, napisanych w XV wieku przez Jana Długosza. Przekład ten, udostępniający ogółowi poznanie wielkiego historyka, wyszedł w Krakowie w pięciu tomach r. 1867—70.

Inne dzieła Mecherzyńskiego, pomiędzy któremi znajduje się także krótka *Historja literatury polskiej dla młodzieży* z zastosowaniami do niej *Przykładami i wzorami*, mają już drugorzędne znaczenie, chociaż we wszystkich znaleźć można i dużo szczegółów zajmujących lub ważnych, i język piękny, szczeropolski.

Piotr Chmielowski.



Aleksander hr. Przezdziecki.

* 1814 † 1871.

Działalność społeczno-naukowa ludzi, należących urodzeniem do arystokracji polskiej, przedstawia się względnie do czasu w XIX w.

nader nierównomiernie. Lat czterdzieści, obejmujących 3, 4-ty, 5-ty i 6-ty krzyżyk tego stulecia, stanowi najświetniejszą dobę pomienionej działalności. W trzecim to dziesiątku tegoż wieku świetnieją jeszcze w całym swoim blasku cywilizacyjnym Puławy; minister Tadeusz Mostowski rozwija pomnikową działalność ekonomiczną, pokrywa Królestwo siecią dróg szosowych, zakłada instytut w Marymoncie; Lubecki urządza skarbowość; Karol hr. Brzostowski znosi w dobrach swoich (r. 1820)

pańszczyznę; pisze jeszcze sporo Aleksander Chodkiewicz; gromadzi bibliotekę Adam Chreptowicz w Szczorsach i Edw. Raczyński w księstwie Poznań-

skiem; uwiekopomnia się fundacją swoją Józef Maks. Ossoliński; rozpoczyna potężną pracę wydawniczą (r. 1828) Adam Tytus Działyński, w czem naśladowuje go chwalebnie Raczyński. Po nich idzie w tej sferze długi szereg ludzi uczonych, poważnych autorów lub bardzoczynnych w społeczeństwie, jakimi byli: Konstanty Świdziński, Konstanty Tyzenhauz (zoolog), trzech bracia Stadniccy: Antoni, Aleksander i Kazimierz, Fredro Aleksander, Henryk Rzewuski, Tomasz



Aleksander Przezdziecki

Potocki, Aleksander Wielopolski i Aleksander Ostrowski, Fryderyk Skarbek, Andrzej Zamojski, Zygmunt Krasiński, bracia Tyszkiewiczowie: Eustachy i Konstanty, Rastawiecki, Aleks. Przeddziecki, Wiktor Baworowski, Leon Sapieha i najmłodszy w tym zastępie Maurycy i Włodzimierz Dzieduszyccy, Jan Tadeusz i Jerzy Lubomirscy. Tomasz Zamojski buduje wspinały gmach dla biblioteki ordynackiej, Krasińscy biorą pod opiekę zbiory Świdzińskiego. Do tejże epoki należą kobiety takie, jak Klaudyna Potocka, Karolina z Potockich Nakwaska, Rautensztrauchowa i inne. Cztery, a zwłaszcza trzy ostatnie dziesiątki wieku XIX-go przedstawiają już tylko smutne cechy zaniku tak świetnej działalności panów polskich i ogólny w nich upadek poczucia obowiązków społecznych. Z całego tak licznego zastępu ludzi gruntownej nauki, poświęcenia i czynu, zostaje szczupła szlachetna garstka prawdziwie pożytecznych pracowników, dla których «noblesse oblige» nie jest banalnym frazesem salonowym, ale istotną zasadą w życiu i sumiennym wypełnianiu obowiązków względem swego społeczeństwa. Dwie te doby porównane z sobą czynią takie wrażenie, jakbyśmy mieli przed oczami konar wielkiego drzewa, który usychając okrył się raz jeszcze bujną zielenią i kwieciem.

W tej to dobie prawdziwej zasługi obywatelskiej wielu moźnych ludzi, a zwłaszcza pod jej koniec, wybitne stanowisko zajmował wspomniany już powyżej Aleksander hr. Przeddziecki, którego życiorys tu treściwie mamy skreślić.

Ukończywszy liceum krzemienieckie, młody Przeddziecki dla dalszych studyów udał się na uniwersytet do Berlina. Będąc właśnie studentem berlińskim, w dziewiętnastym roku życia, przedsięwziął pierwszą z podróży swoich do Szwecyi, którą opisał i dedykując swej matce wydał w r. 1836 p. n. *Szwecya, wspomnienia jesienne 1833 r.* Jedyny organ literacki, istniejący wówczas w Warszawie pod redakcją A. J. Szabrańskiego: *Panorama literatury krajowej i zagranicznej*, sprawozdanie swoje o dziełku nieznanego młodego pisarza tak zakończył: «Podróż ta nie zawiera w sobie ani przypadków nadzwyczajnych, ani spostrzeżeń szczegółowych. Autor opisywał często nawet przedmioty aż nadto znane publiczności, w uwagach swoich nie zapatruje się nawet z wyższego stanowiska, a jednak wyborem zdarzeń ciekawszych i powabnym stylem umie zająć i zabawić czytających.» Od tej chwili, gdy raz ujął pióro i oddał się pracy naukowej i literackiej, siedł już tą

drogą służby społecznej ciągle i przyjętemu zawodowi pozostał wiernym do ostatniej chwili swego życia. Co prawda czas był po temu odpowiedni. Prawie cała bowiem inteligencja polska, poszedłszy za prądem emigracyjnym na obczyznę, zatrważająco opustoszyła życie umysłowe w kraju rodzinnym. Potrzeba więc było, aby w głuchej ciszy duchowej nowe siły rozdmuchwały nowe to życie. Zaczął się też wytwarzać w kraju nowy zastęp pisarzy, wśród których wybitne stanowisko zajęli dwaj młodzi literaci i ziemianie zarazem: Michał Grabowski, autor (wydanej w latach 1837—8) *Literatury i krytyki*, i Józef Ign. Kraszewski, którego *Wędrówki literackie, fantastyczne i historyczne* (Wilno, trzy tomy, r. 1838) zapewniły 26-letniemu autorowi poważny głos w piśmiennictwie. Za nimi siedł Przeddziecki, młodszy od Grabowskiego o lat osiem, a od Kraszewskiego o lat parę, i stanawszy w szeregu dzielnych pracowników na polu naukowem, pozostał ich dobrym i przyjaznym towarzyszem do zgonu.

«Rok 1841 — pisze Kaz. Wł. Wójcicki, świadek tej epoki, we wspomnieniu pośmiertnem o Przeddzieckim — miał w rozwoju literatury naszej wybitne i stanowcze znaczenie, a dla Przeddzieckiego otworzył chlubne szranki do jego działalności literackiej. W tym bowiem roku powstały dwa poważne naukowe czasopisma, a mianowicie: *Biblioteka warszawska* w Warszawie i *Atheneum* pod redakcją J. I. Kraszewskiego w Wilnie. W obu tych pismach Przeddziecki złożył poważne owoce swojej pracy i badań z dziedziny przeszłości krajowej. Na zwrot ten stanowczy, któremu autor *Jagiellonek* pozostał wiernym do ostatnich chwil życia, wpłynął głównie, jak sam Przeddziecki o tem mawiał, Marcin Błażowski, dawny tłumacz kroniki Kromera, który w przedmowie swojej do Zygmunta III, wydrukowanej na czele przekładu w r. 1611, wygłosił, że historia «tylko sama, ile prawdziwie a umiejętnie pisana, sławę ludzką a zgoła wszystkich świat w szatę nieśmiertelności obłoczy. Upadły zamki, miasta i królestwa, upadłaby z nimi była i pamiątka o nich, jedno upadkowi historia zabiegła. Pomarli cesarze, królowie i książęta, a z nimi równo zacne ich sprawy też by umarły były, by historia onych nie odżywiała. Historia zaprawdę sama na wieki sławy naszej dochować może. Ona jest przemijających czasów rachmistrzem, oświatą prawdy, mistrzynią żywota, pamiątką zasług, podżogą cnoty, hamulcem niecnoty, a nawet

matką nieśmiertelności.» Prawdy, zawarte w powyższych słowach pisarza epoki Zygmuntowskiej, wyrobiły w Przeddzieckim przekonanie o podstawowem znaczeniu nauk historycznych dla wykształcenia społecznego w narodzie i rozwoju życia umysłowego.

Że, pomimo oddania się z całym zapalem badaniom starożytności i dziejowym, rozumiał dobrze potrzebę i znaczenie postępu, najlepszy tego dowód mamy w pierwszym ważniejszym dziele Przeddzieckiego p. n. *Podole, Wołyń, Ukraina, obruby miejsce i czasów* (Wilno, r. 1841, 2 tomy), gdzie we wstępie tak mówi między innemi:

„Czas już, abyśmy żyć zaczęli życiem czynnem w obrębie sił naszych i usposobień, a ten obręb, Bogu dzięki rozległy. Poznajmy tylko, co jest w rękach naszych, chcijmy szczerze, co możemy, a odkryje się przed nami świat nowy, świat spekulacyj przemysłowych i handlowych, świat doświadczeń i wynalazków. Miejsce czczości, która dotychczas umysły nasze zatruwa, zajmie życie wewnętrzne, w którym interes dobrze zrozumiany będzie głównym wprawdzie bodźcem, wszelako niezupełnie materyalnym, jeżeli na sumiennem wykonaniu obowiązków opartym.” W dziele powyższem autor obok wspomnień historycznych dotyka i stanu dzisiejszego kraju i ludzi pod wieloma względami. Miał się ukazać i tom trzeci, ale do tego nie przyszło, tylko wyjątek z niego wydało r. 1844-go «Atheneum.»

Nie posiadamy tu miejsca na szczegółowy wykaz wszystkich rozpraw i artykułów Przeddzieckiego, pomieszczanych od r. 1841-go w «Atheneum» Kraszewskiego i w «Bibliotece warszawskiej», której został stałym współpracownikiem od czasu, jak w r. 1847 zamieszkał w Warszawie. «Biblioteka warszawska» w tomie II-im r. 1872 obok wspomnienia pośmiertnego ogłosiła „spis bibliograficzny wszystkich pism Aleksandra Przeddzieckiego, wyjęty z *notat do bibliografii polskiej Cypryana Walewskiego*.” Więc tam odsyłamy tych, którzy zechcą poznać się bliżej z długim szeregiem prac ś. p. Aleksandra. Wymienimy tu jednak wydawnictwa poważniejsze, a do tych zaliczamy *Źródła do dziejów Polski*, podzielone na pięć oddziałów: pamiętniki, akta, listy, dyplomaty i mieszaniny. Pierwszy tom tych *Źródeł* opracował Przeddziecki z Michałem Grabowskim (Wilno, 1843 r.), a drugi z Mikołajem Malinowskim (Wilno, 1844 r.).

Żaden ani z panów, ani uczonych polskich nie przedsięwziął tyle co Przeddziecki kosztownych podróży i badań zagranicą celem wyszukania tam pamiątek polskich i nieznanych źródeł do naszych dziejów. O planach tych poszukiwań zawiadamiał Przeddziecki ziomków bądź w listach, drukowanych przez czasopisma polskie, bądź w artykułach i książkach oddzielnych. I tak z artykułów, pomieszczonych w «Bibl. warsz.» od r. 1847 do 1850, wydał (r. 1850) oddzielną książkę p. n. *Wiedomość bibliograficzna o rękopismach, zawierających w sobie rzeczy polskie, przejrzaną po niektórych bibliotekach i archiwach zagranicznych, a zwłaszcza rzymskich*. Roku 1853 ogłosił: *Ślady Bolesławów polskich po obcych krajach, opowiadanie historyczne z 5-ma litografiami*. Tegoż roku wydał także *O połukach w Bononii i Padwie*.

Jako wydawca źródeł dziejowych, Przeddziecki po Tytusie Działyńskim pierwsze u nas zajmuje miejsce. Z rejestrów skarbowych królewskich z lat 1388—1417 ogłosił najprzód w «Bibliotece warszawskiej», a potem (r. 1854) wydał oddzielnie *Życie domowe Jadwigi i Jagiełły*. W r. 1862 wydał w Krakowie: *Mistrza Wincentego, zwanego Kadłubkiem, biskupa krakowskiego, kronika polska z rękopisu Eugeniuszowskiego*. W łonie redakcyi «Biblioteki warsz.» — powiada jej członek Kaz. Wł. Wojcicki—powstała pierwsza myśl wydania krytycznego wszystkich dzieł Jana Długosza, tak drukowanych, jak jeszcze pozostających w rękopismach. Było to przedsięwzięcie olbrzymie, bo nietylko wymagające ogromnego nakładu, ale żelaznej pracy uczonych współpracowników i wytrwałości lat wielu. Przedmiot ten był celem długich narad i dyskusyj, ale im głębiej go badano, tem więcej pokazywało się trudności. Pierwszem zadaniem było, czy się nie da odszukać oryginał Długoszowy, a w braku tego kopie najbliższe jego czasów, potem—przejrzenie wszystkich rękopisów, rozproszonych po bibliotekach całej Europy, a następnie porównanie tych ustępów, w których jakiegokolwiek zachodziły różnice i wątpliwości. Myśl cała tak doniosła dla wiedzy historycznej, spełzałaby na niczem, gdyby nie Przeddziecki, który ani chwili nie wahał się przystąpić do tego pomnikowego wydawnictwa i, oświadczwszy gotowość jego wykonania, postanowił zaraz umyślną podróż naukową. Gdy przyszło pod rozbiór ważne pytanie, czy ograniczyć wydanie do samego tylko oryginalnego tekstu

łacińskiego, czy też dać zarazem i przekład polski, Przeddziecki, pomimo że wydanie z przekładem pomnażało o wiele trudności i koszty wydawnicze, oświadczył się za tem, aby dla ogółu nie władającego językiem łacińskim „światła pod korcem nie kryć.”

Jakoż sam przekład polski *Dziejów Długosza*, nie licząc kosztów wydawniczych papieru i druku, wyniósł około 4000 rubli. Z pomocą do tego wydawnictwa początkowo ofiarowało się kilku chętnych, ale później wycofało się z obietnicy, a wówczas sam Przeddziecki podejmował ochoczo kosztowne podróże i pokonywał wszystkie trudności. Przyszła nareszcie chwila, gdy był w możności ogłoszenia prospektu, a następnie i pierwszego dzieła Długosza *Liber beneficiorum dioecesis cracoviensis*, obejmującego trzy wielkie tomy, które wyszły w ciągu roku 1863 i 1864 w Krakowie, wyłącznie w tekście łacińskim. Następnie wyszło pięć tomów *Dziejów polskich* w przekładzie prof. Karola Mecherzyńskiego. Ukończenia tego wielkiego wydawnictwa nie doczekał Przeddziecki. Właśnie tom pierwszy pięciotomowego tekstu „Dziejów” był pod prasą, gdy mąż, tak świetnie zasłużony swemu społeczeństwu, zszedł do grobu. Nakład więc ostatnich tomów prowadzili już synowie zmarłego: Konstanty i Gustaw.

Drugim równie pomnikowym dziełem, którego wydawnictwo przedtem jeszcze Przeddziecki podjął wspólnie z Edwardem Rastawieckim, ziemianinem lubelskim, były *Wzory sztuki średnio-wiecznej i z epoki Odrodzenia po koniec XVII wieku w dawnej Polsce*. Wspaniałe to trzypięciotomowe wydanie składało się z bogatych ilustracji, wykonanych artystycznie w litografii warszawskiej Fajansa, i z wyczerpujących obszernie objaśniających tekstów, opracowanych przez A. P. (Przeddzieckiego.)

Najobszerniejszem z dzieł Przeddzieckiego są (*Jagiellonki polskie w XVI wieku*. Obrazy rodziny i dworu Zygmunta I-go i Zygmunta Augusta, królów polskich. Pięciotomowe to dzieło, ozdobione mnóstwem portretów i podobizn, jest owocem długoletnich, mozolnych pracowitych i sumiennych poszukiwań w kraju i zagranicą. W czasie podobnych poszukiwań natrafił raz Przeddziecki w bibliotece neapolitańskiej *Brancaleoniana* na ciekawą listę Annibala z Kapui, arcybiskupa Neapolu a nuncjusza papieskiego w Polsce. Listy te z okresu bezkrólewia po Stefanie Batorym i z pierwszych lat

panowania Zygmunta III-go jako cenny zabytek dla historii przetłómaczył na język polski i wydał z krytycznem objaśnieniem.

Przeddziecki z zamiłowaniem oddawał się również badaniom archeologicznym czasów przedhistorycznych kraju ojczystego. Opisywał wykopalisko z wyspy jeziora Lednickiego pod Gnieznem i jeździł na wszystkie kongresy archeologiczne w Europie, z których sprawozdania pomieszczał w «Bibliotece warszawskiej.» Do podobnych podróży namówił ś. p. Jana Zawiszę, który pod wpływem Przeddzieckiego pod koniec swego życia zajął się także poszukiwaniami archeologicznymi w grotach Ojcowa.

Wydawnictwo dzieł Długosza prowadzone w Krakowie było powodem, że Przeddziecki zaczął częściej i dłużej przebywać w grodzie wawelskim. Jakoż i życie tu zakończył na drugi dzień Bożego Narodzenia 1871 roku, licząc 57-y rok swego wieku. W dniu 30-ym grudnia pochowano na cmentarzu krakowskim śmiertelne szczątki tego prawdziwie i zacnie zasłużonego swemu społeczeństwu mecenasa nauki polskiej.

Kaz. Wł. Wojcicki, pisząc o nim pośmiertne wspomnienie, powiada, że przez całe ćwierć wieku zbliżony do zgasłego badacza, podziwiał w nim zawsze ten szczery zapał naukowy i poświęcenie, z jakim się oddawał raz powziętej myśli, obok szlachetności i prawości charakteru i uczuć. Wytrwały w pracy, hojny w ponoszeniu kosztów na cele naukowe, nie zrażał się przeszkodami a często i ostreimi cierniami, które na drodze swej spotykał; rozumiał bowiem dobrze swoje stanowisko jako pracownika nauki i obywatela kraju. W ostatnim liście, pisanym na parę tygodni przed zgonem z Krakowa do Wójcickiego, zapytywał, czy «Biblioteka warsz.» nie zechce drukować jego nowej podróży do Szwecyi, którą chciał opisać po wydrukowaniu 5-go tomu *Jagiellonek*.

Do słów powyższych redaktora «Bibl. warszawskiej» piszący niniejszy zyciorys dodać może również i słowa własne. Przebywał on bowiem w r. 1869 i 1870 także w Krakowie, choć tylko jako student uniwersytetu; że jednak od lat kilku zajmował się już archeologią, więc był często zapraszany przez Przeddzieckiego na pogawędki naukowe razem z prof. Józefem Łepkowskim i uczy-nym Teofilem Żebrowskim. W obejściu towarzyskiem poznać można było odrazu w Przeddziec-

kim człowieka wielkoświatowego w całym tego słowa znaczeniu, ale był on tak rozumnym, miłym i nauce wyłącznie oddanym, że nie dostrzegłeś w nim nigdy ani śladu dumy magnackiej, ani tego, że się hrabią tytułował. To też głęboki żal przeniknął serca wszystkich światłych i zacnych ludzi w kraju,


gdy doszła ich wieść o zgonie męża, który jeszcze ćwierć wieku mógłby chlubnie dla nauki polskiej pracować, a opuszczał coraz szczuplejszy zastęp możnych obywateli, tak pożytecznie dla tej nauki pracujących.

Zygmunt Gloger.



Julian Bartoszewicz.

* 1821 † 1870.

 asłużony nasz dziejopis pochodził z dawnej na Litwie rodziny, o której tak sam pisze: «Bartoszewiczów dom szlachecki polski na Litwie rozdzielał się na 4 herby: Jastrzębiec, Pomian, Łada i Oksza; ci ostatni byli i na Wołyniu. Jastrzębcowie pisali się od wsi dziedzicznej Lemnik, Lemnickimi.» Historyk był z rodu Jastrzębców i dla tego podpisywał się niekiedy pseudonimem *Lemnicki*, mianowicie w początkach swego zawodu pisarskiego. Jedni Bartoszewiczowie byli katolicy rzymscy, inni ruskiego obrządku. Dziad Juliana Jan Bartoszewicz, dziedzic na Świrniach w pow. Wilkomierskim, służył w wojsku Rzplitej za Stanisława Augusta, jako rotmistrz powiatu Wilkomierskiego. Ożeniony z Anną Kuszelewską, miał z nią trzech synów: Zygmunta (ale nie autora gramatyki łac. i historii literatury), Adama i Aloizego. Adam urodzony w Świrniach 1794 r. (ojciec Juliana), ukończywszy szkołę bernardyńską w Traskunach, wysłany na uniwersytet wileński, słuchał matematyki pod Janem Śniadeckim i M. Polńskim i pozyskawszy r. 1815 stopień magistra filozofii, wyjechał do Królestwa Kongresowego szukać posady nauczycielskiej. W Białej Radziwiłłowskiej w województwie Podlaskiem istniała podówczas czteroklasowa szkoła wydziałowa, zwana pospolicie *akademią* na pamiątkę, że była niegdyś filią akademii krakowskiej, a że rektorem jej był uczony Józef Press, także wychowawiec wszechnicy wileńskiej, więc Adam Bartoszewicz, zyskawszy jego poparcie, został r. 1816 kolaboratorem a następnie profesorem szkoły bialskiej, w której wykładał matematykę i język polski, a w czwartej klasie historię literatury polskiej.

W dniu 8 kwietnia 1820-go r. prof. Adam Bartoszewicz poślubił w Warszawie Amelię Seng-

tellerównę, a w d. 17 stycznia 1821-go r. w Białej przyszedł mu na świat syn pierworodny Julian. Z idącym w ruinę wspaniałym zamkiem Radziwiłłowskim, kędy dzieckiem igrał, związały się pierwsze wspomnienia przyszłego dziejopisarza. Opowiadaniami o świecie naukowym wileńskim zasiały w jego młodocianej duszy ziarno miłości do nauki. Mając lat 5, umiał już czytać i przepisywał bajki, w r. 1827 zaczął chodzić do miejscowej szkółki początkowej, a r. 1829-go wszedł do I-szej klasy szkół bialskich. Nastąpiła później w naukach roczna przerwa, bo profesorowie w grudniu r. 1830-go wstąpili do wojska, tak że Julian dopiero w roku 1832 ukończył klasę drugą. Gdy w r. 1833-im został ojciec jego mianowany przełożonym szkoły obwodowej przy ul. Długiej w Warszawie, Julian przeniósł się z rodzicami do stolicy, gdzie ojciec wysłużył w r. 1850-tym pełną (za lat 35) emeryturę, a syn ukończył r. 1838-go w gimnazjum przy ul. Leszno (w gmachu O. O. karmelitów) ósmą klasę na oddziale filologicznym i tegoż roku po wakacjach, mając 18-ty rok życia, udał się na wydział historyczno-filologiczny do uniwersytetu w Petersburgu.

W miesiąc po przybyciu do stolicy północnej zaczął młody student od d. 5 września prowadzić *Dziennik mojego życia*, w którym na początku znajdujemy: «Dnia 30-go sierpnia nastąpiło rozpoczęcie nauk; ani jednego dnia nie opuszczam, abym w nim nie był w bibliotece. Do tej chwili przeczytałem 8 tomów Dmusczewskiego, 2 Godebskiego i 1 tom Sowińskiego o uczonych polkach.» Dziennik ten z pewnemi przerwami prowadził Bartoszewicz prawie do ostatnich chwil swego życia, pozostawiając w nim jedno z licznych świadectw bezprzykładnie wytrwałej 30-letniej pracy naukowej, która wypełniła wszystkie dni jego

niedługiego żywota, od 19-go roku życia do zgonu w roku 50-ym.

O czteroletnim pobycie Juliana na uniwersytecie petersburskim koledzy jego opowiadali, że przez ten cały czas, nie wydalając się nigdy za obręb miasta i na wykłady uczęszczając rzadko, dni całe przesiadywał w olbrzymiej bibliotece po Żaluskich. Zamiłowany w dziejach, znalazłszy tu niewyczerpane do nich źródła, wiedząc, że po ukończeniu uniwersytetu opuścić musi Petersburg i bibliotekę, trawiony tradycyjnym przywiązaniem ojca i dziada do przeszłości rodzimej, gorzał żądzą poznania wszystkich źródeł do wiedzy historycznej swego kraju. Nęciły go wtedy zwłaszcza źródła rosyjskie do historii polskiej, bo wiedział, że za powrotem do kraju nie będą mu tak łatwo dostępne. Studiował więc wszystko bez wytchnienia i gromadził potężne stosy notatek do stosunków między dawną Polską, Litwą i Moskwą. Jakóż ze wszystkich historyków polskich w XIX-ym wieku, Bartoszewicz jeden, być może, źródła te i stosunki poznał, zbadał i odczuwał najdokładniej.

Zwykle milczący, cichy, zamyślony i zatopiony w pracy przez dzień cały do tego stopnia, że siedząc w bibliotece najczęściej zapominał o obiedzie, gdy wieczorem znalazł się w gronie młodzieży i wśród zdań ścierających się nawzajem, mówił wtedy wiele i z zapalem; zamglone jego oko rozjaśniało się niezwykłym blaskiem, a niepłynna wymowa nabierała dziwnej siły i czucia. Wypowiadając i broniąc przekonań swoich z dzielną odwagą słowa, a zasypując przeciwników potokiem argumentów rzeczowych, najczęściej przekonywał ich lub pokonywał zwycięsko. Było wówczas zdumiewajícím, skąd w tak wątłym i cichym młodzieniaszku bierze się tyle ognistych uczuć i wielkodusznego hartu. Był to charakter jego ducha, który nie osłabł w nim do chwili zgonu. Na młodzież koleżeńską, pomimo że z niej najmłodszy, wywierał silny wpływ przykładem poważnej pracy, szlachetnych zasad i nieskazitelnego życia, reprezentując sobą jakby tradycje filaretów wileńskich. Z jego inicjatywy powstała wówczas w Petersburgu biblioteczka studencka, utrzymywana ze składek koleżeńskich, a razem z Janem Baraszczewskim, późniejszym autorem *Szlachcica Zawalnia*, i innymi kolegami założył Bartoszewicz noworocznik *Niezabudkę*, który pod redakcją tegoż Baraszczewskiego przez lat kilka wychodził w Peters-

burgu i pomieszczał pierwsze prace literackie młodego Juliana.

Opowiadając później o pobycie swoim w Petersburgu, wspominał Bartoszewicz, iż pod wpływem niektórych dzieł filozoficznych i ogólnego prądu w pojęciach ówczesnej młodzieży zachwiał się mocno w swoich uczuciach religijnych, przestał się modlić i bywać w kościele. Takim powrócił (r. 1842) do kraju. Ale jedna chwila spowodowała w młodym historyku przełom stanowczy. Oto, gdy po czteroletniej niebytności obiegał Warszawę w dniu niedzielnym, witając dawne kąty, i zaszedł do jednego z kościołów, pod którego sklepieniem z piersi zgromadzonego licznie ludu rozlegało się «Święty Boże!»—Julian, który tak uroczystego śpiewu już dawno nie słyszał, zapragnął gorąco być jedną duszą z krwi i kości z tym ludem i padłszy na kolana, płakał i śpiewał z nim razem, dziękując Bogu za szczęśliwy powrót pod dach rodzicielski i nad brzegi Wisły ukochanej.

W tymże roku mianowany został Bartoszewicz nauczycielem języka łacińskiego w gimnazjum gubernialnem warszawskiem, mieszczącym się podówczas w pałacu Kazimierowskim, i odtąd zaczął pisywać do gazet i czasopism warszawskich liczne artykuły, które niebawem wyróżniając się szeroką wiedzą historyczną i nowymi poglądami, zwróciły uwagę czytającego ogółu na młodego historyka. Zrazu myślał rzucić się dla popularyzowania dziejów ojczystych na drogę pisania powieści historycznych, ale jego umiłowanie w wykrywaniu prawdy ściśle przeszkadzało mu do pisania prawd tylko przybliżonych, jakimi są powieści historyczne, zresztą uczony badacz dawnych praw polskich Antoni Przeszkodziński stanowczo odwrócił młodego profesora od powieści.

Już po wydrukowaniu całego szeregu źródłowych i ciekawych artykułów historycznych Bartoszewicz przeniesiony został w sierpniu r. 1847 na nauczyciela do szkoły powiatowej w Końskich w ówczesnym powiecie Opoczyńskim. Ale sprawdziło się tu stare przysłowie: «Niema tego złego, coby na dobre nie wyszło.» Bartoszewicz zamiast poddać się rozpaczom na głuchym partykularzu, rozejrzał się wokoło i, znalazłszy ciekawe archiwa w domu Małachowskich i gdzieindziej, poczuł się znowu w swoim żywiole. Zwiedzał i opisywał okoliczne pamiątki i miejsca historyczne (np. Sulejów), przetłumaczył Bizardiera, wreszcie poznał pannę



Portret litografii Walkiewicz.

Julian Karłowicz

Kazimierę Zapalowską, córkę ziemianina z tej okolicy a dzielnego kapitana piechoty byłych wojsk polskich, w której znalazł anioła opiekuńczego i do zgonną zaczął życia swego towarzyszkę. W r. 1849 powrócił Bartoszewicz do Warszawy, ale tym razem już tylko na nauczyciela szkoły powiatowej, z której dopiero po latach kilkunastu przeniesiony został do gimnazjum

Kiedy «Biblioteka warszawska» po dziewięciu latach swego istnienia, czując potrzebę koniecznego ożywienia, zwróciła się r. 1850 o wsparcie piórem do młodszych pisarzy, Bartoszewicz stał się najczynniejszym pracownikiem w jej odrodzeniu i już do śmierci, t. j. przez lat 20 był stałym jej współpracownikiem. W r. 1851 historyk nasz wydał pierwsze oddzielne swoje dzieło, *Królewicze-biskupi* i jednocześnie objął ster założonego przez Henryka Rzewuskiego ówczesnego «Dziennika warszawskiego», z którego uczynił pierwszą w Warszawie redagowaną na sposób europejski gazetę. Stworzył bowiem w niej feljton oryginalny, umieszczał mnóstwo artykułów naukowych, życiorysów, rozbiórów krytycznych, korespondencyj poważnych z kraju i zagranicy, a zmuszając tym sposobem inne dzienniki do naśladownictwa, zreformował dziennikarstwo warszawskie. Pod licznymi artykułami własnymi albo wcale się nie podpisywał, albo tylko znakiem gwiazdki. Kiedy r. 1856-go «Dziennik warszawski» zmienił swą nazwę na «Kronikę wiadomości krajowych i zagranicznych», Bartoszewicz był do r. 1858-go jej redaktorem.

Konstanty Świdziński, poświęcając w testamencie swoim chlubną wzmiankę Bartoszewiczowi, mianował go wraz z Aleksandrem Przeddzieckim naukowym opiekunem przyszłego zakładu naukowego pod nazwą *Museum imienia Świdzińskich*, a kilka lat zaciętego sporu i procesu ze strony Aleksandra Wielopolskiego ze Świdzińskimi i Bartoszewiczem przyniosły naszemu dziejopisarzowi wiele bardzo przykrości. W r. 1859 pojawiły się w Warszawie dwie ważne publikacje, a mianowicie: «Encyklopedia powszechna» Orgelbrandów i «Tygodnik ilustrowany». W obu Bartoszewicz wziął udział bardzo znaczny. Twierdził on, że, aby zbudować przyszły gmach dziejów naszych, potrzeba pierwej zgromadzić na ten gmach dostateczne materiały, t. j. wyczerpujące monografie wszystkich ludzi historycznych, sejmów, praw, instytucyj, urzę-

dów, wojen, miejscowości i t. d. Widząc straszliwy niedostatek podobnych cegieł na fundamenty i ścianę gmachu dziejowego, Bartoszewicz sam poświęcił pracę całego życia na ich przysposobienie i na tem to polu przygotowawczem położył olbrzymie zasługi dla nauki polskiej. Żaden bowiem z dziejopisarzy poprzednich nie zdołał zgromadzić ani części tego drobiazgowego biograficznego materiału, co Bartoszewicz w ciągu nie tak zresztą długiej, bo niespełna 30-letniej, ale za to bezprzekładnie mozolnej i wytrwałej pracy. Dość powiedzieć, że w samej 28-mio tomowej encyklopedyi Orgelbrandów znajduje się 1291 artykułów Bartoszewicza, które obejmują 3,650 stronic drobnego druku, co przy zwykłym formacie i druku wypełniłoby tomów kilkanaście. A przecie wszystko to są rzeczy źródłowe, daty, szczegóły i wiadomości z archiwów, dokumentów i starych druków przez autora mozolnie wyszukane i wypisane. A cóż dopiero, gdy zważymy, że po za encyklopedyą Orgelbrandów mamy jeszcze drugie tyle artykułów historycznych Bartoszewicza, wydrukowanych w ciągu ćwierćwiecza przez wszystkie prawie czasopisma polskie krajowe i zagraniczne. Był on swego czasu tem dla dziejopisarstwa, czem Kraszewski dla powieści.

Główniejsze dzieła jego wydane osobno są następujące: 1) *Królewicze biskupi, i żywoty czterech kapłanów*: Fryderyka Jagiellończyka, Jana z książąt litewskich, Jana Olbrachta i Karola Ferdynanda Wazy, 2) *Panowie niemieccy na dworze Stanisława Augusta*, 3) *O pomysłach historycznych Augusta Bielowskiego*, 4) *Bezkrólewie po Janie III Sobieskim*, 5) *Znakomici mężowie polscy w XVIII wieku*, 6) *Kościoty warszawskie*, 7) *Pogląd na stosunki polskie z Turcją i Tatarami*, 8) *Historyczne pamiątki znakomych rodów i osób dawnej Polski*, 9) *Coder diplomaticus Poloniae. Tomus III*, 10) *Królowie polscy*, 11) *Arceybiskupi gnieźnieńscy i prymasowie. Wizerunki z Głównego Łowickiego*, 12) *Helmani polni koronni i Wielkiego Księstwa Litewskiego*, 13) *Historja literatury polskiej potocznyim sposobem opowiedziana*, 14) *Album malownicze Kijowa*, 15) *Urgulek wspomnień Józefa Rutkowskiego*, 16) *Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy, wojerody mińskiego*, 17) *Historja szpitala Dzieciątka Jezus*. Już po zgonie dziejopisa syn jego Kazimierz wydał w Krakowie niektóre dzieła ojca w 10-ciu tomach, pomieściwszy w nich *Historję pierwotnej Polski, Annę Jagiellonkę, Skłice i czasów*

saskich, *Studia historyczne i literackie* i t. d. Oprócz prac wydanych, pozostawił Bartoszewicz ogrom notatek, kreślonych pismem nadzwyczaj nieczytel-
nem na małych kartkach, które tylko sam, gdy-
by żył dłużej, mógłby spożytkować.

W przekonaniach swoich Bartoszewicz był gor-
liwym katolikiem, twierdząc, że każdy prawdziwie
dobry katolik musi naśladować Chrystusa w miłości
bliźnich, małych i ubogich bez względu na to,
do jakich należą klas społecznych. Był więc nie-
przyjacielem wszelkiej kastowości i przywileju, że
tak powiemy, był katolickim demokratą w całym
tego słowa znaczeniu. Nader chętnie pomimo
ogromu pracy przyjmował u siebie uczącą się
młodzież, której zachęt, rad i wskazówek nauko-
wych nigdy nie szczędził. Młodzież otaczała go
też niezwykłą czcią i uznaniem. Starszych ludzi
wtedy tylko chętnie widział u siebie, kiedy przyby-
wali w interesie nauki, po rady, wskazówki i wy-
jaśnienia. Sam czysty i szlachetny jak kryształ,
lubił tylko podawać rękę ludziom równie zacnym
i zbliżonych przekonań. Dla innych bywał szorst-
kim, błędów ich nie umiał pobłażać i przebaczać,
pyszałków lub przesadnie ugrzecznonych nie cier-
piał, chwiejnym nierad rękę podawał. ostrą prawdę
ciskał w oczy, opozycyi w ludziach niedouczonej
nie znosił, przywłaszczających tytuły unikał i nie
lubił. Stał obok wielu przyjaciół miał również wielu

niechętnych dla siebie. Jeżeli nieraz uderzał szorst-
kością pióra, to jednak nie kierowały nim nigdy
zawziętość ani nienawiść, ale tylko silne przekon-
anie, uniesienie gorące i oburzenie na czyjś fał-
szywy pogląd, brak zasad i t. d. Niesłychana su-
mienność Bartoszewicza w badaniach sprawiała, że
nie umiał przebaczać innym najmniejszych pomy-
łek i pólsadów.

Pracownik ukuty prawdziwie ze stali, w pracy
dla ziomek poświęcony bezgranicznie, nie znalazł
żadnych w życiu codziennym rozrywek, nie wy-
jeżdżał prawie nigdy za rogatki Warszawy. Do-
piero gdy na zdrowiu począł mocniej szwanko-
wać, dał się namówić dwa razy do dalszych wy-
cieczek na Podlasie. Tam to w Jeżewie pod Ty-
kocinem u przyjaciół swoich przepędził porę wa-
kacyjną w r. 1868 i 1869, ale znalazłszy na miej-
scu obszerne archiwum historyczne, czas letni prze-
pędzał także na pracy wśród papierów. W roku
1870 rozwijająca się choroba nerkowa nie pozwo-
liła mu już pojechać na lato do Jeżewa, co z ża-
lem w listach swoich wspominał. Zmarł w dniu
5 listopada tegoż roku, a kilkonasto-tysięczny tłum
inteligencyi warszawskiej odprowadził zwłoki jego
na Powązki. Żył za krótko dla badań przeszłości,
za wiele dla cierpień, jakie w życiu przenosił.


Zygmunt Gloger.



Feliks Bentkowski.

* 1781 † 1852.



drodzenie się pracy naukowej w Polsce na początku wieku XIX przedstawia dwa główne kierunki, współcześnie się rozwijające. Jeden polega na przejmowaniu od ludów Zachodu rezultatów, przez nie osiągniętych na polu filozofii i nauk fizyczno - matematycznych, w celu przyswojenia takowych społeczeństwu polskiemu i rozwinięcia dalszego na gruncie narodowym, — drugi zmierza do zastosowania metod naukowych w pracy nad badaniem języka ojczystego, dziejów, literatury, prawa; słowem całej spuścizny narodowej, której wartość zaczęliśmy cenić dopiero wtedy, gdy wielkie katastrofy dziejowe rozbudziły świadomość i spotęgowały uczucia dla przeszłości. W gronie przedstawicieli tego ostatnie-

go kierunku, obok Albertrandiego, Lindego, Bandtków, Lelewela, występuje zasłużony choć nie do równywuający im gorliwością w pracy, pierwszy historyk literatury polskiej, Jan Feliks Bentkowski, urodzony roku 1781 w Lubartowie. Ojciec jego przebywał tam w służbie dworskiej ks. Sanguszki.

Przeszedłszy następnie do Kazimierza Sapichy, mieszkał od roku 1787 w Warszawie i tu posyłał syna do szkół pijarskich. Zmuszony utrzymywać się od 5 klasy z własnej pracy, dostaje się młody Feliks jako nauczyciel do domu Tiedego, pełno-

mocnika Krasickiego w dobrach Skierniewickich. Zaprotekcją swego chlebodawcy otrzymuje młodzian stypendyum od rządu pruskiego dla kształcenia się w zawodzie nauczycielskim. Uzupełniwszy średnie wykształcenie przez pobyt w «pedagogium» cylichowskim (Zuelli-chau nad Odrą), zapisuje się r. 1802 na uniwersytet w Halli, gdzie słucha wykładów Niemeyera, Voigta, Vossa, Jacobiego i pracuje w instytucie pedagogicznym. Jednocześnie pełni obowiązki lek-



Bentkowski

tora języka polskiego, wykładanego dla bawiących tam licznie polaków.

Po ukończeniu studiów otrzymuje miejsce nauczyciela w świeżo otworzonym r. 1805 w Warszawie liceum, którego kierownikiem został Linde. Uczy tu początkowo Bentkowski języków staro-

żytnych i niemieckiego w klasach niższych, a polskiego w trzech klasach wyższych, następnie zostaje profesorem języka i literatury polskiej, z którą łączy się wykład historii. Obok tego pełni obowiązki nauczyciela domowego u Tomasza hr. Ostrowskiego i pomaga Lindemu w pracy nad słownikiem. Pozyskawszy sobie uznanie przez swą działalność pedagogiczną i zdobywszy pomyślne warunki materyalne, żeni się r. 1812 z posażną panną Emilią Zeydler. Pierwszemi pracami literackimi Bentkowskiego były sprawozdania i oceny dzieł naukowych polskich, pomieszczane od roku 1806 w Hallskiej gazecie literackiej (niemieckiej); następnie w piśmie «Paedagogische Bibliothek» Guthmutha pomieszcza rozprawkę niemiecką: «W jaki sposób nauczyciel powinien budzić i podtrzymywać w uczniach zajęcie przy wykładzie.»

Udział w pracy przy gromadzeniu materyałów do «Słownika» Lindego zapoznał Bentkowskiego z dawną literaturą polską. W roku 1812 ogłasza on *Wiadomość o najdawniejszych księżkach drukowanych w Polsce*, poświęconą J. W. Bandtkemu. Wykładając od roku 1809 w liceum warszawskim, jako profesor języka polskiego, teorię prozy i poezji, łączył z nią wiadomości o dziełach i pisarzach polskich, odnoszących się do każdego z działów tej teorii. Jednocześnie wziął się do opracowania podręcznika do nauki literatury polskiej w klasach wyższych. Oprócz wskazówek, jakie znalazł w licznych opracowaniach bibliografów z wieku XVIII, otrzymał bogate zasoby notat od współczesnych uczonych: Lindego, Bandtkego, Juszyńskiego, Lelewela, Grabowskiego Ambrożego, Chodkiewicza Aleksandra. Obfitość materyału zniewolila Bentkowskiego do rozszerzenia ram zamierzonej pracy. Zamiast skromnego podręcznika, wydał on obszerne dwutomowe dzieło: *Historja literatury polskiej, wystawiona w spisie dzieł drukiem ogłoszonych* (Warszawa i Wilno 1814 roku). Zasluga i pracą samodzielną Bentkowskiego jest tylko obszerny wstęp, rozbiegający kolejno wszystkie czynniki, sprzyjające rozwojowi literatury (religia, klasztory, szkoły, podróże, drukarnie, tolerancja, mecenas, biblioteki i t. p.), tudzież przeszkody, tamujące życie umysłowe (nierząd, jezuita, wojny, rewolucje, cudzoziemszczyzna). O ile śmiało, wymownie i liberalnie rozprawia o jezuitach i tolerancji, o tyle znów ostrożnie mówi o nierządzie i przewadze szlachty i przecenia wpływ mecenasów.

We wstępie tym podaje podział dziejów literatury na okresy, oparty przeważnie na datach wziętych z dziejów politycznych. Podziału tego, nie stosując jednak w samem dziele, ujmując bibliografię literatury w ramy działów poetyki i prozaiki. Dane biograficzne i sądy krytyczne, wzięte z pism powag ówczesnych, znajdują się tylko przy niektórych ważniejszych pisarzach i dziełach, w minimalnych rozmiarach. Mimo te braki, dzieło Bentkowskiego, jako pierwszy usystematyzowany inwentarz spuścizny piśmienniczej narodu, oddało wielkie usługi i pozyskało gorące uznanie. Uniwersytety i towarzystwa naukowe osypały autora dyplomami. Cesarz Aleksander I. obdarzył autora pierścieniem brylantowym.

Grono przedstawicieli ówczesnej nauki i literatury, zorganizowawszy wydawnictwo miesięcznika literacko-naukowego, który pod nazwą «Pamiętnika warszawskiego» zaczął wychodzić w roku 1814, powołało na redaktora Bentkowskiego. Kierując tem pismem do r. 1821, nie zostawił jednak na jego kartach śladów swej pracy, ni swych przekonań, które umiał naginać w różnych kierunkach, gdy chodziło o torowanie sobie drogi do odznaczeń i korzystnych stanowisk.

Otrzymaawszy w nowo założonym uniwersytecie warszawskim katedrę historii, posuwa się szybko w godnościach i z zastępcy profesora zostaje po roku dziekanem wydziału sztuk i nauk i stanowisko to zachowuje aż do końca istnienia uniwersytetu. O ile szybko i pomyślnie rozwija się karyera służbowa profesora, o tyle słabo i blade przedstawia się dalsza jego działalność naukowa. Wykłady uniwersyteckie (historji powszechnej i propedeutyki historycznej) nie pobudziły Bentkowskiego do samodzielnej pracy i nie zostawiły po sobie śladów ni w pamięci słuchaczy, ni w ogłoszonych dziełach. Widocznie opierał się w swych lekcjach na niemieckich opracowaniach i swoich notatkach z czasów pobytu w Halli.

Drobne okolicznościowe rozprawki świadczą, jak umiał zręcznie dostrajać swe przekonania do prądów chwili. Na publicznem posiedzeniu uniwersytetu w r. 1818 odczytuje w liberalnym duchu skreśloną rozprawkę *O znamionach prawdziwej oświaty*, w następnym zaś roku na takimże akcie przypomina zasługi Długosza. W cztery lata później wybiera za przedmiot na takiż akt żywot skromnego pedagoga, pijara Skrzetuskiego, autora

podręcznika szkolnego historii Grecyi, by udzielić mu pośmiertnej nagany za to, że w skutek swych sympatyj republikańskich przedstawił w korzystnym świetle dzieje Aten i «nie ostrzegł młodzieży przed zgubnymi skutkami gminowładztwa.»

Sam profesor wybiera sobie za pole działalności naukowej spokojną numizmatykę. Urządza przy uniwersytecie gabinet numizmatyczny i ogłasza w r. 1830 *Spis medalów polskich*. Po zamknięciu uniwersytetu w r. 1831 pełni jeszcze przez dwa lata obowiązki dyrektora gabinetu numizmatycznego. Otrzymawszy emeryturę przyjmuje nowy urząd naczelnika głównego archiwum krajowego. Na tem stanowisku wydaje przy pomocy Muczkowskiego ważny dla poszukiwaczy: *Spis ksiąg, obejmujących czynności i pismo dawnej metryki koronnej, a w części i metryki liturskiej*, wydany w 20 egzemplarzach. Prócz kilku mało znaczących rozprawek, ogłosił w r. 1840 bardzo niedołężnie i niedbale dokonany przekład dzieła Guizota: «Dzieje cywilizacji europejskiej.»

Prócz tego w roku 1835 z polecenia ówczesnej Komisji spraw wewnętrznych, duchow-

nych i oświecenia w Królestwie Polskiem, napisał rozprawę p. t. *O miastach i znakach honorowych w Polsce*, przyczem ilustrował ją odpowiednimi rysunkami kolorowanymi. Rozprawa ta znajduje się w oryginale w Bibliotece głównej w Warszawie, wraz z dodatkiem, obejmującym spis kawalerów orderu Orła Białego od r. 1713 aż do ostatecznego upadku kraju. Ryciny stanowiły zapewne oddzielny zeszyt, który musiał się gdzieś zawieruszyć, bo Biblioteka go nie posiada. Rozprawa ta ukazała się w tomie XXV «Przeglądu poznańskiego» za rok 1858.

A więc, jak widzimy, po «Historii literatury», która jakkolwiek była tylko robotą kompilacyjną, oddała jednak wielkie usługi i wywarła dość znaczny wpływ na rozwój dalszej pracy na tem polu, Bentkowski, żyjąc jeszcze lat 40 bez mała, nie wzbogacił nauki żadnem trwalszej wartości dziełem. Spoczywał on na laurach łatwo i szybko zdobytej sławy aż do zgonu, który nastąpił roku 1852 w Warszawie.

Bronisław Chlebowski.



Jan Zygmunt Skrzynecki.

* 1786? † 1860.



Z tych źródeł, które mi były dostępne, nie podobna dociec ściśle daty ani miejsca urodzenia Jana Zygmunta Skrzyneckiego. Wiadomo tyle, że się urodził w roku 1786 albo na początku 1787 w Galicyi, na wschód od Sanu, ale jeszcze na terytorium, zamieszkanem przez ludność polską, nie ruską. Urodził się na wsi, prawdopodobnie w którymś z folwarków, należących do książąt Czartoryskich, gdyż ojciec jego Jan, ożeniony z Zuzanną Mroczkówną, należał do administracji dóbr książęcych. Pochodził ze szlachty, ale przodkowie jego nie piastowali w kraju ani koronnych, ani większych powiatowych urzędów. Zapewne ta okoliczność, w związku z ujawnio-

ną w późniejszych czasach pewną pretensją Skrzyneckiego do arystokratyzmu, dała pochop pochodzącemu z karmazynowego rodu i należącemu do

wyższych sfer towarzyskich Prądyńskiemu do przytyków do pochodzenia Skrzyneckiego, («dont le père vivait en état de domesticité»).

Ojcu jego mogło się nieźle powodzić, gdyż Jan otrzymał wychowanie staranne, naprzód w domu, następnie na uniwersytecie lwowskim, do którego uczęszczał od roku 1802 do 1805. W tym czasie został nauczycielem domowym w którymś z zamożniejszych domów galicyjskich. Na radykalny zwrot w kierunku jego życia, na zmianę zawodu pedagogicznego na wojskowy wpłynęły wstrząsające wypadki roku 1806. Gdy, po pogromie jenajskim w listopadzie tego roku wojska francuskie stanęły w Warszawie, rozpo-



Skrzynecki

częła się, jak wiadomo, pod wodzą księcia Józefa pośpieszna formacja wojsk polskich. Wiadomo również, że jeszcze przedtem na czele sił zbrojnych,

zgrupowanych w Poznańskim, stanął generał Dąbrowski, który walczył już podczas formacji warszawskiej.

Młody Skrzynecki należał do pierwszych, którzy pośpieszyli pod chorągwie. W grudniu był już w Warszawie i zaliczony został, jako ochotnik, do piechoty. Jeżeli uwzględnimy liczne naturalne i polityczne trudności podróżowania w owych czasach, to pośpiech, z jakim Skrzynecki stawiał się do szeregów, uznać wypadnie za wymowne świadectwo jego gorliwości obywatelskiej. Siła zbrojna, sformowana przez księcia Józefa w Warszawie, składała się przeważnie z ludności, zamieszkałej mniej więcej w pobliżu stolicy, a niemał wyłącznie z mieszkańców opróżnionego teraz przez wojska królewskie terytorium pruskiego. W wojskach księstwa Warszawskiego była potem (zwłaszcza pomiędzy oficerami) znaczna ilość galicyan. Ale dopiero potem. Przedostanie się do miejsc formacji z odległego od teatru wypadków i pilnie strzeżonego terytorium austriackiego nie należało do zadań łatwych i w każdym razie wymagało sporo czasu. Kto przed początkiem czynności wojennych chciał zdążyć na miejsce, ten musiał się wcześniej wybrać.

Skrzynecki zdążył. W styczniu roku 1807 walczył już, jako prosty żołnierz, pod Golyminem, Nasielskiem i Pułtuskim. Pod Iławą był już w stopniu podoficera i w tym stopniu ukończył kampanię. Przy ostatecznej formacji wojsk księstwa warszawskiego, w jesieni roku 1807 zaliczony został w stopniu podporucznika do 2-go pułku piechoty (dywizja Dąbrowskiego) i stanął kwaterą w Bydgoszczy, czy też w jej okolicach.

W 1809 roku, wnet po wybuchu wojny austriackiej Skrzynecki z komendą rekrucką przybył do słabego korpusu księcia Józefa, obozującego już pod Raszynem i walczył w pamiętnej bitwie raszyńskiej, w której dywizja Dąbrowskiego nie zdążyła wziąć udziału. Po kapitulacji Warszawy zaliczony już w stopniu porucznika do oddziału Sokolnickiego, brał udział w szturmie szaniec pod Górą, a następnie w obronie Sandomierza. Po wyjściu Sokolnickiego z Sandomierza powrócił do swego 2-go pułku i w jego szeregach ukończył wojnę, otrzymawszy, jeszcze przed jej końcem, za odznaczenie się w bitwie pod Górą krzyż złoty «*Virtuti militari*.»

Po wojnie Skrzynecki pełnił przez kilka miesięcy obowiązki adjunkta w sztabie dywizji Da-

browskiego. Na początku roku 1810 posunięty na stopień kapitana, dowodził przez czas krótki kompanią w 5-tym pułku piechoty (dywizja Wielhorskiego), a następnie został umieszczony w ministerium wojny, będąc nadal zaliczonym do pułku 5-go.

W wojnie roku 1812, przeniesiony napowrót do szeregów tegoż pułku, jako dowódca kompanii, walczył pod Smoleńskiem, Borodinem, Małojarsławcem, Wiazmą, Czerykowem i Krasnem. Za bitwę pod Smoleńskiem został kawalerem legii honorowej. Przy reorganizacji wojska w roku 1813 otrzymał w tymże pułku dowództwo batalionu, uczestniczył w kampanii saskiej, a po bitwie pod Dreznem został majorem. Ozdobiony za bitwę pod Altenburgiem krzyżem kawalerskim polskim, w bitwie pod Lipskiem na czele dwóch kompanii swego batalionu oparł się ośmiu szwadronom kirasjerów rosyjskich, których ataki wytrzymywał przez 3 godziny. Został tam raniony, ale nie opuścił szeregów.

Po klęsce lipskiej i po śmierci księcia Józefa wojsko polskie musiało przejść ciężką próbę moralną, z której, że wyszło zwycięsko, zawdzięczać należy przedewszystkiem Dąbrowskiemu i Sokolnickiemu, ale w pewnej mierze również męskiemu hartowi i poczuciu honoru rycerskiego większości korpusu oficerów, w których liczbie umieścić należy i Skrzyneckiego. W chwili, gdy gwiazda Napoleona coraz ciemniejszymi przesłaniała się chmurami, gdy wszystko się dokoła niego rozprzegało, gdy «sprzymierzeńcy» niemieccy zdradzali go podczas bitw, a generałowie francuscy knowali już zdradę i obmyślali sposoby przypochlebiania się zwycięzcom, przystąpiła pokusa i do bardzo już przerzedzonego zastępu żołnierzy księstwa warszawskiego. Wielu zaczęło rozumować w ten sposób, że, ponieważ Napoleon pobity nie może już nic dla ich kraju uczynić, więc, służąc mu nadal, nie służą już sprawie polskiej.

Skrzynecki należał do liczby tych, którzy poczucie obowiązku obywatelskiego i żołnierskiego w oficerach i żołnierzach energicznie podtrzymywali. Rozprawiał, spierał się, przekonywał, puścił wodzę swoim popędem dyalektycznym i swemu upodobaniu do dysput, które w lat ośmnaście później w tak smutny sposób ujawniło się w jałowych sporach z Prądzyńskim i w czcnych rozprawach polemicznych, toczonych w obozie pod Bolimowem.

W roku 1814 w bitwie pod Arcis-sur-Aube batalion Skrzyneckiego osłaniał osobę cesarza, stawiając niezłomny opór atakującym go z różnych stron oddziałom jazdy rosyjskiej, przy czym jego dowódca okazał w całym blasku swoją energię, zimną krew, przytomność umysłu i lwią odwagę osobistą. Za tę sprawę został oficerem legii honorowej.

W świetnym korpusie oficerów księstwa Warszawskiego należał on do wybitniejszych. W boju cechowały go: wielka odwaga osobista, energia, zimna krew, przytomność umysłu i rozważa, zapał i wytrwałość, któremi umiał też natchnąć swoich żołnierzy; tym ostatnim imponował nadto swoją świetną postawą i swoim wielkodusznym spokojem w niebezpieczeństwie i niepowodzeniu. Odznaczał się też znakomitą sprawnością taktyczną, umiejętnością szybkiego i trafnego oryentowania się w warunkach powierzonego mu zadania, odpowiedniego szykowania swego oddziału i, w razie potrzeby, zmieniania szyku z błyskawiczną szybkością. Imponująca postawa i potężny głos dopełniały cech, które czyniły Skrzyneckiego jednym z najdzielniejszych oficerów w ogniu. Natomiast, jako instruktor i gospodarz batalionu, pozostawiał nieco do życzenia; batalion jego nie był ani najlepiej wymusztrowanym, ani najlepiej zaopatrzonym, ani wzorowo prowadzonym; w rozmieszczaniu na kwaterach zwykle szwankował, jak również w obieraniu linii komunikacyjnej.

Charakter Skrzyneckiego, jako człowieka, cechowały: nieposzlakowana prawość, zupełna bezinteresowność i bezwzględne oddanie się idei; umysł jego odznaczał się skłonnością do myślenia i miał wybitny kierunek dyalektyczny, przeradzający się niekiedy w upodobanie do dysput; był to jednak umysł niezbyt silny, a przedewszystkiem ciasny; w tych warunkach siła woli zwykle przeradza się w upór; jakóż Skrzynecki był niesłuchanie, niekiedy wprost po dziecinnemu, uparty.

Wykształcenie ogólne posiadał względnie obszerne i gruntowne. Po części wyniósł je z domu i z uniwersytetu, po części nabył go przez czytanie, bo czytał chętnie i dużo, szukając pilnie strawy dla swego dość spekulacyjnego umysłu. Ale wykształcenia wojskowego nie miał prawie żadnego: umiał prawie tyle tylko, ile się nauczył w bardzo zresztą pouczającej praktyce bojowej.

Historję wojenną znał powierzchownie, ze strategii posiadał wiadomości skąpe i luźne, o artylerji miał nadzwyczaj słabe, o fortyfikacyi wprost żadnego pojęcia; administracya i gospodarka wojenna były mu zupełnie nieznane.

Pod tym względem był Skrzynecki dość dziwnem zjawiskiem: znakomity oficer bojowy, nieoceniony w ogniu, nie był on jednak żołnierzem z powołania i z zamiłowania. Był nim przez patryotyzm, i wolno mniemać, że, gdyby żył w innych warunkach politycznych, toby może wcale wojskowo nie służył; wojska podczas pokoju nie lubił, interesowało go ono tylko w boju. Ujawniło się to zwłaszcza od czasu, gdy został dowódcą pułku. W wojsku królestwa Kongresowego, umieszczony w pułku grenadyerów gwardyi z przemianowaniem na podpułkownika, (bo majorów w gwardyi nie było), otrzymał w roku 1820 dowództwo tymczasowe pułku 8-go liniowego, a w 1821 został posunięty na pułkownika i zatwierdzony na dowództwie. W tym charakterze ujawnił zupełne niedbalstwo o pułk. Wielki książę Konstanty mawiał o nim, że «pułkownik ten wie wybornie o wszystkim, co stoi w gazetach francuskich i angielskich, ale nie ma wyobrażenia o tem, co się dzieje w jego pułku.» Mimo to 8-my liniowy należał obok 1-go, 5-go i 4-go liniowych oraz 2-go strzelców pieszych do najlepszych pułków piechoty polskiej; ale sprawcą tego był, jak się zdaje, służący w jego szeregach znakomity instruktor podpułkownik Czałczyński.

Na stanowisku dowódcy 8-go pułku zastały Skrzyneckiego wypadki listopadowe r. 1830.

Jaką była renoma bojowa Skrzyneckiego, tego najlepszym dowodem jest, że taki Chłopicki powierzył prostemu pułkownikowi dowództwo 3-ej dywizyi, z pominięciem Małachowskiego, Paca, Sierawskiego, którzy byli generałami jeszcze za księstwa Warszawskiego. Awans na generała brygady nastąpić musiał równocześnie z nominacją na dowódcę dywizyi, ale śladów tego nie mogłem odszukać. W każdym razie datowana w dniu 13 lutego roku 1831 dyspozycya do wykonanego przez bitwę pod Dobrem manewru przeciw Rosenowi adresowana jest do «generała brygady» Skrzyneckiego.

Ta bitwa pod Dobrem (w dniu 17 lutego) była pierwszym czynem wojennym Skrzyneckiego w roku 1831. Usprawiedliwiła ona świetnie poło-

zone w nim zaufanie. Na czele 11 batalionów, 4 szwadronów i 12 dział Skrzynecki przez cały dzień opierał się baronowi Rosenowi, rozporządzającemu 19 batalionami, 28 szwadronami i 56 działami, i ostatecznie dopiął wytkniętego mu celu, nie dopuściwszy rosyjan do oskrzydlenia walczącego na szosie Brzeskiej Żymirskiego; w tej tak nierównej walce zadał nieprzyjacielowi znaczne, a sam poniósł małe straty; wszystkie warunki terenu wyzyskał doskonale, manewrując w wązkich *défilés* leśnych tak zręcznie, że ani razu nie pozwolił nieprzyjacielowi korzystać z ogromnej przewagi jego artylerii i jazdy i że ciągle miał przed sobą jego front bardzo wązki, do którego atakowania wystarczały 2 lub 3 bataliony.

W bitwie pod Grochowem (25 lutego) dywizja Skrzyneckiego była początkowo umieszczoną poza Olszynką, z tyłu przeznaczonej do jej ostrzeliwania baterii, stanowiąc rezerwę generalną zajmującej Olszynkę dywizji 2-ej (Żymirskiego). Po pierwszym zdobyciu Olszyny przez rosyjan Skrzynecki atakiem na bagnety, wykonanym z równie wielką brawurą jak precyzją, wyparł z niej znowu nieprzyjaciół i zajął ją swemi 11-tu znacznie już przerzedzonymi batalionami. Wyparty z niej znowu przez 23 bataliony hrabiego Pahlana, wziął następnie udział w wielkim ataku, prowadzonym osobiście przez Chłopickiego, w którym na czele 1-ej brygady swojej dywizji (pułki 4-ty i 8-my liniowe) tworzył drugą linię. Ale największe zasługi położył przy końcu bitwy, po ostatecznem opanowaniu przez rosyjan Olszyny, kiedy pozbawionej tego klucza pozycji i straszliwie wstrząśniętej przez bohaterską szarżę kirasyerów Zona i Meyendorfa armii polskiej groziło rozcięcie na dwie części, przyparcie Szembeka do Wisły oraz odcięcie Krukowieckiego od mostu i odrzucenie go do Bródna i Białoleki. W tej groźnej chwili niezłomny hart ducha i imponujący spokój Skrzyneckiego sprawiły, że 3-cia dywizja, pomimo rozbitcia 8-go liniowego pułku przez kirasyerów, zachowała wzorowy porządek; ona to zapewniła reszcie armii bezpieczną linię odwrotu i stała się centrem, około którego zgrupowały się cofające się ze swoich pozycji, rozrzucone na ogromnym łuku pomiędzy Bródnem a Saską Kępą oddziały. W tym pamiętnym dniu od pogromu ocalili armię polską Kicki, Małachowski i przedewszystkiem Skrzynecki.

Książę Michał Radziwiłł był wodzem tylko nominalnym. Ciężka rana, odniesiona przez Chłopickiego, czyniła wybór rzeczywistego wodza naczelnego niezbędnym. Na odbytej w tym celu w nocy z 25 na 26 lutego u księcia Adama Czartoryskiego radzie wojennej oczy wszystkich zwróciły się na Skrzyneckiego, który w samej rzeczy w tej wojnie, obok zwycięscy z pod Stoczka Dwernickiego, największą dotychczas okrył się chwałą. Kandydatura jego musiała mieć za sobą wszystkie pozory, skoro głosowali za nią tak znakomici oficerowie, jak Prądzyński i Chrzanowski. Jego wielkie zalety, jako dowódcy dywizji, były jawne i wypróbowane w ogniu, jego stokroć większe od tych zalet wady, jako wodza naczelnego, nie były nikomu znane. Wprawdzie i Prądzyński i Chrzanowski wiedzieli o jego małym wykształceniu wojskowem, ale się spodziewali, że Skrzynecki będzie wykonywał ich plany. Zawiedli się okropnie.

Skrzynecki był jednym z najgorszych wodzów naczelnych, jakich sobie wogóle można wyobrazić, i — dziwna fatalność — może byłby lepszym, gdyby nie był człowiekiem tak sumiennym, tak prawym i tak bezgranicznie oddanym idei, której służył. Te bowiem cechy jego charakteru, w połączeniu z doktrynerskim kierunkiem ciasnego umysłu i ze strasliwym uporem, sprawiły, że w rzeczy tak wielkiej wagi nie chciał spuścić się na niczyje zdanie, a co gorsza, że nie chciał nic ryzykować. Tymczasem prowadzić wojnę bez ryzyka to *contradictio in subjecto*.

Skrzynecki aż do końca swojej działalności nie miał ani razu jakiegoś planu szczegółowego, ściągającego się do danej, poszczególniej operacji, ale wytworzył sobie doktrynę ogólną, niesłuchanie fałszywą, której trzymał się ze ślepym uporem. Oto powiedział sobie, że, wobec ogromnej przewagi materialnej Rosyi, zadaniem jego jest nie pobić przeciwnika, lecz tylko samemu nie dać się pobić. Aby jednak mieć pewność, że się nie będzie pobitym, na to jest tylko jeden środek: nie prowadzić wojny. A Skrzynecki chciał mieć pewność; nie przypisywał sobie prawa do żadnego ryzyka; był to więc potworny pomysł wojny bez wojowania. Za wzór obrał sobie Fabiusza Cunctatora, nie zrozumiałwszy, że ten wielki wódz nie staczał wprawdzie bitw, ale działał nieustannie, i za jedyną drogę do zwycięstwa uznał absolutną bezczynność.

Własnych pomysłów nie miał, cudzych, których jeszcze nie wypróbował, nie umiał ocenić, a raczej bał się ich nawet poddawać rozważeniu. Natomiast wysnuł pewien nad miarę niedołężny wniosek z tego, co widział, z pierwszego okresu wojny, z pierwszej, istotnie świetnie pomyślanej operacji, zakończonej bitwą pod Grochowem. Widział na własne oczy, że bitwa Grochowska, acz taktycznie przegrana, nietylko nie pociągnęła za sobą pogromu armii polskiej, lecz nawet przeciwnie, zmieniła sytuację ogólną na jej korzyść; widział to i wyobraził sobie, że bitwę Grochowską można będzie powtarzać tyle razy, ile będzie trzeba; postanowił więc powtarzać ciągle toż samo: nie przyjmować na żadnym innym punkcie bitwy generalnej, zewsząd cofać się w boju na pozycję Grochowską, a po ewentualnej przegranej na tej pozycji, korzystając z krótkiej i zabezpieczonej przez praski przyczółek mostowy linii odwrotu, cofać się do Warszawy i osłaniać się w ten sposób Wisłą. Zdawało mu się, że przy pomocy tego chytrego planu może prowadzić wojnę nieograniczenie długo i doczekać się pod bronią interwencji europejskiej; bo żeby wojna mogła być wygraną własnymi siłami, tego ani na chwilę nie przypuszczał. Powierzona jego dowództwu armię uważał za rodzaj złożonego w jego ręce depozytu i przyrzekał sobie w swojej zacnej duszy, że go święcie dochowa i zwróci w całości. Myślał, że, nic nie robiąc, nic nie ryzykuje, i postanowił nic nie robić.

Zwycięstwa pod Wawrem i Dębem-Wielkim (31 marca), zamiast przekonać o możliwości akcji zaczepnej, utwierdziły go tylko w przekonaniu o trafności powziętego przezeń planu. W marcu nie był go jeszcze tak bezwzględnie pewnym, gdyż ruch feldmarszałka Diebitscha ku Karczewu i Rykom, oraz zarządzone przez niego przygotowania do przeprawy przez Wisłę nabawiały go pewnego niepokoju. Przeszkodzić tej przeprawie wprost nie považał się, ale zamierzał ją udaremnić przez nader naiwnie pomyślaną wyprawę Umińskiego do województwa Augustowskiego. Rozumiał, że, gdy Dwernicki jest w województwie Lubelskim, a Umiński znajdzie się w Augustowskim, tedy Diebitsch, zagrożony odcięciem od podstawy, albo się wcale nie odważy na przeprawę, albo po jej dokonaniu zginie. Ale w Lubelskim był Kreutz, a do Augustowskiego

nadciągał właśnie wielki książę Michał, obaj na czele sił, aż nadto wystarczających do zupełnego sparaliżowania czynności Dwernickiego i Umińskiego.

Bitwa pod Dębem-Wielkim, wygrana, że tak powiem, pomimo woli Skrzyneckiego, utwierdziła go stanowczo w mniemaniu o trafności powziętego przezeń planu. Diebitsch cofnął się z nad Wisły, i armia rosyjska znalazła się w takim samym położeniu, w jakim była w pierwszej połowie lutego. Teraz Skrzynecki osądził, że nie pozostaje mu nic innego, jak powtórzyć pierwszy okres wojny w drugim, poprawnym wydaniu. Wszelką myśl o wielkiej bitwie gdzieindziej, nie zaś pod Grochowem, odrzucił a priori i w imię tej doktryny zbagatelizował pomyślaną przez Prądzyńskiego na wielką skalę bitwę pod Iganiami.

Obawiając się, jak ognia, boju stanowczego, Skrzynecki dużo liczył na wszelkiego rodzaju dywersje i dlatego, wbrew gwałtownemu oporowi Prądzyńskiego, wysłał Dwernickiego na Wołyń w celu rozniecenia tam powstania. Rychłym wynikiem tego fatalnego kroku była zupełna utrata najlepszego kawalerzysty polskiego i jego doskonałego, złożonego przeważnie z weteranów korpusu.

Prądzyńskiego ogarniała rozpacz. Znacznie ostrożniejszy i mniej ryzykowny od niego, a zatem początkowo łatwiej godzący się ze Skrzyneckim, Chrzanowski też tracił już cierpliwość. Spostrzegli już obaj, że Skrzynecki nie da się nakłonić do żadnej akcji, że wyrobił sobie swoją doktrynę o wojnie, od której nie odstąpi pod żadnym pozorem. Nadzieja kierowania nim znikła. Wprawdzie wódz naczelny chętnie zapuszczał się z nimi w długie i nużące dysputy, lecz dysputy te były z góry skazane na zupełną jałowość, gdyż Skrzynecki stawiał kwestję w sposób, uniemożliwiający wszelkie rozsądne porozumienie: oto, wobec każdego podawanego mu projektu akcji żądał, aby mu dowiedziono, że powodzenie jej jest pewnem, i że, podejmując ją, nic nie ryzykuje. Nie dziw, że przy tak postawionej tezie wychodził zwycięsko z każdej dysputy, bo ostatecznie każdy z proponowanych mu planów był w samej rzeczy w mniej-szym lub większym stopniu ryzykownym. Te tryumfy dyalektyczne, jak się zdawało, napępiały go wielkim zadowoleniem.

Widząc niemożliwość skłonienia Skrzyneckiego do akcji przeciw Diebitschowi, Prądzyński

zwrócił się do myśli o dywersyi: podjął rzuconą jeszcze w marcu przez Chrzanowskiego ideę wyprawy przeciw gwardyom rosyjskim, rozkwaterowanym w okolicach Łomży i Ostrołki. Dywersya ta, w razie zupełnego powodzenia, mogłaby zmusić Diebitscha do ustąpienia z granic Królestwa Polskiego.

Skrzynecki, który o sprawności bojowej gwardyi rosyjskiej miał bardzo fałszywe wyobrażenie, uważał zwycięstwo nad nią za łatwe i dość chętnie przyjął już dawniej w zasadzie przez siebie aprobowany projekt. Ale go spaczył od pierwszej chwili wykonania. Opanowany manią bezpieczeństwa, chciał zapewnić się przeciw możliwości ruchu flankowego Diebitscha i w tym celu rozstawił wzdłuż Bugu pod dowództwem Łubieńskiego całą dywizję piechoty i całą dywizję jazdy. Oczywiście odłączenie tego korpusu osłabiło bardzo dotkliwie i całkiem bezużytecznie siły, przeznaczone do atakowania gwardyi. Wreszcie przez opieszałość ruchów nie doścignął gwardyi, wobec czego Prądzyński już 19 maja doradzał odwrót. Ale powolny, ociężały umysł Skrzyneckiego nie łatwo dawał się odciągnąć od raz powziętych zamiarów. Wódz naczelny zaciętrzewił się w pościgu za gwardyą i gnał za nią aż do Tykocina, gdzie stanął dopiero 22 maja, w czasie gdy Diebitsch był już za Bugiem, w pobliżu jego linii odwrotu. Rezultatem tego była straszliwa klęska pod Ostrołką.

Bitwy pod Ostrołką można było zupełnie uniknąć, gdyby się rozpoczęło odwrót bodaj o jeden dzień wcześniej; można ją było wygrać, gdyby się ją prowadziło z zimną krwią i rozważnie, podług mądrego planu Prądzyńskiego. Ale Skrzynecki tu po raz jedyny w swoim życiu utracił przytomność.

I gdy się zważy całość charakteru nieszczęśliwego wodza, nie wyda się to tak bardzo dziwnem; ta straszna chwila, której się tak bardzo obawiał, nastąpiła; bitwa gencralna z całą potężną armią Diebitscha, bitwa, której myśl odpychał od siebie tak uporczywie, stała się nieuniknioną. Skrzynecki, sam równie powolny w myśli jak i w ruchach, nie przypuszczał w innych ani szybkiej decyzji, ani szybkich manewrów. Pomimo doniesień Łubieńskiego, zrana fatalnego dnia 26 maja nie wyobrażał sobie jeszcze, że następuje na niego cała potęga Diebitscha, wzmożona częściami

korpusu gwardyi. Już kiedy Łubieński był odparty do Ostrołki, kiedy chluba armii polskiej, przesławny 4-ty pułk liniowy prawie w całym swoim składzie legł na ulicach płonącego miasta, kiedy Turki rozpoczął kanonadę przeciw przeprawionej przez Narew brygadzie Martynowa, nie wierzył przekonującemu go o groźnej rzeczywistości Prądzyńskiemu. Przybywszy wreszcie na pole bitwy, ujrzał tę rzeczywistość w całej grozie i z jego zdrętwiałego umysłu uciekły wszystkie myśli oprócz tej jednej: oto nadeszła chwila stanowcza, rozstrzygająca o losach wojny i kraju, chwila, której niedopuszczenie stanowiło dotychczas główny przedmiot jego wszystkich usiłowań. Ta straszna świadomość napęłniła go takim przerażeniem, że, jak za sprawą czarów, opuściły go jego zwykła zimna krew, rozwaga i sprawność taktyczna. Zamiast, jak mu to doradzał Prądzyński, i jak to on sam czynił pod Dobrem, wyzyskać warunki topograficzne i skoncentrować przeciw przeprawiającemu się po jednym nietęgim moście nieprzyjacielowi całą artylerję, a piechotę i jazdę trzymać w odwodzie, aby ich groźne masy rzucić naprzód w stanowczej chwili, zaczął bić głową o mur i w szeregu zupełnie bezowocnych, a straszliwie drogo kosztujących, ataków na bagnety rozbijał brygadę po brygadzie o przeprawione już wojska rosyjskie. Ataki te uniemożliwiły artylerji polskiej ostrzeliwanie przeprawy i uczyniły powodzenie rosyjan zależnem tylko od ich wytrwałości i męstwa, na których im nigdy nie zbywało. Wódz naczelny rozumiał tylko jedno: fatalną stanowczość chwili — i widział przed sobą tylko jeden cel: odparcie rosyjan napowrót za rzekę. «Małachowski naprzód, Rybiński naprzód, wszyscy naprzód!» wołał grzmiącym głosem, przelatując konno przed szeregami. Poszedł sam naprzód, prowadząc już o zmroku osobiście jeden z ostatnich ataków. Daremnie! Rezultatem tej rozpaczliwej, a żadną przewodnią ideą nic rozświeconej walki była tylko utrata trzeciej części armii, a rozstrój i demoralizacya reszty.

Skąd taka zmiana? Dlaczego Skrzynecki pod Ostrołką był tak niepodobnym do Skrzyneckiego pod Dobrem? Dlatego, że pod Dobrem działał na cudzą, a pod Ostrołką na własną odpowiedzialność. Umysł jego wystarczał na to, aby dobrze wykonać przepisany mu przez jego wodza, chociażby niełatwy manewr, ale zamałym był na to, aby w pełnej grozy chwili, kiedy los całej

sprawy zawisł na ostrzu bagnetów, siłą swego ducha opanować tę grozę.

Po klęsce Ostrołęckiej, odzyskawszy, bardzo rychło zresztą, chwilowo utraconą przytomność, Skrzynecki jeszcze bardziej zaciekł się w swoim systemie bezczynności. Jego prawemu, ale ciasnemu umysłowi narzucało się z nieprzepartą siłą rozumowanie, że, póki nie słuchał Prądzyńskiego, póki rządził się własnem zdaniem, póki nie przedsiębrał żadnej akcji poważnej, póty wszystko szło dobrze, a skoro tylko dał się nakłonić do większej operacji zaczepnej, nastąpiła Ostrołęka. Odtąd uwierzył w siebie bardziej niż dotychczas i nabrał głębokiego przekonania, że on tylko jeden, działając podług swojej dotychczasowej metody, może bardzo już zagrożoną sprawę uratować. Ale jego powaga w oczach wojska, sejmu i kraju została mocno zachwiana, jego stanowisko, jako wodza naczelnego, zagrożonem. Bronił go ze wszystkich sił, przekonany, że każdy inny niechybnie zgubi armię. Naciskany przez coraz gwałtowniej domagającą się czynu zbrojnego opinię wojskową i publiczną, przedsiębrał od czasu do czasu różne pozorne akcye, które zawsze urywał, nie doprowadzwszy ich do poważnego spotkania, i których jedynym celem istotnym było zamydlenie oczu niechętnym i niedopuszczenie do wybuchu niezadowolonia, któryby go mógł pozbawić dowództwa. Wierny swojej naturze, chwycił się pomiędzy innymi, jako środka obronnego, słabej zresztą dyalektyki i wydał (naturalnie bezimiennie) niedołężnie napisaną broszurę p. t. *Dwa dni zwycięstw pod dowództwem Skrzyneckiego* (Warszawa, 1831).

Tymczasem następca zmarłego Diebitscha, feldmarszałek Paskiewicz bez wystrzału przeprawił się przez Wisłę. Chmura piorunowa zaczęła się zbliżać do Warszawy. Oburzenie powszechne na bezczynność Skrzyneckiego rosło i przybrało wreszcie takie rozmiary, że sejm wyznaczył komisję do rozpatrzenia sytuacji militarnej i postępowania wodza naczelnego. Komisja ta zebrała się pod przewodnictwem księcia Adama Czartoryskiego w dniu 27 lipca.

Wtedy wódz naczelny okazał wcale niepoślednie zdolności dyplomatyczne. W charakterze członka rządu, sam przybył na posiedzenie komisji, uniemożliwił przez to wchodzącym w jej skład generałom otwartą rozprawę o zdolnościach i postępowaniu tego, który nie przestał jeszcze być

ich wodzem, zaplątał i zabagnił dyskusję, a wreszcie, słysząc jednogłośnie zdanie generałów, że nie pozostaje nic innego, jak iść przeciw Paskiewiczowi i wydać mu wielką bitwę o śmierć i życie, oświadczył, że to jest właśnie jego zamiarem. Nastąpiło pewne rozczulenie, po niem zgoda powszechna; Skrzynecki pozostał na dowództwie, wyruszył z wojskiem przeciw feldmarszałkowi — i bitwy nie stoczył. Właściwie mówiąc, w tym stanie rzeczy, jaki był, miał już może słuszność, bo owa ostatnia bitwa o śmierć i życie miała względnie lepszą szansę pod osłoną fortyfikacyj warszawskich niż w otwartem polu. Po kilku nieznaczących potyczkach główna kwatera polska stanęła w Bolimowie.

Wiara w Skrzyneckiego w wojsku upadła już zupełnie. Jego nieudolność stała się stałym przedmiotem rozmów w obozie. Dla ratowania swej upadającej powagi, wódz naczelny obrał środek, bardzo niewłaściwy ze stanowiska dyscypliny wojskowej, ale zgodny ze swoim charakterem: chodził po obozie, łączył się z grupami rozprawiających oficerów i toczył z nimi dysputy, w których, podług słów Prądzyńskiego, «il était loin d'être toujours le plus fort en raisonnement.» Oczywiście dysputy te nie tylko nie poprawiły opinii o wodzu naczelnym, lecz raczej ją pogorszyły. W dniu 9 sierpnia przybyła do Bolimowa druga komisja, wydelegowana przez sejm w celu ponownego rozpatrzenia postępowania Skrzyneckiego. Wódz naczelny wytężył znowu wszystkie siły, aby utrzymać się na stanowisku, lecz pomimo to w dniu 13 sierpnia komisja odebrała mu dowództwo.

Skrzynecki ustępował z rozpaczą w sercu, głęboko przeświadczony, że destytucja jego jest zgubą sprawy. We wszystkich jego zabiegach, skierowanych ku utrzymaniu się na czele siły zbrojnej, we wszystkich machinacjach, graniczących niekiedy z intrygą, nie było nic, czego źródłem byłaby bądź to korzyść, bądź duma osobista. Był to człowiek bezwzględnie czysty i bezinteresowny. W jego ciasnym i upartym umyśle zakorzeniło się na wieki przekonanie, że system bezczynności był w danych warunkach tem samem dla Polski, czem było kunktatorstwo Fabiusza dla Rzymu.

Nie chcąc porzucić szeregów, przyjął on dowództwo korpusu rezerwowego; ale krótko na tem stanowisku pozostał. We dwa dni po jego desty-

tucy nastała straszliwa noc 15 sierpnia, która do władzy wyniosła jego dawnego, zaciętego wroga, generała Krukowieckiego. Posłał on Skrzyneckiemu w dniu 16 sierpnia, jak się zdaje, zmyśloną wiadomość o uknutym na jego życie zamachu. Wtedy nieszczęsny wódz uczuł, że czara goryczy przepełniła się, i podał się do dymisji. Przez kilka dni przebrany ukrywał się w Warszawie, wreszcie pod przybranem nazwiskiem uszedł do Krakowa.

Po upadku powstania mieszkał czas jakiś w Pradze Czeskiej. W roku 1833 wstąpił w stopniu generała dywizji do armii belgijskiej. W roku 1835 wydał w Paryżu broszurę p. t.: *Mes erreurs*, napisaną ckliwie i bałamutnie. W 1844 wyszedł do dymisji i wkrótce potem osiadł w Krakowie, gdzie umarł w roku 1860.

Maryan Massonius.



Paulina Krakowowa.

* 1813 † 1882.

Picha, wytrwała, a rozumna i pożyteczna pracownica na niwie pedagogicznej Paulina z Radziejowskich Krakowowa urodziła się d. 23 czerwca 1813 r. w Warszawie, która była dla niej prawdziwym miastem rodzinnym, gdyż przepędziła w niem cały swój 69-letni żywot, rzadko jedynie i na krótko wyjeżdżając poza rogatki mazowieckiego grodu. Pochodziła z rodziny zamożnych a poczciwych mieszczan, oddawna zamieszkałych na Starem mieście, a co więcej dzieciństwo spędziła w starożytnej kamienicy, należącej niegdyś do słynnej Urszuli Mejerin.

Nic więc dziwnego, że pierwszym uczuciem podra-
stającego dziewczęcia była miłość ku rodzinnemu miastu i sympatya ku mieszkańcom staromiejskiej

dzielnicy, zwłaszcza ubogim, maluczkim, nieznanym światu; tym uczuciom zawdzięczamy piękną,

a dziś mało znaną książeczkę *Obrazy i obrazy Warszawy* (wyszły w 1848 r.) i mnóstwo sympatycznych postaci ze sfery mieszczańskiej w różnych powiastkach dla dzieci. Wspomnienia historyczne, stanowiące zapewne nieraz przedmiot rozmów słyszanych, wzniecały znów zamięłowanie do przeszłości i do tradycji narodowych, przysposabiając światu przyszłą autorkę powieści, na tle dziejowem osnutych; a znajomość z mieszkającą w tej samej kamienicy angelką, która różne w swym życiu przeszła przygody, była pierw-

szą pobudką do nieocenionych *Wspomnień* *wymanki*.



Paulina Krakowowa

Pod takimi wpływami dziewczynka, obdarzona umysłem bystrym i nad wiek poważnym, rozwijała się szybko, tem szybciej, że dzieciństwo jej było pozbawione właściwych temu wiekowi pieszczot i igraszek: matka odumarła ją małą, rodzeństwa nie miała wcale, chowała się więc między starszymi, pędząc życie w towarzystwie ojca i zacnej wychowawczyni Podbielskiej, odmalowanej dość wiernie w *Pamiętnikach młodej sieroty*. Książka ta (wydana po raz pierwszy r. 1833) nie jest właściwie autobiografią autorki, gdyż wypadki są w niej zmyślane, ale odtwarza smutny jej nastrój w dzieciństwie, którego charakterystyczną cechą była tęsknota za towarzystwem rówieśniczek, a w szczególności za przyjaciółką, zdolną podzielić wszystkie jej myśli i uczucia.

Marzenia te spełniły się poniekąd, gdy w dziesiątym roku życia zaczęła uczęszczać na pensję najpierw do pani Jouffier, następnie do Anny Eitnerówny, gdzie jako 13-to letnia dziewczeczka ukończyła cały kurs nauk, wówczas dla dziewcząt tylko trzyklasowy. Łatwo pojąć, jak szczupłą i mało znaczącą musiała być ta edukacja, współczesna pierwszemu wystąpieniu Tańskiej, więc prowadzona w czasach, gdy jeszcze nie spierano się o to, czy kobiety mają prawo do wyższego wykształcenia, lecz powątpiewano, czy wogóle powinny się uczyć czegokolwiek. Jeden lub dwa języki obce, trochę muzyki lub rysunku, trochę robótek kobiecych, trochę bajek mitologicznych, homeopatyczna doza ciekawych wiadomości z różnych dziedzin wiedzy — to było wszystko, co mogły dać pensye ówczesne, zowiące się dumnie — o czem świadczy Krakowowa w *«Pamiętnikach młodej sieroty»* — instytucjami dla młodych osób. Lecz przy swych brakach miały te zakłady jedną dobrą stronę: nie było w nich przeciążenia, które tak przygnębiająco wpływa na dzisiejsze pensyonarki. Nauki nie pochłaniały całego czasu i wszystkich sił swym uczennicom, dzięki czemu dziewczęta zdolniejsze i żądne wiedzy znajdowały możliwość dopełnienia tych braków, przez pracę samodzielną, nie objętą planem szkolnym. I młoda Paulina z pewnością nie pensyi, lecz samej sobie rozwój swój umysłowy zawdzięczała: czytała dużo, a przede wszystkim musiała czytać Tańską i pisarzy polskich, przez nią wskazanych; korzystała wiele z literatury obcej, bo prócz własnego znała język francuski, niemiecki i angielski (niemieckiego uczył ją

ojciec, a angielskiego wspomniana wyżej sąsiadka angielska), uczyła się zresztą przez rozmowy, obcowanie z ludźmi, a ćwiczyła zdolność myślenia i zastanawiania się przez gorliwe pisanie dziennika. Podkreślamy te szczegóły, gdyż ów popęd do samouctwa stanowi rys charakterystyczny całego współczesnego pokolenia kobiet. Wszystkie one w dzieciństwie i pierwszej młodości okazywały tę samą żądzę wiedzy, tylko rozmaicie przyjmowano usiłowania w celu jej zdobycia: gdy jedne spotykała surowa nagana, a nawet prześladowanie ze strony otoczenia, uważającego tę chęć za zdrożną w dziewczynie; drugim nikt nie przeszkadzał uczyć się i pracować; pierwsze też wyrosły (o ile nie zmarnowały się ich zdolności) na pełne zapалу entuzystki, pierwsze szermierki w walce kobiet o prawo do nauki; drugie — na niewiasty, pogodzone ze swym losem i nie mające popędu do jakiegokolwiek walki, może nawet potępiające niektóre jej formy; pomimo to one przez swe prace oddały niejedną usługę i literaturze ojczystej i nawet sprawie kobiecej, gdyż własnem życiem dały dowód, że kobieta jest zdolną do samoistnej działalności. Do tego właśnie rzędu należała nasza Paulina: ojciec jej nie zabraniał bawić się książką i piórem, więc szła swobodnie za naturalnym popędem i już w 13-m roku życia zapragnęła sama być autorką, pisząc powieść p. t. *Romans, napisany przez trzynastoletnią polkę*.

Wślad za tą pierwszą próbą literacką poszłyby zapewne inne, gdyby nie smutne przejścia życiowe, które sprowadziły odrazu egzaltowany, pełen romantycznych rojeń umysł dziewczęcia na twardy grunt prozy codziennego życia. Radziejowski, już starzec 70-letni, stracił skutkiem nieszczęśliwych okoliczności całe swe mienie i dla zdobycia chleba powszedniego podjął się szycia bielizny dla szpitali wojskowych. Los Pauliny zmienił się zupełnie: przywykła do dostatku, znalazła się nagle w dwóch małych pokojach na rogu Starego miasta i Brzozowej; nie mając dotąd żadnych obowiązków prócz własnego doskonalenia się, musiała nieraz zabrać się do igły, aby ojcu przyjść z pomocą. W roku 1831 uderza w nią, jak grom, śmierć ojca, po której zupełna już sierota znajduje chwilowy przytułek w domu swej koleżanki i przyjaciółki serdecznej.

Żyjąc w czasach, gdy samodzielną pracę kobiet była uważana za występki lub nieszczęście,

nie chce jednak Paulina poprzestać na wygodnym losie rezydentki, lecz zaraz po otrząśnięciu się z pierwszej rozpacz przyjmuje miejsce nauczycielki prywatnej. Zrazu nie powodziło jej się w tym wybranym wprawdzie z konieczności, lecz później szczerze umiłowanym zawodzie: w pierwszych dwóch miejscach spotkała się z przesadami i dziwactwami pracodawców, nie umiejących cenić mistrzyni swych dzieci, dopiero w 1833 roku trafia na lepsze miejsce w Warszawie, gdzie przebyła lat cztery, t.j. do zamażpójścia.

Oddawszy w r. 1837 rękę Ludwikowi Krakowowi, nie przestaje bynajmniej pracować, lecz raczej teraz właśnie rozwija swą działalność zarówno literacką jak nauczycielską. Mąż jej jest skromnym urzędnikiem naprzód w biurze pocztowym, później w paszportowym, żona mu dopomaga w pracy na utrzymanie domu: daje lekcje kilku panienkom, przychodzącym do jej mieszkania. Jednocześnie zawiązuje stosunki ze słynniejszymi literatami współczesnymi i zachęcona przez Jachowicza, zaczyna występować na polu piśmiennictwa. Poprzednio ukazała się drukiem (1833 r.) jedna tylko jej książka: *Pamiętniki młodej sieroty*; w 1837 Krakowowa staje na czele wydawnictwa p.t. «Pierwiosnek», które prowadziła przez lat sześć t. j. do r. 1843. «Pierwiosnek» był noworocznikiem t. j. książką w rodzaju kalendarza, pojawiającą się corocznie i mieszczącą zbiór różnych utworów; od licznych wydawnictw podobnych różnił się on tem, że był pismem, zapelnionem wyłącznie przez kobiety. Oprócz prac samej autorki mieścił on utwory znanej już i cenionej Hoffmanowej, oraz pierwociny talentu wielu nieznanych poprzednio autorek: Żmichowska, Ziemięcka, Trojanowska, Nakwaska, Prusiecka tutaj pomieszczały swe pierwsze prace. Takie zbiorowe wystąpienia kobiet były na swoje czasy krokiem bardzo śmiałym, ale ogół dość przychylnie przyjął ich pracę tembardziej, gdy największe powagi literackie współczesne stwierdziły, iż «Pierwiosnek» jest książką, którą bez obawy dać można do ręki każdej młodej pani. Nie dziwimy się temu, znając charakter i dążność 24-letniej wówczas redaktorki. Nie należała ona nigdy, jakśmy wyżej wspomnieli, do obozu emancypantek walczących, lecz od pierwszego wystąpienia należała do kobiet, zdobywających bez walki pewne prawa dla siebie i swych współtowarzyszek. Najuporniejszych rozbierała umiarkowaniem i bez-

✧ interesownością żądań. «Niech nam wolno będzie tylko uczyć się, pracować i poświęcać się dla drugich»—oto najśmielsze pragnienie kobiet zakroju Krakowowej; oto ich program, który dość wyraźnie sformułowała w następującym wierszu:

Kobieta? puch marny! Kobieta? niebianka!
Kobieta? to cacko! To raju mieszkanka!
To wietrzna istota! Serc ludzkich królowa!
To rodu ludzkiego.... mniej ważna połowa.
Kobieta? A ja wam powiadam, zaiste,
Gdy myśli porządnie i serce ma czyste,
Gdy od czczych uniesień i marzeń jest wolna,
Gdy szczerze dla drugich poświęcić się zdolna,
Gdy ziemię swą kocha uczuciem porciwem,
Gdy myślą od pracy do Boga aż sięga,
O! wtedy kobieta jest świętem ogniwem,
Które ziemię z niebem spręga.

Skoro taka kobieta weźmie pióro do ręki, skoro społeczeństwo przyzna jej prawo przemówienia publicznego, to z prawa swego przedewszystkiem w ten sposób skorzysta, iż zacznie rozpowszechniać zacne swe zasady wśród «młodych rodaczek», a więc wszystkie jej pisma muszą mieć poniekąd charakter pedagogiczny. W danym wypadku kierunkowi temu sprzyjała ta okoliczność, że Krakowowa była urodzoną nauczycielką i pisarką dla młodzieży;—to było jej właściwe powołanie. Stykając się naprzód z dziećmi obcemi, jako nauczycielka, następnie z własnemi, jako matka, nauczyła się przemawiać do umysłów młodocianych i dla nich też później wyłącznie pisała; dla nich wydała w roku 1839 *Powieści starego wędrowca*, które nadzwyczajną miały wziętość w swoim czasie; dla nich nakreśliła w 1841 r. *Rozmowy matki z dziećmi*, rodzaj pogadanek pogładowych, o których specjalista J. Wł. Dawid tak się wyraża w swej «Nauce o rzeczach»: «Nie jest to bynajmniej systematyczny przewodnik do nauki: podane przedmioty małą ledwie cząstkę stanowią tego, o czem, jak sądzi autorka, matka rozmawiać z dziećmi może przy nadarzonej sposobności. Treść ośmiu rozmów składają przeważnie pojęcia ogólne i wiadomości ciekawe i użyteczne, a więc o ziemi i jej kształcie, odległości słońca, o władzach moralnych człowieka, o motyłu, o jedwabnikach i wyrobie jedwabiu, o życiu roślin i pożytku z nich, o pracy, o zarobieniu na życie i t. d. Dążnością ogólną rozmawiającej matki jest wzbudzić w dziecku przekonanie, że świat ten jest prze-

pięknie urządzony, że Bóg nad wszystkim czuwa i wszystko dla dobra człowieka prowadzi, że rzecz każda ma cel swój i pożytek, choć niezawsze są one dla nas widome. Rzeczą ta wogóle bez znaczenia dydaktycznego, jakkolwiek powabną i ciepłą formą wykładu świadczy o pedagogicznym powołaniu autorki.»

Wreszcie w r. 1843 zamiast «Pierwiosnka» zaczęła wraz z Walentyną Trojanowską wydawać pismo dla młodzieży p. t. «Zorza,» której ozdobę stanowiły prace samej redaktorki. Tutaj ukazało się jej arcydzieło, *Wspomnienia wygnanki*, później wielokrotnie przedrukowywane, a zawsze czytane chętnie przez młodszą i starszą dziatwę. Bo też jest to jedna z najbardziej zajmujących książek dla dzieci, pokrewna Robinsonowi i dopełniająca go niejako. Bohaterkami są trzy dziewczyny różnego wieku, pochodzenia i temperamentu, które zapełnione losem na bezludną wyspę, przebywają tam lat kilka, czyniąc tak jak Robinson Kruzoe codziennie nowe odkrycia i wynalazki, zwłaszcza w dziedzinie gospodarstwa domowego i w sporządzaniu odzieży. Równie udatną była następna książeczka p. t. *Niespodzianka* (pierwsze wydanie 1847 r.); jest to zbiór krótkich powiastek dla dzieci, które świeżo ukończyły elementarz. Jak w każdym zbiorze, są tam rzeczy lepsze i gorsze, lecz żadna powiastka nie jest nudna; wszystkie zawierają myśli pocziwe, ale żadna nie jest przeładowana morałami, a więc i dziś «Niespodziankę» zaliczyć można do najlepszych książek dla malców 7—8 letnich. Mniej rozgłosu miały zaraz po «Niespodziance» wydane *Wice:ory domowe*, mieszczące, obok powiastek i komedijek, opowiadania o tem, jak się dzieci zabawiały w czasie długich wieczorów jesiennych; — przypominam sobie z dzieciństwa, że pomysły tam podane uważałam za arcydowcipne, a były to pomysły najwidoczniej podpatrzone i podsłuchane u dzieci. Wogóle cechą utworów Krakowowej stanowi pewien przyjemny humor i styl naturalny, pozbawiający je wszelkiej sztuczności i pedantyzmu, który raził w wielu innych pisarzach tej epoki. Ale już po wydaniu następnej książki, którą stanowiły wspomniane wyżej *Obrazy i obrazki Warszawy* (1848 r.), Krakowowa złożyła na czas dłuższy swe wyrobione już pióro, gdyż dokądindziej wzywały ją obowiązki.

Ukochana jej córka Zosia podraślała, trzeba było myśleć poważnie o jej nauce; matka, chcąc

stworzyć dla nauki tej możliwie najlepsze warunki, przyjęła do swego domu sześć dziewczynek i te razem ze swą córką kształciła. Był to pierwszy związek pensyi, którą otworzyła niebawem i prowadziła przez lat 30, t. j. do roku 1878. Pensya ta odrazu zdobyła sobie sławę pierwszego zakładu naukowego żeńskiego w Warszawie; zakres nauk, szerszy niż gdzieindziej, bo pięcioklasowy, macierzyński stosunek przełożonej do uczennic, sława jej literacka zresztą, złożyły się razem na to powodzenie, a sama nazwa „uczennicy pani Kraków” była najlepszą rekomendacją dla panny, a zwłaszcza dla nauczycielki. Przełożona zajmowała się pensją *con amore*, do pracy literackiej wracała jednak czasami. Owocem tej pracy była wydana w r. 1860 książka p. t. *Proza i poezya*; jest to rodzaj wypisów dla dziewcząt. Autorka poprzedza je słowem wstępnem, w którym wyjaśnia cel swej pracy. Pojmuje ona, że dzieci starsze nie mogą poprzestać na literaturze specjalnie dziecięcej, lecz winny korzystać stopniowo z literatury ogólnej; nie każdy jednak ma dość zasobną bibliotekę, a przytem czas i możność po temu, aby stopniowo wybierać rzeczy odpowiednie, stąd potrzeba wypisów. W planie miała trzy części, lecz okoliczności dozwoliły jej wydać tylko pierwszą, przeznaczoną dla „dziewczynek, wyszłych z pierwszego dzieciństwa,” więc dla czytelniczek lat 10—12. Wyjątki tam zebrane są po większej części też same, które spotykamy w różnych wypisach, opatrzonych późniejszą datą; widać stąd, jak następcy oceniali trafność wyboru swej poprzedniczki. Uważana z punktu widzenia dydaktycznego, książka ta ma tę jedynie wadę, że autorka zamieściła w niej ze względu na myśl pocziwą lub treść nauczającą niektóre utwory, mniej wzorowe pod względem językowym; a także, iż niepotrzebnie, a w każdym razie przedwcześnie dla dziewczynek, dopiero wyszłych z pierwszego dzieciństwa, pomieszczono tam kilka utworów poetycznych, wymierzonych przeciw zbyt śmiałym dążeniom kobiet, n. p. *Zasłona Mahometa* Fredry, surowo wzbraniająca nawet „zapału,” a tembardziej „zwrotów męskich” młodym dziewczynom. Tego rodzaju tendencja musiała wiele inaczej myślących czytelniczek zrażać do dobrej skądinąd książki, ale my się nie dziwmy i nie oburzajmy, mając w pamięci datę jej powstania: — szósty dziesiątek naszego stulecia to czas ogólnej reakcyi, ku której tembardziej skło-

niła się Krakowowa, że z natury była umiarkowana we wszelkich poglądach. Natomiast warto podnieść zaletę zapomnianej dziś książki: Krakowowa chciała, aby już dziewczynki „wyszły z pierwszego dzieciństwa” obznajmiały się przez czytanie z literaturą ojczystą, więc nie tylko sumiennie podała nazwiska autorów, z których przytacza wyjątki, lecz na początku książki daje o nich wiadomość treściwą, lecz przytem nie suchą, mogącą młode dziewczęta zainteresować.

I znowu po *Poezji i prozie* nastąpiła długa przerwa w działalności piśmienniczej naszej autorki. Złamana śmiercią ukochanej córki Zofii i syna Kazimierza, podupadła na zdrowiu, prowadzi przecież z równą gorliwością swój zakład, który opuszcza dopiero na trzy lata przed śmiercią, i wówczas zamiast zażyć zasłużonego spoczynku, powraca do porzuconego pióra. W 1880 roku wychodzi bardzo zajmująca jej powieść historyczna p. t. *Branka tatarska*, wślad za nią idzie kilka innych, które pomieszcza w świeżo założonych „Wieczorach rodzinnych,” a następnie wydaje w osob-

nej książce p. t. *Powieści z dziejów naszych*. Tłumaczy też z angielskiego powieść dla dorastających panienek p. t. *Kampanella*, a oryginalnie układa zbiór opowiadań dla małych dzieci p. t. *Powiatki prawdziwe*. Ostatnie te utwory, jakkolwiek rozwleklesze i słabsze od dawniejszych, bywają z wielkiem zajęciem czytane przez dzieci. Był to już łabędzi śpiew zasłużonej autorki, która umarła 16 lutego 1882 r. skutkiem aneurysmu serca. Liczny orszak odprowadził jej zwłoki na miejsce wiecznego spoczynku na Powązkach; wdzięczne zaś uczennice uczciły jej pamięć skromną tablicą w kościele św. Piotra i Pawła. Dotąd przecież nie uczciliśmy jej pamięci w sposób, odpowiadający zasłudze: nie mamy zbiorowej edycji pism Krakowowej, które już dziś są prawie zupełnie wyczerpane w handlu księgarskim; a szkoda, bo są w nich rzeczy, nie starzejące się nigdy, których żaden wychowawca nie powinien wykluczać z biblioteczki dla podrastającej diatwy.

Aniela Szyc.



Józef Kremer.

* 1806 † 1875.

— 209 —

Twory życia umysłowego narodów, ich poezyi i pracy myśli, stanowią konieczne dopełnienie ich kultury zewnętrznej i stosunków politycznych. Sama wiedza przeszłości, choć słusznie budzi nasze zajęcie, nie może jednak mieć bezpośredniego znaczenia dla życia, bo nie jest zdolną zmienić danej kryształizacji dziejowej, owego posagu sfinksowego, który ręka czasu wykuwa z twardego kamienia bytu narodowego. Kształty jego zmieniają się jedynie pod uderzeniem ciężkiego młota dziejów. Twory zaś poezyi i dzieła myśli wywierają wpływ bezpośredni na najpóźniejsze pokolenia i przyczyniają się potężnie do zmiany ich nastroju umysłowego, do rozwoju i wyrobienia ich uczuć, myśli i dążności. Dzieła starożytnych poetów i myślicieli wyrwały Europę średniowieczną z więzów scholastycyzmu i odrodziły ducha narodów. Małuczka, podupadła Grecja XIX-go wieku odżywia się dotąd pokarmem duchowym Homerów, Platonów, Sofoklesów i stawia czoło turczynowi. To duch, nie ciało, nie martwe «środowisko» zewnętrzne, wykuwa posąg dziejów! On to jest owym cyklopem, miotającym młotem czasu na wsze strony, kształtującym przyszłość. A duch żyje tylko duchem, nieśmiertelnym, zawsze twórczym, tak w odległej przeszłości, od wieków, jak i w przyszłości. Odżywiać się duchem zarówno wszechludzkich, jak swojskich poetów i myślicieli,—oto tajemnica prawdziwego postępu, nowej samodzielnej twórczości narodów. Nie rozprawiamy tylko o naszych poetach i myślicielach, ale czytamy ich, przejmujemy się ich duchem!

Wśród naszych myślicieli doby idealistycznej Józef Kremer zajmuje stanowisko najwydatniejsze. On pierwszy, poczynawszy już od r. 1835-go zajął się opracowaniem *Wykładu systematycznego filozofii*

✧ w naszym języku; on również był pierwszym naszym samodzielnym estetykiem i historykiem sztuki. Kto nie zna filozofii Kremera, kto nie czytał jego *Listów z Krakowa* i *Podróży do Włoch*, ten nie może sądzić o naszej filozofii i naszej estetyce; ten ulegnie z łatwością pierwszemu lepszemu powiewowi obcemu i nie spoi swego ducha z duchem swojskiej myśli, nie będzie stanowił samodzielnego ogniwa w łańcuchu życiowym narodowej umysłowości.

Józef Kremer urodził się w Krakowie dnia 22 lutego 1806 roku. Pochodził z rodziny mieszczańskiej powszechnie szanowanej, dość zaможnej i oddawna osiadłej w stolicy Krakusa. Dwa domy w rynku, oraz ogród, zwany Kremerskim, były własnością jego ojca. Był to obywatel prawy, zacny, który miał sobie za obowiązek spożytkować swe zasoby materyalne, aby dać trzem synom jak najlepsze wykształcenie i wyrobić na prawdziwie pożytecznych członków społeczeństwa. To też każdy z nich zajął wydatne stanowisko w umysłowości krajowej. Bracia bowiem Józefa: Karol i Aleksander, młodsi od niego, odznaczyli się również swą działalnością obywatelską i naukową; pierwszy, jako dyrektor budownictwa miejskiego, pełen zasług na polu sztuki swojskiej; drugi, jako uczony lekarz i członek Akademii umiejętności w Krakowie.

Pierwsze nauki pobierał Józef w domu rodzicielskim, a następnie w liceum Ś-tej Anny. Po ukończeniu jego w r. 1823 wstąpił do uniwersytetu Jagiellońskiego na wydział prawny.

Szkolnictwo krakowskie w owym czasie nie znajdowało się w stanie zbyt świetnym. Załedwie w r. 1780 dokonana została reforma akademii

nie-strudzoną pracą Kollataja; za ledwie ruch naukowy nieco się ożywił dzięki działalności takich mężów, jak Jan Śniadecki, Szasterowie, Szeidt i inni; za ledwie szkoły, pozostające pod zarządem akademii, uwolniły się od wpływu jezuitów i uzyskały nowych światłych przełożonych, — gdy wypadki 1792 roku przeszkodziły utrwaleniu się nowowprowadzonych urządzeń. Następujące zaś potem aż po r. 1815 zawiłłania wojenne i polityczne nadawały szkolnictwu krajowemu znowu odmienny zupełnie charakter. W szkołach średnich przez długie czasy nauczycielami byli po większej części dawniejsi wojskowi. Przepelnieni wspomnieniem swych przygód awanturniczych, zajęci myślą o dalszym pochodzie dziejów, wobec którego teraźniejszość stała się przemijającą tymczasowością, nauczyciele ci podniecali wprawdzie żywą fantazyę młodzieży, rozbudzali jej ideały dziejowe, przyśpieszali tętno życia powszechnego, które jednostkę łączy z ogółem; ale o pracy naukowej, systematycznej, poważnej wcale nie myślano. «Zwykle tak bywało, — mówi w tym względzie sam Kremer w notatce autobiograficznej — że w połowie lekcji profesor sprzykrzył sobie gramatykę łacińską, a odsunawszy na bok książki, opowiadał o Kościuszcze, o księciu Józefie, o bitwach, klęskach, tryumfach i spełzłych nadziejach.» Wśród takich warunków rozwijał się wprawdzie w młodzieży romantyzm patryotyczny, ale nauka prawdziwa stała się udziałem wyłącznie tych, którzy sami nad sobą energicznie pracowali. Do nich właśnie młody Kremer należał, począwszy od wyższych klas liceum, a następnie w uniwersytecie.

Według ówczesnych urządzeń w uniwersytecie Jagiellońskim trzyletni kurs nauk fakultetkich poprzedzonym był dwuleciem filozoficznym, właściwie humanitarnem, t. j. wykładem nauk ogólnie kształcących, jak języki starożytne, literatura ojczysta, historia i filozofia. Studya te odpowiadały bardziej usposobieniu młodego Kremera, niż studya prawnicze. Wskutek tego zajmował się tylko z obowiązku naukami prawniczymi i zdał nawet egzamin na magistra prawa, ale z własnego popędu poświęcał się głównie naukom humanitarnym i filozofii. Przewodnikami jego w tym kierunku byli: Paweł Czajkowski, profesor literatury, retoryki i teorii poezji, znany z wydania przekładu «Jerozolimy wyzwolonej» Tassa przez Piotra Kochanowskiego oraz z szeregu własnych roz-

praw i pieśni okolicznościowych, następnie Józef Em. Jankowski, adwokat, a przytem profesor filozofii, zwolennik Kanta, autor *Krótkiego rysu logiki*, wreszcie Jerzy Samuel Bandtke, znakomity bibliograf i lingwista.

Zamiłowanie do estetyki i sztuk pięknych rozbudziło się w Kremerze wcześniej już podczas studyów uniwersyteckich. Po śmierci Michała Stachowicza w r. 1825 dziewiętnastoletni młodzieniec napisał o nim obszerne studyum i przedstawił je profesorowi Czajkowskiemu, który był wielce zadowolony z tej pracy i prosił autora, aby mu ją pozostawił na pamiątkę. Pobudką do tego studyum były niewątpliwie freski historyczne Stachowicza w sali Jagiellońskiej uniwersytetu. Było ich jedenaście. Główniejsze z nich przedstawiały: pierwsze otwarcie akademii przez arcybiskupa Skotnickiego w r. 1364 za świetnych czasów Kazimierza Wielkiego; dalej: uroczyste przeprowadzenie akademików pod osobistem przewodnictwem Władysława Jagiełły do nowej siedziby w sercu miasta w r. 1400; Twardowski, czyniący doświadczenia na górze Lasota przy mogile Krakusa, Anna Jagiellonka, składająca w darze akademii noszony przez siebie łańcuch złoty ze swym wizerunkiem r. 1584 i t. d. Młodzieniec, o żywości umysłu, zdolnościach i fantazyi Józefa, nie mógł obojętnie patrzeć na odtworzenie wybitnych momentów z dziejów akademii, do której sam należał. Freski te, oraz liczne utwory Stachowicza, napotykanne w każdym prawie kościele, w każdym niemal gmachu publicznym Krakowa, były pierwszymi wrażeniami artystycznymi przyszłego estetyka i zachęcały go do głębszego zastanowienia się nad znaczeniem sztuk pięknych, oraz nad środkami, przy których pomocy późna potomność wskrzesza popioły pra-ojców, nadaje im kształty żywe, przemawiające bezpośrednio do stęsknionej teraźniejszości.

W tymże czasie odbył młody Kremer w towarzystwie swych kolegów Feliksa Lepolda, teologa, i Michała Rostańskiego, prawnika, pierwszą swą podróż do Włoch. Było to podczas pierwszych wakacyj uniwersyteckich. Ojciec Kremera sprawił im wózek góralski płótnem kryty i konika góralskiego i tak zajechali przez Wiedeń i Semering aż do Bruck nad Murem. Tutaj zostawili swój ekwipaż u krewnego pocztmistrza i pieszo puścili się w dalszą drogę. Przewędrowawszy przecudną Styryę i Karyntyę, wkro-

czyli do Wenecyi, a następnie dotarli aż do Florencyi.

W rok później przepędzał młody Kremer wakacje w Warszawie, gdzie odwiedził Kazimierza Brodzińskiego. O tych odwiedzinach Kremer w późniejszym czasie powiedział, że go Brodziński «oczarował swoją słodyczą i dobrocią, które tchnęły z każdego jego słowa».

O studiach filozoficznych Józefa na uniwersytecie Jagiellońskim powiemy tylko, że z zachęty Jankowskiego pracował samodzielnie nad Kantem i że go od tej pracy napaści Jana Śniadeckiego na kantyanizm nie odprowadzały.

Ukończywszy w r. 1828 wydział prawny, Kremer, ujęty urokiem głośnego wówczas na świat cały imienia Hegla, udał się do Berlina, aby poznać i słuchać tego mistrza bezwzględного idealizmu. Wykłady jego wywarły wpływ stanowiący na młodego myśliciela, który od tego czasu w zasadzie przyłączył się do nauki Hegla, choć ją, jak to niżej zobaczymy, pod niejednym względem prostuje i dopełnia.

W Berlinie bawił Kremer przeszło rok, a stąd na Weimar, gdzie, jak sam się wyraził, «złożył osobiście hołd Goethemu,» udał się do Heidelberga, aby uczęszczać na wykłady znakomitych prawników Mittermayera i Thibauta, oraz historyka Schlossera; dla ostatecznego zaś zaokrąglenia swego wykształcenia, swej znajomości świata i ludzi, odbył następnie dalsze podróże do Szwajcaryi, Francyi i Anglii. Najdłużej przebywał w Paryżu w r. 1830. Tu zajęły go żywo wykłady: ekonomii politycznej profesora Say'a, znakomitego obrońcy głośnej zasady: *laissez faire, laissez passer*; historii powszechnej Guizota, historii literatury i estetyki Villemaina, wreszcie filozofii Wiktora Cousina, który wówczas także był heglistą. Naturalnie, że korzystał też sowiec z nagromadzonych w Paryżu bogactw artystycznych, aby zadosyć uczynić potrzebom swego poczucia piękna, rozszerzyć swój widnokrąg w zakresie dziejów sztuki i wykształcić wszechstronnie swój sąd estetyczny. Przepędziwszy wreszcie jeszcze kilka tygodni w Londynie, Kremer po półtrzeciearocznej nieobecności powrócił znowu do miasta rodzinnego z końcem listopada 1830 roku.

Mając zawsze jeszcze na oku zawód praktyczny prawnika, Kremer w styczniu 1831 roku uzyskał w Krakowie stopień doktora obojga praw.

✧ Tymczasem wypadki ówczesne powołały go w szranki Marsowe. Młody doktor praw, zamiast pracy przy biurku, zaciągnął się do wojska. Jako kanonier w 6-tej baterii artyleryjskiej brał udział w bitwie pod Grochowem. Raniony w głowę i w lewe ramię, przewieziony został do Warszawy, potem Modlina, a następnie odesłano go na powrót do Krakowa.

Cóż miał teraz począć? Służba wojskowa była mu zawadą do zajęcia jakiegokolwiek stanowiska publicznego. Pomimo to nie dał się wykołować z drogi sumiennej pracy. Nie chcąc w bezczynności być ciężarem ojcu i rodzinie, objął miejsce wychowawcy w zacnym domu p. Tad. Skrzyńskiego w Zagórzanach pod Gorlicami. Obowiązki te pełnił przez lat sześć z wielkim poświęceniem, a następnie w r. 1837 otworzył w Krakowie własną szkołę prywatną, wraz z pensjonatem. Starania bowiem około zajęcia innego stanowiska, bardziej odpowiadającego jego zdolnościom i wykształceniu, zawiodły i tym razem; nie było tedy wyboru. Z tem wszystkim Kremer nie traktował nigdy zawodu pedagoga jako zła koniecznego, lecz w przeciagu długiego szeregu lat, bo aż do r. 1850, oddawał się temu zawodowi całą duszą i zużytkował na szeroką skalę zarówno swą naukę i zdolności, jak i doświadczenie życiowe dla prawdziwego dobra młodzieży, oddanej jego opiece. Równomierne wykształcenie umysłu i serca było jego ideałem pedagogicznym, który on też w praktyce urzeczywistniał, jednając sobie szacunek powszechny, oraz szczerą wdzięczność zarówno licznych swych wychowanców, jak i ich rodziców. Swoje zasady pedagogiczne zaznaczył Kremer wyraźnie w pięknej mowie, mianej w roku 1870 przy objęciu rektoratu: *O zadaniu młodzieży polskiej, kształcącej się w uniwersytecie Jagiellońskim*.

Wraz ze swą działalnością pedagogiczną rozpoczął Kremer i swą działalność piśmienniczą. Jeszcze w Zagórzanach będąc, zamieścił w «Kwartalniku naukowym,» w latach 1835 i 1836, obszerną pracę: *Rys filozoficzny umiejętności*, która później w nowem obrobieniu weszła w skład jego *Wykładu systematycznego filozofii*. Następnie w roku 1837 wydał osobno *Fenomenologię ducha*, a w r. 1843 ogłosił pierwszy tom *Listów z Krakowa*, obejmujący *Wstępne zasady estetyki*. W tymże czasie napisał zajmującą pracę w dwutygodniku Kurow-

skiego: *O Dzieńwiey Orleańskiej Sygllera i wystawieniu jej na teatrze krakowskim.*

Od roku 1837-go został Kremer członkiem Towarzystwa naukowego krakowskiego i brał nader czynny udział w jego pracach. Świadczy o tem szereg rozpraw, czytanych na posiedzeniach Towarzystwa, jak n. p. *O związku filozofii Imbów z ich sztuką piękną, O zasadach tegoczesnej filozofii natury, O konieczności gminnej* i t. p. W latach od 1847 do 1852 pełnił też obowiązki sekretarza Towarzystwa za prezesostwa początkowo rektora Brodowicza, a następnie od r. 1848 Józefa Majera. W Towarzystwie naukowem zapoznał się bliżej, a po części i zaprzyjaźnił serdecznie ze znakomitymi przedstawicielami ówczesnego życia umysłowego Krakowa, do których głównie należeli: historycy literatury i filologowie: Michał Wiszniewski, Józef Muczkowski, Kajetan Trojanowski, Karol Mecherzyński; przyrodnicy: Ludwik Zeiszner, Józef Majer, Fryderyk Skobel, Stefan Kuczyński; artyści: Józef Brodowski, Rafał Hadziewicz, Wojciech Stattler, a do nich przyłączyli się następnie, osiedlając się w Krakowie, poeci: Lucyan Siemieński, Wincenty Pol i inni.

Wielkie zasługi około podniesienia sztuki krajowej położył Kremer przez zawiązanie w Towarzystwie naukowem sekcji archeologicznej, która postawiła sobie za zadanie zarówno zbadać krajowych zabytków starożytności, jak i rozciągnięcie nad nimi opieki. W tym przedmiocie ogłosił też Kremer szereg prac, jak: *O tryptyku z wystawy archeologicznej krakowskiej, Kraków wobec Polski i Sukiennice jego, Słowo o bramie Floryańskiej w Krakowie* i t. p. Wraz z Józefem należeli do pierwszych członków tej sekcji: Karol Kremer, Muczkowski, Pol i Żebrowski.

Gdy w maju 1847 r. wskutek śmierci Janowskiego osieroconą została katedra filozofii na uniwersytecie Jagiellońskim, głos powszechny wskazywał Kremera jako najgodniejszego kandydata. Ponieważ atoli nie posiadał jeszcze wymaganego stopnia doktora filozofii, przeto wyznaczono go zrazu tylko na tymczasowego zastępcę profesora filozofii. Po wydaniu atoli w r. 1849 pierwszego tomu *Wykładu systematycznego filozofii*, obejmującego *Fenomenologię* i *Logikę*, fakultet przyznał mu jednogłośnie ów stopień doktora filozofii, a w roku następnym ministeryum oświaty mianowało go profesorem zwyczajnym filozofii w uni-

wersytecie, oraz profesorem nadzwyczajnym estetyki i historii sztuki w Szkole sztuk pięknych. Na tem stanowisku pozostał Kremer, aż do śmierci, która nastąpiła dnia 2 czerwca 1875 r.

Po otrzymaniu powyższej nominacji Kremer zwinął swój zakład wychowawczy i poświęcił się już wyłącznie swym nowym obowiązkom, działalności naukowej. Od tego też czasu rozpoczyna się zwrot w życiu i pracy naszego myśliciela. Po długich przeszkodach stanął wreszcie u kresu swych życzeń, osiągnął wszystko, czego pragnął dla zapewnienia sobie właściwego pola do działania. Stanowisko, odpowiadające w zupełności jego zdolnościom i gorącej miłości nauki, otwierało przed nim nową przyszłość. To też nie dziw, że z całą energią garnał się do tej nowej działalności profesorskiej. A była ona wielce doniosłą i zbawienną dla rozwoju uniwersytetu. Przedewszystkiem, śmiało powiedzieć można, że od Kremera zaczyna się nowy zupełnie okres wykładów filozofii na uniwersytecie Jagiellońskim, wykładów systematycznych, umiejętnych, obejmujących całość nauk filozoficznych. Podczas gdy poprzednicy Kremera na katedrze filozofii w Krakowie traktowali zazwyczaj swe wykłady po dyletancku, jako rzecz uboczną obok innych zajęć, Kremer oddawał się swemu zawodowi profesorskiemu ze szczerem zamiłowaniem i sumiennością. Całkowite opracowanie kursów historii filozofii, logiki, psychologii, etyki, estetyki i historii sztuki w językach polskim i niemieckim (w tym ostatnim wykładano nauki w Krakowie od roku 1856 do 1861), jest tego najlepszym dowodem. Jeżeli dalej zauważymy, że Kremer bardzo chętnie ze swymi słuchaczami przestawał, że z prawdziwą życzliwością zachęcał ich do pracy, podnosił ich zaufanie we własne siły, przychodził im z pomocą radą i czynem, że jako kolega był łatwym w obejściu, uprzejmym, serdecznym, pełnym ujmującej szczerości, a wolnym od wszelkich drobnych namiętnostek, zakłócających tak często pożytek osób najbliższej sobie stojących, natenczas zrozumieemy, że w zawodzie swoim zjednywał sobie coraz większe przywiązanie młodzieży, coraz szerszą przyjaźń kolegów, coraz powszechniejszą cześć ogółu. Dzięki tym przymiotom kilkakrotnie też pełnił z wyboru obowiązki dziekana fakultetu filozoficznego, oraz rektora uniwersytetu. W Towarzystwie naukowem zaś wybrano Kremera na

przewodniczącego w oddziale nauk moralnych, a po zamianie Towarzystwa na Akademię umiejętności w r. 1871, był do końca życia przewodniczącym w komisji dla filozofii.

Stanowisko profesorskie dało Kremerowi możliwość rozwinięcia swej działalności piśmiennej na szeroką skalę. W roku 1852-m wydaje drugi tom swego *Wykładu systematycznego filozofii*, obejmujący *Filozofię natury i ducha ludzkiego*. Odbyszy, po wydaniu tej pracy w tymże roku nową dłuższą podróż do Włoch, ogłasza w trzy lata później trzy tomy *Listów z Krakowa*, z których pierwszy jest drugim wydaniem *Wstępnych zasad estetyki*, a dwa dalsze przedstawiają *Dzieje artystycznej fantazyi*. Następnie od roku 1859-go w przeciągu pięciu lat wydaje najobszerniejsze swe dzieło, sześciotomową *Podróż do Włoch*, zawierającą wykład historii sztuki na podstawie pogładowego rozbioru jej bogatych zabytków na ziemi włoskiej. Dopełnieniem tego dzieła jest obszerna praca, wydana w kilka lat później (1868 r.), *Grecja starożytna i jej sztuka, zwłaszcza rzeźba*. Jeżeli do tych dzieł podstawowych dodamy szereg większych i mniejszych prac z zakresu bądź filozofii w ogóle, w której nasz myśliciel od bezwzględego idealizmu z czasem zbliżał się do idealnego realizmu, bądź z zakresu psychologii, logiki, estetyki i historii sztuki: natenczas uprzytomnimy sobie całkowity dorobek jego czterdziestoletniej działalności piśmiennej. Dorobek ten zebrany został i wydany z dodaniem życiorysu, rozbioru prac Kremera, oraz notatek uzupełniających pod redakcją niżej podpisanego, jako *Dzieła Józefa Kremera* w dwunastu tomach (Warszawa, 1877—1881). Z tego życiorysu i rozbioru prac Kremera korzystamy też obecnie.

W dziejach filozofii, zarówno swojskich, jak powszechnych, Kremer zajmuje stanowisko górujące. Należał on wprawdzie do szkoły Hegła, ale wcześniej odczuł rażące braki tej szkoły i dążył energicznie do ich przewyciężenia tak ze względu na metodę badań filozoficznych, jak i co do ogólnego na świat poglądu. Nie podzielał on przedewszystkiem bezwzględnej dyalektyki Hegła, lecz domagał się dopełnienia filozofii wynikami badań nauk szczegółowych. Nadto sprzeciwiał się zasadzie bezwzględnej tożsamości myśli i bytu, w imię której Hegel nie rozróżniał należycie rozwoju

myśli ludzkiej od rozwoju myśli wszechświatowej, lecz przeciwnie pochód rozwojowy rozumu ludzkiego brał bezpośrednio za podstawę do określenia rozwoju ducha bezwzględnego. Kremer natomiast broni zdania, że rozwój dyalektyczny myśli ludzkiej, a więc i dziejów ludzkości, nie jest sam przez się rozwojem rozumu bezwzględnego, lecz tylko odzwierciedleniem jego treści przedmiotowej w granicach podmiotowego bytu człowieka. Zamiast tożsamości myśli i bytu, Kremer uznaje tylko paralelizm między temi składowymi czynnikami wszechświata.

Wskutek takiego odstępstwa metodologicznego i cały pogląd Kremera na świat przybierał odmienny charakter. Jego teoria poznania utorowała mu przejście od Hegłowskiego panteizmu do teizmu. Idea bezwzględna, jako absolut abstrakcyjny, nie jest dla niego ostatnią i najwyższą kategorią logiki, lecz tylko formą podmiotową ducha ludzkiego, domagającą się dopełnienia przez ideę Osoby bezwzględnej, jako przedmiotowego zjednoczenia czynników myśli, działających we wszechbycie. Dopiero Osoba bezwzględna, jako realna istota, jako Bóg, czyni zadość, według Kremera, najwyższym wymogom myśli ludzkiej, zaokrągla i zamyka jej pochód podmiotowy, doprowadza go do kresu, wszechstronnie zadowalającego.

Wiadomo z historii filozofii, że cały szereg myślicieli ze szkoły Hegła, stanowiący tak zwaną prawicę tej szkoły, usiłował również nadać heglizmowi charakter teistyczny. Czyniono to wszelako zazwyczaj w sposób niezręczny, dogmatyczny, naruszający wewnętrzną zgodność i konsekwencję zasad filozofii. Okazuje się to jasno na głównych przedstawicielach owej prawicy Hegła, do których należeli: Daub, Morheinecke, Gabler, Filip Fischer, Schaller i inni. Tymczasem nasz myśliciel oparł swój teizm na ściśle określonych zasadach metodologicznych. To też bez przesady powiedzieć można, że gdyby *Wykład systematyczny filozofii* Kremera wyszedł był w języku niemieckim, natenczas byłby się stał niewątpliwie punktem zbornym dla całej prawicy Hegła, podstawą daleko odpowiedniejszą do pogodzenia heglizmu z pozytywnymi prawdami religii, niż wszystkie prace tego rodzaju wzmiankowanych heglistów. Kremer świadomy był tej doniosłości swych zasad, ale pisząc z przywiązania rodzinnego po polsku, zrzekł

się z góry zajęcia wydatnego stanowiska w dziejach powszechnych filozofii. Tem szersze uznanie należy mu się od rodaków.

W dziejach naszej umysłowości *Rys filozoficzny umiejętności* Kremera z r. 1835 stoi na czele nowej i zarazem najświetniejszej, jak dotąd, epoki filozofii polskiej. Kremer sam bardzo słusznie pracę tę w jednym ze swych listów nazwał „dzwonkiem porannym, wzywającym do badań filozoficznych.” Stanowi ona niejako ogólne tło, na którym się rozwijają późniejsze poglądy samego Kremera, oraz Trentowskiego, Libelta i Cieszkowskiego. W treści i formie tej pracy czynne są związki wszystkich tych myśli, które później miały stanowić znamię charakterystyczne naszej filozofii. Ciepło serdeczne i poetyczny nastrój ducha, w związku z głębokiem poczuciem religijnem, już tutaj wyraźnie na jaw występują, łącząc systematycznie wszystkie zdolności umysłu w jedną nierozdzieloną całość. Rysy te Kremer rozwijał też we wszystkich swych późniejszych pracach i wytworzył przez to u nas poraz pierwszy całkowity systemat filozofii, oparty wprawdzie na przesłankach Hegłowskiego idealizmu, ale zmierzający coraz bardziej do syntetycznych wyników, w przeciwstawieniu do jednostronnego kierunku abstrakcyjnej dyalektyki. Mając na uwadze te dążności, obejmujące szersze potrzeby ducha ludzkiego, nie tylko myśli, lecz i uczucia, nie tylko nauki, lecz i sztuki i religii, Kremera z chlubą postawić możemy obok takich nowszych myślicieli, jak młodszy Fichte, Ulrici, Lotze i inni, do których się też w ostatnich swych pracach zupełnie przyłączył.

Jeszcze większą doniosłość posiada Kremer dla rozwoju naszego życia umysłowego, jako estetyk i historyk sztuki. Dosięgnął on w tym zakresie wyżyn, niedościgłych ani przed nim, ani po nim dla żadnego z naszych pisarzy. Aż do chwili obecnej nie posiadamy równego jemu przewodnika wśród labiryntu pojęć estetycznych i zawiłanych dziejów sztuki pięknej.

Do czasów Kremera estetyka i historia sztuki leżały u nas prawie zupełnie odłogiem. Pierwszorzędni nasi krytycy, jak Brodziński, Mochnacki, Michał Grabowski i inni, kierowali się wprawdzie w swych sądach pewnymi zasadami estetycznymi, dotknęli nawet przy danej sposobności różnych zagadnień specjalnych z zakresu estetyki, szczególnie z powodu sporu pomiędzy romantykami

i klasykami; ale żaden z nich nie powziął myśli usystematyzowania swych zasad estetycznych i wyłożenia ich w związku wewnętrznym, w jednej zaokrąglonej całości. Po Kremerze Libelt, Trentowski i inni rozwijali wprawdzie u nas estetykę, ale wyznać należy, że pod względem rozległości poglądów i pełności ich przedstawienia, nie dorównali Kremerowi.

Co się tyczy historii sztuki, to do czasów Kremera, jako jedynem dziełem można się u nas było poszczycić skróconem opracowaniem Winkelmanna *Historii sztuki starożytnej*, sporządzonem przez hr. Stanisława Potockiego, a wydanem w r. 1815 p. t. *O sztuce u dawnych czyli Winkelmann polski*. Dość jednak przypomnieć, że pierwowzór tego opracowania wyszedł na świat jeszcze w roku 1764, że Potocki w niczem nie rozszerzył ram bardzo jeszcze ścieśnionego historyzoficznego poglądu Winkelmanna, że nawet faktyczne uzupełnienia, wymagane wskutek upływu przeszło pół wieku od chwili wydania oryginału, sprowadzone są do minimum,—aby się przekonać, że i to jedyne dzieło z zakresu historii sztuki nie odpowiadało swemu przeznaczeniu za czasów Kremera. Nadto, jako przyswojone z obcej literatury, nie świadczyło o samodzielnych badaniach, podjętych przez swojskie siły, nad dziejami sztuki. W nowszych czasach, po Kremerze, znalazło się wprawdzie i u nas większe grono gruntownych i zasłużonych badaczy na polu historii sztuki, szczególnie swojskiej; wszelako żaden z nich nie przedstawił dotąd ogólnego poglądu na dzieje artystycznej fantazyi.

Wobec takiego stanu rzeczy Kremer zasługuje ze wszechmiar na miano ojca polskiej estetyki i historii sztuki i zajmuje u nas dotąd pierwszorzędne stanowisko na tem polu.

Nie tylko u nas, ale i w ogólnym rozwoju estetyki i historii sztuki, Kremer przedstawia postęp znakomity. Zamiast Hegłowskiej metafizyki, główną podstawą poglądów naszego myśliciela na sztukę i jej dzieje jest psychologia oraz ogólna historia kultury. On należał do pierwszych, którzy zrozumieli dobrze potrzebę ugruntowania estetyki nie na zgóry powziętych pojęciach, lecz na naturze i dążnościach ducha ludzkiego. W sztuce widział, według własnych słów, „ostateczny wypadek i sumę życia naszego, tak duchowego, jak materialnego, kwiat wszystkich pierwiastków, ży-



József Kremen

Pallag litográfii Fajansa.

jących i pracujących od wieków w duchu człowieka.” To też dzieje sztuki przedstawiają mu się jako dzieje artystycznej fantazyi, powiązane jak najściślej z całym rozwojem kultury umysłowej narodów. Dzięki zaś takiemu szerokiemu pogładowi na sztukę i jej dzieje, «Listy z Krakowa» Kremera wyprzedziły na lat osiem znakomite dzieło niemieckie Maurycego Carrier’a: *O ideałach ludzkości*, wydane w r. 1863. A to policzyć należy naszemu estetykowi za zasługę pierwszorzędną.

Zarówno «Listy z Krakowa,» jak i «Podróż do Włoch» wywarły wpływ potężny na rozwój naszego poczucia piękna, a temsamem i na rozwój samej sztuki u nas. Dzieła te po raz pierwszy zbliżyły publiczność naszą do sztuki i spraw artystycznych, a samych artystów natchnęły głębokiem pojęciem piękna i szczerem zamiłowaniem do niego. Nastrój poetyczny i ciepło serdeczne, ogrzewające każdy przedmiot, traktowany przez Kremera, udzielały się bezpośrednio licznym jego czytelnikom. Styl zaś przepiękny, o którym Libelt powiedział, że „żeń czuć powiew złotej literatury Zygmuntońskiej, na której autor pióro swoje urobił,” uprzyściplenił wykład najzawilszych zagadnień estetycznych. W ten sposób dzieła te rozbudzały zmysł estetyczny w najszerszych warstwach społeczeństwa, otworzyły oczy miłośnikom dla prawdziwej piękności, nauczyły ich patrzeć na utwory sztuki nie wedle przypadkowych zachcianek mody, lecz ze stanowiska dziejowego rozwoju i jasno określonych kryteriów piękna. Znamstwo sztuki przestało być udziałem pewnej tylko kasty lub nawet kilku tylko wybranych jednostek, a stało się przystępnem dla każdego wykształconego członka społeczeństwa. Co zaś do adeptów sztuki, to z dzieł Kremera nabierali oni przekonania, że samo natchnienie, choćby najgenialniejsze, bez nauki i pracy nie może stworzyć mistrzów prawdziwych. Młodzież, garnąca się do sztuki, znalazła w Kremerze nie tylko miłego towarzysza do wycieczek w świat ideałów, lecz i sumiennego przewodnika

dla zapoznania się z najznakomitszymi utworami architektury, rzeźby i malarstwa. A to wszystko przeciwdziałało skutecznie owej cyganeryi artystycznej, która poprzednio u nas panowała i nie dała wejść sztuce swojskiej na właściwe tory. Gorące bowiem przyjęcie dzieł estetycznych Kremera przez całą czytającą społeczność, a szczególnie przez miłośników sztuki, artystów i krytyków, stało się jednym z nader ważnych czynników, które spowodowały świetny rozwój sztuki polskiej w drugiej połowie kończącego się obecnie wieku. W każdym razie przyszły historyk naszej sztuki, chcąc należycie wyjaśnić warunki jej rozkwitu, nie będzie mógł pominąć milczeniem ożywczego wpływu Kremera na ten rozkwit.

Na schyłku dziewiętnastego wieku poezya i sztuka nie tylko u obcych, ale i u nas, stoją znowu na rozdrożu, szukają nowych natchnień, nowych dróg. Nie wątpimy, że je znajdą, bo czas prze naprzód, a żywy jego potok nawet przez skały się przedziera. Ale w tym wartkim pędzie za nowością nie zapominajmy o bogatej spuściznie przeszłości; korzystajmy z niej, szukajmy w niej światła, ciepła i energii na dalszej drodze życia ku nowym wzniosłym celom. A taką bogatą spuściznę pozostawił nam po sobie Kremer w swych dziełach. Jest to spuścizna sumiennej pracy myśli i głębokiego uczucia; spuścizna jednego z przodków naszej umysłowości, przejętego nawskroś miłością prawdy, piękna i dobra, miłością przede wszystkim dla swojskiej twórczości, urzeczywistniającej te najwyższe ideały ducha!

Słusznie powiedział o Kremerze Lucyan Siemieński:

Oczy na gwiazdy, ręka na sterze,
I tak przez czasu obszary.
Tyś myślał szczerze i działał szczerze,
Pełen uczucia i wiary!

Henryk Struve.



Ks. Zygmunt Golian.

* 1824 † 1885.



Był to mąż niezwyklej miary i dla tego mówiąc o nim, należy rozważać go jako człowieka, kapłana, kaznodzieję, wreszcie jako profesora i literata.

Urodził się w Krakowie 2 maja 1824 roku, z rodziców niezamożnych, ale zacnych i religijnych. Ojciec jego Paweł Nałęcz Golian był z zawodu chirurgiem, a matka Kunegunda z Próchnickich była osobą wielkiego serca i wogóle wyższego nastroju duchowego. Do jedenastego roku życia chował się młody Zygmunt w domu rodzicielskim z dwoma starszymi braćmi, z których jeden służył wojskowo w armii austriackiej, drugi zaś był inżynierem, ale przerzucił się na rozmaite pola zajęć, skąd zapewne poszły mylne pogłoski, jakoby Golian

był za młodu żołnierzem, urzędnikiem i aktorem. Miłość dla rodzeństwa zachował zawsze żywą,

chętnie i często do każdego z nich pisywał, troskliwie dowiadując się o najmniejsze szczegóły ich powodzenia, wspierał radą i kieszenią wedle ich potrzeb i swojej możliwości. Słowem był dla nich kochającym i wylanym bratem. Wyjątkowa jednak miłość łączyła go z matką, w której widział ideał dobroci i uosobionej cnoty. Wszystkie listy jego nacechowane są tem uczuciem głębokiej miłości synowskiej, pragnieniem uchylenia smutku z jej czoła i sprawienia przyjemości we wszystkim. Tak było za młodu, tak i później, kiedy był księdzem, aż do jej śmierci, po której niepokieszony zostawał przez czas długi i tak się czę-



X. Z. Golian

sto wyrażał: „Zamarł mi świat cały ze śmiercią matki.”

Czy z braku rozwoju umysłowego, czy też z braku chęci, z początku niedostateczne a nawet bardzo słabe, czynił postępy w nauce. Zniechęcony tem ojciec postanowił oddać go do rzemiosła bez wiedzy matki, która bawiła wówczas u brata na prowincyi. Młody więc Zygmuntek terminował u złotnika Westfalewicza, zawołanego pijaka i awanturnika, skutkiem czego chwile tam spędzone przedstawiały się później księdzu Zygmuntowi „jako obraz istnego piekła.”

Wszakże cięższem nad to było rozwianie pierwszych marzeń i pragnień. Od młodych bowiem lat żywił on w sobie żądzę zostania kapłanem. Ale nie zaraz miało to nastąpić. Nadjechała wprawdzie matka z wujem do Krakowa i zobaczywszy swego faworyta w tak oplakany stan, odebrała go z terminu, a wuj, otrzymawszy solenne przyrzeczenie pilności, zobowiązał się wziąć na siebie koszt dalszego jego wykształcenia; ale z narady wypadło, że oddano go na razie do szkoły technicznej, do której przez lat trzy uczęszczał, a w 1841-m r. przeszedł do gimnazjum, gdzie po złożeniu egzaminu przyjęty został do klasy trzeciej; cztery następne aż do filozofii ukończył chlubnie w 1845-m roku. Z ławki szkolnej wprost udał się do seminarium na studia teologiczne i jako alumn znajduje się od 1846-go r. w spisie duchowieństwa dyecezyi kielecko-krakowskiej; — czasu więc na jego rzekome karyery: wojskową, cywilną i aktorską, absolutnie niema. Jeszcze, jako kleryk, zaczął on w czasie wakacyj występować na ambonie po wiejskich parafiach. Pierwszem atoli większem wystąpieniem «przed wyższą nieco publiką» były dwa kazania w Murawicy i mowa żałobna na pogrzebie obywatela Jadowskiego, którą koniecznie chciano drukować, ale młody mówca nie pozwolił na to.

Święcenie wyższe odebrał w grudniu 1849 r. z rąk ks. biskupa Łętowskiego, który proroczo odezwał się o młodym lewicie: «Ten księżyk będzie kiedyś ozdobą duchowieństwa polskiego.» Pierwszą posadą jego w Krakowie był wikaryat u św. Floryana na Kleparzu. Ledwo się pokazał na ambonie, odrazu wypłynął wśród duchowieństwa, jako niezwykły talent krasomówczy. Uderzał świeżością pomysłów, przybranych w styl barwny i poetyczny, młodzieńczym zapale i duchem

prawdziwej pobożności, którym był całe życie wskroś przejęty. Wkrótce jednak udał się z przyjaciół swym ks. Popielem, dzisiejszym arcybiskupem warszawskim do Lowanium, gdzie oddał się całej pracy naukowej.

Z wielkim zasobem wiedzy wrócił stamtąd do Krakowa i tu został wikaryuszem przy parafii Wszystkich Świętych, a przytem kaznodzieją katedralnym. Ale niedługo tym razem, bo zaledwo kilka miesięcy zachwycił Kraków swoją wymową, gdyż w jesieni 1852 r. wyruszył do Rzymu kosztem hr. Anastazyi Sołtykowej, która udzieliła mu już przedtem funduszu na kształcenie się w Lowanium. Po złożeniu trzech egzaminów z teologii *cum summo aplausu* z wieńcem doktorskim i tytułem *Apostolici Missionarii*, powrócił do kraju, aby zdobytych skarbów wiedzy «użyć na nabycie królestwa Chrystusowego i sobie, i bliźnim.»

Pole do działania otwarło mu się szerokie, jako spowiednikowi i kaznodziei na zamku. Najpierw, jak to było wogóle w zwyczaju w Galicyi, czytywał swe kazania, atoli później pierwszy z księży krakowskich dał przykład wygłaszania kazań z pamięci. Coraz szerzej rozchodziła się sława młodego kaznodziei i coraz liczniejsze jednała mu koło zwolenników i wielbicieli. Wszystkie domy arystokratyczne zapraszały go na swe salony, uważając sobie za zaszczyt, jeśli się gdzie pojawił, ale ks. Golian bywał tam tylko, gdzie musiał, albo gdzie go zniewalały obowiązki wdzięczności.

Ale to życie w wielkim świecie nużyło go i dla tego wśród największego powodzenia postanowił usunąć się od świata i wstąpić do zakonu, jakoż 7-go marca 1858 r. przywdział habit dominikański w Krakowie, ale już po roku, przekonawszy się, że życie zakonne nie odpowiada jego powołaniu i usposobieniu, przywdział na siebie napowrót «czarną sukienkę» i powrócił na dawną posadę spowiednika i kaznodziei na Wawelu. Tu z ambony wygłaszał szereg mów, mających za zadanie obronę Papiestwa w chwili dążenia do zjednoczenia Włoch; przytem w r. 1860 i 1861-m wydał w tymże celu cały szereg broszur, gruntośnie opracowanych, a mianowicie: *Słowo o prawdziwym zjednoczeniu*, *Nieprzyjaciele sprawy papieskiej w Polsce*, *Baczność katolicy*, *Rozbiór broszury: Papię i Polska*, *Kilka słów o doczesnej władzy Papię* i t. d.

W sierpniu 1862-go r. otrzymał od Felińskiego, arcybiskupa warszawskiego, wezwanie i zaproszenie na profesora Akademii duchownej w Warszawie. Wszystkich znakomitszych wówczas księży w Polsce starano się pozyskać dla tej akademii i w istocie zgromadzono zastęp profesorów dzielnych pod rektorem ks. Wincentego Popiela.

W połowie października t. r. ks. Golian opuścił Kraków i objął w pierwszym roku wykład dogmatyki ogólnej, do której w rok potem dołączył dogmatykę specjalną, i obie te katedry piastował aż do zwinięcia akademii w r. 1867-m. Jakim zaś był profesorem i jakie stanowisko względem kleryków zajmował, niech nam opowie jeden z jego uczniów.

«Jako profesor ks. Zygmunt, jak dziś mogę wykład jego ocenić, był dla nas wogóle za podniosły, gdyż z wykładu jego, lubo bardzo wiele korzystało kilka zdolniejszych jednostek, reszta nie osiągnęła odpowiednich owoców. Był to bowiem wykład w całym znaczeniu tego słowa akademicki do którego kandydaci, przybywający zazwyczaj z nieskończonych kursów seminaryjskich, nie byli odpowiednio przygotowani, ale profesor umiał w nas rozbudzać zamięłowanie swego przedmiotu i wysoko postawić ideał wiedzy, do którego garnęliśmy się z całym zapalem młodych umysłów.» Podnosił też niezmiernie wysoko tak w swoich prelekcjach, jak i w prywatnych z alumnami rozmowach dostojęństwo i władzę biskupów, a znużonych choć uważnych zresztą (przynajmniej w pewnej liczbie) słuchaczy swoich ożywiał jakąś naukową anegdotą, zastosowaną do traktowanego przedmiotu. Nieraz też czynił pewne wycieczki w stronę wykładów filozoficznych ówczesnej szkoły Głównej, zawsze z gruntowną znajomością przedmiotu i wrodzonym sobie dowcipem i werwą.

«A cóż dopiero mam powiedzieć o ks. Zygmuncie w stosunkach jego z uczniami po za obrębem auli akademickiej, kiedy był dla nas jakby tylko serdecznym i przyjacielskim kolegą. Jak miłe chwile przepędaliśmy w jego maleńkiej ciupce przy Żytniej ulicy, gdzie jak nas czterech do sześciu weszło, to się ruszyć nie można było, a, że był tylko jeden stółek, więc siadało się na „Summie” świętego Tomasza, albo na ogromnych foliałach.»

Co zaś do kaznodziejstwa, stało się wprost przeciwnie, jak sobie wystawiał. Bawiąc w Osten-

dzie, pisał: «może się nawet na ambonie nie pokazać.» Tymczasem bieg wypadków, ruch gorączkowy umysłów, jaki panował wówczas w Warszawie, nie pozwalały mu zasklepić się w książkach i wertowaniu ulubionych foliałów, zwłaszcza, że wyższa władza duchowna wzywała go, aby wpływał na uspokojenie ludności. Rozpoczął tedy cały szereg kazań przeciwko ówczesnym prądom, nurtującym społeczeństwo polskie.

Była to jedna z najpiękniejszych epok jego kaznodziejstwa. Mówił nietylko gorąco, ale z natężeniem, niekiedy nawet tak namiętnie, że raczej oburzał, a nie poruszał. Ale «czasy były gorące, więc gorący człowiek nie mógł się zimno odzywać.» Spieszono tłumnie na jego kazania, które niekiedy miały swój skutek, bo mówił cudownie, porywająco, ale gniewano się, bo powstawał przeciw prądowi, któremu powszechnie ulegano. Najświetniejszym atoli jego wystąpieniem, cechującym odwagę tego wielkiego serca i nie oglądanie się na skutki działania, które wskazała wola Boża przez władzę duchowną, było zagajenie sesyj *quasi* synodalnych, które się odbyły z rozkazu ks. arcybiskupa w kościele na Woli.

Kiedy minął oplakany rok 1863, już nie drażnić, ale koić rany i łzy ocierać potrzeba było. I ks. Zygmunt zmienił swój ostry i gwałtowny sposób; dał mu wtedy Bóg, jak pisze w liście do K. D., «dziwny lep słodczy» i młodzież, która go przedtem znieść nie mogła, «od owych chwil oddała się skinieniom mego serca i poczęła mię kochać miłością, jakiej przedtem nigdy, od nikogo nie doznałem.»

W r. 1867 zwinięto Akademię duchowną, ks. Zygmunt atoli pozostał jeszcze w Warszawie, aż wreszcie z końcem r. 1869-go wyjechał do Krakowa, gdzie nanowo wziął się do orki Bożej na ambonie i w konfesyonale. Ówczesny administrator dyecezyi ks. biskup Gałęcki, ceniąc jego przymioty i zasługi, zlecił mu zarząd parafii świętego Floryana. Były to czasy Soboru, czasy sporów o nieomylność papieską. Prawowierny zawsze Kraków chylił się ku Dolingerianizmowi, na wszechnicy krakowskiej zbierano podpisy na adres dla odstępcy. Szerokie pole otwarło się dla ks. Zygmunta, co duszą i sercem był przywiązany do Stolicy apostolskiej. Z całym arsenałem bogatej wiedzy i ognistej jak lawa wymowy wystąpił w obronie głowy Kościoła.

Zasługi ks. Goliana na stanowisku administratora u św. Floryana pięknie ocenił hr. L. Dębicki w «Czasie»: „Choć sam ubogi i nie rozporządzał dochodami parafii, zabrał się do oczyszczania wnętrza kościoła... ale najbardziej zespolił się z ludnością Kleparza... Przedmieście to było siedzibą domów zepsucia i szynkowni. Ks. Golian rozpojonych robotników i proletaryat kleparski umoralnił kilkoletniem duszpasterstwem. Jak zawsze lud chwycił skwapliwie jego nauki, choć tak górne. Ks. Golian obniżył skalę swych kazań, a ich moc na tem nie straciła. Nie zapomnimy nigdy szeregu nauk przez cały maj z rana i po obiedzie z wykładem historii kościoła u św. Floryana. Było to arcydzieło jasności, która nie zawsze cechowała jego wymowę.»

Przez następnych siedem lat, t.j. od 1873 — 1880 roku, pracował przy kościele N. P. Maryi, zrazu jako koadjutor, później jako administrator. Obok tego był dyrektorem duchownym i spowiednikiem w zakładzie penitentek, spowiednikiem u p.p. prezentek, karmelitanek na Wesolej i felicyanek, miewał wykłady apologetyczne o «Objawieniu i religii chrześcijańskiej» w internacie nauczycielskim; lat kilka był katechetą w pensjonacie p. p. urszulanek. Na dwa zawody w tymże czasie, był zastępcą profesora w uniwersytecie Jagiellońskim: raz w r. 1870 wykładał przez rok jeden Nowy Testament, a w r. 1880 rozpoczął tłumaczyć filozofię św. Tomasza. Do prośby o udzielenie mu docentury na uniwersytecie Jagiellońskim ministerium się nie przychyliło, ustąpił więc po dwóch latach z bezpłatnej posady, którą przyjął na samo wezwanie ks. biskupa a sprawował z zamiłowaniem, talentem i korzyścią. Jeszcze ks. biskup Gałęcki, patrząc na jego prace i chcąc mu dać dowód swego uznania, kazał mu się podać na posadę proboszcza u Panny Maryi. Posłuchał ks. Golian, ale podanie zwrócił rząd z dodatkiem: *in-grata persona*. Po obsadzeniu probostwa N. Maryi Panny (1880 r. w grudniu) przez pół roku pozostawał na skromnem stanowisku kapelana penitentek, każąc jak zawsze po kościołach krakowskich, aż wreszcie za staraniem ks. biskupa Dunajewskiego dostała mu się pod koniec życia pierwsza i jedyna w jego życiu, stała posada proboszcza wielickiego. W książce pod tytułem *Korespondencye* ks. Goliana znajdujemy bardzo wiele szczegółów z jego pobytu w Wieliczce, własną jego ręką

skreślonych a dotyczących jego osobistego wrażenia, warunków miejscowych, stanu kościoła i parafii i stosunku z księżmi wikaryuszami. Pasterstwo w Wieliczce atoli nie było dla niego miejscem odpoczynku, *otium bene meritum*, ale nowym posterunkiem pracy wyteżonej.

Półczwarta roku jego pasterzowania zapisały się głęboko w pamięci wieliczczan, którzy cnoty jego ceniąc, ofiarowali mu w rok po przybyciu obywatelstwo honorowe, a po śmierci jednogłośnie uchwałą przyjęli do spłaty dług jego kilkotysięczny, zaciągnięty na kościół, który on odnowił i przerobił z gustem.

Padł wreszcie ks. Zygmunt, jak żołnierz na wyłomie, wśród pracy apostolskiej po trzech z górą latach wzorowego pasterzowania w Wieliczce dnia 21 lutego 1885 r. Jednakże tego człowieka nasze społeczeństwo ocenić nie umiało: przez 25 lat, bo od 1860 r., był on przedmiotem napaści, szkalowań, szyderstw po dziennikach i czasopismach. Zapoznawano jego pracę, talent, poświęcenie i długoletnie zasługi, a nieliczne małości egzagelowano, ściągając nań tylko nienawiść. Trafnie odezwał się o nim p. St. Tarnowski w «Przeglądzie polskim.» „Ks. Golian w usposobieniu nerwowy, w swoim pragnieniu dobrego namiętny, unosił się czasem swoją żarliwością i nie zawsze zachował tę miarę, której brak Szujski nazywał jednym z charakterystycznych braków polskiej natury. Z tego wynikało, że słowo jego bądź istotnie zbyt żywe, bądź źle zrozumiane, szkodziło mu u takich, którzy przekonania i dążności jego podzielali, lub w najgorszym razie, nie byli mu przeciwni. Szkoda to było znaczną, ale winą w mniejszym daleko stopniu jego, niżeli tych, którzy małych usterek dla wielkich cnót i zasług wybaczyć nie umieli.” Wistocie był to człowiek wielkich cnót, głęboki asceta, dusza Bogu oddana i Boga szukająca we wszystkim.

Najpiękniejszym atoli rysem jego charakteru to miłosierdzie dla ubogich, miłosierdzie ewangeliczne, o jakim się tylko w żywotach świętych doczytać można. Wszystkiem się dzielił: pieniędzmi, ubraniem, pokarmem. W Warszawie, pobierając jako profesor Akademii duchownej 9000 złp. ówczesnych rocznej pensyi, tysiąc z nich tylko zostawiał dla siebie, a resztę oddawał na uczynki miłosierne.

Jedno nam jeszcze dorzucić wypada do rysu jego życia i działania, słówko o jego kaznodziejstwie. Gdyby go porównać z polskimi współczesnymi kaznodziejami — wszystkich przewyższa co do wiedzy, siły wymowy, a zwłaszcza co do płodności. Siła jego była przede wszystkim w gruntownej znajomości Pisma św., Ojców Kościoła, teologii i wszechstronnem wykształceniu i czytaniu. Porównywać ks. Goliana nie można do żadnego z naszych kaznodziei, on do żadnego niepodobny, żaden mu nedorówna. Naśladowało go niegdyś wielu, ale to zewnętrzne naśladownictwo było raczej niezręczne i śmieszne. Najwięcej podobieństwa zachodzi między nim, a św. Chryzostomem. Jeden i drugi mówca świetny, potężny, płodny, często za wysoki, zawsze podziwiany, ale nie zawsze dość pojęty, zrozumiany od słuchaczy.

W kaznodziejstwie ks. Goliana możnaby trzy różne epoki oznaczyć; pierwsza od wyświęcenia do 1860 roku, to okres jego młodości; dużo tu pięknych kwiatów nauki, teorii, pełno tu polotu poetycznego i uczuć rzewnych, ale mówca nie posiada jeszcze dosyć praktyki, choć obraca się w świecie, ale za różowo patrząc na wszystko, nie spostrzega ciemnych stron, nie zna poprostu świata i nie dość świadom potrzeb życia, zachwyca i upaja wdziękiem młodzińskiego zapału, ale nie wstrząsa, nie leczy ran społeczeństwa.

Drugi okres jego kaznodziejstwa rozpoczyna się od roku 1860. Aktualność cechą jego. Nie było sprawy głośniejszej w kościele, kraju lub mieście, którejby nie powołał przed trybunał wiary i Kościoła. Stał się niejako sumieniem narodu, sumieniem, karcącym każdy wybryk i występki, stróżem czujnym, przewidującym i ostrzegającym o każdym niebezpieczeństwie. Choć sam niepoparty przez nikogo, wyśmiewany, czerniony i potępiony, dotrwał jednak na stanowisku Jeremiaszowem. W kazaniach jego ówczesnych przebija się ta nieustanna odwaga i zapal, przechodzący nie-

raz granice, a przytem wielka znajomość świata, serca, ujemnych stron i słabostek ludzkich, ale w sądach może nieraz było za mało pobłażliwości i wyrozumienia; jest w nim gorliwość apostoła, ale niekiedy może za porywczą. Forma jego kazań w tym czasie o wiele stała się doskonalszą pod względem krasomówczym, dowodzenie rzeczy bardziej ściśle, porządek myśli wzorowy. Przytem głos jeszcze metaliczny, akcja żywa, styl jędrny i potoczny — wszystko to sprawiało, że go słuchano z zachwytem, uznawano w nim mówcę, choć zasad jego nie podzielano. Jabym nazwał ten okres najwyższym rozwojem jego talentu.

Daty rozpoczęcia trzeciego okresu oznaczyć niepodobna. Przypada on na ostatnie lata jego pobytu w Krakowie i trwa przez przeciąg pasterstwa w Wieliczce. Zmiana w tem się ujawniła, że znikła ta surowość i bezwzględność, z jaką dotąd piętnował każdy krok, przeciwny wierze lub moralności w naszym społeczeństwie. Mniej było u niego polityki na ambonie, więcej nauki Chrystusowej, mniej sarkazmu, więcej uczucia głębokiego, wiele rozumu, ale więcej daleko serca.

To też ten okres ostatni przedstawia się jako prawdziwa dojrzałość jego serca, jako szczyt wykształcenia mówcy chrześcijańskiego.

Dla ścisłości bibliograficznej dodajemy, że ks. Golian, oprócz prac wspomnianych w środku artykułu, redagował pismo «Tygodnik soborowy,» pismo, zawierające sprawozdania z posiedzeń soborowych. Pisywał do krakowskiego «Czasu» i do «Przeglądu katolickiego» wychodzącego w Warszawie. Napisał też studjum estetyczno-religijne pod tytułem *Sztuka wobec Ewangelii*. Przetłumaczył na język polski kilka pieśni z «Boskiej Komedyi» i kilka dzieł o. Ventury. Obok tego pozostawił wiele innych jeszcze mniejszego znaczenia prac, które wylicza Estreicher (Bibliogr., t. II i zesz. dodat., 1873).

Ks. Teofil Matuszewski.



Ludwik Kondratowicz.

(Władysław Syrokomla.)

* 1823 † 1862.

Ludwik Kondratowicz, urodził się 29 września 1823 roku we wsi Smolhowie na Polesiu w dawnym województwie Mińskim, a na chrzcie św. otrzymał drugie imię Władysław; połączywszy je z herbem rodzinnym Syrokomla, utworzył sobie pseudonim literacki, którym do końca życia się posługiwał. Rzadko kiedy warunki otoczenia wpłynęły tak wybitnie na rozwój talentu i charakter poety, jak w tym wypadku. Wyszedł on ze sfery tego drobiazgu szlacheckiego, którego pełno jeszcze dotychczas na Litwie. Szare, pracowite życie przy ciągłej trosce o chleb powszedni i jutro, zbliżało zaścianki, okolice i folwarczki szlacheckie do sfery pracy i życia ludu wiejskiego. Tradycje przeszłości, trochę więcej wykształcenia i ogłady, a najwięcej może niezależność ekonomiczna — oto były te cechy, które szaraczkową szlachtę Litwy od ludu wiejskiego dzieliły. Zresztą łączyło wszystko, nawet ubóstwo niekiedy, rola, praca, kościół. W takich warunkach urodził się Syrokomla. Ojciec jego Aleksander był komornikiem, jak dawniej mówiono, czyli geometrą w dobrach Radziwiłłowskich, a później drobnym dzierżawcą folwarczku Marchaczewszczyzny. Nie chował się zatem przyszły poeta na łakociach, lecz uganiając po łąkach i pastwiskach leśnych z rówiennikami z chłopskich sadyb, dzielił z nimi zabawy, życie i chleb razowy. W 10-m roku poszedł do szkoły do Nieświeża, a stamtąd do Nowogródka, gdzie 5-ą i ostatnią klasę ukończył. Z tym zasobem wiedzy — bardzo małym, wrócił do Marchaczewszczyzny, a następnie powędrował wraz z ojcem na drugą dzierżawę do Załucza. Ze szkół, pod względem wiedzy, wyniósł nie wiele. Alwar i dyscyplina «z sarnią nóżką, a w niej z pod kopyta czworo konopnych sznurków jak

kwiatków» — oto były najdzielniejsze środki naukowe. Na szczęście Alwarem kierowała wyrozumiałość, a dyscypliną — miłość. Charakter i ducha tej szkoły pięknie i wiernie odmalował Wł. Syrokomla w poematach: «Urodzony Jan Dęboróg» i «Szkolne czasy.» Nauka chromała tam często, ale księża potrafili między uczniem a szkołą zadzierżgnąć tak silny węzeł moralny, że żaden z młodzieńców nie chował do profesorów goryczy w duszy.

W Marchaczewszczyźnie i Załuczu, pracując przy ojcu, uzupełniał czytaniem braki szkolne. Trwało to wszakże tylko do r. 1842. Na małej dzierżawie ojcowskiej nie było dla niego przyszłości. Staropolskim przeto zwyczajem poszedł po chleb do Radziwiłłów, przyjmując obowiązek biurowy w zarządzie dóbr w Nieświeżu. Tu rozbudziła się w nim zdolność poetycka. Wesół w gronie kolegów, sypał ulotnemi wierszykami na prawo i na lewo. Wierszyki te zwróciły nań uwagę głównego zarządcę dóbr Radziwiłłowskich, Krzemieńczanina, Adolfa Dobrowolskiego. Pożalował młodzieńca, nudzącego się trochę przy pracy biurowej, i polecił mu zarejestrowanie akt zamku Kopylskiego. Praca ta dostarczyła mu później trochę materiału poetyckiego. Obcowanie z ludźmi rozumnymi i wykształconymi, jak Dobrowolski, Rychter i inni, i rozczytywanie się w literaturze poważnej, kształciło umysł młodzieńca. Poezya rozpościerała nad nim skrzydła swoje coraz szerzej. Pomimo przyjaźni i uznania kolegów, jakie go otaczały, «włókł dni powszednie biedny biuralista.» («Wspomnienia Nieświeża»): Uczuwał lot skrzydeł i krępujące więzy codziennego życia.

W tym czasie trafił się zwykły w drodze młodego człowieka wypadek, który stanowczo

zwrócił w inną stronę kierunek życia budzącego się poety: Syrokomla zakochał się w młodziutkiej kuzynce Adolfa Dobrowolskiego, pannie Paulinie Mitraszewskiej. Mówiono później, że kochał inną kobietę, a chcąc zapomnieć gorycz odebranej odmowy, «serce żadne kochania oddał pierwszej miłej dziewczeczce, którą spotkał, i poprzysiągł być jej towarzyszem do zgonu.» («Wł. Syrokomla» J. I. Kraszewskiego). Domysł to niesłuszny, o ile wnosić wolno z tego, co sam o sobie później pisał. On miał lat 21, ona mało co więcej nad 16, kiedy pobraли się w r. 1844. Oboje nie mieli środków do życia i musieli ich szukać w pracy. Jako dar przedślubny otrzymał Syrokomla egzemplarz «Historii literatury polskiej» Wiszniewskiego. Cieszył się z tego daru więcej niż z posagu — i słusznie, bo znalazł w nim skarb nieprzebrany dla żadnego wiedzy umysłu. Książka ta stała mu się impulsem do napisania później historii literatury. Na razie stosunki ułożyły się w ten sposób, że ojciec Syrokomli ustąpił synowi dzierżawę na Żaluczu, a sam przeniósł się do sąsiedniej wioski Tulonki. Rozpoczęło się nowe życie bardzo pracowite i płodne. Zamknięty w dwóch izdebkach wiejskiego dworku, dzielił czas między poezją i zatrudnieniami rolniczymi bez skarg, bez narzekań ze spokojem pełnym poetyckiej pogody. Trochę książek i zasób wrażeń i obrazów, zaczerpniętych z życia, starczyło mu za skarby. Cieszył się, że może się «zaczytać, zamarzyć, umrzeć dla materialnego świata.» W tej dobie swego życia pisał: «szczęście domowe, miłość ludzka za domem — to moje skarby, to uprzyjemnienia pobytu w pustym i głuchem Żaluczu, to moje natchnienia literackie, słowem: wszystko moje.» Nie byłby tak pisał, gdyby szczęścia nie czuł w sobie, gdyby nie kochał szczerze.

Z tego też ustronia powoli począł nawiązywać stosunki literackie; rozpoczęło się współpracownictwo jego w «Gwieździe» kijowskiej, w «Tygodniku petersburskim» i innych pismach, a za pracą szedł rozgłos. Zatrudnienia rolnicze, twarde warunki walki o chleb powszedni, nie zdołały wszakże złamać w nim żywiołowej siły poezji, tkwiącej w jego duszy, ani go zniechęcić do szukania pokarmu dla duszy i umysłu. Trochę szkolnej łaciny, wykutej z Alwara, dopomogło mu do zapoznania się z poezją łacińsko-polską XVI w.; tu też powziął plan przekładu poezji Janickiego, Sarbiewskiego, Szymonowicza i in. Z tego też zacisza

wyszły pierwsze próby, które dały poznać Syrokomlę jako poetę: W «Pamiętniku» Podbereskiego ukazał się *Błogosławiony Sadoch*, a w «Gwieździe» kijowskiej, redagowanej przez Zenona Fisza: *Pocztylion*, *Trzy gwiazdki*, *Chodyka* i in. (1844 — 1849). Na Żaluczu przypada najpłodniejszy okres twórczości poetyckiej Syrokomli i pracy literackiej. Z próbek przekładów poetów polsko-łacińskich powstało 6 tomików, wydanych u Józefa Zawadzkiego (1851 — 1852). Wydawnictwo to objęło *Poematy* Klemensa Janickiego, *Rymy łacińskie* Jana Kochanowskiego, *Ziemię Czerwonej Rusi* (Roxolania) S. Klonowicza i *Poezye* księdza Macieja Sarbiewskiego; dodatkowy tomik VI mieścił *Pienia liryczne* Smoguleckiego, koresp. Sarbiewskiego ze Stanisł. Łubieńskim, biskupem Płockim, i wreszcie przedruk *Roxolanii* z edycji Piotrowczyka 1584 r. Jakkolwiek znawcy utrzymywali, że zbyt mała znajomość łaciny Syrokomli nie pozwoliła mu zrobić dobrego przekładu, to jednak zasługa spopularyzowania tych poetów — niewątpliwa i wielka — należy się Wł. Syrokomli.

Studia nad epoką Złotego wieku otworzyły mu drogę do badań rozwoju umysłowości polskiej z tego okresu, z czego się wyłonił projekt napisania *Dziejów literatury polskiej*, projekt, przekraczający nietylko skalę wykształcenia Wł. Syrokomli, ale i jego zasoby biblioteczne. To też, pomimo trudów, braków i zmartwień, doprowadził je tylko do w. XVII. (Wilno 2 t., 1851 — 1852). Nie posiadała ona cechy suchej erudycji, lecz była raczej poetycką próbą odtworzenia minionego życia, o ile fale jego odbijały się w poezji i nauce; stąd też brakło jej gruntowności i ścisłości, lecz posiadała natomiast urok świeżości, płynącej z oryginalności własnego sądu. Zrażony do tej pracy, która go zbyt wiele trudu kosztowała, porzucił ją, a jął się przekładów — dla chleba. Stąd powstała *Historia rewolucji francuskiej* Ponjoulat'a (t. 2 Wilno, 1851), Coyer'a *Historia Jana Sobieskiego* (Wilno, 1852). Oprócz tego przełożył: *Historię wtargnięcia Polaków na Wołoszczyznę 1523 r.*, Jakóba Sobieskiego *Pamiętnik wojny Chocimskiej*, *Dzieje narodu polsk.* Maksym. Fredry, Kromera *Polskę* i innych.

Śmierć ukochanej córki wyrzuciła go nareszcie ze wsi na bruk Wileński. Zdawało mu się, że uciekając od nieulubionego rzemiosła rolnego, w mieście znajdzie spokój, łatwiejszy zarobek



Podług litografii Fajansa.

Wł. Syrakowski

lepsze środki pomocnicze, że wreszcie wpływem swoim pogodzi swarliwych literatów wileńskich. Przeniósł się tedy do Wilna. Wszakże nadzieje zawiodły go srodze. Spokoju nie znalazł — ale znalazł nowe pokusy, które go z równowagi małżeńskiej wytrąciły, rzucając na łup plotek, domysłów i obmów; większy zarobek pochłoneło życie, a naiwne jego poglądy na możliwość zażegnania swarów, ukołysania ambicyjek literackich, dowodziły tylko, z jak czystym sercem do miasta i do świata literackiego się zbliżył.

Opuścił je wszakże już w r. 1853 i osiadł we wziętej w dzierżawę Borejkwiszczyźnie pod Wilnem, przyznając się do winy słowami: «Nie umiem żyć w mieście.» Pożałował może Załucza, gdzie powstały, jeżeli nie najpiękniejsze, to niewątpliwie najświeższe i najlepsze jego utwory poetyckie. Tu zrodziły się jego gawędy, ujęte w osobny tytuł *Gawędy i rymy ulotne*, a także niedościgniony prostotą i szczerością *Urodzony Jan Debioróg*. Wł. Syrokomla wchodził w życie pełen idealnej, można powiedzieć, wiary w ludzi i dobro, tymczasem stykanie się z rzeczywistością nagą i smutną obrywało mu codziennie piórka złudzeń. Powiew poezji rozpływał się w mętnej atmosferze życia, skrzydła jej opadały wobec potrzeb codziennych i zamiast podnosić go ku wyżynom, wyczerpywały siły na chleb powszedni. «*Panem carco*» stało się godłem życia — i tem chyba tylko da się wytłómaczyć ta moc przekładów i robót, nie mających nic wspólnego z poezją. Z Borejkwiszczyny czynił niekiedy wycieczki po Litwie lub do Warszawy, Krakowa, Poznania, przyjmowany wszędzie z zapalem. Pod koniec życia stale zamieszkał w Wilnie, gdzie w niedostatku materyalnym umarł 15 września 1862 roku.

Rozejrzeliśmy się w kruciuchnym zarysie w życiu Wł. Syrokomli, teraz rzućmy okiem na jego poezję i jej charakter.

Wspomnieliśmy już poprzednio o pobycie poety w Wilnie. Pobyt ów wywołał zetknięcie jego ze sceną, a propozycje różne popchnęły go na pole dramatopisarstwa. Nie posiadał on do tego żadnych warunków w swoim charakterze i temperamentie. Natura kontemplacyjna, zamknięta w sobie, trochę marzycielska; brak mu było siły dramatycznej, a tkwiący w głębi duszy liryzm, nadawał jego utworom bądź rozwlekłość, bądź sentymentalne niekiedy zabarwienie. Nawet tkwiąca na

dnie tych dramatów szlachetna tendencja nie o wiele mogła je ożywić. Patos i moralizatorskie zapędy brały górę nad żywością akcji i energią dramatyczną. Do tej kategorii utworów należą *Możnowładcy* i *sierota* (1858), w którym autor przedstawił walkę Chodkiewiczów i Radziwiłłów o rękę i posag Olelkowiczówny; *Comes de Wątory* (1856), satyra dyalogowana na chudopacholskie państwo; w *Wiejskich politykach* (1860—1862) poeta zajmował się próbą rozwiązania kwestyi włościańskiej. *Wyrok Jana Kazimierza* (1859) byłby niezły w pomysł: — ojciec zabija syna za zdradę kraju, — gdyby nie miękkość i liryzm poety, który nie potrafił wywołać grozy w duszy widzów i słuchaczy.

Z większych poematów wspomnieć należy: *Starosta Kopanicki* (1857), gdzie autor przedstawił apoteozę wierności przysięgi, złożonej królowi, ale barwami i czynami tak blademi, że, w czytaniu przynajmniej, przechodzi bez wrażenia, *Stare wrota* — zwykłą gawędę, rozsnutą na tomik, *Nocleg Hetmański*, *Zgon Acerna* (1855), smutną i rzewną legendę o śmierci Klonowicza, w której dużo znaleźć można własnych bólów i goryczy poety; najciekawszą jednak i najgłębszą pod względem pomysłu jest gawęda p. t. *Filip z Konopi*. Treść do niej zaczerpnął ze znanej przypowieści, a myśl z doświadczeń wileńskich wysnutą, — «czasem nie godzi się pod karą szyderstwa być wyższym od współczesnych» — zobrazował w sposób wzruszająco dramatyczny.» Syrokomla — pisze Spasowicz o tej gawędzie — rozszerzył i zgłębił pierwiastkowy pomysł i z człowieka, który się wyrwał z konceptem ni w pięć, ni w dziewięć, zrobił męża żadnego rzeczy wielkich i dobrych, ale niemiłych współczesnym i dla *wieku* całego będących nie w porę.» Nie była to wszakże wielka satyra historyczna, lecz wielka tragedia ludzka, której treść stanowił rozdzźwięk, istniejący między piękną duszą człowieka, a pospolitem jego otoczeniem. W *Janku Cmentarniku* (1856) wziął ten sam temat, tę samą myśl, tylko rozsnął całą akcyę koło idei Napoleońskiej i bohaterowi, którego współcześni nie rozumieli, kazał w sposób rzewny, lecz pospolity zakończyć życie.

Wspomniałem już poprzednio, że wybitną cechą poezji Wł. Syrokomli był *liryzm*. W tym jednym rysie tkwiły niepospolite zalety jego talentu poetyckiego, ale też i jego wady. Miękkość i sielankowość cechowała wszystkie jego utwory,

nawet dramat. Jest to tak dalece prawdą, że ile razy przekroczył po za tę linię swego talentu, tyle razy z pod pióra jego wychodziły rzeczy blade. Im bardziej wysiłał się poeta na stworzenie utworów o szerszym zakresie, szczególnie historycznym, tem tworzył rzeczy słabsze. A do najslabszych może należy poemat *Margier* (1852 — 1854), do którego Syrokomla największą wagę przywiązywał. Osnuł go na tle walk Litwy z Krzyżakami i oblężenia zamku Pullen na Żmudzi, gdzie zginął bohater powieści wraz z 4000 litwinów. Treść, nadająca się do bohaterskiego traktowania, zmalala i rozplynęła się w sentymentalnym liryzmie Syrokomli. Rozpacz nie znalazła u poety pierwiastku dramatycznego. Wkońcu czuć tu także echa poezji A. Mickiewicza.

Liryczna cecha talentu poety jest tak przeważającą i powszechną, że nawet sarkazm i satyra, nie są wolne od niej. Do takich utworów należą: *Lalka*, gawęda dziecinna, wiersz *Na wyzwolenie włościan* i in. W *Lalce* zgromił surowo współczesne obyczaje w stosunku do chłopów, przedstawiając w dyalogu dziecka z lalką z jednej strony «panów,» a z drugiej «lud inszy, chłopami nazwany, którym Pan Bóg z niebiosów przykazał surowie, by pracowali na pany.»

Papa kocha swe konie, mama swego szpica,
A chłopów każdy łaje każdy kijem kropi.
Doprawdy, że aż szkoda... skąd taka różnica?

Niegrzeczni muszą być chłopie!

Ot i wczoraj, gdy papa zasnął po obiedzie,
Pytam się, czy to pięknie i co za potrzeba?
Weszli, zbrudzili pokój, krzyczą jak niedźwiedzie:
«Chleba, panoczku, chleba!»

Więc kazano ich obić — i słusznie obici.

W chwili, gdy wśród szlachty agitowała się sprawa uwolnienia włościan z poddaństwa, a tylko niewielka część pośród nich rozumiała doniosłość tego wielkiego zdarzenia dziejowego, Syrokomla w wierszu *Na wyzwolenie włościan* wybuchnął tak słusznym i tak głębokim gniewem przeciwko zaślepienym, że nie wahał się wykrzyknąć:

O, wstyd mi Wilna, nie chcę być litwinem!
I hańba mojej herbowej pieczęci!

W nagrobku obywatelowi wyraził także swoje oburzenie z powodu próżniaczego życia szlachty, żyjącej wygodnie kosztem cudzej pracy. O nie jednym możnaby było powiedzieć, niestety:

Bił chłopów pałką,
Poił gorzałką,

Popijał piwo,
Zbierał grosiwo,
Czasem od święta
Ciął się w karciecia

I z niestrawności
Doszedł wieczności.

Wł. Syrokomla przyznawał się do szlachectwa i jeżeli nie wykształceniem, to piękną duszą przerastał znacznie współczesnych braci — szlachtę, wady ich widział, a podnosząc piękne strony, nigdy nie poszedł za głosem pochlebstwa lub przesądów kastowych. Stąd też, chociaż był poetą-szlachcicem, kochał nie tylko przeszłość, ale i w teraźniejszości wszystko, co małe, smutne, pokrzywdzone, dobre a ciche, i w obronie tego gorąco stawał. Szlachcic demokrata, jakbyśmy dziś nazwali, opozycjonista postępowy, cieszył się jednak mirem i szacunkiem u tych, których gromił i wady wytykał, gdyż większość szlachecka — bo tylko o takiej w owe czasy, jako o wykształconej części narodu, może być mowa — czuła, że w słowach jego była miłość i prawda.

Wychowany w sferze ludowej i drobiazgu szlacheckiego, znał dobrze ten świat, jego myśli, uczucia, duszę i owe niziny społeczne, że tak powiem, malował z upodobaniem, prawdą i ciepłem. Kościół wiejski, księża, wiarusy Napoleońscy, organiści, drobni dzierżawcy, chłopie, życie tego świata, pogrzeby, chrzciny, — oto tematy Wł. Syrokomli. Możliwe je ująć w dwa wyrazy: *życie ludu*. Poezja romantyczna wzięła to życie ze strony cudownej, fantastycznej lub idealnej, Syrokomla tylko rzeczywistość malował. Budził współczucie dla niedoli wiejskiej, o sprawiedliwość i szacunek dla pracy chłopskiej i duszy wołał, a wyprzedzając współczesne prądy społeczne, stał się skowronkiem, zwiastującym nową wiosnę, nowe życie. Samodzielność myśli i uczuć poety pozwoliła mu wśród epoki naśladowców pozostać samym sobą. Gdy w poezji współczesnej błakał się mesyanizm i mistycyzm, u Syrokomli brak zupełnie pierwiastku nadzmysłowego. Był on głęboko religijny, ale bez fałszywego patosu.

Pewny swej prawdy, nie troszczył się wiele;
W sobotę jadł z postem, a święcił w niedzielę.

Wierzył tak, jak chłop wierzy dotychczas, rozumiejąc stosunek Pana Boga i świętych do ludzi — po ludzku. (Z powodu imienin Tyszkiewicza, o św. Eustachym).

Wysoko rozwinięty pierwiastek etyczny u Syrokomli, ile razy poeta zetknął się z ludem wiejskim w poezji lub w obronie jego stanął, nadawał mu piętno szlachetności. Stąd też gawędy jego były zupełnie odrębnym typem od W. Pola. W. Pol, nawskroś szlachcic, patrzący na chłopą trochę krzywo, w gawędach swoich lub typach przedstawiał najczęściej *wiernego sługę*, u Wł. Syrokomli natomiast występuje zawsze *brat i człowiek*; u tamtego przeważa siła, u tego — miłość.

Szarpiąc się codziennie z ciężkim życiem, Wł. Syrokomla, człowiek rozumny, prawy, zdolny, ale nie posiadający systematycznej wiedzy i wykształcenia w żadnym kierunku, przerabiał dary Boże na chleb powszedni, a ile razy szedł wbrew własnym popędom, za prądem literackim — tworzył rzeczy słabe; ale tworzył także niepożyte, ile razy szedł za głosem talentu, własnego uczucia lub obywatelskiego obowiązku. Nie darł się na wyżyny Parnasu poniżaniem innych, siedział przy ziemi, którą kochał, przy ludziach, których duszę rozumiał, a troskom i bolom współczuł; nikomu nie dworował, nie służył, nie pochlebiał. Pióro swoje zachował czystem, jak i sumienie, do końca życia. Tryskały z niego przez duszę poety nieraz ból, skarga, smutek, miłość ziemi i ludzi, żal, czasem spłynęła kropla goryczy — ale nigdy trucizna, żółć zawiść, złość. W biedzie i nędzy życia zachował gołębią duszę. W *Melodyach : domu obłąkanych* mógł śmiało napisać o sobie:

Po obłokach się kołysał,
Wiersze pisał,

Czytał w książkach w noc i we dzień
Jakieś brednie;
Dał każdemu wieść się w pole
Jak pachole,
A jeżeli rzec nawiasem,
Płakał czasem...

W chwilach rozmowy ze samym sobą od-
czuwał wartość tej odrobiny talentu, z którą na
świat przyszedł, na szczyty myśli nie wlewał je-
dnak, nazywał siebie *lirnikiem wioskowym*, lecz
«hardość śpiewacza» nie pozwalała mu przed nikim
pochylić «ni pieśni, ni głowy.» Do «liry» swojej
przemawiał serdecznie:

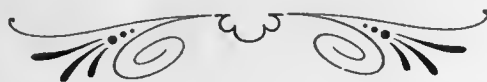
Ludzie łzami mię poją,
Tyś dla mnie ulgą bożą, a gdy w grób mię położą,
Ty będziesz chlubą moją.
Ej, rozgłośnie, rozgłośnie twoje echo urośnie,
Zolbrzymięją me słowa;
Pójdą z kraju do kraju, do samego Dunaju,
Do samego Kijowa.

I nie pomylił się. Roilo mu się wśród bólów
i walki o chleb, takiej samej, jaką prowadzili jego
sąsiedzi siermiężni, że kiedyś «ludzi gromada»
sławić go będzie za to, że śpiewał proste wiejskie
pieśni, że biedotą nie pogardzał, że w obronie jej
stawał, że ją kochał i «skonął, grając na lirze.»
Można było dosłownie powiedzieć o nim:

Głodną śmiercią literata
Zszedł ze świata...

Nikt nie pomyślał, ażeby śpiewakowi niedoli
ludzkiej kupić bodaj na dom własny kawał uko-
chanej przez niego ziemi. Najchętniej pomagamy
tym, którzy bez pomocy obejść się mogą.

Fr. Rawita-Gawroński.



Jan Feliks Piwarski.

* 1794 † 1859.



albumie, który obejmuje nazwiska zasłużonych krajowi, nie może być po-

minięty Piwarski. Wszakże nie miał on chwili w życiu nie poświęconej myśli o pożytku powszechnym, w zakresie zawodu swego — miłość rzeczy ojczystych przelewając w ukochaną całem sercem młodzież. Nie błyszczał ani talentem niezwykłym, ani rozgłosu czynów swoich nie szukał za życia, tem większy zatem obowiązek spada na potomnych zasługi jego po śmierci na właściwej wysokości postawić.

Jan Feliks Piwarski urodził się w r. 1794 w województwie Lubelskiem, nauki pobierał w Galicyi. Konserwatorstwo gabinetu rycin przy biblio-

tece publicznej (r. 1818) zbliżyło go do sztuki malarskiej, z której historią zapoznał się bliżej w po-

dróży, odbytej do Niemiec w r. 1821 kosztem rządu — skutkiem czego po powrocie został nauczycielem rysunków przy szkole przygotowawczej do instytutu politechnicznego. Ta praktyka nauczycielska, którą po r. 1831 na posadach nauczycielskich winnych zakładach wychowawczych prowadził, wyrobiła go na dzielnego pedagoga i była źródłem pomysłów do szeregu wydań pedagogicznych. Wzory rysunkowe Piwarskiego, złożone z kilku działów, poczynających się od elementarnego, a kończących się na zadaniach wykreślnych, perspektywie i architekту-



Jan Feliks Piwarski.

rze, nie mają sobie równych. Działy pierwsze do czekały się kilku wydań i dzisiaj jeszcze, po latach 50-u, są w zakładach naukowych średnich używane.

Konserwatorstwo zbioru rycin biblioteki publicznej warszawskiej pomiędzy latami 1818 a 1831 wielce wpłynęło na rytownicze wyrobienie się Piwarskiego, co łącznie ze studiami odbytemi w Wiedniu było mu zasobem teoretycznym do pisania o rytownictwie w «Gazecie literackiej,» praktycznie zaś sprawiło, że wykonał kilka miedziorytów, jak: Abrahama Sterna i Aleksandra Orłowskiego, część pomnika Szydłowieckiego w Opatowie do *Liber geneseos Illustr. familiae Szydłowiciana* wyd. Działyńskiego i brał udział w wydaniu «*Monumenta regum Poloniae cracoviensis*.» Do czynności obywatelskiej wykrycia fałszerstw w dowodach likwidacyjnych powołany, wywiązał się z zadania chlubnie. (1827—1832). Po roku 1831 został nauczycielem rysunków w gimnazjum gubernialnem warszawskim, a gdy jednocześnie z zamknięciem uniwersytetu, młodzież, kształcąca się w sztukach na wydziale sztuk pięknych, została bez kierownictwa, nauczał bezpłatnie przez lat dwa na tak zwanych kursach dodatkowych, zastępujących niektóre działy wykształcenia koniecznego dla stanu nauczycielskiego. Rok dopiero 1844 otworzył Piwarskiemu szersze pole do umiłowanego zawodu nauczania artystycznego. W otworzonej w tym roku szkole Sztuk Pięknych objął posadę profesora krajobrazów, poświęcając się młodzieży z całym wylaniem zacnego serca.

W pamięci uczniów szkoły Sz. Pięk., uczęszczających do niej pomiędzy latami 1844 a 1848, niewygasłe pozostały wspomnienia wycieczek artystycznych w okolice zamiejskie, do Bielan, Tarchomina i innych, w których odbywało się praktyczne wdrażanie młodych zdolności do samodzielnych studyów przyrody, do umiejętnego wyszukiwania piękna i odtwarzania owej na pozór ubogiej, równinowej okolicy.

Ale nadewszystko świecił Piwarski przykładem pracy i poświęcenia około posuwania naprzód prac zawodowo artystycznych w kraju. Dał tego

dowód przy wszystkich wydawnictwach swoich. Nietylko bowiem za temat obierał typy krajowe, wskazując młodszemu, ile na tej drodze śladów charakterystyki malowniczej leży odlegiem, ale wykonanie litograficzne swego Albumu cynkograficznego, a potem i Kramu malowniczego—tak prowadził, żeby wszystko było z krajowych materiałów i w kraju wykonane. Zastąpił kamień litograficzny bawarski cynkiem krajowym, a papier litograficzny francuski—wyrabianym w papierni bankowej w Jeziornie; sam fabrykacyi doglądając, drukarza nawet krajowca odbijać dobrze nauczył. Nie szczędził mozołu nietylko na sam rysunek na cynku, wymagający staranniejszej techniki, ale i odbiciami kierował. Pomocnym Piwarskiemu w tem był rówieśnik i jednakich z nim dążeń, dyrektor litografii bankowej, Seweryn Oleszczyński.

Pracami litograficznymi swojemi zasilął też Piwarski «Słownik malarzów polskich» Rastawieckiego, wzorowo temi portretami ozdobiony. Wydał szereg portretów królewskich w dużym formacie, podług zbioru, malowanego przez Bacciarellego dla króla Stanisława Augusta i mieszczącego się niegdyś w Zamku warszawskim. (Bardziej wyczerpujący opis prac w Tygodniku ilustrowanym tom I, str. 97 i 98). Malował też niekiedy gwaszem i olejno. Najlepsze krajobrazy Piwarskiego ożywione ludźmi, końmi, krowami, były na wystawie Sztuk Pięknych w Warszawie w r. 1845. W r. 1859 pod koniec pracowitego żywota wziął na barki swoje jeszcze Piwarski prowadzenie artystycznej strony nowo założonego Tygodnika ilustrowanego, gdzie się spotkał, jako ze współpracownikami, z kochanymi i kochającymi go byłymi uczniami szkoły Sztuk Pięknych. Na tem stanowisku, przy mozolnej pracy, późno w noc przeciągającej się przy rysowaniu pomysłu na numer noworoczny, zaskoczyła go śmierć niespodziewana, w pełni sił i zdrowia, lubo w wieku podeszłym. Zostawił z siebie przykład do naśladowania, którym za życia świecił.

Wojciech Gerson.



Jerzy Samuel Bandtkie.

* 1768 † 1835.

Nie tylko talent, oryginalność, świetność zasługuje na uznanie ogółu, lecz także

pracowitość, sumienność, gruntowność. Często wielka zdolność uogólniająca byłaby bezsilną, gdyby nie miała materiałów, przygotowanych przez niepozorne «mrówki ludzkości.»

Do rodzaju nadzwyczaj skrzętnych mrówek należał Jerzy Samuel Bandtkie, historyk, bibliograf i filolog niepospolity na swoje czasy. Urodził się on w Lublinie 24 listopada 1768 roku, jako syn dość majątnego kupca, Jana Samuela i Anny z Nokałów, w Lublinie, dokąd oj-

ciec jego przeniósł się z Wielkopolski, ze Szlichtynkowa. W 11-ym roku życia oddany został do gimnazjum ś. Elż-

biety we Wrocławiu, gdzie go po śmierci ojca utrzymywał stryj jego, zamożny szewc, Jan Jerzy; poczem dał mu 300 talarów na pobyt w uniwersytetach niemieckich, najprzód w Halli, a potem w Jenie. Za powrotem do kraju, objął roku 1790 obowiązki nauczyciela młodszych synów hr. Piotra Ożarowskiego, wtedy kasztelana wojnickiego, a niebawem hetmana. Bawił w tym domu lat 8, z których dwa ostatnie spędził w Petersburgu; tu się nauczył po ro-



Jerzy Samuel Bandtkie

syjsku i poznał piśmiennictwo starosłowiańskie. W r. 1798 przeniósł się do Wrocławia, gdzie od najniższej posady nauczycielskiej substytuta w gimnazjum ś. Elżbiety zacząwszy, doszedł stopniowo do godności rektora szkoły u ś. Ducha i bibliotekarza u ś. Bernarda Seneńskiego. Prócz łaciny, wykładał także język polski, był tłumaczem przysięgłym przy urzędzie municypalnym wrocławskim i przy kamerze królewskiej we Wrocławiu.

Przez czas pobytu w tem mieście zajmował się gorliwie i z nadzwyczajną sumiennością zbieraniem historii Ślązka, oraz studjami filologicznymi. Owocem jego pracy w pierwszym kierunku był przedewszystkiem szereg rozpraw, wydanych r. 1802 we Wrocławiu p. n. *Historisch-critische Analekten zur Erläuterung der Geschichte des Ostens von Europa*, gdzie prócz źródłowego sprostowania błędów, popełnionych przez historyków dawniejszych, oraz ważnych przyczynków do dziejów naszych, znajdujemy zarys o stanie kmiecym w Polsce.

Donioślejsze znaczenie miało drugie większe dzieło Bandtkiego, również we Wrocławiu pierwotnie ogłoszone r. 1810 w dwu tomach: *Krótkie wyobrażenie dziejów Królestwa polskiego*. Był to pierwszy u nas zasługujący na nazwę naukowego podręcznik do poznania historii ojczystej, uwzględniający zarówno wypadki polityczne, jak i stosunki cywilizacyjne. Dzieło to, pomnażane, zmieniane i uzupełniane, wyszło jeszcze potem dwa razy pod zmienionym napisem, w r. 1820 jako *Dzieje Królestwa polskiego*, a w r. 1835 jako *Dzieje narodu polskiego*. W ocenie jego wartości wyręczę się słowami tak odpowiedniego sędziego, jakim był Joachim Lelewel. Pisał on z powodu drugiego wydania książki Bandtkiego w r. 1820: «Szczególniej kultura narodu zajęła autora i dała mu powód do tak interesownych przedmiotów, które tem ważniejszemi się w tem dziele stają, że gruntownie i z obszerną rzeczy znajomością, a bogatym wiadomości zapasem wyłożone, że obok ich wykładu postronne przytaczane i związek z niemi wyjaśniane, że spokojny duch historii cieszy się pomyślnością, utyskuje nad niedolą, ocenia wszystko warunkowie do czasu. Tym sposobem Bandtkie jeszcze raz staje obok Naruszewicza i Czackiego, a nikomu nie godzi się nad dziejami narodowemi pracować bez zgłębienia dzieła jego.»

Jako filolog, Bandtkie podczas pobytu we Wro-

clawiu, prócz ogłoszenia nowych edycji dzieł ważnych dawniejszej literatury, napisał *Gramatykę polską dla Niemców* i ułożył *Słownik polsko-niemiecki* oraz *Słownik kieszonkowy polsko-francusko-niemiecki* przy pomocy brata swego Wincentego.

Za czasów księstwa Warszawskiego, po odebraniu Krakowa austryakom Bandtkie był powołany przez Izbę Edukacyjną do Krakowa na bibliotekarza. Zastał księgozbiór Jagielloński po dwu bezpośrednich poprzednikach swoich, Speiserze i Voigcie, w takim nieładzie, że dziesięć lat strawić musiał, zanim go z niego podźwignął. Zaraz po objęciu obowiązków, obok porządkowania biblioteki, dawał lekcye bibliografii, a w r. 1812 otworzył już czytelnię do użytku publicznego, zagaivszy otwarcie to rozprawką łacińską *O pierwszych drukach polskich*. Była to jakby zapowiedź zwrotu do nowej dziedziny badań, którą miał wielce pracą swoją wzbogacić. Bandtkie zaczął skrzętnie gromadzić materyały do dziejów drukarni naszych. Jakoż już w r. 1815 wydał *Historję drukarni krakowskich, od zaprowadzenia druków do tego miasta aż do naszych czasów*, a w r. 1826 przerobił i znakomicie dopełnił znane dzieło Hoffmana z XVIII wieku, ogłaszając swoją *Historję drukarni w Królestwie polskiem i W. księstwie litewskiem, jako i w krajach sąsiednich, w których polskie druki wychodziły* (3 tomy). Pomiędzy jedną a drugą książką napisał i wydrukował w r. 1821 *Historję biblioteki uniwersytetu Jagiellońskiego*. We wszystkich tych pracach znajdujemy nie tylko pomnożenie wiadomości naszych w zakresie przez nie objętym, lecz nadto pierwsze usiłowania ogarnięcia całości jednym rzutem oka i skreślenie kolei, przez które przechodziły te dwa środki szerzenia oświaty: drukarnie i księgozbiory.

Prócz tych prac głównych, Bandtkie, jako nieustrudzony badacz, interesujący się wszystkimi zagadnieniami historycznymi i językowymi, pisał mnóstwo rozprawek, już to w wydawanych przez siebie czasopismach, jako to: «Miscellanea Cracoviensia» r. 1814—1815, «Rozmaitości naukowe» z r. 1828—31, już to w «Pamiętniku warszawskim», już to w wykazach lekcji uniwersytetu Jagiellońskiego, już to w «Rocznikach» Towarzystwa Naukowego krakowskiego, którego był członkiem. On to między innemi podał pierwszą wiadomość o Psalterzu Floryańskim, o najdawniejszych

mszałach krakowskich, o numizmatach polskich; on to pierwszy ogłosił rozprawę Jakóba Parkosza z XV wieku o pisowni polskiej i t. p. Wśród niezmordowanego krzątania się śmierć go zaskoczyła 11 czerwca 1835 r. w Krakowie.

Bandtkie był jednym z najpierwszych u nas chronologicznie przedstawicieli gruntowności erudycyjnej z wielką sumiennością złączonej. Nie celował on ani metodą wykładu, ani nadzwyczajną bystrością krytyczną; stylu nie tylko nie miał pięknego, lecz grzeszył nawet zaniedbaniem i niepoprawnością języka; szło mu jedynie o dotarcie do prawdy, o nagromadzenie materiału dobrze sprawdzonego i sam siebie nazywał kamieniarzem, który, w pocie czoła dostarczając trwałych do budowli ciosów, ich składanie komu innemu zostawia.

Antoni Zygmunt Helcel, czcząc zasługi Bandtkiego zaraz po jego zgonie, podał trafną charakterystykę jego istotnego uzdolnienia: „Nie dojrzysz—powiada on—w pracach jego nigdy tworów wyobraźni; w jego badaniach—śmiałyh przypuszczeń, w jego zdaniach—łgnięcia do upodobanych lub popłacających opinij, w jego nauce—powierzchowności. Obaczysz wszędzie ze skrzętną pracowitością wyszperane podania, trzeźwe i bezstronne wyszukiwanie prawdy, odważne i sumienne jej wynurzanie, odrazę do upowszechnionej francuszczyzny. Niewielu uczonych wyrównało mu w mocy uwzięcia się przy szczegółowych poszukiwaniach prawdy. To, co pospolitość za oschłe, nudne i bezużyteczne uznawała, czem się półmędrki wzajemnie straszyla, ciesząc się z wygodnej swej uczoneści,

w to Bandtkie wnikać, tam gościć nie wahał się; stamtąd też skarby wynosił, aby z nich ci sami, którzy z niego szydzili, wygodniej każdy po swojemu korzystać mogli.. Więcej czytany i więcej wiedząc, niż cała rzesza głośnych beletrystów, cichszym był, niż najcichszy z nich, a łgnąc wyłącznie do zajmującego go szczegółu, nie szukał wrzekomej chwały wszechwiedzącego mędrca... Nareszcie wyobraził się w nim moment, który w literaturze naszej dotąd zupełnie był obcym: jest to ów *ascetyzm naukowy*, ów żywioł abstrakcyjny, połączony z niezwykłą u nas apatyą poetyczności. Abstrakcyjnego żywiołu ślady poczęły być widoczne w społeczności naszej; do ascetyzmu naukowego posunął się i Ossoliński; lecz owego wyłącznego panowania erudycyi, w jej czystym i nieprzymieszanym z niczem pierwiastku, w jej nieponętnej nawet nagości, nikt tak, jak Bandtkie, nie objawił. Stąd pierwiastek ten, jako do najwyższej przez niego wysunięty potęgi, w dziejach literatury naszej z imieniem Bandtkiego w parze chodzić będzie, bo on jest właściwie jego odróżniającą cechą.»

Jako profesor, Bandtkie nie celował również metodą: wykład jego był «jakby wspólnem ćwiczeniem się mistrza z uczniami;» garnęli się do niego studenci odznaczający się gorliwością, a brat jego Wincenty, dalej Wacław Aleksander Maciejowski, Kajetan Trojański, Józef Muczkowski, Antoni Zygmunt Helcel szczylicili się tem, iż w Bandtkiem mieli mistrza i pomocnika.

P. Chmielowski.



Józef Wielhorski.

* 1760? † 1820?.

Dzielny wódz legionów, sprawny organizator wojskowy Księstwa warszawskiego i Królestwa kongresowego, zawsze czysty, ofiar-ny i użyteczny obywatel kraju, generał Józef Wielhorski ma prawo do poczęstnego miejsca wprawdzie nie po-śród ludzi najpierwszych, którym nie dorównał talentem ani stanowiskiem dziejowem, lecz bądź co bądź zaraz w drugim szeregu ludzi, rzetelnie dla kraju zasłużonych.

Był on synem Michała Wielhorskiego, kuchmistrza w. l., głośnego z pism swoich i peregrynacji, który, przerzucając się do sprawy barskiej, emigrował za granicę i piastował tam bezowocną godność posła barskiego w Paryżu, aż nakoniec śladem innych Barszczan, poddawszy się konieczności i wzięwszy amnestję, wrócił był do kraju, do swoich dóbr na Wołyniu, aby spędzić koniec życia pośród swoich kłopotów prywatnych, kłopotów i trosk niemałych koło łatania własnej fortuny,

✦ mocno nadszarpniętej podczas wypraw zagranicznych i politycznych kampanij. Taki człowiek, chociaż był czułym ojcem, nie mógł być dobrym wychowawcą. To też z jedynym wyjątkiem, nie

bardzo udali się synowie staremu kuchmistrzowi l. On sam, czasu swojego w Paryżu pobytu, przejął się był ślepem zamięłowaniem dla kultury francuskiej, a mianowicie potrafił swoje własne, z domu wyniesione pojęcia o nieograniczonej wolności szlacheckiej pogodzić osobliwym sposobem z nowymi zachodnimi pojęciami o godności człowieka i obywatela; potrafił swoje przesady szlacheckie ubrać w nowoczesną sukienkę teoryj filozoficznych i politycznych swoich sławnych przyjaciół osobistych J. J. Rousseau i ks. Mably'ego.



J. Wielhorski

✦ Stary Wielhorski do tego stopnia przejął się owymi teoryjami, że nawet sprowadził do swojego majątku Horodcza na Wołyniu księdza Mably'ego dla pokierowania edukacją młodych swoich synów.

Nie na wiele przydała się edukacja: młodzi Wielhorscy, charaktery naogół nieosobliwe, różnemi poszli drogami, próbując przede wszystkim doprowadzić do porządku interesy majątkowe, pozostawione przez ojca w stanie oplakany, próbując szczęścia różnie i z różnem powodzeniem. Jeden z nich, Jerzy, świetną zrobił karierę w Petersburgu. Ale jeden, jak rzekliśmy, wśród nich stanowi wyjątek, a był nim Józef, przyszły generał i minister. Wstąpił on do wojska polskiego w przededniu drugiego podziału Rzpltej, służył w kampanii w 1792 i 1794 roku. Po trzecim podziale udał się za granicę śladem Dąbrowskiego i przybył do Włoch wnet po uformowaniu legionów; pomimo rozlicznych intryg osobistych, jakich pełne są dzieje legionów, w pierwszych zwłaszcza początkach, otrzymał wkrótce szefostwo pierwszej legii. Kiedy Dąbrowski z drugą legią i Kniaziewiczem 1798 r. wysłany był na południe do Neapolu, Wielhorski z pierwszą pozostał we Włoszech północnych, gdzie już lada chwila należało spodziewać się nowych kroków zaczepnych ze strony ledwo uspokojonej Austrii. W rzeczy samej na nieliczną armię polsko-francuską, zgromadzoną na północy, zwała się niebawem złączona potęga austro-rosyjskiej koalicji. Już nietylko z austryakami wypadało mieć do czynienia, lecz z niebezpieczniejszym od nich Suworowem. Wśród takich warunków Wielhorski z całą prawie swoją legią wraz z garnizonem francuskim pod dowództwem naczelnem generała Foissac-Latoura zamknięty i osaczony został przez nieprzyjaciela w twierdzy Mantui. Po długiej i walecznej obronie wypadło poddać się oblegającym austryakom, wszakże kapitulacja zawarta przez Foissac-Latoura z dowódcą austryackim, zapewniając w ogólnych wyrazach wolny wymarsz polsko-francuskiego garnizonu, zawierała jednakże ten szczególniejszy dodatek, iż o ile wśród załogi znajdują się dezterterzy z wojska austryackiego, takowi będą wydani z powrotem do właściwych pułków austryackich. Otóż wiadomą było rzeczą, iż cała niemal legia Wielhorskiego składała się z polaków galicyan, zbiegłych z armii cesarskiej pod sztandary legionowe. To też skutki tego haniebnego warunku kapitulacji, przyjętego przez Foissaca, były oplakane: oficerowie austriacy, ledwo wstąpili do Mantui, przemocą wyciągali z szeregów legii i garnizonu nieszczęsnych «dezterterów,» zabierając ich już nietylko jako nie-

wolnika wojennego, lecz traktując jako prostych zbrodniarzy. Napróżno opierał się Wielhorski tym gwałtom; jego legia, która już podczas długiego i uciążliwego oblężenia twierdzy znacznie była stopniała, obecnie, po wyłowieniu wielkiej ilości szeregowców i nawet oficerów przez władze wojskowe austriackie, zmalała zupełnie, faktycznie niemal przestała istnieć, tak że zaledwo stukilkudziesięciu ludzi mógł Wielhorski wyprowadzić do Francji. Była to ciężka katastrofa dla legii pierwszej; gdy zaś niebawem i legia druga, ściągnięta z powrotem na północ z Neapolu, w straszliwej bitwie pod Trebią i krwawych z Suworowem utarczkach ogromne poniosła straty, prawie jednocześnie, bo w połowie 1799 roku, cała organizacja legionowa głęboko podcięta została u korzenia. Wielhorski żywo wziął do serca postąpienie Foissac-Latoura; gdy zaś zarazem generał francuski, ażeby usprawiedliwić swoją kapitulację, w relacji urzędowej do Dyrektoryatu paryskiego w nieszczególnych barwach przedstawił zachowanie się legionistów polskich podczas oblężenia Mantui, i gdy odpowiednie ustępy tej relacji, ubliżające polakom, przedostały się do gazet i pism publicznych, Wielhorski z ostrym listem zwrócił się do Foissac'a, żądając od niego bądź udowodnienia, bądź cofnięcia zarzutów, uczynionych polakom pod nim słucym a pośrednio i jemu samemu. Wyznać wprawdzie należy, iż niektóre z tych zarzutów, dotyczące pewnych wybryków, niekarności i swawoli prostego żołnierza legionowego, nie były bez podstawy. Wywiązała się znana wymiana listów, pomiędzy Wielhorskim a generałem francuskim, która omal nie doprowadziła między nimi do pojedynku, rzecz załatwiono jednak polubownie; zresztą francuz, wytykając niejedno szeregowcom i niższym oficerom legii, pełne uznanie oddawał poświęceniu i zasługom jej szefa. Sam Wielhorski nie mógł już uczestniczyć w dalszych walkach z koalicją 1799 roku, gdyż przy kapitulacji Mantui wypuszczony był, jak i reszta załogi, na słowo honoru, że broni w tej wojnie więcej nie podniesie. Jednak nie próżnował: udał się do zakładów (dépôts) polskich, ustanowionych w Marsylii i Medyolanie, gdzie kierował organizacją nowych zaciągów, mających wypełnić dotkliwe szczyby, uczynione w obu legiach przez kapitulację Mantui, oraz walki w Neapolu i nad Trebią. Tymczasem jednak stanowcze zaszły zmiany w położeniu wewnętrznym

Francji i powszechnej sytuacji europejskiej, które miały opłakany sposób odbić się na losie całej sprawy legionowej. Bonaparte powrócił z Egiptu; ustanowiwszy Konsulat, dokonano zbliżenia się pomiędzy Francją a Rosją, pacyfikowano koalicję, a zarazem postanowiono koniec i zgubę legionów. Uprzedzony zawczasu o tych fatalnych odmianach Wielhorski zawczasu podał się do dymisyi, unikając tym sposobem smutnego losu Jabłonowskiego i nieszczęśliwych legionistów, wyprawionych niebawem na pewną śmierć do San-Domingo, «gdzie pieprz rośnie.» Za przykładem wielu innych towarzyszy, pomyślał o powrocie do kraju. Użytkawszy odpowiednie pozwolenie od rządu pruskiego, wrócił w 1802 r. do Warszawy. Przypomniał się tutaj ks. Józefowi Poniatowskiemu, zawarł z nim bliższą przyjaźń, która następnie zacieśnić się miała w czasie Księstwa warszawskiego. Wszakże w Warszawie, pod rządami pruskiemi niewiele miał Wielhorski do roboty. Bawił się, hulał wraz z wesołym towarzystwem pod Blachą, nie znajdując przecie dla siebie ani właściwego zajęcia, ani nawet podstawy materialnej. Dłuższy czas przebywał w Galicyi. Wstąpiwszy do służby wojskowej Księstwa warszawskiego, niemałą czynność rozwinął podczas kampanii galicyjskiej 1809 roku. Schorowany, cierpiący od niejednej starej rany, nie nadawał się do czynnej służby frontowej; lecz wielkie jego doświadczenie organizacyjne wysunęło go wkrótce na czoło administracyi wojskowej Księstwa. Mianowany radcą stanu i dyrektorem żywności w ministerjum wojny, ciesząc się zupełnem zaufaniem ministra wojny i wodza naczelnego, ks. Józefa, duże na tem stanowisku oddawał usługi. Od połowy 1811 roku, t.j. od wyjazdu ks. Józefa do Paryża, kiedy już wojna z Rosją okazała się nieuniknioną, a na ks. Józefa tem samem spadały przedewszystkiem wieloliczne obowiązki naczelnego wodza, Wielhorski faktycznie pełnił czynności ministra wojny, od roku zaś 1812 z chwilą wyjazdu ks. Poniatowskiego z Warszawy z wielką armią, pełnił te czynności z urzędu w charakterze zastępcy ministra wojny. Przez cały przeciąg 1812 roku z niezmordowaną energią kierował z Warszawy wyczerpującą robotą organizacyjną w najrozmaitszych a jednakowo naglących sprawach, około dopełnienia kadrów wojska szybko topiejących, około wypraw partyzanckich na Wołyniu, koło ochrony samego Księstwa od napadów partyzan-

ckich i t. p. Co się tyczy w szczególności wyprawy wołyńskiej w 1812 roku, wiadomy jest jej przebieg i koniec niefortunny, lecz odpowiedzialność za jej niepowodzenie w części tylko spaść może na Wielhorskiego. Zrobił on, co mógł: skoncentrował gwardye narodowe departamentu krakowskiego, radomskiego, płockiego, warszawskiego, lubelskiego i siedleckiego pod dowództwem generała Kosińskiego, swojego niegdyś kolegi z Mantui; zarazem głosował za powierzeniem misji politycznej na Wołyniu swojemu osobistemu przyjacielowi i towarzyszowi broni z powstania 1794 r. Ludwikowi Kropińskiemu. Wybór nie był szczęśliwym; Kropiński jak był lichym poetą, tak był również lichym organizatorem. O tyle też, o ile niezdarnego i dość zresztą dwuznacznego Kropińskiego postawił na czele tak ważnego przedsięwzięcia, Wielhorski jest poniekąd odpowiedzialnym za nieudanie się wyprawy wołyńskiej. Ale wogóle wątpić należy, azali najsprawniejszy nawet człowiek wysłany na Wołyń, byłby zdolny cośkolwiek tam pożytecznego uskutecznić. Przedsięwzięcie chybnem było w zasadzie, skoro nie opierało się na zorganizowanej sile zbrojnej krajowej, na znaczniejszej liczbie regularnej armii Księstwa warszawskiego, którą tedy, mianowicie na Wołyń należało skierować, zamiast północną stroną pośrodku wielkiej armii popychać na Moskwę. Taką też była pierwotna myśl i księcia Józefa i Wielhorskiego, niewykonana przecie skutkiem przeciwnej intencji samego Napoleona. Ostatecznie też niepowodzenie wyprawy wołyńskiej okazuje się przedewszystkiem jednym z częściowych skutków całego chybnego w zasadzie planu kampanii cesarza. Tymczasem w miarę posuwania się naprzód wyprawy moskiewskiej, w miarę coraz wyraźniejszych skutków wynikającej na wschodzie niebywalej klęski, coraz trudniejszym stawało się położenie Warszawy i coraz trudniejszą działalność przebywającego w niej Wielhorskiego. Z jego raportów, składanych warszawskiej Radzie ministrów, przekonać się można, iż on zawczasu trzeźwo zdawał sobie sprawę z rozmiarów klęski i rozpaczliwego stanu spraw krajowych, że atoli aż do końca nie upadał na duchu i nie słabnął w robocie. Od połowy grudnia 1812 roku miał zresztą znowu przy sobie ks. Józefa, który tymczasem wrócił do Warszawy. Zabrano się energicznie do skompletowania, a raczej do stworzenia nanowo armii Księstwa warszawskiego,

zupełnie prawie zniszczonej podczas morderczej wyprawy moskiewskiej. Niedługo jednak można było jeszcze popasać w Warszawie. Zbliżały się od wschodu zwycięskie wojska rosyjskie. Jeszcze wprawdzie nadługo można było je zatrzymać, można było bronić Warszawy, mając do pomocy «sprzymierzony» korpus austriacki Schwarzenberga. Ale ten mniemany «sprzymierzeniec» już gotował się przejść do nieprzyjaciela, wycofał się ku zachodowi, odsłaniając Warszawę i zmuszając w ten sposób do odstąpienia jej słabą, ledwo reorganizującą się dopiero armię Księstwa. Zresztą nie tylko w sprzymierzeńczym korpusie austriackim, lecz w samych szeregach wojska, ludności, a nawet rządu Księstwa warszawskiego poczynają budzić się wątpliwości, obawy i nadzieje w nowym zgoła kierunku. Zaczęto przebąkiwać, iż niema powodu bronić dłużej sprawy przegranej, iż niczego dłużej nie należy oczekiwać od zwyciężonego cesarza Napoleona, a zatem należy apelować do łaski zwycięzcy, cesarza Aleksandra. W początku lutego 1813 roku opuścił z armią Warszawę, udając się na Piotrków i Częstochowę do Krakowa. W Krakowie w dalszym ciągu pod kierunkiem ks. Józefa prowadził z gorączkową energią organizację dwóch dywizyj polskich. Jednakże chociaż w zasadzie szli razem obadwaj, są przecie w tym czasie ślady pewnych nieporozumień osobistych pomiędzy ks. Józefem a Wielhorskim jeszcze w Warszawie od stycznia, a potem w Krakowie. Przyczyniło się zapewne do tego postępowanie Kropińskiego, którego tajne konspiracyje z Mostowskim i bliskie z Puławami z Czartoryskimi stosunki naraziły poniekąd opinię jego przyjaciela i protektora, Wielhorskiego. Sam Wielhorski schorowany, wyczerpany, do nadchodzącej ciężkiej kampanii niezdolny, przed rozpoczęciem kampanii saskiej 1813 r. podał się do urlopu, który otrzymał urzędownie dopiero w połowie czerwca, lecz z którego już wcześniej zaraz po opuszczeniu Krakowa z końcem kwietnia zaczął korzystać. Swoją drogą, pozostał aż do końca wiernym wspólnej sprawie, za towarzyszymi broni pociągnął do Francji i z końcem roku 1813 znajdował się w Paryżu. Również aż do samego końca pośród najrozpaczliwszych okoliczności nie zaniedbał za pośrednictwem marszałka Berthiera wstawić się do cesarza Napoleona w żywotnych sprawach egzystencji i przyszłości wojska polskiego, ażeby w miarę możliwości uratować je od

katastrofy i zabezpieczyć, ile się da, dalsze jego losy. Ta czujna troskliwość o dobro współtowarzyszów broni, wyrażająca się w słowach energicznych i otwartych, nie była źle przyjętą przez Napoleona, który jeszcze w tych ostatnich chwilach w grudniu 1813 roku nie przepominał odznaczyć Wielhorskiego znakiem legii honorowej. W 1814 roku po wejściu wojsk sprzymierzonych do stolicy Francji, Wielhorski, razem z Węglińskim, ministrem stanu bez teki, jedynie bawiący wtedy w Paryżu przedstawiciele rządu Księstwa warszawskiego, zwrócił się do przedstawicieli wszystkich mocarstw z obszernym memoriałem politycznym, upominającym się o odbudowanie kraju. Ten memoriał, zredagowany i pisany własnoręcznie przez Wielhorskiego, został z jego rozkazu przez szefa biura Niewiadomskiego wręczony w odpisie wszystkim ambasadom zagranicznym, znajdującym się podówczas w Paryżu. Jednocześnie tego samego dnia zwrócił się Wielhorski z osobnym memoriałem osobiście do cesarza Aleksandra I, polecając jemu w szczególności opiekę nad Księstwem warszawskim i wogóle nad sprawą polską. Na tej zasadzie zaczęły się już bliższe rokowania w Paryżu pomiędzy Cesarzem Aleksandrem a generałami: Dąbrowskim, Krasieńskim i Wielhorskim w sprawie urządzenia losów Księstwa warszawskiego. We wszystkich tych rokowaniach żywy brał udział Wielhorski, który zwłaszcza przy doskonałej znajomości języka francuskiego, miał sobie powierzone redagowanie wszelkich memoriałów piśmiennych. Z Paryża wrócił on w 1814 roku do Warszawy, razem z resztkami armii polskiej, poddanej najprzód tymczasowym rozkazom, następnie zaś stałemu dowództwu W. Ks. Konstantego Pawłowicza. Tutaj Wielhorski mianowany został członkiem komitetu wojskowego, ustanowionego dla organizacyi nowej armii przyszłego Królestwa kongresowego. W czynnościach owego komitetu był on znowu jednym z uczestników najruchliwszych i trzymającym pióro faktycznie, choć nominalnie sekretarzem był Paszkowski. W listopadzie 1814 roku, kiedy w Wiedniu za stołem kongresowym wynikły poważne spory między mocarstwami, mianowicie pomiędzy Austrią, Francją i Anglią z jednej, a Rosją i Prusami z drugiej strony względem najważniejszej i najdrażliwszej sprawy sasko-polskiej, równocześnie w Warszawie za stołem komitetowym wynikło poważne rozdzielenie po-

między W. Ks. Konstantym a komitetem. Komitet zanim oddał siebie i armię na usługi W. Księcia, domagał się niezwruszonych gwarancji względem przyszłych losów kraju. W. Książę odmówił. Ale zarazem wobec groźnej sytuacji europejskiej, wobec groźby austro-francusko-angielskiej koalicji, W. Księciu, cesarzowi Aleksandrowi i Rosji niezmiennie musiało założyć na zapewnieniu sobie spółudziału komitetu, armii i opinii publicznej Księstwa warszawskiego. Pośród tych drażliwych negocjacji pomiędzy komitetem a W. Księciem Konstantym doszło aż do ustąpienia trzech członków: Kniaziewicz, Wojczyńskiego i Pontowskiego; inni: Dąbrowski, Zajączek i Wielhorski, pozostali na stanowisku, uzasadniając atoli w osobnych zdaniach na ręce W. Księcia swoje poglądy i czyniąc odpowiednie zastrzeżenia. Wielhorski w swojej opinii oddzielnej wyraził się, iż na wypadek, gdyby «okoliczności przeszkodziły J. C. M. skutecznie dobroczynne względem kraju zamysły, w takim razie znajdziemy się znowu w tem samem położeniu, co obecnie, a więc naówczas będziemy mogli każdy z osobna wedle swego uznania, bądź dalej służyć, bądź też ustąpić.» Po utworzeniu ostatecznem Królestwa polskiego, ministrem prezydującym w Komisji wojny mianowany został generał dywizji, senator-wojewoda Józef Wielhorski. Tę nominację zawdzięczał przede wszystkim osobistej protekcji W. Księcia Konstantego, który w owych chwilach początkowych wyjątkową okazywał mu łaskawość. Podobał się W. Księciu w Wielhorskim człowiek wyższego świata, wszechstronnie ukształcony i ogładzony, podobał się przede wszystkim służbista, przestrzegający najściślej dyscypliny, wytrawny znawca najdrobniejszych szczegółów organizacji i administracji wojskowej, tak samo jak i służby frontowej. To też w początkach nie szczędził Wielhorskiemu cesarzowicz dowodów swej wdzięczności i szacunku. «Miło mi—pisał do generała w maju 1815 r., to jest na kilka miesięcy zaledwo przed jego nominacją—dać świadectwo, iż gdybym od wszystkich takiej doświadczał pomocy, jak od Ciebie, odkąd się znamy, pobyt mój śród Was, sprawiłby mi tylko samą przyjemność.» Od niego też, niezależnie od rzeczy czysto wojskowych, zasięgał W. Książę opinii w najważniejszych sprawach ogólnych: tak np. powstały przed samem ogłoszeniem konstytucji «Refleksye o Królestwie pol-

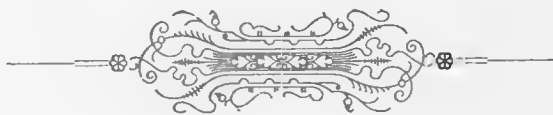
skiem,» pisane przez Wielhorskiego, natchnione zresztą aż nadto duchem subordynacji żołnierskiej i projektujące poprostu dla Królestwa polskiego zwyczajną, jeszcze tylko bardziej ściśniającą kopię ustaw prawodawczych Księstwa warszawskiego. Łatwo dorozumieć się, iż tego rodzaju poglądy trafiły do przekonania Cesarzewicza. Ale ta harmonia pomiędzy W. Księciem a Wielhorskim miała trwać niedługo. Wielhorski objął wkrótce potem ministeryum, t. j. prezydium w komisji wojny, w końcu grudnia 1815 r. Tu trzeba mu było wypracować w rozwinięciu karty konstytucyjnej szczegółową organizację Komisji wojny i Rada administracyjna zażądała od Wielhorskiego, jako ministra, wypracowania odpowiedniego projektu. Aż tu jednocześnie odbiera Wielhorski od W. Księcia rozkaz pisemny, wzbraniający mu uczynić zadość żądaniu Rady i nakazujący wogóle wstrzymać się od wszelkich z nią stosunków w sprawach wojskowych, bez uprzedniego porozumienia się i instrukcji kwatery głównej. Wielhorski założył protest nasamprzód w odezwie bezpośrednio na ręce W. Księcia, potem na posiedzeniu Rady administracyjnej, a nareszcie w styczniu 1816 r. wprost na Imię Najwyższe w memoriale do cesarza Aleksandra I, gdzie prosił o jak najściślej w drodze ustawodawczej rozgraniczenie kompetencji wojskowej naczelnego wodza i kwatery głównej z jednej strony i kompetencji administracyjnej ministra prezydującego w komisji wojennej z drugiej strony. Narazie spór jako tako został załagodzony. Lecz już po kilku tygodniach ciężkie chwile nastały dla Wielhorskiego. W marcu i kwietniu 1816 roku zaszły w Warszawie liczne wypadki samobójstw pomiędzy oficerami. Te wypadki głęboko dotknęły Wielhorskiego. Odtąd tylko czekał stosownej okazji do podania się do dymisji ze stanowiska tytularnego ministra. Prośba o dymisyę podana była na imię Cesarza Aleksandra, który mu jej w łaskawych zresztą wyrazach udzielił w połowie maja, a doręczenie nastąpiło w początku czerwca. Wielhorski natychmiast opuścił Warszawę, cofnął się w zacisze domowe, do swojej skromnej majątności Rusinowa w Radomskim, gdzie wkrótce potem, zapomniany od wszystkich, żywot zakończył. Dla charakterystyki jego można tylko powtórzyć słowa gdzieindziej wyrażone: «Zdolności niepospolitych ani wyższego polotu ducha Wielhorski nie ujawnił

nigdy. Był to człowiek średniej miary, ale czysty i uczciwy, patryota szczerzy, żołnierz dzielny, gruntowny i na punkcie honoru do ustępstw niezdolny. Ogładzony, dowcipny, a śmiały bardzo, skłonny do uniesień, w gorącej wodzie kąpany, nie umiał zginać karku przed nikim i po za pewne granice nie znał kompromisów. Zniszczony przez trudy wojskowe, trochę przez nadużycia młodości, złamany podagrą, wlokący się na kulach, albo wnoszony na krześle na

posiedzenia sądu, często chory obłożnie, nie wszędzie mógł dopilnować osobiście swoich podwładnych, którzy nieraz nadużywali jego dobroci; ale zawsze bez względu na zdrowie czujnie pilnował ważnych spraw swego wydziału i zawsze nietylko w ciasnym zakresie zawodowym, lecz z szerszego stanowiska interesu publicznego.*)


Szymon Askenazy.

*) Ob. o nim Szymona Askenazego: «Ministerium Wielhorskiego» (Warszawa, 1898).



Agenor Gołuchowski.

* 1812 † 1875.

 dniu 5 sierpnia 1875 r., w popołudniowych godzinach skwarne go dnia letniego, wśród żałobnego dźwięku dzwonów, które równocześnie ozwały się ze wszystkich świątyń lwowskich, przez ulice Lwiego grodu ku dworcowi Tarnopolskiej kolei podążał olbrzymi orszak. Za zakonami i zakładami dobroczynnemi szły reprezentacje rozmaitych lwowskich instytutów i stowarzyszeń, potem barwnym szeregiem snuły się deputacje kilku tysięcy gmin całego kraju i wszystkich jego powiatów; szli reprezentanci wszystkich zawodów i stanów, najwyższe magistratury autonomiczne i rządowe, a za skromnym żałobnym rydwanem ze zwłokami męża, któremu ostatnią część oddawano, oprócz synów zmarłego, kroczyli: reprezentant austriackiego monarchy, jego generalny adjutant oraz również z dalekiego Wiednia osobiście przybyły minister spraw wewnętrznych. Potem szli znowu reprezentanci władz i autonomicznych zgromadzeń, a olbrzymi łańcuch publiczności zamykał ten pochód, posuwający się przez okryte kirem ulice, wśród szpalerów kilkudziesięciu tysiącznej publiczności, przejętej powagą chwili i szczerem odczuciem straty, jaką poniósł kraj przez śmierć tego, którego teraz kraj cały odprawiał na wieczny spoczynek.

A jednak był to pogrzeb tylko urzędnika austriackiego!

Tak. Zmarły w d. 3 sierpnia 1875 r. Agenor hr. Gołuchowski, którego zwłoki przewieziono do rodzinnego grobowca w Skale i tam je złożono, był austriackim urzędnikiem i mężem stanu, ale zarazem twórcą nowej epoki w dziejach Gali-

cyi i tamtejszego społeczeństwa, w dziejach tego kraju, który poprzednie rządy austriackie tak zaniedbywały, i w dziejach społeczeństwa polskiego tej prowincyi, która zawdzięcza mu niezmiernie wiele. Wszak on to przeprowadził zerwanie stanowcze z systemem, który pragnął z kraju tego uczynić niemiecką prowincję, a zainaugurował kierunek, który krajowi pozwolił rozwijać się dalej na historycznych jego podstawach; za jego to przyczynieniem się przywrócono językowi polskiemu w Galicyi należne prawa, pozwolono język ojczysty pielegnować w szkołach i urzędach, budzić swobodnie do życia drzemiące siły ekonomiczne i przemysłowe kraju, rozwijać skrzętność i przedsiębiorczość; on to w uciśnione za Metternicha i Bacha społeczeństwo wlał nowego ducha i, chroniąc je od szukania niebezpiecznych dróg, prowadził na tory zaufania do tronu a pozytywnej, organicznej pracy nad własnem odrodzeniem.

Silny zaufaniem monarchy, który w nim słusznie widział jednego z najwierniejszych swych synów, a gorąco do swego narodu i do swego kraju przywiązany, Gołuchowski potrafił przełamać opór starego biurokratyzmu austriackiego, wrogię polskości, a swego wpływu uzyskanego w państwie i w rządzie użył na to, aby, godząc tron z krajem, a kraj z tronem, pogodzić także potrzeby kraju z potrzebami państwa, a krajowi dać wszelkie warunki rozwoju.

Przyszło mu zaś odegrać rolę i na szerszej arenie: jako austriacki mąż stanu i twórca dyplomu pałdźiennikowego, jest on także ojcem konstytucjonalizmu, a poniekąd nawet dzisiejszego

dualistycznego ustroju Austro-Węgier. Jeżeli się zaś zważy ówczesne stosunki, zaiste ze wszechmiar niepospolitym musiał być Gołuchowski człowiekiem, skoro zdołał odegrać taką rolę, pomimo że był — polakiem!

Potomek starożytnej rodziny Leliwów, wywodzącej ród swój od książąt Zbaraskich, urodził się Agenor, Romuald, Onufry hr. Gołuchowski w d. 8 lutego 1812 r. Nauki średnie pobierał w konwiktie tarnopolskim O.O. jezuitów, na uniwersytet uczęszczał we Lwowie i tam uzyskał też stopień doktora praw. Wstąpił potem do służby rządowej, a zdolności, prawosć i praca zwróciły nań wcześniej uwagę przełożonych. O ile już wówczas w skromniejszacie urzędniczej potrafił rozwijać w sobie i w swej urzędowej sferze działania myśl polską, to rzecz dotychczas jeszcze nie znana. Prawdopodobnie była to epoka, w której miał sposobność rozejrzeć się dokładnie w stosunkach i do gruntu poznać system, w jakim Galicyę chciał utrzymać Metternich, a później Bach. Smutnej pamięci rok 1846 zastał go na podrzędnej jeszcze posadzie. W r. 1848 był już radcą gubernialnym i od ówczesnego gubernatora hr. Stadioną otrzymał sobie powierzony zarząd głównego miasta Lwowa. Następnie zostaje wiceprezydentem gubernialnym. Swobodniejsza wówczas przez kilka miesięcy prasa galicyjska często z zaciekleścią rzuciła się na Gołuchowskiego, ale czyniła to także niejednokrotnie i później, robiąc mu zarzuty z tego, za co dzisiejsze społeczeństwo polskie, a już nawet i jemu współczesne tak bardzo było mu potem wdzięczne.

W r. 1849 zostaje Gołuchowski poraz pierwszy gubernatorem Galicyi, którą to godność zamieniono następnie na urząd namiestnika. Jest to jakby wstępny okres jego na tem stanowisku działalności. Objąwszy zarząd kraju, Gołuchowski musiał liczyć się ze stosunkami, jakie zastał, a łagodzić je mógł tylko osobistym wpływem i staraniami. Nad Galicyą ciążył wówczas system bezwzględnej germanizacji Bacha, to też Gołuchowski, aby go paraliżować, musiał staczać ciężkie walki z rządem centralnym; równocześnie zaś w kraju nie rozumiano jego chęci i zasług i obsypywano go zarzutami. Bach wszystkie reformy proponowane przez Gołuchowskiego, wszystkie jego zarządzenia, zmierzające do uporządkowania administracji kraju, do oczyszczenia augiaszowej stajni starej biu-

rokracyi galicyjskiej, do moralnego i ekonomicznego podniesienia Galicyi, krzyżował i zwalczał pod pozorem, że te «nowatorstwa» są szkodliwe jednoci państwowej i potędze monarchii, przeciwnicy zaś namiestnika w Galicyi, w dziwnem zaślepieniu, nie rozumiejąc intencji i stanowiska Gołuchowskiego, zarzutami swemi dostarczali tylko Bachowi materiału do poparcia jego argumentów i zamiarów. Gdy walki z Bachem przybierały zbyt ostre formy, łagodził je monarcha; — przykrości, których doznawał ze strony własnych rodaków, pokonywał Gołuchowski niepożyty hartem duszy i miłością rodzinnej ziemi. Umysłu i usposobienia przedewszystkiem praktycznego, Gołuchowski obcy był wszelkiemu doktrynerstwu, popularności nie szukał, był dość szorstki w obejściu, często nie liczył się ze słowami, do wytkniętego celu dążył bezwzględnie, nie dbając, czy się to komu będzie podobało; nie dał się też nigdy kierować nikomu, a będąc przeciwnikiem ostentacyjnego patryotyzmu, sprzeciwiał się politycznym demonstracyom. Nie rozumiano go też często i miewał wielu nieprzyjaciół, a wartość jego oceniono należycie wówczas dopiero, gdy go już nie stało...

Miedzy innemi robiono mu zarzut, iż chce społeczeństwo germanizować, gdyż zachęcał młodzież, zwłaszcza zamożniejszych rodzin, do służby rządowej. Później dopiero, gdy nadeszła chwila zapelnienia luk, powstałych po usuniętych za wpływem Gołuchowskiego urzędnikach niemieckich i czeskich, a luki te zapelnąć było można odrazu zastępem polskich urzędników, oceniono doniosłość intencji namiestnika.

Reakcyjną atmosferę rządów Bacha oczyścić wreszcie huk dział pod Solferino. Bach upadł (1859), a wezwanie do zajęcia jego stanowiska otrzymał Gołuchowski, który uległ woli cesarza (8 sierpnia 1859 roku), chociaż czuł całe brzemie powołania i wiedział, że skomplikowane separatystycznemi dążeniami węgrov i Czechów stosunki wewnętrzne monarchii rakuskiej, mało mu dają pola do zwycięstwa. Zwycięstwo to było tem trudniejsze, iż we własnym gabinecie musiał pokonywać tysiące trudności i intryg, a formalny spis centralistów niemieckich w rodzaju Kalchberga, Schmerlinga (starszego), Plenera i in. ciągle usiłował podkopać jego stanowisko. To też chociaż deputacya czeska wyniosła z posłuchania u ministra najkorzystniejsze wrażenie, a węgry



Podług fotografii rysował X. Pillati.

Gotinkowski

przyjęli reformy, na ich rzecz przez Gołuchowskiego wprowadzone, iluminacją Budy i Pesztu, chociaż wypracowany przez niego dyplom z 20 października 1860 r. stanowi początek ery konstytucyjnej w Austrii i podstawę dzisiejszego ustroju monarchii Habsburgów, — Gołuchowski już w d. 13 grudnia 1860 r. uległ intrygom i ustąpił ze stanowiska szefa rządu państwowego, czyli ministra stanu, jak wówczas nazywano.

Usunął się teraz w zacisze życia prywatnego, pracował nad podniesieniem swego rodzinnego majątku w Skale, dla którego wyrobił ordynację, i wpływów swych używał w tym czasie na to także, aby doprowadzić do skutku założenie jednej z najpotężniejszych instytucyj finansowych w Galicyi, akcyjnego banku hipotecznego. Już w pierwszej kadencji sejmu galicyjskiego należał doń jako reprezentant większych posiadłości czortkowskiego okręgu; w r. 1865 wybrała go stolicą kraju, Lwów.

Tymczasem centralistyczny system rządów Schmerlinga upadł, a do władzy przyszedł (w lipcu 1865) Belcredi, który w manifestie wrześniowym zapowiedział ludom Austrii swobody narodowe i samorząd krajów. Pod wpływem tej zmiany ożywiła się na nowo tak zwana austriacko-polska, a raczej austriacko-galicyjska polityka, której głównym przedstawicielem był wówczas Gołuchowski, ten «cesarsko—królewski polak,» jak go złośliwie nazywali przeciwnicy,—i on też w d. 20 września 1866 r. otrzymał powtórna nominację na namiestnika kraju. Jako warunek ze swej strony przyjęcia urzędu, uzyskał Gołuchowski dla kraju szereg zdobyczy niezmierniej doniosłości; pominawszy już usunięcie znienawidzonych w kraju i krajowi nieprzychylnych urzędników Niemców, w koncesjach tych znajdują się takie, jak zaprowadzenie języka polskiego w całej administracji wewnętrznej kraju, jak zniesienie zamierzonego podziału Galicyi na wschodnią i zachodnią i t. d. Powracającego też z Wiednia już w charakterze namiestnika, Gołuchowskiego cały kraj i Lwów witały z rzetelnem uniesieniem, a wśród okrzyków czci i uznania umilkły głosy niechętnych, których mają wszyscy ludzie wybitni, a miał ich także Gołuchowski i w tej nawet epoce swej działalności. Na czas zaś tego okresu rządów Gołuchowskiego w Galicyi przypada pierwszy sejm galicyjski, otworzony mową polską (1866), oraz

powstanie Rady szkolnej krajowej, tudzież tak znaczne rozszerzenie jej atrybucyj w drodze administracyjnej w duchu autonomicznym (1867). Działalność Gołuchowskiego przyczyniła się w tym czasie w wysokim stopniu także do tego, aby obozy i stronnictwa polskie połączyć do wspólnej pracy w imię idei dalszego rozwoju Galicyi na podstawie narodowej i autonomicznej w granicach monarchii austriackiej. Ożywienie się jednak w Wiedniu kierunku centralistycznego za rządów gabinetu ks. Auersperga, wywołało ostrą rezulucję sejmu galicyjskiego w d. 24 września 1868; centraliści mszcząc się za to, spowodowali odwołanie zapowiedzianych już odwiedzin cesarskich w Galicyi, na które Gołuchowski wiele liczył i które spowodował. Otrzymawszy telegraficzną wiadomość o odwołaniu odwiedzin, pospieszył do Wiednia i powrócił stamtąd—z dymisyą. W d. 4 października odbył się we Lwowie na cześć ustępującego namiestnika wielki bankiet.

W następnym już jednak roku przebył Gołuchowski bolesną chwilę: na ratuszu lwowskim bowiem grono przeciwników jego i Ziemiałkowskiego, przy pomocy tłumu i młodzieży, niezdolnej zrozumieć stanowiska b. namiestnika, przeprowadziło na zgromadzeniu, nazwanem zgromadzeniem wyboreów, chociaż wyborcy stanowili małą tylko jego część, uchwalenie obu posłom miasta Lwowa votum nieufności za postawę, zajętą na ostatniej sesji sejmowej przy uchwaleniu wspomnianej rezolucyi z 24 września 1868 r. Obaj też niezwłocznie mandaty złożyli.

Za rządów hr. Hohenwarta powrócił Gołuchowski poraż trzeci (w r. 1871) na stanowisko namiestnika, — jak zawsze, i tym razem nie bez pewnych zdobyczy dla kraju; w szczególności uzyskał on wówczas zniesienie ograniczeń w wykładach polskich i rusińskich na uniwersytecie lwowskim. Z niezłamaną energią musiał namiestnik także i teraz bronić tego wszystkiego, co wywalczył dla Galicyi, bronić przeciw centralistom, którzy po upadku Hohenwarta powrócili do władzy, a którym w atakach na najważniejsze zdobycze, jak n. p. na Radę szkolną krajową, tak często pomagali krótkowidzący przeciwnicy Gołuchowskiego w kraju. Z tego okresu rządów Gołuchowskiego pamiętny jest jego memoriał przeciw rozciągnięciu na Galicyę ustawy o bezpośrednich wyborach do wiedeńskiej Rady państwa w miej-

sce wysyłania do niej delegacyi z sejmu; gdy jednak mimo starań jego a opozycyi posłów polskich ustawę tę w Radzie państwa przeprowadzono, Gołuchowski usiłował odwieść posłów polskich od secesyi z Rady państwa, a porzucenie secesyi okupić uzyskaniem innych, ważnych ustępstw dla kraju. Nie usłuchano jednak wówczas jego rady, a później skapitulowano bezwarunkowo i bez wszelkich dla kraju korzyści. Ostatecznie jednak usiłowania Gołuchowskiego odniosły ten rezultat, że w d. 23 kwietnia 1873 r. obsadzoną została na nowo opróżniona przez długi czas posada ministra dla Galicyi (objął ją dr. Floryan Ziemiałkowski). Nie ubiegając się o popularność, nie oglądając się na zadowolenie jednodniowych polityków i na krzykactwo niechętnych lub niedowarzonych, Gołuchowski, popierany przez zwolenników pracy spokojnej i użytecznej, zdołał uporządkować administrację kraju, zyskać uznanie dla niektórych żywotnych interesów Galicyi, obudzić żywszą pracę w kierunku dobrobytu i oświaty. Za jego też w wysokim stopniu poparciem powstała w d. 7 maja 1883 r. w Krakowie akademia umiejętności.

Na sesyi sejmowej w r. 1875 (w maju) Gołuchowski w świetnej mowie bronił jeszcze Rady szkolnej krajowej przeciw zarzutom przeciwników i sprawił, że sejm w uchwalonej rezolucyi uznał działalność tej Rady jako zbawienną, przez co

wystąpił także przeciw usiłowaniom centralistów odebrania tej Radzie autonomicznych atrybucyj. Było to ostatnie jego publiczne wystąpienie; rozpoczęła się dwumiesięczna ciężka choroba nerkowa (Brighta), z której już wyjść nie miał. Jeszcze na trzy dni przed śmiercią kazał sobie pokazać fotografie, przedstawiające stan wykonanych już robót przy budowie monumentalnego gmachu politechniki lwowskiej, który również jego opiece zawdzięcza swe powstanie.

«Historia kraju—pisał po śmierci jego głośny autor «Kronik lwowskich»—będzie miała kiedyś wiele do powiedzenia o hr. Gołuchowskim. To pewna, że powie ona nieskończenie wiele dobrego, a nader mało złego...»

A słusznie powiedział też Szujski: «Jakkolwiek hr. Gołuchowski zaczął i skądkolwiek wyszedł, to nie podlega wątpliwości, że zdobywszy zaufanie tronu, zajmując znaczące stanowisko w monarchii, wystąpił i coraz bardziej występował jako polak, i to nie w szacie przybranej, ale z głębokim zrozumieniem charakteru, wad i zalet narodowych, z sercem naród swój gorąco miłującym, z ambycją szlachetną, aby zrobić jak najwięcej dobrego, aby dobrą po sobie zostawić pamięć.»

Pamięć ta będzie też na zawsze dobrą.

Dr. Adam Bieńkowski.



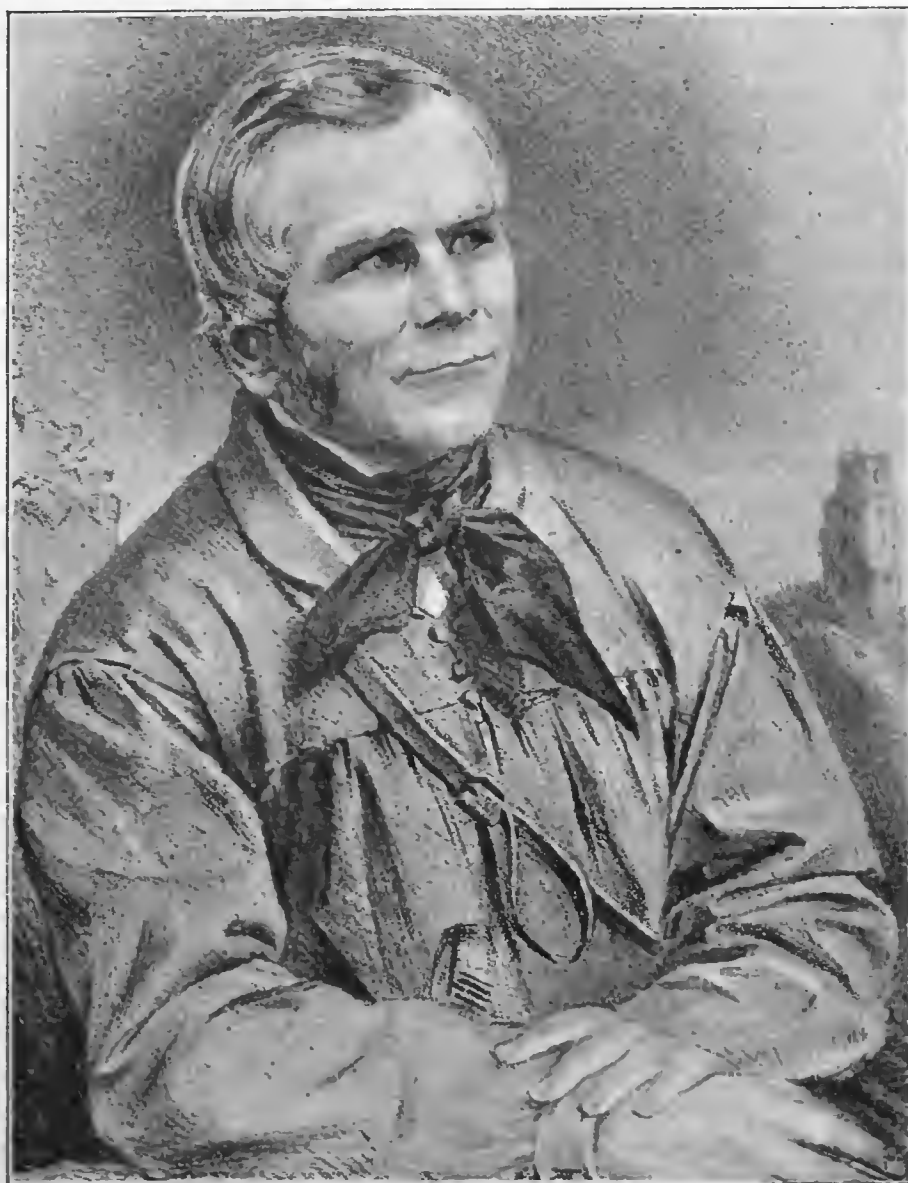
Wojciech Bogumił Jastrzębowski.

* 1799 † 1882.

We wsi Gierwaty, w dawnej ziemi Ciechanowskiej na Mazowszu, pod strze-

lec najwznioślejsze zasady bogobojności, miłości bliźnich, prawdy i ziemi rodzinnej wpłynęły stano-

wą dworku pana Macieja Jastrzębowskiego, cząstkowego dziedzica tej wioski, i małżonki jego Maryanny z Leśnikowskich, w dniu 15 kwietnia 1799 r. urodził się syn najmłodszy z liczного ich potomstwa, któremu dano na imię Wojciech i Bogumił. W kilka lat potem umarł ojciec, a chłopiec do dziewiątego roku życia pozostawał pod wyłączną opieką matki, zacnej niewiasty, której cnoty domowe były dlań w zaraniu życia świetnym wzorem, a wszczepione przez nią w duszę i serce dziecka proste,



Wojciech Jastrzębowski.

wczo na przyszłe jego usposobienie i losy. Z najwyższym też rozrzewieniem, już będąc sędziwym starcem, wspominał tę ukochaną swoją matkę, która go jakkolwiek również wcześniej osierociła, wszelako wpoila cześć dla Stwórcy wszechrzeczy i zamiłowanie do twórców przyrody, gdy pod jej okiem w małym szlacheckim gospodarstwie doglądał domowych zwierząt i ptactwa, uprawiał ogrodowe rośliny, zbierał i uczył się poznawać użyteczne zioła, stosować je w razie potrzeby, a tym sposobem cwi-

czył się bezwiednie w pierwszych początkach przyrodoznawstwa.

Po śmierci matki jedynym opiekunem siiesięcioletniego pacholęcia został najstarszy brat, żołnierz napoleoński, ustawicznie bojujący, jak cała młodzież szlachecka pod owe czasy. Ten oddał go do szkoły parafialnej w sąsiednim miasteczku Janowie, a następnie do szkoły wojewódzkiej w Płocku. Mniej zamożna młodzież szkolna mieszła się podówczas w skromnych domkach mieszczan i rzemieślników, a żywiła się kaszą, mąką i jarzynami, nadsyłanemi ze wsi przez rodziców lub opiekunów. Na takim też utrzymaniu, jak dziś nazwanoby, wegetaryanśkiem, młody Jastrzębowski poprzestawać musiał, a gdy i na książki nie stać go było, przepisywał pilnie zadane lekcje na bibule i wyuczał się ich przy bladym płomyku łojowej świeczki. Gdy zapadł na tyfus, tygodnie całe przeleżeć musiał w sieni domu, do której go przeniesiono przez obawę zarazy. Twardą więc była ta szkoła jego życia, w której hartował się młodzieniec na przyszłe losy i długie lata pracy i o której w starości często opowiadał.

Gdy brat najstarszy powrócił z wojaczki, przeniósł Wojciecha w r. 1816 do liceum warszawskiego. Ale i tu brak funduszków wielce dokuczał młodzieńcowi, zniewolonemu opuścić szkołę na samym jej ukończeniu i zabrać się do pracy na chleb powszedni. Nie ostudziło to jednak w nim bynajmniej zapału do nauki, bo w r. 1820 widzimy go zapisanego w poczet uczniów uniwersytetu warszawskiego na wydział nauk przyrodniczych. Tu już—jak pisze we wspomnieniu pośmiertnem dr. Karol Jurkiewicz—wyraźniej zarysowywa się powołanie Jastrzębowskiego. Uczy się sam i uczy dla chleba innych na przemiany. Podczas letnich wakacyj odbywa wycieczki naukowe po kraju, gromadzi zbiory przyrodnicze, czem zwraca na siebie uwagę zwierzchności uniwersyteckiej, i zostaje laborantem przy gabinecie fizycznym, nie przestając być studentem. Za układanie zielników dla uniwersytetu i innych szkół publicznych otrzymuje podziękowanie rady uniwersyteckiej. Wreszcie w końcu r. 1825 zdaje egzamin z odznaczeniem i otrzymuje stopień magistra filozofii. Po skończeniu uniwersytetu zwiedza Mazowsze pod względem przyrodniczym. W r. 1828 wynalazł Jastrzębowski narzędzie, służące do wskazywania czasu na wszystkich miejscach, do kreślenia kom-

pasów na wszelkich najnieforemniejszych powierzchniach, wreszcie do rozwiązywania bez pomocy rachunku wielu zagadnień astronomicznych. Narzędzie to pod nazwą *kompasu powszechnego* przedstawił władzy naukowej, jak również na ówczesnej wystawie przemysłu krajowego. Wartość tego przyrządu pochlebnie ocenił w specjalnym artykule profesor uniwersytetu Adryan Krzyżanowski («Gazeta polska» 1828 r., nr. 70 i 71, oraz «Monitor warszawski» z tegoż roku, nr. 50), jak niemniej komitet, wyznaczony przez Komisję oświecenia publicznego, złożony z profesorów uniwersytetu: Armińskiego, Garbińskiego, Krzyżanowskiego i Skrodzkiego. Na zasadzie sprawozdania tego komitetu, władza naukowa zleciła mechanikowi uniwersyteckiemu Migdalskiemu wykonać jak najdokładniej model «kompasu powszechnego» dla obserwatorium w Warszawie. Komitet znowu wystawy w urzędowym swoim sprawozdaniu oświadcza («Gazeta Polska» z r. 1828, nr 310), że wynalazek Jastrzębowskiego zasługiwałby na jedną z najpierwszych nagród, gdyby miał użyteczność raczej w technicznym, niż naukowym zawodzie.

Odtąd młody uczony zyskuje rozgłos i uznanie. W następnym zaraz 1829 roku mianowany zostaje przy uniwersytecie adjunktem - naturalistą z obowiązkiem badania kraju pod względem przyrodniczym. Z powodu zaś dwóch prac swoich, drukiem ogłoszonych: *Wypadki z doświadczeń meteorologicznych, czynionych od najdawniejszych czasów po r. 1828*, i *Karta klimatologiczna*, otrzymuje zaszczytną godność członka Towarzystwa przyjaciół nauk.

Po zamknięciu uniwersytetu Aleksandryjskiego Jastrzębowski przez lat kilka przerwy w służbie publicznej nie przestawał pracować na polu naukowym, bądź zajmując się prywatnem kształceniem młodzieży w umiejętnościach przyrodniczych, bądź robiąc wycieczki naukowe po kraju i na wycieczkach tych zbierając starannie rośliny i ciała kopalne, które opisywał i zaznajamiał z nimi nauczycieli szkół publicznych, zwracając mianowicie ich uwagę na znaczenie każdego z tworów przyrody pod względem gospodarskim, leczniczym lub przemysłowym.

Dopiero atoli szerokie pole działalności naukowej otworzył Jastrzębowskiemu rok 1836, w którym został mianowany profesorem historii

naturalnej, fizyki i ogrodnictwa w Instytucie gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Marymoncie pod Warszawą. Dwudziestodwuletnia praca jego w tym zakładzie naukowym była najświetniejszym okresem jego życia, wdzięcznie a korzystnie zapisanym w pamięci i sercu licznych jego uczniów. Bo potężny wpływ jego moralny na młodzież — jak twierdzą wszyscy jego uczniowie i najlepszy żywotopisarz jego, dr. Karol Jurkiewicz, którego zdania dosłownie tu przytaczamy,—o wielekroć przewyższał doniosłością swoją wykładane teorie naukowe. Z brzaskiem dnia powoływał młodzież do pracy ręcznej około roli w polu i w ogrodzie i dawał z siebie przykład, chwytając za rydel czy motykę. A przy robotach tych na roli, oprócz agronomicznych uwag i objaśnień, wpajał w otaczającą siebie młodzież najwznioślejsze zasady cnót obywatelskich, miłość do pracy, do oszczędności, do rodzinnego zagona, do nauki i do służenia dobru społecznemu. Własnymi i uczniów swych rękoma założył w Marymoncie ogród botaniczny i warzywny, gdzie uprawiano doświadczalnie wszelkie gatunki roślin zbożowych, pastewnych, leczniczych, fabrycznych i najcenniejsze z drzew krajowych. Co święto odbywał z wychowawcami instytutu wycieczki po okolicach Warszawy, a co wakacje—podróż pieszą po kraju, dla zwiedzenia najcelniejszych gospodarstw i praktycznego zaznajomienia się z przemysłem rolniczym. Stosunek, jaki łączył zacnego przewodnika z młodzieżą, miał charakter w zupełności rodzinny, bo nacechowany był miłością dobrego ojca do licznych jakby synów i nawzajem. Wpływ ten moralno-naukowy stał się wówczas głośnym i został powszechnie ocenionym, więc też mianowały Jastrzębowskiego swoim członkiem liczne instytucje naukowe, a mianowicie: w r. 1850 Towarzystwo naukowe krakowskie, w roku 1852 Cesarskie Towarzystwo ekonomiczne w Petersburgu, w roku 1854 galicyjskie Towarzystwo gospodarskie we Lwowie, r. 1856 także Towarzystwo w Krakowie, w r. 1858 Towarzystwo rolnicze w Warszawie.

W tej to epoce wydał Jastrzębowski kilka dzieł treści przyrodniczej, a mianowicie: *Układ świata, zastosowany do potrzeb powszechnych, Historię naturalną ogólną, Stychiologię czyli naukę o początkach wszechrzeczy, wreszcie Mineralogię*. Poglądy filozoficzne autora, w dziełach tych uwydatniane, nie znalazły uznania wśród uczonych

nowej szkoły. Wszyscy jednak przyznali, że z każdego ustępu prac powyższych tchnie zacna żądza przyniesienia jak największego pożytku ogółowi i gruntowna znajomość ziemi rodzinnej, którą autor znał od skiby do skiby, przemierzywszy ją wielokrotnie własną stopą, i którą kochał, jak kocha uczciwe dziecko swoją matkę.

W r. 1858 Jastrzębowski usunął się z Marymontu wskutek nieporozumień ze Zdzitowieckim. Obaj bowiem na polu teoryj rolniczych przedstawiali kierunki przeciwne sobie krańcowo. Zdzitowiecki, znakomity chemik teoretyczny, widział jedynie postęp rolnictwa w rezultatach otrzymanych z pracowni chemicznej; Jastrzębowski znowu wierzył przede wszystkim w praktykę, obserwację doświadczalną w naturze, badanie fizjologii roślin i uprawę fizyczną roli. Jeden i drugi posuwał poglądy swoje zbyt krańcowo, więc też przeniesiono Jastrzębowskiego na posadę inspektora szkoły powiatowej przy ulicy Rymarskiej, co było dla niego ciosem bolesnym, bo odrywało go od młodzieży dorosłej i od życia z przyrodą. W niespełna jednak dwa lata (r. 1860) ówczesna Komisya skarbu ofiarowała mu posadę komisarza leśnego w Łomżyńskim, z zadaniem zadrzewienia rozległych na mil parę piaszczystych manowców i pustkowi, zwanych *Czerwonym borem*, i kierowania praktyką leśną młodzieży, pragnącej poświęcić się leśnictwu. Było to zadanie mozolne, któremu jednak podołać mógł tylko człowiek podobnie żelaznej wytrwałości w pracy i tak zamięłowany w hodowli drzew krajowych, jak siwiejący już, ale jeszcze jary duchem Jastrzębowski. Tu w leśnej osadzie zwanej Feliksowem, w pobliżu miasteczka Broku, przy pomocy praktykantów wyhodował w ciągu lat 10-ciu i wysadził około miliona okazów w 200 gatunkach drzew leśnych, owocowych, parkowych i ozdobnych.

Po 40-tu latach pracowitej i tak pożytecznej dla kraju służby publicznej otrzymał nasz przyrodnik w r. 1874 dobrze zapracowaną lubo skromną pensję emerytalną. Nie mogąc jednak, pomimo sędziwych lat, żyć bez krzątania się około dobra ogólnego, wziął w dzierżawę ogród na Czystem pod Warszawą i w nim założył własnym kosztem i pracą rąk własnych plantację drzew, jak nazywał «ginących», t.j. mało pielęgnowanych w kraju, i tu znowu przez lat 5 ciężko się mozolił. W owej to epoce odwiedzał nieraz mieszkającą w Łom-

żyńskiem jedną z córek swoich, panią Godlewską, i wtedy właśnie piszący niniejsze wspomnienie miał zaszczyt poznać bliżej sędziwego starca, zakładającego szkółki modrzewiowe, korzystać z jego wskazówek, słuchać jego opowiadań i podziwiać jego bezgraniczne zamiłowanie do pracy pożytecznej, zamiłowanie, które usiłował na każdym kroku przelewać w umysły i serca otaczających go ziomków, a zawsze z tym celem i myślą szlachetną, aby praca ich przyniosła pożytek rzetelny ogółowi.

Tak stargawszy ostatnie siły swoje, nie mogąc już utrzymać się na nogach, zmuszony był (na 3 lata przed zgonem) przenieść się do Warszawy, a jeszcze krzątał się około wytwarzania ochronnych żywopłotów wzdłuż planty kolei Warszawsko-wiedeńskiej i szkółek drzew przy stacyach, do czego miał zaproszenie Dyrekcyi tej drogi, bez odpowiedniego jednak potem poparcia. W r. 1873 wydał książkę zbiorową swoich prac pomniejszych p. n. *Owoc siedemdziesięcioletniej pracy*. Z prac jego własnych, które przełożył na język francuski i wysłał na wystawę paryską w r. 1867, wymienić należy *Carte climatologique de Varsovie*, gdzie

przedstawił plan fermy wzorowej, obejmującej wszystkie gałęzie przemysłu rolnego. Wielki zbiór roślin z całego kraju, czyli zielnik, gromadzony od r. 1822, jako też zbiór minerałów, skał i ziem z przestrzeni od Karpat do pomorza bałtyckiego ofiarował Jastrzębowski w r. 1858 nowo zawiązanemu Towarzystwu rolniczemu w Warszawie. W ostatnim dniu r. 1882, a 84 roku swojego żywota zgasł ten najzaczniejszy nauczyciel i niestrudzony pracownik niwy rodzinnej, a w dniu 3 stycznia (1883 r.) widzieliśmy, jak przybyli ze wsi siwowłosi jego uczniowie - ziemianie na barkach swoich ponieśli jego zwłoki z kościoła św. Krzyża na cmentarz Powązkowski. Tu nad otwartym grobem miał piękną mowę hr. Leon Jungowski, w której, przytoczywszy słowa Jastrzębowskiego, mawiane często uczniom: «Kochajcie wszystko i wszystkim, bo tylko z miłości podjęta praca może rodzić owoce zdrowe i posilne» — zamknął rzewne pożegnanie ze zmarłym słowami: «Wierzyłeś, pracowałeś, czyniłeś!...»

Zygmunt Gloger.



Henryk Markoni.

(*1792—†1863).

Henryk Markoni, budowniczy, urodzony w Bolonii, we Włoszech, gdzie wykształcił się fachowo, wniósł do kraju naszego zaród artyzmu niezwyklej miary i doniosłości. Pochodził z rodziny artystycznej i w zstępującem pokoleniu posiew artyzmu pozostawił. Te czterdzieści lat, stale w Warszawie przeżytych, zappełnił płodną działalnością na niwie architektury i wywarł niezwyklej wpływ na inne sztuki plastyczne przez swą twórczość bogatą, naukę i dobry przykład wreszcie.

Pierwszą pracą, którą Markoni ozdobił Warszawę, jest pałac przy ulicy Miodowej (dziś Nr. 11), do którego przebudowy wezwał go w r. 1828 Ludwik

Pac. Przebudowa ta i dobudowanie frontu i wjazdu od ulicy dowiodły odrazu niezwyklej zdolności w młodym architekcie; pałac bowiem właściwy,

† w głębi dziedzińca umieszczony, nie stoi równolegle do ulicy; Markoni więc zbudowaniem wjazdu

o dwóch bramach i wielkiej niszy środkowej półokrągłej w półkolistem zagłębieniu wywołał na oko patrzącego wrażenie złudzenia, że pałac jest równoległy do ulicy. To dzieło talentu zapewniło Markoniemu sławę i odrazu postawiło go na drodze do dalszych prac bardzo licznych. Dla tegoż samego Paca wybudował zamek w stylu anglo-gotyckim w jego majątku Dowspudzie w Augustowskiem; tamże postawił kościół w Raczkach. Po Corazzim, który był w Warszawie czynnym do r. 1845, najwięcej i najważniejszych budowli wznosił Markoni. Od



Markoni

† tego czasu datuje się najważniejsza działalność jego. W r. 1840 rozpoczął budowę kościoła ś-go Karola Boromeusza w stylu bazylik średniowiecznych o pół-

kolisto zakończonej absydzie i płaskim stropie; wprowadził tu nowość, a mianowicie kolumny oddzielające nawy z żelaza lanego, środek konstrukcyjny poraz pierwszy w Warszawie użyty, który dzisiaj stał się powszechnym. Ostatnią pracą Markoniego był wspaniały wymiarów kościół Wszystkich Świętych na Grzybowie, ukończony już w wiele lat po jego śmierci. Do najpiękniejszych zaś świątyń przez niego wzniesionych należy kościół parafialny w Wilanowie w stylu odrodzenia. Wogóle zbudował on w całym kraju kościołów 25, jak o tem świadczy napis, na ścianie kościoła wilanowskiego umieszczony.

Z gmachów publicznych zbudowanych przez niego najpierwszą w Warszawie była stacya kolei Warszawsko-wiedeńskiej, która stanęła w r. 1844. Oryginalność pomysłu jej polega na tem, że dwie wieże po końcach budowli wydłużonej w całości z korpusem robią wrażenie kominów dwóch z sobą złączonych lokomotyw, jakoby po obu końcach pociągu umieszczonych.

Taki zdaje się być zaród myśli artystycznej w układzie tej budowli. Gdy budowano dworzec, Markoni wprost niego wystawił dla siebie niewielki, czworokątny pawilon, do którego przybyły potem jeszcze dwa: końcowy, odpowiadający pierwszemu, i środkowy, największy. Całość ta bardzo oryginalnie pomyślana i artystycznie przeprowadzona.

Pierwsze wodociągi w Warszawie są pomysłu Markoniego; najpiękniejszą ich częścią architektoniczną jest ówczesna wieża ciśnień, zbiornik w ogrodzie Saskim, rotunda o kolumnadzie, tak umieszczona, aby się znalazła po przebicciu ulicy Niecałej na jej osi. Brama, stanowiąca wniście od ul. Karowej, dziś już zburzona, należała do całości budowli wodociagowych. Estetyczne względy miał ten niepospolity architekt zawsze na uwadze i one to spowodowały wystawienie otwartej kolumnady, łączącej dwa korpusy pałacu Saskiego, skutkiem czego mamy otwarty widok z Krakowskiego-przedmieścia na ogród Saski. Pod względem konstrukcyi ciekawym jest dom Lesserów, szklanym wysokim dachem na kryty, stanowiący jedną wielką z żelaza zbudowaną halę sklepową w rodzaju Luwru lub sklepu «Au bon marché.» Jednym z najważniejszych budynków publicznych Markoniego jest pałac Towarzystwa kredytowego ziemskiego, w którym archi-

tekt rozwinął piękny pomysł wewnętrznego ozdobienia sali ogólnych zebrań malowidłami freskowymi Krakowskie-przedmieście w Warszawie zyskało. (w r. 1857—58) poważną ozdobę przez gmach hotelu Europejskiego o pięknie użytych zaokrągleniach; hotel ten, po europejsku urządzony, jest pierwszym nie tylko u nas, ale i wogóle w Europie dobrze obmyślanym we wszystkich szczegółach o wszechstronnych wygodach i własnej kanalizacyi. Ma on schody wyjątkowo oryginalne, których zakręty dają widok z jednego piętra na drugie. Tu także freskowe ozdoby pokrywają niektóre komnaty, jak np. dolną salę jadalną i salę narożną pierwszego piętra.

Podług planów Markoniego wybudowano w Królestwie 7 ratuszów, 5 szpitali i 11 więzień (w Warszawie przy ulicy Dzielnej i Piwnej); z innych budowli zasługuje na uwagę gmach wód mineralnych w Ciechocinku i w Saskim ogrodzie w Warszawie. Do prywatnych budowli Markoniego zdobiących miasto należą: były pałac Zamojskiego na Nowym-Świecie (Nr. 69), pokryty płaskorzeźbami Malińskiego, dom Grodzickiego na Krakowskiem-przedmieściu (Nr. 7), Rapackiej przy rogu Oboźnej i Sewerynowa (Nr. 7) i t. d. W wielu z nich spostrzegamy ten cechujący pomysł Markoniego rys, a mianowicie dążenie do całości estetycznej przez dopełnianie architektury rzeźbą i malowidłami. Kościół ś-go Karola Boromeusza upiększony został nazewną szeregami, obecnie zapelnionych postaciami świętych, a przed kościołem obrane zostały miejsca dla czterech Ojców kościoła. Kościół W.W. Świętych ozdobiony postaciami świętych takim samym sposobem aż po ostatnią kondygnację wież, na której stoją aniołowie. Na pałacach i domach prywatnych widzimy także upiększenia z posągów i rzeźb dłuta znakomitych rzeźbiarzy: Molatyńskiego, Ślaskiego, Osińskiego i innych. Markoni dał nam dobry przykład czystości form architektonicznych, sumiennosci w obrobieniu szczegółów, właściwego zastosowania ozdób, wreszcie pokrywania wewnętrznych pól malowidłami, co stale się w pomysłach jego powtarza. Jest to właśnie jeden z najważniejszych objawów wpływu estetycznego tego mistrza na współczesną sztukę krajową.

Markoni zasłużył się społeczeństwu i na innych polach działalności publicznej, czy to jako

członek Rady budowniczej przy komisji spraw wewnętrznych (od r. 1827), czy też jako profesor budownictwa w szkole sztuk pięknych od r. 1851 do r. 1858, czy to wreszcie jako autor dwóch dzieł niepośledniej wartości w zakresie architektury: *O porządkach architektonicznych* z dodatkiem zbioru ozdób starożytnych (1837) i *Zbiór*

projektów architektonicznych (1838). Charakterystycznym rysem dzieł Markoniego jest prostota form, w której niema nigdy przeładowania ozdobami, piękna bowiem szukał on zawsze w proporcjach architektonicznych.

Wojciech Gerson.



Ks. Jakób Falkowski.

* 1775 † 1848.

Słusznie zaliczony w poczet najwybitniejszych filantropów naszych, którzy dla ulżenia niedoli bliźnich, ich nędzy lub kalectwu poświęcili pracę całego życia swego, ks. Jakób Zebedeusz Falkowski, założyciel Instytutu głuchoniemych w Warszawie, urodził się z rodziców, niezamożnych ziemian, we wsi Budlewo, w pow. Bielskim, gub. Grodzieńskiej. Początkowe nauki, jako małe 7-letni, rozpoczął u ks. misjonarzy w Siemiatyczach, potem uczył się w Drohiczynie w szkole pijarskiej, a po jej ukończeniu wstąpił do zakonu pijarów, nie przestając dalej pracować nad teologią w Szczuczynie i w Łomży. Po ukończeniu studyów jeszcze przed otrzymaniem święceń kapłańskich został nauczycielem młodszym w szkole pijarskiej w

Szczuczynie, a w kilka lat potem mianowany był prefektem tejże szkoły i na tem stanowisku roz-

winął energiczną działalność, podtrzymując godnie w dalszym ciągu wyrobioną opinię szkoły szczuczyńskiej, uważanej w swoim czasie za jeden z najlepszych zakładów naukowych polskich w Prusach.

W r. 1803 na żądanie wizytatora szkolnego, Niemca Zöllnera, udał się z dwoma kolegami do Berlina, aby kształcić się dalej w zawodzie nauczycielskim i zaznajomić się dokładnie z ustrojem szkolnym w Prusach; atoli po roku studyów wrócił do kraju i był zamianowany nauczycielem w Drohiczynie, skąd wszakże w roku 1807 już po ustąpieniu prusaków powołano go znów do Szczuczyna, ażeby upadłą podczas wojny Napoleońskiej szkołę nowo zorganizował i podniósł. Przy pomocy pieniężnej mieszkańców miejscowych ks. Falkowski dobrze wy-

wiązał się ze swego zadania, zwalczając niemałe nastroczające się przytem trudności.



Ks. Jakób Falkowski

Od tego czasu aż do r. 1815 ks. Falkowski gorliwie pracuje w Szczuczynie, jako nauczyciel, rektor szkoły pijarskiej i jako kapłan. Jeszcze przed wyjazdem za granicę wziął był do siebie na wychowanie głuchoniemego sierotę Piotra Gąsowskiego, którego usiłował wszelkimi sposobami nauczyć mówić. Z początku, nie znając jeszcze sposobów, używanych w tym razie przez głóśnych w Europie współczesnych mu uczonych francuzów: Karola de l'Epée i Sicard'a, a także niemca Samuela Heinicke'go i innych, Falkowski nie mógł otrzymać żadnych rezultatów praktycznych, tembardziej, że stosował niekiedy środki, bieżmyślnie wówczas używane przeciw głuchocie i niemocie, jak np. podcinanie języka, uszu, golenie głowy i t. d. Później dopiero, doszedłszy samodzielnie do wniosku, że przyczyną niemoty jest właściwie głuchota tylko, która uniemożliwia pochwycenie dźwięków, zbadał układ organów mowy i ich ruchy w chwili wypowiedzania głosek, a następnie pokazywał uczniowi, jak się wymawia każdy dźwięk, i żądał zaraz naśladowania układu ust i wogóle ruchów narzędzi mowy swego nauczyciela, który jednocześnie pisał odpowiednią literę. W ten sposób po długiej i mozolnej pracy nauczył chłopca wymawiania wielu wyrazów, później pacierza, czytania i pisania, a nawet geografii, arytmetyki, wreszcie kaligrafii i rysunków. Tak świetne rezultaty, otrzymane w tym względzie, zwróciły baczną uwagę Izby edukacyjnej, której ks. Falkowski przedstawił swego ucznia i złożył opis użytej przez siebie metody. Wskutek tego Izba poleciła mu udać się do Wiednia dla zbadania systemu, używanego przy nauce głuchoniemych w instytutach zagranicznych. Otrzymawszy od znanego filantropa, Staszycza, wówczas prezesa Towarzystwa przyjaciół nauk w Warszawie, 1800 złp., udał się w r. 1815 w podróż, wzięwszy z sobą trzech chłopców głuchoniemych, aby natychmiast nabyte wiadomości teoretyczne stosować w praktyce w mowie ojczystej. Pół roku upłynęło Falkowskiemu w Wiedniu na nieustannych studyach w częstym przytem niedostatku, z którego ratowała go pomoc pieniężna ks. Lubomirskiej; dzięki jej mógł się on sam utrzymać za granicą i zabranych chłopców wyżywić. Oprócz studyów specjalnych nad nauczaniem głuchoniemych, Falkowski nie zaniedbał korzystać z wykładów pedagogiki w Wiedniu,

przytem kształcił się tamże w naukach przyrodniczych, zwiedzał po miastach niemieckich muzea, a po wsiach — gospodarstwa wzorowe. Po złożeniu w Instytucie wiedeńskim egzaminu z umiejętności nauczania głuchoniemych, przybył do Krakowa, gdzie w r. 1816 otrzymał stopień doktora filozofii na mocy dysertacji *De instructione surdorum et mutorum*; wkrótce potem został członkiem korespondentem krakowskiego Towarzystwa naukowego.

Po powrocie do Warszawy i po złożeniu przed specjalną komisją z S. B. Lindem na czele szczegółowego sprawozdania ze swego pobytu za granicą, ks. Falkowski otrzymał nominację na dyrektora Instytutu głuchoniemych i ociemniałych, otwartego w tym czasie przy szkole w Szczuczynie. Tam udał się nasz filantrop, ale wkrótce potem wypracował obszerny memoriał, w którym wskazuje konieczność przeniesienia tego zakładu ze Szczuczyna do Warszawy. Komisya wyznań i oświecenia publicznego uwzględniła ten projekt i już po roku ks. Falkowski przybył razem z wychowawcami swymi do stolicy, gdzie zamianowano go rektorem Instytutu głuchoniemych, otwartego w r. 1817. Nowy ten zakład, wzięty na etat rządowy (12,000 zł. rocznie), otrzymał prawa ówczesnych szkół wojewódzkich i mieścił się najpierw w oficynie pałacu Kazimierowskiego.

Z wielką energią i wytrwałością zabrał się ksiądz rektor do pracy w umiłowanym gorąco przez siebie zawodzie, zwalczając różnorodne przeszkody, które się co chwila nastęrczały; najdotkliwiej bezwątpienia dawał się uczuć brak środków materyalnych; przeznaczona przez skarb suma okazała się zbyt szczupłą, by można było utrzymać zakład przy zwiększającej się co rok liczbie wychowawców (w r. 1821 Instytut liczył już 41 uczniów i uczennic). Ksiądz Falkowski całą swą pensyę rektorską w ilości 4,000, a później 6,000 zł. przeznaczył na potrzeby Instytutu, przytem uciekał się niejednokrotnie do ofiarności publicznej. Zdarzało się czasem, że niektóre niezbędne sprzęty pokojowe sam własnoręcznie robił z wyproszonego materyału. Ofiary publiczne płynęły bardzo skąpo, ogół bowiem nie rozumiał jeszcze całej doniosłości podobnej instytucji dobroczynnej i zbywał byle czem jej założyciela, który niekiedy był narażony na bolesne szyderstwa. Tak np. jeden z młodych arystokratów

nadesłał mu w ładnej kopercie jako ofiarę grosz z dopiskiem: «Jaki cel, taka ofara». To jednak ciągle borykanie się z niedostatkiem materialnym nie zraziło zacnego kapłana, a chociaż niekiedy przychodziły chwile zwątpienia i pesymizmu, wszakże znikwały szybko i znów wracała dawna energia, podsycana wielką miłością upośledzonych dzieci i poczuciem ważności podjętej pracy.

Utworzywszy oddział dla dziewcząt głuchoniemych, ks. Falkowski wyszukał bardzo zdolną dozorczynię w osobie p. Maryanny Pers, która swe obowiązki pełniła aż do r. 1852 z wielkiem poświęceniem się i gorliwością, a nabywszy praktycznych wiadomości, została potem i nauczycielką w zakładzie, gdzie uczyli oprócz samego rektora wybierani przez niego nauczyciele, z których najzdolniejszymi byli: fizyolog dr. Sistrzyński i ksiądz Firsiukowski, pomocnik i prawa ręka ks. rektora. Jest to niewątpliwie jedna z większych zasług jego, że umiał on dobierać nauczycieli zdolnych, wykształconych gruntownie i potrafił przelać w nich swą miłość do uciążliwego zawodu i zachęcić do ciągłych studyów w zakresie ich specjalności; dlatego też ci pierwsi wychowawcy, którzy zyskali nawet pewien rozgłos w literaturze pedagogicznej, nie zasklepili się w swej rutynie, jak to bardzo często się zdarza, lecz wciąż szli naprzód z postępem nauki, przyswajając sobie nowe jej zdobycze i temsamem ciągle się doskonaląc w swoim zawodzie.

Co do sposobu nauczania, należy zauważyć, że z początku przed wyjazdem do Wiednia, podczas praktyki swej nad Gąsowskim ksiądz Falkowski przyszedł do wniosku, jak to widzieliśmy, iż najlepszą jest metoda niemiecka głosowa, polegająca na powolnem i wyraźnem wymawianiu dźwięków i zmuszaniu ucznia do ich powtarzania; później atoli pod wpływem nauczycieli Instytutu wiedeńskiego, zwolenników francuskiej metody migowej l'Epée'go, polegającej na użyciu alfabetu palcowego i mowy piśmiennej, zmienił częściowo swój system dotychczasowy i za podstawę nauczania głuchoniemych przyjął migi, stosując wymawianie tylko w niektórych razach z uczniami zdolniejszymi. Oprócz samej nauki piśmiennej ks. Falkowski, chcąc każdemu z wychowanców dać jakiś fach w ręce, by ułatwić mu w przyszłości sposób zarobkowania, wprowadził naukę rozmaitych rzemiosł i zajęć ręcznych, a więc:

tkactwo, szewctwo, krawiectwo, ślusarstwo, stolarstwo, introligatorstwo, a także snycerstwo, rzeźbiarstwo i malarstwo; dziewczęta uczyły się robót kobiecych, gospodarstwa i tkactwa. Oceniając takie zasługi i pracę niezmordowaną zacnego kapłana, warszawskie Towarzystwo przyjaciół nauk w r. 1819 zaliczyło go w poczet członków swoich i ofiarowało mu wielki medal złoty z napisem z jednej strony łacińskim, z drugiej — greckim

Gdy liczba wychowanców stale wzrastała, a z tego powodu dotychczasowe mieszkanie w pałacu Kazimierowskim było już za szczupłe, Instytut przeniesiono do domu pp. Wizytek na Krakowskim-przedmieściu; atoli i tam były liczne niedogodności, które zmusiły księdza Falkowskiego rozpocząć starania około wzniesienia specjalnego gmachu dla zakładu. Podniesiony w r. 1822 etat Instytutu do 38,000 zł. (a w kilka lat potem do 44,000), wyasygnowana przez rząd jednorazowo suma w ilości 18,000 rub., wreszcie znaczne ofiary, przez kilku ludzi dobrej woli złożone (Staszycza, Edwarda Lubomirskiego, założyciela Instytutu oftalmicznego, i Berka Sonnenberga), pozwoliły zamiar ks. Falkowskiego urzeczywistnić. W r. 1826 dnia 26-go kwietnia położono kamień węgielny pod budowę istniejącego obecnie gmachu Instytutu głuchoniemych przy placu Ś-go Aleksandra. W tem miejscu ks. Falkowski wskutek braku dostatecznych funduszy wzniósł tylko korpus frontowy, oficyny zaś wybudował dopiero trzeci z kolei rektor Instytutu ks. I. Szczygielski, który jednocześnie otworzył nowy nie istniejący do tego czasu oddział ociemniałych (w r. 1842).

Zostawszy proboszczem i administratorem nowopowstałej parafii Ś-go Aleksandra, ks. Falkowski resztek sił swych nie szczędził, by mógł obok zajęć dawniejszych zadość uczynić nowym obowiązkom. Czuł jednak, że przy nawale pracy nie może im podolać; kilkakrotnie więc podawał prośbę o dymisyę, atoli na razie bezskutecznie; nakoniec w r. 1831 siódmą z kolei prośbę ówczesny minister oświecenia Lelewel uwzględnił, zamianowawszy na jego miejsce rektorem Instytutu nauczyciela zakładu Wawrzyńca Wysockiego. Od tej pory do r. 1837 ks. Falkowski, pozostając proboszczem parafii Ś-go Aleksandra, mieszkał w gmachu zakładu i w razie potrzeby zastępował tylko nauczycieli. W r. 1837 wyjechał do Sejnu, gdzie był spowiednikiem i towarzyszem wi-

zyt pasterskich biskupa Straszyńskiego, ale po dwóch latach wrócił do Instytutu, gdzie jeszcze sześć lat mieszkał, wciąż otaczając troskliwą opieką ukochany zakład; poczem od r. 1845 do 1848 stale przebywał w Guzowie, majątku b. ministra sprawiedliwości hr. Łubieńskiego, którego był spowiednikiem i kapłanem. Po jego śmierci wrócił do Warszawy w r. 1848 i w kilka miesięcy potem zakończył życie. Ciało jego spoczęło w podziemiach kościoła Ś-go Aleksandra, w którym wzniesiono mu w r. 1874 pomnik z marmuru, a w r. 1875, jako w setną rocznicę urodzin wielkiego filantropa, ustawiono w ogrodzie Instytutu popiersie jego wykonane przez głuchoniemych.

Życie zasłużonego człowieka było jednym pasmem ciągłej pracy ciężkiej, ciągłego borykania się z przeciwnościami i nieustannych zabiegów około instytucyi, dla której poświęcił całkowicie samego siebie. Jest on jedną z tych nie licznych wogóle jednostek, które pojmują dobrze, że tylko ciągła i wytrwała praca wiedzie do celu, że chcąc istotną przynieść korzyść społeczeństwu, potrzeba je całą duszą ukochać i dla niego poświęcić samego siebie, że wreszcie to tylko ma trwałe podstawy, co jest uczuciem miłości przepromienione. To też w życiu księdza Falkowskiego miłość biedaków przez los upośledzonych była najsilniejszym bodźcem do pracy, wśród której zdarzały się niekiedy przelotne chwile zwątpienia w możność całkowitego osiągnięcia celu, co zresztą jest zwykłym objawem u ludzi wrażliwych i zbyt mało ceniących własne siły, jakim

był właśnie ksiądz rektor, który nawet prośbę o uwolnienie motywował w zbytnej skromności «opieszalnością» (!) swoją, przypisując jej zamały, wedle jego mniemania, rozwój Instytutu. Falkowski chciał go uczynić pierwszorzędnym w tym rodzaju zakładem w Europie; świadczą o tem nieustanne jego projekty najróżnorodniejsze, mające na celu rozwój i zabezpieczenie bytu instytucyi; gdy jednak projektów tych urzeczywistnić całkowicie nie mógł przeważnie dla braku gorętszego poparcia ze strony ogółu, zacny kapłan nie użalał się na okoliczności zewnętrzne i niezależne od niego, lecz natomiast we własnym jakoby niedołęstwie starał się dopatrzeć przyczyn złego. Taka nieufność we własne siły, brak jakiegokolwiek zarozumiałości i bezwzględna pokora stanowią zasadniczy rys charakteru zasłużonego kapłana.

Na zakończenie zaznaczyć wypada, że ks. Falkowski niekiedy w chwilach wolniejszych poświęcał się pracy piśmienniczej; wydał mianowicie dwie rozprawki: *O Instytucie głuchoniemych warszawskim* (1819), w której spotykamy wytrawne i nacechowane miłością przedmiotu poglądy autora na zadanie i obowiązki nauczyciela takiej instytucyi, i *O trudniących się nauczaniem głuchoniemych od XVI wieku*, rzecz, czytana w r. 1820 na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk i wydrukowaną w jego rocznikach. Obok tego ogłosił drukiem kilka kazań i innych mniejszego znaczenia drobiazgów.

J. Nitowski.



Franciszek Smolka.

(* 1810 † 1899).

Nazwano go dębem...
I rzeczywiście, jak dąb-dewajtis przez

przez pół wieku
zgórą opierał się
burzom i nawał-
nicom politycz-
nym, — a nawet
wówczas, gdy one
druzgotały słab-
szych, łamały
chwiejniejszych, on
z walki wychodził
zawsze niepożyty
i niewzruszony, co
raz pożyteczniej-
szy krajowi, coraz
większą otaczany
aureolą przez swo-
ich i obcych.

Syn drobne-
go urzędnika, ślą-
zaka, i matki, węg-
ierki, ten później-
szy przedstawiciel
patryotycznej de-
mokracyi polskiej
w Galicyi, przy-
szedł na świat w
Kałuszu w dniu 5
listopada 1810 r.
Ojca utracił Smol-
ka już w młodo-
cianym wieku. Na-
uki średnie pobie-
rał we Lwowie i
tam też w r. 1832
ukończył wydział

prawniczy na uniwersytecie, a w cztery lata póź-
niej uzyskał stopień doktorski.



Smolka

Była to wówczas
dla Galicyi epoka
ciężkich doświad-
czeń i łatwo zapal-
na a gorąco ko-
chająca kraj mło-
dzież, nie mogąc
swych usiłowań
przeprowadzić w
sposób legalny,
szukała niebezpie-
cznej i szkodliwej
drogi tajnych sto-
warzyszeń. W tej
robocie zaś żywy
udział już od r.
1834 brał Fran-
ciszek Smolka; był
jednak tak pra-
wym, iż nie chcąc
sprzeniewierzać
się swym obowią-
zkom i grać po-
dwójnej roli, wy-
stąpił z urzędu,
gdzie już rozpo-
czął był praktykę,
a poświęcił się ka-
rjerze adwoka-
ckiej. Główną ten-
dencyą tajnego
„Stowarzyszenia
przyjaciół ludu,”
którego jednym z
najczynniejszych
członków stał się

wnet Smolka, było rozbudzenie narodowego poczucia, wzajemne oświecanie się, przygotowywanie ogółu do usamowolnienia i uwłaszczenia włościan. O wiele radykalniejszym było „Sprzysiężenie demokratów,” które powstało po rozwiązaniu poprzedniego stowarzyszenia, spowodowanem aresztowaniami wielu jego członków. W lecie r. 1841 nastąpiły jednak nowe aresztowania i Franciszek Smolka, który na rok przedtem uzyskawszy zezwolenie władz, otworzył kancelaryę adwokacką, ożenił się z Leokadyą Beckerówną i świeżo został ojcem syna Władysława, znalazł się nagle w d. 20 sierpnia 1841 r. w więzieniu pokarmelickiem we Lwowie. W samotnej celi, liczącej cztery kroki długości, przebył pełne dwa lata; w trzecim dopiero roku otrzymał za towarzysza późniejszego ministra dla Galicji, Florjana Ziemiałkowskiego. Proces włókł się niemal przez cztery lata i dopiero w d. 21 stycznia 1845 odczytano Smolce wyrok, skazujący go wraz z 12-ma towarzyszami za zdradę stanu na śmierć przez powieszenie. Równocześnie jednak ogłoszono mu akt łaski monarszej, darowujący karę śmierci i wracający mu niezwłocznie zupełną wolność; stopień doktorski uznano jednak za utracony i odebrano prawo wykonywania praktyki adwokackiej. Odzyskał je dopiero później.

Wyszedłszy z więzienia, musiał Smolka rozpocząć przedewszystkiem ciężką walkę o byt swój własny i swej rodziny. Wypadki publiczne jednak rozwijały się niepowstrzymanie, a Smolce zaproponowano ze strony spiskowej objęcie roli przewodniej w ruchu rewolucyjnym we Lwowie. Bolesne doświadczenia, wyniesione z murów więziennych, sprawiły, że Smolka obecnie jaśniej niż kiedykolwiek przedtem widział, iż rewolucja jest w danych stosunkach utopią, która na ogół i na mnóstwo jednostek może sprowadzić tylko najsmutniejsze następstwa. Z niepospolitą odwagą cywilną oparł się też propozycji, a gdy mu grożono za to ze strony rewolucyi szubienicą, z niewzruszonym spokojem odpowiedział, iż groźba ta nie zdoła zmienić w niczem jego przekonania ani postanowienia, bo choćby nawet miał wisieć, to jednak uratuje od niechybnej zagłady młodzież i tych, którzy nie umieją się liczyć z istotnymi warunkami położenia.

Smutna rzeczywistość potwierdziła wkrótce jego przewidywania. Smolka, którego zdrowie podcięło więzienie i zmartwienie z powodu obrotu

wypadków r. 1846, wyjechał za granicę, aby szukać poprawy zdrowia na łonie uroczej przyrody w Szwajcaryi i w kąpielach morskich.

Zaraz jednak po powrocie do kraju widział się zmuszonym wziąć znowu czynny udział w sprawach publicznych, — tym razem jednak mógł to być już czynić otwarcie, nie potrzebując uciekać się do tajnych stowarzyszeń i spisków. Oto na pierwszą wiadomość o wypadkach marcowych r. 1848 w Wiedniu, stanął Smolka wraz z Ziemiałkowskim i innymi na czele polityczno-narodowego ruchu we Lwowie; należał do tych, którzy wypracowali i wręczyli ówczesnemu gubernatorowi hr. Stadionowi adres ludności do Korony (z d. 19 marca 1848), potem wziął udział w kongresie Słowiańskim w Pradze, jako jeden z przedstawicieli lwowskiej rady narodowej, a wybrany w d. 26 czerwca 1848 posłem z Lubaczowa do wiedeńskiego sejmu konstytucyjnego, zwrócił tam wkrótce na siebie powszechną uwagę i w d. 14 września wybrany został pierwszym wice-prezydentem, a w d. 12 października t. r. prezydentem sejmu. Ówczesny gabinet (Doblhoff-Hornbostel) ofiarował mu tekę sprawiedliwości; Smolka odrzucił ją jednak, równie jak wszystkie inne podobne propozycje, a stawał zawsze mocno na straży godności swego urzędu i całego sejmu. W czasie październikowej rewolucyi w Wiedniu wystąpienie jego, kiedy sam jeden niemal stanął wobec rozwścieklonych tłumów w obronie nieszczęsnego ministra wojny Latoura, wprowadzić nie zdołał go ocalić, lecz osłaniał przynajmniej dopóty, dopóki tłumy jego samego nie wyparły, — zjednało mu ogólne uznanie. Już z Kromierzyża, dokąd sejm w dniu 22 listopada r. 1848 z Wiednia przeniesiono, udał się na czele deputacyi sejmu, niepowstrzymany przeciwnymi radami niechętnych mu, do Ołomuńca, aby tam powitać nowego monarchę, cesarza Franciszka Józefa (początek grudnia 1848), a następnie do Pragi, aby pożegnać cesarza Ferdynanda (10 grudnia 1848). W dniu 23 lutego 1849 wybrano Smolkę poraz wtóry niemal jednogłośnie prezydentem sejmu; już jednak w d. 7 marca t. r. rozwiązano sejm ten nagle i nastąpił okres reakcyjnych rządów centralistycznych Bacha. Smolka, broniąc praw sejmu, odmówił publikacyi dekretu, rozwiązującego sejm, i udziału w obradach komisyi, którą powołano do obrad nad wypracowaniem konstytucyi dla poszczególnych krajów.

Powróciwszy do Lwowa, dziesięciolecie rządów Bacha przeżył zdala od życia publicznego.

Z powrotem ery konstytucyjnej i Smolka wystąpił znowu na arenę publiczną. Uczczony w d. 19 grudnia 1860 wspaniałą manifestacją przez mieszczaństwo lwowskie, wysłanej do niego deputacji przypominał, że świat należy do rozważnych, cierpliwych i wytrwałych... Uczestniczył w deputacji do Tronu, wysłanej z Galicyi do Wiednia po wydaniu patentu lutowego (wiosna 1861), która to misja nie odniosła zresztą dzięki prądom, panującym za Schmerlinga, żadnego rezultatu; w dniu 5 kwietnia 1861 wybrany zaś został z miasta Lwowa do sejmu, a w dniu 11 lipca mianowany honorowym obywatelem Lwowa. Wysłany przez sejm do rady państwa, stał się tam gorliwym rzecznikiem idei federacyjnej. W tejże radzie wielki sukces oratorski odniosło pierwsze jego ważniejsze wystąpienie w sprawie nietykalności poselskiej (29 maja 1861); stanowisko swe narodowo-autonomiczne i federacyjne określił Smolka wymownie w dniu 19 czerwca 1861, w rozprawie nad wnioskiem o wolności osobistej. Wystąpienie w obronie autonomii zjednało mu liczne dowody uznania z wielu gmin: Czech, Moraw, Krocacji i Krainy, a podobne dowody uznania zyskał także ze strony Węgier po mowie w dniu 28 sierpnia 1861, w której wystąpił z obroną zasadniczych praw krajów korony św. Szczepana.

Smolka jednak, który z niechęcią szedł do Wiednia, widząc bezowocność działalności poselskiej w radzie państwa, usunął się z niej i poświęcił swe siły pracy wewnątrz kraju, do czego dobrej sposobności nastęrczył mu wybór jego na członka galicyjskiego wydziału krajowego; urząd ten sprawował przez długi szereg lat. W tym czasie także (z końcem r. 1861) utracił małżonkę, a gorące objawy współczucia, jakie zewsząd otrzymał, były miarą szacunku i uznania, któremi się cieszył już wówczas. W kraju należał do tych, którzy usiłowali nie dopuścić do wypadków z r. 1863, a gdy usiłowania jego nie odniosły rezultatu, usunął się od czynnego udziału w ówczesnym ruchu narodowym.

Dopiero w r. 1865 powrócił do publicznej działalności; wygotował mianowicie w tym roku na wezwanie ówczesnego ministra Belcredięgo memoriał o politycznym stanie kraju. W listo-

padzie t. r. oświadczył się za kandydaturą hr. Gołuchowskiego ze Lwowa do sejmu, jako reprezentanta kierunku autonomistycznego. W latach 1868 — 1869 ogłosił *Listy polityczne*, pełne zajmujących poglądów i szczegółów historycznych. W sejmie należał do przeciwników rezolucyi z d. 24 września 1868 r. w sprawie żądań Galicyi i obesłania rady państwa, rezolucyi, która spowodowała odwołanie odwiedzin cesarskich w Galicyi, a pośrednio także dymisyę Gołuchowskiego ze stanowiska namiestnika. W pięć lat później (r. 1873) była ona pogrzebaną przez sam sejm, który uchwalił nową rezolucyę w odmiennym duchu.

W roku 1870 powrócił Smolka znowu do rady państwa, gdzie zawsze z energią występował dalej przeciw centralistycznemu kierunkowi, popierał układy gabinetu hr. Potockiego z Czechami i federacyjne dążności następnego gabinetu hr. Hohenwarta. Po ustąpieniu tego ostatniego, w październiku r. 1871 Smolka oświadczył się za nieobesłaniem rady państwa, poddając się jednak uchwale większości sejmowej, wstąpił do rady państwa znowu i opuścił ją dopiero w dniu 6-m marca r. 1873, gdy cała delegacja polska zdecydowała się na secesyę, aby zaprotestować przeciw zaprowadzeniu bezpośrednich wyborów do parlamentu wiedeńskiego z ominięciem sejmów. Gdy polacy następnie pogodzili się z bezpośrednimi wyborami, powrócił i Smolka do wiedeńskiej rady państwa, która w dniu 15 października r. 1879 wybrała go wiceprezydentem izby posłów, a w dniu 14 marca 1881 prezydentem tej izby. Godność tę, wybierany stale na każdej sesyi ponownie, sprawował nieprzerwanie przez lat dwanaście, aż do 17 marca 1893, — otaczany przez posłów wszystkich stronnictw i narodowości ogólną sympatyą i czcią. Rozprawy parlamentu nawet w najkrytyczniejszych chwilach umiał prowadzić z powagą, bezstronnością i niezłomnym spokojem, a urząd swój i izbę reprezentować zawsze z godnością. Gdy złożył urząd prezydenta i z powodu wieku usunął się od wszystkich zajęć publicznych, otrzymał powołanie na dożywotniego członka izby panów, t. j. wyższej izby austriackiego parlamentu. Przedtem już (w roku 1882) odznaczony został nominacyą na rzeczywistego tajnego radcę z tytułem ekscelencyi. W r. 1884 był prezydentem delegacyi wspólnych.

W dniu 5 listopada r. 1895 na Strzelnicy miejskiej we Lwowie, za inicjatywą mieszczaństwa lwowskiego obchodzono uroczyste jubileusz 85 rocznicy urodzin czcigodnego i zasłużonego starca; otrzymał on wówczas z całego kraju i od przedstawicieli wszystkich warstw społecznych, instytucyj i stowarzyszeń, od przyjaciół i przeciwników politycznych, a także i z poza granic kraju objawy gorącego uznania i szacunku.

Leszek Borkowski tak o nim między innemi powiedział:


„Jego pewność w zasadach, jego krew zimna, jego wytrwałość zahartowana u przeciwnościach, wrażały poważanie nawet u ludzi przeciwnych przekonań. Liberalność jego nie zastraszała najwsteczniejszych, a jego umiarkowanie nie było w podejrzeniu u najzagorzalszych.”

Dr. Adam Bieńkowski.



Karol Libelt.

* 1807 † 1875.

rodzony w Poznaniu w r. 1807, Karol Libelt wcześniej rozpoczął twardą walkę z życiem. Nader szczupłe środki, jakimi jego rodzice rozporządzali, sprawiły, że poza wiadomościami elementarnymi mógł kształcić się tylko o tyle, o ile sobie na koszty uczenia się zarobił. W tych trudnych warunkach, dając lekcye, zarabiając tu i ówdzie przepisywaniem, zresztą obchodząc się bez wielu rzeczy, bez których się niełatwo obejść, ukończył w r. 1826 gimnazjum w mieście rodzinnem i udał się na dalsze studia do Berlina. Wstąpiwszy tam do uniwersytetu, zaczął studiować matematykę i filozofię.

Młody uniwersytet berliński był podówczas metropolią studiów filozoficznych. Hegel, stojący u szczytu sławy, rozwijał z katedry swoją dyalektykę «absolutną.» Ze wszystkich krajów Europy dążyli tu, jak do krynicy mądrości, słuchacze i wielbiciela filozofa pruskiego. Polska dostarczała może najszczuplejszego kontyngensu. Libelt był jednym z pierwszych.

Do pracy zabrał się gorąco. W r. 1828 za rozprawkę o Spinozie nagrodzony złotym medalem, uzyskał w r. 1830 doktorat filozofii za rozprawę łacińską *De pantheismo in philosophia*. Dalsze studia, na które wybierał się był właśnie do innych uniwersytetów, przerwały mu ówczesne wypadki polityczne.

Na początku r. 1831 widzimy Libelta pod bronią, jako szeregowca artylerji. W samym początku działań wojennych posunięty na podoficera, brał w całej kampanji czynny udział, a ku jej końcowi został podporucznikiem. W jednej z ostatnich bitw, pod Międzyrzecem, dowodząc dwo-

ma działami, okazał tyle odwagi i rozwagi, że został zaszczycony krzyżem złotym «Virtuti militari.»

Po ukończonej wojnie wrócił do stron rodzinnych. Wkrótce ożenił się i osiadł w pobliżu Poznania na gospodarce. W zaciszu wiejskiem powrócił do przerwanych zajęć naukowych. Wszakże przez czas długi drukiem nic nie ogłaszał.

Był to czas, w którym w dziejach myśli polskiej dokonywał się nowy zwrot. Dotychczas w filozofii polacy szli przeważnie w kierunkach, wytkniętych przez myśl angielską i francuską, a zatem w empirycznych. Głosy nielicznych zwolenników spekulacji niemieckiej, jak Szaniawskiego lub Jarońskiego, przebrzmiewały jeżeli nie bez echa, to bez szerszego wpływu. Tendencyom do spekulacji twardy opór stawiał Jan Śniadecki, prawy przedstawiciel umysłowości rdzennie polskiej, z natury swej obcej i wrogiej zapędowi spekulacyjnemu, jasność i dowodność przekładającej nad domniemaną «głębokość.» Pierwszą wyrwę w szaniecu, którego z taką mocą i energią bronił Śniadecki, uczynił Gołuchowski. Ale to była dopiero przegrywka. Wielkim krokiem zbliżały się nowe czasy, w których olbrzymi rozkwit poezji w fatalny sposób miał się połączyć z pewnem zwyrodnieniem myśli naukowej.

Nasza poezja romantyczna była w swoich najwyższych przejawach rdzennie i głęboko narodową, i jeżeli z romantyzmem niemieckim miała jakiś związek, to tylko związek teoretyczny. Ale ten był niezaprzeczenie. *Poezja* wytrysnęła z własnej krynicy, ale *poetyka* do głębi uległa wpływom germańskim. A że właśnie wtedy poezja ogar-



Reduc litografii M. Fajansa

Charles Libett.

nęła widnokreśli niezmiernie szerokie, obejmujące niemal całokształt życia narodowego, że stała się największą naszą potęgą duchową, że ześrodkowała w sobie największe i najprzedniejsze siły — przeto zmusiła społeczeństwo do wszechstronnej i głębokiej nad sobą refleksyi, i co do punktów wyjścia, i co do celów zgola odmiennych od dotychczasowych. Przedmiotem tej refleksyi stało się to samo, co w poezyi było przedmiotem twórczości. Z coraz większą siłą występowała tendencya, nie do wyjaśnienia faktycznych stosunków pomiędzy zjawiskami, co jest jedynym właściwym nauki przedmiotem, lecz do odnalezienia na drodze rozumowania tej samej organicznej, drgającej życiem, barwnej i dźwięcznej rzeczywistości, której wyraz twórczy daje sztuka. Zdaje się, że na tej właśnie drodze powstał w społeczeństwie polskim pierwszy popęd do niemieckiej filozofii spekulacyjnej. Znakomitą dla tego popędu podniętą były i okoliczności polityczne. Siły duchowe społeczeństwa, wyteżone ku zorientowaniu się w sytuacji politycznej, skierowały część umysłów ku dociekaniom metafizycznym, od których się spodziewano, że wyjaśnią tajemnicę przeszłych, obecnych i przyszłych losów narodu.

Czynność w tym kierunku rozpoczął Kremer swoim obszernem streszczeniem filozofii Heglowskiej (Krakowski *Kwartalnik naukowy* 1835 — 36). Lata 1837 i 1840 przyniosły dwa dzieła niemieckie Trentowskiego (*Grundlage der universellen Philosophie* i *Vorstudien zur Wissenschaft der Natur*). W tym samym roku 1840 Libelt, ogarnięty wzmagającym się prądem, porzuca wieś i przenosi się do Poznania.

Okazało się teraz, że na wsi czasu nie tracił. Nietylko dużo czytał i dużo myślał, ale musiał też sporo pisać, a przynajmniej robić obszerne notatki, bo po przybyciu do Poznania rozwija odrazu działalność tak obszerną i bogatą, że byłoby niemal mechanicznie niemożliwem, aby wszystko, co w ciągu następnych lat kilkunastu ogłosił i zdziałał, było opracowywanem tylko wtedy, a nie wcześniej przygotowanem.

Przybywszy do Poznania, miał w zimie roku 1840—41 szereg odczytów publicznych z zakresu literatury niemieckiej i estetyki teoretycznej. Odczyty te zbudziły wśród publiczności szerokie zainteresowanie, ale drukowane nie były. Natomiast ogłosił drukiem bardzo obszerną i szczegó-

lową krytykę pisanych w języku niemieckim prac Trentowskiego. W krytyce tej zaznacza już Libelt swoje stanowisko samodzielne, wyraźnie określone w pięć lat potem w dziele p. t. *Kwestya żywotna filozofii*, o którym niżej:

W r. 1841 został w poznańskim gimnazyum niemieckiem nauczycielem matematyki, który to urząd pełnił zresztą tylko przez lat dwa. Rozpoczynając teraz pisać i ogłaszać cały szereg rozpraw treści pedagogicznej, publicystycznej, estetycznej, których poszczególnie wymienianić niesposób.

W r. 1845 ogłosił Libelt swoją pierwszą większą pracę filozoficzną, zatytułowaną: *Kwestya żywotna filozofii: o samowładztwie rozumu*. Praca ta jest dla całej ówczesnej umysłowości polskiej bardzo znamionną i bardzo charakterystyczną. Wyznacza ona wybornie stosunek spekulującej metafizycznie myśli polskiej do zajmującej względem niej bądź co bądź stanowisko metropolitalne myśli metafizycznej niemieckiej.

Jest to stosunek zależności, ale bynajmniej nie poddaństwa. A nawet i sama ta zależność jest dość ogólnikową. Wyraża się ona prawie tylko we wspólności najogólniejszej idei przewodniej, we wspólności wiary w możliwość zrozumienia wszech rzeczy na drodze zagłębienia się we własnych myślach. Już w kwestyi metody widzimy poważne i coraz dalej idące różnice. Hegłowska metoda dyalektyczna zadawałnia tylko Kremera. Trentowski stawia przeciw niej poważne zarzuty, Libelt atakuje ją na całej linii.

Punktem wyjścia dla Libelta jest to, że Hegel, a za nim cała ówczesna metafizyka niemiecka jest w błędzie, uznając rozum za jedyne narzędzie poznania prawdy. Rozum jest zdolnością tworzenia pojęć, czyli abstrahowania, za pomocą rozumu przeto poznajemy nie żywą rzeczywistość, lecz abstrakcyje. Rzeczywistość może być w swej całości poznana tylko za pomocą tej władzy, która bierze udział w jej tworzeniu. Władzą tą jest wyobraźnia. Wyobraźnia służy nie tylko do tworzenia artystycznego. Gdy jej utwory poddajemy ścisłej krytyce rozumowej, wtedy staje się ona przy pomocy rozumu najwyższą władzą poznawczą.

W krytyce metafizyki niemieckiej Libelt posuwa się o krok dalej i od Kremera, i od Trentowskiego. Charakterystycznym u nich wszystkich trzech, a następnie i u czwartego koryfeusza polskiej filozofii spekulacyjnej, Cieszkowskiego, jest

to, że tem, co ich do polemiki przeciw metafizyce Hegłowskiej pobudza, jest jakaś prawość, jakaś, rzec można, uczciwość myślenia. Metafizycy niemieccy, poczynając od Fichtego, zapuściwszy się na drogę spekulacji, zatracili już zupełnie poczucie rzeczywistości. Systemy ich były robione, że tak powiem, bez żadnego względu na świat otaczający. Niektóre z nich były konsekwentne, spójne i wewnętrznie poprawne. Ale, aby przejść od nich do świata otaczającego, do rzeczywistości, trzeba było uczynić olbrzymi skok. Ani jaźń transcendentna Fichtego, ani subiektywność Schellinga, ani idea absolutna Hegla nie mogły być i faktycznie nie były przez nikogo pojmowane jako zasady, mające objaśniać coś rzeczywistego. Filozofia oderwała się zupełnie od rzeczywistości i zaciekała się w tworzeniu nader kunsztownych konstrukcyj umysłowych, wysilając się na to, aby konstrukcje te były konsekwentne, jednolite, oryginalne i «głębokie.» Doszło w ten sposób do tego, że co innego jest świat, a co innego przedmiot metafizyki.

Taki stan rzeczy przez pewien czas zadawał niemców, ale nigdy nie czynił zadość dążeniom i wymaganiom mniej potężnych, ale bardziej szczerych i prawych umysłów polskich. Metafizycy polscy na chwilę nie rozstawali się z myślą, że celem ich istnienia i racją bytu jest zrozumienie i wytlómaczenie świata rzeczywistego. To energiczne, zdecydowane dążenie do rzeczywistości, ta obawa przed oderwaniem się od niej stanowi cechę może najcharakterystyczniejszą polskiej filozofii spekulacyjnej, a zarazem łącznik pomiędzy nią a wcześniejszymi i późniejszymi od niej kierunkami myśli polskiej. Ciekawą tu jest okoliczność, że jedna i ta sama cecha stanowi zarazem i wadę, i zaletę spekulacji polskiej. Spekulacja ta stoi od niemieckiej o tyle niżej, że jest od niej, zwłaszcza u Libelta, znacznie dowolniejsza. Pragnąc zdetronizować rozum, jako władzę, zdolną do poznawania tylko abstrakcji, Libelt nie rozumiał, że to nie stanowiłoby jeszcze zasadniczego przeciw metafizyce niemieckiej zarzutu, bo w samej rzeczy innego celu, jak poznawanie abstrakcji nauka nie ma i mieć nie może. Sama, bezpośrednia rzeczywistość nie jest przedmiotem poznania naukowego. Ale, jeżeli nauka nie ma być złudzeniem, w takim razie to, co jej właściwy przedmiot stanowi, winno być w samej rzeczy *poprawną abstrakcją od rzeczywistości*, nie zaś czemś zupełnie

od niej niezależnem. Grzechem śmiertelnym metafizyki niemieckiej było nie to, że jej przedmioty *były* abstrakcjami, ale to właśnie, że *nie były* poprawnymi abstrakcjami, jeno urojeniami. Chcąc więc uczynić z wyobraźni naczelną władzę poznawczą, Libelt stanął niżej od Hegla i jego zwolenników, bo mylnie wyznaczył przedmiot poznania naukowego i wprowadził do nauki większą dowolność.

Ale z drugiej strony ten sam błąd świadczy i o jego pewnej i to niemałej wyższości nad Heglem i Heglistami. System, który dąży do poznania rzeczywistości nie przez abstrakcje od niej, lecz bezpośrednio, błędzi, ale jest poważniejszym od takiego, który z rzeczywistością zrywa zupełnie. Podczas gdy oświecona publiczność niemiecka systemom swoich metafizyków mogła przyznać tylko pomysłowość i kunsztowność budowy oraz poprawność dyalektyczną, publiczność polska ma prawo i obowiązek uczcić w swoich metafizykach ogromny wysiłek duchowy, skierowany ku zrozumieniu i objaśnieniu tego, *co jest*, świata rzeczywistego. To też metafizycy polscy, z wyjątkiem może Trentowskiego, nigdy nie zniżyli się do akrobatyki dyalektycznej i nigdy nie utracili ani styczności ze światem rzeczywistym, ani jedności z duchem swego narodu.

W *Kwestyi żywotnej filozofii* jest jeszcze jedna rzecz nader charakterystyczna i dowodząca ścisłej łączności wewnętrznej naszej spekulacji metafizycznej z naszą poezją romantyczną. Jak poetyka romantyczna za źródło poezji, tak Libelt za źródło poznania filozoficznego uznaje lud, — nie naród, ale lud. Ludowe podania, ludowe wierzenia i ludowe poglądy na świat są podług niego skarbnicą, w której się zawierają pierwiastki prawdziwego, opartego na wyobraźni poznania wszech rzeczy. Oburzył się bardzo przeciw takiemu pogładowi Trentowski, który o tym przedmiocie napisał osobną broszurę, ale Libelt pozostał przy swoim.

Wypadki r. 1846 wtrąciły Libelta do więzienia, w którym pozostał aż do początku r. 1848 i w którym napisał piękne studyum *Dziewica Orleańska* (Poznań 1847). Po swym uwolnieniu oddał się bardzo czynnie życiu politycznemu. Objął redakcję «Dziennika polskiego,» został członkiem komitetu polskiego w Berlinie, następnie na kongresie słowiańskim w Pradze przewodniczył sekcji polskiej, wreszcie został deputowanym do

parlamentu Frankfurckiego. Obok tego wszystkiego przygotował do druku swój *System umniectwa*, który wydał w Poznaniu w r. 1849.

Dzieło to zawiera w sobie całokształt myśli filozoficznej Libelta. Jego punkt wyjścia wyznaczony jest przez *Kwestyę żywotną filozofii*. Stanowi ono rozwinięcie opartego na wyobraźni systemu poznania filozoficznego.

Samego terminu *wyobraźnia* używa tu Libelt w innem i bardziej ograniczonem, niż w *Kwestyi żywotnej* znaczeniu. Jest tu ona drugą fazą ogólnej władzy twórczej i poznawczej, którą autor nazywa *umem* (stąd *umniectwo*, równoznaczne *filozofii*). *Um*, mniej więcej równoznaczny z duchem wszechświata, jest przede wszystkim pierwiastkiem twórczym i kształtującym. Gdy działa *bez* materiału, w takim razie jest bezwzględnie twórczym (tworzy z niczego) i nazywa się *obraźnią*. *Obraźnia* jest *umem* w Bogu. Gdy działa *na* materiale, w takim razie przetwarza i przekształca świadomie i w zależności od woli przetwórcy i nazywa się *wyobraźnią*. *Wyobraźnia* jest *umem* w człowieku, pojmowanym jako istota duchowa. Jej dziełem jest wszystko, co jest przez człowieka świadomie uczynionem. Gdy działa *w* materiale, w takim razie przetwarza i przekształca bez udziału świadomości i woli i zwie się *przeobraźnią*. *Przeobraźnia* jest *umem* w człowieku, uważanym jako ciało w zwierzętach, roślinach i ciałach nieorganicznych. Jej dziełem jest to, co zwykle przypisujemy *siłom natury*. Dzieło Libelta jest przedstawieniem Boga, człowieka i świata w ich wzajemnym stosunku, ze stanowiska tych trzech postaci umu. Jak widzimy, założenie jego jest zupełnie dowolne, a prócz tego i ścisłość wnioskowania pozostawia wiele do życzenia.

Nadzwyczaj szeroko zamierzonym zostało inne dzieło Libelta, zatytułowane *Estetyka czyli umniectwo piękne*, którego trzy tomy ukazały się w Petersburgu w latach 1850—1854. Tom I zawiera wstępne założenia metafizyczne, oparte na zasadach,

wyłożonych w *Systemie umniectwa*, tomy II i III poświęcone są rozbirowi piękna w naturze. Ogromne rozmiary tego niedokończonego dzieła pochodzą nietylko z obfitości materiału lub szczegółowości jego traktowania, ile raczej z rozwlekłości i wielkiej ilości obszernych ustępów lirycznych, które sprawiają, że książka ma charakter nie traktatu naukowego, lecz raczej szeregu wrażeń lubiącego filozofować miłośnika piękna. Mimo to zawiera ona w sobie wiele spostrzeżeń trafnych i cennych i świadczy zarówno o subtelnej wrażliwości, jak i o bardzo obszernem wykształceniu estetycznem autora.

Różne większe i mniejsze artykuły i rozprawy z zakresu filozofii, pedagogiki i publicystyki, które Libelt w czasie pomiędzy r. 1840 a 1849 napisał, wyszły w r. 1850 w Poznaniu w 6-ciu t. p. t. *Pisma pomniejsze*. W roku następnym wyszedł tamże bardzo wartościowy *Wykład matematyki w zakresie gimnazyalnym*.

W r. 1853 czy też 54 Libelt osiadł we wsi Czeszewie w powiecie Węgrowieckim, gdzie zmarł w r. 1875. Do końca życia nie przestał pracować umysłowo, biorąc udział w czynnościach akademii umiejętności w Krakowie i Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, oraz poświęcając się gorliwie archeologii. Drukiem ogłosił w tym czasie kilka tylko mało znaczących rozpraw.

Znaczenie Libelta, jako pedagoga i publicysty, jest jeżeli nie większem, to w żadnym razie nie mniejszem od jego znaczenia, jako filozofa. Należał on do tych, którzy świadomość zbiorową swego społeczeństwa rozszerzają i naprzód prowadzą. Specyjalnie zaś jako filozof, dał dobitny wyraz głęboko w umyśle polskim zakorzenionemu przywiązaniu do rzeczywistości i wraz z Kremem i Cieszkowskim potrafił uchronić polską myśl metafizyczną od czczej i poniżającej akrobatyki dyalektycznej.

Maryan Massonius.



Zoryan Dołęga Chodakowski (Adam Czarnocki).

* 1784 † 1825.

Drzyszedł na świat we wsi Podhajnej w gub. Mińskiej, w pobliżu Nowogródka, w r. 1784, d. 4 kwietnia. Rodzina Czarnockich należała do zamożnych posesyonatów na Litwie, wszakże ojciec jego zubożał i szukał chleba, pracując jako urzędnik gospodarski u rozmaitych panów. Syna posyłał do szkół słuckich, dokąd go sam odwiózł w r. 1797, przysposobiwszy poprzednio do klasy 2-ej prywatnie w Lecieszynie u jednego z krewnych swoich. Czarnocki ukończył szkoły słuckie w r. 1801. Tułaczka z ojcem za chlebem zbliżyła go do ludu i przyzwyczaiła do twardego życia. Chłopiec posiadał przy tem niepożyty zapas energii, wytrwałości i siły, które od lat wczesnych objawiały się w dziecku uporem. Wywoływało to częste nieporozumienia młodego. Adama z profesorami swymi i z otoczeniem. Energię jego i śmiałość brano za upór i zarozumiałość. W bardzo młodym wieku obudziła się w nim żądza wiedzy. Umysł dziecka nie zbyt zdawał sobie sprawę z tego, że droga do niej prowadzi przez suche pola nauki szkolnej, a myśli lubiła wybiegać dalej po za podręczniki, niż tego zwykle życzą sobie profesorowie. Nie zadowalał się on odrobiną, otrzymywaną za pośrednictwem szkoły, ale oświecenia szukał na szerokich łanach życia i dziejów, pomijając niekiedy wymagania i obowiązki najbliższe. Stąd szły skargi od profesorów, że się uczyć nie chce, a od uczniów — że uczyć nie umieją.

Zatarg ze szkołą był powodem wielu przykrości, a nawet zmartwień ojca i przyczynił się do tego, że Czarnocki, rozgoryczony i zniechę-

cony do ludzi, szkoły ukończył. Ojciec nie doczekał tej chwili, gdyż na rok przedtem odumarał go, a że powtórnie był się ożenił i z drugiego małżeństwa zostawił dzieci, na barki młodego Adama spadł ciężar opieki nad rodzeństwem. Zadanie to spełniał z poświęceniem się i szlachetnością, gdyż ulokowawszy brata i siostrę przy rodzinie ojca, sam oddał się pracy zarobkowej i z grosza zapracowanego dopomagał do ich kształcenia. Z początku zamyslał poświęcić się karierze prawnej i na tej drodze kilka lat strawił. Działo się to około r. 1803. W tym czasie przeniósł się do Mińska, w r. 1805 otrzymał «instrument» na słucką regencyę ziemską, ale praktyka adwokacka nie dogadzała jego temperamentowi i charakterowi. W Mińsku bawił do r. 1807.

W ciągu lat kilku, od chwili ukończenia szkół w Słucku, nie opuszczał ulubionych swoich studyów historycznych. Przeciwnie, zapal w tym kierunku rozwijał się coraz bardziej; z coraz większem zamiłowaniem Adam wnikał nie tylko w świat zamierzchłych dziejów, ale i zamierzchłego życia, które go nieokreśloną siłą pociągało ku sobie. Praca adwokacka, wymagająca ciągłego kompromisu z sumieniem, nie mogła dogodzić tak szczeremu, otwartemu i czystemu charakterowi, jaki posiadał młody Czarnocki. Spostrzegłszy wcześniej, że żyć mu wypadnie w ciągłej rozterce ze sobą, postanowił zawód adwokata porzucić. Porzucił go też i przyjął prywatny obowiązek zastępcy pełnomocnika w dobrach hr. Józefa Nieśiołowskiego, wojewody nowogródzkiego, i zamieszkał w Woronczy, w pobliżu Nowogródka.

Przystępnością, dobrocią i energią zjednał sobie powszechny szacunek i zaufanie, ale nie znalazł bynajmniej tego zadowolenia, jakiego szukał w pracy i życiu. Studya historyczne i archiwalne pociągały go ku sobie nieprzepartą siłą i byłby może wyszedł na pierwszorzędnego historyka, bo już wówczas posiadał dużą wiedzę i bystrość krytyczną, gdyby nie przypadek.

W r. 1807 istniało już księstwo Warszawskie z pozorami niezależności. Młodzież polska gromadziła się do szeregów jego wojska ze wszystkich stron. Miał tam podążyć i Czarnocki, gdy nagle został aresztowany i wywieziony najprzód w głąb Litwy, a następnie do Petersburga.

Ta chwila jest drugim okresem jego życia, która przed nim otworzyła inne drogi, obudziła inne zamiłowania i otworzyła inne horoskopy na przyszłość. Rok przeszło przesiedział w Petersburgu w więzieniu, a potem wysłany został, jako żołnierz, do Presnawska, do dywizji Głazenapa. W ciągu tej przymusowej podróży, skutkiem ciągłego stykania się z rozmaitymi ludami i różną naturą, rozbudziła się w nim ogromnie zdolność obserwacyjna. Począł tedy spisywać nie tylko swoje wrażenia, ale uwagi i spostrzeżenia z życia i obyczajów rozmaitych szczepów i narodów: czereemisów, czuwaszów, tatarów, wotiaków, kirgizów, jakutów i plemion buriackich. Tu zapewne po raz pierwszy uczuwał chęć i potrzebę poznania życia ludowego wogóle.

Zaledwie do Presnawska przyszedł, dywizja Głazenapa otrzymała polecenie przesunięcia się na zachód, a w sierpniu 1811 r. już była na Litwie. Tu Czarnocki powziął zamiar ucieczki z wojska, czego też dokonał, zatarłszy ślad za sobą w ten sposób, że dochodzenie sądowe dowiodło, iż się utopił. A on tymczasem wstąpił do armii francuskiej pod przybranym nazwiskiem Lubrańskiego.

Gdy wojna Napoleona I z Rosją zakończyła się klęską r. 1812, Czarnocki nie emigrował z innymi, lecz z wojska wystąpił i w kraju pozostał. Tułał się jakiś czas pośród krewnych na Litwie, ale przekonawszy się, że w ten sposób tajemnica jego pobytu może być zdradzona, udał się na Wołyń i tu zmienił nazwisko na inne — Zoryan Dolega Chodakowski. Był wtedy czas jakiś w Porycku, u Tad. Czackiego i w Krzemieńcu, zapoznał się z Łuk. Gołębiowskim i z krzemieńczanami. Na Wołyniu przebywał wśród

swoich: miał tu nie tylko rodzinę, ale kolegów, a może i przełożonych z wojska: Karola Sienkiewicza i generała Kropińskiego, autora *Ludyardy*. W jego domu w Woronczynie bywał, serdeczny stosunek z nim nawiązał i bardzo długo później utrzymywał. Zabawiwszy czas niedługo na Wołyniu, puścił się w podróż piechotą na Ukrainę i Podole w celu poznania kraju i ludu. Wiodła go tylko ciekawość; jeszcze nie wiedział, na co mu się to przyda. Wędrując, zwiedzał archiwa, cerkwie starożytne, klasztory, knirhany i zapisywał pieśni obrzędowe, liryczne i epiczne ludu ruskiego przedewszystkiem, bo taki tylko w swoich podróżach napotkał.

W ciągu kilkoletniej wędrówki zbiory te urosły do wielkich rozmiarów, odkrywały przed nim nowy świat myśli i ducha ludu wiejskiego, nieznanego dotychczas lub lekceważonego. W przypadkowym badaniu rozmiłował się, zapalił się do tego, i powziął zamiar poznania w ten sposób Słowiańszczyzny i marzył o tem, ażeby na podstawie zebranego materiału coś zbudować — odtworzyć ze szczątków pozostałych zamierzchły i zaginiony świat i życie. Z takimi projektami wrócił na Wołyń, a na poparcie ich posiadał już pełne «skrzynie» skarbów poezji ludowej. Począł mu się zarysowywać plan coraz szerszy i głębszy, na którego wykonanie potrzebne mu były fundusze i naukowe poparcie. Myśl jego w całej swojej prostocie była bardzo śmiała, a co do doniosłości na przyszłość — genialna prawie. Zwierzył się z nią dawnym swoim znajomym: Gołębiowskiemu i Kropińskiemu, a za ich pośrednictwem, jako też innych życzliwych sobie osób, postanowił zakochać do ks. Adama Czartoryskiego, kuratora okręgu wileńskiego. Cała trudność była w tem, że Czarnocki, jako dezertor z wojska rosyjskiego, musiał poniekąd ukrywać się ciągle pod obcym nazwiskiem; to go kępowało, narażało na nowe nieszczęścia i utrudniało pracę. Protekcja kuratora zasłonić go mogła poniekąd tarczą opieki naukowej.

Ks. Czartoryski zrozumiał wielkość zadania Zoryana, nowość myśli i jej doniosłość dla nauki i chętnie mu osobiste poparcie ofiarował, a starał się wyjednać poparcie uniwersytetu wileńskiego. Uczni wileńscy okazali się nieprzychylni dla tej myśli, niesłusznie uważając Czarnockiego za niedość przygotowanego naukowo. Wówczas sam ku-

rator dopomógł mu bodaj do częściowego urzeczywistnienia zamiaru poznania całej Słowiańszczyzny. Na Litwę i Białoruś Czarnocki wracać nie mógł, bo miał przed sobą zawsze groźbę winy ucieczki z armii rosyjskiej, Wołyń, Ukrainę i Podole znał — pozostawała Ruś Czerwona i Polska. Czartoryski nalegał na poznanie przede wszystkim własnej ziemi i ludu. Zoryan przyjechał do Puław w r. 1817 i natychmiast prawie wyjechał do Krakowa, Lwowa i Halicza. Tu wśród pracy w archiwach i bibliotekach zbierał podania, pieśni i zabytki twórczości ludowej wogóle, ale począł już zwracać pilniejszą uwagę także na archeologię przedhistoryczną, szczególnie na licznie rozsiane kurhany i mogiły. Powróciwszy w r. 1818 na wiosnę do Sieniawy, majątności ks. Czartoryskich, naglony przez kuratora i gen. Kropińskiego, ażeby materiały zebrane uporządkował i coś wydał, napisał w Sieniawie rozprawkę p. t. *O Słowiańszczyźnie przed chrześcijaństwem*, która była jak raca, oświetlająca nieznany dotychczas świat ludowego życia i poezji. Wyraził on tutaj pogląd na jednolitość świata słowiańskiego, która objawiała się nie tylko w jedności religii, lecz także w jedności kultury. Spostrzegłszy w swoich podróżach rozsiane po całej Słowiańszczyźnie horodyszcz, budowle ziemne podobnego do siebie kształtu, przyszedł do wniosku, że są one śladami kultu religijnego i pobytu słowian wszędzie, gdzie się znajdują; a ponieważ dostrzegał równomierne go ich rozszerzenia się od Uralu do Łaby i od zatoki Fińskiej do morza Czarnego, uważał, że ostatnie horodyszcz są ostatnimi granicami Słowiańszczyzny. Zaznaczył w tej rozprawce wrogie stanowisko duchowieństwa względem pogańskich przodków i zachęcał ludzi dobrej woli do badania ludu. Artykuł drukowany był w «Ćwiczeniach naukowych», wychodzących w Krzemieńcu, i tegoż roku jeszcze przedrukowany w innych pismach, wywołał żywe zajęcie się życiem ludu i ożywioną polemikę. Przekonano się, że bez poznania świata ludowego, jego przeszłości i kultury nie może nikt napisać historii narodu. Młodzież zapaliła się do nowej myśli i rozpoczęły się entuzjastyczne prace nad poznaniem i zbliżeniem się do ludu. W tym kierunku wpływ Chodakowskiego na rozwój literatury a nawet na szkołę romantyczną był wielki, a niedoceniony dotychczas. Czarowi jego gorącego i szczerego słowa ulegali nawet tacy

poeci, jak Ad. Mickiewicz, który światowi ludowemu, szczególnie w *Dziadach*, dał dużo miejsca.

Chodakowski, widząc wszakże, że odmówienie poparcia ze strony uniwersyteckiego jego pracy, utrudnia mu zadanie w przyszłości, a pragnąc poznać jeszcze szeroką połać Rusi wschodniej, zakochał się do Petersburga przez ks. Rumiancowa w Homlu mieszkającego, ks. Ad. Czartoryskiego i innych.

W tym czasie powrócił na Wołyń i nie zaprzestając badań dalszych popierał plan przeniesienia swojej akcji do Rosji. W Peredilu, majątności Kulczyńskich, krewnych gen. Kropińskiego, wpadła mu w oko p. Józefa, siostra jego przyjaciela, Ignacego. Rozkochał się w niej, panna była mu przychylna, ale rodzice, a nawet wujaszek generał uważali, że taki «burłaka», jak Zoryan, żenić się nie powinien i ręki p. Józefy odmówili mu. Odchorował tę sprawę sercową, ale myśl swoją, zda się, jeszcze więcej pokochał. Niedługo się martwił. Nadeszło powołanie go do Petersburga, tyle upragnione; 9 września 1819 r. wyjechał z Homla do stolicy Rosji. Miano mu za złe tę podróż, dla tego, że się odrywał od służby własnemu krajowi. Gorąco to bolało Chodakowskiego, który przyrzekał, że imienia polskiego nie da na poniewierkę, a o swoich nie zapomni. Na pociechę smutków spotkał się w drodze z panną, która w towarzystwie kuzynki i służącego dążyła do matki, do Petersburga. Była to p. Fleming. Czartoryska była również z Flemingów. Chodakowski rozkochał się w niej na zabój, panna nie była także obojętna, a wszystko to szło tak *crescendo*, że nie trwało nawet dwóch tygodni — 21 września już się pobrali. Zoryan rozumiał, że działo się to zbyt po kozacku, ale na długotrwałe amory nie miał czasu. Miłość w niczem nie przeszkodziła mu. Po drodze zwiedził Psków i okolice, rysował horodyszcz, poznał się z metropolitą Eugeniuszem, słowem nie ustawał w pracy ani na chwilę. W stolicy złożył wizytę Szyszkowskiemu, prezesowi akad. nauk, przedłożył plan swój i przyjęty został entuzjastycznie. Staruszek zrozumiał, że zanosi się na «wielikoję *oeuvre*», i zaproponował Chodakowskiemu tytuł honorowego członka akademii. Tu poznał się z Karamzinem, którego pierwsze tomy dziejów już poprzednio krytykował. Urzędowy «historyograf» przyjął go łaskawie, plan jego poparł i przy-

czynił się do decyzji rządu, który wyznaczył mu po 3,000 rb. «na smarowidło,» zobowiązując go do rocznych sprawozdań z podróży. W ten sposób «na srebrnej osi» wyjechał z Petersburga tą samą drogą, którą niespełna przed rokiem przybył, zboczywszy w górę Newy do Ingryi dla szukania tam śladów Słowiańszczyzny. Podróż jego miała więcej charakter archeologiczny, niż ludoznawczy: oznaczał na mapie horodyszcz, rozkopywał «sopki,» mogiły (Gostomysła pod Nowogrodem W.) i «kładbiska» pogańskie, zwane żalnikami.

Zmartwieniem jego w tej podróży było złe zdrowie żony. W Ładodze powiła syna, a w krótkim czasie ruszyli w dalszą wędrówkę, zostawiając dziecko na cudzej opiece. Syn umarł. Boleśnie ta strata i uznanie własnego błędu dotknęły rodziców. «Trudno polakowi — pisał wówczas — rodzić się na cudzej ziemi.» I tak, jakby w nagrodę za rozkopane cudze żalniki, przyszło mu własny usypać. Smutek i niewygody podróży podkopały zdrowie żony. Musieli się zatrzymać dla porady lekarskiej w Twerze, gdzie pani Chodakowska w r. 1821 życie zakończyła. Niestety to przyjął z rezygnacją wielkiej duszy i w smutku, lecz ze świadomością doniosłego zadania, jakie miał przed sobą, podążył do Moskwy, gdzie przybył na początku grudnia 1821. Tu pracował nad mapą horodyszcz, nazwaną mapą *słowiańskiego grodzstwa*, na której przeszło 3,000 nomenklatur wpisał, nad *słownikiem porównawczym*, jakoteż nad sprawozdaniem dla akademii, które 1 lipca 1822 r. do Petersburga wysłał. Komisyja, w której brał czynny udział Kołajdowicz, młody archeolog, pragnący zająć stanowisko Chodakowskiego, nieprzychylną dał odezwę o jego pracy, więc mu nagle, bez żadnego uprzedzenia i prolongaty odebrano zapomogę. Znalazł się tedy bez funduszy i bez możliwości bronienia się, bo pozbawiony zupełnie środków materialnych, a od własnego kraju zbyt oddalony. Tu zbliżył się rodziną Polewoja, historyka, który go w ciężkich chwilach życia ratował i podtrzymywał materialnie.

Chodakowski w warunkach dość przykrych pracował nad obroną swoją, polemizując z Kołajdowiczem, uzupełniając mapę i słownik i walcząc o chleb powszedni, ażeby z głodu nie zginąć. Do swoich duma nie pozwalała mu wrócić. Wspomnienie kraju stawało się dla niego «balsamem.

kojącym cierpienia.» Smutek go przygniatał i żał za swoimi. «Kiedyż powrócę w żalnik, — pisał — w tę krainę, w której znajdę się, jak pod własną strzechą.» Niedługo czekał. Z Moskwy przeniósł się do wioski Pietrowskoje, gub. twerskiej, w której 17 listopada 1825 r. życie zakończył.

Wielka zasługa Chodakowskiego dla społeczeństwa leży w zapoczątkowaniu badania ludu w celu poznania zaginionego świata i jego kultury umysłowej. Rozprawa jego o *Słowiańszczyźnie* stała się według słów pisarza bliźniego tej epoki — «poematem dla młodego pokolenia, co wstrząsnął sersami.» Podniesione przez niego idee jedności słowiańskiej plemiennej zrodziły później ideę panslawizmu politycznego. W twórczości i życiu ludowem wskazał on źródła mitologii, archeologii, heraldyki. Pierwszy zwrócił uwagę na *horodyszcz* v. *horodki* i przeddziejowe przeznaczenie ich widział w związku z religią pogańską i życiem pierwotnem. Poglądy te wyłożył w *Projekcie uczonej podróży po Rosyi w celu wyjaśnienia starożytnych dziejów Słowiańszczyzny* (18 marca 1820 r.), Kołajdowicz niedołącznie oponował teorii powstawania horodyszcz i jakkolwiek przyczynił się do przerwania pracy Chodakowskiego, sam nic do nauki nie dołożył.

Po śmierci Chodakowskiego pozostała duża spuścizna naukowa, która długo z rąk do rąk tułała się i dotychczas się tuła, dostarczając różnym ludziom bądź etnograficznego, bądź archeologicznego materiału. Przeszła ona najprzód do Polewoja, który dopiero na żądanie władzy rządowej oddał ją w r. 1836 Pogodinowi na prośbę, wniesioną przez drugą żonę Chodakowskiego, rosyankę, do generał-gub. moskiewskiego. Polewoj, oddał to, co chciał, bez żadnej kontroli. Pogodin uznał ich wielką wartość naukową i począł wydawać w czasopiśmie «Tow. historyi i starożytności rosyjskich». Później dostały się one do biblioteki publicznej w Petersburgu, gdzie dotychczas się znajdują.

W pierwszej książce wydawnictw tegoż Towarzystwa ukazała się praca jego p. t. *Drogi komunikacyjne starożytnej Rosyi*, która rzuciła dość światła na pierwotne dzieje tego państwa i wyjaśniła niektóre ustępy latopisców. W temże piśmie wydrukował Pogodin krytykę poglądów Kołajdowicza p. t. *Historyczny systemat Chodakowskiego*. Następnie wyszedł *Urywek z podróży Chodakowskiego po Rosyi* (Ładoga, Nowogród) i *Sprawozdanie*

o pierwszych zdobyczach w Rosyi Chodakowskiego, które cały tom zajęło. Prace te pisane po rosyjsku.

W bibl. petersb. znajdują się rękopisy Chodakowskiego mianowicie: *Słownik imion własnych horodyszcz i wsi*, tomów 4 (po polsku), noszący nazwę *Stare-sta*, i zeszyt *Pieśni rusińskich*. Dodać należy, że całkowity prawie zbiór Chodakowskiego pożyczony został Maksymowiczowi przed śmiercią Zoryana i u niego pozostał, a odszukał się dopiero po śmierci Maksymowicza. Oprócz tego znajduje się w bibliotece petersb. *Mapa rozsiedlenia plemion słowiańskich* i inne drobne artykuły.

Pisali o nim: Lelewel J. (Dziennik literacki), 1759 Nr. 79), Skimborowicz (Teka Wileńska Nr. 6); Dominik Chodźko (Teka Wileńska Nr. 2); A. N. Pypin (Istoria ruskoj Etnografii, t. III. Etnografia małoruskaja), wreszcie monografia p. t. *Zoryan Dołęga Chodakowski*, napisana przez Rawitę-Gawrońskiego najpełniejsza ze wszystkich prac Czarnockim, wyszła we Lwowie w r. 1898.

Fr. Rawita-Gawroński.



Władysław Ludwik Anczyc.

(*1823—†1883.)

Nieżeli do największych zalet pisarza należy i zrównoważenie zasług literackich z zasługami społecznymi, to Anczyc pod tym względem ma bezsprzecznie miejsce w pierwszym rzędzie. Nie służąc nigdy tłumom, ani marnej chwale, ani też samolubstwu i próżności własnej, oddał on pióro swoje, niepospolitą spostrzegawczość i talent niepośledni na pożytek krajowi i społeczeństwu; to też imię jego zyskało trwałą i dobrze zdobyłą popularność.

Urodzony w Wilnie 25 listopada roku 1823 z ojca Zygmunta Anczyca, zdolnego i cenionego swojami czasy aktora, i matki Barbary z Hrehorowiczów, dzieckiem jeszcze zamieszkał wraz z rodzicami w Krakowie i tam ukończył nauki szkolne. Na życzenie rodziców poświęcił się zawodowi aptekarskiemu, uczęszczał na kursa specjalne przy uniwersytecie Jagiellońskim

i uzyskał wkrótce stopień magistra farmacyi. Wypadki historyczne niezadługo jednak, żywo poru-

szywszy umysł jego i serce, odwróciły go z obranej drogi. Wstrząśnienia, jakich doznała Galicya w okresie lat 1846-1848, pobudziły myśl Anczyca ku poważnemu zastanawianiu się nad stosunkami społecznymi wobec przewrotu, jaki się dokonał, wobec ciężkiej niemocy, jaką przechodziło społeczeństwo galicyjskie, zanim nowe uwarstwienie narodu nie weszło w krew pokoleń a wydobyte na wierzchy burzą namiętności kastowych, męty społeczne nie opadły na dno. Te refleksye uczyniły Anczyca pisarzem ludowym, dały impuls jego twórczości. Już w 1849 r. wystawia on na



scenie krakowskiej pierwszy swój utwór dramatyczny *Chłopi arystokraci*, który w krótkim czasie obiegł wszystkie sceny polskie i doczekał się jeszcze

za życia autora kilku wydań; za tą pierwszą poszły inne komedye i obrazki ludowe, a nawet historyczne (*Zemsta szlachcica polskiego, Jan Sobieski pod Żórawnem*).

W roku 1859 widzimy Anczyca w Warszawie, zawsze nieustrudzonego na polu popularyzacji wiedzy i oddziaływania przez druk na szersze masy. Od r. 1861 przez lat sześć redaguje on pismo ludowe p. t. «Kmiotek», prowadzone znakomicie, z wybora znajomością ludu, jego psychologii i potrzeb duchowych, jednocześnie wydaje cały szereg książeczek popularnych, jak: *Abecadlnik z historii polskiej, Czytelnia dla ludu wiejskiego, Elementarz dla dzieci polskich, Dzieje Polski w dwudziestu czterech obrazkach, Krótka nauka o ziemi i świecie, Pierwsza książeczka dla wiejskich dzieci, Pijaństwo, zguba i nędza włościan* i t. d.

Narówni z ludem ukochał Anczyc i dzieci; przez lat trzy od 1865 r. redaguje «Przyjaciela dzieci», pisze i tłumaczy mnóstwo dziełek i powieści dla młodzieży, pomiędzy którymi przeróbka z De Foego *Przypadki Robinsona Kruzo* zajmuje miejsce najpocześniejsze, jako używająca rozgłosnej popularności. Wreszcie podczas pobytu swego w Warszawie Anczyc spełniał obowiązki sekretarza «Gazety codziennej» za redakcyi J. I. Kraszewskiego, a także czas jakiś «Tygodnika ilustrowanego», redagował lat kilka «Wędrowca». Najowocniejszą wszakże była jego praca popularyzacyjna dla ludu; artykuły jego, podpisane pseudonimem Kazimierza Góralskiego, chętnych i ciekawych znajdowały czytelników.

Od roku 1869 widzimy Anczyca stale w Krakowie, w dalszym ciągu pracującego na niwie literackiej i społecznej. *Emigracja chłopska*, sztuka ludowa (Warszawa 1876), zarysowana na tle majającego coraz groźniej widma wychodźstwa ludu za ocean, świadczy o dojrzałości jego talentu dramatycznego. *Jan III pod Wiedniem* (grany w Krakowie podczas dwusetnego jubileuszu odsieczy wiedeńskiej r. 1883), napisany w ciągu dziewięciu dni, nie pozbawiony zresztą i tendencji społecznej, okazuje, że i teraz tematy, zaczerpnięte z dziejów przeszłości narodu, nie pozostały mu obce.

Największą jednak popularność zawdzięcza Anczyc swoim sztukom ludowym, nie dlatego, żeby inne jego utwory ¹⁾ były bez wartości, lecz, że w nich

najlepiej odzwierciedla się oblicze duchowe ich autora. Anczyc wyprowadzał chłopów na scenę nie kwoli efektowi scenicznemu, dla odśpiewania i odtęczenia mazura lub krakowiaka w barwnych kostymach ludowych, ale dla celów społecznych i zaznajomieniu warstw intelektualnych z potrzebami ludu i oddziaływania na lud za pomocą sceny. Tendencje te widoczne już są w pierwszym utworze dramatycznym Anczyca *Chłopi arystokracji*; zrodzony w ciężkiej atmosferze r. 1849, choć wesoły i pełen dowcipu, niezbyt świetlane otwiera on horyzonty: chłopów, którzy po uzyskaniu wolności osobistej mniemają się za równych panom, butnych i pełnych arogancji, żądnych nowych jeszcze zdobyczy, wyzyskujących pracę komorników, młodych parobczaków, odartych w służbie wojskowej ze wszelkich oznak przynależności rasowej i duchowej, arendarza, w mętnej wodzie upatrującego łatwego zysku, rozpijającego i oszukującego chłopów—oto, jakie wrażenia wynosimy z tej sztuki. Posłuchajmy, co mówi pani Kogucina, która teraz każe się nazywać Kogucińską, jak znowu syn jej Szczepan, który przyjeżdża z pułku na urlop do wioski rodzinnej po kilkuletniej niebytności, mianuje się z dumą «Sztefan Hahn:» «Ten jest chłopem, co robi pańszczyznę: a więc pókiśma odrabiali ślachcicowi, tośma byli chłopami, ale teraz jesteśwa galant ślachta, jako ano ten, co siedzi we dworze,» a na zapytanie syna: «Ciekawa rzecz, kaj się chłopci podzieją, kiej wsyscy będą ślachta?» odpowiada rezolutnie: «Ogłupiałeś do cna! a cy to niema komorników, co nic nie mają? Toć oni są i będą chłopami, bo muszą na chleb robić, a my se nie potrzebujemy się ugańiać z robotą, przeto jesteśwa ślacheckiej kondycji. Ja jestem pani, mój chłop jest pan, a ty jesteś pańskie dziecko.»

Objaw społeczny, pewnego rodzaju «signum temporis» uchwycony wybornie, dyagnoza postawiona trafnie i śmiało, bez uprzedzenia i bez idealizacji. Słusznie też powiada jeden z lepszych znawców teatru naszego i serdeczny przyjaciel autora *Emigracji chłopskiej*, St. Koźmian w swej pośmiertnej charakterystyce Anczyca: «Anczyc był nie tylko pisarzem, ale i myślicielem ludowym.

zebrany przez Maurycego Stankiewicza w «Upominku z uroczystości odsłonięcia i poświęcenia tablicy pamiątkowej ś. p. Władysława Ludwika Anczyca,» wylicza przeszło sto tytułów.

¹⁾ Spis bibliograficzny dzieł Anczyca, sumiennie

Był uczciwym w swoich zamiarach, czerstwym w poglądach, uzdolnionym jak nikt, do przeniesienia na scenę prawd społecznych i stosunków wiejskich. W ich ocenianiu kierował się roztropnością, uczuciem i prawdą, podczas gdy tylu innych wzywało na pomoc dla ich rozwiązania nienawiść, przesadę i kłamstwo. Anczyc z miłością i mądrością, a nie zawiścią i lekkomyślnością przystępował zawsze i wszędzie tak na scenie, jak i w innych pismach swoich do sprawy włościańskiej. W tem jego zasługa i to stanowi szczyt jego żywota¹⁾.

I w innych sztukach ludowych Anczyc stwierdził prawdę tych słów, w których nie znajdujemy ani żdźbła przesady, ani zwykłego w nekrologach chwalstwa; niema wśród nich prawie żadnej, którejby nie opromieniała jakaś prawda społeczna, zacna chęć oświecania młodszej braci. W *Lobzowianach* np. obok wielokrotnie podkreślanej myśli, że choć «miło to jest wprawdzie zwiedzać cudze strony, widzieć cuda sztuki, zbierać nauk plony; jednak kto raz pługiem tknął swój zagon miły, by go miał porzucić, zabraknie mu siły,» znajdziemy jeszcze przestrołę unikania pokątnych doradców w osobie Protazego, wnoszącego pierwiastek rozkładowy w serca najzaczniejsze i zarzewie niechęci pod strzechy spokojnych rodzin.

Podszepty złych duchów chłopu naszego zrobiły swoje, przewyciężywszy wrodzone przywiązanie do «miłego zagona;» fermenty społeczne, zauważone *Chłopach arystokratach*, zrodziły gorzkie owoce, objawy smutne i zatrważające i oto Anczyc występuje z najdoskonalszą swą sztuką, *Emigracją chłopską*, rzeczą, która obecnie jest bodaj

¹⁾ St. Koźmian «Władysław Ludwik Anczyc, wspomnienie pośmiertne». («Przegląd polski,» 1883, wrzesień, str. 510—511).

jeszcze bardziej aktualną, niż przed ćwierćwieczem. Tutaj stosunek jego do kwestyi chłopskiej występuje najdobitniej: lenistwo chłopu i chęć dorobienia się fortuny lekką pracą, wyzysk i chciwość żydów arendarzy, wytrącających coraz bardziej grunt z pod nóg chłopskich i zagarniających go dla swoich młodocianych Lajbusiów i Chaimków, niechęć gospodarzy ku «ciarachom,» natomiast bezwzględne zaufanie ku arendarzowi, graniczące z karygodną łatwowiernością, wielka a niecna spekulacja niemieckich *kulturtracgerów*, oparta na tej łatwowierności, oto objawy, które Anczyc podpatrzył i oddał w tej sztuce «z niesłychaną dokładnością i bezlitośnym realizmem,» jak mówi Koźmian¹⁾. A my dodamy jeszcze: z wielką miłością, bo w samej rzeczy trudno o bardziej harmonijne, niż w tym utworze, zespolenie realizmu z umiłowaniem przedmiotu.

Charakterystyka działalności literackiej Anczyca byłaby niezupełną, gdybyśmy nie wymienili poematu jego p. t. *Tyrteusz*, wydanego w Warszawie r. 1862 w książce zbiorowej na cześć Wójcickiego. Rzecz to wielkiego natchnienia i olbrzymiej siły lirycznego uczucia, przypominająca najgenialniejsze utwory naszych romantyków, zwłaszcza Ujejskiego.

Na tablicy pamiątkowej na cześć Anczyca, wmurowanej w kościółku św. Salvatora na Zwierzynku pod Krakowem, odsłoniętej dnia 12 czerwca r. 1886, położono napis: Władysławowi Ludwikowi Anczycowi autorowi *Tyrteusza*, dramaturgowi i pisarzowi ludowemu, † 1883—przyjaciele.» Trwała i wdzięczna pamięć narodu pozostanie dla niego pomnikiem o wiele trwalszym nad granity i marmury.

Henryk Galle.

¹⁾ St. Koźmian. Tamże, str. 508.



Łukasz Gołębiowski.

(* 1773 † 1849).

Est na Podlasiu tykocińskim wieś Gołębie, zamieszkała wyłącznie przez zagrodową szlachtę, odwieczne gniazdo Gołębiowskich.

Ze stron też powyższych dziad Łukasza Jan Gołębiowski, szlachcic herbu Gozdawa przeniósł się na Litwę za czasów saskich i służył tam wojskowo, jako towarzysz pancernego znaku. Syn jego Józef pozostawał od lat młodych w obowiązku u Franciszka ks. Druckiego Lubckiego, marszałka pińskiego, potem trzymał dzierżawę. Z licznego potomstwa został mu tylko syn Łukasz i dwie córki. «Urodziłem się w Pohoście o 6 mil od Pińska, d. 13 października 1773 r. — powiada o sobie

Łukasz.—Ojciec nauczył mnie czytać po polsku, po rusku i po łacinie. W Nowym Dworze czytywałem przed księdzem Gołębiowskim, bazylianinem z śliczną

białą brodą. Księżna czytać mi kazała, kiedy w poobiednich godzinach z p. Wiśniewską, rezydentką, drezłowały złoto. Małym lektorem swoim mnie nazywała, tłumaczyła gdym czego nie rozumiał. Dozwolono mi było należeć do społeczeństwa młodych księżniczek, co miało zapewne wpływ na moje ukształcenie. Radość była, gdy wuj, namiestnik brygady petyhorskiej przyjechał. Kształcił mnie na żołnierza i gniewał się, że we mnie rycerskiego ducha nie widział.



Ł. Gołębiowski.

«Z ciebie nic nie będzie, — mówił — prędzej to ksiądz, niż żołnierz.»

«Nadeszły lata nauki; sprowadzono z Warmii Oppela, któremu powierzono młodego księcia Onufrego i mnie — powiada Łukasz — uczyć kazano. Jakoż nauczyłem się po niemiecku mówić i pisać poprawnie, początków geografii i czterech działań arytmetycznych. Moralną część wychowania całkiem winienem rodzicom. Cnotliwi, patryarchalnie żyjąc oboje, wielce nad tem czuwali. Rozwinięcie zdrowego rozsądku i ukształcenie serca głównym było ich celem. Nauka da ci sposób do życia, — mawiali — ale bez cnoty, religii, zdrowego rozsądku cóż pomoże nauka? Zalecając nam ustawicznie miłość ludzką i bojaźń boską, mieli baczność na każdy czyn, każde słowo. Poszanowanie dla starszych, litość dla biednych, wszelką prawość i staropolską uczciwość wpajać usiłowano. Nie znaleźmy kłamstwa, obłudy, wybiegów, dowcipkowania i przedrzeźniania. Oddano mię potem razem z księciem Onufrym do pijarów w Dąbrowicy, o mil 18 od Pohostu odległej.»

Dalej Gołębiowski opisuje, jak po ukończeniu szkół pijarskich oddany został tymczasowo przez rodziców do księdza Leszczyńskiego, opata w Leszczu, na nauczyciela jego synowców z pensją roczną złp. 100. Ksiądz światły posiadał języki, miał książki, ale po kilku tygodniach przyjechała matka do Łukasza z wiadomością, że jego kolega Feliński napisał z Warszawy, aby państwo Gołębiowscy wysłali zaraz tam syna do komisarza skarbu Tadeusza Czackiego. Dopiero atoli w półtora roku potem Tadeusz Czacki dał Łukaszowi u siebie miejsce, powierzając mu tworzącą się świeżo w Porycku bibliotekę i przeznaczając 6 dukatów pensyi miesięcznej. Gdy źle szła wojna 1792 roku i wojska posuwały się ku Warszawie, Czacki polecił Gołębiowskiemu i Denisce bibliotekę upakować i przewieźć z Porycka do Szczekocin, do starościny wolbromskiej. «Z Czackim odbywałem drogi dla interesów i po klasztorach dla książek; byliśmy na Łysej górze, w Częstochowie, u wód w Bardyjowie i dla widzenia się z Ignacym Morsztynem do Wrocławia jeździłem. Dnia 24 marca 1794 r. oświadczyłem Czackiemu, że idę do wojska i zaciągnąłem się do pułku królowej Jadwigi Wodzickiego. Przykomenderowany do kancelaryi Naczelnika, pracowa-

łem zaraz większą część nocy, a nazajutrz do bitwy stanąłem w szeregu. Miałem względy Naczelnika, Ignacego Potockiego, nawet Kołłątaja; lubili mnie: Linowski, Biegański, Fiszer, zostający na czele kancelaryi. Towarzystwo nasze składali: Ślaski, Krzycki, Kropiński, Kamiński, Górski, Amira. Bywały i śpiewki i śmiechy. Najzdrowszy byłem i najszcześliwszy to był rok życia mojego. Dziś jeszcze widzę piękność obozu pod Igołomią, pod Połańcem.»

Po opisie wojny r. 1794 Gołębiowski mówi dalej o Czackim, że zajęła go biblioteka, do której przybyły z daru Stanisława Augusta akta z jego panowania i wszelkie królewskie rękopisy. Działyński darował Czackiemu archiwum urzędowe po Szembeku, kanclerzu z czasów Augusta II. Były i inne zdobyczne prawe i nieprawe, a trzeba było to wszystko w ład przywieść. Przestał więc Gołębiowski towarzyszyć Czackiemu w podróżach po kraju, a wziął się do rozległej pracy opisania i skatalogowania archiwum i biblioteki. Biblioteka Czackiego, powiada Gołębiowski, powstała siłą woli i zamiłowaniem wielkiego człowieka. W r. 1792 Czacki nie miał więcej niż tysiąc książek i kilkadziesiąt rękopisów, Gdy wybuchła wówczas wojna, kazał je przewieźć w Krakowskie i złożyć w klasztorze przyrowskim, po ustaniu wojny — w Szczekocinach, a r. 1795 z powrotem do Porycka. Dzieł drukowanych polskich lub o rzeczach ojczystych zgromadził Czacki 8,508, w językach obcych 3 do 4 tysięcy. Foliałów czyli plik z rękopisami znajdowało się w bibliotece poryckiej 1,558, które razem obejmowały w sobie 146,758 dokumentów oddzielnych. Gołębiowski ułożył i opisał to wielkie archiwum w ten sposób, że przy każdym foliale była treść jego zawartości i szczegółowe notaty o wiadomościach historycznych porządkiem stronnicy, co razem wzięte wynosiło 1,212 arkuszy zapisanych bitym charakterem. Utrzymywał przytem kasę Czackiego, całą rachunkowość, wagę interesów i korespondencję, a jakkolwiek miewał niekiedy pod ręką całe biuro, bo do 12 młodych pomocników, to jednak zdarzały się nieraz i wielkie przeszkody w pracy, np. w czasie wojen r. 1806 i 1809 cała biblioteka z archiwami była na wszelki wypadek upakowana, a nawet w r. 1813 podczas jednej nocy przewieziona do klasztoru bernardynów w Sokalu. Oddzielnie od własnej poryckiej założył Czacki

bibliotekę dla liceum w Krzemieńcu, do której zakupił r. 1804 bibliotekę po Stanisławie Auguście z 15,580 ksiąg złożoną i gabinet numizmatyczny, razem za 7,500 dukatów.

Rodzice Łukasza trzymali dzierżawą Łóbcze, później folwark Perechreście, a gdy ojciec umarł, matka przeniosła się do Porycka, gdzie wkrótce Bogu ducha oddała. O sobie powiada Gołębiowski, że w 30-ym roku życia poznał 15-letnią Józję Popławską w Teofipolu, córkę niebogatych, ale pocziwych rodziców, ładną, żywą, zajmującą, łatwą w rozmowie towarzyskiej, zawsze zatrudnioną. Zabawiwszy dni kilka w domu Popławskich, powrócił do Porycka i napisał zaraz list z oświadczeniami do rodziców i do panny, na który otrzymał pomyślną odpowiedź. Ze względu na obowiązki pana Łukasza, nie pozwalające mu wyjechać się często i na dłużej z Porycka, zezwolono na rychły ślub, który odbył się 26 czerwca 1803 r. «Wesoły był wówczas Poryck — pisze Gołębiowski — i można było zrobić wybór co do towarzystwa. Nasz domek był w ładnym położeniu, obok wielkiego ogrodu, z widokiem na jezioro i przyległe laski. Dał nam Bóg dziatki. Czuła, rozsądną i troskliwą była matka, pielegnowała je zawsze sama w dzieciństwie i umiała prowadzić w dalszych latach, zaszczepiając pierwsze zasady uczuć prawych, szlachetnych i pobożności. Gdy ją dzieci obsiadły wkoło i wynurzały jej pierwsze swe myśli i uczucia, czuła się wówczas najszczęśliwszą. W każdym dniu, w każdej chwili pragnąłem okazać jej moje przywiązanie. Pierwszy owoc z ogrodu, kwiat pierwszy był dla niej. Przygody znosić umiała, w religii szukając pociechy, straty majątkowe ofiarowywała Bogu, mnie dodawała siły, przebaczała wady moje, bo któż od nich wolny? Kiedy ręka moja stała się drżąca, ona była sekretarzem moim i w literackich dopomagała pracach. Dbła o mnie zawsze ze słodyczą i łagodnością od pierwszej połączenia się chwili do ostatniej, w zdrowiu i chorobie. Z jej serca, z jej dłoni pochodziła szczęśliwość nasza.»

«Smuciło mnie, że Czaccy brnęli w długi, lecz gdy okazywałem to przy corocznym bilansie, chwilowe tylko robiłem wrażenie. Jednakże coraz bardziej gryziony tym stanem rzeczy, umarł Czacki, niedługo potem i syn jego cnotliwy, szlachetny Józef. Pani Czacka majątek oddała pod eks-

dywizję. Pozostawałem jeszcze lat pięć, jako nieodbitie potrzebny do przeprowadzenia likwidacji, która poszła snadnie. Prace rękopiśmienne Czackiego podług jego woli pani Czacka mnie oddała. Ułożyłem się z księdzem Osińskim i mieliśmy zaraz nową edycję rozpocząć, kiedy świeża pamięć i cześć dla Czackiego zapewniała odbyt i zysk ogromny. Przybył Plater, wielkie marzył projekty; pani Czacka, nie zapytawszy się mnie nawet, pozwoliła mu zabrać rękopisy. Włókł długo, nic nie zrobił, po kilkunastu leciech zaledwie odzyskał rękopisy i zwrócił je nalegającej o to pani Czackiej.»

Biblioteka i archiwum po Tadeuszu Czackim nabyte zostały przez książąt Czartoryskich za sumę 11,000 dukatów i przewiezione z Porycka do Puław w r. 1819. Z nabyciem biblioteki poryckiej, książę Adam zapragnął mieć zwierchnikiem swych zbiorów naukowych Gołębiowskiego, który też przybył na to stanowisko do Puław d. 21 sierpnia 1818 r. Puławski zbiór rękopisów i dzieł polskich w porównaniu z poryckim był szczupły. Gołębiowski umieścił wszystko w ogromnym skarbcu, który ubrał portretami sławnych mężów. Powstała tym sposobem przepyszna biblioteka, najbogatsza w kraju w rzeczy ojczyste, licząca w r. 1824 około 2,200 woluminów z rękopisami, 16,815 dzieł polskich (tomów znacznie więcej) i 22,110 dzieł obcych. «Uporządkowałem — powiada Gołębiowski — bibliotekę puławską podług metody biblioteki wiedeńskiej, rejestr chronologiczny i abecadłowy w 6-ciu tomach *in folio* własną ręką skreśliłem, tak że w niej dziecko trafić mogło do ładu i na zapytanie księcia, szperającego po bibliotekach paryskich, czy mamy to lub owo dzieło, mogłem dać niezwłoczną odpowiedź. Pojechałem do Królewca i za zezwoleniem króla pruskiego umówiłem kopie z sekretnego archiwum krzyżaków, a ze źródła tego przychodziły nam stopy rzeczy nieznanych dotąd, wyświecających historię naszą. Opisałem historyczne pamiątki w «Sybilli», podałem wiadomości głównejsze z historii polskiej do «Pielgrzyma» (czasopismo wychodzące w Puławach); gdy książę Adam zamyslał napisać dzieje Litwy, wcześniej sposobilem do tego materiały, radziłem wydawanie pamiętników. Prosił kto i zezwolenie księcia otrzymał, natychmiast miał ode mnie, czego pragnął. Często bywa-
liśmy na objedzie u księżnej matki, u jej syna,

czasem oni u nas, dziecko trzymali nam do chrztu. Nie były już Puławy tak świetne, jak niegdyś, ale dla nas zawsze przyjemne, choć nieco kosztowne pomimo znakomitej pensyi.»

Gołębiowski, mianowany czynnym członkiem «Towarzystwa do ksiąg elementarnych,» musiał przenieść się w r. 1823 do Warszawy, gdzie wydział jego w pomienionem towarzystwie obszerniejszym był o wiele niż innych, bo obejmował historję i literaturę. Napisał wówczas *Wiadomość z historyi polskiej* dla instytutów żeńskich, przyjętą za dziełko elementarne. W r. 1818 mianowany członkiem czynnym Towarzystwa przyjaciół nauk, po sprowadzeniu się do Warszawy, został jego sekretarzem, mianowany także bibliotekarzem publicznym z obowiązkiem wykładu bibliografii w uniwersytecie Aleksandryjskim. W owej to epoce nastąpiło wydanie drukiem większej części prac naukowych Łukasza Gołębiowskiego, w których kierunku historyczno-starożytniczobyczajowym głęboko był zamiłowany i największe w ówczesnem piśmiennictwie polskiem położył zasługi. Najprzód więc w r. 1826 wydane zostało *Opisanie historyczno-statystyczne miasta Warszawy* z planem i sześciu widokami. W tymże czasie wyszła także w Warszawie praca Gołębiowskiego *O dziejopisach polskich, ich duchu, zaletach i wadach* i opis Warszawy w Nowym kalendarzyku politycznym warszawskim na r. 1826. W r. 1827 wyszła wzmiankowana powyżej «Wiadomość z historyi polskiej dla pensyj i szkół płci żeńskiej» z 4-ma mapkami, oraz drugie wydanie «Opisania historycz. stat. m. Warszawy,» znacznie pomnożone i rozszerzone. W r. 1830 wydane zostały 4 dzieła Gołębiowskiego: 1) *Domy i dwory*, 2) *Gry i zabawy różnych stanów w kraju całym*, 3) *Lud polski, jego zwyczaje, zabobony* i 4) *Ubory w Polsce od najdawniejszych czasów aż do chwili obecnych, sposobem dykeyonarza ułożone i opisane*, wreszcie *Zbiór medalów Aleksandra hr. Chodkiewicza*. W roku 1841-ym wyszedł *Gabinet medalów polskich, oraz tych, które się dziejów polskich tyczą* (od roku 1697 do 1763) tom 3-ci. W r. 1843 wyszedł w Poznaniu nakładem Edwarda Raczyńskiego tom 4-ty tegoż dzieła, obejmujący czasy Stanisława Augusta, a w r. 1845 wyszły 2 tomy, przedstawiające medale polskie najdawniejsze (od r. 1513 do 1696). Nakoniec w latach 1846 — 1848 wyszły trzy-tomowe

Dzieje Polski za Władysława Jagiełły, Władysława Warneńczyka, Kazimierza, Jana Olbrachta i Aleksandra. W ułożonym przez samego Gołębiowskiego rękopiśmiennym spisie prac jego wszystkich drukowanych lub niewydanych i tłomaczonych, znajdujemy ogółem tytułów ich 56, a w tej liczbie 1) *Pamiętki dawne języka polskiego, wydane przez Wacława Maciejowskiego*, 2) *Dzieje wojskowości polskiej*, 3) *O pracach Chodakowskiego*, 4) *Opisanie województwa Krakowskiego*, w kalendarzyku politycznym, 5) *Opisanie województwa Płockiego*, tamże, 6) *Noty i wstępy do zbioru piśm polskich* i t. d.

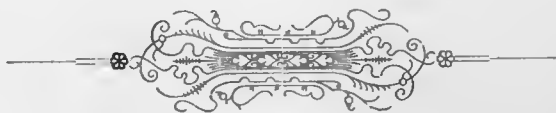
Widzimy z tego, że Gołębiowski należał do najpracowitszych uczonych polskich swego wieku. Jakoż powiada w swoim pamiętniku, że strawiwszy 28 lat na pracy w domu Czackich, 5 lat w Puławach i 10 lat na służbie publicznej w Warszawie, stargane mając już siły, na starość musiał się rzucić do gospodarstwa wiejskiego. «Kiedy się kłopotujemy, co z sobą począć, odbieramy list od pani G., że w Hrubieszowskim trafia się do nabycia kolonia z wygodnym domkiem, ogrodem, inwentarzem. Pojechała żona z pełnomocnictwem, zawarła przed notaryuszem kontrakt, mocą którego pan L. odstąpił nam posiadłość swoją Kaźmirówka zwaną, na gruntach Dziekanowa, wsi, należącej do Towarzystwa rolniczego, założonego przez Staszycę. Nabywszy po Woroniczu pozostały wygodny powóz, pożegnawszy ze łzami przyjaciół, d. 2 maja 1833 r. wyjechaliśmy z Warszawy. Mile to ustronie Kaźmirówka — pisze dalej Gołębiowski, zostawszy, tak jak byli jego dziadowie na Podlasiu a rodzice na Wołyniu, ziemianinem hrubieszowskim. Kwitnące drzewa ogrodu i lasu wyziewają woń miłą, tysiące słowików zdaje się witać nowoprzybyłych. O, jak nam tu błogo! jak nam tu dobrze! Śmiało teraz mogę powiedzieć z Karpińskim: «Otóż mój dom ubogi.» Obliczając rozchód, kłopotuje się dobra żona, jak tu można będzie podolać wydatkom kuchennym, póki zbiór zboża nie dozwoli opatrzyć we wszystko spiżarni. Wtem zaszczekał i posunął się Tyran, poskoczyły dzieci i «Ktoś jedzie!» za wołały. To jakieś fury, to nie do nas, mówiła przyzywając je matka. Jesteśmy z Gródka — odpowiada idący na czele, podając kartę: krupy, mąka, kurczęta i różne rzeczy na nowe gospodarstwo dla jejmości i dla jegomości od państwa G.

Oddając bilet, powiedziałem: A to spiżarnia, jak u ojców jezuitów, którym tylko ptasiego brakowało mleka. Jużem teraz spokojna, — mówi żona — wystarczy do nowego dla nas i dla czeladki. Ja schorzały, bezsilny w Warszawie, tu wpływem czystego powietrza wzmocniony, prowadzony to przez żonę, to przez syna, ośmielam się dalej posuwać kroki, żebym widział moje żyto, pszenicę, jare zboża, cieszył się ich wschodzeniem lub wzrostem.»

W sierpniu r. 1844 Gołębiowski stracił ukochaną żonę, zmarłą na zapalenie płuc. «Od śmierci matki ojciec stracił swobodę myśli, — pisze syn jego Seweryn — pochylił się, jakby mu 10 lat życia przybyło, z każdym dniem widocznie opadał na siłach, na piersi padła mu ciężkość, zachował jednak przytomność umysłu. Ostatni dzień swojego życia przesiedział ubrany, przeczytał kilkadziesiąt stronnic przysłanej w tym dniu książki; wcześniej, niż zwykle, zanieśliśmy go do łóżka. Po północy przestraszyło nas granie w piersiach chorego. Wkońcu granie ucichło, lżej odetchnął i skonał nad ranem 7 stycznia 1849 r. Ciało jego złożyliśmy obok matki w Gródku nadbużnym.»

Uczony nasz zostawił kilku synów. Z tych Seweryn był zdolnym pisarzem historycznym, ale śmierć zabrała go zbyt wcześnie nauce i krajowi (ur. 1820 † 1854). Starszy Ludwik wyemigrował za granicę, gdzie przy pomocy ks. Czartoryskich wykształcił się w Paryżu na biegłego inżyniera i, powróciwszy do Warszawy, zajmował do swego zgonu posadę rządową, znany z wykształcenia i zamiłowania w zbieraniu porcelan i dzieł sztuki, a przytem jako człowiek niepospolitej prawości charakteru i ujmującej słodyczy w obcowaniu towarzyskiem. Piszący to, gdy był młodym, znał go, już jako prawie starca, ale zawdzięcza mu najmiłsze wieczory, podczas których słuchał zajmujących i nader ciekawych jego opowiadań, czerpanych z tradycji poryckich, puławskich, uniwersytetu Aleksandryjskiego i Towarzystwa przyjaciół nauk. Gdy mówił raz o swej anielskiej, przez ojca i dzieci ubóstwianej matce, łza zabłysła w jego zamgłonej źrenicy i skończył opowiadanie słowami: «Nie mówiła po francusku, ale nauczyła nas kochać Boga, prawdę, bliźnich, kraj, pracę i żyć z ludźmi.»

Zygmunt Gloger.



August Bielowski.

* 1806 † 1876.

Rodzina Bielowskich, u Niesieckiego Bielew-
skimi zwana, siedziała zdawna w woje-

wództwie sieradz-
kiem, skąd w za-
raniu XVIII stu-
lecia przenosi się
pra-pradziad Au-
gusta, pan Michał
Bielowski, do wo-
jewództwa bełskie-
go, a z kolei do zie-
mi lwowskiej. Pie-
czętowali się Bie-
lowsky Jastrzęb-
cem; do możnych
rodów ich nie za-
liczano, zacności
jednak nikt im nie
odmawiał. Po oku-
pacyi G a l i c y i
dziad naszego hi-
storyka składa do-
wody, że jest szla-
chcicem, wskutek
czego sąd ziemski
lwowski w 1783
r. zatwierdza jego
szlachectwo.

August ujrzał
światło dzienne 27
marca 1806 roku
w Krechowicach;
ojciec jego Grze-
gorz gospodaro-
wał na jakimś

skromnym szmacie ziemi; matka, Maryanna z Rzę-
dzianowskich, wychowywała liczną gromadkę dzieci.

W nieobecności
łacińskiego księ-
dza chrzci przy-
szłego uczonego
polskiego paroch
grecko - katolicki
Stefan Cerkiewicz.
Ale szanowny oj-
ciec Cerkiewicz
zapomniał o akcie
chrztu zawiadomić
proboszcza łaciń-
skiego, kiedy więc
August Bielowski
zapragnął założyć
ognisko domowe,
zażądały od niego
odnośne władze
dowodu, kiedy,
gdzie i przez kogo
był chrzczony; do-
wodów o w y c h
brakło, trzeba te-
dy było groma-
dzić świadectwa i
świadków, co zajęło
kilka lat czasu.

Skoro minął
czas zabaw i go-
nitw po lasach i po-
lach i należało po-
myśleć o kształce-
niu młodocianego



A. Bielowski

umysłu, oddano małego Augusta do szkół w Stanisławowie, skąd w r. 1816 przeniósł się do gimnazjum w Buczaczu, gdzie pani Bielowska nabyła dworek i osiadła z całym swoim drobiazgiem. Szkoły buczackie pozostawały pod kierownictwem O. O. bazylianów i cieszyły się nawet niemałą popularnością i wziętością; Augustowi więc kolegów i rówieśników nie brakowało, a stosunki przyjazne, na ławie szkolnej zawarte, miały mu umilić niejedną chwilę w życiu. W r. 1828 spotykamy już Bielowskiego na kursie filozofii we Lwowie; w dwa lata później uczęszcza on na wykłady austriackiego prawa prywatnego, zarabiając równocześnie lekcjami na utrzymanie, z domu bowiem albo nic, albo bardzo jeno skromny zasiłek mógł otrzymać. Po kilkoletniej wojaczce zabiera się Bielowski ponownie do nauki, a że siły woli i ochoty do pracy nigdy mu nie brakło, doprowadza zamiar powzięty do skutku i w latach 1841—2 składa egzamin z rachunkowości oraz z buchalterii kupieckiej pojedynczej i podwójnej. Równocześnie krząta się energicznie około uregulowania sprawy chrztu i pod koniec 1844 r. staje na ślubnym kobiercu z panną Kordulą Wisłocką z Remizowiec. Praca biurowa, której chciał się poświęcić, zabiłaby w nim żylkę literacką, a literatura nasza poniosłaby stratę niemałą. Tymczasem szczęśliwym trafem zawakowała w r. 1844 w zakładzie narodowym Ossolińskich we Lwowie posada pierwszego skryptora. Rozpisano konkurs, a w rzędzie ubiegających się stanął i Bielowski, któremu przyznano też pierwszeństwo. Podobnego wyniku nie spowodowała żadna protekcja; najlepszym pasportem dla pana Augusta były jego dotychczasowe zasługi literackie.

Bielowski wstąpił w szranki poetów polskich jeszcze w 1830 roku i debiutował w «Haliczaninie.» Z biegiem lat coraz wybitniejsze zajmuje miejsce w skromnym kółeczku rymopisów lwowskich, do którego zaliczali się Dominik Magnuszewski, Józef i Leszek Borkowscy, Józef Dzierzkowski, Wincenty Pol i chwilowo w Galicyi przebywający Wójcicki. Wiersze Bielowskiego cechuje jędrność i potoczystość języka, a rozsypywał je poeta hojnie w rozmaitych współczesnych wydawnictwach peryodycznych. Sam redagował prócz tego noworocznik «Ziewonię;» w Pradze wydał zbiorek *Dumek*, przekładał pieśni serbskie, utwory Goetego, dał nam wyborne pod każdym względem

tlómaczenie poematu staroruskiego *Wyprawa Igora na Połowców*, wreszcie napisał *Pieśń o Henryku Pobożnym*, która mu w kółku poetów zdobyć miała oficerskie szlify. Prozą zabawiał się również z wielkim dla literatury pożytkiem. Czytelnicy posiadali już w rękach rozprawkę jego *Piśmiennictwo u słowian*, artykuł o pierwotnych dziejach Polski, wstęp do «Maryi» Malczewskiego i inne naukowe prace, nic więc dziwnego, że właśnie Bielowskiemu powierzono wzmiankowaną posadę w Ossolineum, z którym nie miał się już rozstać do końca życia.

Skryptorem zostaje nasz poeta i uczony w dniu pierwszym sierpnia 1845 r., ustawą przepisaną przysięgę składa 10 października t. r. wobec zastępcy kuratora, Gwalberta Pawlikowskiego, i Agnora hr. Gołuchowskiego, konsyliarza gubernialnego i deputata wydziału stanowego, który z czasem tak ważną odegrać miał rolę w dziejach Galicyi. Już z początkiem stycznia 1851 r. obejmuje Bielowski po Szlachetowskim zaszczytny urząd kustosa zakładu oraz tymczasowego zastępcy dyrektora i wraz z Maurycym hr. Dzieduszyckim, administratorem fundacyi z ramienia rządu, najusilniej pracuje nad jej dobrem i ciągłym rozwojem. Teraz to ukazuje się z pod prasy drukarskiej nowe wydanie wiekopomnego «Słownika» Lindego (1854 — 1861), z kolei rozpoczyna żywot nowy dwunastotomowy poczet *Biblioteki Ossolińskich*, który zawiera wiele ciekawych materiałów, odnoszących się do literatury i historii. W maju 1869 r. zostaje Bielowski rzeczywistym dyrektorem zakładu Ossolińskich, zdobywającego coraz większą życzliwość i popularność wśród uczonych europejskich.

W kilkakrotnych wycieczkach po kraju i za granicę bada dyrektor Ossolineum z prawdziwym zamiłowaniem i znawstwem rozmaite rękopisy i kroniki, czyniąc wyczerpujące notaty i przyspabiając się do zamierzonego już dawniej wydawnictwa *Monumentów*. Zupełnie też słusznie powiedziano o nim, iż «w lepszych i doświadczeńszych rękach wydawnictwo spocząć nie mogło.» Pierwszy tom *Monumentów* ukazał się w r. 1864, drugi w 1872; przy korekcie trzeciego tomu zamknął uczony badacz powieki nazawsze.

Monumenta Bielowskiego — twierdzi następca jego w Ossolineum, dr. Wojciech Kętrzyński — są niezawodnie najważniejszą publikacją polską tego

stulecia; czego za granicą liczne grono uczonych pod opieką rządów obfitujących w środki pieniężne dokonywa, to uczynił u nas jeden człowiek niezamożny, ale ogrzany miłością przeszłości. Pomnikami dziejów naszych postawił sobie Bielowski *monumentum aere perennius*. Są w nich wprawdzie błędy i braki, nikną one jednak zupełnie wobec gruntności i staranności wydawnictwa. Obok tego napisał Bielowski szereg artykułów, rozpraw i prac historycznych, z których studium o Szymonie Szymonowiczu największego doczekało się uznania. Jak wysoko ceniono naszego uczonego w kraju i za granicą, świadczą najlepiej tytuły, które posiadał. Był on członkiem akademii umiejętności w Petersburgu, akademii nauk i umiejętności w Zagrzebiu, akademii Kwirytów w Rzymie, akademii

↓ umiejętności w Krakowie, towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, towarzystwa literack. i staroż. połudn. słowiańsk. w Zagrzebiu, cesarsk. biblioteki publicz. w Petersburgu, sekcji histor.-statyst. towarz. gospodarczego morawsko-szląskiego w Bernie, oraz muzeum starożytności i komisji archeolog. w Wilnie. Dla uzupełnienia biografii zanotować należy, że margrabia Wielopolski ofiarowywał mu katedrę historii w Warszawie. Bielowski zmarł nagle w nocy z 11 na 12 października 1876 r. Pochowany został na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, a grób uczonego przyozdobiła druga jego żona, Justyna z Wisłockich, obeliskiem z piaskowca, z napisem związłym: «August Bielowski 1806† 1876.»

Michał Rolle.



Aleksander Fredro.

* 1793 † 1876.

Do połowy stulecia XVIII komedyopisarstwo polskie przechodziło fazę niemo-
włectwa i dziecięctwa swego. Zaczątki komedyi
w formie misteryów zwanych dyalogami ukazują
się u nas dopiero w XV w., przeniesione z Zachodu.
Najpierw dyalogi te, odgrywane pospolicie podczas
Bożego narodzenia i Wielkiego tygodnia, nosiły
na sobie czysto religijne piętno (zaginiony dziś
«Dyalog o ściegu św. Jana,» «Dyalog domini-
kański» z XVI w., «Dyalog częstochowski» i t. d.),
później atoli, gdy rozpoczęła się w XVI w. walka
z reformacją, przybrały charakter polemiczny,
mając na celu wykazanie słuszności zasad danego
wyznania i wytknięcie błędów strony przeciwnej
(«Rozmowy» Wita Korczewskiego, «Komedia
o mięsopuście» i t. d.). Obok tego pod wpły-
wem prądów humanistycznych ukazują się prze-
druki utworów dramatycznych literatury greckiej
i rzymskiej i przekłady lub przeróbki dyalogów
łacińskich, w zachodniej Europie powstałych, a o-
snutych na tle podań starożytnych lub biblijnych
(«Sąd Parysa,» przeróbka z Lochera, «Żywo-
t Józefa» Reja, naśladownictwo Crocusa, i t. d.). Jedno-
cześnie znaczne podniesienie poziomu wykształce-
nia, opartego na studiach dzieł greckich i rzymskich,
daje możliwość artystycznego rozwoju sztuki dra-
matycznej w duchu klasycznym; w tym dziale utwo-
rów naczelną rolę zajmuje «Odprawa posłów
greckich» Kochanowskiego i «Józef czysty» Szy-
monowicza. W XVII w. z upadkiem oświaty dra-
mat klasyczny znika i w dalszym ciągu powstają
jeny dyalogi bez żadnej wartości artystycznej, ode-
grywane w szkołach jezuickich, a później i pijar-
skich. Dopiero w połowie XVIII w. spostrzegamy
pierwszy krok naprzód w rozwoju sztuki drama-

tycznej, uczyniony przez Stanisława Konarskiego
i Franciszka Bohomolca. Obaj ci zakonnicy za-
znajamiają się ze sztukami pseudoklasycznymi
francuskimi, przerabiają je często w sposób bar-
dzo nieudolny, lub tworzą na ich wzór rzeczy ory-
ginalne, aby zasilić i urozmaicić zbyt ubogi repertuar
szkolny. Pierwszym atoli pisarzem, który posiadał
niewątpliwie istotny talent komedyopisarski, był
Franciszek Zabłocki. Od niego właściwie zaczyna
się nowa epoka w rozwoju naszego komedyopi-
sarstwa; zajmuje on w niej zupełnie takie stano-
wisko, jakie w rozwoju powieści zajął Krasicki.
Wszakże Zabłocki wyżyn artystycznych nie dosię-
gnął jeszcze, jakkolwiek umiał wcielić się w życie
społeczeństwa swego i trafnie malować dodatnie,
a nadewszystko ujemne rysy ludzi swojego cza-
su; na wyżynach tych stanął i sztuki swe na-
tchnął żywotnością sceniczną dopiero Aleksander
Fredro, który w takim jest mniej więcej stosunku
do Zabłockiego, jak w dziejach naszego powieścio-
pisarstwa Kraszewski do Krasickiego, pod wzglę-
dem oczywiście tylko strony artystycznej.

Słusznie nazwany Molierem polskim, Ale-
ksander hr. Fredro, prawnuk znanego w literaturze
naszej XVII w. Andrzeja Maksymiliana Fredry,
z którego «Przysłowi» brał zawsze dewizy do swych
komedyj, urodził się w Suchorowie pod Jarosła-
wem (w Galicyi) d. 20 czerwca 1793 r. z ojca
Jacka i matki Maryanny z hr. Dembińskich. Dzie-
cięce lata spędził w dziedzicznej Fredrów wiosce
Beńkowej Wiśni, gdzie ojciec jego, człowiek wpra-
wdzie bez wyższego wykształcenia, ale prawy, ucz-
ciwy, energiczny i posiadający umysł «głęboki
i logiczny,» gospodarował na roli i kierował przy-
tem założoną przez siebie w Ciśnie fabryką żela-



Podług statuytu społecznego

Alexander Freden

za. W r. 1822 otrzymał dla siebie i swego potomstwa tytuł hrabiowski. Aleksander wraz z licznym rodzeństwem (miał pięciu braci i trzy siostry) kształcił się w domu. Prawdopodobnie ówczesny stan fatalny szkół galicyjskich, używanych przez rząd austriacki za skuteczne narzędzie do germanizowania młodzieży, powstrzymał ojca od wychowania szkolnego dzieci, które pozostawały w domu niemal pod wyłącznym dozorem najniefortunniej dobieranych nauczycieli zwłaszcza od czasu, gdy matka umarła (w 1805 r.), a ojciec, zajęty interesami, nie mógł zwracać należytej uwagi na wychowanie dzieci. Nauka szła wogóle bardzo opieszale: trochę francuszczyzny ówczesnym obyczajem, czytanie i pisanie po polsku, wreszcie nieco wiadomości elementarnych z zakresu niektórych nauk początkowych—to było wszystko, czego się uczył młody Fredro i jego bracia, a uczył się bardzo nie systematycznie, przytem pamięć posiadał dość słabą i wybitniejszych zdolności umysłowych wogóle nie wykazał w tym czasie; niewątpliwie były one, ale ich nie rozwinięto i nie wyzyskano. Sam Fredro wyznaje, że ów najpiękniejszy czas nauki zmarnował całkowicie: próżnowali jego kierownicy, próżnował i on; jeżeli kiedy czytał cokolwiek, to tylko romanse, zresztą polował, jeździł konno, przy lekcjach zaś, jak sam pisze o sobie, 'dzwonił nogami i «wciągał» nosem. Taki stan rzeczy trwał do r. 1809; gdy wybuchła wojna Napoleona z Austryą i książę Józef Poniatowski wkroczył do Galicyi, 16-letni Fredro, zaopatrzony przez ojca w pieniądze, wszedł do wojska i pozostawał w nim aż do upadku cesarza francuzów. Kampanię 1812 roku odbył w stopniu kapitana; podczas odwrotu wielkiej armii był wzięty do niewoli i jako jeniec przebywał chwilowo w Wilnie, skąd udało mu się wszakże uciec, poczem razem z resztkami wojsk polskich, nie opuszczających Napoleona w krytycznej chwili, stanął w Paryżu. Pobyt Fredry w stolicy Francyi wpłynął stanowczo na rozbudzenie się jego talentu komedyopisarskiego, który do tej pory drzemał, nie zauważony przez nikogo, jakkolwiek już w 12-tym roku życia Fredro napisał komedię p. t. *Strach przestraszony*; treść jej dziecinna odpowiada naturalnie wiekowi autora: przebiegły i łakomy lokaj Michał, udając ducha, straszy podczas nieobecności państwa w domu starą klucznicę, by, zdobywszy od niej klucze, rozpocząć gospodarke w spiżarni; na gorącym uczynku łowia

go wracający państwo, a strach sam przestraszony chowa głowę do beczki z mąką. Pierwsza ta próbka, niedoszła do nas, jak i kilka innych nieco później napisanych, aczkolwiek w pomyśle i wykonaniu nie przekraczała granic umysłu dziecięcego, jednakże mogła posłużyć w pewnej mierze za dowód zdolności pisarskich w malcu, mimo to nie zwróciła na siebie uwagi otoczenia, nie odznaczającego się wyższym poziomem wykształcenia.

W wojsku Fredro poraz pierwszy dowiedział się o swoim talencie poetyckim, gdy z powodu jakiegoś zdarzenia napisał z łatwością wcale udatne wiersze, chociaż niekiedy brakło im średniówki, o której dotychczas autor nie miał najmniejszego pojęcia. Od jednego z wykształconych kolegów wziął wtedy «pierwszą lekcję prawideł rymotwórstwa polskiego.» Podczas krótkiego pobytu w Paryżu począł uczęszczać do teatru. Tragedya nie wywarła na nim większego wrażenia, pomimo świetnej gry Talmy, króla tragików. Natomiast komedya wprowała go w zachwyt; gra wybornych artystów, umiających utrzymać na scenie niekiedy nawet bardzo słabe utwory, niewątpliwie rozbudziła w nim zamiłowanie do sztuki scenicznej i drzemiące do owej pory wrodzone zdolności komedyopisarskie.

Nie zaraz jednak Fredro zabrał się do pisania. «Nie śmiałem — jak sam powiada — chwycić za pióro, nie mając jeszcze objawienia autorskiego zawodu.» Po powrocie wojsk polskich do kraju podał się do dymisyi i, ozdobiony krzyżem legii honorowej i *virtuti militari*, osiadł we Lwowie, gdzie z początku pędził dość wesołe życie w gronie bogatej młodzieży, przeważnie dawnych swych kolegów wojskowych, którzy rej wodzili w ówczesnych salonach lwowskich. To dało możność Fredrze dokładnego przyjrzenia się wyższym sferom społecznym, z pośród których później tak doskonale typy przenosił do swych utworów. Wypadkowe nabycie dzieł Moliera ułatwiło mu zaznajomienie się z arcydziełami komedyi francuskiej, co znacznie wpłynęło na wykształcenie strony artystycznej naszego pisarza. Wzorów z literatury ojczystej Fredro miał dotychczas niewiele, a i tym, które ukazywały się w owych czasach (jak np. «Pan Nowina» Niemcewicza), przeważnie zarzucał wiele błędów i krytykował je niemiłosiernie. Molier tedy stał się jedynym wzorem dla młodego autora, który od r. 1816 poczyną już próbować sił swych

na polu komedyopisarstwa i pisze trzy komedyjki: *Intryga napręclce* (późniejszy *Nowy Don Kiszot* w przerobieniu), *Kwita* i *Teatr na teatrze*. Z nich tylko pierwsza była raz wystawiona na scenie lwowskiej przez J. N. Kamińskiego; inne poszły do kosza.

Dopiero w r. 1819 napisał pierwszy znakomity swój utwór, będący dotychczas ozdobą teatru, p. t. *Pan Geldhab*; poraz pierwszy wystawił go, acz niechętnie z początku, Ludwik Osiński na scenie warszawskiej w r. 1821. Znaczne powodzenie, jakiego doznała ta sztuka, zachęciło Fredrę do pisania komedij w dalszym ciągu. Do r. 1835 wyszło ich 19 z pod pióra jego i ukazało się w teatrze bądź w Warszawie, bądź też w Krakowie lub Lwowie, zapewniając autorowi rozgłos i zaszczytne miejsce w literaturze dramatycznej. Wszakże, jak to niejednokrotnie się zdarza, nie wszyscy przyznali mu je odrazu. W «Pamiętniku powszechnym nauk i umiejętności» wychodzącym w Krakowie, Seweryn Goszczyński w znacznej mierze pod wpływem urazy, powziętej ku autorowi wskutek różnicy przekonań politycznych, ogłosił w r. 1835 artykuł «Nowa epoka poezji polskiej», w którym, przyznając zresztą Fredrze dowcip, humor i łatwość wierszowania, zarzuca mu «kosmopolityzm, niemoralność (!), poziomość uczuć, niedołężne (!) cieniowanie charakterów» i t. p. wady, o które obecnie bezstronny krytyk nigdy by nie posądził znakomitego pisarza. Wszakże bardziej od powyższych zarzutów niesłusznych całkowicie bolały Fredrę inne, czynione przez Goszczyńskiego i powtarzane bezkrytycznie przez wielu ówczesnych ludzi, a mianowicie zarzuty natury społeczno-politycznej; Goszczyński, krańcowy demokrat i rewolucjonista, ogłosił Fredrę, wogóle dość umiarkowanego w swych poglądach politycznych i przeciwnika rewolucyj orężnych, za wstecznika o ciasnym umyśle. To głęboko dotknęło wrażliwego pisarza; narazie zniechęcony złożył pióro i dopiero po kilkunastu latach powrócił do pracy literackiej, atoli utworów swych już drukiem nie ogłaszał aż do zgonu. Ożeniony z rozwódką, Zofią hr. Skarbkową, oddał się gospodarstwu wiejskiemu, nie uchylając się wszakże od różnych spraw publicznych, które go zawsze, jako dobrego obywatela kraju, mocno obchodziły. Piastował tedy przez kilka lat urząd deputata Stanów z gro-na magnackiego, brał czynny udział w organizowaniu Towarzystwa kredytowego ziemskiego we

Lwowie; po roku 1846 skreślił na żądanie hr. Stądiona *Uwagi nad stanem socyalnym w Galicyi*, w których odważnie wystąpił przeciw biurokracyi austriackiej i domagał się praw dla języka polskiego w szkole i urzędach. W czasach późniejszych, gdy w Galicyi od r. 1866 poczęło się rozwijać życie konstytucyjne, zgorzkniały i sterany na siłach Fredro od spraw publicznych usunął się już całkowicie i wogóle na wewnętrzną pracę społeczeństwa galicyjskiego zapatrywał się dość pesymistycznie. W r. 1865 uczczono jego zasługi przez wręczenie mu medalu, na jego cześć wybitego, w r. zaś 1873 cesarz Franciszek Józef ozdobił go orderem, jako znakomitego pisarza, a Akademia krakowska zamianowała członkiem swoim. Zmarł Fredro we Lwowie 15 lipca 1876 roku.

Czas ukazania się «Geldhaba» na scenie był chwilą, w której dawały się słyszeć pierwsze odgłosy wszczynającej się walki klasyków z romantykami. Jakie w niej zajął stanowisko tak wybitny pisarz, jak Fredro? Kategorycznie można odpowiedzieć: żadnego. Stał on zdala od wszelkich utarczek literackich i nawet nie obchodziły go one żywiej. Wykształcony na wzorach naszej literatury klasycznej, a z obcych tylko francuskiej, zwłaszcza Moliera, był zgoła obojętnym na nowe prądy, które też na jego utworach najmniejszego nie odcisnęły piętna. Tworząc typy i sytuacje komiczne w komedjach, czynił zadość potrzebie wrodzonego talentu, ale, jako pisarz, bieżącym życiem swego społeczeństwa i jego kierunkami umysłowymi nie zajmował się wcale; stąd w komedjach swych ani charakterów nie tworzył, ani żadnych kwestyj społecznych nie poruszał. W utworach tych z ducha i natury, ze sposobu charakteryzowania figur Fredro jest nawskroś oryginalnym, a więc romantykiem poniekąd, z formy natomiast—klasykiem, zachowującym ściśle trzy jedności pseudoklasyczne. Jest to bezwątpienia bardzo charakterystyczny objaw w naturze talentu Fredry. Za najwyrazistszą cechę wszystkich komedij jego należy uważać niewyczerpany humor, prosty, serdeczny, szczery, niekiedy rubaszny, humor staropolski, polegający nie na użyciu dwuznaczników, ale na wytworzeniu sytuacji komicznych, a prztem zawsze pogodny, bez cienia zgryźliwości i uszczypliwości, jakkolwiek autor zwłaszcza w latach późniejszych ujawniał w życiu codziennym pewną zgryźliwość i nastrój pesymistyczny. Pod

względem humoru nikt z dotychczasowych naszych komedyopisarzy nie zdołał dorównać Fredrze, który, co jest rzeczą godną uwagi, był z natury swej bardzo poważnym i odznaczał się nawet pewną surowością; z tego też powodu, jeszcze malcem będąc, zyskał wśród swego otoczenia nazwę staruszka. W tym razie przypomina on również z natury poważnego Moliера, któremu bynajmniej nie ustępuje pod względem siły komizmu i umiejętności dosadnego charakteryzowania figur. Niektórych nawet jego komedij jedyną zaletą jest humor, jak np. *List*, *Pierwsza lepsza*, *Gwałtu, co się dzieje*, *Nikt mnie nie zna*, *Ciotunia*; stąd można je nazwać farsami właściwie, gdyż ani idei, ani typów staranniej wykończonych nie posiadają. Inne liczne utwory Fredry zasługują całkowicie na nazwę komedij, w których obok właściwego autorowi humoru spotykamy przede wszystkim doskonałe typy. Taką komedią jest *Pan Geldhab*, gdzie mamy wybornie skreślony typ dorobkiewicza ograniczonego i pragnącego rozgłosu i stosunków z wyższymi sferami, następnie *Damy i huzary*, komedia pełna humoru, zawierająca przepyszne typy kobiet kłótliwych, a obok nich pocziwych wojskowych, chwilowo ulegających przebiegłym kobietom; wogóle wizerunki oficerów w utworach Fredry, który sam służył w wojsku, są zawsze dodatnie i podobne do siebie, mianowicie są to ludzie pocziwi, otwarci, szczerzy, serdeczni, rubaszni i energiczni, ale bez głębszego wykształcenia i nietęgiej głowy. *Zręczność i przekora* posiada również wyśmienicie odmalowane typy dwóch braci, kłócących się nieustannie i wciąż czyniących sobie naprzekór. *Przyjaciele*, komedia, co prawda rażąca nieprawdopodobieństwem, ale mająca wyborny typ żarłoka w osobie Smakosza, którego ideałem są dobrze przyrządzone potrawy. *Dożywocie* posiada, jak i powyższa komedia, pewne nieprawdopodobne sytuacje, natomiast odznacza się świetną charakterystyką typów: skąpca i lichwiarza Łatki, sprytnego i bezczelnego lokaja Filipa, hulaki i utracjusza Leona, a także pocziwych, lecz ograniczonych dwóch braci Lagenów. Taką samą świetnością kolorystyki i znakomitą plastyką osób odznacza się komedia *Zemsta*, posiadająca trzy doskonałe typy: zawsze zostającego w zgodzie z prawem rejenta Milczka, natury złośliwej, podstępnej, lisowatej i mściwej; cześnika Raptusiewicza, szczerego i otwartego, acz gwałtownego człowieka,

wreszcie typ tchórza Papkina, udającego bezczelnie zucha i śmiałka. Najdoskonalszą komedią Fredry są *Śluby panieńskie*, odznaczające się doskonałą budową, prawidłowym zupełnie przebiegiem akcji i wybornie pochwyceniami z natury typami: wesołego trzpiota, w gruncie pocziwego chłopca, Gustawa; sentymentalnego mazgaja Albina i dwóch niewieścich postaci: energicznej i przedsiębiorczej Klary i łagodnej, tkliwej, ale bez sentymentalizmu, Anieli. Obie te postaci kobiece i dlatego także zasługują na uwagę, że właściwie pod względem wyrazistości rysów stanowią wyjątek w galerii kobiet Fredry, które zazwyczaj są blade zarysowane i wszystkie mniej więcej na jedną modłę urobione, zwłaszcza młode kobiety, występujące w roli amantek.

Mniej udatnieni pod względem budowy i charakterystyki osób są: *Cudzoziemczyna* i *Pan Jowialski*, w obu tych komediach jedynie humor ratuje sytuację, ponieważ ani przeprowadzenie akcji, ani wykonanie wizerunków większości osób niczem się nie zaleca; jedynie postać główna drugiego z tych utworów, Jowialski, jest, jak to często widzimy u Fredry, z wielką prawdą i werwą odmalowana. Z prac ogłoszonych po śmierci autora, a napisanych po 1835 roku częściej już prozą niż wierszami, najlepszymi są komedye: *Pan Benet*, *Dwie bliźny*, *Godzien liłości* i *Wielki człowiek do małych interesów*. Pozostałe utwory mniejsze mają znaczenie ze względu na słabą stronę artystyczną, jakkolwiek humor w nich nie obniżył się w stosunku do poprzednio napisanych komedij. Obok humoru drugą ważną niezmiernie zaletą utworów Fredry jest wielka umiejętność kreślenia różnego rodzaju ludzi typowych; komedye jego nie uwydatniają żadnych zgoła idei, nie poruszają żadnych kwestyj, istniejących w danej chwili wśród ogółu, nie odzwierciedlają życia społecznego i stosunków codziennych, natomiast są przepyszna bogatą galerią typów różnego rodzaju, wziętych przeważnie z wyższych sfer społecznych, w których się sam autor obracał; jednostek warstw mieszczańskich (jak np. Kapka, oberżysta, Orgon w farsie «List» i t. d.) mamy stosunkowo bardzo niewiele, przytem w komedii nie uwydatniają one cech właściwych sobie tak plastycznie, jak postaci wzięte z salonów. Osia opowiadania w utworach Fredry jest zwykle intryga miłosna, skupiająca pewne grono osób, wśród których zdarzają się

nawet czasem postaci zupełnie zbyteczne, a wprowadzone jedynie jako uosobienie jakiegokolwiek śmieszności i słabostki ludzkiej. Fredro umiał wybornie malować ludzi zwyczajnych, natury proste, niezbyt skomplikowane; obdarzony zdrowym rozsądkiem i silnie rozwiniętym zmysłem spostrzegawczym, a przytem żywością słowa, chwycił i odtwarzał słabostki ludzkie i przywary trafnie i plastycznie, charakteryzując je bardzo dosadnie niekiedy kilku zaledwie rysami. Wszakże do głębin duszy ludzkiej nigdy nie zstąpił i subtelnej analizy duchowej przeprowadzić nie potrafił; dlatego też charakterów bardziej skomplikowanych, natur niezwykłych, wyjątkowych w komediach jego nie spotykamy wcale. Wszystkie postaci w nich są zazwyczaj swojskimi, narodowymi z bardzo małym wyjątkiem typów ogólnoludzkich.

Obok rozwiniętego wysoce humoru i doskonałej charakterystyki osób, do ważnych zalet komedyj Fredry należy zaliczyć: prawdę psychologiczną i wielką konsekwencyę w kreśleniu figur, plastykę ich, żywość akcji, która nigdy nie przechodzi w opowiadanie, obiektywizm autora, co jest koniecznym warunkiem dobrego dzieła dramatycznego, wreszcie sceniczność wszystkich utworów. Z drugiej strony do pospolitszych wad tych komedyj należy najpierw słaba, czasem niejednolita ich budowa; wśród licznych prac Fredry niewiele mamy takich, w których całe przeprowadzenie akcji nie podlega zarzutom (np. *Śluby panieńskie*,

✧ *Mąż i żona*). Niekiedy spotykamy w nich naciągane i nieuzasadnione albo też zbyt pospolite, oklepane rozwiązanie intrygi, nieumotywowanie należyte faktów lub ich nieprawdopodobieństwo, ukazanie się na scenie lub wyjście jakiej osoby bez dostatecznej przyczyny, a czasem i figury zbyteczne; nakoniec widzimy, acz rzadziej, skarykaturowanie postaci przez autora, który przesadę w kreśleniu ich rysów komicznych posuwa do krańcowości, co jednak, jak to słusznie zauważył Chmielowski, nie razi nas zbyt, a to dlatego, że mamy przed sobą właściwie typy, nie zaś charakter, a tylko te ostatnie nie znoszą najmniejszej przesady w malowidle, gdy tymczasem typy w szczególności swych mogą mieć rysunek dowolny, byleby ogólnoludzkie objawy były oddane zgodnie z rzeczywistością.

Wobec wyżej wykazanych zalet wielkiej wagi wyliczone tu niedokładności znacznie maleją, dzięki czemu komedye Fredry długie jeszcze lata będą miały całkowite powodzenie w teatrze.

Co się tyczy stylu Fredrowskiego, należy zaznaczyć, że jakkolwiek nie jest on zupełnie czysty, bo tu i ówdzie naszpikowany galicyzmami, wszakże obfituje w wyrażenia jędrne, dosadne; wiersz potoczysty, gładki, nie zdradza nigdzie łamania się autora z formą, a tok mowy wogóle jest prosty, swojski, naturalny, bez żadnych efektów i retorycznych upiększeń.

J. Nitowski.



Jan Lam.

* 1838 † 1886.

W okresie konstytucyjnym dziejów Galicyi Jan Lam był jedną z postaci najwybitniejszych. Nie był to wódz, któryby umiał sam prowadzić armie, ale wodzów, nie zawsze najlepszych, był doradcą dobrym; nie był to twórca programu, któryby odpowiadał potrzebom chwili, ale, przyjąwszy program cudzy, umiał go bronić uczciwie i wiernie, był bowiem publicystą i dziennikarzem jednym z najlepszych, jakich posiadaliśmy kiedykolwiek, nawet jako poeta i powieściopisarz był przede wszystkim publicystą z talentu, upodobań, zamiłowań i przyzwyczajenia.

Rodzina Lamów pochodziła ze Szkocyi, skąd

pradziad Jana przesiedlił się do Hesyi. Ojciec autora *Głów do poxłoty* Konrad przeniósł się do

Galicyi, rozpoczął nauki w gimnazjum O. O. jezuitów w Tarnopolu, ale ich nie skończył i wstąpił do służby skarbowej austriackiej, gdzie dosłużył się stopnia t. zw. komisarza straży skarbowej. Pisał się Lamm i w życiu codziennem używał języka niemieckiego, ale, ożeniwszy się w r. 1837 z Joanną Ziolecką, córką urzędnika ze Stanisławowa, spolszczył się, jak syn jego mówi w jednej z kronik swoich, dlatego że był «dobrym człowiekiem,» a dobry człowiek nie może «nie przejąć się uczuciami i nadziejami otoczenia.» Jan Paweł Ferdy-



J. Lam

nand Lam urodził się dnia 16 stycznia r. 1838 w Stanisławowie, a że ojca jego przenoszono często z miejsca na miejsce, przeto Jan spędzał lata swe dziecięce kolejno w Kocmaniu na Bukowinie, w Śniatynie, w Buczaczu, wreszcie w Narolu. Pobyt w tej ostatniej miejscowości był ważnym w życiu przyszłego pisarza. Nawiązały się serdeczne stosunki rodziny Lamów z sąsiadującą z Narolem w Lubyczy królewskiej rodziną Zielińskich. Syn tej rodziny, rówieśnik Jana, Władysław, który później miał sobie także zdobyć imię w piśmiennictwie, zaprzyjaźnił się z nim, a częsty pobyt w Lubyczy, gdzie panowała atmosfera czysto polska, oddziaływał korzystnie na naszego Jana, w którego domu język polski walczył jeszcze na dobre z niemieczyzną, nie mogąc jej pokonać zupełnie. Do zwycięstwa przyczynili się najpierw Zielińscy, a potem rok 1848, który ożywił niezmiernie i pokrzepił społeczeństwo polskie w Galicyi.

Nauki Jana Lama nie szły porządnym trybem, choć wcześniej ukazywały się nadzwyczajne jego zdolności. Czytać i pisać nauczył się od matki i stryja, pierwszemi naukami gimnazjalnemi kierował ksiądz Tymoteusz Kochlewski z Narola i trochę ojciec. Reszty dokonała silna wola Jana, który zdołał sam przygotować się do wstępnego egzaminu do klasy VI w Buczaczu, a w trzy lata później do złożenia w charakterze t. zw. «prywatysty» egzaminu maturalnego w gimnazjum w Stanisławowie. Świadcstwo otrzymał chlubne.

Było to w r. 1856. Z świadectwem matury w ręku Jan Lam pojechał do Lwowa, aby się zapisać w uniwersytecie w poczet uczniów prawa. Czyniąc zadość życzeniu rodziców, zwłaszcza ojca, pokutował między nimi przez trzy lata, choć nauka prawa zupełnie nie odpowiadała jego upodobaniom. To też gdy wybuchła wojna austriacko-włoska w r. 1859, Lam porzucił raz na zawsze studia prawne i wstąpił do wojska, do pułku hr. L. Nugent'a, lecz przybył na pole walki zapóźno, bo już po zawieszeniu broni, i po pięciu miesiącach noszenia munduru wojskowego z nim się rozstał. Po kilku latach tułania się po domach szlacheckich w charakterze nauczyciela prywatnego i po roku przymusowego pobytu w Złoczowie (w więzieniu) Jan Lam ożenił się w r. 1865 z p. Maryą Jasińską, córką właściciela Wiktorówki w ziemi brzeżańskiej, i osiadłszy we Lwowie, już się z niego nie ruszał do końca życia.

Zawód pisarski Jan Lam rozpoczął około r. 1862, zachęcony doń przez jednego z najwybitniejszych redaktorów galicyjskich i polskich wogóle, Jana Dobrzańskiego. Miał tę niepospolitą właściwość Dobrzański, że umiał zdolności piszących w lot ocenić i ich odpowiednio użyć, umiał zachęcić, nie stawiając nikomu nadmiernych wymagań, nie zrażając nikogo i nie nadużywając. Dobrzański redagował wówczas «Gazetę narodową» i «Dziennik literacki», a poznawszy zdolności Lama z wydanej w r. 1861 satyrycznej *Latarni antydemokratycznej*, (Lwów, w 8-ce, str. 4), potrafił go sobie zjednać, powierzając mu sprawy «Dziennika literackiego», w którego tomie z r. 1862¹⁾ spotykamy już udatne wiersze i artykułiki młodego autora.

Próbował Lam w tym czasie na seryo poezyi. Na dochód zawiązującego się stowarzyszenia bratniej pomocy uczniów uniwersytetu wydał poemat, pisany oktawą, a osnuty na tle dziejów polskorusińskich p. t. *Zawichost*²⁾; próbował tłómaczyć Henryka Heinego, z którego nieliczne urywki ogłaszał później w «Dzienniku literackim»³⁾, jednakże mimo niezaprzeczonej wartości tych prób, nie była to właściwa droga dla jego talentu. Był on bowiem przede wszystkim satyrykiem, głównie zaś celował w dowcipie politycznym, którego dowody złożył w pisemkach humorystycznych, wydawanych kolejno w r. 1862 p. t. «Bak», «Krzykacz», «Kometa I», «Kuźnia», «Kometa II». Do pisemek tych Lam sam robił ilustracye, iskrzące się dowcipem, raniącym boleśnie tych, których autor chciał zranić.

We Lwowie Lam zamieszkał we wrześniu r. 1866 i odtąd był przez trzy lata do września r. 1869 współpracownikiem «Gazety narodowej», kierowanej przez Dobrzańskiego, który, smagany przez Kraszewskiego w «Rachunkach» i nazywany ironicznie Janem IV, stał wówczas u szczytu swojego znaczenia i wpływu w Galicyi. Zakres działania Lama w «Gazecie» był w latach 1866 i 1867 dość szczupły. W r. 1868 rozszerzył się znacznie. Dnia 4 stycznia t. r. pojawiła się w feletonie «Gazety» pierwsza kronika lwowska Jana Lama i odtąd przez półtora roku pojawiała się już co tydzień, rozrywana przez czytelników i chłoszcząca

¹⁾ Ob. nr. 28, 38, 55.

²⁾ Lwów 1862, z drukarni E. Winiarza, w 8-ce, str. 32.

³⁾ 1868 nr. 30 i 31. Ustępy z Heinego «Atta Troll»

biczem nieubłaganej satyry wszelkie nieuctwo, mierotę, błagę, przesadę, nienależyte kierowanie sprawami publicznymi, niewczesne karyerowiczowstwo, wogóle wszelkie grzechy społeczeństwa, które rozpoczynało wówczas żyć życiem nowem, konstytucyjnem.

W teatrze hr. Skarbka we Lwowie rozpierał się wówczas dumnie teatr niemiecki pod dyktando jakiegoś p. Bluma, podczas gdy teatr polski był kopciuszkiem, rzadko tylko mogącym dawać przedstawienia, mimo, że w szkole i urzędzie zapanał już wtedy język polski, a dawna biurokracja niemiecka poczęła się powoli wynosić z Galicyi, albo też gwałtownie, szybko się polszczyć. W akcie fundacyjnym teatru Skarbkowskiego były zagwarantowane prawa teatru niemieckiego, a sejm, wydział krajowy i społeczeństwo niezbyt raźnie brały się do zmiany tego uciążliwego postanowienia fundatora, który, nawiasem mówiąc, uczynił je w czasach (1842) wszechwładnego panowania niemczyzny w kraju, jedynie zmuszony koniecznością. Przez lat kilka z całą gwałtownością i zaciekłością chlubną Jan Lam uderzał na tę niemczyznę teatralną i, trzeba przyznać, w wielkiej mierze przyczynił się do jej usunięcia.

Ważły się wówczas w polityce galicyjskiej dwa kierunki: jeden, reprezentowany przez Franciszka Smolkę, dążył do przemiany ustroju Austrii w duchu federacyjnym, drugi, który wyobrażali namiestnik Agenor hr. Gołuchowski i Florian Ziemiałkowski, żądał jedynie jak najobszerniejszych koncesyj od rządu na rzecz narodowości naszej w Galicyi. Ziemiałkowski zainaugurował w kraju politykę utylitarną, której trzymała się później przez długie lata delegacja polska w Wiedniu.

«Gazeta narodowa» (a z nią Lam w kronikach lwowskich) popierała tę ostatnią politykę. Ale w r. 1869 Jan Dobrzański zmienił front i przerzucił się na stronę polityki Smolki. Wtedy dwaj współpracownicy «Gazety», Jan Lam i Henryk Rewakowicz, wystąpili z redakcyi pisma i wspólnie z Ziemiałkowskim, Józefem Rogoszem i Józefem Laskownickim założyli nowy organ polityczny p. n. *Dziennik polski*.

«Dziennik polski» zaczął wychodzić w październiku r. 1869, a żywot swój gazeciarski zainaugurował gwałtownymi atakami na Dobrzańskiego. Celował w nich przede wszystkim Lam, pisujący tu, prócz kronik lwowskich, artykuły na-

czelne i niewyczerpany w wymyślaniu coraz to złośliwszych epitetów dla Dobrzańskiego¹⁾.

Epizodem tej walki był proces, wytoczony przez Dobrzańskiego w marcu 1870 r. Lamowi i Rewakowiczowi o obrazę honoru. Oskarżeni, sądzeni przez ławę przysięgłych, zostali wówczas skazani na 14 dni aresztu. W wiele lat później, kiedy się różnice wyrównały, a namiętności ochłodziły, w kilka dni po śmierci Dobrzańskiego, zmarłego w d. 30 maja r. 1886, Lam pisał o tem zajściu: «Do historyi założenia «Dziennika polskiego» należy jeszcze historia procesu o obrazę honoru, który w r. 1870 Jan Dobrzański wytoczył przeciw mnie i Henrykowi Rewakowiczowi. Wolę jednak na dziś nie poruszać tej sprawy, lecz tylko prosić łaskawego czytelnika, ażeby w pamięci swojej odróżniał zawsze ten proces od późniejszych zatargów p. A. J. O. Rogosza z Dobrzańskim, z którymi ja i Rewakowicz nie mieliśmy nic wspólnego. W naszej sprawie niczyje prywatne stosunki nie były dotykane i była ona tak czystą, że dziś jeszcze przystalibyśmy na to, gdyby ją chciał roztrząsać najsurowszy jaki trybunał. Bolesnem tylko jest, że ten, o którego tu głównie chodziło (Dobrzański), już nie żyje i zabrał z sobą do grobu może jaką część żalu, na który wobec sumienia naszego nie zasłużyliśmy. Czas zresztą zatarł już był po części gorycz tego wspomnienia i w ostatnich latach zostawaliśmy ze ś. p. Dobrzańskim w dobrych wcale stosunkach. Pokój więc jego pamięci i zapomnienie wszystkim urazom»²⁾

Przytoczyliśmy ten ustęp ze wspomnień, charakteryzuje on bowiem wybornie szlachetną duszę tego człowieka, któremu tak często za życia zarzucano stronnictwo i niezdolność do wypowiadania sądów dodatnich. Mówiono, że Lam niczego nie uszanował, że plwał na wszystko. Była to nieprawda. Lam umiał szanować uczucia ludzkie osobiste i zbiorowe i nigdy ich nie lekceważył. Była to bowiem natura nawskroś uczuciowa, a w najcięższej polemice, pozornie osobistej, chodziło mu daleko więcej o zasadę, niż o osobę.

¹⁾ Ob. n. p. *Krywe Krywejcie*, powieść z czasów przedrezolucyjnych. «Dziennik polski» 1870 r., nr. 17 i nast. Podpisano n. m., t. j. Jan Lam. Dobrzański nazywa się tam Borbifaksem, redaktorem «Trąby narodowej», «referentem od śmiecia» i t. d.

²⁾ Jan Lam: U kolebki dziennika. («Dziennik polski» z dnia 1 lipca 1886).

Równocześnie z wstąpieniem do «Gazety narodowej» Lam, zachęcony przez Dobrzańskiego, wziął się do pisania powieści. Jeszcze w roku 1863 umieścił w «Dzienniku literackim» opowiadanie p. t. *Pan komisarz wojenny*, ale pierwszym jego utworem powieściowym na większą skalę jest *Panna Emilia* (Lwów 1869), w zbiorowym wydaniu powieści Lama zatytułowana *Wielki świat Capowic*, za którą poszedł *Koroniarz w Galicyi czyli powagi powiatowe* (Lwów 1870). W pierwszej z tych powieści autor przedstawił znakomicie i srodze wyszydził tę biurokrację austriacką, która do roku 1867 zaciekle starała się kraj zgermanizować, a ze zmianą prądów politycznych, aby nie stracić intratnych posad i stanowisk, zaczęła się stroić w piórka polskie. Postać Precliczka w tej powieści jest typową i udała się autorowi wybornie.

«Koroniarz w Galicyi» nie ustępuje «Pannie Emilii» pod względem wartości i tego zacięcia satyrycznego, w którym autor celował. Jak tam biurokrację austriacką, tak tu Lam wydrwił wady rodzącej się autonomii krajowej, a zrobił to z taką ciętością i humorem, że stał się przez jakiś czas jednym z najpoczytniejszych powieściopisarzy nie tylko w Galicyi. Taką poczytnością cieszyły się zarówno *Głowy do poszłoty*, (3 t., Lwów 1873), *Idealiści* (2 t., Lwów 1876) i *Dziurne karyery* (Lwów 1880), jak i liczne humoreski i powiastki (śród tych najbardziej cenione *Swaty na Rusi*), zebrane razem i wydane we Lwowie w r. 1880.

Jednakże nie artystycznej budowie powieściowej, prawie zawsze szwankującej, powieści Lama zawdzięczały swoją poczytność. Tajemnicą jej była tych powieści aktualność. Mieszkańcy Galicyi umieli nazwać Capowice właściwym nazwiskiem Kozowy w Brzeżańskim, gdzie się rozegrywa akcja powieściowa; wiedzieli dobrze, kto są bohaterowie tych powieści, umieli nazwać po imieniu księcia Błagę, budującego kolej żarnowską, lub finansistę dr. Mitregę, lubiącego się tytułować baronem. Aktualność powieści Lama szła tak daleko, że można je w pewnej mierze uważać właściwie za pamflety polityczne. Wartość i trwałość natomiast zapewnia im bezwątpienia znakomita obserwacja stosunków galicyjskich, wytrawna znajomość niedomagań społecznych i uchwycenie ich ze strony najbardziej śmiesznej. Dla historyka pierwszych chwil ery konstytucyjnej w Galicyi

powieści te mają wartość dokumentu. Zbiorowe wydanie powieści Lama wyszło we Lwowie w r. 1887.

Ale właściwem źródłem sławy i wziętości Jana Lama były jego kroniki lwowskie. Autor sam wydał w książce zbiór ich z r. 1868 i 1869 (Lwów 1874), a uczynił to w tym celu, aby pokazać, jak się w tych latach «Gazeta narodowa» zapatrywała na zasadnicze zagadnienia polityki galicyjskiej i o ile potem zmieniła przekonania.

Inne kroniki utonęły w morzu bibuły dziennikarskiej. Pisywał je zaś od roku 1869 do końca życia w «Dzienniku polskim», przez jakiś czas oprócz tego w «Tygodniku» lwowskim J. Rogosza p. n. «Pogadanki» i w ostatnich latach życia w «Gazecie lwowskiej» p. n. «Z kraju i ze świata», a wreszcie w warszawskiej «Gazecie polskiej» w formie korespondencji. Liczbę jego kronik obliczają na tysiąc przeszło, wszakże ile mi się zdaje, napisał ich Lam znacznie więcej.

W «Dzienniku polskim» początkowo redaktor i osobistość nadająca pismu kierunek, Lam później utracił w nim swój wpływ, gdy ten organ począł dość często zmieniać swych właścicieli. W tych czasach królestwem Lama była kronika, w której z zupełną swobodą wypowiadał swoje zdania o rzeczach i ludziach bez względu na to, co pisano u góry pisma. Niesłychana pamięć, pozwalająca mu na pisanie bez trudu o najrozmaitszych rzeczach, do których inni potrzebują nieraz mozolnie robionych notat i zapisek, dalej niepospolita znajomość spraw i stosunków galicyjskich, wreszcie ów humor Dickensowski, polegający na mówieniu bardzo seryo o rzeczach, o których się zazwyczaj seryo nie mówi, — to wszystko jednako kronikom Lama bardzo liczne koło czytelników, dla których śmierć jego była ciosem bolesnym.

Zniszczony chorobą, wywołaną bardzo nieregularnym trybem życia, znękany trzyletniemi cierpieniami, w ciągu których początkowo nie wypuszczał pióra z ręki, a później, gdy go nie mógł utrzymać w ręce, co tydzień dyktował swoją kronikę, Jan Lam zmarł dnia 3 sierpnia 1886 roku. W tym samym dniu «Gazeta lwowska» umieściła w swym feletonie ostatnią pogadankę *Z kraju i ze świata*, opatrzoną liczbą CIII, tyle bowiem pogadanek Lam umieścił w tem piśmie.

Nad otwartą mogiłą Henryk Rewakowicz pożegnał w imieniu dziennikarzy martwe zwłoki przyjaciela i towarzysza pracy. Przemawiał także w imieniu redakcyi «Dziennika polskiego» Lubin Ilasiewicz, dzisiaj już także nie należący do żywych (zmarł 1888 roku). Z artykułów i szkic

ców o życiu i pismach Lama wyróżnia się chlubnie praca profesora doktora Józefa Tretiaka p. t. «Jan Lam. Talent i charakter.» (Szkice literackie. Serya I, str. 241—261, Kraków, 1896).

Kazimierz Wróblewski.

Ks. Franciszek Ksawery Malinowski.

* 1807 † 1881.

Zostać księdza Fr. Ks. Malinowskiego zajmuje pierwszorzędne stanowisko w dziejach językoznawstwa polskiego naszej doby. Należy on do tej bardzo szczupłej garstki przodowników w dziedzinie badań naukowych języka ojczystego, którzy w swoim czasie zrozumieli doniosłe znaczenie językoznawstwa porównawczego, starali się zapoznać z tą nową gałęzią wiedzy i dla nauki polszczyzny ją spożytkować.

Kiedy w pierwszej połowie wieku bieżącego pokrewieństwo wzajemne języków europejskich z indyjskimi zostało ściśle udowodnione i następnie ustaliło się pojęcie naukowe o wspólnym

przed wiekami początku rodziny indoeuropejskiej języków inarodów, niebawem też ujawniła się niewątpliwa korzyść, jaką osiągnąć można dla językoznawstwa wogóle, jak również dla naukowego poznania każdego z języków tej rodziny, przez zestawianie i porównywanie ze sobą odpowiednich zjawisk językowych, napotykanych w pojedynczych rodziny tej przedstawicielach. Tą drogą powstała nowa nauka, zwana językoznawstwem porównawczem albo gramatyką porównawczą języków indo-europejskich lub aryo-europejskich, która w krótkim stosunkowo czasie, dzięki głównie pracy niemieckich uczonych, szybko



Ks. Malinowski.

się na Zachodzie rozwinęła. U nas nauka ta przez dość długi czas nie doznawała przychylnego przyjęcia. Tłómaczy się to łatwo brakiem dostatecznie przygotowanych do tego umysłów.

Lekceważono rzecz, której nie znano i o której jedynie bałamutne nowinki z Zachodu i to przygodnie tylko do kraju się przeciskały. Niechętni tej «nowej reformacji lingwistycznej» spoglądali na jej rozwój jako na nowy objaw niespokojnego ducha germańskiego i ostrzegali ziomków o szkodliwym, nawet zgubnym wpływie, jaki «niemiecka nauka,» «rozkładająca języki i ducha narodów,» sprowadzić może na język narodowy.

Ks. Malinowski nie podzielał tych urojonych obaw i omylnych przepowiedni. Pojmując wartość nowszego językoznawstwa, przyswajał sobie jego zasady i metodę badania i przy ich pomocy rozpoczął naukowe poznawanie budowy i przeszłości języka ojczystego. Czy miał na tej drodze mistrzów lub przewodników, czy należał do jakiej szkoły zawodowych badaczy? Bynajmniej. Ks. Malinowski był w językoznawstwie zupełnym samoukiem. Przewodnikami w jego studiach były dzieła współczesnych lingwistów, jak: Bopp, Schleicher, Miklosich, Szafarzyk i inni, z których czerpał zasady nowej umiejętności; zresztą przy ograniczonych środkach naukowych, zostawiony samemu sobie, wszystko zawdzięcza sumiennej własnej pracy, rzadkiej wytrwałości i zamięlowaniu do badań językowych.

Oto kilka ważniejszych szczegółów z życia tego czcigodnego uczonego kapłana. Urodził się 23 listopada 1807 r. w Gołubiu, miasteczku Prus zachodnich (królewskich), gdzie ojciec jego był burmistrzem. Mając lat trzy, stracił matkę. Po ukończeniu szkoły początkowej i poduczeniu się następnie początków łaciny pod kierunkiem ojca, był przez niego oddany do miejscowej apteki, by w tym zawodzie uzdolnił się do pracy na chleb powszedni. Ale młodzieniec już wtedy zapragnął wyższej nauki. Ojciec, ulegając prośbom syna, oddał go do szkoły podwydziałowej ks. reformatów w Żurominie, w gub. plockiej; skąd przeszedł do szkół wojewódzkich w Płocku, a po ukończeniu 6-u klas udał się do gimnazjum księży pijarów w Warszawie. Tutaj, obok korzystania z nauk gimnazjalnych, uczęszczał także do uniwersytetu na wykłady: geografii F. Bentkowskiego i estetyki L. Osińskiego.

Po śmierci ojca 1829 r., ulegając życzeniu macochy, wstąpił do seminarium duchownego w Pelplinie, w dyecezyi chełmińskiej. Wkrótce jednak przerwał studia teologiczne, udając się w końcu r. 1830 do Płocka, a stamtąd do Łowicza. Kilka miesięcy chorował w Pilicy. Wróciwszy do zdrowia w końcu r. 1831, czas jakiś był nauczycielem domowym w Węgleszynie, pow. jędrzejowskim, i w Rylsku, w pow. rawskim; poczem w 1835 r. wrócił do Prus i wstąpił ponownie do seminarium w Pelplinie. Tutaj w ciągu lat trzech, obok studyów teologicznych, gorliwie też zajmował się nauką języków: łacińskiego, greckiego i hebrajskiego. Wyświęcony na kapłana (1838 r.), mając lat 31, otrzymał wikaryat w Czachu nad Wisłą, skąd po trzech latach przeszedł na probostwo w Wąldowie pod Sapolnem, w pow. złotowskim, a następnie wybrany został na dziekana tucholskiego. Wskutek germanizacyjnych dążeń ówczesnego biskupa Sedłaga i wynikłych stąd zatargów, ks. Malinowski postarał się o przeniesienie do dyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej i 1849 r. mianowany był przez arcybiskupa Leona Przyłuskiego penitencyaryuszem przy katedrze poznańskiej.

Zamieszkanie w Poznaniu było wypadkiem dla pracy naukowej Malinowskiego wielce pomyślnym. W ognisku tem bowiem skupiał się w owym czasie niezwykle ożywiony ruch umysłowy, wywołany działalnością E. Raczyńskiego, T. Działyńskiego, J. Łukaszewicza, K. Libelta, A. Cieszkowskiego, H. Cegielskiego i innych. Zabrał się więc i Malinowski ze zdwojoną gorliwością do studyów nad językami: sanskryckim, litewskim, starosłowiańskim i żyjącymi słowiańskimi i tym sposobem zdobył sobie szeroką podstawę do gruntownego, naukowego poznania budowy i rozwoju polszczyzny. W niespełna półtora roku od czasu przybycia do Poznania, w 1853 r. otrzymał probostwo we wsi Komornikach pod Poznaniem, gdzie już do końca życia pozostał, wypełniając blisko trzy dziesiątki lat życia pracą szlachetną i owocną jako kapłan, obywatel i uczony. Przy dobrej woli, podniosłej myśli i zacnych dążnościach, obok spełniania obowiązków w zakresie swojej parafii, brał czynny udział w popieraniu spraw i rozwoju instytucyj, mających dobro własnego społeczeństwa na celu, i prócz tego pracował z zamięlowaniem nad tą gałęzią nauki, która u nas, skutkiem niepomysłnego

stanu szkół średnich i braku wyższych, w zupełnem była zaniedbania.

Kiedy w roku 1842 Hipolit Cegielski, niepospolity filolog poznański, wykształcony w uniwersytecie berlińskim (uczeń Boppa), ogłosił rozprawę *O słowie polskim i jego konjugacyach* (w «Orędowniku naukowym» w Poznaniu), pracę gruntowną i ożywioną duchem nowszej umiejętności, nie zwróciła ona uwagi ówczesnych gramatyków naszych i w ciągu lat dziesięciu pozostała bez wpływu na przestarzałe pojęcia w gramatyce i sposób jej wykładu. Dopiero ks. Malinowski, gdy rozprawa ta wyszła w osobnym wydaniu 1852 roku, podniósł jej znaczenie naukowe w rozbiórce krytycznym, drukowanym w «Bibliotece warszawskiej» w r. 1854 r. W rozbiórce tym krytyk nasz występuje już jako znawca polszczyzny, obeznany z metodą i wymaganiami naukowego badania. Wkrótce potem, wybrany na członka Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego, założonego w roku 1857, ogłosił w jego «Rocznikach» dwie prace krytyczne z zakresu gramatyki polskiej: jedną pod nagłówkiem «*Zasady i prawidła pisowni polskiej* przez deputację od król. Towarzystwa warszawskiego przyjaciół nauk wyznaczoną» (Poznań 1859), w której roztrząsa «Wnioski» deputacji tego Towarzystwa o ortografię z r. 1830; drugą p. n. «*Krytyczny pogląd na zasady głosowni* znanych autorów gramatyk polskich» (Poznań 1863), w której ocenia opracowanie głosowni w 14-tu gramatykach polskich, podnosząc pomiędzy niemi naukowe stanowisko pracy Sucheckiego. Pomiedzy innemi drobnemi pracami w owym czasie ks. M. wystąpił także przeciwko prof. A. Małeckiemu z powodu rozprawy jego «O naturze spółgłoski j». Krytyczna ta rozprawa nosi napis «Odpowiedź ks. Fr. Ks. Malinowskiego na rzecz prof. Małeckiego o spółgłosce j» (obie zamieszczone w «Szkole» lwowskiej, Poznań, 1868), gdzie już uwydatniła się wyraźnie różnica pojęć i stanowisk naukowych obu autorów.

Głównym jednak przedmiotem zajęć uczonego plebana z Komornik w ciągu długiego lat szeregu było naukowe opracowanie gramatyki języka polskiego, którą ukończył w r. 1869 i wydał p. n. *Krytyczno-porównawcza gramatyka języka polskiego*, z dzisiejszego stanowiska lingwistyki porównawczej napisana (staraniem L. Rzepeckiego, Poznań, 1869-70, stron 660 wielkiej 8-ki), obejmująca obszerny wstęp, głosownię i «pierwoskładnię», to jest wiadomości

o tworzeniu się wyrazów, oraz naukę deklinacji i konjugacji. Jest to owoc samodzielnych i sumiennych studyów autora, dzieło w historii naszej nauki niepospolite i ważne, gdyż Malinowski w oświeclaniu zjawisk języka polskiego uwzględnia jego przeszłość czyli rozwój historyczny, a prócz tego w wykładzie posiłkuje się metodą porównawczą. t. j. rozważa właściwości polszczyzny w związku z odpowiedniami właściwościami języków pokrewnych, jak: litewskiego, starosłowiańskiego i innych, Zaznaczyć należy, że w dziele tem, równie jak i w innych pracach Malinowskiego, nieraz poglądy jego na życie i rozwój języka, tudzież związane z niemi tłumaczenia wielu zjawisk językowych nie odpowiadają istocie rzeczy, grzeszą dowolnością, a tem samem nie są ściśle naukowe. Do takich np. należy mniemanie autora, że pewne formy gramatyczne języka polskiego wieku XVI-go są «organiczne» i «wzorowe», a późniejsze z innem już zakończeniem—«nieorganiczne» i «skażone», gdy tymczasem w gruncie rzeczy, formy językowe nowsze, tak dobrze w polskim, jak i w każdym języku żyjącym, powstają drogą naturalnych przekształceń wskutek działania pewnych sił psychicznych, podobnie jak powstało wiele innych form starszych, uważanych za wzorowe i prawidłowe. Niemniej także niesłuszne było dążenie Malinowskiego do wznowienia w dzisiejszym języku *á* pochylonego, które w XVIII-ym wieku zamarło w mowie żywej warstw ukształconych i dziś nie tylko za pomocą pisma, ale żadną siłą wskrzesić się nie da. Poprzestajemy na tych przykładach.

W lat parę po wydaniu «Gramatyki», jako jej dopełnienie ogłosił Malinowski *Dodatek do gramatyki języka polskiego*, obejmujący uzupełnienia i sprostowania niektórych usterków, dostrzeżonych przez autora. (W Poznaniu, nakładem L. Rzepeckiego, 1873, str. 67). W tymże roku wyszła także Malinowskiego *Krytyka pisowni*, zawartej w części VI Gramatyki języka polskiego większej prof. Ant. Małeckiego. (Poznań, 1873, str. 76). Z obszernych prac językoznawczych wydał jeszcze Malinowski *Gramatykę sanskrytu*, porównanego z językiem starosłowiańskim i polskim na podstawie sanskryckiej gramatyki Boppa (Poznań, 1872, w 8-e wielkiej, str. 88), dzieło, będące w głównej części przekładem gramatyki sanskryckiej Boppa, a prócz tego opatrzone licznemi i obszernemi uwagami Malinowskiego, odnoszącemi się do polszczyzny

i języka starosłowiańskiego. Pracy tej dokonał nasz uczony w latach 1863-64, poczem całe dzieło miało być ogłoszone nakładem Rady wychowania Królestwa polskiego. Parę lat jednak upłynęło, zanim je oceniono i otrzymano pomyślną co do ogłoszenia go opinię; ale skutkiem wypadków politycznych władze naukowe Szkoły głównej zmieniły się i praca do r. 1872 pozostała w rękopisie.

Gramatyka sanskrytu była ostatniem z większych dzieł, które Malinowski ogłosił, nie ostatniem wszakże z dokonanych. Pozostawił on znaczną jeszcze puściznę rękopiśmienną, do której należy kilka dzieł lingwistycznych, przygotowanych do druku i niewątpliwie wartościowych, mianowicie: *Gramatykę języka starosłowiańskiego*, *Gramatykę języka litewskiego* (podług dzieła Aug. Schleichera), *Gramatykę języka matoruskiego*, ułożoną na podstawie gramatyki Osadcy i *Słownik języka litewskiego*, przetłómaczony z Nesselmanna.

Wspomnieć jeszcze musimy, że do zadań, których urzeczywistnienia Malinowski pragnął w swem życiu, należało poprawienie grafiki polskiej według tej prostej zasady, że każdy dźwięk języka wyrażany być powinien oddzielnym znakiem piśmiennym czyli pojedynczą literą. W tym celu ks. M. każde z połączeń podwójnych w dzisiejszem abecadle polskiem (jak: sz, cz, rz...) zastąpił literą pojedynczą (s, c, r...), opatrzywszy ją pewnym znakiem dodatkowym dla odróżnienia jej od zwykłych liter. Układając na takiej zasadzie swą grafikę, miał na widoku nie tylko abecadło polskie, ale także zastosowanie jej do oddawania dźwięków każdego z pozostałych języków słowiańskich, innemi słowy starał się o utworzenie «abecadła wszechsłowiańskiego.» Ze stanowiska naukowego trudno coś zarzucić zarówno samej zasadzie tej grafiki, jak i używaniu jej w pracach ściśle naukowych. Inna rzecz z wprowadzeniem takiego abecadła do literatur słowiańskich. Tutaj przeszłość literacka każdego z narodów słowiańskich z wybitną różnicą ich abecadeł i pisowni stanowi potężną siłę tradycyj indywidualnych, która pozostanie nieprzepartą przeszkodą do przyjęcia w praktyce piśmienniczej każdego «abecadła wszechsło-

wiańskiego,» chociażby ono posiadało nadzwyczajne zalety. Pomyślaną przez siebie grafikę Malinowski zastosował częściowo w obudwu gramatykach: polskiej i sanskryckiej (w przykładach wśród tekstu), całkowicie zaś wydrukował nią rozprawę p. n. *Krytyka pisowni... A. Mateckiego* (1873). Szerszego zastosowania abecadło gramatyczne ks. Malinowskiego nie znalazło.

Ustawiczna praca naukowa, wymagająca natężenia wzroku zwłaszcza przy pilnem odczytywaniu starych druków, słowników i rękopisów, spowodowała znaczne osłabienie wzroku Malinowskiego, tak że przez lat kilkanaście mógł on czytywać tylko za pomocą lupy, a prace swoje przeważnie dyktował.

W r. 1877 tknięty paralizem podczas kazania, stracił w znacznej części pamięć i łatwość wysłowienia. Od tego czasu organizm spracowany słabnął z każdym rokiem, coraz bardziej tracił wrażliwość Malinowski żyć przestał 30 stycz. 1881 r. Zbyteczna dodawać, że praca bez wytchnienia, zamiłowanie w studiach naukowych, a przytem zacność charakteru i uczuć obywatelskich zjednały uczonemu plebanowi z Komornik szacunek ogólny i wysokie uznanie w najszerszych kołach oświeconych. Nadmieniliśmy wyżej, że od r. 1857 był członkiem Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego, dodamy tu, że w r. 1862 proponowano mu katedrę języków słowiańskich w Szkole głównej warszawskiej, wszczęte jednak układy nie doprowadziły do pożądanego skutku; wreszcie z otwarciem Akademii umiejętności w Krakowie ks. Malinowski wybrany został 1873 r. na członka jej rzeczywistego.

Ogłoszone prace gramatyczne ks. Malinowskiego mają tę niezaprzeczoną wartość dla nauki, że wprowadziły badania języka ojczystego na szerszą podstawę językowo-porównawczą i wskazały drogę dalszego ich rozwoju w kierunku ściśle naukowym; pozostanie to nazawsze wielką zasługą naszego uczonego badacza, pomimo zmian i ciągłego doskonalenia się pojęć w rozwoju językoznawstwa.

Adam Antoni Kryński.



Oskar Kolberg.

* 1814 † 1890.

«**O**rzędzę myśli i kwiaty uczuć» ludu naszego zaczęto badać i zbierać dopiero w początkach bieżącego stulecia. Doniosłość badania zwyczajów, wierzeń i utworów ludu pierwsi u nas zrozumieli i wypowiedzieli tacy mężowie, jak Hugo Kołłątaj i Jan Paweł Woronicz. Pierwszy z nich w liście d. 15 lipca 1802 r. do księgarza krakowskiego Jana Maja pisanym, podał wcale dokładny nawet na dziś plan dzieła: «O obyczajach, zwyczajach i obrządkach narodu polskiego¹⁾». Drugi zaś w Towarzystwie warszawskiem przyjaściół nauk przemawiał w r. 1803 i 1805 o znaczeniu naukowem pieśni ludowych. Chociaż próby gromadzenia właściwości ludowych posiadamy z przed lat 100 prawie, gdyż pierwszy opis obrzędów weselnych u ludu ruskiego wraz z pieśniami podał nieznany nam z nazwiska autor w «Pamiętniku warszawskim» Dmochowskiego w r. 1805; potem Ignacy Lubicz Czerwiński opisał obyczaje ludu z nad Dniestru, w książce drukowanej w 1811 r. we Lwowie p. n. «Okolica za—Dniestrską między Stryjem i Łomnicą czyli opis ziemi i dawnych kłesk lub odmian tej okolicy, tudzież jaki jest *lud prosty dla religii* i dla pana swego; zgoła, jaki on jest w całym sposobie życia swego lub w swych zabobonach albo zwyczajach,»—pierwszym jednak najbardziej znanym zbieraczem rzeczy ludowych był Adam Czarnocki, głośniejszy pod nazwą Zoryana Dołęgi Chodakowskiego, następnie Kazimierz Władysław Wójcicki, Łukasz Gołębiowski, Wacław z Oleska (Zaleski), wreszcie Żegota Pauli. Dzia-

łałość na polu badań etnograficznych, przez tych mężów podjęta, rozbudziła cały zastęp zbieraczy, pomiędzy którymi najwybitniejsze zajął stanowisko Oskar Kolberg, który, śmiało rzecz można, rozpoczął u nas nowy okres wszechstronnej uprawy ludoznawstwa, jako umiejętności samoistnej i wyzwolonej od służenia zadaniom i celom historycznym i literackim, co w dziełach jego poprzedników wielką jeszcze grało rolę. Jakie zasługi dla nauki położył Kolberg przez badanie ludu, jakim sposobem do tego doszedł, że dziś bez dzieł jego obejść się nie może nikt, kto pragnie z życiem ludu naszego się zapoznać, postaramy się tutaj w krótkości czytelnikowi przedstawić.

Rodzina Kolbergów (ma to być rodzina lechickich Kołobrzegów z dawnego Pomorza, następnie ziemczona), aczkolwiek obcego pochodzenia, zapisała się niezatartymi głoskami w dziejach umysłowości naszej; ojciec Oskara i dwaj jego bracia należą każdy w swej specjalności do wybitniejszych ludzi bieżącego stulecia. Juliusz Kolberg, ojciec Oskara, urodzony w mieście Woldegk w w. księstwie Meklemburg-Strelickiem, a wykształcony w Berlinie, przybył za czasów pruskich do kraju naszego, jako inżynier-topograf. Gdy utworzone zostało ks. Warszawskie, Kolberg już tak się przywiązał do nas, że Warszawy nie opuścił, lecz przeszedł do służby ks. Warszawskiego i otrzymał miejsce inspektora pomiarów. Następnie zamianowany został geometrą przysięgłym w Przysusze w powiecie Opoczyńskim, gdzie był zarazem głównym nadzorcą okolicznych fabryk żelaza, dzierżawionych przez bankiera warszawskiego Fraenkla.

¹⁾ Ks. Hugona Kołłątaja «Korespondencya listowna,» t. I, str. 21—23 (Kraków, 1844).

Żoną Juliusza była Karolina de Mercoeur, córka szlachcica francuskiego, emigranta z czasów wielkiej rewolucji, urodzona z matki polki i wychowana od dzieciństwa po polsku.

W Przysusze d. 22 lutego 1814 r. przyszedł na świat Henryk Oskar Kolberg. Najdawniejsze wspomnienia Kolberga, jako 76-letniego starca, sięgały tej chwili dzieciństwa, gdy przysłuchiwał się piosnkom ludowym, śpiewanym przez piastunkę jego Zuzkę, wieśniaczkę sandomierską. W r. 1819 ojciec Oskara powraca do Warszawy na stanowisko profesora geodezyi, miernictwa i topografii w uniwersytecie, dokąd powołał go Staszyc. Taki zaszczyt spotkał go za prace nad geometrycznymi pomiarami kraju, kształcenie pomocników i ogłaszanie cennych źródłowych dzieł, podręczników i map w języku polskim. Jako profesor, Kolberg zamieszkał w jednym z pawilonów pałacu Kazimierowskiego, dzisiejszego uniwersytetu, pod jednym dachem z Kazimierzem Brodzińskim i Mikołajem Szopenem, ojcem Fryderyka. Już od najmłodszych lat Oskara okoliczności tak się składały, że pachole, wrażliwe na dźwięki śpiewu i muzyki, miało możliwość rozwijania swych zdolności muzycznych. Ulubiona Zuzka przybyła z Kolbergami do Warszawy i przez lat jeszcze parę piastując dziecię, usypiała je dźwiękami melodii rodzimych; mistrzowska gra młodego Fryderyka Szopena, zaprzyjaźnionego z rodziną Oskara, wabiła go jak czarem często na drugie piętro do miłych sąsiadów. Wpływ duchowy musiał też wywierać na rodzinę kolegi Kazimierz Brodziński, który nadzwyczajnie polubił Juliusza, jak o tem sam świadczy w swoich wspomnieniach, wyrażając się o ojcu Oskara z uwielbieniem dla zalet jego charakteru i podniosłości ducha. Wiemy też, że pomimo zajęć praktycznych, mozolnego rysowania map i obliczeń matematycznych, wcale poezyi nie sprzyjających, Juliusz był zamiłowanym w muzyce i poezyi, sam układał hymny pod muzykę Elsnera, tłómaczył na język niemiecki i ogłaszał wiersze Karpińskiego i Brodzińskiego, a między nimi «Wiesława.» Rzecz godna uwagi, że rodzina Kolbergów tak całkowicie i tak prędko spolszczała, iż nietylko młodszy ich syn Oskar, ale nawet najstarszy Wilhelm w r. 1807 urodzony, słyszał w domu tylko mowę polską.¹⁾ Nie dziw, że pod światłym kie-

¹⁾ Starszy brat etnografa Wilhelm Kolberg przeszedł korpus inżynierów, szkołę artylerji i uniwersy-

runkiem takiego ojca, wzorowej i wysoce wykształconej matki, która była powszechnie poważaną matroną polską, oraz w otoczeniu ludzi niepospolitych, zaprzyjaźnionych z jego rodziną, dusza Oskara rozwijała się tylko w kierunku dodatnim, oddychała, jak jej otoczenie, wonią sztuki. Od r. 1824—1830 widzimy Kolberga na ławie szkolnej w liceum warszawskim, którego rektorem był wtedy Samuel Bogumił Linde; ponieważ zaś rodzice wcześniej zauważyli w dziecku zdolności i zamiłowanie do muzyki, przeto równocześnie dali mu za nauczyciela niejakiego Vettera, rodem z Łużyc. Po wyjściu Oskara z liceum, ojciec umieścił go w kantorze bankowym Fraenkla; idąc zaś za przyjacielską radą Elsnera, kształcił go dalej w muzyce. Mistrzami Oskara byli: naprzód przez rok jeden sam Elsner, a później Feliks Dobrzyński, sławny kapelmistrz opery warszawskiej i fanatyczny zwolennik muzyki klasycznej. Pod przewodnictwem takich nauczycieli, młodzieniec doszedł do tego w grze na fortepianie, że w 19-ym roku życia zaczął marzyć o kompozytorstwie. Dla studyów nad teorią wyższej muzyki, dzięki zasiłkowi rodziny, udał się w r. 1834 na dwa lata do Berlina, gdzie pracował pod kierunkiem najslawniejszych nauczycieli ówczesnych: Girschnera i Rungenhagen, który wkrótce potem kształcił i Moniuszkę. Wtenczas to roił sobie przyszły etnograf plany uprawiania wyłącznego niwy kompozytorskiej w duchu pieśni ludowych, które czarowały go oryginalnością, bogactwem melodii i różnorodnością rytmiki. Powróciwszy do Warszawy, zajmował się daniem lekcji muzyki; w r. 1838 — 1839 przebywał jako nauczyciel domowy na Białorusi. Nużące i z wielu względów niewdzięczne zajęcie nauczyciela muzyki sprzykrzyło się Kolbergowi po latach dziesięciu. Otrzymał tedy w r. 1845 za staraniem starszego brata swego Wilhelma posadę

tet warszawski. Należał później z Janem Pawłem Lelewalem do budowy kanału Augustowskiego, był jednym z członków zarządu budowy pierwszej u nas kolei Warszawsko-wiedeńskiej. Ogłosił on kilka prac specjalnych, dotąd przez znawców cenionych, a między innemi plan Warszawy w r. 1848. Najmłodszym z braci był Antoni, który zastąpił jako malarz obrazów religijnych, historycznych i rodzajowych, a zwłaszcza jako portrecista. Dotychczas w sali głównej Towarzystwa kredytowego ziemskiego w Warszawie można oglądać wykonane przez niego i przez Marconiego wyraziste figury alegoryczne miesięcy.



Podług fotografii z natury (ze zbiorów prof. Jana Karłowicza).

V. Kolberg

buchaltera w zarządzie nowo budującej się wówczas drogi żelaznej Warszawsko-wiedeńskiej i został na niej do r. 1857, poczem przeniósł się do komisji skarbu, w której urzędował do r. 1861; wtedy ostatecznie służbę rządową porzucił, aby oddać się wyłącznie ulubionym pracom naukowym i literackim. Od czasu powrotu z Berlina, co właściwie przypadło w okresie wielkiego rozwoju u nas poezji romantycznej i rozbudzenia zapału do zbierania pieśni, podań i baśni ludowych, Kolberg pomimo zajęć nauczycielskich i biurowych oddawał się twórczej pracy, której owocem był spory szereg utworów muzycznych. Zachęcony zaś przez Wójcickiego i Dobrzyńskiego, jał się spisywania melodyj ludowych, co skuteczniał w częstych wycieczkach w bliższe i dalsze okolice Warszawy. Ponieważ większą zdobycz, składającą się z pieśni i melodyj ludowych, zdarzyło mu się osiąść w r. 1839 w Wilanowie, przeto w roku 1889-ym, t. j. na rok przed śmiercią, obchodził pięćdziesiątą rocznicę niestrudzonej działalności na tem polu.

Liczne dzieła muzyczne Kolberga, według zdania znawców, świadczą o niepoślednim talencie i gruntownem ukształceniu muzycznym. Należą do nich: opera w jednym akcie p. t. *Król pasterzy*, w której wszystkie melodie oparte są wyłącznie na charakterystycznej nucie pieśni ludowej; operę tę grano z powodzeniem w r. 1857 na scenie warszawskiej 7 razy, a wydano w druku w 1860; za motyw do niej posłużył obrząd rolniczy na Kujawach, gdzie w Zielone Świątki odbywa się zabawa, podczas której pasterze króla sobie obierają. Napisał też Kolberg muzykę do popularnej niegdyś operetki «Janek z pod Ojcowa» do słów J. K. Gregorowicza, rozpoczął operę «Wiesław» do słów Seweryny Pruszkowej (Duchinińskiej), wedle sielanki Brodzińskiego. Z bardzo licznych drobniejszych utworów, tchnących życiem właściwym i przechowujących wiernie ducha ludowego, wymienimy sześć zeszytów kujawiaków, kilka etiud, ofiarowanych Szopenowi, wiele mazurów, krakowiaków i pieśni, z których kilka niemalą w swoim czasie cieszyło się popularnością.

Pierwszem dziełem Kolberga, stanowiącem owoc jego pracy nad gromadzeniem pieśni ludowych i ich melodyi, były nuty ze słowami litografowane u Żupańskiego w Poznaniu w roku 1842 p. n. *Pieśni ludu polskiego*. (Oddział I, «po-

święcony Wacławowi Zaleskiemu, K. Wł. Wójcickiemu, Żegocie Pauli, Józefowi Konopce, niezmordowanym współpracownikom w odgrzebywaniu skarbów umysłowych ludu.» We wstępie do tego dzieła autor wypowiada swój pogląd na muzykę ludową: «Melodya jest duszą pieśni gminnej, w niej poznasz myśl i serce, jak w zwierciadle; ona znamienuje ducha każdego pokolenia. Muzyka polska wśród całej Słowiańszczyzny najsamoistniej się rozwinęła; widać to szczególnie na mazurach, najoryginalniej malujących krzepki charakter ludu tego, oraz w krakowiakach, odznaczających się już to niezakłóconą pogodą, już szumną wesołością, to znów lekką tęsknotą. Od roku wydania «Pieśni» Kolberg przedsięwziął dalsze i dłuższe wycieczki w celu gromadzenia melodyj ludowych, zbierając na podróż środki z oszczędzonej z największą zabiegliwością płacy nauczycielskiej i urzędniczej: zwiedził okolice Krakowa, a mianowicie Modlnicę i Mogilany, gdzie bliżej się zaprzyjaźnił ze znajomym już od roku zamilowanym, jak Oskar, badaczem ludu Józefem Konopką; w r. 1843 widzi-
my go znowu w Krakowskim, na Podgórzu Beskidowem, Podhalu, Szląsku i w Kaliskim; w latach 1844, 1845 i 1847 poznał siedziby Kurpiów; w r. 1846 i 1847 był w Radomskim, w r. 1848 i 1849 zwiedza Lubelskie, w 1853 okolice Częstochowy i Ojcowa, w r. 1854 Sandomierskie i Radomskie, w 1855 i 1856 Radomskie, Kieleckie, Krakowskie w granicach Królestwa i Płockie; w r. 1857 znajduje się po raz trzeci w Krakowskim i zwiedza Wiedeń, Chorwacyę, Tryest i Wenecyę; w roku 1858 bawi Augustowskim, w 1859 powtórnie w Lubelskim i Radomskim, w r. 1860 na Kujawach i w Łęczyckim, w r. 1861 zwiedza po raz czwarty okolice Krakowa, dalej Galicyę wschodnią i Węgry, w roku zaś 1862 widzimy go na Wołyniu.

Część nagromadzonego w tych wycieczkach olbrzymiego materiału etnograficznego wyzyskał Kolberg w dziele pierwszorzędnej wartości, dziele, które, według zdania najpoważniejszych etnografów naszych, otwiera nową epokę w dziejach ludoznawstwa polskiego; ma ono tytuł: *Pieśni ludu polskiego*, serya I (Warszawa 1857). W porównaniu z wydaniem z r. 1842 praca ta jest już rozszerzeniem widnokręgu naukowego; nie same już w niej podane piosnki pojedyncze, ale zestawienie porównawcze, licznych odmianek i melodyj tej samej

pieśni. Oto słowa autora o celu książki i metodzie podawania pieśni, wypowiedziane w przedmowie. Mówiąc o tem, że w zbiorach jego poprzedników mało zwracano uwagi na muzykę, melodyę pieśni, dodaje: «A tak, prawie bez muzyki, rzec można, że zbiory ich objawiły się tylko w półzyciu, w połowie swojej istoty: bo treść i melodia uzupełniają się, podnoszą wzajemnie, jedną wspólną stanowiąc całość; a często melodia, ta część mniej określona, mniej materyalna, stanowi całą piękność pieśni. Muzyka jest głównym przedmiotem niniejszego zbioru. Do każdej pieśni dołączano właściwą jej nutę. Uderzony wczesnie oryginalnością i krzepkością pieśni ludowych, od lat kilkunastu robiłem wycieczki po kraju w celu skrzętnego i wiernego ich spisywania; to też pochlebiam sobie, że w nieprzebranem u nas źródle melodyi zaczerpnąłem najciekawszy jej zapas, taki przynajmniej, jaki już potrafi dokładnie odznaczyć muzykalność ludu naszego, oddaje nutę w nieskażonej prostocie (t. j. o ile skażenie nie pochodzi z winy śpiewających) tak, jak wybiegła z ust ludu, bez żadnego przystroju harmonijnego, bo mam przekonanie, że najdzielniejszą jest w samorodnej, niczem nie zmaconej czystości, jak ją natura natchnęła. Brzmi pieśń nieprzerwanie po naszych niwach i gajach, płynie z wodą i wiatrem, odbija się o ściany naszych karczem, dworów i chat, a tam, gdzie powstała, najsilniej za serce chwyta. Stając się wiernym jej tłumaczem, wszędzie wskazałem miejsce, gdzie wysłuchaną została.»

Dzieło Kolberga składa się z dwóch części: w pierwszej podał 41 pieśni najbardziej rozpowszechnionych z niezliczonymi wariantami ich tekstu i melodyi, sama np. pieśń «Jasio konie poił, Kasia wodę brała» posiada tu 52 odmianki. Druga część zawiera 466 tańców, ułożonych na nuty, wraz z należącymi do nich przyspiewkami. Ozdabiają dzieło piękne ryciny kolorowane, w liczbie 10-ciu, przedstawiające jaknajwierniej lud wiejski z okolic Warszawy i Krakowskiego.

Autor w przedmowie zapowiedział ciąg dalszych tomów; nie wydał ich jednak, gdyż zmienił metodę ogłaszania zbiorów swoich i odtąd nie tematycznie, lecz geograficznie począł podawać pieśni, dołączając do nich wszystkie inne utwory ludu, oraz opis jego życia, zwyczajów, obrzędów, wierzeń, przesądów i t. p., słowem przekształcił monografię muzykalną pieśni ludowej na wszechstron-

na etnografię polską. Pozwólmy samemu Kolbergowi wyjaśnić genezę i przekształcenie pierwotnego planu dzieła; oto, co o tem mówi w przedmowie do I-go tomu *Mazowsza* (Kraków, 1885 r.): «Okolo roku 1840, czy też rokiem wczesniej, poczęliśmy zbierać pieśni i muzykę ludową w okolicach Warszawy. Wkrótce dostrzegliśmy ścisłą tych utworów z obrzędami, zwyczajami i całem bytem ludu łączność. Względ ten nakazywał nam przy spisywaniu pieśni i ich melodyj notować także i ich akcesorya (wedle ówczesnych naszych pojęć), t. j. uwydatnić całą sytuację, która je zrodziła, lub do działania powoływała. Powoli w miarę rozrostu zbiorów i różnorodności nabywanych materyałów, siłą rzeczy parci, nadaliśmy wydawnictwom naszym kierunek i zakrój, jaki nam dyktowało doświadczenie i który im dotychczas przewodniczy.» Rozszerzywszy tak znacznie ramy swego dzieła, nadał mu Kolberg nowy tytuł, pod którym od r. 1865 do 1890, t. j. do śmierci autora wyszło 23 tomy: *Lud, jego zwyczaje, sposób życia, mowa, podania, przysłowia, obrzędy, gusta, zabawy, pieśni, muzyka i tańce*. W pierwszej seryi tego wydawnictwa (a właściwie drugiej; bo «Pieśni» wydane w r. 1857 uważa później za I-szą seryę całego dzieła) dał nam monografię Sandomierskiego. Dotyka tu autor wszystkiego, co może dać nam dokładny obraz charakterystyki ludu w danej okolicy i być rzeczywistym materyałem do etnografii krajowej. Wkrótce potem, bo w r. 1867 wydał Kolberg w Warszawie III-cią i IV-tą seryę «Ludu,» dodawszy ogólniejszy jeszcze tytuł: *Materyały do etnografii słowiańskiej*. Dwa te tomy obejmują opis Kujaw. Z postępem czasu ulepszając ciągle plan swego dzieła, Kolberg opisał w tych książkach lud od Włocławka, Bydgoszczy i Inowrocławia: jego ubiór, pokarmy, napoje, budowle, sprzęty, naczynia gospodarskie, przesady i zabobony; przytoczył pieśni, klechdy, przysłowia, zdania, zagadki, przedstawił zwyczaje przy rozmaitych uroczystościach, gry, obrzędy polne i domowe, podał spory słowniczek wyrazów gwarowych. Obfity dodatek rycin i drzeworytów, według rysunku Wojciecha Gersona, znacznie wartość dzieła podnosi.

Ale wróćmy do przerwanego wątku żywota znakomitego ludoznawcy. Po wyjściu w r. 1861 ze służby oddaje się Kolberg, nie krępowany już obowiązkową pracą, działalności kompozytorskiej,

opracowywaniu i wydawaniu nagromadzonych przedtem i ciągle zbieranych materiałów, współpracownictwu we wszystkich niemal poważnych pismach, wydawnictwach zbiorowych i wielkiej «Encyklopedyi powszechnej» Orgelbranda, która zawdzięcza mu artykuły podpisane literami O.K., dotyczące się mitologii, muzyki i życia sławnych muzyków, wreszcie odbywa coraz dłuższe wędrówki po kraju. W latach 1863 — 1865 zwiedza powtórnie Kujawy, Łęczyckie, Kaliskie i Płockie, poraz piąty okolice Krakowa, Beskidy, Tatry, Sanockie, w r. 1866—1868 Poznańskie, Chełmskie i Podlasie, w 1869 i 1870-ym Chełmskie, Lubelskie i Augustowskie. Niech sobie jednak czytelnik nie wyobraża, że Kolberg podobnie, jak to czynili Chodakowski i inni badacze ludu, w wycieczkach swych wędruje od wsi do wsi z kosturem pielgrzymim w ręce i torbą na plecach. Kolberg inny sobie obrał sposób: osiedlał się on na pewien czas u osób znajomych, a dobrze lud okoliczny znających i mogących mu wszelką pomoc okazać, zapoznawał się z miejscowemi grajkami i śpiewaczkami, wyszukiwał starych bazarzy, swatki weselne, lekarki i t. p., i zdobywszy sobie ich usługę, wyzyskiwał, co się dało zebrać na jednym miejscu. Gdy w danej miejscowości materiał się wyczerpał, przenosił się na inne miejsce, gdzie zawczasu już upatrzył sobie kogo znajomego, w miejscu zaś poprzedniego pobytu starał się pozyskać stałego na przyszłość korespondenta, któryby według danych wskazówek materiału mu dostarczał. Nie należy jednak sądzić, że ten sposób badań etnograficznych bardzo jest łatwy: największą trudność stanowi wypytywanie wieśniaków o to, czem niechętnie z obcym się dzielą, a co jednak zbieracz umiejętnie wybadać musi. Gdy Kolbergowi brakło funduszków na wydawanie dalszych seryj rozpoczętego dzieła, bo nakład wyłożony na wydanie książek poprzednich bardzo powolnie się wracał, opuszcza w r. 1871 Warszawę, otrzymawszy przyrzeczenie zapomogi na wydanie 4-ch tomów «Krakowskiego» od Towarzystwa naukowego krakowskiego (teraźniejszej Akademii umiejętności). Osiadł Kolberg naprzód pod Krakowem w Modlnicy u dawnych swych przyjaciół Konopków, później zaś w samym Krakowie. Tutaj w nieprzerwanym ciągu przez lat kilkanaście zajmował się opracowywaniem i wydawaniem swych monografij, przedsiębiorąc dla roz-

szerzenia i pogłębienia swoich poprzednich spostrzeżeń i zbiorów podróże naukowe: w r. 1875 był w Poznańskim, Prusach zachodnich i wschodnich, w r. 1876, 1877, 1880 na Pokuciu i Podolu galicyjskiem, wreszcie w latach 1883 — 1885 zwiedzał Przemyskie i Sanockie. Tym więc sposobem Kolberg zwiedził w ciągu lat 50-ciu i zbadał pod względem etnograficznym rozległy bardzo obszar kraju.

W dalszym ciągu «Ludu» wyszły w Krakowie od r. 1871-go: 4 tomy *Krakowskiego*, 7 tom. *Poznańskiego* (1875 — 82), 2 tomy *Lubelskiego* (1883—4), 2 tomy *Kieleckiego* (1885—6), 2 tomy *Radomskiego* (1887—8), po jednym tomie *Łęczyckiego* i *Kaliskiego* w r. 1890 (jako serya XXIII); oprócz tego pod osobnym tytułem 4 tomy *Pokucia* (1882—89) i 5 tomów *Mazowsza* (1885—90); w ostatnich chwilach przed śmiercią wydał pierwszy tom *Chełmskiego* (*Obraz etnograficzny*); z pozostałych materiałów drugi tom wyszedł już po śmierci autora w roku 1891, przez nieżyjącego już najznakomitszego antropologa polskiego ś. p. Izydora Kopernickiego przygotowany do druku; tenże uczony wydał jeszcze tylko jeden tom w r. 1891 p. n. *Przemyskie, zarys etnograficzny*, z którego 2 arkusze korekty były jeszcze stygnącą już ręką Kolberga poprawione; byłby niewątpliwie Kopernicki resztę pozostałych po nim rękopisów opracował i wydał, gdyby, niestety, i jego wkrótce po zgonie Kolberga śmierć nie zabrała w r. 1891 dnia 25 września. Wydano zatem dotąd 35 tomów wielkiego dzieła! Czyż nie budzi podziwu taka biblioteka, stworzona przez jednego pracownika! Ile musiał on wyłożyć pracy i pieniędzy, aby zebrać i obrobić tak obfity materiał! Ile cierpliwości kosztowało go wydobyć tylu utworów z ust ludu, nie rozumiejącego celu i zadania takich badań! Samych melodyj ludowych przytoczono w dziełach Kolberga przeszło 9 tysięcy! To, co w innych krajach robi się siłami zbiorowemi przy pomocy całych towarzystw naukowych, tego u nas dokonał skromny jeden pracownik. Spytajmy specjalistów, jaka jest wartość tych olbrzymich zbiorów, a odpowiedzą nam: «Jest to nieoceniony materiał do ludoznawstwa polskiego, nieoceniony dlatego, że wszystko, co Kolberg zapisywał, jest czystem złotem etnograficznem: nie pozwalał on sobie żadnych dodatków, żadnych retuszy, żadnych oglądzań ani poprawek;

pisał pieśń, podanie, przysłowie, melodyę i t. d., jak słyszał, i to nie z jednych ust, ale kilku i kilkunastu, ażeby każdą rzecz sprawdzić i przekonać się, czy śpiewający i mówiący sam siebie lub słuchacza nie łudził.» (Słowa dr. Jana Karłowicza w «Wiśle» z r. 1889, str. 472). «Dotychczasowe prace Oskara Kolberga — mówi dr. Izydor Kopernicki — stanowią niezmiernie bogatą skarbnicę materiałów etnograficznych i są tak świetnym nabytkiem dla etnografii ojczystej, słowiańskiej i powszechnej, jakim jeszcze w żadnym narodzie nie obdarzyła nauki praca jednego człowieka¹⁾.»

A jednak, nawet gdy dołączymy do tego obszerne monografie etnograficzne, ogłaszane bądź w czasopismach, np. «Bibliotece warszawskiej», bądź w «Zbiorze wiadomości do antropologii krajowej», będzie to dopiero więcej niż połowa tego, co Kolberg w rękopisach zgromadził. Przytoczymy tutaj zawartość dotąd niewydanych tek Kolberga, które oby jak najprędzej doczekały się światła dziennego! 1) Materiały zebrane z Mazowsza, oprócz 5 wydanych dotąd tomów, wystarczą jeszcze na przygotowane już do druku 2 tomy; 2) Mazury pruskie (Elk, Lec, Ostroda, ku Królewcowi); 3) Prusy zachodnie (Toruń, Malborg, Elbląg); 4) Kaliskie (oprócz wydanego jednego tomu jeszcze jest materiał na jeden tom); 5) Szląsk pruski i austriacki; 6) Górale tatrzańscy i nowotarscy; 7) Spiż; 8) Podgórze krakowskie; 9) Kraków i okolice — materiały, które nie weszły do wydanych już 4 tomów «Krakowskiego» i nowo zebrane; 10) Tarnów, Rzeszów, część Jasielskiego i Nowo-Sądeckiego; 11) Ruś Czerwona I: Jasło, Sanok, Sambor, Lemki; 12) Ruś Czerwona II: Lwów, Żółkiew, Złoczów; 13) Ruś czerwona III: Podole galicyjskie, Tarnopolskie, Brzeżany, Stryjskie, Bojki; 14) Huculi; 15) Podole rosyjskie; 16) Ukraina; 17) Wołyń; 18) Polesie wołyńskie i Pińszczyzna; 19) Biała Ruś; 20) Litwa. Oprócz tego jest nadto 12 tek z rozmaitemi materiałami, mającemi związek z pracami etnograficznymi Kolberga.

Czyż nie należy chylić czoła przed zasługą takiej pracowitości olbrzymiej! Uczyc się należy

¹⁾ Patrz artykuł Kopernickiego w «Encyk. wychowawczej» t. III, «Etnografia i etnologia», str. 640 i 641 i broszurkę jego: «Oskar Kolberg» (Kraków, 1889), str. 25.

✧ od nieustrudzonego Kolberga, jak trzeba zdolności i czas swój spożytkowywać! Nie dość na tem, że najskrupulatniej zapisywał on z ust ludu wszystko, cokolwiek rzuca na jego zwyczaje, pojęcia i utwory jakiegokolwiek światła, ale nadto mozolnie szperał, szukając rzeczy ludowych po niezliczonej ilości książek, pism zbiorowych, a nawet po gazetach i kalendarzach, aby podać jaknajdokładniej bibliografię opisywanej okolicy.

Działalność Kolberga wywarła wpływ znaczny na rozbudzenie w młodszym pokoleniu popędu do badań etnograficznych, a co więcej, wskutek znakomitych jego prac i przy osobistym udziale utworzona została w Akademii umiejętności w Krakowie komisja antropologiczna, która stała się ogniskiem naukowem dla pracowników na polu etnografii. Osiemnaście wydanych dotąd tomów «Zbioru wiadomości do antropologii krajowej» (1875 — 1895), oraz cztery tomy «Materiałów antropologiczno - archeologicznych i etnograficznych» (1896—1900) i 13 tomów «Wisły» zawierają cenne i umiejętnie opracowane materiały ludoznawcze, a bez wahania rzecz można, że znaczna większość z pomiędzy osób, pracujących dziś u nas nad ludoznawstwem, wzięła pochop do swych studyów z dzieł Kolberga i jemu zawdzięcza metodę badań. Jako uczony, cenionym był Kolberg bardzo w świecie naukowym zagranicznym: w literaturze etnograficznej wszystkich słowian, a nawet niemieckiej i francuskiej, w każdym prawie dziele poważniejszym, którego autor występuje z faktami porównawczymi, bywają prace jego niejednokrotnie przytaczane. Znamiennym jest fakt, że znakomity etnograf portugalski, prof. Z. Consiglieri-Pedroso nauczył się po polsku jedynie dla korzystania z dzieł naszego badacza. W uznaniu zasług powołano Kolberga na członka-korespondenta Akad. umiejętności w Krakowie, honorowego członka Towarzystwa tatrzańskiego, członka Towarzystw naukowych geograficznych i etnograficznych w Paryżu, Petersburgu, Moskwie, Lizbonie, Towarzystw muzycznych we Lwowie i Warszawie.

Osobistość Kolberga pod każdym względem szacunek i uwielbienie wzbudzała dla niepospolitego jego charakteru. Pomimo nieocenionych zasług, okazanych społeczeństwu i nauce, cechowała zacnego starca rzadka skromność. A ileż to rysów szlachetnych tkwi w tem jego zaparciu się dla nauki! Niezmordowana wytrwałość, ciche po-

święcenie bez granic i bezdenna miłość, jaką przeżył dla swego przedmiotu, w kim nie rozbudził czci ku niemu? Kolbergowi nie chodziło nigdy o osobiste potrzeby i wygody, bo nie żył on dla siebie: nie usiłował nawet gniazda rodzinnego, bo miał w życiu jeden tylko cel, obok którego wszystkie inne wydawały mu się egoistycznymi. Mamy w nim rzadki obraz człowieka, który zaparł się siebie dla nauki; podaje on pokoleniu obecnemu wzór szlachetnego i bezinteresownego poświęcenia się wyższej idei. Posiadając środki bardzo ograniczone, otrzymując bardzo nieznaczne zapomogi na wydawanie części tylko swego olbrzymiego dzieła, potrafił zbożać piśmiennictwo nasze aż trzydziestoma pięcioma okazałymi tomami, które wydawał z wielkim staraniem, ozdobione są bowiem rysunkami, chromolitografiami i nutami, co, jak wiadomo, koszty wydawnictwa w dwójnasób podnosi. W jaki więc sposób był w stanie Kolberg takie wydawnictwo kosztowne prowadzić? Oto w ten, że obok zasiłku czy to Akademii umiejętności, czy kasy im. Mianowskiego, poświęcał na nie cały dochód ze sprzedaży dzieł, które, niestety, jak to u nas z większą częścią poważnych wydawnictw się dzieje, mało są rozkupowane, dla siebie zaś poprostu skąpił we wszystkim. Gdy zwrócimy uwagę na to, że Kolberg, będąc już 76-letnim starcem, ciężko pracował nad porządkowaniem swych materyałów i ostatecznym przygotowaniem ich do druku, to zaiste smutno się robi, że taką nagrodę zgromadziło mu społeczeństwo nasze. Mając jeszcze taką moc dzieł do wydania, skazany był zacny starzec na niepewność, azali za życia uda mu się dzieła swego dokończyć. Ale Kolberg takim odznaczał się hartem i pogodą duszy, że znosił to ze spokojem stoickim: pracował lat 50 dla kraju, a przez myśl mu nie przeszło żądanie od ogółu jakiejś nagrody, a nawet wdzięczności, dość mu było, że w czyn wprowadził to, o spełnieniu czego od lat najmłodszych marzył.

W opisie powierzchowności znakomitego etnografa wyręczył się słowami ś. p. prof. Kopernickiego, który w cytowanej książeczce tak o nim mówi: «Jedną z postaci, które od lat kilkunastu spotykać się zwykło w Krakowie, dawniej parę razy na tydzień, a od lat kilku codziennie, jest mężczyzna odziany zawsze nader skromnie, a nawet ubogo, przygarbiony wiekiem i nałogową pracą przy biurku. Pomimo tej powierzchowności,

zacierającej jego osobistość wśród snujących się ludzi, zastanawia on każdego niepospolitym wyrazem swej myślącej fizyognomii i właściwym jej wzrokiem, rzucanym przez okulary ze strudzonych oczu, do którego dołączywszy również właściwą postać głowy, wyciągniętą naprzód i niby w coś się wsłuchującej, mamy przed sobą typową, niezmiernie wyrazistą postać badacza i szperacza naukowego. Przed tym szanownym staruszką, znanym niewątpliwie połowie krakowskiej inteligencji, każdy znający go przechodzi z cichym uszanowaniem, żaden zaś znajomy nie pominie go przy spotkaniu bez serdecznego powitania i pokłonu, należącego cichej a wielkiej jego zasłudze.»

Wspomnieć tu wreszcie należy o ostatnich chwilach życia tego niepospolitego starca. Na rok przed jego śmiercią urządzono w Krakowie w d. 31 maja 1889 roku obchód jubileuszowy 50-letniej działalności naukowej wielce zasłużonego pracownika. Uroczystość ta miała bardzo podniosły, a zarazem rzewny charakter, a brali w niej udział nie tylko uczeni i literaci, ale i inne stany, młodzież uniwersytecka i przedstawiciele ludności włościańskiej, której badaniu życie prawie całe poświęcił. Już wtenczas jednak bardzo słabe miał siły życiowe, a od stycznia r. 1890, czując bliski swój koniec, śpiesznie gotował do druku swe prace i dawał wskazówki zacnemu przyjacielowi swemu ś. p. dr-owi Izydorowi Kopernickiemu, co ma począć z jego puścizną naukową. Nie tracąc aż do ostatniej chwili zupełnej przytomności umysłu i pamięci i czując, że niewiele chwil na ziemi już mu pozostaje, wyrzekł do przyjaciół swoich: «Umieram, Bogu dzięki, z tą pociechą, że według sił moich zrobiłem za życia, co mogłem, że nikt mnie za próżniaka nie ma i mieć nie będzie, a to, co po sobie zostawiam, przyda się ludziom na długo.»

Po przekazaniu swych rękopisów Akademii umiejętności i rozporządzeniu niewielką gotówką, uzbieraną dzięki bezprzykładnej oszczędności, oraz pozostałymi wydrukowanymi dziełami, zgaśł dnia 3 czerwca 1890 roku bez żadnych cierpień, cicho i pogodnie, jak żył otoczony czcią powszechną, która się wyraźnie ujawniła na pogrzebie, podobnie jak rokiem przedtem na obchodzie jubileuszowym.

Jak wyżej wspomnieliśmy, po śmierci Kolberga dwa tomy dalsze dzieł jego wydał ś. p.

I. Kopernicki. Od zgonu tego zacnego przyjaciela Kolberga napróżno w ciągu 10-ciu blisko lat czekamy na dalsze wydawnictwa tego najznakomitszego etnografa polskiego. Może ta wzmianka o życiu i dziełach jego w dziesięć lat po zgonie przypomnieć zdoła o długu wdzięczności, jakiśmy

zaciągnęli względem nieodżałowanego ludoznawcy, zwróci znowu uwagę na pozostałą po nim obfitą puściznę i wydobędzie na jaw choć cząstkę jego zbiorów przynajmniej z takich stron ziemi polskiej, które dotąd mniej, niż inne, są zbadane i znane.

Hieronim Łopaciński.

Maciej Rybiński.

* 1784 † 1874.

poprzedzającym wstąpienie do wojska okresie życia Rybińskiego prawie żadnych nie mamy wiadomości. Urodzony w roku

1784 w Sławucie, do szkół chodził w Międzyrzeczu, a następnie wstąpił na uniwersytet lwowski. Do nauk przykładał się bardzo pilnie i, jak się zdaje, z przepracowania dostał choroby pęcherza, skutkiem której musiał się poddać bolesnej i niebezpiecznej operacji. Do szeregów powołała go wojna francusko-pruska r. 1806. W końcu tego roku widziemy go w stopniu podoficera w wojsku nie księstwa Warszawskiego, lecz francuskiem, w sztabie generała Suchet'a. Trudno mniemać, aby rozpoczynający

dopiero zawód wojskowy młody podoficer pełnił jakąś rzeczywistą funkcję sztabową. Prawdopodobnie był to raczej jakiś urząd kancelaryjny,

którego dobre sprawowanie ułatwić mu mogły przyrodzona żywa i obszerna inteligencja, rozległe i gruntowne wykształcenie ogólne, oraz dobra

języka francuskiego znajomość. Do wojsk księstwa Warszawskiego zaliczonym został w stopniu podporucznika dopiero po wojnie, gdy korpus generała Suchet'a do Hiszpanii wyruszał. W wojnie z Austrią roku 1809 w bitwach pod Raszynem i Górą, oraz w obronie Sandomierza zaszczytny brał udział. Kiedy na stopnie porucznika i kapitana został posunięty, czy do r. 1812 więcej we froncie, czy też w sztabach służył, nie jest mi wiadomem. W r. 1812 po bitwie pod Smoleńskiem otrzymał



Rybiński

stopień majora. Walczył z odznaczeniem pod Borodynem, Krasnem, Woronowem, Medwiną. Na początku r. 1813 kierował w Krakowie formacją

jednego z pułków piechoty, na którego czele stanął niebawem już w stopniu podpułkownika. Brał udział w bitwach pod Dreznem, pod Ebersdorf, Langenwolmsdorf i kilku innych, wreszcie pod Lipskiem. W tej ostatniej, już po wysadzeniu w powietrze mostu na Elsterze, na czele wynoszącej 500 ludzi resztki jego pułku, odcięty od wojska polskiego i otoczony przez kilkadziesiątkrotnie liczniejszego nieprzyjaciela, po krwawej próbie ataku na bagnety poddał się cesarzowi Aleksandrowi i został, jako jeńiec, do końca czynności wojennych na Węgrzech internowany.

Jak z roczników wojskowych królestwa Polskiego jest widocznem, otrzymał Rybiński przed swoim wzięciem do niewoli krzyż kawalerski polski (a więc przed nim złoty) i krzyż kawalerski Legii honorowej. Kiedy i za jakie czyny temi zaszczytnymi odznakami został ozdobiony, tego nie mogłem dociec. W nowej formacji wojsk Królestwa kongresowego został zaliczony w stopniu podpułkownika do 1-go pułku strzelców pieszych.

W wojsku Rybiński słusznie uchodził za jednego z oficerów najbardziej wykształconych, zarówno ogólnie, jak i specjalnie w naukach wojskowych. Generał M. Hauke, generał-kwaternistrz, chciał go w kwaternistrzostwie umieścić, lecz nie zezwolił na to Wielki Książę Konstanty. Nie otrzymując żadnych dających pole do odznaczenia się funkcji, ani nawet dowództwa batalionu, pomijany w awansach, przesłużył Rybiński lat czternaście, jako zaliczony do pułku podpułkownik. Wolny czas, którego miał w obfitości, poświęcał na studia historyczne, ekonomiczne i wojskowe. Przetłómaczył z niemieckiego (nie wiem, z jakiego autora) dzieło o strategii, które pod tytułem *Prawidła strategii* wyszło z druku w 3-ch tomach w Warszawie w r. 1828.

W r. 1830 Rybiński został wreszcie awansowany na pułkownika i otrzymał dowództwo 1-go pułku liniowego. Na tem stanowisku zastały go w kwaterze pułkowej w Mszczonowie wypadki listopadowe.

Rybiński, pod względem politycznym bardzo radykalny, na pierwszą wieść o wybuchu ruszył ze swoim pułkiem do Warszawy. Po raz pierwszy spotkał się na czele tegoż pułku z nieprzyjacielem w d. 19 Lutego 1831 r., w pierwszej bitwie pod Wawrem. Nazajutrz, gdy generał Ro-

sen próbował zająć Olszynkę, zastąpił w niej nadwieczór znużony i wyczerpany 4-ty pułk liniowy i pozycję utrzymał.

Wigilią i w samym dniu bitwy Grochowskiej (24-go i 25-go lutego) 1-sza dywizya, do której pułk Rybińskiego należał, walczyła pod Białoleką. Zadaniem jej było przeszkodzić połączeniu się księcia Szachowskiego z Diebitschem. Dowódzca dywizyi, generał Krukowiecki, wdawszy się całkiem niepotrzebnie w zdobywanie Białoleki, zadania tego nie spełnił, ale Rybiński zrobił ku jego spełnieniu wszystko, co od niego zależało. Ogromna energia prowadzonego przez niego ataku opóźniła fatalne dla wojsk polskich połączenie się Szachowskiego z Diebitschem o całe dwie godziny. Gdy zaś w końcu bitwy 1-sza dywizya przybyła na pole Grochowskie, Rybiński osłonił skutecznie odwrót straszliwie przetrzebionej 2-ej dywizyi, a w końcu tworzył rezerwę broniącej praskiego przyczółka mostowego brygady Małachowskiego.

Skrzynecki, objąwszy dowództwo naczelne, pomyślał przede wszystkim o usunięciu Krukowieckiego, którego serdecznie (i z wzajemnością) nienawidził. W początku marca Rybiński otrzymał awans na generała brygady i nominację na dowódcę 1-szej dywizyi, z pominięciem kilku starszych od niego generałów.

Wybór to był bardzo trafny. Rybiński był człowiekiem rozumnym, ogólnie i specjalnie bardzo wykształconym, odważnym i mającym duże doświadczenie bojowe. Był nadto człowiekiem nieposzlakowanym prawym. Nadszedł też niebawem dzień, w którym wartość jego, jako generała, miała w całym blasku zajaśnieć, — najchwalebniejszy i najszcześniejszy w życiu Rybińskiego dzień drugiej bitwy pod Wawrem i bitwy pod Dębem-Wielkim (31-go Marca 1831 r.).

Po bitwie pod Grochowem Diebitsch zajął szerokie kwatery na prawym brzegu Wisły, pomiędzy Rykami a Bobrownikami. Przed Pragę, dla pilnowania znajdującej się na lewym brzegu armii polskiej, pozostał pod dowództwem generała barona Rosena 6-ty korpus, wzmocniony kilku pomniejszych oddziałami. Po jakimś czasie Rosen, w celach lepszego obserwowania kraju i łatwiejszego prowiantowania wojsk swoich, eszelonował je na długiej przestrzeni pomiędzy Wawrem a Dębem-Wielkim. W ten sposób ku koń-

cowi marca wszystkie siły rosyjskie były bardzo zdecentralizowane.

Nie uszło to bystrego oka Prądzyńskiego, który w lot ułożył plan, zasadzający się na skoncentrowaniu wszystkich, jakie się dały zgromadzić, sił polskich na rozbiciu Rosena, a następnie na forsownym marszu na szerokie kwatery feldmarszałka i na ich biciu częściowem, zanimby się skoncentrować zdążyły.

Po długich sporach z nierozumiejącym planu swego genialnego kwatermistrza Skrzyneckim, plan ten został przyjęty. Znajdującym się na południe od Warszawy dowodzącemu 1-szą dywizją Rybińskiemu i dowodzącemu 4-tą Mühlbergowi wydano rozkazy do jaknajszybszego połączenia się ze znajdującymi w Warszawie siłami głównymi. Mühlberg nie mógł nadażyć, ale Rybiński rano d. 30 marca stanął w Warszawie.

Zamiar ataku na Rosena najgłębszą był otoczony tajemnicą. Wiedzieli o nim tylko wódz naczelny, Prądzyński i Chrzanowski. Ani ludność Warszawy, ani wojsko nie przeczuwało zgoła, co im dzień jutrzejszy miał przynieść. Na wieczór d. 30 marca Skrzynecki zaprosił generałów i starszych oficerów do siebie i wtajemniczył ich w powzięte na jutro zamiary. Dowódcy pośpieszyli do swoich oddziałów i około godziny pierwszej w nocy wojsko stanęło pod bronią i w gotowości do marszu.

Od dowódcy dywizji do rekruta, wszyscy, z wyjątkiem wodza naczelnego, zrozumieli trafność planu i stanowczość chwili. Sprawnie, spokojnie, porządnie ruszyły o godzinie 2-ej w nocy wojska naprzód.

Śród cichej, ciemnej i wilgotnej, pełnej mgły nocy marcowej defilowały groźne kolumny po wysłanym słomą moście. U przyczółka praskiego Prądzyński w krótkich, jasnych, natchnionych słowach tłumaczył im ich zadanie i poszczególnym oddziałom rolę w boju i drogi marszu wyznaczał. Pierwsza i najważniejsza rola przypadła w udziale Rybińskiemu, który na czele swojej dywizji, wzmocnionej brygadą jazdy Kickiego (pułki 2 i 3 ułanów), miał uderzyć na stojącą pod Wawrem, dowodzoną przez generała Gejsmara, awangardę Rosena, rozbić ją i nie dopuścić do tego, aby się pod jej osłoną siły główne mogły skoncentrować i do odparcia ataku polskiego przygotować.

Po rozmięklej skutkiem roztopów wiosennych drodze ruszył Rybiński obchodem, kierując się na Ząbki i Kawęczyn. Skrytości jego ruchu dopomagała gęsta mgła. Około godziny 3-ej rano na czele 1-szej brygady swojej dywizji (1-szy i 5-ty liniowe) minął Kawęczyn i zetknął się z przednimi strażami Gejsmara.

Niepodobna było lepiej wywiązać się z powierzonego sobie zadania, niż to uczynił Rybiński. Od chwili, gdy pochód jego stał się dla nieprzyjaciela widocznym, w mgnieniu oka przeformował brygadę z szyku pochodowego w kolumny batalionowe, utworzywszy czoło z uszykowanego w kolumny plutonowe 1-go batalionu 5-go pułku liniowego, przerwy między kolumnami zajął artylerią i runął na Gejsmara, jak burza. 47-y pułk rosyjskich strzelców pieszych, zmięty nagłością i gwałtownością ataku, utraciwszy przydane mu z działa, odrzucony został daleko na południe i pozbawiony możliwości podtrzymania znajdującego się w jego sąsiedztwie pułku litewskiego piechoty. Pułk ten, chcąc się cofnąć na resztę piechoty Gejsmara, ujrzał się od niej odciętym przez 2-gą brygadę 1-szej dywizji (2-gi i 6-ty liniowe), którą Rybiński z Kawęczyna wysłał na lewo. Otoczony pułk litewski poddał się w otwartym polu w całym swoim składzie, z bronią i chorągwiami.

Ten atak Rybińskiego rozstrzygnął los drugiej bitwy pod Wawrem i umożliwił stoczenie w tymże dniu drugiej zwycięskiej bitwy pod Dębem-Wielkim, w której główne siły barona Rosena zupełnie uległy rozbiciu. Cofającego się w pośpiechu na siły główne Gejsmara parł Rybiński wraz z Kickim bez wytchnienia aż do Dębego Wielkiego (5 mil), dokąd przybył o 3-ej po południu. Dwanaście godzin krwawego boju i forsownego marszu zostało uwieńczone: zwyciężeniem 2-ch dział, 2-ch chorągwi i 2,000 jeńców, wreszcie zaskoczeniem Rosena w chwili, kiedy nie mógł on jeszcze stawić skutecznego wojskom polskim oporu. «L'honneur de ce combat appartient à Rybiński,» pisze Prądzyński w swoim memoryale.

Śmiertelnie znużone dywizja Rybińskiego i brygada Kickiego zastąpione zostały przez dywizję Giełguda i Małachowskiego, oraz jazdę Skarżyńskiego, które, dzięki przez Chrzanowskiego pomyślanej, a przez Skarżyńskiego z niepo-

równaną brawurą wykonanej szarży jazdy po wąskiej grobli, zniósł Rosena doszczętnie i wszystkie od początku wojny do tej chwili przez rosyjan odniesione korzyści udaremniły.

Rybińskiemu przyniósł ten dzień krzyż komandorski polski.

W następnym okresie wojny aż do wyprawy na gwardye 1-sza dywizya była mało czynną.

W zarządzonej przed tą wyprawą reorganizacji armii dywizya ta uległa zmianom radykalnym. Cała jej 1-sza brygada (1-szy i 5-ty liniowe), stanowiąca wraz z 1-szą brygadą 3-ej dywizji (4-ty i 8-my liniowe), i z 2-gim strzelców pieszych, czoło piechoty polskiej, została z niej wyłączoną i do przeznaczonego do działań w województwie Lubelskiem korpusu Chrzanowskiego wcieloną. Na jej miejsce włączono do dywizji świeżo sformowaną brygadę pułkownika Młokosiewicza, składającą się z 1-go pułku strzelców pieszych i 16-go liniowego (nowej formacji). Z 2-ej brygady 6-ty liniowy wcielono do nowo sformowanej 5-ej dywizji (generała H. Kamińskiego), a na jego miejsce dodano 12-ty liniowy (również nowej formacji). Tym sposobem liczebność dywizji zmniejszyła się z 12 do 10 batalionów (nowe pułki miały po 2 bataliony), a z jej dawnego składu pozostał w niej tylko jeden pułk 2-gi liniowy.

Z tak zmniejszoną i nietylę zreorganizowaną, co raczej zdeorganizowaną dywizją wziął Rybiński udział w fatalnej wyprawie na gwardye. W utarczkach pod Przetyczą, Długosiodłem, Bródkami, Jakaciem i Tykocinem czynny brał udział. Prądyński czyni mu uzasadnione, jak się zdaje, zarzut, że pod Długosiodłem, nie rozwinąwszy należytej energii, dał się wymknąć dowodzonej przez generała Poleszkę bohaterskiej garstce rosyjan, którą przez proste rozwiniecie frontu swojej dywizji mógł ogarnąć.

Po klęsce ostrołęckiej 1-sza dywizya, która w niej czwartą część swego składu osobistego utraciła, pozostawała czas jakiś w Modlinie, gdzie się jako tako skompletowała.

W pierwszej połowie czerwca, gdy Skrzynecki, rozpoczynając swoją niedołęzną operację przeciw Rüdigerowi, 4-tą dywizję wysłał w Lubelskie, Rybiński zajął pozycję między Dębem Wielkim a Siennicą i Wiązownią i na pozycji tej pozostał z woli wodza naczelnego przez cały

czas operacji bezczynnym. Gryzło go to bardzo, bo wybornie rozumiał stanowczość chwili i konieczność działania energicznego i skoncentrowanego.

W lipcu, zajmując tę samą pozycję, odparł z powodzeniem zuchwałe ataki Gołowina, a niebawem potem dywizya jego wcielona została wraz z 4-tą do 1-go korpusu (Umińskiego), który na zachód od Warszawy operował przeciw zbliżającej się już do niej armii feldmarszałka Paskiewicza. Właściwie była to nie tyle rzeczywista operacja wojenna, co raczej pozbawione myśli i planu przesuwanie się z miejsca na miejsce, urozmaicone od czasu do czasu bezcelowymi utarczkami. Nie był temu winien ani Umiński, ani Rybiński, bo drugi wykonywał rozkazy pierwszego, a pierwszy rozkazy wodza naczelnego.

W obronie Warszawy 1-sza dywizya zajmowała lewy środek zabójczo długiego frontu fortyfikacyjnego. Broniące dowodzonej przez kapitana Ordona reduty Nr. 57 dwie kompanie piechoty do jej składu należały. W drugim dniu szturm, gdy Umiński do działań zaczepnych przejść próbował, Rybiński kierował akcją na jego prawem skrzydle z rozpaczliwą, zapamiętałą energią, dając wszędzie żołnierzom przykład bezgranicznego poświęcenia się osobistego.

Po upadku Warszawy wódz naczelny Małachowski wyprowadził wojsko do Modlina i złożył dowództwo. Rada wojenna, złożona w Modlinie z generałów i dowódców pułków, w dniu 9-ym września obrała wodzem naczelnym Rybińskiego.

W warunkach, w jakich wojsko polskie wówczas się znajdowało, dowództwo naczelne było zaszczytem niewypowiedzianie gorzkim. O wygraniu wojny nie mogło już być mowy. Można było tylko przez szybkie skoncentrowanie liczebnie jeszcze dość znacznych, lecz rozrzuconych po kraju sił odnieść korzyści częściowe i przez nie względnie pomyślne warunki pokoju osiągnąć.

Ze wszech miar niesprawiedliwe były pełne żółci, przez zawiść podyktowane słowa Umińskiego, że «wybór Rybińskiego na wodza naczelnego równał się przegraniu wielkiej bitwy.» Rybiński trafnie ocenił sytuację i obrał plan działań jedynie w danych warunkach właściwy: zamierzył przepłynąć się napowrót na lewy brzeg Wisły i połączyć swoją jeszcze około 30,000 lu-

dzi liczącą armię ze znajdującymi się w województwie Sandomierskiem korpusami Różyckiego (5,000) i Romarino (20,000) i przenieść wojnę do mniej wyczerpanych województw południowych. W tym celu wyszedł w d. 21 września z Modlina do Płocka, dokąd przybył d. 23-go i niebawem przeprawę rozpoczął. Ale tegoż dnia wieczorem otrzymał wiadomość, że Romarino przeszedł z całym swoim korpusem granicę austriacką i broń złożył.

Tak ziemia usuwała się z pod nóg nieszczęśliwego wodza. Zwołał on radę wojenną, na której ogromna większość (36 głosów przeciw 5) uchwaliła zaprzestanie działań wojennych i przyjęcie proponowanych przez feldmarszałka (względnie nie najgorszych) warunków kapitulacji. Rybiński, chcąc tę uchwałę wykonać, nakazał powrót na prawy brzeg Wisły. W ówczesnym stanie anarchii wojskowej i politycznej doprowadziło to do gorszących zatargów. Młodszy i gorętsi oficerowie nie chcieli się rozkazowi poddać. Z Dembińskim, który mu również namiętny stawiał opór, omal do krwawego starcia nie przyszło. Sejm, który zresztą już 25-go za granicę wyjechał, odebrał Rybińskiemu dowództwo, ale wojsko nie chciało słyszeć o wyznaczonym na jego miejsce Umińskim, i Rybiński siłą rzeczy przy dowództwie pozostał. W celu dokończenia rokowań o pokój wysłał on do ks. Paskiewicza generała Mühlberga; rozumiejąc jednak, że po wyparciu Romarina za granicę feldmarszałek obostrzy prawdopodobnie proponowane przez siebie warunki, wyruszył w d. 27 z Płocka na zachód, uważając pozycję w okolicach Włocławka za dogodniejszą, a przynajmniej za mniej ryzykowną.

W Spetalu pod Włocławkiem zastał go w d. 28 września powracający ze swej misji Mühlberg. Przewidywania Rybińskiego sprawdziły się. Ks. Paskiewicz nie chciał już słyszeć o pierwotnych warunkach.

Po powtórnej zwołaniu rady wojennej Rybiński postanowił raz jeszcze z bronią w rękę szczęścia spróbować i 29-go znowu przeprawił się przez Wisłę, zamierzając się z Różyckim połączyć. Ale i znowu, jak poprzednio w Płocku, doszła go zaraz po dokonaniu przeprawy wiadomość o wyparciu Różyckiego do Austrii. Właściwie nie miało to wielkiego znaczenia, bo oddział Różyckiego był bardzo nieliczny. Ale wyczerpały się już siły moralne i wojska, i wódza naczelnego.

Rybiński wrócił na prawy brzeg Wisły i wykonał w dniach 30 września, oraz 1 i 2 października bezcelowe ruchy do Lipna, Rogowa i Rypina. Szeregi armii topniały, bo wielu zarówno szeregowców, jak oficerów i generałów, poddawało się rosyjanom na własną rękę. Trzecia rada wojenna, zwołana d. 3-go października w Świdziebnie, uchwaliła przejście granicy pruskiej. Jakoż w d. 5 października zmniejszona bez bitw do 20,000 ludzi armia z 95 działami przeszła granicę w Sobieszynie, Szczutowie i Górznie i broń prusakom złożyła.


Rybiński, początkowo internowany w Elblągu, w r. 1832 zamieszkał w Paryżu, gdzie żył w ścisłym odosobnieniu, nie mieszając się do spraw i burzliwych sporów emigracji. Dożywszy sędziwego wieku lat 90, umarł w Paryżu d. 19-go stycznia 1874 r.

Maryan Massonius.



Lucyan Siemieński.

* 1809 † 1877.

n raczej podobny do brylantu, który o-
szlifowany misternie w małej
objętości przedstawia nieskoń-
czoną ilość różnych płaszczyzn
i linii, a każda ma swoją wła-
ściwą grę kolorów, z każdej
bije inny połysk.»

Tak charakteryzuje Tar-
nowski Siemieńskiego, jako po-
etę, beletrystę i estetyka ¹⁾.
A przyznać trzeba, że słowa te
mimo pewnej przesady zawie-
rają wiele słuszności; aczkol-
wiek bowiem imię Siemieńskie-
go nie jest, obecnie przynaj-
mniej, tak popularne w naszym
społeczeństwie, jak inne, mniej
może godne, lecz bardziej szczę-
śliwe; bądź co bądź, pod wie-
lu względami zasłużył się on
dobrze naszemu piśmiennictwu.

Przedewszystkiem kilka dat
biograficznych.

Lucyan Hipolit Siemieński
urodził się w Magierowie, dnia
13 listopada 1809 r. z ojca
Antoniego i matki Urszuli
z Dłuskich. Kształcił się w gi-
mnazyum w Lublinie, dokąd
uczęszczał również w owym
czasie rówieśny mu Wincenty



L. Siemieński

¹⁾ St. Tarnowski: «Rozprawy
i sprawozdania» (Kraków, 1896,
tom II, str. 218).

Pol. Po stracie rodziców pozostał na opiece stryja Dłuskiego, który przeznaczał mu zawód wojskowy; jednak dla słabości zdrowia Lucyana porzucono ten zamiar i oddano go do liceum Richelieu'go w Odesie dla kształcenia się w językach wschodnich, co miało być podwaliną w przyszłej jego karierze dyplomatycznej.

Wypadki bieżące odwróciły jednak Siemieńskiego z tej drogi i inny wyznaczyły mu bieg życia. W 1831 roku widzimy go w Warszawie, potem w Żytomierzu, Kijowie, aż wreszcie w roku 1835 osiada na czas dłuższy we Lwowie; tutaj wchodzi on do grona młodych literatów i miłośników literatury, do którego należeli: Wincenty Pol, Seweryn Goszczyński, Dominik Magnuszewski, August Bielowski, tłumacz «Słowa o pułku Igora», Ludwik Nabelak, Józef i Leszek Borkowscy i inni. Marzeniem i hasłem młodocianej gromadki było stworzyć odrębną szkołę literacką na wzór ukraińskiej, zwaną «czerwonoruską». Jakkolwiek usiłowania te pozostały tylko usiłowaniami, dla Siemieńskiego jednakże epoka ta była pierwszorzędnej wagi, stanowiła dlań bowiem pewnego rodzaju okres przygotowawczy, dała wytyczne przyszłej jego pracy naukowej i kierunku literackiego. Tutaj zaczęły się jego nad literaturą ludową narodów słowiańskich i innych wszechstronne studia, których owocem był wzorowy przekład rękopisu Królowo-dworskiego, o którego autentyczności wówczas jeszcze nikt nie wątpił. Na wzór Herdera, jednego z pierwszych teoretyków i poprzedników romantyzmu, który w początkach wieku XIX-go na pierwociny naszego nowego kierunku literackiego tak wielki wpływ okazał, i jego «Głosów ludów», zbierał i Siemieński pieśni ludowe: ruskie, serbskie, litewskie, bretońskie, skandynawskie, hiszpańskie, włoskie, zamieszczone w tomie II «Skarbczyka poezji polskiej» (Petersburg, 1853).

Nagły wyjazd Siemieńskiego ze Lwowa przerwał te prace. W 1839 r. znajdujemy naszego poetę za granicą, zrazu w Paryżu, potem czas dłuższy w Strasburgu, gdzie uczęszczał do miejscowego uniwersytetu. W 1843 r. przybył do Poznania, ożeniwszy się z hrabianką Ludwiką Potocką, lecz i tutaj pobyt jego nie był długotrwałym. Od roku 1848 rozpoczyna nową erę swej działalności literackiej i publicystycznej w Krakowie, gdzie obejmuje redakcję «Czasu.» Tendencje polityczne tego dziennika nie wystarczały mu; to

też rozszerzył niebawem jego część literacką do tego stopnia, iż wyszła ona poza ramy czasopisma w formie oddzielnego «Dodatku literackiego.»

W r. 1849 powołano go na katedrę historii literatury polskiej w uniwersytecie Jagiellońskim po Wiszniewskim; nie długo jednak pełnił ten urząd z wielką szkodą dla piśmiennictwa. W 1872 r. zostaje członkiem akademii umiejętności i dyrektorem wydziału filologicznego. Pióra jednak nie wypuszcza z ręki aż do ostatniej niemal chwili. W 1872 r. pisze ostatni swój utwór oryginalny, fantazję poetyczną do Maurycego Manna p. t. *W Giulistanie*; w 1876 r. «Ateneum» помещa jego przekład *Córy Rolanda* Borniera, w następnym wydaje Siemieński *Pieśni mistycznej miłości*, przełożone z poetów pierwszych wieków chrześcijaństwa; 27 listopada tegoż roku już nie żył — po pracowitem życiu zgasł w Krakowie, mając lat 68.

Działalność piśmiennicza Siemieńskiego obszerną jest i różnorodną: historia, literatura polska i obca, krytyka, beletrystyka, poezja — żadna z tych gałęzi nie była mu obcą, i chociaż nie zostawił w ich zakresie rzeczy wiekopomnych, spiżowych, w każdej jednak z tych prac, choćby najdrobniejszej, zostawił część swą duszy, wyraźne piętno swej indywidualności. Są między nimi rzeczy niepospolitej wartości, wartości, którą najtrafniej nazwalibyśmy pedagogiczną. Posiadając erudycję niezwykle rozległą w różnych dziedzinach nauk społecznych, a zwłaszcza dotyczących przeszłości i teraźniejszości własnego narodu, obdarzony umysłem trzeźwym i krytycznym, ożywiony szlachetną chęcią służenia swemu społeczeństwu, obdzielania jak największych mas cennymi skarbami swej duszy, Siemieński w licznych pracach z niepospolitym talentem popularyzatorskim rozrzucał pęki światła pomiędzy maluczkich.

Jego popularny podręcznik dziejów ojczystych, wydawany już to p. t. *Wieczory pod lipą* (Poznań, 1845 i Kraków, 1870), już to, jako *Dzieje narodu polskiego* (Kraków, 1851), bądź też, wreszcie, jako *Wieczory w Ojcowie* (Warszawa, 1858), jakkolwiek nie bez zarzutu, nie wolny od zapatrywań błędnych i mylnych, które obecna krytyka historyczna sprostować i wykazać może z łatwością, odegrał nader ważną rolę w rozpowszechnianiu wśród szerszych warstw zasadniczych pojęć dziejoznawstwa krajowego.

Do rzędu prac jego popularyzatorskich zaliczyć jeszcze należy *Przegląd dziejów literatury powszechnej* (Kraków, 1855), których jednak tylko tom I-szy ukazał się w druku, jak również znane powszechnie *Portrety literackie*, krótkie sylwetki lub dłuższe studia o kilkunastu ludziach, zasłużonych w dziejach naszego piśmiennictwa, a zwłaszcza w dziedzinie poezji. Przewija się tu szereg postaci od Dantyszka poczynawszy, skończywszy na Mickiewiczu i Krasińskim. Ogółem biorąc, «Portretom literackim» zarzucić można zbyt szkieletowość, feljetonowe traktowanie przedmiotu, niedostateczne uwypuklenie ludzi i dzieł, czego wynikiem jest przecenianie jednych, niedocenywanie innych; w większości wypadków szkice te o kilkunastu stronicach nowych szczegółów dorzucają niewiele, są raczej syntezą rzeczy znanych i przez innych sprawdzonych. Niejednokrotnie jednak Siemieński opiera się na odkrytym przez siebie samym materiale; szkice rozrastają się w studia, jak np. *Żywot Kazimierza Brodzińskiego* (Kraków, 1851), *Emir Tadż-ul-Fehr* (Wacław Rzewuski) i inni, zwłaszcza zasługują na uwagę wyborne a obfite w ciekawe i charakterystyczne szczegóły portrety klasyków okresu Księstwa warszawskiego: *Franciszek Morawski*, *Kajetan Koźmian*, a zwłaszcza pełen wybornego humoru i subtelnej ironii *Obóz klasyków*, pozostaną zawsze obfitem źródłem szczegółów, wiadomości, urywków, korespondencji, nadzwyczaj charakterystycznych dla tej epoki przejściowej, a tak po macoszemu traktowanej w większości naszych podręczników.

Nie dość na tem. Najdrobniejsze nawet jego artykuły i szkice, zaledwie od niechęcenia rzucone na papier, zawierają tyle wiedzy encyklopedycznej, drobiazgowej a wielolicznej, iż w kilkunastu wierszach więcej nauczyć mogą czytelnika, niż długie rozprawy i studia. Treść ich najrozmaitsza; tytuły *Varia*, *Mozaika*, *Okruszyńmy* najzupełniej odpowiadają zawartości tych zbiorów. A czego tam nie znajdziemy? od filozofii Emersona do zwyczajów dorocznych ludu naszego, od szczegółów historycznych o Kazimierzu Puławskim w Ameryce, o ks. Karolu de Ligne — do róży, słowika, lauru, ogrodów, księżycy w poezji, historii, archeologii, sztuki... *Roztrząsania i poglądy literackie* (wydane oddzielnie w Poznaniu roku 1869), *Pogadanki literackie* (Kraków, 1855) i in. stanowią oddzielną grupę szkiców historyczno-lite-

rackich, dorzucających również nieraz cegiełkę do ogólnej budowy wiedzy.

Utwory beletrystyczne Siemieńskiego również mają ten sam charakter drobnych, od ręki rzuconych szkiców, wśród których odnajdziemy niejedną perełkę humoru, obserwacji, prawdy i moralności życiowej. Zawarte w zbiorach p. t. *Muzamerit, czyli powieści o świetle księżycy*, *Wieczornice*, *Mozaika*, robią wrażenie gawęd, z ust narratorów szlacheckich spisanych, chociaż czasem zabłąka się tu i jakieś wspomnienie literackie, odbłask rzeczy gdzieś już czytanej.

Z utworów poetyckich niemal większą wartość mają przekłady, niż wiersze oryginalne. Oprócz wspomnianych powyżej należy tu urywek z Szach-Namech p. t. *Biszen i Menisze* (Warszawa, 1855), owoc studyów orientalnych poety, poezje Michała-Anioła Buonarrotiego, ody Horacego i wreszcie plon wieloletniej pracy, *Odysea Homera*, przykład i wzór tego, jak należy przekładać arcydzieła, rzecz godna niemal stanąć obok «*Giaura*» Mickiewicza i Słowackiego «*Księcia Niezłomnego*».

Pośród poezyj oryginalnych Siemieńskiego znajdujemy kilka pieśni historycznych, niby ułamków wielkiego rapsodu dziejów naszych, jak *Trąby w Dnieprze* — o wyprawie Bolesława Chrobrego na Kijów, *Potrzeba Warneńska* — o bohaterskim zgonie Władysława Jagiellończyka: sam przedmiot, epizody, rodzaj fantazyi, styl, język przypominają pieśni prastare Słowiańszczyzny, a zwłaszcza *Pieśń o pułku Igora*, którą wraz z Bielowskim studiował. Epizodem historycznym jest również *Samuel Zborowski*: gdy na zamku krakowskim miano tracić Samuela, rozszalała się nad nim burza, która przypominała skazanemu inną burzę — na morzu Czarnem, kiedy rozhukane żywioły domagały się od załogi czajki kozackiej ofiary z największego na pokładzie zbrodniarza, a Samuel nie chciał przyznać się do winy zabójstwa; inny śmierć poniósł za niego.

Z innych poezyj fantazyja dramatyczna *Świtezianka* jest rzeczą zupełnie słabą, rozwałkowanym na kilkanaście scen monotonnym motywem ze «*Świtezianki*» Mickiewiczowskiej; *Wachmistrz Jaszczółd* bliźniaczo podobny do swego kolegi «*Dorosza*» — Wincentego Pola; *Mimoxa* wreszcie jest pięknym, subtelnym, zaprawionym lekką ironią fragmentem dziejów miłości, zrodzonej w dusznej

atmosferze balowej, a jak to często bywa, bez winy i bez powodu zerwanej.

Z utworów lirycznych zasługują na wzmiankę: *Moja gęśl*, w której poeta charakteryzuje swą twórczość, *Italiam! Italiam!* *Czy już wiosna?* *Kto wspomni?* — przeważnie na motywach Mickiewicza.

Wreszcie bajki, pod którymi Siemieński słownie się podpisywał «Ursynek,» gdyż przypominają one nietyłe zwięzłość i dobitność Krasickiego

ile szlachetną tendencję Niemcewicza i morał społeczno - obyczajowy z bezpośredniem zastosowaniem do życia; do tych należą: *Kotki i myszy* *Mądry kruczek* i inne.

Powróciliśmy do punktu, skąd wyszliśmy. Słowa Tarnowskiego, przytoczone na początku niniejszego życiorysu, mimo eufemistycznej frazeologii, zawierają tę prawdę, że Siemieński należy do tych pisarzy, co w drobnej formie potrafią zawrzeć wiele ziarn piękna i prawdy.

Henryk Galle.

August Hiacynt Dziarkowski.

*1747? — †1828.

Dziwne zaiste uczucie ogarnia piszącego, jeżeli, zabierając się do skreślenia żywota człowieka dla społeczeństwa swego niewątpliwie zasłużonego, zaraz na wstępie spostrzeżę, iż nie będzie mógł czytelnikom swym powiedzieć nic pewnego ani o dniu urodzenia, ani o kilkudziesięciu pierwszych latach życia tego, o którym pisać zamierza. Gdyby to jeszcze chodziło o jakiego starożytnego greka albo rzymianina, a chociażby nawet o humanistę z wieku XVI-go, brak danych takich nie raziłby może zbyt znacznie, łatwo bowiem każdy domyślałby się, że widocznie szczegóły te z biegiem wieków musiały zatonać w niepamięci, jeżeli nie wspomina się o nich. Inaczej jednak rzeczy się mają, gdy mowa o człowieku, który, oddawszy współobywatelom i krajowi zasługi znakomite, dni swoich dokonał w drugiej ćwierci wieku bieżącego. Brak taki musi uderzyć każdego, budząc podejrzenie, iż powstał może tylko z niedbalstwa, czy niedopatrzienia naganego ze strony pisarza. Zdarza się wszelako, że pomimo poszukiwań skrzętnych nie zawsze udaje się wynalezienie szczegółów, o które chodzi, chociaż należą one do przeszłości stosunkowo wcale niedawnej.

Uwagi powyższe nasuwają się przy rozpatrywaniu żywota Augusta Hiacynta Dziarkowskiego, lekarza dzielnego i obywatela prawego wiadomo o nim na pewno tylko, że był dzieckiem Warszawy, ale o dniu i roku urodzenia jego nigdzie dowiedzieć się nie masz sposobu. Istnieje wprawdzie kilka życiorysów jego, ale żaden, niestety, pod tym względem objaśnić nas nie umie. Gdy się napróżno naszukało w księgach, nie zawadzi czasem zajść na cmentarz i spytać nagrobka, w tym jednakże wypadku i to nie doprowadza do celu, ponieważ Dziarkowski spoczął w ziemi bez grobowca i napisu. Podobno w Warszawie istnieje jeszcze archiwum po b. Towarzystwie przyjaciół nauk, którego członkiem przez długie lata był Dziarkowski, może tam znalazłoby się wyjaśnienie, ale archiwum wymienione, dotąd nie jest dla nikogo dostępne. Wobec tego musimy się, na teraz przynajmniej, wyrzec nadziei odnalezienia daty narodzin.

S. Kościński ¹⁾, opierający się, jak się zdaje, na Encyklopedyi Orgelbranda, pisze, iż Dziarkowski urodził się około r. 1747, oraz, że w Stras-

¹⁾ «Słownik lekarzów polskich» str. 105.

burgu i Halli przykładał się do nauk lekarskich, które w drugim z tych miast ukończył w r. 1782 i otrzymał dyplom doktorski. Ta ostatnia data jest niewątpliwie pewna, ponieważ rok wymieniony znajduje się na rozprawie doktorskiej, drukowanej w Halli p. n. «De prima causa morborum quatenus et a partibus fluidis oriri potest.» Jeżeli zaś i pierwsza byłaby nie nazbyt od prawdy odbiegającą, to Dziarkowski kończąc uniwersytet musiałby być mieć już około lat 35, a że za owych czasów nauki lekarskie nie trwały zwykle nawet lat pięciu, nasuwa się przeto pytanie, czem się mógł zajmować aż do trzydziestego roku życia swego, a na nie odpowiedzi pewnej nigdzie znaleźć nie można. Mój pod tym względem domysł wypowiem poniżej.

Po powrocie do kraju Dziarkowski, posiadający widocznie stosunki i poparcie w Warszawie, otrzymał od rządu polecenie udania się na Podole i Ukrainę dla toczenia walki z wybuchłą tam właśnie zarazą morową. Usiłowania jego w kierunku tym musiały być uwieńczone powodzeniem, ponieważ za działalność swą zaszczycony został przez króla Stanisława Augusta medalem złotym «bene merenti». W r. 1786 osiadł stale w Warszawie, gdzie zajmował się wykonawstwem lekarskiem prywatnem, oraz był lekarzem w szpitalu Dzieciątka Jezus. W r. 1788 na zlecenie rządu dokonał rozbioru chemicznego wód w Bejskach w Sandomierskiem, z czego wnioskować wolno, iż musiał cieszyć się sławą chemika biegłego, że zaś wówczas lekarze wogóle, mniej jeszcze niż dziś, zajmować się byli zwykli chemią, będącą u nas wyłącznie w rękach aptekarzy, więc może nie byłoby pozbawione prawdopodobieństwa przypuszczenie, że Dziarkowski, zanim się zabrał do nauki lekarskiej, poprzednio był już aptekarzem, toby nam też tłómaczyło dostatecznie jego tak późne ukończenie nauk uniwersyteckich. Domysł ten zyskuje nadto poparcie przez to, że w r. 1794 na żądanie Departamentu wojny napisał i wydał *farmakopeę polną*¹⁾, czego by z pewnością nie był zdołał uczynić, gdyby mu zawód aptekarski był obcym zupełnie. W roku wymienionym też złożył liczne dowody gorliwości obywatelskiej, a widząc niedolę ludu war-

szawskiego i litując się nad cierpieniami jego, niedość, że chętnie i bezinteresownie niósł pomoc lekarską, ale nadto ofiarował wtedy na ulepszenie szpitali 24,000 złp., sumę, jak na owe czasy, dosyć znaczną.

Z opustoszałej pod rządem pruskim Warszawy wyprowadził się w r. 1799 i osiadł w Płockiem, gdzie w zaciszu wiejskiem przez lat kilka żył w spokoju, oddając się pracom naukowym. Wtedy to wyszła książka jego p. n. «Wybór roślin krajowych dla okazania skutków lekarskich ku użytkowi domowemu,» (Warszawa, 1803; wyd. II tamże, 1806; wyd. III tamże, 1821), ciesząca się u publiczności powodzeniem wielkiem i zasłużonem. Również w czasie tym ogłosił kilka rozpraw drobniejszych, odnoszących się do szczepienia krowianki¹⁾, nad którego rozpowszechnieniem pracował słowem, piórem i czynem z gorliwością niezwykłą, pomimo, że spotykał się z oporem nie tylko społeczeństwa, ale nawet niektórych powag lekarskich. O tych rozumnych i zacnych zabiegach jego tak się wyraża Bergonzoni²⁾: «Niech mi w tem miejscu wolno będzie podać do wiecznej pamięci odwagę kolegi naszego Dziarkowskiego, który najpierwszy w kraju naszym, a szczególnie w tej stolicy wziął się do uskutecznienia i rozszerzenia tego szczęśliwego środka (t. j. szczepienia krowianki), któremu zawsze skutek pomyślny odpowiadał; co stało się prawdziwem zachęceniem dla innych lekarzy, aby się wzięli do śmiałego w tym przedmiocie działania. Powiększył sobie przez to ten uczony mąż prawo do narodowej wdzięczności, na którą z innych także powodów i gorliwych przedsięwzięć dla zdrowia ludzkiego sprawiedliwie zasłużył.»

¹⁾ Wymienia je Kościński w «Słowniku lek. pol.», str. 106.

²⁾ Michał Bergonzoni dr. med., urodzony w Bolonii w r. 1744, do Polski przybył w r. 1775, do r. 1790; w którym osiadł w Warszawie, trudnił się wykonawstwem lekarskiem po dworach wielkopańskich i w Lublinie; w r. 1792 otrzymał indygenat i mianowanie na lekarza naczelnego całej siły zbrojnej; też same obowiązki pełnił w wojsku ks. Warszawskiego. Był członkiem czynnym Tow. przyj. n. i od r. 1805 do 1819 prezesem działu umiejętności. W r. 1812 wystąpił ze służby wojskowej. Umarł w Warszawie d. 5 marca r. 1819. Życiorys jego, napisany przez F. Kincla, znajduje się w Rocz. Tow. kr. warsz. przyj. nauk, t. XIII, str. 467 i nast.—Słowa podane w tekście wyjęte są z życia L. Lafontena w przywiedzionych Rocznikach, t. X, str. 185.

¹⁾ *Pharmacopoea castrensis et nosocomialis exercitus nationalis.* Warszawa, 1794.

Utworzone z łaski Napoleona księstwo Warszawskie zawezwało znów Dziarkowskiego do szerszej działalności, o czym sam tak mówi: «W roku zaś 1807 powołany z spokojności domowej już zupełnie naruszonej (przez ruchy wojsk francuskich w Płockiem), przeznaczony od komisji Rządzącej, owej matki następnych władz rządowych, do Dyrekcyi najwyższej lekarskiej, gdy jej organizacją zajęty byłem, nie przepomniałem przy niej zamieścić i szkoły nauk lekarskich, potwierdzonej przez powyższą magistraturę, która dopiero w roku 1809 swój skutek odebrała, znowu obarczony nowemi mozołami i zwalczaniem przeszkód ówczesnych w tworzeniu ich, wsparty odwagą i patryotyczną gorliwością nieoszacowanych kolegów Wolffa, Czekierskiego, Brandta, Hoffmana, Weissa, medycyny doktorów, Celińskiego—aby pamiętą na późne wieki, jak najpotrzebniejszą dla wszelkich klas obywateli uczynić przysługę, pierwszą zaś w dziejach podobnych instytucji oświeconego świata.»¹⁾ Twierdzenia powyższe, dla dania próbki stylu zawilego, którym się posługiwał Dziarkowski, powtórzone dosłownie, wymagają pewnego sprostowania. Nie chcąc bynajmniej posądzać go o samochwalstwo rozmyślnie, przypuścić należy, iż piszącego po lat dziesiątku pamięć starca zawiodła i że w najlepszej wierze przeinaczył cokolwiek rzeczy skądinąd prawdziwe. Dziarkowski był istotnie członkiem najwyższej Dyrekcyi, a następnie Rady lekarskiej, ale organizacja jej, chociaż się do niej także bezwątpienia przykładał, przez rząd nie jemu, ale J. Chr. Arnoldowi powierzona była. Co się zaś tyczy założenia wydziału akademicznego lekarskiego, którego dziekanem był Dziarkowski, aż do chwili wcielenia go do uniwersytetu królewsko-warszawskiego, to nadmienić wypada, że pierwsza myśl założenia szkoły tej, podług źródeł bardzo poważnych, nie od niego, ale od Fr. Brandta wyszła, a Dziarkowski z kilku innymi lekarzami tylko przyczynił się znacznie do jej urzeczywistnienia.²⁾ Właściwie błędem jest też zaliczenie Hoffmana i Weissa do założycieli wydziału, pomimo że nazwiska ich znajdują się na me-

dal, wybitym na pamiątkę założenia szkoły; jest tam także wymieniony J. B. Freier, pominięty przez Dziarkowskiego, ale i on się tam znalazł niewłaściwie. Trzej wymienieni lekarze należeli wprawdzie od samego początku istnienia jego do wydziału, Hoffman i Freier jako profesorowie, Weiss zaś jako prosektor Brandta, nie będąc jednak założycielem¹⁾. Bądź co bądź, przyznać w każdym razie należy Dziarkowskiemu, że w znacznej mierze przyczynił się do powstania tak potrzebnej i użytecznej szkoły, oraz że jej chętnie i bezinteresownie służył, starając się wszelkimi siłami o jej rozwój pomyślny.

Gdy w r. 1817 wydział akademiczny lekarski przyłączony został do nowo utworzonego uniwersytetu, Dziarkowski otrzymał katedrę patologii i semiotyki, oraz godność dziekańską, ale już w roku następnym, przywalony wiekiem i tyloletnią pracą znużony, uchylił się od obowiązków profesorskich, nie przestając wszakże pracować dalej w nauce i pełniąc do śmierci prawie służbę lekarską w szpitalu św. Ducha.

Więc należał do Towarzystwa przyjaciół nauk, jak wspomniałem już powyżej, był nadto członkiem czynnym Kr. Towarzystwa ekonomicznego i Towarzystwa lekarskiego warszawskiego; piastował także godność radcy w ministerjum spraw wewnętrznych.

Powszechną cziłą i uznaniem otoczony, żywota zacnego dokończył w d. 15 marca r. 1828.

Oprócz prac drukiem ogłoszonych, powyżej już wspomnianych, na wzmiankę pochlebną zasługuje jeszcze jego *Poradnik domowy* (Warszawa, 1819; Cz. I, str. XV, 328 i 9; Cz. II, str. 816, 8, 2, i 4 tabl.), o którym na początku przemówienia «Do Czytelnika» tak się sam wyraża: «Wydając dziełko o roślinach krajowych na użytek domowy w roku 1803, na końcu jego przyrzekłem wygotować i drugie pod tytułem wychodzącego dziś na widok publiczny. Usunąwszy się od wielkiego świata, pracowałem nad niem lat trzy, a w r. 1806 po raz ostatni przejrzałe miało pójść do druku w Warszawie, gdy właśnie w te czasy, wojenne obroty niepodobnym przewóz

¹⁾ Z przedmowy «Do Czytelnika» w «Poradniku domowym» (Warszawa, 1819). Cz. I, str. X.

²⁾ A. Helbich «Wiadomość o życiu Brandta» (Pamiętnik Tow. lek. warsz. T. I, str. 517 nast.)

¹⁾ A. Helbich, l. c. str. 518 i J. Tomorowicz u Gąsiorowskiego «Zbiór wiadomości do hist. sztuki lek. w Polsce» T. III, str. 49 i życiorys Hoffmana w «Słown. lek. pols.» Kościńskiego.

z województwa Płockiego uczyniły, sławni też goście, dostawszy się w zawiślańskie strony, niewinne to dziełko w ustronnym domeczku tak początkowali, iż ze szczupłej pozostałości nie wypadło dla wydawcy, pragnącego się współrodakom z przyrzeczonego długu uiścić, jak nową nad niem zająć się pracą.» Obowiązki publiczne długo nie dozwalały na dokończenie dzieła, więc też dopiero po usunięciu się od nich mógł je wydać. Chociaż książka sama, jako przestarzała, utraciła wartość praktyczną już prawie zupełnie, to jednak zasady, które autor powodował się,

pisząc ją, jako wiecznie młode i prawdziwe, zawsze godnemi będą uznania i naśladowania.¹⁾

Dr. med. Józef Peszke.

¹⁾ Wyszczególnienie całego dorobku naukowo-literackiego Dziarkowskiego znaleźć można w Kościńskiego «Słown. lek. pols.», str. 106. Por. też K. Wł. Wójcickiego «Cmentarz powązkowski», t. II, str. 15, gdzie wymieniona jest jeszcze jedna praca razem z K. Siennickim wydana, a zarówno przez L. Gąsiorowskiego, jako też przez S. Kościńskiego pominięta.



Bronisław Trentowski.

* 1807 † 1869.

Kiedy z początkiem wieku XVII-go nastał w Europie wielki ruch umysłów, skierowany ku wytworzeniu nauki samodzielnej i niezależnej, Polska zstępowała już na dół z wysokiego stanowiska kulturalnego, które w dwóch poprzednich stuleciach była zajęła. Zdziczenie umysłowe zaczynało już brać górę, fala obskurantyzmu zaczynała już naród zalewać. W wielkiej pracy naukowej wieku XVII-go żadnego nie braliśmy udziału, nietylko czynnego i twórczego, ale ani nawet biernego: nie przyswajaliśmy sobie nawet owoców płodnej pracy naukowej Zachodu. Do uczestnictwa w życiu cywilizacyjnym Europy powołało nas dopiero odrodzenie, spowodowane przez Konarskiego. Dany przez tego wielkiego męża impuls nie był jednak tego rodzaju, aby w nas twórczego ducha rozbudził; popchnął nas tylko ku korzystaniu z pracy innych, ku czerpaniu ze skarbów, przez innych nagromadzonych. Jak wiadomo, wpływ przeważny na naszą umysłowość wywierały wtedy cywilizacje francuska i angielska, specjalnie zaś pod względem filozoficznym kierunkiem, który się u nas przyjął i krzewić zaczął, był empiryzm, gdyż w samej rzeczy odpowiadał on najbardziej naturze i składowi umysłu polskiego. Umysł polski w swoich najwyższych i najlepszych przedstawicielach — podług takich zawsze sądzić należy — jest trzeźwym, ostrożnym, obcym fantastyczności, skłonniejszym do indukcji niż do dedukcji, a jasność i dowodność nad śmiałość pomysłów i domniemaną głębokość przekładającym. Sprawiedliwość dodać nakazuje, że te jego cechy przeradzają się nierzadko w płyt-

kość, nieumiejętność oceny myśli istotnie głębokich i uznawanie rzeczywistej głębokości za fantastyczność, — czego jaskrawy przykład dał myśliciel tak skądinąd wybitny jak Jan Śniadecki w swojej ujawniającej zupełny brak zrozumienia polemice z Kantem.

Poezya romantyczna, w istocie swojej głęboko narodowa, bo na najlepszych, najzdrowszych i najwyższych pierwiastkach ducha narodu oparta, wywarłszy na społeczeństwo wpływ głęboki i wstrząsający, zwróciła je poniekąd ku duchowi germańskiemu. Będąc przeciwstawieniem dotychczasowego polskiego realizmu, doskonałość swoją zakładając nie tyle na dobrem odtwarzaniu zjawisk, co raczej na oddaniu tajemniczej treści rzeczy, z konieczności wywołała pewien pociąg ku tajemniczości, a z nim razem skłonność do przeświadczenia, że zjawisko jest czemś mało znaczącem i mało interesującym, że istotną wartość teoretyczną przedstawia poznanie «rzeczy w sobie,» «istoty rzeczy,» ich «głębokiej treści tajemniczej.» Tak mniej więcej można sobie tłómaczyć zwrot myśli polskiej ku obcej jej naturze, a pod względem naukowym przedstawiającej wartość tylko ujemną, metafizyce spekulacyjnej niemieckiej.

Pierwszymi pionierami tej metafizyki niemieckiej w Polsce byli Kremer i Trentowski. Ten ostatni, w r. 1807 urodzony, został w bardzo młodym wieku nauczycielem języka łacińskiego w gimnazjum Szczuczyńskim i w tym czasie przetłómaczył był z niemieckiego «Oblubienicę z Messyny» Schillera. Wojna r. 1831 powołała go do wojska, z którym w październiku tegoż roku wyszedł za granicę. Od r. 1832 do 1836 słuchał wykładów



Podług współczesnej fotografii rysował Ks. Pillati.

Bronisław Trentowski

filozoficznych i teologicznych (był protestantem) na różnych uniwersytetach niemieckich. Był to czas obfitego i różnostronnego rozwoju filozofii Hegla, wykładanej i komentowanej na różnych katedrach niemieckich w różnych a nieraz wprost sobie przeciwnych kierunkach. Umysłowi Trentowskiego, z natury dość fantastycznemu, filozofia ta obfitego dostarczała pokarmu. Jej debiut w Polsce odbył się w r. 1835 w krakowskim «Kwartalniku naukowym», w którym Józef Kremer ogłosił był obszernie i dokładne, acz mało krytyczne, streszczenie systemu Hegla. W innym do doktryny «mistrza» stosunku stanął Trentowski. Posiadając umysł, może w gruncie rzeczy niebardzo samodzielny, ale śmiały, fantastyczny i do spekulacji skłonny, przyjął t. zw. «metodę dyalektyczną» Hegla, która w większym niż każda inna stopniu swobodnie i przez żadną rzeczywistość nie krępowane szybowanie umysłu ułatwiała. Ale w części dogmatycznej filozofii wystąpił od razu jako przeciwnik stanowczy Hegla i twórca własnego systemu. W r. 1837 ogłosił po niemiecku obszerną rozprawę pod wielce obiecującym tytułem *Grundlage der universellen Philosophie* (Zasady filozofii powszechnej). Rzecz, pisana pretensjonalnie, rozwlekłe i bardzo arbitralnie, za myśl przewodnią ma twierdzenie, że umysły zarówno typu germańskiego, jak i romańskiego, są jednostronne i przeto do wytworzenia ogarniającego całość świata systemu filozoficznego niezdolne. Powołanym jest do tego umysł słowiański (w szczególności zaś polski), którego przeznaczeniem jest skojarzenie sprzeczności, przez dwa pierwsze typy umysłów wytworzone. Zasadą naczelną, na której się polska myśl filozoficzna ma oprzeć, będzie coś, co ma być rzeczywisty, co istnieje realnie, a co zarazem jest ideą i myślą. W ten sposób pogodzona zostanie filozofia germańska, której grzechem głównym jest oderwanie jej zasady naczelnej od rzeczywistości, z romańską, która grzeszy materjalnością, bezduchowością swej zasady naczelnej. (Jaką mianowicie zasadę Trentowski za naczelną filozofii romańskiej uważał, — tego z pism jego niesposób wyrozumieć). Taką ideą, mającą być rzeczywisty, jest *osoba* i ona też stanowić ma dla filozofii słowiańskiej punkt wyjścia i cel ostateczny. Osoba bezwzględna, przez nic nie zawarunkowana, istniejąca sama przez się i wszystkiemu, co oprócz niej istnieje, być nadająca, jest Bogiem.

Dwoma punktami ogniskowymi pracy Trentowskiego są: idea posłannictwa myśli słowiańskiej do wykrycia i objawienia świata prawdy bezwzględnej i powszechnej — oraz idea rzeczywistości (względnie osobowości) zasady naczelnej. Pierwsza była przeszczepieniem na grunt metafizyczny poczętej już w innej sferze i kielkującej naówczas w społeczeństwie idei posłannictwa mesyanicznego narodu polskiego; druga była wyrazem właściwego umysłowi polskiemu dążenia do rzeczywistości. Dokładniejszy, jaśniejszy i poprawniejszy wyraz dał jej we dwanaście lat później Józef Kremer. Trentowski, który się bardzo sadił na oryginalność, a którego umysł był bogatym i płodnym, ale nie był ani ścisłym, ani jasnym, myśli swoje wyrażał przed ich należytem przetrawieniem i opracowaniem logicznym, skutkiem czego wykład jego był równie ciemnym, zawiłym i rozwlekłym, jak nacechowanym wyjątkową ufnością w nieomyślność swych wywodów.

W r. 1838 Trentowski habilitował się w uniwersytecie Fryburskim (w księstwie Badeńskim) za rozprawę łacińską *De hominis vita aeterna* (O życiu wiecznym człowieka) i rozpoczął tam wykłady, jako docent prywatny. W r. 1840 ogłosił również po niemiecku, dzieło p. t. *Vorstudien zur Wissenschaft der Natur* (Studia wstępne do wiedzy o przyrodzie), które zresztą, wzorem ówczesnej «filozofii natury» niemieckiej, nie miało z naukami przyrodniczymi nic wspólnego i dążyło nie do wytlómaczenia zjawisk otaczającej nas przyrody za pomocą ich powiązania przyczynowego, lecz do wymyślenia jakiejś takiej idei, czy zasady, aby wszystko, co nie jest «duchem» (tak wówczas określano przyrodę), mogło być myślanem jako jej rozwinięcie dyalektyczne.

Do pisania po polsku pobudziła Trentowskiego obszerna i surowa krytyka jego dzieł niemieckich, ogłoszona przez Libelta. Liczne grono osób w Poznaniu postarało się zapewnić mu pewien stały dochód roczny, i Trentowski, który umiał pisać szybko i dużo, ogłosił w krótkim czasie dwa obszernie dzieła: *Chowannę* (pedagogikę) w r. 1842 i *Myślinię* (logikę) w r. 1844. Zawsze i usilnie dążący do tego, co mu się oryginalnością wydawało, utworzył Trentowski dla swoich pism polskich dziwaczną i niejasną terminologię filozoficzną, która czytanie i bez tego dość zawiłych

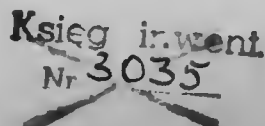
dziel jego wielce utrudnia. W «Chowannie» zamierzył autor nakreślić system wychowania «narodowego,» t.j. takiego, którego celem jest kształcić dzieci polskie na ludzi zdolnych do wypełnienia owego mesyanicznego plemienia słowiańskiego i narodu polskiego posłannictwa. Skutkiem tego «Chowanna» nie jest zgoła pedagogiką w zwykłym tego wyrazu znaczeniu, nie jest wykładem umiejętności wychowania, na danych faktycznie cechach fizycznych i psychicznych dziecka opartej, lecz raczej rozwinięciem programowym (przez balast metafizyczny straszliwie zaciemnionem) doktryny o posłannictwie Polski i o zastosowanym do niej ideale polaka. «Myślini,» wbrew objaśnieniu, danemu na karcie tytułowej, nie jest bynajmniej logiką, lecz wykładem całkowitego systemu filozoficznego. Osią tego systemu była idea «różnojedni filozoficznej,» jedna z licznych, zresztą również jak inne bezowocnych prób nadania odrębnego kształtu panującej w ówczesnej metafizyce niemieckiej doktrynie, że «byt bezwzględny» czyli «absolut» jest skojarzeniem przeciwieństw, jednością w różnaitości i różnaitością w jedności. Świat cały jest zbiorem «różnojedni» cząstkowych, których ogół stanowi ostateczną «różnojednię» najwyższą. Człowiek jest «różnojednią,» której częściami przeciwstawnymi są ciało i dusza, a ogniwem kojarzącym—«Jaźń» (jeden z nielicznych terminów Trentowskiego, który się przyjął i w polskim języku naukowym użytecznym okazał). Jaźń stanowi w człowieku pierwiastek bezwzględny i nieśmiertelny, gdy ciało po śmierci w powszechnej materjalności, a dusza w powszechnej duchowości się roztopia. W różnojedni powszechnej, którą świat cały stanowi, częściami przeciwstawnymi są materya (twierdzenie) i duch (przeczenie—odwrotnie jak u Hegla), a ogniwem kojarzącym—Bóg, którego osobowość z jego rzeczywistości wynika. Nie jest przeto Bóg istotą pozaświatową, i tu styka się system Trentowskiego z panteizmem, od którego się jednak przez to różni, że Boga ze światem nie utożsamia, lecz Go za połączonego z nim przez «różnojednię» uważa. «Myślini» w większym jeszcze niż «Chowanna» stopniu cechuje się rażącą dysproporcją pomiędzy rozmia-rami maszyny myślowej, które nie wiedzieć, jakie objawienie zdają się zapowiadać, a istotnem ubóstwem treści i jałowością myśli.

W okresie czasu pomiędzy rokiem 1840 a 1850 był Trentowski bardzo czynnym. Od r. 1843 do 1847 redagował czasopismo «Teraźniejszość i przyszłość.» Napisał w tym czasie kilka rozpraw, jako to: *Stosunek filozofii do cybernetyki, czyli sztuki rządzenia narodem* (1843), *Stosunek filozofii do teologii* (1843), *Demonomania* (1844), skierowana przeciw mistycyzmowi we wszelkich jego objawach, między innymi przeciw Towianizmowi, *Ułomek z teozofii* (1845), *Wizerunki duszy narodowej z końca ostatniego szesnastolecia* (1847), *Przedburza polityczna* (1848), może najlepsza rzecz Trentowskiego, pełny rzeczywistego szlachetnego zapału i skutkiem tego względnie prosty co do formy wyraz uczuć i nadziei, które w nim ówczesne ruchy polityczne budziły.

Gdy rok następny stanowczy nadziejom tym położył koniec, usunął się Trentowski z widowni publicznej i przez lat 11 (od 1850 do 1861) pracował nad dziełem, mającem całokształt jego filozofii przedstawić. Dziełu temu dał graniczący z karykaturalnością tytuł: *Panteon wiedzy ludzkiej lub pantologia, encyklopedia wszech nauk i umiejętności, propedeutyka powszechna i wielki system filozofii.* Wyszło ono z druku dopiero po śmierci autora (w Poznaniu 1873 — 1881). Trentowski umarł w roku 1869.

Z pomiędzy czterech koryfeuszów metafizyki polskiej (Trentowski, Kremer, Libelt, Cieszkowski) był Trentowski najmniej teoretycznie uzdolnionym: umysł jego był nieścisły i do fantastyczności skłonny; ambicya ogromna, popęd do domniemanej oryginalności i do tworzenia wszechogarniających «wielkich systemów filozofii» bardzo nieustosunkowany do niewielkiej potęgi twórczej umysłu. Jednak on był właściwym inicjatorem metafizyki polskiej i wiele od niego zdolniejsi: Kremer, Libelt i Cieszkowski, w pewnej mierze od niego pochodzą. Twórcą tego, co w owym czasie «filozofią narodową» nazywano, był Trentowski. Jakkolwiek krytycznie można i należy się na tę «filozofię narodową» zapatrywać, przyznać trzeba, że w ewolucji dziejowej myśli polskiej, była ona fazą konieczną i doniosłą, że więc inicjator jej w dziejach umysłowości polskiej wybitne zajmuje stanowisko.

Maryan Massonius.



SPIS ŻYCIORYSÓW,

zawartych w tomie pierwszym

Albumu biograficznego zasłużonych Polaków i Polek wieku XIX.

	Str.		Str.
Anczyc Władysław Ludwik, <i>przez Henryka Gallego</i>	451	Działyński Jan, <i>przez W. Benzelstjerna-Engeströma</i>	319
Armiński Franciszek, <i>przez Stanisława Kramsztyka</i>	178	* Działyński Tytus, <i>przez W. Benzelstjerna-Engeströma</i>	256
Arnold Jerzy Chrystjan, <i>przez Józefa Peszkego</i>	145	Dziarkowski August Hiacynt (bez portretu), <i>przez Józefa Peszkego</i>	490
Bacciarelli Marcelli, <i>przez Wojciecha Gersona</i>	17	Elsner Józef, <i>przez Aleksandra Polńskiego</i>	45
Bandtkie Jerzy Samuel, <i>przez Piotra Chmielowskiego</i>	414	Falkowski Jakób, <i>przez Jana Nitowskiego</i>	434
* Bartoszewicz Julian, <i>przez Zygmunta Glogera</i>	375	Feliński Aloizy, <i>przez Bronisława Chlebowskiego</i>	301
Bentkowski Feliks, <i>przez Bronisława Chlebowskiego</i>	379	Filipecki Józef (bez portretu), <i>przez Józefa Peszkego</i>	344
Bernatowicz Feliks, (bez portretu) <i>przez Piotra Chmielowskiego</i>	243	* Fiszer Stanisław, <i>przez Szymona Askenazego</i>	283
Bielowski August, <i>przez Michała Rollego</i>	459	* Fredro Aleksander, <i>przez Jana Nitowskiego</i>	462
Bogusławski Wojciech, <i>przez Władysława Bosławskiego</i>	272	Gagatkiewicz Walenty, <i>przez Józefa Peszkego</i>	344
Borowski Leon, <i>przez Ferdynanda Hoesicka</i>	116	Garczyński Stefan, <i>przez Jana Nitowskiego</i>	219
Brandt Franciszek Antoni Ignacy Ludwik, <i>przez Józefa Peszkego</i>	81	Gaszyński Konstanty, <i>przez Kazimierza Glinńskiego</i>	339
Brodowski Antoni, <i>przez Wojciecha Gersona</i>	85	Godebski Cyprian, <i>przez Henryka Gallego</i>	266
* Brodziński Kazimierz, <i>przez Piotra Chmielowskiego</i>	95	Golian Zygmunt, <i>przez ks. Teofila Matuszewskiego</i>	402
Bujnicki Karol, <i>przez Aleksandra Jelskiego</i>	327	Gołębiowski Łukasz, <i>przez Zygmunta Glogera</i>	454
Chłapowski Dezydery, <i>przez Zygmunta Glogera</i>	134	* Gołuchowski Agenor, <i>przez Adama Bienkowskiego</i>	423
Chłopiński Grzegorz Józef, „ „ „ „	150	Gołuchowski Józef, <i>przez Lucyana Uziębłę</i>	293
Chodakowski Zoryan Dołęga (Czarnocki Adam), <i>przez Fr. Rawitę Gawrońskiego</i>	446	Gosławski Maurycy, <i>przez Kazimierza Glinńskiego</i>	245
Chodźko Aleksander, <i>przez Zygmunta Glogera</i>	230		
Chreptowicz Joachim, <i>przez Stefana Dembego</i>	7	* Hofmanowa Klementyna, <i>przez Piotra Chmielowskiego</i>	170
* Cieszkowski August, <i>przez Wł. M. Kozłowskiego</i>	305	Jaraczewska Elżbieta, <i>przez Jana Nitowskiego</i>	308
* Czacki Tadeusz, <i>przez Aleksandra Kraushara</i>	20	Jastrzębowski Wojciech Bogumił, <i>przez Zygmunta Glogera</i>	427
Ks. Czartoryska Izabella, <i>przez Adama Dobrowolskiego</i>	33	Karpiński Franciszek, <i>przez Maryana Gawalewicz</i>	41
* Ks. Czartoryski Adam Jerzy, <i>przez Szymona Askenazego</i>	248	Kniaziewicz Karol, <i>przez Aleksandra Kraushara</i>	77
Czeczot Jan, <i>przez Zygmunta Glogera</i>	236	Kokular Aleksander, <i>przez Wojciecha Gersona</i>	333
Czekierski Józef, <i>przez Józefa Peszkego</i>	70	* Kolberg Oskar, <i>przez Hieronima Łopacińskiego</i>	475
Czerwiakowski Rafał Józef, <i>przez Józefa Peszkego</i>	111	* Kołłątaj Hugo, <i>przez Aleksandra Kraushara</i>	129
* Dąbrowski Henryk, <i>przez Adama Dobrowolskiego</i>	1	* Kondratowicz Ludwik (Władysław Syrokomla), <i>przez Fr. Rawitę Gawrońskiego</i>	407
Dmochowski Franciszek Ksawery, <i>przez Stefana Dembego</i>	62	Kopczyński Onufry, <i>przez Romana Pleniewicz</i>	103
Domejko Ignacy, <i>przez Henryka Gallego</i>	262	Kozietulski Jan Leon, <i>przez Artura Oppmana</i>	5
Dwernicki Józef, <i>przez Zygmunta Glogera</i>	167	Koźmian Kajetan, <i>przez Ignacego Chrzanowskiego</i>	316
Dybek Franciszek Ksawery, <i>przez Józefa Peszkego</i>	52		

	Str.		Str.
Krakowowa Paulina, <i>przez Anielę Szyc</i> . . .	390	Pocobut-Odlanicki Marcin, <i>przez D. Wierzbickiego</i> . . .	173
* Kremer Józef, <i>przez Henryka Struvego</i> . . .	395	* Ks. Poniatowski Józef, <i>przez Adama Dobrowolskiego</i> . . .	49
Kurowski Jan Nepomucen, <i>przez Zygmunta Glogera</i> . . .	313	* Potocka Klaudyna, <i>przez Aleksandra Kraushara</i> . . .	215
Kurpiński Karol, <i>przez Aleksandra Polińskiego</i> . . .	28	Przedziecki Aleksander, <i>przez Zygmunta Glogera</i> . . .	370
Lam Jan, <i>przez Kazimierza Wróblewskiego</i> . . .	467	Rustem Jan, <i>przez Wojciecha Gersona</i> . . .	140
* Lelewel Joachim, <i>przez Tadeusza Korzона</i> . . .	222	Rybiński Maciej, <i>przez Maryana Massoniusa</i> . . .	482
* Libelt Karol, <i>przez Maryana Massoniusa</i> . . .	442	Siemieński Lucyan, <i>przez Henryka Gallego</i> . . .	487
* Linde Samuel Bogumił, <i>przez Gabryela Korbuta</i> . . .	335	Skarbek Fryderyk, <i>przez Piotra Chmielowskiego</i> . . .	142
Malczewski Antoni (bez portretu), <i>przez Piotra Chmielowskiego</i> . . .	278	Skrzynecki Jan Zygmunt, <i>przez Maryana Massoniusa</i> . . .	382
Malinowski Franciszek Ksawery, <i>przez Adama Antoniego Kryńskiego</i> . . .	471	Słowacki Euzebiusz, <i>przez Ferdynanda Hoëssicka</i> . . .	13
* Małachowski Stanisław, <i>przez Józefa Bojańskiego</i> . . .	297	Smółka Franciszek, <i>przez Adama Bienkowskiego</i> . . .	438
Marconi Henryk, <i>przez Wojciecha Gersona</i> . . .	431	Smuglewicz Franciszek, <i>przez Wojciecha Gersona</i> . . .	55
Mecherzyński Karol, <i>przez Piotra Chmielowskiego</i> . . .	367	* Sniadecki Jan, <i>przez Samuela Dicksteina</i> . . .	122
* Mickiewicz Adam, <i>przez Romana Plenkiewicza</i> . . .	185	* Sniadecki Jędrzej, <i>przez Zygmunta Kramsztyka</i> . . .	10
Mochnacki Maurycy, <i>przez Aleksandra Kraushara</i> . . .	23	Stachowicz Michał, <i>przez Wojciecha Gersona</i> . . .	109
Moniuszko Dominik, <i>przez Aleksandra Jęlskiego</i> . . .	323	* Staszyc Stanisław Wawrzyniec, <i>przez Romana Plenkiewicza</i> . . .	155
* Niemcewicz Julian Ursyn, <i>przez Aleksandra Kraushara</i> . . .	58	Steinkeller Piotr Antoni, <i>przez Juliana Hepfena</i> . . .	73
Odyniec Antoni Edward, <i>przez Zygmunta Glogera</i> . . .	208	Święcki Tomasz, <i>przez Henryka Gallego</i> . . .	290
Ks. Ogiński Michał Kleofas, <i>przez Stefana Dembego</i> . . .	99	* Trentowski Bronisław, <i>przez Maryana Massoniusa</i> . . .	494
Oleszczyński Władysław, <i>przez Leopolda Wasilkowskiego</i> . . .	165	Wańkowicz Walenty, <i>przez Zygmunta Glogera</i> . . .	240
Orłowski Aleksander, <i>przez Henryka Piątkowskiego</i> . . .	66	Wielhorski Józef, <i>przez Szymona Askenazego</i> . . .	417
Osiński Ludwik, <i>przez Romana Plenkiewicza</i> . . .	360	Ks. Wirtemberska Marya, <i>przez Romana Plenkiewicza</i> . . .	87
Ossoliński Józef Maksymilian, <i>przez Wojciecha Kętrzyńskiego</i> . . .	125	* Woronicz Jan Paweł, <i>przez Stanisława Kijęńskiego</i> . . .	38
Piawski Jan Feliks, <i>przez Wojciecha Gersona</i> . . .	412	Zaborowski Tymon (bez portretu), <i>przez Henryka Gallego</i> . . .	330
Plersch Jan Bogumił, „ „ „ . . .	76	* Zaleski Józef Bohdan, <i>przez Kazimierza Glińskiego</i> . . .	350
Płoński Michał, <i>przez Henryka Piątkowskiego</i> . . .	182	Zan Tomasz, <i>przez Henryka Gallego</i> . . .	268

UWAGA. Życiorysy oznaczone gwiazdką, mają portrety drukowane na papierze kredowym.



OMYŁKI W DRUKU.

Strona	Szpalt	Wiersz	wydrukowano:	powinno być:
50	I	3	z góry po wyrazach: „podpisuje konfederację targowicką;“ dodać: czem oburzony książę Józef,	
63	I	18	z dołu upitskiego	upickiego
89	II	3	g. całypoem at	cały poemat
100	I	13	d. pruskiego,	pruskiego
102	II	21	g. mond	monde
119	I	13	g. można	można
—	II	6	g. mową,	mową
120	I	1	d. gdzie	gdzie
150	II	11	d. miłością	miłością
168	I	1	g. Lipskimi	Lipskiem i
171	II	16	d. ilusrowanemi	ilustrowanemi
—	—	4	d. uęzucia serdeczne	uczucia serdeczne
172	II	25	d. piersi	piersi
174	I	21	d. w Płocku	w Połocku
177	I	3	d. od,	od
178	II	9	d. Mokołaj	Mikołaj
203	I	19	g. pobotu	pobytu
207	II	3	d. dając	dając jej
212	II	2	d. wstanie	w stanie
222	I	11	d. Lannoniego	Zannoniego
—	II	1	d. J. J. Poznańskie Zapiski	J. L. Poznań. Żupański
223	I	12	d. 1771	1782
—	—	6	d. 180 złp.	180,000 złp.
223	II	12	g. Dessert	Deszert
—	—	5	d. Dessertów	Deszertów
—	—	1	d. 1897	1879
224	I	14	g. 1880	1800
226	II	24	d. Ruchs	Ruehs
232	I	18	g. domu	do domu
—	II	5	g. duszy	dusza
238	II	14	g. twarz	twarz jego
247	II	4	g. w puściźnie	w spuściźnie

Strona	Szpalt	Wiersz	wydrukowano:	powinno być:
250	II	18	z góry Czartoryjskiego	Czartoryskiego
281	I	10	z dołu utworów;	utworów
—	—	9	d. go;	go,
—	II	10	g. po,	po —
294	I	15	g. «Duniach»	«Dumaniach»
303	II	13	g. podnieci	podnieciło
306	I	4	d. sposkcznem	społecznem
—	—	3	d. Ciezrkowski	Cieszkowski
344	II	17	d. dla niego —	dla niego.
350	I	14	d. miejscowych;	miejscowych.
353	II	20	g. Jerczykowki	jerczykowski
354	I	22	g. zadzierzystej	zadzierzystej
362	II	5	d. Szekspira	Szekspir
373	I	11	d. (Jagiellonki	Jagiellonki
387	I	25	g. Wód	Wódz
392	II	11	g. porządnie	porządne
402	II	8	d. przyjemości	przyjemności
408	I	7	g. być je.	być jej
409	I	13	d. kruciuchnym	króciuchnym
425	II	13	g. centraliści	centraliści,
—	—	—	mszcząc, się	mszcząc się
432	II	3	g. freskowemi	freskowemi.
—	I	6	d. na kryty	nakryty
446	I	13	g. niepożyty	niespożyty
—	—	16	g. młodego.	młodego
—	—	17	g. otoczeniem	otoczeniem.
449	II	13	g. sersami	sercami
450	I	9	g. odszukał się	cdnalazł się
452	II	19	g. rozpijającego	rozpajającego
455	II	17	d. obejmowały	obejmowały
—	—	—	w sobie	—
469	II	6	d. przedrezolucyj- nych	przedrewolucyj- nych
481	II	20	d. puścizną	spuścizną
488	II	21	d. wykreślić wyraz: wartość.	